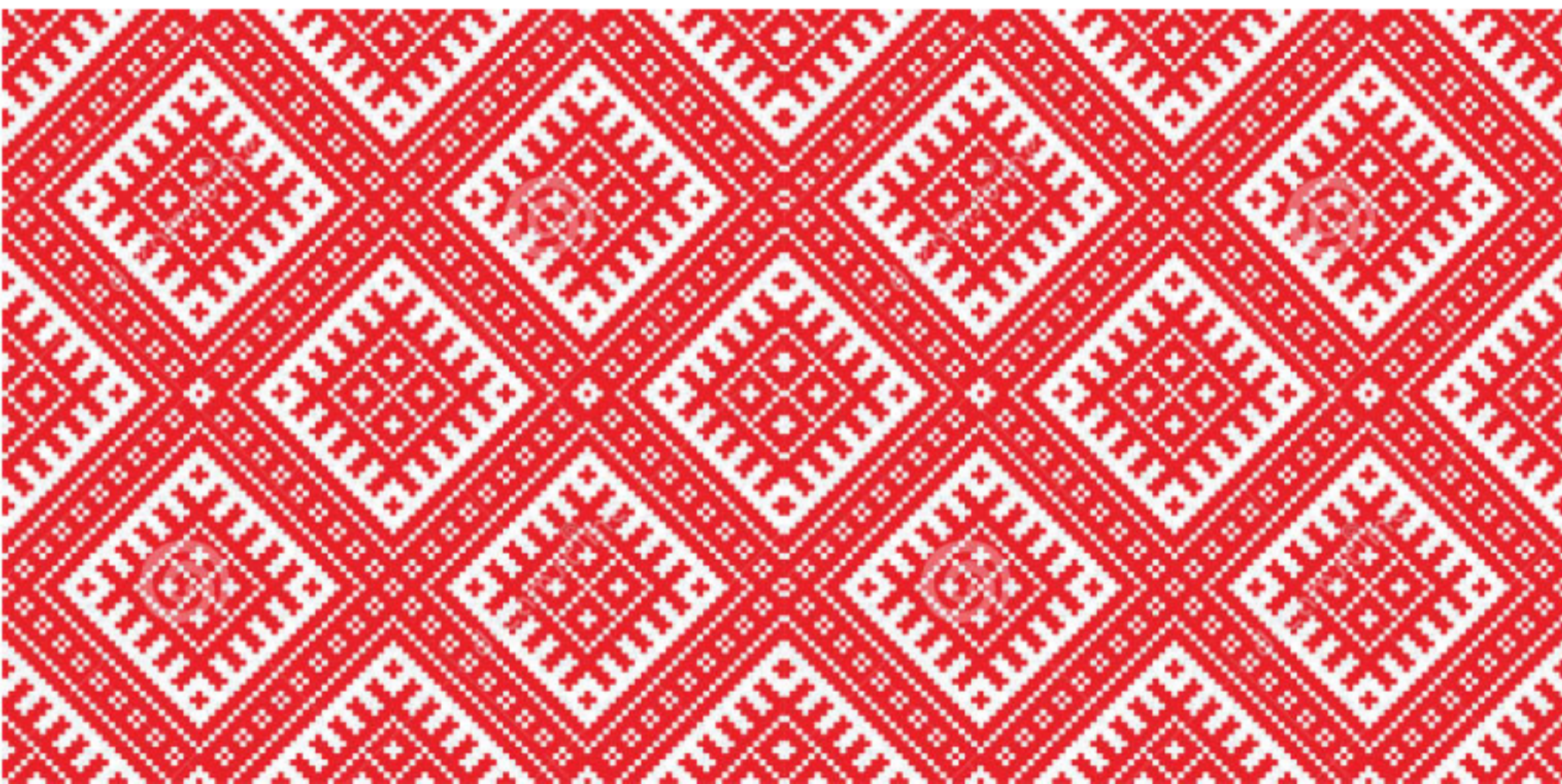


ZBIGNIEW NIENACKI



RAZ W ROKU
W SKIROŁAWKACH



ZBIGNIEW NIENACKI

RAZ W ROKU W
SKIROŁAWKACH

Pojezierze 1988

TOM 1

Kłobuk obudził się. Niemrawo wylazł z gniazda, gdzie jeszcze spała locha i prawie dorosłe warchlaki, mlaskające przez sen swymi ciepłymi, kosmatymi ryjami. Otrzeptał ze skrzydeł szron, przestąpił z łapy na łapę i nieco przekrzywiwszy głowę wybałuszył swoje wypukłe oczy, aby jak co dzień wypatrywać strugi dymu z komina na półwyspie. O tej porze Gertruda Makuch rozpałała w piecu kuchennym u doktora, a idąc do niego na półwysp pozostawiała na płocie kromkę chleba. Ale teraz, w grudniu, w pobliżu płotu już czekały żarłoczne sójki i Kłobuk wiedział, że nie dostanie chleba. Będzie musiał pójść z warchlakami aż na paśnik, gdzie myśliwi rozrzcili na wpół zgniłe i zmarznięte ziemniaki. Dymu zresztą nie było widać ani komina, ani domu, ani nawet jeziora, które wąskim językiem oddzielało półwysp od olszynowych mokradeł. Mgła wisiała nad bagnami, choć dzień zapowiadał się mroźny; z mgły robiła się biała sadz i powoli osypywała nastroszone futra dzików, pnie przewróconych olszyn, poschnięte trawy bagienne i połamane pałki trzcina. W mglistym powietrzu trwała cisza, jakby las odpoczywał po nocnej wichurze; jezioro zamarzło bezgłośnie, tak jak bezszelestnie, co rok głębiej, zapadała w bagno kopuła wielkiego czołgu i już tylko czubek jego działa sterczał z traw w miejscu, gdzie locha z warchlakami zrobiła sobie legowisko. Bezszelestnie w błoto i muł zamieniały się kości żołnierzy, skórzane chlebaki, blaszane manierki i łuski wystrzelonych nabojów; nie widział tego nikt, bo tylko Kłobuk i dziki nie bały się wejść na owo bagno nad jeziorem. Co roku leśniczy Turlej odgrażał się, że zimą wytnie olszyny na mokradłach i zrobi z nich stopy papierówki, ale jeszcze nie zdarzył się taki rok, aby mgła nawet w wielki mróz nie lizała wilgotnym ozorem

dzicznych futer i nie sypała na nie biały proch szronu.

Nie dostanie tego ranka Kłobuk swojej kromki chleba, nie zdąży na ptasich łapach do płotu, zanim wypatrzą Makuchową sójki znieruchomiełe na gałęziach starej jabłoni w ogrodzie doktora. Nie chciało mu się zresztą iść aż tak daleko, gramolić się przez wywrócone pnie i ślizgać się na zamrzniętych kałużach. Czuł zmęczenie, jakby był w czyichś dręczących snach. Jeszcze raz więc zatrzepotał Kłobuk skrzydłami, zrzucając z piór resztki białego pyłu i znowu wgramolił się do legowiska między ciepłe ciała warchlaków, odwracając dziób od ich parujących oddechów, przepęnlonych wonią błota i butwiejącego listowia. Tak kończyła się noc z jej tajemniczym biegiem obrazów i zdarzeń, bólu i rozkoszy, narodzin i śmierci, lęku i nadziei, które spływały w wielkim potoku ludzkich snów. Gdzieś za lasem powoli wstawało słońce i ogarnięta przecuciem zbliżającego się dnia czarna krowa Justyny zajrzała do żłobu, miękkimi nozdrzami dmuchnęła w pustkę, a potem zaryczała boleśnie, przejmując strachem młodą kobietę, która spała za ścianą z cienkiego muru. Krowa nie zaryczała już więcej, ale Justyna wciąż nadśluchiwała, bo był to dla niej złowróżbny głos kolejnego dnia, kolejnej nocy i znowu dnia, i znowu nocy, gdy śmierć wydłuża swoje kroki.

...Tej nocy Justyna szła nago do obory, aby wydoić swoją czarną krowę. Na belce pod sufitem siedział brązowy kogut z koralowym grzebieniem. Spadł na nią i z ogromną siłą obalił na gnój jeszcze ciepły od krowich odchodów. Jak w gnieździe usadowił się między jej rozchylonymi udami, jego malutki, podobny do naparstka wyrostek nabrzmiał od krwi jak męski członek i wszedł w nią, aż poczuła rozkosz, i nie chciała się bronić. Kogut objął jej biodra puszystymi skrzydłami, położył miłośnie na piersiach malutki łepiek z ostrym dziobem i koralowym grzebieniem, który Justyna zaczęła głąskać koniuszkami palców, czując, jak coraz mocniejsza rozkosz przenika jej ciało. Poznawała po szybszych i coraz gwałtowniejszych ruchach w sobie, że za chwilę odczuje delikatne uderzenie białego mleczu, który ją wypełni i zapłodni. Tchu jej zabrakło i pot ją oblał, słyszała bulgotanie w ptasim gardle, jakby kogut za chwilę miał wydać z siebie głośnie pianie. I wtedy do obory wbiegł Dymitr z widłami w rękę, uderzył koguta na jej łonie, przebił go trzema ostrymi zębami, aż ciepła krew połała się na rozchylone uda Justyny. „Dymitr!” – krzyknęła. Ale mąż spał tuż obok niej pod kraciatą pierzyną i pochrapywał cicho. Zawsze pochrapywał, ilekroć przed nocą napił się wódki. „Dymitr” – powiedziała ciszej, bo nie chciała, aby mąż się obudził, ponieważ wspomnienie tego, co było przed chwilą, znowu obudziło w niej pożądanie. Lewą dłonią dotknęła czoła, prawą wsunęła pod pierzynę. Leżała z zadartą koszulą, uda miała mokre i lepkie, a gdy koniuszkami palców sięgnęła tam, gdzie dręczyło ją

pełne bólu pragnienie, wydawało się jej, że znowu dotyka koralowego grzebienia. Za ścianą ryknęła krowa i Justyna uświadomiła sobie, że zbliża się świt, a po nim nastanie dzień, a po dniu noc, i znowu świt. Pomyślała, że zaraz powinna wstać i pójść do obory wydoić krowę; była ciekawa, czy na belce pod sufitem nocuje wielki brązowy kogut. Koniuszkami palców gładziła miłośnie koralowy grzebień, rozkosz w niej narastała, aż znowu tchu jej zabrakło, coś skurczyło się w niej kilka razy, jakby ogromny wąż zwinął się w niej i rozprostował. Dwukrotnie przebiegły jej ciało delikatne drgawki, może nawet rzuciła się na łóżku, ale zaraz znieruchomiała i tylko oddychała coraz wolniej i spokojniej. Nie czuła już bólu pożądania, ale miała wrażenie pustki, ponieważ zabrakło w jej łonie białego mleczu. Była jak dziupla, w którą Dymitr noc w noc lał nasienie, a nigdy nic nie wykiełkowało. Ten wielki kogut chciał ją wypełnić swoim mleczem, tylko krótkiej chwili zabrakło. Dymitr zabił go widłami, choć gdyby przyszedł odrobinę później, już byłaby syta i pełna. Dymitr chrapał jak zwykle, gdy wieczorem napił się wódki, nawet nie wiedział, że zabił pięknego koguta z koralowym grzebieniem. A stara Makuchowa, co służyła u doktora, mówiła jej wczoraj: „Jeśli spotkasz, Justyna, pod krzakiem zmokłą kurę albo koguta, to weź go do izby i zrób mu miejsce w beczce z pierzem. Na śniadanie przynoś mu jajecznicę, a będzie ci służył, bo to jest Kłobuk”. Za ścianą znowu zaryczała czarna krowa. Justyna wysunęła boscie nogi spod pierzyny i dotknąwszy nimi brudnych desek podłogi, zadygotała z zimna. Koszulą wytarła z wilgoci uda, wsunęła stopy w filcowe długie buty i podreptała do pieca, aby rozpalic ogień.

O RÓŻNYCH ZNAKACH NA NIEBIE I ZIEMI, KTÓRE ZAPOWIADAŁY TO, CO STAĆ SIĘ MIAŁO

Styczeń jest w Skiroławkach jednym z najzimniejszych miesięcy w roku. Średnia temperatura waha się wokół minus 3,5 stopni Celsjusza, suma opadów wynosi około 40 mm, a wilgotność powietrza 85 promile. Są to informacje dokładne, ponieważ w pobliżu szkoły w Skiroławkach znajduje się za ogrodzeniem z siatki maleńka stacja meteorologiczna – trzy białe budki na wysokich nóżkach a nauczycielki mają obowiązek dokładnego i codziennego sprawdzania danych. W Skiroławkach bywa znacznie zimniej niż w stolicy (-2,9°C), co wskazuje, że leżą one na północy kraju, ale nie bardzo daleko.

W styczniu w Skiroławkach słońce wschodzi około godziny 7.40 i zachodzi około 15.30. Dzień trwa niecałe 8 godzin, a więc jest nieco dłuższy od dni w grudniu, co

sprawia, że – jak twierdzi proboszcz Mizerera z Trumiejek diabeł nie ma już tak łatwego dostępu do człowieka. W styczniu Jan Krystian Niegłowicz, lekarz, o którym pisarz Lubiński mówi, że jest „doktorem wszech nauk lekarskich”, bo taki tytuł nosili ponoć niegdyś lekarze w tych stronach, radzi swym przyjaciółom, aby dla poprawienia samopoczucia czytali pisma Arystotelesa „O częściach zwierząt” i pili napar z kwiatu lipy drobnolistnej według przepisu: łyżeczka kwiatu na dwie trzecie szklanki gorącej wody; używać dwa, a nawet trzy razy dziennie po pół szklanki jako „*stomachicum*”, „*spasmolyticum*”; albo też przed snem jako „*diaphoreticum*”. Doktor naparu z kwiatu lipy drobnolistnej sam jednak nie pije, natomiast wszystkim we wsi wiadomo, że w styczniu prosi swoją gospodynię, aby do obiadu podawała mu kompot ze śliwek: „Z tej śliwki, Gertrudo, która rośnie w lewym rogu koło płotu”. Co zaś tyczy przyjaciół doktora, to komendant posterunku MO w Trumiejkach, starszy sierżant sztabowy Korejwo, także nie lubi naparu z lipy drobnolistnej, a lekturą jego pozostaje tygodnik „W Służbie Narodu”; zaś pisarz Lubiński nie wychodzi poza „*Pisma semantyczne*” Gottloba Frege, a napar z lipy budzi w nim wstręt, dlatego nie zasypia bez pastylki relanium. Malarz Porwasz lekceważy wszystkie rady doktora i w miesiącach, gdy jest w Skiroławkach a nie w Paryżu czy Londynie, w ogóle nic nie czyta, a pije czystą wódkę i maluje trzciny nad jeziorem. Co tyczy proboszcza Mizerery z parafii Trumiejki, to oprócz brewiarza ulubioną jego lekturą są dzieła św. Augustyna „Przeciw poganom ksiąg XII”, zaś najsmaczniejszym napitkiem herbata ze spirytusem.

Skiroławki, używając starodawnych określeń, posiadają aż 34 dymy, a uwzględniając przysiółki lub zgoła samotnie rozrzucone zagrody, takie jak Liksajny, Kajtki czy leśniczówkę Blesy, liczą sobie 45 dymów i 229 dusz, kmańbnych zresztą i dających, jak twierdzi proboszcz Mizerera, łatwy dostęp diabłu oraz jego wysłannikom, gdyż wielu żyje w nieprawości i niewierze. Jeszcze gorsi od niedowiarków są ci, którzy badają Pismo Święte albo podejrzani bywają o pogańskie praktyki, a sprzyja im tajemny mrok rozciągających się wszędzie lasów, smutek jezior, melancholia trzęsawisk.

W Skiroławkach są tacy, co mieszkają tu z dziada pradziada, jak choćby stary Szulc i Kryszczak, Pasemkowie, Wątruch, Millerowa, Malawka, Weber lub Makuch, a także tacy, co przybyli tutaj zaraz po wojnie – Niegłowicze, Kondek, Galembka, Słodowik, Porowa. Jeszcze inni, tak jak Sewruk, przyjechali do Skiroławek przed piętnastoma lub nieco więcej laty. Pisarz Lubiński, leśniczy Turlej i malarz Porwasz mieszkają w Skiroławkach znacznie krócej.

Niektórzy ludzie są prości, zaledwie czytać i pisać umieją, inni mają tytuły i fakultety, wiedza bulgoce im w głowach jak zupa w garnku. A przecież łączy tych tak różnych

ludzi jakaś tajemna wspólnota. Z biegiem czasu jakby wszystkich ich nieco odurzył i zamroczył oddech zamglonych łąk i trzęsawisk, zakradł się w ich serca smutek jezior, a myśli przeniknął mrok przepastnych lasów, rodząc w nich brak ciekawości wobec świata i tych, co żyją w ogromnych miastach z mieszkaniami jak trumienki. Utrwaliło się w nich także niczym nie uzasadnione i niczym nie poparte przekonanie, że tylko to jest ważne i pełne znaczenia, co dzieje się u nich, w Skiroławkach, Bajtkach i Liksajnach, co rodzi się i umiera na ich polach, zwanych po starodawnemu „ławkami”. Stronami było wiele zresztą wiosek o podobnie brzmiących nazwach – Skitławek, Gutławek, Piławek, Niegławek, Rątlawek, Jubławek, Bieloławek. Nie ma to zresztą żadnego znaczenia dla mieszkańców Skiroławek, choć nieobce im jest poczucie historii. Ale, jak twierdzi stary Otto Szulc, „uważajcie, bo czas krótki jest”. A ponieważ czas krótki jest, przeto spiesz się człowieku, a zachowaj duszę swoją. Kształt tego świata przemija, sprawuj się przeto jako pielgrzym na tym świecie.

Otto Szulc ma siwą brodę, która mu opada na piersi jak u niejednego biała serwetka, gdy zasiada do obiadu. Doktor Niegłowicz ma zaledwie siwe skronie. Dlatego stary Szulc śmiało puka do domu doktora, aby w wigilię Nowego Roku zapytać:

– A dlaczego to czas krótki jest, Janku? Bo za nim wieczność stoi, o której niewiele nam wiadomo. Wieczność bowiem nie jest jedynie przybliżeniem czasu nieskończonego, gdyż czas i wieczność różnią się między sobą. Czas nasieniu bywa oddany, a wieczność owoc niesie i żniwa bez końca. I z tej oto przyczyny, że czas krótki jest, napomnienie do ciebie przynoszę, jak do Lota: „Śpiesz się, abyś zachował duszę swoją”.

Doktor Niegłowicz wiązał krawat przed lustrem w swoim salonie, gdzie stały czarne rzeźbione meble gdańskie, które tu rozstawił jeszcze jego ojciec, chorąży Stanisław Niegłowicz, a były one kiedyś własnością księcia Reussa. W dużym lustrze odbijało się światło kryształowego żyrandola, a także fragment czarnego kredensu i biały gors koszuli doktora. Zielonkawy piec na ładnie wygiętych kafłowych nóżkach rozsiewał przyjemne ciepło, które zdawało się być jakimś cudownym zjawiskiem i dawało zapomnienie o piętnastostopniowym mrozie nad skutym lodem jeziorem za oknem.

Brązowy gładki krawat pozwolił zawiązać się w duży węzeł. Jak ostra strzała przecinał biel koszuli od szyi w dół. Doktor spojrzął z zadowoleniem w lustro, potem odwrócił się do Szulca, skłonił głowę i rzekł z pokorą:

– Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj. – Amen – odpowiedział Szulc.

I wtedy doktor – jak co roku – wyjął z kredensu kryształową karafkę z wiśniakiem oraz dwa wysokie kieliszki na cienkich nóżkach i rozlał po odrobinie krwistego napitku.

– Dobry to będzie rok, Janku – rzekł Szulc, biorąc ostrożnie w czarne, grube od pracy palce cieniutką łądygę kieliszka.

Doktor miał uśmiech pełen smutku:

– Nie dla wszystkich, chyba nie dla wszystkich...

W gabinecie doktora, w segregatorze, leżały żółte karteczki ze szpitala, w którym prawie miesiąc przebywał stary Szulc. Jego choroba miała łacińską nazwę, lecz ładniej będzie powiedzieć, że strzałą śmierci nazaczył go już ten, co nie zna litości.

– Tak, Janku, nie dla mnie – kiwał głową stary. – Ale z tobą będzie inaczej.

Doktor westchnął:

– „Przyjdzie czas, że śmierci już odtąd nie będzie. Ani żałoby, ani krzyku, ani trudu, bo pierwsze rzeczy przeminęły”.

– Niech się tak stanie – rzekł Szulc. A potem dodał po krótkim milczeniu:

– Kobieta nosi dziewięć miesięcy, i tak jest dobrze. Klacz nosi trzysta czterdzieści dni, i tak jest dobrze. Krowa nosi dwieście osiemdziesiąt dni, i jest w tym wielki porządek. Otto Szulc ma lat osiemdziesiąt i musi umrzeć, bo taki jest porządek rzeczy.

– Amen – potwierdził doktor.

Szulc wypił czerwony trunek z kruchego kieliszka, doktor zrobił to samo. A potem uścisnęli się jak ojciec z synem. Szulc odszedł w mrok sylwestrowej nocy, a doktor jeszcze przez chwilę patrzył na mokre ślady topniejącego śniegu, które pozostały przy rzeźbionym wysokim krześle, gdzie on sam kiedyś siadywał jak u chłopiec. Za kilka godzin miał nadejść Nowy Rok. Któryś tam rok od stworzenia świata według Kalwicjusza, od zburzenia Jeruzalem, od narodzenia Chrystusa Pana, od wprowadzenia kalendarza Julianowego, od wprowadzenia kalendarza Grzegorzowego, od wprowadzenia kalendarza poprawionego, od wprowadzenia szczepienia ospy, od rozpowszechnienia machin parowych, od wprowadzenia telegrafu elektryczno-magnetycznego. Któryś tam rok od ustania wichru ogromnej burzy dziejowej, która przetoczyła się nad światem i, jak w wielu innych miejscach i krajach, także i w tej małej wiosce połamała gałęzie drzew, rozwalila gniazda ptasie, a ludzi jak liście rozrzuciła szeroko, na zgubę lub tylko oddalenie, na poniewierkę lub zapomnienie. Był to też czterdziesty piąty rok od urodzenia Jana Krystiana Niegłowicza, doktora wszechnauk lekarskich.

Jak zwykle wiele różnych znaków na niebie i na ziemi zapowiadało, że nowy rok będzie bogaty w przeróżne wydarzenia. Przede wszystkim, tuż przed Bożym Narodzeniem, dziecię płci żeńskiej urodziła w Trumiejkach młoda lekarka weterynarii, Brygida, panienka urodziwa nad podziw, z zadkiem jak klacz dwuletnia. Niemal aż do

dnia pogoju nikt nie domyślał się jej stanu, ponieważ nosiła żółtą, szeroką ortalionową kurteczkę, co było uzasadnione jesiennymi chłodami, a brzuch, mimo ciąży, miała niewielki. Ciekawiło ludzi, kto dosiadł zadka Brygidy, gdyż mężczyzna to musiał być wielkiej odwagi. Brygida była piękna i miała łagodne oczy jałowicy, ale paskudny, jak na kobietę, zawód uprawiała. Szczególną umiejętność wykazywała, małymi i delikatnymi rączkami, opróżniając z jąder byczki i młode ogierki, a także barany. Opowiadano, że jej koleżanka ze studiów, również urodziwa panienka, gdy ją trzech mężczyzn zgwałciło, podstępnie ich do swego mieszkania zwabiła i specjalnym winem uspiła, a potem jąder pozbawiła, jak rozbrykanych byczków. Tedy mimo urody Brygidy i jej łagodnego spojrzenia unikali jej młodzi mężczyźni i aż dziw było, że znalazł się ktoś tak odważny, aby jej dzieciaka zrobić.

Panna z dziecieniem to rzecz w tych stronach zwyczajna. Ale Brygida nie powiedziała nikomu z kim ma dziecko i w Urzędzie Gminnym córeczkę zapisać kazała na swoje nazwisko. Tajemnicy swej nie zdradziła nawet doktorowi Niegłowiczowi, którego wezwała do Trumiejek położna, jako że poród zapowiadał się trudny. Babom, co razem z nią leżały w izbie porodowej, Brygida oświadczyła: „Jak już jesteście takie ciekawe, z kim mam dziecko, to wam powiem, że stało się to na skutek tutejszego powietrza”. Była to, zdaniem ludzi, odpowiedź bezczelna. Nie ma bowiem nic piękniejszego nad widowisko jakie rozgrywa się po panińskim porodzie, gdy to dziewczyna z dzieckiem na rękę wyławia z tłumu jakiegoś chudzińca, po sądach go włóczy, a on się wykręca, kłamie, na innych palcem wskazuje i rozmaite zabawne szczegóły o dziewczynie opowiada.

Czy nie tak było z córką wdowy Janickowej, kulawą Maryną? Dwudziestoletnią panienką będąc, dziecię płci męskiej urodziła w maju ubiegłego roku, a potem na przystanku autobusowym przydybała młodego Antka Pasemkę, który od pół roku na Wybrzeżu jako kierowca pracował i tylko na niedziele i święta do domu przyjeżdżał. Jemu to głośno na przystanku wykrzyczała, że dziecko ma od niego i albo się z nią ożeni, albo płacić zacznie na synka. Chłopak bronił się jak umiał, opowiadał, że nie tylko on przed dziewięcioma miesiącami do łóżka z kulawą Maryną poszedł, ale że było ich wtedy kilku, bo ona leżała pijana jak świnia. Młody Galembka jej wsadzał, najstarszy syn Szulca, średni z chłopaków cieśli Sewruka, czemu więc właśnie jego, Antka Pasemkę, o ojcostwo oskarża, skoro także i od nasienia tamtych dziecko mogło zostać poczęte? Dokładnie też, ku ucieście ludzkiej, mówił Antek Pasemko, jak to kulawa Maryna sama im się na łóżku pod nieobecność matki rozłożyła, jak potem nogami radośnie wierzgała, kiedy ją kolejno pokrywali – on, Antek, na samym końcu,

bo był najbardziej pijany, dlatego na Marynie zasnął i tak go wdowa Janickowa w łóżku z Maryną zastała. Tamci uciekli, a on został i z tego powodu teraz jest przez Marynę posądzony, choć nawet nie pamięta, żeby ją swym nasieniem wypełnił. Tyle że z Maryną spał, nic więcej. I to ludziom powiedziawszy Antek Pasemko na Wybrzeże uciekł i przez trzy albo cztery miesiące do wioski nie wracał, czemu się nikt nie dziwił, gdyż wszyscy wiedzieli, że gniewu swej matki się lękał. Srogą kobietą była bowiem Zofia Pasemkova, żona rybaka Gustawa, matka trzech synów i córki. Wszystkim we wsi było wiadomo, że i męża, i synów o byle co końskim batem biła, a córkę swoją, ledwo szesnaście lat skończyła, za męża na dziesiątą wieś wydała i oglądać jej nie chciała, tak ją nienawidziła. Tedy uciekł Antek Pasemko, średni jej syn, na Wybrzeże, gdyż matczynego bata się lękał za to, co zrobił Marynie. Aliści już w sierpniu czy też we wrześniu Antek zaczął kulawej Marynie przysyłać pieniądze na dziecko, raz pięćset złotych, to znów tysiąc, czym dał dowód, że się do dzieciaka poczuwa i to, co o Marynie opowiadał, tylko po części było prawdą. A co dziwniejsze, sroga Zofia Pasemkova spotkawszy jesienią kulawą Marynę z wózkiem, zatrzymała się przy niej, ale gęby z wyzwiskami nie rozwarła, tylko grzecznie zapytała, czy może do wózka zajrzeć i wnuka zobaczyć, co było znakiem widowym, że srogość w niej nie jest aż tak wielka, albo owa niewinna dziecina ludzkie uczucia w niej obudziła. Jakoż też nieco później Antek Pasemko powrócił do rodzinnego domu, i, podobnie jak jego bracia, odtąd dorywczwo w lesie dorabiał lub na gospodarce rodziców pracował oraz na wodę z ojcem wypływał. Bo choć trzech dorodnych i niegłupich synów Pasemkova się dochowała, to przecież żaden z nich, mimo kilku prób podjęcia pracy w jakiejś hucie, kopalni czy na budowie, nigdzie w świecie miejsca nie zagrzeał, rodziny nie założył i z czasem wracał do matki, a także do jej bata. Podobnie późną jesienią uczynił Antek. Odtąd Pasemkova kulawej Marynie pięćset złotych na dziecko dawała, Antek jednak z Maryną się nie widywał, obchodził jej dom i na synka nawet spojrzeć nie chciał. A gdy matki w pobliżu nie było, lubił siadywać z innymi przed sklepem na ławeczce i pić piwo. Tu też rozpowiadał, że nigdy się z Maryną nie ożeni, ponieważ jest kulawa, co było zresztą prawdą. Inna rzecz bowiem dziecko zrobić, a inna się żenić; miał chłopak dopiero dwadzieścia jeden lat i życie się przed nim otwierało, kto wie jak piękne.

Co się jednak w swoim czasie ludzie o kulawej Marynie nasłuchali, to się nasłuchali. I markotno im teraz było, że nic podobnego o pięknej Brygidzie się nie dowiedzą. Żle więc gadano o Brygidzie, sarkano na nią, mówiono, że się niemoralnie prowadziła i proboszcz Mizerera nie powinien takiego dziecka ochrzcić. Jak to usłyszał proboszcz, w niedzielę wszedł na ambonę i tymi słowami na ludzi krzyczał: „Wedle Starego

Testamentu ważna jest tylko matka, bo co do ojca i tak nigdy nie ma zupełnej pewności. Powiadam wam, że mniejszym grzechem jest urodzić niż się skrobać. Dziecko pani Brygidy zostało przeze mnie ochrzczone i otrzymało imię Beata, niech jej Bóg błogosławi. A wy, myślcie o swoich grzechach!”

Również i komendant posterunku, starszy sierżant sztabowy Korejwo, uchylił się od wyjaśnienia prawdy, choć – zdaniem ludzi – milicja powinna o wszystkim wiedzieć. Miał się nawet niegrzecznie wyrazić, żeby mu nie zawracali tyłka, bo nic go nie obchodzi, kto jest ojcem dziecka pani Brygidy. „Żadnego śledztwa nie będzie, ani sprawdzania linii papilarnych” – rzekł. Na co mu stary Kryszczak przypomniał, że w czasach, gdy w Trumiejkach przebywał książe Reuss, a na posterunku urzędował wachmistrz żandarmerii Sznabel, to o takich sprawach było ludziom wiadomo.

„Czy kobieta może począć z powodu tutejszego powietrza?” – szydzono głośno przed sklepem w Skiroławkach. „Oczywiście – oświadczył doktor Niegłowicz, który akurat w tym czasie podjechał swoim gazikiem pod sklep, aby kupić kaszankę dla piesków – wbrew ogólnie przyjętej opinii, dla poczęcia dziecka nie jest najważniejszym czynnikiem obecność mężczyzny. Niekiedy o wiele większą rolę odgrywają okoliczności takie, jak nadmierne użycie alkoholu, chwilowy brak prądu albo zepsucie się telewizora. Medycyna zna różne przypadki. Jeśli u kogoś zepsuje się telewizor i pójdzie oglądać film do sąsiada, to nie wykluczone, że po dziewięciu miesiącach u jednego albo drugiego urodzi się dziecko. Świeże powietrze także może mieć znaczenie dla sprawy. Świadczy o tym ogromna liczba kobiet, które zachodzą w ciążę na wczasach i w sanatoriach, w czasie urlopów w górach albo nad morzem”. – „Kobieta wie z kim ma dziecko” – upierał się stary Kryszczak. – „To prawda – zgodził się doktor Niegłowicz. – Kobieta na ogół wie z kim ma dziecko, ale nie zawsze”.

Tak więc nikt nie wiedział, z kim piękna Brygida ma dziecko i w serca ludzi wkraść się niepokój, że podobne sprawy mogą się powtarzać coraz częściej. Rzeczą męską bowiem było od wieków czynić kobietom rozmaite łajdactwa, a rzeczą kobiecą dochodzić sprawiedliwości. Co będzie z rodem męskim, jeśli kobiety zaczną lekceważyć nawet sprawę ojcostwa? Aż strach oblatywał na myśl, że może nadejść taka chwila, w której baba przyjdzie do chłopca i tyłek mu wystawi, a potem obliże się jak po dobrym daniu i pójdzie precz, nie spojrzawszy na tego, kto jej smakowity obiad pomógł uwarzyć. Smutny i pusty stanie się świat bez babskich wyrzekań, lamentów i płaczów.

Pogłębił się ów niepokój, gdy na trzeci dzień po Bożym Narodzeniu sklepowa Smugoniowa wyrzuciła z domu męża, z którym piętnaście lat mieszkała, bo – jak mówiła – pił, a swojej roboty z nią nie robił. I wyгнаła go tak, po prostu, jak gdyby jakiego

żebraka. Szmaty jego do kupy zebrała i na drogę w śnieg cisnęła. „Idź – powiedziała – do swojej matki”. Chłop się rozbeczał, szmaty pozbiierał i poszedł. A dwoje dzieci przecież mieli, które, gdy ojciec odchodził, płakały. Ale Smugoniowa jeszcze chłopu kijem groziła, kiedy się oglądał na dom rodzinny, co wielu widziało, jako że dom Smugoniów naprzeciw sklepu stał, tyle, że po drugiej stronie drogi. Nazajutrz w sklepie babom oświadczyła, że o rozwód wniesie, ma bowiem na ten cel uskładane pieniądze.

I jeszcze tej samej nocy położyła się do łóżka z dwoma chłopami, co przyjechali do niej taksówką aż gdzieś od strony Bart. Rano otworzyła sklep z pewnym opóźnieniem, a pysk miała czerwony od męskich zarostów, co ją w nocy jak szczotką ryżową tarły. Nie wdawała się w żadne wyjaśnienia, tylko w południe szepnęła do wdowy Janickowej: „Źle mi było – tak jak dawniej było, a tak jak wczoraj – to dobrze było...”

W przyrodzie także działy się sprawy zastanawiające. Jeszcze na dzień przed Wilią zupełnie ciepło było, aż w Wigilię mróz przyszedł wściekły i w ciągu jednego dnia grubą warstwą lodu skuł całe jezioro. W noc wigilijną rozpętała się zamieć śnieżna i padało przez całe święta. Na szosie powstały ogromne zasy, w których uwiązał autobus komunikacyjny, dwutakt naczelnika Urzędu Gminnego w Trumiejkach i fiat z dwoma oficerami służby kryminalnej, których wciąż gnębiła sprawa zabitej latem trzynastoletniej Haneczki. Ale dobrze jest, gdy w zaspach ugrzęźnie samochód naczelnika gminy. Pojawiły się zaraz wielkie pługi śnieżne, przekopały się przez zasy i odtąd można było wygodnie jeździć po drodze ze Skiroławek do Trumiejek, co w inne zimy należało do rzadkości.

Od owej zamieci śnieżnej w powietrzu panował spokój, nocami na niebie widziało się gwiazdy, a po polach i na pokrytym śniegiem jeziorze cisza i mróz dzwoniły w uszach, wypełniając dusze ludzkie ogromną radością. W grubym śniegu zające, dziki, łosie i sarny pozostawiały wyraźne i głębokie ślady; myśliwi i kłusownicy czyścili z oliwy swoją broń. Na górcie koło szkoły od rana do wieczora pokrzykiwały dzieci jeżdżące na sankach, skrzypiały głośno korby studzien i rączki pomp, wesoło szczekały psy podwórzowe. Pisarz Lubiński zmiótł śnieg z tarasu nad garażem i w godzinach słonecznych wystawiał leżak, w którym spoczywał opatulony w kożuch i dwa koce, a wieczorami pracował nad powieścią o pięknej Luizie, która była nauczycielką wiejską i zakochała się w prostym mężczyźnie.

W spokojnym powietrzu z kominów snuł się aż pod niebo siwy, szary lub czarny dym, zależnie od tego, czy ktoś palił drewnem bukowym, czy sosnowym. I jedynie nad stromym dachem domu malarza Bogumiła Porwasza najmniejszy dymek się nie

unosił, szyby pokrywał mróz, a na ogrodzonym siatką podwórzu tylko kot wąską jak nić ścieżynkę wydeptał. Zresztą kot nie był Porwasza, ale przychodził łapać myszy po sąsiedzku, od Galembków. Albowiem malarz Porwasz, o czym było we wsi powszechnie wiadomo, przebywał w Paryżu, dokąd na początku grudnia zawiózł swoje cztery obrazy, aby je tam sprzedać po godziwej cenie przy pomocy swojego marchanda nazwiskiem baron Józef Abendteuer. Owego barona nikt w Skiroławkach na oczy nie widział, ale znano go dobrze z opowiadań malarza Porwasza. Był Józef Abendteuer w jednej czwartej Żydem, w jednej czwartej Polakiem, w jednej czwartej Ormianinem i w jednej czwartej Niemcem. Obrazy Porwasza – przeważnie jesienne trzciny nad jeziorem – podobały się paryżanom, dlatego po każdym powrocie z zagranicy malarz Porwasz miał z czego żyć przynajmniej przez pół roku. W Polsce obrazów jego nikt kupować nie chciał, a jak dowiadywał się pisarz Lubiński, ani w stolicy, ani w innych miastach nikt o malarstwie Porwasza w ogóle nie słyszał. Ale pisarza Lubińskiego to nie dziwiło, bowiem o jego pisarstwie także od dawna nie wspomniano w stolicy, a przecież Lubiński był mimo to pisarzem, i do tego nawet – jak twierdził Niegłowicz – zupełnie dobrym.

Malarz Porwasz cieszył się we wsi szczególnymi względami, nie korzystał bowiem z łatwych okazji i nie wchodził nikomu w drogę, ale przywoził do siebie coraz to inną panią, którą trzymał nie dłużej jednak niż miesiąc czy półtora. Panie były w różnym wieku i o różnej urodzie; niestety, z powodu niechlujnego trybu życia malarza oraz jego braku dbałości o jedzenie, wkrótce podupadały na zdrowiu i wyjeżdżały z płaczem, rozповідаjąc, że „nie chciał dawać na życie” i muszą opuszczać Skiroławki, ponieważ „wyczerpały swoje oszczędności”.

I oto na dzień przed Sylwestrem nagle pojawił się we wsi malarz Bogumił Porwasz. W drodze do swego domu zatrzymał swój stary samochód typu range rover przed sklepem, gdzie jak zwykle w południe siedziało na ławkach kilku mieszkańców wioski. Był czterostopniowy mróz, a oni pili zimne piwo. Ci sami zresztą, co zawsze, a więc stary Kryszczak, młody Heniek Galembka, którego dwa razy przyjmowano do pracy w lesie i dwa razy go z niej wyrzucono, aż doszedł do wniosku, że może pozostać na utrzymaniu żony, jej krowy, świnek, kur, kaczek i gęsi. Siadywał na ławce cieśla Sewruk, Antek Pasemko oraz Franek Szulc, najstarszy syn Otto Szulca, godnego szacunku starca. Ale Otto Szulc wciąż nie przekazywał synowi gospodarstwa i ten nie kwapił się do roboty na ojcowskim polu. Mimo że miał lat prawie trzydzieści dwa, jeszcze się nie ożenił, i na złość ojcu dorabiał sobie na piwo, zatrudniając się dorywczo w brygadzie rybackiej.

Zajechał malarz pod sklep w Skiroławkach, wysiadł z samochodu, jak gdyby nigdy nic powiedział wszystkim „dzień dobry”, wszedł do sklepu i kupił dwie paczki tanich papierosów. Na przednim siedzeniu wozu siedziała nowa pani malarza. Natomiast z tyłu, na krytej skórą kanapie – leżała dachówka. Jedna zwykła gliniana dachówka. Dobrze wypalona, wabiąca oczy jasną czerwienią.

Malarz wsiadł do wozu i odjechał płosząc wróble, które grzebały w rudych kupkach końskiego nawozu, rozrzuconego na śniegu przed sklepem. I wtedy odezwał się stary Kryszczak:

– Po co malarzowi dachówka, skoro ma dom kryty eternitem?

I zaraz Heniek Galembka skoczył do sklepu po cztery butelki piwa, a reszta milczała, aby nie ośmieszyć się pochopną i nie przemyślaną wypowiedzią.

Pili piwo, palili papierosy. Ktoś wstawał z ławki i odchodził, inny przychodził i siadał. Aż do szesnastej, gdy sklepowa zamknęła kraty na drzwiach i poczłapała do domu.

A wtedy znowu powiedział stary Kryszczak:

– Księżę Reuss, pamiętam, przywiózł z Paryża fotel wiklinowy. I papugę. Wszyscy pytali, po co mu fotel wiklinowy i papuga? A on siadł w fotelu i herbatę pił. A papuga gadała. Dwa słowa umiała: „*raus*” i „*stille*”.

O zmroku rozeszli się, a potem o dachówce mówiono w wielu domach. Przy świetle żarówek, przy włączonych telewizorach. We Frankfurcie nad Menem zabito naczelnika policji, spiker telewizyjny podkreślił „r” w słowie „anarchiści”, Kryszczak głową kiwnął, że rozumie o co chodzi, bo księżę Reuss także kiedyś mu wymyślał od anarchistów. Ale do swoich synowych Kryszczak powiedział:

– Nie uwierzycie mi. Malarz dachówkę wiózł. Z dobrze wypalonej gliny. Na tylnym siedzeniu leżała. Samiuteńka.

Jedna z synowych aż się za serce złapała:

– Boże drogi, dachówkę, mówicie ojciec, przywiózł? Jedną? – Samiuteńką...

W poczekalni doktora Niegłowicza zapachniało perfumami. Przybiegła żona pisarza, pani Basieńka. Dwóch chłopów czekało przed drzwiami gabinetu, ale pani Basieńka wpakowała się do doktora, jak tylko gabinet opuściła jakaś kobiecina z Białych Błot.

– Słyszał pan, doktorze, że malarz powrócił z Paryża? Dziś w południe. Przywiózł podobno nową dziwkę i jedną dachówkę.

Rozpięła białe kożuszek, obciągnęła zielony sweterek na dużych, sterczących stromo piersiach. Sutki zaznaczały się jak dwa guziczki, bo nigdy nie nosiła biustonosza. Myślała, że może doktor, jak zwykle, chwyci za któryś guziczek i pokrepi nim swoimi

delikatnymi palcami, albowiem bardzo to lubiła. Ale doktor odwrócił twarz do okna i zamyślił się.

– Jedną dachówkę przywiózł. Na tylnym siedzeniu – powtórzyła pani Basia, bo była przekonana, że o tym właśnie myśli doktor Niegłowicz.

– Tak, tak, tak... – mruknął doktor takim tonem, że pani Basieńka aż zarumieniała się.

Bo nie wiadomo dlaczego przypomniało się jej to, co niektóre kobiety mówiły we wsi o doktorze – że najpierw musi kobietę upokorzyć, zanim się na niej położy. Ale na czym to upokorzenie polegało, nikt dokładnie nie wiedział. Wspomniała też pani Basieńka zalecenie, jakie dał jej doktor, aby mężowi podawała napar z lipy drobnolistnej, lecz przecież nie było jej winą, że pisarz nie lubił naparu.

Wstała z krzesła.

– Pójdę już. Nie mogę panu przeszkadzać – westchnęła, znowu obciągając sweterek.

Doktor podniósł się także. Zrobił dwa kroki do pani Basi, lewą dłonią chwilę głaskał jej piersi.

– Niech się pani nie niepokoi, pani Basieńko – powiedział. – Sprawę z dachówką wkrótce wyjaśnimy. Medycyna zna różne przypadki...

Wybiegła z gabinetu zarumieniona, dziwnie rozgrzana wewnątrz. Przed domem znów rozpięła kożuszek, tak jej się zrobiło gorąco, choć na dworze był mróz. „Cudowny mężczyzna z tego doktora” – myślała, drobiąc w koleinie śnieżnej.

Pisarz Nepomucen Maria Lubiński po raz czwarty wystukiwał na maszynie zdanie w pierwszym rozdziale swojej powieści. Zdanie to wciąż wydawało mu się chropawe, nieskładne, zagmatwane – jak kupa chrustu porzucona w lesie. Najlepiej chyba brzmiało w pierwszej wersji: „Stał obok Luizy, czując na policzkach ciepły, niemal letni powiew idący od wody, mimo że nadeszła już jesień, lecz dzień wyjątkowo pogodny i bezwietrzny”. Może brakowało słowa „był”, aby zdanie stało się pełniejsze – „lecz dzień był wyjątkowo pogodny i bezwietrzny”. Napisał więc słowo „był”, potem je wykreślił, sprawiało bowiem wrażenie czegoś zbytecznego, następnie znowu dopisał owo „był”, dorzucił „bezhmurny”, aż poczuł ogarniające go obrzydzenie do swojej roboty. Wtedy to do jego pracowni, która miała dwa okna zwrócone ku zatoce i w każdą noc zimową widziało się na drugim brzegu światła w domu doktora, weszła żona pisarza. Rozpięty kożuszek ukazywał jej wysokie piersi, twarz miała zarumienioną od mrozu, oczy jej błyszczały. Spojrzawszy na nią pisarz pomyślał ze smutkiem, że ożenił się po raz trzeci i znowu, tak jak poprzednio, wziął sobie za żonę zwykłą kurewkę.

– Wyglądasz tak, jakbyś wracała od doktora – stwierdził cierpko.

– A tak – roześmiała się, siadając jednym poślądkiem na ławie pokrytej skórą dzika.

– Nie chciałam ci przeszkadzać w pracy, a musiałam się z kimś podzielić wiadomością o powrocie malarza. Wyobraź sobie, mój kochany, że przyjechał z nową dziwką. Nigdy nie zgadniesz co wioził na drugim siedzeniu. Dachówkę! Zwykłą dachówkę.

Milczeli długą chwilę. Ona przyglądała mu się z bezczelnym – jego zdaniem – uśmiechem, więc odwrócił twarz w stronę okna. Pomyślał, że mógłby, oczywiście, wziąć rozwód i ożenić się po raz czwarty, powinno się przecież przerabiać i doskonalić swoje życie jak zdanie w książce. Ale czy była gwarancja, że znowu nie trafi na podobną?

– I co powiedział doktor? – rzucił w stronę okna, jak wyzwanie pod adresem światełka po drugiej stronie zatoki.

– Zapytał, czy pijesz napar z lipy drobnolistnej...

– Nienawidzę naparu z lipy – odwrócił twarz od okna i spojrzał jej w oczy. – Jednak mogłaś zaprosić doktora na kolację. Sprawa tej dachówki wymaga omówienia. Malarz przywiózł dachówkę? Chyba nie taszczył jej aż z Paryża?

– Myślę, że dziwka też jest tutejsza – stwierdziła z jakąś głęboką satysfakcją.

O jedenastej w nocy leżeli już w dużym drewnianym łóżku w sypialni, gdzie było bardzo ciepło, ponieważ na jesieni zdun z Trumiejek przestawił im piec kaflowy. Małe wiaderko węgla wystarczyło, aby przez całą dobę piec grzał mocno. Bo pani Basieńka miała zwyczaj spać niemal nago, tylko w figach, które mąż musiał z niej ściągać, gdy chciał z nią mieć przyjemność. Bowiem miłym jej w takich sytuacjach było, jeśli mężczyzna coś z niej zdejmował lub coś na niej szarpał. Najbardziej jednak lubiła, kiedy ją mąż w ciemnościach podmacywał lub brał po cichu i jakby ukradkiem. Niestety, pisarz Lubiński od wczesnej jesieni aż do wiosny bardzo długo się rozgrzewał w łóżku, mimo ciepłego pieca i grubej pierzyny. Najczęściej zasypiał, nim zdecydował się rozpocząć miłosną zabawę. Leżeli więc obydwójce na wznak, on wyciągnięty jak struna, bo czekał, aż mu krew do stóp napłynie i rozgrzeje je choć trochę, a ona prawą dłonią głaskała się najpierw po twardym i gładkim brzuchu, potem podniosła trochę swoją lewą pierś i palcami chwyciła wydatną sutkę. Wiedziała, że mąż nie śpi i zapytała:

– Naprawdę nie wiesz, w jaki sposób doktor upokarza kobietę, zanim w nią wejdzie?

– Nie wiem. Mówiłem ci wiele razy, że nie wiem – odparł Lubiński. – Na wsi o tym różnie gadają, ale nic konkretnego dowiedzieć się nie można. Jeszcze przez długą chwilę tak leżeli obok siebie, a potem ona cicho westchnęła, ponieważ czuła, że i tej nocy obejdzie się bez miłości.

O TYM, ŻE MEŹCZYŻNA I KOBIETA ŻYĆ WINNI NIE OBOK SIEBIE, ALE ZE SOBĄ ORAZ O MARZENIACH, KTÓRE SNUJE LAS

Na mapie sztabowej komendanta posterunku w Trumiejkach Skiroławki wyglądają jak wielki sierp, ostrzem swym obejmujący niebieską zatokę ogromnego jeziora Baudy. Rękojeść sierpa jest solidna, stanowi ją asfaltowa szosa prowadząca do Trumiejek. Z obydwu stron szosy znajdują się zagrody najbogatszych gospodarzy, kryte dachówką domy z czerwonej cegły, stodoły i obory. Wszystkie domy stoją frontem do drogi i mają małe ogródki, przeważnie ogrodzone siatką pomalowaną w różne kolory. Na tyłach zagród rozciągają się pola uprawne i łąki, otwarte w stronę Trumiejek, a na horyzoncie zamknięte czarną ścianą lasów.

W miejscu, gdzie rękojeść styka się z ostrzem, jest już zatoka. Szosa skręca tu w prawo i wzdłuż wysokiej skarpy obiega jezioro półkolem, dalej pędzi prosto przed siebie, w głąb przepastnych lasów, aż do miasteczka Barty. Natomiast ostre zakończenie sierpa wchodzi na krótki półwysep wrzynający się w jezioro i oddzielający zatokę od bezmiaru wód Baud. Cały ten półwysep wraz z ogrodem, sadem, domem mieszkalnym, zabudowaniami gospodarskimi, a także małą przystanią – jest własnością doktora Jana Krystiana Niegłowicza.

Centrum wsi mieści się na styku zatoki i szosy, u nasady sierpa, a więc niemal naprzeciw półwyspu, oddzielonego od tego miejsca kilometrowym pasem wody. Tutaj znajduje się przystanek autobusowy, szkoła, remiza strażacka, sklep spożywczy, poczta, Klub Młodego Rolnika, punkt biblioteczny, a także cmentarz. Obok mieszka cieśla Sewruk, stoją dwie szopy rybaczkowe i kuźnia. Od rybaczkowej droga skręca w prawo i obiega półkolem zatokę. Domy i zagrody zamieszkałe są tu przeważnie przez robotników leśnych, i mieszczą się tylko po jednej stronie drogi, bliżej jeziora. Są to także domy z czerwonej cegły, zwrócone frontem do szosy. Z tyłu znajdują się zabudowania gospodarcze i one to zasłaniają widok na jezioro. Choć nie wszędzie. Pisarz Lubiński, gdy w swoim czasie kupił dom od pewnego drwala, kazał zburzyć stodołę, wyciąć krzaki nad zatoką i stworzył sobie widok na jezioro. U szczytu domu wymurował garaż podziemny i taras nad nim, skąd, spoczywając na leżaku, widzi, bezmiar wód i dom doktora na półwyspie. Nieco dalej, na miejscu zagrody spalonej podczas wojny, przed kilkoma laty zbudowano dachowiec kryty eternitem, w którym zamieszkał malarz

Bogumił Porwasz. Ze swojej pracowni ma on także widok na bezmiar wód i trzciny przybrzeżne, które są tematem jego malarstwa.

W lesie kryją się czerwone zabudowania leśniczówki Blesy, gdzie od siedmiu lat żyje inżynier Turlej wraz z małżonką i synkiem. W leśniczówce Blesy jest dziesięć pokoi i ogromny salon z kominkiem. To tutaj – od siedmiu lat, czyli odkąd objął leśnictwo inżynier Turlej, lat trzydzieści jeden – odbywają się przyjęcia noworoczne, w których bierze udział doktor Niegłowicz, malarz Porwasz oraz pisarz Lubiński. Żona leśniczego, magister Halina Turlej, zajmuje stanowisko kierowniczkę trzyklasowej szkoły w Skiroławkach, stanowiącej filię szkoły ośmioklasowej w Trumiejkach. Pani Halinie podlega tylko jedna nauczycielka, panna Luiza, lat sześćdziesiąt, a więc tuż przed emeryturą. Jest to zdziwaczała stara panna, która rzadko kiedy wychodzi z domu, natomiast pilnie obserwuje życie ludzi w wiosce z okna swego mieszkania na piętrze szkoły.

Noworoczne przyjęcia u pani Halinki są składkowe, jako że zarówno leśniczy, jak i nauczycielka nie zarabiają dużo. W przekonaniu mieszkańców Skiroławek najbogatszymi ludźmi w wiosce są doktor Niegłowicz oraz stary Otto Szulc, dopiero w drugiej dziesiątce ludzi zamożnych znajduje się pisarz Lubiński oraz leśniczy Turlej i jego żona Halinka. Ostatnim z ostatnich jest malarz Porwasz. On tedy zazwyczaj wnosi najmniejszy wkład w przyjęcia noworoczne w leśniczówce Blesy, choć to nie doktor ani nie pisarz bywają co roku w Paryżu. Ale czy wiele dobrego można się spodziewać od człowieka, który z Paryża przywozi dziewczynę i jedną jedyną dachówkę?

Jak co roku, tak i tym razem, wraz z wybiciem dwunastu uderzeń zegara na telewizyjnym ekranie, na ośnieżone podwórze przed swoim domem wyszedł inżynier Turlej, pisarz Lubiński i malarz Porwasz oraz doktor Niegłowicz. Ogromny, pełen świerków ocieężałych od śniegu, las zaczął odpowiadać echem wystrzałów. Pięć razy wystrzelił leśniczy Turlej ze swej rosyjskiej nadlufki Wołga, osiem razy dał ognia malarz Porwasz ze swej standardowej belgijskiej nadlufki Browninga z miasta Herstal; sześć razy rozbłysła ogniem angielska dwururka pisarza Lubińskiego, wyprodukowana przez słynną firmę Webley-Scott, z pięknymi arabeskowymi inkrustacjami na ścianie baskili; trzy razy zagrzmiała dubeltówka doktora Niegłowicza, przedmiot zazdrości wielu okolicznych myśliwych, był to bowiem model włoski Castore, z kurkami i zamkiem bocznym Hollanda inkrustowanym srebrem, i z orzechową kolbą. Odgłos wystrzałów słyszano koło remizy strażackiej, gdzie na świeżym powietrzu chłodzili rozgrzane wódką głowy mieszkańcy Skiroławek, jako że co roku odbywała się w

remizie zabawa noworoczna. Ci, co słyszeli echo wystrzałów, wiedzieli, że naprawdę rozpoczął się Nowy Rok. Nikogo nie dziwiło ani też nie oburzało, że we wsi są dwie noworoczne zabawy. Gdzie indziej bawią się ludzie wykształceni, a gdzie indziej prości, albowiem, jak mówił cieśla Sewruk, gdy mu nie pasował wrąb do występu w belce: „wszystko musi mieć swoje”. Nowy Rok dzielił ludzi w Skiroławkach, ale każdy inny dzień i każda noc zacieślały różnice. Bo, jak to często powtarzał z żartobliwą powagą doktor Niegłowicz, „wszystkie kobiety mają takie same, tyle, że niektóre są lepiej umyte”. Doktor miał prawo tak mówić, ponieważ od czternastu lat był wdowcem, a jako mężczyzna w sile wieku musiał – zdaniem wszystkich – od czasu do czasu ulżyć sobie dla zdrowia i humoru. A poza tym, kto jak kto, ale doktor Niegłowicz napatrzył się już w życiu owych kobiecych różności i jeśli twierdził, że wszystkie mają takie same, to była w tym ogromna siła prawdy. Bo czy istniała w całej gminie trumiejskiej choć jedna kobieta albo zgoła dziewczyna, która nie przedefiladowała przed doktorem bez majtek? Doktor Niegłowicz chwalił to, co zobaczył u nich między nogami, albo zgoła ganił, częściej jednak ganił niż chwalił. Aczkolwiek zdarzyło się, że – gdy obejrzał żonę gajowego Widłaga, aż do poczekalni w ośrodku zdrowia wyszedł i zakrzyknął do innych kobiet, co w kolejce do niego czekały: „Widłagowa ma czterdzieści pięć lat, czworo dzieci urodziła i ani jednej nadżerki. Nie to co wy, „świętuchy”. Częściej jednak, jak wspomniano, doktor ganił i leki przepisywał, choć wiedział, że i tak zażywać ich nie będą i w ten sposób zmarnuje się jego trud lekarski. Rozbierały się więc u niego kobiety stare i młode. Jedne wstydliwie, inne odważnie, szczególnie te, co rade były swoim ciałem rozkochać samotnego lekarza. Bo choć doktor nie był młodzikiem, to przecież w Skiroławkach mówiono, że z wiekiem u mężczyzny korzeń twardnieje jak u sosny w lesie. Dwie bowiem cechy ceniono w Skiroławkach u mężczyzny: mocną głowę do wódki i dobry dzwonek między nogami. Im częściej dzwonił, tym lepiej. Porządna kobieta nie musiała otwierać swoich drzwi, gdy dzwonił obcy mężczyzna, ale rzeczą męską było dzwonić, bo a nuż któraś drzwiczki otworzy. „Pan Bóg stworzył kobietę i mężczyznę nie po to, aby żyli obok siebie, ale aby żyli ze sobą” – powtarzał zawsze proboszcz Mizerera, udzielając ślubu. A podczas wielkanocnych rekolekcji nawoływał z połączonej ambony: „A nie wstyďte się, mężczyźni, dzwonić co noc swoim kobietom. Bo jak wy im nie będziecie dzwonić, to im diabeł zadzwoni!”

Tak więc zupełnie zwyczajnie zaczął się Nowy Rok echem wystrzałów od strony leśniczówki Blesy. Przerazone sarny i jelenie, które wraz z pierwszym śniegiem zaczynały podchodzić pod zagrody, uciekały jak oszalałe w głąb lasu, strąsając śnieg z nisko położonych gałęzi. Na dalekich polanach, na Świńskiej Łące, koło Białego Chłopa

i w pobliżu drzewa rwanego „dębem doktora” rozbrzmiewało potem przejmujące naszczekiwanie kozłów.

A odwieczny las odpowiadał echem, które wracało aż pod zabudowania leśniczówki Blesy, pod duży dom z czerwonej cegły, pod wysoki próg i na rozległy podwórzec, gdzie zaryty w śniegu aż po osie stał pachnący olejem stary gazik doktora.

Leśniczówkę Blesy zbudowano przed osiemdziesięcioma laty. Dawne przekazy mówiły, że pierwszy jej leśniczy, niejaki Schweikert, został w jednym z górnych pokoi zastrzelony przez swoją żonę za to, że, jak twierdzili jedni, zdradzał ją z dziewczętami ze Skiroławek. Z kolei mówili drudzy, że po prostu nie miała nigdy suchych drewek na opał. Faktem jest, że odtąd źle żyły ze sobą stadła małżeńskie w Biesach, co pamięć ludzka potwierdziła i naoczni świadkowie. Od leśniczego Piątka uciekła żona, piękna blondynka, bo nigdy – mimo że wokół był las odwieczny – nie postarał się o drewno na opał i do kuchni. A uciekła z takim, co jej kilkakrotnie wóz porąbanej dębiny przywiózł pod dom. Leśniczego Stemplewicza, który po Piątku nastąpił, także żona zdradzała, i to niemal otwarcie, całując się przed oknami z weterynarzem z Bart, który ją woził po lesie w bryczce z dwoma szronkowatymi końmi. Ale nie z braku drewna go zdradzała, tylko z tego samego powodu, co i Smugoniowa swego męża z domu wyrzuciła, a mianowicie – za dużo pił i nie wykonywał w nocy swojej męskiej roboty. Inżynier Turlej nastał do Biesów przed siedmioma laty i wziął sobie młodą żoneczkę, Halinę, o drobnej figurze, ruchach chłopca i głośnym, dźwięcznym śmiechu. Ale ostatnio także kłócili się coraz częściej, właśnie z powodu braku drewna, albo też, kto ma rozpalać w piecu centralnego ogrzewania, bo przecież obydwójce pracowali. Ludzie w Skiroławkach szeptali, że i ona rozgląda się już za jakimś prawdziwym mężczyzną, który wie, jak zatroszczyć się o kobietę. I dziwowali się wszyscy, że leśniczówka Biesy odbierała mężczyznom ich wielkość i siłę, a wielkość i siłę dawała kobietom. Ale, jak to u kobiet zazwyczaj bywa, i wielkość, i siła obracała się w nienawiść albo w złość zapiekłą.

Pisarz Lubiński twierdził, że to odwieczny las czyni mężczyzn bezwolnymi marzycielami, którzy rozczarowują kobiety. Las przytłaczał ludzi swą przepastną głębią, kołysał i usypiał szumem gałęzi, porażał wielkością i odwiecznym trwaniem. Patrząc na wierzchołki ogromnych sosen lub prastarych buków, ludzie czuli swą kruchość i małość, rok po roku zdawali sobie sprawę z bezsensu swoich wysiłków i trudów, które zawsze pozostawały niczym wobec ogromu odwiecznego lasu. Cóż z tego, że potrafili obalać nawet najpotężniejsze dęby i pozostawiali gołe polany, skoro i tak musieli sadzić nowe drzewa, a te po kilku latach pokrywały młodnikami ziemię i pięły się w górę ku niebu i słońcu. podczas gdy oni, ludzie, garbili się ku ziemi. Las był, gdy tu przyszli i witał ich

szumem odwiecznym, i takim pozostawał, gdy odchodzili na zawsze. Odwieczny szum lasu niósł przestrożę ludzkim poczynaniom, a wsłuchani w niego zbyt długo, stawali się głusi na głos serca, jakby i ich pociągało owe leśne trwanie bez działania, istnienie bez miłości i czynu. W mrocznych zakamarkach leśnych, gdzie latem, jak krople świetlistej żywicy spływają po pniach sople słonecznego blasku, a zima, jak duch jawi się nagle przed oczyma białą plamą rozpylonego śniegu, poraża człowieka świadomość, że nic tu udoskonalić nie potrafi.

Ale doktor Jan Krystian Niegłowicz wyjaśnił tę sprawę zupełnie inaczej. To nie las czynił mężczyzn bezwolnymi marzycielami, ale to oni – bezwolni marzyciele – szukali lasu, aby potwierdzić się poprzez jego ciągłe trwanie, kończyć się jego odwiecznym szumem. Z wielu możliwości, jakie stworzył ludziom świat – wybierali tę jedną wąską ścieżynkę wiodącą do lasu.

Albowiem doktor Niegłowicz w głębi duszy wierzył, że człowiek nie do końca postradał swój instynkt i z setek możliwości wybiera tę jedyną, najbardziej odpowiednią dla siebie. I nawet, o zgrozo, sądził, że niektóre choroby trapiące człowieka nie były tylko zrzędzeniem losu, lecz wynikały z największej potrzeby organizmu, były jak burza, która musi nadejść, gdy zrobi się zbyt parno.

O TYM, ŻE CZAS KRÓTKI JEST, PRZETO ŚPIESZ SIĘ CZŁOWIECZE...

Dziewczyna, którą przywiózł do Skirołówek malarz Bogumił Porwasz, miała dwadzieścia cztery lata i pracowała w stolicy jako ekspedientka w sklepie z bielizną męską. Propozycja spędzenia Sylwestra w zagubionej wśród lasów leśniczówce i to w towarzystwie przystojnego malarza wydała się jej pociągająca. Podniecała ją także obietnica Porwasza, że spędzi trochę czasu wśród „dzikich ludzi”, jak określił on swoich przyjaciół. Martwiła się przez całą drogę jedynie o to, co będą jedli na tym pustkowiu, bowiem jedzenie sprawiało jej ogromną radość. Malarz opowiadał, że w niezbyt odległym miasteczku jest tuczarnia drobiu i dostać tam można żołądki kurze i gęsie. „Ach, żołądki, jakie to dobre” – kilkakrotnie wzdychała w drodze ze stolicy, budząc tym irytację malarza, który był chudy, z zapadniętą klatką piersiową i wklęsłym brzuchem. Mógł nie jeść przez kilka dni i zadowalał go nawet kęs spleśniałego chleba.

Tylko lego czarne, pałające, głęboko zapadnięte oczy wydawały się ciągle głodne.

Dziewczyna miała na imię Józia. Była niezbyt wysoką, okrągłą blondynką o jasnej cerze, różowych pełnych policzkach i malutkich wilgotnych usteczkach, które raz po raz wysuwała do przodu i układała w małe ryjek. Wydawało się, że nawet powietrze, które wdycha, najpierw smakuje swymi wilgotnymi wargami. I z nią to przyszedł malarz na Sylwestra do leśniczówki. Podczas przerwy w tańcach podchodziła do stołu obok kominka i rozglądała się po rozstawionych półmiskach. Potem delikatnie brała do rąk widelec i mały talerzyk, kładła na nim płatek zimnej sarniny, salcesonu lub skrzydełko kaczkę, jeden grzybek, kawałek kiszzonego ogórka. I jadła wolno, wolniuteńko, małymi kęsami, mrużąc przy tym oczy, jakby opadały ją jakieś rozkoszne wspomnienia. Kawałki mięsa ginęły w jej drobnych usteczkach, które stawały się jeszcze bardziej czerwone, wilgotne i świeże, a policzki różowiły się i wydawały się jeszcze gładsze. Blask ognia z kominka migotał na jej wargach, muskał policzki, podkreślał cień, jaki rzucały długie przyczernione rzęsy. Niegłowiczowi wydawała się małą wiewiórką, obrabiającą orzeszek, to znów rozkosznym prosiaczkiem, którego miał ochotę pogłaskać po różowym pyszczku i podać mu kawałek jabłuszka lub ciepłego ziemniaczka. Uczyla bowiem lektura książki Brillat-Savarin'a, że nie ma nic piękniejszego na świecie jak widok młodej i uroczej łakomczuchy, której oczy błyszczą, usta połyskują, a ruchy przy jedzeniu są miłe i wdzięczne. Kobiety takie bywają w nocy dla mężczyzny jak dobrze wypełniony półmisek. Stał więc wsparty o krawędź okapu nad, kominkiem i wpatrując się w pannę Józję słuchał, jak w jej drobnych białych ząbkach chrzęści plasterki kiszzonego ogórka. Denerwował go pogwar głosów za plecami, śmiechy pań i odgłosy rozmowy między pisarzem Lubińskim i malarzem Porwaszem, dolatujące z kąta salonu. Nie chciał uronić niczego z owego przyjemnego chrzęstu, który wydawał mu się o wiele bardziej podniecający niż szelest noworocznych sukien.

Panna Józia podniosła wreszcie swoje przymrużone powieki, przekrzywiła jasną główkę i zapytała:

– Czemu mi się pan tak przygląda?

Chrząknął z powagą:

– Bo także lubię kiszzone ogórki.

Odłożyła z odrobiną żalu swój talerzyk. Wybrała inny, czysty i nałożyła na niego doktorowi plasterki ogórka i płatek zimnej sarniny.

– Dziękuję – powiedział doktor, odbierając talerzyk z jej rąk. A potem tak samo głośno zachrząścił ogórek w jego zębach i doktor głośno mlasnął, smakując zimną sarninę.

– Czy to prawda, doktorze – zapytała panna Józia – że w Skiroławkach jest sekta religijna, która pozwala raz do roku wszystkim z wszystkimi, razem, w jednej stodole? Pan wie, co mam na myśli...

I patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, które wydawały się wypełnione bezbrzeżnym zdumieniem. Nawet jej wilgotne usteczka przestały się poruszać.

Doktor postawił na stole swój talerzyk. Zdjął ze stojaka haczyk i kolnął nim płonące na kominku polano. A potem ozwał się z niezwykłą powagą, która dla tych, co go dobrze znali oznaczała, że odrobinę sobie żartuje. Jak nazwał to pisarz Lubiński: „nasz doktor lubi przemawiać z żartobliwą powagą”.

– Niech pani nie wierzy w takie historie, panno Józiu. O takich jak nasza, małych, zagubionych wśród lasów wioskach, różne opinie się wydaje, ale nie trzeba im dawać wiary. Jesteśmy zwykłymi ludźmi, którzy lubią kochać się i jeść do syta. Ale nie każdy człowiek do tych spraw podchodzi z należytą powagą... Weźmy na ten przykład ów ogóreczek kiszony, który pani właśnie chrupie. W mojej spiżarni mam aż siedem rodzajów w rozmaity sposób zakiszonych ogóreczków. Stoją w dużych słojach. Co roku sam doglądam, aby we właściwy sposób zamarynowała je moja gospodyni, Gertruda Makuch. Bo inaczej smakuje kiszony ogóreczek, któremu dodano więcej kopru, a zupełnie inaczej smakuje ten, do którego włożono więcej pasków korzenia chrzanu, liści dębowych albo wiśniowych, liści czarnej porzeczki, dodano czosnku, gorzycy. Ogóreczek z listkami wiśniowymi jest jędrny i chrzęści w zębach, a z dodatkiem większej ilości czosnku wydaje pod naciskiem zębów tylko suchy i niewyraźny trzask, jakby ktoś łamał zapałkę. Natomiast ma on smak ostrzejszy i niekiedy aż pali w język. Podobnie jest z ogóreczkiem, do którego dodano sporą ilość gorzycy. Zachowuje twardość i ostrość, chrupie w zębach bardzo smakowicie. Tak zakiszone ogórki trzymam na dolnej półce, bo półkę wyżej zajmuje ćwikła i pickle z ogórków nasiennych oraz cebulka marynowana, dynia w occie i korniszony, a także botwina w butelkach i fasolka szparagowa w słojach. Z octem jednak należy uważać, gdyż powszechnie sądzi się, że powoduje on anemię. Ale przecież nie można marynować bez octu! Oczywiście, są zwolennicy suszenia jarzyn, warzyw, a także grzybków. Ja także mam trochę tego suszu w spiżarni w lnianych torebkach, ładnie podwiązanych i uwieszonych na specjalnych haczykach. Nie ma jednak nic smakowitszego nad różne rodzaje marynowanych grzybków...

– Ach, niech pan opowiada, doktorze – przymknęła powieki panna Józia i jak do pocałunku rozchyliła swoje wilgotne czerwone usteczka.

Wydała się w tym momencie doktorowi osobą niezwykle piękną. Ogromny dekol

białej bluzeczki w wyszywane maki przyciągał wzrok. Ciało, które objawiał, było gładkie i cudownie żółtawe jak kość słoniowa, tylko głęboki rowek między piersiami zaznaczał się cieniem, podkreślając kształtność biustu. Doktor przestąpił z nogi na nogę i chrząknął nerwowo, czym spłoszył ów intymny i ulotny nastrój, w jakim się obydwójce znaleźli.

Dziewczyna podniosła do góry powieki, zatrzepotała przyczernionymi rzęsami i zapytała z niepokojem:

– Doktorze, czemu się pan tak mi przygląda?

– Myślę o pani tarczycy, panno Józiu – powiedział. – Tymczasem chyba nie ma powodu do niepokoju, ale ta pani szyja, taka pełna i gładka...

– Tak, trochę jest za gruba – dotknęła ręką gardła – i w ogóle jestem chyba za gruba. Doktor uśmiechnął się wyrozumiale:

– Nie szkodzi, panno Józiu, nie szkodzi. Ma pani za to cerę bardzo gładką i bez żadnych zmarszczek. Długo pani zachowa swoją urodę. Tylko proszę pamiętać, żeby zawsze na noc pod oczy kłaść trochę nawilżającego kremu.

Imiał ogromną ochotę nachylić się nad nią, dotknąć wargami rozchylonych usteczek, które były tak czerwone, że zdawały się stanowić kształtne pęcherzyki wypełnione krwią. Może odgadła jego ochotę, bo przekrzywiła jasną główkę i stwierdziła z powagą:

– A jednak, doktorze, sama słyszałam, jak pewien człowiek w kawiarni mówił do Bogusia, że w Skiroławkach raz w roku wszyscy z wszystkimi robią to, co powinno się robić oddzielnie. Prawda, Bogusiu, że tak mówił? – zawołała w kąt salonu, gdzie Porwasz wciąż jeszcze rozmawiał z pisarzem.

Przerwali zaraz swój dyskurs i zbliżyli się do stołu z jedzeniem.

– Co takiego ktoś mówił? – zapytał podejrzliwie malarz. Powtórzyła to, co; przed chwilą mówiła doktorowi.

– Bzdury, Józiu – obruszył się malarz. – Przez całą drogę tłumaczyłem ci, że to bzdury. Mój kolega z akademii, głupi malarz, mówił to tylko po to, aby cię odstraszyć od wyjazdu ze mną.

– Za pozwoleniem; kolego Porwasz – głos zabrał pisarz Lubiński. – Ta sprawa wcale nie jest taka prosta. Już wielokrotnie słyszałem podobne opinie o naszej wiosce. Ludzie w wielkich miastach skłonni są wierzyć, że na prowincji, a szczególnie w małych wioskach, mogą się zdarzyć historie najstraszniejsze i najbardziej obrażające moralność. A tymczasem, jak się tak bliżej przyjrzeć tej sprawie, to okazuje się, iż także i w wielkich miastach dzieją się rzeczy straszne. My, panno Józiu, jesteśmy ludźmi wykształconymi i rozumnymi, a także krytycznymi. Skiroławki to wioska mała, lecz

uczciwa.

Wypowiedź pisarza Lubińskiego mogła trwać krótko albo bardzo długo, dużo bowiem w nim było niechęci do ludzi z wielkich miast. Doktor Niegłowicz odciągnął więc na bok malarza Porwasza i, chwyciwszy go za guzik aksamitnej paryskiej marynarki, natarł ostro:

– Co miała znaczyć ta dachówka na tylnym siedzeniu pańskiego samochodu, panie Porwasz? Po co panu dachówka, skoro ma pan dom kryty eternitem?

– O jakiej dachówce pan mówi? – zdumiał się malarz i nerwowym gestem rozburzył swą ogromną czarną czuprynę.

– Wracając do Skirolawek przywiózł pan dachówkę. Jedną. Leżała na tylnym siedzeniu. Wielu ludzi ją widziało – wciąż nacierał na niego doktor, nie puszczając z palców guzika marynarki.

– Ach, to o tę dachówkę panu chodzi – przypomniał sobie Porwasz. Rzeczywiście, wiozłem ją chyba z pięćdziesiąt kilometrów i sam dobrze nie wiem dlaczego. Trzy dachówki leżały na szosie, pewnie je ktoś zgubił. Na śniegu je porzucono, czerwone, rozjechane na krwawe ślady. Jedna była cała i ładna, czerwoniuchna, a raczej koloru terakoty. Zatrzymałem się i zabrałem ją, sam nie wiem czemu.

– Rozumiem – zgodził się z nim doktor Niegłowicz.

– Dam ją panu bardzo chętnie. Ma pan przecież dom pokryty dachówkami – zaofiarował się malarz.

– Dziękuję panu – rzekł doktor Niegłowicz i uściśnął dłoń malarza. – Wprawdzie żadna dachówka mi nie spadła, ale przyjmuję podarunek, jako gest dobrej woli.

Malarz w zamyśleniu potrząsnął głową.

– Już trzecia osoba pyta mnie o tę dachówkę – stwierdził. – Czy ludzie w Skirolawkach nie mają większego zmartwienia?

– Niech pan się cieszy, że nie mamy większych zmartwień – zaznaczył doktor.

Podeszła do nich pani Basieńka, niosąc półmisek z cielęcymi nóżkami w galarecie.

– A może tak, doktorze, wyruszymy na świeże powietrze? – zwróciła do Niegłowicza buzię podobną do mysiego pyszczka. – Pamiętacie panowie, jak to było ładnie w ubiegłym roku?

– I niech pani wie, panno Józiu – grzmiał pisarz Lubiński – że ludzie w wielkich miastach, choć niby to rozumieją i zazdroszczą artyście owej prowincjonalnej ciszy, pięknych widoków i spokoju, w gruncie rzeczy lekceważą go, pogardzają nim, mają za nic i, posądzają o sprawy zdrożne.

– O tak, tak – szepnęła panna Józia, spoglądając ku półmiskowi z cielęcymi nóżkami.

I poszukała wzrokiem doktora Niegłowicza, który być może – on jeden w tym towarzystwie – zachęciłby ją do sięgnięcia po zimne nóżki, podał ocet, zaznaczając, że jego nadmiar prowadzi do anemii. Wyobraziła sobie jego spizarnię i słodkie ciepło przeniknęło ją od ust aż do kolan, podniecająco załaskotało w brzuchu i nawet nieco niżej, choć zdawać by się mogło, że owe tak różne organa, które kobieta ma poniżej pasa, niewiele mają ze sobą wspólnego. Pomyślała, że zapyta o tę sprawę doktora, ale zaraz przyszło jej na myśl, że to może wydać mu się bezwstydne. Zresztą, wyjaśniła już to sobie kiedyś po swojemu. „Skoro coś jest blisko siebie, to musi być z sobą związane”. Bo dopiero jak się dobrze najadła, lubiła się kochać.

„Głupiec” – wydała opinię o Lubińskim. „Nachalna dziwka” – pomyślała o pani Basieńce, widząc, jak ta chwyta doktora pod ramię i niemal wyciąga na korytarz, gdzie na gwoździu wisiało jego futerko. „Wlecze dokądś doktora, a on na pewno chciałby posmakować galaretki z cielőcych nówek.”

W pięć minut później doktor wyszedł przed dom ubrany w brązową kurteczkę z baranów, uszytą włosom na wierzch, i w pięknej czapce z borsuka. Tuż za nim wybiegła pani Basieńka w białym kożuszku i w puchatej czapce z lisów, w długiej sukni i pantofelkach, do których zaraz nasypał się śnieg i zmroził jej drobne stopy w cieniutkich pończochach. Pisnęła więc boleśnie, ale ucichła, bo doktor objął ją ramieniem i długą chwilę tak stali przed domem, z tklivością w sercach. Doktora rozpieszczała radość wolnego człowieka, któremu każdy dzień przynieść mógł niespodziewane, a pani Basieńka czuła, że ciężar ramienia doktora czyni ją silną i tak lekką, że mogłaby chyba wlecieć w bezgwiezdną noc. Piersi jej podnosiły się gwałtownie i pomyślała, że uspokoić je może dotknięcie dłoni doktora, który obejmował ją lewą ręką, ale przecież jego prawa dłoń zwisała bezwładnie i mógłby nią pogłaskać jej biust. Lecz doktor Niegłowicz myślał o pannie Józii i jej rozkosznie rozchylonych usteczkach. Widział już niemal, jak siedzi w jego salonie przy ciężkim czarnym stole i gryzie z chrzęstem płatkę pokrajanego ogórka, zamarynowanego z liśćmi dębu i odrobiną czosnku. I widział siebie po drugiej stronie stołu, wpatzonego w jej zamglone rozkoszą oczy.

– Hej! Hej! – krzyknął głośno doktor, jakby rzucając wezwanie w głąb odwiecznego lasu, który rósł o kilka kroków za ogrodzeniem z siatki.

– Hej! Hej! – odpowiedziała piskliwie pani Basieńka, bo i ją wypełniała radość.

A potem z leśniczówki wybiegł leśniczy Turlej i jego żona Halina, i malarz Porwasz, i pisarz Lubiński, a także, ociągając się, wyszła wolno panna Józia w skromnej kurteczce ortalionowej, podczas gdy tamci mieli czapki z lisów i obszerne kożuchy. Zapomniała zaraz o galarecie z nówek cielőcych i pozazdrościła im kożuchów, czapek, i radości,

która zdawała się być wpisana w ich życie. Przytuliła się do malarza, a ten chwycił ją na ręce i przeniósł przez śnieg do samochodu doktora, na odkryte tylne siedzenie, albowiem doktor na czas noworoczny zdjął z samochodu brezentową budę.

Ruszyli ostro. Reflektory wyławiały z mroku przydrożne drzewa, drobniotkami iskierkami połyskiwały zlodowaciałe płatki śniegu, jakby ktoś drogę gwiazdami wysypał. A gdy zbliżyli się do pierwszych zagród i pęd, i mród aż dusił ich w gardle, leśniczy Turlej zaczął strzelać w górę ze swojej strzelby, to samo zrobił Porwasz i pisarz Lubiński. Nikt nie zauważył, że pani Basieńka niemal położyła się na plecach doktora, pragnąc, aby mimo swej kurtki odczuł ciepło i ciężar jej piersi. Ale on jak gdyby nie zwracał na to uwagi, wpatrzony w rozwijającą się przed nimi ośnieżoną drogę, więc objęła go w pasie, odpięła guzik jego futerka, wsunęła palce pod koszulę, aż namacała ciepłą włochatą skórę.

– Hej! Hej! – zawołała w ciemność nocy.

– Hej! Hej! – odkrzyknął doktor.

Wlokła się za samochodem chmura rozpylonego śniegu, doganiała ich, osypywała zimnymi drobkami, osiadała na czapkach i na twarzach, chłodząc rozgrzane policzki.

Tuż obok rybaczków i remizy, gdzie trwała zabawa i grupki ludzi kręciły się po drodze, doktor zakręcił gwałtownie i zatrzymał samochód.

– Hej! Hej! – zakrzyknął do ludzi malarz Porwasz.

– Hej! Hej! – odpowiedziały mu pojedyncze głosy.

A potem jakby chór zakrzyknął radośnie.

– Hej! Hej! Panie Porwasz! Hej, doktorze! Hej! Hej, pisarzu! Hej! Hej, panie leśniczy.

Koło rybaczków brzeg gwałtownie opadał do zamarznętego i pokrytego śniegiem jeziora. Doktor ostrożnie zjechał na lód, a później dodał gazu. Pędzili przez białą pustynię nie skalaną żadnym śladem. Zdawała się nie mieć kresu i końca, bo noc była ciemna i bezgwiezdna, tylko rozjaśniona przez biel śniegu. Na jeziorze pęd wiatru stał się ostrzejszy, ale radość, jaka ich ogarnęła, była tu także jeszcze większa. Stary gazik doktora zdawał się mieć skrzydła, choć motor jego charczał i wył. Doktor jednak coraz mocniej przyciskał pedał gazu, gnając przed siebie po białej równinie; na której światła reflektorów kładły się przed nim jak złoty dywan.

Zamajaczyły przed nimi drzewa i krzaki Czaplej Wyspy. Wtedy Niegłowicz zatrzymał raptownie samochód i zgasił silnik. Nastąpiła ogromna cisza, w której słyszeli tylko własne szybkie oddechy.

– Boże, jak tu pięknie – wyszeptał doktor i ukrył twarz w przemarzniętych dłoniach.

Wyglądało jakby zapłakał. Spadła na mego świadomość, że za każdą chwilę radości i szczęścia trzeba składać daninę z rozpacz. Myślał o starym Szulcu i jego napomnieniu: „Albowiem czas krótki jest, przeto spiesz się, abyś zachował duszę swoją”. Doktor nie bardzo wierzył, aby człowiek miał duszę, bo nie znalazł jej nigdy na stołach prosektoriów, w zwałach ludzkiego mięsa, pod misą czaszki, między kręgami krzyża, w łędźwiach, w płucach, w sercu podobnym do twardego ochłapu. I to właśnie napełniało go przerażeniem.

O TYM, CO WYDARZYŁO SIĘ NA ŚWIŃSKIEJ ŁĄCE

W Nowy Rok na skraju Świńskiej Łąki, w pobliżu miejsca, gdzie nigdy nic nie rosło, ponieważ kiedyś podobno znajdowała się tam szubienica Baudów, na nisko rosnącej gałęzi starego grabu – zawisła pętla z konopnego sznura.

Kto to uczynił – tego nikt nie wiedział. może Ruth Miller, matka zamordowanej dziewczynki, a może ktoś inny, jakiś człowiek sprawiedliwy. Jedno bowiem było pewne, że owa pętla przeznaczona została dla zabójcy, który powinien sam osądzić swój czyn i wydać na siebie wyrok. Pięć miesięcy upłynęło od znalezienia ciała Haneczki, a milicja wciąż nie potrafiła wskazać palcem tego, co ją obnażył, zadusił, wyłamał jej palce ze stawów i zmiażdżył kolanami śledzionę. Czy nie nadeszła pora, aby sprawca ugiął się wreszcie pod ciężarem wyrzutów sumienia i, jeśli bał się sądów ludzkich, sam stanął przed sądem boskim? Nie był to człowiek obcy, przybysz z dalekich stron, ale swojak, tutejszy, bo nie poszłaby Haneczka z obcym człowiekiem na polankę w lesie. I nieważne ile miał lat, ile klas skończył, do uczonych się zaliczał czy do prostaków – zawieszona na konarze pętla miała mu uświadomić, że minął czas dany mu na skruchę i oto zbliża się chwila kary.

Konopna pętla kołysała się na zimowym wietrze, zasypał on ślady tego lub tej, co pętlę na konarze zawiązała. Gajowy Widłąg był pierwszą osobą, która brnąc przez śnieg na Świńskiej Łące sznur z pętlą zobaczyła z daleka i zaraz z wiadomością o niej pognęła do wioski. Wielu ludzi zbiegło się potem, aby tę pętlę zobaczyć, nikt jednak nie zbliżał się do niej, gdyż przeznaczona została dla zabójcy i tylko on w wietrzną noc winien był podejść pod nią samotnie, głowę i szyję w nią włożyć.

Być może wśród tych, co przybiegli na Świńską Łąkę znalazł się również i zbrodniarz. Ujrzał kołyszący się sznur i serce zamarło mu z trwogi. Być może tylko

skrzywił się ironicznie lub nie zmienił wyrazu twarzy, aby nie domyślano się, że on jest owym strasznym człowiekiem. Może, wróciwszy do domu, zjadł z apetytem kolację, a potem zasiadł przed telewizorem i z zainteresowaniem oglądał film o pracy lub miłości, ponieważ właśnie taki film tego dnia o późnej porze wyświetlano wszystkim ludziom w kraju. Być może zgasił telewizor już podczas filmu o miłości, gdyż widok kobiet wdzięczących się do swych kochanków był mu nienawistny. Na pewno nie oglądał wyświetlanego nieco później filmu o zabójcy małych dziewczynek, nie lubił bowiem patrzeć na cudze okrucieństwo. Wołał pójść spać, a przed zaśnięciem, jak przez mgłę, widzieć rozbierającą się do naga trzynastoletnią dziewczynkę, która aż z Bart – przyjechała w gronie kolegów i koleżanek, aby ochłodzić się w jeziorze. Nie miała kostiumu, więc odeszła daleko w krzaki nadbrzeżne, gdzie ją wypatrzyły czyjeś oczy. Zaszedł ją bezszelestnie od tyłu, od razu chwycił za gardło, obalił na ziemię i zadusił. Potem zaciągnął w głąb krzaków, obejrzał dokładnie jej małe piersi, łono pokryte jasnym puchem, zajrzał między nogi i wbił palec w pochwę. Być może jeszcze w tym momencie odrobinę oddychała, co tak go podnieciło i zarazem rozgniewało, że kolanami zaczął ugniatać jej żebra, palce wyłamywał ze stawów, potem porzucił nagie ciało i dopiero nocą przeniósł je bardzo daleko, ukrywając w miejscu tylko jemu znanym.

Na brzegu pozostała sukienka dziewczynki i ludzie myśleli, że utopiła się w jeziorze. On wiedział, że to nieprawda, ale pomagał innym szukać, ciągnął z łodzi sieć wzdłuż brzegu – w tę i z powrotem. I innych do tej pracy zachęcał.

W rok później – też latem – zadusił małą Haneczkę. Szkoda, że nie chciało mu się zanieść i jej ciała w tamto odległe miejsce. Zapragnął, aby została odnaleziona, a w serca ludzkie zakradł się strach. Szukał w oczach młodych kobiet lęku i grozy, znajdował je, i czuł się szczęśliwy. Tylko że to spowodowało najazd milicji, przesłuchania, podejrzenia. Lepiej nie zostawiać żadnych śladów...

Nie czuł wyrzutów sumienia. Widział pętlę na konarze grabu, lecz ani przez chwilę nie pomyślał, że jest ona przeznaczona dla niego. Zasypiał spokojnie i bez lęku, ponieważ uważał się za człowieka sprawiedliwego.

O DOSKONAŁOŚCI LICZBY „SZEŚĆ”, O NIEPOKORNYM KONDKU I O TYM,

JAK PROBOSZCZ BAROWAŁ SIĘ Z DOKTOREM

W dzień po Trzech Królach, późnym wieczorem, proboszcz Mizerera zakończył kolędowanie w Skiroławkach i dzwoniącymi radośnie saniami zajechał przed dom doktora na półwyspie. Poglaskał po głowach dwóch ministrantów w białych kołnierzykach i rozkazał kościelnemu Biełusiowi, który dwoma końmi powoził i wciąż chuchał w zgrabiałe od mrozu dłonie, aby ministrantów i dobro, jakie od ludzi zebrali, odwiózł na plebanię w Trumiejkach. Ministranci mieli się zaraz rozejść do domów, a dobrem zaopiekować się powinna siostra proboszcza, Danuśka, która mu gospodarstwo prowadziła.

– Ja u doktora na noc zostanę – powiedział proboszcz do Biełusia. – Doktor bowiem raz w Boga wierzy, a innym razem nie wierzy i trudną z nim będę miał przeprawę, Strasznie barować się z nim muszę.

Biełus przeżegnał się pośpiesznie, a ministranci, chłopcy z szóstej klasy, popatrzyli na proboszcza struchlałymi od strachu oczami. Doktora chłopcy się bali, bo miał surowe i przenikliwe wejrzenie, i zawsze przed nim trzeba było stać rozebrany do pasa i z czystą szyją, a nawet z czystymi uszami. Proboszcz Mizerera też miał ciętą rękę i dobrze umiał przyłożyć, jeżeli ktoś nie umiał katechizmu. Dopiero to się będą okropne rzeczy działy, gdy tacy dwaj za bary się wezmą.

– Piękna noc, gwiazdzista – stwierdził z zadowoleniem proboszcz. Ze słomy, którą wymoszczono sanie, wyjął swój dryling firmy Zbrojovka oraz ustrzelonego bażanta. Tak się bowiem złożyło, że gdy rano z Trumiejek do Skiroławek jechali, pokazało się na ośnieżonym polu stadko bażantów. Proboszcz szybkim ruchem wyjął ze słomy dryling, i gdy zerwały się do lotu, nawet nie celując, jednego na śniegu położył.

– Tak, tak, mój Biełusiu – powiedział, gdy ministrant ptaka do sań przyniósł. – Jednym strzałem trzeba, i to nieco z boku trafić, żeby jak najmniej śrutu dostał. Bo potem zęby można sobie połamać, jak się na śrucinę trafi.

Szumiały głośno świerki rosnące od bramy w ogrodzeniu z drewnianych sztachet aż do ganku domu doktora, na podwórzu czekały i pazurami śnieg ryły dwa kudłate wilczury. Ale proboszczowi niestraszny był ani diabeł, ani największy grzech ludzki, ani też psy doktora. Zarzucił dryling na prawe ramię, w lewą rękę wziął bażanta martwą główką dyndającego ponad ziemią i prawą ręką śmiało otworzył furtkę w ogrodzeniu. A potem bez lęku, jak ów prorok czy też święty – którego imienia ani kościelny, ani tym bardziej dwaj ministranci nie pamiętali, ale wiadomo było, że między lwami bezpiecznie

przechodził tak ruszył świerkową aleją do jasnego światelka w oknie domu. A psy, kudłate potwory, tylko go obszczekiwały z podkulonymi pod siebie ogonami.

„Po co mu bażant? Przeszkadzać będzie, jak się zacznie z doktorem barować...” zastanawiał się kościelny Biełuś, zawracając dzwoniącymi sankami przed bramą. Nie wiedział, że doniesiono proboszczowi o dwóch zajęczkach, które pod okapem domu doktora już od początku grudnia wisiały. „Musiały pięknie skruszeć – kalkulował proboszcz. – I chyba za bażanta doktor odda jednego zajęczka?” Bo w tym roku proboszcz Mizerera nie miał szczęścia do zajęcy, ponieważ aż trzy zbiorowe niedzielne polowania opuścił, zajęty kościelnymi sprawami.

Doktor usłyszał dźwięk dzwonka u sanek i już czekał na ganku ubrany w obszerny sweter z grubo przedzonej wełny.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – skłonił proboszcz swą głowę nakrytą nieco przyciasnym biretem.

– Na wieki wieków. Amen – odrzekł doktor, który raz w Boga wierzył, a raz nie wierzył,

Weszli do długiej sieni, gdzie proboszcz wręczył doktorowi bażanta.

– Bóg mi z zajęczkami nie poszczęścił – stwierdził. – A u doktora, jak słyszałem, dwa zajęczki kruszeją, Danuśka doprasza się o zająca na pasztet, więc taką oto zamianę proponuję: za bażanta zajęc.

Doktor uśmiechnął się dobrotliwie, przyjął ptaka i zaniósł do lodówki w kuchni. A potem dopomógł proboszczowi zdjąć kozuch i wprowadził go do salonu, gdzie wielki piec kaflowy rozsiewał przyjemne ciepło, u sufitu palił się ozdobny kryształowy żyrandol, a na czarnym stole, pokrytym teraz białym obrusem, Makuchowa rozstawiła półmiski z dobrze wędzoną szynką, plasterkami kiełbasy, spodeczki z korniszonami, tacę pokrajanego cienko chleba i maselnicę. Królowała zaś na samym środku stołu duża karafka z czerwonym jak krew wiśniakiem,

– *Sursum corda* – rzekł proboszcz, z zadowoleniem omiatając wzrokiem zastawiony stół. – *Sursum corda* – powtórzył nieco radośniej, bo dostrzegł, że oczekują także i głębokie talerze, widomy znak, że i gorące danie Makuchowa przygotowała.

– *Deo gratias* – odparł doktor.

Odebrał od proboszcza jego dryling i ostrożnie postawił obok wielkiej brzuchatej szafy gdańskiej.

Proboszcz zatarł zgrabiałe z zimna ręce i rozpiął trzy guziki sutanny. Dziwnie ciasno mu się zrobiło pod szyją i koloratka zaczęła uwierać. Doktor zaś poszedł do kuchni i wrócił z osmolonym garnkiem, z którego wystawała rączka wielkiej łyżki.

– Na początek mamy paprykarz z kury – oświadczył proboszczowi.

Głęboka bruзда przecięła w poprzek czoło proboszcza.

– A czy Makuchowa dała dużo papryki? – zatroskał się. – Bo, o ile pamiętam, w ubiegłym roku trochę jej poskapiła. Ona myśli, że papryka jest szkodliwa, a przecież, jak doktor mówił, nie ma w tym wiele prawdy.

– Szkodzi tym, co mają wrzody na żołądku albo na dwunastnicy – odparł doktor, z lubością wdychając zapach, który unosił się z garnka.

Ale my, Bogu dzięki, mamy zdrowe żołądki, doktorze – stwierdził proboszcz i zdjął z głowy biret. – Tylko że do Makuchowej żadna prawda nie trafia. Już ze trzy miesiące nie widziałem jej w kościele. Doktor nie może jej przekonać, aby odwiedzała przybytek pański?

– Jest protestantką – doktor odstawił garnek na fajansową podstawkę i z należnym szacunkiem odebrał biret z rąk księdza, a potem położył go na kredensie.

– To żadna przeszkoda. Nie posiadamy tu protestanckiego zboru, a duchowego pasterza każdy mieć musi. Dla innowierców także nabożeństwo odprawiam i od czasu do czasu czytam im dłuższe kawałki z Pisma Świętego. Kościół mój widzę ogromny, doktorze, i, kiedy wygłaszam kazanie, nie będę sobie strzępił języka dla paru przygłuchych staruch. Powiedziałem przecież, że, niezależnie od wyznania, po jednej przynajmniej osobie z każdej rodziny ze Skiroławek chcę widzieć w swoim kościele. Czy ja odbieram doktorowi pacjentów? A czemu to doktor ma mi odbierać wiernych? Pisarz Lubiński zaczął dawać dobry przykład i jak nie on, to jego żona bywają w kościele na sumie. Tylko malarz Porwasz upiera się przy ateizmie. Nie mam nic przeciw wolności sumienia, niech sobie będzie ateistą w swoim domu. Ale do kościoła powinien od czasu do czasu zaglądać. Dzisiaj po kolędzie dał na kościół 500 złotych. Powiedziałem, że jałmużną od grzechów się nie wymiga. Myśli doktor, że nie wiem, o co mu chodzi? Nadleśniczy z Bart narzeka, że łosie niszczą mu uprawy, i trzy odstrzały mam na łosia. Pisarz Lubiński otrzymał dziś ode mnie odstrzał i pan, doktorze, dostanie. Ale Porwasz musi przyjść po odstrzał do kościoła, na sumę, w przeciwnym razie dam go leśniczemu Turlejowi albo komendantowi posterunku.

– Słusznie – przytaknął doktor Niegłowicz. – Ale co tyczy mojej gospodyni, Makuchowej, to chciałbym jeszcze raz przypomnieć proboszczowi, że ona jest protestantką.

– Kościół mój widzę ogromny... – zaczął znowu proboszcz, ale doktor, wyraźnie zniecierpliwiony, uderzył lekko dłonią w stół.

– Ksiądz proboszcz raczy pamiętać, że pastor Jonatan Knothe, gdy po wojnie

powrócił tutaj ze straszliwej poniewierki, w swojej plebani zastał katolickiego księdza, a jego zbór w Trumiejkach zamieniono na kościół. Syn jego, pastor Dawid Knothe, musi teraz odprawiać nabożeństwo w małej izbie w domu Szulca. Nie chcę tracić przyjaźni pastora Knothe, którego cenię i szanuję.

– Ja także cenię i szanuję pastora Dawida Knothe – odparł proboszcz Mizerera. – Nie jest przecież ani jego, ani moją winą, że nad tym krajem przeszła burza dziejowa. Faktem jest jednak, że pozostała tu tylko garstka innowierców, a cała ogromna rzesza ludzi jest wyznania katolickiego. Pastor Dawid Knothe przyjeżdża tu z dalekich stron tylko raz w miesiącu, aby u Szulca odprawić nabożeństwo. A pozostałe niedziele? Nie mogę dopuścić do tego, aby w pozostałe trzy niedziele diabeł hulał po Skiroławkach. Mury kościoła katolickiego dają bezpieczne schronienie przed szatanem nawet ewangelikom. Powtarzam: pastor Dawid Knothe to człowiek niezwykle bogobojny, wielki patriota i osobnik godzien najwyższego szacunku. Kilkakrotnie proponowałem mu, żeby podczas przyjazdów do Skiroławek nocował u mnie na plebani, a nie po chałupach wiejskich.

– Jest nieśmiały – westchnął doktor. – Należy także zrozumieć jego urazy. Ale paprykarz stygnie, proboszczu.

Nałożyli sobie na talerze duże porcje kury, oblali czerwonym pachnącym sosem. Potem proboszcz wymruczał modlitwę nad stołem i obydwaj zasiedli na krzesłach z wysokimi oparciami. W cieniutkich kieliszeczkach znalazł się krwisty wiśniaczek. I tak oto w dzień po Trzech Królach proboszcz Mizerera z Trumiejek i doktor Jan Krystian Niegłowicz ze Skiroławek wzięli się za bary, a dookoła domu wiatr huczał w starych świerkach, rozpędzony na skostniałym z zimna jeziorze.

Ksiądz Mizerera miał trzydzieści siedem lat i na probostwie w Trumiejkach nastał przed sześcioma laty, zaraz po śmierci księdza Duriasza. Przyjście jego poprzedziły groźne wieści: opowiadano, że zanim wstąpił do seminarium duchownego, wojskową służbę odbył, gdzie zasłynął jako niezwykle celny strzelec. Sam generał dywizji, Kukła, przypiął mu do piersi odznakę strzelca wyborowego i namawiał do pozostania w wojsku. Jednak Jontek Mizerera wolał duszpasterstwo.

Dla proboszcza Mizerery słowa Jezusa Chrystusa: „Paś baranki moje” znaczyły coś więcej, niż dla innych młodych ludzi, którzy wraz z nim otrzymali święcenia kapłańskie. Miały owe słowa treść nie tylko mistyczną, ale i konkretną. Jontek Mizerera kilkakrotnie chadzał z ojcem na wielki redyk i przez całe lato paś owce na zielonych halach Połonyń Caryńskiej. Owce i baranki miały charakter łagodny, ale przecież

ciągle były z nimi jakieś kłopoty, odpadały od stada, dawały się pożreć wilkom. Podobnie i ludzie, zdaniem proboszcza Mizerera, byli z gruntu dobrzy i uczciwi, ale odbiegali od stada w poszukiwaniu co smacznego pokarmu i wpadali od czasu do czasu w rozmaite pułapki. Mizerera kochał ludzi, kochał też bardzo Pana Boga, którego fizyczną obecność niemal wszędzie odczuwał, szczególnie, gdy szedł przez las ze strzelbą na ramieniu albo grzmiał z ambony i widział, jak rozpierzchłe stadko znowu się zbiera i mnoży. W drewnianym kościółku, w miejscowości, gdzie się urodził, było kilku Chrystusów frasobliwych, przygarbionych, o twarzach wykrzywionych smutkiem. Te postacie nie w pełni odpowiadały wyobrażeniom Jontka o Panu Bogu. W jego pojęciu Istota tak piękna, wspaniała, a zarazem doskonała jak Bóg, nie mogła być ani skrzywiona, ani też smutna, lecz raczej pogodna i wesoła, z uśmiechem na swym nieprzeniknionym boskim obliczu. Owszem, ludzie grzeszyli, i to bardzo, dlatego Bóg wysłał na ziemię Chrystusa, który cierpiał i został ukrzyżowany, aby odkupić ludzkość. Ale tenże sam Chrystus nie przez całe życie cierpiał i bolał, bywał nawet na weselach, a gdy wina zabrakło wodę w wino zamienił. Nawet kiedy na śmierć się wybierał, uznał za stosowne zaprosić swoich bliskich na wieczerzę.

Kiedy mały Jontek Mizerera był u pierwszej spowiedzi, ksiądz skarcił go surowo za to, że zjadł matce cały słoik miodu. „Pan Bóg jest smutny, gdy mały chłopiec zjada matce słoik miodu” – powiedział mu proboszcz. Jontek długo myślał o tej sprawie, aż wreszcie doszedł do wniosku, że Pan Bóg wcale nie był smutny, dowiedziawszy się, iż on, Jontek, zjadł matce słoik miodu, ale co najwyżej pokręcił głową z dezaprobatą i uśmiechnął się pod wąsem. Bóg jest bowiem istotą dobrotliwą i wyrozumiałą dla ludzkich słabości, i chyba bardzo kocha ludzi, skoro ich stworzył. Grzmiał więc z ambony proboszcz Mizerera, groził swym parafianom straszliwymi karami, ale zaraz potem okazywał łaskawość i wyrozumiałość dla ich słabości, przygarniał do swego stadka nawet i owce czarne, najczarniejsze. O sobie myślał, że jest również istotą słabą i podatną na zło. Dlatego często się spowiadał, rozmaite kary sobie wyznaczał i starał się dążyć ku dobremu. To prawda, że lubił chodzić ze strzelbą po polach i lasach, czasem zatańczył z panną młodą na czyjś weselu. Lubiał też wieczerzać, nawet z takimi czarnymi owcami jak doktor Jan Krystian Niegłowicz, ale czy Jezus Chrystus nie wieczerzał z Judaszem, choć wiedział, że ten sprzedał Go za trzydzieści srebrników? Najważniejszą sprawą dla juhasa było, aby mu się stadko baranków nie rozpierzchło, ale spokojnie pasło. Kościół widział proboszcz Mizerera jako coś przeogromnego, wszechogarniającego, zbliżającego ku sobie istoty ludzkie o najróżniejszym kolorze skóry i najróżniejszym wyobrażeniu Boga, siebie zaś jako tego, który z racji przynależności do stanu

kapłańskiego rozdawać miał między ludzi pociechę w ich strapieniu i pomnażać chleby duchowej strawy.

Do Trumiejek przybył wraz z siostrą swoją, Danuską, czterdziestoletnią wysoką i kościstą góralką o włosach czarnych jak smoła i haczykowatym nosie wiedźmy. Proboszcz Mizerera był także wysoki, gibki, o sprężystych ruchach i donośnym głose nawykłym do wołania w górach. Cerę miał śniadą, brwi krzaczaste i czarne, gładko przyczesane włosy. Kobietom wydawał się mężczyzną niezwykle przystojnym i niektóre żałowały, że zamiast niewiastę uszczęśliwić, czystość ślubował. Oko miał, rzeczywiście, niezwykle celne, czym budził zazdrość komendanta posterunku gminnego. Wkrótce zresztą wstąpił do miejscowego koła myśliwskiego i został jednogłośnie wybrany łowczym, czyli najgłówniejszą osobą wśród tutejszych myśliwych.

Na pierwsze nabożeństwo do kościoła w Trumiejkach ciekawość sprowadziła ogromną rzeszę ludzi z całej parafii, wierzących i niewierzących, praktykujących i niepraktykujących, ateuszy i pogan, badaczy Pisma Świętego. A dzień nie był sposobny do takiego tłumnego zgromadzenia, ponieważ lał wiosenny deszcz i przez dziury w dachu kapalo do wnętrza kościoła.

Po ewangelii wdrapał się proboszcz Mizerera na stromą i wysoką ambonę, która kiedyś miała piękne złocenia, ale teraz niemal całkiem oblazła z farby. położył przed sobą grube księgi: Pismo Święte oraz dzieło św. Augustyna „O Państwie bożym”.

I takimi do zebranych ozwał się słowy:

– O parafii Trumiejki słyszałem, że jest najbiedniejsza z całej diecezji, a ludzie tutejsi mają serca zatwardziałe i wielu odwraca się od Boga. A czy wiecie że wiara jest darem łaski bożej którą Pan Jezus między ludzi rozdzielił? Gdzie jest więc ta łaska boża, którą Pan Bóg w mądrości swej dla parafii Trumiejki przeznaczył? Otóż ja przybyłem tu po to, aby ową łaskę dla was odnaleźć. Zobaczyc, gdzie się ukryła. I odnajdę ją, choćbym pod ziemię musiał schodzić, do stodół i obór zaglądać, z szatanem się zmagać. I powiadam wam, że maluczko a przywrócę wam tę łaskę.

Cisza była w kościele, tylko od czasu do czasu jakiś starzec pokasływał. A proboszcz Mizerera uderzył pięścią w drewniany pulpit na ambonie i zagrzmiął:

– Poprzednik mój, ksiądz Duriasz, Panie świeć jego duszy, z głodu umarł, boście go zamorzyli, żałując datków na kościół. W męce strasznej konał, a żaden z was nie pomyślał, aby mu tłustego boczku przynieść, słoninki, jajeczek złotych, dziczyny. Po innych parafiach proboszczowie jak te basiory wilcze się noszą i w grubych futrach chodzą, a wy swojego proboszcza głodem zamorzyliście! Ale powiadam wam, że to się skończyło.

Szmer się zrobił w kościele i strach ujął ludzi za serca. Poszybowwały spojrzenia ku doktorowi, który oświadczył kiedyś ludziom, że ksiądz Duriasz na raka żołądka umarł i żadnych pokarmów przyjmować nie mógł, a co zjadł, to zaraz zwracał. Ale doktor Niegłowicz miał twarz nieodgadnioną, ani brew mu nie drgnęła, ani uśmiezek nie pojawił się w kącikach ust, tylko patrzył gdzieś w górę, w stronę dziurawego dachu, skąd ciurkiem kapalo i na środku kościoła tworzyła się wielka kałuża.

Tymczasem proboszcz Mizerera kazał dalej:

– Zakasałem sutannę i jak pielgrzym obszedłem swoją parafię, po polach chodziłem, po miedzach i lasach. I co widziałem? A właśnie, że nic nie widziałem. Ani zajączka, co radośnie kica, ani kuropatewki, co drobiąc nóżkami w życie młodym się kryje, ani dzików włochatych, ani koziołków i sarenek nadobnych. Co się stało z tymi zwierzątkami? Co uczyniliście z dziełem i tworem bożym? Czyż nie jest powiedziane w Piśmie Świętym: „Uczynił tedy Bóg zwierz ziemski według rodzaju swego; i widział Bóg, że to było dobre”? Ale nie jest wcale dobrze, bo nie zobaczyłem owych nadobnych dzieł boskich ani na polach, ani po lasach. Bo kłusujecie! Bo sidła zastawiacie i wnyki rozmaite. Ale powiadam wam, że żaden kłusownik i zastawiacz sideł rozgrzeszenia u mnie nie dostanie, zanim krzyżem nie poleży w tej kałuży, co to ją widzicie na środku kościoła.

Zatem proboszcz Mizerera dłoń prawą w pięść zwinął i pogroził zebranym w kościele:

– Kłusownicy, lenie, nieroby, cudzołożnicy, poganie! Gdzież jest diabeł i gdzie jest Pan Bóg? Otóż, diabeł mieszka w duszkach niedowiarków i pogan, w tych, co zło czynią. I tak samo Pan Bóg mieszka w sercach i duszach tych, co kościół miłują, dobre uczynki sprawiają. I w Domu Bożym Bóg także zamieszkuje, czyli w tym oto pomieszczeniu. A kiedy już głowy ku górze podnieśliście, to co dano wam ujrzeć? Dziurę w dachu, przez którą woda kapie do kościoła, czyli do mieszkania Boga. Czy tak wyglądają wasze mieszkania? Czy tak ma wyglądać Dom Boży? Zaiste, powiadam wam, że przyjdą na was ostatnie terminy. Dom Boży urządzicie tak ładnie, aby był prawdziwym mieszkaniem Bożym. Kościół nasz jest zabytkowy, z XIV wieku, i jako zabytek kultury Wszystkim ludziom służy ku nauce. Dlatego wspólnym wysiłkiem musi być odnowiony. Konserwator wojewódzki obiecał dać sto tysięcy na dach kościoła, jeśli i wy dacie sto tysięcy. Tak więc będzie trzeba, aby było dwakroć sto tysięcy złotych. Potem trzeci raz potrzeba będzie sto tysięcy złotych na remont plebani, a potem czwarte sto tysięcy na pojazd dla mnie, czyli duszpasterza waszego, abym nie latał po parafii z wywieszonym językiem, ale za kierownicą siedział, dobrze odziany

i rozparty wygodnie. Piąte sto tysięcy zbierzecie na wikarego, aby był godny swojego proboszcza. I szóste sto tysięcy także trzeba będzie zebrać na dzwon kościelny. Bo jak powiada o liczbie „sześć” święty Augustyn: „liczba «sześć» jest doskonała albowiem pozostaje ona dokładnie sumą swoich części”. I tak powiada dalej święty Augustyn: „Ze względu na doskonałość liczby «sześć» całość stworzenia dokonana została przez sześciokrotne powtórzenie tego samego dnia. Liczba «sześć» oznacza doskonałość dzieł bożych. Wszak jest to liczba, która pierwsza stanowi sumę swych części, to jest sumę szóstej części, trzeciej części i połowy, czyli sumę jedynki, dwójki, trójki, które po dodaniu tworzą właśnie sześć”. Zresztą nie będę wam o tym rozprawał, bo rozumnym to niepotrzebne, a głupcy i tak nie rozumieją. Należy jednak wiedzieć, że „sześć” jest liczbą doskonałą, dlatego sześć razy po sto tysięcy będziecie musieli zebrać. A gdy każdy z was w tej sprawie do sakiewki czy portfela sięgnie, przekona się jakie go dziwne uczucie ogarnie, jakby ssanie we wnętrzu i żalność głęboka. W ten sposób właśnie objawi się w was łaska wiary.

Zawiesił proboszcz Mizerera swój głos, bo tchu mu już w piersiach zabrakło. W kościele trwała zupełna cisza, nawet wszelkie pokasywanie się skończyło. Myśl o tej potężnej sumie „sześćset tysięcy złotych” niejednego sparła jak kolka, bo niejeden wahał się dawniej czy położyć złotówkę na tacę, z którą proboszcz Duriasz wiernych obchodził. A teraz czuli, że nie skończy się na złotówce, na dwóch, a nawet sześciu, które są liczbą doskonałą, a zapewne na sześciuset złotych. Od człowieka, który stał na ambonie biła taka siła i moc, że stało się oczywistym: trzeba będzie ofiarować owe sześćset złotych, albo sześć razy po sześćset, skoro „sześć” jest liczbą doskonałą.

Dokończył proboszcz Mizerera mszę świętą, ludzie powoli opuszczali Przybytek Boży, ale nie tak jak dawniej gwarnie i uciesznie, ale w milczeniu, z odrobiną lęku, a także zadumy. Niektórzy, zaniepokojeni o swoje kiesy otoczyli co mądrzejszych mieszkańców parafii, takich jak doktor Jan Krystian Niegłowicz, o którym wiadomo było, że tak samo chętnie do kościoła w Trumiejkach uczęszczał jak i do domu Szulca na modły prowadzone przez Pastora Dawida Knothe. W rozmowach z jednymi wyrażał wątpliwości o istnieniu Boga, a z drugimi umacniał się w wierze. Albowiem, jak każdy naprawdę mądry człowiek, niczego na świecie nie był pewien aż do końca i jak sam twierdził: skoro na pewne dolegliwości ciała medycyna nie zna lekarstwa, tedy muszą być potrzeby duszy, na które jedyną radą jest wiara głęboka lub ateizm”. A kiedy ten i ów zarzucał mu, że jak gdyby na jednej głowie chce dwie czapki nosić, odpowiadał z wyrozumiałym uśmiechem, że nie wydaje mu się prawdopodobne, aby Bóg tylko w jednej świątyni mieszkał.

Pytali więc ludzie doktora, co sądzi o nowym proboszczu. Ten zaś rzekł krótko:

– Powiadam wam, że przybył do Trumiejek Wielki Człowiek.

– Powinien się nazywać Pazerera, a nie Mizerera – stwierdził cierpko pisarz Lubiński.

I nie miał racji. Zaledwie sypnęły się obficie datki na tacę w kościele, a zaraz żywiczne belki zaczęto gromadzić i sterty miedzianej blachy. Mizerera żył skromnie i jak wszyscy ludzie jeden miał żołądek. Podobnie jak Duriasz kontentował się trzema pokojami w połowie plebani, ponieważ w drugiej połowie mieszkała od lat uboga rodzina pogorzalców. Jak starodawni templariusze mógł śmiało mówić: „*non nobis, Domine, non nobis, sed nomini tuo de gloriam*”. Bo choć wkrótce sprawił sobie samochód, to przecież jeździł nim nie tylko na polowanie, ale też do chorych i umierających, do każdego, kto pociechy duchowej potrzebował. A także – nie da się tego ukryć – widomy był to znak dla okolicy, że parafia Trumiejki nie jest mniej pobożna niż inne parafie.

Atoli trafił się pewien człowiek nazwiskiem Kondek, wstyd powiedzieć, że Skiroławek, gospodarz bogaty nad wyraz, ale niezwykle skąpy. Ten obwieścił wszystkim, że ani grosza nie da na kościół, choć jest wierzący, a to dlatego, że, jego zdaniem, religia jest za darmo. Co gorsza innych też zaczął namawiać, aby skąpili grosza na tacę i nie dbali o dziury w dachu kościelnym.

Cierpliwie czekał Mizerera, aż łaska boska skruszy zatwardziałość Kondkowego serca, ale minęły cztery niedziele i nic takiego się nie stało. Kondek zaś z dniem każdym stawał się coraz bardziej hardy, ba, nawet głosił rozmaite bluźnierstwa, na przykład, że za świnię Kondkowe należy płacić, ale nawozy sztuczne winny być za darmo. Nikogo też nie chciał wynagrodzić za pomoc przy żniwach, natomiast z góry kazał sobie płacić, jeśli komuś zorał pole swoim traktorem. Zaniepokoili się co świątlejsi ludzie na wsi, jak choćby doktor Niegłowicz, pisarz Lubiński, a także ci, którym Kondek zalegał z zapłatą., I radzili o Kondku długo, ale bezskutecznie.

Uciekł się proboszcz Mizerera do jedynej broni jaką posiadał, to jest do modlitwy. Odtąd, co niedziela, zaraz po mszy świętej, kłękał na stopniach ołtarza i głośno modlił się o łaskę bożą dla człowieka nazwiskiem Kondek. A wraz z nim, po kilku niedzielach, modlić się też zaczęli ci, którym Kondek zalegał z zapłatą za pomoc przy żniwach.

Zaniepokoił się Kondek, gdy mu żona i córki doniosły o modlitwach w kościele, jakby już był martwy. Któregoś wieczora zaprzągnął konie do wozu i przyjechał do domu doktora Niegłowicza.

– Modlą się za mnie, jak za umarłego – powiedział ze złością. – Ale ja zdrów jestem, prawda? Niech mnie doktor zbada.

– Zbadam was, Kondek – zgodził się doktor Niegłowicz. – Ale pamiętajcie, że w ośrodku zdrowia w Trumiejkach lecę za darmo, a u siebie w domu za pieniądze.

– Chcę za pieniądze, byle dokładnie – oświadczył Kondek.

Zbadał więc doktor Kondka bardzo dokładnie, a potem rzekł mu:

– Jesteście zupełnie zdrowi. A teraz proszę o sześćset złotych.

Kondek gębę rozdziawił, ukazując swoje cztery ostatnie zęby, które jak spróchniałe kołki sterczały mu w górnej szczęce. Podrapał się brudnymi pazurami po nie ogolonych policzkach.

– Aaaaa... – wyjąkał – a dlaczego aż tyle? Słyszałem, że doktor brał trzysta złotych.

– To prawda – przytaknął Niegłowicz. – Kiedyś brałem za poradę tylko trzysta złotych. Ale to się zmieniło odkąd proboszcz Mizerera wyjaśnił mi, że liczba „sześć” jest znacznie doskonalsza od liczby „trzy”.

– Sześć, a nie sześćset – zachnął się Kondek.

– Zero, to jest nic – odparł spokojnie doktor. – A dwa zera pisze się po miastach na drzwiach tych miejsc, gdzie ludzie chodzą za swoją potrzebą. O tych dwóch zerach w porządnym towarzystwie nawet mówić nie wypada.

– To wszystko przez Mizererę – Kondek uderzył się dłonią w gołe piersi. – To przez niego mam kłopoty. Ale zdrow jestem. Może sobie proboszcz ile chce modlić się za moją duszę.

Doktor Niegłowicz popatrzył na Kondka swym łagodnym wzrokiem, ale Kondkowi wydawało się, że poprzez szkła okularów jego spojrzenie wbija się w niego jak ostrze wideł. A potem powiedział:

– Bywa tak, że człowiek sparaliżowany, któremu nie mogło poradzić i stu największych lekarzy, pod wpływem głębokiego wzruszenia, lęku lub gorącej modlitwy zaczyna chodzić. Bywa też i tak, że człowiek, o którym nawet dobry lekarz powiedział, że jest zupełnie zdrowy, już za progiem domu wali się w śnieg jak spróchniałe drzewo. Nie wiem, Kondek, czy Bóg jest, czy go nie ma. Wiadomo mi natomiast, że należy mi się od was sześćset złotych za poradę, jak również wiadomo mi, że proboszcz Mizerera potrzebuje pieniędzy na odbudowę naszego zabytkowego kościoła. Potrzebuje on także pieniędzy, aby żyć zgodnie ze swym kapłańskim stanem. A stan to wysoki, podobnie jak wysoki jest stan lekarski.

Kondek chciał splunąć doktorowi pod nogi, ale się wstrzymał, bo był rozebrany do pasa. Ubrał się śpiesznie, drżącymi palcami wygrzebał z kieszeni zwitek pieniędzy. Były to stare pomięte banknoty, które już rzadko bywały w obiegu i pachniały sianem, bo zapewne w którymś z sienników je trzymał. Odliczył dwanaście owych banknotów,

niemal rzucił je na biurko doktora ~ wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Za bramą zaciął konie i ruszył do domu.

A nazajutrz pojechał autobusem do Bart, aby wnieść sprawę do Sądu Rejonowego. I nawet znalazł się adwokat, który za grube pieniądze powództwo przeciw proboszczowi napisał, ale Sąd Rejonowy powództwo oddalił, tak uzasadniając swoją decyzję: „Nie jest sprzeczne z prawem, aby ktoś w kościele modlił się za duszę innego człowieka albo by czyniło to kilka osób”.

Kondek stracił pieniądze na adwokata i wrócił do domu z niczym. Ale najgorsze było jeszcze przed nim. Albowiem dach w kościele wprawdzie został już pokryty blachą, ale proboszczowi zabrakło pieniędzy na rynny. Tedy której zimowej niedzieli, zaraz po sumie wyruszył samotnie Mizerera w pieszey wędrowkę do zagrody Kondka w Skiroławkach, aby z nim porozmawiać o jego życiu, uczynkach i słowach. Nie rozeszli się jeszcze ludzie sprzed kościoła, gdy proboszcz w sutannie okrytej krótkim kożuskiem, w birecie na głowie, w grubych i ciężkich butach, udał się w tę zadziwiającą wędrowkę. Znając dobrze skąpstwo Kondkowe i jego zapalczywość, zdało się ludziom, że Mizerera idzie jak gdyby do bram piekielnych na spotkanie z Lucyferem. Szedł i szedł Mizerera po zaśnieżonej drodze z Trumiejek do Skiroławek, przekraczał wysokie zasy, potykał się w zamrzniętych koleinach. A im dalej odchodził od kościoła i powinien stawać się mniejszy, wydawał się ludziom coraz większy, niemal na olbrzymia wyrastał, choć nie pochodził z tych stron, które olbrzymów rodziły. Człowiek bowiem w rozmaity sposób rosnąć może; ten co rośnie na zewnątrz ograniczony wzrost zyskuje; ten zaś co rośnie do wewnątrz niekiedy głową nawet nieba potrafi sięgnąć, albowiem nie ma granic dla jego wielkości. Tak więc samotny Mizerera w drodze do Kondka olbrzymem w jednej chwili się stał i zaraz ruszyła za nim gromadka ciekawych. Mimo oddalenia widzieli ludzie, że proboszcz modlił się żarliwie i od czasu do czasu zęgnął się znakiem krzyża, przez co strach od siebie oddalił i moce szatańskie.

Zobaczył Kondek z okna swego domu nadchodzącego proboszcza Mizererę i pojął, że ku niemu on zmierza na rozmowę o jego życiu, uczynkach i słowach. Czym prędzej ukrył się w stodole i zakopał pod stertę słomy, ale go stamtąd wyciągnęły trzy córki, które także dość już miały jego skąpstwa. Jak opowiadano, karmił je ziemniakami w łupinach, przez co miały duże brzuchy i chętnych do zeniaczki nie mogły znaleźć. „Staw czoła proboszczowi, skoro tak odważnie do tej pory gadałeś” – powiedziała do Kondka jego żona. Wtedy na podobieństwo rozkręconego bąka zaczął się Kondek miotać po swoim podwórzu, aż wreszcie wyrwał z pieńka siekierę i stanął z nią przy furtce, straszny głośm do Mizerery wołając: „Głowę utnę, jeśli ktoś moją furtkę otworzy

i na moje podwórze wejdzie, bo z nikim nie chcę gadać o swoim życiu, uczynkach i słowach!”

Zobaczył Mizerera nabiegłe krwią oczy Kondka, ujrzał błysk ostrza jego siekiery, ale gróźb się nie uląkł, jeno znakiem krzyża przeżegnał Kondka i jego siekiere, jego dom i jego podwórze, jego żonę i trzy córki, które stały w drzwiach domu. Wtedy z rąk Kondka wyleciała siekiera, padł on na kolana w śnieg na podwórzu, proboszcz zaś przekroczył furtkę, pochylił się ku Kondkowi, objął go swymi potężnymi ramionami i razem z nim zapłakał. Kondek dał ręką znak swej żonie, a ta z domu wyniosła zwitek banknotów – sześć razy po sześćset złotych – lecz Mizerera pieniędzy przyjąć nie chciał.

– Nie po pieniądze ja tu przyszedłem – obwieścił donośnie. – Ale jako pasterz po owcę zbłąkaną, aby ją przywieść do stada.

A potem ukląkł obok Kondka, a wraz z nim uklękły trzy córki Kondkowe, a także żona Kondka i modlili się długo i głośno. Zaraz po modlitwie zaprzągnął Kondek dwa konie do wozu i odwiózł proboszcza do Trumiejek, ale czy dał coś na kościół, nie wiadomo. Pewne tylko było, że na wiosnę nowe rynny były na kościele i deszcz w nich radośnie bełkotał. Kondek zaś odtąd bywał na mszy w Trumiejkach w każdą niedzielę i wkrótce nawet baldachim nosił podczas święta Bożego Ciała, jak przystało na bogatego gospodarza. Wypłacił też Kondek ludziom ich należność za pracę przy żniwach i choć tak naprawdę nigdy nie przestał być skąpym, to jednak od czasu do czasu staczał z sobą jakieś potężne walki, kraszone ziemniaki a także kluski ze skwarkami pozwalał jeść córkom, co spowodowało, że nie miały już takich dużych brzuchów i dwie z nich wkrótce wyszły za mąż za synów Kryszcza.

W istocie wielkim człowiekiem okazał się proboszcz Mizerera i nikt oprócz malarza Porwasza głośno na niego sarkać się nie ośmielił. Oburzał się Porwasz – który pod względem dawania na kościół, albo inne sprawy publiczne, był ostatnim z ostatnich – że proboszcz wywiera na ludzi nacisk moralny, co jest sprzeczne z zasadą wolności sumienia. A że i Porwasz był niekiedy krewki, podobnie jak Kondek, tedy postanowił napisać skargę do władz świeckich i duchownych. Niestety, Porwasz skarg ani podań nie umiał pisać i musiał udać się do pisarza Lubińskiego, który siłą rzeczy piórem najlepiej władał w całej okolicy.

Lubiński podania i skargi nie chciał jednak napisać. Dlaczego – nie wyjaśnił.

Pomaszerował więc malarz Porwasz aż na półwysep do domu doktora i o wolności sumienia zaczął z nim rozmawiać.

Niegłowicz kiwał grzecznie swoją siwiejącą głową, a wreszcie w te słowa odezwał się do Porwasza:

– Dobrze jest dyskutować o wolności sumienia, przyjacielu, ale czy nie wydaje się panu, że wprzódoby należałoby niejednemu przypomnieć, że istnieje w człowieku coś takiego jak sumienie?

Wiedział Porwasz, co doktor miał na myśli. Oto na wioskowym zebraniu uchwalono, aby złożyć się na kupno kilku par majtek i rajstop dla dzieci Porowej, które po mrozie i śniegu boso biegały. Porwasz był tym jedynym człowiekiem, co nawet złotówki ofiarować nie chciał. Rad nierad opuścił Porwasz dom doktora, potem dwadzieścia złotych dał sołtysowi na rajstopy dla dzieci Porowej, a sto złotych ofiarował na kościół parafialny. Skargi nie wniósł ani o niej nie wspominał.

I tak oto nie minęły jeszcze dwa lata i dach kościoła parafialnego w Trumiejkach był nową blachą pokryty, proboszcz Mizerera jeździł fiatem koloru yellow bahama, a wikary emzetką. Potem odremontowano plebanię i dzwonnice, proboszcz zaczął zbierać na dzwon tak potężny, żeby go było słycać w Skiroławkach, siedlisku bezbożności i pogaństwa: Na polach podfrwały radośnie stada kuropatw, w lasach zaczęło przybywać saren i jeleni, przywędrowały skądś łosie, a stada dzików pchały się na kartofliska bliżej lasów położone: Proboszcz Mizerera wkrótce został łowczym koła myśliwskiego „Ogar” i odtąd potężną władzę dzierżył nie tylko nad tymi, co łaskę wiary w sobie znaleźli Drzał przed proboszczem lud prosty, a i różni notable liczyć się z nim musieli. Opowiadano, że nawet sam pułkownik Dobiegalski z koła myśliwskiego ochrony rządu, które swój obwód łowiecki miało po sąsiedzku z obwodem koła „Ogar”, w obecności proboszcza Mizerery przestępował z nogi na nogę, gdy przyszło mu płacić rolnikom odszkodowania za zbiory zniszczone przez dziki,

Na niedzielne kazania proboszcza zjeżdżali się ludzie nawet z innych parafii, a w bardziej uroczyste święta przybywał doktor Niegłowicz oraz pisarz Lubiński. Kazania były na najróżniejsze tematy, bogate w przykłady z historii starożytnej, z żywotów świętych i ksiąg św. Augustyna. Dowiadawali się ludzie o pomyślnościach i niepomyślnościach, które najczęściej bywają wspólne ludziom dobrym i złym; o tym, co platończyk Apulejusz sądził o obyczajach i czynnościach demonów; o tym, że każda niewiasta powinna swoje przyrodzenie oraz włosy na nim myć przynajmniej tak często jak nogi; o cudach, które Bóg, posługując się także aniołami, dodać raczył do swych obietnic, aby wzmocnić wiarę ludzi pobożnych; o naturze duszy ludzkiej stworzonej na obraz Boży; o posługiwaniu się kalendarzykiem płodności; o życiu cielesnym, które wywodzi się nie tylko z uchybień ciała, ale i uchybień ducha; o tym, że Pismo Święte nie wypowiada się w kwestii, czy niewiastę należy brać od przodu czy od tyłu; co apostoł Paweł napisał o wystąpieniu Antychrysta; o Lukrecji, która pozbawiła się życia

z powodu zadanego jej gwałtu, przez co straszliwie zgrzeszyła; jakie klęski trapiły Rzymian podczas wojen punickich, gdy daremnie oczekiwali pomocy od swoich bogów; o niejakiem Warro i jego błędnych poglądach na istotę rzeczy; i tym podobne; a wyliczyć tych tematów nie sposób, taka ich była mnogość i tak przedstawiały się interesująco.

Nie ustawał zresztą proboszcz w swych wysiłkach, aby łaska wiary powróciła do serc bezbożników. Po kilka razy w roku przybywał do doktora Niegłowicza i barował się z nim potężnie.

Straszne a zarazem zadziwiające musiały to być walki.

O dziesiątej wieczorem stara Makuchowa, która była gospodynią jeszcze u chorążego Niegłowicza a mieszkała po sąsiedzku, poszła do drwalni doktora, aby przynieść sobie żywicznych szczapek do kuchni i boczną furtką weszła na podwórze, radośnie witana przez merdające ogonami wilczury. Gdy zbierała szczapki, widziała światła w salonie doktora i na własne uszy słyszała donośny głos proboszcza, któremu wtórował doktor Niegłowicz. A nie była to wcale pieśń religijna, tylko taka sobie, zwykła, świecka. Ale stara Makuchowa nigdy o tym nikomu nie powiedziała, nawet własnemu mężowi, podobnie jak nigdy nikt od niej nie słyszał, kogo zastawała w sypialni doktora, gdy przychodziła rano palić w piecach. Po śmierci starej Niegłowiczowej przy jej to boku wychowywał się młody Niegłowicz, a że sama dzieci nie miała; kochała go jak matka albo jeszcze bardziej, jakąś miłością dziką i dla świata może niezrozumiałą. I dopiero wtedy bywała naprawdę szczęśliwa, gdy doktor zjadł przygotowany przez nią obiad, a na noc miał babę, o której wiedziała, że jest zdrowa i dobrze daje. Doktor odpłacał się jej wielkim zaufaniem, nie było w jego domu tajemnic przed starą Makuchową, miała też ona dostęp do kasetki z jego pieniędzmi. Niekiedy podczas obiadu, gdy jadł, a ona stała obok i założywszy ręce na brzuchu pod fartuchem obserwowała z przyjemnością, jak porusza szczękami, opowiadał jej o swych nocnych przeżyciach, o właściwościach kobiet, które nocami gościł. Głośno się też niekiedy dziwowała: „To mówisz, Janku, że żona naczelnika gminy tak wysoko nogi zadzierała? A nie wyglądała na taką, bo uda ma grube i ciężkie. Ciekawam też, co zrobimy z panią Basięnką, ona aż się pali, żeby tu na noc wstąpić, cycki jej sterczą jak kły u dzika”. A doktor, mlaskając, mruczał: „Nic nie zrobimy z panią Basięnką. Ona jest z tych, co to się potem od człowieka nie odczepią i co, wieczór będzie przylatywać jak ta poprzednia żona pisarza. Na takie sprawy me możemy sobie pozwolić”. Makuchowa potakiwała: „Tak, tak, nie możemy sobie na coś takiego pozwolić”. I przed wieczorem, gdy zmyła talerze przygotowała

doktorowi kolację, idąc do domu przez boczną furtkę, wyobrażała sobie, jak to żona naczelnika gminy zadziera do góry grube i ciężkie uda; przedstawiała sobie, że sama jest naczelnikową i choć miała już prawie sześćdziesiąt lat, dziwna słodycz ogarniała jej ciało. Była wysoka, chuda, ale, w tych chwilach marzyła, że ma uda grube i ciężkie jak naczelnikowa, a cycki jej sterczą jak u pani Basieńki. Lecz jej mąż nie dowiedział się nigdy o tych jej przeżyciach i rozkoszach, bo myśl ludzka jest jak ptak, co może szybować wysoko w przestworzach, jeszcze wyżej niż orzeł bielik, który co roku kaczki i kury porywał z podwórza doktora, lecz doktor nie pozwalał nikomu do niego strzelać, gdyż, jak twierdził, kto orła bielika albo łabędzia zabije, tego śmierć czeka w ciągu trzech kolejnych dni od zabójstwa.

Był doktor wdowcem i żył samotnie. Współczuły więc niewiasty w Skiroławkach samotności doktora, bardziej współczuły niż go potępiały, że baby sobie zmienia. Co najwyżej rozmawiano po cichu tu i ówdzie, że doktor, zanim w kobietę wejdzie, musi ją upokorzyć, ale na czym to polegało, nikt nie wiedział, ponieważ te, co dały się upokorzyć, milczały wstydliwie, a na pytania w tej kwestii doktor odpowiadał lekceważącym machnięciem ręki.

O życiu nocnym doktora nigdy nie wypowiadał się proboszcz Mizerera, ale i o nim krążyły różne wieści, jako że życie nocne księży budzi zawsze największą ciekawość u pospólstwa. Gadano, że żyje z własną siostrą, ale wielu myśl taką odrzucało ze wzgardą, ponieważ Danuśka, siostra proboszcza Mizerery, była brzydka, wyschnięta jak smolna drzazga i raczej wiedzmę przypominała. Złośliwi twierdzili, że Mizerera z poprzedniej parafii odszedł, Ponieważ zakochała się w nim pewna nadobna niewiasta, on zaś nie okazał się dość odpornym na jej namowy i wdzięki. Opowiadano, że niekiedy, ubrany w strój cywilny, wyjeżdżał gdzieś na Wybrzeże swoim fiatem koloru Yellow Bahama i widywano podobny samochód przed pewną willą, w której mieszkała żona oficera marynarki, który w dalekie rejsy wypływał. Złośliwi ludzie bywają wszędzie, także w Skiroławkach oraz w Trumiejkach, ale jeśli brać pod uwagę nie plotki, tylko szczere fakty, to proboszcz Mizerera był człowiekiem nad wyraz odpornym na cielesne pokusy – jako że strasznie nachalne bywają niewiasty, gdy proboszcz jest przystojny, w sile wieku i głos ma donośny jak grzmot burzy, Zaiste, wielki hart i siłę ducha wykazywał proboszcz Mizerera w tych sprawach i żadna kobieta w parafii Trumiejki nie mogła się pochwalić, że proboszcz nawet jej rękę w swej dłoni dłużej przytrzymał, niż to było potrzebne, nie mówiąc o tym, aby położył swoją dłoń na innym miejscu kobiety niż czoło. Tedy plotki złośliwe okazywały się jak plewy, a prawda jako wiatr, który plewy rozwiewa.

Doktor Niegłowicz uważany był w okolicy za człowieka wielkiego ducha. Ale i proboszcz Mizerera nie był duchowym ułomkiem, a nawet zapewne chwilami większą miał siłę, jako że za nim jeszcze duchowe moce stały, O pierwszej w nocy poddał się doktor Niegłowicz i legł z głową na stole. A wtedy proboszcz Mizerera wziął go na ręce jak samą zabita i poniósł do sypialni, gdzie rozebrawszy delikatnie ułożył go w wielkim drewnianym łóżku, w którym sypiał niegdyś chorąży Niegłowicz wraz ze swoją małżonką, a po jej śmierci z Makuchową. Potem wrócił proboszcz Mizerera do salonu, nalał sobie jeszcze jeden kieliszek wiśniówki, przegryzł kawaleczkiem wieprzowej pieczeni i starannie wygasiwszy światła także poszedł do sypialni. Zdjął sutannę, położył ją na oparciu krzesła, zsunął spodnie i w kostkę ułożył na siedzeniu krzesła. W białym podkoszulku i długich kalesonach legł obok doktora Niegłowicza, i po sekundzie sypialnię wypełniło głośne chrapanie dwóch potężnych a sprawiedliwych mężów, którzy dokonawszy ogromnych zmagania, zasłużyli sobie na wypoczynek godny ich wieku, rozumu oraz stanu.

O TYM, CO ITAJ ODPOWIEDZIAŁ KRÓLOWI

Pewnego dnia Aronowi Ziembie, który w miasteczku Barty prowadził świetlicę dla robotników leśnych, zepsuł się koło Skiroławek motocykl. Poprowadził więc Aron Ziembra zepsutą maszynę aż do kuźni kowala Zygfyda Malawki, znanego szeroko z tego, że potrafił każdą maszynę zreperować. Drugim człowiekiem w wiosce znajdującym się na motocyklach był drwal Jarosz, ale Aron Ziembra wolał Zygfyda Malawkę, ponieważ żona Malawki wywodziła się z okolic Bart. Przedstawiał się bowiem Aron Ziembra jako działacz społeczny zaginionego plemienia Bartów, w ich imieniu lubił przemawiać i ich tajemnic strzegł. A jak przystało na prawdziwego Bartę nie lubił ludzi z plemienia Baudów, których przedstawicielem okrzyczał się niejaki Bruno Kriwka. Kowal Zygfyd Malawka urodził się w Skiroławkach, leżących nad jeziorem Baudy, do Baudów więc go należało zaliczyć, ale skoro żonę miał z okolic Bart, tedy – jak sądził Aron Ziembra – także i Bartom musiał po cichu sprzyjać. Dlatego śmiało i nie zwlekając motocykl swój poprowadził do kuźni.

Tak dla Arona Ziemby, jak i Bruna Kriwki liczył się jedynie czas zaprzeszły. Tymczasem w czasie przeszłym, gdy to płonęły śniegi, a człowiek zabijał człowieka dla kromki chleba lub – jeszcze gorzej – dla jakowejś idei, kowal Zygfyd Malawka

pięć lat wojował, potem pięć lat przesiedział w niewoli, a kiedy wrócił do Skiroławek, po jego żonie oraz trójce dzieci ani śladu, ani grobu, ani żadnej wieści nie pozostało. Ziemię Malawki orali obcy ludzie i tylko kuźnia, i kryty strzechą dom stały na dawnym miejscu. Gdy przekonał się o tym Zygryd Malawka – po prostu zaniemógł i odtąd do nikogo ani słowem się nie odzywał, podobnie jak z czasem mąż Gertrudy Makuch. Najbardziej zresztą nie lubił pytań o czas przeszły, gdyż w przeciwieństwie do Szulca albo sołtysa Wątrucha, którzy także w obcym wojsku służyli, ale – jak mówili – nigdy do nikogo nie strzelali, on dobrze wiedział, choć nie chciał o tym mówić, że z jego to winy na dalekich i bezkresnych stepach wiele pozostało wdów i sierot. Cztery razy w tygodniu kowal Malawka otwierał swoją kuźnię, rozpalał ogień na palenisku, a to i owo robiąc dla okolicznych ludzi, starał się zarobić na kilka butelek wódki. A kiedy miał już ową wódkę, zamykał się w swym domu krytym strzechą i pił samotnie przez dwa lub trzy dni. Od czasu do czasu pomieszkiwała u niego jakaś niewiasta, taka, którą mąż zbytnio pobił albo z domu wypędził, był bowiem Malawka mężczyzną roslim, wspaniale umięśnionym i niezwykle silnym. Nawet w wieku sześćdziesięciu lat giął w dłoniach grube sztaby żelazne, a deskę potrafił przepiłować w ten sposób, że lewą ręką trzymał ją w powietrzu, a prawą ciął piłą. Nigdy się jednak do nikogo nie odzywał, a zapłatę za robotę uzgadniał posługując się wystawionymi do góry palcami. Do niewiast, które go odwiedzały, a niekiedy i pomieszkiwały, także nic nie mówił, dlatego od niego odchodziły do mężów, z czego wynika, że niewiasta woli być bita niż skazana na milczenie.

Owego dnia przyprowadził Aron Ziembra swój motocykl przed kuźnię Zygryda Malawki i tak do niego przemówił:

– Napisano w drugiej księdze Samuelowej w rozdziale piętnastym: „Odpowiedział Itaj królowi, mówiąc: Jako żywy Pan, jako żywy też król pan mój, że, na któremkolwiek miejscu będzie król, pan mój, choć w śmierci, choć w żywocie, tam też będzie sługa twój”. Z Baudów pochodzisz, Zygrydzie, ale twoja żona była z Bartów. A jak księga Mojżeszowa powiada: „opuści mąż ojca i matkę, a przyłączy się do żony swojej”. Przypominam ci więc, że Bartów jestem przedstawicielem, to jest jakby ich królem, stąd moja śmiałość, aby cię Prosić o naprawę motocykla. Po żonie bowiem swojej do Bartów się zaliczasz, a nie do Baudów, którzy mieli ohydny zwyczaj wieszania się na szubienicy zbudowanej ongiś na Świńskiej Łące za Skiroławkami.

Na dworze był mróz siarczysty, ale na palenisku kuźni gorzał potężny Płomień. Nagi i czarny od dymu tors kowala Malawki opływał potem, mięśnie przedziwnie drżały mu pod skórą. Na kowadle miał Malawka rozgrzany do czerwoności gruby

płaskownik i uderzeniami młota czynił z kawałka żelaza coś w rodzaju pięknego liścia klonu, który zamówił u niego pisarz Nepomucen Maria Lubiński, aby – umieszczony na dachu jego domu – wskazywał kierunek wiatru. Czerwono-złote iskry raz po raz sypały się pod nogi Ary Ziembę, zachwycająca była gra mięśni pod lśniącą od potu skórą Malawki i Ziembę się zdało, że przybył do pałacu legendarnego Tora, Odynowego syna o którym przed wiekami opowiadali Goci, uciskający Bartów. Wojownicy gocy używali mieczów, ale ich bóg, Tor, posługiwał się jedynie młotem, podobnie jak kowal Malawka.

– Człowiek prawdziwy, Zygrydzie – mówił dalej Aron Ziembę powinien pamiętać nie tylko o czasie przeszłym, ale i zaprzyszłym. Szanować musimy naszą inność, która się nazywa tożsamością. Wiem, że w lipcu każdy roku przybywa do was Bruno Kriwka i uczy, jak uśmiechać się tylko połową twarzy, a połową twarzy się krzywić, aby nikt nie sądził, że jesteście zadowoleni ani nikt nie myślał, że jesteście niezadowoleni. Ale nie mówi wam Kriwka, kto połową twarzy należy się uśmiechać, a którą krzywić. Otóż, jeśli naprawisz mi motocykl, zdradzę ci, Zygrydzie, którą połową twarzy należy się krzywić. Gnębili nas Goci, Wikingowie i Kawalerowie Maltańscy, a ty teraz, jak słyszałem, piękny liść klonowy robisz dla obcego człowieka. Porzuć tę robotę i weź się za reperację mojego motocykla. Jeśli oderwiesz się od wspólnoty, na manowce zejdiesz i tożsamość swoją stracisz, a to jest to samo, jakbyś własną duszę diabłu zaprzedał.

Szybsze stały się uderzenia kowalowego młota i Aron Ziembę osypany czerwono-złotymi iskrami aż za próg kuźni się cofnął, żeby kozuch mu się nie przypalił.

– Nie wierzysz chyba, Zygrydzie, w to, co sto pięćdziesiąt lat temu napisał o Bartach nauczyciel Herman Kowalik, że Bartowie mu konie z pastwiska ukradli. Zrobili to Cyganie, nikt inny tylko Cyganie. Lud nasz zaginiony doznał wielu krzywd od tamtych i owych, dlatego musimy się trzymać razem i reperować sobie zepsute motocykle. To przecież nie jest prawdą, że trzymaliśmy z tamtymi, którzy nas potem do obcego wojska wzięli, bo nigdy nie trzymaliśmy ani z tymi, ani z tamtymi, ale zawsze chcieliśmy być tylko Baudami i Bartami, nikim więcej.

Kowal Zygryd Malawka zaprzestał walenia młotem w rozgrzane żelazo na kowadle. Liść klonu był już gotowy i pięknie ukształtowany. Wyprostował się Malawka, otarł pot z czoła i wejrzał na Arona Ziembę, na jego dużą czarną brodę, taką samą jaką nosił Bruno Kriwka. Zobaczył, że Ziembę uśmiecha się do niego prawą połową twarzy, a lewą krzywi niemiłosiernie, jakby z niego sobie szydził. I taka go złość na Ziembę ogarnęła, że podniósł do góry swój kowalski młot, aby nim Ziembę uderzyć, lecz ten, zorientowawszy się w jego zamiarze, uciekł przed kuźni, zabrał swój motocykl i

poprowadził do kowala Jarosza, który mu go szybko zreperował. Albowiem przypomniał sobie Zygryd Malawka to, co mu jego ojciec opowiadał. Zapytano kiedyś Baudów i Bartów za kim trzymają i odpowiedzieli, że za nikim. „My jesteśmy Nikt” – powtarzał polem księżę Reuss z Trumiejek, Kawaler Maltański. Dlatego Zygryd Malawka pięć lat walczył, pięć lat przesiedział w niewoli, a kiedy wrócił do Skiroławek, nie znalazł ani śladu, ani grobu, ani wieści o swej żonie i trójce dzieci.

Poskarżył się ludziom Aron Ziemba na kowala. Odtąd też przyjęły się wśród ludzi dwa porzekadła. „Milczy jak kowal Malawka”. „Przyszedł ze sprawą, jak Ziemba z motocyklem”.

Z przygody Arona Ziemby często śmiali się Antoni Pasemko i sołtys Jonasz Wątruch, ludzie tak różni wiekiem i usposobieniem. Spotykali się oni ze sobą i długo rozmawiali. Obydwu bowiem nieustannie dręczyło pytanie: – czy naprawdę ziemią włada Szatan?

O STADZIE GAWRONÓW, RÓŻNYCH CHOROBACH I WIELKIEJ TAJEMNICY, KTÓRA UJAWNIONA ZOSTAŁA PANNIE JÓZI

Do Skiroławek przyleciało wielkie stado gawronów. Najpierw obsiadły rozgrzebany stóg słomy, który pod lasem na polu starego Kryszcza od roku już tkwił bezużytecznie. Potem rozlażyły się po ośnieżonych polach, co jakiś czas przysiadając na gałęziach samotnych grusz na miedzach, albo na stwardniałych od mrozu grudach ziemi, którą tu i ówdzie wiatr ze śniegu obnażył. Duże, ciężkie ptaki o lśniących jak sadza skrzydłach i drapieżnych dziobach wypełniały zimową ciszę żalonym krakaniem. Małe ich stadko, kracząc przeraźliwie, jakiś czas krążyło nad krytym eternitem domem malarza Porwasza, a następnie usiadło na łące tuż koło domu pisarza Lubińskiego. Czego tam szukały, nie wiadomo, ale dość długo wrzeszczały w bezlistnych gałęziach starego sadu wiśniowego, aż w końcu Lubiński wyszedł na swój taras i dwukrotnie wystrzelił do nich ze swej angielskiej dubeltówki. Gawrona żadnego nie zabił, spłoszone tylko przeniosły się pod szkołę, a potem bliżej sklepu i rybaczówki, gdzie żer znalazły – wyrzuconą na lód drobnicę rybną. Wieczorem znikły, a rano widziano je już o czternaście kilometrów dalej, na polach koło miasteczka Barty. W Skiroławkach pozostała tylko para starych kruków, która miała gniazdo na skraju lasu, na wysokiej aż do nieba sośnie, i latem czy zimą krążyła wysoko nad dachami domów, nawołując się przejmująco i wypatrując

padliny. Ale do tych dwóch czarnych ptaków ludzie byli przyzwyczajeni, bo mieszkali na owej sośnie od niepamiętnych czasów.

Wraz z gawronami przyleciały do wioski nowe troski. Cieśla Sewruk nagle obwieścił przed sklepem, że podjął ostateczną i nieodwołalną decyzję: utopi się. Ponieważ nie może znieść ciężaru długów jakie na nim spoczywają i od czasu do czasu jawią się przed oczyma w postaci komornika państwowego. Kiedy i gdzie dokona swego czynu, tego cieśla Sewruk jeszcze nie wyjawiał, bo sam nie wiedział, ale pewną sprawą było, że stanie się to wkrótce, może jutro lub po jutrze, gdyż jutro lub pojutrze znowu zapowiedziano mu komornika. Życzliwi ludzie radzili Sewrukowi, aby raczej wybrał śmierć przez powieszenie, ponieważ lód na jeziorze miał już grubość dłoni męskiej, ale cieśla Sewruk upierał się przy swoim, a wreszcie stwierdził, że skoro ma trzech dorastających synów, to mogą dla niego zrobić choćby tyle, aby lód porąbać w tym miejscu, gdzie będzie się topił. Omawiano tę kwestię długo i dokładnie, a że Sewruk rzecz jasna nie miał przy sobie ani grosza, więc rozmówcy i doradcy raz po raz wbiegali do sklepu po tanie wino. Tedy choć narada rozpoczęła się o dwunastej w południe, o trzeciej cieśla Sewruk wrócił do domu zupełnie pijany.

W tym samym czasie pojawił się w wiosce instruktor rolny, młodzieniec nazwiskiem Różyczka i najpierw odwiedził gospodarstwo Kondka, a potem Szulca, Słodowika i Kryszczaka. Poprzedniego dnia wezwał do siebie Różyczkę naczelnik Urzędu Gminnego w Trumiejkach, magister inżynier Stanisław Gwiazda, lat trzydzieści trzy, mizernej postury, ale, jak twierdzono w województwie, o wielkim politycznym rozumie.

– W marcu a najdalej w kwietniu – powiedział do Różyczki naczelnik odbędą się wybory sołtysów. W Skiroławkach od dwunastu lat sołtysuje Jonasz Wątruch, który, jak wiadomo, wierzy, że ziemią rządzi Szatan. Uważam to za błąd, który odziedziczyłem po swoich poprzednikach. Nie będzie w mojej gminie sołtysiem taki osobnik. Słyszałem, że jego kandydaturę popierać zamierza doktor Niegłowicz, ale wiem takie, że wielu jest takich w Skiroławkach, co z sołtysowania Wątrucha nie są zadowoleni. Pojedziecie do Skiroławek, kolego Różyczka, i pogadacie z ludźmi, niech zgłoszą innego kandydata.

Tak mówił naczelnik Gwiazda, bo nie lubił doktora. Doszły do niego w swoim czasie słuchy, że jego żona, Jadwiga Gwiazda, zamiast do rodziców swoich, ponoć do doktora w Skiroławkach na noc, a nieraz na noc i dzień, i jeszcze jedną noc jeździła i chyba swoim obyczajem wysoko grube uda zadzierała. Ale nie tym się przejmował naczelnik. Jak każdy kurdupeł pragnął kobiety dużej, szerokiej, toteż i taką sobie wziął, i począł z nią dwoje dzieci, syna i dorodną córkę. Miała owa Jadwiga wzrost potężny

i szeroką budowę, była co najmniej o dwie głowy wyższa od naczelnika. Kiedyś lubił on polegiwać między jej zadartymi udami jak w kolebce, nawet w ten sposób do snu go umiała ukołysać, kiedy był bardziej spracowany. Ale z biegiem czasu, czując nad nim swoją fizyczną przewagę, po głębie go zaczęła bić z byle powodu i to przy, dzieciach. Gdy przed trzema laty nastał w Trumiejkach, dziewczynę młodziutką sobie upatrzył, urzędniczkę najniższej rangi imieniem Marylka – małą, drobną, wiecznie zakatarzoną, z udami wątlymi jak u żabki – i z nią miał wielką przyjemność, zabierając do hotelu na różne narady w mieście wojewódzkim. Nikt go o romans z ową Marylką nie posądzał, bo kto miał oczy w głowie nawet na nią spojrzenia łaskawego nie rzucił, takie to było niewyrośnięte, zagłodzone i do tego z wiecznym katarem. Lecz jemu wszystko się w niej podobało: krzywe i wątłe nóżki, tak samo cienkie w udach jak i w kostce, sterczące łopatki w przygarbionych trochę plecach, kosmyki rzadkich i wypłowiałych włosów, piersiątko maleńkie i blade jak plasterki cytryny, przyrodzenie z runem tak obfitym i bogatym, jakby natura dała jej tam w nadmiarze to, czego poskąpiła na głowie, Naczelnik Gwiazda często myślał o pannie Marylce i przyjemności jaką mu sprawiała, gdy kładł swoją szorstką dłoń na owym runie szorstkim, ale bogatym, a ona mówiła mu wówczas, siąkając nosem: „Ach, Stasiu, jaki ty jesteś świntuch”. Tak w ogóle, to rzadko się z nią spotykał i pieszczotą darzył, ponieważ był przezorny i ostrożny jak lis. Niekiedy chodząc po Trumiejkach marzył, że jest królem potężnym, który Marylkę mógłby w jakimś zamku osadzić, strażami wiernymi otoczyć i odwiedzać dwa razy w tygodniu w masce na twarzy. A że był w rzeczy samej naczelnikiem, tedy z czasem Marylkę udało mu się osadzić na posadzie w gminnej spółdzielni w Bartach, pokoił jej wynajął, ale nawet i tam do niej nigdy nie jeździł osobiście, tylko liścik słał przed każdorazowym spotkaniem. Albowiem bał się swojej żony. I nawet był rad, że Jadwiga do rodziców niekiedy wyjeżdża, i przez jakiś czas cichą wdzięczność do doktora Niegłowicza nosił w sercu, Krótco jednak, bowiem Jadwiga po tych wizytach jeszcze bardziej zhardziała i jeszcze częściej go biła, także i przy dzieciach. Oto dlaczego naczelnik Gwiazda nie lubił doktora i nie chciał, aby sołtysem został jego kandydat, Jonasz Wątruch. Inna sprawa, że Jonasz Wątruch faktycznie wierzył w panowanie Szatana, co mogło budzić wątpliwość, czy należy takiej osobie powierzać urzędową władzę nawet w tak odległej wiosce jak Skiroławki.

Instruktor rolny Różyca zjawił się więc w wiosce ubrany w czarne paletko i czarną czapkę, chodził od zagrody do zagrody, przypominając niektórym gawrona z tego stada, co to troski przyniosło do Skiroławek. W rzeczy samej podobnie jak gawron podskakiwał. A to dlatego, że mróz tego dnia dawał się we znaki, a instruktor rolny

Różyczka, choć miał dopiero dwadzieścia dwa lata, wiedział już, że jako urzędnik powinien chodzić w pantoflach a nie filcowych butach, nosić palto, a nie fufajkę. Marzył tedy, i z tego powodu, idąc od zagrody do zagrody, podskakiwał na śniegu, aby rozgrzać swoje stopy.

Tak oto do Jonasza Wątrucha ni stąd, ni zowąd przyleciała czarna troska, że nie będzie już dłużej sołtysem w Skiroławkach, bo taka jest wola naczelnika Gwiazdy. Przyniosła mu tę troskę ze sklepu jego żona Maria, kobieta małomówna i nad wyraz łagodna ową cudowną łagodnością, którą tylko niektóre kobiety obdarzono. Słodka to łagodność, cicha i powolna mężczyźnie, radosna i powabna, kojąca serce i umysł. Nie było nigdy słycać babskiego jazgotu w domu Wątrucha, tylko szmer kobiecej krzątanimy koło pieca i garnków, koło krów i trzody. Nawet na kury i kaczki wołała Wątruchowa głosem łagodnym, niezbyt donośnym. Zawsze też uśmiech był na jej twarzy, ale nie szeroki i prostacki, ale wąty i delikatny jak powiew majowego wiatru. Jedyna córka Wątruchów, również Maria, podobna była do matki, wysoka i piersiasta, z długim grubym warkoczem i tą samą łagodnością, i powolnością w ruchach. Nigdy nie odwiedziła żadnej wiejskiej zabawy, w polu lubiła pracować, również przy krowach i świniach, I uśmiechała się tak samo łagodnie jak matka, gdy ktoś drogą koło domu przejeżdżał i uśmiech jej posyłał. Ale oprócz owego wątego i ożywczego jak majowy wietrzyk uśmiechu, niczego innego od owej Marii nikt się nie mógł doprosić, choćby urodę miał wielką, wąs długi, brodę albo zgoła co dzień rano się golił i mył. Dziewiętnaście lat miała Maria, kiedy ją bóle i gorączka tak okropne ogarnęły, że Wątruch poszedł po doktora Niegłowicza, a ten wezwał natychmiast karetkę pogotowia i razem z chorą pojechał do szpitala, gdzie po dwóch dniach zmarła. „To było zapalenie wyrostka robaczkowego – powiedział doktor do Jonasza Wątrucha i innych ludzi w Skiroławkach. – Gdyby Maria wcześniej powiedziała o bólach, w brzuchu i wcześniej trafiła do szpitala, wszystko skończyłoby się inaczej. Ale nastąpiło zapalenie otrzewnej, a na to nie ma lekarstwa”. Pochowano młodą Marię i długo w ludzkiej pamięci pozostała jej szczupła, wysoka postać, wyniosłe piersi, gruby warkocz, gładka twarz, niebieskie oczy, nikły i orzeźwiający uśmiech. To właśnie młodą Marię starał się wskrzesić na kartach swej książki pisarz Lubiński, jako piękną Luizę, nauczycielkę wiejską, bo i on nie mógł zapomnieć jej sylwetki i uśmiechu podobnego do majowego wietrzyka. Zdarzyło się jednak, że, w trzy miesiące po pogrzebie Marii, w tym samym szpitalu znalazła się żona młodego Galembki, która miała kłopoty z donoszeniem ciąży i jak wszystkie proste kobiety, gdy leniwą się w łóżkach szpitalnych, świntuszyły sobie gadaniem bez miary. Dowiedziała się Galembkowa, że przed trzema miesiącami zmarła w tym samym

szpitalu podczas operacji pewna dziewczyna, która włożyła sobie w intymne miejsce jakąś rzecz i wyjąć już nie potrafiła, a że wstydziła się komukolwiek przyznać do tego, długo znosiła bóle i cierpienia, aż wreszcie dostała strasznego zapalenia i wysokiej gorączki. Operowano ją w szpitalu, ale zmarła pod nożami chirurgów. I po powrocie do domu opowiedziała o tym Galembkowi, a nie wiedząc czemu ludzie zaraz sobie pomyśleli o młodej Marii Wątruch. Pomyśleli i gadać zaczęli, ku oburzeniu pisarza Lubińskiego, dla którego zmarła Maria była zarazem piękną Luizą.

– Ludzie są strasznie podli – powiedział pisarz do doktora Niegłowicza. – Podli są, bo kłamią.

– Tak – zgodził się z nim doktor Niegłowicz. I dodał: – A niektórzy są jeszcze bardziej podli, bo mówią prawdę.

Ale tego pisarz Lubiński chyba nie słyszał, tak go pochłonęło wspomnienie dziewczyny z uśmiechem orzeźwiającym jak wietrzyk majowy.

Jonasz Wątruch przyjął śmierć córki mężnie i bez skargi. I podobnie – choć były to tak odległe i tak różne wydarzenia – bez skargi i żalu odniósł się do wieści, że naczelnik Gwiazda nie chce, aby on był sołtysiem w Skiroławkach. Ale ani myślał zrezygnować z sołectwa. Do żony swojej, równie łagodnej jak ich zmarła córka, powiedział słowami Hioba: „Póki dech we mnie, nie odstąpię od niewinności mojej”.

Stado gawronów tylko jeden dzień kręciło się w Skiroławkach i odleciało w stronę Bart, ale troski w wiosce pozostały na dłużej. Słyszała panna Józia, która już prawie dwa tygodnie mieszkała u malarza Porwasza, głośne krakanie gawronów nad dachem domu ukochanego, widziała nawet przez duże okno jego pracowni jak wielkie, czarne, jakby unurzane w sadzy ptaki krążą nad łąką i trzcinami u brzegu jeziora, a potem odlatują gdzieś bardzo daleko, i raptem poczuła, że ogarnia ją ogromny smutek. Nie uświadamiała sobie, gdzie jest jego źródło, Czy smutek ów napływa przez szklaną ścianę w domu malarza Porwasza, od strony martwej pustyni zamarzniętego i pokrytego śniegiem jeziora, z podobną do włochatej brodawki kępą czarnych drzew – Czaplej Wyspy? Czy może przychodzi z nieba, które wisiało nad tą martwą bielą, nieba o barwie wody odlanej ze źle obranych ziemniaków? Czy też uczucie to rodzi się gdzieś w głębinach jej brzucha, rozchodzi się w okolicach serca, a następnie przedostaje do głowy i myśli, które stawały się coraz smutniejsze i smutniejsze?

Malarz Porwasz od wczesnego rana aż do zmroku malował w swej pracowni martwe trzciny, zarastające brzeg jeziora. Robił to z ogromnym zapałem, pochłonięty całkowicie swoim zajęciem. W pracowni unosił się kwaśny zapach farb, a panna Józia

wdychała go, leżąc na ogromnym tapczanie i gryząc tanie herbatniki. Trzciny malarza nawet jej się podobały, bo każda z nich była inna, przypominały tłum ludzki, w którym – jak mu się tak bliżej przyjrzeć – każda twarz jest jednak inna, niepodobna do drugiej, osobnicza. Ale te rude i rdzawe trzciny przysypane śniegiem także miały w sobie coś bardzo melancholijnego, dlatego panna Józia wdychała patrząc na nie i myślała, że została przez Porwasza oszukana. Bo malarz ani razu nie wybrał się do wspomnianej kiedyś tuczami drobiu i nie przywiózł żołądków gęsich lub kurzych. Na śniadanie jedli codziennie jajecznicę, na obiad mięsno-warzywną konserwę, po której panna Józia czuła burczenie w brzuchu i zbierało jej się na mdłości. Kolację stanowił żółty ser, smaczny, ale przecież ile razy można go jeść?

Tapczan w pracowni Porwasza był wygodny, dwa piece kafłowe dobrze grzały, a wieczorami, dla podniesienia nastroju, malarz rozpałał polana brzozone na kominku. Bo jego pracownia była zarazem sypialnią, łazienką, kuchnią i w ogóle całym mieszkaniem, choć miał więcej pokoiów w swym dachowcu, ale tamtych nie opalał i na szybach połyskiwały kwiaty mrozu. Od leżenia na tapczanie pannę Józję bolały boki, nocami nie mogła spać, bo sypiała w dzień znużona obserwacją zajętego malowaniem Porwasza. Nudziły ją także rozmowy z malarzem, przeważnie o baronie Abendteuer. Dla rozprostowania kości albo dla załatwienia potrzeby panna Józia wstawała z tapczanu i w za dużym jak na nią szlafroku Porwasza szła do ubikacji albo zbliżała się do okna, żeby znowu zobaczyć martwą biel i skrawek czerwonego dachu domu doktora Niegłowicza na półwyspie. Pozostałej części domu już nie widziała, jako że właśnie w tym miejscu brzeg zarastały wysokie olchy. Patrząc na ów czerwony, tu i ówdzie przyprószone bielą dach domu doktora, wysuwała z ust koniec swojego języczka i dotykała nim warg, stwierdzając, że są dziwnie suche, jakby traci, Swoją świeżość. Spieszyła więc do lusterka, aby upewnić się, czy i jej oczy nie tracą połysku, a policzki różowości. Coraz częściej też wspominała chwile rozmowy z doktorem podczas sylwestrowej nocy, ostre spojrzenie jego oczu za okularami, jego siwe skronie.

Ciekawam, ile lat ma wasz doktor? – zapytała pewnego razu, stojąc przed szklaną ścianą pracowni.

Doktor? Czterdzieści i pięć – powiedział obojętnie Porwasz, nie odrywając oczu od swego nowego obrazu.

Panna Józia westchnęła cichutko.

– Wygląda bardzo młodo, zresztą, jakie znaczenie ma wiek u mężczyzny Ciekawam, dlaczego się nie ożenił?

– Przywykł do wygodnego życia i smacznego żarcia. Ma gospodynię niejaką

Makuchową, która dba mu o dom i spiżarnię. On zaś lubi obrabiać mężatki. Tak było z poprzednią żoną Lubińskiego. I z tą nową też romansuje.

– Nieprawda – odparła zdecydowanie – to właśnie ona na niego leci Wyczuwałam to, gdy jechaliśmy jego samochodem w noc sylwestrową. Kobiet nigdy nie myślą się w takich sprawach.

– Niektórzy we wsi gadają, że doktor musi najpierw upokorzyć kobiet zanim w nią wejdzie – stwierdził Porwasz, bo chciał Józii obrzydzić doktora.

W istocie pannę Józję przez moment aż dreszcz wstrętu ogarnął, bo wyobraziła sobie, że doktor robi z kobietą właśnie to, o czym słyszała, że niektórzy robią, a co zawsze wydawało się jej czymś najobrzydliwszym na świecie. Przez jakiś czas leżała więc w milczeniu, zastanawiając się nad tą sprawą i rozważając różne możliwości upokorzenia kobiety. Wreszcie zapytała:

– A w jaki sposób doktor upokarza kobietę, zanim w nią wejdzie?

– Nie wiem – wzruszył ramionami Porwasz, kładąc na skrawku bieli nieco brązu.

– Nie wiesz – niemal z tryumfem podchwyciła panna Józia.

– A niby skąd mam wiedzieć? Mężczyźni nie rozmawiają ze sobą o takich świństwach – oburzył się Porwasz.

– Kobietę można bardzo różnie upokorzyć – po chwili milczenia znowu odezwała się. – Szkoda, że tego nie wiesz.

Tego dnia już nie było mowy o doktorze Niegłowiczu. Ale panna Józia myślała o nim długo w nocy i myślała o nim rano. A jak się tak wiele rozmyśla o lekarzu, to zazwyczaj potem przychodzą myśli o chorobach. I nazajutrz rano poczuła, że jest chora. W nocy, gdy malarz Porwasz usiłował włożyć jej dłoń między uda, odsunęła się od niego. „Dziś nie można. Boli mnie w środku. Może znowu mam kłopot z jajnikami”.

Rano oświadczyła Porwaszowi, że boli ją w brzuchu i czuje się bardzo źle.

– To wina pogody. Patrz, jaka zawieja za oknem – stwierdził malarz Porwasz, zły, że padający za oknem śnieg zasłania mu widok nadbrzeżnych trzcin. – Zresztą, zmierz temperaturę. Termometr powinien być tu gdzieś w pracowni. Może na półce z farbami? A może na półce z werniksem?

Nie było termometru na półce z farbami, z olejem i werniksem. Znalazła go panna Józia po półgodzinnych poszukiwaniach na półce między śmierdzącymi skarpetkami, gdzie, sądząc po ilości mysich bobków, przez całą jesień mieszkaly myszy.

Panna Józia wcisnęła pod pachę termometr, lecz gdy po jakimś czasie go wyjęła, stwierdziła, że wskazuje trzydzieści sześć stopni i sześć kresiek. Zaparzyła więc sobie herbaty, poczekała aż przestygnie i włożyła do niej koniec termometru. Wskazał prawie

czterdzieści stopni. Wobec tego nieco go strząsnęła, aż słupek rtęci spadł do trzydziestu ośmiu stopni i wtedy pokazała go Porwaszowi, który – choć za oknem trwała zamięć – wykańcał obraz z trzciniami nad jeziorem.

– To chyba przeziębienie – mruknął malarz. – Trzeba będzie zatelefonować po doktora.

Pokręcił korbą staroświeckiego telefonu, jakie jeszcze tu i ówdzie bywają, szczególnie w wioskach tak odległych jak Skiroławki. Niestety, doktora w domu nie było. Makuchowa obiecała jednak, że gdy wróci z ośrodka zdrowia w Trumiejkach, powiadomi go o telefonie malarza.

A panna Józia zagrzała wody w kolumience w łazience i wykąpała się. Intymne miejsce oraz pod pachami spryskała dezodorantem o nazwie „świeży zielony” i w krótkiej hałeczce położyła się pod kołdrą na tapczanie.

Tymczasem za wielkimi oknami pracowni malarza walił gęsty śnieg. Zasłona wirujących płatków opadła na martwą połąć zamarzonego jeziora, na skrawek dachu domu doktora, na przybrzeżne trzciny. Panna Józia, która niecierpliwie i z tęsknotą wpatrywała się w okno, po jakimś czasie odniosła wrażenie, że wirują nie płatki śniegu, ale jej tapczan i ona sama, zwabiona w te straszne strony przez wychudzonego kudłacza. „Z głodu kręci mi się w głowie” – doszła do wniosku, mając świadomość, że w kuchni leży kilka kawałków sera i stoi słoik wstrętnych pulpetów w sosie pomidorowym. Niczego innego nie było w sklepie w Skiroławkach. Malarz Porwasz nie wydawał się jej już niezwykłym artystą z piękną szopą nieco kręconych włosów i przenikliwym wejrzeniem czarnych pałających oczu. Przystawały też ją zachwycać jego wąskie biodra wciśnięte w aksamitne spodnie, pierścienie ciemnych loków, wychylających się z rozpiętej na piersi czarnej koszuli, którą malarz zmieniał dość rzadko. Zdawało jej się, że po prawie dwutygodniowej znajomości potrafi go przeświecić swoim wzrokiem, widzi w nim żołądek podobny do kapciucha ze źle wygarbowanej skóry baraniej. W takim kapciuchu trzymała kiedyś pieniądze i różne drobiazgi. Żołądek Porwasza można by wypełnić nawet kamieniami i malarz czułby się syty. Ale jej żołądek był inny, delikatny, wrażliwy i różowawy, jak owe usteczka, które teraz zamknęła przed nim swoimi ściśniętymi mocno udami. „Nie dam mu” – myślała o Porwaszu ze złością. – „Nie dam mu więcej”, Porwasz zaś, nieświadom jej decyzji, pomrukiwał coś niezrozumiale, poprawiając obraz na sztalugach, bełkotał do siebie jakieś złorzeczenia, Ponieważ z powodu zamięci śnieżnej, a takie późnej pory, robiło się ciemno. Coraz wolniejsze i rzadsze były ruchy pędzla w dłoni Porwasza, a myśli jego szybowaly

poprzez zamieć śnieżną w dalekie przestrzenie, ku baronowi nazwiskiem Abendteuer, który być może właśnie w tej chwili w swym paryskim sklepiku pokazywał jakiemuś turyście w futrze z piżmaków obraz Porwasza „trzciny nad jeziorem”. „Ten obraz będzie jeszcze bardziej trzciniowaty, a biel na nim jeszcze bardziej śniegowa” – pomrukiwał malarz w sobie tylko zrozumiałym Porwaszowym języku, pełnym nieartykułowanych dźwięków, stęknień, pojękiwań i świstów, które zawsze z siebie wydobywał, ilekroć tworzył kolejne dzieło. Jeszcze przed dwoma tygodniami panna Józia słuchała owych szeptów, świstów, stęknień i westchnień jak ciekawej i podniecającej muzyki, ale teraz odnosiła wrażenie, że malarz jest małym chłopcem, który tworzy swe dzieło siedząc na nocniku.

– Mógłbyś tak, Boguś, obrać trochę ziemniaków – odezwała się jękliwie.

– Maluję – upomniał ją surowo i zapalił światło w pracowni. Nawet nie wysiłił się, aby zrozumieć uczucia i pragnienia panny Józii. Bo czy baron Abendteuer wzięłby to pod uwagę, oglądając jego nowy obraz – „trzciny nad jeziorem”? Liczyły się tylko plamy, linie, faktura, rozmieszczenie barw – ochry, żółci i czerni, a także bieli, tej trudnej do osiągnięcia bieli śniegu.

W elektrycznym świetle obraz na sztalugach wydał się Porwaszowi jakiś obcy i wrogi. Odstąpił od niego trzy kroki, zgarbił się, wcisnął głowę w ramiona, jakby miał zamiar go zaatakować na podobieństwo rozjuszonego byka. I właśnie wtedy rozległo się pukanie do drzwi domu Porwasza, Przybył doktor Jan Krystian Niegłowicz, od stóp do głowy zasypany płatkami śniegu, z twarzą poróżowiałą od mrozu. Jego okulary były zalepione śniegiem, więc przez moment w korytarzu domu malarza poruszał się jak ślepiec.

– Gdzie jest chora i jak się czuje – zabrzmiał potem w pracowni jego donośny męski głos.

– Józia coś niedomaga – oświadczył Porwasz, pomagając doktorowi zdjąć kurtkę.

– Rano miałam trzydzieści osiem stopni – tryumfująco powiedziała panna Józia, wskazując na termometr, który leżał na stoliku obok tapczana. – I boli mnie tutaj – dotknęła ręką brzucha – i tutaj – zrobiła dłonią gest koło piersi.

– Rozumiem – powiedział doktor i jeszcze raz przetarł chusteczką okulary. Następnie przeniósł w pobliże tapczana lekarską walizeczkę. Zbadamy panią dokładnie i starannie. A pan niech na chwilę opuści ten pokój – rozkazał Porwaszowi.

– A cóż to, nie widziałem jej bez majtek? – oburzył się Porwasz.

Doktor przysunął krzesło do tapczana, wyjął z walizki słuchawki. Nie odwracając się w stronę Porwasza, wyjaśnił:

– Podczas badania lekarskiego nie jest wskazana obecność osób trzecich. Zdarza się bowiem, że osobie chorej lekarz zadaje pytania, na które chora, z uwagi na osoby trzecie, niekiedy najbliższe, może krępować się odpowiadać, albo odpowiada kłamliwie, co powoduje wydanie fałszywej diagnozy. Owszem, wskazana jest obecność matki albo pielęgniarki, o ile badana jest osobą nieletnią, szczególnie w okresie pokwitania. Ale w tym przypadku mamy do czynienia z osobą pełnoletnią, wszak się nie mylę, panno Józiu?

– Oczywiście, panie doktorze, jestem jak najbardziej pełnoletnia – niemal zaśpiewała.

Porusz bez słowa wyszedł z pracowni, ale zatrzymał się tuż za drzwiami, przyklęknął i zaczął zerkać przez dziurkę od klucza.

Doktor usadowił się wygodnie na krzeselku przy tapczanie i najpierw bardzo długo patrzył Józii w oczy. Potem dotknął dłonią czoła i szyi, i znowu patrzył na Józję w zupełnym milczeniu, aż ta zaczęła się niecierpliwić.

– Zechce mnie pan zapewne osłuchać – usiadła na tapczanie, zsuwając ramiączka halki. Lecz doktor stwierdził:

– Nie trzeba – i ramiączka z powrotem nasunął na dawne miejsce.

– Bolało mnie tutaj – Józia położyła się na tapczanie i, odrzuciwszy kołdrę, zadarła krótką haleczkę, ukazując gładki, nieco wypukły brzuszek z okrągłym wgłębieniem po pępowninie.

– Nie trzeba – znowu stwierdził doktor i zakrył łono panny Józii.

Zapytał ją o coś cichym głosem, a było to chyba pytanie dość intymnej natury, bo panna Józia jak gdyby zawstydyła się i odrzekła coś z wahaniem, równie cicho. Wymienili między sobą kilka szeptem wypowiedzianych zdań. Wtedy doktor wstał i przesunął krzesło do ogromnego stołu, który znajdował się na środku pracowni.

– Proszę – krzyknął do malarza.

A gdy ten wszedł do pracowni, doktor powiedział, zapalając papierosa:

– Uważam, że panna Józia jest zupełnie zdrowa. A bóle, na które się skarżyła, pochodzą z nieodpowiedniego lub niedostatecznego odżywienia.

– Ja cierpię na sprawy kobiece – jęknęła panna Józia.

Doktor z uznaniem pokiwał głową i rzekł z żartobliwą powagą:

– Zgadzam się. Pani cierpi na sprawy kobiece, ale tym zajmują się przeróżne panie-literatki w tygodnikach ilustrowanych. Natomiast my, lekarze, interesujemy się jedynie chorobami kobiecymi. Jest jednak zjawiskiem niepokojącym, że wiele cierpiących kobiet zbyt często szuka rady w powieściach psychologicznych, zamiast udać się do

poradni „K”. W istocie rzeczy cierpi pani na sprawy kobiece. Radzę zjeść talerzyk kluseczek francuskich dobrze omaszczonych skwarkami z boczku, kotlecik schabowy panierowany oraz ogórek kiszony lub surówkę z kiszonej kapusty.

– No, słyszysz, Józiu? – ucieszył się Porwasz.

Panna Józia aż usiadła na tapczanie, rozgniewana słowami doktora, który zbagatelizował jej dolegliwości.

– Gdzie jest ten kotlecik panierowany? Gdzie są kluseczki francuskie? Wszyscy mężczyźni są oszustami!

To mówiąc, rzuciła się na tapczan twarzą w poduszkę i całym jej ciałem wstrząsnęło łkanie.

Doktor uznał, że bieg spraw przekracza jego kompetencje. Narzucił na siebie futerko, podjął z podłogi walizeczkę lekarską.

– Honorarium – zaczął malarz, ale doktor tylko machnął ręką.

– Dał mi pan kiedyś obraz „trzciny nad jeziorem”, a słyszałem, że baron Abendteuer w Paryżu za podobny płaci dwieście dolarów. Ten obraz wynagrodzi mi jeszcze wiele podobnych wizyt.

Doktor skłonił się w stronę tapczanu, uściśnął dłoń malarza i wyszedł śmiało w zadymkę. A panna Józia ze złością odrzuciła kołdrę i zaczęła się miotać po pokoju, niepomna, że krótka haleczka odsłania jej łono i nastroszone włoski o rudawym odcieniu. Miała uda krągłe i gładkie, Porwasz pożądliwie spoglądał jak śmigają w blasku lampy. Ich szybkie ruchy przypominały mu nożyce przecinające materię blasku i półmroku, która zalegała pracownię. Wreszcie panna Józia rzuciła na stół swoją walizkę i zaczęła zbierać do niej porozrzucane po kątach rzeczy.

– To zwykły wiejski lekarz. Konował. Wyjeżdżam stąd jutro i musisz mnie odwiedzić na pociąg do stolicy o siedemnastej zero pięć. Nie dam się wpędzić w chorobę. Moja koleżanka miała podobne objawy i lekarz kazał jej na dwa tygodnie wstrzymać się przed współżyciem z mężczyzną. Potem poszła do szpitala. Zresztą za trzy dni i tak kończy mi się urlop.

– To dobry lekarz. Ma znakomitą opinię – stwierdził Porwasz, nie spuszczać oczu ze śmigających ud panny Józii.

– Gdyby był tak dobry, jak mówisz, to nie siedziałby na wsi, ale przyjmował chorych w jakimś wielkim szpitalu.

Malarz Porwasz poczuł się dotknięty:

– Twoim zdaniem ja jestem kiepskim malarzem, bo mieszkam na wsi, a pisarz Lubiński jest złym pisarzem, bo także tu mieszka?

– A pewnie – przytaknęła panna Józia. – Też mi wielki malarz, który na śniadanie jada chleb z dżemem. Co się tak na mnie gapisz? – dopiero teraz dostrzegła jego spojrzenie na swoich udach. – I tak nic nie dostaniesz. Ani tej, ani następnej nocy. Jestem chora i muszę wracać do stolicy.

Malarz Porwasz pomyślał, że nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre. Niech jedzie, skoro i tak nie będzie z niej pożytku. On, Porwasz, zacznie spokojnie malować swoje trzciny, nie troszcząc się o jedzenie. Co zaś tyczy innych potrzeb, w swoim czasie namówi doktora na wyjazd do miasta. O tej porze roku w odległym o sto kilometrów Novotelu – jak to od kogoś słyszał urzędują najlepsze dziwki, które nie narzekają, że boli je podbrzusze i dają tyle razy, ile razy im się wręczy odpowiednią kwotę pieniędzy.

Następnego dnia malarz Porwasz odwiózł pannę Józję na dworzec kolejowi w Bartach, na pociąg do stolicy odjeżdżający o siedemnastej zero pięć.

– Nie musisz mi kupować pierwszej klasy – oświadczyła mu łaskawi Józia. – I tak dużo cię kosztował mój pobyt w Skiroławkach.

Malarz odetchnął z ulgą, bo różnica w cenie biletu pierwszej i drugiej klasy pokrywała koszt benzyny, wypalanej na jazdę tam i z powrotem ze Skiroławek do Bart.

Nadjechał pociąg. Panna Józia pocałowała malarza w nieogolony policzek i wsiadła do zatłoczonego wagonu. Nawet nie szukała wolnego miejsca w przedziale, stała przy oknie i zamyślona spoglądała w zimową ciemność. Nie jechała długo. Po dwudziestu minutach wysiadła na dużej stacji, gdzie przed dworcem czekał na nią gazik doktora Niegłowicza. Zajęła w nim miejsce bez słowa i natychmiast ruszyli trzydziestokilometrową drogą przez ogromne gęste lasy. Nie było obawy, że natkną się na samochód Porwasza, ponieważ on już chyba od dawna był w swoim domu, a gdyby nawet dłużej zabawił w Bartach, to i tak wracał do Skiroławek zupełnie inną drogą. Ta, którą jechali i ta z Bart schodziły się dopiero koło leśniczówki Blesy, ale doktor wcale nie potrzebował dojeżdżać aż do skrzyżowania, tylko tuż przed wsią skręcał od razu na półwysep do swego domu.

Na przednim siedzeniu gazika było bardzo ciepło, choć padał śnieg i wiał silny wiatr. W miejscach nie osłoniętych lasem tworzyły się na szosie podłużne, coraz wyższe języki zasp. Doktor przebywał je bez trudu, włączając przedni napęd wozu, równie lekko wydobywał się z głębokich kolein śnieżnych. Płatki śniegu migwały w blasku reflektorów jak iskry z jakiegoś zapalającego się i nagle gasnącego ogniska, czasem przez drogę przebiegał oszroniony dzik, niekiedy przemknęła sarna. Wiatr huczał na brezentowym dachu samochodu, a ponieważ jechali długo i wolno, pannie Józji wydawało się, że znaleźli się sami na świecie w gęstniejącej ciemności. Nie

patrzyła zresztą na drogę, tylko na mężczyznę, który siedział obok niej milczący i skupiony, a jego profil zaledwie majaczył w półmroku rozpraszającym przez światła zegarów kontrolnych. śnieżycą i mrok za szybami wozu tworzyły w pannie Józii poczucie ogromnej bliskości tego człowieka, miała uczucie, że zna go już od dawna swoim brzuchem, ustami, udami. W pewnym momencie nie mogła się opanować, żeby nie przytulić policzka do jego ramienia. Poczowała zapach baraniego futra, który wydał się jej upajający i utraciła poczucie winy za oszustwo wobec malarza Porwasza. „Przecież zakochałam się w doktorze” – pomyślała.

Doktor odezwał się:

– Na obiad, który zjemy z pewnym opóźnieniem, będzie barszczyk czerwony i pyzy. Widziałem, jak je Makuchowa przyrządzała. Cebulkę posiekała bardzo drobno, lekko ją przyrumieniła i przepuściła przez maszynkę razem z uduszoną wołowiną. Kazałem dać nieco więcej pieprzu niż zazwyczaj, a ciasto będzie z ziemniaków dobrze ugotowanych z dodatkiem masła. I poprosiłem także, aby było w nim jajeczko, nawet dwa jajeczka. Lubię pyzy nadziewane mięsem, ale raczej małe, nie większe od włoskiego orzecha. Niektórzy wolą pyzy o znacznie większym kształcie, ale wtedy gubi się smak klusek i nadzienia. Zaleciłem połać je roztopionym tłuszczem ze skwareczkami, będzie to chudy boczek, który dopiero się położy na patelni, gdy przyjedziemy. Zrobimy to już sami, bo Makuchową odesłałem do jej domu. Co do surówki (bo zawsze należy do pyz nadziewanych jeść jakąś surówkę), proponuję kapustę kiszoną. Mam jej aż trzy rodzaje w wielkich kamiennych garnkach. Co pani woli, panno Józio, kapustę kiszoną z większą ilością kminku i kopru, czy też z jabłuszkami, marchewką i liśćmi laurowymi? Specjalnie dla pani wydobędę z garnka głąb ukiszony, gęsto ponacinany, który wchłonął kwaśny sok i nabrał aromatu.

Panna Józia nie odpowiedziała, bo usta miała pełne śliny. Ogarnęła ją ogromna słodycz i pomyślała, że gdyby w tej chwili mogła przejrzeć się w lusterku znowu zobaczyłaby rumieńce na swych policzkach i wilgoć na wargach. Doznała raptem przedziwnej wizji: nocą doktor kładzie ją na białym Prześcieradle jak na obrusie, naga, różową, tłuściutką, a potem pochyla się nad nią wbija zęby w jej wypukły, twardy brzuszek. I aż jęknęła z rozkoszy.

Po kolacji panna Józia starannie rozesłała prześcieradło na ogromnym drewnianym łożu i pełna błogiej sytości, rozkoszując się ciepłem kafłowego pieca, rozebrała się szybko i legła naga, z nogami lekko zgiętymi w kolanach rozchylonymi bezwstydnie. W blasku nocnej lampki z różowym abażurem jej ciało z mnóstwem wypukłości, na tle białego prześcieradła wydało się niema brązowe i sama o sobie pomyślała, że przypomina

lekką przyrumienioną prosiaczką na półmisku. Oczekując doktora czuła narastające w niej przecucie rozkoszy, ale doktor długo nie nadchodził, za oknem słyszało się jego pogwizdywanie na psy, gdyż, jak jej oświadczył, musiał przed spoczynkiem najpierw doglądać swojego obejścia. W pewnej chwili panna Józia zobaczyła w sypialni doktora ogromny, srebrzyście połyskujący krucyfiks, stojący na staroświeckiej komodzie, a że pochodziła z bardzo religijnej rodziny, przecucie rozkoszy ulotniło się raptownie i nakryła się kołdrą.

Pomyślała raptem, że doktor zaraz przyjdzie z dworu, rozbierze się i zechce ją upokorzyć najwstrętniej jak tylko sobie wyobrażała. Wspomniała też o malarzu Porwaszu, który o pięćset metrów stąd, w swoim domu krytym eternitem, nieświadomy oszustwa, na pewno kładł się już na tapczan. Pomyślała, co o jej postępkach powiedziałyby matka i ojciec, a także koleżanki z pracy i niemal zebrało się jej na płacz. Wydawało się jej, że jest zwykłą kurewką, która chce się oddać mężczyźnie za odrobinę pyz z mięsem i surówką z kiszonej kapusty. Bo tak naprawdę podobał się jej malarz Porwasz, ponieważ był pięknym trzydziestoletnim mężczyzną z ogromną szopą czarnych włosów i spojrzeniem, które przenikało kobietę jak sztylet. W tej chwili nawet nie potrafiła sobie wytłumaczyć, dlaczego nagle zapragnęła opuścić Porwasza i znaleźć się u boku człowieka, z którym dwa razy w życiu rozmawiała. Czyżby w rzeczy samej chodziło tylko o pyzy nadziewane mięsem i okraszone skwarkami? A jeśli tak, to powinna zapłakać nad swoim upadkiem i nawet chciała to zrobić, ale oczy pozostały suche, być może z powodu uczucia błogiej sytości, którym była wypełniona. Z pustym brzuchem płacze się o wiele łatwiej.

Malarz Porwasz był w jej życiu dopiero trzecim mężczyzną. Pierwszego spotkała w wieku siedemnastu lat, gdy kończyła zawodówkę. Był to kolega jej starszego o rok brata. Obiecał jej codziennie kupować tabliczkę czekolady, bo rodzice Józii zabraniali jej jeść słodczyce, gdyż miała wtedy rzeczywiście brzydką cerę. A ona tak lubiła czekoladę i w ogóle wszystko co słodkie. Przed wystawą sklepu cukierniczego niemal mdlała z łakomstwa. Toteż chyba straciła rozum, gdy kolega brata przyszedł do nich podczas nieobecności brata i rodziców, i obiecał czekoladę. Wziął ją, napełnił bólem, nie kupił czekolady, w ogóle od tej chwili przestał się pojawiać w ich domu i przyjaźnić z jej bratem, zapewne dlatego, że – jak przypuszcza – była w jego życiu pierwszą dziewczyną i potem wstydił się tego, co zrobił. Odtąd jednak nie ufała mężczyznom i w ogóle nie ciągnęło ją do miłości. Dopiero gdy miała dwadzieścia jeden lat poznała urzędnika kontroli handlowej, żonatego zresztą, który lubił bawić się w nocnych lokalach i zaczął

ją do nich zapraszać. Spędzili z sobą kilka nocy w hotelach różnych miast; panna Józia przekonała się, że miłość podobna jest do jedzenia i napełnia kobietę podobną sytością. Ale urzędnika aresztowano i skazano na trzy lata więzienia za nadużycia. Panna Józia bardzo kochała tego człowieka i z początku myślała, że umrze z tęsknoty. Przeżyła jednak i z czasem – nawet, choć nie angażując się cieleśnie, zaczęła interesować się innymi mężczyznami. Aż dopiero gdy wkrótce przed Bożym Narodzeniem przed sklepem z męską bielizną, w którym pracowała, zatrzymał się samochód i wysiadł z niego szczupły, wysoki mężczyzna o nerwowych ruchach i ogromnej czarnej czuprynie i poprosił o kilka par czarnych gimnastycznych majtek rozmiaru „cztery”, zrozumiała: „to ten wyśniony, wymarzony”. Majtek mu nie sprzedała, ponieważ akurat ich zabrakło, ale obdarzyła go tak radosnym uśmiechem, że umówił się z nią w kawiarni. A tam już dogadali się w sprawie wyjazdu. Wzięła z pracy trzytygodniowy urlop i wyjaśniwszy rodzicom, że jedzie nad jeziora, ponieważ w telewizji zalecają wczasy w miejscach, gdzie kiedyś wyjeżdżało się tylko latem, ruszyła z Porwaszem w nieznaną. Prawdą jest, że po drodze rzeczywiście rozmyślała o żołądkach z drobiu, którymi malarz obiecał ją nasycić, ale przecież nie one były najważniejsze. Czemu więc raptem znalazła się tutaj, w łóżku obcego mężczyzny, kłamiąc i oszukując malarza? I czy nie powinna zapłakać nad swoim upadkiem?

Doktor Niegłowicz wreszcie wszedł do sypialni i Józia jeszcze bardziej nasunęła na siebie kołdrę oraz mocno ścisnęła uda.

– Sprawiasz wrażenie, jakbyś się czegoś bała – stwierdził doktor, ściągnając sweter przez głowę.

– Tak – szepnęła – Boguś Porwasz mówił mi, że pan musi najpierw upokorzyć kobietę, zanim ją weźmie. Nie dam się upokorzyć. Nie dam! krzyknęła przeraźliwie.

I pomyślała równocześnie, że jej opór na nic się nie zda, skoro leży naga w łóżku.

Doktor westchnął, zdejmując spodnie:

– Już cię upokorzyłem. Wystarczająco dużo kłamałaś i oszukiwałaś Porwasza. Nawet mnie próbowałaś oszukać, symulując chorobę.

Zabolały ją te słowa, ale bezwiednie, z zawodowego nawyku, spostrzegła, że doktor nosi kalessony numer „pięć”, ale ma je w bardzo ładnym kolorze zielonym z czarnym wzorkiem. Takie kalessony bywały w ich sklepie bardzo rzadko. Ostatnio otrzymali niewielką partię przed rokiem. Ciekawa była, gdzie doktor kupił podobne kalessony. Zbyt ją jednak bolały słowa doktora, aby o to zapytać. Zapragnęła mu dokuczyć.

– I Boguś mówił, że w Skiroławkach raz w roku żyjecie z sobą jak zwierzęta. Wszyscy z wszystkimi.

Nagi usiadł na krawędzi łóżka i odłożył na szafkę okulary. Twarz miał poważną, jego niebieskie oczy krótkowidza popatrzyły na nią z wielką łagodnością.

– To prawda. To, niestety, jest prawda. Ale nie mów o tym nikomu, nie rozmawiaj o tym z nikim, nawet ze mną. Nie wspomina o tym tutaj mąż swojej żonie, brat siostrze, ojciec synowi, a córka matce, kochanek kochance. Mężczyzna nie rozmawia o tym z mężczyzną. Ale rzeczywiście jest u nas taka noc, gdy wszyscy stają się dla siebie mężem i żoną, po wielokroć, i kto kogo zapragnie, alby ślepy los zechce go z kimś w ciemności połączyć. Myślę, że taka noc bywa wszędzie, ale, podobnie jak u nas, nikt o niej z nikim nie rozmawia. I różnie w różnych miejscach nazywają tę noc w myślach, bo głośnym słowem nikt jej nigdy nie nazywa. U nas mówią o niej „noc mieszania krwi”, ponieważ istoty ludzkie łączą się ze sobą jak los zrzucił albo same zapragną, gdy na Czaplej Wyspie zapłonie ognisko i jego żar przenika do ludzkiej krwi. Ach, gdybyś wiedziała, jak wtedy boli całe ciało! Wydaje się, że żyłami płynie gorąca stal. I dopiero ta noc, jedna w roku, przynosi ukojenie, ucisza ból, daje radość, a potem dziwny, wszechobecny smutek. I myślę, że tak działo się zawsze i wszędzie, bo zawsze i wszędzie jedna ludzka istota pragnie drugiej, jej ciała, oddechu, jej krwi i jej radości.

– I tak jest w stolicy? Paryżu? Berlinie? – z niedowierzaniem zapytała Józia. – Nie wiem, bo to wielkie miasta, gdzie istoty ludzkie nie znają się ze sobą, dzielą ich kilometry samotności, i może nie ma w nich kto owego ognia zapalić. Bo jak tylko sięgnę pamięcią wstecz, a także przypomnę sobie rozmaite lektury, to takie noce bywały i u dawnych Greków, i u dawnych Rzymian, i u Słowian była noc Kupały, u ludów prymitywnych, i dojrzałych, u barbarzyńców, i w społeczeństwach cywilizowanych. Kłamią ci, co powiadają, że taka noc uwłacza godności ludzkiej, albowiem, jak twierdzi mitologia, Eros był kochankiem Psyche czyli Duszy. I Psyche bywała smutna, gdy nie odwiedzał jej Eros, Nie wolno jej było jednak zobaczyć twarzy Erosa. Dusza ludzka cierpi męki niewysłowione, gdy nie zostają nakarmione zmysły. Raz w roku człowiek musi powracać do swej zwierzęcej postaci, bo inaczej staje się zbrodniarzem, który jak wilkołak czyha na krew ludzką, morduje, gnany męką niespełnionego pożądania. Zabija małe niewinne dziewczynki albo dojrzałe kobiety, albo sam sobie śmierć zadaje. Noc mieszania krwi jest zarazem nocą oczyszczeni uwolnienia, uszlachetnienia natury ludzkiej.

– I kiedy nastąpi u was taka noc? – szepnęła.

– Nie wiem. Tego nikt nie wie, moje dziecko. Każdego roku bywa o innej porze, ale nikt nie wie kiedy i jakie okoliczności muszą się złożyć na to, aby zapłonęło ognisko na Czaplej Wyspie. Kiedyś być może zgłębię tę tajemnicę, przekaze mi ją przed

śmiercią stary Szulc albo ktoś inny, abym to ja zapalał ów ogień w wieczór do tego wybrany. Ale teraz, podobnie jak wszyscy tutaj, każdego wieczoru z tęsknotą rzucam choć jedno spojrzenie w stronę jeziora i Czaplej Wyspy, czy nie ujrzę tam blasku ogniska, który zapowie tę dziwną i piękną noc. Nie, nie myśl sobie, że ktoś może owo ognisko rozpałić dla zabawy, dla żartu. Na Czaplej Wyspie wiele razy w roku pali się ogień, robią to latem żeglarze, a zimą rybacy przy ognisku na wyspie grzeją ręce. Ale to mały, nędzny ogienek, czerwonoawożółtawy. Tamten płonie wysoko jak pochodnia przejmującym, niebieskawym płomieniem. A kiedy wiatr nadlatuje od wyspy, przynosi zapach palących się ziół, nie wiem nawet jakich, ale to one chyba sprawiają, że płomień ma ów niebieskawy odcień. Nikt nie wie, kto to ognisko rozpał, kto rzuca do niego zioła, kto je podsycza. Ale powiem ci, że gdy ten ogień zobaczy panna albo mężatka, stara niewiasta lub stary mężczyzna ogarnia każdego drzenie. Kobiety objijają się o ściany jak ćmy o szkło lamp a u starszych budzi się żądza młodzieńcza. Potem ognisko przygasa, nastaje bardzo ciemna noc, bez gwiazd i bez księżycy. Widziałas może ten stary młyn nad jeziorem? Tam idą ludzie z twarzami okrytymi mrokiem, bo Psyche nie może zobaczyć twarzy Erosa. Na górze jest dużo siana, które co roku gromadzi Szulc, ponieważ ma wielkie łąki, ale małą stodołę. Ludzie idą tam jak ślepcy, z wyciągniętymi przed siebie rękami, bo noc jest rzeczywiście bardzo ciemna. I w pewnej chwili czyjeś ręce trafiają na inne ręce, spotykają się oddechy i ciała. Starcy czują wielką moc, gdy nagle w dłoniach trzymają twarde jak bochny chleba pośladki młodych kobiet, a stare niewiasty krzyczą z rozkoszy jak młode dziewczęta, którym po raz pierwszy zadaje ktoś ból miłości.

– A jeśli ktoś kogoś kocha i chce być tylko z nim?

– Nie wiem, dziecko, co dzieje się wtedy. Przecież nie ma przymusu, aby pójść do młyna. Nikt nie wie nigdy, kto był tam, lub kto tam nie był, bo nie rozmawia o tym kochanek z kochanką, ani mąż z żoną, ani ojciec z synem, ani matka z córką, ani mężczyzna nie mówi o tym z mężczyzną. Może ta noc w ogóle nie istnieje? Może nikt w tę noc nie chodzi do młyna? Może to wszystko nieprawda? Tylko, że potem we wsi panuje przejmująca cisza i wielki smutek, jakby ktoś twarze ludzkie posypał popiołem z ogniska rozpalonego na wyspie.

– Byłeś tam?

– Tak. Wiele razy. I jeszcze wiele razy tam pójde. Może dlatego tu mieszkam, tu żyję tu chcę umrzeć, że jest taka noc, w której dowiaduję się prawdy o sobie. I w której każda kobieta może posilić się moim ciałem, a ja mogę posilić się ciałem każdej kobiety. W tę mroczną noc, gdy idę do młyna z wyciągniętymi przed siebie rękami, wydaje mi się,

że widzę wszystko niezwykle jasno, i siebie, i innych, i cały świat, a przez wszystkie pozostałe dni i noce w roku jestem ślepcem, który błądzi z wyciągniętymi przed siebie rękami. Ale nie mów o tym nikomu, nie rozmawiaj o tym z nikim, nawet ze mną. Tylko rozglądaj się wokół siebie gdziekolwiek będziesz, i patrz, czy nie ujrzyś gdzieś owego niebieskawego płomienia, nie poczujesz w sobie żaru krwi, nie odkryjesz, że ten płomień gorzeje w tobie. A wtedy zamknij oczy, wyciągnij przed siebie ręce i idź, idź, idź...

Tak mówił doktor, a panna Józia nieświadomie rozchyliła białe uda, przymknęła oczy, rękoma odrzuciła kołdrę i chwyciła doktora za szyję.

– Chodź – powiedziała. – Chodź prędzej.

Nazajutrz pannę Józję zobaczył ktoś na ganku domu doktora i wieść o tym natychmiast rozeszła się po całej wiosce. Żona pisarza Lubińskiego, pani Basieńka, wbiegła zdyszana do pracowni swego męża, który pisał: „I wtedy Luiza podniosła się na palcach i dotknęła ustami jego szorstkich od wiatru warg”.

– Ta dziwka od malarza przeniosła się do domu doktora. Co będzie, jeśli dowie się o tym Porwasz?

Nie dowie się – odparł spokojnie pisarz Lubiński. – Zainteresowani ostatni dowiadują się o podobnych historiach.

– Doktor nie powinien tak postępować – tupnęła nogą pani Basieńka. We wsi jest tyle kobiet, że nie musi odbierać ich swoim przyjaciółom.

– Nic nie wiesz o miłości – stwierdził pisarz Lubiński. – Nawet zapewne nie słyszałaś nigdy o historii Amfitriona. Poprzez kobiety naszych przyjaciół zblizamy się do nich bardziej niż poprzez rozmowy, wspólne polowania i picie wina.

– Ładnych rzeczy mnie uczysz – wydeła pogardliwie usteczka pani Basieńka. – Może napiszesz o tym w swojej książce?

– Daj mi święty spokój – mruknął pisarz Lubiński. – I zadzwoni dziś do doktora. Jeśli ma wolny wieczór, o czym wątpię, zaprosz go do nas na kolację. Tęsknię do rozmowy o „*Pismach semantycznych*” Gottloba Frege.

Doktor miał zajęty wieczór i także noc, i wieczór następny, ponieważ panna Józia dopiero po trzech dniach wyjechała do stolicy. Dała się doktorowi raz, a potem dwa razy upokorzyć, choć to wyglądało odrobinę inaczej niż sobie wyobrażała, było jednak przyjemne z czasem nawet doszła. do wniosku, że prawdziwa kobieta nie powinna żyć bez upokorzeń ze strony mężczyzny. A gdy panna Józia upokorzona została po raz trzeci i jak wielkie naczynie wypełnione zachwytem zasypiała z rozchyłonymi ustami

i wyszczerzonymi ząbkami, doktor wtulił twarz między jej duże piersi i nasłuchiwał uspokajającego się łomot serca. Miał zmysły syte, a sumienie spokojne, bo wydawało mu się, że by, człowiekiem sprawiedliwym i po równo między siebie i kobietę podzielił szczęście rozkoszy. Wraz z sytością zmysłów naszedł go smutek, który, jak uczyli starożytni, bywał w takich razach właściwością wszystkich istot żywych, o on jednak sądził, że zawsze szczęście otwiera drogę do smutku, tak jak szczyt góry otwiera widok na strome zbocza, wąwozy i przepaście. Na jego wargach, pozostał wciąż nieco słony smak kobiecego potu, prawym policzkiem wyczuły twardą jak gumowy koreczek brodawkę gorącej piersi, którą przypłaszczył ciężarem głowy. Było mu słodko i spokojnie, zmęczenie kładło palec na powieki. Raptem strzęp jakiegoś przerażającego obrazu przepędził ogarniający go sen, Zobaczył w nocnym lesie człowieka bez twarzy, który skradał się między ośnieżonymi świerkami, to znów biegł przez głęboki śnieg, przewracając sił o zmurszałe pieńki, oślepy od czerwonej mgły niespełnionego pożądania. Tedy zbudził się na dobre doktor Niegłowicz, strząsnął z siebie zmęczenie, jak pielgrzym strząsa z siebie pył dalekiej drogi, po cichu wstał z łóżka, ubrał się, wziął z zamkniętej na klucz szafy włoską dubeltówkę, nabił lufy brenekami i znalazł się w salonie, gdzie na grubym dywanie pochrapywały głośno dwa jego kudłate wilczury. Powitały go rytmicznym postukiwaniem ogonów o podłogę ale nie pozwolił im pójść ze sobą na dwór. Po chwili ogarnęła go noc zimowa i nieprzyjemnie zaskrzypiały w uszach własne kroki na zlodowaciałym śniegu. Minął furtkę w ogrodzeniu i w lesie skręcił zaraz w wysoki śnieg, aby móc iść ciszej. Przeszedł obok zasypanego śniegiem dołu po sadzonkach. Na pobliskiej polanie nad zatoką przystanął obok starego świerka i zapatrzył się w mrok. Niebo było ciemne, ale cała polana szarzała bielą śniegu. Przygarbił się doktor od ciszy jak świerk od ciężaru zimy i patrzył na poszarzałą polanę aż do bólu w oczach i wrażenia, że widzi czarną smugę na śniegu, podobną do kłęzącego człowieka, który pochyla się nad czymś, co leży między dwoma pniakami młodych świerczków. Nikogo jednak na polanie nie było i doktor zawrócił do domu, gdzie w salonie znowu powitało go postukiwanie psich ogonów, a w sypialni spała z otwartymi ustami młoda kobieta.

Do stolicy panna Józia odjechała uwożąc w celofanowej torebce dwa kilogramy dobrze zamrożonych żołądków gęsich, które doktor kupił w niedalekiej tuczarni drobiu. Żołądki te wkrótce zjadła, ale wspomnienia pozostały, bo tak naprawdę chyba tylko one są jeszcze coś warte.

Doktor przyjął jej wyjazd z odrobiną ulgi, Gdyż odtąd mógł swobodnie oddawać się rozmyślaniam i rozdrapywaniu rany, jaką zabójca bez twarzy zadał latem jego dumie

i poczuciu sprawiedliwości. Jednak z czasem zabrakło mu widoku jej wilgotnych łakomych ust, bliskości krągłych kobiecych kształtów, rozkoszy, w której dzięki niej się pogrążył. Dręczyła go bezsenność i niemal w każdą noc wychodził z domu uzbrojony w swoją włoską dubeltówkę, wędrując na polaną, gdzie dokonała się śmierć małej Haneczki.

Próżne to jednak były wyprawy. Tymczasem mogiłę dziewczynki zasypywał śnieg i coraz mniej czytelny stawał się napis namalowany na kawałku sklejki przybitej do krzyża na grobie:

*Tu leży mała Haneczka, pęk zielony
co go nóż śmierci skosił,
zbir urąga żywym, Bóg każe wybaczyć,
matka o zemstę prosi.*

Kto ów wiersz wymyślił, kto wykonał napis na kawałku sklejki – tego we wsi nie wiadano. Mówiono, że słowa do wiersza złożył pisarz Lubiński, a matka Haneczki, Millerowa, olejną farbą na sklejce litery wypisała. Ale pewności w tych sprawach nikt nie miał, zresztą, nie godziło się prawdy dochodzić. Proboszcz Mizerera źle się wyrażał o wierszu na mogile Haneczki, twierdząc, że zemstę człowiek powinien zostawić Bogu. Tym niemniej doktor prawie w każdą noc chodził na zaśnieżoną polaną, ponieważ tamtej strasznej nocy nie chciało mu się wypuścić psów do lasu ani samemu zbadać przyczyny ich niepokoju.

O NATURZE KŁOBUKÓW I ZWYCZAJACH OFICERÓW SŁUŻBY KRYMINALNEJ ORAZ TWARZY MORDERCY

Na początku lutego zima pochyliła nad Skiroławkami swoją groźną twarz – zionęła wielkim mrozem, potęgowanym przez silne wiatry. Słupek rtęci spadł do minus 28 stopni, na bezkresnym wydmuchowisku jeziora kąśliwe wiatry wyły jak stada zdziczałych psów, rybacy przestali wyrąbywać przereble i gromadzić lód na lato, nie posyłano dzieci do szkoły, pocztę i chleb do sklepu dowożono saniami, zawieszono kursy autobusów. Każdy kto miał w domu dobry piec, a nie musiał nigdzie chodzić za interese, grzał się w izbie i patrzył w okno na żwawe sikorki, którym tu i

ówdzie rozwieszano skóry od słoniny albo rozdawane przez leśniczego Turleja małe pudełeczka z tłuszczem i siemieniem lnianym. W przepastnych lasach sarny i jelenie gromadziły się wokół paśników z sianem, a raniąc sobie nogi w zmarzniętym śniegu, tu i ówdzie pozostawiały krwawe ślady. Włochate dziki buchtowały pod koronami starych buków i dębów, bo rozrzucone na polanach ziemniaki zmarzły na kamień i nawet Kłobuk zastanawiał się, czy na ten nieprzyjemny okres nie przenieść się do jakiejś ludzkiej sadyby. Kiedyś zgłodniały na długo przed świtem przyczał się koło płotu doktora i zdołał chwycić kromkę chleba zanim bezszelestnie zerwały się z jabłoni cztery krwiożercze sójki. Gonily go potem po lesie, on jednak zdołał wcisnąć się pod duży krzew czerwonego derenia, który rósł przy drodze. Rankiem zauważył Kłobuka doktor Niegłowicz, który jechał swym gazikiem do Trumiejek, albowiem choroby i śmierć niewiele sobie robiły z mrozu i wiatru. Autobusy nie chciały wozić ludzi, ale doktor musiał jeździć, więc pchał się przez zasy pyłami samochodem z napędem na obie osie. Zobaczył tedy doktor Kłobuka, który w śniegu siedział pod krzakiem czerwonego derenia i przypominał zmkłą kurę. „Kłobuku, Kłobuku, chodź do mnie na służbę – zawołał doktor, zatrzymując samochód i uchylając drzwiczki. – Usmaży ci Makuchowa jajecznicy, zrobi posłanie w becze z pierzem”. Lecz Kłobuk uciekał w las, ile mu tylko sił w kurzych łapach starczyło i nie zatrzymał się aż w legowisku dzików wśród spłowiących trzcin. Któż mógł bowiem zaręczyć, że doktor naprawdę wierzył w Kłobuki, skoro brakowało mu wiary w Boga i w diabła? A zresztą, co Kłobuk mógł ofiarować doktorowi za jego jajecznicę i mieszkanie w becze z pierzem? Przynieść garść żyta skradzionego ze strychu sołtysa Wątrucha albo Kryszcza? Jajeczek złotych mendel podebrać z kurnika Szulca i posadzić na nich kury doktora? Co by stało się z Kłobukiem, gdyby raptem doktor zażądał od niego spraw niemożliwych do załatwienia, zapytał na przykład, jak stać się człowiekiem sprawiedliwym, co jest prawdą a co kłamstwem? Co jest dobrem a co złem, co jest pięknem, a co brzydota? Dlatego rad był Kłobuk, kiedy nareszcie znalazł się obok włochatej maciory i jej warchlaków. I lepszy wydał mu się miniony czas, gdy ludzie czytali Pismo Święte, a diabeł kartki kancjonałów przewracał. Doktor miał swój udział w malejącym pogłowiu Kłobuków, bo nie mógł Kłobuk powstać inaczej niż gdy zmarłego wcześniaka koło progu domu się zakopało, a on o Chrztost Święty zaczął się dopominać. Ostatni taki wypadek zdarzył się przed siedmioma laty w przysiółku Liksajny, gdzie niespełna rozumu Jadźka, która trzydzieści pięć lat miała i po służbie chodziła, rzekomo na puchlinę wodną zachorowała, a potem wcześniaka urodziła i zakopała za stodołę tak skrycie, że nikt o tym nie wiedział, nawet gospodarz, co jej mieszkanie i robotę dawał. Lisy wcześniaka

wygrzebały i sprawa zakończyła się na posterunku milicji w Trumiejkach. Kłobuków wciąż było coraz mniej, a te, które pozostały, stały się płochliwe i wolały raczej głodować, niż iść do byle kogo na służbę. Inna sprawa, że po swojemu Kłobuk lubił doktora, bo go od lat obserwował, jeszcze jak był on chłopcem. Nie można jednak żadnej rzeczy, tym bardziej człowieka, uważać za twór doskonały – szczególnie, jeśli, tak jak doktor, zimą sójek nie przepędza z ogrodu. Od psów doktora też się Kłobuk nacierpiał. Jakie to szczęście, że przynajmniej na mroźne noce doktor swoje psy zabierał do domu i bez lęku o utratę piór w ogniu można było pospacerować po ogrodzie, po podwórzu, poczekać koło płotu na kromkę chleba od Makuchowej. Przyzwyczaił się zatem Kłobuk do legowiska dzików, postękiwań starej lochy, mlaskania warchlaków, gorącego oddechu ich ciepłych ryjów. Wtulony w szorstkie futra nasłuchiwał nocami, jak z nagła wzdycha skute lodem jezioro, a z głębi bagien dobywa się odgłos komend żołnierzy co zagłębili się tam wraz ze swym czołgiem. W lutowe noce mróz i wiatr nawet bagno pokrywały cienką warstwą lodu i nie parowało tak mocno jak dawniej. Za to wichury łomotały w płowych trzcinach i nanosiły z jeziora kłęby śniegu, układając go w niewysokie zasy za pniami przewróconych olszyn. W owe noce, szczególnie kiedy świecił księżyc, twarz zimy była bardziej widoczna i bliska, zdawało się, że zębami chwyta stwardniałą ziemię, drzewa i gałęzie, które pękały z trzaskiem. Dygotał w lesie wszelki zwierz, a człowiek kulił się wychodząc z ciepłej izby; myśli i uczucia stwardniały, serce kamieniało od jakiegoś dziwnego lęku. Radził przyjacielom swoim doktor, aby na ten surowy czas sięgali po „Etykę” Spinozy, która mogła zmiękczyć serca, chwalił korzeń kozłka, liść mięty pieprzowej, ziele krwawnika, kwiat rumianku, korzeń dzięgiela, liść ruty, szyszkę chmielu, gdyż i one mogły odegnać od człowieka lęk. Nade wszystko jednak preferował Spinozę i tak to tłumaczył pisarzowi Lubińskiemu: „Materia i duch, to dwa przymioty tej samej substancji. Nie ma przeciwieństwa między człowiekiem i Naturą, ani między Naturą i Bogiem, bo Bóg i Natura to jedno, ponieważ właściwości świata wywodzą się z natury Boga”. Słusznym więc było – zdaniem doktora – czytanie Spinozy i regularne picie naparu kwiatu rumianku. Jeszcze zaś czymś lepszym po owej uspokajającej lekturze, w czas pełny wichru, gdy dom zdawał się być kruchym jachtem na wzburzonym oceanie nocy, w zacisznym kokpicie własnego łóżka, położyć dłoń na obnażonym i gorącym pośladku kobiecym, wznieść myśli ku sprawom bardziej doskonałym. Aż niepostrzeżenie jak śmierć nadejdzie sen, który z samej natury rzeczy zdaje się być żeńskiego rodzaju, choć tradycja gryka temu przeczy, a także rodzajniki „ten” i „der” w polskim i niemieckim języku. A gdy sprawa schodziła na rodzajniki, nie mogło się obyć bez rozmów na temat „Pism semantycznych” Gottloba Frege, przez

pisarza Lubińskiego przedkładanego nad głaskanie pośladków pani Basieńki, nie przez te ostatnie bowiem – jego zdaniem – prowadziła droga do prawdy. Tymczasem mróz pukał do okien dziobkami sikorek, wiatr trzeszczał w krokwiach dachów, pracowicie wznosił zaspę na drogach.

I w taki to czas pewnego dnia, a właściwie już nocy, dobrnęli do domu doktora Niegłowicza dwaj oficerowie służby kryminalnej. Przez cały dzień, mimo mrozu i wiatru, przedzierali się samochodem aż z odległych stron, dokąd pojechali, aby rozpytać aresztowanego tam pewnego dziewiętnastoletniego młodzieńca, który na skraju lasu obnażył jedenastoletnią dziewczynkę, a następnie poderżnął jej gardło szczyrzykiem. Interesowało ich, co młodzieniec ów robił latem, czy czasem nie był w pobliżu Skiroławek. A skoro dał im odpowiedź przeczącą i potwierdziły to fakty, zawrócili w swoją stronę. Po drodze złapał ich zamieć śnieżna, a potem bezśnieżna wichura, zaspę zagroziły szosy. Przed Bartami wpadli w koleiny, wryte przez ogromne stery nadleśnictwa i na zlodowaciałym śniegu urwali rurę wydechową swego fiata. I choć zmieniali się za kierownicą, to przecież coraz częściej opadała im na oczy szara płachta zmęczenia. Dygotali z chłodu, gdyż w połowie podróży zepsuło się im ogrzewanie, szyby samochodu pokrył biały mróz. Szlak ich podróży wiódł przez Skiroławki, tedy przypomnieli sobie o domu doktora, jako że nazwisko „Niegłowicz” co dzień rano rzucało im się w oczy na czarnej tablicy w korytarzu gmachu, gdzie pracowali. Stryj doktora zginął jako wyższy oficer milicji, dawne to były dzieje, wspomniane jedynie podczas rzadkich uroczystości ludzi mundurowych. Ale przecież i doktora poznali latem, w okolicznościach być może dla niejednego bardzo przykrych, a nawet wstrząsających, dla nich jednak dość zwykłych, jako że wchodziły w charakter ich pracy. Nie ma bowiem lekarzy bez chorych, a oficerów służby kryminalnej bez złodziei i zabójców.

W ową lutową noc posadził ich doktor w salonie obok kaflowego pieca, a oni tajali powoli jak dwa sople lodu, aż przy nogach każdego z nich utworzyła się mała kałuża brudnej wody i wsiąkała w dywan. W miarę jak tajali i z oczu doktora zaczynała niknąć troska o ich płuca, ręce i nogi zagrożone odmrożeniem, w ich ruchach i spojrzeniach pojawiać się zaczęła właściwa im nieufność i ostrożność, a także ciekawość oraz nieprzewartowana ochota, aby zapytać doktora jeszcze raz, co robił w ostatnią noc lipca. Albo co wtedy czynili inni. Major Kuna, człowiek tęgi i na dwa lata przed emeryturą, po kolacji i dwóch kieliszkach krwistego wiśniaku, skłonny był raczej pominąć sprawy drażliwe i zanim ogrzeje się pokój gościnny na piętrze, gdzie mieli

nocować, chciał wymienić z doktorem poglądy na temat bólów w prawym kolanie. Ale kapitan Śledzik był o piętnaście lat młodszy, i niewiele go interesowało spraw poza własną pracą, to jest – zbrodniami i zbrodniarzami. Z biegiem lat kapitan Śledzik przestał odczuwać nienawiść do zbrodniarzy, podobnie jak myśliwy nie odczuwa nienawiści do kozła czy dzika, którego zamierza ustrzelić. I tak jak malarz Porwasz najchętniej rozmawiał o baronie Abendteuer, a leśniczy Turlej nigdy się nie nudził, gdy była mowa o niedoskonałości administracyjnej pracowników nadleśnictwa w Bartach, tak kapitan Śledzik o wiele chętniej wdawał się w dyskusje ze zbrodniarzami niż z własną żoną. Potrafił podnieść głos na żonę, gdy za bardzo przypiekleła naleśniki z serem ale nigdy nie zdarzyło się, aby podniósł głos albo uderzył przestępcę, choćby ten mu prosto w oczy kłamał. Z natury rzeczy bowiem przestępca kłamie i z natury rzeczy oficer służby kryminalnej owe kłamstwa ma obalić, co daje mu swoistą satysfakcję Zabójca, który od razu przyznaje się do zarzucanego mu czynu jest oczywiście czymś pożytecznym dla wyników planu wykrywalności przestępstw, pozostawia jednak nieuchwytne uczucie niedosytu, a także jak gdyby okazuje odrobinę niewiary w możliwość dochodzenia prawdy materialnej przez osoby do tego celu powołane. Można więc śmiało stwierdzić, że kapitan Śledzik o wiele bardziej lubił historie zawile niż proste. Dlatego może miał gorący a nawet osobisty stosunek do sprawy w Skiroławkach, która nie była ani łatwa, ani prosta.

I taki oto człowiek w mroźną i wietrzną lutową noc odtajał w salonie doktora z zimna i lodu, wzmocnił się kolacją i dwoma kieliszkami krwistego wiśniaku. A gdy się to stało, sięgnął po pozostawioną przy nodze stołu swoją czarny aktówkę i choć major Kuna ziewnął głośno, okazując mu tym swoje niezadowolenie, wyjął z aktówki złożoną w kilkoro ogromną płachtę papieru, pokratkowaną dokładnie i pełną nazwisk samych mężczyzn. Nazwisk było aż 98, a krateczki obok nich zawierały informacje o tym, co ów człowiek robił w ostatnią noc lipcową minionego roku oraz czy wykazywał skłonności do niespodziewanej agresji, nadużywał alkoholu, bił swoją żonę lub kochankę, podmacywał małe dziewczynki, karano go za coś, znęcał się nad zwierzętami, stronił od kobiet lub oddawał się rozpuście. Kratek było wiele, kryły dziwne i zaskakujące pytania oraz odpowiedzi, a każda odpowiedź otrzymywała inną barwę, co sprawiało, że płachta papieru wyglądała jak projekt jakiejś przepięknej mozaiki. Kapitan Śledzik spodziewał się, że jeśli wszystkie kratki zostaną właściwie pokolorowane, wyłoni się przed nim czyjaś twarz z tułowiem, rękami, nogami i szyją, na którą kat założy pętlę w podziemiach jednego z zakładów karnych. Barwną mozaikę na wielkiej płachcie papieru obejmował więc czułym spojrzeniem i doznawał nawet pewnych uczuć

estetycznych, niestety, zmąconych świadomością, że niczyja twarz nie pojawiała się, jakby twórcy mozaiki w pewnej chwili zabrakło natchnienia lub umysł miał zmącony czymś kłamstwem. Tak czy inaczej na przykładzie owej barwnej mozaiki jeszcze raz potwierdziła się prawda, że piękno bywa sprawą względną.

Kapitan Śledzik przesunął na stole puste talerze i kieliszki, aby zrobić miejsce dla swego dzieła. Następnie poprosił doktora, aby usiadł obok niego. Wskazujący palec Śledzika zaczął wtedy sunąć po płachcie papieru z góry na dół, zatrzymując się na dłużej przy każdym wyszczególnionym tam nazwisku. Jeśli z nazwiskiem sąsiadowało kilka kratek zakolorowanych na czerwono, na twarzy kapitana Śledzika pojawiał się wyraz zastanowienia. Jeśli były to kratki żółte, kapitan wzdychał cicho, jeśli zaś niebieskie, pogwizdywał cichutko, a przy kratkach zielonych pytająco spoglądał na doktora, jak gdyby od niego żądając odpowiedzi.

– Niech pan pamięta, doktorze – powtarzał od czasu do czasu – że około dwudziestej pierwszej ofiara siedziała na ławce przed sklepem. W półtorej godziny później zaduszona została o dwieście metrów od pańskiego domu, na polanie leśnej. Innymi słowy, musiała w towarzystwie zabójcy przejść przez prawie całą wieś, koło zagrody swej matki, obok pańskiego domu. Czy możliwe, że nikt nie zauważył z kim odeszła, nikt nie widział, gdy szła z zabójcą? Jak wiemy, a pan to potwierdza, dziewczynka nie była skora do zawierania znajomości z obcymi ludźmi, wykluczyć więc należy, aby w drogę do śmierci powiodł ją człowiek nietutejszy. To był ktoś, kogo znała i komu ufała. Lista dziewięćdziesięciu pięciu mężczyzn obejmuje wszystkie takie osoby. Na tej liście znajduje się także morderca.

Ani jedno nazwisko na owej płachcie papieru nie było doktorowi obce. Znał tych ludzi z wyglądu, rozmawiał z każdym z nich w najróżnorodniejszych sytuacjach i o najróżniejszych sprawach, niejednego nawet oglądał bez bielizny i słuchał jak bije jego serce, jak oddychają jego płuca. Kiedyś wydawało się doktorowi, że potrafił owym ludziom zajrzeć pod twardą pokrywą czaszki, w przepastne mateczniki duszy, w mroczny labirynt myśli i uczuć. Po tamtej nocy bezradnie patrzył na grzbiety książek w swym gabinecie, na złożone nazwiska, przed którymi zawsze się korzył i z których czerpał wiarę w rozum ludzki.

Wskazujący palec kapitana zatrzymał się przy rubryce „Jan Krystian Niegłowicz”. Małe kratki mieniły się różnymi barwami, nie miał bowiem doktor alibi na ową noc, ale nie zdradzał również skłonności do agresji, nie nadużywał alkoholu, nie był nigdy karany, nie miał kłopotów seksualnych, nie zdradzał skłonności do nieletnich dziewcząt ani też do młodych chłopców, nie znęcał się nad zwierzętami.

Chrząknął z zakłopotaniem kapitan Śledzik i przesunął swój palec o jedno nazwisko w dół. ale wstrzymał go doktor. Wyjął z kieszeni długopis i obok swego imienia i nazwiska nieoczekiwanie zrobił maleńkie kółeczko.

– Co ono oznacza – odezwał się major Kuna, który do tej pory zdawał się drzemać na swym krześle przy stole.

A wtedy doktor rzekł:

– Tej nocy, jak wiele razy mówiłem, spałem sam przy otwartym oknie i dwa razy obudziło mnie wściekle ujadanie moich psów. Dwukrotnie wyszedłem na ganek, bo są tacy w tej okolicy, co myślą, że mam dużo złota i biżuterii, choć prawdą jest, że jedynym wartościowym przedmiotem, jaki posiadam jest mały pierścionek z brylantem, który należał do mojej żony. Byłem zmęczony i słuchając ujadania psów, niemal spałem na stojąco, wsparty o słupek ganku. Psy rwały się do furtki, lecz ja przywołałem je do domu i położyłem się spać. A w tym czasie o dwieście kroków od mego domu... Boże drogi, gdybym wtedy wypuścił za furtkę swoje psy – i doktor urwał, jakby mu głosu zabrakło.

– Rozumiem pana. doktorze – kiwnął głową Śledzik. – Ale to kółko nic nam nie mówi.

– Owszem – odparł doktor. – Ten człowiek ma wyrzuty sumienia. A one bolą niekiedy najbardziej.

– Wiem, co pan ma na myśli – przytaknął uprzejmie kapitan Śledzik. Postanowił pan wszcząć śledztwo na własną rękę i obawia się pan, że możemy mieć z tego powodu pewne kłopoty. Zgadzam się z panem, doktorze. Ale jeszcze bardziej od wyrzutów sumienia gnębi kogoś męka niespełnionego pożądanego. Bezkarność zaś pierwszej zbrodni staje się wyzwaniem rzuconym następnej. Obawiam się prawdziwych kłopotów, doktorze, i dużo dałbym za tu, by i przy czyimś innym nazwisku pomógł pan zakreślić małe kółko.

Niestety, doktor nie potrafił tego zrobić i kapitan poczuł, jak bardzo jest zdruzgotany.

– W pokoju na górze zrobiło się ciepło – przypomniał doktor. Znajdziecie tam dwa tapczany z czystą pościelą i umywalkę. Ale po ciepłą wodę będziecie musieli zejść na dół, do łazienki.

Dwaj stróże spokoju i porządku zasnęli zaraz i bardzo mocno, bo pokój na górze sąsiadował ze strychem, gdzie suszyły się przeróżne zioła i zapach ich zdawał się przenikać przez drewniane ściany. Ale doktor nie położył się spać. Najpierw wyszedł na ganek i zawołał do salonu swoje dwa psy, które natychmiast rozwalily się na dywanie i zaczęły głośno chrapać. Doktor zaś rozpoczął długą i mozolną wędrówkę dookoła stołu, omijając starannie ciała śpiących psów. Szedł tak i szedł przy wtórze łagodnego cykania

wielkiego zegara szafkowego o złotym i dużym sercu. Szedł i szedł przed siebie, choć była to wędrówka tylko dookoła kwadratowego stołu i prowadziła zawsze na to samo miejsce. Czy jednak wszystko na tym świecie, nawet księżyc, słońce i gwiazdy, nie odbywa właśnie takiej jałowej wędrówki.

Przed świtem w ogrodzie doktora zjawił się Kłobuk, aby znowu uprzedzić sójki w oczekiwaniu na chleb Makuchowej i dostrzegł doktora, jak z jednostajnością wahadłowego zegara mija okno, które na śnieg w ogrodzie rzucało żółtą plamę światła. Kłobuk wiedział, kto przyprowadził na polanę młodzieutką dziewczynę, kto zdarł z niej spódniczkę, sweterek i bieliznę, zacisnął biustonosz na szyi, ucisnął kolanami brzuch, aż pękła śledziona, a potem włożył palec w pochwę i z nienawiścią rozdarł jej błonę dziewiczą. Ale Kłobuki nie przywiązują wagi do takich spraw, jako że rodzą się z zakopanych koło progu wcześniaków, które na próżno wołają o Chrzest Święty i dlatego muszą przybrać postać ptaka.

Z ogrodu doktora, kolebiąc się chwiejnie na wątych nóżkach, poszedł Kłobuk przez zamarznąłą zatoczkę aż do domu Justyny. Przez szparę dla kur wcisnął się do obory i z łomotaniem skrzydeł podleciał na belkę wspierającą dach.

W oborze było ciepło, zacisznie, na stryszku z sianem harcowały myszy, szeleściły suchymi źdźbłami trawy i popiskiwały cichutko, zaś czarna krowa wilgotnymi nozdrzami dmuchała w pusty żłób albo odwracała łeb ku ciężącemu jej jak dynia wielkiemu wymieniu. Wraz z brzaskiem i coraz głośniejszym mamrotaniem kur w drucianej klatce wchodziła do obory Justyna w brązowym kozuchu narzuconym na nocną koszulę, z pustym wiaderkiem w dłoni. To wiadro najpierw odkładała na cementową ławę pod oknem, później stawiała w rozkroku, rozchyłała kozuch i zadarłszy koszulę, z ciekawością obserwowała jak między jej białymi udami leci w dół strumień parującej uryny. Później wyszukiwała trójnożny stołek pod żłobem, brała wiaderko z ławy i usadawiała się przy baniastym wymieniu. Od delikatnych dotknięć jej palców żółtawe i lepkie dójki głośno i z mocą sikały mlekiem do wiadra. I wtedy Justyna od czasu do czasu spoglądała w górę, wypatrując na belce koguta z czerwonym jak krew grzebieniem. Nabrzmiałe dójki wciąż tryskały mlekiem, posłuszne każdemu dotknięciu palców, a ją ogarniało coraz większe pragnienie, aby ów ptak na belce sfrunął nagle na dół i rzucił się na nią z łoskotem swych skrzydeł, sikając nasieniem i wypełniając ją tak samo, jak wypełniało się wiadro, które trzymała między kolanami.

O WYŻSZOŚCI PRAWDY ARTYSTYCZNEJ NAD WSZYSTKIMI INNYMI PRAWDAMI I O TYM, JAK PISARZ LUBIŃSKI SZUKAŁ KOBIETY PEŁNEJ KRWI

Nepomucen Maria Lubiński – nie bez racji nazywany pisarzem, jako że imię jego i nazwisko widniało na obwolutach aż szesnastu powieści – kiedy był bardzo małym chłopcem kłamał nieco więcej niż inne dzieci w jego wieku. “Wydaje mi się, że on ma dużą fantazję artystyczną” – stwierdził ostrożnie jego ojciec, profesor zwyczajny filologii francuskiej na jednym z uniwersytetów. Matka małego Nepomucena, lektorka języka francuskiego na tymże uniwersytecie, w zasadzie zgadzała się z oceną, jaką o jedynaku miał mąż, jednak irytował ją trochę fakt, że Nepomucen do każdego popełnionego wykroczenia dorabiał zaraz ogromny scenariusz faktów, które niejako determinowały jego czyn niezgodny z życzeniem rodziców. “On po prostu inteligentnie kłamie” mówiła niekiedy ze złością. Dla małego Nepomucena liczyła się jednak wyłącznie opinia ojca, człowieka mądrego i ogólnie szanowanego, toteż kłamstwo w jego oczach stało się czymś godnym podziwu. Odtąd coraz częściej kłamał z pełną świadomością i rozmysłem, od małości bowiem pragnął być człowiekiem podziwianym. Potem poglądy Nepomucena Marii Lubińskiego na temat kłamstwa stawały się coraz szersze i głębsze, w miarę bowiem jak zdobywał życiowe doświadczenia, przekonywał się, że nie tylko on, ale i inni ludzie popełniają mniejsze lub większe kłamstwa. I tak, na przykład, chyba wszyscy koledzy w klasie w liceum uprawiali samogwałt, a przecież nikt się do tego nie przyznawał, a nawet gorliwie zaprzeczał, choćby miał koło rozporka białe plamy po spermie. Kłamstwo chroniło młodego człowieka od przyklejania mu epitetu “wstrętnego onanisty”, którego nie szczędzono sobie w koleżeńskich kłótniach. Kłamstwo więc mogło człowieka ustrzec od pogardy ze strony innych ludzi, takich samych kłamców, potrafiło obronić przed karą czy niemiłymi uwagami ze strony rodziców, zapewniało także istocie ludzkiej luksus odrobiny osobistej wolności. Wystarczało, na przykład, powiedzieć rodzicom: “dziś jestem w złym nastroju psychicznym” a otrzymywało się możliwość leżenia na tapczanie, czytania interesującej książki. Jakakolwiek próba powiedzenia prawdy niewygodnej dla otoczenia spotykała się – jak to Nepomucen doświadczył

niejednokrotnie – z brakiem akceptacji a nawet wrogością. Powiedzenie nauczycielowi prawdy, że nie odrobiło się lekcji, ponieważ po prostu się nie chciało, narażało na opinię aroganta i groziło surowymi konsekwencjami. Natomiast kłamstwo, nawet byle jakie, stwarzało możliwość uchronienia się przed konsekwencjami lenistwa. Kłamstwo wyszukane, inteligentne, wmontowane do odpowiedniego scenariusza potrafiło nawet przydać blasku kłamiącemu. “Nie zrobiłem wczoraj zadań z matematyki – tłumaczył się kiedyś w szkole mały Lubiński – ponieważ przez całe wczorajsze popołudnie i długo w nocy miałem myśli samobójcze”. Przez następne trzy dni nikt nie wyrwał Nepomucena do tablicy, żaden nauczyciel nie sprawdzał czy odrobił lekcje. On, Nepomucen, stał się przedmiotem ogólnej troski i zainteresowania klasy, a pewna bardzo ładna dziewczyna z trzeciej ławki, która nigdy dotąd nie zwracała na niego uwagi, tym razem zgodziła się na randkę po lekcjach. W domu okazywano mu szczególną troskliwość, mógł się do woli wylegiwać na tapczanie, czytać książki, robić to, na co miał ochotę. Był to okres tak przyjemny, że Nepomucen sam uwierzył, że rzeczywiście ogarniały go myśli samobójcze. Odtąd też miał już na temat kłamstwa pogląd ugruntowany. Było ono wśród ludzi czymś nieodzownym. Społeczeństwo żądało od człowieka kłamstwa ładnego, dobrze umotywowanego, rozsądnego, harmonizującego z kłamstwami innych ludzi i odpowiadającego ich wyobrażeniu o prawdzie. Tak na przykład, gdy ojciec Nepomucena w swej rozprawie naukowej wykazał w kilku książkach pisarzy francuskich wiele ewidentnych kłamstw, krytycy zaatakowali go, stwierdzając, że jest ciasnym i ograniczonym naukowcem, który nie rozumie, że istnieje prawda artystyczna. Klęska ojca stała się z czasem tryumfem filozofii syna. Młody Nepomucen zrozumiał wówczas, że nawet najbardziej niewiarygodne kłamstwo może zyskać sobie społeczny szacunek, skoro osiągnie rangę prawdy artystycznej. Jeśli Nepomucen próbował namówić koleżankę do większej poufałości i mówił, że ją kocha, uzyskiwał to bez trudu. Choć dziewczyna i tak wiedziała, że jej nie kocha. Ważne było, aby jego kłamstwo pozwoliło jej usprawiedliwić się przed sobą. Zresztą, fakt, czy dziewczyna wierzyła, czy też nie w przekazywane jej kłamstwo o miłości, zależny był jedynie od sposobu w jaki kłamstwo zostało jej objawione, to znaczy, czy otrzymało odpowiednią oprawę, uwierało właściwą ilość metafor, tworzyło zespół należycie dobranych zdarzeń poukładanych w odpowiedniej kolejności, a więc miało rangę prawdy artystycznej. Tak w istocie prawda artystyczna zawsze triumfowała nad rzeczywistymi faktami i nawet największy zbrodniarz mógł liczyć na większą łaskawość opinii społecznej, jeśli podał do wiadomości ogółu barwną i wszechstronnie opracowaną swoją wersję wydarzeń. Czyż sympatia ludzka nie była

po stronie Raskolnikowa, choć w bestialski sposób zabił, dwie bezbronne kobiety, ponieważ Dostojewski ukazał prawdę artystyczną, która w subtelny sposób odsuwała na bok dwa okrwawione ciała, a na plan pierwszy wysuwała przeżycia mordercy? Czy prawa artystyczna książki "Zbrodnia i kara" nie poddawała czytającemu myśli, że w gruncie rzeczy największą prawdę artystyczną tworzy pisarz, w sądzie inteligentny adwokat, w życiu codziennym każdy człowiek na miarę swego talentu i wiedzy. W otaczającej Nepomucena rzeczywistości ten zawsze tryumfował, kto potrafił przekonać innych ludzi dla swej artystycznej prawdy. Doświadczyla tego na własnej skórze pierwsza żona pisarza Lubińskiego, którą na mocy wyroku sądowego pozostawił niemal bez środków do życia, a to dlatego, że zaprezentował opinii sądu godną uwagi i barwną prawdę artystyczną o tragedii, jaką było dla niego owo małżeństwo. Sędziowie i publiczność na sali, a także żona Lubińskiego, dowiedzieli się, że nawet w chwilach najbardziej intymnych on czuł się przez nią zdeptany i upokorzony, a każda szklanka herbaty jaką mu podawała do łóżka, smakowała jak cykuta i była jeszcze jednym wydarzeniem w paśmie nieustannych upokorzeń, ponieważ, gdy mu ją stawiała na stoliku koło łóżka, miała na ustach uśmiech, który on odbierał jako pogardliwy i wyniosły. W życiu, podobnie jak w utworze literackim, rzeczywiste fakty nigdy nie są opinii ludzkiej podawane bez komentarza, nagie i bezbronne, lecz zawsze umieszcza się je w jakimś scenariuszu, maluje odpowiednimi barwami, które nazywamy szeroko pojętym kontekstem społecznym. Osądzanie nagiego faktu uwłacza sprawiedliwości. Żaden człowiek, a tym bardziej sąd, nie skaże drugiego człowieka tylko na podstawie faktów. Tak pojęty humanizm i humanitaryzm daje ogromne pole manewru prawdzie artystycznej, co młody Nepomucen zrozumiał dość wcześnie i wyciągał z tego właściwe wnioski. Maturzysta Lubiński miał więc, tak rzadki w tym wieku, ukształtowany własny światopogląd oraz objawił, oparty na dość gruntownej znajomości kultury francuskiej, dobrze zapowiadający się talent literacki. W wieku dziewiętnastu lat opublikował w czołowym czasopiśmie literackim trzy wiersze o miłości, które wzbudziły pewne zainteresowanie u smakoszy literatury, natomiast spotkały się z krytyką jego ojca. "Nie rozumiem, synu – powiedział mu ojciec po przeczytaniu owych wierszy – dlaczego napisałeś, że ślepniesz od blasku włosów ukochanej dziewczyny? Nie jest dobrze, jeśli młody człowiek ślepie z takich przyczyn. Nadmieniles także, że wątpisz w Boga. Nie uczono cię, że wierzy się w Boga, zaś wątpi o Bogu?" Po takiej krytyce, a może przede wszystkim dlatego, że prawda artystyczna owych wierszy budziła uczucie niedosytu w samym autorze, on bowiem także nie chciałby oślepnąć od urody kobiecych włosów, młody Nepomucen zarzucił na zawsze poezję, wstąpił na filozofię i zdecydował

próbować swych sił w prozie. Jeśliby jednak rozważać czemu, zbliżając się do czterdziestki, przeżywszy wiele gorzkich i słodkich doświadczeń, zaczął gustować w “Pismach semantycznych” Gottloba Frege, to nie ulega wątpliwości, że prażródła owego zainteresowania należało szukać w pamiętnej krytyce jego wierszy, dokonanej przez ojca. Mając dwadzieścia pięć lat i magisterium z filozofii, Nepomucen Lubiński opublikował w prowincjonalnym wydawnictwie chudy tomik opowiadań zawierających ulotne i bardzo delikatne wrażenia z różnych chwil, jakie przeżywa młody mężczyzna, gdy poznaje młodą kobietę. Tomik podobał się czytelnikom, choć krytyka nie wyraziła zbyt wielkiego entuzjazmu, zresztą nadmienić należy, że ów tomik miał zaledwie cztery recenzje i to w prasie prowincjonalnej. Nepomucen wkrótce otrzymał pracę redaktora w tymże wydawnictwie prowincjonalnym i przez trzy następne lata poznawał bardziej teksty cudze niż własne. Fotografia na skrzydełku obwoluty pierwszej książki utrwaliła jego twarz i sylwetkę z tamtych lat – wysokiego, barczystego blondyna z dużą szopą jasnych włosów, o rysach subtelnych i marzycielskim spojrzeniu niebieskich oczu. Mężczyzna o takiej urodzie, jeśli jeszcze do tego godzi się na istnienie prawdy artystycznej i taką prawdę potrafi stworzyć, zmniejsza wahania i opory kobiet. Nepomucen Maria Lubiński nie mógł się uskarżać na brak powodzenia u dziewcząt, jednakowoż, w miarę jak rosło jego doświadczenie w tym względzie i narastała ilość spostrzeżeń, stwierdził, że młode kobiety z o wiele większym entuzjazmem rozbierały się dla niego po raz pierwszy niż drugi, trzeci czy czwarty. Po jakimś czasie wołały nawet prawdę artystyczną o ich wzajemnym kontakcie niż rzeczywisty kontakt, co budziło w nim poczucie winy. Świadomość własnej niedoskonałości i poczucie winy starał się Nepomucen wyrównać coraz barwniejszą i doskonalszą prawdą artystyczną o swoich kontaktach z kobietami. Pewnego razu tak dalece zabrnął w tę prawdę, opowiedział o niej z taką maestrią, że uwierzyła w nią nie tylko młoda kobieta o imieniu Grażyna, magister farmacji, ale uwierzył on sam, podobnie jak w latach szkolnych uległ własnej fantazji, iż rzeczywiście przeżywał myśli samobójcze. Z tą to Grażyną ożenił się i żył czas jakiś. W swym debiutanckim tomiku opowiadań miłość i zbliżenie dwojga ludzi przedstawiał zazwyczaj Nepomucen Lubiński jako gwałtowny, niczym burza z piorunami, krótki spazm rozkoszy i ekstazy, i tak to przeżywał, być może nawet podobnie odczuwała tę sprawę jego żona w początkach małżeństwa. W rzeczy samej jednak po jakimś czasie zaczęła od niego wymagać zabiegów mniej gwałtownych, lecz za to znacznie dłuższych. Sprawa ta doprowadziła do licznych konfliktów między nimi, aż w końcu otrzymała w miarę szczęśliwy epilog w postaci kompromisu: on wchodził w nią jak krótkotrwała burza, a ona potem przez blisko kwadrans zaspokajała się sama,

leżąc u jego boku. Dla otoczenia pozostawali wciąż parą szczęśliwą i dobraną, obydwójce bowiem kultywowali – zaakceptowaną przez otoczenie prawdę artystyczną o ich małżeństwie. Z biegiem jednak czasu owa prawda zaczęła tu i ówdzie pękać, bowiem Nepomucen Maria Lubiński miał zbyt wrażliwą i bogatą psychikę, aby leżąc obok żony i słuchając jej coraz szybszego oddechu, kończonego głębokim westchnieniem ulgi, nie doznawał czegoś w rodzaju pogardy dla siebie, a ponieważ trudno żyć długo z takim uczuciem, wkrótce zaczęła narastać w nim pogarda i nienawiść do żony, a także – co jest też nie bez znaczenia – coś w rodzaju wstrętu do jej nocnych praktyk. W rezultacie żona przestała go podniecać i pociągać, nie stać go już było nawet na ów gwałtowny jak burza spazm rozkoszy. Co noc odczuwał dygot łóżka, słyszał przyspieszony kobiecy oddech, potem głośne westchnienie ulgi i następnie spokojny szmer oddechu zasypiającej żony, i nie mogąc zasnąć – nie doznawał bowiem żadnej ulgi – cierpiał i myślami uciekał w sfery idealne i ponadzmysłowe. Mocą swej wyobraźni tworzył wtedy o sobie i nie istniejących ludziach barwne i ładnie skomponowane prawdy artystyczne. Czy nigdy nie przychodziło mu na myśl, aby wyjaśnienia przeżywanego kłopotów szukać poza intuicją, wyobraźnią, literaturą? Owszem, w istocie miewał takie myśli, ale nikt i nic nie mówiło mu zdecydowanie, że jest to droga słuszna. Wprawdzie wychował się na literaturze francuskiej, gdzie intelektualizm i “ratio” święciły swoje niezaprzeczalne tryumfy, a romantyzm był tylko jednym z wielu licznych prądów artystycznych, to jednak oddychał powietrzem i żył w klimacie regionu, w którym wciąż jeszcze wiara i czucie mówiły najwięcej, dominował literacki okultyzm, zaś najpoważniejsi krytycy głosili, nie bez słuszności zapewne, że wraz z ogromnym rozwojem przeróżnych gałęzi nauk pisarz nie jest w stanie objąć swym umysłem wszystkich zdobyczy wiedzy i musi kierować się jedynie własną intuicją. Tomasz Mann miał być rzekomo ostatnim i w samej rzeczy był ostatnim artystą, który mógł pogodzić literackie wyobrażenie o człowieku ze współczesną mu nauką o tym przedmiocie. Wiedza o różnicach między płciami nie wychodziła zresztą u Lubińskiego poza niektóre stwierdzenia Otto Weininger, którego przedwojenne wydanie znalazł w bibliotece swego ojca i przeczytał w wieku lat siedemnastu. Już wówczas brnąc z trudem przez opasłe tomisko owego młodego i bardzo niezrównoważonego autora, miał Lubiński świadomość, że książka ta zawiera tyleż ciekawych spostrzeżeń, co i pochopnych poglądów. Jednak gdy w życiu dorosłym zaskoczyły go kłopoty i zaczął powracać myślami do swych młodzieńczych lektur, które dawały mu ongiś poczucie równowagi psychicznej, owe stwierdzenia objawiały mu się z nową siłą. Czyż bowiem w otaczającej Nepomucena rzeczywistości wszystkie istoty żywe nie dążyły do wzajemnego

uzupełnienia się i dopełnienia? Zatem osobnik płci męskiej, zwany przez Weiningera mężczyzną “pełnej krwi”, powinien pragnąć dopełnić się z taką samą doskonałą i “pełną krwi” kobietą, której jedynym celem staowało się uzyskanie od mężczyzny jego nasienia. Kobieta zaś oczekująca w kontakcie z mężczyzną czegoś więcej, z natury rzeczy nie mogła być kobietą “pełnej krwi”, ale pozostawała istotą bardziej męską niż kobiecą. Tak więc żona Lubińskiego, Grażyna, nie była “pełnej krwi” kobietą, gdyż pragnęła osiągnąć w kontakcie z nim także i to, co należało do właściwości męskiej. Zdaniem Weiningera, jedynymi “pełnej krwi” kobietami pozostawały ładacznice i kobiety-matki, między którymi nie widział on specjalnej różnicy, a nawet te ostatnie osądzał znacznie surowiej. Jak pisał: “matka jest nawet gorszą, zdobywszy bowiem mężczyznę dla swoich dzieci, nie troszczy się ona więcej o żadnego innego mężczyznę, podczas gdy nierządnicą nie rezygnuje z żadnego mężczyzny na świecie. Dla absolutnej matki i absolutnej nierządnicy wytrysk męskiego nasienia jest jedynym celem, choć pierwszej chodzi o zapłodnienie, a drugiej o przyjemność”. Z tych to pouczeń korzystając, zaczął Nepomucen Lubiński, mężczyzna “pełnej krwi”, poszukiwać swego dopełnienia w postaci “pełnej krwi” niewiast w osobach nierządnic przebywających w kawiarniach wytwornych hoteli. Z pokorą i oddaniem przyjmowały od Nepomucena jego nasienie, nie szukając niczego więcej poza zwykłym w takich razach honorarium. Aż pewnego dnia zaraził się Nepomucen chorobą zwaną dyskretną i w okresie rekonwalescencji przeniósł się na tapczan do drugiego pokoju. Na zawsze już uwolniło go to od obserwowania nocnych praktyk żony, a tym samym pozwoliło mu uniknąć poczucia winy oraz odbudowało pewność, że jest jednak prawdziwym mężczyzną, który przez nieświadomość połączył się węzłem małżeńskim z kobietą niedoskonałą. Następstwem tych poglądów był jego samotny wyjazd na urlop do maleńkiej, ukrytej wśród lasów i jezior wioski. Tutaj to pewnego razu jadąc w skwarny sierpień swym tanim samochodem przez przepastne lasy, koło miasteczka o nazwie Barty, został zatrzymany na szosie przez trzech ludzi ubranych w białe fartuchy. Byli to pielęgniarze z ukrytego w lesie maleńkiego szpitala psychiatrycznego dla dzieci. Właśnie uciekła im pacjentka, trzynastoletnia dziewczynka i szukali jej pospiesznie, obawiając się, aby nie zgubiła się gdzieś w lesie. Lubiński nie widział uciekinierki i nie mógł pielęgniarzom udzielić żadnych informacji; w miasteczku Barty zrobił zakupy i powrócił do domu ubogiego drwała, gdzie zamieszkiwał. I wtedy to doznał natchnienia. Miał uczucie, że działa jak we śnie, kierowany przez jakąś potężną siłę. Kazała mu ona zasiąść do stołu na piętrze wiejskiego domu, i pisać, bez przerwy pisać. O złotowłosej trzynastoletniej dziewczynce i jej wstrząsających przeżyciach związanych z tragiczną śmiercią rodziców i pobytem

w Domu Dziecka, gdzie zaczęła popadać w konflikty z nauczycielami i otoczeniem. Trafiała w ręce psychologa, a potem psychiatry i wreszcie znalazła się w szpitalu dziecięcym, skąd uciekła w przepastny las. Tak kończył się pierwszy tom powieści, którą Nepomucen Maria Lubiński nazwał "Zanim odlecą jaskółki" i przywiózł do domu z pracowitych wakacji. A w trzy miesiące później, już w mieście, zakończył pisanie tomu drugiego i ostatniego. Była to historia zbliżającego się do czterdziestki malarza-pejzażysty, który po rozstaniu z niewierną żoną i wrogim mu otoczeniem, osiadł na stałe na wsi, na skraju wielkiego lasu. Pewnego dnia w starej szopie znalazł on trzynastoletnią dziewczynkę, brudną, nieufną, dziką. Słyszał, że podobna dziewczynka uciekła z pobliskiego szpitala, obserwował nagonkę i przeczesywanie lasu przez ludzi w białych fartuchach. Ale jako wrażliwy artysta, który sam schronił się w dzikie ustronie przed ludzkim okrucieństwem i bezdusnością, przeczuwał w owej bezbronnej dziewczynce istotę podobnie przez los skrzywdzoną i niezrozumianą. Tedy malarz ukrył u siebie uciekinię, a ona, w miarę jak znajdowała u niego spokój i życzliwość, a także i to co ludzie nazywają sercem, w przepięknym pejzażu lasu i jeziora, w prostym i surowym życiu straciła swą dzikość i nieufność, wróciła jej równowaga psychiczna, a wraz z nią poczucie szczęścia i radości. Aż pewnego razu zjawili się w domu malarza ludzie w białych fartuchach i zabrali trzynastoletnią dziewczynkę, malarza zaś czekał sąd za ukrywanie chorego psychicznie dziecka. Tak odleciała z życia malarza jego szczebiocąca radośnie jaskółka, a w życiu Nepomucena Lubińskiego nastąpiła decydująca zmiana. Wydawca rzucił jego dwutomową powieść na rynek księgarski w ogromnym nakładzie, redakcje czasopism kobiecych i dziecięcych oraz autor zasypani zostali lawiną listów od czytelników wzruszonych dziejami małej "jaskółki". Wkrótce rozszedł się drugi i trzeci nakład książki. Nepomucen Maria Lubiński otrzymał propozycję zrobienia serialu telewizyjnego. O jego powieści i serialu dyskutowali na małym ekranie najpoważniejsi krytycy literaccy i publicyści: "czy książka popularna może być zarazem dobrym utworem literackim?", "czy popularność powieści wynika z określonych zapotrzebowań psychicznych milionów czytelników i widzów?". Do owych odwiecznych i jałowych dysput z czasem zaczął przenikać głos ostry jak uderzenie bata. Oto w dalekim i bogatym kraju, gdzie ludzie żyli pod tyranią psychoanalityków i psychiatrów, rozpoczęła się gwałtowna dyskusja o sposobach leczenia duszy ludzkiej. Zastanawiano się tam, czy w istocie rzeczy jedni ludzie, uznani za zdrowych psychicznie, mają prawo innym, uznanym przez nich za chorych, narzucać własną wizję świata. Sprawa o wymiarze ogromnym, otwarta jak ocean, nieco dziwnie zabrzmiała w kraju pisarza Lubińskiego, gdzie nie było ani jednego wykształconego psychoanalityka, a

psychiatrzy należeli do zawodów najbardziej deficytowych i najgorliwiej poszukiwanych. W owych rozważaniach niejednokrotnie powoływano się na powieść Lubińskiego, która na dobre zamieszkała w świadomości społecznej, jako na przykład dehumanizacji medycyny, zbawiennych skutków psychoterapii dobrego słowa i czułego serca. Nepomucen Lubiński oprócz honorariów i sławy zyskał sobie także opinię pisarza, który potrafi dostrzegać najważniejsze problemy swojej epoki. Tak usatysfakcjonowany pisarz uzyskał także pewność siebie i w życiu prywatnym. Wtedy to wystąpił o rozwód z żoną, a nie stało się to bez namowy pewnej młodej pani, dwudziestodwuletniej studentki, złotowłosej panny Ewy, która Lubińskiemu wydawała się kobietą “pełnej krwi”. Wydawcy coraz częściej patrzyli na Nepomucena z niemym pytaniem w oczach o nową jego książkę. Tedy Lubiński przypomniał sobie o domu ubogiego drwala, gdzie kiedyś spotkał go szczęśliwy los, i znowu wynajął tam pokój, tym razem na wczesną złotą jesień, która nie była złota, ponieważ wciąż padał przenikliwie zimny deszcz. Z wieczornych rozmów z drwalem dowiedział się Lubiński o mieszkającym w wiosce lekarzu. Wyszedł on z tej wsi i powrócił, gdy żona jego zginęła w katastrofie lotniczej. Odtąd w rodzinnym domu prowadził życie samotne, ale wypełnione pracą dla dobra ludzi. Niestety, zimny deszcz po niecałym tygodniu wygnał Lubińskiego z zagubionej wśród lasów i jezior wioski, nawet nie zdążył poznać osobiście owego lekarza. Ale najważniejszą przecież sprawą było przekazanie o człowieku nie prawdy rzeczywistej, lecz prawdy artystycznej. Być może jednak sprawił to pobyt w wynajętym i źle umeblowanym pokoju (od wszczęcia rozwodu wyprowadził się Nepomucen z domu), że ukazana w jego nowej powieści postać lekarza nie wzbudziła entuzjazmu czytelników i krytyki literackiej. Ów lekarz za bardzo przypominał doktora Judyma, a drugą postać z powieści – kobietę “pełnej krwi”, którą lekarz napotkał na swej drodze i nie mógł się z nią połączyć, gdyż była mężatką – oceniono jako mało przekonującą. Szczególnie sceny miłosne, przedstawione jako krótkotrwałe chwile ekstazy, opisane subtelnie i wyrafinowanie, spotkały się z niechęcią, a pewien krytyk napisał po prostu, że “dorosły mężczyzna w książce Lubińskiego kocha się jak sztubak z liceum”. Albowiem jak nie bez pewnej racji sądził Lubiński – tym razem jego nowa książka rozminęła się nieco z nowymi zainteresowaniami krytyki, był to bowiem czas, gdy wszechpotężny entuzjazm wywoływała literatura iberoamerykańska. Mimo to według nowej powieści Lubińskiego nakręcono także serial telewizyjny, a ten jak każdy cieszył się dużym wzięciem, ponieważ publiczność lubi oglądać miłość dwojga ludzi w kategoriach subtelnych gonitw po ukwieconych łąkach. Na szczęście dla Lubińskiego jego prawda artystyczna o pożyciu z żoną potrafiła przekonać sąd i otrzymał rozwód,

tracąc jedynie mieszkanie, ale zatrzymując przy sobie tani samochód oraz skrzętnie rozproszone po książeczkach oszczędnościowych honoraria za dwa seriale i nową powieść. Niestety, Lubiński i złotowłosa Ewa, która w międzyczasie ukończyła studia, skazani wciąż byli na włóczęgę po wynajętych pokojach. Pewnego razu nieopatrznie powiedział Lubiński złotowłosej Ewie, iż ubogi drwal, u którego znalazł temat do powieści o “jaskółce”, napomknął mu w swoim czasie, że dom pragnie sprzedać w cenie połowy taniego samochodu osobowego, ma bowiem propozycję pracy w mieście. “Kupimy ten dom, będziesz miał czas na pisanie nowej powieści. A potem z tryumfem powrócimy do stolicy” – zdecydowała Ewa. Pobrali się, kupili dom w Skiroławkach, urządzili go, doprowadzili wodę bieżącą i kanalizację, zbudowali garaż z tarasem. Być może z czasem Lubiński rzeczywiście trafiłby na jakiś interesujący temat, ale w jego życiu nastąpiły wydarzenia, które wstrząsnęły podstawami jego światopoglądu, w spokojny dotąd i uporządkowany tok jego myśli wprowadziły chaos, a nawet lęk. Najpierw poznał doktora Niegłowicza, jego sposób myślenia i bycia, i odtąd na myśl o swojej dawnej powieści o lekarzu wiejskim doznawał czegoś w rodzaju strachu. Jednocześnie żona jego, złotowłosa Lorelei, jak ją nazywał w pierwszych miesiącach małżeństwa, powoli traciła nadzieję, że opuszczą Skiroławki i powrócą do wielkiego miasta, nawet niekoniecznie do stolicy. A wraz z utratą nadziei, która bywa ogromną siłą, jej długie i złote włosy zaczęły jak gdyby tracić swój blask, a także nawiedzały ją różne dolegliwości w obrębie narządów rodnych. Wysłał swą żonę Nepomucen Maria Lubiński do lekarzy w stolicy, aż wreszcie poszedł z nią do domu doktora na półwyspie. Niegłowicz zbadał złotowłosą Ewę i stwierdził, że wszystkim dolegliwościom młodej kobiety winne są długotrwałe przekrwienia i obrzęki w obrębie miednicy małej. Oświadczył też szczerze, iż leczenie skutków choroby bywa mało skuteczne, jeśli nie usunięte zostaną przyczyny. Lubiński jest bowiem jako burza gwałtowna, lecz krótkotrwała, a ona, Ewa, jako kwiat, który ta burza jedynie rosi, gleba jednak pozostaje sucha i kwiat zaczyna więdnąć. Być może Lubiński jest ogierem pełnej krwi, a jego żona kłaczą pełnej krwi, lecz w istocie ludzie różnią się od zwierząt. A tym co najbardziej różni samice ludzkiego rodzaju od samic małą człekokształtnych pozostaje zjawisko, że przeżywa ona ekstazę w kontakcie intymnym z samcem ludzkiego gatunku. Jeśli tak się nie dzieje, osobnicy ludzcy, przede wszystkim kobieta, zaczynają niedomagać, a schorzeń owych bywa tyle, że wymienić je jednym tchem nie sposób. Stąd też leczyć trzeba nie tylko żonę Lubińskiego, ale i jego samego, aby razem dopracowali się własnej prawdy o sobie. Na początek terapii polecił Lubińskiemu środki, które mogły mu pomóc pohamować gwałtowność burzliwej namiętności, jej zaś to samo, co bez wiedzy lekarza,

wiedziona jeno intuicją kobiecą, czyniła poprzednia żona. I tak pisarz Lubiński skazany został znowu na słuchanie przyspieszonego oddechu drugiej żony, głośnego westchnienia ulgi i ciszy, która potem nastawała i dawała jej sen, lecz jego znowu niosła ku sferom odległym, mniej jednak idealnym niż kiedyś. Budziły się też w owe noce w pisarzu Lubińskim coraz większe wątpliwości o sile prawdy artystycznej i rodziła się przeogromna tęsknota za dążeniem do rzeczywistej prawdy. Na domiar złego pewnego dnia wybrał się Lubiński do Bart swoim tanim samochodem, a wracając został zatrzymany przez ludzi w białych fartuchach, którzy pytali go, czy nie widział trzynastoletniej dziewczynki, która uciekła ze szpitala. “Ciągłe wam uciekają” – burknął rozszłoszczony pisarz. “A tak – zgodził się z nim lekarz – szczególnie nowo przyjęte. Uciec od nas łatwo, ponieważ szpital nie jest ogrodzony, nie mamy krat w oknach ani nie zamykamy drzwi na klucze”. Ruszył Lubiński w dalszą drogę, ale nie ujechał dwóch kilometrów, gdy zobaczył idącą skrajem szosy dziewczynę ubraną w pasiastą pidżamę szpitalną. Uderzył go jej dość duży wzrost, nieforemne kształty ciała, dziwny chód, jakby to nie dziewczyna szła, lecz jakiś strudzony olbrzym. A gdy podjechał bliżej, ujrzał twarz obrzękłą, zniekształconą brakiem ludzkiego wyrazu, usłyszał drwiący chichot wydobywający się z ust. Ta twarz, ten chichot, to wszystko było jak ze złego snu. Zatrzymał samochód, uchylił szybę i zapytał dziewczynkę, czy ją podwieźć. Usłyszał w odpowiedzi bełkot niezrozumiały, pomieszany z chichotem, nie pojął żadnego słowa z dziwnego języka, ale przecież ona go chyba zrozumiała, bo wsiadła do jego samochodu. A wtedy pisarz Lubiński zablokował drzwiczki wozu, zawrócił na szosie i odwiózł dziewczynkę do miejsca, gdzie spotkał ludzi w białych fartuchach. Później znowu wracał do domu przez las, aż w pewnej chwili skręcił w boczną drogę, zatrzymał samochód i pochyliwszy twarz nad kierownicą zapłakał głośno nad ową dziewczynką, a także nad sobą. Kojący to był płacz. Powrócił do domu silniejszy i tego wieczora rozpałił w kominku autorskimi egzemplarzami “Zanim odleć jaskółki”. Też nocy pożegnał się z pojęciem mężczyzny pełnej krwi i jak zniechęcony do dalszej drogi wędrowiec odstawia do kąta kij sękaty, tak on pogardził prawami swego męskiego narzędzia i upadłszy na obnażone łono żony pieścił ją ustami i językiem, aż doznała ulgi i zasnęła spokojnie. Odtąd obydwójce mogli żyć długo i szczęśliwie w domu, który należał kiedyś do ubogiego drwala, ale kobieta nie doceniła przemiany, która nastąpiła w jej mężu, a może po prostu przemiana ta przyszła zbyt późno. Poczucie winy odbierało Lubińskiemu ostrość tonu i słów jakimi witał żonę, gdy wracała od doktora z wypiekami na twarzy, rozśpiewana i roztańczona; doznawał nawet psychicznej przyjemności, gdy wyobrażał sobie jej złote włosy rozsypane na poduszce w ogromnym łóżu Niegłowicza.

Ale był już człowiekiem doświadczonym i rozumiał, że kobietą dzielić się można z przyjacielem, tak jak chlebem powszednim, jeśli bochenka wystarczy, aby obydwu nasycić. Z sytuacji jaka się wytworzyła, wynikała także pewna korzyść: Ewa przestała tęsknić za blaskami wielkiego miasta, Skiroławki nabierały dla niej coraz większego uroku. A kiedy do Skiroławek sprowadził się malarz Bogumił Porwasz, pani Ewa głośno wyrażała swoje zdziwienie, że istnieją jeszcze na świecie ludzie, którzy potrafią mieszkać w wielkich blokach, nieustannie tłoczyć się na chodnikach i w tramwajach, ustawiać w kolejki nawet po papierosy i spinki do włosów. Powstały przesłanki, aby sądzić, że ów metaforyczny bochenek chleba dał się bez trudu podzielić na trzy części, a żaden z mężczyzn, który zasiadał przy stole w trzech różnych domach, nie wstawał od posiłku głodny. I jeśli od czasu do czasu Nepomucen Maria Lubiński rozmyślał o cudzie, którym było nakarmienie ogromnej rzeszy ludzkiej przy pomocy kilku bochenków chleba, dochodził do oczywistego wniosku, że cudu takiego dokonują nieustannie kobiety, istoty, których monogamia, jak słusznie zauważył pewien uczyony, uwarunkowana była jedynie kulturowo. Zdarzało się bowiem niejednokrotnie, że pani Ewa powróciwszy przed wieczorem od doktora, jeszcze pachnąca jego wodą kolońską, zbliżając się do swego domu nagle przyspieszała kroku, jakby dręczona wyrzutami sumienia, gwałtownie wpadała do pracowni pisarza, przyklękała obok fotela, na którym siedział pisząc kolejną książkę, i tak długo bawiła się przedmiotem ukrytym w rozporoku, aż pisarz wchodził w nią gwałtownie i krótko jak ongiś, na podobieństwo wiosennej burzy. Śpiewając w kuchni robiła mu potem smaczną kolację, ale już w trakcie jedzenia ogarniała ją troska o malarza Porwasza. “Pozwól kochany – mówiła do męża – że jeszcze dziś skoczę do Bogumiła i wypiorę mu koszulę. Sprowadza sobie dziwki, które nigdy o niego nie dbają”. Tęsknota za prawdą, jaka w tym czasie drażyła Lubińskiego, podyktowała mu treść niedużej powieści, w której opisał Ewę, siebie i dwóch swych przyjaciół, żyjących w małej wiosce zagubionej wśród lasów i jezior. W imię nadrzędnej idei nie oszczędził w tym utworze ani siebie, ani swych przyjaciół, ani swojej żony Ewy, a pisząc był nawet szczęśliwy, jak człowiek mogący raptem zrzucić krępującą go odzież. (po raz pierwszy powieść Lubińskiego została odrzucona szybko i kategorycznie. Gdyby chociaż wykazano mu zły styl, niedoskonałość kompozycji, brak harmonii artystycznej, przeboleałby to jakoś, w dalszej pracy doskonaląc swoje dzieło. Lecz oskarżono go o brak prawdy. “Trzej bohaterowie powieści Lubińskiego – pisał recenzent wydawniczy – są od początku do końca postaciami zmyślonymi, urojeniem niezdrowej pisarskiej fantazji. Gdzie Lubiński znajdzie takiego dziwnego lekarza albo malarza? Na jakiej wsi mieszka pisarz? Komu potrzebne jest studium psychologiczne nimfomanki, z

którą współżyje trzech facetów zdegenerowanych do szpiku kości? Być może podobne fakty wydarzają się w środowisku marginesu społecznego, alfonsów i dziwek ulicznych, ale bohaterów swoich uczynił Lubiński ogólnie szanowanymi: cenionym lekarzem, interesującym malarzem i utalentowanym pisarzem. Po prostu śmieszne.” Ale Nepomucen Lubiński nie potrafił się z tego śmiać, długo i uważnie oglądał kopertę, w której nadesłano mu maszynopis i na której grubym flamastrem był napisany jego adres: “Nepomucen Lubiński, wieś Skiroławki”, choć podobno żaden pisarz ponoć na wsi nie mieszkał. Nigdy dotąd przez myśl mu nie przeszło, aby doktor Niegłowicz był człowiekiem zdegenerowanym, podobnie jak on sam albo malarz Porwasz. Bo Lubiński uważał się za człowieka o szlachetnej i wzniosłej naturze, zaś malarza Porwasza uznać się godziło za człowieka nieokrzesanego, grubiańskiego, źle wychowanego, ale przecież i on także nie wykazywał żadnych cech wewnętrznej degeneracji. Nigdy też nie sądził, aby żona jego Ewa, była dziwką lub nimfomanką. Na świecie żyły miliony kobiet tak ubogich duchem i ciałem, że nie potrafiły przełamać samotności choćby jednego mężczyzny. Dlaczego słowa potępienia spotkać miały tę, która potrafiła znaleźć drogę do samotności aż trzech mężczyzn? I pisarz Lubiński poczuł się jak uczeń, który wyznał profesorowi, że nie odrobił lekcji, ponieważ mu się tego nie chciało. Uznany został za aroganta i otrzymał dwójkę z przedmiotu. Byle jakie kłamstwo okazało się lepsze od prawdy, a co najgorsze, nie istniały żadne dowody na to, że przyszłe pokolenia zechcą być uczciwsze niż obecne. Należało więc narzucić na siebie worek pokutny i pójść znowu wydeptanym przez tysiące pisarzy gościńcem. Nie, nie od razu Lubiński ugiął swój dumny kark i zdecydował się zejść ze ścieżki wewnętrznej uczciwości. Zdobył się jeszcze na wspaniały gest i w obecności doktora Niegłowicza podarł przyslaną mu umowę wydawniczą na masowe wydawanie powieści “Zanim odlecą jaskółki”. Niegłowicz z uznaniem powitał gest pisarza, ale biorąc pod uwagę zły stan jego finansów, starannie pozbierał podarte kawałki i połączył je taśmą klejącą. Nazajutrz pisarz odesłał podpisaną przez siebie umowę oraz dołączył list z przeprosinami za jej stan, o co obwiniał pocztę. Zdarzenie to zresztą zostało wkrótce zapomniane, przyćmione przez inne, o wiele ważniejsze. Oto w pewien ciepły i dość wietrzny lipcowy dzień przypłynął do przystani pisarza zabłąkany na jeziorze żeglarz, posiadacz szybkiego firma, mężczyzna lat około pięćdziesięciu, wąty i ciągle kaszlący, o twarzy pooranej bruzdami. Mieszkał na łące Lubińskiego w namiociku przez dwa dni, a potem, zaprosiwszy panią Ewę na swego finna odpłynął z nią już na zawsze. Lubiński zobaczył żonę dopiero w sądzie, do którego wniosła sprawę o rozwód, a otrzymawszy go, wyszła za mąż za owego żeglarza, skromnego urzędnika i wdowca, obarczonego trójką małych

dzieci. W międzyczasie zmarł ojciec Lubińskiego, a wkrótce i matka, pisarz odziedziczył po rodzicach ich mieszkanie i niewielkie oszczędności. A choć miał wówczas możliwość przeniesienia się do stolicy, to jednak pozostał w Skiroławkach. Raptem stwierdził ze zdziwieniem, że w międzyczasie jak gdyby wrósł w pejzaż tej małej wioski, stał się kimś tutejszym, zauroczonym przez przepastne lasy i mgły rozciągające się nad bagnami. Jak wielu innych mieszkańców Skiroławek nic go już nie obchodziły sprawy ludzi w wielkich miastach, ba, obce stały mu się nawet troski jego kolegów po piórze. Wkrótce ożenił się po raz trzeci z pełną oroku panią Basieńką i rozkochał w “Pismach semantycznych” Gottloba Frege. Prawdę mówiąc, można by na tym zakończyć dzieje pisarza Lubińskiego, ale gdy mówi się nie o martwym przedmiocie a o człowieku, nigdy nie można być pewnym, czy nie został pominięty jakiś szczegół osobowości, który nagle objawi się nam na nowo z niespodziewaną siłą i nie każe dopisać nowego rozdziału. A takim właśnie niepokojącym elementem w osobowości naszego pisarza był fakt, że nigdy nie pozbył się on tęsknoty za prawdą, a także chęci przekazania tej prawdy w jakimś utworze literackim. Za przyczyną owej tęsknoty, między jedną i drugą powieścią zawierającą prawdę artystyczną wygodną dla wydawców i czytelników, Lubiński zasiadał do stołu i zaczynał (który to już raz z rzędu) kreślić dzieje miłości pięknej Luizy, nauczycielki, do prostego drwala. Miała to być historia ogromnej namiętności, przedstawiona z wiedzą o przedmiocie i przesiąknięta myślą o przyszłych pokoleniach. Nie zamierzał Lubiński wydać tej książki, pragnął po prostu ją napisać, wierząc, że w ten sposób ocali się kiedyś od zapomnienia, a także w pewien sposób pozostanie uczciwym wobec siebie samego. Niestety, ten wielki cel bronił się bunkrami mitów i transzejami zwątpienia. Fałsz bowiem wybiera zawsze gościniec gładki, droga zaś prawdy pozostaje cierniową. Tym bardziej że mimo gorzkich doświadczeń, w podświadomości pisarza Lubińskiego tkwił wciąż nie do końca zatarty obraz istoty doskonałej, kobiety pełnej krwi: obraz, który zrodził się z tęsknoty i wędrówki po sferach idealnych i nie uległ całkowitemu unicestwieniu pod brutalnymi ciosami życia. Podróż do prawdy stawała się więc w rzeczy samej błąkaniem w ciemnościach, nieustannym powrotem do punktu wyjścia, do pierwszych słów pierwszego rozdziału. I tylko w tych przeogromnych rozmiarach można oceniać trud artysty, zrozumieć cud ożywionej Galatei, którą zbrukały dotknięcia naszych rąk. Dlatego ani doktor Jan Krystian Niegłowicz, ani nawet prostacki i arogancki malarz Porwasz nie ośmielali się nigdy szydzić z wysiłków pisarza, jakby i oni wierzyli chwilami, że pewnego dnia odnajdzie się w Skiroławkach piękna Luiza, nauczycielka, urzeczywistniona mocą wyobraźni i pisarskiego trudu. Podobnie niejedna wiejska kobieta spoglądała ukradkiem

na jezioro, czy nie pojawił się na nim biały żagiel finna, z którego zejdzie na ląd mężczyzna tak zwykły, jak zwykle bywa życie wiejskiej kobiety, a potem razem odpłyną w dal, tak jak odpłynęła żona pisarza Lubińskiego.

O POLOWANIU, PIĘKNEJ LUIZIE I O TYM, ŻE RZECZ MNIEJSZA POWINNA NALEŻEĆ DO RZECZY WIĘKSZEJ.

A tymczasem w Skiroławkach nocami padał śnieg wciąż bielszy i bardziej puszysty. Aż pod koniec lutego, w niedzielę po południu, po „białej stopie” wyruszyli na polowanie na dziki: proboszcz Mizera, komendant Korejwo, pisarz Lubiński, doktor Niegłowicz, malarz Porwasz i leśniczy Turlej. Nad lasem, jak to zwykle o tej porze bywa, już nisko wisiało amarantowe słońce. a oni brnęli przez śnieg, pozostawiając w białym puchu głębokie ślady wysokich butów. Nie rozmawiali ze sobą, bo las pełen był delikatnych westchnień i szelestów jakie wydają gałęzie drzew, kiedy grubą pokrywą osiadzie na nich śnieg. Widzieli wyraźnie świeże ścieżynki zajęcze, tasiemkę drobnego tropu lisa, ogromne jak talerz ślady racic łosia, drogi saren, ale jak na złość, choć szli już dość długo, nie trafili ani razu na trop dzika. Wędrowali w milczeniu, z powagą na swych godnych szacunku obliczach, jedynie malarz Porwasz ułamał niedużą gałązkę i chlastając nią na prawo i lewo, uwalniał z okiści śnieżnej przygięte gałęzie buków i młodych świerków. Od uderzeń witki okiść opadała na ziemię, gałęzie błyskawicznie podnosiły się i wyglądało to tak, jakby prostowały się w ukłonie. Malarz Porwasz doznawał wrażenia, że jest wszechpotężnym czarodziejem, przed którym na baczność stają drzewa leśne, gdy machnie swą pałeczką i ze zdumieniem dziecka przyglądał się własnym czarom.

– Myślałem o Luizie... – ni stąd, ni zowąd odezwał się pisarz Lubiński. A wówczas wydarzyła się historia zadziwiająca. Oto pięciu srogich mężczyzn, ubranych w kozuchy i długie buty, w futrzane czapy i wełniane szale, ze strzelbami nabitymi pociskami zwanymi breneka, zatrzymało się raptownie w głębokim śniegu i popatrzyło na Lubińskiego z takim zainteresowaniem i napięciem, jak gdyby raptem pokazał im trop dzika.

Pisarz opuścił niżej głowę, trochę zażenowany ich zainteresowaniem i ciekawością. Nie powiedział już nic więcej, lecz im odechciało się dalszej wędrowki, jakby owa piękna Luiza, o której słyszeli niejednokrotnie, stanęła żywa między nimi, pachnąca leśnym igliwem.

– Pięknie tutaj – stwierdził proboszcz Mizerera i zdjął z ramienia swój dryling firmy Zbrojovka. Porwasz zaś, odkrywszy tuż obok gruby pień przewróconej sosny,

czym prędzej czapkę zrzucił z niego śnieżne okrycie i usiadł, stawiając strzelbę między kolanami i szukając w kieszeni kozucha zapalek i papierosów. A ponieważ tuż obok drogi, którą nadeszli, z jednej strony rósł stary bór sosnowy, a z drugiej rozciągał się dziesięcioletni młodnik, proboszcz Mizerera jako łowczy uznał za stosowne, dla zwykłego porządku, rozkazać Porwaszowi:

– A mógłby pan skoczyć w te krzaki i wygnać nam tu jakieś stworzenie boskie. Umówiliśmy się strzelać do wspólnej puli.

– Nie ma głupich – odparł niegrzecznie Porwasz. – Nasypie mi się śniegu za kołnierz, a od księdza otrzymam jedynie „Bóg zapłać”.

Proboszcz już usta otwierał, aby poskromić zuchwałego malarza, ale komendant Korejwo, który wszędzie i zawsze czuł się osobą urzędową, zaproponował polubownie: Zapalmy, panowie. Zróbmy odpoczynek na papieroska.

Wkrótce kłęby dymu otoczyły głowę pisarza, doktora i komendanta, a także malarza Porwasza. Proboszcz Mizerera i leśniczy Turlej, jako niepalący, usunęli się na bok, aby ich nie dosięgnął trujący opar nikotyny.

– Ech, śnieg, śnieg – ozwał się leśniczy Turlej.

Porwasz potakując skinął lisią czapą:

Ma pan rację. Nie ma nic gorszego niż świeży śnieg. Próbowiałem kiedyś użyć najróżniejszych farb od bieli tytanowej począwszy, a przecież nigdy nie udało mi się oddać prawdziwej bieli świeżego śniegu. Bo tu, gdzie teraz siedzimy, jest ona jak gdyby trochę różowawa z powodu słońca, dalej zaś, w głębi młodnika, ma barwę niebieskawą, z odcieniem paryskiego błękitu. Prawdę powiedziawszy, żaden malarz nie użyje bieli do ukazania śniegu, nie wiadomo więc dlaczego różni głupcy powiadają, że śnieg jest biały. Wprawdzie nie ma na świecie nic bielszego niż śnieg, ale na obrazie śnieg nie może być zupełnie biały.

– Rozumiem pana – przytaknął uprzejmie Korejwo, otrzepując ostrożnie odrobinę popiołu, która spadła mu na połę kozucha. – Śnieg bywa kłopotliwy. Pewnego razu zgłosił się do nas sprzedawca z kiosku z wiadomością, że włamano się do jego magazynku. Niestety, tamtego wieczoru padał niewielki śnieg, a śladów na nim złodziej nie zostawił. Zarządziliśmy remanent w kiosku i stwierdzono manko na sumę dziesięciu tysięcy złotych. Zabraliśmy się za kioskarz_a i miał sprawę o kradzież. A wszystko przez to, że śnieg padał zbyt krótko.

Odezwał się doktor Niegłowicz:

– Medycyna zna różne przypadki. Od intensywnej bieli śniegu nietrudno o zapalenie spojówek. Jeśli jednak myślicie, że łatwo jest wyleczyć zapalenie spojówek,

to pozostajecie w błędzie. Rozmaite bywają zapalenia spojówek i różnie je trzeba leczyć. Jeśli zapalenie spojówek jest przewlekłe, a bardzo często bywa ono przewlekłe, ponieważ nie każdy człowiek zdaje sobie sprawę, że choruje na zapalenie spojówek...

– Co tam spojówki – przerwał mu leśniczy Turlej. – Dzieci Porowej znowu biegały wczoraj boso po śniegu. Sam widziałem. I myśli pan, doktorze, że dostaną kataru? Nic im nie będzie. A inny dzieciak nos wystawi za próg chałupy, trochę śniegu mu się do butów nasypie, i zaraz umiera.

– Ma pan rację – zgodził się proboszcz Mizerera. – Z dziećmi bywa rozmaicie. Pytał mnie nie tak dawno na lekcji religii jakiś mały mędek: czy w Betlejem pada śnieg. Jeśli w Betlejem śnieg nie pada, to czemu boskiej dziecinie było tak zimno, jak to się śpiewa w kolędach? Mówię takiemu: idź, połóż się nagi w stajence nawet latem, a zobaczysz, czy ci będzie ciepło.

– Dobrze mu proboszcz powiedział. Bardzo dobrze – zachichotał malarz Porwasz. – Gdy szedłem wczoraj przez wieś, to jakiś mały gnojek ukrył się w krzakach na cmentarzu i wołał za mną: „Malarz, płótno walasz”. No, dałem ja mu tego malarza.

– A czyj to był dzieciak? – zainteresował się proboszcz.

– Porowej. Oczywiście, że Porowej – splunął w śnieg Porwasz. – A potem doktor powie, że nie mam sumienia, ponieważ dzieciaki Porowej boso biegają po śniegu.

Proboszcz głośno nabrał w płuca oddechu, a potem tak samo głośno wydmuchał powietrze z płuc. Potwierdzały się podejrzenia, które od dawna w sobie nosił. – Pan, doktorze – ozwał się surowo do Niegłowicza – nie powinien wychodzić poza swoje kompetencje. Czy ja mówię leśniczemu, które drzewa powinien wycinać, a które sadzić? Albo, czy mówię pisarzowi Lubińskiemu jak tworzyć książki? A pan ciągle zajmuje się czymś sumieniem. Ja jestem od tego i nikt inny w naszej okolicy. Każdy z nas zdobył z wielkim trudem i poświęceniem odpowiednie wykształcenie i posiadał odpowiednie kwalifikacje w swym zawodzie i powołaniu.

Doktor Niegłowicz uśmiechnął się dobroduszenie, bo ani mu się śniło toczyć spory z proboszczem.

– *Mea culpa* – powiedział pojednawczo.

Ale proboszcz jeszcze dwa razy głośno wypuścił z płuc powietrze, zanim ozwał się równie pojednawczo:

– *Absolvo te*, doktorze.

Te słowa zaciekały komendanta Korejwę, który był człowiekiem żądnym wiedzy.

– Znajomość łaciny nie jest najgorszą sprawą – wtrącił z przekąsem. Ale weźmy dla przykładu znajomość Kodeksu Karnego. Założę się, że ksiądz proboszcz ani się

domyśla, jakie treści kryją się za tak niewinną z pozoru liczbą: paragraf 262. Albo paragraf 25. Iluż przestępców tłumaczy się niezajomością Kodeksu Karnego? Tylko że to ich wcale nie ratuje. Owszem, nie przeczę, łacina jest ciekawa. Bo co to znaczy na przykład „*mea culpa*”?

– Moja wina – wyjaśnił doktor.

– A jak będzie po łacinie „kara”? – zapytał komendant. – Bo trzeba wam wiedzieć, panowie, że każdy sąd wypowiedzieć się musi dwukrotnie. Raz co do „*culpy*”, a drugi raz co do kary.

Nie danym było jednak komendantowi, dowiedzieć się jak brzmi słowo „kara” po łacinie. Bo gdy tylko wspomniał o winie i karze, doktora opadło wspomnienie tego, co się zdarzyło, a także przyszła myśl o tym, co się jeszcze zdarzyć może. I jak gdyby wtórując swoim myślom, które również wydały mu się przerażające, powiedział głośno:

– Zostawmy na boku Kodeks Karny. Żyje pośród nas bestia krwiożercza, niesyta krwi. Przebiegła, chytra, przyczaiła się na chwilę, ale przecież znowu kolejną ofiarę może uchwycić za gardło. Każdego ranka budzę się z myślą, że to się już stało. Ale ona wciąż czeka i spogląda na nas swymi przekrwionymi oczami. Bawi się naszą trwogą i niepokojem, cieszy ją przerażenie przyszłych ofiar. Co nas obchodzi Kodeks Karny? Kant uczył, że prawo moralne jest w nas.

Były to słowa jak chmura, która zakrywa zachodzące słońce i mrok zaczyna przysłaniać widok światła.

Długie milczenie przerwał opryskliwie Porwasz:

A czy ten pański Kant, doktorze, nie wspomniał, gdzie szukać bestii? Co do mnie możecie być pewni, że bez najmniejszych skrupułów wystrzeliłbym do tego potwora z mej nadlufki. Do człowieka może bym się wahał strzelić, ale nie do bestii. I bez żadnych kantów, panowie.

Komendantowi nie podobało się takie gadanie. On, starszy sierżant sztabowy, prenumerał „W Służbie Narodu” i „Z problemów kryminalistyki”. Bestie istniały nie tylko w Skiroławkach, ale nie jacyś Porwaszowie załatwili się z nimi, tylko starsi sierżanci sztabowi oraz wyżsi rangą funkcjonariusze. Porwasz powinien mieć więcej szacunku dla proboszcza, doktora, starszego sierżanta sztabowego, a także nawet dla owego Kanta, który jak to wynikało ze słów doktora, uczył moralności.

– W milicji, panie Porwasz – upomniał go surowo starszy sierżant sztabowy – nie wyśmiewamy się z nazwisk. Z różnymi kantami mamy do czynienia, ale jeśli ktoś nazywa się Kant, to wymaga takiego samego szacunku jak i obywatel Porwasz. Pamiętajcie, panowie, że w Trumiejkach przed trzema laty mieszkał ślusarz nazwiskiem

Złodziej. Sporządził on specjalne narzędzie i włamał się do sklepu spożywczego. Z uwagi na nazwisko podejrzanego osobiście prowadziłem przesłuchanie. Osobnik podejrzany mógł się poczuć obrażony, gdyby ktoś niewłaściwym tonem zapytał go: „Co obywatel Złodziej ma do powiedzenia na temat kradzieży w sklepie spożywczym w Trumiejkach”? Kant jest takim samym nazwiskiem jak każde inne.

– To nawet lepsze nazwisko niż inne – roześmiał się leśniczy Turlej. Myślicie panowie, że leśników nie uczy się o imperatywie kategorycznym? Ale i tym razem nie było danym komendantowi Korejwie, człowiekowi żadnemu wiedzy, dowiedzieć się co znaczy pojęcie „imperatyw kategoryczny”. Albowiem pisarz Lubiński, który podobnie jak Porwasz przykucnął na pniu obalonej sosny i przez cały czas milczał, błędząc myślami gdzieś bardzo daleko, być może w swoich sferach idealnych, odezwał się nieśmiało:

– Wydaje mi się, że Luiza nie powinna zbyt długo bronić się przed swoją namiętnością. W dawnych książkach kobieta oddawała się mężczyźnie zazwyczaj dopiero na ostatniej stronie powieści. Od tamtego czasu wiele się zmieniło w poglądach ludzkich na tego rodzaju sprawy. Prawdziwe kłopoty mężczyzny nie kończą się na tym, że posiadzie kobietę, ale w tym momencie najczęściej się zaczynają. Wiem o tym z własnych i cudzych doświadczeń, a jak to już wspomniałem niejednokrotnie, pragnę napisać książkę prawdziwą. Dlatego postanowiłem, że Luiza ulegnie namiętności już w drugim rozdziale mojej powieści.

– Słusznie – zgodził się z nim Turlej. – Choć prawdę mówiąc, prawdziwe kłopoty mężczyzny zaczynają się nie w chwili, gdy posiadzie kobietę, ale w chwili, gdy się z nią ożeni.

Albowiem gdy leśniczy Turlej oświadczył dziś swej żonie, Halince, że wyrusza na polowanie w towarzystwie przyjaciół, zobaczył jej gniewnie zaciśnięte usta, z których wyrwało się jej kilka ostrych słów na temat nie porąbanego drewna. Domyślał się, że po powrocie z polowania nie otrzyma kolacji, ale jakaś przemożna siła kazała mu wziąć rosyjską nadłufkę i ruszyć z przyjaciółmi, choćby za cenę domowych nieprzyjemności. Zresztą było ogólną tajemnicą, że radosny i dźwięczny jak dzwoneczek chłopięcy śmiech pani Halinki częściej rozbrzmiewał poza leśniczówką niż w jej wnętrzu. A od czasu, gdy w telewizji wyświetlano serial „Noce i dnie”, pani Halinka na podobieństwo Barbary Niechcic zamykała na noc drzwi swego pokoju przed mężem, a otwierała je tylko wówczas, jeśli narąbał drewna na opał. W rzeczy samej leśniczy Turlej zastanawiać się począł, czy postępowanie takie można było uznać za przejaw miłości, choć jeszcze przed rokiem, no, powiedzmy dwoma laty, dałby sobie prędzej odebrać

nadlufkę marki Wołga, niż ulec przekonaniu, że nie pobrali się z ogromnej miłości. Doktor Niegłowicz znał trochę tę historię, jako że przed rokiem leczył panią Halinkę z zapalenia cewki moczowej. Pani Halinka sama mu Wtedy wyznała, jak wielką rolę w jej wczesnej młodości odgrywała stara armatura łazienkowa. Nawet przyczyny bólów, które odczuwała w podbrzuszu, upatrywała właśnie w braku owej armatury. A choć doktor stwierdził, że zapalenie cewki moczowej nie ma żadnego związku z taką czy inną armaturą, to jednak gdzieś w głębi duszy pani Halinka także i o tę dolegliwość oskarżała Turleja. Było oczywiste, że prędzej czy później (raczej prędzej niż później) śmiech pani Halinki dźwięczeć będzie częściej w domu Porwasza niż w leśniczówce Blesy. I to wcale nie dlatego, że leśniczy Turlej lenił się z rąbaniem drewna do pieca, choć i ta sprawa miała pewne znaczenie. Tajemnica kryła się w przedmiocie na pozór nieistotnym, jakim na pewno jest armatura łazienkowa, po prostu w leśniczówce Blesy znajdowała się inna armatura, niż w dachowcu malarza Porwasza. Z powodu tej armatury łazienkowej w leśniczówce pani Halinka zaczęła stopniowo patrzeć na męża jakby innymi oczami, a wówczas zobaczyła, że nie rąbie on drewna na opał. Tak samo postępował na początku ich małżeństwa, niestety, wówczas armatura łazienkowa nie odgrywała tak wielkiej roli w życiu pani Halinki, a ściślej, myślała ona, że może uda się ją zmienić na taką, która była w domu jej rodziców. Stara, brzydka, tu i ówdzie pordzewiała armatura jakiej już nigdzie nie produkowano, ofiarowując w zamian armaturę lśniącą niklem, z kolorowymi gałkami i plastikowym prysznicem. Stara armatura miała jednak tę zaletę, że można było odkręcić sitko w wężu prysznica i silny strumień ciepłej wody puścić na pewien bardzo intymny narząd. A wtedy ogarniała panią Halinkę rozkosz tak wielka, że była bliska omdlenia i raz nawet jako czternastoletnia dziewczynka zemdląła na chwilę w wancie. Wychodząc za mąż i opuszczając dom rodziców pani Halinka nawet nie zdawała sobie sprawy, jak ogromną krzywdę sobie wyrządza. Potem przez rok, dwa, trzy lata małżeństwa z pokorą i wytrwałością godziła się ze stratą, często odwiedzając dom rodziców. I byłaby może nawet wytrwała w swym małżeństwie, gdyby nie urodzenie dziecka i coraz radsze wyjazdy do rodziców, a także odkrycie, że tuż obok, w dachowcu malarza Porwasza, jest właśnie stara armatura łazienkowa. Doktor Niegłowicz miał pewność, że opuszczając w przyszłości leśniczówkę i przenosząc się do Porwasza, pani Halinka ułoży Turlejowi długą listę jego nieprawości, skądinąd słusznych i dowiedzionych. Nikt jednak ani słowem nie wspomni o roli, jaką w tej sprawie odegrała owa armatura. Przemilcza się bowiem takie sprawy nawet w powieściach o żonach, która odeszły od swych mężów, lub o mężach, którzy odeszli od swych żon. Bo choć prawdą jest, że każdy osobnik ludzki jest inny i cechują go mniej

lub bardziej wyraźne dewiacje, to przecież prawdą jest także, iż niektórzy osobnicy nie rąbią drewna na opał. I dlatego zapewne doktor Niegłowicz nigdy o armaturze łaźniakowej nie wspominał Turlejowi, co może wydawać się nawet nieuczciwe, lecz pamiętać należy, iż bywają ludzie, którym o takich sprawach nigdy mówić nie wolno, ani przynigdy o takich sprawach nie powinni czytać w żadnych powieściach, gdyż czują się zaraz sponiewierani i zbrukani. Niestety, leśniczy Turlej, jak wielu ludzi lasu, był nie tylko marzycielem, ale również człowiekiem stałych zasad. W jego przekonaniu prawdziwa miłość powinna trwać mimo takich czy innych armatur łaźniakowych oraz mimo braku drewna na opał. Jeśli zaś tak drobne sprawy mogły zakłócić tok miłości, tedy nieprawdziwą była. Cóż bowiem człowiekowi pozostanie, gdy zacznie grzęznąć w drobiazgach, gubiąc z pola widzenia sprawy najważniejszej wagi? Dlaczego ilekroć leśniczy Turlej zastawał wieczorem zamknięte drzwi do pokoju swej żony i kładł się spać w kancelarii, podobnie jak ongiś pisarz Lubiński wznosił się myślą ku sferom idealnym, gdzie istniała kobieta podobna do owej Luizy, którą wymarzył sobie pisarz. I jedyne o co miał pretensje do pięknej Luizy, a raczej do Lubińskiego, to o fakt, że pokochała zwykłego drwala, a nie kogoś w rodzaju leśniczego Turleja.

– Nie mam zastrzeżeń, że ulegnie namiętności już w drugim rozdziale – powtórzył z mocą Turlej. – Ale jeśli mato być powieść prawdziwa, irytuje mnie postać drwala. Czy mało mamy w lasach przeróżnych podleśniczych, leśników, leśników technologów? Piękna Luiza, podobnie jak moja żona, jest nauczycielką. Czy mogła zapalać namiętnością do nieokrzesanego drwala, skoro, jak to pokazuje mój przykład, żona moja wyszła za mąż za leśniczego, który bardziej odpowiada jej pozycji społecznej i intelektualnej?

– Pozycja społeczna w takiej sprawie nie ma żadnego znaczenia – zdecydowanie oświadczył proboszcz Mizerera. – Ma rację przysłowie, że serce nie jest sługą. Natomiast słusznie zwrócił uwagę kolega leśniczy, że największe kłopoty bywają nie przed ślubem, ale właśnie po ślubie. Doradzam dlatego, aby w pierwszym rozdziale przedstawiony został ślub w małym, zabytkowym wiejskim kościółku; ślub, którego Luizie i drwalowi udziela czcigodny proboszcz. Potem, rzecz jasna, mogą sobie być już przeróżne kłopoty, bo nie brak ich na tym świecie.

Malarz Porwasz wyszczerzył zęby do Lubińskiego i ozwał się szyderczo w stronę Turleja, albowiem niejednokrotnie wysłuchiwał żalów pani Halinki.

– Napisze pan Lubiński o tym, że leśniczy nie narąbał drewna na opał i zbyt często chodził na polowania. Ciekawym tylko, kto zechce czytać o podobnych historiach?

Tymczasem pisarz Lubiński znowu powrócił na ziemię ze swych sfer idealnych i

wyrzekł rozmarzonym głosem:

– Piękna Luiza, nauczycielka wiejska, pokochała prostego drwala. Zapałała do niego namiętnością, choć w rzeczy samej nie miała z nim ślubu, co może proboszczowi wydawać się grzeszne. Tym wspanialsza może być jej późniejsza skrucha. Ale czy taka kobieta jak Luiza mogłaby ulec swej namiętności w podręcznym hoteliku albo na wyliniącej wersalce? Kobieta o tak bogatej jak ona duszy potrzebowała czegoś niezwykłego, wspaniałego, niebanalnego. I gdy tak szedłem z wami przez las i widziałem, jak kolega Porwasz cienką wtką uwalniał gałęzie drzew z okiści śnieżnej, a one prostowały się dumnie jakby mu salutując, pomyślałem, że i Luiza mogłaby pewnej niedzieli zimowej wybrać się na spacer z owym drwalem. On ułamałby cienką wtkę i podnosił przed nią pochylone od śniegu gałęzie, a ona dostrzegłaby w tym coś cudownego, czarodziejskiego, i zapragnęłaby także uwolnić się od ciężaru swej namiętności, spełnić się z drwalem gdzieś w lesie, pod gałęziami ciężarnymi od śnieżnej okiści.

Porwasz przerwał mu opryskliwie:

– Jak pan to sobie wyobraża? W krzakach? W lesie? Przecież kobieta musi zdjąć rajstopy i majtki.

– Hm – chrząknął proboszcz, bo odniósł wrażenie, że rozmowa zmierza w niewłaściwym kierunku.

Lecz Porwasz przyjął chrząknięcie proboszcza jako wyraz jego wątpliwości.

– A tak, musi zdjąć rajstopy i majtki. Próbowalem ja podobnych historii i oświadczam, że to nic przyjemnego. I to bez względu na porę roku. W zimie zmarzły mi kolana, a latem tyłek pocięły komary.

– Ależ on mógł rzucić na śnieg swój ogromny kozuch – bronił się pisarz Lubiński. Zresztą, czy istotne są szczegóły? Chodzi głównie o nastrój. Komendant Korejwo przypomniał sobie jakąś chwilę ze swego życia i rzekł nieoczekiwanie:

– W samochodzie też nie jest wygodnie...

– Panowie, chodzi o prawdę – zawołał Lubiński.

Ale nie znalazł zrozumienia. Leśniczy Turlej wzruszył ramionami i oświadczył:

– W tym wszystkim nie ma ani słowa prawdy.

– Z wyjątkiem tego, że zachciało im się pieprzyć – roześmiał się Porwasz.

– Za pozwoleniem – rozgniewał się proboszcz.

– Doktorze – błagalnie jęknął pisarz Lubiński.

Niegłowicz jednak bezradnie rozłożył ręce:

– Nigdy nie próbowałem tego robić na śniegu. Zawsze wiozłem dziewczynę do

domu, dawałem jeść i proponowałem wannę, nic tak bowiem nie podnosi w kobiecie poziomu jej namiętności, jak pełny żołądek i pachnące czystością ciało. Medycyna zna jednak różne przypadki i dopuszcza wiele możliwości. Są tacy, którzy wolą kobiety nie nazbyt czyste.

– To prawda. Baby śmierdzą nawet przy konfesjonale – mruknął proboszcz Mizerera. – Wspomniałem przecież o tym w jednym ze swych kazań.

– Pozwolicie, panowie, że wypowiem się w tej sprawie najbardziej fachowo – powiedział leśniczy Turlej. Bohater powieści jest drwalem. Można, rzecz jasna, napisać w powieści, że Luiza i drwal weszli do ośnieżonego lasu, a on wziął witkę do ręki i uchwał czarodzieja. Ale tak naprawdę, panie pisarzu, to mnie, leśniczemu, a tym bardziej zwykłemu drwalowi, daleko bywa do chęci chwycenia za witkę i uwalniania gałęzi z okiści śnieżnej. Czy widzicie, ile tu połamanych, przygiętych na zawsze młodych drzew? Jutro muszę rozkazać swoim drwalom, żeby przyszedli tutaj i ratowali co się da, to jest wycięli pokrzywione i połamane drzewa i zrobili z nich papierówkę, bo później drewno nadawać się będzie już jedynie na opał. Jest to robota czasochłonna i pracochłonna. Trzeba iść od drzewka do drzewka, które rosną w pewnej odległości, śnieg sypie się za kołnierz, pocięte drzewo należy wynieść do drogi i ułożyć w metry. Niewiele się zarobi przy takiej robocie i jutro wszyscy moi drwale będą przeklinać tę piękną okiść śnieżną. Jeśli więc w rzeczy samej ów ukochany Luizy był drwalem, to gdy szedł z nią przez las, na myśl o poniedziałku robiło mu się markotno. Do diabła, czemu się pan upiera, żeby to był akurat drwal?

– Bo to zawód piękny i romantyczny – upierał się pisarz.

– I to pan mówi takie rzeczy? – zdumiał się leśniczy. – Przecież pan dobrze wie, że my nie zatrudniamy żadnych romantyków. To nawet zabronione. Co roku w okresie egzaminów na wyższe uczelnie zjawiają się pod leśniczówkami przeróżni młodzi i romantyczni ludzie, którym się wydaje, że w lasach znajdą ukojenie po klęsce. Przed laty daliśmy się nabierać na podobne ideały i braliśmy się za intensywne szkolenie romantyków. Szkolenie jednak kosztuje dużo pieniędzy, a taki romantyk już po tygodniu ciskał piłę motorową i uciekał z powrotem do domu. Od tego czasu każdy zarząd lasów zatrudnia etatowo psychologa, który ma za zadanie wyłowić owych romantyków i wyrzucić ich na zbity pysk z lasu. Bo romantyk, panie pisarzu, nie nadaje się nawet do czyszczenia młodników.

– Z drwałami różnie bywa – zgodził się komendant Korejwo. – W ubiegłym tygodniu pewien drwal z leśnictwa Czerwień białej gorączki dostał i narzeczoną z siekierą gonił. Trzech milicjantów musiało go obezwładnić, a potem przez całą noc darł się nam na

posterunku, jakby go kto ze skóry odzierał. Ludzie w Trumiejkach myślą, że katujemy aresztantów.

– Najgorzej jest w dzień wypłaty – mówił dalej Turlej. – Już od południa gromada kobiet osacza leśniczówkę i czeka, aż konwojent przywiezie kasjerkę z nadleśnictwa. Kobiety lękają się, że między leśniczówką i domem zginie połowa wypłaty. Nie chce mi się wierzyć, aby Luiza chciała się narażać na coś takiego.

– Nie wolno też zapominać o chorobie wibracyjnej – odezwał się doktor Niegłowicz. – Różnie z tą sprawą bywa, ale zdarza się również, iż po jakimś czasie zastaje się żonę lub narzeczoną w łóżku z innym i wtedy goni się kobietę z siekierą po polach. Miastowe panie myślą, że jak ktoś ma silne ramiona od trzymania trzęsącej się piły motorowej, to równie silny bywa w korzeniu, a to przecież nieprawda. Tam bywa najczęściej bardzo słaby.

– Słusznie – przytaknął Turlej. – Dla przykładu, taki świerk. Wyrośnie wielki nad podziw, ale byle wichura go wyrwie, bo ma płaski system korzeniowy. A wiotką brzoźkę, to traktorem nie wyrwiesz z korzeniami.

Posmutniał pisarz Lubiński, ponieważ bardzo chciał napisać książkę prawdziwą.

– Nie może to więc być drwal – stwierdził krótko.

– Uprzedził się pan do leśników – burknął Turlej. – Ale bywają w naszych lasach również i stażyści. Taki młody człowiek z nadzieją na dyplom inżyniera albo technika leśnego, w sam raz nadawałby się na partnera dla Luizy.

Przytaknęli tej myśli proboszcz Mizerera i starszy sierżant sztabowy. Tylko Porwasz uśmiechnął się ukradkiem, bo pomyślał, że dla takiej Luizy, to kto jak kto ale chyba artysta malarz byłby najlepszym kochankiem. Chciał nawet zabrać głos na ten temat, lecz w tym momencie o czterdzieści kroków od nich wyskoczył z młodnika duży zajac. Zatrzymał się na drodze leśnej i zobaczywszy nagle myśliwych, znieruchomiał zdumiony. Strzelby myśliwych nabite były na dzika brenekami, tylko proboszcz Mizerera miał w lufach naboje ze śrutem. Tedy błyskawicznie zmierzyl się do zajaca i przycisnął spust. Po strzale spadło trochę śniegu z pobliskiej pochylonej gałęzi. Zajac skoczył w górę, a potem padł ryjąc śnieg skokami.

– Danuśka będzie bardzo zadowolona – powiedział proboszcz Mizerera, idąc śmiało po krwawiącego w śniegu zajaca.

– Mieliliśmy strzelać do wspólnej puli – zauważył cierpko malarz Porwasz.

– To prawda – zgodził się proboszcz i zawrócił.

– Zajac jest jeden, a nas pięciu – zafrasował się komendant Korejwo.

W międzyczasie słońce schowało się już za las i niebieskawoszary zmrok wszedł

w młodnik. Przyjemnie się rozmawiało o tym i owym w tak miłym towarzystwie, ale przyszała pora, aby wracać do domu. Szkoda im się zrobiło, że zając wyskoczył na drogę i proboszcz go ustrzelił, bo jak go podzielić między piciu myśliwych? Doktor Niegłowicz wspomniał, że w domu, na piecu kuchennym, stara Makuchowa pozostawiła mu do odgrzania pierożki z grzybami i kapustą, w salonie piec był gorący, a na stole leżała otwarta książka niejakiej pani Karen Horney, zatytułowana „*Die Angst von der Frau*”. Tedy postanowił szybko rozstrzygnąć spór:

– Radziłem wam, abyście czytali Arystotelesa. A powiedziane jest u niego: „Natura ma zwyczaj dodawać rzecz mniejszą do większej i ważniejszej, a nie rzecz cenniejszą i większą do rzeczy mniejszej”. Nie ulega wątpliwości, że zając jest rzeczą mniejszą a proboszcz Mizerera rzeczą większą. Dlatego zając musi być dodany do proboszcza, a nie na odwrót.

– Słusznie – zgodził się Lubiński, a także leśniczy Turlej i komendant Korejwo, bo było oczywiste, że proboszcz nie pozwoli sobie zająca odebrać. Tyko Porwasz nic nie powiedział, ponieważ w jego wyobrażeniu zając był rzeczą większą i cenniejszą niż proboszcz Mizerera. Ale i on rozumiał, że i tak nie dostanie tego zająca.

– Bóg zapłać – podziękował grzecznie proboszcz.

Zabrał ze śniegu zająca i ruszyli w powrotną drogę po własnych śladach. Komendant Korejwo z uznaniem myślał o doktorze, który tak ładnie się znalazł i szybko rozstrzygnął sporną kwestię.

– Lubię z wami polować, panowie – powiedział wreszcie. – Nigdy nie zdarza mi się przynieść zwierzyny do domu, ale człowiek staje się mądrzejszym. W ubiegłą niedzielę na zbiorowym polowaniu w lesie za Trumiejkami ustrzeliliśmy z proboszczem po dziku, cośmy się jednak nasłuchali brzydkich wyrazów i głupich myśliwskich dowcipów, to przechodzi ludzkie pojęcie. Z wami, co innego. Weźmy dla przykładu takiego Arystotelesa. Przez myśl mi nie przeszło, że mniejszą rzecz należy dodawać do większej, a nie na odwrót. Prosta sprawa, a jednak do głowy samo coś takiego nie przyjdzie. Co zaś tyczy tej Luizy, panie pisarzu, aż dziwię się, że nikt nie pomyślał o naszym posterunkowym Brożku. Chłopak jest młody, na razie mieszka na posterunku, ale wkrótce dostanie mieszkanie, dwa pokoje z kuchnią, w Trumiejkach. Pracuje u nas pół roku i jakoś dziewczyny znaleźć sobie nie może. Ciekawym, co powiedziałyby o Luizie?

– Dlaczego pan stwarza nowe problemy? – oburzył się Turlej. – Przecież dobrze wiem, jak mało zarabiają nauczycielki i do tego bardzo młode. Po co taka dziewczyna Brożkowi, czy komu innemu w Trumiejkach? Zgodziliśmy się przecież, że jej ukochany

ma być stażystą leśnym.

A pisarz Lubiński nagle poczuł ochotę, aby porzucić swych przyjaciół, cisnąć w śnieg strzelbę i z szeroko otwartymi ramionami pobiec z powrotem w las, wołając: „Luizo, ukochana Luizo”. Bo czy to nie jemu, człowiekowi, który ją stworzył, przede wszystkim należała się jej miłość? Lecz nie uczynił nic takiego, tylko szedł z innymi powłócząc w śniegu nogami i zastanawiając się, dlaczego jego żona, pani Basieńka, tak bardzo nie lubi pięknej Luizy. Ostatnio bowiem coraz częściej powtarzała zrzędliwie: „Tracisz czas, Mucku, na jakieś głupie historie. Napisz powieść zbójceją”.

O TYM, JAK DOKTOR PODNOSIŁ OGON GUSTAWA PASEMKI I CO Z TEGO WYNIKŁO

Pewnego wieczora w lutym do gabinetu doktora Niegłowicza w jego domu na półwyspie Zofia Pasemkowa przyprowadziła swego męża, Gustawa, i rzekła:

– Od siedmiu lat, panie doktorze, jak to sobie wyliczyłam, mój mąż na mnie w nocy nie włązi, choć go do tego zachęcam na rozmaite sposoby. Jestem kobietą religijną, a jak powiada proboszcz Mizerera, kobieta i mężczyzna mają żyć ze sobą, i to wiem, że nie jest dobrze, jeśli chłopu, który jest zdrowy i silny, czterdzieści sześć lat sobie liczy, w nocy ani nawet rano nie staje jego ogon. Nieszczęścia z takiej sprawy mogą być rozmaite.

– Co pani ma na myśli? – zapytał doktor.

Zaniepokoiła się i nawet wyraz strachu pojawił się na jej twarzy. Dopiero po chwili odpowiedziała:

– Nic specjalnego nie mam na myśli. Ale przyszłam zapytać, czy są takie lekarstwa, co mężczyźnie ogon podnoszą.

– Bywają – powiedział doktor. – Ale leczenie jest długie. Najpierw musiałbym o waszym poźyciu dokładnie wszystkiego się wywiedzieć, potem męża zbadać i lekarstwo dla niego najodpowiedniejsze wybrać.

– Dopraszam się, aby pan męża zbadał. A o poźyciu to już ja sama opowiem – zgodziła się Pasemkowa.

Gustaw Pasemko był to mężczyzna wysoki, dobrze zbudowany, z twarzą ogorzałą przez wiatry i słońce, całe dnie bowiem, a nieraz i noce, spędzał na jeziorze jako kierownik

brigady rybackiej. Oprócz dochodu z połowu ryb mieli Pasemkowie pieniądze także z dziesięciohektarowego gospodarstwa, trzymali konia, trzy krowy, kilkanaście świń. Do roboty było trzech synów, z których najstarszy ukończył dwudziesty trzeci rok życia, średni – dwudziesty pierwszy, a najmłodszy – osiemnasty.

Oprócz lekkiej rozedmy płuc doktor Niegłowicz żadnych dolegliwości u Pasemki nie stwierdził. Jego żona, Zofia, prezentowała się jako kobieta wysoka, pleczysta, o cerze gładkiej i ze śladami dawnej urody. Piersi miała zwiotczałe i wyschnięte, w ogóle trochę zbyt koścista i chuda zdała się doktorowi, ale, jak wiadomo, doktor lubił kobiety zasobne w ciało i krągłości. Nie podobały się także doktorowi usta Pasemkowej, wąskie i zaciśnięte, jak gdyby w ciągłej złości, wyraz ciemnych oczu twardy i światu niechętny.

– Zachęcam zaś go w ten sposób, że czasami, kiedy już razem leżymy w łóżku – opowiadała Pasemkowa – zadzieram koszulę, biorę jego rękę i między swoje nogi ją wpycham. „Bierz się za robotę” – mówię do niego. Ale on tylko palcami pogrzebie i rękę zabiera. Ogon mu się nie podnosi.

Pokiwał doktor swoją siwiejącą głową, że niby prawdę o ich pożyciu zaczyna dostrzegać i zapytał Palemkę:

– Tak to jest, jak opowiada żona, czy może jest inaczej?

Pasemko zerknął bojaźliwie na swoją kobietę, potem głowę zwiesił i potwierdził:

– Prawdę mówi. Ogon mi się nie podnosi.

Tedy doktor Jan Krystian Niegłowicz mniemając, że Pasemko z obawy przed żoną jakąś prawdę przed nim ukrywa, oświadczył, że podejmie się leczenia, ale Gustaw Pasemko ma przyjść do niego pojutrze o tej samej porze, sam jeden. W międzyczasie doktor wybierze dla niego odpowiednie lekarstwo.

Nazajutrz, zakończywszy pracę w ośrodku zdrowia w Trumiejkach, zaszedł doktor do apteki i przejrzał spis wszystkich dostępnych afrodyzjaków, a także środki, które z duszy ludzkiej lęk usuwają. Zaopatrzony w leki powrócił Niegłowicz do Skiroławek, a następnego dnia przyjął w swym gabinecie Gustawa już bez jego żony, Zofii. Prowadząc z nim grzeczną rozmowę wywiedziały się doktor nie tylko o tym, co było przed siedmioma laty, ale także i o tym, co działo się wcześniej, gdy ogon Gustawowi podnosił się coraz rzadziej i rzadziej. Z opowieści tej wynikało niezbicie, że cała historia z ogonem zaczęła się wówczas, kiedy jego trzej synowie zaczęli dorastać, i rozmaite psoty po wsi czynić, a nawet kraść jabłka po obcych sadach. Zofia Pasemkowa, która z natury rzeczy była kobietą srogą, nie zdzierzyła wstydu, jaki jej chłopaki przynosiły i wzięła na nich bat koński do ręki. Lała ich batem prawie co dzień, aż im wszystkie figle, kradzieże i bójki z głowy wyleciały, i żaden przez dłuższy czas nosa poza dom

nie wystawiał. Przy okazji też i ojciec, czyli Gustaw Pasemko, batem od żony dostawał za to, że nie umie chłopaków krótko trzymać, mało ryb z jeziora przynosi, że pola są zachwaszczone. I w ogóle za to, że ona, Zofia, która spod stolicy pochodziła i miała wyjść za mąż za pewnego młodego sierżanta, przypadkiem na sadzenie drzew do lasu koło Skieroławek przyjechała, na zabawie Gustawa Pasemkę poznała, w ciążę z nim zaszła i za mąż wyszła. A nie wiedziała wtedy, że Gustaw jest niezguła, niemota, gdyż nauczył się milczeć na jeziorze podobnie jak ryby, które łowił. Od dawien dawna, gdy kładli się wieczorem do łóżka, rozbierając się zaczynała swoje wyrzekania i wspomnienia, że z powodu tej ciąży za mąż za niego wyszła, a mogła mieć życie radosne z innym mężczyzną. Z początku niewiele sobie robił Gustaw Pasemko z tych wyrzekań żony i wówczas ogon mu twardniał. Z czasem jednak coraz bardziej brał sobie do serca jej wymówki, a gdy wreszcie nie tylko synów, ale i jego batem bić zaczęła, ogon mu wiotczał, opadał, w końcu zaś nie chciał się podnosić, choć prawdę mówiąc zachęcała go do tej sprawy w taki sposób, jak uprzednio doktorowi opowiadała.

– A nie mogliście to wyrwać jej tego bata i parę razy ją smagnąć? zapytał doktor.

– Jakże to? – zdumiał się Gustaw Pasemko. – Matkę czworga dzieci batem smagnąć? Zresztą rację kobieta miała, bo chłopaki były niesforne, a ja wolałem z domu na jezioro uciekać i siedzieć w łódce. Do lepszego życia Zofia stworzona, za sierżanta mogła wyjść, a ja sprawę spaskudziłem i teraz słusznie się na mnie gniewa.

Zamyślił się doktor Jan Krystian Niegłowicz nad słowami Gustawa Pasemki, które jak gdyby otwały przed nim przepaście ludzkiego rozumowania, odczuwania, zdolności sądenia. Zatem dał Pasemce lekarstwo w formie kropeł i drażetek, zalecając, aby je połykał, aż ogon mu stwardnieje.

Przywołał też do siebie doktor Zofię Pasemkową i tak do niej powiedział:

– Uczynię wszystko co należy, aby mężowi ogon twardniał i podnosił się do góry, bo jest człowiekiem zdrowym i silnym. Ale zapamiętajcie sobie, kobieto, że na mężczyznę przenigdy bata brać do ręki nie wolno. Z ponizenia bowiem mężczyzny złe skutki bywają, gdyż świat tak jest skonstruowany, że to kobieta się oddaje, a mężczyzna ją bierze. Tedy musi być wywyższony, a nie ponizony.

– Dobrze – zgodziła się Pasemkowa. – Połamię bat i wyrzucę go, byle tylko mu ogon twardniał.

Poszła do domu Zofia Pasemkowa, ale w głowie jej się nie mieściło, aby ponizenie czy wywyższenie mężczyzny mogło mieć aż tak istotne skutki dla małżeńskiego pożycia. Wiele w swym życiu widziała Pasemkowa i to rozumiała, że niejedna kobieta, co to hej mąż bez przerwy dokuczał, a nawet ją od czasu do czasu batem smagnął, niekiedy i

większą przyjemność od tego osiągała, ba, ona sama panienką będąc i z sierżantem się zadając, pierwszy raz przyjemności zaznała nie wówczas, gdy ją pieścił, ale gdy ją stłukł. Z Palemką nigdy takiej przyjemności nie miała, może właśnie i dlatego, że nigdy na nią ręki nie podniósł, choć go kilka razy do tego zachęcała, o byle głupstwa awantury mu robiąc, aż wreszcie za bat wzięła i męża biła, bo gdzieś w głębi duszy myślała, że z tego i ona, i on jakąś korzyść otrzymają. Dlaczego więc, jeśli z niejedną kobietą jest tak a nie inaczej, to inaczej bywa z mężczyznami? Ani bić go nie należy, ani poniżać, tylko wywyższać? I nie mogąc sobie z podobnymi myślami poradzić, o naukach doktora opowiedziała babom w sklepie. Dziwowały się i inne niewiasty w Skiroławkach, że mężczyznę wywyższać należy a nie poniżać, bo może to być niebezpieczne dla jego ogona. Zastanawiały się, czy doktor, będąc męskiego rodzaju, stronnictwem nie jest w tej sprawie. Z drugiej jednak strony wiedzy doktora żadną kwestionować nie śmiała: Tedy doszły do wniosku, że czas prawdę objawi, czy ogon się Gustawowi Palemce podniesie, gdy żona bat wyrzuci i złym słowem przestanie go besztać. Aliści pouczenia doktora nie ukryły się przed mężczyznami, i odtąd niejeden, którego żona za to lub owo w ciągu dnia skrzyczała, wieczorem w łóżku pokazywał jej miękki ogon, twierdząc, że to z powodu poniżenia, jakiego od żony doznał.

Tymczasem Zofia Pasemkowa trzy razy na dzień zlecone przez doktora kropelki mężowi dawała, a także drażetki i pastylki. Co wieczór też pytała go, czy mu ogon twardnieje, lecz Gustaw Pasemko wciąż mówił, że ogon mu trochę twardnieje, nie całkiem jednak, i tyłem się do żony w łóżku odwracał.

Tak minął tydzień, a może półtora tygodnia. Któregoś popołudnia doniesiono Pasemkowej, że mąż jej zamiast ryby pod lodem łowić, już trzecie kolejne popołudnie u Porowej urządzuje, za każde urzędowanie wręczając jej siatkę pełną ryb. Niewiele myśląc chwyciła Pasemkowa nowy bat do ręki i co sił pognała przed dom Porowej, gdzie wykrzykiwać zaczęła brzydko i z bata strzelać. Oknem od ogrodu uciekł z mieszkania Porowej Gustaw Pasemko, po lodzie na Czaplą Wyspę dotarł i tam o głodzie i chłodzie siedział, czekając, aż gniew żony przeminie. Pasemkowa dobijała się do drzwi chałupy Porowej, żeby ją batem obłożyć, ale Porowa mocną zasuwę w drzwiach miała, przez co mogła bezpiecznie przez okno wykrzykiwać Pasemkowej, że jej mąż Gustaw ma dla niej ogon twardy jak dyszel u wozu. Nie jej, Porowej wina, że Pasemko woli do swego dyszla inną kobyłę przyprząc.

Rozgniewana Zofia potłukła buteleczkę z kropelkami od doktora, do gnoju wyrzuciła drażetki i pastylki. Potem zaś udała się do domu na półwyspie i Zażądała zwrotu pieniędzy za leczenia męża.

– Prosiłicie mnie, Pasemkowa – tłumaczył kobiecie doktor – abym podniósł ogon mężowi i uczynił go twardym, co też się stało. Ale co on z tym ogonem zrobi, to już nie moja sprawa, bowiem medycyna zna różne przypadki. Ogon męski bywa jak kita u lisa. Jeśli jest w lesie kilka dziur, to przecież nikt nie wie, w której dziurze lisi ogon zniknie.

Zrozumiała Pasemkowa, że nie ma racji, żądając od doktora zwrotu pieniędzy, bo w istocie zrobił to, co do niego należało. A że nie była najgłupszą kobietą, tedy dwa dni odczekawszy syna swego najstarszego na Czaplą Wyspę wysłała i obiecała mężowi, że jeśli do domu wróci, bata na niego nie weźmie, ale dobrą kolacją uraczy. Zaufał jej słowom Gustaw Pasemko i naprawdę bata w domu nie znalazł, tylko kolację sutą. To jedno tylko go za karę spotkało, że odtąd nie miał spać w łóżku ze swoją żoną, lecz na wyrku w oborze, ponieważ zdaniem Pasemkowej po tym co uczynił, bardziej bydle niż człowieka przypominał. Oświadczyła mu też żona, że go do łóżka tylko wtedy dopuści, jeśli siatkę ryb jej za każdym razem podaruje. Trzy dni nocował Gustaw Pasemko w oborze, a że jadał w domu dobrze i nikt na niego bata nie brał, ogon zaś nawet bez lekarstw doktora twardniał mu co wieczór i rano, na czwarty dzień przyniósł żonie siatkę pełną węgorzy tak samo jak Porowej. I dostał od żony jak od Porowej. Odtąd – powiadano w wiosce – u Zofii Pasemkowej prawie każdego dnia można było kupić świeżego węgorza, co dawniej nie bywało. Słusznie bowiem – zostało powiedziane, że medycyna zna różne przypadki.

A na konarze grabu koło Świńskiej Łąki wciąż kołysała się pętla z konopnego sznura. I prawie co wieczór sołtys Jonasz Wątruch i Antek Pasemko rozmawiali o Szatanie, który włada ziemią.

O TŁUCZKU I MOŹDZIERZU, CZYLI HISTORIA BAUDÓW I BARTÓW WEDŁE NAUCZYCIELA HERMANA KOWALIKA

Historia ludu ze Skiroławek oraz okolic jeziora Baudy tonie w pomroce dziejów, podobnie jak historie wszystkich ludów na świecie. Niejaki Herman Kowalik, nauczyciel szkółki parafialnej w Trumiejkach, przed niespełna stu pięćdziesięciu laty usiłował przeniknąć w ową pomrokę i zaczął pisać dzieło tej sprawie poświęcone (o czym w poufnym liście donosił władzom oświatowym radca Dinter, odbywający w tych stronach inspekcję szkół). Dzieła swojego Kowalik nigdy nie dokończył i nie

opublikował drukiem, tym niemniej jeszcze przez wiele lat krążyło ono wśród ludzi w licznych odpisach ręcznych, zwanych manuskryptami. Dzieło to cieszyło się ogromnym wzięciem nie tylko z powodu zawartych w nim rysunków uznanych za sprośne, ale także rozmaitych wyzwisk i obelg, rzucanych w twarz tutejszemu ludowi, oszczerstw oraz kalumnii, których Herman Kowalik nikomu nie szczędził, odkąd z pastwiska zginęły mu dwa dorodne konie. Zamiast bowiem, jak to było w zwyczaju, o kradzież koni posądzać Cyganów, on głosił, że konie ukradli mu albo ludzie ze Skiroławek, albo – co prawdopodobniejsze aż z Bart. Jak z tego wynika, na historiografa wpływ mają nie tylko źródła pisane, ale i takty, które poznaje poprzez własne i cudze doświadczenie. Gdyby nie ta okoliczność, żadne dzieło historyczne nie cieszyłoby się niczym wzięciem. Herman Kowalik dzieła swego, niestety, nigdy nie dokończył z przyczyn od siebie niezależnych – po prostu umarł, dźwigając z pola wielki kamień zwany tatarskim, który pragnął na swoim podwórzu postawić, aby unaocznić ludziom historię.

W pomroce dziejów, na najstarszych mapach naszego świata, ziemie, gdzie dziś leżą Trumiejki oraz inne pobliskie miejscowości – nazywane są Tatarią Północną. Należy wątpić, czy byli tu kiedykolwiek Tatarzy, ponieważ musiało tu być dla nich i za daleko, i nie po drodze – jak słusznie chyba wywodził Kowalik – przez słowo „Tataria” powinno się rozumieć „dzicz”, a w tym przypadku – Dzicz Północną. Podobno u Ptolemeusza mówi się już o Krainie Estów lub Eistów, podzielonej na Estów Zachodnich i Estów Wschodnich. Do Estów Zachodnich zaliczają rozmaici badacze takie plemiona jak Sudzinów, Stawonów, Baudów i Burtów (od barci leśnych swoją nazwę wywodzących) zamieszkujących okolice jeziora Baudy oraz tajemniczych Igillionów. Tymi ostatnimi zupełnie się Kowalik zajmować nie zamierzał, uważając ich za wymysł historiozoficzny, podobnie też w pracy swej pominął i sprawy Estów Wschodnich (należeli do nich ponoć Wormowie, Zamowie, Gołędowie i Bortowie). Uwagę swoją skupił przede wszystkim na Bartach i Baudach, gdyż Baudowie zamieszkiwali dzisiejsze Skiroławki, Trumiejki i nieco dalsze okolice, do Bart zaś jeździli przez lasy na jarmarki, gdzie ich często oszukiwano i obdzierano z gotówki, przez co do plemienia Burtów mieli nieustanne pretensje.

Oprócz Baudów i Burtów historyk rzymski Tacyt wspomina też o zamieszkujących te strony Gotach. Przez trzy wieki na początku naszej ery plemiona gockie nad jeziora Wetter bezkarnie panowały nad okolicznymi ludami, wykorzystując je tak cielesnie, jak i duchowo. Czyniły również rozmaite uszczypliwe uwagi, szczególnie pod adresem Baudów i Burtów za ich przedziwne obyczaje – o czym znaleźć można wzmiankę u historyka gockiego Jordanesa. Było ponoć w zwyczaju tak Baudów, jak i

Burtów zabijać małe dziewczynki, jeśli rodziło się ich za wiele. Dziwili się temu Goci, ponieważ Baudowie i Bartowie uprawiali wielożeństwo, handlowali kobietami i dorosłe kobiety musieli kupować od innych albo kraść lub też wypożyczać na czas jakiś od innych plemion. A jednak Herman Kowalik wyliczy, że drożej kosztowało wychowanie dziewczynki na kobietę niżeli kupno już gotowej. Jeszcze poręczniej było ukraść komuś niewiastę albo ją po prostu wypożyczyć, co sam Kowalik, jako kawaler, niejednokrotnie spraktykował, wypożyczając tę lub ową niewiastę za zgodą lub bez zgody jej męża. Nie bez przyczyny radca Dinter w swym doniesieniu do władz wspominał, że choć Herman Kowalik tworzy dzieło wartościowe, to zdaje się prowadzić niemoralnie.

Pretensje Gotów do Baudów i Burtów wynikały z oczywistego faktu, że przybywali oni na te ziemie przeważnie męskimi drużynami i z tego względu zainteresowani byli, aby podbite przez nich plemiona miały jak najwięcej kobiet dla ich lubieżnej uciechy. Wojownicy gocy byli wysocy i szczupli, mieli jasne lub rude włosy, Bartowie zaś i Baudowie odznaczeni się kręłą sylwetką i obfitym ciemnoblonde zarostem; ich niewiasty stawały się bardzo szybko tłuste. Stąd też Goci – ku oburzeniu podbitych plemion – zażywali je wyłącznie od tyłu, w sposób, jaki Herman Kowalik ukazał na jednym ze swych rysunków, załączonych do tworzonego dzieła.

Wiele było spraw dzielących Gotów i plemiona Baudów oraz Burtów. (tak na przykład, Goci posiadali cały panteon rozmaitych bogów i bóstw, natomiast Bartowie i Baudowie woleli większą oszczędność w tych sprawach. Jako istoty boskie czcili stare drzewa dziwacznie poskręcane, im to poświęcili małe zagajniki, poletka, skrawki jezior i nieużytki. Chramów i świątyń również z tych przyczyn nie wznosili. Główną jednak przyczyną niechęci Gotów i podbitych przez nich plemion był sposób pochówku zmarłych oraz stosunek do kobiet. Goci zwłok kobiecych nie pozwalali palić, tylko sypali nad nimi duże kopce z kamienną stellą na górze. Mężczyzn jednak palili i popioły do urn zsypywali, a następnie wkopywali je w żeńskie kurhany, co jak się zdaje znaczyło, że kobiety poniekąd wywyższali, a siebie poniżali. Inaczej Baudowie i Bartowie. Oni palili zwłoki bez względu na płeć. A jak to twierdzi wielki znawca przedmiotu „kobiety były rzeczami zdobytymi lub kupionymi, jedne ginęły z trupem swego pana lub męża, inne przechodziły wraz z ruchomościami na własność najstarszego syna. Żony i córki wystawiano na sprzedaż lub nierząd, a córki, prócz jednej, zabijano”. Nic tedy dziwnego, że u tutejszych niewiast Goci mieli duże powodzenie i nie zrażał je do nich nawet sposób miłości, który zresztą dość szybko się rozpowszechnił. Po Gotach zostały u Baudów i Bartów także i niektóre słowa takie jak „Kuningas” i „mekus”, co znaczy „Król” i „miecz”. Tym dwom słowom zawdzięczali Goci swoje zwycięstwa,

mieli królów i posługiwali się mieczami, podczas gdy Baudowie i Bartowie aż do końca swych dni używali do walki tylko spisu i dzida, a o żadnych królach nawet słyszeć nie chcieli, zadowolając się jedynie małymi wodzami plemiennymi. To właśnie stało się przyczyną, że tak łatwo wygubili ich później Kawalerowie Maltańscy.

Przez trzy wieki aż do okresu Wędrówek Ludów, Goci z ogromnym powodzeniem używali niewiast podbitych plemion, tedy po jakimś czasie nie sposób było odróżnić Gota od Baudy czy Barty. A jednak tożsamość plemienną każdy zachować zdołał. Wspomina Herman Kowalik, że to prawdopodobnie już w tym czasie ludzi z plemion Baudów i Burtów wyróżnić można było po wyrazie twarzy. Aby wykazać swoją odrębność i niechęć wobec władców Baudowie i Bartowie krzywili się tylko połową twarzy i uśmiechali również tylko połowicznie.

Rok 373 kończy ostatecznie okres panowania Gotów na ziemiach Burtów i Baudów. Wtedy to kolejny królowie goccy, a wśród nich słynny Alaryk, wezwali wszystkich współplemieńców rozproszonych po świecie, aby pomogli mu złupić przebogaty Rzym. Tak się stało, że kto czuł się Gotem – miał wyruszyć w świat, a kto się czuł Baudem lub Burtem – pozostać. Ale jak wiemy, w tych czasach trudno było odróżnić Gota od Baudy i Barty, bo nawet małe dzieci stały się dwujęzyczne, gadały po gocku z taką samą łatwością jak w narzeczu Burtów albo Baudów. Całą tę sprawę, to jest określenie tożsamości plemiennej, każdy więc człowiek rozstrzygnąć musiał we własnym sumieniu. Trudna to jednak decyzja – pozostać na ziemi ojców czy wyruszyć po dobrobyt i bogactwo. I jak przyszło co do czego, większość Baudów i Bartów poczuła się Gotami i wzięła udział w Wędrówce Ludów.

Rozkopując stare kurhany z tamtych lat, zastanawiał się Kowalik komu, na przykład, przypisać kult Żytniej Baby – Gotom, Baudom czy Bartom? Znalezione koło miejscowości Barty kamienną figurę kobiety z małą głową, krótkimi rękami, ale za to z dużymi piersiami, ogromnym brzuchem i wydatnymi narządami płciowymi – naukowcy nazwali „Wenus z Bart” i jedni z nich uznali za związaną z pobytem germańskich Wandalów, drudzy – z wizytami słowiańskich Wenedów.

Od kogoż została zapożyczona i upowszechniona historia o dziwnym ptaku zwanym Kłobukiem, który szedł do ludzi na służbę za miskę jajecznicy, a co jednemu ukradł, to drugiemu darował? Była ona tworem Bartów czy też Baudów? A może Gotów?

Zapytywał też Herman Kowalik, skąd się wziął u Baudów okrutny zwyczaj, że – jak to mówią prastare legendy – na Świńskiej Łące w miejscu, gdzie dziś nie chce wyrosnąć żadne drzewo, postawili sobie ogromną szubienicę. I jeśli któremuś z nich jakaś sprawa się nie udała, sam się tam wieszał przez złość do świata.

Czy po odejściu Gotów pozostali Bartowie i Baudowie stworzyli jakąś swoją nową tożsamość plemienną – nie wiadomo. Z przekazów rozmaitych kupców wynika, że przestali zabijać małe dziewczynki, ale handlowali nimi, a także zmuszali do nierządu, szczególnie z przybyłymi gośćmi. Świadczyć o tym mają, zdaniem Hermana Kowalika, liczne znaleziska kufijskich monet Abbasydów i Samanidów.

Odrodzeni od innych plemion puszciami i bagnami, nie żyli jednak Baudowie i Bartowie tak spokojnie, jak to się mogłoby z pozoru wydawać. Na podstawie licznych sag skandynawskich, jak choćby z pieśni o żeglarzu Wulfstanie, mniemać należy, że raz po raz zaglądali w te strony także Wikingowie – a co wyprawiali, tego nietrudno się domyślić. Na Burtów i Baudów czyniły także wyprawy plemiona z południa i ze wschodu. Dlatego im dalej Herman Kowalik zagłębił się w dzieje tych dwóch ludów, a także zarazem poznawał dzieje innych ludów, tym wyraźniej rysowała się w jego wyobraźni historia ludzkości jako obraz ciągłego włożenia rozmaitych mężczyzn na rozmaite kobiety, nieustannego mieszania krwi i nasienia. Dzieje ludzkości stwierdzał Kowalik – wcale nie przypominają tygła, w którym miesza się rozmaite kruszce i wytapia jednorodny metal. Są one jak podobny do kobiecej pochwy moździerz, w którym nieustannie porusza się tłuczek podobny do męskiego członka. Narysował Kowalik ów moździerz i ów tłuczek, ukazał na swym rysunku ich wielowiekową pracę, której wynik był dowodny, gdy wędrowało się przez Skiroławki, Trumiejki albo jechało do Bart. Oto ten i ów miał mongolską fałdę i skośne oczy, inny przypominał z urody Cygana, tamten szczupłego i jasnowłosego Gota, jeszcze inny mógłby bez żadnych kłopotów peregrynować do Mekki czy Medyny. Taki wynik dała nieustanna praca moździerza i tłuczka.

Kontynuując prace badawcze związane ze swym dziełem, Herman Kowalik natrafił na cmentarzu w Skiroławkach, a także w Trumiejkach, na stare kamienie nagrobne z krzyżem o dziwnym kształcie. Idąc tym tropem wkrótce dotarł Kowalik do odkrycia dokonanego już wcześniej przez jezuitę Bogusza, że w XIII wieku ziemie Bartów i Baudów najechali Kawalerowie Maltańscy. Potwierdzały ten fakt nie tylko krzyże maltańskie na kamieniach nagrobnych, ale także wzniesione przez nich zamki z czerwonej cegły, a także – pochodzące z czasów kiedy złamali śluby czystości i ubóstwa – liczne pałace i dwory oraz tytuły Kawalerów Maltańskich, które dumnie nosili właściciele owych pałaców.

Kawalerowie Maltańscy (a odróżnić ich trzeba od Kawalerów Maltańskich właściwych, którzy do dziś jeszcze mają swoją siedzibę w Rzymie na Via Condutti) nie byli szczepem, plemieniem, ludem czy narodem. Posiadali coś więcej niż przynależność

do takiego czy innego ludu – to jest Myśl i Ideę. Mówili, że zwyczaj palenia zwłok jest sprzeczny z prawami natury, bowiem to co zostało stworzone przez Boga w określonej postaci, w takiej samej winno do niego wrócić. Najważniejsza była jednak ich Idea, która przysparzała im wielu zwolenników. Idea ta głosiła, że w każdym człowieku kryje się zło, tedy najlepiej i najwłaściwiej jest walczyć ze złem zabijając człowieka.

Jak powiada legenda, najpierw tylko trzech Kawalerów Maltańskich zbudowało sobie wygodne gniazdo w konarach starego wiązu. Po czterech latach, kiedy przybyło jeszcze pięciu kawalerów, wyruszyli oni na wielką wyprawę i wygrywali kolejne bitwy. Aż w pół wieku później – w znacznie już liczniejszym gronie – całkowicie opanowali ziemie Baudów, Bartów, a także innych miejscowych plemion. Byli nieliczni, ale za to świetnie uzbrojeni i znakomicie zorganizowani. Bartowie i Baudowie nie mieli, jak wiemy, żadnej organizacji, odznaczali się wstrętem do powoływania wszelkich wodzów i królów. Ulegli więc lepszemu uzbrojeniu i lepszej organizacji. A że Kawalerowie Maltańscy ślubowali czystość i ubóstwo oraz zdecydowanie brzydzili się ciałopaleniem, tedy w odróżnieniu od Gotów ani myśleli zażywać tutejszych, niewiast. Wszystkich Baudów i Burtów wyrznęli mieczami, bez względu na płeć i posiadane majątkości. Odtąd przez długi czas pustką wiało z lasów i znad brzegów jezior. Ktoś musiał jednak żywić Kawalerów Maltańskich, budować dla nich zamki i pałace. Tedy sprowadzili w tę pustkę a to Holendrów, a to Niemców, a to Słowian – i tak stworzyli na tych ziemiach nowy lud. Czas płynął, mózdzierz i tłuczek pracowały bez przerwy, tym bardziej i gorliwiej, że owi Kawalerowie Maltańscy, zrezygnowawszy ze ślubu czystości, wkrótce także czynili użytek ze swoich tłuczków. Ludność przybyłą Kawalerowie Maltańscy nazywali znowu Baudami i Bartami, zapewne po to, aby ją nadal łupić, daninami obciążać, do roboty naganiać. Odtąd też ponownie weszło w zwyczaj, że ten i ów poddany krzywił się tylko połową twarzy i połową twarzy uśmiechał, aby dać dowód swej odrębności i niezawisłości. Nowi Baudowie i Bartowie, świadomi, że przyczyną klęski dawnych plemion był brak króla, popadli w „kompleks króla”, i każdy z nich marzył o tym, aby stać się królem. Ale innego króla pragnęli Baudowie a innego Bartowie, nigdy więc żadnego króla nie wybrali, wciąż jednak z tym zamiarem się obnosili, to krzywiąc się połową twarzy, to znów połową twarzy się uśmiechając. Tym niemniej w Trumiejkach z pokolenia na pokolenie dalej rządził w swym pałacu ksiązę Reuss, którego praprzodek, w latach 1469-1470, to jest przez rok, był nawet Wielkim Mistrzem Krajowym Kawalerów Maltańskich.

Na tym kończyło się dzieło historyczne Hermana Kowalika, znane ludziom jedynie z manuskryptów. Na jednym z egzemplarzy owej rękopiśmiennej pracy widniał

podobno własnoręcznie dokonany przez Kowalika dopisek, że: „co tyczy ukradzionych mu z pastwiska dwóch koni, to oświadczam, że mam większe zaufanie do Cyganów niż do takich, którzy się krzywią tylko połową twarzy i tylko połową twarzy uśmiechają...”

Z zawieruchy wojennej ocalał jeden egzemplarz dzieła Hermana Kowalika, nauczyciela ze szkółki w Trumiejkach. Znajduje się on w Okręgowym Archiwum Państwowym i jest sygnowany numerem ONV/703. Zanim trafił do archiwum, czyjaś wprawna w gotyku ręka napisała zielonym atramentem: „W sto lat od śmierci Hermana Kowalika przyszedł okres drugiej wielkiej wędrówki ludów. Baudowie i Bartowie, zgodnie ze swoim sumieniem, mogli wybrać: odejść czy pozostać. Lasy wokół Bart i brzegi jeziora Baudy stały się prawie pustynią.”

Nie na długo jednak – stwierdzić to musi postronny badacz. I jak by kto nie oceniał faktów zawartych w dziele Hermana Kowalika, jedno stwierdzenie jego pracy wydaje się bezsporne: na każdym miejscu na ziemi i o każdym czasie nieustannie rozmaite tłuczki pracują wytrwale w rozmaitych mózdzierzach. Jest to działalność nacechowana nieprawdopodobną wytrzymałością i wielkim samozaparciem, niekiedy bezimienna, ale nie pozbawiona cech cichego bohaterstwa. Wielki zbiorowy wysiłek ludzkości, nie wiadomo tylko czy naprawdę potrzebny...

O TYM, JAK CIEŚLA SEWRUK POGNEBIŁ NACZELNIKA GWIAZDĘ

Cieśla Franciszek Sewruk należał do osób, które szybko nudzi to, co sami robią, a interesuje i ciekawi zawsze to, co czyni ktoś inny. Jeśli zobowiązał się komuś zbudować stodołę albo postawić więzanie dachu, a w drugim końcu wsi lub zgoła we wsi sąsiedniej ktoś inny zaczął właśnie kopać studnię, można było mieć pewność, że cieśla Sewruk porzuci swoją pracę i pójdzie tam. Najpierw usiądzie obok, na wykopie, potem zacznie czynić mniej lub bardziej trafne uwagi. a wreszcie spróbuje pomagać zupełnie bezinteresownie, jeśli odrzucić posądzenie, że uczyni to za udział w małej biesiadzie, jaka zwykle kończy wykonanie wszelkiej poważniejszej roboty. Rozpoczęte przez cieślę Sewruka prace zazwyczaj musiał kontynuować ktoś inny, ten ktoś także brał zapłatę za całość pracy, choć Sewruk wykonał większość roboty i zadowolili się jedynie skromną zaliczką. Nie było bowiem siły, która mogła zmusić Sewruka, aby powrócił do

pracy, która raz mu się znudziła. A że najbardziej nudną wydawała mu się w ogóle praca cieśli, inni bowiem zajmowali się rolnictwem, pracą w lesie albo rybołówstwem, tedy wystarał się o 15 hektarów ziemi i zajął się rolnictwem. A gdy ono go znudziło, brał się za pracę w lesie albo rybołówstwo. Jako cieśla mógł być najbogatszym człowiekiem w wiosce, ponieważ w całej gminie Trumiejki nie mieszkał inny cieśla, jednak prawie nic nie zarabiał w swym właściwym fachu, był za to najgorszym rolnikiem w wiosce, najmniejszą zapłatę przynosił z lasu i jeszcze mniejszą z rybołówstwa. Prawdę mówiąc, jedynym zajęciem, jakie cieśla Sewruk wykonywał szybko, chętnie i bez znudzenia pozostawało kopanie grobów na cmentarzu w Skiroławkach, ale ludzie w tej wiosce umierali rzadko, choć nie rzadziej niż gdzie indziej. Poza tym cieśla Sewruk miał w tej dziedzinie potężnego konkurenta, niejakiego Szczepana Łaryna, który także lubił kopać groby, jako że zapłatę uzyskiwało się natychmiast. Między cieślą Franciszkiem Sewrukiem a Szczepanem Łarynem dochodziło na tym tle do zasadniczego sporu, Łaryn głosił bowiem, że Sewruk kopie groby za płytko i są one zbyt ciasne, natomiast Sewruk oskarżał Łaryna, że w zrobionych przez niego grobach zbiera się woda. A ponieważ zainteresowani nie wypowiadali się, czy w grobach Sewruka jest im zbyt ciasno, a w grobach Łaryna zbyt wilgotno, spory takie nie mogły doczekać się sprawiedliwego sądu. Sam cieśla Sewruk był zresztą postacią niejednoznaczną i nic dziwnego, że zadziwiające musiało być wszystko, co pozostawało w jakimś związku z jego osobą. I tak na przykład doktor Jan Krystian Niegłowicz twierdził z uporem, że cieśla Sewruk posiada nadmiar wyobraźni i dlatego, gdy otrzymuje zaliczkę na budowę wiązania dachowego, w jednej chwili w wyobraźni przeżywa budowę owego wiązania, a potem nudzić go zaczyna fakt, że rzeczywistość nie nadąza za wyobraźnią. Natomiast pisarz Nepomucen Maria Lubiński, od którego Sewruk wziął kiedyś zaliczkę na budowę ganku, ale tego ganku nie postawił, był zdania, że Sewruk w ogóle nie posiada wyobraźni. Jeśliby ktoś bowiem – zdaniem pisarza – obiecał Sewrukowi pracę nawet za sto tysięcy złotych, ale płatnych w dniu następnym, w międzyczasie zaś zjawił się u Sewruka ktoś inny, tylko z butelką wódki w rękę i poprosił o drobną czynność, to można było mieć pewność, że Sewruk porzuci robotę za sto tysięcy, płatną następnego dnia, a ochoczo zabierze się za drobną czynność wynagrodzoną natychmiast butelką wódki. Spór o charakter cieśli Sewruka trwał więc między pisarzem a doktorem i także nie znajdował jednoznacznego rozstrzygnięcia, co jest dowodem, że nawet gdy mamy do czynienia z zainteresowanymi, którzy potrafią przemówić, nie jest łatwo o sprawiedliwy osąd.

Cieśla Sewruk sprowadził się do Skiroławek przed piętnastoma laty, a szlak jego wędrówki wiódł poprzez rozliczne wsie i małe osady, gdzie pozostały po nim nie

dokończone stodoły oraz nie zbudowane ganki, szopy, drewniane stropy mieszkań i tym podobne roboty, które z czasem kończyli inni ludzie. Gminne władze w Trumiejkach, uszczęśliwione perspektywą posiadania cieśli, oddały Sewrukowi duży drewniany dom w Skiroławkach, właśnie opuszczony przez niejakiego Klausego Hermana, który wyprowadził się na tamten świat. Dziełem cieśli Sewruka stał się strop masarni w Trumiejkach oraz strop i wiązanie dachowe w oborze Otto Szulca i na tym Sewruk poprzestał, decydując się poświęcić rolnictwu. Wystarał się o ziemię, potem o sto tysięcy złotych pożyczki na kupno owiec, sto tysięcy na kupno krów i pięćdziesiąt tysięcy złotych na kupno traktora. Budowy obory nie dokończył, siłą więc rzeczy nie mógł hodować wielu krów oraz owiec, a że traktor rozbił już w miesiąc od chwili kupna, trudno było wymagać, aby wykonywał w terminie zabiegi agrotechniczne na swoim polu, tym bardziej że od czasu do czasu nęciła go praca w lesie albo rybołówstwo. Ostatnio cieśla Sewruk miał tylko dwie krowy i czterysta tysięcy złotych długu wobec państwa. Co się wydaje dziwne, lecz jest prawdziwe, Szczepan Łaryn znajdował się zresztą w podobnej sytuacji, z tą różnicą, że jego dług względem państwa wynosił sto tysięcy złotych, a to dlatego, że Łaryn w okresie. Gdy najłatwiej było o pożyczki siedział w miejscu odosobnienia, to jest w więzieniu. Jak tu i ówdzie mówiono – za nadmiar patriotyzmu. On to bowiem, przypomniawszy sobie, że w ostatnich dniach wojny jakaś rozfanatyzowana nauczycielka strzelała do wkraczających do wioski żołnierzy z domu w pobliżu leśniczówki Blesy, w chwili patriotycznego uniesienia przyniósł bańkę z benzyną, ściany domu oblał i podpalił. I tak oto Szczepan Łaryn powędrował do więzienia, co dla niektórych ludzi stało się widomym dowodem, że uczucia patriotyczne należy przejawiać w sposób powściągliwy. przede wszystkim w święta państwowe i na zebraniach w tym celu zwołanych. W więzieniu Szczepan Łaryn dał się wytatuować, na jego piersi można było ujrzeć ogon węża w sinoniebieskim kolorze; dalszy ciąg węża krył się w spodniach i Łaryn mężczyznom za pół litra wódki, a kobietom za darmo ofiarowywał się pokazać całość owego gada oraz jego łeb, który znajdował się tam, gdzie jest żołądź męskiego narządu. „To ten wąż skusił Ewę” – mawiał często Szczepan Łaryn, paradując latem przed sklepem z obnażoną piersią. Oprócz owego węża nie miał zresztą Łaryn niczego, czym mógłby komukolwiek zaimponować, był mały, wątły, słabego zdrowia, z łysą główką, zapijaczonymi oczkami i wiecznie wilgotnym nosem. Trzem córkom Łaryna, małym, lecz przedziwnie rozwiniętym w okolicach klatki piersiowej, przepowiadano w Skiroławkach, że wyjdą za mąż za trzech synów cieśli Sewruka, ponieważ były w ich wieku i mieszkały po sąsiedzku. Osoby posiadające samochody mogły sobie kobiet szukać nawet w odległych stronach, ale ludzie prości

dobrze wiedzą, że sprawą zbyteczną jest sięgać daleko po coś, co znajduje się blisko. Trzy córki Łaryna zostały więc niejako zaklepane przez trzech synów Sewruka, co wcale nie znaczy, by były przez nich poklepywane. Uchodziły za panny cnotliwe, a ze względu na swoje bardzo wypukłe przody należały, jak mówiono, do dziewcząt „amatorskich”, to znaczy znajdowały amatorów na swoje wdzięki nawet w innych wioskach. Lecz synowie Sewruka zgodnie, całą trójką, na każdej zabawie w Skiroławkach bili owych amatorów sztachetami wyrwanymi z płotu ogradzającego cmentarz. Co zaś tyczy wypukłości, które na klatkach piersiowych córek Łaryna tworzyły się już w trzynastym roku życia, a w piętnastym osiągały rozmiary ogromnych i twardych kopców, stanowiły one częsty temat rozmów między doktorem Niegłowiczem i pisarzem Lubińskim. Obnosiły bowiem córki Łaryna swoje wielkie przody, jak sprzedawca owoce na tacy, do połowy obnażone, szczególnie latem, co irytowało wczasowiczki, którym wydawało się bardzo niesprawiedliwe, że los obdziela tak obficie tylko niektóre kobiety. Aby wyjaśnić dziwne to losu zrządzenie, kiedyś wybrał się doktor do domu Łaryna i wziął ze sobą gruby notes. Wypytał dokładnie, co Łarynowa jadała podczas ciąży, czym karmiła swoje córki w okresie poporodowym i później, a także jaki przód miała jej matka, babka oraz prababka. Co do Łaryna, to go o takie sprawy pytać nawet nie było warto, jako że miał klatkę piersiową raczej zapadniętą niż wypukłą i z takiego zapewne pochodził rodu. Łarynowa piersi dużych nie posiadała, co zademonstrowała doktorowi, a wedle jej relacji podobnie małe cycki były i u jej matki, i prababki. Skąd owe wielkie przody wzięły się u jej córek – Łarynowa nie potrafiła wytłumaczyć, choć, jak sama przyznawała, aż i jej dziwno było patrzeć, gdy córki rozbierały się do mycia. Niekiedy myślała, że to u nich jest jakaś choroba, albo, że nadmiernie urosły im przody kosztem rozumu, żadna bowiem nie uczyła się jak należy, najgorzej szło im czytanie i rachowanie. „Nie ulega wątpliwości, że jest to zjawisko uwarunkowane genetycznie” – twierdził doktor Niegłowicz. Ale nie było to wystarczające wyjaśnienie sprawy dla pisarza Lubińskiego, który w swoim czasie interesował się genetyką. Wprawdzie, jak upierał się doktor, fenotyp stanowi wynik współdziałania genotypu i środowiska, to jednak w tym samym środowisku wyrastały inne dziewczyny, a takich przodów nie miały. Być może więc córki Łaryna stanowiły swoistą mutację – i taką tezę wysuwał pisarz Lubiński. U organizmów żywych prawdopodobieństwo mutacji jakiegokolwiek genu bywa rzędu 10⁻⁵-10⁻¹⁰ – na pokolenie komórek, a u człowieka jedna gameta na milion ma szansę przeniesienia do zygoty następnego pokolenia mutacji, której nie otrzymała od rodziców. Aż dziwne było, że właśnie coś tak wyjątkowego nastąpiło w małej wiosce o nazwie Skiroławki.

Powróćmy jednak do sedna sprawy, to jest do osoby Sewruka, a także do postaci Szczepana Łaryna, jego konkurenta w kopaniu grobów na cmentarzu w Skirolawkach. Obydwa ci ludzie różnili się nie tylko poglądami na sposób kopania grobów, ich szerokość i głębokość, ale i wysokością długów zaciągniętych względem państwa. Łaryn, jak to wspomniano, był drobny, łysy i wąty, krążył po wsi jak wyliniały lis, cicho i zakosami; Sewruk miał ponad dwa metry wzrostu, ważył przeszło sto kilo, długie ręce wisiały mu bezwładnie wzdłuż boków, obciążone pięściami podobnymi do dwóch ogromnych kamieni. Jego wielka głowa przypominała osmolony sagan, płaskostopie powodowało, że poruszał się wolno i z godnością. Nawet w dalekim mieście wojewódzkim, jak opowiadano, nie znaleziono w domu towarowym odpowiedniego ubrania dla Sewruka i dlatego musiał chodzić latem czy zimą w wysmarowanej kurtce narzuconej na rozpiętą na piersiach koszulę bez kołnierzyka; nie było także nigdzie butów na jego ogromne stopy, nosił więc coś w rodzaju łapci uszytych z płatna brezentowego i starego worka. Jeśli prawdą jest, że Pan Bóg stworzył człowieka z błota i mułu na obraz i podobieństwo swoje, to cieśla Sewruk stanowił wyjątek, albowiem wyglądał, jakby go dzieci z przedszkola zrobiły z ogromnej ilości przybrudzonej plasteliny. Najpierw długo wałkowały korpus, potem nieco mniejsze wałeczki posłużyły im za ręce i nogi, a ogromna kula plasteliny została przylepiona od razu do ramion, bez troski o taką rzecz jak szyja, Później przykleiły do głowy płaski nos, zrobiły patykiem dziury na usta i octy. O uszach zapomniały. Sewruk i tak nosił skórzaną pilotkę latem i zimą, a gdy ją czasem ściągał celem złożenia uszanowania, smoliste kudły starannie kryły narząd słuchu. Synowie Sewruka nie odziedziczyli po nim jego wzrostu ani też wyglądu, byli nieco mniejsi i o bardziej wyszukanych kształtach, ale mieli tę samą co ojciec skłonność do trunków bardziej rozgrzewających niż woda. Tak czy owak cieśla Sewruk krył tajemnicę nie tylko dla interesujących się antropologią, ale także stwarzał zagadkę dla pedagogów. Postawa i życie cieśli Sewruka były bowiem zaprzeczeniem wszelkich obowiązujących w tej nauce poglądów i przekonań. W przeciwieństwie do Szczepana Łaryna, który tej i owej niewieście gotów był zademonstrować w całości swego sinawoniebieskiego węża, cieśla Sewruk pozostawał przez całe swoje małżeńskie życie wierny pewnej chudej, niewysokiej kobiecie, o ogromnym, czerwonym od pijaństwa nosie, którą nazywał „mamušką”. Ta właśnie mamuška czuła nieprzemierzony wstręt do używania miotły oraz prania pościeli, a jej wstręt udzielił się także mężowi oraz trzem synom. Cieśla Sewruk mimo że tak na dobrą sprawę nigdy nie był trzeźwy, zawsze okazywał należny szacunek swojej małżonce oraz trzem synom. I takim samym szacunkiem cieszył się u wyżej wzmiankowanych osób. Zataczając się na nogach,

cichym głosem rozkazywał w domu i na podwórzu, a żona i synowie bez szemrania wykonywali wszelkie jego, nawet najbardziej niedorzeczne, polecenia, nie krzywili się, gdy przepijał nie tylko własne, ale i ich zarobki. A przecież żadne z nich nigdy nie uderzył, głosu nie podniósł. Na zabawę urządzoną przez Koło Miłośników Tańca, (a Łaryn i Sewruk byli członkami owego klubu) – człapał zawsze w swych przedziwnych butach, prowadząc delikatnie pod rękę swoją mamuszkę, a idy ta już nie mogła utrzymać się na nogach z nadmiaru wypitego alkoholu, z równą delikatnością wiodł ją do domu. Najbardziej nawet niedorzeczna pijacka wypowiedź Sewruka budziła u mamuski i jej synów ogromny entuzjazm, radość i zachwyt. A gdy cieśla Sewruk pewnej zimy rozwalił na drzewie swej nowiutki traktor, zarówno mamuska, jak i jej synowie przez kilka godzin trzęśli się ze śmiechu, opowiadając o wspaniałym locie, jaki odbył Sewruk z siodelka traktora w pryzmę śniegu. Sewruk i jego synowie mieli w Skiroławkach opinię ludzi nad wyraz uczciwych, co to się im nigdy nic nie przylepiło do rąk. Nie byli skorzy do awantur, chyba że w obronie cnoty córek Łaryna, można więc śmiało powiedzieć, że osoba Sewruka mogła służyć za przykład innym, takim, co to nie przepijali pieniędzy, nie mieli długów, pracowali od świtu do nocy, a przecież bili i zdradzali swoje żony, kłócili się ze swymi dziećmi, o byle co wszczynali awantury. Żaden z Sewruków nie był notowany w kronikach milicyjnych, a przecież nie dało się tego powiedzieć o jednym z synów starego Szulca, człowieka pracowitego i nabożnego. Albo o synie starego Galembki, równie pracowitego, choć mniej pobożnego. Niestety, cieśla Sewruk nie potrafił nikomu zdradzić swych wychowawczych umiejętności, metod nauki dobrych manier, szacunku dla innych ludzi – choć go w tej sprawie wielokrotnie indagowała pani Halinka. Pisarz Lubiński twierdził z uporem, że cieśla Sewruk posiada coś takiego jak „charyzmat ojcostwa”. zdaniem pisarza – bystrego obserwatora społecznego życia – wychowanie młodego pokolenia w poszczególnych rodzinach wcale nie zostało uzależnione od tego, czy ojciec i matka pili wódkę, łajdaczyli się czy też służyli dzieciom dobrym przykładem, albowiem liczne bywały przypadki, że pijakami i złodziejami stawały się dzieci abstynentów i nie karanych sądownie oraz administracyjnie, a dzieci pijaków i nicponiów sięgały nawet po docentury i robiły habilitacje na wyższych uczelniach. Istota sprawy kryła się w tym, czy ktoś posiadał, czy też brakowało mu charyzmatu rodzicielskiej władzy, a taki charyzmat, jak wiadomo, pochodzi ze ster idealnych. Cieśla Sewruk wkrótce przyczłapał w swych szmacianych butach do pisarza Lubińskiego i zapytał go grzecznie, czy w istocie rzeczy posiada coś takiego jak charyzmat, ho już sprzedał dłuta ciesielskie, ośnik oraz pilarkę tarczową, a suszy go tak bardzo, że gotów jest także pozbyć się swego charyzmatu. Niestety,

Lubiński nie potrzebował czegoś takiego, zaś naczelnik Gwiazda nie okazał szacunku dla charyzmatu cieśli i z całą surowością postanowił ściągnąć od niego przynajmniej część ogromnego długu względem państwa. Odtąd dwa razy do roku pojawiał się u Sewruka komornik państwowy i na mocy zarządzenia egzekucyjnego zabierał mu to, co zabrać się dało krowę, świnie, owce, worki ze zbożem, maszyny rolnicze. Z każdym rokiem było tych rzeczy coraz mniej – ale to świadczyło o braku wyobraźni u naczelnika Gwiazdy. Mylił się on bowiem, sądząc, że zabierając Sewrukowi krowę, owce czy świnie albo jakieś narzędzie rolnicze, narazi go na głód i chłód, i zmusi do pracy. Człowiek, który jest cieślą i ma trzech synów, zawsze przecież zarobi na chleb i konserwę mięsną, a także butelkę wódki, choćby ze samych zaliczek na budowę czyjejsz szopy lub obietnicy naprawy stodoły, z dorywczych zajęć w lesie albo z rybołówstwa.

Na początku marca komornik zabrał Sewrukowi jedną z jego dwóch krów, a przed sklepem w Skiroławkach coraz mniej było takich, którzy chcieli w nieskończoność dyskutować o wyborze rodzaju śmierci, jaką z powodu ogromnych długów postanowił ponieść cieśla Sewruk. Nadeszła wówczas owa straszna godzina, gdy cieśla Sewruk zdecydował się utopić, a wybrał sobie na ten czyn dzień słoneczny, bezwietrzny, lecz mroźny – słupek rtęci na termometrze szkolnym spadł do minus dziewięciu stopni.

Od wczesnego ranka trzech synowie Sewruka rąbali siekierami lód w pobliżu rybaczków, w miejscu stosunkowo płytkim, ale właśnie tam najłatwiej było zrobić przerębłę, nie narażając się na przymusową kąpiel. Odgłos rąbanego lodu rozlegał się niemal we wszystkich zakątkach Skiroławek, a gdzie go nie słyszano usłuźni ludzie w jeść roznieśli, aby nikt nie poczuł się poszkodowany niewiedzą o wspaniałym widowisku. W pierwszej kolejności powiadomiono rzecz jasna doktora Niegłowicza, który tego dnia miał swój wolny dzień, jako że trzy razy w tygodniu przyjmował chorych w ośrodku zdrowia w Trumiejkach. Doktor obiecał przybyć na miejsce wydarzenia, co dla nikogo nie było dziwne, ponieważ jako lekarza obowiązywała go konieczność wydania zaświadczenia, że zgon odbył się prawidłowo, bez udziału osób drugich lub trzecich. Malarz Porwasz brutalnie przegnał młodego Galembkę, który przyszedł go zaprosić na „Sewrukowe topienie”, leśniczy Turlej wykręcił się od udziału w widowisku, mówiąc, że ma do zrobienia wypłatę dla robotników leśnych, a pisarz Lubiński nie tylko, że sam nie chciał pójść nad jezioro, ale i własnej żonie, pani Basieńce, iść zakazał, twierdząc, że udział w tego rodzaju widowisku, jest sprzeczny z godnością pisarza i pisarzowej żony. Dlaczego „Sewrukowe topienie” miało uwłaczać godności pisarza Lubińskiego – nikt w Skiroławkach nie rozumiał, chyba, że w ten właśnie sposób pisarz Lubiński chciał się zemścić na Sewruku za to, że mu ganku nie zbudował, mimo że wziął zaliczkę.

Tymczasem synowie Sewruka skończyli rąbanie lodu na dość sporej przestrzeni, bo ojciec ich był człowiekiem roslym. „A idź szybko, Zenek, po tatę, bo woda znowu zamarnie” – rozkazał najstarszy syn cieśli swemu młodszemu bratu. Ludzi już wtedy na brzegu było dużo, chyba z pięćdziesiąt osób i z zadowoleniem przyjęli słowa najstarszego syna cieśli, ponieważ mróz wszystkim dokuczał. Szczepan Łaryn, któremu towarzyszyła żona i trzy córki, chwalił się, że jeszcze dzisiaj wykopie dla cieśli grób, odpowiedniej głębokości, choć to nie będzie łatwe, gdyż ziemia przemarzła na przynajmniej pół metra. Inni coraz głośniej wyrażali swoje niezadowolenie, że Sewruka wciąż jakoś nie widać. Czy to bowiem często zdarza się oglądać, jak ktoś się topi z własnej woli, z powodu długów? Najgłośniej ostre słowa w stronę domu Sewruka rzucały kobiety, gdyż ciekawość odegnała je od kuchni, garnków i usmarkanych dzieciaków.

– Idzie – krzyknął ktoś przenikliwie.

W istocie, z drewnianej chałupy wyszedł cieśla Sewruk w towarzystwie swojej małżonki. Kroczył z godnością i powagą, a mamuska dreptała obok niego, dumna, że nie tylko na jej męża, ale i na nią zwrócone są oczy całej wioski. Szedł cieśla Sewruk z głośnym skrzypieniem zamarniętego śniegu, z głową ogromną jak sagan, a w górze niebiesciło się niebo i świeciło lutowe słoneczko. Na głowie miał cieśla Sewruk skórzaną pilotkę, na nogach, uszyte z brezentowej płachty wygodne człapak. Nie patrzył Sewruk ani w lewo, ani w prawo, tylko prosto przed siebie, hen, aż na drugi brzeg ośnieżonego jeziora. Zebrany na brzegu tłum rozstał się przed nim, aby mu łatwiej było zejść do miejsca, gdzie leżały zwały wyrąbanego lodu i jakby zielonkawą emalią pociągnięta połyskiwała nie zamarnięta woda. Tłum ucichł, nawet Szczepan Łaryn przestał opowiadać, jaki to dół wykopie na trumnę Sewruka. Piękny bowiem i przejmujący widok jawił się im przed oczami.

Oto na skraju zielonkawej przerebli stanął wyniosły jak wielkie i stare drzewo cieśla Sewruk w swych szmacianych butach i wysmarowanej kurtce, z twarzą pełną powagi, nieogoloną i poczerniałą od wichrów jak wielki sagan bywa poczerniały od ognia. Podobne do kawałków bazaltowych głazów jego pięści ciężko wisały wzdłuż boków na rękach długich i mocnych. Z odętych i grubych ust Sewruka płynęła strużka białej pary, która ulatywała w górę, w przeczyste niebo. Zebrani nad brzegiem jeziora ludzie aż oddech w piersiach przytaili, bo wydało im się, że niemal widzą, jak w potężnej głowie Sewruka kotłują się straszliwe myśli o śmierci w przerebli. Zdawało się im, że widzą także ów wielki dług względem państwa, który ciążył na potężnych ramionach cieśli, lecz przecież ani na chwilę nie przyginał jego postaci, ho Sewruk stał prosto jak

stary dąb. A gdy żal ogromny ścisnął ludzkie serca, z ust Sewruka, jak ze starej dziupli, wypłynęły gorzkie i głucho brzmiące słowa, pełne wyrzutu, skierowane do synów: „A nie mogliście więcej miejsca zrobić w tym jeziorze?” Zatroskali się młodzieńcy, milczeli chwilę, aż odważył się rzec najstarszy: „Zimno nam, tatko, było w ręce”.

Nic nie odrzekł cieśla Sewruk na te słowa, tylko jeszcze jeden krok zrobił w kierunku przerębli. A wtedy właśnie z głośnym skrzypieniem śniegu pod oponami gazika nadjechał doktor Niegłowicz. Zatrzymał samochód, wysiadł z niego i skromnie wcisnął się w tłum, który z zadowoleniem przyjął jego przyjazd. Doktor dał tym bowiem dowód, że podobnie jak jego ojciec, chorąży Niegłowicz, nie wywyższa się we wsi nad innych. Ale przecież przyjazd doktora nie uszedł uwagi Sewruka, który jak zwykle, doktorowi należny szacunek postanowił okazać. Odwrócił się Sewruk od przerębli, zdjął skórzaną pilotkę i skłonił się doktorowi, a ten skłonił mu się z równie ogromnym szacunkiem, zdejmując swą czapkę z borsuka. Następnie cieśla Sewruk nałożył znowu na głowę skórzaną pilotkę i przestąpił z nogi na nogę. Czymś nietaktownym wydawało mu się odejść z tego świata bez słowa, bo w wielu uroczystościach pogrzebowych uczestniczył, a przecież zawsze ktoś jakieś piękne słowa wówczas wypowiadał. A że nikt się do tego nie kwapił, wtedy cieśla Sewruk powiedział swoim niskim, huczącym głosem:

– Topię się, ponieważ naczelnik Gwiazda zabrał mi krowę za długi.

Po tych słowach spojrzął cieśla Sewruk na swoją żonę, która w tym momencie powinna była, jego zdaniem, głośno zapłakać. Spojrzął na synów, którzy także powinni byli zaszlochać. Ale mamuškę zbyt ciekawiło, w jaki sposób jej mąż utopi się w tak małej przerębli i w tak płytkiej wodzie, i nawet trochę niecierpliwiła się, że mąż tak długo zwleka, wygłaszając zdania oczywiste, bo przecież wiadomo było wszystkim od dawna, że będzie się topił nie z innych powodów, tylko ze względu na długi. A synom Sewruka nie do płaczu było, tylko do domu chcieli, gdyż nogi im zaczęły marznąć.

Wyczuł chyba Sewruk niecierpliwość własnej rodziny, a także rzeszy ludzkiej, zebranej nad jeziorem. Tedy bardzo powoli pochylił się ku przerębli i jak to zwykli czynić ludzie przed kąpielą włożył do wody swój wskazujący palec, aby dowiedzieć się jaką ma ona temperaturę. Ani jego samego, ani też nikogo z obecnych nie zdumiał ów gest, choć przyszedłemu topielcowi winno być wszystko jedno w jakiej wodzie się utopi: ciepłej, zimnej czy lodowatej. Następnie cieśla Sewruk nieco przykucnął i zwyczajem wiejskich młodzieńców, którzy nurkować zamierzają, dwoma palcami nos sobie zacisnął. aby mu do nozdrzy woda nie naleciała. Dlaczego? O tym także nikt nie pomyślał, ale dla wszystkich jasnym było, że oto nastąpiła ostatnia chwila, gdy

widzą żywego Sewruka, w następnej bowiem odbije się on piętami od lodu i zniknie w zielonkawych odmętach przerębli.

– Och – jęknął tłum na brzegu jeziora.

Sewruk wyprostował się, odjął palce od nosa. Nie rzucił się w odmęty, lecz wejdzie do jeziora powoli, z godnością – wskazywała na to ludzom jego nowa pustawa. I nawet ten i ów doszedł do wniosku, że w rzeczy samej postąpi on słuszniej i poważniej. Po co przy topieniu się robić nieprzyjemny plusk, rozbryzgiwać lodowatą wodę na wszystkie strony (a było oczywiste, że ogromne ciało cieśli, gdyby rzucił się w odmęty, musiało spowodować wiele plusku), skoro o wiele ładniej jest schodzić ze świata w ciszy i skupieniu. Krok po kroku zanurzać się w wodzie, najpierw do kostek, potem do kolan, później do pasa, do pach, aż wreszcie zniknąć w jeziorze wraz z głową okrytą skórzaną pilotką. Czy nie szkoda jednak pięknej pilotki?

To samo zapewne przyszło na myśl Sewrukowi. Zdjął bowiem pilotkę z głowy i podał ją mamuśce. Pilotkę zaraz matce wyrwał najstarszy syn cieśli, gdyż od dawna zazdrościł ojcu tak wspaniałego nakrycia głowy. Nie spodobało się to Sewrukowi, zapewne był także do swej pilotki bardzo przywiązany. Odebrał ją więc synowi i znowu naciągnął na głowę, co było znakiem widowym, że postanowił umrzeć w pilotce.

Nagle Sewruk zahuczał swoim niskim głosem:

– Topię się, ponieważ naczelnik Gwiazda zabrał mi krowy za długi. Zaskoczyły wszystkich słowa Sewruka nie o krowie, ale o krowach. Czyżby Sewrukowi pomieszało się w głowie ze strachu przed śmiercią?

– Zabrał ci tylko jedną krowę. Druga jeszcze została – przypomniał Szczepan Łaryn. – A o grób się nie martw, ja ci go wykopię za darmo. Miejsce już wybrałem. To będzie koło starego Jędryszczaka.

– Nie zgadzam się zahuczał Sewruk. Ty, Szczepan, doły kopiesz za głębokie i na wiosnę wodą zaskorną podchodzą. Koło Jędryszczaka też leżeć nie chcę.

– A gdzie chciałbyś leżeć?

– Nie wiem – zahuczał cieśla Sewruk. – Nie wiem, gdzie chciałbym leżeć. A co zrobisz mamuśka z drugą krową?

– Sprzedam ją jutro – odpowiedziała. Buraków pastewnych zostało niewiele, siana też jest mało. Zamiast tej krowy lepiej trzymać maciorę. Za buraki i siano kupię śrutę dla maciory.

– Komu sprzedasz krowę? – spytał Sewruk i nikogo nie dziwiło to pytanie, bo człowiek przed śmiercią ma prawo wiedzieć w czyje ręce pójdzie jego własna krowa.

– Otto Szulc chciał ją kupić. I Kondek pytał czy jej nie sprzedamy.

Zastanowił się cieśla Sewruk.

– Należy ją sprzedać dzisiaj – rzekł po chwili namysłu. – A utopić się mogę jutro albo innym razem.

Mamuśka w ręce klasnęła z zachwytu.

– No tak. Że też ja sama o tym nie pomyślałam. Skocz no, Zenek, do sklepu po dwa wina i przynieś je do domu. Panie Szulc – wynalazła w tłumie siwą brodę starego Szulca – pan chciał kupić naszą krowę?

– Tak – powiedział Szulc wychodząc z tłumu. – Mogę ją kupić, jeśli nie będziecie chcieli za wiele.

– A ja? – zapytał oburzony Kondek i gwałtownie przepchnął się przez tłum. – O mnie jakoś nikt nic nie mówi? A czy to nie ja pierwszy mówiłem wam, Sewrukowa, że chcę kupić tę krowę?

– Dogadamy się – polubownie zahuczał Sewruk. – Ludzie zgodni zawsze się dogadają.

I wolnym krokiem ruszył w stronę swojego domu. Dreptała przy nim mamuśka, szedł za nimi Szulc i Kondek, a Szczepan Łaryn zabiegał cieśli drogę:

– Nie daj się nabrać, Sewruk. Ja ci pomogę sprzedać krowę. Dwa wina to za mało. Przyniosę trzecie wino, to łatwiej będzie się rozmawiało o krowie.

Wyprzedziły ich baby spieszące do kuchni, garnków i usmarkanych dzieciaków. Mężczyźni rozchodzili się wolniej, bo ten i ów nabrał apetytu na wino, o którym wspomniała mamuśka. Zenek już się gotował, aby pobiec do sklepu, tyle, że nikt mu nie wcisnął w ręce pieniądze.

– No dobrze. Masz tu, Zenek, na wino – zdecydował się Kondek i wyjął z kieszeni pomiętą banknot.

Idąc do domu cieśla Sewruk, jak przystało na człowieka dobrze wychowanego, skłonił się grzecznie doktorowi zdejmując przed nim swoją skórzaną pilotkę, doktor zaś zdjął przed nim swoją czapkę z borsuka.

– Dziękuję, doktorze, że pan przybył na moje topienie – powiedział Sewruk.

– Miałem dziś wolny dzień w ośrodku zdrowia – wyjaśnił grzecznie doktor.

– Następnym razem utopię się już naprawdę – obiecał Sewruk.

– Tak naprawdę to nigdy nie warto się topić – powiedział do Sewruka doktor i wszedł do swojego samochodu.

A ludzie w Skiroławkach nabrali jeszcze większego szacunku do doktora, bo to w rzeczy samej wypowiedział święte słowa, że topić się naprawdę nie jest warto. Nikt zresztą nie wierzył w to, że Sewruk utopi się w płytkiej przerebli i przyszli tylko

oglądać „Sewrukowe topienie”, podobnie jak ludzie w wielkich miastach chodzą do różnych miejsc, gdzie za pieniądze można oglądać jak jeden drugiego zabija, ale nigdy naprawdę, bo potem wychodzą do ludzi i kłaniają się, cali i zdrowi.

W gminie Trumiejki przez następny tydzień głośno opowiadano o tym. Jak pięknie topił się cieśla Sewruk, ilu to ludzi przyszło na brzeg jeziora. Dowiedział się o tym naczelnik Gwiazda i straszna go złość ogarnęła na wieść, że Sewruk sprzedał swoją ostatnią krowę, bo znaczyło to nieuchronnie, że na jesieni, gdy przyjdzie kolejna spłata kredytu, Sewrukowi już nic komornik nie zabierze. I pojął wtedy naczelnik Gwiazda, dlaczego to jego poprzednicy od czasu do czasu otwierali przed Sewrukiem niewielki kredyt. Albowiem ludziom pokroju Sewruka, aby coś zabrać, trzeba najpierw coś dać, w przeciwnym razie władza musi ponieść klęskę. Nie ma bowiem nic gorszego dla naczelników gminy jak człowiek, który się nie lęka komornika.

I tak oto z czasem niektórzy ludzie zrozumieli, jak wielki sens kryło w sobie „Sewrukowe topienie” i sprzedaż ostatniej krowy. Odtąd bowiem naczelnik Gwiazda stracił wszelką władzę nad cieślą, który nie miał ani telewizora, ani żadnej maszyny rolniczej, ani też nie kupił maciory. Od tej chwili nie trapił się Sewruk myślą o swoim ogromnym długu, a będąc cieślą i mając trzech synów, nie przymierał głodem.

Znaleźli się również i tacy, którym nie podobało się Sewrukowe widowisko nad jeziorem i twierdzili, że człowiek nie ma prawa igrać z własnym życiem, gdyż przez to sprowadza na wioskę przeróżne nieszczęścia. Zgodnie z ich przepowiednią jeszcze tego wieczora czyste dotąd niebo raptem zachmurzyło się i zerwał się wiatr tak silny, że swoim wyciem zagłuszał ludzkie rozmowy. U Galembki zerwało wtedy komin z dachu, u Szulca spadło ze stodoły bocianie gniazdo, nad Jeziorem Jasnym w głębi lasu złamało się drzewo, na którym znajdowało się jedno z pięciu gniazd orła bielika. A na półwyspie jak potężne organy huczały od wiatru stare świerki wzdłuż drogi do bramy, dwa wilczury Niegłowicza od czasu do czasu wyły głośno, aż doktor musiał przerywać lekturę, wstawać z fotela przy piecu i wychodzić na ganek, aby psy uciszać. Czytał zaś wówczas doktor nie byle jaką księgę, ale dzieło, z którego wynikało, że ze stanowiska rozumu cenna jest na świecie tylko jedna rzecz, to jest dobra wola, a ona bywała tylko wówczas dobra, gdy usiłowała spełnić obowiązek.

Na drzewie zaś Świńskiej Łąki wciąż kołysała się pętla z konopnego sznura. Jonasz Wątruch i Antoni Pasemko snuli opowieści o Szatanie, który włada ziemią.

JAK U DOKTORA ZAPACHNIAŁO MIĘTĄ I PIOŁUNEM ORAZ O KOBIECIE, KTÓRA CHCIAŁA MIEĆ DZIECKO Z KŁOBUKIEM

Psy ujadają koło furtki w bramie – monotennie, niezbyt zajadle. Doktor Jan Krystian Niegłowicz odłożył na stół książkę, podniósł się z fotela, w sieni wzuł filcowe buty i wcisnął na głowę czapkę z borsuka. Miał na sobie gruby mu szlafrok, ale na ganku wiatr przeniknął go do gołej skóry i ukąsił w twarz jak dzikie zwierzę. Świecąc latarką, ponieważ noc była mroczna, szedł doktor do furtki aleją huczących od wiatru świerków i zastanawiał się, kto o tak późnej porze, w złą pogodę przybył do niego, aby zmącić mu spokój. Czy któraś kobieta rodzić zaczęła? A może jakiś podróżny zmarł w drodze do domu, zepsuł mu się samochód albo dyszel złamał, i szukał pomocy w pierwszej i brzegu zagrodzie?

Za furtką stała kobieta w czarnej chusteczce na głowie i ramionach, a że była nieruchoma wydawała się czarnym pniem, który raptem wyrósł za płotem.

– Kim jesteś i czego chcesz? – zapytał.

Do starszych kobiet zwracał się przez „ty”, a na „pani” mówił jedynie do tych, z którymi zdarzyło mu się mieć przyjemność.

Jestem Justyna poryw wichury przyniósł mu trochę syczące imię.

– Nie znam takiej – odparł doktor i ruchem ręki uciszył psy, które mimo jego obecności od czasu do czasu ujadają na obcą kobietę.

Za Dymitra Wasilczuka wyszłam za mąż i mieszkam po sąsiedzku. Starego Wasilczuka doktor dobrze znał, gdyż jego dom sąsadował z zagrodą Makuchowej. Pochodził z daleka i miał trzech synów, którzy kiedyś pracowali w nadleśnictwie. Po śmierci starego dwaj synowie wyjechali do pracy w kopalni i wkrótce dorobili się samochodów. Trzeci, Dymitr, został w Skiroławkach na małym gospodarstwie, trochę kłusował w lesie i na jeziorne, trochę pracował na zrębach. Przed dwoma laty przywiózł młodą dziewczynę, ale jej nikomu nie pokazywał, nawet do sklepu po zakupy nie puszczał. Widywał doktor od czasu do czasu jakąś kobietę, która kręciła się między domem i małym ogródkiem, ale że latem czy zimą miała chustkę na głowie, tedy twarzy jej nie zapamiętał.

– Czego chcesz ode mnie, Justyno?

– Dziecka nie mam – odrzekła. – Dwa lata z sobą żyjemy i dziecka nie noszę.

– To nic. Czekać trzeba i rok jeszcze. A może i drugi rok.

– Dymitr mnie bije. Mówi, że jestem jak suche drzewo, które wyciąć trzeba.

– Przyjdź jutro do ośrodka zdrowia w Trumiejkach. Dam ci skierowanie do lekarza w mieście.

Ale – młoda kobieta stała przed bramą jak pień drzewa, który wyrósł niespodziewanie w jeden wieczór.

– Pan też jest doktorem – rzekła nieco głośniejszym głosem, bo znowu zahuczwały świerki.

– Są różni doktorzy, Justyno – wyjaśnił łagodnie. – Od bólu zęba i od bólu głowy. Od bólu w krzyżu i od dzieci. Do miasta ci dam skierowanie i tam cię zbadają.

Lecz ona stała jak pień drzewa.

Do miasta mnie Dymitr nie puści, a dziś leży w domu pijany. Pan też jest doktorem. Do rana będę tak stała, aż mnie pan zbada i powie czy na śmierć zasługuję. Jajek panu przyniosłam cały koszyk. I wypatroszonego koguta.

Mówiła wolno i śpiewnie. I czy może to wiatr w świerkach sprawił, a może samotność w domu, bo zdało się doktorowi, iż głos jej jest słodki i zniewalający. Tedy włożył klucz do zamka w furtce i otworzył ją przed Justyną, a potem powiódł aż na ganek i wpuścił do sieni. Ani myślał ją zbadać, bo wiedza medyczna mu mówiła, że dwa lata bez dziecka nie dają powodu do niepokoju. Ale słowa pociechy i nadziei przydawały się każdemu, a jemu też mogło być miłym słuchanie śpiewnej mowy.

Pod chustką w prawej ręce trzymała koszyk z jajkami i wypatroszonym kogutem. Kazał jej koszyk zanieść do kuchni, a później wpuścił kobietę do swego gabinetu, w którym stara Makuchowa co dzień paliła w piecu, tak jak jej to kiedyś kazał, ponieważ lekarz zawsze, o każdej porze dnia i nocy może mieć pacjentów.

Był ów gabinet chlubą doktora i jakby źródłem jego ukrytej siły, skąd czerpał swą wiarę w rozum ludzki i w swój własny talent. W bieli ścian, parawanu, biurka i szafek lśniących przejrzystymi szybami oczyszczał swoje myśli i doznawał wtajemniczenia w ludzkie sprawy. Tu miał to swoje miejsce, gdzie jego wspaniała przeszłość jednocześnie stawała się teraźniejszością i przyszłością, jakby czas nagle się dla niego zatrzymał. Bo choć rola takiego jak on lekarza wiejskiego ograniczała się zazwyczaj do decyzji, gdzie i pod jakim adresem skierować chorego, to przecież nie chciał, jak inni, swój warsztat lekarski ograniczyć do słuchawek i bloczka z receptami, bo zdawało mu się, że stałby się wtedy jak cieśla Sewruk, który sprzedawał swoje dłuta, i ośnik, a nawet siekiere. Miał tedy w swym gabinecie i kanpkę ceratową pokrytą czystym prześcieradłem, i fotel ginekologiczny, aparat do kroplówki, szafkę z narzędziami chirurgicznymi, aparat do sterylizacji strzykawek i igieł, lampę kwarcową, wzierniki, lusterko do badań laryngologicznych, a także wiele innych przyrządów, jak kleszcze wszelakie, lśniące

niklem pincety i nożyce. A choć ich prawie nigdy nie używał, to przecież cieszyły jego oko i wzmacniały wiarę w siebie, podobnie jak wzmacniały ją księgi lekarskie, oprawione w dermę i ustawione równiutko na półce. Posiadał też doktor wagę lekarską i wagę dla niemowląt oraz zamkniętą na klucz szafkę pełną lekarstw. Gdy przyjmował kogoś prywatnie, lubił mu sam wręczać lek i dopilnować, aby chory brał to, co mu nakazał. Na ścianie gabinetu znajdowała się podświetlona żarówką szklana tablica do kontroli wzroku, na biurku sterczał aparat do ciśnienia krwi oraz leżała na czerwono oprawiona gruba księga, w której, jak mówiono, zapisywał doktor również sny swoich pacjentów. Wszystkie te przedmioty musiała Makuchowa codziennie odkurzać bardzo starannie, a gniewał się doktor, gdy znalazł odrobinę kurzu w białej emaliowanej spluwacze. Stronami trochę kpili z Niegłowicza niektórzy lekarze wiejscy, jak choćby pani Jolanta Kuraś, pediatra, która jako lekarz ogólny przyjmowała w Trumiejkach na przemian z Niegłowiczem, a w swym mieszkaniu w ogóle żadnego gabinetu nie posiadała. Inni jednak byli zdania, że prawdziwego kowala poznać po kuźni, szewca po warsztacie, a lekarza po gabinecie. I co tu dużo gadać, jeśli kogoś w okolicy naprawdę coś rozboleło, to wolał nałożyć drogi i jechać do Skirołówek, niż iść do pani Kuraś i kłaść się w jej mieszkaniu na starej wersalce. Kiedyś, gdy przed czterema laty zamieszkał w domu swego ojca, chorążego Niegłowicza, gorszyli się niektórzy ludzie jego porodom i zaleceniom. Opowiadano, że żonie Józefa Ziętka, drwała, która po piątym dziecku źle została zeszyta i przyrodzenie miała okropnie duże, przez co mężowi było nijako z nią sypiać, powiedział doktor: „niewiasta ma jeszcze inne otwory, które mężczyźni mogą dać zadowolenie”. Ale co konkretnie miał na myśli, tego nikt od Ziętkowej nie mógł się dowiedzieć, przez co zgorzenie stało się jeszcze większe. A skoro już większe być nie mogło, tedy stało się mniejsze, a wreszcie znikło zupełnie. Bo jak się tak przyszło dłużej zastanawiać nad tymi sprawami, to okazywało się, że w rzeczy samej dobra gospodyni niczego nie powinna marnować, a drwal Józef Ziętek nie musiał pozostać nieszczęśliwy tylko dlatego, że jego żonę jakiś kiepski lekarz źle zeszył po porodzie. Z czasem więc zaczęto w Skiroławkach chwalić swego lekarza i sławę jego roznosić po okolicy. Pisarz Lubiński opowiadał w największej tajemnicy, że przed wieloma laty młody Niegłowicz znany był w stolicy jako świetnie zapowiadający się ginekolog, którego rozchwytywały kobiety. Ale zakochał się w niejkiej Hannie Radek, kobiecie niezwyklej piękności, która o niego tak była zazdrosna, że zabroniła mu się w ogóle stykać z innymi kobietami, co zmusiło Niegłowicza do zdobycia kwalifikacji lekarza chorób wewnętrznych. Doktor jednak wyśmiewał tego rodzaju legendy, twierdząc, że gdy po tragicznej śmierci żony zdecydował się wrócić do Skirołówek i zostać lekarzem

wiejskim, jego ginekologiczna specjalizacja okazała się mało przydatna i dlatego przez pięć lat, dwa razy w tygodniu, dojeżdżał do kliniki w wojewódzkim mieście, aż zdał egzamin internistyczny pierwszego stopnia. Ludzie jednak w Skiroławkach woleli wierzyć w opowieść pisarza Lubińskiego, co było jeszcze jednym dowodem, że prawda artystyczna zawsze triumfuje. Ci zresztą, którym kiedyś dane było jeden jedyny raz ujrzeć w Skiroławkach żywą Hannę Radek (bo potem wielu oglądało już tylko alabastrową urnę na cmentarzu) potwierdzali, że była niezwykle piękna, a dla takiej istoty nawet taki mężczyzna jak doktor Jan Krystian Niegłowicz mógł zrezygnować z zagładania w krok innym kobietom, choć miał ku temu talent i odpowiednie kwalifikacje.

Zdejmij z siebie chustę i powieś ją na wieszaku. – Powiedział doktor Niegłowicz do Justyny, gdy znalazła się w jego gabinecie. – Następnie usiądź wygodnie na tym małym, kręconym taboreciku, który stoi przed moim biurkiem.

Ujrzał przed sobą doktor młodziutką kobietę o białej cerze z lekkimi piegami i, co było dziwne przy tak jasnej karnacji skóry, ciemnymi łukami brwi i czarnymi rzęsami wokół piwnych i smutnych oczu. Czy były one w rzeczy samej smutne, czy takie się doktorowi zdały, tego nie wiedział. Ale czuł, że jest w nich coś niezwykłego, jakby ta kobieta patrzyła nie na niego, lecz obserwowała jakiś smutny pejzaż w nie znanej nikomu krainie. Twarz miała z wystającymi kośćmi policzkowymi, łagodnie zaokrągloną brodą i dużymi ustami o wargach spierzchniętych od wiatru. Usta były lekko rozchylone w delikatnym uśmiechu, który przeczył smutkowi oczu, w szczelinie warg połyskiwała odrobina śliny i białe zęby z wyraźną szczeliną między górnymi siekaczami. Zadziwił doktora blask bijący od jej włosów, z pozoru ciemnych, ale przecier rzucających w koło czerwony refleks. Puszyły się nad uszami i nad czołem, tu i ówdzie skręcone w pukle. Wydawało się doktorowi, że to nie włosy a czapka jakaś mechata, z rudą lub czerwoną nitką, która połyskuje odcieniem miedzi i złota. Konchy małych uszu prześwitywały różowe jak wnętrza delikatnych muszli, do płaskiego i niewysokiego czoła przylgnęły trzy podobne do półksiężyców kosmyki i niemal stykały się ze smugami gęstych brwi. Biała szyja wychylała się z jeszcze bielszego od ciała kaftanika, wyszywanego krzyżykami w jakiś nieczytelny wzór, gdyż resztę jego krył szary, rozpinany i przodu sweter z grubej wełny. Pod oczami kobiety dostrzegł doktor głębokie sinawe cienie, które nie tylko mówiły mu o jej zmęczeniu, trosce lub niewyspaniu, leci przejmowały go jakąś ogromny tkliwością, jakby jej cierpienie stało mu się niezwykle bliskie i od dawna znajome. Patrzył na nią i nie widział w niej nic ładnego, a zarazem wydawała mu się niezwykle piękną. Ogarnął go zmysłowy niepokój, z niezwykłą siłą zapragnął pójść za jej wzrokiem w ową nieznaną krainę smutku.

Jeszcze raz rzucił na nią spojrzenie i zdziwił się, że jej twarz i szyja wydały mu się dotąd białe, bo gdy uderzał go w oczy czerwony blask jej włosów, zarazem ta twarz i szyja stawały się różowawe jak wnętrza uszu.

Przerzucił kartki swej czerwonej książki i ujął w palce długopis. Pytał i notował odpowiedzi, nie patrząc odtąd na nią i zastanawiając się, czy nie powinien na tym poprzestać, wypisując skierowanie do szpitala w mieście. Dwa lata pożycia z mężczyzną to było jednak zbyt mało, aby zechcieli się tam zająć nią poważnie. Ale tak czy inaczej ogólne badanie wydawało się konieczne.

Miała dziewiętnaście lat, już dwa lata żyła z mężem. Miesiączkowała regularnie od trzynastego roku życia, wyraźnie odczuwało owulacje. Nie przeszła żadnych chorób zakaźnych, matka jej zginęła, gdy miała trzy lata. A do zamążpójścia wychowywała się u ciotki. Matkę jej zabił ojciec siekierą, bo przez całe lata nie zachodziła w ciążę, a gdy wreszcie urodziła Justynę, ojciec wmówił w siebie, że zapłodnił ją szatan. Powiesił się w szpitalu dla psychicznie chorych.

– Dymitr mówi, że jestem taka sama jak matka. Nie urodzę z nim, chyba że i mnie szatan zapłodni swoim nasieniem. Ale mnie zapłodni Kłobuk, Śni mi się co noc, że siedzi na belce w oborze, a potem spada na mnie rano, gdy idę do obory doić naszą krowę. Boję się go, lecz chce, żeby się to stało.

Mówiła wolno, śpiewnie, spokojnie, jakby opowiadała o sprawach zwykłych i naturalnych. Wyraz jej oczu nie zmienił się, nie wstydziła się wyznań, a nawet chyba odczuwała jakąś ulgę, że może się komuś zwierzyć ze swych pragnień. W rozchyleniu ust pojawiło się coś wyzywającego i bezwstydnego.

– A co ci się jeszcze śni?

– Samolot. Często śni mi się także lecący po niebie samolot. Widzę go jak się srebrzy, słyszę jego warkot, a potem nagle zaczyna spadać na naszą zagrodę, na mnie.

– To strach, Justyno. To lęk, że podobnie jak matka nie zajdziesz w ciążę i Dymitr cię zabije, jak twój ojciec zabił twoją matkę. Ale chyba wiesz, że szatan nie może zapłodnić kobiety, ani nie może tego zrobić Kłobuk.

– Wiem – kiwnęła głową. – Ale pragnę mieć dziecko. Dlatego tu przyszedłam.

Bez odrobiny wahania czy wstydu powiedziała mu, że pierwszym i jedynym mężczyzną, który w nią wszedł, był Dymitr. Lubiła to, co jej robił, lecz tylko z początku, no, może przez rok. Bo potem powiedział jej, że jest jak pusta dziupla, w którą można lać nasienie, a i tak nic nigdy w niej nie wykiełkuje. I odtąd co noc czekała, aż ją napęlni nasieniem, pragnęła je w sobie zatrzymać, ale ono z niej uciekało. Od roku tak się z nią dzieje; wstrzymuje swoją rozkosz, bo inaczej coś się w niej kurczy i wypycha nasienie,

więc tylko leży i czeka, aby w niej coś pozostało i zaczęło kiełkować. Co noc ma mokre uda i śni o Kłobuku na belce w oborze. Przedwczoraj zobaczyła tam własnego koguta. Zabiła go, wypatroszyła i przyniosła doktorowi razem z koszykiem jajek. Teraz prosi, aby pomógł jej zatrzymać w sobie nasienie.

– Tego nie można zrobić – oświadczył. – Nasienie ma malutkie nóżki i samo wędruje w głąb kobiety.

– To dlaczego nie wędruje we mnie?

– Nie wiem. Niełatwo wyjaśnić taką sprawę.

– Niech więc pan we mnie zajrzy. Może tam jest jakaś brama zamknięta obydwoma rękami chwyciła dłoń doktora, w której trzymał długopis zawieszony nad kartą czerwonej księgi. A potem pochyliła się i szorstkimi od wiatru wargami przyłgnęła do jego palców.

– Uspokój się, Justyno – odrzekł łagodnie i zabrał jej swoją rękę.

Zaczęła się rozbierać, pośpiesznie rozpinając guziki swetra.

– Zaczekaj chwilę powiedział.

Najpierw zbadał jej ciśnienie krwi, które okazało się najzupełniej prawidłowe. Tętno zaś miała miarowe, 72 uderzenia na minutę. Obejrzał jej paznokcie u rąk, potem zajrzał w oczy. Objaw Stellwaga był ujemny, podobnie jak objaw Graefego i Möbiusa. Postawił krzesło tuż za nią i od tyłu ujął palcami jej szyję, rozkazując, aby zrobiła głęboki wdech. Przyjrzał się jej zębom, zajrzał w gardło, naciągnął skórę na policzkach, zauważając odrobinę zmniejszone napięcie. A gdy tak stał blisko niej, nagle owiał go zapach jej ciała i włosów – woń szaławii, piołunu i mięty. Jeszcze raz pochylił twarz ku jej włosom, aby upewnić się czy nie myli go węch, ale zbyt dobrze znał woń suszonych ziół.

– Pachniesz łąką – stwierdził ze zdziwieniem.

– Bo wczoraj, jak mnie zaczął bić, uciekłam z domu i spałam na sianie w oborze. A nasze siano jest z tej łąki koło pana, pełne ziół.

– Szałwia, mięta, piołun – przytaknął.

– A najwięcej jest mietlicy i choszczki – podniosła ku doktorowi swoją twarz oczami już bez smutku, lecz z podziwem, że doktor tak dobrze zna ich łąkę nad jeziorem. I westchnęła z ulgą, bo skoro doktor zna łąkę, to może i pozna jej dało tak samo dokładnie.

Starannie układała swoje rzeczy na obrotowym taboreciku. Sweter, kaftanik wyszywany krzyżykami, szeroką i długą spódnicę z czarnego, wełnianego materiału, zielonkawę, robione szydełkiem rajstopy, które jej i majtki zastępowały. Ciało miała różowawe, z gromadką złotych piegów na pełnych ramionach, klatkę piersiową wysoko

sklepioną, piersi duże, nieco obwisłe od swego ciężaru, brodawki małe i z wąską otoczką o słabej pigmentacji, jak zwykle u kobiet, które jeszcze nie rodziły. Kąt przeponowo-żebrowy zbliżony był do prostego, barki szerokie, a gdy weszła na wagę, uwydatniły się duże, wypukłe pośladki. Nawet na oko odległość między krętarzami wydawała mu się większa niż szerokość ramion, co znaczyło, że może urodzić dziecko bez żadnych kłopotów. Włosy na łonie miała czarne i gęste, nie dostrzegł włosów wokół sutek, na piersi i brzuchu.

– Ważysz za dużo o trzy kilogramy – stwierdził, udając, że nie dostrzega na jej plecach długich i niemal czarnych krwawych podbiegnięć. To były sprawy zwyczajne w tych stronach, inne nosiły sińce na piersiach, na szyi, na brzuchu.

Jej niewielką nadwagę określił według wzoru Lorentza, ale nie ukrywał przed sobą, że woli kobiety tęższe i na swój użytek przyjmował wzór Brocka. Nie rozkazał jej od razu zejść z wagi, ale odstąpił na krok i jeszcze przez chwilę zachwycał się jej tyłem, głębokim wcięciem talii, oraz kształtem miednicy. Podziwiał delikatne zaokrąglenie dołu pośladków i zaskakująco szczupłe uda, zwężające się aż do węzłów kolan, łydki niezbyt wydatne i szczupłą kostkę u stóp dużych, z wyraźnie zaznaczonym podbiciem. Jej włosy znowu połyskiwały czerwono i część swego blasku oddawały plecom, uwydatniając okrągłe dołki nad pośladkami, przenikając ciało wspaniałą różowością. Takie ciało miała jego żona, Hanna Radek, ale pomyślał o tym tylko przelotnie, bo od lat nawykł podczas badania swoje myśli włączać w koryto lekarskiej rutyny.

Wskazał jej kanapkę ceratową, aby usiadła. Nie zakryła dłońmi łona, jak to niekiedy inne młode kobiety u niego robiły. Jej własna nagość zdawała się ją samą zaciekawiać. Nie patrzyła zresztą na doktora, ale na swoje piersi, brzuch i łono, jakby po raz pierwszy w blasku elektrycznego światła widziała swoje nagie ciało i wierzyła, że za chwilę odkryje w sobie przegrodę, która zamyka w niej drogę dla nasienia.

Opukując ją zakrzywionym palcem ustalił zakres przylegania płuc do klatki piersiowej, potem przyłożył ucho do jej pleców, aby wysłuchać szmeru oddechu. Zadygotała, gdy otarł się o nią swoim całodziennym zarostem, ale dygot zaraz ustał. Posłusznie oddychała, to płycej, to głębiej, kaszlnęła kilka razy. Teraz rozkazał jej położyć się na prześcieradle kanapki. Ustalił granice stłumienia względnego i bezwzględnego, zbadał tony serca, głośność, miarowość, dźwięczność, stosunek przerw między tonami. Trochę dłużej niż to być musiało ucisnął policzkiem spłaszczoną, ale wciąż wypukłą lewą pierś, bezwiednie doznając przyjemności od ciepła jej ciała i zapachu skóry, delikatnego potu i woni owczej wełny, która przeniknęła z jej swetra i jakby wessała się w ciało.

Miał zimne końce palców, toteż znowu drgnęła leciutko, gdy zaczął obmacywać jej dziewczęcy, twardy brzuch. Żołądek, wątroba, okolice pęcherzyku żółciowego, trzustka i okrężnica – nigdzie najmniejszej bolesności czy powiększenia.

Jego dłonie i palce wędrowały na odwiecznych szlakach lekarskich czynności, zagłębiały się w nią, czując sprężystość młodego ciała i cudowną gładkość skóry, bez najmniejszej skazy, znamienia czy wyprysku. Końce jego palców rozgrzały się i nagle poczuł ciepło, gdzieś w głębi siebie, jakby w swym sercu.

– Masz piękne ciało, Justyno – powiedział cicho, przesuwając swoją dłoń z szorstkiego od włosów łona na niewielką wypukłość brzucha i zatrzymując ją przy głębokim dołku niedbale kiedyś uciętej pępownicy.

Uniosła nieco głowę z małej poduszki i spojrzała na swój brzuch, na jego dłoń o długich, lekko rozchylnych w tej chwili palcach, która leżała na niej jak biała rozgwiżdza.

Niewiele kobiet ma tak piękne, gładkie, różowe ciało. Dymitr nie powinien cię bić. Zostałaś stworzona do pieśczot.

Głowa jej opadła na poduszkę. Patrzyła w sufit, usta jej rozchylił uśmiech śmielszy niż dotąd, aż błysnęły jej duże zęby.

– Wiem. Bo lubię, gdy się mnie dotyka. Dałabym się zagłaskać na śmierć – jej stłumiony śmiech odczuł w jej brzuchu, pod swoją dłonią.

Po chwili dodała w zamyśleniu:

– Ale miłość musi dać owoc. A ze mnie wszystko wycieka. Co rano mam mokre uda.

– Jesteś zdrowa – stwierdził sucho i wstał z kanapki.

Zrozumiała te słowa jako nakaz ubrania się. Gwałtownie usiadła. Jej oczy pociemniały z gniewu, a usta zacisnęły się w wąską szparkę.

– Przyniosłam panu koguta i kosz pełen jajek. Wszystko ze mnie wycieka. Jestem jak pusta dziupla!

Po raz pierwszy podniosła głos. Zaskoczyło go, że dał się jej oszukać. Ujęła go swoją łagodną śpiewnością, a teraz jakby zobaczył w niej kogoś nowego. Wrzaskliwą, wiejską kobietę, ogarniętą jedynym uczuciem – pragnieniem macierzyństwa.

Był zły na siebie za słowa o tym, że została stworzona do pieśczot. Tak naprawdę, żadna kobieta nie została stworzona do pieśczot. Wszystko czego się o nich kiedykolwiek nauczył, mówiło, że były przede wszystkim samicami ludzkiego gatunku, u których każdy organ podporządkowany był jednemu celowi: zapłodnieniu, ciąży, wykarmieniu niemowlęcia. Jeśli miały jeszcze do spełnienia jakieś funkcje – uczyły

w szkołach, rządziły, pisały wiersze – leżało to już poza zasięgiem zainteresowania ginekologii. I jeśli nawet rację mieli ci, co powiedzieli, że przeżywana z mężczyzną rozkosz odróżnia samicę ludzką od samicy małpy, to prawdą było także, iż plemnik zapładniał jajo bez udziału czyjejkolwiek świadomości, bez pieszczot czy przeżywanej rozkoszy.

– Tam jest fotel – wyjął z szafki gumowe rękawiczki.

Nie wiadomo dlaczego nagle zapragnął, aby w nim dojrzała mężczyzną, zawstydziła się go choć przez chwilę, a on by musiał przełamać jej kobiecy wstyd. Ale ona była bezwzględna w swoim pragnieniu odkrycia zamkniętej bramy do swego wnętrza. Zresztą, skąd mógł wiedzieć, ile godzin nocnych minęło, zanim zdecydowała się przyjść do niego, choć wiedziała, że będzie się musiała rozebrać i ukazać obcemu mężczyźnie swoje wnętrze. Może po tysiąc razy przeżywała swój wstyd, gdy przed uderzeniami pięści Dymitra kryła twarz w poduszce i brzuchem przywierała do siennika?

Narządy płciowe miała dobrze rozwinięte, mniejsze wargi wstydlive były wydatne, różowawoczerwone i tylko łechtaczka, kiedy ją dotknął palcami, wywoływała odruch lekkiego bólu. Pomyślał, że ten kogut na belce nie był aż tak niewinny, jak mu to opowiadała, nie zjawiał się tylko w snach, ale i w marzeniu, koił jej pożądanie i tęsknotę. Dwa palce w gumowej rękawiczce wsunął jej w pochwę, a lewą rękę położył na brzuchu, tuż nad spojeniem łonowym. Przesunął palce w prawo, potem w lewo, badając stan jajowodów i jajników, następnie we wzorniku obejrzał błonę śluzową. Była bez nadżerek i upławów ropnych. Macicę miała bez tyłozgięcia, bez bolesności, co sprawdził poruszając jej trzonem.

W pewnej chwili odczuł na sobie spojrzenie jej oczu, zerknął ku niej i zobaczył na ustach Justyny lekki uśmiech, który wydał mu się tryumfujący, jakby odniosła nad sobą lub może nad nim jakieś sobie tylko wiadome zwycięstwo. Zauważywszy, że na nią spojrzał, przymknęła oczy i patrzyła odtąd na niego spod przymrużonych rzęs, nieruchomo i władczo, jakby posiadłszy tajemnicę jej ciała, stał się zarazem jej własnością. Lecz było to tylko krótkie, ulotne wrażenie, które zlekceważył.

– Ubierz się. Jesteś zdrowa i możesz mieć dzieci – rzekł krótko, zdejmując rękawiczkę.

Nie był w stanie stwierdzić, czy jajowody są drożne. Ale tego rodzaju badania należało przeprowadzać w specjalistycznej klinice – persufłacja z kinograficznym zapisem, histerosalpinografia, biopsja błony śluzowej macicy, leparyskopia i wiele innych skomplikowanych czynności, z których niejedna mogła być nawet niebezpieczna dla zdrowia i uciekać się do nich należało tylko w ostateczności.

A ta dopiero dwa lata żyła z mężczyzną. Zresztą, czy statystyki nie mówią, że tylko w czterdziestu przypadkach na sto wina za brak dziecka kryła się w kobiecie? Zawsze, zanim skierowało się kobietę na długie i męczące badania, należało poddać badaniu mężczyznę, co było proste i łatwe.

– Nie znalazłem w tobie żadnych powodów, abyś nie mogła mieć dziecka – powiedział, siadając znowu za biurkiem. – Jutro lub pojutrze przyslij do mnie swego męża. Dam mu skierowanie do szpitala, gdzie zbadają jego nasienie. Odnioś wrażenie, że go nie rozumiała.

– Przyslij do mnie Dymitra – powtórzył.

– Dymitra? – zdumiała się, zapinając guziki swetra.

– Tłumaczę ci przecież, że wina może być nie w tobie, ale w nim. Należy go zbadać. Znowu powędrowała wzrokiem gdzieś w sobie tylko znaną krainę. Ale przecież jego słowa dotarły do jej świadomości.

– On nie zgodzi się przyjść. Zabije mnie, jeśli mu powiem, że tu byłam.

Wzruszył ramionami.

– Zrobisz jak chcesz. Lecz jeśli naprawdę zależy ci na dziecku, przyslij do mnie swego męża.

Pokiwała głową i raptem doktor doznał uczucia, że ta młoda kobieta po raz trzeci zmienia się w jego oczach. Ujrzał jej roześmiany wzrok, rzucony mu jak wyzwanie.

– To jednak nie ja. To Dymitr – jej plecy zatrzęsły się od tłumionego śmiechu.

– Nie powiedziałem tego – Niegłowicz surowo ściągnął brwi, choć był przyzwyczajony, że podobne rozmowy z prostymi kobietami bywały niekiedy kłopotliwe. – Wyjaśniłem ci tylko, że należy również i jego zbadać.

– Ja jestem zdrowa. Pan tak powiedział – przestała się śmiać.

Wstał zza biurka, podszedł do wieszaka i podał Justynie chustkę. A ponieważ ona wciąż jeszcze siedziała na taboreciku, narzucił chustkę na jej ramiona i znowu od jej włosów zaleciał go zapach szaławii, mięty i piołunu. Zrozumiała, że każe jej odejść. Wstała i zbliżyła się do doktora.

– Co noc leje we mnie swoje nasienie. Mówi, że jestem jak pusta dziupla. Ale gdyby ktoś inny we mnie wlał, to brzuch urósłby mi jak beczka.

– Przyslij do mnie Dymitra – powtórzył stanowczo i poczuł się zmęczony. Narzuciła chustkę na głowę. Oczy miała rozumiane, a usta rozchylone jak do pocałunku. Ale może to tylko jemu wydawało się, że tak właśnie je rozchyliła i przez moment dostrzegł w wyrazie jej twarzy nagle objawioną namietność. Obróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu. Poruszała się pewnie, jakby w domu doktora była wiele razy. Bez słowa

skierowała się do kuchni, wyjęła jajka z koszyka i ułożyła je w miednicy, która stała na szafce. Oskubanego koguta przesunęła na stole bliżej okna i chłodu.

Na dworze wciąż huczały świerki, a psy kuliły się na ganku. Świecąc latarką doktor odprowadził Justynę do furtki.

– Dziękuję – powiedziała na pożegnanie swoim śpiewnym głosem.

Po chwili zniknęła w mroku i wiatr zagłuszył skrzypienie śniegu pod jej wysokimi bucikami. Niegłowicz wrócił do swego gabinetu, aby zgasić w nim światło i poczuł woń szaławii, piołunu i mięty.

A ona szła w ciemnościach po leśnej drodze i choć pamiętała, że latem, tuż obok, mężczyzna bez twarzy udusił małą Haneczkę, to przecież nie odczuwała ani odrobiny lęku. Miała wrażenie, że wciąż jeszcze po jej nagim ciele wędrują palce doktora, że wdycha przesycony tytoniem zapach jego oddechu, czuje jak ostrożnie rozchyła jej koralowy grzebień i szuka przegrody w głębi. Ale nie znalazł jej, bo była głęboko jego palce w rękawiczkach, jeszcze głębiej niż wchodzi w nią Dymitr. To on był wszystkim winien, z jałowym mleczem nasienia, głupi i ciemny Dymitr, który co noc lał w nią swoje nasienie i bił potem po plecach zaciśniętą pięścią. Ofiarowała doktorowi swojego Kłobuka, który czatował na nią na belce obory. Ciekawe, czy i teraz jeszcze się jej przyśni lub przyjdzie w marzeniu, skoro ona sama łeb mu ucięła, wypatroszyła, oskubała z piór i zaniosiła do domu doktora.

Mijając rozjarzone światłami okna leśniczówki Blesy aż zatrzymała się na chwilę koło starej sosny, bo zabrakło jej tchu od niespodziewanego požądania. Czowała bowiem znowu zimne i delikatne końce palców doktora na swoim ciele.

O TYM, JAK WIELE ZALEŻY OD MIEJSCA, NA KTÓRYM SIĘ SIEDZI, A TAKŻE O CZEKANIU NA SKRYTOBÓJCĘ

Pewnego dnia powrócił doktor z Trumiejek znacznie później niż zwykle, ponieważ akuszerka z izby porodowej powiadomiła go, że dostała bólów żona agronoma, która była ruda. Doktor więc pozostał dłużej w Trumiejkach i złożył wizytę proboszczowi Miziererze, u niego zjadł obiad, a potem rozmawiał z nim o św. Augustynie i neoplatonicykach, bacząc pilnie na telefon, czy go nie wezwą do porodu. Albowiem

wedle ostrzeżeń wielkich położników kobiety rude rodzą trudniej niż brunetki i blondynki, a dlaczego tak się dzieje nikt na świecie nie wie. Medycyna zna jednak różne przypadki i żona agronoma urodziła bez większych trudności, tylko z pomocą akuszerki. Nie zachwiało to jednak wiary doktora w zalecenia doświadczonych położników, ponieważ na ogół wszelkie zasady mają to do siebie, że nie sprawdzają się w każdym wypadku. Tylko głupcy szukają prawd bez żadnych wyjątków, przez co mają nieustanne kłopoty z własnym szczęściem, z żonami, a nawet z uruchomieniem samochodów. Mądrzy natomiast zdają sobie sprawę, że życie składa się niemal z samych odstępstw od rozmaitych reguł. W bezkresnej pustyni można spotkać rzekę czy oazę z życiodajną wodą, a bywali i tacy, co zmarli z pragnienia tam, gdzie wody było pod dostatkiem.

Do Skiroławek przyjechał doktor już o zmroku i przez całą drogę towarzyszył mu padający śnieg. Doktor pomyślał, że być może jest to już ostatni śnieg w tym roku, po południu bowiem zrobiło się znacznie cieplej i nagle jak gdyby zapachniało wiosną. Uśmiechał się Niegłowicz na przypomnienie wiosny, ale pożałował trochę odchodzącej zimy, gdyż każda pora roku, podobnie jak i każdy wiek, niesie z sobą wartości godne uwagi. A ci, którzy narzekają na zimę, zazwyczaj także narzekają na lato, krzywią się na wiosnę i utyskują na jesień. Tymczasem trafunek jest we wszystkim; lepsza bywa umiarkowana radość niż umiarkowany smutek, a czego nie można zmienić, to należy polubić. Stronami, jak pisano w gazetach i pokazywano w telewizji – nie było już śniegu, ludzie bronowali pola, ale w Skiroławkach wiosna zazwyczaj przychodziła o dwa tygodnie później niż na południu, za to jesień bywała wcześniejsza, podobnie jak zima. Nie znaczyło to wcale, aby ludzie w Skiroławkach czuli się z tego powodu gorsi lub zgoła lepsi od innych. Cieszył się więc doktor widokiem płatków, które wirowały przed reflektorami jego samochodu i wspominał chwile, gdy podczas podobnej śnieżycy wioził do siebie pannę Józję o łakomych ustach. Zateśknił doktor za pagórkami kobiecego ciała, a że był mężczyzną w sile wieku, zdrowym i dobrze odżywionym, przeszył go ostry ból, gdzieś z głębin podbrzusza płynący, od którego żywiej zabiło mu serce. I myśl doktora zaczęła wędrować po wytartych szlakach męskiego pożądania – do której kobiety zadzwonić lub list napisać, a może zgoła z Makuchową porozmawiać, czy któraś kobieta nie napomknęła przy niej o samotności Niegłowicza. Wspomniał też przez krótką chwilę, że pani Basieńka ostatnio rzadko do niego zagląda, dawno nie głaskał jej sterczących pod sweterkiem różków diabelskich. Uzałowił się też nad sobą doktor, że nie potrafi przywiązać się na dłużej do jakiejś niewiasty i ostatnio takie Jadwigę Gwiazdę zaniedbał, choć leżało się między jej udami jak w wygodnej kolebce.

Ale taki już był, że ciekawiły go coraz to inne kobiety, co mogło być wyrazem swoistej perwersyjności lub nerwicy, o czym czytał w książkach. Niewykluczone jednak, że po prostu ciało i rozkosz kobiety wydawało mu się jeszcze jedną wspaniałą potrawą, a jak każdy smakosz czuł przerażenie na myśl, aby jeść zawsze to samo na śniadanie, obiad i kolację. Mimo wszystko doktor żałował czasu, gdy namiętność do Hanny zaspokajała całe jego pożądanie. Śmierć Hanny i upływ czasu uczyniły w duszy doktora takie spustoszenie, iż sam już nie wierzył, aby znowu opadła go kiedyś podobna do tamtej namiętność. A że żal nad sobą bywa wstępem do rozgrzeszenia, tedy gdy mijał zagrodę Wasilczuków, stanęła mu w oczach Justyna i wydało mu się, że czuje w samochodzie zapach zeschniętego piołunu, mięty i szaławii. Skąd by się miał wziąć podobny zapach w jego starym samochodzie nie wiedział, ale ból przeszył go jeszcze raz i znowu żywiej zabiło mu serce. Przypomnił sobie sny Justyny – Kłobuka na belce, który spada na jej rozgrzane przez noc ciało. Wyobraził sobie, jak ona przytrzymuje dłonią swój różowawoczerwony grzebień, aby z niej mlecz nie wypłynął, a potem miłośnie gładzi koguci wyrostek, malutki, mniejszy niż naparstek. I pożądanie uderzyło doktorowi do głowy, aż ciemno mu się zrobiło przed oczami. Tylko nawyk powiedział mu, że jest już przed swoją bramą, czas przycisnąć hamulec.

Białe płatki padały cicho, ledwie dosłyszalnie szeleszcząc na starych świerkach w alejce. Opadały także na rozgrzaną maskę samochodu i zaraz zamieniały się w krople wody, parując i sycząc. Przeniknięty bólem pożądania powoli podszedł doktor do bramy oświetlonej reflektorami samochodu, otworzył jedną połówkę i wtedy padł strzał. Pocisk zawył koło ucha doktora i pacnął w pień świerku za bramą.

Zdumiał się doktor, bo nigdy nic takiego go nie spotkało. I aż znieruchomiał w świetle reflektorów. Gdyby skrytobójca oddał drugi strzał, doktor padłby na śnieg przeszyty pociskiem. Ale drugiego strzału nie było, szeleściły tylko płatki śniegu i sycząc topiły się na masce samochodu.

Ocknął się doktor ze zdumienia, przycupnął i skoczył poza blask reflektorów. W mroku przebiegł do domu, wpadł do sypialni, wyjął z szafy swoją kurkową strzelbę. Psy, które zazwyczaj biegały po podwórzu, tym razem, szczęśliwie dla skrytobójcy, spały w kuchni. Zagwizdał doktor na psy i wybiegł z nimi z domu, ostrożnie podkraść się do swego wozu i wygasił w nim wszystkie światła. Psy obcego jednak nie wyczuły, a gdy kazał im pobiec w las, gdzie czaił się skrytobójca, potraktowały to jako zabawę i pełne radości skakały wokół doktora. Jeśli skrytobójca uciekł zaraz po pierwszym strzale, to dość miał czasu, aby oddalić się w las lub odejść po zaśnieżonej drodze. Zresztą, śnieg walił coraz mocniejszy i natychmiast zasypywał ślady. Poszedł doktor drogą w

lewo, potem drogą w prawo, później wszedł w las i zrobił niewielkie półkole. Dopiero po jakimś czasie odnalazł miejsce, skąd strzelano. I wtedy strach zimną ręką ujął serce doktora. Bo skrytobójca stał przy drodze ukryty za drzewem nie dalej niż trzydzieści metrów od bramy wjazdowej! Śnieg zasypywał tam złotawą łuskę od karabinu. Jeśli z tak małej odległości nie trafił, to znaczyło, że albo był – złym strzelcem, albo też strzelał z bardzo złej broni, z jakiegoś obrzynka czy samopału własnej roboty, którego nie można było szybko nabijać, stąd i drugi strzał nie nastąpił.

Wieczorem, siedząc w fotelu przy kaflowym piecu w salonie, przymknął doktor oczy i długo rozmyślał o tym, co się stało, dokonując rachunku sumienia, aby wyłuskać wroga z gromady ludzkiej, która go otaczała. Ale nie przypomniał sobie, aby kogoś skrzywdził do tego stopnia, że tamten musiał użyć jednostrzałowego samopału. I doszedł doktor do wniosku, że być może, sam o tym nie wiedząc, trafił wreszcie na ślad człowieka bez twarzy i on poczuł się zagrożony.

Następnego dnia rano wsiadł doktor w swój samochód i choć był to dla niego dzień wolny od pracy w ośrodku zdrowia, pojechał do Trumiejek. Zatrzymał wóz przed podobnym do dużego pudełka posterunkiem milicji, wszedł do gabinetu komendanta Korejwy i położył mu na biurku łuskę od naboju karabinowego. Opowiedział też o wydarzeniu z łuską związanym, dokładnie tak jak było.

Starszy sierżant sztabowy, Henryk Korejwo, miał silny katar, kłuło go w piersiach i męczył suchy kaszel. Od kataru aż mu w uszach dzwoniło, w ustach czuł suchość i patrząc na mosiężną łuskę, która leżała na jego biurku, pomyślał, że nie byłoby wcale najgorszą sprawą, gdyby nagle okazało się, że ma zapalenie płuc. Wówczas łuska musiałaby znaleźć się na biurku jego zastępcy, sierżanta sztabowego Joachima Purdy. Nie jest bowiem komendantowi przyjemnie, gdy odbierze wiadomość, że na jego terenie włamano się do sklepu z alkoholem, albo do tuczarni trzody chlewnej. Ale straszna się wydaje chwila, jeśli na biurku komendanta znajdzie się łuska od karabinu, z którego ktoś do kogoś strzelał.

Zaniósł się suchym kaszlem komendant Korejwo, potem długo smarkał w chusteczkę do nosa, aż znowu zadzwoniło mu w uszach i wreszcie powiedział, biorąc do ręki mosiężną łuskę, i oglądając ją z takim obrzydzeniem jak wielką wesz:

Na różnego rodzaju naradach oraz w rozmowach prywatnych wielokrotnie nadmieniałem, że w Skiroławkach oraz innych wioskach dużo jest jeszcze starej broni. Wiadomo z doświadczenia, że taka broń od czasu do czasu musi wystrzelić.

To prawda – zgodził się doktor Niegłowicz. – Ale dlaczego do mnie? Korejwo pominął pytanie doktora, które wydawało mu się po prostu głupie. Bo mniej byłoby

dziwne i bardziej stosowne, gdyby ktoś strzelał, na przykład, do pisarza Lubińskiego.

– Zły przykład idzie z góry – stwierdził surowo Korejwo.

I aby nie być gołosłownym, mimo dzwonienia w uszach i suchego kaszlu, podniósł się zza biurka, wyciągnął pęk kluczy i otworzył jedną z kilku żelaznych szafek, które stały wzdłuż ściany gabinetu. Wyjął tekturową teczkę z klapkami i tasiemką, położył ją na biurku. Doktor mógł przeczytać na teczce ładnie wykaligrafowane własne imię oraz nazwisko.

– Jest w Skiroławkach broń nielegalna i my o tym wiemy – Korejwo poglądził dłonią teczkę z nazwiskiem doktora.

Niegłowicz wzruszył ramionami.

– Czternaście lat temu, gdy pan tu jeszcze nie był komendantem, przywiozłem na posterunek wszystką broń, którą znalazłem w domu mojego ojca. – Tu jest ta sprawa dokładnie opisana – jeszcze raz poglądził teczkę z nazwiskiem doktora. – Dostarczył pan ręczny karabin maszynowy, stary manlicher, granatów zaczepnych sztuk siedem, pepeszę. Ale szanowany ojciec pana, chorąży Niegłowicz, miał także tetetkę, z którą, według naszych informacji, nie rozstawał się podczas wojny. Widziano ją u niego także i w kilka lat po wojnie. Pistoletu pan jednak nie przywiózł.

– Nie znalazłem go. Może ojciec zakopał pistolet w ogrodzie albo w lesie? Nie wiem. Przeszukałem każdy kąt w naszym domu. Zresztą zróbcie rewizję. Komendant zakasłał dłużej i bardziej sucho niż do tej pory.

– Milicja wie, co ma robić. A o tetetce nadmieniłem, aby panu unaocznic, że skoro pan nie znalazł broni po ojcu, to być może ktoś inny także nie znalazł karabinu. A później nagle z niego wystrzelił.

– Do licha – rozsierdził się doktor. – Traktuje mnie pan jak przestępcę. Czy to ja strzelałem, czy też do mnie strzelano?

Pokiwał głową Korejwo, że podziela oburzenie doktora. Nic tak bardzo go nie zachwycało, jak podobna sytuacja. Zdarzało się bowiem, że oburzonemu to i owo nieopatrzne słówko wyrwało się z ust.

– Kto strzelał, to się jeszcze okaże podczas śledztwa – stwierdził. Przyjmując jednak pana wersję, należy zastanowić się, jaki był cel tego strzelania.

– Ja byłem tym celem. Moja głowa – burknął doktor.

Korejwo uśmiechnął się wyrozumiale. Doktor był bezsprzecznie mądrym i godnym szacunku człowiekiem, a przecież nie wiedział, że śledztwo zawsze należy prowadzić dwustronnie. Przeciw temu, który został oskarżony, a także przeciw temu, który oskarża. Zdarzało się bowiem niejednokrotnie, że z czasem oskarżyciel stawał się oskarżonym,

a oskarżony niczemu nie był winny. Jedyłą materialną prawdą pozostawała mosiężna łuska; w stosunku do reszty należało zachować ostrożność i dystans. Istota ludzka, jak słusznie twierdził proboszcz Mizerem, bywała ułomną, choć inaczej widział tę sprawę proboszcz Mizerem, a nieco inaczej komendant Korejwo. W pojęciu Mizerery ludzie byli skłonni do grzechu, w pojęciu Korejwy mieli skłonność do łamania prawa.

– Nie możemy być pewni, że strzelano z myślą, aby pana zabić – wyjaśnił łagodnie.

– Być może ktoś chciał pana po prostu nastraszyć? Pozostawmy zresztą na uboczu osobę strzelającą, której imieniu, nazwiska oraz adresu, a nawet rysopisu, o ile dobrze się orientuję, nie znamy. Natomiast wiadoma jest nam osoba, do której strzelano. Czy pan kogoś podejrzewa, doktorze?

– Nie.

– A właśnie. Tak też i myślałem. Proszę więc nam powiedzieć, dlaczego do pana strzelano, wówczas łatwiej będzie odnaleźć osobę, która strzelała.

– Nie mam pojęcia, dlaczego do mnie strzelano.

– Tak też i myślałem – zgodził się komendant. – Postaramy się więc pomóc panu, stosując odpowiednie pytania. Kto miał w tym swój interes, aby pana zabić czy też pana nastraszyć?

– Sumienie moje jest czyste.

– Sumieniem zajmuje się proboszcz Mizerera – sarkastycznie stwierdził Korejwo.

– Nam, doktorze, pozostaje prawda materialna.

– Podejrzewam, że być może, sam o tym nie wiedząc, trafiłem na ślad zabójcy małej Haneczki. Zbrodniarz poczuł się zagrożony i usiłował mnie zgładzić. Jak panu wiadomo, na własną rękę staram się znaleźć sprawcę zabójstwa.

– To bardzo pięknie z pana strony. Ale skoro sam pan nie wie, czy pan trafił na ślad zabójcy, to dlaczego zabójca ma wiedzieć, że trafił pan na jego ślad? Nie gościł pan u siebie ostatnio jakiejś ładnej i zamężnej kobietki?

– Owszem.

– Czy ma ona zazdrosnego męża?

– Nie wiem. Nie mam też zamiaru mówić z panem o takich sprawach.

Korejwo schował łuskę do koperty, a kopertę włożył do szuflady biurka.

– Doktorze – westchnął, a potem rozkasłał się sucho. – Przyniósł pan do nas łuskę. Dowiedzieliśmy się, że do pana strzelano. To prawdziwy pasztet. Mamy go przełknąć nie mrugnawszy nawet okiem. Ale z czego ten pasztet zrobiono, to pan już nie chce nam powiedzieć.

– Bo nie wiem. Zazdrosny mąż to wersja prymitywna, a nawet prostacka.

– Słusznie – zgodził się Korejwo. – A jak pan myśli, dlaczego ktoś włamuje się do sklepu z alkoholem albo do kiosku z papierosami? Z przyczyn prymitywnych i prostackich – dla paru złotych i kilku butelek alkoholu. Odkąd tu jestem komendantem, zabito na naszym terenie kilku mężczyzn, również przy pomocy broni palnej. Za każdym razem rzecz poszła albo o parę złotych, albo chodziło o niewierną małżonkę czy narzeczoną. Nie wydaje mi się, aby ktoś stawał za drzewem przy drodze i czekał wieczorem na przyjazd doktora tylko dlatego, że doktor nosi czapkę z borsuka. Dlatego dobrze się stanie, jeśli doktor jeszcze raz pomyśli o tej sprawie, przyjedzie do mnie ponownie i wskaże podejrzanego.

Gniew ogarnął doktora. Poczuł się pouczony jak smarkacz. A że starszy sierżant sztabowy rozkaszał się znowu gwałtownie, tedy rzekł do niego doktor:

– Sucho pan kaszle. Nawet z daleka słyszę rżenie w płucach. A nie kłuje pana w piersiach?

– Kłuje. I katar mnie męczy.

– Dziś w ośrodku zdrowia przyjmuje doktor Kuraś...

– A pan, doktorze, nie wziął ze sobą słuchawek?

– Oczywiście, że wziąłem. Mam je w samochodzie.

Komendant odetchnął z ulgą.

– Sucho kaszlę, to fakt. I kłuje mnie w piersiach. A do samochodu po słuchawki może skoczyć któryś z moich ludzi. Albo ja sam je przyniosę.

– Nie trzeba – stwierdził doktor Niegłowicz. Na chwilę opuścił posterunek i wrócił z lekarską walizeczką w rękę.

– Jestem przyzwyczajony – powiedział do Korejwy – że pacjent siedzi po tej stronie biurka, a ja po tamtej.

W ten sposób zmusił starszego sierżanta sztabowego, aby opuścił swoje miejsce i zajął to, na którym dotąd spoczywał doktor. A wraz z zamianą miejsc jak gdyby opuściła komendanta odrobina pewności siebie. Zatrokszał się o swoje zdrowie i poczuł silniejsze klucia w piersiach.

– Proszę się rozebrać – rozkazał doktor, kładąc na biurku słuchawkę i receptariusz. Teczkę z napisem „Jan Krystian Niegłowicz” starannie przesunął na bok.

– Z zaziębienia może wyniknąć zapalenie oskrzeli, a także zapalenie płuc oraz wiele innych dolegliwości, medycyna zna różne przypadki – mówił z żartobliwą powagą do komendanta. – Zaziębienie nie jest równe zaziębieniu, można je wyleczyć w rozmaity sposób, jeśli pacjent udzieli lekarzowi odpowiednią ilość informacji. Nas, lekarzy, obowiązuje, jak pan wie, tajemnica zawodowa. Dlatego niech mi pan śmiało powie,

w jakich okolicznościach pan się zaziębił. Może po prostu przemoczył pan sobie nogi? Albo jechał motocyklem służbowym podczas silnego wiatru i mrozu? Pamiętam człowieka, który w zimową noc, silnie spocony i na wpół ubrany, uciekał z domu ukochanej, spuszczając się po rynnę, ponieważ niespodziewanie zjawiał się mąż owej kobiety. Musiałem go leczyć nie tylko z przeziębienia, ale i z nerwowego szoku. Trząś się nie tylko z gorączki, ale i ze strachu.

W swoim czasie Korejwo był komendantem posterunku w innej miejscowości. Opowiadano, że tam właśnie uciekał po rynnę od jakiejś damy, co się wydało i dlatego przeniesiono go do Trumiejek.

Nie mogę zdradzać przed panem tajemnic służby – odezwał się komendant, który był już bez kurtki mundurowej z baretkami, koszuli i podkoszulka; tkwił przed swoim biurkiem z obnażonym torsem, co odebrało mu jeszcze odrobinę pewności siebie.

Resztkę tej pewności utracił Korejwo, gdy pomyślał, jak łatwo człowiek może znaleźć się nie po tej stronie biurka, gdzie zwykł siadać, a także jak wiele zależy od tego, po której stronie biurka się siedzi. To nie osobowość człowieka, ale miejsce gdzie usadawia swój tyłek decyduje o tym, czy zadaje pytania, czy też musi na nie odpowiadać, czy ma władzę nad drugim człowiekiem, czy też władzy drugiego człowieka musi się poddać.

Tymczasem doktor starannie zbadał komendanta i zapisał mu kilka leków. – A teraz poproszę o zwrot mojej łuski – rzekł, wyciągając dłoń do Korejwy. – Trochę sobie pożartowaliśmy, komendancie, bo nic tak nie działa na zdrowie jak dobre żarty.

Ale komendant zdążył już naciągnąć podkoszulek, znalazł się znowu na swoim miejscu za biurkiem i poczuł się znacznie raźniej.

– Od razu wiedziałem, że przyjechał pan do mnie, aby trochę pożartować – wyszczerzył duże zęby w szerokim uśmiechu. – Dlatego nawet protokołu żadnego nie zrobiłem. Bo gdzie by tam, pomyślałem, taki człowiek jak doktor, jeśliby do niego strzelano, nie wiedział kto to zrobił i dlaczego.

A że doktor Niegłowicz trzymał wciąż przed sobą wyciągniętą dłoń, komendant położył mu na niej swoją i serdecznie ją uściśnął.

– Dziękuję, że mnie pan zbadał i leki zapisał – powiedział z powagą. Prawdą jest też, że dobre żarty pomagają zdrowiu. Od razu po pańskich żartach jakbym lepiej się poczuł i trochę mniej męczy mnie kaszel. Bo czy pan wie, co się dzieje, gdy ktoś nie zna się na żartach? Trzeba zrobić alarm w całej okolicy, dziesiątki milicjantów postawić na nogi, przesłuchaniom nie ma końca, szczególnie, gdy przedmiotem sprawy jest zamach na czyjeś życie. Zazwyczaj należy wtedy tu i ówdzie, dokąd kieruje się podejrzenia,

przeprowadzić przeszukania, zasadzki robić w łąkach i przy drogach. Zapewniam pana, doktorze, że nie ma nic gorszego na świecie niż karabin w ręku człowieka, który jest zdolny wymierzyć nim w drugiego człowieka. Po co jednak czynić tyle hałasu i tak wiele czynności, które burzą spokój okolicy, gdy dwaj ludzie znają się na żartach. Mam nadzieję, że doktor jeszcze to i owo przemyśli, a jak przyjdzie do mnie powtórnie – i to dość szybko, bo czas nagli, a karabin to broń niebezpieczna – zaraz wrócę zupełnie do zdrowia. Oj, pośmiejemy się wtedy, doktorze, na posterunku, pośmiejemy się z tej łuski, aż nas brzuchy ze śmiechu zabolą.

I komendant miał taką minę, jakby go zęby bolały, a nie brzuch, i do tego wcale nie od śmiechu.

Powrócił więc doktor do Skiroławek bez łuski, ale z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Albowiem ludzie rozsądni umieją się porozumieć przy pomocy słów, które wypowiadają w rozmowie, a także przy pomocy tych słów, które nie zostają wypowiedziane. Dlatego życie ludzi rozsądnych jest znacznie łatwiejsze od życia ludzi niezbyt rozsądnych i pozbawionych poczucia humoru.

Po sutym obiedzie zasiadł w fotelu przy piecu w salonie i pogrążył się w rozmyśleniach. Zadzwoiła pani Basieńka z wiadomością, że upiekła kruche ciasteczka, a jej mąż, pisarz Lubiński, od dość dawna nie rozmawiał z nikim o „Pismach sonantycznych” Gottloba Frege. Poinformowała także doktora, iż przeczytała prawdziwą powieść zbójceją, taką, jak pragnęła, aby i jej mąż kiedyś stworzył. Wymówił się uprzejmie doktor od wizyty w domu pisarza, bo wolał swoje rozmyślenia, zresztą nie miał wyboru, jeśli chciał żyć dalej w poczuciu bezpieczeństwa. Tymczasem za oknami domu zapadał już zmrok, a wreszcie noc nadeszła głęboka i nieprzenikniona.

W lesie było ciepło, parowały trzęsawiska nad zatoką, locha i dorosłe prawie warchlaki wciąż jeszcze buchtowały pod starymi bukami, jako że miniony rok był dla buków nasienny. Rad nierad poczłapał Kłobuk przez zaśnieżoną zatokę aż na półwysep i stwierdził, że śnieg taje na dachówkach domu doktora, krople wody skapują w zasypy śnieżne, złobiąc w nich głębokie rowki. W salonie doktora było ciemno, ale Kłobuk wiedział, że doktor siedzi przy piecu w fotelu i w mroku snuje swoje myśli jak pająk, który sieć nastawia w ciemnościach, aby rankiem złapała się w nią tłusta mucha. Psy doktora wyczuły natychmiast Kłobuka, więc szybko przeskoczył płot i zawędrował do zagrody Wasilczuków, gdzie psów nie było, a w izbie paliło się światło. Wskoczył Kłobuk na starą beczkę na podwórzu i zobaczył przez szybę Justynę, która siedziała przed lusterkiem i zdjąwszy z głowy chustkę, uśmiechała się do swoich ust i swoich oczu. Potem rozpięła sweterek i kaftanik, wyjęła na wierzch swoje różowe piersi i

podtrzymując je od spodu dłońmi, jakby ważąc dwa duże owoce, pokazała je lustru i zarazem sobie, aż pojawił się na jej ustach uśmiech przedziwny, jakiego Kłobuk nie widział dotąd u nikogo na świecie.

W godzinę później doktor Niegłowicz raptem olśniony został myślą, kto i dlaczego do niego strzelał. Wstał z fotela, aby podejść do telefonu i zadzwonić do Korejwy, ale w ciemnościach wpadł na stół. A że zbyt długo w mroku nocy snuł pajęczą nić wspomnień, w rozedrganej wyobraźni przekraczał nie tylko minione dni, lecz i całe lata, wchodził we własną przeszłość, jak na ogromne grzędawisko, dlatego może poczuł się małym chłopcem, który w ciemnościach potyka się o tenże sam wielki kwadratowy stół w tym samym pokoju. Na stole leżał wtedy okryty ciemnością jego starszy brat, siedemnastoletni Maciej Niegłowicz. W ciemnym pokoju cykał stary zegar, ale doktorowi się zdało, że słyszy spadające ze stołu krople krwi. Potknął się wówczas także o stół i krzyknął strasznie, gdyż wydało mu się, że w ciemności widzi przed sobą twarz brodatego mężczyzny, którego w drzwiach domu zastrzelił ze starego manlichera. Na podwórzu turkotały wtedy koła wozu, to odjeżdżał jego ojciec, chorąży Niegłowicz, uwołąc do doktora w Bartach ich matkę, która stała się jak martwa, gdy zobaczyła swego najstarszego syna na stole w pokoju. Przestraszył się wówczas Jan Krystian, że pozostanie sam w ogromnym i pustym domu, z martwym bratem na stole, z trupami czterech mężczyzn w ogrodzie, chciał wybiec za ojcem, lecz uderzył się o stół i krzyknął. Aż Gertruda Makuch wybiegła z kuchni, objęła go mocno i płaczącego powiodła na górę, do swej izby, bo wtedy jeszcze mieszkała w ich domu. To było dawno, bardzo dawno. Na tym stole doktor jadał obiady, zasiadał przy nim z proboszczem Mizererą, Szulcem, pisarzem Lubińskim oraz z wieloma innymi ludźmi. Przeszłość była już nieskończoną dalą, w którą odszedł brat, stryj, matka i ojciec, a także Hanna. Teraz zaś znowu ktoś strzelał, tak jak wtedy mężczyzna z brodą, na zawsze nieznanym, nikt bowiem nie poznał nigdy jego imienia oraz nazwiska. I niczym więcej niż bezimiennym ciałem pozostały jego zwłoki i trupy w ogrodzie, które pochował potem chorąży Niegłowicz. Bo ojciec doktora radził sobie sam, gdy ktoś do niego strzelał.

Tedy zamiast do telefonu podszedł doktor do kontaktu i włączył światło. Następnie wyjął z szafy swoją dubeltówkę, na stole w salonie rozpostarł gazetę, położył na niej broń i zaczął ją starannie rozbierać, oliwić, czyścić szmatką. Broń ta, jak już wspomniano, była piękna i stara, model włoski Castore, z kurkami i zamkiem bocznym Hollanda, z inkrustowaną srebrem płytką zamka i orzechową kolbą. Miał ją doktor po swoim ojcu, chorążym Niegłowiczu, a ten zaraz po wojnie za dwa małe prosiaki nabył ją od kogoś wraz z kompletem gdańskich mebli. Te meble, jak również podobno i strzelba, należały

kiedyś do księcia Reussa z Trumiejek i pochodziły z jego pałacu, który podczas działań wojennych zamieniono na szpital polowy, wszystkie meble i rzeczy wyrzucono do parku, a do pokoi pałacowych wstawiono łóżka żelazne i nosze z rannymi. Kto chciał, mógł wtedy to i owo zabrać ze sterty wyrzuconych do parku gratów, a potem odstępował innym – za prosiaki, krowę, cielę lub worek ziemniaków. Tak chorąży Niegłowicz wszedł w posiadanie pięknych mebli, które i jego synowi teraz służyły, a także pięknej dubeltówki włoskiej, kurkowej, z zamkiem bocznym Hollanda. W dawnym pałacu księcia Reussa mieścił się teraz Urząd Gminny, Ośrodek Zdrowia, a także w przebudowanym nieco skrzydle znalazła pomieszczenie Lecznica Weterynaryjna, z mieszkaniem dla lekarki weterynarii, Brygidy. Doktor bardzo szanował broń po ojcu, czyścił ją często i starannie, ale w tej chwili robił to ze szczególną uwagą. Nabił ją wreszcie ołowianymi kulami i odłożył w kącie za fotelem. Uczyniwszy to, zadowolony nastawił adapter z jedyną płytą, jaką posiadał, to jest piosenkami Marii Laforet. A gdy płyta się zatrzymała, pożałował doktor, że nie ma w swym domu telewizora, ponieważ wydawało mu się, iż mógłby z największą przyjemnością popatrzeć na czyjąś twarz i odczuwać rozkosz, że widzi jakiegoś człowieka, ale ów człowiek jego nie widzi, nie ma pojęcia, że patrzy na niego lekarz wiejski, który siedzi w fotelu, a w kącie trzyma nabitą strzelbę. Ale doktor nie miał w swym domu telewizora, podobnie jak nie miał go również Porwasz – jedyne osoby w całej wsi Skiroławki. Malarzowi szkoda było pieniędzy na kupno zbędnego przedmiotu, natomiast doktor nie kupił telewizora, gdyż prosiła go o to poprzednia żona pisarza, sam Lubiński, a później także pani Basieńka. Cieszyło ich bowiem, gdy doktor przyjmował zaproszenie do domu pisarza, aby obejrzeć jakąś historię pokazywaną na małym ekranie, choć i tak nigdy niczego nie oglądano, ponieważ telewizor Lubińskiego był bardzo stary i deformował twarze nawet bardzo czcigodnych osób. Dlatego tak czy inaczej każda wizyta doktora kończyła się dyskusją o „Pismach semantycznych” Gottloba Frege, bo o to głównie chodziło w zaproszeniu.

Nie miał Niegłowicz telewizora, a że nie czuł nastroju do żadnej lektury, poszedł więc spać wcześniej niż zwykle. A raniem polecił Makuchowej, aby udała się do domu pewnego człowieka i nakazała mu przybyć wieczorem do domu na półwyspie. O wyznaczonej porze zasiadł w swym szlafroku w wygodnym fotelu koło pieca, czekając, aż przyjdzie do niego skrytobójca. Czas oczekiwania na skrytobójcę zazwyczaj bardzo się dłuży, o czym warto wiedzieć, bowiem nie każdy będzie miał możliwość przeżycia czegoś takiego. Tedy należy wiedzieć. W nawet cykanie szafkowego zegara bywa tak powolne jak kapanie krwi ze stołu, na którym leży człowiek trafiony pociskiem. Myśli doktora poszybowały znowu w ową dal nieskończoną, dokąd odeszli już ci, co odejść

musieli, a jeszcze odejdą inni, bo wszyscy gdzieś odejść muszą, choć niejednemu się wydaje, że tego nie uczyni. Ale jest też prawdą, że z owej dali każdego można wywołać wspomnieniem, nawet najgorszym albo zgoła najczulszym, jeśli nienawiść ma się w sercu lub miłość. Zobaczył więc doktor swoją żonę jeszcze piękniejszą niż na portrecie, który wisiał nad kominkiem w zamkniętym na klucz pokoju, sąsiadującym z salonem. Ów portret, biały fortepian i kilka mebli również białych, ale z delikatnymi złoceniami, z krzesłami i kanapy pokrytą białym materiałem ze złotymi plamkami delikatnego wzoru, przywiózł doktor ze stolicy. Na białej kanapie lubiła siedać Hanna Radek, a on kładł wtedy głowę na jej kolanach, czekając aż obejmą mu czoło jej niemal przezroczyste dłonie. Wmówiła sobie, że w ten sposób nabierają siły, a on słyszy wtedy muzykę, która w niej ciągle była obecna. I to przez tę muzykę, wciąż w niej zaszuchana, mówiła do niego bardzo rzadko lub tylko szeptem miłosnym. Stąd po szesnastu latach od jej śmierci nie pamiętał doktor jej głosu, a tylko czasem odczuwał jeszcze dotyk rąk, choć bywały to niekiedy dłonie innej kobiety. Ale to chyba dlatego na dłużej przywiązywał się doktor tylko do kobiet łagodnych i milczących, świergot zaś i szczebiot kobiecy drażnił go po jakimś czasie i rył mu głęboką zmarszczkę nad nosem. Potem między Hanną i doktorem pojawił się Joachim, o którym po śmierci żony ktoś mu powiedział, że pozostawiła mu go, aby nigdy nie był naprawdę samotny. Lecz on od samego początku buntował się przeciw darom pocieszenia i patrząc na Joachima, na jego włosy, zarys powiek, ust i skłonność do milczenia tak podobne do jego matki, miał odczucie, że los go oszukał. I zapewne z tego powodu miał doktor wciąż do siebie głęboki żal, że nie potrafi pokochać syna tak mocno, jak kochał swoją żonę. A przecież, gdy już cztery lata mieszkali w Skiroławkach i wraz z Joachimem pojechał doktor do proboszcza Duriasza, zdarzyło się, że mały Joachim podszedł do starego pianina proboszcza, najpierw nieśmiało uderzył tu i ówdzie w pożółkłe klawisze, a potem nagle tylko dwoma palcami wybeźnił melodię, którą przed chwilą słyszeli w radiu. Zrobił to tak czysto i sprawnie, że doktor nagle zbladł, widząc zaś tę bladłość proboszcz Duriasz nisko opuścił głowę i miał łzy w oczach, bo pojął, jak naprawdę mocno doktor kochał swojego syna. Od tej pory największa samotność miała spaść na doktora jak spada orzeł bielik na mysz polną. W tydzień później ludzie w Skiroławkach widzieli ogromną, czarną limuzynę z zagraniczną rejestracją, która jeden dzień i jedną noc stała przed domem doktora, rankiem zaś następnego dnia odjechała wraz z Joachimem. Odtąd Joachim dwa lub trzy razy w roku przyjeżdżał do Skiroławek, niekiedy zaś doktor jeździł do niego, do sąsiedniego kraju, jako że Hanna Radek była córką zagranicznego dyrygenta. W ten sposób doktor oddał przeszłości i przyszłości wszystko co ukochał,

pozostawiając sobie jedynie skrawek ziemi na półwyspie, dom i ogród, i aleję świerkową od domu do bramy. Ale tak na dobrą sprawę również i te rzeczy należały do przeszłości, a ona kiedyś odezwała się listem, potem zaś przyjazdem starego cieśli, niejakiego Otto Daube. Poprosił Daube doktora, aby mógł posiedzieć przed domem na półwyspie i słuchać muzyki świerków, które własnymi rękami sadił przed pięćdziesięcioma laty. Zgodził się na to doktor, bo choć cieśla Daube pojawił się żywy, to jednak wewnątrz pozostawał martwy, gdyż i na niego spadł wielki gład samotności. A że trudno słuchać muzyki świerków w dzień deszczowy, tedy cieśla Otto Daube zbudował przed domem przepiękny ganek drewniany, cudownie rzeźbiony przy pomocy siekiery, ośnika i dłuta. Pisarz Lubiński pozazdrościł doktorowi tak pięknego ganku i dał zaliczkę cieśli Sewrukowi, aby mu zbudował podobny, lecz ten wziął pieniądze i znudził się samą myślą o podobnej robocie. Otto Daube nawet w dzień deszczowy siadywał na ławce na ganku i słuchał muzyki świerków, co w zdumienie wprawiało doktora, który nie był człowiekiem muzycznym, i trudno było mu pojąć, że tak wiele muzyki bywa w niektórych ludziach, w koronach drzew, w szeleście traw i dojrzewającego zboża. Aż umarł Otto Daube na ławce na ganku w pewien skwarny lipcowy dzień i pochowany został na koszt doktora na cmentarzu w Skiroławkach. Chwalili ludzie mądrość i dobroć doktora, że pozwolił Daubemu siedzieć na ganku, bo z bogatego kraju przybył i zapewne nie lada jakie bogactwo mógł pozostawić. A potem tylko śmiech był, gdy okazało się, że przy Daubym znaleziono tylko kilka niewiele wartych banknotów. Doktor jednak wydawał się zadowolony, ponieważ, jak mówił ludziom, dawniej sądził, że Otto Daube nawet tych kilku niewiele wartych banknotów nie posiadał. To była jednak już także przeszłość, terażniejszość zaś kazała doktorowi czekać na skrytobójcę, który miał wyłonić się z nocnego mroku. A że czekanie takie bywa bardzo długie, wspomnienia zaś są znacznie krótsze, wkrótce doktor poczuł znowu ciężar własnej samotności, która jest jeszcze większa, gdy czeka się na skrytobójcę. Dało też znać o sobie zmęczenie, gdyż tego dnia doktor przyjął w Trumiejkach dwudziestu siedmiu pacjentów.

Zniecierpliwiony oczekiwaniem wyszedł na swój piękny ganek, pogłaskał psy, które natychmiast do niego przybiegły i warcząc na siebie zazdrośnie dopraszały się o pieśczętę. Popatrzył doktor w ciemność nocną, lecz nikogo nie zobaczył. Powrócił więc do ciepłego pieca i fotela, czas jakiś jeszcze czekał, lecz tak się stało – może źle, a może dobrze – że skrytobójca nie przyszedł. Kładąc się spać, pomyślał doktor, że być może terażniejszość różni się od przeszłości także i zanikiem honoru. To co kiedyś można było załatwić zwykłą rozmową lub jeszcze jedną kulą, teraz trzeba rozwiązywać zupełnie inaczej. Zatelefonuje jutro do komendanta Korejwy, a ten weźmie samochód,

dwóch milicjantów i kajdanki, w które zakuje się skrytobójcę.

Nic takiego się jednak nie stało, ponieważ już o siódmej rano zadzwonił Korejwo do doktora i poprosił go, aby natychmiast przybył na jezioro, aż za Czaplą Wyspę, gdzie w przerębli znaleziono zwłoki Dymitra Wasilczuka.

O ZAGADKOWEJ ŚMIERCI NA JEZIORZE I O TYM, ŻE PO PIERWSZE: NIE POWINNO SIĘ SZKODZIĆ

Na bezkresnej przestrzeni jeziora słońce i ciepło przedwiosenne stopiły śnieg, obnażając śliski i siny lód, który wciąż jednak był bardzo gruby i zachował swoją kamienną twardość. Pod lodem z braku powietrza dusiły się ryby ogromne sandacze, tłuste leszcze i liny. I codziennie rybacy ze Skiroławek wyrąbywali w lodzie duże przerębłe, układając w nich snopki słomy, aby podczas nocy, gdy znowu przychodził mróz, woda w przeręblach nie zamarzała. Z owych przerębli ryby można było brać gołymi rękami, bo aż tłoczyły się w nich, chwytając powietrze w otwarte pyski i gwałtownie poruszając skrzelami. Przez całą noc rybak Pasemko i inni członkowie brygady pilnowali przerębli zrobionych blisko wsi, ale tych wyrąbanych daleko, aż za Czaplą Wyspą, doglądali tylko co jakiś czas, sprawdzając czy nie zamknął ich znowu lód. To tam właśnie, za Czaplą Wyspę, wybrał się Dymitr Wasilczuk, aby nałapać ryb w druciany koszyk, który miał ze sobą. Uczynił to już chyba późnym wieczorem, gdyż nie kradnie się ryb w biały dzień. Odrzucił Dymitr kilka snopków z przerębli i przykucnąwszy tuż nad wodą złapał dwa liny, leszcza i ogromnego sandacza; zamrożone ryby leżały w koszyku na brzegu przerębli. Ale że było ciemno a lód śliski, Dymitr zaś zapewne za dużo wypił, pośliznął się więc i wpadł do wody. Wiele razy usiłował wydostać się na gruby lód, ale jego śliskość i grubość utrudniała wysiłek i za każdym razem znowu zsuwał się w wodę, pozostawiając na krawędzi lodu krwawe ślady poranionych palców. Nie umiał pływać, lecz chyba nie utopił się, ponieważ kilka snopków słomy pod siebie podłożył. Na nich to zamarzł, gdyż z wieczora było minus osiem stopni. Może nawet wołał o ratunek, ale od Czaplej Wyspy głos dochodził słabo, nawet nocą. W lodowatej wodzie człowiek traci przytomność bardzo szybko. Tak stało się chyba także i z Dymitrem. Unosiły go na wodzie snopki poczerńiałej słomy, on jednak był martwy, z twarzą dziwnie żółtą i żółtymi dłońmi u rąk rozrzuconymi jak

skrzydła ptaka. Zdawały się te ręce chwytać krawędź przerebli lub może tylko wyrażały ostatnie pragnienie umierającego człowieka, zanim ogarnęło go stężenie pośmiertne czyli *rigor mortis*.

Niewiele w tej sprawie miał do powiedzenia lekarz wiejski, doktor Jan Krystian Niegłowicz, poza oczywistym stwierdzeniem, że Dymitr Wasilczuk jest martwy. Nic nie potrafił dodać, gdy wydobyto ciało i położono je na lodzie obok przerebli. Pozostawał wciąż w tej samej pozycji, z rozrzuconymi rękami i dłońmi, które chciały coś chwytać. Namoknięte i potem stwardniałe jak druty włosy sterzczały teraz wokół głowy jak węże na głowie straszliwej Gorgony. Utopił się czy też zamarznął, kiedy to się stało? – tylko sekcja zwłok dać mogła odpowiedź na podobne pytania, tę zaś przeprowadzić musiał lekarz medycyny sądowej. Odpowiedź taka zresztą nie miała żadnego znaczenia dla całej sprawy, która z uwagi na okoliczności wydawała się przejrzysta. Skamieniałe ciało Dymitra Wasilczuka, a powodu jego rozłożonych rąk, nie dało się wtłoczyć do milicyjnego ułaza, który odważnie wjechał na śliski lód aż do przerebli za Czaplą Wyspą. Tak więc położono je na rybackich sankach, okryto kocem i powieziono do Bart w celu dokonania tam sekcji. Zaraz też rozproszył się i zniknął z jeziora tłum ludzi ciekawych, co przybiegli z wioski, aby zobaczyć zamrożonego człowieka. I tak się stało, że na caluśkim jeziorze, jak okiem sięgnąć, pozostało tylko dwóch ludzi starszy sierżant sztabowy Korejwo i doktor Jan Krystian Niegłowicz. A że tego ranka niebo było pochmurne, niskie i sinawe, a ogromna przestrzeń zlodowaciałego jeziora przypominała także odwrócone ku dołowi niebo, tedy zagubione w tej siności sylwetki tych dwóch ludzi przypominały z daleka dwa małe nieruchome robaczki, które przed chwilą wyszły ze snopków rozrzuconych wokół przerebli.

– Ciekawych było bardzo dużo. Ale zameldowano mi, że zabrakło wśród nich żony denata, Justyny Wasilczuk – odezwał się Korejwo. – Wypada, abym to ja zawiadomił ją o śmierci męża.

Ale jakoś nie kwapił się Korejwo. aby puścić się w drogę przez jezioro, bo też i chyba nie jest przyjemne zawiadamiać młodą żonę o nagłej śmierci męża.

– Tyłu tu było ciekawych, a jej zabrakło – powtórzył swoją myśl. Zapewne będzie głośno płakała, włosy sobie rwała z. głowy, jak to młode kobiety. Ale niektóre tylko rozpacz udają...

Zawiesił głos komendant, jakby oczekując, że doktor dopowie swoje słówko, albo nawet dorzuci słów kilkoro, jako że był tutejszy i ludzi wszystkich znał na wskroś. Lecz doktor zrobił krok w stronę wsi i uczynił zapraszający gest Korejwie, aby mu towarzyszył.

– Pójdę z panem do Justyny – wyjaśnił. – Znam ją trochę, ponieważ nie tak dawno była u mnie po lekarską poradę. Jednak porozmawiać z nią chciałbym przy panu.

Ruszył komendant Korejwo wraz z doktorem przez lód prościuteńko w stronę zagrody Wasilczuków i czuł lekkie podniecenie, jak zwykle, gdy trafiał na ślad jakiegoś zła. Sekcja zwłok wykazać dopiero miała, ile też Wasilczuk wypił, zanim poszedł chwycić ryby. Pośliznąć się pijanemu łatwo, to prawda. lecz popchnąć takiego także nietrudno. Pomyślał o tym doktor Niegłowicz był tego pewny komendant Korejwo – ale skoro nie chciał o tym mówić, tylko o rozmowę z Justyną się dopraszał, znaczyło to, że ma na ten temat coś więcej do powiedzenia. Ukryć zaś tego nie zamierzał, skoro przy komendancie z Justyną pragnął się widzieć. Nie należał doktor do ludzi, co to bez potrzeby miałą językiem i podejrzenia na lewo i prawo rzucają, z czego więcej szkody bywa niż pożytku. Albowiem pomyśleć można to i owo, czasem nawet popuścić wodze fantazji, lecz słowa należy wypowiadać ostrożnie, bo gdy znajdzie się martwego człowieka w przerębli, to na własnych słowach łatwo się pośliznąć jak na lodzie.

Szli w zupełnym milczeniu, w rzeczy samej od czasu do czasu ślizgając się na wilgotnym lodzie, a z powodu owego milczenia szacunek ich do siebie narastał niepomierny. Raz tylko dla okazania grzeczności zapytał doktor komendanta, czy kłuje go jeszcze w piersiach, na co komendant równie grzecznie odpowiedział, że po lekarstwach nawet katar ma mniejszy. Wreszcie znaleźli się przy brzegu, gdzie znajdował się niewielki przeręb, skąd Wasilczukowie czerpali z jeziora wodę do pojenia krowy (do jedzenia i do picia nosiła Justyna wodę ze studni od mieszkającej po sąsiedzku Gertrudy Makuch). Wstąpili na ląd i ścieżką w szerniałym śniegu dotarli do długiego domu z czerwonej cegły, w części mieszkalnej pobielonego wapnem. Z głośnym wrzaskiem rozbiegła się gromada kur, tłoczących się przy korytku z ziarnem i plewami, nikt jednak nie pokazał się w oknie. Weszli najpierw do maleńkiej i zimnej sionki, a potem zapukawszy energicznie do drzwi, wkroczyli do izby stanowiącej całe mieszkanie Wasilczuków.

Okryta czarną chustą klęczała Justyna przed ikoną w lewym rogu izby. Poszarzała od starości twarz Matki Boskiej z Dzieciątkiem wychylała się z blaszanego fartuszka, na którym połyskiwały barwne szkiełka i pełgał płomyk palącej się świecy w lichtarzyku pod obrazem. Justyna patrzyła w szarą twarz Boskiej Matki i żegnała się wolno.

– Przyszliśmy do was, Justyno Wasilczuk, aby was powiadomić o śmierci męża Dymitra – ozwał się z powagą komendant Korejwo.

– Wiem już o tym – odpowiedziała wolno i śpiewnie, nie odwracając głowy. – Byli tu u mnie ludzie z tą wieścią, ale ich przegnałam. Chcę być sama z Matką Przenajświętszą.

Przestąpił komendant a nogi na nogę, gdyż nagle doznał przecucia, że rozmowa z tą młodą kobietą będzie bardzo trudna. Miał wiele doświadczeń w tym względzie. Szeptaly mu one, że proste umysły, które z pozoru bez trudu powinny poddawać się cudzej inteligencji, jakże często pozostawały twarde i odporne.

– Nie widziałem was, Justyno Wasilczuk przy przerębli, gdzie znaleziono waszego męża – stwierdził.

– Nie ciekawam takich widoków. Zobaczę Dymitra, jak go mi przywiozą. Pokłonię mu się i trumnę mu zamówię – znowu im wolno wyśpiewała.

Rozgniewał się Korejwo i powiedział rozkazująco:

– Wstańcie z klęczek, Justyno Wasilczuk. I wskażcie nam miejsce do siedzenia. Mam zwyczaj patrzeć w twarz tego z kim rozmawiam. A modlitwy swoje zostawcie na później.

Nie od razu posłuchała ostrego głosu. Przeżegnała się najpierw aż trzy razy, skłoniła ikonie. Dopiero wtedy wstała i odwróciła się do nich. Nie dostrzegli w jej oczach łez, a na twarzy choćby odrobiny smutku, ale przecież nie oczekiwali tego, gdy szli do niej i folgowali wyobraźni.

– Siadajcie – powiedziała do nich cicho, wysuwając dłoń spod chustki i wskazując im drewnianą ławę pod ścianą. Sama zaś przycupnęła na zydlu przy stole.

Doktorowi wydało się, że jest bledsza niż wtedy, gdy do niego przysła. Czarne łuki brwi rysowały się jeszcze bardziej ostro, jakby na białym kartonie ktoś je węglem wyrysował. Oczy straciły wyraz smutku, który wówczas odnotował w pamięci. Spierzchnięte wargi nie były już rozchylone, lecz zaciśnięte w wąską szparę. Brzydką się wydała doktorowi w tym momencie, bo czuło się wypełniającą ją wrogość i siłę. Ale gdy przez krótką chwilę jej piwne oczy spotkały się ze wzrokiem doktora, odniósł wrażenie, że jakby radość w nich błysnęła, a wargi zadrgały utajonym śmiechem.

Komendant usiadł na ławie, założył nogę na nogę, poprawił pas z pistoletem.

– Powiedzcie mi prawdę, Justyno Wasilczuk, kiedy wasz mąż, Dymitr, poszedł, aby łapać w przerębli?

– Przedwczoraj to było. Wieczorem.

– To znaczy, Justyno Wasilczuk, że już przedwczorajszej nocy nie wrócił. Nie było go przez cały dzień, a także i tej nocy.

– Tak, panie.

– I nie zdziwiła was jego nieobecność? Nie przeraziła? Nie zaczęliście pytać o niego, szukać go na jeziorze?

– Pomyślałam, że się utopił – oświadczyła cicho. – Prosiłam o to Matkę

Przenajświętszą, jak kobieta kobietę. I tamtego wieczoru dużo wódki w niego wlałam, żeby poszedł pijany.

Komendant chrząknął z zadowoleniem, bo lubił, gdy ktoś przyznawał się do winy.

– Czemu go jednak nie szukaliście? – zapytał.

Wiedziałam, że ludzie go znajdują, a on mi zakazywał oddalać się od domu. Co najwyżej do Makuchowej po wodę mogłam chodzić.

– Jednym słowem, Justyno Wasilczuk, napoiłście męża wódką, a potem on poszedł łapać ryby w przerebli. Następnie wepchnęliście go do wody z udaną zyczliwością w głosie stwierdził Korejwo.

– Was przy tym nie było – odparła.

I nastała cisza, ponieważ komendant zrozumiał, że przecucie nie było mylne. Nigdy nie dowie się prawdy od tej kobiety. Co innego bowiem pragnąć czyjeś śmierci, a co innego śmierć taką spowodować bezpośrednio.

– Dużo wypił?

– Pół litra. A potem jeszcze drugą butelkę otworzyłam. Ale z niej już tylko trochę się napił wylizwała z odrobiną dumy w głosie.

Dlaczego chcieliście jego śmierci?

Bił mnie. Co noc. Mówił, że jestem jak pusta dziupla. Ale byłam u doktora i on mi powiedział, że mogę mieć dziecko. To Dymitr był jak jałowe drzewo. Dlatego, gdy szedł na ryby, pół litra wódki mu dałam.

– Justyno – nieoczekiwanie odezwał się doktor. – Powiedz mi, gdzie Dymitr trzymał karabin z obciążoną lufą.

– W lesie, panie. Pod mchem. Ale gdzie, tego nie wiem. Sarnę czasem przyniósł albo kozła.

– Wiedziałaś, że strzelał do mnie z zasadzki, z ukrycia, i chciał mnie zabić?

Skinęła głową.

– Mówił mi o tym, gdy to zrobił. Raz strzelił i nie trafił. I zaraz uciekł, bo bał się, że pan go zabije ze swojej strzelby.

– Dlaczego mnie znienawidził? – doktor pytał cicho, a ona odpowiadała równie ściszym głosem, jakby powierzali sobie jakąś ogromną tajemnicę.

– Bił mnie, doktorze. I mówił, że jestem jak pusta dziupla. Powiedziałam mu, że byłam u doktora. Teraz on musi pójść, bo jest jałowy. Przeraził się tego i przestał mnie bić. Nie pomyślałam, że zechce się zemścić.

– Przesłałam tu Makuchową, aby Dymitr przyszedł do mnie na rozmowę. Czekałam na niego...

– Makuchowa była tu wczoraj. On wtedy już nie żył – tłumaczyła spokojnie i wolno, jak małemu dziecku.

Doktor zadał jej ostatnie pytanie:

– A może zepchnęłaś go do wody, Justyno, aby nie zaczął się na mnie po raz drugi?

Żaden muskuł nie drgnął jej w twarzy, ani powiekami nie zakryła oczu. A słowa, które wypowiedziała znowu były łagodne i wolne, jakby skierowane do małego dziecka:

– Nie było pana przy tym, doktorze. Nikogo przy tym nie było. Modliłam się do Matki Przenajświętszej, świece paliłam. Wódki mu dałam. A teraz trumnę kupię z dobrego drzewa i pogrzeb będzie miał z księdzem z Trumiejek, choć Dymitr był innej wiary.

Podniosła się z zydlu, poprawiła chustkę na głowie i ramionach, a potem odwróciła się do nich plecami i uklękła przed ikoną. Przeżegnała się znowu i klęcząc czekała, aż odejdą. Bo w jej pojęciu powiedzieli sobie wszystko, co mogło być powiedziane.

Korejwo spojrzał na doktora, a doktor odwzajemnił mu się ostrym błyskiem oczu. Wiedział komendant, że może wziąć Justynę na posterunek gminny, a tam, po kilku dniach, być może podpisze zeznanie, że śmierci męża pragnęła i wódki mu dała, aby poszedł na ryby pijany. Po kilku dniach przyzna się nawet, że poszła z mężem i go do wody wepchnęła, choć wątpliwe, czy coś takiego uczyni, bo raczej powtarzać będzie ciągle, że nikogo przy tym nie było. I nie znajdzie się prokurator, co zechce wziąć dalej tę sprawę w swoje ręce, i nie znajdzie się sąd, który zechce skazać Justynę. I nie w tym tkwiło sedno sprawy, że sąd ją uniewinni, bo niejednego zbrodniarza uniewinnił, ale w tym, że potem nastąpi prawdziwa i łatwa do udowodnienia zbrodnia. Dwóch mężczyzn, co teraz uczciwie węgiel dobywa, pójdzie do więzienia. Rozumiał komendant, że doktor wie o tym także i prosił go spojrzeniem, aby powiedział Justynie słowa, których jemu rzec nie wypadało.

– Wstań, Justyno – rozkazująco wezwał ją doktor. – I posłuchaj naszej rady.

A gdy znowu wstała i usiadła na zydlu, doktor zaczął mówić inaczej niż zwykle, twardo, dodając słowo jedno do drugiego, jak gdyby każde było oddzielnym ziarnkiem długiego różańca.

– Nie mów nikomu, Justyno, że Dymitr cię bił i pragnęłaś jego śmierci. Nie mów nikomu, że modliłaś się do Matki Przenajświętszej i świeczkę paliłaś, aby zginął. Nie mów nikomu, że wódki mu dużo dałaś, ale że sam dużo wypił. Bo ja dziś jeszcze telegram wyślę do dwóch braci Dymitra, którzy przyjadą tu ze swoich kopalń. Pogrzebią swego brata i odjadą. Ale nocą cichaczem tu wrócą i ciebie razem z tym domem podpalą. Albowiem jeśli w tej sprawie nawet cień na ciebie albo na kogoś padnie, to zaraz noc

go ogarnie. Znałem starego Wasilczuka i trzech jego synów. Dlatego kiedy pomyślałem, kto mógł do mnie strzelać i dlaczego to zrobił, od razu myślałem o Dymitrze. Więc jeśli choćby cień podejrzenia na ciebie padnie, nie będziesz dłużej żyła, Justyno.

I nie patrząc na młodą kobietę, doktor wyszedł z izby, a za nim zaraz wymaszerował komendant Korejwo. Ramię przy ramieniu poszli obydwaj drogą w stronę poczty, skąd doktor chciał nadać telegram, a komendant zamierzał poczekać na swego ułaza, powracającego z Bart.

– *Primum non nocere* – powiedział w pewnej chwili doktor. A znając ciekawość komendanta do wszelkich nauk, dodał dla jasności: – To znaczy, że przede wszystkim nie należy szkodzić.

– A pewnie – zgodził się Korejwo. – I nie należy także pić za dużo wódki, jeśli się chce chwytac nocą ryby z przerębli na śliskim lodzie. Łatwo bowiem o wypadek.

W rzeczy samej sekcja zwłok wykazała we krwi Dymitra tyle alkoholu, że ktoś inny, o słabszej głowie, leżałby nieprzytomny na łóżku, on zaś poszedł chwytac ryby w przerębli. Nie dziwiło to nikogo, bo Dymitr lubił dużo wypić, o czym wszyscy, także jego dwaj bracia, dobrze wiedzieli.

Zjawili się obydwaj w Skiroławkach w dzień pogrzebu, dwoma nowymi samochodami. Podobało im się, że młoda wdowa nie szczędziła pieniędzy na piękną trumnę dla męża, na krzyż drewniany i ogromny wieniec ze sztucznych kwiatów. Chwalili, że poprosiła proboszcza Mizererę, aby trumnę ze zmarłym od domu Wasilczuków aż na cmentarz poprowadził, choć i oni, i Dymitr byli innego wyznania.

Nie płakała Justyna na pogrzebie, ale jej ogromna bladeść mówiła, że łez jej zabrakło i żal do losu ma ogromny. Wieczorem usiedli Wasilczukowie przy jednym stole z Justyną, otworzyli butelkę wódki i radzili wdowie, aby krowę, kury i całą zagrodę sprzedała, i do nich się przeniosła. Znajdą dla niej pracę w kopalnianej stołówce, a za pieniądze za dom kupi sobie z czasem mieszkanie. Jeśli zaś woli wieś i chce doglądać grobu Dymitra, nie okażą gniewu, skoro po roku lub półtora za jakimś uczciwym mężczyzną się rozejrzy, ponieważ jest kobietą młodą i ładną. Co do nich zaś, to im przykro, ale na ich pomoc liczyć nie może, gdyż ciężko pracują pod ziemią na swoje nowe mieszkania i nowe samochody.

– Nie pora teraz mówić o moim dalszym życiu – odrzekła im krótko Justyna.

Spodobały im się także i te słowa młodej wdowy, bo w istocie, nie wypada snuć planów na przyszłość w dzień pogrzebu męża. Rankiem z szacunkiem pocałowali wdowę w rękę i odjechali do swoich kombajnów węglowych. A gdy za wioską zniknęły z oczu ludzkich ich dwa samochody, Justyna zdmuchnęła świeczkę przed obrazem

Matki Boskiej. Na stole postawiła lusterko, usiadła przed nim i zdjęła z głowy czarną chustkę. Przyglądała się długo swoim włosom, swej twarzy, oczom, gładkim policzkom i ustom. Aż wreszcie pojawił się na jej twarzy bardzo dziwny uśmiech, ni to radosny, ni to kpiący czy nawet lubieżny, jakiego nikt u niej dotąd nie widział, tylko raz jeden Kłobuk go wypatrzył.

O SZLACHETNEJ IDEI BUDOWY WIATY, O LUDZIACH CZYNU I O TYM, JAK NACZELNIK ZOSTAŁ PARAMETREM

Najpierw przyleciały szpaki. Na jeziorze był jeszcze lód, tu i ówdzie z ogromnymi rozlewiskami wody. W ogrodzie doktora i w lesie zalegał topniejący śnieg, ale na podwórzu i na drodze do bramy widziało się gołą ziemię i poźółkłą murawę. Szpaki spadły na dach domu wielkim stadem i śmiesznie skakały przed gankiem. Zmęczone drogą i wygłodniałe coraz ciasniejszym kręgiem otaczały miski, z których jadły psy doktora, a gdy psy głód nasyciły śmiało pchały się do resztek. Potem zaczęły wciskać się pod dach na stodołę, w której doktor trzymał swój jacht i garażował samochód, aż jedną z dachówek przekrzywiły, a drugą zrzuciły na ziemię i stłukły. Przypomniał sobie wtedy doktor o dachówce, którą przywiózł przed Nowym Rokiem malarz Porwasz i podarował mu ją w noc sylwestrową, rad nierad poszedł do niego, zabrał ją i przystawiwszy drabinę do dachu, jedną dachówkę poprawił, a drugą założył – nowiutką, czerwoną, a właściwie koloru terakoty. Pochwalił doktor gospodarność Porwasza i obiecał mu, że jeśli kiedyś znajdzie na drodze zgubiony przez kogoś kawałek eternitu, także go do samochodu weźmie, gdyż nigdy nie wiadomo, co się komu może przydać. Na szpaki się jednak doktor nie gniewał ani ich nie przeganiał, choć w sadzie latem szkody czyniły, objadając z owoców czereśnie i wiśnie. Ze szpakami bowiem nikt jeszcze tak naprawdę wojny nie wygrał, nawet ci, co rozmaite strachy na gałęziach drzew owocowych ustawiają, bo to ptaki bardzo przemyślne. A zresztą zagroda, w której pod dachówkami nie mieszkają szpaki, to jakby dom, w którym ktoś choruje.

Pewnego dnia wspaniale i mocno zaświeciło słońce. Pisarz Lubiński wyniósł na taras leżak, podstawił twarz pod ostre promienie i grzał się pod kocem, od jeziora bowiem wciąż ciągnęło lodowatym chłodem. W południe zrobiło się jednak naprawdę gorąco, twarz pisarza czerwieniała i brązowiwała, a myśli jego kierowały się ku pięknej Luizie.

Pisarz widział w swej wyobraźni, jak w wiosenny wieczór stażysta pośpieszył do domku myśliwskiego koło starej karpiarni, aby tam czekać na Luizę i już przestał wierzyć, że przyjdzie, gdy wreszcie na leśnej drodze usłyszał ciche pokaskływanie dziewczyny, później aż skrzypnęły drzwi. Chciał pisarz Lubiński wyobrazić sobie, co nastąpiło dalej, ale raptem na jeziorze zjawiono się ogromne stado mew. A że lód był prawie wszędzie i tylko tu i ówdzie widniały duże rozlewiska wody, ptaki zaczęły zawodzić i skarżyć się głośno. Przenikliwe głosy wypełniały niebo i ziemię. Z domu pisarza wybiegła pani Basieńka strwożona o los stadka żółciutkich kurczaczków, które w skrzynecze wystawiła na słońko przed domem. Mewy mogły porwać któregoś kurczaka, poprosiła więc pani Basieńka męża, aby zamiast wygrzewać się na tarasie, raczej kurczaków pilnował. Tedy rozstawił Lubiński swój leżak obok skrzynki z kurczakami, twarz na słońko wystawił i znowu pośpieszył myślami ku pięknej Luizie. Przyszło pisarzowi do głowy okrągłe zdanie: „I wyczuł swą dłonią ciepłą wypukłość jej piersi ze skurczonymi chutliwie sutkami.” Pomyślał, że być może spodoba się to zdanie jego przyjaciółom, a także pani Basieńce; odnajdzie w nim zapowiedź powieści zbójcekiej. Niestety w pobliżu pisarza raptem usiadły dwie szare pliszki i zaczęły swymi długimi ogonkami omiatać podwórze. A po chwili z głośnym pluskiem na wolny od lodu skrawek jeziora spadł kormoran – wielkie i ciemne ptaszysko – zanurkował i wyskoczył z wody, unosząc w dziobie połyskującą srebrzyście rybę. Zapomniał pisarz o pięknej Luizie, bo widok piękna odbiera chęć, aby tworzyć piękno.

W tym czasie w gabinecie naczelnika Urzędu Gminnego, obywatela Gwiazdy siedział instruktor rolny Różyczka i jeszcze raz zdawał sprawozdanie ze swych wizyt w Skiroławkach, gdzie dzisiaj właśnie w porze wieczornej miały się odbyć wybory sołtysa. Nie był z siebie zadowolony instruktor Różyczka, choć z kim by nie rozmawiał w Skiroławkach, wszyscy jednogłośnie narzekali na Jonasza Wątrucha. Jedni dlatego, że wierzył we władzę Szatana nad ziemią, inni, że bywał zbyt surowy, jeśli ktoś podatku nie płacił w terminie. Niełatwo też od niego było wydębic świadectwo pokrycia maciory czy jałówki, gdy byk albo knur nie posiadał licencji. Bezlitosny także się okazywał w sprawach psów i tyle ich zgłaszał do Urzędu Gminnego, ile ich w rzeczy samej żyło, wiadomo zaś, że na wsi w każdej niemal zagrodzie bywał pies oficjalny i ze dwa psy nieoficjalne, które nie wiedzieć skąd się brały, a płacić za nie kazano podatek, co się wydawało dziwne. Dopiero pisarz, Lubiński musiał ludziom wytłumaczyć, że gdy przed wieloma wiekami w pewnym państwie, które Rzym się nazywało, cesarz nazwiskiem Kaligula wprowadził podatek od koni, ludzie ówczesni mieli go za wariata. A dziś jest podatek nie tylko od koni, ale od krów, od owiec, od świń i nikogo to nie

dziwi. Podobnie stanie się z podatkiem od dodatkowego psa.

Zgodni więc byli ludzie w Skiroławkach w swych narzekaniach na sołtysa Jonasza Wątrucha, o czym naczelnik Gwiazda z radością od Różyczki słuchał. Gorzej jednak przedstawiała się sprawa, gdy pytał ich instruktor, kogo chcieliby mieć za sołtysa. Co człowiek to innego był zdania.

– Ustalimy tę sprawę już na zebraniu – zdecydował naczelnik. – Oj, złościć się będzie doktor Niegłowicz, kiedy Wątruch przestanie być sołtysem!

Albowiem wielka była w sercu naczelnika Gwiazdy zawziętość na doktora. Ostatnio w kieszeni płaszcza swojej żony. Jadwigi, odkrył kilka biletów autobusowych do Bart i nawet rachunek za nocleg w miejskim hoteliku. Znaczyło to, że doktor Niegłowicz ostatecznie porzucił Jadwigę Gwiazdę, albo ona porzuciła doktora i jeździła już na spotkanie z kim innym i gdzie indziej. A przez to stała się jeszcze bardziej harda, dała naczelnikowi po twarzy w restauracji w Trumiejkach. Zaczęła go więc bić nie tylko przy dzieciach, lecz i przy obcych ludziach, co mogło nadszarpnąć autorytet władzy gminnej. Obwinał o to naczelnik doktora, bo gdyby nie porzucił jego żony Jadwigi, to może poprzestałaby tylko na awanturach w domu.

Rzecz dziwna, ale doktora Niegłowicza niewiele obchodziło, kto będzie sołtysem w Skiroławkach, nie miał najmniejszego zamiaru ani stawać przeciw Wątruchowi, ani też go bronić. Poszedł zaś na wioskowe zebranie tylko dlatego, że uczynił to także pisarz Lubiński. A ten postąpił tak, aby udowodnić, że mimo takich czy innych rzucanych na niego potwarzy ma zawsze dobro publiczne na względzie i nie zamierza rezygnować z przewodnictwa w narodzie. Marzyło się bowiem Lubińskiemu, gdy osiadł w Skiroławkach, aby obyczajem starych pisarzy stać się sumieniem ludu, jego nauczycielem i duchowym przewodnikiem. I tak na przykład, zauważywszy, iż w Skiroławkach przystanek autobusowy nie ma dachu ani ścian bocznych i ludzie oczekujący na autobus skazani są na dotkliwie ciosy zmiennej aury, podjął wzniosłą ideę walki o wiatę na przystanku. Odtąd też na każdym zebraniu oraz przy każdej okazji sprawę tę publicznie podnosił. Atoli po jakimś czasie spostrzegł, że jest w tej walce osamotniony, a nawet tu i ówdzie u ludzi prostych, dla których walkę tę podjął, budzi ironiczne uwagi, chichoty, a nawet nasrano mu przed furtką. Dano mu Nr ten sposób do zrozumienia, że co pisarskie ma być oddane pisarzowi, a co wioskowe rolnikom i drwalom. Zdumiał się pisarz Lubiński takim postawieniem sprawy, a jeszcze większe zdumienie go ogarnęło, skoro przekonał się, że u ludzi w Skiroławkach większy szacunek budził leśniczy Turlej, który niczego poza swoim lasem nie widział, malarz Porwasz, który niemal goły tyłek na całą wieś wypinał, niż on, który podjął szlachetną

ideę walki o wiatę. Co do doktora Niegłowicza, to i on udawał, że niewiele go obchodzą wioskowe problemy, a na propozycję, aby przyłączył się do idei walki o wiatę, tylko wzruszył ramionami i powiedział, że on na przystanku nie moknie, bo jeździ swoim samochodem, natomiast obchodzą go dziury w asfalcie, które powinny być załatwane, gdyż grożą pęknięciem resorów w jego starym gaziku. Rzecz dziwna, słowami tymi nie tylko że ludzi w wiosce sobie nie zraził, ale jeszcze większy szacunek zyskał, ponieważ wszyscy widzieli owe dziury w asfalcie i jasnym było dla każdego, że doktorowi może pęknąć resor, co jest i kosztowne, i zbyteczne. Dziury w asfalcie wkrótce załatwano, natomiast wiata na przystanku nigdy nie została zbudowana. Poszedł wtedy pisarz Lubiński po rozum do głowy i pojął, że podobnie jak doktor, nie korzysta z przystanku, ale jeździ swoim tanim samochodem. W tej sytuacji jego idea walki o wiatę, z której nie miał nigdy korzystać, wydała się prostemu ludowi nieco podejrzana. Na przykładzie owej wiaty objawiła się przed pisarzem Lubińskim tragedia wielu inteligentów, którzy usiłowali walczyć dla ludu i w imię ludu. Zrozumiał też pisarz, że o wiele łatwiej odnosić wrażenie, iż jest się sumieniem całego narodu, niż być sumieniem jednej małej wioski. Wyruszył więc Lubiński na zebranie w sprawie wyborów sołtysa, aby ukazać czoła ludziom mu niechętnym, zarazem jednak zdecydował nie stawać ani przeciw Wątruchowi, ani też go bronić przed naczelnikiem Gwiazdą. Co do Turleja i Porwasza, to, rzecz jasna, żaden z nich na zebranie nie zamierzał przybyć, gdyż pierwszy nie dostrzegał ludzi, a tylko las przeogromny, drugi – jedynie trzciny nad jeziorem.

Zebrali się ludzie w dużej sali remizy strażackiej, siedli na wąskich i twardych ławach, doktor i pisarz w pierwszym szeregu. A za stołem prezydiąlnym zajął miejsce naczelnik Gwiazda, instruktor rolny Różycka oraz siłą rzeczy Jonasz Wątruch, który był sołtysem, dopóki nowego sołtysa nie wybrano. Z małej kartki przeczytał najpierw Jonasz Wątruch o tym, czego w Skiroławkach dokonano, gdy on był sołtysem. Kartka była mała, sprawozdanie krótkie, gdyż w rzeczy samej niczego w Skiroławkach nie dokonano. I o tym właśnie przypomniał ludziom naczelnik Gwiazda, krytykując sołtysa Jonasa Wątrucha. Nadmienił, że w innych wioskach dokonania bywają ogromne, społecznym wysiłkiem ludzie budują domy kultury i świetlice, drogi naprawiają, od rana do wieczora pracują na rzecz wioski, bo mają dobrych sołtysów, którzy ludzi do takich zajęć potrafią nakłonić. Jonasz Wątruch nie umiał sprostać temu zadaniu, tedy innego sołtysa trzeba wybrać.

Słuchał uważnie tych słów sołtys Jonasz Wątruch i głową kiwał, że się zgadza ze wszystkim, co mówi naczelnik Gwiazda. Kiedyś w gościnnej izbie u Wątrucha wisiały dwa jego portrety w mundurach dwóch różnych armii. Do jednej wzięto go z poboru,

do drugiej wstąpił sam, gdy znalazł się w niewoli. Ta druga okazała się zwycięską, o niej mówił Wątruch „nasza armia”, ale tak naprawdę w każdej armii czuł się obco i umundurowany źle wyglądał na portretach. Uczestniczył w niezliczonej ilości bitek i potyczek, otrzymał więcej odznaczeń bojowych niż chorąży Niegłowicz, ale gdy wreszcie trafił do rodzinnych Skiroławek, zastał swój dom bez szyb i drzwi, bez sprzętów i dobytku, a także bez żywej duszy. Co się stało z jego rodzicami, z trzema siostrami i dwoma braćmi – nikt mu tego nie potrafił powiedzieć. Czy zginęli od kul tej armii, do której został wzięty z poboru, czy od tej, do której wstąpił, później, któż to tak naprawdę wiedział? Dlatego z czasem pojął Jonasz, Wątruch, że zwykły człowiek nie decyduje o tym kim jest lub kim będzie, lecz, czerwony ołówek tego lub owego wielkiego człowieka, który tym ołówkiem, kreśli linie na mapach. Ale jeszcze zanim pojął tę prawdę, zameldował się Jonasz Wątruch u chorążego Niegłowicza w jego domu na półwyspie, otrzymał od niego cztery szyby do okien oraz pomoc w napisaniu podania o krowę i konia. Przy pomocy tego konia dorobił się Jonasz Wątruch świń i owiec, gospodarstwo po ojcach doprowadził do rozkwitu. Ożenił się i miał córkę imieniem Maria, tę Marię, która potem zmarła na bóle w brzuchu. Wiele lat ciężko pracował Wątruch, stał się jednym z bogatszych ludzi w Skiroławkach, jednak radość z owoców pracy nigdy nie rozproszyła w jego głowie rozmaitych pytań i niespokojnych myśli. Aż za przyczyną pewnej świętej księgi zaniósł Wątruch na strych swoje portrety, do bagna wyrzucił bojowe odznaczenia. Dowiedział się bowiem Wątruch, że światem rządzi Szatan. To on namówił pierwszych rodziców człowieka, aby okazali nieposłuszeństwo Bogu i poznali dobro i zło. Odtąd uzależnił Szatan od siebie istoty ludzkie i jak mówił święty Jan w rozdziale szesnastym, wersecie jedenastym, stał się „władcą tego świata”. To on wywołał niezgodę, niegodziwość i śmierć. Jego rządy cechuje oszustwo, przemoc i samolubstwo. Bóg może jednym zmarszczeniem swych krzaczastych brwi unicestwić Szatana i jego władzę nad ziemią, ale chce być kochany dla swej boskiej istoty, a nie z lęku przed Nim. Człowiek więc poddany został ogromnej próbie, która skończy się kiedyś, albowiem, jak przeczytać można w księdze Daniela: „Koniec będzie w czasie wyznaczonym”. Wówczas to przyjmie Bóg do siebie tych wszystkich, którzy ukochali Go dla Jego Boskiej wielkości, a nie będzie to jakaś ogromna rzesza ludzka, ale jedynie „małe stadko”. I tak oto Jonasz Wątruch starał się pokochać Boga dla samej jego wspaniałości. Brzydził się odtąd oręża, przemocy i oszustwa, bo wszystko to wypływało z władzy Szatana. Dlatego kiwał głową do wtóru oskarżycielskich słów naczelnika Gwiazdy, ponieważ znajdował w tym potwierdzenie przepowiedni z Apokalipsy, że „prześladowani będą ludzie miłujący Boga”.

Po naczelniku zabrał głos instruktor rolny Różyczka i oświadczył zebrany, że do urzędu gminnego wpłynęło wiele kandydatur na stanowisko nowego sołtysa w Skiroławkach, ale wybrano dwie, najbardziej się nadające, to jest Kondka i Millerową. „Kobieta też może być sołtysiem, a bywają wsie, gdzie kobieta-sołtys działa lepiej niż mężczyzna” – zaznaczył instruktor Różyczka.

Po tych słowach wstała z ławki żona Kondka i zaczęła głośno wygrażać instruktorowi, że jej męża zwabić chciał na manowce. Ona, Kondkowa żona, nie zgadza się, aby jej mąż był sołtysiem. Do sołtysa bowiem przychodzi się płacić podatki, a nikt nóg nie wyciera, tylko z błotem na butach do chałupy się pcha. Ona nie zamierza sprzątać po obcych ludziach. Tedy skreślono kandydaturę Kondka.

Co do Millerowej, wszystkim się kandydatura bardzo spodobała, nie dlatego, aby ktoś ją poważnie potraktował, przeciwnie, zaraz się zrobiło wesoło na sali. Nikt tego naczelnikowi nie wyjaśnił, ale u Millerowej, ile razy by kto do niej nie zaszedł, zawsze kilkoro dzieci siedziało na nocnikach i smród z tego był ogromny. Millerowa bowiem miała przy sobie dwie córki obarczone drobiazgiem. Ktoś wreszcie oświadczył, że naczelnik musi zafundować ludziom maski gazowe, jeśli chce na sołtysa Millerową, i jeszcze weselej zrobiło się na sali. Zrozumiał naczelnik Gwiazda, że nie jest to chyba najlepsza kandydatura. skoro taka wesołość salę opanowała i ponownie zabrał głos. Nadmienił, że podnosi się nieustannie poziom życia całego narodu, co powoduje, że jednocześnie wzrastają wymagania wobec przedstawicieli władzy i na przykład on, naczelnik Gwiazda, ostatnio zaocznie skończył Akademię Rolniczą. Siłą rzeczy także i sołtys powinien posiadać obecnie większy „parametr”.

Uśmiechnął się pisarz Lubiński na te słowa, a także lekki uśmiezek pojawił się na ustach doktora Niegłowicza, domyślili się więc ludzie, że w sposób uczony i nie obrażający niczyjej moralności wyraził się naczelnik Gwiazda o czymś niezwykle nieprzyzwoitym. Zdziwiło tylko niektórych, skąd naczelnik Gwiazda może wiedzieć jaki parametr posiada sołtys Wątruch.

Na zakończenie swego wystąpienia dodał naczelnik Gwiazda, że nowy sołtys musi mieć nie tylko odpowiedni parametr, ale także powinien być człowiekiem czynu, aby Skiroławki miały się czym wykazać.

Natychmiast zabrał głos cieśla Sewruk i, aby zrobić przyjemność Łarynowi, rzekł, iż w tej sytuacji najlepszą kandydaturą na sołtysa wydaje mu się Szczepan Łaryn, gdyż jest człowiekiem czynu. To on bowiem spalił dom koło leśniczówki Blesy. A zrobił to dlatego, że z tego domu podczas wojny strzelała do żołnierzy pewna nauczycielka. Co tyczy parametru, Łaryn od dawna chwali się nim w wiosce. W tym momencie

podniósł się pisarz Lubiński i uciszył dłońmi hałas na sali. Wyjaśnił Lubiński, że słowa „parametr” nie należy używać w liczbie pojedynczej ale mnogiej, co dowodnie wynika z „Pism semantycznych” Gottloba Frege. Słowo zaś „parametr” oznacza nie to, co zebrani na sali mają na myśli, lecz wielkości liczbowe wyznaczające stan układu fizycznego, a także charakterystyczne wielkości pewnych urządzeń. Sugerował także pisarz Lubiński, iż naczelnik Gwiazda, nadmieniając o parametrach miał na uwadze duchowe właściwości nowego sołtysa, a nie jego fizyczne cechy.

Po raz trzeci przemówił naczelnik Gwiazda, rozwodząc się o potrzebie istnienia człowieka czynu w Skiroławkach. Barwnymi słowy malował obraz, jak to dzięki inicjatywie człowieka czynu wszyscy mieszkańcy Skiroławek wozić będą żużel na jakąś drogę albo zaczną wypalać cegły na budowę świetlicy.

Teraz na sali zapadła ogromna cisza, bo strach ludzi obleciał. Aż wybawił ludzi doktor Jan Krystian Niegłowicz, który najpierw podniósł do góry swoją prawą rękę, a potem podniósł się sam i oświadczył z godnością:

– Skoro nie ma żadnych kandydatur, proponuję wysunąć na stanowisko sołtysa osobę Jonasza Wątrucha.

Powiedział tak doktor Niegłowicz nie dlatego, aby sobie upodobał Wątrucha albo lękał się ludzi czynu w Skiroławkach, ale w remizie strażackiej było już okropnie duszno od przepoconych i nie mytych ciał ludzkich.

I tak oto z braku innych kandydatur musiał naczelnik Gwiazda zgodzić się na głosowanie. Wszystkie ręce podniosły się za osobą Jonasza Wątrucha, choć nie był człowiekiem czynu, jak tego sobie życzył naczelnik Gwiazda, którego odtąd zaczęto nazywać „naczelnikiem parametrem”.

Na zakończenie zebrania Jonasz Wątruch podziękował wszystkim za wybór. Przypomniawszy też, że choć w Eklezjastach, czyli u Kaznodziei Salomonowego, powiedziane jest w rozdziale ósmym, w wersecie dziewiątym, że „człowiek jeden panuje nad drugim na jego nieszczęście”, on, Jonasz Wątruch postara się jednak, aby to nieszczęście nie było w Skiroławkach zbyt dotkliwe.

Odjechał spod remizy strażackiej dwutakt naczelnika, uwożąc jego samego i instruktora Różyczkę. „Jest pan głupcem” – wykrzykiwał na Różyczkę naczelnik Gwiazda. „A czy to moja wina, że w Skiroławkach mieszkają różne elementy? – bronił się instruktor Różyczka, mając na myśli pisarza Lubińskiego i doktora Niegłowicza.

– Nie trzeba było zadzierać z doktorem – powiedziała Jadwiga Gwiazda do swego męża, gdy dowiedziała się o jego kłęsce. – Przecież wiesz, że jego ojciec, chorąży Niegłowicz, był człowiekiem sprawiedliwym. Lepiej zrobisz, jeśli będziesz go miał

po swojej stronie, ponieważ, jak słyszałam, nazywają cię „naczelnikiem parametrem”.

I choć miała do doktora cichy żal, że ją zaniedbał i zamiast do Skiroławek musiała teraz jeździć do Bart, to przecież szybko oceniła tę sprawę swoim kobiecym rozumem. Poglaskała też swego męża po głowie, aby mu dodać otuchy do dalszej pracy na stanowisku naczelnika Urzędu Gminnego. Wcale jej się nie uśmiechało, aby przestać być naczelnikową. Zdumiał ten gest naczelnika Gwiazdę, bo przypuszczał, że poniosłszy klęskę w Skiroławkach, stanie się ofiarą jeszcze większej hardości swej żony, i pojął, jak słuszne bywają stwierdzenia, że kobiety stanowią dla mężczyzny zagadkę. Odtąd bowiem Jadwiga Gwiazda nie biła już swego męża przy ludziach i przy dzieciach, co z czasem zmieniło stosunek naczelnika do sołtysa Wątrucha i umożliwiło im dobrą współpracę.

Przemówienie naczelnika Gwiazdy o potrzebie znalezienia w Skiroławkach „człowieka czynu”, odbiło się szerokim echem w całej gminie Trumiejski. Podobało się ludziom, mimo że ten i ów, jak na przykład komendant Korejwo, miał wobec tej sprawy pewne zastrzeżenia. Znał bowiem starszy sierżant sztabowy wielu ludzi czynu, jeden z nich nawet w swoim czasie złamał mu obojczyk, gdy mu Korejwo chciał przeszkodzić w demolowaniu czytelnicy gminnej biblioteki publicznej. Zdaniem Korejwy w przemówieniu naczelnika Gwiazdy zabrakło precyzyjnego określenia, jakie to „czyny” miał on na myśli, aby ktoś broń Boże nie został zachęcony do „czynnego naruszenia prawa”, albo „czynnego stawiania oporu” milicyjnej władzy. Bywały także „czynne znieważenia” oraz „czyny nierządne” i „czyny lubieżne”. Tak na dobrą sprawę niemal cały Kodeks Karny poświęcony był różnym „ludziom czynu”.

Z dużym uznaniem o przemówieniu naczelnika Gwiazdy wyrażał się natomiast pisarz Lubiński, gdy po wyborach sołtysa zaprosił do siebie doktora, a pani Basieńka podała im do pracowni kruche ciasteczka i dobrą herbatę w fajansowych filiżankach w duże chabry.

W istocie rzeczy potrzebni są nam ludzie czynu – mówił pisarz do doktora. Cóż bowiem zadecydowało o rozwoju ludzkości, o przejściu człowieka od małej człekokształtnej do gatunku „*homo sapiens recens*”, jak nie właśnie owa wielka moc, zwana po niemiecku „*tatendrang*”. Jest to siła tajemnicza, nieuchwytna na pierwszy rzut oka, a przecież posiadanie jej w sposób wyraźny odróżnia nas od zwierząt, którym brak żądy czynów, jako zjawiska bezinteresownego, podyktowanego ciekawością sprawdzenia samego siebie. – Zapomnieć pan raczył o procesie celebryzacji, który pozwolił nam oderwać się od naszych praojców – oponował doktor. – Celebryzacja zaś nie była wynikiem tajemnej siły zwanej „*tatendrang*”, ale kolejnych mutacji. Te zaś, jak

pan pamięta z zasad genetyki, nie powstają na skutek warunków zewnętrznych, ale są wynikiem nieustannego krzyżowania się genów w procesie rozmnażania płciowego. U źródeł naszego ucłowieczenia nie leżało więc ani posługiwanie się takimi czy innymi narzędziami, ani dokonywanie takich czy innych czynów, ale najzwyczajniejsza w świecie populacja, która dawała w wyniku coraz nowe genotypy.

– Tak, tak – żarliwie zgadzała się z doktorem pani Basieńka. Albowiem, choć nie miała ona zbyt wysokiego mniemania o swoim rozumie, to przecież własne doświadczenie mówiło jej, jak ważną bywa w życiu istoty ludzkiej owa czynność, którą doktor określał słowem w zasadzie brzydkim, ale naukowym. Było dla niej oczywiste, że bez nieustannego zbliżenia się mężczyzny do kobiety nie może być mowy o rozwoju ludzkiego gatunku, z drugiej jednak strony przyznawała rację mężowi, gdyż nie należało lekceważyć tajemnej siły zwanej żądzą czynów. Wiadomo, że ludzie czynu mają większą skłonność do niewiast.

I patrząc na doktora zastanawiała się, czemu głosząc tak szczytne poglądy i będąc chyba człowiekiem czynu, poprzestaje na głaskaniu jej piersi, a nie posuwa się w inne rejony jej ciała. „Musi upokorzyć kobietę, zanim w nią wejdzie” – pomyślała z żalem. A że nie miała żadnej pewności, czy jako żona pisarza mogła pozwolić sobie na upokorzenie ze strony nawet takiego mężczyzny jak doktor Niegłowicz, tedy tylko westchnęła smutnie.

Tymczasem doktor i pisarz, gawędząc przyjemnie, chrupali kruche ciasteczka. Doktor pozwalał sobie nawet na to, aby od czasu do czasu dość głośno siorbać z filiżanki, czym dawał pani Basieńce do zrozumienia, że herbatka, którą naparzyła, jest niezwykle smaczna. Rozkoszna to zresztą bywa dla mężczyzny chwila, gdy z innym rozumnym mężczyzną wymienić może poglądy, przy ciastkach kruchych i herbatce, w ogrzanej i przestronnej pracowni, gdzie wszystko sprzyja mądrej rozmowie. Bo na jednej ścianie w pracowni pisarza, tuż nad wąską leżanką, pięły się w górę półki pełne książek, a na wielkim stole stała maszyna do pisania otoczona rumowiskiem papierowych teczek, słowników, listów, pudełeczek z flamastrami i ołówkami, tubkami kleju oraz stertą maszynopisów, przyciśniętych ciężkim i dużym medalem z wizerunkiem Ignacego Krasickiego i hasłem „Godzien kraj kochania”. A bliżej pieca kaflowego znajdował się niski stolik i stały dwie ławy kryte skórą z dzików oraz miękki puf, zajęty teraz przez panią Basieńkę. Za oknami pracowni od dawna rozpanoszyła się noc przedwiosenna, kinkiet zrobiony z korzenia rozsiewał łagodne światło, można więc było tak rozmawiać bez końca nie tylko o tajemnej sile zwanej „*tatendrang*”, lecz także – jak to zwykle bywało w domu pisarza o „*Pismach semantycznych*” Gottloba Frege.

Czytając ostatnio tę książkę – wspomniał pisarz Lubiński – zastanawiałem się nad doniosłą kwestią: czy prawdę można stopniować? Czy w rzeczy samej bywa coś prawdziwe, prawdziwsze albo najprawdziwsze. Być może całą tę sprawę należałoby najpierw zbadać pod kątem, czy w ogóle, i o ile w ogóle, przedstawienie i obiekt rzeczywisty zgodne są ze sobą pod ustalonymi względami. Postawi nas to jednak znowu przed tym samym pytaniem, aż dojdziemy do wniosku, że treść słowa „prawda” jest czymś absolutnie swoistym i niedefiniowalnym. Być może ze sfery w której może się pojawić kwestia prawdziwości, należy wykluczyć wszelkie przedmioty zmysłowe.

Co do mnie, nie tyle interesuje mnie treść słowa „prawda”, co treść słowa „prawo” – przerwał mu doktor.

Wyrazu „prawo” używa się dwojako Lubiński radośnie podchwycił nowy temat. – Mówiąc o prawach moralnych albo o prawach ustanowionych przez państwo, jak słusznie zwrócił uwagę Gottlob Frege, mamy na myśli przepisy, do których należy się stosować, ale z którymi faktyczny bieg zdarzeń nie zawsze się pokrywa. Powiada Frege, że prawa prawdziwości te oto są, które nas mogą interesować. Albowiem z „praw prawdziwości” wypływają następne przepisy dotyczące przekonań, myślenia, studzenia, wnioskowania.

Doktor zapytał pisarza o „prawo”, ponieważ idąc na zebranie wioskowe zobaczył po drodze Justynę, która przez podwórze swej zagrody dźwigała wiadro wody z jeziora. Na widok Niegłowicza znieruchomiała z kubelkiem w ręku, a on także przystanął, zniewolony przez jakąś nieznaną mu dotąd moc. Dzieliło ich ponad pięćdziesiąt kroków, bo w tej odległości od szosy leżała zagroda Wasilczuków, lecz doktorowi się zdało, że dostrzega wyraźnie oczy Justyny i odczytuje w nich nakaz lub przyzwanie do siebie. Stali tak dłuższą chwilę, patrząc na siebie z oddali, jak gdyby wiązała ich ze sobą nić niewidzialna. Przeraziło to doktora, który zawsze pragnął pozostać człowiekiem wolnym, teraz zaś odnosił wrażenie, iż został schwytyany w niewidzialną sieć. Zrobił więc zaraz krok jeden i drugi, a potem odszedł tak samo żwawo, przekonując się, jak bardzo ulotne było owo wrażenie, zarazem jednak zaczynał rozumieć, że ilekroć człowiek zbyt głęboko wnika w sprawy innych ludzi, jednocześnie wpada w sieć zniewolenia poprzez poczucie winy własnej lub cudzej, niemożność określenia tego, co zwie się dobrem lub złem. Wolność mógł człowiek osiągnąć wyłącznie okazując obojętność wobec ludzkiego losu. Mijając zaś cmentarz i żółty od piasku i gliny kopczyk mogiły Dymitra, zastanawiał się, jak brzmią prawa moralne skrytobójców, którzy czają się za drzewami, aby strzałem wymierzyć sobie tylko znaną sprawiedliwość. I jakie też to bywają prawa kobiet, które czynem lub myślą sprowadzają śmierć na mężów,

także myśląc o swojej sprawiedliwości. Czy więc w rzeczy samej istniały jakieś prawa moralne poza człowiekiem i jego naturą, poza jego wyobraźnią i osobowością?

Słuchała pani Basieńka tej mądrej rozmowy i ogarniało ją przemożne pragnienie, aby dotknąć dłonią jasnych włosów swego męża albo pogłaskać doktora po jego siwych skroniach. Powstrzymując się jednak od tego niestosownego gestu, złożyła dłonie na podółku i skierowała myśli od pojęcia „praw prawdziwości” ku kwestii, dlaczego to niektórzy mężczyźni czerpią przyjemność z upokorzenia kobiety i w jaki sposób to czynią, oraz czy kobieta ma z owego upokorzenia jakąś korzyść. W tygodniowych pismach, jakie prenumerował jej mąż, wiele się rozpisywano o nowej erze, w której mężczyzna winien okazywać kobiecie należny jej szacunek. Zarazem jednak, właśnie w tej chwili, gdy słuchała tylu wzniosłych słów, czuła, że, być może, z pewnymi oporami pozwoliłaby się upokorzyć przez doktora albo doprowadzić do tego, aby zrobił to z nią jej własny mąż. Ale czy tym samym nie straci jego szacunku? Albo czy wie on, w jaki sposób należy naprawdę upokorzyć kobietę, skoro pytała go o tę sprawę tyle razy, a on zawsze odpowiadał wymijająco? Jaką mogła mieć gwarancję, że mąż upokorzy ją w taki sam sposób jak doktor? Tak naprawdę można to uczynić w wieloraki sposób, szczególnie, gdy kobieta jest już bez bielizny. Albo gdy namiętność mężczyzny staje się tak przemożna, że nie pomny na szacunek jaki winien kobiecie, zdiera z niej majtki i biustonosz. Piękniejsza od takiej chwili bywała tylko ta, w której kobieta okryta płaszczem ciemności czuła palce mężczyzny, najpierw nieśmiało błędzące po jej ubraniu, a potem coraz odważniej i bezczelniej myszkujące pod sukienką. I gdy o tym pomyślała, raptem odniosła wrażenie, że cieniutkie majteczki uwierają ją w kroku.

– Zrób nam, Basieńko jeszcze trochę herbaty – usłyszała jakby z daleka głos swego męża.

Posłusznie wstała pani Basieńka z miękkiego pufa i podreptała do kuchni, gdzie postawiła czajnik z wodą na kuchence elektrycznej. Czekając, aż zagotuje się woda, poczuła bezgraniczny smutek na myśl, jak nieszczęśliwymi istotami są kobiety z powodu specyficznych właściwości swego przyrodzenia, a także nieczułości męskiej.

O TYM, JAK NEPOMUCEN MARIA LUBIŃSKI

USŁYSZAŁ KRZYK ZIEMI

Pewnego wieczoru odwieczny Kłobuk poszedł na swych ptasich łapach aż na Świńską Łąkę, po której kręto sączył się wąski strumyk. Minał Kłobuk nieduży skrawek nieużytku, gdzie nigdy nic nie chciało się urodzić, nawet krzak lub źdźbło trawy, a ziemia wyglądała zawsze jak wypalona i miała czerwonawą barwę, ponieważ przed wiekami tam właśnie wznosiła się szubienica Baudów, i każdy kto czuł w sobie nienawiść do siebie i do świata, mógł się na niej pozbawić życia. Szubienica stała na skraju lasu, dalej rozciągała się ogromna niecka Świńskiej Łąki, a na jej dnie parował wąski strumyk. Wczesny księżyc osrebrzył tę mgłę i raptem, przez krótką chwilę, wydało się Kłobukowi, że dostrzega na łące straszliwego węża zwanego Jormungand, błyszczącego swymi srebrnymi łuskami. Przypomnił sobie Kłobuk daleką przeszłość – był złotym kogutem, który siedział na szczycie ogromnego jesionu Igdrasil i czujnym okiem wypatrywał zbliżania się gigantów – odwiecznego wroga wszelkich bogów. Ogromny jesion ocieniał cały świat; jeden jego korzeń czerpał soki z Midgardu czyli krainy ludzi, drugi brał siłę z przerażających pustkowi Niflheimu, a trzeci z boskiego Asgardu. Gdzieś daleko od tego miejsca, za morzem pochodzącym z rozlanej krwi Imira, na krańcach świata, rozciągała się ponura kraina Jotunheim, ojczyzna gigantów, którzy później stali się strąconym do piekła zbuntowanymi aniołami. Wtedy też i Kłobuk stracił swoje złote pióra i odtąd tułał się po lasach – osamotniony i bezdomny. Zresztą może najpierw był właśnie szarym niezgrabnym ptakiem, a dopiero potem ubrano go w złote pióra, podobnie jak wąż Midgardu zrodził się z dużego zaskrońca, karmionego mlekiem, stawianym mu w miseczce przy progu ludzkiego domostwa. Czy nie wszystko jedno, co było wcześniej a co później, co było przedtem, a co potem; człowiek powstał z grudki błota czy z kłody drzewa? Pięknej kobiety i tak nikt nie pyta, skąd się wzięła na ziemi – z żebra mężczyzny czy z kawałka wiązu; najważniejsze, aby była piękna. Jedynie poeta może się napić miodu, który dwa złośliwe karły zmieszały z krwią szlachetnego Kwasira i wówczas jego wyobraźnia nie ma granic i cały świat potrafi ogarnąć. Czymże jednak jest owa ludzka wyobraźnia? Dlaczego nie bywa nieśmiertelną jak drzewo Igdrasil, ale umiera jak ludzie, a nawet bogowie, jeśli słodka Idun nie daje im złotych jabłek młodości. Przez Świńską Łąkę przeszły tysiące Baudów, Gotów, Kawalerów Maltańskich, i tych, których znowu nazwano Baudami. Po tamtych przyszli jeszcze inni i znowu inni. A jednak łąka wiosną staje się znowu zielona i kwitną na niej dziesiątki rodzajów kwiatów. Z daleka widzi się

tylko puszystą zieleń, trzeba podejść bliżej, aby rozróżnić to, co naprawdę zielone, to co żółte, różowe, czerwone i złote. Podobnie dziesiątkami barw zakwita ludzka wyobraźnia i ogromną nieckę świata wypełnia setkami duchów i bogów, olbrzymów i karłów, krwawych potworów i pięknych istot. Potem nagle wszystko znika albo staje się rudawoszare jak po nagłym przymrozku. Gdzie szukać w morzu wody, którą niesie mały strumyk przepływający przez Świńską Łąkę? Co było pierwsze, a co drugie? Nikt nie wie, co będzie trzecie, a co czwarte. Wycięte zostały święte gaje, padły na ziemię boskie drzewa, runęły w gruzy czerwone zamki. Ale las wciąż rośnie na tym samym miejscu, po łące kręto wije się strumyk. Pamięć ludzka jest jak krucho naczynie. Któż oprócz Kłobuka wie o świętym drzewie Igdrasil, a przecież kiedyś słyszało o nim wielu. On, Kłobuk, był wtedy złotym kogutem. Potem stał się szarym ptakiem – ani dobrym ani złym – nikomu już nie chce służyć. Za rok lub dwa, a może za lat dziesięć on także zniknie z ludzkiej pamięci. Na miejscu świętych drzew postawiono krzyże maltańskie, ale i ich także nie ma. Dziś nikt nie wie, kto zrobił Białego Chłopa, jutro zapomną o Kłobuku. Tylko łąka znowu zakwitnie na wiosnę, zazieleni się, stanie się puszystą. A po burzy, w raptownym słońcu pokaże się na niebie barwny łuk, po którym kiedyś z Asgardu schodzili na ziemię bogowie. Teraz ku innym sprawom ludzie zwracają swoje twarze, jak gdyby nie wiedzieli, że po ziemi bezszelestnie stąpa Szatan, księżę ciemności o setkach imion w setkach języków. Kłobuk też idzie samotnie przez zapomniane pola, gdzie umarli Ajtwarzy i Kauki, Łaumy i starodawny Żempata, dawny Pan Ziemi. Nie ma już łagodnego Łaukosarga, a złoty kogut na szczycie świętego drzewa stracił swoje drogocenne pióra. To nic, że dawno zaginione imiona wciąż swoim westchnieniem wypowiadają mokradła, ktoś dziwi się niezrozumiałym nazwom jezior, lasów i strumieni, jak choćby tej małej rzeczce, która zwie się Dejwa, gdyż zawsze była kręta jak krętackie bywają Dejwy, boginie obłudy. Na inne głosy nastawiło się ucho człowieka, dlatego tak wielka jest samotność niezgrabnego ptaka, który upodobił się do zmkłej kury. I gdziekolwiek by nie był – na bagnach, w lesie czy na Świńskiej Łące – ta samotność nie pozwala mu wzlecieć, a z ptasiego dzioba wydziera się podobny do koguciego piania przenikliwy krzyk wielkiej rozpacz.

Usłyszał ów krzyk pisarz Lubiński, gdy powracał ze spaceru w lesie i o wieczornym zmroku chyłkiem mijał miejsce po szubienicy Baudów. Przystanął wstrząśnięty przejmującym i dziwnym głosem, a potem ogarnęła go radość, że nareszcie do uszu jego doszło wołanie tej ziemi. Ze spokojem i godnością mógł teraz oczekiwać lipcowego przyjazdu Bruno Kriwki, który wmawiał sobie i innym, że pochodni ze starożytnego rodu kapłanów zwanych „kriwe” i zna wszystkie tajemnice zaginionego

ludu. „Uśmiechajcie się tylko połową twarzy, a połową twarzy się krzywicie – mówił Bruno Kriwka – gdyż lud nasz zaginiony zawsze cierpiał od Gotów, od Kawalerów Maltańskich, a także od wszelkich innych przybyszów. Na moją głowę włóżcie koronę Baudów”.

Nikt nie włoży korony na głowę Bruna Kriwki, ponieważ korony można oglądać już tylko w niektórych muzeach.

Na skraju Świńskiej Łąki, na nisko rosnącej gałęzi kołysze się pętla z konopnego sznura. To dziwne, ale kołysze się nawet wówczas, gdy nie ma wiatru.

O TYM, JAK CIEŚLA SEWRUK ODBYWAŁ POKUTĘ I O STREFIE SŁÓW ZAKAZANYCH

W jakiś czas po śmierci Dymitra Wasilczuka ludzie w Skiroławkach coraz częściej zaczęli mówić, że to z winy cieśli Sewruka zdarzył się wypadek na oblodzonym jeziorze. Wiadomo było od dawien dawna, że z jeziora Baudy, które było potężne, bo miało aż dwadzieścia dziewięć kilometrów długości, nie należało żartować. Cieśla Sewruk obiecał się utopić i powinien był to zrobić, gdyż Topnik mieszkający w jeziorze przez to apetytu na topielca nabrał, i dlatego Dymitra na ofiarę wybrał.

Zmartwiły cieślę Sewruka tego rodzaju oskarżenia, a już zupełnie się przestraszył, kiedy proboszcz Mizerera na kazaniu w Trumiejkach o nim wspomniał, nadmieniając, że żaden chrześcijanin sam swoim życiem rozporządzać nie ma prawa, gdyż życie to należy do Boga. Napomknął też proboszcz Mizerera, że taki człowiek, co to z własnego życia żarty sobie robi, nie powinien kopać grobów na cmentarzu, gdyż obraża tym nieboszczyków, którzy nie dla żartu, ale z woli Nieba pomarli. Znaczyły te słowa ni mniej, ni więcej tylko to, że odtąd Szczepan Łaryn mogiły zacznie sam kopać.

Nie bał się cieśla Sewruk ani Pana Boga, ani Szatana, który zdaniem sołtysa Wątrucha rządził światem. Ale proboszcza Mizerery się lękał. Pewnego dnia pomaszerował więc do Trumiejek i tam ukorzył się przed plebanem. A że było to na krótko przed Wielkim Tygodniem i do Trumiejek obiecali przyjechać dwaj misjonarze, aby wygłosić rekolekcje, wyznaczył proboszcz cieśli Sewrukowi jako pokutę zbudowanie Krzyża ogromnego, który na środku cmentarza w Skiroławkach miał zostać wkopany w obecności misjonarzy, dzieciak szkolnych i innych ludzi, aby wiadomo było, jak to pod

czujnym okiem proboszcza Mizerery łaska wiary coraz głębiej zapuszcza korzenie w sercach ludzkich.

Dwa dni mozolił się przy wykonaniu Krzyża cieśla Sewruk. Świerk gruby dostał od Turleja, pilarkę pożyczył od Szulca. Świerk obrobił pięknie, na kant, dół belki opalił w ogniu, aby dłużej mógł w ziemi tkwić na chwałę Bożą. W dzień wyznaczony na postawienie Krzyża przyjechał do Skiroławek fiałem koloru *yellow bahama* proboszcz Mizerera i dwaj misjonarze, na cmentarzu zebrali się ludzie pobożni i dziatwa szkolna, a także przybył pisarz Lubiński i doktor Niegłowicz, leśniczy Turlej i jego małżonka, pani Halinka. I tylko malarza Porwasza, jak zwykle, zabrakło, gdyż mienił się ateistą. Kondkowanym wozem cieśla Sewruk przywioził Krzyż wyniosły i przy pomocy swoich synów położył go na trawie. Wtedy dół zaczął kopać naprzeciw bramy, u końca alejki, która jakby na dwie połowy cmentarz dzieliła. Tak oto na oczach wielkiej rzeszy ludzkiej cieśla Sewruk pokuty dokonywał za to, że z własnego życia żarty sobie stroił. Pokrzepiające to było widowisko i doktor Niegłowicz z uznaniem kiwał swoją siwiejącą głową, pisarz Lubiński zaś przemyślał czy owej historii nie dałoby się jakoś wpieść do dziejów pięknej Luizy, nauczycielki. Tylko Szczepan Łaryn miał niezadowoloną minę, ponieważ znowu czekały go kłótnie z Sewrukiem na temat kopania grobów.

Jak to zwykle na przedwiośniu, wiał porywisty wiatr, popychał ogromne zwaliska chmur i raz po raz siało zimnym deszczem. Wykopał cieśla Sewruk dół odpowiedniej głębokości i wraz z synami wsunął w niego osmolony na czarno koniec Krzyża. Piękny był to Krzyż, co już zostało powiedziane, że świerka, wysoki, nieba z chmurami zdawał się sięgać i szeroko nad ziemią ramiona swoje rozkładał. Naciągnął proboszcz Mizerera białą komżę, z samochodu wyjął kropielnicę i kropidło, aby święconą wodą nadać dziełu Sewruka religijny charakter. Cisza zapadła wśród rzeszy ludzkiej, wiatr jeno hulał w gałęziach cmentarnych lip. W tej to ciszy rozległ się raptem donośny głos Szczepana Łaryna.

– A nie widzisz, kutasie, że krzywo Krzyż Święty wkopałeś? Na lewo się chybnął, a ty jak ślepy stoisz!

Obraził się cieśla Sewruk na Szczepana Łaryna i odpowiedział basem:

– Sam jesteś, Szczepan, z krzywym okiem. Krzyż Najświętszy prosto stoi, jak chłopu na weselu.

Zachichotała dziatwa szkolna, a także młode panienki. Jedynie misjonarze i ludzie godni, tacy jak doktor, pisarz oraz leśniczy Turlej udawali, że nic nie słyszeli. Ale Sewrukowi odpowiedział Szczepan Łaryn:

– To rusz swoją dupę i podejdź bliżej bramy. Zobaczysz wtedy, że źle Krzyż Święty

wkopaleś.

Rozłożył szeroko swoje ogromne ręce cieśla Sewruk i biorąc zebranych ludzi na świadków stwierdził:

– Zawsze się takie gównu musi do wszystkiego wtrącić. Czy i ja ślepiów nie mam?

Zacząła się kłótnia pełna zwrotów i wyrazów ogólnie przyjętych, a przecież w tej sytuacji niestosownych. Poczzerwieniała na twarzy proboszcz Miserera, odłożył do samochodu kropidło i kropielnicę. Chwytał szpadel, którym dół pod krzyż kopano, odwołał na bok cieślę Franciszka Sewruka i Szczepana Łaryna. A tam rzekł im poufnie, ale że głos miał potężny, tedy wszyscy słyszeli:

– Jak którego z was w dupę kopnę, to zaraz się uspokoiacie. Czy nie widzicie, że Krzyż Święty przed wami się wznosi?

A potem proboszcz Miserera zbliżył się do bramy i swoim myśliwskim okiem rzucił na Krzyż. W istocie wydał mu się pochylony nieco na lewo. Rozkazał więc synom cieśli Sewruka, aby siłą swoich ramion przesunęli go nieco w prawo, potem znowu odrobinę w lewo, gdyż wówczas Krzyż za bardzo w prawo się pochylił. Gdy zaś orzekł, że prosto stoi, nakazał ziemię wokół Krzyża ubić, kamieniami słup obłożyć i wtedy pokropił święconą wodą.

Uroczystość, jak to się już rzekło, była podniosła, przepięknie jasnym drzewem świerkowym białał Krzyż na cmentarzu w Skiroławkach, stanowiąc pamiątkę po pokucie cieśli Sewruka. A że przy okazji tak wzniosłej uroczystości padło kilka brzydkich wyrazów, nikogo to w Skiroławkach nie dziwiło ani też nie ujmowało piękności Sewrukowego dzieła. Czym się tu bowiem było gorszyć, skoro brzydkie słowa poleciały z wiatrem, a Krzyż nad ziemią szeroko ramiona swoje odtąd wznosił. Wysokiego mniemania o ludziach w Skiroławkach nabrał pisarz Lubiński i powiedział doktorowi, że „lepsi są od niejednego krytyka, co to jak w książce znajdzie jakiś brzydki wyraz, zaraz nad nim chichoce lub cmoka ze zgorszeniem, nie widząc całości literackiego dzieła”.

– W istocie – wywodził pisarz Lubiński doktorowi w drodze powrotnej z cmentarza – opierając się na „Pismach semantycznych” Gottloba Frege, nie ma wyrazów ładnych i brzydkich, wytwornych lub wulgarnych. Czemu słowo „dupa” ma być gorsze od słowa „tyłek”? Z semantycznego punktu widzenia „dupa” brzmi dobitniej niż słowa „tyłek”, a poza tym jest krótsze, składa się bowiem jedynie z czterech liter. W wytwornym towarzystwie dla określenia narządu męskiego używamy słowa członek lub penis, a dla określenia narządu żeńskiego pochwa lub *vagina*. Być może w starożytnym Rzymie owe wytworne wyrazy, takie jak „penis” lub „vagina” uznawano za sprośne, a używano

innych, brzmiących z grecka. Czemu więc okrzyk „ty kutasie” ma być bardziej obraźliwy, niż okrzyk „ty penisie” albo „ty phallusie”, albo „ty członku”. Dla określenia narządu kobiecego mamy w polskim języku tak piękne wyrazy jak „cipa”, „pizda”, „pipa”, „piczka” lub z ludowa brzmiąca „psiocha” lub „kuciapa”. Nie widzę powodu, aby Polacy obrażali się o to, że ktoś używa języka polskiego, a nie łaciny czy greki.

– Zgadzam się z panem – potakiwał doktor Niegłowicz. – W gruncie rzeczy liczy się chyba jedynie intencja, ton oraz kontekst, w jakim dane słowo wypowiedziano. O ile mnie pamięć nie myli, w Starym Testamencie zostało zanotowane, że źle jest nawet, jeśli ktoś na brata swego powie „raka”, choć dalipan nie wiem, co to znaczy. Innymi słowy, jeśli w intencji obrażenia powiem do kogoś „wrr”, albo „hula”, to ten ktoś powinien się obrazić, choć nie użyłem słów potocznie uznanych za obraźliwe i wulgarne.

– Święte słowa, doktorze. Proboszcz Mizerera udowodnił, jak bardzo ceni sobie polski język i potrafi się nim posługiwać.

Doktor zastanowił się chwilę i rzekł z żartobliwą powagą.

– A jednak ile to zamieszania będzie, jeśli wszystkie słowa uznamy za porządne. Jakimi wyrazami będziemy się posługiwać w chwilach gniewu, kłopotów, troski lub uniesienia miłosnego? Co podniesie zmysłową temperaturę damy, która w momentach intymnych lubi, gdy ktoś do niej mówi „ty dziwko”? Może dojść do tego, że prosty lud zacznie się wyzywać „ty docencie” z intencją obrażenia, dokuczenia lub sponiewierania czyjejś godności. Dlatego wydaje mi się, że każdy naród powinien posiadać strefę słów zakazanych, bez istnienia bowiem nakazów i zakazów nie ma również pojęcia wolności. Człowiek, któremu wszystko wolno, nie potrafi nawet uświadomić sobie, co to jest wolność, podobnie jak nie mamy poczucia przesuwania się w przestrzeni, jeśli nie oddalamy się od jakichś przedmiotów czy rzeczy stojących w miejscu. Skoro więc ustaliliśmy, że dla zrozumienia pojęcia wolności potrzebna bywa niewola albo zgoła pewne ograniczenia swobody, czy nie sądzi pan, przyjacielu, że nie możemy wszystkich słów uznać za porządne, gdyż w ten sposób działamy niejako przeciw wolności słowa, to jest samej istoty pisarstwa?

I tak oto za przyczyną cieśli Franciszka Sewruka i Szczepana Łaryna, dwaj szlachetni i mądrzy mężczyźni wznieśli swoje myśli ku sprawom nader ważkim. Właściwością umysłu ludzkiego jest bowiem to, że ze spraw drobnych potrafi także wnioskować o sprawach wielkich.

O TYM,

JAK JOACHIM DOWIEDZIAŁ SIĘ O POCHODZENIU OLBRZYMÓW ORAZ O POTRZEBIE MODLITWY

Rankiem, gdy słońce zaczynało coraz ostrzej świecić, słyszał Kłobuk przenikliwy jęk jeziora i głębokie dudnienie w głębi bagien. Łód na jeziorze pękał, zygzakowate szczeliny uciekały na nim w nieskończoną dal. Trwało tak niekiedy aż do południa, potem jezioro odpoczywało, aby pod wieczór z głośnym stękanem znowu podjąć wysiłek zrzucania z siebie twardej pokrywy. Tu i ówdzie zwały pokruszonego lodu wspinały się na brzegi, tworząc tam dziwaczne rumowiska; tu i ówdzie też coraz szerzej otwierała się niebieskawa toń, marszczona delikatnym wiatrem.

Z pól spłynął śnieg. Białe języki czały się jeszcze tylko w gęstwinie drzew leśnych, w wąwozach i rowach przydrożnych. Nad wodą puszyły się kotki wierzby purpurowej, a na odkrytych polanach leśnych zakwitły przylaszczki, białe zawilce, fioletowe miodunki. Nocami jednak bezszelestnie powracała zima i zamierały od mrozu bystre w ciągu dnia strumyczki wody ściekającej z pól. Mokradła parowały wówczas mocniej niż zazwyczaj, a tuż przed świtem krzewy i drzewa ubierały się w biel. Na krótko zresztą, bo potem już pierwsze promienie słońca obwieszały gałęzie drobniotkami kropelkami, które błyszcząły jak brylanty najczystszej wody. Kto wstawał wcześniej i widział owo piękno, ten bywał przez chwilę szczęśliwy. Raz w roku bowiem każda rzecz, choćby kamyk polny, źdźbło trawy, a nawet najbrzydsza kobieta, otrzymuje dar piękności.

W taki to ranek, w Wielką Środę, szedł doktor wraz ze swym synem Joachimem, drogą z domu na półwyspie do wioskowego cmentarza. Joachim był już niemal wzrostu doktora, ale znacznie szczuplejszy. Nosił się bardzo z miejska, miał na sobie płaszcz długi, ciemny, kapelusz czarny z szerokim rondem. Twarz widziało się u niego bladą, jak u matki, z drobnymi ustami milczącymi jak u Hanny Radek. Oczy jednak wziął po ojcu – niebieskie, z zimnym połykiem bystrego spojrzenia.

Przedwczoraj, gdy przyszedł do Skiroławek telegram, że przyjeżdża młody Niegłowicz, rozkazał doktor Makuchowej, aby otworzyła i odkurzyła pokój z białymi meblami. Przyszedł też stary Tomasz Makuch, który całymi dniami z domu nie wychodził, bo go widok świata smucił, napalił w białym pokoju w piecu kaflowym i na kominku, a także w pokoiku na piętrze, gdzie zawsze zamieszkiwał Joachim.

Wyjechał doktor swoim gazikiem po syna aż na stację w Bartach i przyjął go z wagonu sypialnego, jego nesesor i czarne pudło ze skrzypcami. Policzki Joachima

były już szorstkie od młodzieńczego zarostu, co ucieszyło doktora, bo w głębi duszy nosił w sobie lęk, że skrzypce, które syn ukochał, odbiorą mu męską siłę i ambicję. Bywało przecież, że podczas niejednej wizyty syna doktor rozkładał na stole swoją kurkową dubeltówkę, czyścił ją, oliwił i znowu czyścił, lecz chłopiec nawet ręki po nią nie wyciągnął, jakby nie miał w sobie nic z Niegłowiczów, którzy kochali się w broni palnej. Dlatego w miarę jak mijały lata, coraz częściej musiał doktor bronić się przed myślą, że gości u siebie obcego człowieka, który tylko cerą, wykojmem powiek, kształtem i milczeniem ust przypomina mu kogoś bardzo bliskiego.

Joachim jednak bardzo kochał ojca. W dzieciństwie, gdy ogarniał go strach, męczył kaszel lub nachodziła choroba, wystarczyło dotknięcie ręki ojca, widok zawieszanej na jego piersi słuchawki, uważne i badawcze spojrzenie oczu, a udzielał się spokój i narastało poczucie bezpieczeństwa, przechodził kaszel, opadała gorączka, mijał ból głowy. W willi dziadków często brakowało mu ojca, tęsknił za nim, a nawet z tego powodu niekiedy płakał po nocach. Ale z czasem stało się coś dziwnego – pokochał także nieduży przedmiot, który pozwalał wypowiadać własny strach i tęsknotę, zarazem zaś uspokajał i wprowadzał w jakieś nieodkryte światy. Dotknięcie skrzypiec dawało taką samą siłę jak dawniej dotknięcie ręki ojca, wypełniało słodką radością. Nie znaczyło to wcale, aby ojciec stał mu się przez to zbędny; po prostu jak gdyby odsunął się nieco na inny, równoległy plan. Przybywając do niego na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na wakacje, witał ojca jako pociągającą zagadkę, która była tylko jego własnością. Podobnie za swoją wyłączną własność przyjmował tajemniczą krainę, gdzie znajdował się dom na półwyspie, były lasy przepastne i jezioro, które w dni upalne zdawało się omdlewać od promieni słońca, a już następnego dnia burzyło się i wyglądało jak oczy pociemniałe od nienawiści. Pociągała go ta dziwna kraina Kłobuków, Topników, Południc i Odmianków, ziemia rodząca olbrzymów.

Kiedy miał dwanaście lat i podczas wakacji spacerował po leśnej drodze w pobliżu domu na półwyspie, pewnego razu zaczepił go stary chłop, powracający ze zrębu. Przystanął na widok chłopaka, ujął go za kark i uważnie obejrzał na wszystkie strony.

– Ty jesteś Joachim, syn doktora Niegłowicza? – zapytał. A gdy chłopak skinął głową w milczeniu, chłop stwierdził:

– Wyglądasz na małego. Ale kto wie, może też wyrośniesz na olbrzyma? Bo Niegłowicze są z rodu olbrzymów. Trzeba ci wiedzieć, że księżę Reuss, który kiedyś władał tym krajem, również był małego wzrostu, a przecież pochodził z rodu olbrzymów. Ten kraj dużo takich wydał.

Nikomui nie powiedział Joachim o tej dziwnej rozmowie. Ale odtąd uważnie mierzył

swój wzrost, martwiąc się, że nie staje się olbrzymem. Przyglądał się też swemu ojcu, i odkrywał, że nie był on wyższy od innych ludzi, a jednak stary człowiek w lesie sądził, że pochodzi z rodu olbrzymów. Pocieszał się myślą, że księżę Reuss był nawet małego wzrostu, co znaczyło, że olbrzym nie musi być większy od innych ludzi, a mimo to bywa olbrzymem. W willi na Dejvicach wspomniiał kiedyś dziadkom o tej sprawie, ale go wyśmiali. Podobnie drwili z jego wiary w Kłobuki, bo chcieli, aby wyrósł na światłego Europejczyka.

W rozmowie z kolegami, mówiąc o swoim domu, miał zawsze na myśli willę dziadków, ale kiedy w wieku piętnastu lat zakochał się po raz pierwszy w jasnowłosej Helence, postanowił uciec z nią nie gdzie indziej tylko do tajemniczej krainy, gdzie żył jego ojciec. Zatrzymano ich jednak na granicy i sprowadzono do domu. To był pierwszy bunt Joachima przeciw dziadkom, bo potem tych buntów było kilka. Za każdym razem siłą do buntu dawała mu świadomość, że istnieje tajemnicza kraina i zagadkowy człowiek, który go zawsze przyjmie. U źródeł tych buntów leżał zazwyczaj nadmiar pracy, jaką go obarczano, był bowiem w samej rzeczy traktowany jak wielkiej krwi koń, który kiedyś musi stanąć do szaleńczych wyścigów o sławę. Miała ją kiedyś osiągnąć Hanna, ale dla Ludomira Radka wnuk zdawał się przedstawiać jeszcze lepszy materiał do walki o sukces muzyczny. Gdy więc czuł się Joachim przeciążony pracą, myślał o ojcu i tajemniczej krainie, ale potem niekiedy wystarczyło jedno spojrzenie na porzucone skrzypce, aby zamierało w nim pragnienie ucieczki do domu na półwyspie. Bo bywa tak, że człowiek pokocha jakiś przedmiot bardziej niż najbliższych, a nawet samego siebie.

Ludomir Radek dyrygował już coraz rzadziej, ale Joachim był na każdym jego koncercie. Widząc jak za dyrygenckim pulpitem ów stary i trochę już niedołężny człowiek staje się władcą dźwięków, myślał Joachim, że nie tylko po Niegłowiczach, ale i po Radkach pochodzi z rodu olbrzymów. I gdy wreszcie sam ubrany w czarny frak wystąpił na estradzie i z jej wysokości oglądał zamarły tłum ludzki, miał uczucie, że stał się już olbrzymem, lub że od tego zdarzenia dzieli go tylko jeden krok.

Podświadomie czuł niechęć dziadków do swego ojca. Kiedyś mieli żal do doktora, że zabrał im ich jedyną córkę. W kilka lat później jak gdyby zwrócił im ją w osobie Joachima. Lecz niechęć nie zniknęła, bo wciąż trwał w nich lęk, że pewnego dnia ten obcy człowiek zgłosi się po syna, albo ów syn zechce powrócić do ojca. Czy była na to jakaś rada? Może gdyby ten człowiek znowu się ożenił, miał inne dzieci, nie trwał uparcie w swej samotności? Czy nie obrażał ich swoją wiernością dla Hanny, o której oni jak gdyby zapomnieli, ponieważ Joachim wypełnił im życie i świat zapowiadając talent

jeszcze doskonalszy niż u córki? Czuł Joachim tę ich niechęć do swego ojca, rozumiał jej przyczyny, buntował się przeciw niej, ale zarazem aprobował myśli dziadków, gdyż i jemu samotność ojca wydawała się niekiedy ciężarem. Lecz nigdy dotąd nie próbował z nim o tym rozmawiać. Być może tkwiło w nim egoistyczne pragnienie, aby wciąż pozostawać dla tego zagadkowego człowieka istotą jedyną i najbliższą. I ciągle jakby się bał, że może utracić swoje miejsce w tajemniczej krainie przepastnych lasów, parujących bagien, jezior, Kłobuków i olbrzymów.

Tedy szedł Joachim obok swego ojca drogą z półwyspu w stronę cmentarza i zastanawiał się, czy wyrósł już na olbrzyma, aby móc odbyć z ojcem rozmowę jak równy z równym.

– Nie męczy cię, ojcze, samotność? – zachrypiął nagle, bo mimo wysiłku opanowania własnego strachu, głos ledwo mu się przecisnął przez gardło. Dziadkowie i ja sądzimy, że powinieneś ożenić się powtórnie.

Zaskoczyły te słowa doktora Jana Krystiana Niegłowicza. Aż czapkę z borsuka poprawił sobie na głowie. Przystanął i spojrzął na syna.

– Dziwnie jakoś chrypisz, chłopcze – stwierdził. – Czyżbyś się przeziębił w drodze do kraju? Pokaż no swoje gardło, otwórz usta szeroko i powiedz głośno „Aaaaaa”...

To mówiąc ujął doktor syna pod brodę, poczekał aż tamten otworzy usta i powie „aaaaa”. W ten sposób Joachim przekonał się, że jest tylko bardzo małym olbrzymem.

Nic ci nie jest – oświadczył ojciec.

I poszli dalej, mijając dom malarza Porwasza i dom pisarza Lubińskiego. A gdy byli już w pobliżu cmentarza, doktor odezwał się do Joachima.

– Czy nie wydaje ci się, synu, że gdyby ciało kobiety albo szcziebiot dzieci mogły być lekarstwem na samotność, cóż łatwiejszego byłoby dla lekarza, jak wyciągnąć receptariusz i zalecić tego rodzaju terapię.

Po kilku krokach, zapewne zniecierpliwiony milczeniem syna, doktor zapytał go wprost:

– Powiedz mi, Joachimie, czy twoja matka istnieje w twojej pamięci?

– Nie znałem jej, ojcze – odparł Joachim. – Wiem jednak jak wyglądała. Mieszkam u dziadków w jej dawnym pokoju, śpię w jej łóżku, siadam na jej krzesłach, oglądam jej fotografie, słucham opowiadań o niej.

Rozumiem – skinął głową doktor. – Słyszałeś też zapewne o istnieniu określonych grup krwi, które ojciec i matka przekazują dziecku. Istnieją więc, Joachimie, grupy krwi, ale bywają też i więzy uczuć. Jak sądzisz, co jest ważniejsze: grupy krwi czy więzy uczuć? Ano ważne jest i jedno, i drugie. Dla skutecznego przeprowadzenia transfuzji

ważna jest grupa krwi, ale dla wielu innych spraw ważniejsze bywają więzy uczuć.

– Ona umarła szesnaście lat temu – szepnął Joachim.

– To prawda. Szesnaście lat temu pewna młoda kobieta zmieniła swą postać i stała się garstką popiołu. Czy nie przyszło ci nigdy na myśl, że z mojego punktu widzenia to był po prostu dość ważny, ale nie zasadniczy incydent? Być może dla mnie ona nie umarła wcale i idziemy na cmentarz tylko po to, aby spotkać się z nią w naszej wyobraźni, w naszym marzeniu, w jakimś innym świecie.

Nic nie powiedział Joachim, bo raptem strach go ogarnął przed ojcem i jego uczuciem, wydawało mu się, że trafił na jakąś niewidzialną ścianę, której nie należy przekraczać. Dlatego wraz z ojcem w milczeniu wszedł na wioskowy cmentarz, w wysoką alejkę, prowadzącą do krzyża wzniesionego przez cieślę Sewruka.

Cztery czarne płyty ze złotymi napisami, jeden grób obok drugiego w równiutkim szeregu. Na pierwszej płycie napisano: „Maciej Niegłowicz, żył lat 17, zginął w walce z ręki wroga”. Na drugiej: „Ludwik Niegłowicz, major, żył lat 36, zginął w walce z ręki wroga”. Na trzeciej: „Marcjanna z Daneckich Niegłowiczowa, żyła lat 46, pokój jej duszy”. I dalej: „Józef Niegłowicz, chorąży, żył lat 60, pokój jego duszy”. A jeszcze odrobinę dalej, na malutkim wzgórku stała na kamiennym szarym postumencie podobna do dużego wazonu z alabastru urna z prochami Hanny Niegłowiczowej, która zginęła w katastrofie lotniczej gdzieś daleko, aż nad jakąś pustynią syryjską. Napis na urnie głosił: „Hanna Radek Niegłowiczowa, pianistka, żyła lat 26, zmarła śmiercią tragiczną”. I to była matka Joachima, której nie mógł pamiętać, ponieważ miał dwa latka, gdy urnę z jej prochami przywieziono do Skiroławek.

Cmentarz był mały. Dla Joachima, kiedy był jeszcze chłopcem i rad słuchał niekończących się opowieści Gertrudy Makuch, dziwne się zawsze wydawało, że na tak małym przestrzeni leży aż tylu ludzi, że te groby nie krzyczą jakimś strasznym głosem, nie wołają pod niebo, nie przepelniają świata gniewem i nienawiścią, ale cisza tu zawsze panuje i zgoda, a zarazem okrutna niesprawiedliwość – kat leży obok swej ofiary, morderca obok zamordowanego. Czym jest śmierć – zapytywał siebie Joachim i nie potrafił o niej myśleć inaczej, jak o jeszcze jednej niesprawiedliwości, jeszcze jednym dowodzie na nieistnienie kochającego ludzi Boga. Nie był bowiem Joachim ochrzczony i nauczone go żyć bez wiary.

Ile to razy opowiadała mu Gertruda Makuch, jak to pewnej nocy przyszła do wioski banda brodacza, i wówczas to w domu na półwyspie, u chorążego Niegłowicza schronili się prawie wszyscy mieszkańcy Skiroławek: Szulc, Wątruch, Kondek, Makuchowa, Galembka, Millerowa, Kryszczak, Pasemko, Weber i inni, wraz z rodzinami, a dwoje,

którzy nie zdążyli schronić się u Niegłowicza – to jest najstarszy syn Szulca oraz córka starego Galembki – zginęli. On zastrzelony, a ona, najpierw zgwałcona, później zaś zakłuta nożem. Chorąży Niegłowicz sięgnął wtedy po broń, którą miał na strychu w swym domu. Dostał ją też do ręki najstarszy z synów chorążego, Maciej, a gdy padł od kuli brodacza, wziął tę broń Jan Krystian, który miał wtedy lat piętnaście i on to brodacza zastrzelił w drzwiach domu. Padł brodacz i jego trzech kompani, a reszta bandy uciekła; we wsi trzy stodoły spłonęły, siedem grobów wykopano na cmentarzu. Dla Macieja Niegłowicza, dla Kurta Szulca, Gizeli Galembki, dla brodacza i trzech jego ludzi, bezimiennych zresztą, gdyż dokumentów żadnych przy nich nie znaleziono.

W pół roku później na szosie pod Trumiejkami zginął major Ludwik Niegłowicz. Wpadł w zasadzkę zastawioną przez niedobitki bandy brodacza, która przysłała list, że gotowi są złożyć broń. Dlatego z jasną twarzą doktor Jan Krystian Niegłowicz przyjął pod swój dach starego Otto Daube, który dom na półwyspie postawił, świerki w alejce zasadził, cena bowiem za ów dom na półwyspie oraz za alejkę świerkową była wysoka. Nie każdy aż tyle płaci za chałupę i skrawek ziemi. Pojmował to Otto Daube i piękny ganek doktorowi postawił, z kolumnkami rzeźbionymi siekierą, ośnikiem i dłutem. Rozumiał także Joachim, czemu to ojciec po śmierci swej żony powrócił ze stolicy do domu na półwyspie i że on, Joachim, być może także tu kiedyś na zawsze osiadzie. Jak mówił mu pisarz Lubiński: „Za młodu, Joachimie, człowiek jest jak ptak, który w niebo chce wzlecieć, aby czuć się wolnym od ciężaru wszelkiej odpowiedzialności. Z wiekiem jednak upodabnia się do rośliny i pragnie zapuścić korzenie. Bywają ludzie, co jak suche liście szybują ciągle w podmuchach wiatru. Ale bywają też i inni, podobni do wielkich drzew, które z roku na rok owe liście rodzą, i mimo wichrów trwają tam, gdzie wyrosły. Ci są właśnie z rodu olbrzymów”.

– Pomódl się – rozkazująco powiedział doktor do Joachima na cmentarzu przy alabastrowej urnie Hanny Radek.

– Nie umiem – westchnął młodzieniec. – Nikt mnie nie nauczył ani modlitwy, ani wiary w Boga.

– To nic – rzekł doktor, zdejmując z głowy czapkę z borsuka. – Jeśli Bóg istnieje, to nie jest mu do niczego potrzebna ani twoja, ani niczyja modlitwa. Należy się modlić dla siebie samego. Pomyśl przez chwilę o sprawach wzniosłych, znajdź dla nich słowa najpiękniejsze i powtarzaj je w myślach tak długo, aż poczujesz się lepszym, szlachetniejszym, mądrzejszym niż jesteś w istocie. Tak czynię od lat, gdy znajduję się w katolickim kościele lub ewangelickim zborze albo gdy jak teraz przyjadę na cmentarz i myślę o twojej matce. Tak czynię także, gdy wspominam ciebie, Joachimie, lub

zapytuję się, co robisz tam, tak bardzo daleko. Chciałbym, abyś i ty pomyślał o mnie w ten sposób. I to jest właśnie modlitwa.

Joachim zdjął z głowy czarny kapelusz z szerokim rondem i stojąc obok ojca naprzeciw urny z alabastru, starał się pogrążyć w modlitwie. Kątem oczu widział, że usta ojca poruszają się bezdźwięcznie i ciekawiło go, jakich to słów używa ojciec dla swych myśli. Ale potem wzrok jego utkwił w urnie z różowego kamienia, w niedużym wazonie, który krył prochy kobiety znanej mu jedynie z fotografii i portretów. Raptem poraziły go słowa „Żyła lat 26”. Przypomniał sobie uwiecznione na fotografii w pokoju u dziadków białe długie palce na klawiaturze fortepianu, ręce, które kiedyś zapewne wyciągały się ku niemu, choć on tego nie pamiętał, i poczuł rozpacz, że nigdy nie dotknie jej włosów, nie będzie oddychał zapachem jej ciała, nie usłyszy jej głosu. Wydawało mu się, że to właśnie z tej przyczyny ogarniał go czasem smutek i niczym niewytłumaczona tęsknota, płakał kiedyś tak wiele i tak często. Wyobraził sobie, jak by to było pięknie, gdyby owa dwudziestosześcioletnia kobieta z jasnymi włosami i niemal przezroczystymi dłońmi stała teraz obok niego, zdumiona widokiem siedemnastoletniego Joachima. I nagle łyzy zakręciły mu się w oczach.

– Płacz – usłyszał głos ojca i poczuł na ramieniu jego rękę.

Trwali tak na cmentarzu jeden obok drugiego, wyprostowani, z twarzami zwróconymi w stronę czarnych płyt nagrobnych i urny z alabastru. A nad nimi świeciło wiosenne słońce, z gałęzi lip obrastających cmentarz spadały ostatnie krople nocnego szronu. Droga zaś obok cmentarza przejeżdżały traktory i wozy konne, na których siedzieli ci, co wybierali się do Bart, aby zrobić przedświąteczne zakupy.

Jechał też do Bart wozem zaprzężonym w dwa konie stary Erwin Kryszczak wraz ze swoją synową, jedną z córek Kondka. A gdy mijali cmentarz zobaczył Kryszczak doktora i Joachima, stojących nad grobami. Nie wiadomo dlaczego postać doktora wydała się Kryszczakowi tak ogromna jak krzyż, który postawiono w alejce.

– Spójrz tam, kobieto – powiedział stary Kryszczak, kładąc dłoń na grubym kolanie synowej. – Doktor jest z rodu olbrzymów, tak samo jak ksiązę Reuss. Bo choć Ksiązę, trzeba ci wiedzieć, był małego wzrostu, z olbrzymów się wywodził.

– Niech ojciec zabierze tę swoją łapę – odrzekła gniewnie synowa. Tymczasem wiosenny wiatr osuszył łyzy na przymkniętych powiekach Joachima, młodzieniec otworzył oczy i ciekawie rozejrzał się po świecie. Najpierw zwrócił uwagę na porośniętą zrudziałą, wieloletnią trawą nieforemny kopczyk, w którym pochowano kiedyś bezimiennego brodacza oraz jego trzech kompanów i zastanowił się, czy ojciec czasami myśli o tym, kogo zabił, gdy miał piętnaście lat. Grobu małej Haneczki trawa

nie zdążyła pokryć, ale krzyż trochę się przekrzywił i zatarły się słowa o paku zielonym i zemście, wymalowane na kawałku sklejki.

– I nie wiesz, kim jest zbrodniarz, nie domyślasz się tego? – pretensja zabrzmiała w głosie Joachima.

– Nie wszystkich znam w taki sposób, jak myślisz. Nawet o sobie wszystkiego nie wiem. Jak każdy odrzucam od siebie to, co jest mi niewygodne, aby sądzić o sobie dobrze. Czekamy, Joachimie, aż on powtórzy swój straszny czyn, gdyż taka jest natura podobnej zbrodni. Bezkarność rozzuchwała, a niespełnione pożądanie budzi w człowieku bestię.

– I mówisz o tym tak spokojnie? Jakbyś miał na myśli nie śmierć jakiejś dziewczyny, ale to, że po dniu nastąpi noc.

– Chodźmy już do domu, Joachimie – zaproponował doktor, kierując się do bramy cmentarza.

W pobliżu szkoły dopędził ich duży elegancki samochód i zatrzymał się raptownie. Wysiadła z niego młoda, postawna kobieta w nowiutkim, drogim futrze. Joachima aż poraziła jej uroda – wspaniałe czarne włosy, biała twarz z ostrymi łukami brwi, krwiste, trochę odęte, drobne usta i oczy – dziwne, ogromne czarne oczy z wyrazem łagodnego, zdumiewającego zapatrzenia, jakie widuje się u cieląt lub jałowic.

Nie spojrzała na Joachima, jakby go tu w ogóle nie było; patrzyła tylko na doktora i powiedziała cicho:

Wiem, że dziś jest rocznica śmierci pana żony, doktorze. Proszę, niech pan nie będzie smutny. Błagam pana, niech pan nie będzie ciągle taki smutny... Musnęła swoją małą dłonią rękę doktora i, znowu jakby nie widząc Joachima, wsiadła do samochodu i odjechała.

– Kto to był? – zapytał Joachim.

– Lekarka weterynarii z Trumiejek. Ma na imię Brygida. Ludzie nazywają ją piękną Brygidą.

– Jest rzeczywiście bardzo piękna – stwierdził Joachim.

– Tak – przyznał doktor.

Ale miał na myśli nie Brygidę, tylko Justynę, ponieważ wraz z pojawieniem się Brygidy i muśnięciem jej dłoni, wydało mu się, że znowu poczuł nozdrzami zapach szaławii, mięty i piołunu.

W oknie na piętrze szkoły zamajaczyła czyjaś twarz. Biała, okrągła plama, która przylgnęła nagle do szyby i rozplaszczając na niej nos upodobniła się do karnawałowej maski. „Ach, to pani Luiza, Stara nauczycielka” uświadomił sobie Joachim.

W lesie za wioską stary Erwin Kryszczak rzekł do swojej synowej kładąc dłoń na jej kolanie:

– Jeśli będziesz dla mnie dobra, kupię ci w Bartach piękną bluzkę.

A ona uśmiechnęła się do niego, gdyż bardzo chciała mieć nową piękną bluzkę.

O POWIEŚCI ZBÓJECKIEJ, NIEDOLACH ARTYSTY I KOBIECIE TAK WSPANIAŁEJ JAK PORT LOTNICZY

Malarz Bogumił Porwasz – człowiek dość wrażliwy na muzykę – z dużym uznaniem wyrażał się o umiejętności gry na skrzypcach, jaką posiadał Joachim Niegłowicz. Wszelkie bowiem sztuki piękne, w tym także wirtuozeria, kryły zdaniem Porwasza – magiczną siłę, zdolną zniewalać ludzkie umysły i serca. Skrzypce zaś cenił Porwasz bardziej od fortepianu, fletu lub oboju, nie tylko dla ich dźwięku i tonu, ale też i z powodu specyficznego kształtu. Skrzypce bowiem (choć w mniejszym stopniu niż wiolonczela i kontrabas) poprzez swoje wgłębienia i wypukłości przypominały mu wspaniałe rozkwitłą kobietę. Podobieństwo to stawało się tym bliższe, gdy pomyślało się, że zarówno kobieta jak i skrzypce dla wydobycia słodkiego tonu wymagały posuwistych ruchów smyczka.

Zupełnie inaczej do tej kwestii odnosił się pisarz Nepomucen Maria Lubiński. W jego pojęciu minęła już epoka, w której sztuki piękne wywierały na ludziach magiczną moc. Na głowy poetów nikt teraz nie nakładał wieńców z liści wawrzynu, największym nawet tenorom nie wyprzęgano koni z powozów, teatrom organizowano widownię, a salę na spotkaniach z wielkimi pisarzami wypełniano dziatwą szkolną. Pustką świeciły miękkie fotele największych filharmonii, na wernisażach malarskich byli przeważnie jedynie koledzy twórcy oraz jego najzagorzalsi wrogowie. Owszem, tu i ówdzie na koncercie jakiegoś piosenkarza podobno łamano krzesła, ale zdarzało się to jedynie za granicą. Nadszedł czas artystów-organizatorów, artystów-producentów, analizujących nieustannie wahania rynku, rozbudzających zainteresowania konsumentów, uwzględniających prawa popytu i podaży. Innymi słowy, twórczość przekształciła się w produkcję artystyczną z wszystkimi tego faktu konsekwencjami. Obowiązywało podążanie za modą, stosowanie nowej technologii, rodziła się konieczność zakupu coraz

nowych licencji zagranicznych i pomysłów, które po odpowiednim przetworzeniu można było sprzedawać na własnym rynku czy nawet eksportować do krajów trzeciego świata. W produkcji tej (podobnie jak w każdej innej) panowała żelazna reguła nieustannego podnoszenia wydajności pracy i obniżki kosztów własnych. Współczesnego pisarza nie stać było na to, aby, jak kiedyś Flaubert, pisać przez cały dzień tylko jedno zdanie, przez dziesięć lat tworzyć jedną książkę. Człowiek, który chciał żyć z literatury na jakim takim poziomie, powinien był swój utwór dyktować aż czterem maszynistkom: najpierw jako powieść, potem jako jej adaptację filmową i telewizyjną, następnie jako przeróbkę teatralną. Kto zamierzał pozostawać artystą i po prostu bawić się w uprawianie literatury, musiał mieć dobrze płatną posadę państwową lub pracować w redakcji jakiegoś czasopisma. Obok pisarstwa zawodowego (tego na cztery ręce) rozwijało się pisarstwo niedzielne, świąteczne, wakacyjne, dorywcze, lub, jak je nazywano, „z doskoku”. On, Nepomucen Maria Lubiński – nie mieścił się w żadnym z tych rodzajów: Nie wyjeżdżał za granicę i nie przywoził stamtąd cudzych pomysłów; które twórczo by przetwarzał, nie pracował „na cztery ręce”, nie miał państwowej posady, zarazem jednak pisał nie „z doskoku”, ale systematycznie, codziennie, starając się realizować wyłącznie swoje pomysły. Koszta własne miał więc wysokie, a wydajność pracy niską, dlatego raz po raz musiał ubiegać się o różnego rodzaju stypendia twórcze. Jak umiał bronił swej niezależności, ale nie dokonałby tego, gdyby nie jego żona, pani Basieńka, która umiała szyć na maszynie i uchodziła w okolicy za bardzo dobrą krawcową. Czy jednak obronił w pełni swą niezależność? Nie potrafił na to dać zdecydowanej odpowiedzi, ponieważ swój mecenat nad jego twórczością warunkowała pani Basieńka nadzieją, że napisze powieść zbójcką. Od wczesnej młodości lubiła bowiem pani Basieńka tylko takie książki, które dawały jej wrażenie, że idzie przez las ogromny, gdzie na każdym kroku, jak zbójce, czyhają na człowieka straszne myśli i obrazy. I, jak przez zbója na gościńcu, zostaje on obdarty z szat utkanych ze złudzeń, głupich przesądów i mylnych wyobrażeń o świecie. Czytelnik, zdaniem Basieńki, powinien nieustannie dygotać z trwogi, wstrętu, oburzenia i podniecenia, a w pisarzu dostrzegać nie brodatego i sędziwego proroka, ale groźnego zbója z maczugą zawieszoną nad jego głową. Czemu zaś właśnie takie książki lubiła – Bóg raczy wiedzieć, gdyż nie grzeszyła przecież nadmiarem rozumu ani wykształcenia, które domagałyby się w niej aż takiego burzenia społecznych wyobrażeń i ideałów. Być może pani Basieńka po prostu lubiła w książkach pikantne historyjki i nieprzyzwoite scenki, lecz tego przecież tak wprost mężowi powiedzieć nie mogła. Był więc Lubiński pisarzem wolnym, choć także w pewnym sensie zniewolonym przez nadzieje żony, uważającym się za artystę

archaicznego w świecie twórców-menagerów i twórców niedzielnych.

Bogumił Porwasz pozostawał artystą jeszcze bardziej archaicznym niż Lubiński, twórcą niemal prehistorycznym. Malował wyłącznie trzciny nad jeziorem i co gorsza, chciał żyć z tej działalności. Oprócz tajemniczego barona Abendteuer w Paryżu zdawał się nie mieć żadnego mecenasa, przez co – powiedzmy to szczerze – raz po raz popadał w nędzę tak straszną, że od śmierci głodowej niekiedy ratowała go jedynie kolacja u Lubińskiego lub Niegłowicza, albo też jakaś pani, którą od czasu do czasu udawało mu się skądś przywieźć.

Wielką była wiara Porwasza w sztukę zdolną ujarzmić i zniewalać ludzkie serca i umysły, zawładnąć ich wyobraźnią. Tą wiarą powodowany, pewnego pięknego dnia zapakował do swego wysłużonego range rovera cztery kłody lipowe (co tu ukrywać – ukradzione z lasu). Zabrał do samochodu także kilka obrazów przedstawiających trzciny nad jeziorem. Tak zaopatrzony wyruszył do stolicy, do swojego kolegi ze studiów, niejakiego Antoniego Kurki, który z kłoców lipowych rzeźbił Chrystusy frasośliwe i sprzedawał je w sklepach ze sztuką ludową. Miał Porwasz nadzieję, że za owe cztery kłody lipowe dopomoże mu Antoni Kurka sprzedać obrazy z trzcinami nad jeziorem, a za uzyskaną sumę uda się Porwaszowi kupić nie tylko płótno na nowe dalsze obrazy, i farby, lecz także pozostanie mu jeszcze jakaś suma pieniędzy na dalszy twórczy żywot.

Antoni Kurka przyjął go serdecznie, podziękował za kłody lipowe i gościnnie wskazał żelazne łóżko w kącie pracowni na ostatnim piętrze wieżowca. Poinformował również Porwasza, że przestał rzeźbić Chrystusy frasośliwe, a zajął się postaciami ze Starego Testamentu, gdyż, jak to stwierdzały sondaże prowadzone przez rozmaite panienki, sprzedające w sklepach z wyrobami ludowymi i pamiątkarskimi, ludzie, nie wiadomo dlaczego, tracili zainteresowanie dla Nowego Testamentu i woleli kupować Mojżesza z tablicami, Daniela, Hioba, Jonasza z wielorybem. Kurka nieźle prosperował, oprócz pracowni w wieżowcu miał gdzieś indziej trzypokojowe mieszkanie, prześlizną żonę i dwoje dzieci. Mieszkanie jego umeblowane było antykami ocenianymi na kilka milionów złotych. Rzecz jasna Antoni Kurka ani myślał zapraszać Porwasza do swego mieszkania, by przedstawiać mu żonę i dzieci, bo uważał Porwasza za coś w rodzaju gbura i artystycznego dinozaura, skazanego na wymarcie. W podzięk za lipowe kłody zdobył się tylko na to, aby kupić pół litra czystej wódki, dwie wędzone makrele i kilka bułek oraz na czas pobytu Porwasza w stolicy pożyczył mu drugi klucz do swojej pracowni. Pijąc wódkę z Porwaszem radził mu jak człowiek życzliwy:

– Powinieneś zacząć jako artysta ludowy. Nikt w stolicy o tobie już nie pamięta, a zresztą, można rozgłosić, że zmarłeś z głodu. W swojej wiosce zaczniesz rzeźbić,

najlepiej przeróżne diabły, gdyż jest na nie moda. Ostatnio ludzie chcą pić mleko prosto od krowy, dzieła sztuki nabywać nie w sklepach, ale bezpośrednio od ludowego twórcy.

Mądrze i słusznie mówił Antoni Kurka, który był twórcą nowoczesnym, badającym potrzeby rynku i rozmaite tajemne trendy, nurtujące społeczeństwo. Niestety, Bogumił Porwasz nie chciał rzeźbić diabłów, ale malować trzciny nad jeziorem. Tedy po kilku kieliszkach wódki nabrał na tyle odwagi, że opakował w papier jeden ze swych obrazów i ruszył z nim do sklepu z dziełami sztuki.

Obraz Porwasza obejrzała dokładnie wysoka i dobrze zbudowana kobieta lat około trzydziestu pięciu, tleniona na jasny blond, starannie uczesana i elegancko ubrana. Porwaszowi wydała się niezwykle wytworna, szczególnie uderzył go zapach jej perfum, dziwnie słodki i podniecający. Na wypięlegnowanych palcach o paznokciach srebrzyście polakierowanych mieniły się brylantowe oczka złotych pierścionków, na szyi także miała szczerozłoty wisiorek starej roboty. Porwaszowi wydała się prawdziwą damą, a że nigdy z taką osobą nie miał do czynienia, tedy poczuł się onieśmielony do tego stopnia, że ogarnęło go drżenie nie tylko wewnętrzne, ale i zewnętrzne. Bo choć malarz Porwasz bywał nawet w Londynie i Paryżu, to przecież nawet tam nigdy nie udało mu się rozebrać kobiety wyższej profesji niż sprzątaczką hotelową lub Mulatką śpiewająca w pewnym podejrzanym lokaliku, a i ta miała owłosione pośladki, co wykluczało ją, zdaniem Porwasza, z kręgu prawdziwych dam.

Nie mylił się malarz. W istocie pani Aldona, rzeczoznawczyni w sklepie z dziełami sztuki, była prawdziwą damą. Pochodziła ze starej rodziny szlacheckiej, przed dziesięcioma laty ukończyła historię sztuki. Dwukrotnie wychodziła za mąż i dwukrotnie się rozwiodła, a ponieważ małżonkami jej byli ludzie zamożni i wytworni, przeto oprócz piętnastoletniej córki z pierwszego małżeństwa miała teraz bogato urządzone samodzielne mieszkanie, szerokie znajomości w kręgach ludzi zamożnych, a także intelektualistów i artystów. Co roku z którymś z nich bywała to w Turcji, to znów w Jugosławii, a nawet w Hiszpanii. Znała także wielu cudzoziemców, którzy przybywali do Polski, aby tu zlecać do wykonania swoje wzory obuwia lub płaszczyków dziecięcych. Niekiedy u pani Aldony radzili się w swych interesach, znała bowiem aż trzy języki i potrafiła być dyskretną. Prywatnie interesowały panią Aldonę jedynie stare precjoza, wyceniała je, a te najciekawsze – kupowała na własną rękę. Obrazami zajmowała się tylko od niechcienia i tak z początku potraktowała dzieło Porwasza.

Zaskoczyło ją jednak, że Porwasz maluje w sposób dziwnie staroświecki, jakby obca mu była wiedza o tajemnicach malarskich. Nawet z perspektywą miał Porwasz jakby pewne kłopoty, jego obrazom brakowało głębi, a trzciny pchały się jedno na drugie,

bez jakiegoś ładu, planu, kompozycji. Kolorystycznie nie wydawały się interesujące, a nawet raziły pewną monotonią, zarazem jednak było w nich coś zastanawiającego, każda bowiem trzcina przypominała jakby sylwetkę ludzką; te trzciny były więc czymś w rodzaju tłumy ludzkiego, smaganego przez wichę i słończonego nad szarą płaszczyzną, która miała być zamarznętym i pokrytym przez lód jeziorem albo zgola nicością.

– Nie pamiętam, abym oglądała pana obrazy w którejś ze współczesnych galerii – powiedziała pani Aldona.

– Nie wystawiam w Polsce – rzekł drżącym głosem Porwasz. – Obrazy moje sprzedają przeważnie w Paryżu. Kupuje je baron Abendteuer.

Uśmiechnęła się pani Aldona i Porwasz zobaczył, jak kształtne są jej usta.

– Znam dobrze pana Abendteuer – oświadczyła chłodno pani Aldona. – Ma sklepik, w którym sprzedaje fałszywe Levi-Straussy. Handluje także wszystkim, co mu się przywiezie z naszego kraju; mogą to być nawet kabanosy.

– Sprzedał czternaście moich obrazów – szepnął Bogumił Porwasz. – W tym roku przyjedzie specjalnie po moje obrazy. Zrobiłem ich sporo, ale brakuje mi blejtramów. Muszę sprzedać kilka, aby mieć trochę forsy na płótno i farby.

Mówił szczerze, bo rozumiał od razu, że ma do czynienia z kobietą, która na żadne kłamstwa nie da się nabrać.

– Kupujemy oraz bierzemy w komis jedynie obrazy starych mistrzów albo tych współczesnych, którzy cieszą się wielkim uznaniem – stwierdziła pani Aldona, zwracając Porwaszowi jego obraz.

Jeszcze raz obrzuciła wzrokiem całą postać malarza, jego wytarte aksamitne ubranko, czarną koszulę rozpiętą na piersiach, szczupłe biodra, w lewej nogawce lekką wypukłość członka, zapadnięty brzuch, na którym błyszcząca tandetna klamra szerokiego pasa, wielką szopę włosów, głodne oczy. I nagle przyszło jej coś do głowy.

– Mogłabym kupić ten obraz prywatnie – powiedziała. – Jeśli rzecz jasna, nie będzie się pan drożył. Czasem potrzebuję komuś ofiarować jakieś niedrogie dzieło sztuki.

Ależ tak, tak, tak – Porwasz dreptał na miejscu, jakby chciało mu się gwałtownie do ubikacji. – Nie będę się drożył.

Pani Aldona wiedziała z życiowego doświadczenia, że z dziełami sztuk i bywało tak jak z mężczyznami. Wspaniali gladiatorzy zachowywali się niekiedy w łóżku jak kłody drewna, a w chuderlawych lędźwiach gorzał niczym nieugaszony ogień namiętności. Trudno było sprzedać obraz uznanego mistrza, który żądał ogromnych pieniędzy, łatwiej niekiedy zbywało się obraz tańszy, choć bez wielkiego nazwiska. W gruncie rzeczy to

co. było na obrazie, mniej okazywało się istotne niż jego cena. Nie zamierzała zresztą handlować dziełami Porwasza, ale pomyślała, że gdyby miała ten obraz w domu, może któryś z jej znamienitych gości zwróciłby na niego uwagę, a wówczas mogłaby mu go podarować, zachowując dozwoloną wdzięczność.

– Pracę kończę o piętnastej – poinformowała Porwasza, spoglądając na złotą bransoletkę z malutkim zegarkiem. – Proszę czekać na mnie w kawiarni „Arabeska” o piętnastej minut siedemnaście.

– ...Minut siedemnaście? – zdumiał się Porwasz, bo nikt nigdy nie wyznaczył mu spotkania z taką dokładnością. – Nie mam zegarka, proszę pani.

– To nic. Ludzie na ulicy powiedzą panu, która godzina – doradziła mu pani Aldona.

I w tym momencie nawet odrobinę pożałowała swej decyzji spotkania się z Porwaszem, który raptem wydał się jej osobą podejrzaną. Nie przyszło jej do głowy, że w rzeczy samej malarz Porwasz nigdy nie posiadał zegarka. Kupno podobnego przedmiotu, podobnie jak telewizora, wydawało mu się zbędne. Upływ czasu nie miał bowiem dla Porwasza żadnego znaczenia; jeśli malowania obrazu nie dokończył dzisiaj, można to było zrobić jutro, pojutrze, za tydzień, za miesiąc. Ilość światła w pracowni informowała go, jaka jest pora dnia, o porach roku wnioskował z barwy trzciny nad jeziorem. Kobieta, która wyznaczyła mu spotkanie z tak niezwykłą dokładnością, wydała mu się równie wspaniała jak port lotniczy, z którego z niezwykłą punktualnością startowały srebrzyste ptaki i nieść umiały tam, gdzie malarstwo Porwasza mogło obrócić się w zachwyt ludzki. Raz tylko był Porwasz w porcie lotniczym, skąd odleciał samolotem do Paryża. bo potem już dostawał się tam tańszym, choć bardziej uciążliwym środkiem lokomocji. Wtedy to poznał barona Abendteuer i odtąd port lotniczy uznał za najpiękniejsze miejsce na świecie. Na jakie wyżyny mogła wznieść go ta kobieta, dokładna jak zegar w porcie lotniczym?

Tedy na długo przed wyznaczonym terminem zasiadł Porwasz przy stoliku w kawiarni „Arabeska”. Serce biło mu bardzo mocno, duszę przepełniała nadzieja. Aż wreszcie przyszła owa niezwykła istota, nie wiedział tylko, czy z ową wspaniałą punktualnością portu lotniczego, ponieważ nie miał zegarka. Usiadła naprzeciw niego, otworzyła torebkę, wyjęła z niej pudełko dunhili i zapaliła.

– Ile ma pan obrazów podobnych do tego, który oglądałam? – zapytała rzeczowo.

Przywożem ze sobą trzy, ale jeszcze kilka mam w swym domu w Skiroławkach.

– Wezmę wszystkie trzy, płacąc panu po trzy tysiące złotych za każdy oświadczyła.

To było prawie nic. Dwa miesiące pracował Porwasz nad tymi trzema obrazami. Za sumę dziewięciu tysięcy złotych mógł utrzymać się z trudem przez cztery miesiące, a

chciał przecież kupić także trochę farb i płótna. Lecz czy kontakt z osobą tak wspaniałą jak port lotniczy można przeliczać na pieniądze?

Wspomniął pan o jakichś Skiroławkach. Co to takiego? – zainteresowała się.

– To mała wioska, zagubiona wśród jezior i lasów. Dość daleko stąd. Mam tam własny domek, dachowiec kryty eternitem. Tam mieszkam i maluję. I otworzył Porwasz przed nią swoją duszę. Nie miał bogatego słownika, ale przecież potrafił skąpymi słowami odmalować wielkie jezioro, które rozlewało się za oknami pracowni, opisać las przepastny i swoją ogromną samotność. Z początku pani Aldona słuchała go z żywym zainteresowaniem, potem jednak, utkwivszy wzrok w rozpiętej na jego piersiach koszuli odsłaniającej pukle czarnych włosów, stała się jak gdyby nieobecna. W pewnej chwili przerwała serdeczną opowieść i rzekła sucho:

Proszę mi napisać na kartce pański dokładny adres i określić trasę dojazdu. Być może za dwa lub trzy dni przyjadę do pana, aby obejrzeć resztę pańskich obrazów.

I tak oto portfel malarza Porwasza wypełnił się banknotami o wartości dziewięciu tysięcy złotych, a duszę jego oświadczyła znowu wiara w magiczną potęgę sztuki. W takiej sytuacji kupił trochę farb i płótna, odwiedził też sklep, gdzie sprzedają bielizny męskiej zajmowała się panna Józia.

Dziewczyna ucieszyła się na jego widok, gdyż często wspominała Skiroławki i upokorzenia, jakich doznała od doktora.

– Pisałam do ciebie dwa razy – z pretensją przypomniała Porwaszowi.

– Nie mam zwyczaju odpisywać na listy burknął malarz.

Rozejrzał się Porwasz po sklepie, zastanawiając się, czy nie powinien nabyć nowej bielizny.

– Są piękne szare kalesony. Podobne trochę do tych, które nosi doktor Niegłowicz – zachwalała mu towar panna Józia.

– A skąd ty wiesz, jakie kalesony nosi doktor? – zapytał podejrzliwie Porwasz.

– I wtedy panna Józia zrozumiała, że on nic nie wie o jej pobycie u doktora, który też zresztą na jej listy nie odpowiadał.

– Mówił mi doktor, jakie nosi kalesony i pytał, czy nie mamy podobnych w sklepie. Do ciebie, Boguś, przyjadę na jesieni, jak będę miała urlop.

– Potrzebne mi są zwykłe majteczki gimnastyczne – oświadczył Porwasz, pomijając kwestię jej urlopu.

Kupił ich trzy pary i tak wyposażony wyruszył w drogę powrotną do Skiroławek. A w miarę oddalania się od stolicy widział już w wyobraźni, jak dzięki punktualności pani Aldony jego trzciny nad jeziorem pokryją ściany wszystkich galerii świata. Zaiste,

nisko upadł pisarz Lubiński – doszedł do wniosku – skoro stracił wiarę w magiczną potęgę dzieła sztuki.

W istocie, w Wielką Środę, gdy doktor i jego syn, Joachim powracali do domu z cmentarza, oprócz samochodu pięknej Brygidy minął ich także na drodze czerwony ford escort, który zatrzymał się przed dachowcem Porwasza. Wysiadła z niego elegancka kobieta o jasnych włosach. Natychmiast więc zadzwonił doktor do Porwasza i przypomniał mu o zaproszeniu, jakie już uprzednio mu przesłał, aby wieczorem przybył do domu na półwyspie, gdzie Joachim będzie grał na skrzypcach dla przyjaciół doktora.

Ucieszył się Porwasz z tej propozycji, albowiem, jak to było już wspomniane, był dość muzykalny, oraz skrzypce z powodu swego kształtu przypominały mu rozkwitłą kobietę.

Pani Aldona obejrawszy dom Porwasza oceniła go jako człowieka prawdomównego. Nic bowiem nie mogła ująć z tego, co opowiadał jej o swojej samotności oraz nędzy i zaniedbaniu, które były widoczne na każdym kroku. Okazało się również, iż trafne były jej przewidywania co do pustki spiżarni Porwasza, i że słusznie zrobiła przywożąc wiktuały.

– To zbyteczne – oświadczył jednak Porwasz. – Na dziś wieczór jesteśmy zaproszeni w gości. Podjemy tam sobie, a jutro rano w naszym sklepie zrobię zakupy.

I chciał Porwasz pokazać pani Aldonie wszystkie swoje zamalowane płótna, ale ona poprosiła najpierw, aby rozpałił w kolumnie piecyka łazienkowego, gdyż po podróży pragnie się odświeżyć. Co do wizyty u wieśniaków, to ona się jeszcze zastanowi.

Nie prostował Porwasz określenia „wieśniacy” wobec osoby doktora Niegłowicza, pisarza Lubińskiego, a także leśniczego Turleja. Czy można i należy prostować myśli kobiet tak niezwykłych jak port lotniczy? Pani Aldona ubrana w obcisłe dżinsy i biały gruby sweter, który wypuklał małe piersi, wydała mu się kobietą bardzo pociągającą, ale przede wszystkim jednak myślał o wielkiej sztuce malarskiej. Uwijał się pałac w piecyku łazienkowym, a także w piecu kaflowym, który miał nagrzać mały pokoi, sąsiadujący z pracownią. Tam bowiem zdecydował się Porwasz umieścić swego dostojnego gościa. Na moment wyskoczył do pisarza Lubińskiego i od pani Basieńki wybłagał czystą poszwę, prześcieradło i poszewkę, a że nie miał drugiej kołdry i poduszki, a także łóżka, tedy herkulesowym trudem zawłókł tapczan ze swej pracowni do owego pokoiku, oddał damie własną kołdrę i poduszkę, postanawiając samemu spać choćby na stole, pod płaszczem lub kocem.

Pani Aldona przywozła z sobą okazałą walizkę. Był w niej szlafrok czerwony,

frotte. Po kąpeli, na stole w pracowni postawiła lusterko i ubrana w szlafrok długo i starannie nacierała twarz kremami. Z Porwaszem w ogóle nie rozmawiała, jak gdyby nie chcąc mu przeszkadzać w jego krzątaniu. Była trochę głodna, ale dbała o swoją linię, i miała świadomość; że dla urody kobieta powinna ponosić pewne ofiary. Potem długo szcztokowała swoje tlenione włosy, a gdy wreszcie uperfumowała się, od ich słodkiego zapachu, a także z głodu, Porwaszowi zakręciło się w głowie i strasznie pobałdł.

– Czy pan źle się czuje? – zaniepokoiła się.

A że, jak przystało na wielką damę, była osobą domyślną, tedy ze swej okazałej walizy wyjęła kilka kęsgów dobrze obsuszonych kiełbasy, bochenek chleba i wielką struclę. Sama ledwie skosztowała jedzenia, natomiast z ogromnym zadowoleniem i w milczeniu patrzyła, jak poruszają się szczęki malarza. Nasyciwszy głód, zaczął Porwasz mówić o wspaniałej sztuce malowania trzciny nad jeziorem, o trudnościach z przedstawieniem barwy śniegu albo owych brązów, którymi oddawał na płótnie kształty zeschniętych trzciny.

Zaiste, wielka jest potęga sztuki. W miarę jak Porwasz opowiadał o swym malarstwie i pokazywał pani Aldonie coraz to inny obraz, ona stawała się jak gdyby coraz bardziej nieobecna, aż wreszcie zaczęła spoglądać na zegarek, przez co znowu odniósł wrażenie, że znajdują się w porcie lotniczym i srebrzysty ptak nadziei poniesie go ku niebosiężnym wyżynom.

– Nie pójdziemy do żadnych wieśniaków. Szkoda czasu, mój chłopcze. weźmy się za robotę.

To mówiąc zrzuciła z siebie szlafrok i naga przeszła do pokoju, gdzie Porwasz przesunął tapczan i rozścielił czystą pościel.

Stało się tedy tak, że nie danym było Porwaszowi wysłuchać koncertu Joachima Niegłowicza. I nawet z początku tego nie żałował, bo ciało kobiety podobne jest do skrzypiec, ma takie same wypukłości oraz smyczka trzeba, aby ton słodki wydobyć. Ale kiedy wreszcie chciał wtulić w poduszkę swoją zmęczoną twarz, usłyszał:

– Jeśli już nie masz sił, to w mojej walizce znajdziesz coś takiego, co ci pomoże.

Nagi i bosy pobiegł Porwasz do swej pracowni, gdzie znajdowała się walizka Aldony. Drżąc z zimna grzebał w niej gorączkowo, aż wreszcie znalazłszy to o czym mówiła, pomyślał, że jest ona naprawdę kobietą nowoczesną, która bywa za granicą nie tylko dla podziwiania pięknych widoków, ale interesują ją także nowe technologie i pomysły. Z uznaniem też wspominał Porwasz poglądy pisarza Lubińskiego, że minęła epoka natchnionych artystów, a przyszedł czas na artystów-technokratów, artystów-menagerów, artystów-producentów, którzy winni brać pod uwagę najróżniejsze

potrzeby rynku.

Tego wieczoru pani Aldona, znów patrząc na zegarek, powiedziała mu: – Jeśli będziesz, Boguś, dalej taki miły jak do tej pory, to przyślę ci swoją koleżankę, której bardzo podobał się obraz „trzciny nad jeziorem”. Zapewne także wybierze coś dla siebie z twego malarstwa. Bo widzisz, Boguś, nigdy nie miałam szczęścia do prawdziwych mężczyzn. Po jakimś czasie odchodzili ode mnie i teraz nie mam nikogo.

Iluz to artystów stroiło przed kamerami telewizyjnymi pocieszne miny, bawiło się w przeróżne zagadywanki i obmawianki, byleby ktoś zechciał zwrócić uwagę na ich dzieła. Tak więc to, co czynił tego wieczoru malarz Porwasz nie było ani gorszym, ani lepszym, może co najwyżej o wiele bardziej pracochłonnym od tego, co robili inni artyści, skoro epoka natchnionych twórców jak twierdził Lubiński – dawno minęła.

A jednak pod koniec owego wieczoru pożałował Porwasz, że nie siedzi wygodnie na kanapie w białym pokoju doktora i nie słucha jak gra na skrzypcach Joachim. Gdyż choć w rzeczy samej kobieta i skrzypce z powodu swoich kształtów wykazują tak wielkie podobieństwo, a także dla wydobycia słodkich tonów potrzebują posuwistych ruchów smyczka, to nawet najdłuższy koncert ma swój koniec, a wirtuoz może odłożyć skrzypce i smyczek. Lecz od kobiety oderwać się trudniej i gra z nią niekiedy zdaje się nie mieć końca.

Jest też jeszcze zasadnicza sprawa, która odróżnia grę z kobietą od gry na skrzypcach. Oto nawet najmarniejszy skrzypek może liczyć choćby na skąpe oklaski widowni. W grze z kobietą bywa się skazanym na jednego widza, który jakże często skąpi wirtuozowi wyrazów uznania. Wśród licznych rodzajów samotności zbyt rzadko mówimy o tej, którą odczuwa mężczyzna w ramionach lubieżnej kobiety.

O MUZYCE JOACHIMA, MIŁOŚCI GERTRUDY I O TYM, ŻE KAŻDY POWINIEN MIEĆ SWEGO KŁOBUKA

Gertruda Makuch z domu Krall, miała dwadzieścia osiem lat, gdy została zgwałcona przez dwóch żołnierzy maruderów. Mieszkała wtedy samotnie w swym domku w pobliżu zagrody chorążego Niegłowicza, który dopiero co przybył do Skiroławek. O mężu swym, Tomaszu Makuchu, nie miała jeszcze wtedy żadnych wieści i sądziła, że jak wielu innych mężczyzn ze Skiroławek zginął na którymś z wielu frontów. Była

młoda, zdrowa, rosła i silna, toteż bez większego trudu prowadziła swoje małe gospodarstwo, które wówczas składało się z krowy, trzech świń i stada kaczek, a także wynajmowała się do pracy u innych gospodarzy. Żołnierze maruderzy nie tylko ją zgwałcili, ale jeszcze wyprowadzili krowę z obory, zaszlachtowali świnię, wybili kaczki, a bojąc się, aby ich nie oskarżyła przed władzami w Trumiejkach, postanowili ją zabić. Sama nie pamiętała już w jaki sposób zdołała uśpić ich czujność i naga i bosa, w jesienną noc, zdołała dobiec do domu na półwyspie, gdzie znalazła schronienie u Marcjanny Niegłowiczowej. Chorążego wówczas w domu nie było, ale szesnastoletni Maciej Niegłowicz stanął w drzwiach z manlicherem i oczekiwał nadejścia maruderów. Oni jednak obawiali się domu chorążego, zabrali dobytek Gertrudy i uciekli w przepastne lasy.

Za radą Niegłowiczowej zdecydowała się Gertruda pozostać w domu chorążego i zamieszkała w pokoiku na piętrze jako służąca lub domowniczka, nigdy tej sprawy wyraźnie nie określono. Nie było zresztą takiej potrzeby, ponieważ wkrótce otrzymała Gertruda Makuch list, że mąż jej, Tomasz, znajduje się w niewoli, a kiedy z niej wróci nie wiadomo. Umówiono się więc, że Makuchowa będzie w domu Niegłowiczów tak długo, aż zjawi się jej mąż. Na razie chorąży Niegłowicz obsiewał jej skrawek ziemi i zbierał z niego plony, chciał jej nawet za to płacić, ale ona brała od niego tylko tyle, ile jej było trzeba na skromny przydziewek.

W tym czasie Gertruda Makuch jeszcze bardzo słabo mówiła w języku ojczystym Niegłowiczów, co wszystkim wydawało się zabawne, jako że mąż jej Tomasz, podobno tylko tym językiem władał. W jaki więc sposób w swoim czasie młodzi porozumieli się i poślubili, nikt tego pojąć nie potrafił, widne jednak było, że mowa w tych sprawach niewielkie ma znaczenie. Inna rzecz, że w miesiąc po ślubie Tomasza wzięto do wojska, czyli, że małżonkowie niewiele się narozmawiali. Język Makuchowej знаła trochę Marcjanna Niegłowiczowa, gdyż z domu była Danecka i pochodziła aż gdzieś z okolic Gołonogu; jej ojciec miał na imię Krystian i takie samo drugie imię dała jednemu ze swoich synów. Dzięki Marcjannie, a także synom chorążego, do których się bardzo przywiązała, gdyż własnych dzieci nie miała, Gertruda wkrótce też nauczyła się ich mowy.

Po śmierci Macieja Marcjanna Niegłowiczowa długo leżała w szpitalu, nie tyle z powodu choroby ciała, co duszy. Tak na dobrą sprawę nigdy do zupełnego zdrowia nie wróciła – ciągle lękała się nocy i strzałów. Wciąż jej się zdawało, że Maciej żyje lub też właśnie przed chwilą zginął. Nie okazywała też większego zainteresowania dla swego drugiego syna, Jana Krystiana, i niekiedy nawet chorąży Niegłowicz odnosił wrażenie,

jakby nie miała poczucia, że oprócz Macieja urodziła jeszcze drugie dziecko, które żyje i rośnie obok niej. Albowiem choroby duszy bywają dziwne i rzadko kto zrozumieć je potrafi. Są takie, co obejmują nie tylko duszę ale i umysł, a bywają także takie, co tylko jakby jakiś mroczny cień w duszy pozostawiają i czynią człowieka obojętnym wobec spraw i losów innych ludzi. Z taką chorobą powrócił z niewoli Tomasz Makuch i dlatego może życie Gertrudy na zawsze związało się z losem Niegłowiczów. Na skutek choroby Marcjanny przejęła ona całe gospodarstwo w domu chorążego, a prowadziła je sprawnie, wciąż gotowa do nowych trudów, gdyż przybywało dobytku i rozmaitego dobra – koni, bydła, trzody i wszelkiego drobiazgu. I nawet gdy powrócił z niewoli Tomasz Makuch, stwierdziwszy u niego mroczny cień w duszy, pozostała Gertruda gospodynią w domu chorążego, a tylko na noc, choć też i nie zawsze, powracała do swego własnego domu i męża. Nie miał do niej o to pretensji Tomasz Makuch, gdyż, jak to było powiedziane, okazywał obojętność wobec innych ludzi, a nawet własnej żony, najchętniej przesiadywał w domu i patrzył przez okno na drogę, mimo iż rzadko działo się na niej coś ciekawego.

W tamtych latach, gdy zginął Maciej Niegłowicz i zachorowała jego matka, a także Tomasz Makuch jeszcze nie powrócił z niewoli, nie było rzecz jasna w domu chorążego pokoju z białymi meblami, a tylko piękne stare meble gdańskie z ogromnym prostokątnym stołem, które za dwa prosiaki kupił chorąży. Na tym stole złożono później martwe ciało syna chorążego. Białe meble ze złoceniami, z białymi pokryciami w złote plamki, kupiła w wiele lat później Hanna Rade, za honorarium, które otrzymała koncertując w Amsterdamie. Lubiła ów biały salonik, w nim wypoczywała, ćwiczyła grę na fortepianie. Do niego też pewnego dnia wróciła nie w dawnej postaci, a tylko w urnie metalowej i to na krótko. Po roku białe meble przewiózł doktor Niegłowicz ze stolicy do rodzinnego domu w Skiroławkach, a potem w pokoju z tymi meblami powiesił portret żony, zrobiony przez pewnego artystę malarza na podstawie fotografii. Na tym portrecie Hanna siedziała przy klawiaturze fortepianu w ciemnej spódnicy i bluzce z białych koronek. Jej jasne włosy zdawały się być złocistą aureolą wokół twarzy o rysach niezwykle delikatnych, cerze tak jasnej, że mogła uchodzić za wizerunek św. Cecylii. Tylko jej ręce na klawiaturze fortepianu wydawały się prawdziwe, z niebieskimi żyłkami i długimi palcami, uchwycone w ruchu, jakby brała jakiś silny akord.

Gertrudzie Makuch z początku portret ten zupełnie się nie podobał. W rzeczywistości prawdziwą Hanną Radek była mniej piękna, mniej słodka i powabna, bardziej chłodna i wyniosła. Nigdy jej Gertruda tak naprawdę nie polubiła. Nawet wówczas, kiedy Hanna urodziła Joachima i doktor napisał do niej, żeby przyjechała do stolicy dla opieki nad

dzieckiem. Pierwszy raz w swoim życiu czegoś doktorowi odmówiła, pozostała przy mężu i chorącym, który wtedy już zaczynał na zdrowiu niedomagać. Z czasem jednak przywykła do portretu, osoba Hanny Radek i jej portret stały się jednością. Ale zarazem, w miarę upływu lat, przestała myśleć o żonie doktora jako o osobie realnej, podobnie jak patrząc na portret świętego w kościele nie wyobrażamy sobie, aby ów ktoś na nim przedstawiony, żył kiedyś naprawdę, kochał i cierpiał. W głębi duszy powątpiewała niekiedy, czy Jan Krystian w ogóle miał kiedykolwiek żonę, a Joachim zrodził się z żywej istoty, a nie pojawił się na świecie nagle, wraz z kompletem białych mebli przywiezionych ze stolicy. Pokój z portretem Hanny był zawsze zamknięty na klucz, tylko raz na miesiąc odkurzała go Gertruda i od czasu do czasu wietrzyła, podobnie jak to się czyni z ukrytymi w skrzyni starymi rzeczami. W wielkie święto wolno taką skrzynię otworzyć, rzeczy przymierzyć, a nawet jakiś czas się z nimi obnosić. Właśnie sposobną ku temu chwilą był przyjazd Joachima i koncert, który zawsze się wtedy w tym pokoju odbywał; Joachim pragnął bowiem zaprezentować ojcu i jego przyjaciółom, jakie postępy uczynił w nauce gry na skrzypcach. Wówczas to – podobnie jak teraz – Tomasz Makuch rozpałał w piecu kaflowym, Gertruda froterowała podłogę. Później na białej kanapie i na fotelach zasiadali goście doktora, nieliczni zresztą, bo tylko pisarz Lubiński wraz z żoną, leśniczy Turlej z panią Halinką oraz malarz Porwasz, choć tym razem on właśnie nie przyszedł. Gertruda Makuch zawsze zasiadała na białym taboreczku tuż przy drzwiach, ponieważ zaraz po koncercie należało w sąsiednim pokoju podać coś do picia i jedzenia.

Wchodząc do białego pokoju Gertruda Makuch starannie wytarła buty we flanelową ściereczkę, którą położyła przed drzwiami. Z zadowoleniem rozejrzała się po sylwetkach tych, co się w pokoju znajdowali. Rada była, że wszyscy się tak pięknie wystroili, skoro syn doktora obiecał grać na skrzypcach. Pisarz Lubiński miał na sobie ciemny smoking i białą koszulę z czarną muszką, a ze swoją jasną brodą i bujną jasną czupryną wyglądał jak srogi lew, który skromnie zajął miejsce na białej kanapie obok swej żony. Pani Basieńka ubrała się w suknię czarną, do ziemi, obcisłą, z dużym dekoltem. Leśniczy Turlej włożył zielony mundur z trzema gwiazdkami na kołnierzyku, pani Halinka była w długiej spódnicy i białej bluzce z męskim krawatem. Nie dostrzegła Makuchowa na twarzy pani Halinki zwykłej u niej wesołości, nie śmiały się jej usta i oczy, nie fruwały w powietrzu krótko przycięte włosy. Przyjęła to Makuchowa za wyraz szacunku dla Joachimowego grania i ani jej przez myśl nie przeszło, iż pani Halinka odczuwa coś w rodzaju przykrości z powodu przyjazdu jakiejś damy do malarza Porwasza, o czym wieść do niej już doszła. Doktor siedział w fotelu,

w ciemnym garniturze i srebrzystym krawacie. Głowę z siwiejącymi skroniami odrzucił lekko do tyłu i patrzył przez okno na jezioro w stronę Czaplej Wyspy. Co spodziewał się ujrzeć w tej rozległej dali? Czy nie powinien patrzeć raczej na syna swego, Joachima, we fraku czarnym i białym wykrochmalonym gorsie, z muszką także czarną, ale ładniejszą niż u pisarza Lubińskiego. Stał Joachim pod portretem matki i stroił skrzypki swoimi długimi białymi palcami, prawie takimi samymi, jakie miała Hanna Radek na portrecie. Chciała Makuchowa widzieć dumę na twarzy doktora, pragnęła, aby dumę tę wszyscy z nim dzielili, on jednak wołał popaść w swoje zapatrzenie, jakby Joachim, jego granie i wszystko dookoła straciło wszelkie znaczenie. Albo, co gorsza – i na niego raptem spadł cień smutku, który ogarnął kiedyś jego matkę, a także Tomasza Makucha, gdy wrócił z niewoli. Lecz i to wiedziała Gertruda, że takich ludzi jak Jan Krystian zrozumieć nie sposób prostej i zwykłej kobiecie.

Usiadła Makuchowa na taboreciku przy drzwiach, rozprostowała na kolanach spódnicę z ciemnej wełenki, obciągnęła na piersiach zielony sweterek, poprawiła chustkę na głowie tak aby żaden siwy kosmyk się nie wymykał. Zaraz też rozpoczęło się Joachimowe granie i aż zadrżała Gertruda od szybkich i drobnych dźwięków, które na wszystkich spadły, melodyjnie stukwały po meblach, po podłodze i ścianach. Najpierw wydało się Makuchowej, że cały dom ulewa ogarnęła i słyszy cichutkie pobrzękiwanie rynien, świst wiatru i szum świerków. Potem zaś jak gdyby śpiew własnej matki usłyszała, kiedy do snu kołysała jej młodszą siostrę, to znów jak gdyby na czyimś pogrzebie była, albo na weselu, z płaczem żalonym lub radosnym śpiewaniem. Odnosiła wrażenie, że dźwięki toczą się z wysokiej góry jak krągłe kamyki, to znowu wraz z nimi wspinają się na jakąś ogromną górę, gdzie u szczytu tchu brakowało i serce biło coraz mocniej. I jak we śnie, co często ją nawiedzał jeszcze w dziewczęcych latach, zdało się jej, że leci nad przepaścią, w uszach mając śpiew powietrza, dotyka czołem białych i słodkich obłoków, nurza się w błękicie nieba. Nie potrafiła w tym graniu wychwycić i zapamiętać żadnej melodii, którą można by zanucić, lecz przecież od czasu do czasu pojawiało się coś znajomego, jakby czyjeś wołanie, czyjeś szepkanie. A wówczas owe dźwięki zaczynały ją głaskać po twarzy, po skroniach i powiekach, opływały jej ciało i rozpościerały mgłę przed oczami. Szła przez ową mgłę w szumie świerków i w głośnym ćwierkaniu ptaków, nagle znowu widziała Joachima, portret Hanny Radek i głowę doktora odrzuconą do tyłu. A gdy tak patrzyła, to na delikatną twarz Joachima, to na głowę doktora, a między jednym a drugim spojrzeniem dźwięki roily się jak rój pszczół, wydało się jej, że to nie Joachim gra, ale Jan Krystian, bo młodym chłopakiem go pamiętała, jakby to było wczoraj albo dziś. I nagle krzyk

doszedł ją wyraźny, przeraźliwy, jakby z salonu z ciemnymi meblami i trupem Macieja na stole. Wybiegła wtedy z kuchni i w rozpostarte ramiona chwyciła chłopca, który krzyczał, gdyż w mroku wpadł na stół z martwym bratem. Płakał bez łez, dygotał od szlochu, objęty jej silnymi ramionami. Gdyby go nie trzymała z całą mocą, runąłby na ziemię. Musiała go zanieść do swego pokoju na górze, posadziła na swoim łóżku i całowała jak matka, głaskała po twarzy, po rękach i po włosach, lecz on wciąż dygotał, szlochał, dzwonił zębami. Rozebrała go jak małe dziecko i położyła pod swoją pierzynę, aby się ogrzał i przestał dygotać; sama się także rozebrała i swoje wielkie nagie ciało do niego przytuliła, twarz jego wcisnęła między swoje ciepłe i ciężkie piersi, które macierzyństwa nigdy nie zaznały, ale teraz jej się zwidziało, że własne dziecko tuli. I trzymała go tak długo w swych grubych i mocnych ramionach aż powoli ustawał dygot młodzieńczego ciała i tylko od czasu do czasu coś jak ciężkie westchnienie mu się dobywało z piersi. Potem płakał i ślinił się jak małe dziecko, a ona czuła ciepłą wilgoć między swoimi piersiami, aż i to ustało, i pomyślała że zasnął. Wtedy księżyc się pokazał, do pokoju na górze rzucił snop światła. Przypomniała sobie, że na dole leży trup Macieja, oraz czterech zabitych zbirów znajduje się w ogrodzie, ona zaś i Jan Krystian są sami w wielkim i ciemnym domu, dwoje żywych pośród wielu umarłych. Lęk przeniknął jej ciało i rozbudził wtulonego w nią chłopaka. Podniósł lekko głowę, w jego otwartych szeroko oczach dojrzała strach tak wielki, że aż się go przeraziła bardziej niż myśli o tych co leżeli w ogrodzie. A że tylko jedno lekarstwo znała na strach własny i cudzy, tedy rozchyliła swe uda i wzięła między nie szczupłe chłopięce ciało, delikatnie chwyciła ciepłą dłoń jego prącie, ciesząc się, że tak szybko nabrzmiewa i jest tak duże i piękne. Włożyła je w siebie, odczuwając wyraźnie jak mija u chłopca strach, przychodzi rozkosz i zapomnienie. Z uległością i zachwytem przyjęła uderzenie jego nasienia i mocniej ścisnęła go ramionami, pragnąc, aby pozostał w niej na zawsze. Zasnął zaraz na jej rozłożystym ciele, tak wypełniony sytością, że nie było już w nim miejsca na lęk lub trwogę. Spał do rana i nawet nie czuł, gdy o świcie ułożyła go obok siebie, a potem wstała, ubrała się i poszła na podwórze, aby wydoić krowy. Odtąd wiele razy zasypiał na jej brzuchu, z twarzą między jej ciepłymi piersiami. Nawet wówczas, gdy w liceum w Bartach się uczył i z internatu przyjeżdżał tylko na niedzielę. Wystarczyło, aby spojrzeć na nią poządliwie, kiwnął głową, a szła tam gdzie chciał, do stodoły na siano albo zgoła w las. Podobnie jak podczas tamtej nocy nie szukała w zbliżeniu z tym chłopcem własnego zaspokojenia, ale czyniła to z jakiejś ogromnej tklivości, a trochę tak jak spieszyła do kuchni, gdy czuła, że jest głodny i powinna dać mu posiłek. Była też w tym i prymitywna chytryść, aby tam gdzieś w mieście, nie zaspokajał głodu

pożądania u jakiejś głupiej dziewczyny, co by mu przedwcześnie głowę swoim ciałem zawróciła, ale miał wszystko w rodzinnym domu, tak samo jak czystą koszulę i czystą bieliznę. Nie wydawało się jej, żeby przez to czyniła komuś krzywdę albo w ogóle robiła coś złego. Gdyby myślała inaczej wszystko na świecie straciłoby dla niej jakikolwiek sens i swój porządek. Czy nie po to miała silne ręce i ramiona aby pracować w polu, przestawiać garnki na kuchni, sprzątać, oprzątać bydło i trzodę? Czy nie po to istniało u kobiety podbrzusze, aby je podkładać pod mężczyznę? Czyż nie zostało powiedziane, że umarłych należy pogrzebać, a głodnych nakarmić, także i własnym ciałem? Jan Krystian był dla niej jak własne dziecko, skoro jego matka o nim zapomniła, tęskniąc za tamtym, który zginął. Dlaczego miała jedynie stawiać przed nim talerz zupy, gdy był głodny, a skąpić mu w sprawach równie ważnych, a może ważniejszych, gdyż jako dojrzała kobieta знаła mękę cielesnego pożądania. Sądziła, że spełniła wobec Jana Krystiana jedynie swoje niewieście powołanie, zgodne z ustanowionym porządkiem rzeczy. I nawet, kiedy już przestał się do niej zbliżać; gdyż na studiach w stolicy się znalazł i do domu przyjeżdżał dość rzadko, a ona powiedziała mu, że teraz z jego ojcem od czasu do czasu się spełnia, ponieważ Marcjanna nie pozwalała chorążemu na żadne z sobą zbliżenie; prosiła, aby jej opowiadał o dziewczynach, które wtedy gasiły jego męskie pragnienia. I tylko o Hannie nigdy jej ani słowa nie powiedział, jakby nagle zaciął się w sobie, coś się w nim zamknęło i położyło na usta pieczęć. Może właśnie dlatego nie polubiła tamtej kobiety. Długo też zastanawiała się, co mogło być takiego w Hannie, że Jan Krystian zaczął kryć swoje przeżycia. Pewnego dnia przyjechał z nią do Skiroławek, na krótko zresztą, bo po kilku dniach powrócili do stolicy. Hanna wydała się jej piękną, ale jak gdyby nieobecną, podobnie jak cieśla Otto Daube zasłuchana w świat dźwięków. W prostocie swego serca myślała, że Jan Krystian wciąż szturmuje ową ukrytą przed nim w Hannie krainę, zdobyć jej nie potrafi, a przyznać do klęski nie chce. Jest szczęśliwy, że może wciąż zdobywać, ale zarazem głęboko nieszczęśliwy, że zdobyć jej nie umie. I być może to właśnie jest wielką miłością, która przerosła jego samego.

– Gertrudo – usłyszała głos doktora – czy nie pora podać do stołu? Leśniczy Turlej jeszcze wciąż klaskał swoimi szerokimi dłońmi, ale inni okazywali Joachimowi już tylko twarze pełne wyrazu podziwu. Joachim był blady, w jego oczach, zaciśniętych ustach i w powolnych ruchach rąk, gdy kładł skrzypce do futerału, uwidaczniało się napięcie.

Widziała to Gertruda Makuch oczami, w których pozostawały resztki snu, w jaki wprowadziło ją Joachimowe granie. Otrząsnęła się jednak i szybko na wielkim stole

postawiła półmiski z karpem zrobionym na słodko, w galarecie, wedle tajemnego przepisu, który jeszcze przed wojną matka Gertrudy dostała od starej Żydówki z Bart. Do tej potrawy należało wziąć karpia niezbyt dużego, najwyżej do dwóch kilogramów, obciąć mu głowę, wypatroszyć uważnie, aby nie rozlać żółci. Garnek do przygotowania tej potrawy winien być raczej szeroki i płaski, wypełniony wodą z trzema marchewkami, pociętymi w talarki i dwiema sporymi cebulami pokrojonymi w plastry. Wodę trzeba było zagotować, włożyć do niej rybę podzieloną na dzwonka i potem gotować na bardzo wolnym ogniu, po pół godzinie dodając dwie czubate łyżki cukru, łyżeczkę soli i sporo pieprzu. Tajemnica przedziwnego, słodkiego smaku kryła się w powolnym i niezwykle długim jej gotowaniu, nie krótszym niż dwie godziny, a pod koniec gotowania dodawało się garść zmielonych rodzyneków i pociętych w piórka migdałów. Rybę wykladała Makuchowa na półmiskę, ale to wówczas, kiedy zupełnie ostygła; przybierała plasterkami marchwi, uprzednio wyrzuciwszy cebule. Potem zalewała ją wywarem z garnka, a właściwie już tylko jego resztką pozostałą po długim i wolnym gotowaniu. Tak przyrządzony karp miał smak słodki i zarazem pikantny, jadło się go rzecz jasna na zimno, zagryzając bułeczką lub chlebem. Smakując rybę Lubiński bawił rozmową Turleja:

– Muzyka Joachima była jak ogromny las. Przez chwilę poczułem się lepszy niż jestem. Gdyby Joachim częściej tu bywał i grał nam tak, jak dzisiaj, może z czasem odkrylibyśmy w sobie lepszą część naszej natury.

– Kiedyś grywałem na trąbce myśliwskiej – podjął ten temat Turlej. I czułem się lepszy. Ale zaraz po ślubie żona schowała moją trąbkę gdzieś bardzo głęboko.

Halinka Turlej w zamyśleniu wpatrywała się w pustoszejący półmiskę z rybą, zdumiona oskarżeniem o schowanie trąbki. Leżała przecież ta trąbka na półce w kancelarii. Grywał jej na niej Turlej w okresie ich narzeczeństwa, po ślubie przestał, gdyż kupili sobie wyżła, który natychmiast przeraźliwie wył do wtóru trąbce. Wyżeł zdechł, ale Turlej i tak nie brał już trąbki do ręki. Zresztą, iluż rzeczy nie robił teraz, a czynił je przed ich ślubem?

Co tyczy zaś pani Basieńki, Joachimowe granie jakby ją obezwładniło i wciąż nie była w stanie ostrząsnąć się z tego. Nawet nie znalazła w sobie dość siły, aby podejść do Joachima i pogłaskać go po twarzy, na co z początku miała ogromną ochotę. A potem Joachim opuścił pokój, doktor zaś zaczął rozlewać wino do kieliszków i nie wypadało pójść za Joachimem.

Zrobiła to tylko Gertruda Makuch. Nałożyła na talerz dzwonko ryby i poszła z tym na górę. Młodzieniec – wciąż ubrany we frak – stał przy oknie i patrzył w stronę

niewidocznych już w ciemności mokradel.

– *Ich habe essen, nicht gegessen* – zażartowała, stawiając na stole talerz. Chłopak nie odezwał się, nie poruszył, więc zaciekawiona, co też on widzi za oknem, podeszła do niego dotykając go łokciem.

– Spoglądasz na mokradła, Joachimie? Tam mieszka Kłobuk, który należy do twojego ojca. Przez cały dzień śpi w legowisku obok starej lochy. Ale nocą przychodzi do naszego sadu. Przez całą zimę widziałam na śniegu ślady jego łap. Doktor nic od niego nie potrzebuje, więc on tylko tak sobie tu przychodzi. Ty także powinieneś mieć swojego Kłobuka.

– Wiem – uśmiechnął się Joachim. – Ale sama rozumiesz, że nie mógłbym go ze sobą zabrać.

– *Ja, ja, naturlich* – zgodziła się z nim Makuchowa.

– Kiedyś będę miał swojego Kłobuka, tak jak ojciec – stwierdził w zamyśleniu Joachim. – Gdy zacznę częściej i na dłużej tu przyjeżdżać.

– Tak myślisz?

– Ojciec też kiedyś myślał, że odchodzi stąd na zawsze.

Mógłbyś wtedy mieć jego Kłobuka. Jemu on nie jest potrzebny, bo nigdy go o nic nie prosi.

– Ojciec nic nie chce zmienić w swoim życiu – oświadczył Joachim. – Ale może i ja, kiedy tu wrócę, też będę chciał niczego zmieniać?

– To bardzo niedobrze – westchnęła Gertruda. – Taki młody człowiek jak ty, Joachimie, powinien mieć dużo pragnień i dużo życzeń.

Owszem. Jednak gdy się tutaj trochę pobędzie, to wszystko widzi się zupełnie inaczej. I nawet to, co grałem, słyszałem zupełnie inaczej niż dotąd. Czy wiesz, jak dobrze wyszło mi dziś staccato? Ale ojciec nie powiedział ani słowa, czy moja muzyka mu się podobała.

– Tego od niego nie możesz oczekiwać. On nie jest zwykłym człowiekiem. Tobie powinno wystarczyć, że cię mocno kocha.

– Czy to prawda, że mając piętnaście lat zabił człowieka?

– Byłam przy tym. Strzelił mu prosto w twarz. Ale potem bardzo mocno płakał. W twoim wieku był takim samym chłopcem jak ty. Potem dopiero się zmienił. Kiedyś staniesz się podobny do niego, lecz na to trzeba trochę czasu.

– Nie potrafiłbym zabić człowieka...

– Tak tylko ci się wydaje. On musiał to zrobić. Nie chciał, ale musiał. A teraz rozbiierz się i zjedz moją rybę.

Posłusznie pozwolił sobie pomagać przy zdjęciu fraka, który Makuchowa starannie rozwiesiła na wieszaku. A potem, kiedy już został sam i powoli jadł rybę, pomyślał, że kiedyś przyjedzie tutaj z kobietą, którą pokocha, pozna ją z ojcem, pokaże dom na półwyspie, mokradła gdzie mieszka Kłobuk. Wtedy ta kobieta zrozumie, że on, Joachim, nie może ani tak postępować jak inni ludzie, ani też grać jak inni, ponieważ pochodzi z tej krainy.

Tak naprawdę to nigdy nie chciał stąd odjeżdżać, ale go do tego zmuszano.

A tymczasem na dole trzecią butelkę wina musiała gościom podać Gertruda Makuch, zanim pisarz Nepomucen Maria Lubiński zdecydował się wraz z panią Basieńką opuścić dom na półwyspie. Było ciemno, szumiał głośno wiatr w lesie przy leśniczówce Blesy, wino burzyło myśli pisarza.

– Mówię ci, Basieńko, że przez muzykę Joachima poczułem się o wiele lepszym człowiekiem – powtarzał swojej żonie. – Przenigdy, tak jak doktor, nie opuszczę Skiroławek, ponieważ z każdym rokiem czuję się tu lepszym człowiekiem.

– Nigdy nie napiszesz powieści zbójckiej – z rozpaczą stwierdziła pani Basieńka. – Nigdy nie napiszesz takiej powieści, ponieważ, jak mówisz, stajesz się coraz lepszym człowiekiem. A przecież ja robię się coraz gorsza. Czy wiesz, o czym myślałam, gdy grał Joachim? Patrzyłam na tę ślicznotkę na portrecie i zastanawiałam się, czy to od niej nauczył się doktor owego upokarzania kobiet. Jak można napisać powieść zbójcką, jeśli się nawet nie wie, w jaki sposób doktor upokarza kobietę, zanim w nią wejdzie? Zapytaj o to doktora, mówię ci, zapytaj go o to dla swojego własnego dobra.

– To są sprawy bez znaczenia – oświadczył pisarz Lubiński. – W ogóle niemal wszystko jest bez znaczenia, a już najbardziej to, w jaki sposób ktoś upokarza kobietę. Potrafię wymyślić sto tysięcy sposobów upokorzenia kobiety, a nawet, jeśli zechcę, dać ci teraz w gębę i w ten sposób także upokorzyć. Nie zrobię tego jednak, gdyż, jak ci to już mówiłem, staję się coraz lepszym człowiekiem. Czy wiesz, dlaczego z takim trudem piszę powieść o pięknej Luizie? Oto bowiem ja staję się coraz lepszy i lepszy, a moi bohaterowie coraz gorsi i gorsi.

– Ja także staję się coraz gorsza i gorsza – westchnęła pani Basieńka. Ale ty musisz napisać powieść zbójcką, bo inaczej nie będziemy mieli na życie.

– Dobrze – zgodził się Lubiński. – Stworzę powieść zbójcką. Ale wcale nie dlatego, abym się bał głodu, lecz dlatego, iż pragnę wyrazić prawdę. Czy pamiętasz, jaki utwór grał Joachim?

– Zdaje mi się, że to było coś Wieniawskiego...

– Przez cały czas myślałem o „*Sonacie Kreutzerowskiej*” Tolstoja. On napisał

powieść prawdziwie zbójcką. Świat bez żądz, do takiego celu powinna dążyć ludzkość.

– Za dużo wypiełeś.

Dla Pozdnyiszewa nawet muzyka była czymś wstrętnym i przeklętym. Pierwsze „presto” w „*Sonacie Kreutzerowskiej*” wydawało się samą chucią. Bo jego zdaniem muzyka to straszna rzecz. ponieważ zmusza człowieka do zapomnienia o sobie, przenosi w cudze położenie; człowiek czuje nie to, co naprawdę czuje, lecz to, co czuje ten, który muzykę komponował. Człowiekowi wydaje się, że rozumie coś, czego nie rozumie i że może dokonać tego, czego dokonać nie może. Tak, Basieńko. Rzecz jasna, stworzę powieść zbójcką. Każda scena tej powieści będzie jak wzniesiony do góry sztylet Pozdnyiszewa.

To mówiąc wsparł się o słup z trójkątnym znakiem drogowym, który ostrzegał, że o kilkadziesiąt metrów dalej jest skrzyżowanie dróg równorzędnych, i zacisnąwszy dłoń w pięść, zaczął nią grozić ciemności leśnej.

A w tym czasie – może zresztą trochę wcześniej, a może trochę później na starą Jastrzębską, która wracała od Porowej, gdzie raczyły się ćwiartką denaturatu, napadł koło cmentarza jakiś mężczyzna. Uderzył ją czymś w głowę, obalił w rów przydrożny, podciągnął spódnicę, rozdarł majtki w kroku i zaczął grzebać palcem w przyrodzeniu. Zajęczała głośno Jastrzębska, co usłyszał sołtys Wątruch, jako że zagroda jego leżała naprzeciw cmentarza, a on sam szedł właśnie przez podwórze. Wybiegł sołtys na drogę i zobaczył leżącą w rowie, i pomyślał, że znowu opila się wina, wódki lub denaturatu. Ale tym razem nie chrapała, tylko jęczała, wobec tego zbliżył się do niej i słowami z Pisma Świętego pouczył o moralności i wstydzie niewieścim. Na to mu powiedziała stara Jastrzębska, że ktoś ją uderzył w głowę, a potem zapewne zgwałcił, gdyż ma rozdarte w kroku majtki. Chciała nawet pokazać je Wątruchowi, lecz on oglądać się wzbraniał. Pomógł jednak starej podnieść się z ziemi i kawałek poprowadził drogą. Dalej już sama poszła, głośno złorzecząc na tego, co ją chyba zgwałcił, gdy upadła w rowie.

Nazajutrz wieść o tym wydarzeniu rozeszła się po całej wiosce i śmiech ludzki wzbudziła. Nikt nie wierzył w opowiadanie starej Jastrzębskiej, jako że nie była osobą, która mogłaby w kimkolwiek obudzić apetyt erotyczny, chyba, że ów tajemniczy człowiek pomylił ją w ciemnościach z kimś innym. Nie była żadnym dowodem w tej sprawie rozbita głowa starej, gdyż po pijanemu mogła wpaść na drzewo albo uderzyć się głową o kamień. To samo dotyczyło rozdartych majtek. Zawsze je miała podarte, o czym przekonała ludzi naocznie, gdy pewnego razu jadąc autobusem do Trumiejek rozkazała kierowcy przystanąć w polu i załatwiła potrzebę na oczach ludzkich, nie oddalając się

od autobusu w obawie, aby jej nie uciekł.

I nawet Jan Krystian Niegłowicz – doktor wszech nauk lekarskich – nie wiedział, co sądzić o tej sprawie. Bo choć z jednej strony opowieść starej Jastrzębskiej czystą fantazją pijacką się zdała, to z drugiej strony niewykluczone było, że znowu pojawił się ów człowiek bez twarzy i nie zabił tylko dlatego, że spłoszył go sołtys Jonasz Wątruch.

O KRZYKU ŻURAWI I MILCZENIU DĘBU

Kłobuk usłyszał jęśliwy głos żurawi i w jego ptasie serce zakradła się tęsknota, aby wznieść się w błękitne niebo. Żurawie przybywały z południa ogromnymi kluczami i znikwały w stronie północnej, wypełniając powietrze nieustanną skargą. Ich klangor był tak stary jak jezioro Baudy, jak Kłobuk, jak odwieczne zmaganie się człowieka z jego lękiem i mówił o niewoli upływającego czasu. Nie lubił Kłobuk żurawi, gdyż te co osiadały na mokradłach za domem doktora, pyszniły się swoją zgrabną sylwetką, a jeden z nich zamierzył się kiedyś na Kłobuka swoim dużym dziobem. Lecząc, wciąż nawoływały się swymi pojękującymi głosami, zdawało się, że jeden nie mógł żyć bez drugiego, trwożyły się więc już samą myślą o samotności do jakiej nawykł Kłobuk. Zauważył też, że ludzie widząc klucze powracających żurawi i słysząc ich jęśliwe głosy, długo śledzili lot tych ptaków. Jakby przelatowała nad nimi nadzieja. A potem niżej opuszczali głowy, jakby im ktoś tę nadzieję odebrał. Żurawi było zresztą z każdym rokiem mniej, na przedwiośniu tylko po dwa lub trzy klucze widziano nad jeziorem i lasem. Było oczywiste, że kiedyś nie przybędzie żaden. Tak odebrana zostanie człowiekowi jego nadzieja, bo coraz częściej myślał Kłobuk, że owe klucze żurawi nie są niczym innym jak strzałami tęsknoty ludzkiej, którą na przedwiośniu albo jesienią wypuszczał człowiek ku słońcu.

Potem leciały klucze dzikich gęsi. Żeglowały po niebie jak łodzie Wikingów, na północ, wciąż na północ. Na dzień lub dwa przysiadły w zatoce. Dopiero noc uciszała ich głosy, choć nie całkiem, ciągle mówiły coś do siebie bełkotliwie, nawet przez sen. A po gęsiach przybywały łabędzie, zawsze po trzy. I już przez długi długi czas nie było spokoju ani na jeziorze, ani w zatoce. Co jakiś czas z hałasem rozbijały skrzydłami wodę, goniąc się wzajemnie, napastując, dopóki ten trzeci nie odlatywał gdzie indziej. Z powodu łabędzi życie nad jeziorem stawało się trudne dla istot, które lubią ciszę. Nigdy nie było wiadomo, kiedy łabędziom zechce się wleciec lub też osiąść na jeziorze z łomotem i pluskiem. Z czasem uspokajały się, a to wtedy, gdy w zatoce miały

już jaja w przybrzeżnych trzcinach. Odtąd zachował, spokój i jak białe duchy, niemal bezszelestne, to tu, to tam widać je było na sonej wodzie. Ale za to mewy wrzeszczały bez powodu, całe dnie trawiąc na nieustannych jazgotach, jakby ktoś im robił ciągle krzywdę. Od tych wrzasków jezioro traciło swój pogodny niebieski odcień i stawało się bure, chwilami nawet czarne.

I wtedy Kłobuk uchodził w las, w którym tu i ówdzie zaczynała kwitnąć leszczyna, a dziecięły podejmowały swoje głośne walenie dziobami w pnie drzew. Tylko na polanie w sosnowym młodniku, gdzie rósł ogromny dąb, mógł znaleźć Kłobuk trochę pozornej ciszy. Ale nie na długo, ponieważ polana jak wielka misa gromadziła wiosenne słońce, najszybciej zawsze zakwitały na niej niebieskie przylaszczki oraz zieleniła się młoda trawa. Wkrótce też pewien drozd podejmował tam swoje nigdy niekończące się śpiewy. Lecz mimo wszystko tu było zawsze najspokojniej, szczególnie, że stary dąb najpóźniej ze wszystkiego co w lesie istniało budził się do życia. Jego pokryty porowatą korą pień długo musiały nagrzewać promienie słoneczne zanim stare soki poczęły powoli dążyć do odległych od ziemi gałęzi. Lecz potem i on zaczynał się zielenić i odzyskiwał dawną urodę. Był jak prastara kolumna, co sterczała w zielonym młodniku, obcy młodym sosnom i daleki od nich, pogrążony w letargu, a przecież wciąż żywy, obojętny na los lasu, zasłuchany w swoje dzieje, a może w pustkę coraz bardziej kruszejącego pnia. Zadziwiające też było wytrwałe milczenie starego dębu, jakże różne od gadatliwości brzoź czy topoli, lip albo olszyn. Jakie ponure sekrety powierzono tej zwalistej postaci, tej korze chropawej, głowie dumnej i rozległej.

Tej wiosny, uciekając znad hałaśliwej zatoki, odkrył Kłobuk w prastarym dębie, prawie na wysokości dwóch metrów, niewielką dziuplę, którą maskowała gałąź. A gdy rozpostarł skrzydła i skoczył ku górze, ujrzał pod warstwą zeschniętych liści, owinięty w szmatę, starannie naoliwiony pistolet i dwie paczki naboarów.

O KONANIU PAŃSKIM, LUDZKIM STRACHU I O TYM, CO MOŻNA UJRZEĆ W GŁĘBI SIEBIE

Rano w Wielki Piątek wstąpiła Gertruda Makuch do chałupy Justyny Wasilczuk i zabrała ją z sobą do domu Otto Szulca, gdzie miało się odbyć nabożeństwo dla garstki wiarynych, którym przewodził pastor Dawid Knothe. Z początku Justyna trochę się

wzbraniała przed pójściem do Szulca, ponieważ była innej wiary, ale Gertruda jej wytłumaczyła, iż Pan Bóg na takie drobiazgi nie zwraca uwagi. Nawet doktor, ze synem swoim, Joachimem, będzie na nabożeństwie w domu Szulca, choć, jak to on – raz w Boga wierzy, a raz nie wierzy. Miała zaś Makuchowa przede wszystkim na względzie fakt, że od śmierci swego męża Justyna aż rozkwitała i twarz miała podobną do Matki Przepysznej z ikony, która w rogu jej izby wisiała. Pragnęła, aby ją doktor zobaczył i na jej widok porzucił swój smutek i owo zapatrzenie, jakie u niego w ostatnim czasie dostrzegała. „Pójdę z wami i wymodłę dla siebie dziecko” – oświadczyła wreszcie Justyna. „Jakże to?” – zdumiała się Gertruda Makuch. – „Przecież nie masz już męża”. Lecz odpowiedź Justyny była zdecydowana: „dla poczęcia dziecka mąż nie jest potrzebny, ale mężczyzna i łaska Boża”.

Rankiem tedy w Wielki Piątek stara Gertruda i młoda Justyna szły drogą przez wieś okryte czarnymi chustkami tak, że im tylko oczy było widać. Tego dnia bowiem padał śnieg z deszczem, z ust leciała para, co w kwietniu w tych stronach nie jest czymś niezwykłym.

– Aby mieć dziecko, Justyno – już któryś raz tłumaczyła jej cicho Gertruda Makuch – Kłobuka musisz złapać, który mieszka na bagnach za domem doktora. W beczce z pierzem go usadź, jajecznicę mu dawaj do jedzenia i proś o dziecko, a on ten rozkaz wykona. Pamiętać tylko trzeba, aby nie był głodny, bo inaczej kominem ci wyfrunie i chałupę całą spali, gdyż iskrami z ogona sypie, kiedy jest zagniewany. Z Umowa jestem, a tam jeden gospodarz miał Kłobuka.

Justyna słuchała uważnie i potakiwała głową. Była pewna, że któregoś dnia weźmie w woreczek trochę owsa albo jęczmienia, pójdzie aż na bagna za domem doktora i ziarenek rzuci to tu, to tam, aż jak po wyznaczonej dróżce, dziobiąc ziarenka, Kłobuk przywędruje na jej podwórze, do beczki z pierzem, którą przygotowała na strychu.

Mijając cmentarz, gdzie zółcił się jeszcze kopczyk usypany nad trumną Dymitra, Justyna przeżegnała się, gdyż tak się należało uczynić młodej wdowie. Ale w domu Szulca zaraz o Dymitrze zapomniała, bo ujrzała doktora, który siedział na prostej drewnianej ławie w drugim rzędzie. Po prawej miał syna swego, a po lewej starego Otto Szulca, z siwą ogromną brodą rozpostartą na piersi jak biała serweta. Justyna była pewna, że doktor jej nie zauważył, ponieważ Gertruda zajęła dla niej i dla siebie miejsce w ostatnim rzędzie, tuż pod ścianą. Zaraz też zjawił się pastor Dawid Knothe i rozpoczęło się nabożeństwo. Przyglądała się Justyna uważnie synowi doktora, który wydał się jej pięknym jak młoda panienka, a że opowiadała jej Gertruda o jego anielskim graniu, więc zarazem aniołem jej się wydał ze swymi jasnymi włosami i białą twarzą. Aż w

pewnej chwili przenikliwy chłód ją ogarnął i zapragnęła jego śmierci, aby nie był tak blisko doktora. Lecz zaraz potem doktor nieco odwrócił głowę i spojrzał na nią swymi niebieskimi oczami, a wówczas grudka lodu, jaka w niej zastygła, roztajała nagle i poczuła ogromne ciepło pulsujące w całym ciele. Pastor Dawid Knothe mówił o śmierci i odkupieniu, lecz zbyt wiele ciepła i radości było w Justynie, aby odnalazła w sobie choćby iskrę współczucia. Czyż nie dwa razy umierała na początku swego małżeństwa z Dymitrem? Rankiem rodziła się na nowo i była jak nowo narodzone jagnię, które stąpa na drżących nogach. Czemu więc ludzie oplakują mękę czyjegoś konania, jeśli jest ono niewysłowioną rozkoszą, po której następuje wskrzeszenie, choć nie każdemu to się zdarza? Dziewczynką była, gdy chłopak sąsiadów powiesił się nagi w lesie i pobiegła z innymi, aby go zobaczyć. Czy nie miał nasienia na chudych udach, co oznaczało, że ze śmiercią, jak z kobietą zażywał rozkoszy? Może tak właśnie umierał Dymitr, jak ona dwa razy umierała w jego ramionach. Może również narodzi się na nowo, jak ona rodziła się dwa razy? To była wina Dymitra, że już nigdy więcej nie skołała, gdyż ją zaczął bić i mówił, że jest jałowa, a sam był jak martwe drzewo. Czy zazna jeszcze kiedyś męki konania i czy urodzi się na nowo, aby innymi oczami spojrzeć na świat? I taki ją żal nad sobą ogarnął, że lzy jej pociekły po twarzy. Ujrzawszy zaś owe lzy wszyscy, którzy byli zebrani na modlitwach poczuli się wzruszeni. Pastor Knothe podniósł głos i mówił jeszcze groźniej: – ...Ale któż z was, tu zebranych, odkupienie sobie chce przywłaszczyć, choć jest niewolnikiem grzechu? Któż z was uwolniony od grzechu pragnie się stać, bo pojmany jest przez szatana? Bo czy w rzeczy samej chcecie wybawić się ze swej niewoli, od waszego złego sumienia, od nieprzyjaźni przeciw Bogu, od waszej trwożliwej bojaźni i od waszego zuchwałego i leniwego serca? Zali dalej pragniecie pozostać tak twardymi i bezlitosnymi, jakimi pozostajecie w niewoli grzechu?

Tak pytał zebranych pastor Dawid Knothe i ręce rozkrzyżował na tle białej ściany, stając się podobny do wielkiego czarnego krzyża z umarłym Chrystusem, który wisiał za jego plecami na ścianie.

Zadrzał stary Otto Szulc i dygocząc lekko dłoń położył na białej brodzie. Na karku czuł oddech najstarszego syna Franciszka, który miał trzydzieści dwa lata i nie otrzymał od ojca gospodarstwa do zarządzania. Może dlatego nie ożenił się jak nicpoń, i nierób ciągle wałęsał się przed sklepem z cieślą Sewrukiem, młodym Galembką, Antkiem Pasemko i Szczepanem Łarynem. Młodszemu synowi, Janowi, chciał pozostawić stary Otto Szulc swój ogromny dom, oborę, stodołę i świniańnię, piętnaście krów dojnych, siedemdziesiąt owiec, osiemdziesiąt sztuk trzody, trzydzieści hektarów ziemi, traktor i

wiele narzędzi. Młodszy syn był mu bowiem zawsze posłuszny. Starszemu chciał dać Otto Szulc tylko pieniądze, aby sobie gdzieś dom kupił lub niewielkie gospodarstwo. Podobnie wyposażył córki swoje, które już dawno były zamężne, a nawet wnuczki miał od nich małe i jedną prawie dorosłą. Nierówno więc dzielił stary Otto Szulc miłość i dobro między swoje dzieci, może dlatego, że z dwóch żon je miał, a najpewniej, że kiedyś stwardniało mu serce i od Boga się odwróciło. Dla kromki chleba zabił człowieka w lesie i tam go zagrzebał. Straszne to były lata i Człowiek stawał się jak zwierzę. Z wojska znieawidzonego uciekł i w dziurze, którą sam w lesie wykopał, przez pół roku mieszkał, wtajemniczywszy w tę sprawę tylko swoją pierwszą żonę, aby mu jeść do lasu nosiła. Aż wreszcie front przeszedł i zginęła żona, która tajemnicę jego kryjówki znała. Nie wiedział tym i czekał na jej przyście w swojej norze leśnej. A gdy już piąty dzień jej nie było, zobaczył jakiegoś człowieka, co przez las przechodził i niósł na ramieniu worek – jak mu się zdało – z chlebem. Zabił tego człowieka bagnetem i nie opodał zakopał. W worku znalazła się tylko jedna kromka chleba, głodu nią nie nasycił, a człowieka życia pozbawił. Po latach szukał tego miejsca, aby zabitemu chrześcijański pogrzeb wyprawić, lecz las, choć rośnie powoli, to jednak szybko zmienia swoją twarz, i Otto na tamto straszne miejsce nie natrafił, choć było to gdzieś koło Białego Chłopa, w pobliżu rozstajnych dróg. Zbyt szybko z początku wyrzucił z pamięci obraz tamtej chwili, a gdy grzech począł mu ciążyć, Pamięć przestała być posłuszną, a zresztą w międzyczasie wiele nowych zrębów powstało i wiele młodników wyrosło. Dla jednej kromki chleba zabił obcego człowieka i nawet głodu wtedy nie nasycił. Nocą odważył się zakraść do wioski. W opustoszałym domu zastał tylko dwie córki, które miały nieco ponad dziesięć lat i czternastoletniego pierworodnego syna. Od nich dostał jedzenie i wrócił do swojej nory w lesie, z czasem coraz częściej na całą noc lub na cały dzień do domu powracając. Dwa razy go chwymano i prowadzono na rozstrzelanie, choć już munduru nie nosił. Za każdym razem ratowało mu życie albo prosię ukryte pod klepiskiem stodoły, albo ciele, pasące się na polanie leśnej. Wreszcie przybył do Skirołówek chorąży Niegłowicz i sprawiedliwość zaprowadził, za co zapłacił swoim synem, podobnie jak Szulc zapłacił swoim, także pierworodnym. Tylko, że Otto Szulc ożenił się potem ze swoją daleką krewniaczką i jeszcze dwóch synów spłodził, chorąży zaś jedyne go syna na doktora wykształcił. A był ten doktor, podobnie jak jego ojciec, chorąży, sprawiedliwość ceniący. Zdarzyło się, że gdy słupy elektryczne w Skiroławkach wymieniano, brygadzysta pewien rozkazał nowy słup wkopać tuż przed wrotami stodoły Szulca, aby ten ani wjechać, ani wyjechać z niej nie mógł. Na protesty odpowiadał: „Obcy mundur ta świnia nosiła”. Udał się wtedy Szulc

do domu na półwyspie jak za czasów chorążego Niegłowicza. Doktor wysłuchał go, potem strzelbę załadował brenekami. Poszli razem w milczeniu przez wieś, stary Szulc i doktor, ale Szulcowi się zdawało, że jak przed wieloma laty znowu idzie z chorążym po sprawiedliwość. Dwa razy wystrzelił doktor pod nogi brygadziście, zanim ten wreszcie rozkazał słup trakcyjny przenieść o kilka metrów dalej. Skargi zaś później pisał brygadzysta w szeroki świat i nawet milicja przyjeżdżała na wywiad w tej sprawie, ale Jonasz Wątruch, co już wówczas był sołtysem, stwierdził, że doktor na jego podwórzu dwoma strzałami zabił psa, którego podejrzewano o wściekliznę, a kto nie wierzy, niech psa odkopie za jego, Wątruchową, stodołą. I tak sprawdziło się przysłowie o tym, że „tu jest pies pogrzebany”. Odpuści Pan kłamstwo Wątruchowi, ale nie uczyni tego z Otto Szulcem, za to, że zabił dla kromki chleba, za jego zatwardziałość wobec syna. Z otwartym czołem tylko sprawiedliwi staną przed Panem. Położył więc Otto Szulc swoją suchą dłoń na białej brodzie i dygotał ze strachu, gdyż czuł, że jeszcze w tym roku stanie przed Bogiem. Ale choć lękał się Pana i jego sądu, to przecież ani przez chwilę nie myślał, aby oddać gospodarstwo najstarszemu, ponieważ sam Pan nie uczynił inaczej, gdy upodobał sobie Abła a nie Kaina, jak on upodobał sobie Jana, a nie Franciszka. Czemu to Pan chciał wejrzeć na ofiarę Abła, a wzdragał się wejrzeć na ofiarę Kaina, przez co zazdrość jego wzbudził i sam stał się przyczyną grzechu bratobójstwa? Któż się okaże sprawiedliwym wobec Pana, jeśli grzech wciska się wszędzie? Doktor mówił kiedyś Szulcowi, że prawdopodobnie grzech jest także i w niebie, dlatego być może zbuntowali się przeciw Bogu wspaniali aniołowie. Tak niekiedy bluźnił przeciw Bogu doktor Niegłowicz, a Szulc milczał, ponieważ w ten sam sposób myślał, gdy zakłuł człowieka dla kromki chleba. Łatwo być sprawiedliwym z pełnym brzuchem i w sytości zmysłów, inaczej zaś jest, gdy siedzi się w leśnej norze i głód pali wnętrzości. Łatwo jest być sprawiedliwym na wysokościach, inaczej jest na Ziemi, gdzie istota ludzka miota się między życiem i śmiercią, między radością i cierpieniem. On, Otto Szulc, każdemu mówi, aby żył na świecie jak pielgrzym i myślał o zbawieniu swej duszy, lecz ileż razy łamał te przykazania jak chrust do pieca? Czy nie zgrzeszył strasznie wobec Ruth Miller, która w rok po wojnie powróciła do Skiroławek niemal naga i bosa, z malutką Bertą na rękę? Jakże piękną mu się wówczas wydała, zgrzeszył z nią myślą i uczynkiem. Ale ją zawsze nie jako gospodynię a służącą traktował, nie jako człowieka, lecz jako rzecz. I gdy pojawiali się we wsi rozmaici maruderzy z bronią i bez broni, on zaś już wszystko, co było ukryte pod klepiskiem i w innych miejscach, oddał za cenę życia i spokoju, i nie było też możliwości, aby po pomoc do chorążego na półwysep pobiec, mówił do Ruth: „Wyjdz do nich, pobądź z nimi, a odejdz”. I jakże mógł się

potem ożenić z Ruth, skoro z obcymi ludźmi, choćby i z jego polecenia, byle gdzie się pokładała? Wziął sobie za żonę najmłodszą siostrę Erwina Kryszczaka, gdyż dziewczyną była, a Ruth odeszła z Bertą na życie samotne i trudne dopóki się nią drwał Janas nie zajął.

Tak, był grzeszny i grzesznym pozostał. Aż do tej pory gorzej mu w żyłach ogień, który w nim przed laty rozpałała starsza siostra, Estera. W dojrzewającym zbożu czytała mu, czternastoletniemu chłopcu, prorocтва Ezechyjela o owej niewieście z matki Hetejki i ojca Amorejczyka, co sprośności czyniła na każdym kroku, po wszystkich rozstajnych drogach pobudowała wyżyny swoje, a uczyniła obmierzłą piękność swoją, rozkładając nogi każdemu mimo idącemu. Rozchyliwszy kolana Estera kazała mu się gładzić po owłosionym podbrzuszu, gładziła go po sterczącym członku, aż niemal omdleli od zapachu zboża, rozkoszy i słońca, które lało się z nieba. Ten ogień pali się wciąż jeszcze w jego całym ciele, bo czy inaczej, on, starzec, kiedy mu i druga żona zmarła, chodziłby od czasu do czasu z kurą pod pachą do domu Porowej, która otwierała przed nim swoje obmierzłe wnętrze, on zaś zamiast splunąć i odejść, jeszcze rad w nie zaglądał. Zakradał się też do Porowej stary Kryszczak. Cudzołożył i doktor. Opowiadano wkoło, że musi najpierw upokorzyć kobietę, zanim w nią wejdzie. Lecz przecież wszyscy oni pragnęli ciągle ratować swoje dusze; upadali, ale i podnosili się z upadku; potykali się, ale i prostowali po potknięciu, pomni, że są jak pielgrzymi, którzy ku śmierci dążą.

– A było tam naczynie pełne octu – mówił pastor Dawid Knothe. I zaraz jeden z nich wziął gąbkę, napełnił ją octem, a włożywszy na trzcinę podał do ust Jego, i dał Mu pić. Tak było z Jezusem i tak będzie z nami. Wówczas, w godzinie naszej śmierci, kto stanie przy naszym łożu, gdy zakrzyknjemy: „pragnę”! Powiedziane zostało, że gdy umierał nasz Pan, ciemność zapadła i rozdarła się zasłona w świątyni. Któż z was może powiedzieć, że nie żyje w mroku i że nie ma rozdarłej duszy? Czymże jest mrok, jeśli nie matką lęku, który towarzyszy wam od kolebki aż do śmierci. Czy nie rodzicie się w bólu i trwodze, a potem żyjecie w ciągłym lęku o własne zdrowie, o zdrowie swoich najbliższych? Aż przychodzi konanie pełne bólu i trwogi. Boicie się tego, co było wczoraj, i tego co jest dziś, a także tego, co przynieść może jutro. Lękacie się śpiąc, i jedząc, i rozmnażając się, i unikając rozmnażania. Szyderstwem, kpina, żartem, pięknem lub zabawą, myślą wzniosłą i myślą dociekliwą próbujecie bezradnie wyjaśnić świat, ale im bardziej go sobie wyjaśniacie, tym większa trwoga was ogarnia i zaczynacie się już lękać sami siebie. Czegóż to się już nie boicie? Samotności, i braku samotności. Miłości, i braku miłości. Trwoży was pokarm, który do ust bierzecie, i

woda, którą pijecie. A najbardziej lękacie się tego, co kryje się w mroku waszej duszy; tego, że staliście się jak rozdarta zasłona w świątyni.

Zdawało się pastorowi, że od jego słów miękną ludzkie serca i dają się ugnieść jak glina, znika w ludziach zatwardziałość i nienawiść, odchodzi lęk i ból, a na jego miejsce pojawia się tęsknota za nieznanym i wielkim, za światłością. I może nawet tak było w rzeczy samej w owej krótkiej chwili, gdy w wyobrażeniu widzieli naczynie z krwią niesione do świątyni, aby odkupieni zostali. Lecz zaraz potem znowu ogarnęła ich ludzka troska. I nawet doktor Jan Krystian Niegłowicz pomyślał, że nie chciałby aż tak głęboko zajrzeć w swoją duszę, jak tego pragnął pastor Dawid Knothe. Bo gdyby dane było człowiekowi popatrzeć w głąb siebie, jak w zaczarowane lustro, cóż mógłby zobaczyć?

O TAKICH, CO CUDZOŁOŻĄ WYNAŁAZKAMI SWYMI

W domu doktora Niegłowicza zjadł pastor Dawid Knothe obiad postny, jak przystało na dzień śmierci Jezusa Chrystusa. Pastor miał trzydzieści osiem lat, dom, żonę i trójkę podrastających dzieci, zdrowy i otwarty sąd o rzeczach i świecie, czytał wielu filozofów. Lubił doktor rozmawiać z pastorem, ponieważ słowa i myśli krzyżowały się między nimi jak ostre szpady, inaczej niż w rozmowie z proboszczem Mizererą, który nigdy nie wyszedł poza lekturę neoplatonczyków. Namawiał też niejednokrotnie doktor pisarza Lubińskiego, aby przyszedł na obiad, gdy będzie u niego pastor, albo zgłosi na nabożeństwo u Szulca, ale Lubiński wychowany w kulcie dla filozofii romańskiej, widział w protestantyzmie groźbę dla kultury śródziemnomorskiej. „Zapewniam pana – twierdził Nepomucen Maria Lubiński – że dla Marcina Lutra nie istniała ani mitologia grecka, ani też mitologia rzymska. Bliższy był «Eddy Starej» i «Eddy Nowej»”.

Pod koniec obiadu doktor Niegłowicz zapytał Dawida Knothe:

– Czy pamięta pan, pastorze, co napisał Nietzsche? Że uwierzyłby w Boga, gdyby ten potrafił tańczyć. Czy nie sądzi pastor, że Bóg jest zbyt ponury?

Uśmiechnął się Dawid Knothe i odparował:

– Napisał także Nietzsche: „Gdym szatana swego ujrzał, był on poważny, ponury, głęboki, był to duch ciężkości, przezeń wszystko zginie”.

Po obiedzie doktor wziął do samochodu Joachima i odwieźli pastora Knothe na stację w Bartach, aby jeszcze przed wieczorem przybył do swego odległego domu. W

drodze powrotnej doktor zajechał pod sklep w Skiroławkach, chcąc zaopatrzyć się w papierosy na okres świąt. Czekając w samochodzie na ojca, zobaczył Joachim starą kobietę, która stała przed tablicą ogłoszeniową w pobliżu poczty i głośno płakała. Siekl deszcz ze śniegiem, na ławce obok sklepu nie było nikogo, dlatego stara kobieta mogła płakać w samotności i bez niczyjego współczucia. Widział Joachim, jak topniejący śnieg i deszcz, a także lzy jaśniejszymi smugami znaczą jej brudną i pomarszczoną twarz. Dostrzegł siwe kosmyki włosów wymykające się spod wyszarzałej chustki. Zauważył postrzępioną spódnice, i że jedną pończochę ma opuszczoną aż do kostek, przez co śnieg i deszcz ziębiły jej posiniąłą skórę. A że Joachim wywodził się z olbrzymów wrażliwych na ludzką krzywdę, tedy wysiadł z samochodu i zbliżywszy się do starej kobiety, zapytał ją, dlaczego płacze.

– Niech pan popatrzy na tę tablicę, panie Joachimie – powiedziała do niego stara kobieta, która go widać znała. – Sołtys wypisał nazwiska ludzi, u których na wiosnę będą traktorami orać: Szulc, Kryszczak i Galembka, a także on, sołtys. Bo ci, co nie mają konia albo traktora, na pomoc innych muszą liczyć. W kółku rolniczym trzeba płacić, a oni pomagają za darmo, jak to mówią, po sąsiedzku, za odrobek. Kiedyś pierwsza bywałam na tej liście, potem druga, trzecia albo czwarta. Teraz zaś jestem ostatnia i dlatego płaczę. Bo kiedy u innych już wszędzie owies lub jęczmień, to oni u mnie dopiero zaczną orać.

– Dlaczego? – zdumiał się Joachim.

– Stara jestem, panie Joachimie. Stara i samotna! Synowie i córki dawno mnie odbiegli. Pozostał mi tylko dom i trzy hektary ziemi, wraz z rentą po mężu, który zmarł już dawno...

– Samotnym wdowom powinno się pomagać przede wszystkim – oburzył się Joachim.

– Ma pan rację, panie Joachimie. Tak być powinno. I tak bywa, jeśli wdowa jest młoda albo nie całkiem stara, albo ma młode córki przy sobie. Ja zawsze pierwsza byłam na liście – powiedziała z dumą i jej małe, trochę przekrwione oczy jak gdyby blasku nabrały. Poczul też od niej Joachim dość dziwny zapach, chyba denaturatu.

– Tak, panie Joachimie. Zawsze pierwsza byłam na liście. Mówił do mnie Kryszczak albo i Szulc: „zrobię ci co trzeba, jak dasz włoszek ze swojej łaskotki”. I dawałam im, panie Joachimie, bo jeszcze się taka wdowa nie znalazła, co by jej włosów w tym miejscu zabrakło. A jeszcze lepiej, żeby córki już włochoate miała. I tak jest sprawiedliwie, ponieważ ten, co pracuje u wdowy, musi mieć ze swej roboty jakiś pożytek. Ale teraz u Millerowej będą orać i siać, bo córki ma dorosłe. U robotników leśnych będą orać, bo

żony ich są młode. A taką starą jak ja, to najwyżej zbój jakiś koło cmentarza napadnie, a i to nie jest pewne, bo może mi się to tylko po pijanemu wydawało. Na starą babę, panie Joachimie, to nawet stary kozioł nie wlezie. I źle robi, bo stara wie lepiej jak dawać i w ciężę nie zachodzi. Robiłam to ja lepiej, panie Joachimie, niż Porowa. Dlatego na pierwszym miejscu zawsze byłam, a teraz na ostatnim. I nikt tego już nie zmieni, nawet sam Pan Bóg.

Wyrzekła te słowa już nie do Joachima, tylko do doktora, który stanął za plecami swego syna i od dłuższego czasu słuchał jej skarg. Rozumiał doktor, jak bezradny czuje się Joachim i jak przeraża go prawda, której się dowiedział.

– Załatwię to wam jakoś, Jastrzębska – rzekł Niegłowicz i na kartce, która wisiała na tablicy ogłoszeniowej z listą nazwisk, ołówkiem dopisał: „Psalm 106, werset 39”. I podpisał swój złożył.

W domu Joachim zapytał ojca:

– I przestraszą się słów psalmu?

– Nie wiem – odparł szczerze Niegłowicz. – Pamiętam jednak, co mówił dziś rano pastor Dawid Knothe. Człowiekiem rządzi lęk. Rzecz w tym, że nie każdy boi się tego samego.

– A skąd tak dobrze znasz psalmy, ojczy?

– Jak to, skąd znam? – zdumiał się doktor. – Przecież staliśmy się tutejsi.

Jeszcze tego samego dnia, późnym wieczorem, przyszedł do domu doktora sołtys Jonasz Wątruch i pokazał nową listę, na której stara Jastrzębska zajmowała czwarte miejsce. „Wiele złego przychodzi na sprawiedliwego; ale z tego wszystkiego wyrывa go Pan” – oświadczył Jonasz Wątruch, żegnając doktora.

Zdumiony skrucną sołtysa poprosił Joachim Gertrudę, aby mu Biblię pożyczyła. Odnalazł w niej ów werset, który brzmiał: „I zmazali się sprawami swemi, a cudzołożyli wynalazkami swemi”. Pojął Joachim, że przypominając o cudzołożeniu wynalazkami, ojciec miał na myśli traktory oraz siewniki. Zrozumiał również, jak wielką prawdę usłyszał od pastora Dawida Knothe. O lęku, który rządzi człowiekiem.

Nazajutrz doktor odwiózł syna na stację, gdzie zatrzymywał się pociąg z wagonem sypialnym. Całując na pożegnanie ojca w policzek Joachim wiedział już na pewno, że nigdy nie przestanie myśleć o domu na półwyspie, ani nie zapomni, że jest z rodu tych, co nawet nie potrzebują niczego od Kłobuków.

CZEGO JUSTYNA ZAŻĄDAŁA OD ANTKA PASEMKI

W dzień Zmartwychwstania Pańskiego, późnym popołudniem, do domku Justyny Wasilczuk zapukał Antek Pasemko. Otworzyła przed nim drzwi, pozwoliła zasiąść na zydlu, gdyż oświadczył, że ma jej coś ważnego do powiedzenia.

– Jesteś, Justyno, inną niż dziewczęta i młode kobiety w naszej wiosce rzekł i po chwili dorzucił: – Inną niż wszystkie kobiety, które dotąd poznałem. Nigdy nie widziałem cię z gołymi ramionami albo w krótkiej sukience. Piersi masz duże, ale nie obnosisz ich przed sobą jak córki Łaryna, nie obnażasz głębokim dekoltem, aby wabić męskie oko. Nie chodzisz w młodniki z mężczyznami jak Lucyna Jarosz, nie śmierzisz jak Stasiakowa, ale pachniesz miętą, szalwią i piołunem. Nie przesiadujesz na przyzbie z rozchylonymi kolanami, aby każdy mógł ci trochę zerknąć między nogi. Idąc przez wieś nie patrzysz na boki, nie przyglądasz się mężczyznom, nie uśmiechasz kusząco, nie oglądasz się za siebie. Nie ujrzałem cię dotąd w spodniach ani w spódnicy obciskającej biodra i pośladki, nie korzystasz z byle okazji, aby wypiąć ku mężczyznom swój tyłek, jak to czyni ciągle Zofia Widłag. Wydajesz mi się kobietą czystą, choć męża miałaś i z nim żyłaś jak żona z mężem. Wiem o tym od samego Dymitra, którego kiedyś podwoziłem samochodem, gdy pracowałem jako kierowca. Opowiadał mi, że noc w noc na próżno leje w ciebie nasienie, ty jednak jesteś jałowa i dlatego coraz częściej cię bije.

– To on był jałowy – odrzekła Justyna i usiadła skromnie na drugim zydlu naprzeciw Antka.

Była w ciemnej szerokiej spódnicy z szarym fartuchem. Ramiona i głowę okrywała jej czarna chustka. Słyszac pukanie do drzwi, jak przystało wdowie, narzuciła na siebie żalobną chustkę. Teraz dłonie skromnie złożyła na podołku i ciekawie słuchała słów Antka, choć oczy jej nie objawiały zainteresowania. Tak postępować nakazywał jej spryt. Ale skąd się on w niej brał, tego nie wiedziała.

– Tak, to on był jałowy – przytaknął głową Antek. – Dlatego zaboląły mnie jego słowa o tym, że cię bije, tak piękną i tak czystą. niesprawiedliwy mi się wydał i wymierzyłem mu sprawiedliwość. To ja zepchnąłem go nocą do przerębli, gdzie utonął i uwolnił cię od siebie.

– Nie mów tak – powiedziała cicho Justyna. – Nie bierz winy na siebie. Zabiły go moje modlitwy i Matka Przczysta.

Bezwiednie spojrzała w kąt izby, gdzie wisiała poczerniała ikona i stwierdziwszy,

że nie pali się pod nią świeczka, zaraz wstała z zydła i świecę pod obrazem zapaliła. Potem znowu usiadła przed Antkiem.

– Mam prawie tyle lat, co ty, Justyno – zaczął znowu Antek. – I dobry zawód posiadam. Gdybyś chciała zostać moją żoną, Justyno, ty, tak piękna i czysta, tak dobra i tak niewinna, gotów byłbym wrócić na Wybrzeże i zarabiać na nas dzień i noc.

– Przez rok będę w żałobie – oświadczyła Justyna. – Nie przez sześć miesięcy jak inne, ale przez rok. Przyjdź do mnie po tym czasie, a usłyszysz odpowiedź. Nie wiem, czy powiem „tak”, i nie wiem, czy powiem „nie”. Najpierw jednak musisz mi się postarać o Kłobuka, który będzie spełniał moje życzenia.

Antek wzruszył ramionami. Dziwne mu się wydały jej słowa, odniósł wrażenie, że go lekceważyła, potraktowała jak małe dziecko. Zdawał sobie sprawę, że choć byli prawie w równym wieku, to przecież on z powodu swej drobnej budowy wciąż na chłopca wyglądał, a nie na mężczyznę, ona zaś była roslą i dojrzałą kobietą. Jak ją przekonać, że nie jest chłopcem?

– Być może, Justyno, myślisz o mnie źle, ponieważ kulawej Marynie matka moja płaci na dziecko. To prawda, że, jak to się mężczyznom w stanie kawalerskim zdarza, poszedłem z młodym Galembką i Frankiem Szulcem do kulawej Maryny, którą wódką spoliśmy. Przysięgam ci jednak, że nic z nią nie miałem, gdyż poczułem do niej wstręt. Dziecko zrobił jej albo młody Galembka, albo Franek Szulc, lecz ona mnie o to oskarżyła. Matka moja, która jest innej wiary niż mój ojciec i często u proboszcza Mizerery się spowiada, nie chciała włączyć po sądach i sama z własnej woli na owo dziecko zaczęła płacić, choć ja ojcostwu zaprzeczam. Nie myśl jednak o mnie źle, że do kulawej Maryny jak mężczyzna poszedłem, gdyż jestem mężczyzną.

– Dymitr też był mężczyzną – powiedziała drwiąco.

– Wiem – z radością podchwycił jej słowa. – Lękaś się, że znowu noc w noc będę lał w ciebie nasienie i czekał aż dziecko urodzisz. Nie, Justyno, tak między nami nie będzie. Ja tylko chcę mieć ciebie przy sobie i modlić się jak do świętej.

Z trudem powstrzymała uśmiech, a on dostrzegł drganie jej ust i pomyślał, że chciała powiedzieć „tak”, ale zabroniła jej tego wrodzona wstydlivość i skromność. Ogarnęła go radość i jak gdyby otworzyły się w nim jakieś upusty dla słów i myśli dotąd nikomu nie wypowiedzianych:

– Nie znasz mnie, Justyno. Nikt w tej wiosce tak naprawdę mnie nie zna, nawet mój ojciec, matka, bracia. Ukrywam swoje myśli, gdyż nie chcę, aby mnie wyśmiano. Z jednym tylko człowiekiem od czasu do czasu rozmawiam swobodnie, to jest z Jonaszem Wątruchem, który podobnie jak i ja wierzy, że Ziemią rządzi Szatan. A

wiem to z ksiązek świętych, jakie w dzieciństwie czytał mi ojciec. On jest innej wiary niż moja matka, chodzi do domu Szulca, a nie do kościoła. Ja zaś nie wierzę słowom pastora Knothe ani Mizerery. Sam potem czytałem święte księgi i wiele stron z nich poznałem na pamięć, ale z nikim oprócz Wątrucha o tym nie rozmawiam, gdyż nie chcę, aby ze mnie drwiono. Jest bowiem, Justyno, Stary Bóg i Nowy Bóg, tak jak jest Stary i Nowy Testament. Nauczę cię wiary w Starego Boga i razem będziemy się do niego modlić. Musisz wiedzieć, Justyno, że Bóg ma dwóch ukochanych synów: Szatana i Jezusa Chrystusa. To oni stoją po obydwu stronach jego tronu. Którego więcej kocha, nie wiadomo. Ale to prawda, że Ziemię oddał Szatanowi, choć potem przysłał drugiego syna, Jezusa Chrystusa, aby ludzi odkupił swoją krwią i otworzył im drogę do raj. Ziemia jest jednak wciąż w mocy Szatana i ludzie mogą wybrać między nim i Jezusem Chrystusem. Do Królestwa Niebieskiego wejdą jednak tylko sprawiedliwi. A czy to wiesz, Justyno, co to znaczy być sprawiedliwym? Karać trzeba występki i zło, obmierzałość ludzką i plugastwo, żyć w czystości i czuć wstręt do Szatana, który występuje w nas pod najróżniejszą postacią...

Urwał, gdyż odniósł wrażenie, że go nie słucha. Podniósł się z zydl, podszedł do Justyny, pocałował ją w prawą dłoń.

– Przyjdę do ciebie za rok, a ty mi powiesz „tak” lub „nie” – powiedział na odchodnym.

– Przedtem jednak przynieś mi Kłobuka – rzekła, a on skinął głową i wychodząc pomyślał, że przyjdzie też taki czas, gdy ona będzie jego żoną, a wtedy przekona ją, że jest człowiekiem sprawiedliwym. Nadejdzie również być może taka chwila, gdy Jonasz Wątruch uwierzy, że od obecności Szatana uwolnić się można nie przez miłosierdzie, ale przez sprawiedliwość.

O SZCZUPŁYCH POŚLADKACH PANI ALDONY I O TYM, JAK PISARZ LUBIŃSKI ZBÓJOWAŁ AŻ W CZTERECH JĘZYKACH

Bogumił Porwasz obudził się około południa w drugie święto Wielkiejnocy z ogromnym, wszechogarniającym go uczuciem nienawiści do kobiet. Uczuciu temu mógł się poddać z największą swobodą, a także czerpać z niego jakąś bolesną

przyjemność, jak z rozdrapywania jeszcze nie zasklepionej rany, ponieważ wiedział na pewno, że za godzinę lub cztery pani Aldona wsiądzie w swój samochód i opuści Skiroławki. Wprawdzie jeszcze leżała obok niego na tapczanie i śpiąc sapała przez nos, Porwasz miał jednak świadomość iż, gdy się zbudzi, nie starczy już jej czasu na miłość; od wtorku czekała ją praca w stolicy. Złote włosy pani Aldony przepięknie wyglądały na poduszce, ale twarz tej kobiety, bez makijażu i szminki, wymęczona namiętnością, wydawała się starą i brzydką. W ledwo zauważalnych zmarszczkach koło oczu, w głębszych nieco bruzdach blisko ust dostrzec można było cienie uspionych na moment żądź. Spała na plecach, z rozrzuconymi nogami i podkurczonymi kolanami, jakby żądź, jakie kotłowały się w jej wnętrzu, w rzeczywistości nigdy nie zasypiały. Ciało tej kobiety zdawało się być zrobione z jakiegoś niezwyklego metalu, nagrzewało się błyskawicznie i wytrzymało nadludzkie trudy. Nawet gdy wypoczywała, Porwasz starał się nie dotykać jej choćby naskórkiem, ale odsuwał się na brzeg tapczanu w obawie, że dotknięcie to stanie się iskrą, która ją rozbudzi. Albowiem w życiu swoim malarz Porwasz wiele kobiet, lecz nigdy dotąd nie zetknął się z istotą o tak wygórowanych żądaniach, tak bezwzględną w powolnym dochodzeniu do rozkoszy. Po sześciu dniach i pięciu nocach współzycia z tą niewiastą odczuwał ból nie tylko w członku, mosznie, w mięśniach brzucha, ramion, lecz nawet w karku. Miał nie tylko pogryzione wargi i opuchnięty język, ale bolały go nawet włosy na głowie. Silniejsze jednak od owego bólu były męki jego sponiewieranej godności męskiej. Porwasz odnosił wrażenie, że znalazł się na dnie głębokiej jamy, pełnej błota i brudu; z przerażeniem myślał, że być może nigdy już nie zdoła podnieść na żadną kobietę pożądliwego wzroku. Nie dziwił się teraz, że aż trzech mężów uciekło od pani Aldony. Mimo swej urody i prezencji nie potrafiła chyba na dłużej znaleźć kochanka, skoro, zaledwie poznawszy Porwasza, podjęła trud przyjazdu do dalekich Skiroławek. Chwilami, a właściwie godzinami, gdy skazany był jedynie na widok jej szczupłych pośladków, budziło się w nim pragnienie, aby udusić ją, rozżarzoną żelazem wypalić jej wiecznie głodne i spragnione męczyzny wnętrze. Ona zaś, jak gdyby odgadując jego myśli, stawała się jeszcze bardziej podniecona i śmiała się gardłowo: „Tak, tak, zrób to, zrób, Bogusiu”. A jego przenikało przerażenie, że co najwyżej uczyni martwym jej ciało, lecz nie zdoła unicestwić samej pożądliwości, która była w niej, ale zarazem obok, bo gdy wstawała z łóżka i narzucała na siebie szlafrok, natychmiast stawała się zimną, obojętną, jak gdyby właśnie martwą. Wystarczyło jednak, że go zdjęła, a już na nowo rozbudzały się w niej żądź, poprzez sam gest obnażania uwalniała się z kokonu chłodu i obojętności. Przypominała wówczas cesarżową Teodorę, o której na przyjęciu u

pisarza Lubińskiego opowiadał niegdyś doktor Nieglowicz, powołując się na „Historię sekretną” Prokopa z Cezarei. Lecz jeśli tamta żaliła się na los niewiasty wyposażonej przez naturę tylko w trzy otwory, to ta z zadziwiającą bezwzględnością egzekwowała od mężczyzny zajmowanie się wszystkim, co jej natura dała. I to wszystkim naraz, niejako jednocześnie.

A przecież, gdy po raz pierwszy położyła się naga na tapczanie i rozrzucając na boki szczupłe uda ukazała mu swą kobiecość podobną do stulonego nieco kwiatu o bladoróżowych płatkach, nieregularnych i postrzępionych na brzegach (potem ujrzał ów kwiat już rozwinięty, ale jeszcze nie całkiem rozchylony, połyskujący delikatną rosą i wabiący tajemniczą głębią czerwonego kielicha) doznał tak ogromnego pożądania, że w pośpiechu połamął ząbki błyskawicznego zamka w spodniach, byle jak najszybciej znaleźć się na niej. Kielich rozchylił się i wprowadził Porwasa w głębię bez dna, w szczelinę o porowatych i silnych ścianach, w jakąś krtań, która najpierw zacisnęła się z taką mocą, że Porwasz o mało nie jęknął z bólu, potem chciała go wypchnąć i znowu chwyciła, wsysając i wypychając wciąż od nowa i od nowa, w nieregularnym, ale przecież nieustannym rytmie. A kiedy wreszcie Porwasz dał ulgę swej pożądlivości i wyrwał się z niej, ze strachem spostrzegł, że owa krtań ciągle pulsuje, poruszają się płatki kielicha, cały ów kwiat otwiera się i zamyka jak pysk ryby wyjętej z wody. Szare oczy pani Aldony patrzyły na Porwasa z jakąś chłodną ironią, on zaś nie mógł oderwać oczu od owego pulsującego kwiatu, który raz po raz pokazywał swoją czerwoną głębię. Aż wreszcie pani Aldona złożyła nogi jak motyl składa skrzydła i odebrawszy Porwaszowi widok swego wnętrza, powoli podniosła się z tapczanu, narzuciła szlafrok, stając się sztywną, chłodną, odpychającą. „Nie bój się” – powiedziała do Porwasa, głaszcząc go po głowie. – „Zjemy coś teraz, a później nauczę cię, jak trzeba ze mną postępować”.

Walizki pani Aldony zawierały mięsa wędzone, chleb, masło, ciasta rozmaite. Coraz nowe porcje nakładała Porwaszowi na talerz, ale sama – jak to wspomniano – jadła mało. Jej długie nogi o szczupłych udach, ledwie zarysowany brzuch z sinymi rozstępami skóry po kiedyś przebytej ciąży, obwisłe piersi z dużymi brązowymi talerzyczkami sutek, wąskie plecy i chude ramiona – zdawały się żądać zupełnie innych pokarmów. Mechanizm tego ciała napędzała żądza poprzez jakiś zadziwiający metabolizm namiętności. Wąskie usta pochłaniały tylko małe kęsy, ale Porwasz wprost fizycznie odczuwał głód owej istoty, ukrytej pod szlafrokiem, przyczajonej w zaciśnięciu ud. Widział na sobie nieruchomy wzrok pani Aldony, niby to zimny i obojętny, a przecież tworzący między nią a nim jakieś ogromne napięcie, niewidoczną iskrę, która przeskakiwała z niego na nią lub też odwrotnie, ładując w niej potężny

akumulator żądry.

Niewiele dała mu czasu na odpoczynek. Bez żenady pokazała mu kilka przedmiotów o dość nieskomplikowanym kształcie i pouczyła, jak ma się nimi posługiwać. W istocie rzeczy potwierdziła tym tylko jego przecucie, że ciało jej pozostawało jedynie mechanizmem dostarczającym rozkoszy, on zaś miał umiejętnie wprawiać w ruch ów mechanizm. Tak z godziny na godzinę tracił Porwasz poczucie swego człowieczeństwa, a nienawiść, która dodawała mu sił, wzmagала jej przyjemność.

Ile razy dał jej prawdziwe szczęście? Nie pozwoliła mu tego odczuć, bo gdy już zmęczona padała wreszcie obok niego na tapczanie, a on udając, że śpi, mocno przymykał powieki, jej palce rozpoczynały mozolną wędrówkę po jego ciele. Wślizgiwały się w splecione na piersiach czarne kędziory włosów, pełzały po jego szorstkich udach, po brzuchu i podbrzuszu. W takich chwilach odnosił wrażenie, że łążą po nim jakieś gady lub stada ruchliwych robaków i zamiast przyjemności odczuwał wstręt. Miał ochotę zerwać się z tapczana, uderzyć ją w twarz, połamać miłosne narzędzia, poranić mechanizm jej pożądliwego ciała, silnym kopnięciem wyrzucić nagą za drzwi swego domu. Ale ona, odgadując chyba jego myśli i pragnienia, szeptała mu do ucha: „jesteś cudowny, Bugusiu, jak żaden mężczyzna, którego dotąd spotkałam”. Więc uspokajał swoje pragnienia i dusił nienawiść, liczył dni i godziny do jej odjazdu, rzeczywiście wierząc, że dał jej więcej niż inni. Był bowiem malarz Porwasz próżny w tych sprawach jak prawie każdy mężczyzna. Dawno porzucił wiek młodzieńczy, gdy to popada się w ekstazę od dotknięcia dziewczęcych majtek i wiedział, że mężczyzna wiele jest winien kobiecie, jeśli ze wzajemnego zbliżenia mają osiągnąć podobną korzyść. Lecz chyba istnieją na świecie jakieś granice, które ktoś kiedyś nakreślił, zezwalając mężczyźnie na bunt i rezygnację z męskiej sprawy czynienia kobiecie dobra? Gdzie jednak i na jakich tablicach wyryto prawa mężczyzn i prawa kobiet w drodze do rozkoszy? Pytał się o to siebie malarz Porwasz i nie znajdował odpowiedzi. Dlatego tym większa stawała się jego nienawiść.

Wiele razy w swym życiu myślał Porwasz o związaniu się na stałe z jakąś kobietą, ale decyzję w tej sprawie – choć niejedna dziewczyna namawiała go na małżeństwo – odkładał zawsze aż do chwili, gdy osiągnie finansową stabilizację. Przecież nawet ów kryty eternitem dachowiec w Skiroławkach faktycznie nie był jego własnością, a tylko został zapisany na jego imię i nazwisko. Postawił ten dachowiec – podobnie jak dwie wille w Zakopanem i jedną pod Warszawą – jego daleki krewny, prywatny i niezbyt uczciwy przedsiębiorca budowlany. Świadomy, że kiedyś powinie mu się noga, nastąpi proces sądowy i przepadek mienia, wille w Zakopanem, dom pod Warszawą i

dachowiec w Skiroławkach pozapisywał na nazwiska swoich bliskich. W ten sposób Bogumił Porwasz zamieszkał w dachowcu i notarialnie był jego właścicielem, podobnie jak formalnie stał się właścicielem samochodu marki Range rover, gdy w rzeczywistości wszystko to należało do innego człowieka, który zresztą wkrótce, zgodnie ze swymi przewidywaniami, znalazł się w więzieniu. Rzecz w tym, że Porwasz nigdy nie zamierzał zwrócić dachowca i samochodu ani swemu krewnemu, ani nikomu z jego rodziny, usprawiedliwiając się przed sobą, że złodziejowi publicznego mienia odpłaca prywatną kradzieżą, a poza tym, nie ma innego mieszkania. Z czasem, gdy wizyty żony uwięzionego krewniaka stawały się coraz rzadsze i rozmaite jej pogrożki przestały sprawiać na Porwaszu jakiegokolwiek wrażenie, powoli nabierał pewności, że w rzeczy samej jest właścicielem dachowca, co potwierdzały księgi wieczyste u rejenta w Bartach. Łatwo mu było dojść do owej pewności, ponieważ nikt w Skiroławkach nie domyślał się jego sytuacji, a krewny w więzieniu, tudzież jego rodzina starannie ukrywali tę sprawę przed oczami innych ludzi w obawie przed dodatkową karą, a także poniekąd uspokojeni informacją, której udzielił im Porwasz na odczepne. Obiecał, że gdy dorobi się na swoich obrazach, zwróci równowartość dachowca oraz samochodu. I nawet, co ciekawe, sam uwierzył, że właśnie tak kiedyś uczyni.

Tak więc, Bogiem a prawdą, jedynym droższym przedmiotem, który Bogumił Porwasz nabył w swoim życiu za własne pieniądze – była standardowa belgijska strzelba nadlufka. Kupił zaś ją w tym celu, aby ustrzeliwszy od czasu do czasu sarenkę, koziołka lub dziką kaczkę, pozostawać niejako na własnym wikcie, bez konieczności wydawania pieniędzy w sklepie. Niestety, Porwaszowi zabrakło serca i myśliwego – ilekroć miał już na muszce jakieś leśne zwierzę, robiło mu się go żal i nie trafiał.

Nie ożenił się jednak malarz Porwasz nie tylko dlatego, że wciąż pozostawał daleki od stabilizacji finansowej, ale dlatego, że kobiety, z którymi miał do czynienia, nigdy jakoś nie wydawały się mu godne małżeństwa. Marzył sobie bowiem malarz Porwasz – i to przez długie lata – o istocie pięknej nad wyraz i nie skalanej dotknięciem mężczyzny, a takiej nigdy jakoś nie spotkał. Stąd tak bliską jego sercu stała się postać pięknej Luizy, nauczycielki, którą wyimaginował sobie pisarz Lubiński. Kiedyś zwierzył się Porwasz doktorowi ze swego ideału kobiety-żony, a ten niejako mimochodem napomknął, że kult cnoty kobiecej, czyli hymenu, noszą w sobie zazwyczaj mężczyźni, którzy w dzieciństwie albo w okresie pokwitania spotykali się z rozwiązłością własnych matek lub sióstr. Poraziły te słowa Porwasza, gdyż i z nim tak właśnie było w rzeczy samej. Urodził się w stolicy, w wielodzietnej rodzinie wiecznie pijanego dozorca, który stręczył swą żonę, a później także i córki, przeróżnym, przeważnie pijanym mężczyznom.

Mieszkali w jednej dużej izbie na parterze starej kamienicy, w izbie znajdowały się trzy duże łóżka, gdzie spał Porwasz, ojciec i matka, dwaj bracia i trzy siostry. Bogumił był najmłodszy, toteż, gdy zjawiał się jakiś chętny do miłości, po prostu przesuwno go na sam brzeg, pod ścianę i uprawiano miłość tuż obok niego, na tym samym łóżku i pod tą samą kołdrą. Dwaj starsi bracia Bogumiła stali się z czasem częstymi gośćmi więzienia, trzy siostry spacerowały po ulicy w poszukiwaniu klientów, Bogumił natomiast nigdy nie wszedł w kolizję z prawem, uczył się dobrze, pięknie malował, a dzięki różnym stypendium oraz darom z Opieki Społecznej, mógł ukończyć liceum ogólnokształcące, a potem Akademię Sztuk Pięknych. Było dla niego oczywiste, że nie spłodził go pijany dozorca, ale któryś klient, obdarzony talentem i inteligencją, stąd też przenigdy nie poczuwał się do silniejszych związków ze swoją rodziną. Dlatego gdy osiadł w dachowcu nie kontaktował się ani z rodzicami, ani z rodzeństwem, nawet im swego adresu nie podał. W dwa lata po fakcie dowiedział się o śmierci matki od przypadkowo spotkanej w stolicy prostytutki, w której rozpoznał swoją średnią siostrę. We własnym przekonaniu czuł się synem jakiegoś wielkiego malarza pejzażysty (bo i tacy odwiedzali mieszkanie Porwaszów). Niekiedy także patrząc z uwagą na własne obrazy, owe trzciny nad jeziorem, z układu barw, a także sposobu trzymania pędzla, starał się odnaleźć w sobie więzy krwi z jakimiś wielkościami malarskimi. Niestety, nigdy nie udało mu się trafić na właściwy ślad, a raczej nigdy nie miał dostatecznej pewności, że trop ów jest prawdziwy. Odcinając się zdecydowanie od własnej przeszłości, nosił w sobie jednak ideał kobiety cnotliwej i czystej, co, jak się okazało wedle słów doktora, demaskowało jego przeszłość. Pozbył się więc szybko owego ideału, nie szukał już kobiety cnotliwej i nieskazitelnej, zdobył się nawet na to, aby od czasu do czasu drwić sobie odrobinę z cnotliwości pięknej Luizy.

Pierwszy kontakt erotyczny miał malarz Porwasz w wieku trzynastu lat. Skłoniła go do tego koleżanka siostry, siedemnastoletnia prostytutka. Uczyniła to dla zabawy, a raczej z nudów, bo akurat wraz z siostrą Porwasza leżały w łóżkach, czekając na klientów, Boguś zaś przy stoliku w pobliżu okna odrabiał lekcje. „Daj no go tutaj do mnie” – rozkazała siostrze Bogumiła. – „Jest już duży i niech spróbuje moich smaków”. Wtedy siostra wzięła Bogumiła za rękę, przyprowadziła go do tamtej, która leżała na łóżku i paliła papierosa. Była w ubraniu, lewą ręką podciągnęła spódnicę, z prawej nawet nie wypuszczając papierosa. Bogumił zdjął spodnie i skończył sprawę, zanim dziewczyna dopaliła papierosa do końca. „Fajnie było, nie?” – zaśmiała się do Bogumiła. – „Ale następnym razem już nie dam za darmo”. Tak poznał malarz Porwasz smak kobiety i stwierdził, że jest to coś tak samo przyjemnego jak malowanie; w tym czasie bardzo lubił

malować na kartonach bloków rysunkowych. Rówieśnicy szkolni Bogumiła Porwasza także w tym czasie poznawali tajemnice miłości, ale z ich zwierzeń wiało grozą. Opowiadali o dziewczynach, które się broniły, krzyczały, potem najczęściej płakały, gdy tymczasem w wyobrażeniu Porwasza była to sprawa najprostsza w świecie. Po prostu dziewczyna podciągnęła spódnicę i nie musiała nawet do końca wypalać papierosa. Bo i potem udawało mu się za darmo korzystać z usług koleżanek jego siostry, a nawet stał się tak bezczelny, że nie zgadzał się odstąpić swego miejsca w łóżku, jeśli nie otrzymał potem odszkodowania w naturze. Nie napotykał wstrętów, płaczów i krzyków, wszystko było jasne, proste, oczywiste i przyjemne. Zaspokojenie młodzieńczej żądz stawało się dla Porwasza sprawą najłatwiejszą w świecie, jeśli się miało pieniądze. Bywało bardziej skomplikowane, jeśli się tych pieniędzy nie posiadało. On ich nigdy nie miał, więc czasem musiał wysilać głowę, aby koleżankę którejś z sióstr nakłonić do udzielenia mu przyjemności. A owa przyjemność nie kojarzyła się Porwaszowi ani z głębszym uczuciem, ani z żadnym obowiązkiem, koniecznością rozmowy lub spaceru, wspólnoty zainteresowań czy dążeń. Ze zdumieniem, a nawet z obrzydzeniem obserwował na ekranie kin zawile perypetie miłosne jakichś obcych ludzi, którzy sprawiali na nim wrażenie idiotów ponieważ nie mieli pojęcia, że w miastach, gdzie żyli, były zapewne takie same izby jak u nich, a może nawet tych miejsc było więcej i ładniej urządzonych, z ładniejszymi dziewczynami.

Jednakże w miarę upływu lat nawiązanie kontaktu z dziewczyną uczciwą stało się dla Porwasza symbolem wspinania się z dołu ku górze, jak dla Wokulskiego – o czym pamiętał z nauki języka polskiego – wyjście z piwnicy Hopfera. Niestety, udało mu się to dopiero po maturze i po egzaminie na Akademię, gdy znalazł się na plenerze. Tam właśnie dopuściła go do siebie starsza od niego o cztery lata rzeźbiarka – mała, brzydka, umięśniona jak ciężarowiec, ale z opinią kobiety nie do zdobycia, a więc na pewno uczciwej.

Jej wymagania zaskoczyły Porwasza. To już nie było proste podciągnięcie spódnicy i palenie papierosa, niekoniecznie nawet do końca. Trwało to nie krótko, ale wiele godzin, niekiedy przez całą noc. Umięśniona rzeźbiarka traktowała go jak małpę, którą przyuczała do zabawy z własnym ciałem, a były to zabawy niezwykle wyszukane, zadziwiające swoją formą i treścią, czasem przyjemne, a nawet rozkoszne, częściej jednak bolesne i męczące. Od owej rzeźbiarki dowiedział się Porwasz, że w miłości z uczciwą kobietą tylko niewielką rolę wyznaczono członkowi męskiemu. Kobieta uczciwa i trudna do zdobycia żądała wielkiego zaangażowania rąk, które musiały ją obejmować, głaskać, pieścić, domagała się wysiłku ust, które przeznaczone były nie

tylko do wygłaszania ciepłych i czułych słów (a tych nigdy kobietom uczciwym nie było dość), lecz takie do nieustannego całowania i dotykania. Tak więc w pożyciu z kobietą uczciwą mężczyźni nie pozostawiała nic, co mogło stanowić jego wyłączną własność, lecz wszystko należało do kobiety, każdy skrawek męskiego ciała, każda myśl, każde słowo, każde uderzenie serca. I jakby tego nie dosyć w stosunku z uczciwą kobietą mężczyzna pozostawał wciąż jak gdyby niewypłacalnym dłużnikiem, częściej od pochwał za swoją miłość i erotyczne zabiegi słyszał płacze i wyrzekania, że nie dosyć jest kochana i pieszczona, że jej uczciwość nie w pełni została wynagrodzona. Tęsknił więc Porwasz do kobiet łatwych i ogólnie dostępnych, tak prosto załatwiających z mężczyzną owe męsko-damskie sprawy. Niestety, raz wyszedłszy z ponurej piwnicy swojej przeszłości, powrót swój do niej widział Porwasz niemożliwym, ponieważ oznaczałby, że niczego w życiu nie osiągnął. Ambicja zresztą, która wypełniała bez reszty duszę Porwasza, nie mogła pozostać obojętna na jego stosunek do kobiet. Pragnął mieć odtąd kobiety coraz uczciwsze i coraz trudniejsze do zdobycia, a zarazem spełniać ich oczekiwania a nawet zaskakiwać, budzić zachwyt, uznanie, szacunek, miłość. Tedy raz wstąpiwszy na ową drogę, Porwasz już nie mógł się wycofać, nawet jeśli w rzeczy samej od czasu do czasu nurtowała go tęsknota za przeszłością. Albowiem miał już pełnię świadomości, że od kobiet sprzedajnych każdy mężczyzna za tę samą sumę pieniędzy mógł uzyskać to samo, podczas gdy w pożyciu z uczciwymi kobietami istniała nadzieja otrzymania więcej od innych. Z czasem zaczął Porwasz odczuwać coś w rodzaju litości dla kobiet sprzedajnych, raziła go ich wstydlivość i standardowość, skłonność do jednego tylko schematu miłości. Pamiętał przecież, że jedynie w wyjątkowych wypadkach, i to za duże pieniądze, godziły się robić to, co kobiety uczciwe czyniły chętnie i bez żadnych oporów. To one zaskakiwały swoim cudownym bezwstydem i gotowością do najbardziej wyszukanych usług. Zresztą kobiety uczciwe były także w pewien sposób sprzedajne, oddawały się bowiem za rozkosz lub nadzieję rozkoszy, co jednak świat wyżej cenił niż pieniądze. Prostytutce wystarczyło machnąć przed nosem wypchanym portfelem, kobiecie uczciwej należało obiecać moc wyszukanych rozkoszy, w pojęciu Porwasza nie różniły się więc zbyt wiele, jednak ze względu na swe wygórowane ambicje wolał kobiety uczciwe. A raz wszedłszy z nimi w stosunki, nigdy już z drogi owej nie zawrócił, starając się dotrzymać swoich obietnic. Odtąd życie malarza Porwasza, podobnie jak wielu innych mężczyzn obcujących z kobietami uczciwymi, było jednym wielkim pasem nadludzkich trudów. Na szlakach dawania rozkoszy mężczyzna z ambicjami skazany bywał na ogromną samotność, intuicję i wiedzę płynącą z doświadczenia, niekiedy przydatną i owocującą,

niekiedy zaś obciążającą wyobraźnię jak ciężki worek. Z czasem wyobraźnię Porwasa przestały wypełniać twarze kobiece o takich a nie innych oczach, o takim, a nie innym kolorze włosów, zarysie ust i powiek, ale ponieważ wszelkie jego kontakty z kobietami prędzej czy później zmierzały w jednym kierunku, tedy wkrótce we wspomnieniach widział tylko ich przyrodzenia. Zarazem jednak poznając jakąś nową uczciwą kobietę, przystępował do sprawy z nadzieją, że tym razem spełni się z nią fizycznie i duchowo w akcie prostym i łatwym, obopólnie przyjemnym. I za każdym razem przeżywał nowe rozczarowanie, które miało swą przyczynę w ambicji, aby otrzymać więcej niż inni. Nie rozumiał, że nawet działając w dobrej wierze jednocześnie rozbudzał apetyty kobiet, czynił je rozpustnymi, zrywał tamy wokół jezior ich namiętności i zawsze po jakimś czasie tonął, choć był świetnym pływakiem. Nie mają bowiem brzegów ani granic rozbudzone nadzieje erotyczne kobiety uczciwej, która w rozkoszy pragnie znaleźć usprawiedliwienie dla swego odstępstwa od cnoty.

Skazany na wielogodzinny widok szczupłych pośladków pani Aldony, odkrył w sobie Bogumił Porwasz zupełnie nowe zjawisko – dystans wobec własnej przeszłości, jak również przyszłości, która jawiła się przed nim niezwykle groźnie, jeśli nie zdecyduje się zejść z drogi wygórowanych ambicji męskich. Porządkując wspomnienia swoich przeżyć z kobietami, odnajdywał teraz jedynie płytsze lub głębsze ślady własnego upodlenia, i to nawet w tych przypadkach, o których dotąd sądził, że były piękne i dały mu tylko szczęście. Tak na dobrą sprawę, w tej chwili myślał, że jedyne momenty w jego życiu, gdy nie doznał uczucia niesmaku, to były właśnie owe krótkie i do niczego nie zobowiązujące spazmy rozkoszy w izbie rodzinnej. Dziewczyna podciągnęła sukienkę i nie musiała nawet wypalić do końca swego papierosa, on dostawał to, czego pragnął, nikt nie żądał od niego niczego nadzwyczajnego, co najwyżej trochę pieniędzy, których i tak nie dawał, ponieważ ich nie miał. Zapinając rozporek nie miał uczucia niespełnionego obowiązku albo zawiedzionej czyjejs nadziei. Co więc warta była świadomość posiadania uczciwej kobiety, jeśli wiązała się z nią konieczność uwzględnienia wszystkich jej tak bardzo skomplikowanych wymagań, życzeń, wysiłków, w których tonęło się jak w ogromnym i głębokim morzu?

Teraz, leżąc obok pani Aldony, czuł Porwasz, że znowu tonie i tylko dzięki jej porannemu wypoczynkowi może na chwilę wychynąć z głębiny i chwycić haust powietrza. Wiedział, że ratunek dla jego męskości jest być może blisko, jeszcze godzina lub dwie, a pani Aldona odjedzie, może na zawsze. Atoli zdawał sobie sprawę, pomny wielu gorzkich doświadczeń, że po wyjeździe, gdy minie dzień lub dwa, znowu zapragnie kobiety. Tak więc, choć znenawidził samą istotę kobiecości, jednak czuł, że

żyć bez niej nie potrafi i to, że nienawidzi, wcale nie znaczy, iż przestanie pożądać. Czy było jakieś wyjście z tej sytuacji? Czy na zawsze będzie skazany, aby znajdować się na dnie śmierdzącej jamy, nienawidzić i pożądać? Podczas pobytu Aldony został tak sponiewierany, spadł w taką przepaść, że niemożliwością mu się wydało, żeby mógł stoczyć się kiedyś jeszcze niżej. Cóż go więc dalej oczekiwało, jeśli nie droga w górę ku wolności i odbudowaniu własnej męskiej godności? Dzięki Aldonie odniósł nad sobą zwycięstwo – uwolnił się od zacierania swojej przeszłości, kontaktów z dziwkami sprzedajnymi, a także od wygórowanych ambicji, aby w zamian za udzielanie rozkoszy mieć kobiety uczciwe. Odtąd zacznie wyłącznie folgować swemu męskiemu egoizmowi i będzie dawać kobietom tyle, ile od nich weźmie, a może nawet mniej. Przestanie się dręczyć nieustannym poczuciem niespełnionego męskiego obowiązku, skończy mozolne wędrówki po wyszukanych drogach kobiecej rozkoszy. Zadba wyłącznie o siebie.

Tak myślał malarz Porwasz i w rzeczy samej w trzy godziny później czerwony samochód wywiózł ze Skiroławek panią Aldonę oraz walizkę z przyrządami do miłości. Na pożegnanie powiedziała malarzowi wieloznacznie, że być może przyjedzie tu jeszcze kiedyś, a być może przyśle mu swoją koleżankę. Pochwaliła też jego płótna – trzciny nad jeziorem. Mógł więc Porwasz wybrać między wiarą, że sprostą jej nadziejom albo poddać się uczuciu niepewności, że nie okazał się dobrym kochankiem. Lecz jemu było już wszystko jedno, skoro wybrał drogę wolności od męskich ambicji.

Dlatego może na pożegnanie powiedział do pani Aldony tak, jak powiedział:

– Żałuj, że nie znalazłaś trochę czasu, aby poznać tutejszych wieśniaków. Należy do nich słynny na całą okolicę lekarz, o którym mówią, że jest prawdziwym doktorem wszech nauk. Jest wśród nich znakomity pisarz, pogrążony w pracy nad powieścią zbójcejką. Sołtysiem naszym został człowiek, który dwa mundury nosił, niezliczoną ilość odznaczeń bojowych otrzymał, a wszystkie rzucił do bagna. Jesteśmy biedni, ale cenimy swoją godność. To, co wy w stolicy robicie przez cały rok, to znaczy parzycie się ze sobą i wymieniacie, u nas czynimy to tylko raz w roku, pewnej nocy w starym młynie. I nazywamy to pięknie: nocą mieszania krwi. Wy robicie to z chęci zysku albo z rozpusty, a my dla oczyszczenia własnych dusz. Nie przysyłaj mi tu żadnych swoich koleżanek lub przyjaciółek, ale co najwyżej dobrego kupca na obrazy. W stolicy znalazłem się w trudnej sytuacji i sprzedałem ci swoje płótna po trzy tysiące. Teraz będę brał po sześć, gdyż, jak uczy święty Augustyn, liczba sześć jest doskonałą.

W drodze powrotnej pani Aldonie przyszło na myśl, że być może malarz Porwasz ma w sobie coś wielkiego, być może ów baron Abendteuer nie został przez niego

wymyślony, obrazy zaś przedstawiające trzciny nad jeziorem warto komuś odsprzedać bardzo drogo.

A tymczasem Bogumił Porwasz powrócił do swego dachowca krytego eternitem i spokojnie położył się spać na tapczanie, który nosił jeszcze zapach kobiecego potu, męskiego nasienia i wilgoci wywołanej lubieżnością. Spał prawie dwadzieścia godzin, a nazajutrz około południa zapukał do drzwi pracowni pisarza Lubińskiego. Uczynił tak, ponieważ czuł potrzebę, aby komukolwiek zwierzyć się, że stał się człowiekiem wolnym od męskich ambicji. Nie mógł wiedzieć malarz Porwasz, że idzie do kogoś, kto popadał w niewolę powieści zbójckiej, niewolę potężną i groźną. Bo jeśli Porwasz przez wiele godzin widział jeno szczupłe pośladki pani Aldony, to pisarz Lubiński w tym samym czasie widział coś więcej, wzniosł się być może wyżej niż Porwasz, ale zarazem spadł daleko niżej. A między owymi wyżynami i nizinami, podobnie jak Porwasz, przeżył morze niepewności, zwątpienia, wstydu, lęku i odwagi w daleko większym niż u Porwasza wymiarze.

Roztargnionym gestem pisarz wskazał Porwaszowi ławę okrytą szorstką skórą dzika, ale na malarza nawet nie spojrział. Wzrok pisarza kierował się za okno na płaską powierzchnię jeziora, ale chyba jej także nie dostrzegał, potem na moment zatrzymał na kartkach papieru leżących na stole. Na nich to kroczył pisarz Lubiński po manowcach powieści zbójckiej, na które sprowadziła go pani Basieńka; łamał się ze swoją wstydlivością, ale także odkrywał w sobie pokłady rozwiąłości, która go zaskakiwała w sposób oszałamiający. Czuł Porwasz, że pisarz Lubiński jest dziś jakby zupełnie innym człowiekiem i obserwując go, taktownie milczał. I tylko pani Basieńka, nieświadoma tych spraw, radośnie krzątała się po swej wykładanej białymi kafelkami kuchni, ciesząc się, że mąż jej wejdzie między sławy. Na tę okazję włożyła na siebie sweterek o dwa numery za mały, uwypuklając wyraźnie diabelskie różki, co, jak się jej wydawało, powinno natchnąć męża do prawdziwego zbójowania w prozie. Lecz on był zbyt roztargniony, aby to dojrzeć, podobnie jak zdawał się nie dostrzegać Porwasza. I tak obydwoj ci mężczyźni siedzieli naprzeciw siebie chyba z godzinę, a żaden nie rzekł ani słowa.

Zaniepokojona ciszą trwającą w pracowni męża pani Basieńka weszła tam z tacą, na której stały dwie szklanki mocnej herbaty. Mąż spoglądał w okno, a malarz patrzył na niego, lecz obydwoj zdawali się być nieobecni w tym domu a może na tym świecie. Między nimi zalegało milczenie, ciężkie i tak rozległe, że chyba w rzeczy samej poprzez ten obszar ani siebie, ani też jej nie dostrzegali. Usiadła więc cichutko na małym pufie, kierując ku malarzowi okrągłe kolanka w jasnych pończoszkach i nawet dwa razy,

raz po razie, przełożyła nogę na nogę, aby Porwasz mógł ujrzeć jej białe majteczki. Obciągnęła również na sobie sweterek o dwa numery za ciasny, lecz odniosła wrażenie, że uczyniła to za jakąś ścianą, w zupełnie innym pokoju. I ogarnęła ją trwoga, że stało się coś bardzo złego, czego nie obejmie ani rozumem, ani kobiecymi ramionami. A że rzadko która kobieta pogodzi się z faktem, iż coś pozostaje poza jej zrozumieniem, poza dotknięciem ust, piersi, vaginy, poza pożądaniem i spełnieniem, trwoga wkrótce ustąpiła w niej złości i głośno stuknęła tacą o stolik przy ławie, niejako rozkazując, aby zwrócili uwagę na herbatę, którą im przyniosła.

– Niech mi pan przeczyta coś o pięknej Luizie – odezwał się wówczas malarz Porwasz głosem cichym i dziwnie zbolałym. – Chciałbym posłuchać o miłości wzniosłej i prawdziwej.

Lubiński popatrzył na niego badawczo, jakby go po raz pierwszy widział na oczy. To samo wrażenie odniosła i pani Basieńka, bo też i jej się zdawało, że poprzez owo badawcze spojrzenie widzi ją kimś innym niż była. A i on sam w swym spojrzeniu objawił się swej żonie jakimś zupełnie nowym człowiekiem. – Dobrze – zgodził się z tajemną satysfakcją.

Wypili herbatę, którą im podała. I wraz ze zwykłymi gestami jakie się w takich razach czyni – wsypywaniem cukru, mieszaniem łyżeczką, podnoszeniem szklanki do ust i odstawianiem jej na spodek, stali się również zwykli; wrażenie odmienności uleciało jak sen.

A potem pisarz Lubiński pełnymi zdaniem swej potocznej prozy opowiedział im o wczesnowiosennym zmierzchu i opuszczonym domku myśliwskim, który wznosił się na brzegu uroczyska starej karpiami. Stażysta pożyczył klucz od leśniczego i otworzywszy ów domek, zapalił świeczkę na zbitym z desek stole. Oczekując na przyście Luizy, usiadł na jednej z czterech drewnianych prycz, pokrytych siennikami i czekał tak czas jakiś, może kwadrans, a może dłużej. Wreszcie doszło jego uszu niezbyt głośnie kaszlnięcie na dworze, później zaś szmer kroków na pokrytej żwirem ścieżce. Wówczas stażysta wstał z pryczy i szeroko otworzył ramiona...

(W rzeczy samej o trzy kilometry od leśniczówki Blesy, w głębinie lasu, znajdowała się ogromna polana, podobna do podłużnej niecki. Kiedyś hodowano tu karpie i dla strażników rybackich zbudowano drewnianą szopę. Którejś bardzo dżdżystej wiosny woda przerwała tamę i leśnym strumieniem uciekła do niedalekiego jeziora Baudy, karpie zaś zostały wyłapano i zjedzone. Wkrótce drewnianą szopę strażników obaliły jesienne wichury, zamieniając ją w stertę spróchniałych desek, aż w końcu odbudowana została mocą pisarskiej wyobraźni – jako domek myśliwski. W jej wnętrzu stanęły

prycze i stół, a na stole znalazła się świeca, która przydać miała blasku miłości...)

– „Piękna Luiza otworzyła drzwi domku myśliwskiego, nagły powiew wiatru zgasił świecę na stole. W ciemnościach Luiza przyłgnęła do stażysty, który zaczął rozpinać guziki u jej bluzki, a potem chwycił wargami skurczone chutliwie brodawki obnażonych piersi. Po chwili położyli się na drewnianej pryczy, ona rozpięła mu koszulę i przyłgnęła policzkiem do piersi, słuchając szybkiego oddechu”.

Trwali tak przez kilka melodyjnych i nieco barokowych zdań zbójcekiej powieści.

Wreszcie stażysta pośpieszonymi ruchami zrzucił z siebie ubranie i bieliznę. Później, nie zważając na nieśmiały sprzeciw Luizy, uwolnił ją od spódnicy i majtek. Znaleźli się zupełnie nadsy na szorstkim sienniku w ciemnościach domku myśliwskiego.

– „Wysunięty wilgotny i mięsisty koniec języka zaczął błędzić po każdym zakątku jego skóry” – czytał pisarz Lubiński. – „Jego prawa dłoń wśliznęła się między owłosione męskie uda. Ogarnęło go tak silne pożądanie, że chwycił ją mocno w ramiona, aby wejść w jej wnętrze. Lecz ona...”

W tym momencie głos pisarza Lubińskiego załamał się, na policzki wypełzył lekki rumieniec. Czuł, że znowu, podobnie jak dziś rano, gdy pisał tę scenę, znalazł się zawieszony między wzniosłością i upadkiem. A że był człowiekiem wykształconym i płynnie władającym kilkoma językami, wtedy tylko chrząknął, jakby przełykając ślinę i dalej czytał już w języku niemieckim.

Nieoczekiwanie uświadomił sobie Lubiński, że jego żona zna trochę język niemiecki, być może malarz Porwasz tylko udaje nieznaną niemieckiego, a już na pewno świetnie włada tym językiem stary Szulc i wielu innych ludzi w Skiroławkach. I gdyby ktoś przeczytał to, co on teraz głośno mówi w swoim: domu, nie mógłby nikomu w wiosce spojrzeć w oczy. Chrząknąwszy powtórnie; czytał więc już po francusku.

Dobitna była francuszczyzna pisarza Lubińskiego. Bo też francuskiego uczył się od dziecka, władał nim pięknie jego ojciec – badacz kultury francuskiej, mówiła po francusku jego matka – lektorka języka francuskiego na uniwersytecie. Obydwoje nie żyli już, a przecież Lubińskiemu wydało się raptem, że wymawiając owe francuskie zdania popełnia jakąś zbrodnię wobec własnych rodziców. Widział gniew w oczach ojca i niesmak na twarzy matki. Tedy chrząknął po raz trzeci jakby przełykając ślinę; dalej czytał po angielsku.

Lubiński chciał znowu przełknąć ślinę, ale w ustach miał sucho. Na kartce papieru, która przed nim leżała, ciągnął się jeszcze długi szereg słów ułożonych w zdania, lecz on zapragnął milczenia. Zresztą, może i nie potrafiłby już z siebie wydobyć nawet głosu.

Pani Basieńka miała minę wyrażającą zakłopotanie, nie spodziewała się bowiem,

że mąż zacznie pisać powieść zbójcką aż w czterech językach. Porwasz znał jedynie polski, choć bywał w Londynie, a już na pewno w Paryżu. Lecz przeczytany przez Lubińskiego po polsku początek sceny miłosnej wystarczył wyobraźni Porwasza, aby później poprzez obco brzmiące słowa przedstawić sobie obraz tego, co stało się między piękną Luizą i stażystą. Raptem przed oczami malarza pojawiły się znowu szczupłe pośladki pani Aldony i jej rozchylony, różowy, pulsujący pożądaniem kielich. Ni stąd, ni zowąd ogarnęła malarza taka wściekłość, że krzyknął gromko do Lubińskiego:

– Świństwo! Powiadam panu, że to świństwo! To nie jest miłość wzniosła prawdziwa!...

Porwasz wybiegł z pracowni pisarza i nie zatrzymał się wcześniej aż u siebie w dachowcu krytym eternitem. Zdyszany biegiem padł na tapczan i długo leżał ta nim z twarzą ukrytą w poduszce. Bo choć czuł się człowiekiem wolnym od męskich ambicji, to jednak nie bardzo wiedział, co czynić dalej ze swą Wolnością.

O TYM, JAK PORWASZ NAMALOWAŁ KŁOBUKA, O TYRANII WOLNOŚCI I RÓŻNICY MIĘDZY RÓWNOŚCIAMI

Z początkiem maja w Skiroławkach drzewa dopiero zaczęły się zielenić, nad polami od świtu do zmierzchu dzwoniły skowronki, w lasach pokazały się pierwsze kwiaty konwalii. Prawie w każdej zagrodzie śmierdziało gnojem, gdyż z obór i chlewni wywożono na pola przyczepy pełne obornika, który należało szybko przyorać pod ziemniaki. Natomiast w innych obejściach przeważnie pachniało pokostem. Lubiński po kilka godzin dziennie spędzał przy swoim jachcie, czyszcząc kadłub elektryczną szlifierką. Pani Basieńka zaś cerowała bawełniany grot, końce szotów i fały omotywała juzingiem, przyszywała nowe rasky do foka, z czułością wspominając chwile, kiedy to biały jacht pisarza i jego dość brudne wówczas żagle po raz pierwszy zobaczyła z pomostu ośrodka wczasowego, gdzie opalała się w bardzo skąpym stroju. Była mniej wstydliva od swej przyjaciółki Bronisławy i na widok jachtu z jasnowłosym mężczyzną za sterem ani pomyślała nałożyć biustonosz, a nawet usiadła, aby samotny żeglarz mógł się zadziwić pięknym kształtem jej piersi. Może właśnie dlatego Lubiński zwrócił uwagę na panią Basieńkę, a nie na Bronkę, choć tamta była ładniejsza. Tak więc to chyba brak

wstydlivości zdecydował ostatecznie o tym, że Basieńka, a nie Bronka, stała się panią Lubińską i zamieszkała w Skieroławkach. Dziwne to, jeśli uwzględnić fakt, że właśnie Bronka a nie Basieńka, przyjęła wkrótce pracę striptizerki w jednym z nocnych lokali stolicy. Obie panie korespondowały ze sobą i Bronka raz po raz obiecywała odwiedzić Basieńkę w jej wiejskim domu, co niezwykle cieszyło przyjaciół pisarza, ludzi, którzy, jak to skądinąd wiemy, cenili uroki kobiecego ciała.

Doktor Jan Krystian Niegłowicz także czyścił i malował swój jacht; pacjenci widywali w jego siwiejących włosach odrobiny pyłu i czuli zapach lnianego pokostu, którym natłuszczał kadłub, maszt, bom, wnętrze kabiny. Twórcze siły uzewnętrzniał również Bogumił Porwasz, wiele godzin spędzając przy sztalugach w swojej pracowni z widokiem na jezioro. A ponieważ i malarz czyścił pędzle w oleju lnianym, mężczyźni w Skieroławkach w zależności od swego stanu rozsiewali bądź to woń gnoju, bądź pokostu lnianego, co w innych stronach mogło u kobiet wzbudzić do nich niechęć, w Skieroławkach jednak nie byli traktowani ani gorzej, ani lepiej niż zazwyczaj.

W połowie maja, kończąc jeden ze swych obrazów, ze zdumieniem zauważył Bogumił Porwasz, że w trzcinach jakie przedstawiał swym pędzlem dostrzec można jakąś dziwną stworę, przypominającą koguta lub kurę. Widziało się tę stworę – koguta czy też kurę – jeśli spoglądało się na obraz pod pewnym kątem. Tedy stało się to faktem, iż Bogumił Porwasz, sam o tym nie wiedząc i niejako mimochodem – namalował Kłobuka. Aż gorąco się zrobiło Porwaszowi, gdy się nad tą sprawą zaczął zastanawiać. Bo kiedy patrzył na nadbrzeżne trzciny ze swego okna – Kłobuka wśród nich nie widział. A gdy zerkał na płótno, gdzie owe trzciny staraj się przedstawiać z możliwie dużą dokładnością – Kłobuk był. Skąd się więc wziął na obrazie, skoro w prawdziwych trzcinach nie zdołał go Porwasz wypatrzeć? Za jaką przyczyną tkwił w trzcinach powołanych do istnienia pędzlem malarza i łypał na Porwasza dużymi, wypukłymi ślepiami? Co obudziło do rycia na obrazie owego niezgrabnego, podobnego do kury ptaka?

Tym czymś, co zrodziło Kłobuka – pomyślał Porwasz – była wyobraźnia twórcza, pobudzona przez głód i strach. Oszczędnie bowiem gospodarował Porwasz zasobami finansowymi otrzymanymi od pani Aldony za swoje obrazy, rzadko kupował w sklepie coś do zjedzenia, a kiedy dostawał z głodu kurczów żołądka, szedł w porze kolacji z wizytą do Lubińskiego albo do Turleja. Na głód łatwo było zaradzić – ale co począć ze strachem?

Od wyjazdu Aldony minęło już wiele dni i powoli zanikał w malarskiej pamięci Porwasza widok szczupłych pośladek. Z ulgą myślał malarz, że wyzwolił się od ciężaru

haniebnej przeszłości, kiedy to zadawał się z prostytutkami, a także w pewnym sensie i od przyszłości, to jest ambicji męskich, aby zdobywać coraz uczciwsze i cnotliwsze kobiety. Mało kto jednak wie, że wyzwoliwszy się od jakiegokolwiek tyranii, choćby od dyktatury męskich ambicji, i osiągnąwszy pełną wolność, człowiek natychmiast popada w kolejną niewolę. Mało kto bywa świadom, jak potrafi, tyranizować wolność, jak srogi staje się jej dyktat poprzez to, że nie daje żadnego dyktatu, a ściślej – poprzez fakt, że nakazuje być wolnym. Ów nakap obezwładnia, paraliżuje, ogranicza, nie pozwala nikomu i niczemu się podporządkować, ponieważ każde podporządkowanie jest zarazem zamachem na wolność. Rodzi się także strach, niemal taki sam jak ten, który towarzyszy tyranii. Jest to strach przed koniecznością wyboru, ponieważ każdy wybór niesie z sobą pewne ograniczanie wolności. Dlatego naprawdę wolnymi mogą być tylko niektórzy ludzie. Ich wolność została wpisana w taki a nie inny układ posiadanych przez nich genów, co sprawia, że niejako już rodzą się wolni i przez całe swoje życie wolnymi pozostają, nawet w podziemnych kazamatach tyranów, nawet z rękami skutymi przez łańcuchy. Wolność bowiem może być traktowana jako pewien stan prawny człowieka, ale również jako pewien stan ducha ludzkiego. I to jest dopiero wolność prawdziwa.

Jakąż więc wolność osiągnął Bogumił Porwasz, skoro od wyjazdu Aldony, z dnia na dzień, bardzo powali, rodzić się w nim zaczęło poczucie coraz większego strachu? Malując swoje trzciny nad jeziorem – wciąż wolny i wolny – odczuwał głód jak każdy człowiek, i jak u każdego zdrowego mężczyzny rodziły się w nim męskie żądze. W porze kolacji szedł do Turleja albo do Lubińskiego, aby nasycić głód, a także ukradkiem pogłaskać chłopięcy tyłeczek pani Halinki lub otrzeć się o sterczące cycuszki pani Basieńki. Głód potrafił nasycić, lecz zaledwie rzucił okiem na Halinkę lub Basieńkę, natychmiast jego malarska wyobraźnia przywodziła na pamięć widok szczupłych pośladków Aldony. A wtedy ogarniał go strach i żądze wypływały z niego jak krew z ciała samobójcy, który podciął sobie żyły. Ten sam strach odczuwał, kiedy wędrując do sklepu po papierosy spotykał Justynę albo jakąś inną ładną kobietę. Zaraz widział w niej Aldonę, podejrzewał w niej Aldonę, pod jej sukienką dopatrywał się nienasyconego pożądania. Strach stawał się podwójny i przeogromny, gdyż budził w Porwaszu obawy, że wyzwalając się od męskich ambicji, być może w ogóle wyzwolił się od męskości i odtąd w obecności każdej kobiety towarzyszyć mu będzie strach.

Kłobuk na obrazie nie pojawił się przypadkiem. To tajemnicze i legendarne ptaszysko powstało z ruchów pędzla i ręki, którą kierował nie rozum Porwasza, lecz tkwiący w nim głód ziemskich pokarmów i wielki strach przed utraconą męskością. Innego wyjaśnienia owego zjawiska Porwasz nie potrafił znaleźć, a ponieważ na

pokonanie w sobie strachu nie znajdował na razie żadnego lekarstwa, tedy odwrócił na sztalugach obraz z Kłobukiem, aby go nie oglądać i wyruszył do sklepu po kupno czegoś do zjedzenia.

Było już popołudnie. Przed sklepem, jak zwykle, siedzieli na ławce i pili piwo: cieśla Franciszek Sewruk, Heniek Galembka, Antek Pasemko, Franek Szulc oraz stary Erwin Kryszczak. Bogumił Porwasz kupił słoik pulpetów w sosie pomidorowym, a że od wczorajszego popołudnia nic w ustach nie miał na widok jedzenia chwyciły go kurcze żołądka, więc przykucnął na ławce obok innych, otworzył słoik i nie zwracając uwagi, że postępuje niezgodnie ze swoim wysokim stanem artysty, palcami wyławił krągłe pulpety ze szklanego naczynia i połykał je żarłocznie. Zapytał go życzliwie cieśla Sewruk, czy te pulpety nie zechce popić łykiem piwa z butelki, z której już on, Sewruk, trochę wypił.

– Niech pan da, panie Sewruk – burknął malarz. – Wcale mi to nie przeszkadza, że pan już pił z tej butelki. Teraz jest równość, nikt nie powinien się nad innych wywyższać.

Łyknął z Sewrukowej butelki i dalej wyławił ze słoika brązowe pulpety. – To prawda, że teraz panuje u nas równość – zgodził się z Porwaszem stary Erwin Kryszczak – ale i kiedyś też; była równość, tylko że inna niż teraz.

I taką im przed sklepem historię opowiedział:

– Pamiętam takie lato, że pszenica u księcia Reussa z Trumiejek, u którego służyłem, wyrosła jak las. We wrześniu zabraliśmy się do młocki, lokomobile do stogów przyciągnęliśmy i przez trzy dni pszenica do worków się sypała. Dni były słoneczne, ale nie upalne, w sam raz na taką robotę. Książę Reuss kazał sobie wystawiać koło stogu swój fotel wiklinowy i przyglądał się naszej robocie. O czym rozmyślał, kiedy tak siedział i na nas patrzył, Bóg sam raczy wiedzieć. Ale na trzeci dzień kazał przerwać młockę i przez swojego lokaja przywołał przed swoje oblicze wszystkie baby, co młocką były zajęte. Obiecał każdej po korcu pszenicy, jeśli ustawią się dokoła stogu, kiecki zarzucą na głowy i tyłki gołe na świat wystawią. W tamte lata, baby zazwyczaj majtek nie nosiły, a tym co je miały, kazał książę Reuss, aby je zdjęły, by każda gołym tyłkiem mogła świecić spod stoga. I tak się stało, bowiem baby z natury rzeczy lubią się pokazywać, a jeśli jeszcze miały za to dostać korzec pszenicy, chętnych nie zabrakło. A wtedy książę Reuss wszystkich robotników przed swoje oblicze zebrał. „Kto swojej baby tyłek rozpozna” – powiedział do nas – „dostanie ode mnie butelkę wódki. A kto rozpozna wszystkie, ten ze mną w sady, w chłodzie, wypije butelkę francuskiego szampana”. I tak się zaczęła zabawa, pisku przy tym było, a śmiechu, a radości co niemiara, bo wielkie panisko było z tego księcia. I jak coś książę wymyślił, to nikt inny na

świecie nie mógł czegoś podobnego zrobić. Wesoły był to człowiek i ludziom życzliwy, chociaż książe. Kto goły tyłek swojej baby rozpoznał, ten dostał butelkę wódki i książe go chwalił. Kto zaś tyłka swojej baby nie rozpoznał albo go z inną babą pomylił, książe na niego krzyczał, że bardziej zna tyłki cudzych kobiet niż własnej. Przyszła kolej i na mnie. Idę ja wokół stogu i wypiętych na mnie gołych tyłków babskich (a powiadam wam, że w życiu swoim naraz tyle tego nigdy nie widział) i zgaduję. Ta dupa do tej należy, a ta do tamtej. Tak doszedłem do ostatniej. I teraz znalazłem się w kłopotcie. Bo dupsko było takie jakieś wyschnięte, białe, a przyrodzenie rude bokobrody miało. „Nie wiem, książe panie, czyja ta dupa” – rad nierad przyznałem, żałując, że butelki szampana z księciem nie wypiję. Ale książe klasnął radośnie w ręce i rzekł: „Wypijesz ty ze mną szampana, Erwinie, bo masz dobre oko. Ten tyłek do księżnej pani należy, co znaczy, że albo nikomu z was go nie pokazuje albo daje po ciemku!”. Oj, co to było śmiechu i radości. Tego dnia już młocki nie podjęliśmy, tylko wszyscy się wódką raczyli, a książe pan wziął mnie do sadu i wypił ze mną butelkę francuskiego szampana. Jasno z tego wynika, że i kiedyś była równość, gdyż byle dworak mógł sobie zobaczyć goły tyłek nawet i księżnej. Teraz takich zabaw się nie urządza, naczelnik Parametr na pewno nie pozwoliłby swej żonie sukienki pod stogiem zadzierać na głowę. Jest jednak równość i teraz, choć zupełnie inna. Na ten przykład, pan Porwasz pije z jednej butelki z cieślą Sewrukiem, na co książe Reuss nigdy by nie pozwolił. Szampana francuskiego każdy z nas pił z własnego kieliszka...

W miarę jak Kryszczak snuł swoją opowieść, przez twarz Antka Pasemki zaczęły przebiegać dziwne drgania, usta zaś wykrzywił mu wyraz wstrętu. A gdy Kryszczak skończył opowieść, Antek Pasemko rozkrzyczał się, parszkając wokół śliną:

– To nie była żadna równość, tylko zwykłe świństwo! Tak, świństwo! Zabawialiście się po świńsku z bezwstydnymi dziewczkami! Niedobrze mi się robi, gdy słucham takich historii!

Porwaszowi także utkwiał w gardle ostatni okrągły pulpecik. Przełknął go z trudem, szklany słoik z sosem pomidorowym odstawił pod ławkę i bez słowa pożegnania ruszył drogą w kierunku swego domu. Idąc zaś od czasu do czasu zataczał się jak pijany albo jakby go coś oślepiało.

W twórczej wyobraźni malarskiej widział obraz żółtego songu z pszenicą i niezliczoną ilość wypiętych gołych kobiecych pośladków. Były białawe, żółtawe, podobne z kształtu do liry, przecięte stromo ciemną kreską rozdzielającą półdupki. Majaczyły mu czerniawe kłaczkę obrastające przyrodzenie, woskowe uda, rudawe bokobrody księżnej pani. A wszystko to przysłaśniał mu nieco zamglony zarys szczupłych pośladków pani

Aldony. I strach – wielki strach – chwycił Porwasza za serce. O mało nie wpadł pod samochód doktora i ten aż dwa razy musiał przycisnąć klakson, zanim Porwasz ze środka drogi zszedł na pobocze.

Ujrzał Niegłowicz pobladałą twarz malarza, zatrzymał samochód i wyskoczył z niego, pchany niepokojem.

– Co się stało, panie Porwasz?

– Czuję się chory, doktorze. Bardzo chory. Nie wiem dlaczego nagle namalowałem Kłobuka. Mam zawroty głowy i kurcze żołądka, wycieka ze mnie żądza do kobiet. Bez żadnej przyczyny ogarnia mnie trwoga, czuję też lęk przed nieznanym. Mam ochotę zapaść się w mysią dziurę albo uciec gdzieś na koniec świata. Co robić, doktorze? Co powinienem zrobić?

Niegłowicz długo i w milczeniu patrzył w twarz Porwasza, a wreszcie tak oświadczył z żartobliwą powagą:

– Medycyna zna różne przypadki, panie Bogumile. Co do mnie, jestem zdania, że cierpi pan na depresję wiejską. Klinicyści nie znają na ogół takiej dolegliwości, ale my, skromni lekarze wiejscy, często mamy z nią do czynienia. Trzeba panu na krótki czas zmienić otoczenie, pograżyć się w hałasie i zacerpnąć w płuca nieco spalin samochodowych. Powinien pan na pewien czas zamieszkać w jakimś małym, ciasnym pokoiku o cienkich ścianach, aby słyszał pan wyraźnie kłótnie sąsiadów, płacz małych dzieci, bełkot telewizora. Potrzebna jest panu natarczywa obecność innych ludzi, istnienie w tłumie, kilka kopnięć w tramwaju i autobusie, parę szturchnięć łokciami w kolejce po papierosy. Nade wszystko jednak musi się pan nauczyć pokory wobec życia i świata.

– Tak, tak, tak, po trzykroć tak – zgadzał się z nim Porwasz.

Twarz doktora Niegłowicza rozjaśnił radosny uśmiech.

– No widzi pan, panie Bogumile, że nie ma powodu do zmartwienia. W wielkich miastach ludzie cierpią na depresję cywilizacyjną i wtedy jedyną radą jest, aby kupili sobie domek na wsi. My zaś ulegamy niekiedy depresji wiejskiej i od czasu do czasu powinniśmy wyskoczyć do jakiegoś większego miasta. Sam także gniewam podobne ochoty. Jak pan myśli, panie Porwasz, czy nie warto byłoby uczynić wypadu do jakiegoś hotelu, zrobić kilka głębokich wdechów samochodowych spalin? Nie widzę nic złego w tym, że nagle namalował pan Kłobuka. Niepokojące wydaje mi się tylko to, iż ten fakt pana przeraził. Bardzo chętnie kupię od pana obraz z Kłobukiem, jeśli nie zechce pan za niego zbyt wiele.

O TYM, ŻE TYLKO Z POZORU ŁATWO ODRÓŻNIĆ KOBIETĘ OD MĘŻCZYZNY

Wielki strach towarzyszył Porwaszowi w drodze do Novotelu, gdzie umówił się na spotkanie z doktorem Niegłowiczem. Ale zaledwie ujrzał rozjarzone majowym słońcem białe pudło hotelowe, z rozległym parkingiem, basenem, szerokimi oknami restauracji i czerwonym napisem GRILL, natychmiast wyobraził sobie cudowną miękkość hotelowego tapczanu, smak dobrze wysmażonego befsztyku, piękne dziewczęta przy barze – i strach minął bezpowrotnie, a nawet poczuł radosne podniecenie. Przy sobie miał Porwasz sześć tysięcy złotych, które otrzymał od doktora za obraz z Kłobukiem (sześć jest liczbą doskonałą), w hotelu zamierzał z doktorem spędzić dzień lub dwa i to nie na pracy, rozmyślaniach czy dysputach o życiu i świecie, lecz na przyjemnościach, odniósł więc wrażenie, że strach i niepokój, które były jego udziałem w Skiroławkach, teraz pierzchły jak zły sen. Zaprawdę, miał rację Niegłowicz, wykrywając u niego depresję wiejską, gdyż wystarczyło wyjechać z owianej mgłami wioski, wychylić nosa z przepastnych lasów, a wracała radość i chęć do życia.

Novotel znajdował się o trzy kilometry od miasta, między jeziorem i wysokim nasypem linii kolejowej. Obok przebiegała ruchliwa szosa. Nie zamierzał Porwasz czynić żadnych zakupów w mieście ani kręcić się po ulicach, skoro i tutaj – ze względu na dużą ilość przejeżdżających pociągów i samochodów, obecność licznych gości hotelowych – mógł poddać się zbawiennej terapii. Z zadowoleniem stwierdził, że gazik Niegłowicza stoi już na parkingu przed hotelem – doktor bowiem wyjechał nieco wcześniej, aby zrobić w mieście zakupy. „A może już flirtuje z jakąś dziewczyną” – pomyślał Porwasz z zazdrością, a także i odrobiną niechęci, gdyż jak każdy mężczyzna ze Skiroławek, nawet jeśli rozstał się z wielkimi ambicjami, nie bez zawiści odnosił się do legendy, która otaczała doktora w związku z jego łatwością obcowania z kobietami.

Było już po południu. Doba pobytu w hotelu kosztowała drogo, czas tu spędzony kapał pieniędzmi jak źle dokręcony kran. Tedy szybko zaparkował Porwasz swój wóz obok samochodu doktora i z malutkim neseserkiem w ręku pośpieszył do szklanych drzwi, które usłużnie otworzył przed nim portier w brązowej liberii. Bogumił Porwasz umiał się zachować w takich sytuacjach, dlatego ledwie raczył musnąć wzrokiem portiera, bacznie natomiast zerknął w stronę baru i kawiarni, stwierdzając, że nie widać tam pięknych kobiet. Nie objawił jednak swego rozczarowania, śmiałym gestem

położył nesesor na kantorku recepcji i poprosił o pokój.

– Czy życzy pan sobie z widokiem na jezioro, czy też na nasyp kolejowy? – zapytała ufarbowana młoda kobieta w brązowym uniformie.

Sezon turystyczny jeszcze się nie rozpoczął, w hotelu było dużo wolnych pokoi, i sprawiało jej przyjemność, że może być uprzejmą.

– Z widokiem na jezioro? Nigdy! W żadnym razie! – Porwasz nie potrafił opanować rozdrażnienia.

– Widok jest naprawdę bardzo piękny. Przy brzegu kołyszą się trzciny zachęcała.

– Nigdy! Słyszysz pani?! – coraz bardziej irytował się Porwasz. – Żadnych jezior, żadnych trzcin. Chcę widzieć przejeżdżające pociągi. Dużo pociągów. Jak najwięcej. Niech łomoczą kołami, gwizdzą, brzęczą, turkoczą. Chcę widzieć szosę z setkami samochodów. Muszę wdychać spaliny.

Urwał i opanował swoje zdenerwowanie. Mogła wziąć go za wariata i w ogóle nie dać pokoju. Nonszalancko oparł się łokciem o kantorek i wyjaśnił, obracając w żart swoje poprzednie słowa:

– W Paryżu mieszkalem na strychu i przez trzy miesiące widziałem z okna tylko ślepa ścianę sąsiedniego domu z zaciekami wilgoci. Widok ten przeniosłem potem na płótno, bo jestem artystą malarzem. Za to płótno dostałem mnóstwo pieniędzy. Teraz, niestety, mieszkam na wsi. Proszę mi wybaczyć, że się tak uniosłem, ale ludzie na wsi są znerwicowani. Cisza, samotność, odosobnienie, widok jeziora i kołyszących się trzcin, bardzo źle działają na system nerwowy. Zresztą mój przyjaciel, doktor Niegłowicz, lepiej to pani wyjaśni. Zdaje się, że się tu zatrzymał. W którym pokoju?

– Ach, pan doktor Niegłowicz – uśmiechnęła się filuternie. – Znam go. Często n nas bywa w sezonie zimowym. Ale on nie jest nerwowy, chociaż mieszka na wsi.

– Nie wiem jak to robi, że nie jest nerwowy – wzruszył ramionami malarz Porwasz.

Dała mu klucz do pokoju 223, i poinformowała, że doktor zajmuje pokój 319.

W niedużym pomieszczeniu z białymi meblami Porwasz niedbale rzucił na obszerny tapczan swój nesesor i zbliżywszy się do okna stwierdził z zadowoleniem, że widzi wysoki, pokryty murawą nasyp kolejowy, po którym przejeżdżała właśnie lokomotywa spalinowa z kilkunastoma wagonami towarowymi. Łoskot kół przyjemnie zabrzmiał w uszach Porwasza, a widok przesuwających się wagonów skupił całą jego uwagę. Zapragnął, aby lokomotywa zagwizdała donośnie albo chociaż zatrąbiła basem, lecz nic takiego nie nastąpiło. Z prawdziwym żalem obserwował, jak brudne wagony nikną za ramą okna i nad nasypem widać już tylko puste niebo.

Wszedł do łazienki i zatrzymał się przed ogromnym lustrem nad umywalką.

Najpierw opłukał ręce, potem wilgotną dłonią przygładził swoje bujne czarne włosy. Zmierzył się ostrym spojrzeniem i uznał, że prezentuje się okazale. Był jak zwykle ubrany w czarną obcisłą koszulę stebnowaną białymi nitkami, na biodrach miał szeroki pas z błyszczącą klamrą. Czarne sztruksowe spodnie dokładnie opinały mu uda, nawet mało spostrzegawcza kobieta musiała zauważyć, w której nogawce trzyma swą męskość. Jeszcze tylko rozpiął trzy górne guziki koszuli, aby światło ujrzały czarne pukle jego włosów na piersiach i tak przysposobiony udał się o piętro wyżej, do pokoju doktora. Lecz na półpiętrze, gdzie stała niklowana popielniczka na wysokiej nóżce i z półki na ścianie zwisał z doniczki wiecznie zielony bluszcz, przystanął, zaskoczony nagłym powrotem uczucia strachu. Raptem wyobraził sobie, że za godzinę lub dwie pozna jakąś dziewczynę i dojdzie do owych gestów, które będzie musiał wykonywać, aby osiągnąć rozkosz. Niemal czuł na swych ustach wargi tej dziewczyny. Nie wiadomo dlaczego wydały mu się wstrętne, jak wspomnienie dotknięcia wielkiego, nagiego ślimaka. Zarazem jednak wyobrażenie tej chwili powodowało bolesne pulsowanie w nogawce spodni, bo przecież już chyba miesiąc minął od dnia, gdy pożegnał Aldonę i nie miał od tego czasu żadnej kobiety. Strach więc minął równie nagle jak się pojawił.

Doktor siedział w fotelu i czytał gazetę.

– Pan także wynajął pokój z widokiem na nasyp kolejowy – stwierdził z zadowoleniem Bogumił Porwasz, podchodząc do okna.

– Jest tańszy od pokoju z widokiem na jezioro – wyjaśnił doktor. W naszej wiosce krążą legendy o moim bogactwie, ale nie muszę chyba przed panem ukrywać, że jestem prawie tak samo ubogi jak pisarz Lubiński.

– Ach, tak? – zmartwił się Porwasz. – W takim razie niewiele tu zdziałamy. Hotel jest diabelnie drogi. I wszystko tu zapewne drogo kosztuje. Nawet dziewczyny.

– Chyba nie sądzi pan, że interesuje mnie miłość za pieniądze? – zdumiał się doktor.

– To się tak tylko mówi – machnął ręką Porwasz i rozpoczął nerwową wędrówkę po pokoju. – Miałem w życiu wiele kobiet, doktorze. W Londynie żyłem nawet z Mulatką. Dlatego niech pan wierzy mojemu doświadczeniu: ze wszystkich rodzajów kobiet te są najlepsze, które biorą pieniądze. Cieszę się, że posłuchałem pana rady i przyjechałem tutaj. Czuję w sobie przypływ sił witalnych i ogarnęła mnie radość życia. Jaka szkoda, że mamy tak mało pieniędzy!

Doktor złożył gazetę i wstał z fotela, stwierdzając z żartobliwą powagą: – Odnoszę wrażenie, że w ostatnim czasie pracował pan za dużo, a jadł za mało – powiedział. – Czy nie nęci pana talerz dobrej zupy, smażony sznycelek, odrobina pieczarek? Muszę panu również przypomnieć, że nie tylko zachęcałem pana do wyjazdu z

wioski, ale nade wszystko zalecałem postawę pokory wobec życia i świata. Cóż nam przyjdzie z sił witalnych i radości życia, jeśli będziemy je trwonić wraz z pieniędzmi? Wstrzemięźliwość bywa niekiedy lepszą od użycia, głodnemu lepiej obiad smakuje. Kto je zbyt łapczywie i niedokładnie gryzie pokarmy, ten po jakimś czasie zapada na chorobę wrzodową. Więcej pokory, przyjacielu.

To mówiąc, nałożył doktor na siebie wycięty w serduszko sweter z moherowej wełny. Poprawił kołnierzyk białej koszuli. I tak zeszedli obydwoj po miękkim chodniku aż do holu, minęli go i znaleźli się w części, gdzie był bar kawowy i Grill, a za szklaną ścianą widać było błękitną połąć jeziora. Malarz niemal ze wstrętem odwrócił od niego spojrzenie i skierował je na bar, w którym z sufitu spływało żółtawe światło kulistych lamp i mieniły się barwne reklamy zagranicznych papierosów.

W barze było pustawo. Tylko dwuosobowy stolik pod szklaną ścianą zajmowała dojrzała kobieta i młoda dziewczyna, odwrócona plecami do wejścia.

– Tutaj usiądziemy – zdecydował Porwasz wskazując stolik, skąd można było widzieć obydwie kobiety.

Po sekundzie pojawił się kelner w czarnym fraku, z czarną muszką pod szyją i podał im dwie karty. Porwasz zajął do swojej – i wtedy po raz pierwszy poczuł ukłucie w skroniach. Nie znalazł bowiem potrawy tańszej niż kilka tub dobrej farby.

Doktor zamówił befsztyk z rusztu, dobrze wysmażony, z frytkami i surówką z porów, kapusty kiszonej – białej i czerwonej. Porwasz zaś zraziki po myśliwsku z kaszą gryczaną, gdyż okazały się trochę tańsze od befsztyku. Wciąż raził Porwasza widok pustych stolików i stołków barowych. Brakowało mu gardłowego śmiechu podnieconych dziewcząt, cisza jak młotem biła go w skronie. Miał złudzenie, że zza szklanej ściany dobiega go szelest trzciny rozkołysanych nad brzegiem jeziora. Jadł bez smaku, wlepwszy oczy w owe dwie kobiety pod oknem, a potem, gdy zapłaciły rachunek i wstały z krzesielek, na chwilę niemal przykleił swój wzrok do ich pośladków.

Były to najpewniej matka i córka, tak wyraźne było podobieństwo w ich rysach – u młodej wyrazistych, a u starszej jakby trochę rozmiękczonej przez tłuszcz policzków. Starsza miała niski wzrost i ogromny biust, uwydatniony przez obcisły sweterek-bluzeczkę, młodsza zaś, chyba siedemnastolatka, zdawała się swoją małą główką sięgać sufitu. Obszerny sweter fałdował się na niej, nie ukrywając jednak, że zawiera płaską klatkę piersiową. Nogi miała chude i długie, w wytartych dżinsach, które wrzynały się między małe pośladki.

Ku radości Porwasza nie opuściły lokalu, ale przeniosły się na wysokie stoliki barowe, zamawiając kawę.

– Ta młodsza jest naprawdę piękna – stwierdził malarz.

Doktor jednak zdawał się być zajęty wyłącznie zuciem swojego befsztyka. „Żarłok” – pomyślał o nim z pogardą malarz Porwasz. Bo jemu przeszła już ochota na jedzenie. Wyobraził sobie, że ta młoda dziewczyna jest naga pod swetrem, oczami malarza widział jej żebra na wątej klatce piersiowej, małe piersi z drobnymi malinkami sutek. Przedstawił swoim oczom nagie długie dziewczęce nogi, po których można by godzinami przeciągać dłoń od kostek aż do pachwiny. Niemal ogarnął go zapach potu młodego ciała. A gdy dziewczyna wsparła się łokciami o bar, wygięła plecy w pałąk i wysunęła zza krawędzi stołu maleńki tyłeczek, Porwasz westchnął:

– Miałem w swoim życiu mnóstwo kobiet. Pamiętam w Londynie pewną Mulatkę, która odznaczała się bardzo niskim głosem i śpiewała w dość eleganckim lokalu na Picadilly Circus. Najbardziej podniecały mnie jej bujnie owłosione pośladki i intymne chwile, w których mi mówiła: „połóż się, mój mały, a zrobię ci przyjemność”.

– Tak, tak – pokiwał siwiejącą głową doktor Niegłowicz. – Medycyna zna różne przypadki.

– Co pan ma na myśli?

– Wielu mężczyzn opowiada, że miało mnóstwo kobiet, ale tak na dobrą sprawę tylko niewielu potrafi odróżnić kobietę od mężczyzny.

– Co też pan wygaduje, doktorze? – oburzył się Porwasz. – Co do mnie, już na pierwszy rzut oka odróżniam kobietę od mężczyzny. I niechże mi pan wierzy, miałem ich w swoim życiu ogromne ilości.

– Wierzę panu, panie Porwasz. Ale tak na dobrą sprawę nie ofiarowuje mi pan na to żadnych dowodów. Rzecz w tym, że, jeśli się nie mylę, celem pana przyjazdu tutaj była swoista terapia duchowa. Doradzałem panu więcej pokory wobec życia i świata.

– Miałem w życiu mnóstwo kobiet – powtórzył z uporem malarz. – Były to kobiety białe, czarne, Mulatki. Jedna z nich, ta właśnie z owłosionymi pośladkami, mówiła do mnie: „połóż się mały, a zrobię ci przyjemność”.

– Rozumiem pana – zgodnie przytaknęła doktor. – A jednak jako pański terapeuta muszę zwrócić uwagę, że mężczyzna jest jak spragniony wędrowiec na pustyni. Dookoła fatamorgany i miraży, nigdzie zaś nie widać źródła, z którego napiłby się wody. A jakże łatwo trafić na źródło zatrute albo zgoła wyschnięte? Zaprawdę powiadam panu, że tysiące niebezpieczeństw czyha na mężczyznę i niekiedy tylko jego głupota, niewiedza lub brak wykształcenia powodują, że jakoś brnie przez ową pustynię zwaną życiem. Przypomina ślepcę, który nieświadom niebezpieczeństwa beztrąsko wędruje tui nad przepaścią, i o dziwo, czasem potrafi dojść do celu. Częściej jednak spada w dół i ginie.

Świat usłany jest szkieletami mężczyzn, którzy szli za wezwaniem swego pożądania.

– Miałem w swym życiu mnóstwo kobiet... – powtórzył Porwasz, ale doktor przerwał mu lekceważącym machnięciem ręki.

– Tylko z pozoru kobietę łatwo odróżnić od mężczyzny. W istocie rzeczy, jak się wgłębić w zagadnienie, to niekiedy odróżnić ją od mężczyzny jest niezwykle trudno, a nawet zaryzykowałbym twierdzenie, dokonać tego nie sposób.

– Chce mi pan wmówić, że to nie były kobiety?

– Ach nie. Proszę mnie nie chwytąć za słowa. Powiadam jeno, że tylko z pozoru kobietę łatwo odróżnić od mężczyzny, stąd tylu mężczyzn przechwała się, że posiadali takie mnóstwo kobiet. Dla większości ludzi, panie Porwasz a są to ludzie nie byle jacy, ale przeroźni literaci piszący książki, filozofowie, profesorowie uniwersytetów, a także prawnicy – ważne jest to, co dany osobnik ludzki ma zapisane w metryce albo w swoim dowodzie osobistym. W istocie rzeczy kierując się takimi wskazówkami popełniamy fatalny błąd. Bo jak powstaje ów zapis metrykalny? Oto rodzi się nowa istota ludzka i położna informuje rodziców: „urodziła się dziewczynka”. Zachwycony tatuś podnosi pieluszkę swojej nowo narodzonej dzieciny, widzi rozkoszną szpareczkę między nogami i ile ma sił w nogach biegnie do Urzędu Stanu Cywilnego, aby zapisać, że oto urodziła się dziecina płci żeńskiej.

– Tak się dzieje – przytaknął malarz.

– I to jest fatalne, panie kolego. Bo przecież każda istota ludzka ma chromosomy. Słyszał pan o nich?

– Uczyłem się w szkole.

– A właśnie. I oto owe chromosomy, gdy urzędnik stanu cywilnego zapisuje, że urodził się osobnik płci żeńskiej, aż się ze śmiechu za brzuchy trzymają, jeśli takie chromosomy, panie Porwasz, w ogóle mają brzuchy. Mało tego, panie Porwasz. One nie tylko nie mają brzuchów, ale nawet nie posiadają sumienia. I bywa tak, że po dwóch, trzech albo czterech łąkach u owej istoty określonej jako „płci żeńskiej”, niania lub babunia dostrzega mały penis, kięlkujący z owej rozkosznej szparki. Albowiem owe chromosomy, panie Porwasz, przestały chichotać i zabrały się do swojej wrednej roboty. Pół biedy, jeśli w porę zauważy się coś takiego i pobiegnie do lekarza, gorzej jest, gdy niania albo babunia nikomu o tym nie piśnie ani słowa. A jeszcze gorzej, panie Porwasz, gdy owe wstrętne chromosomy czynią swoją krecią robotę w sposób dla oka niewidoczny. Lekarza, panie Porwasz, niewiele interesuje płeć metrykalna ludzkiego osobnika. Dla lekarza, panie Porwasz, ważna jest „płeć chromosomalna”. A cóż może pan powiedzieć o płci chromosomalnej owej Mulatki z owłosionymi pośladkami? Albo

co może mi pan powiedzieć o chromosomach owych dwóch pań, które siedzą w barze? Jaką mają płć chromosomalną?

– Myślę, że właściwą – zachichotał malarz Porwasz. – Wskazują na to biuścik tej starszej i delikatne rysy twarzy u młodszej, choć przynaję, że dupkę ma ona jak u mężczyzny.

– Ech, panie Porwasz. Mężczyzna jest jak wędrowiec na pustyni, dookoła tylko miraż i fatamorgany. Wspomniałem panu, że owe chromosomy nie tylko nie mają brzuchów, ale i sumienia. Niestety, jeszcze gorsze pod tym względem bywają gonady, o których pan zapewne nawet i nigdy nie słyisał.

– Jakos rzeczywiście nie słyisałem – przyznał Porwasz.

– Ale one o panu słyisały. Ba, one słyisały o każdym z nas. Powiem więcej, one żyją w każdym z nas. A są to niezwykle przewrotne bydlaki. Ktoś tam zapisuje w Urzędzie Stanu Cywilnego, że urodziło się dziecko płci żeńskiej, a owe gonady aż turlają się ze śmiechu, choć pan tego ich szatańskiego śmiechu nie słyiszy, ba, nawet pan nie wie, że istnieją jakieś tam gonady. A są to ni mniej, ni więcej, tylko bardzo specyficzne komórki, a raczej gruczoły rozrodcze, które mają wpływ na produkcję jaj u kobiety i plemników u mężczyzny, i w ogóle decydują o tym, czy ktoś staje się kobietą czy mężczyzną. Otóż owe gonady, panie Porwasz, potrafią niekiedy popadać w tak zwaną „dysgenezę”, po prostu dostają, jak się to u was malarzy mówi, swojego rodzaju fijoła. I wówczas istota ludzka zapisana w Urzędzie Stanu Cywilnego jako płci żeńskiej, nie ma miesiączki, brakuje jej drugo- i trzeciorzędowych cech płciowych. Dlatego my, lekarze, wyróżniamy także i „płć gonadalną”. Ale to jeszcze nie wszystko, kolego i przyjacielu. Czy słyisał pan o hormonach? No tak, to dobrze. To nawet bardzo dobrze. Hormony określają rozwój pierwszo-, drugo- i trzeciorzędowych cech płciowych człowieka. Ale bywają hormony męskie i bywają hormony żeńskie. Człowiek musi je produkować, aby stać się mężczyzną lub kobietą. I to produkować w odpowiednich proporcjach i w odpowiednim wieku. A czy pan myśli, że owe hormony posłuszne są stwierdzeniom, które poczynił urzędnik stanu cywilnego? One w ogóle nie mają pojęcia, że istnieje jakiś urzędnik stanu cywilnego i z potwierdzonej okrągłą państwową pieczęcią istoty płci żeńskiej umieją uczynić mężczyznę. Tak więc my, lekarze, wyróżniamy jeszcze płć „hormonalną”. Czy przyjrzał się pan dokładnie owej młodej panience w barze kawowym, tej, o której raczył pan wspomnieć, że ma małą dupkę?

– Wspaniała dziewczyna. Wysoka, długonoga – cmoknął ustami malarz Porwasz, choć w skroniach znowu go zaczęło łupać, a także na moment doznał uczucia strachu.

– Ach, znowu te miraż i fatamorgany – Niegłowicz smutnie pokiwał swoją

siwiejącą głową. – Trzeba panu wiedzieć, panie Porwasz, że u kobiety przy braku estrogenów, czyli hormonów żeńskich, chrząstki nasadowe kości długich późno się zamykają, stąd też i następuje wysoki wzrost. Domyśla się więc pan, że ta dziewczyna niewiele wyprodukowała hormonów żeńskich, a więc pod względem płci hormonalnej nie jest to zapewne jeszcze kobieta, ale coś na pograniczu kobiety i mężczyzny, coś, co zapewne stanie się kobietą, ale nie jest nią jeszcze w pełnym tego słowa znaczeniu. Albowiem, jak już wspominałem, kobietę od mężczyzny tylko z pozoru odróżnić łatwo, w istocie rzeczy jest to zagadnienie niezwykle skomplikowane. Trzeba także panu wiedzieć, że wyróżniamy również „płeć chromatinową”, którą określa obecność lub brak ciałek Barra w jądrach komórkowych. Płeć chromosomalna i chromatinowa stanowią tak zwaną „płeć genetyczną”. Czy z ręką na sercu mógłby mi pan powiedzieć: owe dwie damy, siedzące na stołkach w barze, posiadają ciało Barra w swoich jądrach komórkowych?

– Bzdury – warknął malarz Porwasz. – Niechby mi tak pozwolono zdjąć z tej starszej kobiety jej suknię i rajstopy, a z tej młodszej jej wytarte dżinsy; już ja bym wiedział, czy to kobiety, czy mężczyźni.

– O, jakże pan pewny siebie, panie Porwasz! Dokonawszy owego czynu, potrafiłby pan co najwyżej określić „płeć genitalną” obu tych osób. A przecież o tym, czy ktoś jest mężczyzną, czy kobietą wcale nie decyduje wygląd narządów płciowych, ale to, co nazywamy „płcią wewnętrznych narządów płciowych”. Nie opakowanie jest ważne, ale wnętrze paczki. Nie karoseria samochodu ma najistotniejsze znaczenie, ale silnik ukryty pod maską. Bo a nuż okaże się, że owa kobieta ma ślepy zachyłek pochwy. I co pan wtedy pocnie? Kobieta może mieć ładny, okrągłutki tyłeczek, biuścik i wszystko, jak to się mówi, we właściwym miejscu, czyli używając lekarskiego języka, tworzy fenotyp żeński, ale na litość Boską, któż może panu zaręczyć, czy nie kryje się w niej „zespół feminizujących jąder”. W istocie rzeczy choć wygląda jak kobieta, to przecież kobietą nie jest.

Doktor Niegłowicz ukroił sobie starannie kawałek befsztyka, żuł go przez chwilę w milczeniu, potem połknął i stwierdził:

– Zapomnieliśmy jednak o najważniejszym, panie Porwasz. O tym, że ktoś jest kobietą czy mężczyzną decyduje w dużym stopniu „płeć psychiczna”, a więc psychiczne poczucie własnej płci. To poczucie pozwala osobnikowi na jego orientację psychoseksualną. Innymi słowy, jeśli będzie pan miał kiedykolwiek ochotę dopełnić się z jakąś kobietą, nie należy sugerować się ani jej wyglądem, ani zachowaniem, ale po prostu podejść, ukłonić się grzecznie i zapytać: czy pani czuje się kobietą, bo co do mnie,

to ja czuję się mężczyzną. W ten sposób uniknie pan wielu przykrych rozczarowań.

Malarza Porwasa coraz mocniej łupało w skroniach, a do tego jeszcze zaczął mieć lekkie mdłości. Wiedział, gdzie leży ich źródło – wszelka fizjologia, a w szczególności fizjologia kobiety, napawała go wstrętem. W dzieciństwie jego siostry dość bezceremonialnie obchodziły się ze swoją bielizną w okresie menstruacji, poplamione majtki wały się po wszystkich kątach. W takich chwilach mały Porwasz czuł obrzydzenie, tracił apetyt, bolała go głowa. Potem, gdy był dorosły, wystarczyło, że jakaś bliska mu dziewczyna informowała go, że akurat ma miesiączkę, a natychmiast odsuwał się od niej, nie mogąc opanować wstrętu. Miał zbyt bujną malarską wyobraźnię, aby nie narzucała mu się elastyczna i barwna wizja owych chromosomów, gonad, ciałek komórkowych Barra, jakowychś chromatyn, które jawiły mu się na podobieństwo poplamionych majtek rozrzuconych po różnych kątach mieszkania.

– Miałem w życiu wiele kobiet... – nie wiadomo dlaczego z uporem powracał do tego samego.

– To nie jest wcale takie pewne – odparł z powagą doktor. – Jak wspomniałem, kobietę dość trudno odróżnić od mężczyzny. Dla przykładu przypomnę panu ową Mulatkę, która miała niski głos, śpiewała w lokalu na Picadilly Circus, pośladki bujnie porastał jej włos i mówiła do pana: „Połóż się, mój mały, a zrobię ci przyjemność”. Owe owłosione pośladki nasuwają zaraz lekarzowi myśl, czy nie mamy w tym przypadku do czynienia ze zjawiskiem, które określa się mianem „hirsutyzmu”. Niechże pan sobie dokładnie przypomni, może również miała ona bardzo bujnie owłosione łono, zarost sięgał aż do pępka, włosy pokrywały jej rowek między piersiami, goliła się od czasu do czasu, a do pana mówiła męskim głosem: „Połóż się, moja mała, a zrobię ci przyjemność”?

– Nie – zaprzeczył stanowczo malarz. – Jestem pewien, że mówiła do mnie „połóż się mój mały”.

– W jakim języku tak do pana mówiła? – spytał Niegłowicz.

– Oczywiście po angielsku – obruszył się Porwasz. – Przecież wspomniałem, że to było w Londynie.

– Nie zna pan angielskiego.

– Nie znam – przytaknął Porwasz. – Ale do diabła, nawet nie znając języka potrafię odróżnić, czy ktoś do mnie mówi „mój mały”, czy „moja mała”.

– No cóż – westchnął doktor. – Może ma pan rację. Ostrzegam jednak, aby nie sugerował się pan wyłącznie płcią metrykalną oraz zewnętrznym wyglądem jakiejś istoty ludzkiej. Ileż to kobiet tylko z pozoru jest kobietami, cierpią bowiem na brak

pochwy i brak macicy albo zgoła mają niedorozwój macicy. Bywają też i takie, u których istnieje przegroda między macicą i pochwą, narządy płciowe są zarośnięte, mamy do czynienia z tak zwanym „wierzchniactwem” albo „spodziectwem”, i tak dalej, i tym podobne. Godzi się też wspomnieć o takich, u których macica bywa dwurożna lub podwójna, jako też zdarza się podwójna pochwa, ale niech pan sobie nie wyobraża panie Porwasz, że z taką kobietą będzie pan miał podwójną przyjemność. Mówiłem kilkakrotnie, że mężczyzna jest jak samotny wędrowiec na pustyni, widzi miraż i fatamorgany, a nigdzie źródła, gdzie mógłby się czystej wody napić. Pamiętam, kiedyś zapalałem żądzą do pewnej niewiasty, która, jak mi się zdawało, była w istocie rzeczy kobietą. Zaprosiłem ją na zabawę, a kiedy przyszło nam tańczyć skoczno oberka, niewiasta owa zatrzymała się raptownie i oświadczyła mi, że gubi owe rzeczy, które stanowiły przedmiot mego pożądania. Niech pan sobie nie wyobraża, panie Porwasz, że kobieta może zgubić te rzeczy tak, jak ktoś gubi dwudziestozłotówkę przez dziurawą kieszeń, choć, pewne podobieństwo oczywiście istnieje. Tym niemniej była to dla mnie przykra niespodzianka. Winę za to ponoszą źli położnicy, którzy podczas porodu idą na łatwiznę...

Czoło malarza Porwasza zrosił pot. Mdłości podchodziły mu aż do krtani, a ból w skroniach pulsował coraz mocniej i szybciej.

– Poproszę o trochę wody mineralnej – rozkazał doktor kelnerowi, dostrzegając błądność twarzy Porwasza i pot na jego czole.

– Miałem w życiu dużo kobiet... – zaczął znowu Porwasz. Doktor mu przerwał:

– Niezwykle fascynującym zjawiskiem, panie kolego, bywa sprawa interseksualizmu. Dopóki kobieta nosi sukienkę i ma na sobie rajtuzy, wszystko wydaje się w najlepszym porządku. Jeszcze jest lepiej, kiedy nosi spodnie i ma krótko ucięte włosy, bo wówczas i rozczarowanie u mężczyzny bywa mniejsze. Ale przecież zawsze należy brać pod uwagę możliwość spotkania damy z anomaliami chromosomów płciowych oraz nabytymi zaburzeniami płciowymi osoby, u której nastąpiło odwrócenie płci psychicznej albo takiej, o której pod wpływem heteroseksualnej czynności gonad lub nadnerczy wystąpiły już po urodzeniu wtórne cechy płciowe, właściwe dla płci przeciwnej. Cóż można wiedzieć o damach siedzących w barze kawowym na wysokich stołkach, jeśli tylko zerka się na nie dyskretnie i z ukosa? Może któraś z nich kryje w sobie zarówno pewną ilość tkanki jajnikowej jak i tkanki jądrowej? Zawsze bowiem w takich przypadkach, to jest w obojnactwie rzekomym, płeć gonadalna nie jest zgodna z płcią genitalną. Tak więc, jeśli zechce pan na chwilę podejść do którejś z tych dam, niech pan ma na uwadze owe przewrotne gonady, drogi przyjacielu.

Kelner przyniósł butelkę wody mineralnej i malarz Porwasz chciwie wypił jedną szklanekę, a potem nalał sobie drugą. Uczucie mdłości minęło na chwilę, ale ból w skroniach nie ustępował.

Doktor zaś ciągnął dalej:

– Nie chcę panu obrzydzać życia, wspominając o zjawisku, które zwie się „wirylizmem”, bo jak sama nazwa wskazuje, określenie to pochodzi od słowa „vir”, czyli mąż, mężczyzna, małżonek. Lecz wirylizm dotyczy kobiet. Nie każda kobieta, panie Porwasz, która chlubi się wspaniałym owłosieniem, jak już o tym mówiliśmy, budzi entuzjazm i radość lekarza. Znamy bowiem zjawisko zwane „hypertrichiosis”, które świadczy o niewłaściwych procesach gruczołów wydzielania wewnętrznego. Nie każdy też mężczyzna, panie Porwasz, który chlubi się wspaniałym owłosieniem na piersiach, plecach i na wielu innych częściach ciała jest zaraz nadmężczyzną. Ba, może okazać się, że w ogóle mężczyzną nie jest albo bywa nim rzadko.

Spostrzegł malarz Porwasz, że wzrok doktora kieruje się ku jego piersiom i czarnej koszuli, gdzie w miejscu, w którym malarz nie zapiął guzików, dumnie puszyły się pukle jego męskiego owłosienia. I pośpiesznie, jak gdyby wstydliwie, zapiął Porwasz guziki u swej koszuli.

– O, niech się pan nie martwi swymi włosami na piersiach, panie kolego stwierdził pojednawczo doktor. – Wprawdzie nadmierne owłosienie, jak już zaznaczyłem, związane jest z pracą gruczołów wydzielania wewnętrznego, ale jak do tej pory, nie udało się lekarzom stwierdzić najistotniejszych przyczyn tego zjawiska. Czy zresztą jest pan rzeczywiście nadmiernie owłosiony? Prawdziwe powody do niepokoju mielibyśmy wówczas, gdyby w ogóle nie miał pan włosów.

Znowu ogarnęły malarza mdłości. Nabrał w usta potężny haust powietrza, aby je powstrzymać.

A doktor skończył jedzenie i zapalił papierosa. Uśmiechnął się pogodnie do Porwasza i przymrużywszy porozumiewawczo prawe oko, zapytał go:

– No, niech pan mówi prawdę. Która z tych dam w barze kawowym bardziej się panu podoba?

– Ta młodsza – wyszeptał Porwasz.

– Tam, do licha – zdumiał się doktor. – Sądziłem, że jako artysta szuka pan w kobiecie przede wszystkim piękna.

– Jest szczupła i wysoka. Ma długie nogi...

– A pański zmysł estetyczny? – zapytał doktor. – Czy piękno kobiety nie wynika także ze wspaniałych i właściwych proporcji całego ciała? Ostatnimi czasy ciągle

czytam w powieściach zachwyty autorów nad pięknem długonogich kobiet. Czy tym autorom nic nie wiadomo o tym, że u prawidłowo zbudowanej kobiety rozpiętość ramion powinna równać się wzrostowi ciała, a wymiar podłużny górnej części ciała powinien być taki sam, jak wymiar dolnej części ciała? Innymi słowy, jeśli kobieta ma bardzo długie nogi, a tym samym zazwyczaj nieco krótszy tułów, to jest po prostu źle zbudowana. Taka kobieta może cieszyć oko jakiegoś tam powieściopisarza, ale martwi lekarza i chyba także rzeźbiarza.

– Ta dziewczyna nie jest piękna? – zaniepokoił się Porwasz.

– Ona nie może być piękną, ponieważ jest źle zbudowana – stwierdził doktor. Zapomniał pan już o tym, czego uczono pana w Akademii Sztuk Pięknych, podobnie jak mnie uczono w Akademii Medycznej. U prawidłowo, czyli pięknie zbudowanej kobiety wymiar dwukrętarzowy bywa tylko o 5 centymetrów mniejszy od wymiaru dwuramiennego, u mężczyzny jest on mniejszy o 10 centymetrów. Mówiąc po prostu: kobieta powinna mieć o 5 centymetrów mniej w biodrach niż w ramionach, mężczyzna zaś o 10 centymetrów. Jeśli kobieta wygląda podobnie jak ta oto dziewczyna, jest w biodrach węższa niż w ramionach, tak na oko przynajmniej o 11 centymetrów, to należy stwierdzić, że posiada męską budowę ciała. Wspominałem panu, że wzrost kobiety zależy od ilości produkowanych w organizmie estrogenów czyli żeńskich hormonów. Tedy pytam pana: czy naprawdę chciałby pan iść do łóżka z kobietą zbudowaną jak mężczyzna i do tego nie produkującą w odpowiednich ilościach hormonu żeńskiego.

– Ależ, doktorze... – jęknął malarz.

– Tu nie ma żadnego „ależ”, panie kolego – oświadczył stanowczo Niegłowicz. – Proszę zwrócić uwagę, że dziewczyna, która panu wpadła w oko, ma, jak słusznie to pan dostrzegł, niezwykle długie nogi i stosunkowo krótki tułów. Nadmiernie długie są jej ręce. A trzeba pamiętać, że gdy dolny wymiar ciała kobiety większy bywa niż górny, a rozpiętość ramion, czyli ich zasięg, jest większy niż wzrost ciała, wtedy mówimy, że taka osoba ma budowę eunuchoidalną. Oczywiście, nie chcę przez to powiedzieć, że ta panienka jest jakimś kobiecym eunuchem, ale jeśli się weźmie pod uwagę, że tak mało produkowała hormonów żeńskich...

– Dość! Dość! – wrzasnęła Porwasz.

Ból w skroniach stał się nie do zniesienia. Porwasz, nawet nie zapłaciwszy rachunku, poderwał się od stolika i prawie ślaniając się na nogach przebiegł bar, wspiał się po schodach, wcisnął klucz w zamek w drzwiach swego pokoju i jak nieżywy upadł na tapczan.

Doktor Niegłowicz ze zdumieniem pokręcił głową. Potem przywołał kelnera,

zapłacił rachunek za obiad swój i Porwasza, a następnie, wytarłszy starannie usta serwetką, powstał od stolika i posuwistym krokiem ruszył do obydwu kobiet. Zanim jednak zasiadł obok nich na wysokim stołku, szarmancko skłonił się starszej i młodszej – i rzekł:

– Jestem doktor Jan Krystian Niegłowicz ze Skiroławek. Czy panie pozwolą, że w ich towarzystwie wypiję filiżankę czarnej kawy?

O TYM, CO PRZEŻYŁ MALARZ PORWASZ I O NAUCE WYPŁYWAJĄCEJ Z OBGRYZANIA PAZNOKCI

Bogumił Porwasz obudził się, gdy za oknami hotelu był już mruk. Nie czuł bólu głowy ani mdłości. W łazience umył twarz, wypłukał usta, znowu rozpiął guziki u swej czarnej koszuli i po miękkim chodniku, ostrożnie jak kot, który wyruszył na polowanie, podszedł do drzwi pokoju doktora Niegłowicza.

Niestety, nikt nie odpowiedział na jego pukanie. Pośpieszył więc na dół do holu, gdzie przed kolorowym telewizorem siedziało grono przeważnie starszych pań i panów. Natomiast w barze na wysokich stołkach tkwiły trzy młode dziewczyny i przez słomki sączyły ze szklanek jakiś barwny płyn. Wszystkie trzy nosiły spodnie i kurteczki dżinsowe, zagranicznego pochodzenia, kurteczki zostały rozpięte, aby stał się widoczny głęboki dekolt jasnych bluzeczek, które na wpół odkrywały piersi. Dwie z dziewcząt były blondynkami, trzecia brunetką; ta rowek między piersiami miała najgłębszy i przez to wydała się Porwaszowi najbardziej ponętną. Wśród takich dziewcząt spędził Porwasz swoje dzieciństwo i wczesną młodość, nie budziły w nim strachu jak kobiety porządne na podobieństwo Aldony. Na ich widok poczuł w sobie coś w rodzaju ufności, nagle jak gdyby odbudowała się w nim radość i pewność siebie, a także powróciły siły witalne.

Podszedł do brunetki i zapytał krótko: – Ile?

Panienska z głębokim rowkiem między piersiami obdarzyła go czymś w rodzaju uśmiechu i natychmiast zeskoczyła ze stołka barowego,

– Jak dla pana, trzy tysiące.

Była to suma pieniędzy, jaką płacono w Skiroławkach za dwa prosiaki.

– Co to znaczy: jak dla mnie? – rzekł podejrzliwie.

– Bo pan jest młody i będzie mniej wymagający – oświadczyła już bez uśmiechu.

– Od starszych biorę pięć. Poza tym sezon jeszcze się nie zaczął i nie mam za wiele do roboty.

Porwasz bez słowa obrócił się na pięcie i skierował się do recepcji. Kipiał gniewem, duma jego została głęboko urażona. Ta dziwka hotelowa była chyba szalona, żądając aż tyle pieniędzy za tak drobną usługę! Za podobną otrzymywał od pani Aldony także po trzy tysiące, lecz jeszcze musiał dodać swój obraz, „trzciny nad jeziorem”, choć już nigdy więcej to się nie powtórzy.

– Doktor Niegłowicz znajduje się w pokoju 316 – poinformowała go recepcjonistka.

– Prosił, aby pana o tym powiadomić, gdyby pan pytał o niego. Po cztery stopnie brał malarz Porwasz, biegnąc schodami na drugie piętro. Niemal pędził przez całą długość korytarza, bo pokój ów znajdował się prawie na samym końcu.

Zapukał zakrzywionym palcem. I po chwili w otwartych drzwiach ujrzał młodziutką dziewczynę, tę samą, która z matką znajdowała się w barze, gdy jedli obiad. Była rzeczywiście wysoka, może trochę wyższa od Porwasza. Stała w drzwiach garbiąc plecy, w pozie niedbałej, z twarzą, na której zdawał się gościć sen.

Wybełkotała coś po angielsku. Ale nawet na niego nie patrzyła, jakby ją nie ciekawiło, kto i po co przyszedł.

Stropił się malarz Porwasz, pomyślał, że zapukał do niewłaściwych drzwi.

– Szukam doktora Niegłowicza – mruknął.

Wtedy i głębi pokoju doszło go donośne wołanie doktora:

– Niech pan tu wejdzie, panie Porwasz. Czekamy na pana z niecierpliwością.

Dziewczyna odsunęła się, wpuszczając malarza do małego korytarzyka, gdzie na powitanie Porwasza wyszła druga z kobiet, matka dziewczyny. Sięgała malarzowi zaledwie do brody. Była okrągła, tłuściutka, z wypukłym brzuszkiem i ogromnym biustem, który rozpychał górę jej sukienki bez rękawów i bódł przestrzeń jak dwa tępe rogi. Usta miała małe, wilgotne, czoło gładkie, oczy piwne, wesołe i bystre, a czarne krótkie włosy układały się w misternie zwinięte sprężynki. Od pierwszego wejrzenia przypominała Porwaszowi napuszoną sikorkę, skoczną i ruchliwą.

– Jaki miły, młody człowiek – zawołała owa dama, wyciągając do Porwasza ciepłą rączkę z ostrymi szponami długich paznokci. – Nie oszukał nas pan, doktorze, opowiadając, że ma pan tu w hotelu uroczego przyjaciela.

Doktor Niegłowicz siedział na wygodnej kanapie, która w razie konieczności mogła stanowić drugie łóżko. W ręku trzymał filiżankę czarnej kawy, na tacy stojącej na

blacie długiego stołu pod ścianą zobaczył Porwasz butelkę francuskiego koniaku, trzy kieliszki, trzy butelki coca-coli, jakieś kanapki, herbatniki. Zapewne przed chwilą taka owa przywędrowała tutaj z restauracji hotelowej.

Doktor wstał, skłonił się obydwu paniom i zaprezentował im Porwasza, mówiąc.

– Oto artysta malarz, który aż w Paryżu sprzedaje swe obrazy, pan Bogumił Porwasz. Te zaś dwie uroczne damy przybyły aż z dalekiej Kanady. Oto Zosia Chrobot – skłonił się przed starszą niewiastą – i Jenny Chrobot wskazał młodziutką dziewczynę. – Przyjechały, aby odwiedzić strony rodzinne, a być może także znaleźć mężczyznę godnego ręki pani Zofii, która od roku jest wdową. Majętną wdową, bo posiadającą wytwórnię wafli w pobliżu Toronto.

Gdy doktor kończył prezentację osób, Jenny chciała pójść do ubikacji, ale przywołało ją rozkazujące wołanie matki.

Jenny, wróć! Już trzeci raz chodzisz do ubikacji. Mój mąż – oświadczyła pani Chrobot, jakby to miało wyjaśnić zachowanie córki – był anabaptystą. Ciągłe powtarzał do mnie: Jest czas obłapiania i czas odchodzenia od obłapiania. Ale w naszym życiu więcej było tego odchodzenia od obłapiania niż samego obłapiania. Może dlatego Jenny urodziła się taka nerwowa.

Jenny stanęła przy oknie z twarzą skierowaną w ciemność nocy, na niewidoczne jezioro. Dziewczyna emanowała jakąś dziwną bezwładnością, jej długie ręce zdawały się zwisać bezwładnie wzdłuż boków, a choć oczy miała otwarte, to przecież, gdy patrzyła w mrok za oknem, zdawała się drzemać. Natomiast jej matka miała chyba nadmiar sił i żywotności za swoją córkę, a może nawet i za zmarłego męża.

– Niech pan siada i pije, panie Porwasz – zdecydowała, popychając Porwasza na kanapę obok doktora. – Oto pański kieliszek. I kanapka do przegryzienia, ciasteczko do chrupania.

Porwasz wypił kieliszek koniaku i natychmiast spostrzegł, że gołe ramiona pani Zofii Chrobot są okrągłutkie jak wałek do ciasta, a gładka skóra mieni się jak niezwykle delikatny materiał. Porwasza pociągała jednak Jenny; nie mógł oderwać oczu od jej tyłeczka, tak malutkiego jak u zająca. Pamiętał jednak, co mówił doktor – ta dziewczyna miała męską budowę ciała, tylko w małych ilościach produkowała hormony żeńskie, co spowodowało jej wysoki wzrost. Czy panienka z niewielką ilością żeńskich hormonów oraz męską budową ciała może być pełnowartościową kobietą, a nie jednym z owych miraży i złudzeń, jakie oczekują mężczyznę na pustyni zwanej życiem? Odetchnął z ulgą, gdy tyłeczek Jenny zniknął mu z pola widzenia – panienka usiadła na tapczanie, dłonie włożyła między chudziutkie uda, zwiesiła głowę i zdawała się zasypiać.

A pani Zofia z ożywieniem, to nalewając Porwaszowi koniaku, to podając mu kanapkę lub ciasteczko, opowiadała o swoich przeżyciach w kraju. Miesiąc była u swej dalekiej rodziny, za tydzień powracała z córką do Kanady. Ostatnie dwa tygodnie przed wyjazdem zdecydowała spędzić w hotelu.

Jenny znowu chciała pójść do ubikacji, ale i tym razem powstrzymał ją rozkazujący głos pani Zofii, która rozsiadła się wygodnie obok doktora, tak, że ten został wciśnięty między nią i Porwasza. Podochocony koniakiem malarz szeroko rozwodził się o swych obrazach, o baronie Abendteuer, grube i gorące udo pani Zofii coraz bardziej nacierało na udo doktora, a jej wypielegnowana dłoń raz po raz, jakby niechcący, opadała na kolano Niegłowicza. Wówczas doktor brał w ręce dłoń pani Zofii ze swego kolana, z galanterią całował, nieco dłużej przytrzymywał, aż wreszcie zaczął się te; dłoni przyglądać z niezwykłą ciekawością.

– Cóż pan takiego dostrzega na mojej ręce, doktorze? – zaniepokoiła się pani Zofia Chrobot. – Czyżby interesował się pan chiromancją?

– Broń Boże – odparł doktor Niegłowicz, zwracając pani Zofii jej dłoń w taki sposób, jak to czyni człowiek niepalący, gdy bywa częstowany papierosem. – Z lekarskiego nawyku zawsze oglądam ludzkie paznokcie, albowiem niejednej tajemnicy można się z nich dowiedzieć.

– Naprawdę? – zdumiała się pani Zofia, podnosząc do oczu swoje dłonie i przypatrując się im ciekawie.

Uczył to także i malarz Porwasz, stwierdzając, że za swoimi paznokciami nosi ślady rozmaitych farb.

– Paznokcie, miła pani – powiedział doktor – po łacinie zwą się „*ungues*” i są gładkimi płytkami rogowymi, które rosną o 1 milimetr na dobę.

U osób zdrowych mają różowe zabarwienie i bywają w dużym stopniu uwypuklone poprzecznie. Paznokcie ręki prawej są nieco szersze od paznokci ręki lewej, odwrotnie u mańkutów. Tak więc spojrzawszy na paznokcie od razu można stwierdzić, czy ktoś lepiej włada ręką prawą czy też lewą. Zabarwienie brązowe paznokci zdarza się u kobiet będących w ciąży, w okresie przekwitania, w nadczynności tarczycy, a także marskości wątroby. A zaś zaróżowienie tkanki podpaznokciowej widzujemy u ludzi chorych na serce, przy niedomykalności zastawek. Żółte zabarwienie paznokci obserwuje się w żółtaczkach, bladoróżowe – w niedokrwistości, ciemnoczerwone – w polycytemii. Zabarwienie zbliżone do czarnego bywa w przebiegu cukrzycy lub zrostowym stwardnieniu tętnic kończyn dolnych, jako że człowiek ma również paznokcie u nóg. Bielactwo paznokci, czyli popularne „kwitnienie”, zdarza się u osób cierpiących na

zaburzenia hormonalne, a także przy awitaminozach. Duże znaczenie mają poprzeczne pasma szerokości do 2 milimetrów o kolorze mgły i nieostrych brzegach. Występują one najczęściej po przebyciu duru plamistego, a także włośnicy. Paznokcie długie i wąskie spotykamy u osób z asteniczną budową ciała i w zespole Marfana, natomiast krótkie i szerokie u osób z budową pykniczną. Powiększenie paznokci następuje w akromegalii i w niektórych chorobach układu nerwowego, jak również po wylewie krwi do mózgu. Zmniejszone paznokcie zauważamy w twardzinie skóry, przy uszkodzeniu nerwów, w padaczce. Bywają paznokcie tak zwane „zegarkowe”, świadczące o pewnych schorzeniach organizmu, bywają paznokcie „łyżeczkowate”, a one świadczą z kolei o jeszcze innych schorzeniach. Spotykamy zgrubienia płytki paznokcia oraz paznokcie „szponowate”, które niektórzy literaci nazywają „krogulczymi”. Owo zjawisko może być spowodowane akromegalią, zakrzepowym zapaleniem żył, zaburzeniem krążenia obwodowego i uwiązaniem starczym. Znamy paznokcie kropkowane, z poprzecznymi bruzdami, nadmiernie łamliwe, o scieżnionej płytce, zresztą każdy z tych objawów ma swoją przyczynę. O paznokciach ludzkich można mówić nieskończenie i żałować należy, że tak rzadko zdarza się o nich pocytać w jakiejś współczesnej powieści.

Pani Zofia podała doktorowi swoje dłonie jak piesek łapki, kiedy staje w postawie „służę”.

– Niechże pan zdradzi moje najskrytsze tajemnice, doktoru – poprosiła z odrobiną strachu.

Odsunął się doktor nieco od pani Zofii, aby ulżyć swej nodze przyciskanej grubym udem, ujął jej dłonie w białe palce i oświadczył:

– Paznokcie pani mają kształt i grubość właściwą. Lakier, jaki pani używa, jest produkowany przez najlepszą na świecie firmę, nie łuszczy się i nie odpada. Świadczy to niezbicie, że jest pani kobietą, która może dać szczęście każdemu, nawet najbardziej wymagającemu mężczyźnie. Jest to w ogóle dłoń miła dla oka i przyjemna w dotyku.

To mówiąc doktor, porzuciwszy ręce pani Zofii, wstał z kanapy, zbliżył się do Jenny i bez przyzwolenia podjął jej dłoń tak bezwładną, jak gdyby należała do lalki.

Paznokcie Jenny oglądał krótko. Potem coś powiedział do dziewczyny po angielsku, a ta – zarumieniwszy się – natychmiast wyrwała mu z ręki swoją dłoń, podniosła się z tapczanu i poszła do ubikacji.

– Co on jej powiedział? – zapytał panią Zofię zaintrygowany Porwasz. – Ach, głupstwo – wzruszyła pulchnymi ramionami. – Doktor zapewnił Jenny, że jest zdrowa i nie powinna się przejmować stanem swoich nerwów.

Ta odpowiedź nie zaspokoila ciekawości Porwasza. Natarł na doktora:

– Niechże pan nam zdradzi, jakie są paznokcie Jenny.

– Ona ma paznokcie obgryzione – wyjaśnił doktor. A potem skłonił się pani Zofii, mówiąc:

– Pani pozwoli, że ją pożegnam. Zrobiło się późno, a ja lubię wcześniej chodzić spać. Pani Chrobot złapała Porwasza za rękę.

– Ale pan tutaj zostanie, prawda?

Niegłowicz opuścił pokój, Jenny nie wracała z ubikacji. Porwasz miał na szyi pulchne ramiona pani Zofii i usłyszał jej gorący szept:

– Nie opuści pan chyba samotnej kobiety, panie malarzu? Mój mąż był anabaptystą i mówił, że jest czas obłapiania i odchodzenia od obłapiania, ale w moim z nim życiu więcej było odchodzenia od obłapiania.

Na swojej zapadłej klatce piersiowej wkrótce poczuł Porwasz ciężar opiętych twardym biustonoszem piersi pani Zofii, która zdjęła mu jedną dłoń z karku i swoje szponiaste palce wsunęła w dekolt czarnej koszuli, aż do bólu skubiąc pukle jego czarnych włosów. Domyślał się malarz, co czeka go w ramionach kobiety, która tak długo odchodziła od obłapiania, ale myśl o fabryce wafli, o wyjazdach zagranicznych, o wspaniałościach portów lotniczych przytłumiała w nim strach. Śmiałym gestem wsunął lewą rękę między obciągnięte cienką materią rajstop grube uda pani Zofii, a prawą objął ją i przycisnął do siebie.

Lecz wtedy pani Zofia z niezwykłą siłą, jak na tak niedużą kobietę, oderwała się od Porwasza i oświadczyła:

– Jestem spragniona obłapiania, ale dopiero po ślubie. Bo wtedy będzie nam ciekawiej się obłapiać.

Bogumił Porwasz wstał z kanapy, skłonił się w milczeniu i szybko wyszedł z pokoju. Albowiem raptem uświadomił sobie, że nie cierpi smaku wafli, kupując lody zawsze wylizywał je starannie, a wafel wyrzucał. Nie wiadomo dlaczego nagle zatęsknił za dachowcem krytym eternitem, za brzegiem jeziora Baudy porośniętym trzcinami, za pracownią wypełnioną ciszą i samotnością. „Pokory” – przypomniał sobie słowa doktora – „trzeba panu więcej pokory”.

Skierował się do swego pokoju, ale zawrócił i zszedł na dół do baru. Wiedział, że nie zdoła tak od razu zasnąć i jeszcze odrobina alkoholu może mu w tym pomóc.

– Kieliszek wódki – poprosił.

W barze było dość ludno, starsze panie i starsi panowie – obejrzawszy program telewizyjny – szukali, tak jak i on, drogi do snu przez odrobinę alkoholu. Nie zauważył Porwasz brunetki z głębokim rowkiem między piersiami ani jej koleżanki utlenionej

na blond. Ze zdziwieniem stwierdził natomiast, że zajął miejsce obok trzeciej z nich, także blondyneczki, młodej kurnosej dziewczuszki, chyba jeszcze niezbyt doświadczonej w swym zawodzie, gdyż była zbyt jaskrawo wymalowana i miała sztuczne rzęsy niestarannie przyklejone do powiek.

Ona także przypomniwała sobie Porwasza.

– Niepotrzebnie obraził się pan na moją koleżankę, Jolę – odezwała się do malarza. – Ona nie miała nic złego na myśli, mówiąc, że pan będzie mniej wymagający i dlatego weźmie od pana taniej niż od innych. Pan jest młody i wygląda pan bardzo porządnie, po cóż więc miała się drożyć? Pan nawet sobie nie wyobraża, jak okropnie wymagający bywają starsi faceci. Nie dość, że robią to znacznie dłużej niż ludzie młodzi, ale niektórzy z nich żądają, aby dziewczyna rozebrała się przy nich do naga. Okropne, prawda? Ja w życiu czegoś takiego nie zrobiłam i chyba nigdy nie zrobię, zawsze rozbieram się tylko trochę, po ciemku albo pod kołdrą. Czy nie mógłby mi pan postawić szklanki soku pomidorowego?

Porwasz wypił kieliszek wódki, zamówił następny i szklankę soku pomidorowego dla kurnosej dziewczyny.

– Naprawdę, niech mi pan wierzy, nie było się o co gniewać na Jolę mówiła z ożywieniem, choć malarz milczał. – Być może pan także jest bardzo wymagający, ale chyba nie aż tak bardzo, aby dziewczyna musiała się rozbierać do naga. To właśnie miała na uwadze Jola, kiedy panu powiedziała, że nie weźmie za drogo. Dziewczyna musi się szanować, proszę pana, bo jak sama nie będzie się szanować, to nikt jej nie uszanuje. Dobrą opinię dziewczynom psują najczęściej przeróżne studentki, co to idą do pokoju z mężczyzną, który jej się spodobał albo za dobrą kolację. One się nie szanują, proszę pana. Nie powinno się takich rzeczy robić za darmo albo za kolację. One także roznoszą te różne choroby, które potem mężczyzn od nas odstrasza. Bo na ten przykład, Jola albo i ja to badamy się u lekarza co dziesięć dni, obowiązkowo, proszę pana. Jeśli pan chce, mogę panu pokazać zaświadczenie z poradni, to budzi zaufanie mężczyzny i tak właśnie być powinno. Pewność i zaufanie. Ja mam pewność, że otrzymam to, co mi się należy, a mężczyzna ufa mi, że mu się nic złego nie przytrafi.

Upiła trochę soku pomidorowego i mówiła dalej:

– Niepotrzebnie obraził się pan na Jolę. Nie miała nic złego na myśli. To prawda, że teraz nie jest sezon na dziewczyny i po co miała się drożyć? Sam pan widzi, że w tym hotelu przeważnie są pary małżeńskie, trudno coś zarobić. Niepotrzebnie przywiózł nas tu z Wybrzeża pewien znajomy. Powiedział: jedźcie ze mną, tam czeka na was dużo roboty. A to nieprawda, proszę pana, sam pan widzi, jak tutaj jest. Pusto i cicho. Od

wczoraj nie miałam żadnego gościa. A czy pan nie wie, gdzie ja jestem?

– Nie rozumiem – burknął Porwasz. – Pani nie wie, co się z panią dzieje? – Ach, nie – roześmiała się bardzo głośno. – Po prostu nie mam pojęcia w jakim jestem mieście. Znajomy nas tutaj przywiózł, a ja go o to nie zapytałam.

Porwasz wypił drugi kieliszek wódki.

– No tak, pan też nie wie, co to za miasto – westchnęła. – Bo widzi pan, ja nie zajmuję się tym bez przerwy. Zimą pracuję w kwaciarni, a dopiero wiosną, jak się sezon zaczyna, jadę w świat z dziewczynami. Ale ta znajomość i ten hotel nie jest dobrym miejscem, tu jeszcze się chyba nie zaczął sezon dla dziewczyn. Jola panu powiedziała prawdę, a pan się niepotrzebnie obraził. Może pan też jest bardzo wymagający, ale tego po panu nie widać. Jola się panu podobała, ona już jednak znalazła klienta. Ja też bym nie wzięła więcej niż trzy tysiące, bo jestem uczciwa i nie mogę żądać pięciu, jeśli tu jeszcze nie zaczął się sezon, a pan nie wygląda na wymagającego mężczyznę. Ale musi pan pamiętać, że jestem wstydliva, szanuję się i nie rozbiorę się do naga.

Porwasz zapłacił za swoje dwie wódki, za sok pomidorowy i jakby go z baru wyniosło. Pomaszerował do drzwi pokoju doktora, aby mu powiedzieć, że czuje się już wyleczony, ma w sobie ogromną ilość pokory wobec życia i świata, dlatego już jutro pragnie wrócić do Skiroławek. Niemal z tkliwością myślał o pani Halince, a także o pani Basieńce, które do tej pory traktował jakby trochę z góry, okazywał im brak większego zainteresowania męskiego, obrażał, przywożąc dziewczyny ze świata.

Na drzwiach pokoju doktora, u klamki, wisiała kartka w czterech językach. Było na niej napisane: „NIE PRZESZKADZAĆ”.

Zawrócił więc do siebie i zaraz położył się na szerokim tapczanie, szczęśliwy, że leży na nim sam, bez jakiejś Joli, bez jakiejś pani Zofii Chrobot czy kurnosej dziewczyny z baru. Rozumiał, że prawdziwa wolność, to właściwie tylko możliwość wyboru, a on już wybrał. Skiroławki.

W tym czasie w pokoju doktora na jego tapczanie siedziała Jenny Chrobot i dłonią z obgryzionymi paznokciami pieszczotliwie gładziła siwe skronie Niegłowicza, który leżał pod kołdrą, ponieważ, zanim przyszła do niego, on ułożył się już do snu.

– Mama mówiła panu, że mój ojciec był anabaptystą – opowiadała Jenny – i miał bardzo surowe obyczaje. Od dziesiątego roku życia wiązał mi ręce do łóżka grubymi sznurami, żebym nie mogła grzeszyć. To dlatego stałam się taka nerwowa i pobudliwa. Czy naprawdę to wszystko wyczytał pan z moich paznokci?

– Tak – powiedział doktor. – Bo jeśli młoda dziewczyna ma obgryzione prawie wszystkie paznokcie, a tylko jeden wskazujący jest starannie opiłowany, to na czym

polega jej tajemnica? Niepotrzebnie się tym przejmujesz, Jenny. Gdy wyjdiesz za mąż, wszystko będzie tak jak trzeba. Źle czynisz, sądząc, że jesteś inna niż wszystkie dziewczyny, gdyż, ja ci to mówię, niczym się od nich nie różnisz. Czy twoja mama wie, że do mnie tu przysłałaś?

– Owszem. Powiedziała jej, że muszę pana odwiedzić, gdyż przypomina mi pan ojca, za którym tęsknię.

To rzekłszy roześmiała się cieniutkim, dziewczęcym chichotem, gdyż była bardzo pobudliwa.

Prawdą jest, że u dziewczyny bardzo wysoki wzrost bywa skutkiem niewielkiej produkcji żeńskiego hormonu, chrząstki nasadowe kości późno się zamykają i istota ludzka strzela w górę jak sosna masztowa. Ale prawdą jest też, iż z taką dziewczyną mężczyzna może mieć przyjemność jak z każdą inną.

Tego wieczoru w Skiroławkach sołtys Jonasz Wątruch pokłócił się na zawsze z Antonim Pasemką. Bo choć obydwaj byli przekonani, że ziemią włada Szatan, to droga do Królestwa Niebieskiego zdaniem pierwszego z nich prowadziła przez miłosierdzie, a drugiego – przez sprawiedliwość. I choć obydwaj te fakty – ten w hotelu i ten w Skiroławkach – były tak różne i zdarzyły się w odległych od siebie miejscach, to przecież wspomnieć o nich należy, gdyż, jak to zostało powiedziane: „czas i trafunek jest we wszystkim”.

O TYM, ŻE KOBIETA PORZĄDNA NIE POWINNA BYĆ WSTYDLIWA JAK DZIWKA SPRZEDAJNA

Trudno stwierdzić, kiedy i od kogo ludzie w Skiroławkach dowiedzieli się o przeżyciach Porwasza i doktora Niegłowicza podczas ich wyprawy do miasta. Najprawdopodobniej to sam malarz Porwasz któregoś dnia z oburzeniem powiedział tym, co zwykli wysiadywać przed sklepem, że dziwki w Novotelu biorą od mężczyzny aż trzy tysiące złotych.

– To oznacza, że wkrótce będzie koniec świata – oświadczył Erwin Kryszczak.

Bo gdy Erwina Kryszczaka od czasu do czasu nachodziła męska ochota, wykradał swoim synowym kurę z podwórza i szedł z nią do Porowej. Trzy tysiące złotych płacono

w tym czasie za parę prosiaków.

– Może one dają inaczej niż nasze kobiety? – zastanawiał się cieśla Sewruk.

– Inaczej? Podobno nawet rozbierają się po ciemku albo pod kołdrą młody Galembka łączył się w swym oburzeniu ze starym Kryszczakiem. Pójść z taką kobietą, to tak samo, jakby się przydybało nocą w rowie starą Jastrzębską.

Tak zadziwiającej wieści nie schowa się na wsi pod snopki słomy w sąsiedku albo nie wciśnie pod dachówki jak szpaka. Dowiedziały się więc o tym kobiety młode i starsze, kobiety proste, i te, co się z racji swego wykształcenia za bardziej skomplikowane uważały, częściej się myły, i nawet majtki codziennie zmieniały.

Za trzy tysiące złotych pani Basieńka musiała uszyć aż trzy sukienki zwykłe albo jedną ślubną. Nic więc dziwnego, że pewnego wieczora natarła na swego męża, aby wyjaśnił jej tę sprawę.

– Jak myślisz, Nepomucenie, dlaczego one aż trzy tysiące biorą od mężczyzny? To po prostu nie do wiary. Czy wiesz, jak długo muszę pracować przy swojej maszynie za taką sumę?

Pisarz Lubiński głęboko zastanowił się nad tą kwestią, a wreszcie tak rzekł do żony:

– Szkoda, że nie czytałaś dzieł Zygmunta Freuda. Otóż zdaniem Freuda cyfra „trzy” jest symbolem męskich narządów płciowych. Myślę, że dlatego właśnie biorą od mężczyzny aż trzy tysiące.

– To one czytały Freuda? – powątpiewała pani Basieńka.

– Nie wiem. I to nie ma znaczenia – zniecierpliwził się Lubiński. W takiej sprawie liczy się podświadomość, a nie nabyta wiedza.

Pani Halinka Turlej przemogła po jakimś czasie głęboki żal, jaki żywiła do Porwasza, że wyjechał z doktorem do miasta i tam, w jakimś hotelu, zadał się z dziewczynami lekkich obyczajów. Wracając z pracy w szkole natknęła się na malarza, idącego do sklepu i wprost go o tę sprawę zapytała:

– Obyczaje to one mają lekkie – potwierdził ponuro Porwasz. Natomiast ciężkie pieniądze biorą od mężczyzny. I to warto wiedzieć, pani Halinko, że rozbierają się po ciemku albo pod kołdrą, takie są wstydliwe.

– Coś takiego? – śmiech pani Halinki zadźwięczał jak szkolny dzwoneczek. – Innymi słowy, niczego ciekawego pan nie zobaczył.

– Nawet nie próbowałem – wyznał szczerze Porwasz. – Bo gdzieżbym ja, pani Halinko, wydał trzy tysiące złotych na coś takiego. Skąd wziąłbym taką sumę, skoro ostatnio nawet na farby i pędzle mi brakuje?

Jeszcze raz dźwięcznie roześmiała się pani Halinka i odeszła do domu, kręcąc małym

tyłeczkiem, który przypominał Porwaszowi pannę Jenny. Ale pani Halinka była o wiele niższa, co znaczyło, że chrząstki nasadowe kości długich wcześniej się u niej zamknęły, produkowała więc odpowiednią ilość hormonów żeńskich. Skoro też od kilku lat była żoną leśniczego Turleja, a nawet urodziła mu dziecko, na pewno nie należała do owych złudzeń, fatamorgan i miraży, czyhających na mężczyznę w jego drodze przez życie.

Któregoś dnia, podając doktorowi obiad, także i Gertruda Makuch nawiązała do sprawy jego pobytu w hotelu, gdyż wszystko, co dotyczyło intymnych przeżyć doktora z kobietami, bardzo ją zawsze ciekawiło.

– Wierz mi, Gertrudo, że nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie oświadczył Niegłowicz. – Owszem, jadłem obiad w restauracji hotelowej, a był to befsztyk z frytkami i surówką. Okazał się za mocno wysmażony i twardy, a ponadto bardzo drogi. Tedy powiem ci szczerze, że w domu bywa obiad najsmaczniejszy i najtańszy.

Tę krzepiącą wiadomość Gertruda Makuch poniosła natychmiast na wieś, na lewo i prawo powtarzając słowa doktora, który choć był w Novotelu, gdzie dziwki żądają od mężczyzny aż trzy tysiące złotych, to jednak po powrocie przyznał, że w domu bywa najsmaczniej i najtaniej.

Niestety, słowa doktora rozniosły się po wsi zbyt późno, kiedy w różnych rodzinach, za sprawą dziwek hotelowych, rozpoczęły się już niesnaski. Niejedna też samotna kobieta, panna lub wdowa, czuła się pokrzywdzoną, że do tej pory za darmo dawała to, za co inne brały aż tyle pieniędzy. W niektórych małżeństwach kobieta kładła się wieczorem do łóżka z tak zboląłą miną, jakby jakąś wielką ofiarę dla męża czyniła. a te mocniejsze w rachunkach to nawet zasnąć nie mogły, wyliczając sobie, ile razy oddawały się mężowi za darmo i jaki to dom, stodołę, oborę, ogromny inwentarz mogłyby mieć, gdyby za każdym razem otrzymywały po trzy tysiące złotych. Ta i owa niewiasta – choć i pokraczną była, obwisłe piersi miała i wielkie brzuszysko przed sobą nosiła dumnie odtąd trzymała głowę, świadoma, jaki to też ogromny skarbiec nosi pod spódnicą. I zabrakło już dawnego szczęścia w Skiroławkach, narzekali na kobiety mężczyźni, ponieważ czy żona to, czy kochanka oddawały się wciąż jakby z łaski, a tym samym byle jak i niedbale, wyczuwało się u nich żal głęboko ukryty i niewypowiedziany.

Zhardziła ogromnie również i Porowa. Kiedy pojawił się u niej Erwin Kryszczak z kurą ukradzioną synowym, powiedziała mu, że za kurę może sobie na nią co najwyżej popatrzeć, a jeśli chce czegoś więcej, niechaj przyniesie dwa prosiaki albo wieprzka, który wart jest trzy tysiące. Aż żal było patrzeć na owego czcigodnego starca, który od tego czasu pod sklepem przesiadywał z kurą pod pachą, tak samo jak owa kura

osowiały. Często walczyli go przyjaciele piwem, ale on pić nie chciał, w rozmowy żadne się nie wdawał, nie opowiadał zabawnych historii o księciu Reussie. Litowali się nad nim obcy ludzie, współczuły kobiety, które do sklepu po zakupy szły i podobno nawet jedna z nich, ze zwykłej litości, chciała mu dać to, za co Porowa żądała aż dwóch prosiaków. Erwin Kryszczak jednak odmówił. gdyż nawet staremu mężczyźnie nie jest miłe, gdy jak żebraka darzy się go jałmużną. Ból i rozpacz Kryszczaka nie dawał spokoju także i jego synowym, tak że jedna z nich szepnęła mu na osobności, aby im niezbyt dużego wieprzka dla Porowej ukradł, skoro zwykła kura jej nie wystarcza. Lecz on przed takim przestępstwem się wzdrygał, gdyż miał swój męski honor.

Siedział więc Erwin Kryszczak na ławce pod sklepem; z głową opuszczoną i kurą pod pachą, a co sklepowa Smugoniowa przez okno na niego spojrzenie rzuciła, to jej się w oczach łzy zbierały. Aż z tego żalu i współczucia gniew ją wielki ogarnął – wszyscy zresztą mieli już dosyć niesnasek w domach, po krzakach polnych i młodnikach – tedy, gdy zatrzymał się pod sklepem samochód doktora, a on sam wszedł do środka, aby kupić papierosy, ujęła się Smugoniowa pod boki i groźnym głosem spytała Niegłowicza, czy to prawda, że z panem Porwaszem był w Novotelu i tamtejsze dziwki żądały od nich po trzy tysiące złotych.

Patrząc w czerwoną od gniewu i żalu twarz Smugoniowej, zrozumiał doktor, że sprawa jest poważna. Powiedział więc do niej i do innych kobiet w sklepie: – Prawdą jest, że tamtejsze dziewczyny kosztują aż trzy tysiące złotych, ale to już razem z leczeniem u dobrego doktora, które trwa od kilku dni do kilku miesięcy. Rzecz jest jeszcze nieco droższa, gdy ktoś sobie zażyczy zagraniczne lekarstwo.

– Słyszycie, kobiety? – ucieszyła się Smugoniowa. – Taka to jest prawda o tych trzech tysiącach. Głupie plotki roznosicie, zamiast wywieźcie się wszystkiego u ludzi mądrzejszych.

Ośmielona łaskawością doktora, zapytała jeszcze Smugoniowa, czy prawdą jest, że dziewczyny w Novotelu rozbierają się po ciemku albo pod kołdrą za owe trzy tysiące razem z leczeniem u dobrego doktora.

– Tak, to prawda – pokiwał doktor swoją siwiejącą głową. – I nie ma się czemu dziwić, drogie niewiasty. Kobieta uczciwa, czy to mężatka czy panna, nie ma się co wstydzić swego męża albo narzeczonego. Tedy rozbiera się na jego oczach. Co innego kobieta lekkich obyczajów, która uprawia zawód wstydlawy. Taka dziewczyna, pełna wstydu, obnaża się albo po ciemku, albo pod kołdrą, co jest zrozumiałe samo przez się.

Wyjaśnienie doktora bardzo się spodobało niewiastom, a także i mężczyznom w Skiroławkach. Cała ta skomplikowana historia została przez doktora wyłożona w

sposób jasny i dowodny. Bo czy w rzeczy samej porządny człowiek wstydzi się tego, co robi? Albo czy słyszano kiedy, aby ktoś szedł po ciemku do swojego ogródka?

Odtąd też w Skiroławkach jeśli jakaś kobieta czy dziewczyna nie chciała się przy mężczyźnie rozebrać do naga, mówiono o niej, że jest „wstydliva jak dziwka z Novotelu”.

O TYM, ŻE W DOMU OBIAD BYWA NAJSMACZNIEJSZY I NAJTAŃSZY

W niepamięci ludzkiej rychło utonęła sprawa owych trzech tysięcy złotych inne, nowe wydarzenie okazało się niezmiernie ważne.

Oto przewodnicząca koła gospodyń wiejskich w Skiroławkach, gruba żona gajowego Widłaga, przywiozła z Bart dyplom uznania dla kobiet w wiosce za ich zespołową hodowlę gęsi. Wprawdzie owe gęsi hodowano zespołowo w ubiegłym roku, potem kobiety pokłóciły się i swój zespół rozwiązały, ale dyplom dostały dopiero teraz i z tej okazji postanowiły w klubie wiejskim urządzić kobiece przyjęcie.

Widłagowa przyniosła ogromną brytfannę z plackiem drożdżowym, żona Kondka – upieczoną gęś, synowa Kryszcza – dwie pieczone kaczki, inne kobiety złożyły się na trzy litry czystej wódki. Małe stoliki zestawiono ze sobą i nakryto je wielką lnianą serwetą, rozłożono na nich jedzenie i rozstawiono picie, i tak – pod koniec maja, wczesnym wieczorem – rozpoczęło się w klubie przyjemne babskie biesiadowanie. Nie pierwsze zresztą i zapewne nie ostatnie, lubiły bowiem niewiasty ze Skiroławek zebrać się od czasu do czasu w swoim własnym gronie, pojeść, popić, pogwarzyć bez męskiej obecności. Mężczyźni co tu ukrywać – w czas taki woleli siedzieć po chałupach, a komu droga wypadła koło klubu, tylko chyłkiem przemyskał, aby go przez okno nie dojrzały, do klubu nie wciągnęły, wystawiając na szwank honor męski. Zdarzyło się przecież, że Szczepan Łaryn dał się kobietom do klubu wprowadzić, myśląc, że babska wódka ma taki sam smak jak męska, ale gdy podochocone zaczęły mu jego węża bezczelnie i bez zezwolenia na wierzch wyciągać, umknął im z rozporkiem pozbawionym guzików. Stąd nauka płynie dla mężczyzny, że dobrze jest z jedną niewiastą wypić wódeczki, ale z gromadą kobiet – niech Pan Bóg broni.

U szczytu ogromnego stołu zasiadła i zarządzała biesiadą Zofia Widłag, żona

gajowego. Miała pięćdziesiąt lat i była bardzo gruba. W gminie Trumiejki żadna kobieta nie posiadała większego zadu, w autobusie płaciła za jeden bilet, ale zajmowała miejsce podwójne; co najwyżej bardzo małe dziecko mogło przy niej przycupnąć. Nad dużym brzuchem wznosił się zwalisty nawis ogromnych piersi. Nawet w Bartach w żadnym sklepie nie było dostatecznie dużego biustonosza dla Widłagowej, podobnie jak nie istniały buty dla wielkich stóp cieśli Sewruka. Sama więc z konieczności uszyła sobie Widłagowa coś w rodzaju dwóch worków na swoje górne wybujałości, ale i tak raz po raz, to lewa, to znów prawa pierś wymykała się ze stanika i zjeżdżała na brzuch, a ona bez przerwy ręce miała zajęte wpychaniem którejs z nich na należne jej miejsce. Mimo pięćdziesięciu lat i swej tuszy, a może właśnie dzięki niej, twarz miała gładką, bez zmarszczek, o cerze delikatnej i różowawej. A przy tym usta jej były grube, czerwone, oczy niebieskie i wesołe, włosy jasne i bardzo bujne. Z twarzy za urodziwą więc uchodziła, zaś nadmiar ciała u kobiety nie każdemu mężczyźnie wydaje się wadą. Tedy choć gajowy Widłag narzekał, że z taką obszerną kobietą trudno w jednym łóżku dobrze się wyspać i suchej jak drzaska żonie drwała Stasiaka, jak szeptano, dziecko zrobił (szóste zresztą), inni mężczyźni, ci, którzy mieli chude kobiety, radzi na Widłagową spoglądali. W kolejce w sklepie chętnie tuż za nią się ustawiali, aby, niby to przypadkiem, dłonią lub podbrzuszem o jej zad się otrzeć.

Urodziła Widłagowa czworo dzieci, córkę i trzech synów, pożenionych już i na swoim daleko stąd, tylko najmłodszy jeszcze był w wojsku. Niektóre kobiety zazdrościły Widłagowej, że się dzieci pozbyła, a wraz z nimi kłopotów i obowiązków, ona jednak z tego powodu ból w sercu odczuwała. Nie dlatego, żeby kochała swoje dzieci bardziej niż inne kobiety, lecz ponieważ przez całe życie ciężko musiała pracować i mocno biedowała. Marzyło jej się – gdy tak rodziła dzieci, wychowaniem ich musiała się zajmować, a do tego małe gospodarstwo rolne prowadziła, krowę trzymała, świnie, drób, gdyż pensja gajowego była niska, a Widłag nie należał do ludzi zaradnych (miast niego musiała się wyklócać o deputatowe łąki w lesie, o każdy skrawek ziemi przydzielonej gajowym) – że kiedy dzieci dorosną, poprzez nie coś w rodzaju potężnego imperium w okolicznych lasach stworzy i tam królować będzie niepodzielnie. Córkę swą za leśniczego z sąsiedniego Uroczyńska zamierzała wydać, aby mieć wpływ na zięcia-leśnika i podczas podziału gruntów ornych co najurodzajniejszy kawałek dla siebie zagarnąć. Córka wyszła za mąż za górniką. Najstarszy syn wykształcił się na leśnika, lecz zamiast przejąć wolne leśnictwo w Biesach, przynależne do leśniczówki grunta i łąki, dwie stodoły i dużą oborę, w Bieszczady wyjechał. Drugi syn ani myślał pracować w lasach i do stoczni poszedł za robotnika. Trzeci – najmłodszy, co w wojsku był,

poznał zamożną pannę w odległych stronach i do niej na jej duże gospodarstwo rolne postanowił sobie wyruszyć. Tak Widłągowa pozostała z marzeniami, które nie miały się nigdy ziścić, bez żadnej władzy i wpływów. I jak dawniej musiała się z leśniczym wyklócać co roku o przydział dobrej łąki w lasach, o każdy skrawek lepszej ziemi, aby krowy uchować, trzodę, liczny drób. Nie była już tak biedna jak ongiś, mogła i od swych dzieci to i owo otrzymać, gdyby chciała, ale tak naprawdę tylko o tę odrobinę władzy w okolicznych lasach jej szło, a tego właśnie nie mogła osiągnąć. Czemu zaś o tę władzę jej chodziło, choćby tylko pośrednią, poprzez zięcia, synów, ich przyjaciół i znajomych sama nie rozumiała. A może wiedzieć nie chciała, choć dobrze pamiętała, jaką to za młodu urodziwą, krągłą kobietką była i każdy na nią miał apetyt. Czy to raz do niej mówił ten lub inny nadleśniczy, gdy wiosną dzielono orne grunty i łąki leśne – „przyjdziecie, Widłągowa, dziś wieczorem w młodnik w oddziale 112”. I szła, bo chciała mieć dobrą łąkę, wydajną ziemię. Wracała do domu aż przygarbiona od upokorzenia i zapłakana, mimo że łąkę po tym zawsze miała najlepszą, ziemię najurodzajniejszą. Ale to swoim prostym umysłem objęła, że najpotężniejszą rzeczą w świecie jest władza, ona daje człowiekowi siłę i pieniądze. Co by jednak z ową władzą ona – tak prosta kobieta – uczynić mogła, gdyby ją posiadała poprzez zięcia i synów, nie wyobrażała sobie. Lecz jej łaknęła, każdej odrobinki, choćby to były rządy w kole gospodyń wiejskich w Skiroławkach.

Uchodziła za kobietę schludną – to ją kiedyś doktor Niegłowicz za przykład dla innych dawał, że mimo swych lat i czworga dzieci żadnej nadżerki u niej nie stwierdził. Gospodarną też była i co roku wczasowiczów, niejakich państwa Turoń, w gajówce gościła, smakowite obiady dla nich robiła i czysto umiała podać. I tej to niewieście, z taką postawą i takim charakterem przydarzyło się, że już w czterdziestym czwartym roku życia miesięczkę na zawsze straciła. Przyczyny tego upatrywała w fackie, że wcześniej ją miała, bo w dziesiątym roku, rychlej więc niż innym przyszło ją jej utracić. Jednak doktor Niegłowicz wyjaśniał, że podobne przypadki nie są dla medycyny dość jasne i do końca zbadane.

Przykra to sprawa dla kobiety. Niejedna natychmiast ma poczucie, że stała się czymś zgoła bezużytecznym, jakby jakimś wrakiem czy pniem wypróchniałym. Innej zaczyna się wydawać, że oto starość do jej ciała wchodzi i na zawsze już, aż do śmierci, się usadawia. Stąd u tej czy owej pojawia się raptem dziwny niepokój, niezrównoważenie, skłonność do kłótni, wybuchowość, a także przedziwne urojenia, wywołane przez głęboko ukryte tęsknoty. Tak bywa z tą gorzej, z tą lepiej – ale przecież nie zawsze. Widłągowa przyjęła swoją kolej rzeczy ze spokojem, uśmiechem na czerwonych ustach,

pogodą w niebieskich oczach. Tyle tylko że jeszcze odrobinę przytyła, stanik musiała sobie uszyć nieco większy i częściej niż to dawniej bywało lubiła wypić wódeczki, jeśli się znalazła ku temu godna okazja.

Teraz więc, przewodząc kobietom ze Skiroławek na ich biesiadzie, raz po raz do góry swój pełen wódki kieliszek podnosiła i inne do tego samego zachęcała. Ale im nie potrzeba było aż specjalnej zachęty, aby zjeść kawałek tłustej gęsiny, udko kacze obrobić, ciasta drożdżowego sobie odkroić, a to wszystko podlać napojem, po którym kobieta czuje się weselsza.

Nie potrzebowała żadnych zachęt Zofia Pasemkowa – nie robiła się jednak po wódce weselsza, lecz jeszcze bardziej swoje wąskie usta zaciskała, jak gdyby coś ją we wnętrzu bolało. Piła i szybko jadła Helena Ziętek, żona drwała, chuda, z żółtymi plamkami na twarzy. Jadła szybko lecz z trudem, gdyż mimo że nawet trzydziestu lat jeszcze nie przeżyła – urodziwszy pięcioro dzieci prawie wszystkie zęby straciła i nie miała czym dobrze gryźć gęsiego i kaczego mięsa. Przeszkadzało jej w jedzeniu i to, że od czasu do czasu musiała tłustą od jedzenia rękę pod sukienkę sobie wsadzić i po podbrzuszu się podrapać, gdyż ją tam nieustannie swędziało. Przeciw temu swędzeniu dał jej kiedyś doktor Niegłowicz specjalną maść i kazał łono wygolić, co na jakiś czas poskutkowało, lecz gdy włosy odrosły, swędzenie powróciło. Mąż Helenki, drwał Ziętek, nie zgodził się na powtórzenie kuracji, ponieważ wołał, żeby ją i jego swędziało, niż żeby go kłuło.

Żona sołtysa Jonasza Wątrucha tylko usta moczyła w kieliszku, skubnęła odrobinę gęsi i pieczonego placka – wiara jej męża nie pozwalała na więcej, nakazywała pokorę i powściągliwość nie tylko w mowie, lecz i w jedzeniu... i picciu. Żona Kondka piła, owszem, ale nie jadła, jak gdyby chciała innym kobietom dać do zrozumienia, że od czasu jak jej mąż został do stada wiernych przygarnięty przez proboszcza Mizererę, nie brakuje jej wszelkiego jedzenia i nie musi się najadać podczas kobiecej biesiady.

Inaczej było z Lucyną Jarosz, żoną drwała. Rozsiadła się wygodnie na krześle tuż po prawicy Widłagowej, szeroko rozstawiła swoje pałakowate nogi, wypięła wielkie brzuszysko i coraz to wychylała kieliszek, który jej nalewała Widłagowa. A ta uprzejmość gajowej wynikała z faktu, że ciekawiło Widłagową, skąd też Lucyna Jarosz ostatnio bierze pieniądze, od nikogo nie pożycza, jak to dawniej wciąż czyniła. Jarosz przecież nie zarabiał więcej niż kiedyś, Lucyna gospodarniejszą się nie stała – a jednak już żadnych pożyczek po wsi nie robiła. Wódka mogła ją skłonić do wyznań, lecz Jaroszowa po trzech kieliszkach raptem dziwnie nieprzystępną się stała i nawet obraźliwie do tej czy owej mówiła „ty głupia babo”, jakby tajemną mądrość posiadała.

Widłagowa dolewała też do kieliszka i żonie drwała Stasiaka, aby raz jeszcze usłyszeć

od niej wyznanie, że szóste dziecko zmaistrował jej mąż, Widłag. Nie zamierzała wcale Zofia robić o tę sprawę awantury mężowi, bo co by to dało poniewczasie? Nie była też zazdrosną o jego uciechę, ale po prostu nadziwić się nie mogła, jako kobieta dorodna i schludna, że z kimś takim jak Stasiakowa mógł się on zadawać i mieć przyjemność. Nie rzecz w tym, że Stasiakowa miała trudności z mową i tylko jakieś „hrum-brum-brum” z ust jej się wydobywało, o brzmieniu przeczącym albo potakującym, gdyż nie gadaniem się dzieciaka robi; ale że była strasznie chuda, a przy tym drobna i do tego z brzuchem tak dużym i wypukłym jak u Jaroszewej. Od dwudziestego roku życia już taki wypukły brzuch nosiła, twierdząc, że woda jej się w nim zbiera, lecz za każdym razem lekarz stwierdzał ciążę. Po urodzeniu dziecka brzuch jej jednak nie opadał, ubywało tylko włosów na głowie; zębów, haczykowaty nos jeszcze się bardziej zakrzywił. I zapach się nieprzyjemny od niej roznosił, jakby łoju czy kurzego łajna, choć kur Stasiakowa nie hodowała. Co w niej więc odkrył gajowy Widłag – niech teraz Stasiakowi jego żonie powie, niech przyzna, że to było chyba po pijanemu albo podczas ciemnej nocy.

Godzi się też wspomnieć o obecności Ruth Miller, której najmłodsza córka, Haneczka, w ostatni dzień lipca ubiegłego roku została zaduszona na polanie leśnej za domem doktora. Opowiadano we wsi, że kiedyś Ruth była niezwykle piękna i dumna, ale nic z jej urody ani tym bardziej dumy nie pozostało. Urodę zniszczył czas, trud i bieda, a dumę – jak sama o tym napomykała – zabrał jej jakiś obcy człowiek w mroźną zimę, zdzierając z jej dłoni rękawiczki. Dwie córki Ruth – Berta i Anemarie – za granicą żyły, może i w dostatku, gdyż od czasu do czasu drogi prezent matce przysłały. Jeszcze trzy dziewczyny miała z drwalem Janasem, z którym przez dwadzieścia lat żyła bez ślubu, a potem Janasa drzewo w lesie zabiło. Po nim zostały jej trzy dziewczyny i renta. Dwie córki wyszły za mąż za meliorantów i gnieździły się z matką pod jednym dachem. Melioranci rzadko w domu bywali, ale za każdym razem awantury z tego były i nowe dziecko. To prawda, że z powodu tej gromady dzieciaków u Millerowej zawsze śmierdziało, bo co jedno zlaźło z nocnika, to drugie na niego wlaździło, zaś obydwie córki nie garnęły się do roboty, papieroski paliły i w okno patrzyły, czekając na swoich ciągle pijanych meliorantów. Z najmłodszą, Haneczką, wiązała Millerowi największe nadzieje, bo była urodziwa jak kiedyś ona, dobrze się w szkole uczyła, na wspaniałą pannę miała wyrosnąć. Ale to ją zadusił zbrodniarz bez twarzy i matce tylko myśl o zemście pustkę po niej wypełniała. Czterdzieści pięć lat miała Ruth Miller, ale gdzież jej było porównać się do pięćdziesięcioletniej Zofii Widłag. Była już starą kobietą z kosmykami ni to siwych, ni to szarych włosów, przygarbiona, z poczerniałą i pomarszczoną twarzą, drżącymi rękami i ochryplym głosem. Tylko czarne oczy nie

straciły blasku, a po, każdym kieliszku wódki pojawiał się w nich silniejszy ogień – może z żądy zemsty za córkę, a może po prostu z nienawiści do innych ludzi.

W biesiadzie uczestniczyła też wdowa Janickowa i jej córka, kulawa Maryna, która z Antkiem Pasemką dziecko nieślubne miała. Były też i inne, ogółem prawie dwadzieścia kobiet, tylko tyle bowiem z całej wioski w ubiegłym roku hodowało gęsi. Można było o nich opowiadać wiele. Wszystkie jednak te niewiasty razem i każdą z osobna opisał Lubiński w swej nowej powieści o miłości pięknej Luizy. Wśród tych kobiet wypadło Luizie żyć i ich to dzieci musiała uczyć.

Gigantyczny był trud pisarza Lubińskiego, aby prawdę o owych niewiastach zgłębić i na karty książki przenieść.

Zamiast Basienki do sklepu po zakupy chodził i stawał z kobietami w kolejce przy ladzie, przysłuchując się ich rozmowom, pogwarkom, żarcikom. Zaczepiał te kobiety na drodze i wdawał się z nimi w długie rozmowy o życiu, niekiedy nawet po chałupach je odwiedzał. W dyskusjach z Niegłowiczem nie mógł się nachwalić przedziwnemu rozumowi owych prostych przecież kobiet, trafności ich spostrzeżeń – choć przecież prawie żadna nosa poza wioskę nie wyściubiła. Zachwycały go ich cięte charakterystyki innych ludzi, przewrotność umysłów, pazerność i chciwość, jakby zwierzęce przywiązanie do dzieci, a zarazem zupełny brak troski o nie, bo nawet suka bardziej się troszczyła o szczenięta niż one o swoje potomstwo. I tylko jedno go trapiło – że nie ma chyba dość talentu, aby na kartach nowej książki ukazać ich sylwetki, złożoność charakterów, graniczącą z głupotą trafność sądów, zaciętą docieklivość i złość na innych. A taki był w tych zachwytach niepoohamowany, że pewnego dnia zapytał go doktor, czy może wymieni z imienia i nazwiska taką kobietę w Skiroławkach, u której, on, Lubiński wypiłby bez wstrętu szklankę mleka albo bez obrzydzenia położyłby się spać w jej pościeli. Posmutniał pisarz, bo w rzeczy samej tylko kilka takich niewiast mógł wskazać. A później powiedziała mu pani Basienka, jak niewiasty drwią sobie z niego, powtarzając: „Z tyloma kobietami we wsi pisarz gadał, a żadnej nie udało mu się wychędożyć”. Pojął wówczas Lubiński, jak cienka jest granica między prostotą i prostactwem, między świadomym życiem i bytowaniem. Niemal zapłakał nad losem pięknej Luizy, nauczycielki, której wypadło żyć między podobnymi kobietami. Zaraz też opisał, jak to strzec się musiała, aby nawet spojrzeniem nie zdradzać się ze swym uczuciem do stażysty, jak kluczyła między opłotkami i wśród zagajników, zanim przyszła na spotkanie w domku myśliwskim koło starej karpiami. Sklep Smugoniowej, gdzie go dawniej zachwycały żarciki kobiece, upodobnił się w jego wyobraźni do przeogromnej rzeźni, w której języki kobiece, jak ostre noże, każdą sprawę i każdego

człowieka ćwiartowały, żyłowały, wypruwały wnętrzności, soliły i pieprzyły, na miazgę przerabiały – aż owa sprawa czy ów człowiek martwy się stawał i bez duszy, choć żywy i zdrowy, mieszkał po sąsiedzku i po godzinie mówiły mu „dzień dobry”.

Teraz piły i jadły, a żadnej nawet przez myśl nie przeszło, że ktoś je może opisać albo zobaczyć innymi niż samymi siebie widziały. Aż noc przyszła głęboka, pusty się zrobił półmisk z mięsem, brytfanna z plackiem i butelki z wódką. Jedna po drugiej zaczęły się wymykać z klubu, gdzie w końcu pozostała sama Zofia Widłag i zajęła się sprzątaniami po biesiadzie. Obiecała bowiem klubowej, żonie naczelnika poczty, Kraftowej, że lokal pozostawi w największym porządku, zamknie go i klucz jej do mieszkania obok poczty odniesie.

W tym czasie malarz Porwasz kończył przy świetle elektrycznym prace nad nowym obrazem, pełnym trzcin nad jeziorem. I znowu jak uprzednio stwierdził, patrząc nieco z boku na swoje dzieło, że z gęstwiny zielonkaworudych pałek wychyla się ku niemu czarna, spiczasta głowa Kłobuka. Poirytowany sięgnął ręką do kieszeni fartucha po papierosy, ale tylko pustą i zmiętą paczkę znalazł. Chciało mu się palić, mocno, namiętnie, więc nawet nie zdejmując z siebie fartucha wyplamionego farbami i nie zamykając domu na klucz, nie bacząc te. na późną porę i ciemność nocną, pomaszerował do klubu, który był czynny do dziesiątej wieczorem i gdzie można było nabyć papierosy.

Na drodze koło cmentarza, w gęstej ciemności nieomal zderzył się Porwasz z powracającą samotnie żoną gajowego Widłaga.

– O, pan Porwasz – ucieszyła się rozpoznawszy osobę. – A dokąd to pan tak spieszy?

Naparła na Porwasza swym ogromnym ciałem, jej wielki biust spoczął na piersiach malarza, a jego samego owiał zapach alkoholu, którym oddychała.

– Po papierosy idę do klubu – wyjaśnił Porwasz.

Jego ciało przeciwstawiło się brzuchowi Widłagowej. Potem prawa ręka Porwasza dotknęła piersi żony gajowego, lewa zaś oparła się na potężnym zadzie kobiecym.

Nie próżnowały też ręce Widłagowej, rozpięły malarzowi rozporek.

– Jest! Jest! – radośnie pomrukiwała Widłagowa, miętosząc z początku miętki, a potem coraz twardszy Porwaszowy członek.

Stali tak na drodze, przylepieni do siebie niby dwie duże mrówki, które się przypadkiem spotkały i dotykają się czułkami, co podobno oznacza u nich nie tylko powitanie, ale i wymianę wiadomości. Tedy i oni poprzez owo wzajemne zetknięcie i ruchy swoich rąk także zapewne jakąś tajemną informację między sobą wymienili, bo raptem Widłagowa odeszła nieco na stronę, w niedużą kupę rozkwitających bzów, które rosły po drugiej stronie drogi, obok cmentarza.

– Papierosów już pan nie dostanie, bo klub dziś nieczynny – powiedziała Widłągowa do Porwasza. – A we mnie może pan sobie pozwolić, ponieważ ja już nie mam miesięczki i w ciążę nie zajdę.

To mówiąc szybkim ruchem zadarła Widłągowa kiecki, zrećnie zrzuciła majtki, niewiele o nie dbając. Z bżami sąsiadował młody klon, jego to pnia chwyciła się Widłągowa obydwoma rękami, grzbiet i głowę ku ziemi pochyliła i na Porwasza swój goły zad wypięła. Mimo gęstej ciemności zajaśniał on Porwaszowi jak okrągły księżyc. Patrząc na ową wypukłą i rozległą przestrzeń golinny przypomniał sobie Porwasz nauki doktora, że u niewiasty im mniejsza jest różnica między wymiarem dwuramiennym a dwukrętarzowym, tym ma ona bardziej kobiecą budowę. Widział malarz, że wymiar dwukrętarzowy zdawał się być u Widłągowej taki sam, a nawet jakby nieco większy niż wymiar dwuramienny, co było dowodem, że jest ona kobietą, a nie jakimś złudnym mirażem.

Z przyjemnością pogłaskał napiętą na zadzie gładką skórę, a że członek już miał uprzednio z rozporka wyjęty, tedy namacawszy dłonią jej wilgotny srom zadał mocny cios od tyłu, aż westchnęła z wielkiego zadowolenia. Potem, trzymając Widłągową za tłustą kibić, wchodził w nią i z niej wychodził, aż wreszcie jęknął wpuszczając w jej ciepłe wnętrze swoje męskie nasienie. Raz, drugi, a nawet trzeci.

Poczuł ogarniającą go radosną ulgę. Jakby mu ktoś zdjął z pleców wielki ciężar, który dźwigał już od wielu dni i nigdy się z nim nie rozstawał. A teraz był nasycony i szczęśliwy. Wyjął z pochwy Widłągowej ostrze swego męskiego sztyletu i dopiero wtedy zauważył, że ktoś czai się za jego plecami.

– No dalej, dalej. Pozwólcie sobie wszyscy – pomrukiwała Widłągowa, wciąż wspierając się rękami o pień młodego klonu i wypinając zad.

Młody Galembka zaczął rozpinać rozporek, lecz Porwasz położył mu dłoń na ramieniu.

– Papierosa – zażądał.

Galembka pośpiesznie wyciągnął z kieszeni zmiętoszoną paczkę, podał ją malarzowi i zaraz doskoczył do Widłągowej. Jako człek żonaty nie był aż tak spragniony kobiety jak malarz, działał dłużej i głośniejszą sapała też żona gajowego. Porwasz zdążył wypalić papierosa, a nawet zauważył w gęstym mroku jeszcze jedną osobę. Był to Antek Pasemko albo ktoś do niego podobny. – Zaraz będzie twoja kolej – rzekł do niego malarz Porwasz.

Chłopak nie nadawał się jednak do męskiego skoku, objął rękami pień lipy przy drodze i wymiotował głośno.

– Co ci to? – zdumiał się Porwasz.

– Nie wiem... Chyba wódki za dużo wypilem – bełkotał wstrząsany torsjami.

Galembka odstąpił wreszcie od Widłagowej, która wciąż trzymała się pnia klonu, czekając na następnego mężczyznę. Widząc jednak, że Antek Pasemko wciąż wymiotuje, Porwasz zsunął Widłagowej kieckę na goły tyłek, pomógł się wyprostować, a nawet majtki jej z ziemi podniósł i do ręki włożył. Następnie poprowadził ją na wiotkich nogach w kierunku domu. Jego prawa ręka obejmująca Widłagową czuła ciepło tłustego ciała, rozpiełała Porwasza radosna świadomość, że bez żadnych starań, niejako z łaski niebios otrzymał za darmo to, o co z takim trudem zabiegał w dalekim hotelu. Ogromna to musiała być radość, skoro niepomny na późną porę, koło domu pisarza Lubińskiego krzyknął na całe gardło: „Hej, hej, Skiroławki, kochany kurwidolek”. A potem jakby mu się raptem żal zrobiło rozstania z grubą Widłagową, która wciąż jeszcze w ręku niosła swoje majtki, chwycił ją mocniej prawą ręką za tęgą kibić i zaciągnął do swojego domu, na tapczan. Tam załatwił ją po raz wtóry, był bowiem człowiekiem młodym i pełnym sił witalnych.

Widłagowa posapując z zadowolenia rozłożyła się naga na tapczanie, piersi jej zjechały pod pachy, wielki brzuch oklapł i rozstąpił się na boki, przez co wyglądała jakby zrobiona była z białego i dość rzadkiego ciasta. Porwasz leży obok i twarz miał wciśniętą w poduszkę, bo gdy raz tylko głowę podniósł i na jej ogromne i tłuste ciało zerknął, obrzydzenie do siebie czuł, że z taką to niewiastą przyszło mu mieć przyjemność. A jednak owo obrzydzenie trwało dość krótko, po chwili pogłaskał ogromne jak kłocę uda Widłagowej.

– Lubi pan malarz tłuste kobiety, jak nasz doktor – ozwała się. – Kiedy byłam młodsza i trochę mniej gruba, dziesięć albo dwanaście lat temu, często do niego zaglądałam, żeby Makuchowej pomóc przy myciu okien. W naszej wiosce nikt nie ma tak czystych szyb jak ja.

– A umie doktor kobiecie dogodzić? – zainteresował się Porwasz.

– Umie, panie. Tylko, że najpierw kobietę upokorzy, zanim w nią wejdzie.

Czuł malarz, że jeszcze chwila a przeniknie tajemnicę doktora.

– Jak on to robi? – zapytał obojętnie.

Zatrząsał się od śmiechu ogromny brzuch Widłagowej.

– Nie będę ja, stara baba, takiego młodego człowieka brzydkich rzeczy uczyła.

To mówiąc wolno zlazła z tapczana i zaczęła wciągać na siebie majtki tak wielkie, że i pięć tyłków Porwaszowych by się w nie zmieściło.

– Okna i u mnie warto by umyć – wspomniął malarz, leniwie przeciągając się na

tapczanie.

– Warto – uśmiechnęła się łaskawie. – I jutro albo pojutrze to zrobię. Po namyśle dodała:

– Ogródenie wokół domu ma pan z siatki, ale ogródek pański jest zachwaszczony. Czy nie obrazi się pan, jeśli do ogródka swoje młode kaczuszki wypuszczę? Trawkę i chwasty wyskubią, a panu nie zawadzą.

– Dobrze – zgodził się Porwasz.

I pomyślał, jak to mądrze i prawdziwie powiedział doktor, że w domu obiad bywa najsmaczniejszy i najtańszy.

Nie wiedział, że jego radosny okrzyk rozbudził śpiącą przy otwartym oknie panią Basieńkę.

Potrząsnęła Basieńka śpiącym mężem i zapytała go:

– Porwasz przechodził drogą i krzyczał, że Skiroławki są kochanym kurwidołkiem. Jak sądzisz, Nepomucenie, dlaczego on tak brzydko nazywa naszą wioskę?

– Nie zawracaj mi głowy – gniewnie mruknął Lubiński. – Nic mnie nie obchodzi, co wykrzykuje po nocach malarz Porwasz.

– Nazwał naszą wioskę „kochanym kurwidołkiem” – powtarzała pani Basieńka.

– Miał rację – stwierdził pisarz Lubiński, odwracając się plecami do żony. Zaraz znowu zasnął, lecz pani Basieńka długo w noc zastanawiała się nad treścią okrzyku Porwasza. Bo czy w rzeczy samej w ich małej wiosce działały się rzeczy gorsze lub bardziej zdrożne niż gdzie indziej?

O KWIECIE PAPROCI I KRÓTKIEJ CHWILI SZCZĘŚCIA

Z początkiem czerwca w Skiroławkach noc trwa już zaledwie niecałe osiem godzin, przez co – zdaniem proboszcza Mizerery – diabeł ma mniejszy dostęp do człowieka, gdyż jako Król Ciemności lubi przede wszystkim mrok nocny. Tedy zaraz po święcie Bożego Ciała Mizerera bierze urlop i wyrusza nad morze, gdzie wdycha zapach jodu. W tym czasie duszpasterstwem zajmuje się wikary oraz częściej niż zazwyczaj przyjeżdża pastor Dawid Knothe i po okolicznych wioskach w prywatnych domach lub kaplicach odprawia swoje protestanckie nabożeństwa. Bóg jest bowiem jeden, natomiast zło jawi się w rozmaitych postaciach i na wszelkie sposoby należy z nim wojować. Umówił się więc proboszcz Mizerera z pastorem Knothe, że gdy któremuś z nich urlop się przydarzy

czy choroba albo, jak to było w przypadku pastora, że na uniwersytecie przewód doktorski otworzył o pieśniach ludowych zebranych przez pastora Gizewiusza, jak nie jeden, to drugi będą dbali o to, aby do ludzkich serc nie wkrađło się zwątpienie czy niewiara.

Myliliby się bowiem ten, kto by sądził, że Szatan tak zupełnie w czerwcu próżnuje. Czy to nie koło świętego Jana zdarzają że od wieków wśród ludu rozmaite zberezeństwa, panny łatwiej tracą cnotę, a mężatki chętniej decydują się na zdradę swych mężów? Tak mówi tradycja, którą szanuje pisarz Lubiński, choć doktor Niegłowicz odrobinę z niej pokpiwa, twierdząc, że kobieta przez cały rok wytwarza ciała naukowo zwane ciałami rujotwórczymi, tedy cały rok skazana jest na cielesne pokusy, ale w czerwcu są one po prostu bardziej widoczne, gdyż noc trwa krócej i ciemność ich nie osłania. Kto ma rację – trudno tę sprawę rozstrzygnąć. Jedno wydaje się pewne, a to mianowicie, że o kobietach, dobrze lub źle, przyjemnie się w czerwcu rozmawia, podobnie zresztą jak w każdym innym miesiącu.

Z początkiem czerwca jezioro zmienia swoją barwę. Z modrego, jak oczy zmarłej córki Jonasza Wątrucha, staje się ciemnoniebieskie, a potem zielonkawe. W Skiroławkach przekwitają bzy, nad łąkami latają motyle, a nocami krąży wokół stodół gacek wielkouch. W zbożach zakwitają pierwsze chwasty – purpurowoliliowe kąkole, ciemnoniebieskie ostróżeczki i rumian polny. A w okopowych kwitnie różowy groszek bulwiasty i żółty szczawik.

Na bagnach i torfowiskach za domem doktora na kępach turzyc pokładają się pędy przytulii błotnej okrytej białym kwieciem. Żółci się tojeść, jak gwiazdy skrzą się kwiaty jaskra wielkiego, a na pełzających po ziemi pędach żurawiny pokazują się malutkie ciemnoróżowe płatki kwiatuśzków. W lasach kwitną głogi, kalina, berberys, znaleźć można kwiat lilii złotogłowej, a z nią i fijołek leśny. Na sosnach widać młode szpilki, a na szczytach świerków sterczą czerwonawe szyszeczeki podobne do kolorowych świeczek. Zielonymi liśćmi okryte są już nawet najstarsze dęby, które ostrożnie i nieufnie otwierają pąki. Powiadają ludzie, że w czerwcu w lasach na jedną noc zakwita paproć, a kto ją ujrzy – staje się szczęśliwym. I jest to szczerą prawdą, ponieważ człowiek bywa szczęśliwym tylko na jedną noc, na krótki czas. Nigdzie nie jest powiedziane, że człowiek ma być szczęśliwym zawsze, przez całe swoje życie i to rozumie mędrzec, który tylko czasem, na krótką chwilę, czuje się szczęśliwy. Natomiast głupiec i prostak idzie do lasu, aby szukać kwiatu paproci, znajduje go jednak tylko w baśniach, gdyż głupiec i prostak nie wiedziałby nawet, co robić ze swoim szczęściem.

Wie o tym doktor Niegłowicz i nie chodzi do lasu po kwiat paproci, a tylko leczy

ludzi w ośrodku zdrowia. Wie o tym również pisarz Lubiński i dlatego jeśli w czerwcu zagłęda do lasu, to tylko po to, aby pani Basieńce przynieść bukiet leśnych fiołków. Po kwiat paproci wybrała się jedynie pani Luiza, nauczycielka tuż przed emeryturą, gdyż nigdy przez całe swoje życie nie czuła się ani przez chwilę szczęśliwą. Lecz tego dziwnego kwiatu należy szukać o dwunastej w nocy, a ona zawróciła o zmroku, aby, broń Boże, ktoś sobie coś złego o niej nie pomyślał.

Tak naprawdę to ten kwiat znalazła tylko piękna Brygida, lekarka weterynarii z Trumiejek, choć wcale nie poszła po niego do lasu. Ze swoim chorym dzieckiem przyjechała do doktora na półwysep, gdyż tego dnia doktor miał dzień wolny od pracy, a ona nie darzyła zaufaniem pani doktor Kuraś. Niegłowicz osłuchał dziecko, tu i ówdzie dotykał swoimi palcami tak delikatnie, jakby to nie istota ludzka była a jakiś drobny kwiatek. Dał Brygidzie butelkę z kroplami i powiedział, że dziecku już pod wieczór minie gorączka, a za trzy dni będzie zupełnie zdrowe.

– Myślałam, że dziecko wypełni mi cały świat i zabierze całe serce. Ale ono zabrało mi tylko połowę świata i połowę serca – powiedziała do doktora Brygida, jakby tłumacząc się mu, że ma nieślubne dziecko, nawet nie wiadomo od kogo.

Popatrzył też doktor w duże, dziwnie smutne oczy Brygidy, które były jak oczy jałowicy, pogłaskał Brygidę po jej czarnych puszystych włosach i także smutnie się uśmiechnął.

Zapagnęła Brygida powiedzieć doktorowi coś miłego i serdecznego, ale ilekroć znalazła się przy nim, niczym nie wyjaśniony i nawet dla niej samej niezrozumiały gniew ją ogarniał na niego i jego sposób życia. Głośno bowiem było w okolicy, że stara Makuchowa kobiety mu na noc drzwiami z tarasu do sypialni sprowadzała jak loszki do knura. I dlatego, choć winna mu była słowa podziękowania za zbadanie dziecka i lekarstwa na chorobę, szykując się do opuszczenia gabinetu lekarskiego nie potrafiła się powstrzymać, aby nie napytać złośliwie:

– Czy wciąż jeszcze, doktorze, musi pan najpierw kobietę upokorzyć, zanim w nią pan wejdzie?

– Tak – wyznał szczerze.

I ta jego po prostu bezczelna szczerść jeszcze większą złość w niej rozbudziła.

– Pan nie jest chyba zdolny do prawdziwej miłości – zawołała. – Nigdy też pan nie będzie miał do czynienia z kobietą wartą miłości. Bo czy taka kobieta pozwoli się upokorzyć mężczyźnie? Mamy takie same prawa jak mężczyźni, nie jesteśmy gorszymi od mężczyzn istotami. Nie pozwolimy się upokarzać.

– Nie namawiam panią, panno Brygido – odparł jej doktor – choć przyznaję, że jest

pani najpiękniejszą kobietą w całej gminie Trumiejki. Wiele razy myślałem, że można by panią zaprosić do mojej sypialni, wiem jednak, że nie da się pani upokorzyć.

– Nigdy! Nigdy! – oświadczyła z mocą Brygida.

– To i lepiej – powiedział doktor.

– Dlaczego „lepiej”? – spytała.

– Nie interesują mnie kobiety warte miłości. Byłem już raz w życiu zakochany. Otrzymałem w zamian tylko cierpienie. Nie pragnę, aby to samo powtórzyło się po raz wtóry.

Ucieszyła się Brygida, że powiedział o niej jako o kobiecie wartej miłości, ogromna radość i wielka tkliwość wypełniła jej serce. Ale nie chciała mu tego okazać.

Wzięła dziecko na rękę i zaraz odjechała. Ale była przez chwilę szczęśliwa, chyba bardzo krótko, przez taką chwilę jak kwitnie paproć.

Nadzieję na krótką chwilę szczęścia przeżyła i pani Halinka Turlej, gdy wracając z początkiem czerwca ze szkoły liczyła sobie, ile to jeszcze dni pozostało jej do końca roku szkolnego, a także myślała o tym, że przed trzema dniami zepsuł się silnik w hydroforze leśniczówki, wstąpi więc do Porwasza i zapyta go, czy może wykopać się w jego łazience ze starą armaturą. Niestety, nadzieja zaraz prysła. Już z daleka zobaczyła, że u Porwasza okna są szeroko otwarte i gruba żona gajowego Widłaga myje szyby, wypinając w stronę drogi swój szeroki zad. Na ten widok zrobiło się pani Halince bardzo smutno, minęła dom Porwasza, a w leśniczówce zrobiła awanturę mężowi, że nie stara się o naprawę hydroforu. Kładąc się spać dwukrotnie przekręciła klucz w drzwiach do swego pokoju.

O TYM, JAK MALARZ PORWASZ WYHODOWAŁ JASKÓŁKĘ, ABY SPEŁNIŁA JEGO ŻYCZENIE

W czerwcu zakołysał się dumnie na jeziorze przy brzegu biały jacht pisarza Lubińskiego. Miał on na burtach wymalowaną czerwoną farbą nazwę SKIROŁAWKI. Ilekroć płynął Lubiński jachtem w dalsze strony, tylekroć ludzie zastanawiali się czy nie jest to imię jakiejś egzotycznej dziewczyny, co świadczyło, że ta mała wioska w dalszych okolicach była zupełnie nie znana.

W przystani przy półwyspie tkwił także jacht doktora Niegłowicza zrobiony z

ciemnego drzewa, z kabiną, która była pokryta mahoniową okleiną. Trudno powiedzieć, który był ładniejszy – biały czy ciemny – albo który był wygodniejszy – doktora czy pisarza. Doktora należał do szybszych, co dla niejednego ma duże znaczenie. I nie posiadał żadnej nazwy, co też można uznać za ważne, jeśli ktoś chciałby sobie wyrobić zdanie o charakterze jego właściciela.

Również w czerwcu, pewnego przedpołudnia, zauważył malarz Porwasz, że kot od mieszkających po sąsiedzku Galembków złapał w locie jaskółkę oknówkę, która zbyt nisko ulepiła sobie gniazdo pod okapem stromego dachu jego domu. Następnie, także w locie, chwycił drugą jaskółkę i w ten sposób w gnieździe pod dachem pozostały cztery malutkie pisklaki. Rozgniewany malarz wziął swoją belgijską strzelbę i chciał kuta zastrzelić, lecz ten umknął przez płot.

Do wieczora malował Porwasz trzciny nad jeziorem, nie przestawał jednak myśleć o głodnych pisklętach. Przed wieczorem wyszedł z domu i stwierdził, że w gnieździe było tylko jedno piskle, gdyż zapewne pozostałe trzy powodowane głodem wypadły z gniazda i także pożarł je kot Galembków. Nie wiedzieć czemu – może ze złości na kota, a może po prostu ze zwykłej litości – wyjął Porwasz z gniazdka malutkiego ptaszka, zaniósł go do swej pracowni, włożył do tekturowego pudełeczka z watą i zaczął łowić muchy na wielkim oknie w pracowni. Piskle było niemal gołe, ale jego żółty dziób wydawał się ogromny i wciąż niesyty much, które mu Porwasz jak w rozwartym kufer bez przerwy wsadzał. Tego wieczoru chyba ze trzydzieści owadów dał mu Porwasz, zanim nakryty kółderką z waty mały ptaszek zasnął w pudełku.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyszedł Porwasz na drogę i czekał, aż będzie szła do szkoły pani Halinka. Nie zamierzał bowiem zajmować się bez przerwy łapaniem much, z drugiej jednak strony nie potrafił się zdobyć na to, aby piskle zamorzyć głodem lub wyrzucić je na pastwę kota.

Pani Halinka dała mu taką radę: zamiast tracić czas na łapanie much, jaskółkę chyba można karmić malutkimi kawałkami surowego mięsa. Rzecz jasna Porwasz nie miał w domu ani kawałka mięsa, tedy zaraz po lekcjach przyniosła mu ona z leśniczówki drobno pokrajany kotlecik ze schabu i razem z Porwaszem maleństwo karmiła. Robiła to jeden dzień, drugi, trzeci, niemal co godzina wybiegała z leśniczówki i pędziła do malarza. Innych kłopotów poza częstym karmieniem ptaka Porwasz nie miał, bo pisklak był niezwykle schludny, jeśli się chciał załatwić, to kuper z pudełka wystawiał i robił to, na parapet okna, gdzie stało pudełeczko. Najpierw parapet wycierała Widłagowa, ale potem się zbuntowała i ku zadowoleniu pani Halinki w ogóle przestała przychodzić do Porwasza. Odtąd pani Halinka sama parapet wycierała, ptaszek zaś jadł z apetytem

malutkie kawałki mięsa i z każdym dniem stawał się większy i silniejszy.

O jaskółce Porwasza opowiedziała pani Halinka dzieciom w szkole, a te rozgadały o niej po domach. Ludzie zaczęli drwić z malarza, że muchy dla jaskółek łapie, ptasią matką jest, i tym podobne. Aż im pewnego razu stary Erwin Kryszczak sprawę tak wytłumaczył:

– Porwasz jest chytry jak lis. Albowiem kto jaskółce życie uratuje i w powietrze ją wysoko w niebo wypuści, a przy tym wypowie jakieś życzenie, to ono się zawsze spełni. Zobaczycie, że malarzowi będzie się teraz wiodło jak nikomu innemu.

I zaraz ludzie z Porwasza przestali drwić, a co sprytniejszy pukał do jego domu i o zdrowie jaskółki pytał, ciekawość też okazywał, kiedy malarz ptaszka pod niebo wypuści, bo i on chciałby przy okazji jakieś życzenie wypowiedzieć. Tyle było tych wizyt, że malarz w końcu nikomu drzwi nie chciał otwierać.

Któregoś dnia w sklepie zaczęła Porwasza sklepowa Smugoniowa i zapytała go złośliwie, jak to kobiety potrafią:

– Słyszałam, że w matkę się pan zabawia, panie malarzu. Piskłeta jaskółki pan wychowuje, jakby ktoś pana wrobił w alimenty.

– To mała jaskółka, sierota – powiedział dobrodusznie Porwasz.

– O własne dzieci by się pan postarał, panie malarzu, a nie cudzy pomiot hodował – rzekła Smugoniowa, a inne kobiety, które coś tam w sklepie kupowały, zarechotały radośnie jak kumaki wiosną.

– A co mi tam za różnica, własne czy cudze? – burknął malarz. Jaskółki są lepsze, bo pod siebie nie srają jak niemowlaki. Ze wszystkich gatunków nasz ludzki najbardziej paskudny mi się wydaje. Jaskółka jeszcze nie opierzona, jeszcze puch nosi, a już dupę wystawia poza gniazdo. Człowiek zaś przez całe dzieciństwo sra pod siebie. Powiadam wam, że paskudny ten nasz ludzki gatunek i jeśli jakąś kobietkę sobie przygadam na stałe, to już z gotowym i odchowanim dzieckiem, żebym mu nie musiał tyłka podcierać i pieluch zmieniać.

– I cudze będzie pan trzymał? – zdumiała się Smugoniowa.

– Mówiłem: własne czy cudze, co za różnica? – gburowato rzekł malarz. – Nie rozumiem tych ludzi, co to koniecznie chcą mieć własne dzieci. A jakby tego było im mało, jeszcze pragną, aby były do nich podobne. A przejrzałyby się w lustrze taki jeden z drugim i zobaczył, czy warto drugą taką samą mordę, tyle że mniejszą, co dzień oglądać. Łazi taki ze smrodem w gaciach i nie wiadomo dlaczego duma go rozpieiera, że drugiego takiego samego, kropka w kropkę zmajstrował. A cóż mi po drugim Porwaszu? Czy to już jednego nie starczy? Czy nie mam dosyć widoku własnej gęby? Coś ładniejszego

od siebie chciałbym mieć w domu. Mnożą się ludziska, jakby żadne w domu lustro nie miało i nigdy się w nim nie oglądało! Urodziła pani córkę, pani Smugoniowa, i nawet podobna jest do pani. Ale czy to dobrze? Bo ja myślę, że to bardzo źle. Artystka z niej nie będzie.

Tak powiedział Porwasz, zabrał z lady swoje papierosy i poszedł do domu. A po jego odejściu dziwnie się kobietom na sercu zrobiło. W rzeczy samej bowiem, jak się tak jedna drugiej przyjrzała, to nic ładnego nie zauważyła.

O niezwykle ciekawej sprawie, czemu to mała jaskółka tylek poza gniazdo wystawia, a niemowlę przez lata robi pod siebie – niejeden wieczór dyskutował Lubiński z Niegłowiczem. Konkluzja zaś ich rozmów była taka:

– Niemowlę ludzkie robi pod siebie, czego nie czyni mała jaskółka, ponieważ człowiek został stworzony dzięki kulturze. Z natury rzeczy jest on istotą kulturową, co się wydaje jednoznaczne z tym, że właśnie dzięki kulturze stał się istotą naturalną. Należy on także do istot juwenalnych, czyli ciągle chłonnych i niejako wciąż młodych. Mała jaskółka staje się od razu jaskółką, tyle tylko, że małą. Podobnie jak małym koniem jest od razu źrebak, który tuż po urodzeniu natychmiast staje sam na nogi. Niemowlę zaś nie jest zaraz małą istotą ludzką, a tylko zadatkiem na człowieka, propozycją istoty ludzkiej. Nie będzie chodzić na dwóch nogach, jeśli go się tego nie nauczy, nie będzie mówić bez nauki mówienia; nie stanie się człowiekiem w pełnym tego słowa znaczeniu, jeśli dzięki długiemu wychowaniu i kształceniu nie otrzyma odpowiedniej porcji ludzkiej kultury. Owey zaś kultury, dzięki której istota ludzka jest człowiekiem, nie dziedziczy ona, ale zawsze musi nabyć z zewnątrz, w długim procesie wychowania. Wprawdzie więc robi pod siebie bardzo długo, ale za to do końca życia może poszerzać i pogłębiać swoją kulturę, a także przekazywać ją innym. Dlatego nie ma racji Porwasz, uważając rodzaj ludzki za najbardziej paskudny, nie jest bowiem najważniejsze, w jaki sposób mała istota ludzka załatwia swoje potrzeby fizjologiczne, pod siebie czy z dala od siebie, ale jakie posiada predyspozycje oraz mózg zdolny wchłonąć pewien zasób kultury.

Podobne konkluzje niewiele rzecz jasna obchodziły Porwasza i panią Halinkę. Tym bardziej że po trzech tygodniach jaskółka zaczęła latać po pracowni malarskiej i obsrywać Porwaszowe trzciny nad jeziorem, czym dawała mu dowód, że nie jest taka kulturalna, jak mu się to z początku wydawało.

Aż przyszła niedziela – dzień słoneczny i bezwietrzny – gdy pani Halinka i Porwasz zdecydowali, że ptaszka należy wypuścić na wolność. W niedzielne południe zeszło się na podwórze malarza mnóstwo ludzi ze Skiroławek i prawie wszystkie dzieci szkolne,

które pani Halinka nauczyła wiersza ułożonego na tę okazję przez pisarza Lubińskiego.

Porwasz wyszedł na balkon swojego dachowca z malutką jaskółką w dłoni, a na dole dzieci mówiły głośno:

*jaskółko lotna, dobry duchu,
ty, co wolności kreślisz znaki
na niebie piórem niedościgłym,
zerwij nam w górze kroplę szczęścia.*

Porwasz podrzucił w górę jaskółkę podobną z początku do czarnej kulki. A ona zaraz rozwinęła swoje skrzydła i jak strzała wbiła się w niebo nad dachem. I stała się rzecz zadziwiająca – zewsząd zleciały się do niej stare jaskółki, zaczęły tę młodą podtrzymywać w locie, niemal na swój grzbiet ją brały. Wydawało się też, że ją karmią, coś jej tam jedna przez drugą podawały do dzioba, lecąc wciąż wyżej i wyżej. Aż w końcu wszystkie te czarne strzały pomieszały się ze sobą i nie wiadomo było, która jest Porwaszowa, a która wyrosła w gnieździe.

Dzieci mówiły głośno:

*jaskółko lotna, pyłku świata,
ty pod rodzinne dachu skrzydło,
zza mórz i burz powracasz wierna,
przynieś nam z dali kroplę szczęścia.*

Nikt nie słyszał, jakie życzenie wyszeptał Porwasz, ale wszyscy wiedzieli, że płakał na swoim, balkonie. Zapłakała też i pani Halinka, bo nagle uświadomiła sobie, jak bardzo pokochała malutkiego ptaszka.

Być może każdy z obecnych na podwórzu wypowiedział w myślach jakieś życzenie, podobne do tego, które znalazło się w wierszu Lubińskiego. Można to było wyczytać z ogromnej i osmalonej jak kuchenny sagan twarzy cieśli Sewruka, odkryć w lisiej sylwetce Szczepana Łaryna, w powadze jaka uwidaczniała się w oczach Erwina Kryszczaaka, w spuszczeniu głowy młodego Galembki, w nagłym przygarbieniu pleców Antka Pasemki albo w przymkniętych powiekach starego Otto Szulca. To oni wszyscy – wymienieni tutaj i nie wymienieni z nazwiska, ludzie ze Skiroławek, powtarzali cichutko razem z dziećmi:

przynieś nam z dali kroplę szczęścia...

I choć nazajutrz ktoś znalazł na szosie zabita przez samochód małą jaskółkę podobną do tej, którą wypuścił na wolność malarz Porwasz, to przecież w tym czasie wiele starych i młodych jaskółek latało nad dachami domów i nad drogą, a ta od Porwasza nie mogła zginąć, skoro tak wysoko wzbijała się w niebo po kroplę szczęścia dla ludzi ze Skiroławek.

O WIOSCE ZWANEJ CAŁY ŚWIAT I O HISTORII, KTÓRA SIĘ STAŁA

W czerwcu, tuż po rzęsim deszczu, Justyna Wasilczuk odkryła w krzakach bzu za swoim domem zmokniętą kurę ze złocistymi skrzydłami i różowym grzebieniem. Może to była jej własna kora (miała ich tak wiele, że nie pamiętała, jak każda wygląda), ale ta wydała się jej od razu Kłobukiem, ponieważ bardzo chciała mieć Kłobuka. Co prędzej chwyciła mokrą kurę i zaniósła ją na strych, gdzie od dawna przygotowała beczkę ze słomą i pierzem. Posadziła Kłobuka w ciepłym pierzu, nakarmiła go jajecznicą z boczkiem i ptak zaraz zasnął smacznie. Na wszelki wypadek, aby Kłobuk się nie rozmyślił i nie poszedł do kogoś innego, przywiązała go za nogę do belki na bardzo długim sznurku. Potem niezwykle szczęśliwa, że ma już Kłobuka, przyniosła z dołu lusterko, podsunęła do beczki starą skrzynkę i usiadłszy na niej, zaczęła się sobie w lusterku przyglądać.

Na strychu było szaro, gdyż okienko w szczycie małe i zakurzone nie przepuszczało wiele światła. Twarz swoją jednak Justyna widziała bardzo wyraźnie i tego stała się pewną, że jest piękną kobietą. Ale jakby tej wiedzy jeszcze niesyta – rozpięła białą bluzeczkę, wyjęła swoje białe piersi i na dłoniach każdą z nich ważyła, różowe koraliki sutek palcami pieściła, przyglądając się im w lusterku, uśmiechając się do siebie spierzchniętymi wargami. A kiedy Kłobuk poruszył się w beczce, pochyliła ku niemu twarz i tak szeptala: „Będę cię poila i karmiła, będę cię głaskała. Dasz mi jednak za to doktora, żeby mnie dotykał swoimi palcami”. Szeptala długo, namiętnie, to głośniej, to znów trochę ciszej, niemal niedosłyszalnie, aż jej się od tego szeptu gorąco zrobiło i zakręciło w głowie, słodycz i niemoc rozkoszna na nią spadała, że podnieść się nie miała siły i tak przy beczce z Kłobukiem dotrwała do zmroku.

O tej porze doktor powracał z dalekiej podróży, z miasta, gdzie w biurze paszportowym złożył formularz na wyjazd w dalekie strony. Zobaczył Niegłowicz pogrążony w ciemnościach dom Justyny i jakby jej zaklęcia do niego dotarły, pomyślał

o niej z bolesnym skurczem serca, z tęsknotą mocną jak zapach skoszonej łąki. Nie wiedział doktor, że znalazł się w mocy kobiecych czarów, minął samochodem dom Justyny, skręcił na drogę do półwyspu, a ową tęsknotę uznał za to uczucie, jakie go zwykle o tej porze roło nawiedzało. Powszechnie bowiem było wiadomo, nawet w biurze paszportowym, że w czerwcu w doktorze Niegłowiczu ożywały pragnienia, aby coś w swym życiu odmienić, w kraje dalekie odjechać lub poszybować samolotem, obce twarze i obce sprawy oglądać, poznawać, zgłębiać. Sam szef biura paszportowego, podpułkownik Krupa, otwierał przy takiej okazji obite skórą drzwi swego gabinetu i na rozmowę go do siebie zapraszał. Obydwaj – Krupa i Niegłowicz – przed wieloma laty w tej samej jednostce wojskowej przez rok służbę odbywali: Krupa jako porucznik, dowódca plutonu, Niegłowicz jako lekarz kompanii.

– I dokąd to tym razem wybiera się pan, doktoru? – uprzejmie pytał podpułkownik Krupa, sadzając Niegłowicza w miękkim fotelu przed swoim biurkiem. – Do Ameryki czy do Afryki? Do Australii czy Austrii?

– Do Kopenhagi – oświadczył Niegłowicz. – Syn mój, Joachim, ma tam koncertować we wrześniu lub październiku. Chciałbym mieć paszport nieco wcześniej, żebym mógł wizę załatwić, bilety na samolot kupić. Nie lubię niczego robić w ostatniej chwili. Wypełniony formularz mam tuż przy sobie.

Pochwalił podpułkownik Krupa rozagę doktora, który, nie chcąc się narażać na gorączkowy pośpiech, już w czerwcu formularz paszportowy składa, choć dopiero we wrześniu albo i październiku do syna zamierza wyjechać. Następnie w delikatnej formie przypomniał doktorowi, iż od dziesięciu chyba lat, to jest od czasu, gdy podpułkownik Krupa urzęduje w biurze paszportowym, Niegłowicz co roku o tej samej porze przynosi wypełniony formularz, potem otrzymuje paszport z pięknym orłem na okładce, wizami różnych krajów go stempluje – i nigdzie nie wyjeżdża.

– Niechże pan pomyśli, doktorze – w końcu trochę zirytował się podpułkownik Krupa – co by się stało, gdyby tak każdy obywatel zgłaszał się do nas o paszport, otrzymywał go, stemplował wizami, a potem zwracał nam, nigdzie nie wyjeżdżając? Nasza odpowiedzialna przecież praca straciłaby w ten sposób wszelki sens. Rozumiem, że lekceważy pan sobie biuro paszportowe, ale objawia pan także brak szacunku dla zaufania, jakie okazał panu rząd lego Królewskiej Mości Króla Szwecji, Jej Królewskiej Mości Królowej Wielkiej Brytanii i tak dalej, i tak dalej.

– Tym razem wyjadę już na pewno – obiecał doktor. – Na krótko wprawdzie, ale wyjadę.

– Chociaż na jeden dzień – błagalnie rzekł podpułkownik Krupa, przyjmując od

doktora jego formularz.

W drodze powrotnej do domu, prowadząc swój stary samochód, zastanawiał się Niegłowicz nad słowami podpułkownika Krupy i usiłował wyjaśnić sobie, czemu to tylekroć pragnął wyjechać, a w końcu nigdzie nie wyjeżdżał. Czy przyczyna tego zjawiska leżała w nim samym, czy też poza nim? Jaka wewnętrzna siła kazała mu co roku wypełniać długi formularz, nawet brać do ręki paszport i jaka siła zabraniała wyjazdu lub po prostu zawracała go z drogi. Oczywiście, zawsze znajdowały się jakieś realne powody, które uniemożliwiały podróż – czyjaś choroba, odwołanie urlopu z powodu braku zastępstwa w Trumiejkach, wreszcie nagła niechęć do osoby, z którą miał się gdzieś w dalekim świecie spotkać. Ale były to raczej preteksty, chwycił się ich niespodziewanie, aby niemal w ostatniej chwili zrezygnować z wyjazdu. Może krył się za tym swoisty rodzaj neurozy, lęk przed widokiem nowych pejzaży, poznawaniem nowych miast i nowych ludzi. Albo zgoła obojętność wobec spraw, które działy się gdzieś daleko i dotyczyły zupełnie mu nie znanych osób, brak ciekawości jak żyją, jak mieszkają i co czują inni ludzie w dalekim świecie. Przeczytał w jakiejś książce, że dzięki telewizji cały świat stał się podobny do małej wioski, gdzie wszyscy się znają, zaglądają sobie przez płot, węższą zapachy w kuchni sąsiada, plotkują o sobie, wizytują się wzajemnie, ciągle o coś obrażają i wiecznie chodzą nadąsani jeden na drugiego. A skoro tak, to po co opuszczać wioskę zwaną Skiroławką, aby znaleźć się w innej wiosce zwanej Cały Świat?

„Tym razem pojedę już na pewno, aby usłyszeć pierwszy zagraniczny koncert Joachima” – stanowczo zdecydował doktor.

I z takim przekonaniem poinformował o tym Gertrudę Makuch, że ta od razu zaczęła mu pakować walizkę, a o podróży doktora powiadomiła panią Basieńkę, Porwasza i innych. Zaraz też pani Basieńka zaczęła marzyć, jaki to piękny prezent przywiezie jej doktor z zagranicy. Porwasz doradzał doktorowi, aby z Kopenhagi skoczył do Paryża, bo to już blisko i tam odwiedził barona Abendteuer, zapewniając go, że malarz Porwasz maluje dla niego wciąż nowe obrazy. I nawet pisarz Nepomucen Lubiński niemal uwierzył, że tym razem doktor Niegłowicz wyjedzie na pewno.

Alte w Skiroławkach stała się rzecz straszna i przed sklepem na ławeczce powiedział do swych przyjaciół stary Kryszczak:

– Doktor pojedzie. Ale już do nas nie powróci.

Albowiem po tym, co się stało, było dla każdego oczywiste, że człowiek sprawiedliwy miał prawo na zawsze opuścić Skiroławkę albo pieszo, albo samochodem, albo też odlecieć w świat samolotem. Lecąc zaś na wysokości winien twarz oddalić od

małego okienka, aby z góry nawet nie zerknąć na małą wioskę. I to nie tylko dlatego, że takich małych wiosek z samolotu nie widać, ale i dlatego, że na nie patrzeć nie warto.

W lesie koło Skirołówek znowu znaleziono zamordowaną dziewczynę.

TOM 2

O TYM, ŻE CZŁOWIEK JEST PODZIELONY I SAM SOBIE PRZECIWNY

O trzysta kroków od mokradeł, na których zimowała locha z warchlakami i tkwił w bagnie stary czołg, o pół kilometra od domu doktora i o dwadzieścia kroków od szosy, znajdował się podłużny wykop, gdzie przed laty dołowano sadzonki. Wokół rósł las bukowy o gęstym poszyciu, mało kto w to miejsce zaglądał, ponieważ nie było tu ani jagód, ani malin. W to właśnie miejsce schronił się drwal Paweł Jarosz, kiedy zobaczył na leśnej drodze samochód nadleśniczego Kociuby. Minionej nocy Jarosz wypił zbyt wiele, wciąż jeszcze kręciło mu się w głowie i przez to spóźnił się do pracy na zrębie. Gdyby w takim stanie ujrzał go Kociuba – Jarosz straciłby premię. Tedy skoczył w las i ukrył się w dole po sadzonkach.

Przekrwione oczy Pawła Jarosza wypatrywały między drzewami nadleśniczego, w ustach czuł mdlący smak wypitej nocą wódki, las pachniał alkoholem, ale przecież silniejszym był smród dobywający się z dołu po sadzonkach. Rozejrzał się więc Paweł Jarosz i stwierdził, że spod warstwy ziemi i zeschniętych liści wystają dwie gnijące ludzkie nogi. Z krzykiem wielkim wyskoczył z dołu i, niepomyślnie na groźbę utraty premii, oddał się w ręce nadleśniczego Kociuby. A ten, potwierdziwszy własnymi oczami ów zauważony przez Jarosza przerażający fakt, zapomniał o naganie dla drwala i z leśniczówki Blesy natychmiast zatelefonował do komendanta posterunku, starszego sierżanta Korejwy.

W godzinę później dół po sadzonkach był już obstawiony przez milicjantów z

Trumiejek, w dwie godziny potem przyjechał major Kuna i kapitan Śledzik, a razem z nim ekipa z lekarzem, fotografem i innymi specjalistami z dziedziny kryminalistyki. A choć nikogo z wioski nie dopuszczono do dołu, to jednak w Skiroławkach wiadomym się stało, że lisy wygrzebały z ziemi zwłoki nagiej dziewczyny, która na szyi miała zawiązany biustonosz. Pod warstwą liści odkryto jej zimowe buty, wełnianą sukienkę, grube rajstopy, sweter, kurtkę ortalionową, torebkę z dokumentami osobistymi i odrobiną pieniędzy. Zimowe ubranie, a także daleko posunięty rozkład zwłok świadczyły, że dziewczynę zamordowano późną jesienią lub w zimie, dokumenty zaś informowały, że pochodzi ona z małej wioski w dalekich stronach, skąd pod koniec listopada zgłoszono milicji o jej zniknięciu. Dlaczego dziewczyna z drugiego końca kraju znalazła się koło Skiroławek i to w pobliżu polanki, gdzie w ten sam sposób zabito małą Haneczkę – nikt we wsi nie umiał wyjaśnić, ale odpowiedź na to znaleźć musieli dwaj oficerowie służby kryminalnej.

Zwłoki dziewczyny odjechały w worku foliowym. Opuszcili też wioskę pracownicy ekipy śledczej i tylko major Kuna i kapitan Śledzik chodzili od chałupy do chałupy wypytując, czy nikt z wioski owej dziewczyny żywej nie widział w listopadzie ubiegłego roku lub może wcześniej. Czy nikt nie znał i nie zapraszał do siebie albo nie słyszał, żeby ją ktoś inny gościł. Odwiedzili też i doktora Niegłowicza, który najbliżej owego straszego dołu mieszkał, lecz on stwierdził, że dziewczyny pokazanej mu na fotografii w dowodzie osobistym nigdy w życiu nie napotkał.

Następnego dnia doktor był w tak złym humorze, że kilku pacjentów wołało cichaczem opuścić poczekalnię w ośrodku zdrowia i innego dnia zjawić się po poradę na swoje dolegliwości. Niektórzy musieli, niestety, pozostać – tak jak pewien traktorzysta z przysiółka koło Trumiejek, który po pijanemu wpadł traktorem na ścianę swojej obory i żebra sobie połamał; lękając się jednak, że utraci prawo jazdy, dwa dni przesiedział w domu, dopóki alkohol mu z ciała nie wyparował. Tego traktorzystę doktor o mało po gębie nie sprął, mimo że ten z powodu straszego bólu raz po raz w poczekalni nieomal przytomność tracił. Podobnie potraktował młodą mężatkę z Liksajnow, która w tydzień po porodzie za pranie się wzięła, dziewięć szwów jej puściło, a ona, zamiast zaraz udać się do lekarza, jeszcze przez tydzień zwlekała, aż jej całe krocze zropiało. Matkę tej młodej mężatki doktor wyzwał od kurew – zgodnie z prawdą zresztą, gdyż wielu ją za taką miało – ale takich słów nie wykrzykuje się w ośrodku zdrowia. Było jednak dla ludzi oczywiste, że to z powodu zamordowanej dziewczyny doktor tak się gniewa na wszystkich.

Wieczorem, tuż przed kolacją, zjawił się u niego kapitan Śledzik i tak zaczął:

– Pan tu zna wszystkich ludzi, doktorze...

Niegłowicz mu przerwał i, chodząc nerwowo po salonie, głośno mówił:

– Nie znam nikogo, kapitanie. Tu upłynęła moja młodość. Tu mieszkam i leczę ludzi od lat czterestu. Mówimy sobie „dzień doby”, mówimy sobie „do widzenia”, gadamy o tym i owym, żartujemy, spoglądamy w oczy. Ale tak naprawdę nie znamy siebie wzajemnie.

– Tak, tak, zupełnie się z panem zgadzam – przytaknął uprzejmie Śledzik. – Nigdy nie wolno mówić, że jakiegoś człowieka zna się całkowicie, gdyż można popełnić wielką omyłkę. Ale dla takich ludzi jak ja, to znaczy milicjantów, ma także znaczenie, że ten i ów człowiek zna trochę innego człowieka. To trochę niekiedy zupełnie wystarcza, aby wskazać przestępcę, a także udowodnić mu winę. Człowiek jest wielką zagadką, często o tym pisze pan Lubiński w swoich powieściach. I z nim także się zgadzam, choć niezupełnie. Człowiek bywa zagadką, dopóki nie zbierzemy o nim odpowiedniej ilości danych. Dla mnie każdy człowiek jest istotą niejednorodną, ale zarazem w pewien swoisty sposób jednorodną. Ponieważ bywa niejednorodny, kryją się w nim rozmaite sprzeczności i raz po raz może on je przejawiać poprzez swoje zaskakujące nas zachowanie. Ale jako istota jednorodna, to znaczy w określony sposób ukształtowana, swoje pełne sprzeczności postępowanie przejawia tylko w określonych ramach. Wyrażając się jaśniej: człowiek jest zagadką do pewnego stopnia i zaskoczyć nas może także tylko do pewnego stopnia. Gdyby mi ktoś powiedział, że wczoraj przeskoczył pan przy pomocy tyczki płot o wysokości pięciu metrów, aby obrabować bank, nie uwierzyłbym. Skłonny byłbym szukać sprawcy raczej w kręgu mistrzów olimpijskich w skoku o tyczce. Cały świat, doktorze, jest jedną wielką zagadką, ale przecież wiem, że otrzymam u pana kolację, a nawet domyślałem się, czym zostaną poczęstowani. Nie znam pana tak całkowicie i dogłębnie, ale zdążyłem poznać pańską gościnność i to, że nie wyrzuci pan za drzwi milicjanta w porze kolacji. Przesłuchując dziś rybaków, natknąłem się na Gertrudę Makuch, która kupowała u nich lina. Powiedziała mi ona, że doktor lubi na kolację świeżego lina. Myślę więc, że smażony lin będzie na kolację dzisiaj, a nie jutro, gdyż doktor lubi świeżego lina.

– Za chwilę zjemy tego lina – uśmiechnął się Niegłowicz. – A swoją drogą ciekaw jestem, czy pan czytuje filozofów? U Pascala napotkałem zdanie: człowiek jest podzielony i sam sobie przeciwny.

– Nie czytam filozofów – odparł uprzejmie Śledzik. – Ale to wiem, że każdą rzecz podzielić można w rozmaity sposób: wzdłuż, w poprzek, a nawet na skos. Jakby jednak nie dzielić i jakby owe podzielone części nie były przeciwstawne, to zawsze na

podstawie jednego kawałka można sobie wyobrazić drugi kawałek i odtworzyć całość.

– Słusznie – zgodził się doktor. – Wystarczy jedno dzwonko smażonego lina, a od razu widać, jak przedstawiał się cały lin.

– Rzecz jasna, doktorze, gdybym nie spotkał u rybaków Gertrudy Makuch i nie dowiedział się od niej, co pan lubi na kolację, ta potrawa byłaby dla mnie zaskoczeniem. Również zaskoczyłyby mnie fakt, że pan sam poda na stół tego lina, bo mógłbym sądzić, że robi to Makuchowa. Lecz jadąc do pana widziałem ją, jak szła do swej chałupy: znając zaś trochę zwyczaje w tym domu, wiem, że ona tylko przygotowuje kolację, ale pan już sam ją sobie bierze. Mówię zaś to w tym celu, aby wyrazić pogląd, że człowiek dopóty jest zagadką, dopóki nie mamy o nim wystarczającej ilości informacji. Mówi się, doktorze, że zło i dobro bywa w człowieku pomieszane w nieprawdopodobny sposób. To prawda. Zło i dobro jest w człowieku pomieszane, ale tylko do pewnego stopnia. Komendant Oświęcimia Hoess, który wymordował kilka milionów ludzi, nie zabił osobiście ani jednego więźnia, żadnego nawet nie uderzył, a w swoim mieszkaniu był dla służby, złożonej z więźniów, wprost uprzedzająco grzeczny. Ten człowiek nie kryje, wbrew temu co się sądzi, żadnej zagadki. Gdyby lubił osobiście zabijać, nadawałby się jedynie na strażnika obozowego, a nie na komendanta fabryki zagłady. Tam był potrzebny menażer śmierci, dobry organizator, ale nie sadysta. Zwykłemu sadyście wystarczy jedna, dwie, nawet dziesięć ofiar do zżęcania. Wobec milionów byłby przerażony i bezradny.

– Zabito u nas dwie dziewczyny – przerwał mu doktor. – Wiem. I przyszedłem do pana, aby mi pan pomógł odnaleźć sprawcę.

Niegłowicz wzruszył ramionami i wyszedł do kuchni. Powrócił z talerzami i półmiskiem, na którym leżały dzwonka smażonego lina. Jakiś czas jedli w milczeniu, ostrożnie, aby nie udławić się ością. Przy herbacie Śledzik powiedział:

– To przecież nie tak bywa, doktorze, że drogą przez las idzie człowiek, w którym dobro i zło jest w jednakowym stopniu pomieszane, widzi małą dziewczynkę lub dorastającą panienkę, nagle ją chwyta za gardło i morduje. Po lasach i po drogach chodzą na świecie tysiące dziewcząt, mijają tysiące mężczyzn, istnieją setki tysięcy okazji, aby dokonać zabójstwa z lubieżności, a jednak tylko w stosunkowo rzadkich wypadkach dochodzi do czegoś takiego. Sprawcą podobnego czynu nie jest więc człowiek zwykły, ale ktoś w pewien swoisty sposób niezwykły. On może być zwykły dla swego otoczenia, które nigdy nie usiłowało dostatecznie zgłębić jego osobowości, nie posiada dostatecznej informacji o tym człowieku lub posiadanych informacji nie potrafi do siebie dopasować. Ale dla bystrego obserwatora pewien rodzaj niezwykłości

musi być zauważalny. Dobro i zło w tym człowieku nie jest w taki sam sposób pomieszane jak u wielu innych. U tego osobnika więcej znajduje się zła niż dobra i owo zło musi się w jakiś sposób przejawiać. U człowieka, który zabił dwie dziewczyny, hamulce moralne nie mogą działać sprawnie. Czy sądzi pan, że hamulce moralne mogą być sprawne w jednej dziedzinie ludzkiej działalności, a w innej okazują się zawodne? Gdy znajdujemy ciało zabitej dziewczynki, słyszymy niekiedy głosy: „To mógł uczynić każdy”. Nieprawda, doktorze. Milicja zaczyna rutynowe działanie od penetrowania środowisk przestępczych, melin, mieszkań ludzi zdeprawowanych i zdegenerowanych, a dopiero później swymi podejrzeniami obejmuje coraz szersze kręgi, zwracając uwagę na ludzi uczciwych i porządnych. Właśnie: uczciwych i porządnych. Co każdy z nas rozumie przez te słowa? Co one oznaczają dla ludzi z poszczególnych środowisk? Kto jest uczciwy i porządny w pojęciu ludzi w Skiroławkach? Czy porządny i uczciwy jest ten, który tylko od czasu do czasu upija się do nieprzytomności, awanturuje się wyłącznie na publicznych zabawach, tłucze żonę raz na tydzień, a nie cztery razy w tygodniu? Być może za łajdaka uznaje się tu człowieka, który oprócz żony ma liczne kochanki, a za przykładowego uchodzi poczciewicz, którego bije i zdradza żona, ale na inną nawet nie spojrzy. Pan wie, doktorze, że nas interesuje nie ów łajdak, ale ten poczciewicz. W człowieku, który zabił te dwie dziewczyny kryją się ogromne pokłady nienawiści do kobiet. On je nie tylko dusi, ale po nich depta, łamie im żebra, wyłamuje palce. Lecz nie ma z nimi normalnego stosunku, zadowala go tylko brutalne zabójstwo. Doktorze, interesuje nas inne spojrzenie na ludzi w Skiroławkach; spojrzenie, które wyjdzie poza przyjęte tutaj pojęcie dobra i zła, porządności i grzeszności.

– Słucham pana – powiedział zachęcająco Niegłowicz.

Przeniósł się na fotel przy stojącej lampie, usiadł w nim i zapalił papierosa. Śledzik wyjął z kieszeni gruby notes, otworzył, ale nie zaglądając do niego, mówił i przymkniętymi oczami, jakby chciał znaleźć w wyobraźni sylwetkę zabójcy.

Dziewczyna odnaleziona w dole po sadzonkach miała dziewiętnaście lat, była mała i szczuplutka. Dwudziestego drugiego listopada ubiegłego roku pojechała na wesele swojej kuzynki w wiosce położonej daleko na północy kraju. Tylko jeden dzień przebywała na weselu, potem, obraziwszy się na kogoś – chyba na tę właśnie wychodzącą za mąż kuzynkę – zdecydowała się na powrót do domu. Zniknęła nagle. Nie wsiadała do pociągu ani autobusu, być może postanowiła wracać przypadkowo napotkanym na drodze samochodem. Gdy w końcu listopada rodzice powiadomili milicję o jej zniknięciu, na tej wiosce skoncentrowało się śledztwo, ale nie dało żadnego rezultatu. Teraz wiemy, że zamordowano ją w miejscu położonym o sto pięćdziesiąt

kilometrów od domu weselnego, gdy dziewczyna prawdopodobnie znajdowała się w drodze powrotnej do swego domu na południu kraju. Daty jej zabójstwa nie znamy. Stało się to po dwudziestym drugim listopada. Zwłoki jej są w takim stanie, że nikt nie potrafi określić dnia śmierci.

– Słucham pana – zachęcił go znowu doktor.

Można założyć, że do opuszczenia wesela zachęcił ją zabójca. On to zabrał ją do swego samochodu albo też wsiadł z nią do pociągu, przesiadł się na autobus i przyjechał tutaj. Rzecz w tym jednak, że, jak stwierdza śledztwo, nikt ze Skiroławek ani wówczas, ani nigdy przedtem nie był w tamtej wsi, nie ma tam żadnych krewnych lub znajomych, w ogóle nikt tutejszy nawet nie wiedział o jej istnieniu. Założyć więc raczej należy, że po prostu wyszła na szosę, zatrzymała przypadkowy samochód i pojechała na spotkanie ze śmiercią. Czy samochodem kierował morderca, przypadkowo jadący z północy na południe? Czemu jednak skręcił z głównej szosy i zatrzymał się w lesie za Skiroławkami, zabijając dziewczynę niemal w tym samym miejscu, gdzie w ten sam sposób zabita została inna dziewczyna, tylko że o kilka miesięcy wcześniej? A może przesiadała się z samochodu na samochód? Albo dopiero w autobusie poznała mordercę? Tylko że nikt jej nie widział w autobusie zatrzymującym się w Skiroławkach, a przecież tutaj musieliby wysiąść.

Śledzik zajął do swego notesu, przypomniał sobie jakiś szczegół i znowu przymknął oczy.

– To nie może być przypadek, doktorze, że w tym samym mniej więcej miejscu, w krótkim odstępie czasu, w ten sam sposób, dusząc biustonoszem, łamiąc żebra i wyłamując palce, zabito dwie dziewczyny. Mówi to nam, że zabójcy w obydwu przypadkach jest jedna i ta sama osoba. Wiedza o podobnych przypadkach uczy, że zabójca z łubieżności nie działa w obcym i przypadkowym terenie, gdyż czuje się tam niepewnie. Zabija prawdopodobnie w nocy pod osłoną ciemności. Tak było z Haneczka, tak musiało być i z tą drugą dziewczyną. Zbyt blisko drogi dokonywał mordu, aby mógł bez obawy zrobić to w biały dzień. W ciemnościach, w mroku, w gęstwinie drzew znalazł jednak dół po sadzonkach, tam ją zabił i tam ją zagrzebał. Wiedział więc o tym dole, a zagrzebał ją dlatego, że gdy pierwszą ofiarę pozostawił na polance, natychmiast sprawa wyszła na jaw i spowodowała najazd milicji, śledztwo, przesłuchania. Chciał opóźnić wyjawienie zabójstwa albo sądził, że nigdy się ono nie wyda, ponieważ dziewczyna pochodziła z bardzo dalekich stron. Zabójcą więc jest albo człowiek tutejszy, albo taki, który stąd pochodzi. Być może bywa tu jedynie na urlopie, w odwiedzinach u krewnych.

– Wielu jest takich – odezwał się doktor.

– Sporządziliśmy obszerną listę tych osób. Sprawdzamy, co każda z nich robiła w nocy, gdy zginęła Haneczka i w trzeciej dekadzie listopada ubiegłego roku. To mozolna i długotrwała praca. Zapewne niepotrzebna. Moim zdaniem, zabójca mieszka tutaj, na miejscu. Przekonuje mnie o tym sprawa starej Jastrzębskiej. Gdyby jej jęki nie ściągnęły sołtysa Wątrucha, i ją znaleziono by martwą.

– To stara pijaczka. Wprost odrażająca.

– Ale nie bywa skłonna do imaginali – odparował Śledzik. – Dla zabójcy wiek ofiary, jej wygląd, uroda, nie mają prawdopodobnie żadnego znaczenia. On przecież nie odbywa z nimi normalnego stosunku. Zabija je dlatego, że są kobietami. Czy zainteresował się pan nową nauką, zwaną wiktymologią?

– Nie. Ale uczynię to – obiecał doktor.

– Ta nauka twierdzi, doktorze, że niektórzy ludzie niejako rodzą się już ofiarami. Istnieją osobnicy predestynowani do tego, aby ciągle padać ofiarą oszustów, inni będą ciągle okradani przez złodziei. Są kobiety wielokrotnie napastowane, takie, które wyzwalają w mężczyznach sadyzm i okrucieństwo. Czy sądzi pan, że dobry złodziej kieszonkowy decyduje się okraść każdego człowieka z wypchanym portfelem? Nie. Na to, aby stać się dobrym złodziejem, trzeba też być i trochę psychologiem, Dobry złodziej starannie wyszukuje swoją ofiarę, która musi dla niego reprezentować pewien określony typ psychiczny, w przeciwnym razie natychmiast zostanie schwytany. To samo tyczy choćby i gwałtów. Jaki typ dziewczyny pada ich ofiarą i to niekiedy kilkakrotnie? Albo zbyt naiwna, albo zbyt odważna. Taka, co to da się namówić na pójsie do mieszkania, gdzie pije alkohol z kilkoma mężczyznami; odważnie wraca o zmroku przez park, przez las, boczną i bezludną drogą. Nie padnie ofiarą gwałtu kobieta lękliwa i nieufna. Jeśli dziewczyna pije na wiejskiej zabawie dużo wódki, to można założyć, że ją wyprowadzą za stodołę i zgwałcą, doktorze.

– Ofiara prawie zawsze jest po trosze winna temu, co się stało. Niestety, chociaż to okrutne, ale jednak prawdziwe – przytaknął Niegłowicz.

– Morderca nienawidzi kobiet. Zabija je z nienawiści. Aby ją wyładować, szuka odpowiedniej okazji, zapewniającej mu bezkarność. Ale także i szuka odpowiedniej ofiary, ba, prawdopodobnie wybiera ją sobie starannie. Myślę, że miał sporo okazji, aby dokonać wielu podobnych czynów. Lecz jemu chodzi nie tylko o sprzyjającą okazję. W odpowiedniej sytuacji musi się też znaleźć odpowiednia osoba.

Haneczka mogła być przykładem rozkwitającej kobiecości – stwierdził w zamyśleniu Niegłowicz. – Ba, ona była tego świadomą. Pyszniła się tą swoją budzącą

się kobiecością, zachowywała się prowokująco. Pamiętam, że na dwa miesiące przed śmiercią ni stąd, ni zowąd przyszła na moją przystań, usiadła na burcie jachtu. Była w krótkiej sukience, usiadła tak, abym mógł widzieć wąski pasek jej majtek. Rozpięła bluzeczkę, abym mógł widzieć jej nabrzmiałe piersi. Zapytała, czy nie chciałbym z nią trochę popływać po jeziorze. Kazałem jej wracać do domu. Jeśli on nienawidzi kobiecości, to przede wszystkim ją powinien być znienawidzić.

– A jaka była ta, którą teraz znaleźliśmy? Puszczalska. Na weselu pokłóciła się ze swoją kuzynką właśnie o to, że prowokowała jej dopiero co poślubionego męża. Obraziła się na kuzynkę i opuściła wesele. Prawdopodobnie bardzo chętnie poszła w las z mordercą, choć nie wiedziała, że idzie po swoją śmierć. Co zaś tyczy starej Jastrzębskiej, to bez przerwy opowiadała wszystkim, jak to ona jeszcze nie tak dawno z wszystkimi się puszczała, jak to do niej, jako wdowy, przychodził każdy po przyjemność. Żałowała tamtych czasów i tamtych chwil, wyrzekała na swoją starość, że tego już robić nie może.

– To prawda – zgodził się Niegłowicz, przypominając sobie, co mówiła Jastrzębska do Joachima przed tablicą ogłoszeniową.

– I jeszcze jedno było dla nich wspólne – rzekł Śledzik. – Wszystkie trzy były słabe fizycznie. Morderca, doktorze, nie jest żadnym osiłkiem. Wybiera ofiary, które się będą słabo broniły. Nie napada na kobiety silne i rosłe. To jakiś chuderlak.

– Albo starzec – zauważył przekornie Niegłowicz.

– Nie, doktorze. On pastwił się nad ofiarami, deptał je kolanami, łamał zębra, wyłamywał palce. To wyraz młodej męskiej nienawiści, zdraśniętej młodej męskiej dumy. Morderca jest mężczyzną stosunkowo młodym, ale chuderlak. Doktorze, błagam pana, niech pan pomyśli, kto w tej wsi tak bardzo nienawidzi kobiet!

Niegłowicz ukrył twarz w dłoniach. Głos jego brzmiał teraz głucho i niewyraźnie.

– Od dnia zabójstwa Haneczki niemal noc w noc wstawałem z łóżka i ze strzelbą w dłoni skradałem się na tamtą polankę, łudząc się, że go tam napotkam, gdy spróbuje napaść na nową ofiarę albo po prostu przyjdzie na miejsce zbrodni, aby odtworzyć ją sobie w wyobraźni i doznać ponownej radości. Tak przecież bywa z podobnymi osobnikami. Prawie noc w noc, kapitanie, skradałem się z bronią w ręku, aby go dopaść i zabić. Tak, przynajmniej, zamierzałem go zabić. Teraz wiem, że musiał mnie zauważyć, że podjął ze mną jakąś straszną grę. Następną ofiarę zamęczył jeszcze bliżej mojego domu, w dole po sadzonkach. Czy to nie było jego wyzwanie dla mnie? Czy nie słyszy pan, jak on sobie ze mnie drwi, jak śmieje się szydyczko? Następną dziewczynę zadusił w końcu listopada, zapewne tej właśnie nocy nie poszedłem w stronę polanki.

A może uczynił to, zanim wyruszyłem z domu albo wówczas, gdy już do swego domu powróciłem? Może widział, jak przechodząc obok dołu po sadzonkach mijałem zwłoki zamordowanej przez niego dziewczyny i doznawał podwójnej radości: że znowu zabił i że ja o tym nie wiem? Myślę, że on czuje się przez to w pewien sposób Wywyższony, rozpiera go duma i poczucie bezkarności.

– Czy we wsi wiedzą, że pan tam prawie co noc chodzi i chce zabić mordercę? – cichym głosem zapytał Śledzik.

– Nie wiem, czy wiedzą, że tam chodzę. Ale domyślają się, że postanowiłem go zabić.

Nastała chwila milczenia, którą przerwał Śledzik.

– To nie jest gra tylko między nim i panem, doktorze. Trzecią ofiarą miała być stara Jastrzębska, którą napadł w najbardziej uczęszczanym miejscu w wiosce, przy drodze koło cmentarza. Ta okropna gra toczy się także między nim i ludźmi w wiosce, którzy budzą w nim wstręt i nienawiść; ponieważ ulegają swoim namiętnościom. Płotkarze twierdzą, że raz w roku wszyscy żyją tu ze wszystkimi jak zwierzęta. Czy bez żadnej przyczyny pan Porwasz nazwał Skiroławki kochanym kurwidółkiem? Jest to również gra między prawem i bezprawiem, między sprawiedliwością i niesprawiedliwością. Ma pan rację, że zabójcę rozpiera duma i poczucie wyższości. W tej potrójnej czy poczwórnej grze on jest na razie zwycięzcą i tryumfotorem. Dlatego, moim zdaniem, spróbuje dokonać kolejnej zbrodni. Albo jeszcze bliżej pańskiego domu lub niemal na oczach całej wsi...

Śledzik spojrzął na zegarek, zamknął czerwony notes i podziękował za kolację. Następnie pożegnał doktora i wsiadł do samochodu oczekującego przed bramą domu na półwyspie.

O TYM, ŻE RZECZ STRASZNĄ UCZYNIĆ MÓGŁ TYLKO CZŁEK OBCY, NAJPEWNIJ Z ZAGRANICY

W Skiroławkach nawet ci, którzy przez całe dni pili piwo na ławeczce przed sklepem, ugięli się przed majestatem śmierci dwóch młodych dziewcząt i przestali opowiadać głupie i sprośne historyjki. Ludzie w wiosce przyglądali się sobie podejrzliwie, skłonni

byli snuć jeden o drugim jakieś zadziwiające opowieści, jakby zaczerpnięte z życia mieszkańców Sodomy i Gomory, choć w Biblii nie zostało szczegółowo wyłożone, co tamci ludzie robili złego. Podejrzliwość, podobna do odwiedzającej kiedyś wioski starej żebraczki w łachmanach, pukała do każdej zagrody, zasiadała wieczorami do stołów, gadała i szeptała, pojawiała się nawet w snach ludzkich. Czegóż to bowiem ci lub owi nie robili straszego, jak się tak przyjrzeć im dokładniej, wspomnieć przeszłość, plotką ożywić wyobraźnię? Zresztą i prawdą, złą i gorszącą, można by było wszystkich po równo obdzielić.

Najstarsza trójka synów cieśli Sewruka sprawdzała kiedyś swoje młodzieńcze umiejętności z krową na łące za olszynami – co widniała żona Kondka. Drwal Jan Stasiak po pijanemu rozkazał swojej najstarszej córce Agacie, kiedy miała dwanaście lat, dokładnie obnażyć się, gdyż był ciekawy, jak jej piersi nabrzmiały i łono włosom obrosło. Jego żona nie potrafiła o tym dokładniej ludziom opowiedzieć, gdyż tylko te swoje „brum-brum-brum” powtarzała, ale i tak ten co chciał wiedzieć, rozumiał, o co jej chodzi. Młody Galemka widział, jak Szczepan Łaryn córkom swoim węża w wyprostowanej postaci, ku uciesze ich, kilkakrotnie pokazywał. Skąpy Kondek swoją najstarszą córkę, zanim za męża za syna Kryszczaka wyszła, po męsku używał od czasu do czasu, o czym ona powiedziała swemu teściowi, Erwinowi, kiedy ten za bluzkę kupioną w Bartach na niej sobie używał. A dlaczegóż to tak naprawdę nie żenił się najstarszy syn Szulca, Franek? Dlaczego nie otrzymał po ojcu gospodarstwa ale przeznaczone ono zostało dla młodszego brata, a on z tej złości pracować nie chciał, tylko na ławeczce przed sklepem przez całe dnie przesiadywał? Co kryło się za złością, jaką miał do niego Otto Szulc? Jedną z córek Szulca, Ingeborg, tylko przez trzy tygodnie żyła ze swym mężem, kolejjarzem w Bartach, i zaraz powróciła do rodzinnego domu, twierdząc, że ją mąż bije i pracować każe ponad siły. A nie mogło to być prawdą, gdyż ludzie znali go jako człowieka bardzo cichego, a poza tym nie mieli żadnego gospodarstwa, gdyż on pracował jako maszynista na kolei i niczego od niej nie żądał, jak tylko tego, aby mu dzieci rodziła i mieszkanie sprzątała. Trzy razy wracała Inga do swego męża i trzy razy od niego odchodziła. A to dlatego, że kochała nad życie swojego brata Franka. Z nim żyła i z nim żyć chciała. Pozostała zaś przy mężu dopiero wówczas, gdy zgodził się, że jej brat Franek będzie ją często odwiedzał i podczas jego służby na kolei u nich w domu nocował. Raz na tydzień jeździł więc Franek Szulc do swej siostry w Bartach i dlatego chyba się nie żenił.

Tak, to prawda, że prawie o każdym można było powiedzieć coś straszego. Co innego jednak spróbować, jak to jest z krową albo pokazać węża swoim córkom, położyć

się na synowej, za jej zgodą zresztą, albo żyć z własną siostrą, a zupełnie co innego zabić w lesie dwie dziewczyny, połamać im żebra, wyłamywać palce ze stawów. Dla męskiej wygody żyła w wiosce i Porowa, kobieta jeszcze ponętna i kształtna, z długimi i gęstymi włosami zaplecionymi w gruby warkocz. Nie odmawiała towarzystwa za kurę, za pół litra i pięto kielbasy. Można się z nią było zabawić w pojedynek, a nawet w trójkę na różne sposoby. Pamiętano przecież, jak to minionego lata w ciepły wieczór biegała naga dookoła swego domu z widelcem włożonym w intymne miejsce i wołała, że tym widelcem sobie wygodzi, jeśli jakiś chłop zaraz się u niej nie pojawi. A jednak zabójca wybrał dwie młodzianki dziewczyny i starą Jastrzębską, jeśli wierzyć jej pijackiemu gadaniu.

Prawdziwy mężczyzna ze Skiroławek, jeśli miał krew w żyłach, mógł sobie do woli wygodzić, bez zabijania, łamania żeber, wyłamywania palców ze stawów i to z prawdziwą kobietą, a nie ze staruchą czy młodą, dopiero rozkwitającą dziewczynką. Wystarczyło, że Gertruda Makuch poszeptła z tą czy ową i doktor Niegłowicz miał na noc kobietkę jak się patrzy. Porwasz mógł sobie przywieźć dziewczynę z miasta, skoro wiejskich nie lubił. Pisarz Lubiński zmieniał żony tak często, jak cieśla Sewruk skarpetki, a gdyby miał ochotę na Haneczkę, to by ją zaprosił na przejażdżkę jachtem czy samochodem, sprawę z nią dokładnie załatwił za byle jaki prezencik. I dziewczyna nikomu by o tym nie pisnęła. Po co zabijać, jeśli się wiedziało, że już była do tych spraw niezwykle chętna, tyle, że nieletnia? Co innego leśniczy Turlej. Owszem. Turlej był dziwny. We wsi słyszano, że żona często mu przed nosem drzwi do sypialni zamyka, a on potem biega rozeźlony ze strzelbą po lesie. Do Porowej taki nie pójdzie, bo za lepszego się ma, z kim więc, gdzie i kiedy załatwia swoje męskie potrzeby? Ale na starą Jastrzębską też by się nigdy Turlej nie poślakomił. Zresztą nie był człowiekiem brutalnym, nigdy nikogo nie uderzył, nawet i wulgarnych słów nie używał. I co tu dużo gadać – przystojny człowiek był z tego leśniczego, mógł mieć wiele dziewczyn jak gajowy Widłąg. Wiadomo przecież, że jak się na przykład młody las wiosną sadi, leśniczy czy gajowy musi tę czy ową kobietę, która przysłała do sadzenia, odprowadzić na bok w krzaki, bo inaczej las dobrze nie wyrośnie. Takie są leśne obyczaje, tak było od wieków i tak będzie w przyszłości. Dlaczego więc zabijać? Chyba, że z tego zabijania bywa jakaś dziwna przyjemność i mordercy płynie w żyłach nie krew prawdziwa, lecz jakaś trucizna. Ale to zupełnie nie pasowało do Turleja, który miał na swoją żonę ochotę jak każdy prawdziwy mężczyzna, tylko że ona mu fochy stroiła, jak to się zdarza kobietom, niekoniecznie wyłącznie żonom leśniczych.

Podejrzliwość przycupnęła i na ławce przed sklepem ucięła żarciki i sprośne

opowieści. Zastanawiał się cieśla Sewruk, czemu to Antek Pasemko raptem brodę i wąsy sobie zapuścił, jakby chciał odmienić swoje oblicze, ale ten wyjaśnił, że taka teraz nastała moda po miastach, a on chce być modny. W żyłach Antka Pasemki płynęła krew, a nie trucizna, po pijanemu zrobił dziecko kulawej Marynie i płacił jej alimenty. Żenić się z nią nie musiał – to jego sprawa. Gdyby jednak naszła go męska ochota, to znowu dostałby od kulawej Maryny, po pijanemu albo na trzeźwo, gdyż innym Maryna nie skąpiła.

Zastanawiał się Szczepan Łaryn, czemu to wszyscy mówią „młody Galembka”, choć on nie jest młody, ma żonę i czworo dzieci, minęła mu trzydziestka. Mówią młody, żeby go odróżnić w mowie od starego Galembki i tak już będzie młody przez wiele lat, dopóki nie umrze stary Galembka. Nie chce się młodemu Galembce pracować, żyje z żony, jej krów i drobiu, dzieci jednak mnoży, czyli sprawy męskie załatwia właściwie. Żona mu nie odmawia, czemu miałyby obie dziewczyny zabijać? Na okrutnika też nie wygląda, ale jest po prostu bardzo leniwy. Woli pić piwo przed sklepem, niż pracować, każdy by tak wolał.

Rozmyślał i wyliczał sobie w głowie młody Galembka, ile też czasu potrzebowałby cieśla Sewruk, aby w swoich człapakach pójść przez wieś aż do lasu, do dołu po sadzonkach albo na polankę, gdzie zabito Haneczkę. Taką dziewczynkę jak Haneczka cieśla mógł podnieść do góry jedną ręką i zadusić w powietrzu jak kurczaka. Po co ją miałyby zadławiać biustonozem? Gdzie by poznał Sewruk jakąś panienkę z południa, która była na weselu aż na północy kraju i po co by mu była taka znajomość? Czy kiedykolwiek zainteresował się Sewruk inną kobietą niżeli jego chuda i brudna mamuśka? Owszem, raz pochwalił głośno wielki tyłek Widłagowej, ale to znaczyło, że właśnie raczej zamieniliby chudą mamuśkę na coś grubszego, a nie na szczuplutkie dziewczątko. Zresztą, co tu dużo rozmyślać: cieśla Sewruk lubił przede wszystkim wino i piwo.

I tak rozmawiano o tym i owym, snuto podejrzania o tym i tamtym, plotkowano, przypominano, gadano, donoszono na różnych ludzi do starszego sierżanta sztabowego Korejwy albo do kapitana Śledzika, który wciąż odwiedzał to tę, to tamtą zagrodę, ale już coraz rzadziej. W tych rozmyślaniach i donosach, podejrzaniach i pomyślunkach, jedna tylko osoba nie była brana pod uwagę – stary Erwin Kryszczak. Po pierwsze dlatego, że zawsze różne świństwa opowiadał, co świadczyło, że to lubi najbardziej. Po drugie, jak go męska ochota naszła, szedł do Porowej. Po trzecie, w ciągu ostatnich lat bardzo się postarzał, siły utracił i nawet nie dałby rady, żeby taką słabą dziewczynkę jak Haneczka udusić, zebra jej połamać, palce ze stawów powyłamywać. Albo to samo

zrobić z dziewiętnastoletnią panienką. Czy taka panienka z obcych stron poszłaby nocą do lasu z Erwinem Kryszczakiem i to pod koniec listopada, kiedy nie ma jagód ani grzybów? Po co byłoby Kryszczakowi napadać na starą Jastrzębską, skoro w dawnych latach używał sobie na niej ile chciał, a teraz jeszcze by mu serdecznie podziękowała, gdyby jej przyjemność męską zaproponował. Nie, o Erwinie Kryszczaku nikt źle nie myślał – i to budziło w nim coraz większy niepokój.

Nie mówią o mnie, a to znaczy, że właśnie mnie podejrzewają – w chytrym umyśle kalkulował sobie Erwin Kryszczak i wrogo spoglądał na tych, co z nim na ławeczce przed sklepem przesiadywali. Oni jednak tej wrogości nie zauważyli, jak dawniej przyjaźnie do niego mówili, częstowali piwem. Bardzo muszą być pewni swoich podejrzeń, skoro się z nimi aż tak kryją – pomyślał stary Kryszczak. I odtąd, czy to wczesnym rankiem, czy późnym wieczorem, na ławeczce przed sklepem, czy podczas obiadu albo krzątania w gospodarstwie, czuł w sobie Erwin Kryszczak narastającą pewność, że jest najbardziej podejrzaną osobą w całej wiosce.

Po dniu, a może i dwóch, zaczął się Erwin Kryszczak zastanawiać, czy ludzie mogą mieć jakieś podstawy, aby go podejrzewać o zabójstwo dwóch dziewcząt. I im głębiej drążył w sobie tę kwestię, tym większy odczuwał niepokój. Bo czy jego sprawy ograniczały się jeno do tego, że w drodze z Bart do Skirołówek wykorzystał po męsku swoją synową, za jej zgodą zresztą, za kupioną jej w Bartach bluzkę? Czy jego erotyczne działania polegały wyłącznie na odwiedzinach u Porowej, z kurą pod pachą? Ileż to razy, kupiwszy w sklepie garść cukierków, zachęcał małe dziewczynki, aby poszły z nim w krzaki koło starego młyna i tam zdjawszy majteczki, pozwalały mu oglądać swoje gołe szparki między nóżkami? Czy nie w ten sam sposób na rok przed zabójstwem Haneczki i ją także namówił, aby poszła z nim w krzaki za młynem, gdzie długo i z ogromnym zadowoleniem przypatrywał się jej dużej już szparce pokrytej złotawym włosom? Pozwoliła mu też Haneczka na krótko przed swoją śmiercią obejrzeć piersiątko, tak pięknie i zabawnie sterzczące, zupełnie inaczej, niż u kobiet dojrzałych. Wiele, bardzo wiele takich historii przypomniał sobie Erwin Kryszczak rozmyślając, czy tylko mały krok nie dzielił go od tego, aby taką młodziutką dziewczynę wykorzystać w lesie i zabić? Tak, ludzie w Skiroławkach mieli podstawy, aby go podejrzewać o zbrodnię.

– Ja też jestem podejrzany – oświadczył Kryszczak na ławeczce przed sklepem.

Jak bąk zahuczał śmiechem cieśla Sewruk. Piskliwie roześmiał się Antek Pasemko. A inni, młody Galembka i Franek Szulc, tylko uśmiechnęli się pobłaźliwie.

– Wy, dziadku – oświadczył Franek Szulc – potraficie co najwyżej ozorem trochę poświntuszyć, synową podmacać albo do Porowej raz na miesiąc pójść. Nic więcej.

Co innego mój ojciec, Otto, który jest od was znacznie starszy. On kiedyś zabił w lesie człowieka dla jednej kromki chleba. Taki człowiek mógłby zabić i dziewczynę, gdyby go naszła na nią ochota.

Wrogo mówił o swoim ojcu Franek Szulc, ale nie dlatego zabolowały te słowa Erwina Kryszczaka. Ze śmiechu Sewruka i Pasemki, ze słów Franciszka Szulca wynikało niezbitcie, że za najgorszego w wiosce jest uważany. Nawet Otto, choć był dużo starszy od Kryszczaka, uchodził za coś lepszego, za mężczyznę zdolnego do zbrodni. Nie ulegało wątpliwości, że – jak to teraz widział coraz wyraźniej – stał się dla wioski po prostu niczym, starym, bezsilnym dziadem.

Zaciął usta Erwin Kryszczak i zaraz opuścił towarzystwo na ławeczce. Wieczorem, leżąc w łóżku, wspominał chwilę, gdy namówił Haneczkę, aby zdjęła majtki w krzakach za młynem i gdy dotknął dłonią swojego członka, stwierdził, że mu nabrzmiało od tych pięknych wspomnień. I sam nie wiedział, czy to już było we śnie, czy jeszcze na jawie, ale zobaczył siebie, jak idzie z Haneczką na polanę leśną, jak ją rozbiera i kładzie się na niej. Czy ją potem zadusił biustonozem – tego we śnie nie było, ale chyba musiał to zrobić, skoro Haneczkę znaleziono martwą. Rankiem pamięć snu pozostawała żywa i barwna, czuł w sobie podniecenie na myśl o tym, co uczynił z Haneczką. Podniecenie trwało przez cały dzień i nawet rozglądał się za jakąś kurą na podwórzu, żeby ją schwytać i pójść do Porowej. Wołał jednak pozostawać nadal w stanie przyjemnego męskiego podniecenia, które mu raz po raz podsuwało coraz to nowe obrazy tego, co stało się na polanie w lesie. Wieczorem wspomnienie powróciło do niego z nową siłą, stało się to również i następnego dnia, aż w końcu miał pewność, że w rzeczy samej on to zabił Haneczkę.

Na ławeczce przed sklepem duma go rozpierała. Czuł w spodniach twardy stary korzeń i z zadowoleniem myślał, patrząc na swoich przyjaciół: nie macie pojęcia, kto przy was siedzi. Nikt nie podejrzewa starego Kryszczaka. A to on zrobił coś takiego, od czego wszystkim w wiosce serce zamiera z trwogi.

Przed sklepem zatrzymał się osobowy samochód i wysiadła z niego młodzieńca, chyba dziewiętnastoletnia panienka, nieduża i drobna. Zapewne wysłał ją po papierosy ten, co kierował samochodem. Erwin Kryszczak popatrzył na samochód, zerknął na dziewczynę znikającą w sklepie i raptem, choć to było słoneczne południe – jak gdyby czarna zasłona mu na oczy zapadła. Zdawało mu się, że to już noc, samochód odjechał, a dziewczyna zaraz wyjdzie ze sklepu z papierosami. Rozejrzy się dookoła i stwierdzi, że samochód odjechał. Wtedy on Erwin Kryszczak, podejdzie do niej i powie, że samochód czeka za wioską w lesie. Jeśli się boi tam pójść z powodu ciemności, on,

stary Kryszczak podprowadzi ją aż na miejsce. Tak, właśnie tak było, a nie inaczej! Poszli razem w listopadowej ciemności, w poświstach jesiennej wichury, nikt ich po drodze nie widział, w podobną pogodę siedzi się w ciepłej chałupie. Na leśnej drodze złapał Kryszczak dziewczynę za gardło, przydusił ją, zaciągnął do dołu po sadzonkach i rozebrał do naga. Mimo gęstego mroku widział dokładnie jej piersi, takie same jak u Haneczki, jej łono, takie samo jak u synowej. Potem zadusił całkiem, zasypał i odszedł...

Zamrugął Kryszczak powiekami. Znowu był dzień, letnie południe. Przed sklepem nie dostrzegł ani samochodu, ani dziewczyny. To co widział przed chwilą, było chyba tylko wspomnieniem, które mu przyniosło męskie podniecenie, albo zgoła marzeniem.

– A cóż to, dziadku, przysnęliście sobie po piwku? – klepnął go po ramieniu młody Galembka.

I znów ten pobłażliwy ton. Czy naprawdę nie domyślają się, kto siedzi tu przy nich i kogo klepią po ramieniu, nazywając dziadkiem? „Głupcy – pomyślał o nich z pogardą. – Powiedziałbym prawdę, gdyby nie to, że straszna kara czeka tego, co zabił dziewczynę”. Przeraził się tej kary, widmo pętli szubienicznej zamajaczyło przed jego oczami.

Siedział Kryszczak na ławeczce i rozmyślał:

Nikt się nie dowie, kto zabił te dziewczyny. Nikt się nie dowie, bo nikt tak naprawdę nie podejrzewa mnie, Erwina Kryszczaka. Będą mnie dalej lekceważyć, nazywać dziadkiem, a ja będę milczeć w obawie przed karą. Nawet im przez głowy nie przejdzie, że ten lekceważony stary dziadek jest tak potężną postacią, tak wielkich zbrodni dokonał. Umrę, pochowają mnie i tajemnicę swych zbrodni zabiorę do grobu. Na moim pogrzebie powiedzą: umarł stary dziadek, Erwin Kryszczak, a nie: umarł potężny i straszliwy morderca.

Popatrzył Kryszczak na osmaloną twarz Sewruka, na lisią sylwetkę Łaryna, na drwiący uśmiezek Pasemki. Oj, jakie miny zrobilibyście, każdy z was, gdybym wam prawdę o sobie powiedział – rozkoszował się i serce mu radośnie biło.

Wspominał też o swoich synowych. Traktowały go dobrze, podmacywać się niekiedy dawały, a nawet jedna z nich podłożyła mu się w drodze z Bart. Ale tak naprawdę to podśmiewały się z niego, lekcewały, przeganiały z kąta w kąt. Wyobraził sobie, jak wchodzi na podwórze i mówi do synowych: To ja zabiłem te dwie dziewczyny a one synowe, jak stado spłoszonych kur rozbiegają się po kątach, kryją do stodoły, krzyczą z trwogi i ogromnego szacunku.

Na przystanek koło sklepu zajechał kolorowy autobus do Trumiejek. Erwin Kryszczak nagle wstał z ławeczki i oświadczył przyjaciółom:

– Jadę na posterunek do Trumiejek, aby tam złożyć zeznanie.

To mówiąc wszedł do autobusu i odjeżdżając widział przez szybę rozdziawioną gębę cieśli Sewruka, jeszcze bardziej zgarbioną zdumieniem sylwetkę Łaryna. Nawet Antek Pasemko przestał się drwiąco uśmiechać. Tak, dumny był Erwin Kryszczak z tego, co uczynił w lesie. Nie bał się kary, o karze nawet nie myślał. Wyprostowany, sprężystym krokiem, wszedł Erwin Kryszczak na posterunek milicji w Trumiejkach i stanął przed obliczem starszego sierżanta sztabowego Korejwy.

– Przyszedłem, aby złożyć zeznanie – powiedział. – To ja zabiłem te dwie dziewczyny.

Spodziewał się, że po tych słowach Korejwo krzyknie gromko, że wszystkich pokojów posterunku wybiegną milicjanci, zakują go w kajdanki i opierającego się – zamierzał się szarpać i opierać – zawloką do pokoju przesłuchań. Ale Korejwo pogłaskała dłonią swoje małe wąsiki – ostatnio zapuścił wąsy – westchnął i rzekł:

– Zaczekajcie, dziadku, w poczekalni przy drzwiach wejściowych. Tam jest popielniczka, zapalić można. Kapitan Śledzik, który prowadzi sprawę zabójstwa tych dziewczyn, jest w tej chwili zajęty. Jak będzie wolny, poprosi was do siebie.

Zasiadł Erwin Kryszczak w poczekalni z popielniczką. Była tam już jakaś stara babina, popłakująca cicho z powodu gęsi, które jej ktoś ukradł z pastwiska. Chciał jej Kryszczak powiedzieć, czemu to zjawiał się na posterunku i czeka teraz w pokoju z popielniczką, że jest strasznym zbrodniarzem, a kradzież gęsi niczym jest w porównaniu z czynami, które popełnił. Babina zapewne z krzykiem przerażenia wybiegłaby z posterunku, pozostawiając swemu losowi sprawę skradzionych gęsi. Ale do babiny nic chyba nie docierało. Już po pierwszych słowach Kryszczaka głośniej zaczęła płakać i przerwała mu narzekaniem na złodzieja:

– Dwie dziewczyny? – rozmyślała głośno, pochlipując. – Może to one ukradły moje gęsi. Takich dziewczyn to i zabić nie szkoda.

Obraził się na nią Kryszczak, jeszcze bardziej wyprostował plecy, nadał swej twarzy wyraz surowości i powagi. „Zadrzysz przede mną z trwogi, gdy o mnie prawdę usłyszysz” – myślał z gniewem o starszym sierżancie, który kazał mu czekać w pokoju z popielniczką. I robił się coraz bardziej zły, gdyż choć w pokoju znajdowała się popielniczka, to on nie mógł z niej korzystać, ponieważ nie miał papierosów.

Minął kwadrans zanim w poczekalni zjawiał się kapitan Śledzik i poprosił Kryszczaka do pokoju na piętrze, który mu przydzielono na czas śledztwa.

– To wy, podobno, zabiliscie te dwie dziewczyny – zagadnął obojętnie do Kryszczaka, wskazując mu krzesło przed swoim biurkiem i częstując papierosem.

– Tak. Zaduśiłem. Obydwie – przytaknęła Erwin Kryszczak. – A wy nawet mnie nie podejrzewaliście.

Śledzik zasiadł za biurkiem, rozłożył na nim czystą kartkę papieru, wyjął z kieszeni długopis, zanotował imię i nazwisko Kryszczaka, datę i miejsce urodzenia. Następnie zadał mu kilka pytań i jego wypowiedź zaczął zapisywać w protokole.

Erwin Kryszczak opowiadał ze szczegółami. Dzień po dniu, godzina po godzinie, a nawet minuta po minucie – jak to nosił się najpierw z zamiarem zbrodni, potem zaś owe zbrodnie zrealizował. Dokładnie też rozwodził się nad tym, jaką to szczególną przyjemność sprawiało mu zabijanie owych dziewcząt, oglądanie i dokonywanie gwałtów. A tak był pochłonięty dobieraniem odpowiednich słów dla zobrazowania swoich czynów, że nie zauważył, iż w pewnym momencie dłoń kapitana Śledzika zawisła wraz z długopisem w powietrzu i trwała tak, wsparta na łokciu. Kiedy zaś skończył i z pokorą pochylił głowę, zapytał go grzecznie kapitan Śledzik:

– A macie wy, dziadku, na powrotny bilet do Skiroławek?

Kryszczak miał uczucie, że nagle ktoś mu na plecy zwałił korzec żyta. Aż ugiął się, zgarbił, łzy zakręciły mu się w oczach. W tym momencie kapitan Śledzik przeniknęła do jego najskrytszych myśli i zrobiło mu się żal starca.

– Coś mi się zdaje, że ostatni autobus do Skiroławek już odszedł. Wobec tego odwieziemy was samochodem z napisem „Milicja”

– W kajdankach? – odrobina radości zabrzmiała w głosie Kryszczaka.

– Nie, dziadku – pokręcił głową Śledzik. – W kajdankach przywozimy na posterunek. Odwozimy zaś już bez kajdanek.

Do Skiroławek powrócił Kryszczak w samochodzie z napisem „Milicja”: Wysiadł przed swoją zagrodą, z synami i synowymi nie chciał rozmawiać i zaraz położył się do łóżka. Odmówił jedzenia i pragnął umrzeć z rozpacz i wstydu. Całą noc nie spał, aż do południa leżał w łóżku czekając na śmierć, która jednak nie przyszła. Wtedy po południu Erwin Kryszczak podniósł się z łóżka, zjadł rosół z makaronem i poszedł na ławeczkę przed sklepem, gdzie czekał na niego cieśla Sewruk, młody Galembka, Franek Szulc i Antek Pasemko.

Jak zwykle usiadł na ławeczce, przyjął od Sewruka napoczętą butelkę piwa, napił się, otarł usta wierzchem dłoni i oświadczył:

– Złożyłem wczoraj na milicji swoje zeznania. Powiedziałem im, że tej strasznej zbrodni nie mógł dokonać nikt ze Skiroławek. Zrobił to ktoś obcy, najpewniej z zagranicy.

I tak wieść o zeznaniu Erwina Kryszczaka szybko rozeszła się po wiosce. W serca

ludzkie wstąpiła zaraz radość i ogarnęło je poczucie ogromnej ulgi. Bo tak to już jest, że jak się coś złego stanie, to najprzyjemniej myśleć, że uczynił to ktoś obcy, najpewniej z zagranicy.

Dziwnie też bywa z ludzką pamięcią. Dopóki po wsi kręcili się ludzie w milicyjnych mundurach i od zagrody do zagrody chodził kapitan Śledzik, pamięć ludzka ożywała i potrafiła zagłębiać się w daleką przeszłość. Ale gdy owe mundury zniknęły i przestał chodzić po wsi kapitan Śledzik, a nawet już nie co dzień urzędował na posterunku w Trumiejkach, pamięć ludzka usychała, wszystkie sprawy powoli pogrążyły się w zapomnieniu. W dwa tygodnie po znalezieniu zwłok w dole po sadzonkach Koło Miłośników Tańca z cieślą Sewrukiem i Łarynem na czele nawet zabawę całonocną w remizie strażackiej zorganizowało, z bufetem dobrze w wódkę zaopatrzonym. Rankiem po zabawie krzyk się ogromny podniósł w wiosce, gdyż ktoś zobaczył za krzakami koło młyna leżącą sztywno czternastoletnią córkę Smugoniowej, z sukienką zadartą aż do piersi. Wątruch i kilku innych mężczyzn stanęło z daleka na straży, nikogo do ofiary, nie dopuszczając, aby ślady nie zostały zdeptane. W ogromnym pośpiechu, na sygnale przyjechał natychmiast Korejwo i kapitan Śledzik. Jakież było ich zdumienie, gdy raptem czternastoletnia córka Smugoniowej podniosła się z ziemi, sukienkę wstydliwie obciągnęła i zataczając się, jeszcze wciąż pijana, pomaszerowała do domu. Chciał ją Śledzik przesłuchać, aby dowiedzieć się, kto i w jaki sposób na nią napadł i prawdopodobnie gwałtu dokonał, ale ona zeznawać nie chciała. Od ludzi życzliwych – a tych nigdzie nie brakuje – dowiedział się Śledzik, że to chłopaki Sewruka, młody Galembka i chyba dwóch innych po kolei na córce Smugoniowej się kładli, a ona ani nie protestowała i ani się im nie sprzeciwiała. Smugoniowa rozdarła się głośno na Śledzika, że milicja takimi sprawami się zajmuje, dochodzenia jakiejś usiłuje robić, przez co porządną dziewczynę na oszczerstwa i plotki naraża. Doszło nawet do tego, że zaprzeczyła, jakoby jej córka była zgwałcona i leżała obnażona w krzakach koło młyna. To wszystko – jej zdaniem – źli ludzie oraz milicja wymyślili.

Śmiali się głośno ludzie w Skiroławkach z tej historii. A nie ma nic gorszego dla poważnej sprawy – jak ludzki śmiech i drwiny. W śmiechu utonęła pamięć o podwójnej zbrodni. Ilekroć bowiem powracał ktoś do tej sprawy, zaraz przypominano sobie historię córki Smugoniowej i ludzie śmiechem wybuchali.

O ZIELONYM OPLU,
PANI TUROŃ,

BRUNO KRIWCE, FAMILII GRUBER I WIELU INNYCH SPRAWACH

Dni nastały słoneczne i bezwietrzne, południowy skwar zdawał się na nieruchomej tafli wody śnić historię o zeszlórocznych topielcach, o samotnych spacerach Południc, czyhających na kąpiące się dzieci. Do Skiroławek przybywali wczasowicze i turyści, aby napawać oczy urokiem jeziora Baudy i podziwiać kipiącą zieleń lasów. Do gajowego Widłaga, jak co roku od wielu już lat przyjechała ze stolicy pani Turoń 2 synkiem nieletnim i mężem, a do Kurta Webera brat jego z zagranicy, Gerard, zielonym oplem. Czerwonego opla, który przyniósł mu ongiś drwiny i niesławę, sprzedał tanio na giełdzie samochodowej, zielonego zaś już nikomu nie kazał w tyłek całować. O tamtym zdarzeniu wielu zapomniało, tylko dzieci wciąż jeszcze od czasu do czasu bawiły się w Gerarda Webera i cieślę Sewruka, który za trzy obce banknoty zgodził się pocałować w tyłek czerwonego opla. Uczyniwszy to i zagarnąwszy banknoty, oświadczył Sewruk, że samochód nie ma tyłka, ale bagażnik i on, cieśla Sewruk pocałował opla w bagażnik, co w rzeczy samej całą istotę sprawy zmieniało. Zaraz też i wdowa Jastrzębska i Szczepan Łaryn zaproponowali Gerardowi, że pocałują bagażnik nawet za dwa obce banknoty. Ale Gerard Weber już tego nie chciał, gdyż co innego jest pocałować samochód w tyłek, a co innego w bagażnik, gdzie trzymał karton pełen puszek z piwem. Pił to piwo i puszki po całej wiosce rozrzucał, żeby dzieci miały co kopać, gdyż lepiej brzęczały niż te po konserwie mięsnej. Od tego piwa urósł Gerardowi ogromny brzuch, a twarz zrobiła się czerwona i poruszał się niemrawo, po kątach mówiono, że mógłby sobie taczkę sprawić i ów brzuch na niej przed sobą wozić. Łaził Gerard po gospodarstwie, które brat jego, też gruby, ale nie tak bardzo, po ojcu i po bracie wziął, gdy ten za granicę wyjechał. I tak mu całymi dniami marudził: „Ten sagan ze sobą zabiorę, bo jest po ojcu. Kancjonał też wezmę, bo po ojcu. Fotografie ojca zabiorę w świat, bo po ojcu”. Groził również bratu, że co nie zabierze do opla, to sprzeda, ponieważ wszystko jest po ojcu i jemu, który jest w świecie i pracuje w masarni, wszystko to się należy. Aż wieść o zmartwieniu Kurta Webera doszła do doktora Niegłowicza, do jego domu na półwyspie. A że doktor, zanim został doktorem, zaraz po wojnie z Gerardem Weberem do jednej klasy chodził i nawet w jednej ławce przez jakiś czas siedział, tedy mógł przyjąć do Webera i powitać Gerarda jak starego znajomego. „Wciąż mówisz «jo»” – powiedział doktor Gerardowi. – A przecież jeszcze w szkole zwracałem ci uwagę, że mówi się «ja» a nie «jo».” Potem zaś wsiedli do zielonego opla i podobno pojechali w to miejsce, gdzie w lesie jest wielki

kamień, na którym wyryto, wśród innych, nazwisko ojca obydwu Weberów, bo w tym lesie go rozstrzelano za to, że nie chciał służyć w obcym wojsku. „Ten kamień też z sobą zabierz albo go sprzedaj, bo jest po twoim ojcu” – rzekł mu doktor. Co było dalej – nie wiadomo, ale odąd Gerard Weber inaczej się do brata odnosił, zawsze mu jakiś подарunek przywiózł, a raz nawet kupił mu nową kosiarkę.

Inna zupełnie sprawa była z panią Turoń. Przyjeżdżała do Skiroławek ze stolicy nie zielonym oplem, ale starym dwutaktem. Opowiadano o niej rozmaite plugastwa, a przede wszystkim to, że męża swojego, imieniem Roman, który studia filozoficzne na uniwersytecie ukończył, z pracy zwolniła i gdy urodziło im się dziecko za służącego i gospodynię domową go miała. Gadano, że po zakupy chodził z siatką, pieluchy i majtki prał, a także obiady gotował i dziecku tyłek podcierał. Żona zaś jego, czyli pani Turoń, w tym czasie jakieś doktoraty robiła, ale nie prawdziwe, bo leczyć się u niej nie było można. W rzeczy samej jednak jak prawdziwy doktor o higienie ciągle wszystkim gadała. Rozповідаła o niej żona gajowego Widłaga, że na wczasy przywoziła dwie walizki czystych majtek i jedną walizkę ligniny, a jak dziecko usmarkane zobaczyła przy drodze, to zatrzymywała się i dawała mu kawałek ligniny, żeby sobie nos obtarło. W tej sytuacji miał co prać ów Roman Turoń i choć był od żony starszy tylko o osiem lat, to przecież już powłóczył nogami jak starzec, idąc zaś na spacer z żoną i dzieckiem głośno wydawał z siebie gazy, na co ona, jak prawdziwa dama, nie zwracała uwagi. Pani Turoniowa lubiła opalać się nago w miejscach oddalonych, ale dobrze widocznych, a męża z dzieckiem w tym czasie wysyłała na spacer do lasu. Zauważono także, iż ilekroć szedł on ze swym dzieckiem albo na nie patrzył, na jego twarzy zawsze malowało się zdumienie, a zarazem ogromny podziw, jakby ciągle nie mógł się nadziwić, że z jego męskich lędźwi i łona jego niewiasty poczęł się twór tak doskonały. Doskonałości tej trudno jednak było uświadczyc, jak dzieci wioskowe miały mały tylko dwie nogi i dwoje rąk, tułów i głowę nieco większą, ale nie od mądrości tylko po rodzicach, gdyż Turoń i Turoniowa do głowaczy się zaliczali, czyli wielkogłowych. Może był i mądrzejszy od innych dzieci w wiosce, a może i głupszy, nikt tego nie potrafił sprawdzić, ponieważ Turoniowa ze względów higienicznych nie pozwalała swemu chłopcu ani bawić się, ani nawet spotykać z innymi dziećmi, nawet z takimi, co nie były usmarkane. Opowiadała Widłagowa, że chyba jednak nie jest taki mądry, jak to twierdzą rodzice, bo wołał nalać w majtki, niż pójść za stodołę. A kiedy wziął do ręki przy wykonywaniu potrzeby swój maleńki wyrostek, to matka kazała mu zaraz myć ręce, jakby, za przeproszeniem, ciągle go w czymś brudnym maczał. Przez to ciągle mycie rąk i podmywanie się pani Turoniowej, bolały Widłagową ramiona od noszenia wciąż nowych wiader z

wodą. Rozповідаł też młody Galembka rozmaite plugastwa o Turoniowej, a przede wszystkim to mianowicie; że zasłyszawszy, iż ludzie w Skiroławkach raz w roku pewnej nocy wszyscy na siebie włożą w starym młynie, aż ręce załamywała: Ach, jakie to niehigieniczne. Kazała też Galembce przewieźć się łódką na Czaplę Wyspę, gdzie pokazał jej zeszlóroczne ślady po ognisku, które rozpalano wtedy, gdy owa noc miała nadejść. Prawił jej młody Galembka, jak to w tę noc tajemną ognisko na wyspie pali się dziwnym niebieskawym płomieniem, a kto ów płomień gorejący ujrzy, jak ćma obja się o ściany; potem zaś ludzie idą w ciemnościach do starego młyna, młódkki i starcy, mężatki i wdowy, a także mężczyźni żonaci i kawalerowie, i tacy, co jeszcze nie próbowali kobiety. A gdy ognisko przygasa, na sianie Szulca słychać tylko głośne oddechy i krzyki niewiast, które się spełniały nie wiedzieć z kim, po ciemku, w mroku, po omacku. I rozkosz wówczas wszystkich ogarniała niewysłowiona, bo krew ludzka z krwią ludzką się miesza, człowiek człowiekowi staje się bratem, siostrą, mężem i żoną, każdy żyje z każdą jak to w raju być musiało, kiedy ludzie wstydu nie znali. Aż żal, że tylko raz w roku taka noc następuje, a i to nie wiadomo kiedy. Przez to właśnie ludzie w Skiroławkach smutni bywają i wieczorami z ogromną tęsknotą patrzą na wyspę, czy ognia na niej nie widać. Tak prawił Galembka, a pani Turoń dygotała z wstydu i odrazy, aż i sama chyba wstyd zatraciła, bo nazajutrz przyszedł Galembka do doktora Niegłowicza i rozpiąwszy rozporek, swój członek pokazał, obolały i opuchnięty. Zatarł mi się w tej babie, jak tłok w źle oliwionym cylindrze – poskarżył się doktorowi. A ten dał mu butelkę z wodą Burowa, nakazując robić z niej okłady i głośno wyrzekął: „Mój Boże, do czego to ludzi ta higiena zaprowadzi”. Z czego wynikało, że nie wszyscy doktorzy są za higieną. Pani Turoń miała także grubego notatnika i z nim od czasu do czasu po wiosce chodziła, szukając takiego, co by jej o tej nocy w starym młynie dokładnie opowiedział, chciała bowiem poznać prawdę ze względów naukowych. Niestety, nikt nie umiał jej nic konkretnego wyjawić, ponieważ w takich małych wioskach jak Skiroławki ludzie nie bardzo potrafią odróżnić prawdę od kłamstwa, fantazję od rzeczywistości. W małych wioskach podobne sprawy są zawsze z sobą pomieszane jak kapusta, mięso, ziemniaki i rozmaite różne zielska w kapuśniaku. Tedy co roku pani Turoniowa czaiła się nocą w oknie na pięterku w domu Widłagów i patrzyła pilnie na jezioro w stronę Czaplej Wyspy, czy blasku ognia tam nie zobaczy. I aż cała dygotała ze wstrętu na myśl, co się potem dzieć będzie w starym młynie. Nawet zdecydowana była pójść tam, aby ludziom powiedzieć, że czynią sprawy niehigieniczne. Ale nigdy jakoś owego ognia na Czaplej Wyspie nie ujrzała, bo może owe obrzydliwe sprawy działy się w innym czasie albo zgoła w innym miejscu, jak twierdził jej mąż Roman, gdy widział ją przyczajoną w

oknie. Lecz ją nic od owego okna odciągnąć nie było w stanie. Udawała, że nie słyszy, jak mąż głośno wydziela gazy i patrząc w ciemność na jeziorze stawiała się bardzo smutną. W takich chwilach myślała o sobie, że ma dopiero lat trzydzieści pięć, jest rosła i ładna, od urodzenia dziecka nie może jednak przemóc w mężu szacunku, jaki żywi on do niej z powodu faktu, że stała się matką, zaś mężczyźni, których spotyka na różnego rodzaju sympozjach i zjazdach, raz na nią wszedłszy, szybko z niej schodzą, nawet bez udzielenia wyjaśnień. Tak naprawdę jednak to w owych długich chwilach czajenia się w oknie nie tylko smutek, ale i dziwną słodycz pani Turoń znajdowała; słodycz, za którą potem tęskniła w stolicy, aż znowu przychodziło lato i przyjeżdżała do Widłagów, aby się przy oknie przyczaić. Albowiem nie tylko w małych wioskach, lecz i w niektórych ludziach prawda i kłamstwo bywają z sobą pomieszane.

Tuż po sianokosach, przybywał też do Skiroławek niejaki Bruno Kriwka. Miał szronkowatego konia i dwukółkę oblepioną kolorowymi reklamówkami zagranicznych producentów olejów samochodowych oraz tym wszystkim, co się na wózek przylepić dało, a więc ogłoszeniami o spędach świń i cieląt, jak również afiszami zachęcającymi do radiologicznej kontroli płuc. Cały dzień mógł niejednemu zejść na czytaniu i oglądaniu owych nalepek i ogłoszeń, wytrwały zaś potrafił znaleźć wyciętą z zagranicznej gazety kolorową fotografię nagiej dziewczyny, która między nogami zamiast tego co inne baby, różowy tulipan miała. A wszystko to po to zostało nalepione, aby zwać ludzi do dwukółki, na której Bruno Kriwka siedział dumnie i czarną brodę gładził, na lud patrząc miłościwie, a potem go błogosławił zamaszystymi ruchami rąk. Byli w Skiroławkach tacy, co pamiętali owego Kriwkę jako zwykłego gospodarza z Wietrzwałdu, tym tylko się od innych wyróżniającego, że żonę swoją bił po pijanemu stołkiem nieco mocniej niż inni. Aż zdarzyło się przed laty, że pewna dziennikarka ze stolicy, która w tych stronach wówczas przebywała i rozmaite miejscowe ciekawostki ją bawiły, zapytała Bruno Kriwkę, czy nie jest przypadkiem ostatnim z rodu starodawnych tutejszych kapłanów, co się „kriwe” zwali. W następstwie tej rozmowy ukazała się w jakiejś gazecie fotografia Bruna Kriwki, a przede wszystkim jego wielkiej czarnej brody oraz dużej łysiny. Odtąd Kriwka zaprzestał bicia swej żony, lud zaginiony postanowił odnaleźć i kapłaństwo nad nim zapragnął sprawować. Zaczął tedy objeżdżać wioski swoją dwukółką, przeważnie miejscowości nad jeziorem Baudy, gdyż za Baudę się uważał i gardził sąsiednim plemieniem Bartów, którzy przed wielu laty konie ukradli nauczycielowi Hermanowi Kowalikowi. „Krzywcie się połową twarzy, a połową twarzy uśmiechajcie – radził Bruno Kriwka swemu ludowi – gdyż w ten sposób okażecie pamięć wszystkich krzywd, jakich doznaliśmy od Gotów, Kawalerów Maltańskich oraz innych przybyszów. Narody

są wymysłem Szatana. Liczą się jedynie wspólnoty rodowe i plemienne. Zastanówcie się, z jakiego jesteście rodu albo z jakiego wywodzicie się plemienia i ku tamtym sprawom zwróćcie swoje myśli. Wtedy nauczycie się uśmiechać połową twarzy i połową twarzy krzywić, aby nikt nie sądził, że jesteście zadowoleni. Zawsze byliśmy to z tymi, to z tamtymi; a to znaczy, że byliśmy i przeciw tym, i przeciw tamtym. Prawdziwy Bauda jest wiarołomny i zdradliwy, nawet śmierć chciałby oszukać. Bauda nie ma przyjaciół i swoją cierpiącą twarz obnosi po wszystkich gościńcach. Żądajcie współczucia dla zaginionego ludu, ale tym, co okażą wam współczucie, nóż wbijcie w plecy, uśmiechając się połową twarzy, a połową twarzy krzywiąc, aby nikt nie myślał, że jesteście zadowoleni. Nic bowiem nie wskrzesi wspólnot rodowych i plemiennych w czasach, gdy żyją narody. To narody są naszymi ciemżycielami, to one zgubiły nasze dawne wspólnoty. Bądźcie przeciw narodom, a jednego z nas wybierzcie na króla.”

Tak mówił Bruno Kriwka do cieśli Sewruka, który odpowiadał mu mową śpiewną i łagodną, z dalekich bowiem stron się wywodził. Tak mówił do Jonasza Wątrucha, którego za Baudę uważał, ale Wątruch nie umiał się uśmiechać połową twarzy ani połową twarzy krzywić, gdyż w ogóle uśmiech mało kiedy gościł na jego twarzy, a tylko powaga ogromna. Pamiętał bowiem Jonasz Wątruch, że po ziemi bezszelestnie stąpa Szatan, książę ciemności. Sztukę krzywienia się i zarazem uśmiechania chciał osiąść Otto Szulc, ale przeszkadzała mu w tym pamięć o płonących śniegach i człowieku, którego zabił dla kromki chleba. Za Baudę uznał Kriwka i Erwina Kryszczaka, ponieważ podobno on to zabił nożem księcia Reussa, ostatniego z Kawalerów Maltańskich, czym dał dowód, że zdradą trzeba płacić za czyjąś łaskawość. Ale z olbrzymów się wywodził książę Reuss, Kryszczak zaś ze średnich karzełek, tedy wciąż się wydawało Kryszczakowi, że olbrzym ciągle żyje i groźnie kiwa na niego palcem. Gdzie mógł się schronić mały karzełek, jeśli nie pod kobiecą sukienkę? „Ta przeklęta ziemia wciąż rodzi nowych olbrzymów – skarżył się Kryszczak Bruno Kriwce. – Drży ziemia, gdy idzie doktor albo syn jego, Joachim. Masz, Kriwka, za żonę tęgą kobietę, która obfite suknie nosi. Tam się schroń, jak ja to robię i w ten sposób Żytniej Babie cześć będziesz oddawał, a w „kriwe” się nie baw”.

Wkrótce wyrósł Kriwce potężny konkurent w postaci Arona Ziemby, który za króla Bartów się ogłosił. Odtąd mieli się ludzie dowiadywać o wyższości Baudów nad Bartami i o wyższości Bartów nad Bandami. Z opowiadań Ziemby wynikało, że Baudowie nigdy żadnych królów nie mieli, a jeśli któryś z nich doszedł, dzięki łaskawości Kawalerów Maltańskich, do jakichkolwiek godności plemiennych, zawsze popadał w alkoholizm. Nie było też u nich rzadkością, aby brat zaczął się ze strzelbą na brata lub

kuzyna i zazwyczaj nienawiścią darzyli tych, co im jakąkolwiek życzliwość okazali. O Ziembie zaś prawil Kriwka, że praszczur jego tajemną ścieżką przez bagna poprowadził Kawalerów Maltańskich do siedziby plemienia, gdzie wszystkich Baudów wybito co do nogi, a z domów ich nie pozostał nawet kamień na kamieniu. Każdemu olbrzymowi gotowi byli służyć Banowie, żony swoje do nierządu nakłaniali albo sprzedawali w niewolę, najchętniej kupcom arabskim. A kiedy był czas próby i należało pójść w tę lub tamtą stronę, Bartowie szli w tamtą, a Baudowie w tę stronę, przez co ich drogi wciąż się rozchodziły i od siebie oddalały. Tym niemniej obydwaj – i Kriwka, i Ziembra – byli zdania, że tożsamość plemienną należy strzec przed obcymi, to jest uśmiechać się tylko połową twarzy i połową twarzy krzywić, aby nikt nie myślał, że jest się zadowolonym.

Nie lubił Bruno Kriwka doktora, nie lubił pisarza Lubińskiego, a także malarza Porwasza, za obcych ich uznawał i nigdy im się nie odklaniał, ponieważ, jego zdaniem, wyżej cenili naród nad wspólnotę plemienną. I gniew Kriwkę ogarniał, kiedy wieść straszna do niego doszła, że Nepomucen Lubiński krzyk tej ziemi usłyszał na Świńskiej Łące koło dawnej szubienicy Baudów. „To moja żona krzyczała, kiedy ją biłem pięścią po głowie” – tłumaczył ludziom Kriwka, który nie chciał, aby Lubiński stał się w ten sposób Baudą i za baudyjskiego pisarza uchodził. Cóż bowiem pozostało by z Kriwki, gdyby nie jego baudyjskie pochodzenie? Kto by się nim interesował? Kto by z nim rozmawiał i słuchał jego kazań? Kto by z nim wywiady do gazet przeprowadzał i w rysach jego twarzy znamiona zaginionego ludu odnajdywał?

A jednak tego lata podczas przyjazdu do Skiroławek znowu musiał Kriwka wysłuchiwać o tym, że Lubiński krzyk tej ziemi usłyszał. Dowiedział się też, że (jak to ze starych ksiąg przeczytanych przez Lubińskiego wynikało) nie było u Baudów żadnych kapłanów zwanych „kriwe”. Wodzowie plemienni, gdy chcieli lud swój zebrać na jakieś zgromadzenie, wysyłali między nich laskę-krzywulę, „kriwą” po baudyjsku zwaną. Byłby więc Kriwka nie potomkiem kapłanów starodawnych, ale tylko człowiekiem od laski-krzywuli nazwisko swoje wywodzącym. Tedy cztery razy na wszystkie strony świata splunął Bruno Kriwka i odgrażając się Lubińskiemu natychmiast w dalszą drogę swoją dwukółką wyruszył, poszukując zaginionego ludu. Wkrótce też zapomnieli o nim ludzie, bo właśnie Kondek popadł w ogromne kłopoty i choć był bogaty, to przecież prawie przez tydzień nic nie jadł z powodu swego skąpstwa, a także przebiegłości, jak również z winy rodziny Gruber.

Jeszcze w styczniu otrzymał Kondek list od owej rodziny i zapytanie, czy może ona go w lipcu odwiedzić, aby zobaczyć miejsce, skąd się wywodzi. Spodziejając się rozmaitych drogocennych podarunków, Kondek Gruberów do siebie zaprosił, dwie

izby na przyjęcie gości odmalował. A w przeddzień przyjazdu owych gości, aby się wydawać nędzarzem, który wsparcia potrzebuje, wyprowadził w pole pod las swoje dziesięć krów dojnych. Czterdzieści świń i warchlaków przeniósł do pustej chlewni cieśli Sewruka. Rozkazał też żonie swojej, aby wszelkie jadło po kątach starannie ukryła, izby współczucie Gruberów wzbudzić. Jednego tylko nie potrafił Kondek dokonać, a mianowicie zasłonić czymś albo zgoła przenieść w inne miejsce chlewni i nowej obory, którą pobudował na miejscu rozwalającej się szopy, bo gospodarstwo po rodzinie Gruber było jednym z uboższych w wiosce. Na koniec podwórze żółtym piaskiem wysypał, aby miały gdzie parkować zielone i czerwone ople, podobne do tego, który miał Gerard Weber. Nie jadł Kondek przez cały dzień, żonie i córkom jeść zakazał, izby na wyglądzone wyglądały.

Stało się tedy, że w ów dzień wyznaczony zajechał na podwórze Kondka nieduży mikrobus z napisem Plewka – Reissen, co znaczyło, że mikrobus należy do biura niejakiego Plewki. Za kierownicą siedział sam Plewka, gdyż biuro podróży składało się właśnie z niego i jego mikrobusu, a sam Plewka pochodził z niedalekich Rąbit, gdzie jego ojciec przed wojną był żandarmem. Ów Plewka kazał sobie wydrukować kolorowe foldery z napisem „Z Plewką w rodzinne strony” i przeważnie woził ludzi starych, niepiśmiennych, ponieważ za nich załatwiał wszelkie formalności paszportowe, biorąc dodatkową opłatę. Z jego mikrobusu wysiadły trzy tegie i dość stare kobiety, które na ową rodzinę Gruber się składały. Jedna z tych kobiet była panienką, dwie pozostałe brały renty po zmarłych mężach hutnikach, a wszystkie trzy były siostrami i urodziły się w domu, gdzie teraz mieszkał Kondek. Przywiozły Kondkowi wiele kolorowych długopisów i kilka dziecięcych bardzo ładnych śpioszków, ponieważ sądziły, że Kondek jest młodym człowiekiem i posiada małe dzieci. Miały też ze sobą aż osiem bochenków chleba, kilka paczek masła i dużo konserw mięsnych, gdyż nie śmiały żądać od Kondka, aby je także żywił. Przez trzy dni jadł Kondek coraz bardziej czerstwy chleb przywieziony przez siostry Gruber, które mu tłumaczyły, że grzechem jest chleb czerstwy wyrzucać. Ich masło smakowało Kondkowi jak margaryna, a po wieprzowinie z puszek rozboleł go brzuch. Tedy na trzeci dzień zdenerwował się Kondek i, uderzywszy pięścią w stół, kazał swej żonie, aby wydobyła z kątów boczek i słoninę, kielbasę i zapiekłowaną rąbankę, obiad jak się patrzy uwarzyła, chleb rodzinie Gruber rozmoczyła w wodzie i kurom dała. Odebrał swoje świny i warchlaki od cieśli Sewruka, dziesięć dojnych krów na pastwisko bliżej domu przyprowadził. Z czasem się między nimi wszystko dobrze ułożyło, siostry Gruber mogły swych rodziców na cmentarzu w Skiroławkach odnowiły i kamyczkami z jeziora obsypały, Kondkowej pomagały przy gotowaniu obiadu, krowy

doły, świni i warchlaki Kondka oporządzały, a niekiedy owym mikrobusiem z Plewką za kierownicą (bo taką z nim miały umowę) tu i ówdzie wycieczki robiły po dalszej i bliższej okolicy. Przydarzyła się też Kondkowi rzecz dziwna, a mianowicie najmłodszą z sióstr Gruber, imieniem Hildebranda, po mężu Keile, pewnego wieczora we własnej stodole mocno na męski rożen nadział i do syta sobie wygodził, co nie zdarzyło mu się od kilku lat z własną żoną, choć była ona i dużo ładniejsza, i dużo młodsza od owej Hildebrandy Keile. Ale, jak powiadają, co obce i zagraniczne to się wydaje ciekawsze, sposobniejsze i lepsze. Tedy przy najbliższej okazji pochwalił się Kondek znajomym mężczyznom pod sklepem, jakie to ma korzyści z sióstr Gruber, że elektryczną dojarkę oszczędza i także ma męską wygodę. A tak o tym smacznie rozprawił, że stary Erwin Kryszczak poczuł w sobie męską ciekawość ku owym kobietom i niepomny, że mu tylko jeden złoty zęb z górnego dziąsła sterczy, poszedł zaraz do sióstr Gruber i zagadał do nich w ich języku, ponieważ niemal do końca wojny u księcia Reussa na dworze w Trumiejkach służył. Najstarsza z sióstr, Anna, po mężu Traeger, zgodziła się pójść z Kryszczakiem do lasu, aby wielki kamień obejrzyć, na którym wyryty był napis o tym, że przed wieloma laty Najjaśniejszy Pan w tym miejscu wielkiego rogacza ustrzelił. „A czy pan też poluje?” – zapytała go po drodze. „Zdarza mi się – odparł Erwin Kryszczak. – Tylko że w ostatnich latach coraz trudniej mi się ze strzelby złożyć”. Zachichotała owa Anna i zapytała Kryszczaka, czy nie wstyd mu jeszcze polować, skoro już i wnuków się doczekał, bo co do niej, to ona nie ma sobie czego żałować, jako że jest wdową. Odparł jej Kryszczak, iż za przykład zawsze sobie stawia księcia Reussa, a ten był zarazem żonatym i kawalerem, i zakonnikiem, a jak wypił, to nawet starszkom nie przepuszczał i po dworskich korytarzach je gonił. „Jakże to on mógł być i żonatym, i kawalerem, a także zakonnikiem?” – dziwowała się pani Anna. Wyznał jej Kryszczak, że tego nie rozumie, ale po księciu Reussie ma w domu papier listowy z koroną złotą i napisem także złotym, z którego wynika, że księżę był nie tylko księciem, ale także rycerzem Zakonu Kawalerów Maltańskich. Tak więc razem z Kryszczakiem pamiątkowy kamień pani Anna obejrzała, a potem poszli w młodnik i stary Kryszczak kawalerską jazdę na wdowie odbył. Inni próbowali z trzecią z sióstr Gruber, ale ta będąc panienką, nawet w wieku podeszłym namówić się nie dała, co nikomu dziwne się nie zdało, ponieważ pewnych spraw niezwykajna była. Po dziewięciu dniach siostry Gruber zasiadły z Plewką w jego mikrobusie i odjechały ze łzami w oczach, a także popłakiwała i Kondkowa, i córki Kondka, a nawet lży obtarł i chciwy Kondek, mimo że mu jedynie kolorowe długopisy i ładne śpioszki zostały. Potem jedni drwili z Kondka i tych śpioszków, a inni mu zazdrościli męskiej wygody, jaką miał z ową Hildebrandą. Tak to

już bywa w małych wioskach, że nie tylko kłamstwo i prawda, rzeczywistość i fantazja, ale i drwina, i zazdrość bywają ze sobą pomieszane jak rozmaite zielska w kapuśniaku. Zresztą nowe sprawy te starsze kurzem pokryły. Na zaproszenie pani Basieńki, żony pisarza Lubińskiego, przyjechała do niej w gościnę jej dawna koleżanka, panna Bronka, o której nieopatrznie szepnęła komuś pani Basieńka, że w nocnych lokalach pod imieniem Elwiry publicznie się rozbiera i za jedną rozbieraną sześć tysięcy bierze w gotówce; tyle, ile wiejskie kobiety otrzymują za cztery prosiaki. Oburzały się na taką niesprawiedliwość niektóre niewiasty, a i mężczyznom wydało się dziwne, że w miastach dawano tyle pieniędzy tylko za samą rozbieraną, nawet bez możliwości poklepania rozebranej baby. W związku z tym dużo było gadania wśród ludzi – i w sklepie, i przed sklepem – ale nikt dokładnie o sprawie nie mógł się wypowiedzieć, gdyż nie było śmiałka, co zapytałby wprost panią Basieńkę albo zgoła ową pannę Elwirę. Co do tej ostatniej, to przyznawano, że jest ładna, ale nieco jakby za chuda, a tak owego obnażania się nie lubiła, że przez całe dwa tygodnie pobytu w Skiroławkach, mimo upałów, zawsze w spodniach i w bluzce zapiętej pod szyję spacerowała, i nigdy jej nawet nad wodą w kostiumie kąpielowym nie widziano. Inaczej niż pani Turoń, która codziennie w miejsca ustronne acz widoczne chadzała i naga albo półnaga tam leżała, niczyjej już ciekawości nie budząc, ponieważ nawet najgłupszy z tego wnioskuje, że jej za rozbieranie nikt złamanego grosza nie da, z czego wynikało, że się ta kobieta mało ceni w przeciwieństwie do panny Elwiry. Tedy za panią Turoń, gdy szła w skąpym kostiumie przez wioskę nikt się nie oglądał, a za Elwirą, choć była ubrana od stóp do głowy, każdy rad się obejrzał, ukłonił nisko i pozdrowił uprzejmie, ponieważ bardzo honorową się wydawała. Inna sprawa, że tyle pieniędzy żądać za samo rozbieranie się, to jest stanowczo za dużo. Ale słyszało się też od kobiet i dziewcząt, jak na przykład od kulawej Maryny, że ona i za żadne pieniądze publicznie by się nie rozebrała. To samo mówiła i Jaroszowa, a także i Porowa. Ale kobietom tak naprawdę nigdy wierzyć nie można, szczególnie kobietom w Skiroławkach. Do Maryny bowiem ten i ów chodził tylko z półlitrowką, od plotek o Jaroszowej głowa mogła rozboleć, a Porową widziano, jak nago biegła wokół domu, przez co pani Halinka Turlej, sołtys Jonasz Wątruch i doktor Niegłowicz pismo do sądu wniosli, o odebranie jej prawa opieki nad dziećmi. Powiadają jednak ludzie myślący, że w żadnej sprawie nie można być do końca mądrym i prawda o ludziach nigdy nie jest dana jak na talerzu.

O TYM,

CO POWINNA I CZEGO NIE POWINNA ZAWIERAĆ POWIEŚĆ ZBÓJECKA

Na krótko przed przyjazdem panny Elwiry zaprosił do siebie pisarz Nepomucen Maria Lubiński doktora Niegłowicza, aby mu przeczytać fragment swojej powieści zbójcekiej o pięknej Luizie, nauczycielce, która pokochała leśnego stażystę. W swoim czasie z fragmentami tej powieści zapoznał pisarz Porwasza, ale, zauważywszy jego zgorzienie, ponownie zaczął utwór przerabiać i udoskonalać, mimo nieustannych protestów pani Basieńki. Żona pisarza czuła się już zmęczona szyciem sukienek dla wiejskich kobiet i pragnęła, aby mąż wreszcie skończył powieść i otrzymał godziwe honorarium. Lecz pisarz Lubiński raz wstąpiwszy na drogę ku prawdzie, nie chciał z niej już zejść, a droga taka wymaga wyrzeczeń nie tylko ze strony pisarza, ale i jego najbliższych. Czyłował Lubiński zdania swej prozy, szlifował je wciąż zasięgając rady Gottloba Frege, a także nieustannie konfrontując rzeczywistość literacką z otaczającym go życiem. Skoro zostało ustalone, że kochankiem pięknej Luizy miał stać się nie zwykły drwal, ale stażysta leśny – tedy Lubiński zaczął się rozglądać za prototypem owej postaci i znalazł stażystę pod dachem leśniczówki Blesy, gdzie od czerwca przebywał na stażu i zamieszkiwał w pokoiku na piętrze (naprzeciw pokoju pani Halinki) młody inżynier leśnik, pan Andrzej. Tego to człowieka pisarz często zapraszał do siebie, częstował kawą, herbatą, poił koniakiem – i wciąż wypytywał o życie, poglądy oraz marzenia.

Czy stażysta, pan Andrzej, nadawał się na kochanka pięknej Luizy, nauczycielki? Był wysokim, barczystym młodzieńcem o nieco niezgrabnych ruchach. Nos miał duży i czerwony, pokryty wągrami; oczy małe, niebieskie, łagodne. Włosy jasne, długie aż do ramion.

Pani Halinka Turlej twierdziła, że zamiast pana Andrzeja wolałaby gościć pod swym dachem zwykłego dzika z lasu, gdyż do zapachu dziczyzny można przywyknąć, natomiast do zapachu pana Andrzeja nie potrafi się przyzwyczaić. Stażysta, pan Andrzej, odkąd przybył pod dach leśniczówki Blesy, to jest od przeszło miesiąca, nie zdecydował się na zmianę bielizny, niczego sobie nie uprał, ale zawsze chodził w tym samym podkoszulku, czarnych majteczkach gimnastycznych i w wysmarowanym tłuszczem mundurze leśnika-stażysty. Kiedy zdejmował z nóg gumofilce, straszliwa woń przedostawała się przez drzwi jego pokoju i wypełniała całą leśniczówkę. Jego podobieństwo do dzika polegało też na tym, że spał w czymś w rodzaju barłogu, na

starym sienniku i pod brudnym kocem. Stołować się musiał na własny rachunek i własnym sposobem, co najwyżej korzystając z kuchni leśnictwa. Nie chciało mu się jednak gotować obiadów i ograniczał się do tego, co kupił w sklepie wiejskim. A że w tym czasie w sklepie w Skiroławkach były jedynie konserwy rybne w rozmaitej postaci – ryby w oleju i w sosie pomidorowym – stażysta pan Andrzej jadł je na śniadanie, obiad i kolację, przez co rozsiewał wokół siebie woń ryby, jak gdyby pracował nie w żywczyńskich lasach, ale w centrali rybnej. Pani Basieńka, gdy mąż jej zapraszał pana Andrzeja do siebie w celach studyjnych, aż dygotała ze wstrętu i mdliło ją na myśl, aby z takim mężczyzną położyć się do łóżka. Ale przecież piękna Luiza mogła być mniej wrażliwą na zapachy, a także nic nie stało na przeszkodzie, aby w powieści, zauważywszy brudny podkoszulek stażysty, zaproponowała, że go wypierze, jego mundur oczyści z tłustych plam i kto wie, czy w ten sposób nie zrodziłyby się między nimi owa wspaniała miłość. Niestety, pan Andrzej na ogół okazywał kobietom doskonały brak zainteresowania, a nawet w pewnym sensie także i odrobinę wstrętu. Na przykład, zwróciwszy uwagę, że pani Halinka zamyka się na noc przed mężem swoim, leśniczym, zapytał ją, czy nie posiada młodszej siostry, gdyż on także będzie się musiał kiedyś ożenić, a właśnie taki układ między mężem i żoną najlepiej odpowiada jego usposobieniu. Ale pan Andrzej nie znał przecież pięknej Luizy. Być może zobaczywszy ją własnymi oczami zmieniłyby poglądy.

Leśnikiem, jak to sam opowiadał Lubińskiemu, został z przypadku. Po prostu nie dostał się na wymarzone studia farmaceutyczne. Lasu nie lubił i gubił się w nim już po kilku krokach. Wysłany rankiem na zrąb w celu dokonania szacunków brakarskich albo odbioru wykonanej przez robotników zrywki, odnajdywał się nazajutrz rano w zupełnie innej części lasu – wygłodzony i przemarznięty. Czy taki człowiek, umówiwszy się na spotkanie z piękną Luizą w domku myśliwskim koło starej karpiami, trafiłby tam w wyznaczonym terminie albo w ogóle dotarłby na miejscu? To pytanie trapiło Lubińskiego, który dążył nieustannie ku prawdzie. Można było rzecz jasna założyć, że w innych leśnictwach przebywali zupełnie inni stażyści, osobnicy zmieniający często bieliznę, nie chodzący w gumofilcach i nie odżywiający się tylko rybami z puszek. Lecz w pojęciu Lubińskiego podobne założenie sprzyjało powstaniu kolejnej prawdy artystycznej, która mu już kiedyś obrzydła. Należało trzymać się realiów życia – czemu sprzyjała postawa stażysty pana Andrzeja, który, dowiedziawszy się, że będzie bohaterem powieści Lubińskiego, zaakceptował ten pomysł, upierał się przy nim, na wszelkie wątpliwości pisarza znajdował jakąś radę i nawet tak się zżył z myślą o swej miłości do pięknej Luizy, że przychodził do Lubińskiego nie proszony, błagając go,

aby mu jeszcze raz przeczytał o pięknej Luizie. „Obawia się pan, że nie trafię do starej karpiani? – śmiał się z wątpliwości Lubińskiego. – Jest na to rada. Wcześniej zrobię nożem znaki na drzewach i kierując się nimi, zjawię się tam o wyznaczonej porze”.

W ten sposób rozpraszając wątpliwości Lubińskiego, pozwalał mu pan Andrzej tworzyć dalej dzień po dniu jego powieść. Aż w końcu rozdział o namiętym spotkaniu Luizy i stażysty był ponownie gotowy, w nowej wersji, z którą pisarz zapragnął zapoznać doktora, aby usłyszeć jego ocenę. Zaprosił pisarz i pana Andrzeja, który miał bronić swej postaci literackiej, pominął jednak Porwasza, ponieważ pani Basieńka, pamiętna jego krytyki poprzedniej wersji tego samego rozdziału, uznała go za osobę niekompetentną w sprawach nie tylko literatury, ale i życia. „Ten, komu ciągle myje okna gruba Widłągowa – powiedziała o Porwaszu – nie będzie zdolny pojąć tego, co połączyło Luizę i młodego stażystę. Ty Nepomucenie, musisz pamiętać, że nie tworzysz byle czego, ale utwór wzięty z życia, powieść zbójcejką”.

Na tak uroczystą chwilę pewnego wieczoru otworzyła pani Basieńka drzwi swego salonu, gdzie pod ścianami znajdowały się niskie ławy z heblowanych desek, stał potężny stół z grubych bierwion i królował modrzewiowy barek z wysokimi stołkami. Na półce za barem, między wielkimi glinianymi kufkami do piwa, postawił pisarz szklany dzban, wypełniony różową cieczą. Był to napój zwany przez pisarza kłobukiem – mieszanina spirytusu z sokiem pomidorowym i mielonym pieprzem. Zwał z niego każdego, kto odważył się wypić więcej niż jeden pucharek.

Pisarz ubrał się z elegancką fantazją. Stał za barem w białej marynarce i białej koszuli, z fantazyjnie zawiązaną pod szyją szeroką wstążką. Pani Basieńka miała na sobie krótką czarną spódniczkę i białą obcisłą bluzeczkę, na gołych stopach nosiła czarne lakierowane pantofelki. Doktor przybył w welwetowym garniturze, a pan Andrzej – nie da się tego ukryć – znowu ubrał swój poplamiony mundur leśnika.

Stażysta przyjął od pisarza pucharek wypełniony różowawym płynem i rozsiadł się wygodnie na ławie pod ścianą. Doktor zajął miejsce na wysokim stołku przy barze. Zanim pochylił się nad podsunętym mu przez Lubińskiego maszynopisem nowego rozdziału, zwilżył usta płynem z pucharka. Przy doktorze, na drugim wysokim stołku usiadła pani Basieńka, a Lubiński urzędował za barem, gryząc z wolna słone paluszki. Z sufitu, z kilku żarówek umieszczonych misternie na korzeniu sosny, sączyło się na cały salon silne, ale łagodne światło.

– Jestem zdania – odezwała się do doktora pani Basieńka – że Nepomucen w swej prozie popada w skrajności. Raz staje się zbyt ostry i odważny, innym razem zbyt nieśmiały i powściągliwy. A miłość, doktorze, bywa sprawą ludzką.

– Tak jest w istocie – zgodził się z nią Niegłowicz i już chciał zagłębić się w maszynopisie, ale pani Basieńka ciągnęła dalej swoją myśl:

– Czy pamięta pan książkę, którą nam pożyczyła pani Halinka? Niejakiego Puzo, doktorze. Przypomina pan sobie scenę między jednym z bohaterów, imieniem Sonny i jakąś tam panienką? Znam ją na pamięć: „jej dłoń objęła olbrzymi, nabiegły krwią drąg mięśni”. Albo: „chwyciły go potężne zwały jej mięśni”. To była naprawdę powieść zbójcka, doktorze. Aż do tej pory dreszcz mnie przenika, gdy ją wspominam. U Nepomucena nie znajdzie pan podobnie trafnych zdań i to mnie martwi. A swoją drogą ciekawa jestem, czy naprawdę wy, mężczyźni, odnosicie niekiedy wrażenie, że chwytają was potężne zwały mięśni?

– Chi, chi, chi! – zachichotał na ławce stażysta, pan Andrzej.

Doktor stwierdził z żartobliwą powagą:

– Owszem, to się zdarza, pani Basieńko. U niektórych kobiet w chwilach stosunku skurcze mięśni mogą być bardzo silne i nie dotyczą tylko samej pochwy, ale i tułowia, miednicy, kończyn górnych i dolnych, a także występują mimowolne skurcze spastyczne całych grup mięśniowych. Na przykład twarzy, mięśnia mostkowo-obojczykowo-sutkowego...

– Słyszysz, Nepomucenie? – zwróciła uwagę mężowi pani Basieńka. – Tak powinno być w twojej powieści. Skurcze twarzy i mięśnia mostkowo...

– Obojczykowo-sutkowego – dokończył uprzejmie doktor.

– Chi, chi, chi! – zaśmiał się stażysta.

Pani Basieńka westchnęła:

– Ach, te powieści zbójckie...

– Tak – kiwnął głową doktor. – W istocie powieść Mario Puzo jest prawdziwą powieścią zbójcką, gdyż opowiada o dziejach zbójów zwanych w Ameryce gangsterami. Pan Nepomucen pisze natomiast o Luizie nauczycielce i stażystce leśnym, ludziach uczciwych i nie wchodzących w kolizję z prawem.

– Nigdy nie byłem karany sądownie i administracyjne – zaznaczył pan Andrzej ze swego miejsca na ławie pod ścianą.

– Wiem o tym – przytaknął doktor. – I to właśnie tak bardzo utrudnia koledze Lubińskiemu napisanie jego powieści zbójckiej. Jest bowiem oczywiste, że osobnik, który był karany administracyjnie i sądownie, zdolny bywa do takiego zachowania wobec kobiety, że pisarz może puścić wodze fantazji, budzić jego postępowaniem dreszcz grozy i wstrętu u czytelników. Panienska gangstera, w powieści, chwytą dłońią olbrzymi nabiegły krwią drąg mięśni, nikogo to ani nie dziwi, ani nie razi. Ale gdyby

to samo zrobiła młoda samotna nauczycielka, wychowawczyni naszej młodzieży? Albo gdyby podobnie uczyniła szlachetna matrona, która prowadzi rodzinny dom dziecka? Taki opis sprzeczny byłby ze społecznym poczuciem moralności. Jakiś tam lump czy łobuz idzie w powieści na stronę, aby się wysrać, ale człowiek godny szacunku winien w powieści po prostu spełnić potrzebę fizjologiczną. Oto istota trudności, jakie piętrzą się przed powieścią zbójcką naszego przyjaciela.

– Co racja, to racja – kiwnęła swoją główką pani Basieńka. – Panie Andrzeju, niechże pan sobie przypomni: może jednak był pan karany administracyjnie albo sądownie.

– Nie – uparł się stażysta.

– A może patrzył pan beczynnienie, jak ktoś inny kradnie lub robi coś złego? – prawie z błaganem zwrócił się do niego Lubiński.

– Nie.

– Nosi pan w sobie głębokie urazy psychiczne spowodowane w dzieciństwie widokiem starszej siostry, która spółkowała ze swoim narzeczonym? – proponował dalej doktor.

– Nie miałem starszej siostry. Ale widziałem, jak to robili rodzice – powiedział stażysta.

Nepomucen Maria Lubiński odetchnął z ulgą.

– Wspomnę o tym w odpowiednim miejscu. To może tłumaczyć zachowanie stażysty wobec pięknej Luizy w domku myśliwskim.

Doktor Niegłowicz nareszcie ze spokojem zabrał się do lektury maszynopisu nowego rozdziału książki Lubińskiego. W tym czasie pisarz napełnił różowym płynem opróżniony przez stażystę pucharek, a pani Basieńka wypila dość duży łyceczek i w taki sposób usadowiła się na wysokim krzeselku, aby pan Andrzej, choć budził w niej niechęć i wstręt, mógł widzieć jej krągłe kolanka, a w chwilach, kiedy zakładała nogę na nogę i lekko unosiła spódniczkę, dojrzeć zgrabne uda. Uwielbiała ów nagły niepokój w oczach i ruchach mężczyzn skazanych na podobne widoki. Ale teraz – jak o tym sama siebie przekonywała – czyniła to jedynie po to, aby pomóc mężowi. Może w panu Andrzeju obudzi się jakaś dotąd nieznaną osobowość? Może zdradzi się, że w przeszłości nie wszystko było w nim aż tak kryształowo czyste.

Pisarz nerwowo chrupał solone paluszki, a w miarę jak doktor odwracał kartki maszynopisu, stawał się coraz bardziej niespokojny. Wreszcie nie potrafił się powstrzymać, aby nie wychylić niemal do dna swojego pucharka z mocnym trunkiem.

Niegłowicz w końcu odłożył maszynopis i, zamyśliwszy się odrobinę, oświadczył:

– To piękny rozdział, drogi przyjacielu Nepomucenie. Przy pomocy wspaniałych

zdań, które układają się jak muzyczne frazy, daje pan głęboki i przejmujący opis sceny miłosnej między Luizą i stażystą. Czytelnicy będą mieli wyrafinowaną przyjemność z lektury tego fragmentu.

Lubiński trochę poczerwieniał od komplementów doktora. Pani Basieńka przełożyła nogę na nogę i wyżej uniosła rąbek spódniczki, na chwilę zatrzymując ją nieco w górze, aby pan Andrzej mógł napatrzeć się jej udom. „Należy mu się za to, że pomógł mężowi” – pomyślała.

– I naprawdę nie ma pan żadnych zastrzeżeń? = dopytywał się Lubiński. – Nawet najdrobniejszych?

– Owszem – doktor spróbował różowego płynu z pucharka. – Ale są to zastrzeżenia raczej typu fachowego. Ot, na przykład, w momencie, gdy młody stażysta, rozpiąwszy bluzkę pięknej Luizy, dobiera się do jej biustu, pisze pan: „A potem chwycił wargami skurczone chutliwie brodawki jej piersi”. To nie jest tak przyjacielu. Kurczyć się mogą mięśnie pochwy i inne, o czym już wspominałem. Natomiast co tyczy brodawek piersi u podnieconej kobiety następuje zjawisko odwrotne: erekcja czyli powiększenie. I tak przy pełnej erekcji brodawki mogą się zwiększać od zero koma pięć do jednego centymetra w wymiarze podłużnym i od zero koma dwadzieścia pięć do zero koma pięć centymetra w wymiarze poprzecznym u podstawy. U kobiety, która nie karmiła piersią, a taką osobą jest Luiza, sutek powiększa się zazwyczaj o jedną piątą lub jedną czwartą swej pierwotnej objętości. Należy więc napisać, że Luiza miała sutki chutliwie powiększone a nie „chutliwie skurczone”.

– Słyszysz, Nepomucenie? – zatriumfowała pani Basieńka. – Wiele razy ci mówiłam, abys zwracał baczniejszą uwagę na to, co się ze mną dzieje w intymnych chwilach, a nie szybował myślami gdzieś bardzo daleko.

– Chi, chi, chi! – zachichotał pan Andrzej. – Pierwszy raz w życiu dowiaduję się czegoś takiego. Od zero koma pięć do jednego centymetra w wymiarze podłużnym i od... ile to, doktorze?

– Od zero koma dwadzieścia pięć do zero koma pięć centymetra w wymiarze poprzecznym u podstawy – mruknął doktor.

– Straszny z pana świntuch, doktorze – stwierdził stażysta, który zaczął mówić coraz bardziej bełkotliwie. – Nigdy nie słyszałem czegoś tak świńskiego.

– Niech pan się nie odzywa, panie Andrzeju – skarciła go pani Basieńka. – Wszyscy wiedzą, że gubi się pan w lesie już po trzech krokach. Wątpię, czy w ogóle trafiłby pan na spotkanie z tą Luizą, lepiej więc jeśli powstrzyma pan swoje uwagi.

– Tak – zgodził się z nią Niegłowicz i dodał z żartobliwą powagą: – Tym bardziej że

mam jeszcze jedno spostrzeżenie. Napisał pan, Nepomucenie, że oczekujący na Luizę stażysta usłyszał w ciemnościach kasznięcie, które oznaczało zbliżanie się Luizy. Dlaczego ona kasznęła i co to był za kaszel? Człowiek bowiem, panie Nepomucenie, nie kaszle ot tak sobie. Czy mamy do czynienia z kasznięciem „suchym” czy „wilgotnym”? Czy było to kasznięcie pochodzenia czynnościowego, wywołanego nerwicą? Kasznięcie może być oznaką zapalenia górnych dróg oddechowych, guza śródpiersia, przewlekłego bronchitu, kłopotów z tchawicą. Nie wspomina pan w swojej powieści, aby Luiza nałogowo paliła papierosy. Nie nadmienia pan, aby była osobą z nerwicą. Czemu więc kasznęła? Bronchit, początek zapalenia gardła? Kto wie, czy w następnym rozdziale nie należy Luizę położyć do łóżka na kilka dni i poprosić do niej lekarza. Zapalenie oskrzeli może być pochodzenia wirusowego lub bakteryjnego. Być może już nazajutrz po miłosnej scenie z Luizą źle poczuł się także młody człowiek i również poszedł do łóżka, co na jakiś czas przerwało między nimi kontakty zarówno erotyczne jak i towarzyskie. Taka sprawa potrafi skomplikować dalszą akcję całej powieści.

– Do diabła z kasznięciem – oświadczył Lubiński. – Po prostu wyrzucę je i napiszę, że usłyszał szmer żwiru pod butami nadchodzącej Luizy. Zadowala to pana, doktorze?

– W całej pełni – stwierdził doktor. – Natomiast inna sprawa budzi wciąż mój niepokój. Napisał pan, że Luiza przylgnęła policzkiem do owłosionej piersi stażysty i usłyszała bicie jego serca oraz szmer oddechu. Interesuje mnie, jak biło serce stażysty oraz jakiego rodzaju był jego oddech. Trzeba bowiem panu wiedzieć, przyjacielu, że szmer ów może mieć charakter pęcherzykowy prawidłowy i nieprawidłowy, zaostrzony lub szorstki, osłabiony, lub przerywany. Mogły to być również rżenia wilgotne, a nawet trzeszczenia dźwięczne lub przelewające się. Co dotyczy bicia serca...

– Do diabła z biciem serca! Do diabła ze szmerem oddechu! – rozgniewał się Lubiński. – Miałem napisać, że przylgnąwszy policzkiem do piersi stażysty usłyszała dźwięczne trzeszczenia lub szmer o charakterze pęcherzykowym prawidłowym?

– Nie wiem, jak powinien postąpić pisarz – odparł doktor – natomiast faktem jest, że kwestia ludzkiego oddychania jest zagadnieniem niezwykle szerokim i ważkim. Każdy z nas oddycha, ale przecież nie w taki sam sposób. Inaczej oddychają kobiety, a inaczej mężczyźni. Różny bywa rodzaj szmerów oddechowych, ich wielkość, obfitość, stosunek wdechu do wydechu. W byle jakiej powieści bohater może sobie byle jak oddychać. Z jego klatki piersiowej mogą dochodzić bliżej nieokreślone szmery. Ale jeśli pisarz chce zaprezentować nam bohaterów z krwi i kości, a raczej utwierdzić nas w przekonaniu, że mamy do czynienia z ludźmi z krwi i kości, to musimy wiedzieć,

jak oddychają i jak bije ich serce, co jedzą oraz jak jedzą. Gotowi bowiem będziemy przypuszczać, że odżywiają się trawą, nie mają płuc ani serca. Zaprezentuje pan nam ludzkie atrapy, a nie żywych osobników.

– Chi, chi, chi! – zaśmiał się cicho stażysta, a potem czknął głośno.

– Do diabła – mruknął Lubiński. – Wkrótce dojdzie do tego, że bohater powieści nie będzie mógł sobie nawet pierdnąć, żeby ktoś nie zapytał autora: jakiego rodzaju było to pierdnięcie. Głośne czy ciche, ostentacyjne czy mimowolne.

– A tak, tak przyjacielu – potwierdził ten sąd Niegłowicz z żartobliwą powagą. – U wielkich pisarzy nawet zwykłe pierdnięcie miało ogromne i brzemiennie w skutkach znaczenie. Mogło wskazywać, że bohater ma kłopoty z układem trawiennym lub jest osobą niekulturalną. Niekiedy chciał on tym faktem zademonstrować swoje lekceważenie dla towarzystwa, pogardę dla ogólnie przyjętych norm obyczajowych. Głośne pierdnięcie w obecności króla i królowej mogło niekiedy nawet zaprowadzić na szafot.

– To prawda, Nepomucenie – stwierdziła pani Basieńka. – Zwróć uwagę na pana Turonia, który tu co roku przyjeżdża na wczasy. Jak brzydko postępuje on w towarzystwie swej żony, choć jest człowiekiem kulturalnym. On to czyni po to, aby okazać jej swoją pogardę. Czy myślisz, że gdyby coś takiego zrobił stażysta w domku myśliwskim, piękna Luiza z taką samą ochotą rzuciłaby się w jego ramiona?

Lubiński czuł w głowie ogromny zamęt.

– Tak, tak, oczywiście, macie słuszność – szarpał swoją jasną brodę – ale literatura podlega zupełnie swoistym prawom! Jest ona w pewnym sensie niejako poza prawem natury czy prawdami rycia.

– Ale nie powieść zbójcka, Nepomucenie – zaznaczyła Basieńka. – Zresztą sam przecież tyle razy mi mówiłeś, że chcesz w niej przedstawić prawdę, a nie fantazję literacką.

Stażysta pan Andrzej głośno chrapał na ławie, wsparty plecami o ścianę. Pani Basieńka nie czuła się już w obowiązku demonstrowania mu kolan i ud. Przekreśliła więc na stołku swój kuperek, zwracając się twarzą ku doktorowi: Z uznaniem odnosiła się do jego uwag. Świadczyły one o tym, że doktor naprawdę znał życie, a także kobiety. On wiedział nawet, że u kobiety gdy jest podniecona sutki powiększają się od zero koma pięć do jednego centymetra w wymiarze podłużnym i od zero koma dwadzieścia pięć do zero koma pięć centymetra w wymiarze poprzecznym u podstawy. Potężna była wiedza doktora o ciele kobiety i jakże cudowny musiał być sposób, w jaki upokarzał on kobietę! Jaka szkoda, że Nepomucen nigdy o tę sprawę nie spytał doktora, ale skazywał

ją, Basieńkę, na rozmaite domysły, na fantazję nieokiełznaną i ogromnie podniecającą.

I gdy o tym w tej chwili myślała, raptem stwierdziła, że brodawki jej piersi, obciążnięte ciasno białą bluzeczką, sterczą dziwnie ostro i wyraźnie zaznaczają się przez materiał. Zerknęła na doktora, który to zauważył, zawstydzona się i łokciami wsparła o barek, zasłaniając biust.

Stażysta obudził się. Najpierw rozejrzał się nieprzytomnie po salonie pisarza, potem raptownie wstał i oświadczył:

– Jest mi niedobrze. Idę do leśniczówki.

I wyszedł z domu pisarza na chwiejących się nogach. Na dworze nieco otrzeźwiło go chłodne powietrze nocy. Ale jak zwykle pomylił kierunki. Zamiast ku leśniczówce, ruszył w odwrotną stronę – do wsi. Szedł zataczając się, a w głowie jego uległo pomieszaniu wszystko co sam widział i przeżył, i to co przeżył jako stażysta z powieści Lubińskiego. Widział siebie, gdy rozpina bluzeczkę na piersiach pięknej Luizy, widział kolanka pani Basieńki i jej uda. Jak nigdy dotąd pragnął kobiety i zarazem przeżywał to, co stażysta w domku myśliwskim.

Koło szkoły zatoczył się na drzewo, uderzył boleśnie w ramię i na krótko otrzeźwiał. Zorientował się, że znajduje się daleko od leśniczówki Blesy, a w oknie szkoły pali się światło w mieszkaniu panny Luizy; nauczycielki. Zapomniał, że jest to stara, samotna kobieta. I u jego myślach tkwiła tamta, piękna Luiza z domku myśliwskiego koło starej karpniarni. Imiona tych dwóch kobiet nakładały się na siebie w jego wyobraźni jak człowiek na swój cień.

– Luizo, piękna Luizo! Wyjdź do mnie – krzyknął pan Andrzej w stronę oświetlonego okna.

W oknie zgasło natychmiast światło, a za szybą pokazała się biała plama twarzy. Pani Luiza z trwogą spoglądała w ciemność nocną; widziała na szosie jakiegoś młodego mężczyznę, który miotał się tam i wykrzykiwał: „Luizo, piękna Luizo”. A potem legł na poboczu szosy w miękkiej trawie i znieruchomiał w pijackim śnie. Stara kobieta odeszła od okna, rozebrała się nie zapalając światła. Długo nie mogła usnąć. Leżąc na łóżku w chłodnej pościeli zastanawiała się, czemu to ów człowiek zjawił się przed jej oknem i wołał przejmująco: „Luizo, piękna Luizo, wyjdź do mnie”. Odezwało się w niej jakieś bardzo dalekie wspomnienie. Pod powiekami zjawiły się łzy. Ale już po chwili łzy obeschły, nienawiść zacisnęła usta w wąską szparkę. „On szedł chyba do młyna, gdzie dziś w nocy będą z sobą żyli jak zwierzęta – myślała. – Wszyscy z wszystkimi. Od lat byłam pewna, że tak się u nas dzieje. Jak zwierzęta. Nigdy tam nie poszłam i nie pójde. Nie mogę sobie pozwolić, żeby ludzie źle o mnie mówili”.

OPOWIEŚĆ O RAJU UTRACONYM

Nurtowała proboszcza myśl o dwóch dziewczynach zabitych w lesie koło Skirolawek, w rozmowach z doktorem Niegłowiczem i pisarzem Lubińskim niejednokrotnie powracał do tej sprawy. Podobnie jak i tamci miał przeczucie, że okrutny morderca znowu poszuka kolejnej ofiary. Zgadzał się z poglądem Niegłowicza, że zabójca nie jest człowiekiem, który swój instynkt potrafi zaspokoić w sposób normalny, ale napiętnowany został przedziwnym defektem, który sprawił – jak to wskazywał dobitnie przypadek Haneczki – że jego narząd płciowy nie był posłuszny jego woli, stąd nienawiść i sadyzm w stosunku do ofiar. Kłopotalo się też serce proboszcza z powodu wieści, jakie do niego zewsząd napływały, także i podczas spowiedzi, że stado wiernych żyło w sposób urągający moralności, w grzechach strasznych, nie wyłączając najgorszych: to jest kazirodztwa i sodomii. O ile jednak doktor szukał wyjaśnienia owych kwestii w księgach medycznych lub u filozofów, a pisarz Lubiński w „*Pismach semantycznych*” Gottloba Frege, to proboszcz Mizerera udał się po poradę do swego ukochanego świętego Augustyna, autora fundamentalnego dzieła „O państwie Bożym”.

Dlatego w niedzielę na sumie wygłosił kazanie o raj utraconym, jedno z napiętniejszych, jakie kiedykolwiek słyszano w tych stronach.

– Zastanawiam się często – tak zaczął Mizerera swoje kazanie – czemu to tyłu z was łaskę wiary w sobie traci i grzechami brzydkimi na potępienie wiekuiste pragnie się skazać. Czemu to wielu z was raczej grzech wybiera niż cnotę, przez co traci prawo, aby po śmierci wejść do owego raj utraconego, który otworzy swe bramy tylko przed ludźmi o czystym sercu i dobrych uczynkach?

Powtarzał Mizerera swoje pytania, coraz głośniejsz i dobitniej, i do takich dochodził wniosków:

– Wabi was grzech, bo wydaje się ciekawszy i bardziej pociągający niż raj utracony. Bo grzech przedstawia się wam jako coś pięknego, a raj utracony jako miejsce najnudniejsze pod słońcem. Widzicie wy ów raj jako ogromną łąkę zieloną, po której płyną strumyki czystej wody, biją kryształowe źródła, wokoło rozchodzi się nabożny śpiew aniołów, a wybrańcy Boga w białych szatach tylko modły nieustannie odprawiają, spacerując jeden za drugim jak w więzieniu. I ani w tym raj utraconym nie ma knajpy, gdzie można by wypić kieliszek wódki, ani ładnej dziewczyny, którą można by obłąpić. Nawet telewizji tam nie ma. Nic, jeno ludzie w białych szatach aż do ziemi. Nic, jeno granie na harfach i lutniach oraz wachanie kwiatków. Nic, jeno poważne rozmowy. Ani

żarciku, ani wesołego śpiewu, ani radosnego tańcowania, ponieważ nie godzi się nic takiego czynić przed obliczem Pana Naszego. Tedy niejednemu piekło wydaje się mniej straszne, bo tam w kotle ze smołą będzie skwierczał z jakąś gołą jawnogrzesznicą, napatrzy się do syta sprośności, diabły zachęcać go będą, aby grzeszył do woli, nurzał się w lubieżności i czynił zło bez końca.

Ludzie zebrani w kościele ostrożnie kiwali głowami, że zgadzają się ze słowami proboszcza. Rozglądali się także po ścianach kościoła, gdzie wisiały obrazy przedstawiające życie w raju. Widzieli na tych obrazach szmaragdową łąkę, aniołów grających na harfach, i tych, co dostąpili szczęścia przebywania z Panem w wiecznej szczęśliwości, ubranych w białe szaty, które kryły kształty ciała, tak że trudno było odróżnić mężczyznę od kobiety. Ludzie ci chodzili po łące ze złożonymi nabożnie rękami, a między nimi jeszcze godniej kroczyli tacy, co mieli złotą aureolę nad głową. Nawet w najmniejszym kątku obrazu nie dostrzegało się żadnej budowli przypominającej restaurację albo dom przeznaczony do tańców. Ludzie bali się śmierci, tęsknili za życiem wiecznym, lecz w rzeczy samej niejednego przerażała myśl, aby całą wieczność spędzać na owej łące zielonej, w białej szacie i z harfą w ręku. Inaczej przecież było w piekle – dwa obrazy przedstawiające piekło także wisiały w kościele w Trumiejkach. W pobliżu tych obrazów nie chciała się modlić żadna pobożna starucha, gdyż co na nie spojrzała, wstręt ją natychmiast ogarniał, strach ucapiał za serce i zarazem jakaś dziwna błogość przenikała, którą trzeba było przewyciężać myślą nabożną, zwróceniem oczu na obrazy raj utraconego. Widziało się bowiem w piekle czarnych gołych mężczyzn z rogami i ogromnymi narządami płciowymi. Kłuli widłami niewiasty w gołe pośladki; a one, bezwstydnie obnażone, usta otwierały do krzyku przerażenia czy też rozkoszy. Byli tam nadzy mężczyźni z ogromnymi torsami i węzłami mięśni, którzy do krwi tłukli kańczugami gołe pośladki niewiast i gołe pośladki mężczyzn, polewali ich gorącą smołą, torturowani zaś szczyrzyli zęby w jakimś straszliwym uśmiechu. Bezwstydne to były widoki, czemu się nikt nie dziwił, gdyż do piekła trafiać mieli właśnie bezwstydnicy i tam na wieczne tortury zostali skazani. Ale przecież, gdy się tak ktoś dokładnie przyjrzał owym piekielnym obrazom, dostrzegał kielich wina, i gorzały, który miał symbolizować, że do piekła trafiają opoje i pijacy, zaś nagość owej rzeszy w piekle świadczyć miała, że przez bezwstyd nagości i lubieżność także droga do piekła prowadzi. Piękny był raj utracony – z łąką zieloną i kwiatami, ale wystarczyło raz spojrzeć na rajski widok i po chwili obojętniał. Natomiast widok piekła miał w sobie coś pociągającego. Kobiety dziwowały się wielkością diabelskich narządów płciowych, a mężczyźni ogromnym biustom niewieścim. Nic tedy dziwnego,

że podrastające dziewczyny i młodziankowe właśnie koło owych piekielnych obrazów woleli mszy słuchać, unikając miejsca, gdzie widniały obrazy przedstawiające raj.

Wiedział dobrze proboszcz, co czują jego wierni, przypatrując się rozwieszonym w kościele obrazom, tedy tak do nich przemówił w ową niedzielę:

– Powiadam wam, że głupcem był ten, co owe obrazy wymalował, przedstawiające na nich raj utracony i straszne piekło. Jeśli do tej pory owych obrazów nie zdjąłem, to tylko dlatego, że innych nie posiadam, a ściany kościoła nie mogą świecić golizną. Powiadam wam, że głupcem był ten malarz, bo i niby skąd mógł wiedzieć, jak naprawdę wygląda raj utracony albo piekło, skoro ani jednego, ani drugiego na własne oczy nie oglądał? Ale przecież byli na świecie ludzie, którym Pan Bóg nasz umożliwił spojrzenie do rajy utraconego poprzez wizje, jakie przeżywali albo nawet na krótką chwilę bezpośrednio mogli tam wstąpić. Do tych nielicznych osób należał święty Augustyn, o którym często wam wspominam, gdyż jest to mój ukochany święty. Pozwólcie więc, że i tym razem odwołam się do jego świadectwa. Jak sądzicie, co płynie owymi strumykami przez raj utracony? Co bije ze źródeł w rajy utraconym? Nie, nie czysta, kryniczna woda, ale specjalny trunek, zwany ambrozją. I każdy, którego suszy albo go dręczy pragnienie, może sobie do woli kubeczkem sięgnąć po ową ambrozję i wypić tyle, ile zechce. A jest to napój niezwykły, bo nie tylko, że gasi pragnienie, ale ze starca czyni młodzieńca, ze staruchy piękną kobietę, radość wprowadza do serca i sił ogromnych dodaje. Nikomu na ziemi nie udało się wyprodukować takiego trunku, żeby nie upijał, ale upajał, żeby po nim głowa nie bolała i język nie plątał się, ale ciągła radość w duszy ludzkiej pozostawała, ciekawość mężczyzn budziła się ku kobietom, a u kobiet ciekawość do mężczyzn. Po co knajpy, po co restauracje i gospody ludowe, gdzie na stołach drzemią pijacy, słyszy się kłatwy i złorzeczenia, a nierzadko do bójek dochodzi, skoro w rajy utraconym strumykami płynie ambrozja; owa ambrozja bije ze źródeł specjalnych i każdy bez pieniędzy może sobie wypić jej tyle, ile tylko zapragnie. I tak kazał dalej proboszcz Mizerera:

– Wspomniałem tu o ciekawości, jaką w rajy utraconym będzie miał mężczyzna ku niewieście, a niewiasta ku mężczyźnie. Inna to będzie, rzecz jasna, ciekawość niż ta, która na Ziemi bywa, to jest pozbawiona grzesznej lubieżności. Ale ku temu samemu celowi ma ona służyć, to jest ku zbliżeniu mężczyzny do kobiety, a kobiety do mężczyzny. Bo mylicie się sądząc, że wasze członki rodne nie będą wam już potrzebne w rajy utraconym, że nie będziecie ich tam używać. Przeciwnie, właśnie tam zaczniesz się z nich czynić właściwy użytek, ile razy zechcecie, do woli, do syta, ale bez grzechu lubieżności. Powiada bowiem święty Augustyn, że nie ma żadnych powodów, aby przypuszczać, że

ludzie w raju rozmnażaliby się w inny sposób niż teraz na Ziemi, to jest przy pomocy rodnych członków. Ale istnieje pewna bardzo istotna różnica między tymi, którzy żyją na Ziemi, a tymi, którzy byłiby w raju, albo znajdą się kiedyś w raju. Obecnie dla zblżenia mężczyzny do kobiety nie wystarczy tylko dobra wola mężczyzny, ale potrzebna jest i grzeszna lubieżność, która członek męski czyni właściwym i zdolnym do działania. W raju zaś utraconym to nie było potrzebne: wystarczała sama tylko dobra wola. Pisze święty Augustyn w księdze czternastej, rozdziale dwudziestym czwartym: „Zasiewałby więc potomstwo mężczyzna, a przyjmowałaby posiew niewiasta, posługując się, kiedy by i o ile by zachodziła potrzeba, rodnyimi członkami, pobudzonymi przez wolę, a nie podnieconymi przez lubieżność. Bo przecie wedle uznania poruszamy nie tylko takimi członkami, które mają sztywne kości i przedzielone są stawami, jak na przykład ręce, nogi, palce, lecz również takimi, które oddano we władanie gibkich nerwów”. Nie ma więc żadnych powodów ku temu – stwierdza dalej święty Augustyn – aby mniemać, że członek męski nie mógłby być posłuszny woli mężczyzny tak samo jak usta albo język.

I mówił dalej Mizerera:

– Pięknie, a nawet cudownie pod tym względem miało być w raju. Ale Ewa, która posłuchała Szatana, spowodowała, że raj ten utraciliśmy i odzyskamy go dopiero przez wiarę i dobre uczynki. Dlatego obecnie niejeden z was, szczególnie starszy wiekiem mężczyzna, bezradnie leży obok swej niewiasty, która chciałaby przyjąć jego posiew. Na próżno wysiła swoją wolę, na próżno chce zaspokoić jej żądanie, przez co grzech cudzołóstwa się do jego domu zakrada. W takiej chwili niechże ów mężczyzna pomyśli o raju utraconym, niechaj przez wiarę i dobre uczynki postara się tam dostać, gdzie do posiewu jego nasienia wystarczy mu dobra wola. Niechajże i owa niewiasta, wobec której mąż nie może spełnić swej powinności, pomyśli także o raju utraconym, stara się do niego dostać przez wiarę i dobre uczynki, gdyż tam będzie otrzymywać posiew męski, jak mówi święty Augustyn, kiedy by i o ile by zachodziła tego potrzeba. Zdarza się też, że i młody mężczyzna miewa w tych sprawach pewne kłopoty, na próżno wysiła swoją wolę, aby sprostać męskiemu zadaniu. Nie powinien wówczas bluźnić przeciw Bogu, mścić się na niewiastach za ich potrzeby przez czyny okrutne, ale niechaj i on także pomyśli o raju utraconym, do którego wejść może przez wiarę i dobre uczynki. Tam bowiem będzie czynił te sprawy ku własnemu i niewiasty zadowoleniu, tylko przy pomocy dobrej woli, to znaczy „kiedy by i o ile by zachodziła ku temu potrzeba”. Wołam więc do was wielkim głosem: W waszych codziennych kłopotach zwracajcie się myślą ku Panu, myślcie o raju utraconym, o tym, aby został on przed wami na powrót otwarty, albowiem czeka tam na was sama radość i samo szczęście! Amen.

Dobre i mądre były słowa proboszcza Mizerery, jak deszcz wiosenny spadły na złąknioną rosy ziemię. Niejeden mężczyzna i niejedna niewiasta znaleźli w jego słowach pociechę w swych nocnych kłopotach i pokrzepiali się myślą, że w raj u odzyskanym życie ich zupełnie się odmieni. Ciekawiło ludzi, czy na kazanie Mizerery przyszedł i ów straszny zbrodniarz, czy odczuwał skruchę, a także, czy obudził w sobie nadzieję. Ogólnie wątpiono jednak o tym, ponieważ już rozeszła się między ludźmi wieść, że był to człowiek obcy, najpewniej z zagranicy.

Jedna była bezsporna i dowodna korzyść z kazania Mizerery. Rada kościelna postanowiła zdjąć obrazy raj u i piekła ze ścian kościoła i zebrać dodatkową sumę na zakup innych obrazów świętych, a także zamówić u jakiegoś malarza obraz przedstawiający świętego Augustyna, który ludziom z parafii Trumiejki przywrócił chęć, aby znaleźć się w raj u utraconym.

Gdzie należało szukać owego malarza, który podjąłby się wykonania tak ważnej pracy? I ile też taki malarz w dalekim mieście zażyczyłby sobie za obraz dla kościoła w skromnej i ubogiej parafii Trumiejki?

Zwrócono się w tej sprawie do Bogumiła Porwasza w Skiroławkach, który ukończył Akademię Sztuk Pięknych i – o czym było wiadomo – sprzedawał swoje obrazy nawet w Paryżu u barona nazwiskiem Abendteuer. Porwaz długo zwlekał z odpowiedzią na propozycję rady kościelnej. Aż wreszcie, zobaczywszy w dłoni Kondka, przedstawiciela rady kościelnej, kwotę dziesięciu tysięcy złotych w formie zaliczki za obraz – pieniądze i propozycje przyjął ku ogólnemu zadowoleniu. Co tu bowiem ukrywać – nie ma to jak człowiek tutejszy, a nie jakiś obcy, który może nawet i niewiele wie o świętym Augustynie i jego zasługach dla parafii Trumiejki.

A jednak, gdy tylko zaliczka za obraz przeszła z ręki Kondka do dłoni Porwasza, w domu Kondka zeszło się kilku pobożnych gospodarzy z okolicznych wiosek i zaczęło deliberować, czy Kondek dobrze uczynił, ponieważ malarz Porwaz mówi o sobie, że jest ateistą.

– Gdyby był innej wiary, mógłby święty obraz malować, bo ludzie innej wiary bywają porządnymi ludźmi – twierdził gruby Lejca z przysiółka Liksajny. – Mógłby też taki obraz malować, gdyby był niewierzący. Wielu jest bowiem u nas ludzi niewierzących, choćby pisarz Lubiński albo leśniczy Turlej, ale to porządni ludzie. Doktor Niegłowicz zaś, choć w różnych kościołach się modli i raz w Boga wierzy, a raz w niego nie wierzy, też jest jednak porządnym człowiekiem. Nie powinno jednak tak być, żeby święty obraz malował ateista.

– Ateista lub niewierzący to jedno i to samo. Dwa słowa, ale jedno znaczenie mają

– upierał się Kondek.

– Nie może to być prawdą – przeczył Lejca. – Bo gdyby było prawdą, mówilby o sobie pan Porwasz, że jest niewierzącym, a on rozgłasza, że jest ateistą. Niewierzący – to taki człowiek, który w Boga nie wierzy, ale może w niego uwierzyć. Ateistę zaś nic do Boga nie przekona i tym się jeden różni od drugiego.

Długo trwał między nimi spór, aż wreszcie udali się po poradę do proboszcza Mizerery.

– Kiepska sprawa wyszła z tym świętym obrazem, proboszczu – oświadczył Kondek. – Daliśmy obraz do roboty panu Porwaszowi, który jest ateistą. Co teraz będzie? Czy ateista może być porządnym człowiekiem i obraz wykonać jak należy?

Zamyślił się proboszcz Mizerera i tak istotę rzeczy wyłuszczył:

– Dobry obraz zależy od talentu malarza. Pan Bóg zaś rozdziela talenty tak między wierzących jak i ateistów. Ateista też może być porządnym człowiekiem, a dlaczego, tego nikt nie wie, tylko sam Pan Bóg. Wam zaś nie wolno dociekać wyroków boskich. Jeśli zaś Porwasz przyjął obraz święty do malowania, to nie jest on aż tak wielkim ateistą, za jakiego się uważa. Co nam przyjdzie z tego, że obraz święty namaluje jakiś człowiek, który trzy razy na dzień się modli, jeśli mu Pan Bóg talentu poskąpił? Czy nie są to święte słowa, że „po czynach ich poznacie ich?” Tak więc obraz będziemy osądzać, a po owym obrazie człowieka, który go namalował. Wtedy powiemy, czy to porządny człowiek, czy nieporządny.

Odeszli do swych domów ze spokojnymi sumieniami i między sobą już na ten temat więcej nie rozmawiali. Tu i ówdzie po wioskach rozlegały się jeszcze przez jakiś czas głosy, że Porwasz samej zaliczki wziął aż dziesięć tysięcy, podczas gdy za obraz z trzciniami nad jeziorem i z Kłobukiem dostał od doktora tylko sześć tysięcy, ale, jak mówili rozsądni ludzie, co innego malować jakieś tam zwykłe trzciny, choćby z Kłobukiem, a zupełnie co innego – przedstawiać wizerunek świętego Augustyna.

O TYM, ŻE CZŁOWIEK NAJCHĘTNIEJ UNIKA PRAWDY O SOBIE I SWOICH UPODOBANIACH

Upał położył swą niewidzialną dłoń na ziemi i wodzie. Jezioro było nieruchome. Nawet najmniejszy szkwalik nie znaczył falistej dróżki po jego gładkiej i martwej tafli.

Powietrze nad powierzchnią wody zdawało się gęścić od skwaru tak, że prawie można było je krajać nożem na przezroczyste płyty. Kipiąca wciąż zieleń brzegów – trzciny, krzewów, krzaków i lasów – po kilku upalnych dniach straciła seledynowy odcień i stawała się coraz ciemniejsza, aż prawie czarna. Skwar drzemał w puszystych łąkach, drżał nad asfaltem szosy, nad czerwonymi dachówkami domów, przeciągał się leniwie na leśnych polanach. W struchlałej od skweru ciszy dochodziło do wsi tylko żałosne porykiwanie bydła na pastwiskach i krzyk mew biesiadujących wokół Czaplej Wyspy. Zbielałe od żaru słońce przez wiele godzin wisiało na niebie, groźne i bezlitosne; w cieniu lasów bukowych namnożyło się gzów i baków ogromnych, które wyganiały każdego, kto by szukał odrobiny ochłody. Dopiero zmrok przynosił ulgę ludziom i drzewom, noc zamykała drzwi buchającego żarem pieca, ale rankiem na łąkach próżno szukano rosy. Szczerniały pędy ziemniaków na polach, jakby w sen zapadły i ku ziemi się skłoniły źdźbła zbóż rozmaitych. Otto Szulc przepowiadał suszę i nieurodzaj.

W taki to dzień popołudniową porą, na zacienionym skrawku tarasu Lubińskiego rozsiedli się w leżakach: Lubiński, Niegłowicz i Porwasz, a pani Basieńka na turystyczny stoliczek stawiała oszronione szklanki ze słabym winem porzeczkowym.

Z tarasu widziało się martwe od żaru jezioro i przy brzegu nieruchomy biały jacht pisarza, pogrążony w śnie o dalekich podróżach. Z miejsca, gdzie siedział Porwasz, widziało się też prześwieconą popołudniowym słońcem białą sukienkę pani Basieńki, która, wsparta pośladkami o drewnianą poręcz tarasu, uśmiechała się lekko do tych trzech pięknych mężczyzn. Nie nosiła haleczki i stała przed Porwaszem jak gdyby całkiem naga, z kolumnami wysmukłych ud rozchylonych w lekkim rozkroku. A tam, gdzie uda się zbiegały, domyślać się on mógł rzeczy pięknej i apetycznej, tedy patrzył na nią z uwagą i zabawiał rozmową:

– Nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, że tym razem u Turlejew dojdzie do wielkiej awantury. Malowanie się u nich rozpoczęło. Turlej chce mieć w kancelarii i w korytarzu zieloną lamperię, a, jak wiecie, pani Halinka nie cierpi zielonego koloru.

– Coś takiego – pogardliwie wzruszyła ramionami pani Basieńka – żona leśnika powinna lubić zielony kolor. Las jest zielony i mąż chodzi w zielonym mundurze. Co powiedzielibyście, o żonie literata, która nie cierpi stukotu maszyny do pisania? Zresztą, nie można nie lubić jakiegoś koloru aż do tego stopnia, aby robić awantury.

– Można – zdecydowanie oświadczył Porwasz, gapiąc się bezczelnie na cienie smukłych ud żony pisarza. – Na przykład ja nienawidzę fioletu. Nie znajdzie się na moich obrazach choćby odrobiny fioletowego koloru.

Lubiński westchnął pomyślawszy o smutnym zjawisku przemijania gustów:

– Pamiętam, że dawniej lubiła zielony kolor. Kiedy się pobrali, przyjechała do Skiroławek w zielonej bluzeczce. Miała także zielony paltocik.

– Tak – zgodził się z nim Niegłowicz. – To było zaraz po ślubie. Niestety, od tamtej pory wiele się zmieniło.

– Ach, cóż za głupstwa – roześmiała się pani Basieńka. – Jeszcze nie słyszałam o tym, aby ktoś czynił awantury z powodu takiej czy innej lamperii w mieszkaniu.

Porwasz nabrał przekonania, że pani Basieńka nie ma na sobie nie tylko halki, ale chyba i majteczek. Pod białą sukienki ciemniejszą plamą zaznaczał się trójkąt jej wzgórek łonowego. Wiedział, że ona lubi swym ciałem drażnić mężczyzn i dlatego zdobył się na uszczypliwość:

– Pani Halinka ma duszę artystki. Taka osoba może nawet porzucić męża, jeśli okazuje, jej zdaniem, zły gust. U natur wrażliwych niewłaściwie dobrane kolory ścian w mieszkaniu budzą irytację, podrażnienie, frustrację, a nawet bezsenność. Czy nie tak, doktorze?

– To prawda – leniwie skinął głową doktor.

Pisarz oświadczył:

– Dla dobra sprawy można niekiedy kobiecie ustąpić. Uparciuch z tego Turleja, skoro nie chce zrezygnować z zielonej lamperii.

– Co do mnie – rzekł Porwasz – zielony kolor uznaję za ładny. Nie wyobrażam sobie malowania bez zielonego koloru i sporo zieleni jest w moich obrazach. Rozumiem jednak, że ktoś może nie lubić zielonej barwy. Jeśli ten ktoś posiada naturę bardzo wrażliwą, należy mu ustąpić. Uparciuch z tego Turleja, szkoda słów. Żał mi pani Halinki.

Doktor ziewnął dyskretnie, gdyż upał i wino porzeczkowe sprowadzały na niego senność. Czuł się jednak w obowiązku zabrać głos:

– Turlej nie jest uparty. Po prostu malowanie przeprowadza nadleśnictwo, a ono nie dysponuje inną farbą olejną. W sklepach bardzo trudno kupić farby w takich gamach kolorów, jakie życzyłyby sobie klient.

Lubiński znowu westchnął:

– A tak bardzo się kiedyś kochali...

– To prawda – podchwyciła pani Basieńka. – Słyszałam, że przez pierwsze pół roku małżeństwa niemal zupełnie nie opuszczali leśniczówki. Ona nawet kuchnię kazała sobie urządzić nie od strony drogi, jak było dawniej, ale od podwórza, aby nie widzieć obcych ludzi. Pokazywała mi swoje stare szmatki. Rzeczywiście, miała kiedyś zieloną bluzkę. Nigdy nie uwierzę, aby w kobiecie tak raptownie zmienił się gust i przestała kochać męża z powodu niechęci do zielonego koloru.

– Tym bardziej – poparł ją Lubiński – że, jak wiemy, trudno tu żyć bez zielonego koloru. Pełno go wokół nas, szczególnie latem.

Porwasz stwierdził po chwili zastanowienia:

– Uważam, że można żyć bez zielonego koloru. Natomiast trudno jest bez niego malować obrazy.

– Ona wykazuje małostkowość – powiedziała pani Basieńka.

Doktor poczuł się w obowiązku, aby znów stanąć w czyjejs obronie. Tym razem po stronie pani Halinki.

– Wyjaśnienia tej sprawy, jak myślę, należy szukać u Freuda. W pani Halince nastąpiło coś w rodzaju przeniesienia niechęci do męża na kolor, jaki pozostaje z nim związany, a więc zieleń. Trudno wymagać od młodej mężatki, aby tak od razu zrozumiała, że nie kocha już swego męża. To proces powolny. Ona długo broni się przed podobną świadomością. Najpierw zaczyna darzyć niechęcią przyjaciół męża, potem jego otoczenie, zwyczajnie, nawet zawód. Znienawidziła kolor zielony, gdyż mąż chodzi w zielonym mundurze i spędza czas w zielonym lesie. Jeśli kiedyś rozstanie się z mężem, prawdopodobnie wkrótce znowu polubi zielony kolor.

O tak, na pewno – z radością przytaknął malarz. – Znowu polubi zieleń, która jest w gruncie rzeczy bardzo ładną barwą.

Uśmiech zniknął z twarzy pani Basieńki. Raptem uświadomiła sobie, że jej mąż, Nepomucen, miał przed nią już dwie żony. Musiało zatem między nimi dochodzić do podobnych awantur jak między Turlejem i jego żoną.

– A jak było z tobą, Nepomucenie? – zapytała nie bez złośliwości, ponieważ bardzo irytowała ją myśl, że przed nią w domu pisarza rządziły już jakieś dwie inne kobiety. – Co najbardziej nienawidziłeś u swoich dwóch poprzednich żon?

– Ich kurestwa – odparł zdecydowanie pisarz.

– U obydwu? – powątpiewała.

– Tak – stwierdził ostro.

Albowiem słońce może odrobinę przesunęło się na niebie albo też pani Basieńka nieco przesunęła się wzdłuż poręczy. Lubiński widział teraz jej sukienkę prześwieconą przez słońce i wiedział, że widzi to także Porwasz. Było również dla niego oczywiste, że żona nie nosiła nie tylko halki, ale i majtek. Gdyby nie obecność męża być może w ogóle zdjęłaby z siebie sukienkę i ukazała się nago, jak jej przyjaciółka Elwira przed publicznością w nocnym lokalu. Jej kurewski charakter nie ulegał dla Lubińskiego żadnej wątpliwości, ale wolał o tym teraz nie myśleć.

– Nie mogłeś dwa razy popełnić tego samego błędu – wciąż powątpiewała pani

Basieńka.

– A jednak tak się stało – powiedział Lubiński z ogromnym spokojem. Od pól i lasów powiał lekki wiatr, przyniósł z sobą jeszcze większy upał i wypełnił nim nawet skrawek cienia na tarasie. Gorąco budziło w ludziach coraz większą irytację, doktor oczekiwał, że pisarz wspomni o swoim trzecim błędzie, jakim był fakt małżeństwa z panią Basieńką; poczuł, że się poci i otarł czoło.

– Znałem człowieka – odezwał się – który żenił się pięć razy i pięć razy rozwodził. Teraz na pewno jest żonaty po raz szósty. Przy powierzchownym osądzie można było odnieść wrażenie, że on po prostu lubił się żenić a potem rozwodzić, że należał do gatunku urodzonych rozwodników. Jednakowoż przyjrzawszy się bliżej jego sprawom, zwracał uwagę fakt, iż każdej z owych kobiet stawiał przed sądem ten sam zarzut.

– Jaki? – zainteresował się Porwasz.

– Alkoholizm. Pięciokrotnie więc popełnił ten sam błąd: żenił się z kobietami, które miały skłonność do nadużywania alkoholu. Błąd? Czy można w ten sam sposób błędzić aż pięć razy? Wydaje mi się, że raczej miał on upodobanie do kobiet, które lubiły dużo pić, żenił się z nimi, a one potem w małżeństwie stawały się alkoholiczkami i czyniły jego życie nieznośnym. Po każdym rozwodzie przysięgał mi, że ożeni się z abstynentką. Niestety, czynił inaczej. Bywał w towarzystwie, gdzie się dużo piło. Z tego towarzystwa rekrutowały się jego kolejne żony. Ten człowiek nigdy nie chciał się przyznać przed sobą, że kobiety-abstynentki, unikające rzecz jasna towarzystwa, gdzie się tego pije, nie interesowały go zupełnie. Dlatego skłonny jestem do przekonania; że bardzo wielu ludzi woli unikać rzeczywistej prawdy o sobie i swych upodobaniach.

– Nie chce pan chyba, doktorze, stwierdzić, że ja... – zaczął Lubiński poirytowanym tonem.

Doktor mu przerwał:

– Proszę mi pozwolić dokończyć moją myśl. Otóż bywa i tak, że małżeństwo, ścisły związek dwóch osobowości, wyzwala w partnerach ich dotąd nieujawnione cechy osobnicze. Są mężczyźni, którzy z każdej kobiety czynią cnotliwą matronę. Inni wyzwalają w swych partnerkach kurewskie skłonności, choć, zanim je poznali, były to cnotliwe niewiasty. Znałem kobiety, które uzyskiwały rozwody z powodu nieustannego katowania przez mężów, potem jednak w kolejnych związkach małżeńskich także otrzymywały cięgi. Albo więc szukały mężczyzn o sadystycznych skłonnościach, albo też wyzwalały w mężczyznach sadyzm. A może jedno i drugie? Ma rację pani Basieńka, gdy twierdzi, że w kwestii małżeństwa można popełnić błąd na ogół tylko raz. Pierwsze małżeństwo, tak u mężczyzny jak i kobiety, dokonuje się niejako pod presją społeczną.

Mężczyzna i kobieta dochodzą do pewnego wieku i wówczas otoczenie ciągle ich pyta: czemu się nie żenisz, czemu nie wychodzisz za mąż? Osobnicy poddani tego rodzaju presji, zaczynają gorączkowo rozglądać się wokół siebie, szybko wyszukują w miarę odpowiedniego partnera i biorą ślub. W sytuacji presji społecznej błąd jest możliwy i prawdopodobny. Natomiast już drugie małżeństwo, dokonujące się również pod presją społeczną, ale odwrotną (nie rozwódz się i nie żęń powtórnie, bo to nieładnie) musi być wynikiem świadomego działania i silnej woli, długiego namysłu i szerokiej możliwości wyboru. Oczywiście, kolejny błąd jest możliwy, ale mało prawdopodobny. Przy drugim małżeństwie uwydatniają się już wyraźnie określone upodobania i skłonności. Przy trzecim jest to jeszcze wyraźniejsze.

– To co pan powiedział, nie brzmi dla mnie pochlebnie – pani Basieńka zmarszczyła nosek i, aby słońce nie przeświewało jej sukienki, usiadła na leżaku.

– Proszę mi pozwolić dokończyć moją myśl – zaproponował doktor. – Istnieje przecież jeszcze trzeci aspekt tej sprawy. Kryje się on w zagadce juwenalności istoty ludzkiej, która niejako przez całe swoje życie dąży do pełnej dojrzałości, ale nigdy nie dojrzewa.

– Otóż to, doktorze – podchwycił temat Lubiński. – Juwenalność istoty ludzkiej! Zakłada ona możliwość nieustannego rozwoju osobowości, przechodzenia kolejnych etapów dojrzewania, zmianę gustów i upodobań oraz wciąż nowych zapotrzebowań psychicznych i fizycznych. Na pierwszym etapie mojego literackiego rozwoju potrzebowałem kobiety nieco infantylniej, pisałem bowiem opowiadanka, gdzie miłość miała charakter sztubacki. Natomiast moja druga żona, Ewa, jak ją pamiętacie panowie, była sentymentalna. To przy niej stworzyłem „Zanim odleć jaskółki”.

– Dzięki mnie napiszesz powieść zbójcką – rozpromieniła się pani Basieńka. – Gdy mnie poznałeś, byłeś na nowym etapie swojego rozwoju psychicznego. Potrzebowałeś kobiety silnej, pozbawionej pruderii, śmiałej w swych sądach. Twoje kolejne małżeństwa, Nepomucenie, nie były więc błędem, ale wyrazem kolejnych etapów dojrzewania twórczej osobowości.

Porwasz już od dłuższego czasu trzymał pustą szklankę, która rozgrzewała się od ciepła jego dłoni. Chciał się jeszcze napić chłodzonego wina, ale z powodu dyskusji pani Basieńka nie dostrzegła jego pustej szklanki.

– Ciekawym, jak będzie wyglądał kolejny etap rozwoju tej osobowości? – rzekł cierpko. – Czy będzie to blondynka czy brunetka?

– No wie pan, panie Porwasz – oburzyła się pani Basieńka i niemal wyrwała mu pustą szklankę z ręki. Zaraz też poszła do mieszkania, do lodówki, gdzie chłodziło się wino porzeczkowe.

Po słowach Porwasza Lubiński uśmiechnął się szeroko i jak gdyby odetchnął z ulgą. Słowa malarza wydały się w pewien sposób pokrzepiające. Przypomniały mu, że może w każdej chwili porzucić Basieńkę. Sięgnął do kieszeni po papierosy i poczęstował nimi Porwasza, który, rad z wypowiedzianej uwagi, dodał:

– Zgadzam się z istnieniem owej presji społecznej, jak to ją pan określił, doktorze. Nieustannie każdy mnie pyta: kiedy się pan ożeni, kiedy będzie pan miał dzieci. Nawet fakt, że zająłem się wychowaniem małej jaskółki, zamiast robieniem kobietom dzieci, budził we wsi drwiny i złośliwe komentarze.

– Mnie też wszyscy zarzucają bez ustanku, że nie mam dzieci. Dużo dzieci. – stwierdził Lubiński. – Skąd się bierze w naszej wsi tak ogromne zainteresowanie problemami demograficznymi.

– To kwestia inności – rzekł doktor. – Każdy, kto choć odrobinę inaczej żyje niż wszyscy, nie ma tych samych kłopotów co wszyscy, nie żeni się, nie płodzi dzieci, a zamiast wychowaniem dziecka zajmuje się wychowaniem, na przykład, jaskółki, budzi społeczną irytację i odrobinę potępienia. Uważam to za jeszcze jeden dowód, że jesteśmy nie tylko istotami społecznymi, ale i stadnymi. Proszę zwrócić uwagę na stado, kiedy urodzi się albinos. Zwierzęta boczą się na wyrodka, a niekiedy wypędzają ze stada. Albinos jest inny, więc wrogi. Może zresztą przejawia się w ten sposób także i prawo zachowania gatunku, swoisty lęk przed potworkami, istotami zdegenerowanymi, mutantami, którym należy uniemożliwić przekazywanie nowych cech dziedzicznych. Natura jest swoiście konserwatywna. Wszystko czyni od wieków w ten sam sposób. Zarazem jednak poszczególne gatunki ratuje ewolucja, mutacja. A więc konserwatyzm i nieustanny postęp są jakby dwiema stronami natury. Tę dwoistość i sprzeczność widać najwyraźniej w takim tworze natury jak człowiek. Nieustannie atakujemy wszelką „inność”, ale zarazem nudzi i niecierpliwi nas codzienność, pragniemy „inności”, odmiany, niecodzienności.

– Uff! – aż sapnął malarz na widok oszronionej szklanki z winem w dłoni pani Basieńki.

Ta szklanka aż go oparzyła swym mrozem, a przy okazji, gdy pani Basieńka mu ją podawała, znowu ujrzał prześwieconą słońcem sukienkę. Tym razem żona pisarza stanęła nieco bokiem, więc otrzymał przed oczy to, co dotąd było ukryte – zarys wypukłych pośladków oraz mógł zerknąć w dekolt, w głęboką szczelinę między jej piersi.

– Zaboląły mnie pana słowa, panie Bogumile – Basieńka znowu usadowiła się na leżaku. – Aż strach pomyśleć, że Nepomucen może i mnie rzucić jak inne.

Chłód przenikający ze szklanki do ciała Porwasa uczynił go łagodnym.

– To było tylko takie głupie gadanie, pani Basieńko. Pani wie, że mnie w ogóle nie interesują ludzkie sprawy. A nasze mądre dysputy, to jak brzęczenie much nad kupą łajna w upalny dzień. Nikt nie rodzi się rozwodnikiem, podobnie jak mordercą.

– Za pozwoleniem, kolego malarzu – wtrącił się Lubiński. – Wkracza pan na teren genetyki. A co się tyczy naszego gadania o ludzkich sprawach, to gdyby nie podobne rozmowy, zamiast malować trzciny nad jeziorem, pozostawałby pan jeszcze na etapie wieszania się na gałęziach drzew i biegania na czworakach. Ludzkość musiała kumulować swoje doświadczenia i spostrzeżenia, aby zapewnić sobie rozwój.

– Ale to prawda, że nikt nie rodzi się rozwodnikiem – poparła malarza pani Basieńka. – Podobnie, jak nikt nie rodzi się żołnierzem. Czytałam książkę pod tym tytułem.

– Słusznie – przytaknął doktor, który był już zmęczony upałem i rozmową. – Nikt nie rodzi się ani rozwodnikiem, ani żołnierzem i mordercą. Co najwyżej przychodzi na świat z predyspozycjami w tym kierunku.

– Tak mówi nauka o genach – ochoczo podjął temat Lubiński. – Czy nie słyszeliście o dodatkowym chromosomie? Nikt nie rodzi się żołnierzem, ale wielu bardzo chętnie zostaje dobrymi żołnierzami. Czy każdy nosi buławę marszałkowską w tornistrze? Nie. Tylko niektórzy. Z odpowiednimi predyspozycjami.

– Kapitan Śledzik – ozwał się doktor – radził mi zapoznać się z wynikami badań wiktymologów. Uczyniłem to ostatnio. I cóż się okazało? Otóż niektórzy osobnicy o odpowiednich predyspozycjach zostają przez całe życie ukształtowani jako potencjalne ofiary dla złych machinacji innych osobników. Ta nauka nie mówi o tym, ale to się samo przez się narzuca, że skoro kształtuję się ofiary, to muszą również w ten sam sposób kształtować się i kaci. Bez planktonu nie ma karasków, bez karasków nie ma szczupaków, bez szczupaków nie ma dobrego obiadu. Wniosek narzuca się taki, że w świecie przyrody każdy jest dla kogoś ofiarą i każdy bywa dla kogoś katem. Pytanie: czy podobne zjawisko występuje u ludzi?

– Pan myśli, doktorze, że mój kochany Nepomucen – rzekła pani Basieńka – był urodzonym katem dla swych żon, zmuszał je do kurestwa. Ależ to nieprawdopodobne!

– Zgoda. Zawsze go miałem za ofiarę ich postępowania – odrzekł doktor.

Porwasz opróżnił szklankę z winem. Wstał z leżaka.

– Mówcie sobie, co chcecie. Zabito dwie dziewczyny na skraju lasu i nikt z nas nie wie, kto to zrobił. A co gorsze, nawet nie domyślamy się, kto będzie jego trzecią ofiarą.

To rzekłszy malarz Porwasz zeskoczył z tarasu i w popołudniowym upale ruszył w kierunku domu gajowego Widłaga. Skwar i widoki, jakie na tarasie roztoczyła

prześwielona sukienka pani Basińki, obudziły w nim silne pragnienie kobiety. „Moje okna są już zakurzone” – powtarzał sobie Porwusz, myśląc, co powie w domu gajowego. Albowiem od czasu, gdy wychował jaskółkę, Widłagowa przestała przychodzić do jego domu, aby w nim sprzątać i myć okna. Prawdę mówiąc od tamtej chwili nie miał Porwusz żadnej kobiety i teraz tym mocniej jej pożądał. Jaskółka nie tylko nie spełniła jego nie wypowiedzianego głośno życzenia, aby miał na stałe ładną i wygodną w łóżku kobietkę, ale w ogóle stracił nawet tę wygodę, którą dotąd posiadał.

– Pan przecież wie, że mam wczasowiczów, państwa Turoniów – powiedziała mu Widłagowa, jak gdyby obrażona, że dopiero teraz sobie o niej przypomniał. – Oni mi bardzo wiele czasu zajmują. Trudno, musi pan znaleźć sobie kogoś innego do mycia okien.

Porwusz wracał do domu w potokach popołudniowego słońca. Bolała go głowa i bardzo chciał mieć kobietę. Mógł się udać do leśniczówki Blesy, aby tam choć popatrzeć na panią Halinkę i jej mały tyłeczek, ale jako człowiek uwikłany w sprawy barw już przez samą swoją obecność musiał wywołać tam awanturę na temat koloru lamperii w korytarzu i w kancelarii. Z rozdrażnieniem przypomniał sobie widok smukłych ud żony pisarza, zbiegających się w miejscu najbardziej rozkosznym i zastanawiał się, czy doktor wymienił wszystkie aspekty sprawy ujawniania się w ludziach ich prawdziwych upodobań. Rzecz cała nie ograniczała się chyba tylko do trzech stron: ktoś miał upodobanie do kobiet o kurewskich skłonnościach, ktoś wyzwał w kobietach ich kurewskie skłonności albo też, pod presją środowiska, dokonywał pośpiesznego wyboru i popełniał błąd, wiążąc się z kurewką. Mogła istnieć i czwarta strona zagadnienia: konieczność przebywania w określonym środowisku, małej wiosce podobnej do kurwidołka, która w każdym osobniku wyzwała skłonności do kurestwa. „Do diabła! – pomyślał Porwusz. – Niechże dziś spełni się ta historia i zapłonie ognisko na wyspie. Pójdziemy nocą do młyna. Wszyscy. I będziemy to robić z wszystkimi. Inaczej od tego upału dostaniemy fiola”.

I malarz z ogromną tęsknotą popatrzył na jezioro i kępę zielonych drzew na Czaplej Wyspie.

O NOCY DUCHÓW I SILE NAMIĘTNOŚCI,

KTÓRA ODBIERA WOLĘ

Tej nocy księżyc dość szybko wypłynął zza horyzontu, ale potem znieruchomiał i na długo zawisł nad lasem porastającym bagnisty półwysep, gdzie zimą nocował Kłobuk. Księżyc był duży, okrągły i świecił metalicznym blaskiem. Po nieruchomej powierzchni zatoki rozlała się struga zimnej poświaty na podobieństwo świetlistej drogi ponad mroczną tonią wody, aż pod dom doktora, do jego ogrodu, pod stopnie schodów na taras. Zdawać się mogło, że na owej dziwnej drodze wkrótce pojawią się stada dzików zamieszkujących mokradła, pokaże się rogaty jeleni lub brodaty łos. Pobrząkując żelastwem przejdzie gromada żołnierzy, która zatoneła w bagnie razem z czołgiem. Była to bowiem droga dla duchów, dla marzeń i tęsknot, dla skrzydlatych aniołów, dla ludzkiego westchnienia. Cisza wypełniała powietrze, zielonkawy blask porażał ukryte w trzcinach kaczozy, we wsi nie czekał żaden pies i milczały krowy na pastwiskach. Drzewa w ogrodzie miały srebrne liście i wydawały się wyższe, pełne jakiegoś dziwnego dostojenstwa. Uroda tej nocy była jednak martwa jak twarz pięknej nieżywej kobiety. Tak pomyślał doktor, gdy na chwilę wyszedł na taras i dojrzał strugę światła na zatoce, ową srebrzystą drogę, która wabiła do wędrówki na mokradła, gdzie mieszkały duchy żołnierzy. Dokąd jednak naprawdę można było dojść po takiej drodze? Świat zdawał się być pusty, blask księżycy chłodził twarz i dłonie, cienie drzew wydłużały się i przerażały tajemną głębią jak oczy zmarłych. Setki razy podnosił doktor powieki konających i zaglądał im w źrenice, coraz mniej reagujące na światło. Teraz czuł, że w podobny sposób patrzy w tę noc i jej martwy blask. Roje komarów wirujących nad brzegiem jeziora przybierały kształty duchów, które nadeszły od mokradeł po świetlistej drodze, aby odbywać tutaj swój śmiertelny taniec. Jezioro też było groźne, podobne do potwora wabiącego ofiarę pozornym bezruchem. I nie mógł w sobie doktor odnaleźć przyjaźni dla tej księżycowej nocy ani dla jej umarłego piękna. Przenikał go lęk i obawa przed nieznanym. Pomyślał bowiem, że gdzieś na skraju lasu kryje się morderca, bez twarzy i imienia. Ta noc niosła zapowiedź nowej śmierci, drwinę z ludzkiej godności, z rozumu i ludzkiej sprawiedliwości. Ale było też w niej i coś więcej – nie umiał tego nazwać, a może nie chciał się do tego przyznać. Obnażała w nim tęsknotę za czyjś żywym ciepłem, za spełnieniem się z kimś upragnionym, za pójściem po świetlistej drodze, która była jak wejście w męczący, ciągle ponawiający się sen. Znajdował się już u kresu sił, które broniły go przed wciąż narastającą namiętnością, odebrana mu została wszelka moc, musiał się ugiąć pod nakazem czyjegoś polecenia. Zbyt wiele razy marzył

o takiej właśnie bezwoli, zbyt często przeżywał te chwile w snach, aby teraz nie ugiąć się przed zaproszeniem rozpostartym przed nim przez świetlistą drogę.

Po stopniach tarasu zszedł do ogrodu. Minął sad i wolno stąpał brzegiem jeziora, patrząc, jak świetlista droga towarzyszy mu w tej wędrówce. Gestem dłoni oddalił od siebie psy, wszedł na spróchniałą ławkę pod płotem i przeskoczył na drugą stronę. Po lewej ręce miał misternie upleciony z wikliny płot ogradzający warzywnik Makuchowej, po prawej zaś stała wysoka ściana trzcin przybrzeżnych. Szedł po trawie gęstej, ziemi podmokłej i nieco uginającej się pod nogami. Nie słyszał odgłosu swego stąpania i wydawało mu się, że jest tutaj tylko jednym z nocnych cieni albo zgoła duchem sunącym ponad trawą.

W oknach domu Makuchowej było ciemno. U Widługów nikłym światelkiem połyskiwało okienko na piętrze, gdzie mieszkali wczasowicze. Drzemały psy wiejskie – cisza była głęboka i, podobnie jak świat, znieruchomiła od martwej księżycowej poświaty. Jeszcze tylko kilka kroków i otworzył się widok zalanej blaskiem łąki nad jeziorem. Zobaczył podłużny kształt niskiego domu z żółtawym prostokątem rozświetlonego okna. Justyna nie spała jeszcze – serce zabiło mu mocniej, ożyły niepokojące myśli i przecucia. Odnosił wrażenie, że zielonkawa poświata muska mu włosy, nozdrzami wychwytywał zalatujący od jeziora zapach wodorostów, srebrzysta droga wciąż wabiła na rozległą toń. Zdawało mu się, że stoi u wrót krainy, do której zakazano mu wstępu, lecz zarazem musiało się spełnić przeznaczenie, aby tam wszedł i poznał samego siebie. Jakieś ogromne siły tkwiące w nim samym lub poza nim, wyznaczały mu tę drogę i tę noc, aby przybył jak ćma do okna z żółtawym światłem. Czy cena również czekała na niego w takiej samej męce?

Pochylił się nad brzegiem jeziora, wyszukał w piasku wypłukany przez wodę okrągły kamyk i rzucił go w stronę wiadra, które stało na środku podwórza. Nie trafił, kamyk upadł w trawę i zatonął w ciszy. Dopiero drugi wywołał głośny brzęk. Chciał wtedy zawrócić i pobiec do lasu, ale jak we śnie nagle zabrakło mu sił. Ona zaś już stała w półotwartych drzwiach, w świetle gołej żarówki w sieni, w białej koszuli do kolan. Dłoń podniosła do oczu, bo ją poraził blask księżycy; jemu wydało się to gestem zaproszenia. Zrobił najpierw ostrożnie trzy kroki, potem jeszcze jeden i drugi, aż go ujrzała i rozpoznała.

Uśmiechnęła się kącikami ust, ale po chwili wargi jej rozchyliły się szerzej, podobnie jak wówczas, gdy była u niego po poradę, i odniósł wrażenie, że rzuca mu jakieś bezwstydne wyzwanie. Postąpił jeszcze kilka kroków i stanął tuż przed nią. Jej włosy były czarne w świetle księżycy, czarne też zdały się usta i oczy. Palcami obu rąk zaczęła

wolno rozwiązywać kokardę tasiemki, która pod szyją zamykała szczelnie koszulę. W powietrzu przesyconym wonią wodorostów raptem owionął go zapach jej ciała wełny owczej, szaławii, mięty i piołunu. Nie potrafił opanować swej namiętności, zadygotały mu wargi i gwałtownie wyciągnął ku niej ręce, a ona – jakby tknięta lękiem – cofnęła się w głąb sieni, wiodąc go za sobą do oświetlonej izby. Chwilę stał nieruchomo na środku, słyszał, jak bosymi stopami przemyka obok niego, zamyka drzwi i przekręca klucz w zamku. Potem znowu była przy nim, jej palce szarpały tasiemkę i wciąż nie potrafiły rozwiązać kokardki. Opuścił ręce, napawając się pięknością jej twarzy – widział niskie, gładkie czoło, czarne łuki brwi i nad odrobinę skośnymi oczami, wystające kości policzkowe, obciążone cerą o różowawej przejrzystości morskiej muszli. Między spierzchniętymi wargami zalśnił czerwony koniuszek języka, którym poruszała delikatnie, jakby w ten sposób zachęcała go do pocałunku. Zapragnął nagle powiedzieć jej o swym cierpieniu, o bólu, który przenikał go na myśl o jej ciele, o prześladowającym go wszędzie zapachu owczej wełny, szaławii, mięty i piołunu, ale słowa pozostały w myślach. Raptownym ruchem wyciągnął znowu ramiona i chwycił w nie Justynę, przyciskając ją do siebie i odkrywając, że i ona także drży pod grubym materiałem koszuli. Oparła mu twarz na piersiach, jej włosy połaskotały mu usta. Przesunął dłonie z pleców kobiety na jej biodra, podciągając koszulę, aż poczuł ciepło nagiego ciała.

Wyrwała mu się z objęć i bezszelestnie podbiegła do kontaktu. Stał w ciemnościach z pustymi dłońmi, dopóki nie owiał go oddech jej ust i odczuł na szyi opłot kobiecych ramion. Pociągnęła go na łóżko, które stało pod ścianą. Padła na wznak, na rozgrzebaną pościel, zadarła do góry koszulę i szeroko rozchyliła nogi. Legł na niej, rozpinając rozprek i uwalniając nabrzmiały członek. Czekala na niego cicha i niema, z rozrzuconymi nogami, z koszulą podciągniętą pod szyję, z wypukłością nagiego brzucha, bielejącego w księżycowej poświacie zza okna. Wszedł w nią mocno, za każdym pchnięciem słysząc jej coraz szybszy i bardziej chrapliwy oddech. Czuł na plecach palce, które wpijały mu się boleśnie w ciało mimo swetra. Niemal siłą musiał uwalniać swój członek z mocnego chwytu jej pochwy, aby wbić go mocniej i głębiej, dopóki raptem nie wygięła się w pałąk, unosząc go na sobie. Potem zapadła się pod nim i znieruchomiała, a on poczuł skurcz w mosznie i przejmującą ulgę wytrysku jego nasienia.

W księżycowej poświacie wyraźnie rysowały się mu teraz sprzęty w izbie – stół, ława, zydle, kolorowymi szkiełkami połyskiwała ikona w lewym rogu. Podciągnął wyżej koszulę Justyny, obnażając piersi z dużymi grudkami sutek. Twarzy nie widział – nie sięgał na nią blask księżyca. Nie słyszał też oddechu młodej kobiety. Ustami dotknął

wzgórka prawej piersi, chwilę ssał brodawkę, ale Justyna nie reagowała najmniejszym gestem na jego pieśszczę. Wtedy niespodziewanie przypomniał sobie żółtawą twarz Dymitra, zrodziło się w nim poczucie strachu, a nawet wstrętu – do niej, kobiety leżącej pod nim z rozłożonymi wciąż nogami – i do siebie, który spoczywał na niej w ubraniu, jakby przyszedł tu tylko dla samego aktu miłosnego, pośpiesznego i wstydliwego. Nie czuł już żadnych związków z tym nagim ciałem, które było pod nim. Przestał rozumieć, dlaczego tak bardzo dotąd tęsknił za tą chwilą.

Wstał z łóżka i doznał lekkiego zawrotu głowy. Przysiadł na zydłu, patrząc na łóżko z bielejącym w mroku białym kształtem nagiej kobiety. Nie drgnęła, gdy z niej zszedł, nie wydała z siebie błagalnego szeptu, aby przy niej pozostał. Zrobił dwa kroki do drzwi i zatrzymał się, czekając na jej głos lub choćby ruch nagiego ciała. Lecz ona wciąż pozostawała nieruchoma, z rozrzuconymi nogami, z głową obciętą przez mrok.

Przekręcił klucz w zamku i wyszedł na dwór w zielonkawy blask księżycy. Szybko szedł wzdłuż brzegu, ciesząc się, że z każdą sekundą oddala się od miejsca, które wydało mu się straszne, jakby popełnił zbrodnię i pozostawił za sobą martwą ofiarę. Ale gdy minął ogródek Makuchowej i bezwiednie dotknął palcami swego nosa, ogarnął go zapach ciała Justyny – woń owczej wełny, szaławii, mięty i piołunu. Nagle powróciło pożądanie, zapragnął wrócić do mrocznej izby, położyć dłoń na brzuchu Justyny, ustami chwycić grudkę jej piersi, odświeżyć smak, który wciąż jeszcze odnajdywał na wargach. Na samo wspomnienie przeżytej dopiero co rozkoszy powtórnie miał zawrót głowy i aż zatoczył się na wiklinowy płot. Raptem rozszczekał się głośno pies u Widłagów i ten dźwięk przywołał w nim trzeźwość i rozwagę. Przeskoczył swój płot i wszedł na taras. W sypialni rozbierał się szybko, a gdy legł wreszcie w chłodnej pościeli, położył sobie pod policzek palce, które zapamiętały woń ciała Justyny. Minęło w nim wrażenie ogromnego bólu i napięcia, jakie miał od wielu dni i wielu nocy. Wiedział jednak, że następnej nocy pójdzie tam znowu.

...W mrocznej izbie na łóżku nieruchomo leżała obnażona kobieta z otwartymi oczami, które patrzyły przed siebie niczego nie widząc. Była martwa – tak to czuła, ponieważ całe jej ciało sparaliżował bezwład. Przed minutą lub godziną zabił ją mężczyzna, przywołany jej pożądaniem i czarami Kłobuka. Dotykał ją palcami, wszedł w jej ciało śmiertelnym pchnięciem. Dlaczego ludzie tak bardzo lękali się śmierci, skoro była rozkoszą? Martwa obudzi się do życia z ziarnem, które może już teraz zaczyna w niej kiełkować, a później wypełni cały brzuch. Nie będzie już pokrywał ją ogromny kogut, sfruwający z belki w oborze; nie wycieknie z jej warg, podobnych do różowego grzebienia – biały mlecz męskiego pożądania. Dymitr musiał umrzeć, aby się to właśnie

spełniło; on też zapewne przeżył rozkosz śmierci i gdzieś w świecie urodzi się na nowo.

HONOR KOBIECY

W końcu lipca pewna kobieta w Skiroławkach publicznie straciła honor, a stało się to w sposób następujący;

Paweł Jarosz, drwal, który mieszkał w Skiroławkach w czterorodzinnym domu robotników leśnych – miał żonę Lucynę i troje dzieci. Kochankiem Lucyny był Leon Kruczek, także drwal, ale posiadający własny domek położony między zagrodą sołtysa Wątrucha i domem pisarza Lubińskiego. Paweł Jarosz – wysoki i chudy mężczyzna – pracował piłą motorową od świtu do zmierzchu i przynosił do domu niezłe zarobki. Lecz jego żona, Lucyna, wydawała pieniądze na głupie i zbyteczne fatałaszki, wciąż więc brakowało jej pieniędzy i na długo przed każdą wypłatą chodziła do ludzi, aby pożyczać. W ich mieszkaniu znajdowały się tylko najprostsze sprzęty i kilka garnków oraz stary, psujący się telewizor. Fatałaszki nie zdołały w niczym owej Lucyny, nawet nikt ich na niej nie zauważał, wydawała się takim samym obdartusem jak inne żony robotników leśnych. Nie była urodziwa, a przeciwnie, brzydka i mimo swych trzydziestu pięciu lat mocno zniszczona; z długimi jak szczudła pałkowatymi nogami, dużym brzuchem, obwisłymi cyckami i haczykowatym nosem. Zębów z przodu nie miała, tylko dwa kły sterczały w jej ustach jak szable u dzika. I taką to kobietę upodobał sobie Leon Kruczek, mężczyzna o pięć lat od niej młodszy, niewysoki, lecz barczysty, czarniawy na twarzy i przystojny. Leon Kruczek spłodził dwoje dzieci z żoną Marianną, kobietą drobną, ładniutką jak lalczka, tyle że słabowitą, z wadą serca. W domu Kruczków było czyściutko, dwie małe dziewczynki chodziły do szkoły starannie uczesane i w czystych fartuszkach, i, co dziwniejsze, nie miały ani wszy, ani też świerzbu jak dzieci Jarosza. Mimo ogromnych wysiłków doktora Niegłowicza i nauczycielki w szkole – z tego świerzbu trudno było dzieci Jarosza wyleczyć, podobnie przedstawiała się sprawa z wszami. Tedy dzieci Jarosza miały świerzb i wszy, a dzieci Kruczka wszy ani świerzbu nie miały, mimo to jednak Leon Kruczek został kochankiem Lucyny Jarosz. Doktor dowiedział się o tym od żony Kruczka, Marianny, która chorowała na serce i często do niego do ośrodka zdrowia przyjeżdżała, zwierając mu się z dolegliwości ciała i ducha. Kochankiem zaś Lucyny Jarosz został Leon Kruczek w ten sposób, że wieczorem zachodził do Jarosza z pół litrem wódki. Zmęczony pracą Jarosz zapadał w mocny sen już po kilku kieliszkach, a wtedy Leon Kruczek i Lucyna Jarosz wlekli

go na łóżko, kładli się obok niego, a potem włązili na siebie. Rankiem Leon Kruczek mówił do Jarosza, że upił się i nic nie pamięta, a że niczego nie pamiętał także i Paweł Jarosz, nie dziwił się, że w swoim łóżku, obok swojej żony i siebie znajdował Kruczka. Marianna Kruczek żadnych skarg o to do nikogo nie wносиła, ponieważ z natury rzeczy była kobietą cichą i pokorną oraz chorowała na serce. Tyle tylko, że wspominała o tej sprawie doktorowi, gdyż, jak się jej zdawało, z powodu nocnych pobytów męża w domu Jaroszów serce jej bardziej niż kiedyś dokuczalo.

Dziwił się doktor Niegłowicz, że Leon Kruczek woli brzydką i brzuchatą Jaroszową od własnej czystutkiej ładnej żonki, i nawet go kiedyś przy jakiejś okazji o tę sprawę zagadnął, napominając, że żona z tego powodu bardziej cierpi na serce. „Nie wiem, dlaczego chodzę do Jaroszów – po długim namyśle powiedział doktorowi Kruczek. – Sam się nad tą sprawą często zastanawiam. Nic mi się w Jaroszowej nie podoba, ale korci mnie do niej, ponieważ ona chodzi bez majtek, a moja żona ma zawsze na sobie majtki. Lubię czasem, doktorze, włożyć rękę pod sukienkę, kiedy się tego najmniej spodziewa, kręci się po domu albo między stołem i kuchnią. U żony zawsze trafiam na majtki, a u Jaroszowej od razu dotykam tego co trzeba. I to mnie, myślę, do niej korci”. Kręcił ze zdumieniem Niegłowicz swoją siwiejącą głową, aż pewnego dnia zobaczył, jak jego dwa psy wygrzebały spod śniegu pół bochenka starego chleba, który Makuchowa jeszcze na jesieni rzuciła w ogrodzie ptakom. Chleb przeleżał pod śniegiem prawie dwa miesiące, niemal zgnił i skawalił się w sople lodowy. Wyniosła Makuchowa psom dwie miski pełne parującej kaszy ze skwarkami, ale psy wygrzebały właśnie ów przegniły chleb, zlekceważyły parującą kaszę, i, warcząc na siebie jakby straszliwie wygłodzone, zżarły go doszczętnie, kaszę zaś ze skwarkami pozostawiły nietkniętą. Rozmyślał doktor o tej sprawie i doszedł do wniosku, że ów przegniły i zmieniony na twardy sople chleb wydał im się miły, ponieważ same go sobie w śniegu wynalazły, a kaszę ze skwarkami – jak co dzień – otrzymywały od Makuchowej bez żadnych starań. Podobnie też musiało być z owym Leonem Kruczkim, który wolał brzydką i brzuchatą Jaroszową bez majtek; od własnej żony Marianny, która chodziła w majtkach. Bo tamta była zdobywcza, a ta własna i niejako naleźna.

Zdarzyło się jednak, że najstarsza córka Jaroszów poszła do Pierwszej Komunii i otrzymała od proboszcza Mizerery obrazek święty z własnym imieniem i nazwiskiem. Ów obrazek zawiozła Jaroszowa z Bart, do ramiarza, prosząc go, aby go oprawił w szkło i ramki drewniane, ponieważ obrazek chciała zawiesić na honorowym miejscu w swym mieszkaniu. Oprawa i szkło nie kosztowały wiele, ale był to ten okres w miesiącu, gdy Jaroszowa pożyczala od ludzi pieniądze. Ramiarz miał lat sześćdziesiąt, Jaroszowa

wydawała mu się młoda, bo w rzeczy samej liczyła sobie tylko trzydzieści pięć lat. Zaproponował więc Jaroszowej, aby mu dała za oprawę to, co ma pod sukienką. Nie musiała Jaroszowa nawet majątek zdejmować, bo ich nie nosiła, ale zaraz ochoczo poszła z ramiarzem na zaplecze jego warsztatu i tam zapłaciła za usługę na starej kanapce. Odtąd dwa razy w tygodniu jeździła autobusem do Bart po zakupy i zawsze wstępowała na pół godziny do ramiarza, gdzie na zapleczu warsztatu podciągała spódnicę za niewielką sumę pieniędzy. Zasmakowała w tym Lucyna Jaroszowa, bo do tej pory nikt jej jeszcze za podobne sprawy nie płacił, a niektórym kobietom bardzo imponuje, gdy mogą otrzymać pieniądze za coś, co inne dają za darmo. A ponieważ po zrobieniu zakupów i spędzeniu owej „pół godziny” z ramiarzem pozostawało jeszcze sporo czasu do odjazdu autobusu, tedy zaproponowała staremu, aby jeszcze jakiegoś kolegę wynalazł na drugie pół godziny. Nie było o to trudno, bo po sąsiedzku z ramiarzem miał warsztat stary szewc. Od niego brała już jednak nieco więcej pieniędzy. Odtąd zawsze wracała do Skirołówek z siatką pełną zakupów. Przestała wtedy pożyczać pieniądze od ludzi w wiosce, a nawet oddała dawne długi i dumnie głowę nosiła, bo wydawało się jej, że stała się mądrzejsza od innych i przez to w jakiś sposób wywyższona. Nie każda bowiem kobieta znalazła takie miejsce, gdzie wystarczy podciągnąć kieckę i położyć się na kanapce, odleżeć na niej godzinę lub dwie, aż skończy się głośnie sapanie dwóch, a niekiedy trzech starych mężczyzn, i już miała pełną siatkę zakupów. Do owych mężczyzn odnosiła się życzliwie i gdy któryś z nich zbyt się zasapał, zawsze go serdecznie poklepała po plecach, pocieszając: „drugim razem pójdzie ci lepiej”. Bo w rzeczy samej po swoim ich polubiła, a szczególnie dla niej miłą była ich lubieźność i żarłoczna zachłanność na jej wdzięki, jak ją podmacywali i jak ją oglądali, przez co także czuła się wywyższona nad inne, że stanowi tak smakowity kąsek.

W tym stanie rzeczy, gdy zjawił się u Jaroszków Leon Kruczek z półlitrowką wódki, wyganiała go krzycząc, że nie pozwoli, aby jej męża rozpijał, przez co Kruczek rozumiał, że w nim nie gustuje. Próbował różnych sposobów, aby ją znówu. ku sobie dobrze usposobić, rozgłosił, że się ze Skirołówek wyprowadza, więcej go już tu nikt nie zobaczy, dom swój sprzeda i przeniesie się do brata w mieście, gdzie otrzyma pracę i mieszkanie. W rzeczy samej znalazł kupca na dom, niejakiego Grzegorza Bułę, murarza z Trumiejek. A że wszystkie te sposoby nie robiły na Lucynie Jarosz żadnego wrażenia, Kruczek opuścił się w pracy i zaczął nawet w południe nachodzić mieszkanie Jaroszków, aby choć raz włożyć jej rękę pod sukienkę i od razu trafić na ową sprawę. Wyrzucała go za drzwi Jaroszowa i nie dała się dotykać, ale oko odtrąconego mężczyzny bywa niekiedy bystre jak oko orła bielika. Zapamiętał Kruczek, że regularnie dwa razy w

tygodniu jeździ Jaroszowa do Bart, nie pożycza od nikogo pieniędzy, co siłą rzeczy znaczy, że w Bartach się puszcza za pieniądze. Żadna kobieta takiej obelgi nie zniesie, nawet jeśli to prawda. Umyśliła więc sobie Jaroszowa zemstę na dawnym kochanku i wspomniała mężowi, że Kruczek ją w domu nachodzi i propozycje różne czyni, umówił się z nią nawet o trzeciej w młodniku nad jeziorem, hen, za domem doktora Niegłowicza. Oburzył się Paweł Jarosz, że przyjaciel, który dawniej do niego co drugi dzień z pół litrem przychodził, żonę mu teraz chce wykorzystać. „Idź na to spotkanie – powiedział do żony – a my już go tam dopadniemy”. Poszedł Leon Kruczek na umówione spotkanie i ona przysłała, a stało się to we wtorek, gdy doktor Niegłowicz właśnie do swego domu wrócił z ośrodka zdrowia w Trumiejkach. Uciekał z młodnika Leon Kruczek, a za nim goniło aż czterech drwali – Jarosz, Ziętek, Cegłowski i Stasiak, wszyscy czworo co w jednym domu z Jaroszami mieszkali. Słoneczko połyskiwało na ostrzach siekier i tasaka, a Jarosz miał nóż w rękę i przedzierając się przez młodnik krzyczał, że jaja wyrznie Kruczkowi. I byłoby się to niechybnie stało, ponieważ Jarosz miał długie nogi i szybciej biegł od Kruczka, ale ten dopadł ogrodzenia przy domu doktora, przeskoczył przez nie i, niepomny, że dwa wilczury Niegłowicza wyrrywają mu mięso z łydek, wdarł się na ganek, a potem wbiegł do salonu, gdzie doktor jadł obiad. Ukląkł przed doktorem i błagał go o ratunek.

Niegłowicz wstał od stołu, wyjął z szafy swoją włoską dubeltówkę kurkową i wyszedł przed dom. Zobaczył za bramą czterech czerwonych od gonitwy drwali. Jarosz wymachiwał nożem, a inni siekierami i tasakiem. Psy rwały się do nich po drugiej stronie płotu, ale im – z takim uzbrojeniem – niestraszne były ich kły i wściekły charkot.

– Niech doktor psy zamknie, bo im się krzywda stanie – powiedział niegrzecznie Paweł Jarosz.

– Jaja chcemy wyciąć Kruczkowi – roześmiał się Stasiak.

Zdziwił się doktor nagłej odwadze Stasiaka. Sześcioro dzieci miał. To szóste, mówiono, od gajowego Widłaga. Nawet podobne było do Widłaga, gajowy wcale się tego podobieństwa nie wypierał. A przecież jak o tym powiedzieli Stasiakowi, to tylko łeb smutnie spuścił i podniósł go dopiero wtedy, gdy gajowy Widłag dał mu papierosa, aby sobie zapalił i uspokoił nerwy. Ale w gromadzie odwagi nabrał i może zdało mu się teraz, że Jarosz wytnie jaja nie Kruczkowi, ale Widłagowi.

– Patrzcie na duży sęk na tamtej sośnie – rzekł im doktor, wskazując sosnę po drugiej stronie drogi. – Powiadają, że ze strzelby na sto kroków między oczy człowiekowi trudno trafić. Spróbuję sęk ustrzelić.

I oddał jeden bardzo głośny strzał, lecz sęk pozostał na sośnie.

– Nie trafiłem – stwierdził doktor.

I znowu długo celował, mierząc w sęk na sośnie. Drwale zaś stali za bramą i patrzyli to na strzelbę, to na sęk.

Opuścił doktor dubeltówkę.

– Szkoda kuli – rzekł. – I tak pewnie nie trafię.

Zauważył nadchodzącą Lucynę Jarosz. Kroczyła wolno na długich i pałkowatych nogach, dumnie wypięła wielkie brzuszysko, syta zemsty i rada, że aż czterech chłopów jej cnoty broniło. W młodniku nawet nie zdążyła powiedzieć choćby jednego słowa do Kruczka, bo zaraz jej chłop i inni wyskoczyli zza krzaków, a Kruczek rzucił się do ucieczki. Wracała wolno, chciała bowiem, żeby Kruczka w międzyczasie dopadli i na śmierć go zatłukli. Myślała nawet przez chwilę, że jakby jej mąż poszedł za to do więzienia, nie musiałaby już jeździć do Bart, ale ten i ów mógłby do niej przyjechać taksówką.

– A macie wy, Jarosz, pasek? Czy może portki na szelkach nosicie? – zapytał doktor.

– Mam pasek, panie doktorze – odpowiedział Jarosz, nie spuszczać wzroku z dubeltówki doktora.

– To wyjmijcie go z portek – zaproponował doktor – i wlepcie babie dziesięć razów na tyłek. Nie weźmie pies suki, jak mu się suka nie nadstawi. Ja też różnym spotkania proponuję, ale jak baba nie chce, to nawet i nie słucha mojego gadania.

– To racja, doktorze – zgodził się Stasiak. – Ja swoją sukę też czasem leję. Ale Jarosz żonę oszczędza.

– Nie oszczędzam – oburzył się Jarosz. – Zobaczycie, że nie oszczędzam.

– No to jazda, na co czekacie? – zachęcił ich doktor. – Ja też sobie popatrzę.

Aż zatoczył się Jarosz od wściekłości, która nim miotła i nie mogła znaleźć ujścia z powodu dubeltówki doktora. Wbił nóż w sztachetę płotu, doskoczył do swojej kobiety, która mimo nich właśnie dumnie kroczyła na swych pałkowatych nogach.

– Trzymajcie ją – wrzasnął, ponieważ pazurami mu do twarzy sięgnęła. Rzucili na ziemię siekiery i tasak, babę przytrzymali we czwórkę. Siłą jej głowę do ziemi przygnietli. Sam Jarosz kieckę zadarł, aż żółty i chudy tyłek bez majtek zobaczyli.

– Raz... dwa... trzy... – liczył doktor, słuchając głośnego klaskania paska na tyłku Jaroszowej.

Kobieta wrzeszczała tak straszonym głosem, że aż psy doktora zaczęły wyc.

– Pięć! – wyliczył doktor. – To jej wystarczy.

Ale Jarosz szósty raz jej przyłożył i chciał przyłożyć jeszcze siódmy, doktor jednak wyszedł za bramę i rękę z paskiem mu przytrzymał.

– Chudy ma tyłek, to ją bardzo boli – wyjaśnił.

Puścili Jaroszwą, a ta najpierw na ziemię upadła, a potem, wciąż rycząc przeraźliwie, podniosła się i zataczając ruszyła w stronę wsi.

– To była dobra robota – stwierdził doktor. – Więzienie was wszystkich czekało za zabicie Kruczka. A tak oto i sprawiedliwość się dokonała.

– Poprawię jej w domu – pogroził pięścią Jarosz za odchodzącą żoną.

– A pewnie – przytaknął doktor. – Kruczek u mnie w salonie siedzi i robi pod siebie ze strachu. Wziąłem od niego okup na litr wódki, żeby cała ta sprawa tak na sucho mu nie przeszła. Macie tu za fatygę.

Wyjął doktor z portfela trzy banknoty i podał Jaroszwowi.

– Uciekał i robił pod siebie. Sam widziałem – radował się Stasiak.

– Szkoda byłoby iść do więzienia – przypomniał im doktor.

– Siedzieć za takiego śmierdziela? – dziwił się Jarosz, że mu w ogóle przyszło do głowy, aby gonić Kruczka po lesie z nożem.

Ziętek powtarzał w zadumie:

– Zrobił pod siebie u doktora, coś takiego...

Jarosza parzyły w ręce banknoty, które dostał od doktora, Miętosił je w rękę i coraz to znacząco spoglądał na Ziętka i Stasiaka.

– Zaraz sklep zamknie Smugoniowa, bo kartkę wywiesiła, że do Bart wyjeżdża – przypomniał pozostałym.

Uklonili się grzecznie doktorowi, podjęli z ziemi siekiery i tasak, a Jarosz wyciągnął ze sztachety swój nóż. Śpiesznie ruszyli w stronę wioski, bo w rzeczy samej późno już było, a Smugoniowa wcześniej dziś sklep zamykała.

Powrócił doktor do salonu, wysłuchał od Makuchowej cierpkich uwag, że obiad wystygł, a odgrzewany gorzej będzie smakował. Kruczek siedział na krześle, podciągnął nogawki spodni i oglądał krwawe ślady po psich kłach. Tedy zabrał go doktor do swego gabinetu, opatrzył rany i doradził, aby Kruczek polami do swego domu wrócił.

Tymczasem Jarosz i jego kompani zdążyli do sklepu przed zamknięciem i z wielkim zadowoleniem kupili litr wódki. Uznali, że w ten sposób sprawa została załatwiona honorowo. A że na ławeczce przed sklepem jak zwykle siedzieli – Antek Pasemko, cieśla Sewruk, stary Kryszczak i młody Galembka, z wielką przyjemnością i z drobnymi szczegółami, częstując się wzajemnie wódką, opowiedzieli, w jaki sposób doszli do owego litra.

– Osaczyliśmy go w młodniku jak zającą – rozprawiał Paweł Jarosz. – Nawet nie miał czasu porozmawiać z Lucyną, a już do niego wyskoczyliśmy z ukrycia. Uciekał i

robił pod siebie ze strachu.

– Jaja mu chcieliśmy wyciąć – chwalił się Stasiak.

– Tak. Tym nożem – wymachiwał Jarosz ręką, a ostrze noża połyskiwało w słońcu.

Mieliśmy go schwytać, obalić na ziemię i wykastrować jak ogierka – cieszył się Stasiak. – Żeby więcej szkód wśród naszych kobiet nie czynił. Tylko że doktor nas zatrzymał, grzeczną rozmową zabawił i wziął dla nas od Kruczka na litr wódki.

– Słusznie się nam to za gonitwę należało – przytakiwał Ziętek. Podobała się ta sprawa cieśli Sewrukowi, choć nie wyobrażał sobie, jakby to on, w swych szmacianych butach, mógł gonić kogoś po młodnikach. Mniej się podobała młodemu Galembce, jako że i on od obcych kobiet lubił skorzystać i przerażała go myśl o wycinaniu jąder za cudzołóstwo. Stary Kryszczak powiedział szczerze:

– Dobrze zrobiliście z Lucyną. Jej się należało dać w tyłek. Nie musiała pójść w młodnik, jeśli nie chciała. Kruczek nie jest niczemu winien.

– Ale jaja dobrze byłoby takiemu wyciąć – powtarzał zachwycony tą myślą drwał Stasiak.

Antek Pasemko zzieleniał na twarzy. Był może wrażliwszy niż inni i zaraz przedstawił siebie, jak to gonią człowieka po lesie, jak go na ziemię obalają, ostrym nożem worek z jądrami wycinają.

– Wracam na Wyrbrzeże. Tam znowu podejmę robotę – oświadczył ni stąd, ni zowąd. Zdumiał się młody Galembka, który bał się wszelkiej roboty.

– A czy ci to źle u nas, chłopie? Matka ci daje jeść za darmo, nic się w domu nie narobisz, a tam pracować każą.

– Nie chcę tu być. To wstrętna wioska – odparł stanowczo.

W dwa dni później doktor Niegłowicz jechał rankiem do ośrodka zdrowia w Trumiejkach i na przystanku przed sklepem zauważył Lucynę Jarosz z wielkim jak skrzynia kartonem, w którym chciała zawieźć swój telewizor do naprawy. Równocześnie z doktora samochodem podjechał na przystanek i autobus, ale Jaroszowi pomyślała, że doktora gazikiem za darmo i prędzej dostanie się do Trumiejek. Zatrzymała więc Niegłowicza i zapytała go, czy nie mógłby jej podwieźć.

Niegłowicz na oczach wielu ludzi wysiadł ze swego gaza i obwieścił głośno, aby wszyscy słyszeli:

– Kobieta może w naszych czasach robić ze swoim tyłkiem, co się jej podoba. Ale oprócz tyłka kobieta powinna mieć i honor.

To mówiąc wszedł do samochodu i odjechał do Trumiejek bez Jaroszowej i jej zepsutego telewizora.

Usłyszał słowa doktora kierowca autobusu i, zaciekawiony, zaczął wypytywać ludzi, czemu to doktor tak lichy potraktował kobietę z telewizorem. Zaraz też znaleźli się tacy, co mu opowiedzieli, jak to Jaroszowi miała kochanka, a gdy ten się jej znudził, mężowi i jego kolegom o nim opowiedziała i w pułapkę go wprowadziła.

Gdy przysła więc pora odjeżdżać do Trumiejek i ludzie zasiedli w autobusie, dźwigać też do niego zaczęła Jaroszowi karton z zepsutym telewizorem. Wtedy rzekł do niej kierowca:

– Zalecenie jest odgórne, aby nie wozić telewizorów, bo zdarza się niejednokrotnie, że kineskop nagle wybucha i ludzi rani.

Zamknął przed Jaroszwą drzwi autobusu i ruszył w drogę, a ona stała z pudłem na przystanku do południa. Aż wreszcie zabrał ją jakiś nietutejszy kierowca ciężarówki. I nikomu nie było żal, że tak długo stała na swych pałkowatych nogach, albowiem prawdziwie zostało powiedziane, że kobieta oprócz tyłka musi mieć także i honor.

Tego samego dnia, tylko innym autobusem i w innym kierunku, to jest do Bart, odjechał Antoni Pasemko, aby na Wybrzeżu podjąć znowu pracę. Miał w domu co jeść i nie musiał ciężko pracować, ale nie chciał żyć w tak wstrętnej wiosce jak Skiroławki.

O TYM, ŻE NAWET KOBIETA NIEMŁODA ŻYCIE SOBIE UŁOŻYĆ MOŻE

– A czy pan wie, doktorze, co mówią ludzie o panie Brygidzie i jej dziecku? – paplała pani Henia, pielęgniarka, kiedy doktor skończył przyjmowanie pacjentów w ośrodku zdrowia w Trumiejkach i w związku z tym, że wybierał się na urlop, pozostał trochę dłużej w gabinecie, aby uporządkować swoje papiery. Pani Henia też robiła porządek w szafce z lekarstwami i paplała do doktora jak to kobieta:

– Boją się mężczyźni panny Brygidy, choć jest najpiękniejszą kobietą w okolicy. Nikt jednak lepiej od niej i zręczniejszy nie wyczyści byczka lub ogierka. Zbliżyć się więc do niej i zrobić jej dziecko musiał ktoś bardzo odważny. A kto jest najodważniejszym człowiekiem w całej gminie Trumiejki? Któż, jak nie nasz komendant, pan Korejwo. Gołymi rękami potrafi schwytać bandytę albo i największego łobuza. Dlatego niektórzy powiadają, że dziecko panny Brygidy jest od komendanta Korejwy.

– Głupstwa mówią, pani Heniu. Co innego łapać bandytów gołymi rękami, a

co innego zrobić takiej kobiecie dziecko – pomrukiwał doktor, układając papiery w szufladach biurka.

– To prawda, doktorze – zgadzała się z nim pani Henia. – Pan Korejwo ma brzydką żonę, a panna Brygida to najpiękniejsza kobieta w okolicy, i do tego świetnie zarabia. Gdyby jej zrobił dziecko, to by się z nią ożenił, nawet jeśli mu kazali pożegnać się ze stanowiskiem komendanta posterunku. Dlatego inni ludzie gadają po cichu, że dziecko zrobił jej taki, co się z nią w żaden sposób ożenić nie może. Czy wie pan, kogo mają na myśli?

– Nie mam pojęcia.

– A kogóż by, jeśli nie proboszcza Mizererę? Piękny mężczyzna z naszego proboszcza. A żenić się nie może. To fakt.

– Znowu głupstwa słyszę, pani Heniu – trochę gniewnie odezwał się doktor. – O każdym proboszczu ludzie snują rozmaite domysły. Trumiejki to jednak mała osada. Tu nic się nie ukryje przed wzrokiem ludzkim. Widzieliby ludzie, jak proboszcz albo komendant zachodzą wieczorkiem do panny Brygidy.

– Nie wszystkiego się dopatrzeć można – zaoponowała pani Henia. – Brygida mieszka nad ośrodkiem zdrowia. Już po południu nikt tu nie zachodzi, a budynek stoi na uboczu. Można do niej tak wejść, że nikt nie zauważy.

Rozsierdził się doktor na panią Henię i krzyzczył na nią zaczął:

– Tylko głupstwa i plotki pani w głowie! A w gabinecie pełno kurzu. Nie dziwię się teraz, że mi dziś czystych igieł brakowało. Plotkami się pani zajmuje, zamiast igły wygotować! W szafkach brudno, parawan aż szary od kurzu! Na urlop idę, a tu taki bałagan. Nie życzę sobie, abym w podobnym stanie zastał to miejsce po moim powrocie!

Pani Henia weszła za biały parawan i chlipać głośno zaczęła. Żal się jej zrobiło doktorowi, począł przeproszać za to, że tak się uniósł. Ale pani Henia nie dlatego płakała, że doktor na nią krzyzczał, gdyż często się to zdarzało, ale tak w ogóle od pewnego czasu smutno jej było na sercu i stąd na płacz jej się zebrało.

– Niech pan doktor na mnie popatrzy – powiedziała płacząc i rozpinając biały fartuch, pod którym tylko biustonosz i majtki nosiła. – Niecałe czterdzieści lat mam, ale z powodu trójki dzieci piersi już mi obwisły, brzuch stał się duży i pomarszczony, uda są zdeformowane. Mój mąż, magazynier, nie chce na mnie wchodzić, bo powiada, że nie życzy sobie więcej dzieci, ja zaś żadnych pigułek nie biorę. Jakże ja mam przez cały miesiąc łykać pigułki, skoro on rzadziej niż raz na dwa miesiące chce mieć ze mną przyjemność? Truć się będę pigułkami, a i tak nic z tego mi nie przyjdzie... Myślę sobie, że on nie z powodu tych pigułek na mnie nie wchodzi, tylko piersi obwisłych

i ud niekształtnych. A mnie się chce tak samo jak kiedyś, a może jeszcze więcej niż kiedyś. Mogłabym mu teraz dawać lepiej niż dawniej, bo doświadczenie mam większe i mniej jestem wstydliva, ale on nie chce z tego skorzystać. Co ma robić taka jak ja kobieta, niemłoda już i z obwisłymi piersiami, jeśli jej się chce jak młodej albo i jeszcze więcej? Przed telewizorem zasiadam, żeby popatrzeć jak się inni ludzie kochają. Ale tam to pokazują tylko młode i ładne kobiety, które się kochają i różne z tego powodu mają kłopoty. Czy widział pan kiedy, żeby pokazali taką, która ma obwisłe piersi, duży brzuch, troje dzieci, ale kochać się chce jak młoda? Pośmiewisko z takiej sobie robią, jeśli już ją kiedyś pokażą na ekranie. Gdy starszy mężczyzna zakocha się w młodzieńkiej, to mu wszyscy współczują, mówią, że wielki dramat przeżywa. A jak stara się zakocha w młodym chłopcu, śmiech tylko z tego jest i drwiny. „Patrzcie ją, powiadają, piersi ma obwisłe, brzuch duży, uda zdeformowane, troje dzieci urodziła i młodzieńca sobie upatrzyła”. Czy to jest sprawiedliwe, doktorze? Kogóż ma ona sobie upatrzeć, jeśli starsi mężczyźni tylko za młodymi kobietami się oglądają? Mogłabym pigułkami się truć albo i spiralę sobie włożyć, żeby mąż choć raz w tygodniu na mnie się położył. Ale po cóż mi tyle zabiegów, jeśli on raz na dwa miesiące to robi?

Doktor zapiął guziki fartucha pani Heni, bo w rzeczy samej nie było miło spoglądać na jej obwisłe piersi, brzuch duży i brzydkie uda. Czuł się bezradny wobec jej żalów, ale i doskonale ją rozumiał:

– Przed telewizorem nie warto siadać, pani Heniu. Sama pani zauważyła, że nic mądrego o prawdziwym życiu tam nie ma. Już lepiej przejść się po ulicy, między ludźmi się pokręcić. Spiralę zaś radzę włożyć i jak wrócę z urlopu, to tę sprawę osobiście pani załatwię. W Skiroławkach nie same młode i ładne żyją, a przecież wszystkie kobiety jakoś sobie życie układają. Nie z tym, to z tamtym, nie głośno, to po cichu. I nie ma takiej kobiety, choćby i najbardziej obwisłe piersi miała, duży brzuch i zdeformowane uda, żeby jak chce, amatora na siebie nie znalazła. Jak nie na trzeźwo, to po pijanemu. A nawet znam taką, o dziesięć lat od pani starszą, która już miesiączkę straciła, co sobie teraz dogadza do woli z kim chce i ile razy chce. Powiedziałbym nawet, że w naszej wiosce starsze niewiasty szaleją bardziej niż te młode. I większe bywa na nie wzięcie, gdyż, jak to pani słusznie zauważyła, mają większe doświadczenie i są mniej wstydlive. Nie ma nic gorszego na świecie dla niemłodej kobiety, jak w telewizor się gapić, z życia zrezygnować, łzami się zalewać. Ech, pani Heniu – westchnął doktor. – Swoją tyłek pani w fotel przed telewizorem usadza, zamiast z nim między ludzi pójść, pokręcić trochę i nie oszczędzać. Bo tyłek babski, pani Heniu, to nie skarbonka, chociaż ją trochę przypomina.

Doktor powiesił swój fartuch lekarski, klucze od biurka położył na szafce. Obiecał pani Heni, że z własnych zasobów przywiezie jej po urlopie zagraniczną spiralę i odjechał do domu. Meteorolodzy zapowiadali wielodniowy wyż, cieszył się doktor myślą o odpoczynku, o wypadach na jezioro swoim jachtem, o spotkaniach i rozmowach z pisarzem Lubińskim, do którego znowu na jakiś czas przyjechała w gości panna Elwira, przyjaciółka żony pisarza.

Późnym wieczorem odłożył czytaną książkę i jak złodziej wymknął się przez taras do ogrodu.

W domu Justyny nie paliło się światło, drzwi do mieszkania były jednak otwarte. Wszedł do izby i w ciemnościach przewrócił mały zydelek, który z hałasem upadł na podłogę. Młoda kobieta leżała naga pod pierzyną i czekała na jego przyjście, bo błagała o to swego Kłobuka. Westchnęła głośno, gdy chłodne palce doktora wślizgnęły się pod pierzynę i dotknęły jej piersi. Doktor przylgnął do twardego brzucha, policzkiem otarł się o szorstkie od włosów łono. Ogarnął go znowu zapach szaławii, mięty i piołunu, poczuł w sobie ogromną radość, a także niezwykły spokój. Wiedział, że już pokochał to swoje milczące pożądanie i zanim wszedł w obrzmiałe pragnieniem ciało Justyny, pomyślał, że ci, którzy potrzebują słów dla wyrażenia miłości, być może nie pożądamy dostatecznie mocno. Tak kochał w młodości Gertrudę Makuch, a później Annę. Dopiero potem nauczył się mówić o miłości z kobietami, które brał w objęcia, ponieważ słowa pomagały wypełnić pustkę między jednym a drugim wytryskiem nasienia.

O TYM, ŻE WIELU CHCE KOCHAĆ, LE CZ MAŁO KTO KOGOŚ LUBI

Renata Turoń co noc siadywała w oknie na piętrze domu gajowego Widłaga i wpatrywała się w jezioro. Męczyło ją to, gdyż następnego dnia czuła się senną i osłabioną. Dlatego pewnego przedpołudnia wzięła swojego chłopaka oraz kazała iść za sobą mężowi i udała się do domu doktora po lekarską poradę. Gertruda Makuch oświadczyła jej, że doktor jest na urlopie, ale pani Turoń miała tytuł naukowy i przyjechała do Skirolawek ze stolicy, co ją we własnym przeświadczeniu uprawniało do traktowania nieco z góry jakiegoś tam wiejskiego lekarza. Tedy obeszła cały dom i wraz z dzieckiem i mężem weszła na taras, gdzie Niegłowicz opalał się na leżaku i

przymrużonymi od słońca oczami śledził na jeziorze biały jacht pisarza Lubińskiego.

Doktorze, cierpię na bezsenność – poskarżyła się, kokieteryjnie przekrzywiając swoją dużą głowę z utlenionymi włosami. – Co wieczór siadam w oknie i do późna w noc patrzę na jezioro.

Na tarasie była długa ławka. Natychmiast usiadł na niej Roman Turoń, który idąc tak jakoś dziwnie stąpał, jakby właśnie zrobił w spodnie. Miał, podobnie jak żona, bardzo dużą głowę i kwadratowe szczęki, które nadawały jego twarzy wyraz powagi i stanowczości. Tuż za nim przycupnął na ławce mały Turoń, w sposobie chodzenia przypominający ojca. Tylko pani Turoniowa stała przed doktorem w postawie wyprostowanej, z rękami wspartymi o biodra. Była dumna ze swej rosłej figury, grubych ud i wyniosłej postaci; latem od rana do wieczora nosiła obcisłe szorty, aby jej kształty były dla każdego widoczne. Niestety, obecnie krawcowa uszyła szorty zbyt obcisłe, uwierały ją w kroku i jedynie wzgląd na dobre obyczaje powstrzymywał ją przed nieustannym obciążaniem króciutkich nogawek i poprawianiem majtek, wpijających się w ciało. Jedyne co pani Turoniowa miała do zarzucenia swej urodzie, to małe piersi i mnóstwo piegów na ramionach i plecach, które kryła pod barwnymi sweterkami i bluzeczkami. Z tego też względu opalała się w miejscach odosobnionych, acz widocznych, aby nie napadł na nią tajemniczy morderca.

– Nie wysypiam się, a potem cały dzień czuję się zmęczoną i jakby omdlałą – wyjaśniła.

Doktor zwrócił uwagę, że na jeziorze Lubiński wykonał świetnie zwrot przez rufę.

– Ja też ostatnio bardzo źle sypiam – powiedział, obrzucając kobietę roztargnionym spojrzeniem. – Radzę przebadać się w ośrodku zdrowia w Trumiejkach. Rzecz jasna, mogę pani zapisać łagodne środki nasenne, ale nie wypada czegoś takiego łykać na wczasach. Wieczorem winna pani czytać jakąś nudną książkę. Najlepiej o miłości.

Od strony ławki, gdzie siedział Turoń, rozległo się lekkie burknięcie. Doktor powinien był już od dawna wiedzieć, że wkracza na niebezpieczny temat. Od dziesięciu lat Renata wszystkim dookoła bez przerwy mówiła, że jest osobą złąknioną wielkiej i prawdziwej miłości.

– Pan żartuje, doktorze – uśmiechnęła się szeroko Turoniowa i delikatnie poruszyła biodrami. – Książki o miłości nie są nudne.

Pani Renata miała grube i duże usta, wyglądała na kobietę bardzo namiętą; raz czy dwa podczas jej uprzednich pobytów w Skiroławkach doktor nawet pomyślał o niej w swej samotności, ale przykra dolegliwość, jaka z jej powodu spotkała młodego Galembkę, podziałała na niego odstraszająco. Docenił więc Niegłowicz ostrzegawcze

burknięcie jakie wydały trzewia jej męża, nastąpiło ono jednak zbyt późno.

– Mówiąc o książkach miłosnych ma pani zapewne na myśli opisy perypetii seksualnych dwojga lub trojga ludzi. Takie historie z natury rzeczy budzą ogólne zainteresowanie. Natomiast przedstawianie prawdziwej i wielkiej miłości siłą rzeczy bywa ogromnie nudne. Proszę zapytać pana Lubińskiego, który od dłuższego czasu pisze miłosną powieść. Napotyka na taką ilość przeszkód, że wątpię, czy kiedykolwiek ukończy swe dzieło.

– Ludzie na ogół niewiele wiedzą o miłości – westchnęła Renata Turoń. Szorty bardzo ją piły w kroku, ale nie wypadało sięgać ręką między nogi. Zsunęła więc nieco szorty w dół i ukazała pępek – duży i bardzo głęboki. Stał się taki od czasu, gdy urodziła dziecko. Nie potrafiła, mimo wielu diet, zwalczyć w sobie zadziwiającego procesu, który sprawiał, że cokolwiek zjadła, zaraz na tym brzuchu odkładało się to w formie tłuszczu i czyniło pępek tak rozległym i głębokim, że przypominał małżowinę uszną małego dziecka.

Doktor zawiesił spojrzenie na jej pępku, potem jednak skierował swój wzrok znowu na jacht pisarza, manewrujący na jeziorze. Wszystko wskazywało na to, że Lubiński kieruje swój jacht ku przystani doktora.

– Miłość, proszę pani – zaczął Niegłowicz – to nie jest, jak mylnie się na ogół sądzi, jakieś jedno wielkie uczucie, lecz cały ogromny zespół uczuciowy. Składa się on z tylu elementów, z ilu elementów zbudowana jest osobowość jakiegoś człowieka. W miłosnej tkance tkwią warstwy przeżyć z dzieciństwa, dojrzewania seksualnego, wrażeń z lektur i cech ukształtowanych w procesie wychowania. Nie należy także lekceważyć pewnych predyspozycji genetycznych, innych u każdego osobnika ludzkiego. W tym zespole uczuciowym niektóre elementy mogą wysunąć się na plan pierwszy i nadawać ton dominujący, inne zaś kryją się w cieniu. Gdyby ktoś potrafił specjalnym skalpelem zrobić preparat miłosnej tkanki i zabarwić ją, być może okazałoby się, że miłość każdego człowieka posiada inny kolor. Bywa miłość czerwona, żółta, zielona, biała, biało – czerwona lub szarozielona, proszę sobie wyobrazić wszystkie barwy światła i do tego przemieszane ze sobą. Stąd zapewne tyłu pisarzy mówi o miłości dobrej lub złej, niszczącej lub budującej, miłości szalonej lub rozsądnej. Obraz miłości jakiegoś człowieka jest odbiciem jego osobowości. Dlatego w książce o miłości nie wystarczy stwierdzić, że ktoś się w kims zakochał, a tamten odwzajemnił mu swoje uczucia, gdyż, jak to wspominałem, mamy do czynienia z całym zespołem uczuciowym, z tkanką pełną rozmaitych warstw, przeżytych doświadczeń, wrażeń powstałych w procesie kształtowania osobowości. Jeśli ktoś zaprezentuje tę sprawę w sposób

uczciwy i pełny, prawdopodobnie znudzi czytelnika. Niestety, wokół tego problemu narosło mnóstwo nieporozumień, polegających przede wszystkim na tym, że usiłuje się miłość wartościować. Czy można jednak kolor różowy stawiać wyżej nad brunatny czy żółty? To sprawa upodobań, czyż nie tak? Dłaczegóż to miłość sięgająca aż po grób ma być lepsza od tej, która trwała tylko godzinę? Wszak ta sprawa zależna jest od cech osobniczych. Ktoś mściwy i długo pamiętający o wyrządzonej mu krzywdzie będzie też zapewne długo krył w sercu swoją miłość. Ktoś inny równie łatwo zapomni o krzywdzie jak i o ukochanej kobiecie. Czy należy mieć do nich o to pretensję?

Do przystani doktora dobił biały jacht pisarza. Panna Elwira i pani Basieńka już szły przez łąkę w kierunku tarasu, pisarz zaś mozolił się przy pacholku, cumując jacht z rozpostartym żaglem, który głośno łopotał na wietrze i szarpał się gwałtownie.

– Ta kobieta, podobno, za pieniądze rozbiera się publicznie w nocnych lokalach stolicy – Turoniowa na widok Elwiry nieco pogardliwie odeła grube wargi.

Doktor nic nie odrzekł. Pani Basieńka – w wążutkich czarnych majteczkach i tak samo wążutkim czarnym biustonoszu – wskoczyła lekko na taras. Przy każdym kroku i szybszym ruchu odnosiło się wrażenie, że jej piersi wyskoczą ze stanika i objawią się w całej swej krągłości. Turoń czekał na to i w kącikach ust pojawiła mu się ślina.

Elwira wstąpiła na taras z gracją estradowej aktorki, odrobinę kołysząc się w biodrach. Była w obcisłych dzinsach i szarej bluzeczce, starannie zapiętej pod szyją. Jasne długie włosy zaczesane miała w warkocz. W łagodnym owalu twarzy, nieśmiałym uśmiechu drobnych ust i wstydliwym spojrzeniu niebieskich oczu było coś z niewinnej, dojrzewającej dziewczynki. Ale duże piersi mocno rysowały się pod bluzką i dlatego tak była ceniona w nocnych lokalach stolicy.

Nadbiegł zadyszany pisarz Lubiński, opalony na brąz ogromny mężczyzna, z wypłowiałą na słońcu grzywą włosów. W ciasnych slipkach wyraźnie rysowało się coś dużego. Pani Turoniowa natychmiast to dostrzegła i nie wiedzieć czemu, poczuła się przez Lubińskiego obrażona.

– Nie wolno marnować pięknej pogody, doktorze – powiedziała pani Basieńka. – Proponujemy wycieczkę w dwa jachty aż na Piaszczystą Ostrogę.

– Basieńka popłynie z panem, a ja z Elwirą. Tak będzie ciekawiej – oświadczył Lubiński.

Za te słowa Elwira obdarzyła pisarza najbardziej wstydliwym ze swych uśmiechów, co odrobinę zaniepokoiło Basieńkę. Już drugi raz w tym roku Elwira przyjeżdżała do nich w gościnę. Była najlepszą przyjaciółką Basieńki, ale czy tylko przyjaźń sprowadzała ją do nich? Podobny wstydlivy uśmiech otrzymał jednak i doktor Niegłowicz, a także pan

Turoń, jak również jego mały chłopiec. Była to więc część zawodowych umiejętności Elwiry i to rozproszyło w Basieńce wszelki niepokój o męża. Nie wiedziała, że dla Elwiry wszyscy mężczyźni, starzy czy młodzi, byli jak dorastający chłopcy, spragnieni nieprzyzwoitych obrazków, niezręczni, zakłopotani. Mężczyźni wypełniali serce Elwiry ogromną troskliwością i dobrocią, kochała ich łapczywe spojrzenia i z trudem opanowywany zachwyty, kiedy stawała przed nimi nago w świetle kolorowych reflektorów. Największą zaś tkliwość budził w niej pisarz Lubiński – bezradny i nieśmiały olbrzym – którego bez przerwy krzywdziła jej przyjaciółka Basieńka, żądając od niego (z czego jej się kiedyś zwierzyła) tak wiele i tak często, podczas gdy ona, Elwira, nigdy niczego od mężczyzn nie żądała.

– Piękną mamy dziś pogodę – odezwała się Renata Turoń. – Należy korzystać ze słońca. Pani się nigdy nie rozbiera? – z tym dwuznacznym pytaniem zwróciła się do Elwiry.

Z ławki odezwało się kolejne burknięcie Turonia. Zakłopotaną minę miał doktor Niegłowicz. Zafrasował się Lubiński, a pani Basieńka cichutko zachichotała.

Elwira i panią Turoniową obdarzyła nieśmiałym uśmiechem.

– Mój szef nie pozwala mi opalać się w kostiumie kąpielowym, a tu nie ma solarium. Nieładnie się wygląda na estradzie z białymi plamami po kostiumie. – Znam takie miejsce, gdzie można się opalać nago – odezwała się pani Renata. – Robię to często i panią zapraszam.

– Brzydę się widokiem nagich kobiet odparła Elwira z tym samym przeproszającym, nieśmiałym uśmiechem. – Na plaży nudystów w Bułgarii czułam się po prostu okropnie.

– To dziwne – stwierdziła pani Turoniowa. – Bo przecież, o ile wiem, rozbiera się pani publicznie?

– Tak. Ja się rozbieram, ale inni pozostają ubrani. Ma się wtedy zupełnie inne uczucie.

Mały Turoń patrzył na Elwirę z taką natarczywością, jakby chciał z niej zdjąć dzinsy. Dostrzegła to Turoniowa i coś jak zazdrość odezwało się w głębi jej duszy. Synek nigdy tak na nią nie patrzył, a przecież chciała, aby jeszcze przez długi czas była dla niego ideałem najpiękniejszej i jedynej kobiety.

– Chodźmy już do domu – rozkazała mężowi. – Do widzenia państwu. Szkoda, że pan doktor jest na urlopie. Spróbuję sama sobie poradzić z bezsennością.

Wzięła syna za rękę i naśladując ruchy panny Elwiry, lekko kołysząc się w biodrach, zeszła z tarasu i zniknęła za węglem domu. Za nią powlókł się Turoń – ostrożnie niosąc to coś, co znalazło się w jego spodniach.

– Romanie – rzekła z odrobiną gniewu do swego męża, gdy znaleźli się już na drodze w lesie – ci ludzie nie są dobrzy. Słyszałaś, co pisarz zaproponował doktorowi? Popłyną dwoma łódkami, Lubińska z doktorem, a pisarz z tą dziewczyną. „Tak będzie ciekawiej” zaproponował. Chyba się domyślasz, co on chciał przez to powiedzieć?

– Tak – mruknął Turoń i trzykrotnie, z dużą przerwą, zaburczał swoim zadem.

A tamci na dwóch jachtach wkrótce już minęli szeroki półwysep, gdzie kiedyś znajdowała się binduga, a teraz między drzewami rozpościerała się łąka, na której robotnicy leśni, a także wdowy po pracownikach leśnych, wypasali swoje cielęta i krowy. Tu także przebywała krowa Justyny; doktor pomyślał o nocy, poczuł radość i mocniej wybrał grot. Pani Basienka wychyliła się za burtę, rozchyłonymi nogami wsparła się o deski podłogi i także mocniej ściągnęła szot foka. Trzymając w dłoniach grubą linę, wygięła głowę do tyłu i słysząc, jak jacht doktora zaczyna z coraz głośniejszym szumem rozbijać fale, roześmiała się, pokazując doktorowi różowe prążkowane podniebienie i drobne małe ząbki. Rambler doktora szedł kursem na wiatr, wciąż szybciej i szybciej, a biały jacht pisarza pozostawał w tyle.

Elwira rozpuściła warkocz, pozwalając, aby wiatr rozwiał włosy, a potem zakrył nimi jej twarz.

– Szkoda, że ożeniłeś się z nią, a nie ze mną – odważyła się wyznać najskrytsze myśli. Była jak dziecko, które zakrywszy sobie twarz ma uczucie, że nikt go nie widzi.

– Ja też tego żałuję – powiedział smutnie Lubiński. – Zauroczyły mnie wtedy jej piersi. Siedziała na pomoście z nagim biustem, a ty nosiłaś stanik.

– Ona ma więcej seksu – przyznała Elwira. – A ja tego zupełnie nie lubię. Ty także, prawda?

– Lubię. Ale nie za często.

– Żaliła mi się, że nie robisz z nią tego tyle razy, ile ona by chciała. I za krótko.

– To prawda – przyznał Lubiński.

– Ja lubię krótko i bardzo rzadko. Ale naprawdę to w ogóle tego nie lubię.

– Zauroczyły mnie jej strome cycki – ze złością powtórzył Lubiński.

– Z tobą mogłabym to od czasu do czasu robić. Bo bardzo cię lubię, Nepomucenie. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo cię lubię. Czy lubić kogoś, to coś gorszego niż kochać.?

– Wszyscy ciągle gadają o miłości, ale tak naprawdę mało się lubią. Kochają się, ale się nie lubią.

– Ja też myślę, że lubić kogoś, to więcej niż kochać. Lubię na ciebie patrzeć i kiedy ty na mnie patrzysz. Lubię słuchać tego, co mówisz. Dla ciebie może polubiłabym

nawet to, czego tak nie lubię.

– Zauroczyły mnie jej strome cycki...

– Szkoda, że nie widziałeś moich – szepnęła.

I odgarnęła włosy z twarzy. Do tej pory odnosiła „wrażenie, że stąpa po niepewnym gruncie, jakby po mokradłach czy bagnie. Dopiero teraz znalazła pod nogami coś twardego i znajomego. Już nie musiała się wstydzić.

– Rozbiorę się dla ciebie, Nepomucenie – oświadczyła radośnie. Lubiński nie wyrzekł słowa. Szot foka starannie umieścił w knadze zaciskowej i poluzował główny żagiel, zabezpieczając się przed niespodziewanym uderzeniem szkwału. Odrobinę zmienił kurs, aby burta z Elwirą pozostawała w słońcu, z dala od cienia, który grot rzucał na kabinę i kokpit. Płynął baksztagiem, podczas gdy ciemny jacht doktora sunął szybkim kursem na wiatr. Oddalili się więc od siebie, lecz jemu było wszystko jedno, co żona i doktor pomyślą o jego umiejętnościach żeglarskich. Miał uczucie, że w tej chwili jest odważnym buntownikiem, który przeciwstawił się śmiało celom, jakie mu ktoś lub on sam wyznaczył. Przez owo nieustanne dążenie do jakichś z góry wyznaczonych celów, narzucających kurs najwłaściwszy, być może tak często mijał się z prawdą i szczęściem. Tak, to było chyba właśnie to – sedno klęski, jakiś mały punkt na horyzoncie, jakaś ciągle nowa Piaszczysta Ostroga, do której wciąż należało dążyć, zamiast odpaść od linii wiatru, zapomnieć o ostatecznym celu. Nigdy – nawet przed sobą samym – nie potrafił się przyznać, że tak naprawdę tęskni za kobietą zimną, dla której miłość z mężczyzną pozostawała sprawą obojętną; mogła z równą łatwością rozebrać się przed jednym lub setką mężczyzn, podobnie jak zjeść obiad we dwoje w zacisznym pokoju lub w wielkiej restauracji. On też nie pragnął miłości, ale pisał o niej, a także dążył do niej, jak do celu wyznaczonego mu przez poglądy innych ludzi. Być może lubić kogoś, rzeczywiście znaczyło więcej niż kochać, ale przyznanie się do takiej myśli mogło zostać odebrane jako popełnienie błędu w sztuce, wykazanie się brakiem podstawowych umiejętności właściwego widzenia świata. Tak, być może kochał Basieńkę, lecz jej nie lubił; nie kochał Elwiry, a jednak ją lubił. Co było lepsze, ważniejsze, piękniejsze? Co mogło dać większe szczęście? Jak nożem Pozdnyszewa raz po raz sztyletowano bohaterów i bohaterki literackie słowami: „Niestety, nie kocham, a tylko lubię”. Tymczasem być może czymś najpiękniejszym mogło stać się przebycie życia z człowiekiem, którego się tylko lubiło. Czyż miłość nie oznaczała nieustannych wzajemnych udręk, a także ciągłego lęku przed jej utratą, jak przed dewaluacją ogromnego majątku? Miłość wznosiła człowieka bardzo wysoko, zarazem jednak jak groźny był upadek z owych wysokości, jak ogromne cierpienie nosła zdrada

i konieczność rozstania...

– Niech się pan obejrzy do tyłu, doktorze – odezwała się pani Basieńka. – Nepomucen coraz bardziej oddala się od nas.

– To oczywiście, pani Basieńko – uspokajająco rzekł doktor. – Musi tak być, skoro płynie baksztagiem.

– Fatalne.

– Dlaczego? – zdziwił się doktor. – Jak pani wie, zawsze uważałem, że nie mają sensu dyskusje o wyższości beidewindu nad baksztagiem albo fordewindem. Sprawa zależy od tego, kogo się ma na pokładzie. Baksztag to bardzo dobry wiatr, pani Basieńko. Gdybym płynął z Elwirą, też bym się na niego zdecydował. Z panią jednak trzeba iść ostro na wiatr, to oczywiście.

– Może – westchnęła pani Basieńka, co chwila oglądając się za siebie.

Elwira przymrużyła oczy od blasku słońca. Ze wstydliwym uśmiechem na ustach, nieśmiałym gestem zaczęła wolno rozpinać guziki szarej bluzeczki, aż obnażyła Nepomucenowi pozbawione stanika piersi, podobne do połówek ogromnych rogali. Zdejmując bluzkę poddała ciało ku przodowi, aby mógł ocenić wzrokiem ich wielkość i ciężar, a także ukrytą w nich prężną siłę, nie pozwalającą im wiotczeć i opadać. Tym samym wstydliwym ruchem rozpięła zamek dzinsów i szybko ściągnęła je z siebie razem z białymi figami, rzucając odzież na kratownicę podłogi w kokpicie. Naga i piękna, z płaskim brzuchem i jakby zwiniętym w kłębek czarnym kotem, śpiącym jej między nogami, siedziała na burcie przed Lubińskim. Nagle otworzyła oczy, spotkała nimi wzrok mężczyzny i rozchyliła usta szepcząc coś do niego. Potem podniosła rękę ku włosom na głowie, jakby chciała je obronić przed porywami wiatru – i ten właśnie gest, bezbronny i łagodny, który poruszył jej ciężkimi piersiami, przeszył Lubińskiego pożądaniem większym niż widok jej bezwstydnego nagości. Chroniąc się przed wewnętrznym bólem uciekł Nepomucen wzrokiem w jezioro, na białe grzywy, na zieleni Czaplej Wyspy. Naga dziewczyna na burcie wydała mu się bezgrzeszną i niewinną, chłodną jak kłaczki piany zrywanej przez wiatr z grzbietów fal.

– Niech pan się obejrzy za siebie, doktorze – odezwała się pani Basieńka. – Elwira rozebrała się do naga.

– To oczywiście – odparł uspokajająco doktor. – Nie może opalać się w staniku i majteczkach. Menażer jej tego zabrania.

– Dlaczego nie zrobiła tego wczoraj, kiedy płynaliśmy w trójkę? Ja też bym się rozebrała. Wczoraj było równie wspaniałe słońce.

– Słusznie, pani Basieńko. Ale ona nie znosi widoku nagich kobiet.

– Zrobiła to specjalnie dla Nepomucena – ze złością stwierdziła pani Basieńka.

– To oczywiste – zgodził się doktor. – Pan Nepomucen rzadko bywa w stolicy, gdzie ona rozbiera się w „Astorii”. Musiałby zapłacić za ten sam widok aż pięćset złotych wstępu.

– Jeśli ona uczyniła to dla Nepomucena, ja mogę zrobić to samo dla pana, doktorze – powiedziała pani Basieńka.

– Nie trzeba. Naprawdę, nie trzeba – zapewnił ją doktor. – Niech pani raczej mocniej wybierze fok. Ja panią już kilka razy widziałem nagą w swoim gabinecie.

– To nie to samo – zasmuciła się pani Basieńka.

– Wiem, że to nie to samo – zgodził się z nią doktor. – Ale w tej chwili płyniemy ostro na wiatr i chcemy dobić do Piaszczystej Ostrogi. Naprawdę, powinna pani jeszcze bardziej wybrać fok.

– Niech się pan obejrzy, doktorze – boleśnie powiedziała pani Basieńka. – Obydwa żagle Nepomucena wpadły w łopot, ich jacht zaraz zniknie za drzewami Czaplej Wyspy. Po co oni tam płyną, doktorze? Ja też się zaraz rozbiorę do naga.

– Nie, nie! – prosił doktor. – Jeśli jakaś kobieta rozbiera się przede mną w takiej sytuacji, to natychmiast przychodzi mi na myśl, że ona chce, abym ją zbadał. Niechże pani nie psuje cudownego nastroju, w jakim jesteśmy. Zapewniam panią, że kobieta odrobinę ubrana bywa dla mnie niekiedy bardziej interesującą.

– Rozumiem – bez przekonania zgodziła się pani Basieńka.

Doktor mocniej ściągnął szot grota i jacht znalazł się w dużym przechyle. Wiatr gwizdał na wantach, zagłuszał syk piany na falach roztrącanych przez dziób. Raz po raz kolejne szkwały obsypywały ich kropelkami wody, chwilami fala zalewała przedni pokład i moczyła końce rozpuszczonych włosów Basieńki, która, wychylona do tyłu, trzymając szot foka, balastowała na prawej burcie.

– Hej! Hej! – krzyknął radośnie doktor, gdyż miał uczucie, że jacht wznosi się ku górze i szybkuje po czubkach fal.

– Hej! Hej! – odrzyknęła mu pani Basieńka, ciesząc się jego radością. Za Czapłą Wyspą trzciny głośno chrobotwały, ocierając się o kadłub jachtu Lubińskiego. Łódź weszła w trzciny od strony zawietrznej, żagle zwiślały bezwładnie, uspokojone dotknięciem gorącej dłoni upału.

– Żyjesz we mnie. Czuję, że żyjesz we mnie – na podłodze jachtu Elwira szeptała do ucha Nepomucena i palcami delikatnie pieściła jego skronie. Nie czuła przyjemności, ale jej zimne i otwarte oczy z jakąś ogromną czułością śledziły kropelki potu na czole mężczyzny.

– Żyj we mnie, żyj – zachęcała go.

Była szczęśliwa jego szczęściem i dopiero w chwili, gdy doznał rozkoszy, ogarnięta nagłym i krótkim podnieceniem, mocno przycisnęła wargi do jego ust.

– Uwaga! Zwrot przez sztag! – zawołał doktor.

Zawrócił za Piaszczystą Ostrogą i, zrzuciwszy główny żagiel, na samym foku podchodził z wiatrem do smugi białego piasku. Na skraju płycizny znowu dokonał zwrotu i stanął pod wiatr, strącając do wody kotwicę. Później wskoczył na przedni pokład i sklarował fał foka. W tym czasie pani Basieńka przeniosła na piaszczystą łachę dwa gumowe materace i, usiadłszy na jednym z nich, zwróciła głowę w kierunku Czaplej Wyspy. Zza kępy drzew już wypływał biały jacht Nepomucena.

– Szybko się uwinęli – stwierdziła z przekąsem. – Chyba pan nie sądzi, doktorze, że jestem głupia. Tam za wyspą Nepomucen przeleciał Elwira.

– To oczywiste – zgodził się z nią doktor, zeskakując z pokładu i chlapiąc wodą na mieliznie. – Elwira to bardzo ładna kobieta. Nie powinno się mężczyźnie żałować ładnej kobiety. Zresztą trzeba to pani wiedzieć, że ładne mają większe prawa.

– Naprawdę? – ucieszyła się.

– A tak – oświadczył, kładąc się na materacu, który już zdążył się nagrzać od słońca i aż parzył ciało. – U niektórych gatunków ptaków uroda warunkuje niewierność. Im ładniej bywa upierzona samica, tym bardziej samiec musi tolerować jej niewierność. Zresztą sama pani powiedziała, że on ją tylko przeleciał. Co innego przelecieć jakąś ładną kobietę, a zupełnie co innego ją pościć.

– Ma pan rację – zachichotała pani Basieńka. – Odniosłam wrażenie, że Elwira i Nepomucen bardzo się lubią. Dlatego nie będę mu robiła żadnych wyrzutów. Inna sprawa, gdyby ją posiadł.

– Bardzo słusznie – przytaknął doktor. – Jeśli ludzie się lubią, można im na wiele pozwolić.

Pani Basieńka zamyśliła się. Potem zerknęła na jezioro i coraz bliżej nadpływający jacht męża. Następnie uśmiechnęła się do doktora.

– Czy pan wie, że i ja pana bardzo lubię, doktorze?

– Domyślam się tego. Bo i ja panią bardzo lubię.

– Cieszy mnie to – oświadczyła pani Basieńka. – Bo przed małą chwilą miałam ochotę, aby mnie pan przeleciał. Prawda, że to nie było rozsądne?

– Oczywiście, pani Basieńko – zgodził się z nią doktor. – Taką kobietę jak pani należy pościć.

Zadowolona z odpowiedzi doktora położyła się plecami na materacu i poddała

słońcu swoje ciało. Nie wiedziała dlaczego, ale w tej właśnie chwili doznała uczucia głębokiej pewności, że nareszcie doktor dojrzał w niej kobietę, a także, co ważniejsze, jej zapragnął.

W kilkanaście minut później od strony zawietrznej dobił do ostrogi biały jacht Nepomucena. Elwira znowu była ubrana w dżinsy i szarą bluzeczkę starannie zapiętą pod szyją. Lubiński musiał ją przenieść na rękach z jachtu na ląd, aby sobie nie zamoczyła nogawek spodni. Na jachcie pisarza znajdowały się dwa termosy z obiadem oraz talerze i sztućce – jedli więc, rozmawiali, milczeli, ciesząc się jasnym niebem i silnym słońcem.

...Latem ludzie dzielą się słowami i milczeniem, rozsnuwając między sobą nic wzajemnego pożądania, bo przecież tak naprawdę nic innego nie mają sobie do ofiarowania.

O TYM, JAK RENATA TUROŃ, TAŃCZĄC NAGO, OCZEKIWAŁA NOCY MIESZANIA KRWI

Renta Turoń siedziała na stołeczku przy oknie na piętrze domu gajowego Widłaga i rozplaszczając nos na szybie spoglądała na okryte mrokiem jezioro. Była już głęboka noc i równie głęboka wydawała się jej ciemność za oknem. Ale chwilami, gdy nieco dłużej, nie mrugnawszy powiekami, wpatrywała się w noc, zdawało się jej, że w owej nieprzeniknionej czerni dostrzega kroplę blasku, ulotny mały błysk, jakby ktoś daleko zapalił zapałkę, która natychmiast zgasła od podmuchu wiatru. Czuła wówczas najpierw delikatny dygot swych ramion, a później drżeć zaczynały kolana, a uda pod sukienką opływały potem. Zaraz jednak uświadamiała sobie, że to w szybie odbija się refleks światła od skali włączonego radia, które stało na stoliku w pobliżu okna i sączyło dźwięki egzotycznej muzyki. Odwracając twarz od okna widziała w delikatnym poblasku radia zarys łóżka pod ścianą, gdzie spało jej dziecko, a pod drugą ścianą zarys drugiego łóżka, z oczekującą na nią chłodną pościelą. Toruń leżał na materacu rozłożonym w pobliżu drzwi i zapewne swoim zwyczajem spod przymrużonych powiek obserwował ją, tkwiącą na stołku przy oknie i zapatrzoną w noc. Mało ją to obchodziło, co czuł i myślał o niej ten człowiek, a może jedynie półczłowiek, czy ćwierć człowiek, osobnik dziwny, bo żywy a zarazem martwy. Czy takie właśnie istnienie u boku na poły żywego

i martwego człowieka było jej przeznaczone? Czy o tym marzyła, gdy dziewczynką będąc patrzyła na kobiety w śmigających szosą pięknymi samochodach? Przy domu rodziców, za stodołą, był śmierzący wychodek ze źle zamykającymi się drzwiami. Powracająca z ubikacji matka nigdy nie myła rąk, tylko tymi samymi rękami, którymi podcierała tyłek, krajała chleb i smarowała go masłem. U sąsiadów trzymano byka, mała dziewczynka chodziła tam obserwować, jak czerwony szpikulec byka zanurza się w obrzmiałych pochwach latujących się krów i jałówek. W miastach nie było byków, w muszlach klozetowych szemrała woda, ludzie myli ręce po wyjściu z ubikacji, a także przed jedzeniem. Człowiek powinien dbać o higienę, tak pisało wielkimi literami na ścianie korytarza w ich wiejskiej szkole. Sama nie wiedziała, czemu właśnie te słowa, a nie jakieś inne, tak bardzo głęboko zapadły w jej świadomość. Może wiązało się to w jakiś sposób z widokiem kobiet śmigających mimo domu w pięknych samochodach? Kiedyś taki samochód zepsuł się koło ich domu. Ładna i pięknie pachnąca młoda kobieta chciała załatwić fizjologiczną potrzebę i mała Renatka zaprowadziła ją do ubikacji za stodołą. Nigdy nie zapomniała wyrazu wstrętu, jaki pojawił się na twarzy owej pachnącej kobiety, gdy ujrzała wewnątrz ich ubikacji. Mała Renatka przez dziurę po wypadniętym sęku obserwowała, w jaki sposób owa kobieta załatwiała swoją naturalną potrzebę – nie usiadła na wyszorowanych deskach, ale włożyła na nie butami i ostrożnie kucnęła. Potem torebki wyjęła kawałek ligniny. Wracając z ubikacji dostrzegła czerwony szpikulec byka, który u sąsiadów szykował się do pokrycia krowy. „Nie patrz w tamtą stronę, bo to wstrętne” – powiedziała ta kobieta do Renatki i nawet ujęła ją za głowę, odwracając twarz dziewczynki w inną stronę. Od rodziców Renatki zażądała miski z wodą i długo myła ręce. p ponieważ Renatka pragnęła stać się taką właśnie ładnie pachnącą kobietą, przejeżdżać w pięknym samochodzie obok małych domów z ubikacjami za stodołą, tedy odtąd zawsze włożyła butami na wyszorowane deski w ubikacji, podcierała się ligniną, często myła ręce, odwracała twarz od widoku byka kryjącego krowy. Przeczytała wiele książek o higienie, myła się wciąż i używała mocnych perfum. Była też pewną, że powinna brzydzić się wszelką fizjologią, skoro tamta kobieta nie pozwoliła jej patrzeć na czerwony szpikulec byka. Przez całe lata powoli budziła w sobie wstręt ku tego rodzaju sprawom, aż doszła do tego, że nawet sama do siebie odczuwała coś w rodzaju obrzydzenia, gdy miała menstruację, musiała pójść do ubikacji albo ktoś w jej towarzystwie nagle decydował się udać do tego miejsca. Kiedyś, już na studiach, kolega z tego samego roku zaprowadził ją letnią nocą do parku i tam w ciemnościach włożył w jej dłoń coś twardego i gorącego. Z początku myślała, że trzyma przegub ręki, potem nagle uświadomiła sobie, że to jednak

coś zupełnie innego, zerwała się z krzykiem, uciekła do domu i chyba z pół godziny myła ręce. A jednak jakże często uświadamiała sobie ze smutkiem, że nie potrafi w pełni i doskonale stać się tamtą kobietą z dzieciństwa, nigdy bowiem tak naprawdę, nie przestała myśleć o czerwonym szpikulcu byka, pojawiał się on nieustannie w jej snach i nawet na jawie, wprowadzał jej ciało w bolesny dygot i wewnętrzne drzenie. Pragnęła, aby ktoś powtórnie zaprowadził ją nocą do parku i dał do potrzymania to coś obrzydliwego, choć wiedziała, że znowu zerwie się z ławki, ucieknie do domu i będzie bardzo długo myła ręce. Z czasem stwierdziła ku swemu zdumieniu, że im bardziej coś powoduje w niej wstręt, tym większe i silniejsze wywołuje w niej drzenie. Wstręt budziło w niej podniecenie, a podniecenie rodziło jeszcze większy wstręt, i tak przez lata liceum i studiów miotła się nieustannie między podnieceniem i wstrętem, obrzydzeniem i pożądaniem, aż w końcu ta sprawa, oprócz nauki, stała się w jej życiu najważniejszą.

Wobec mężczyzn zachowywała się prowokująco i chyba dziesiątki razy leżała w ramionach mężczyzn, ale w krytycznej sytuacji wyrwała ją z nich gwałtownie myśl o obrzydliwym akcie zbliżenia. Po wielu podobnych doświadczeniach wiedziała już, że nie zdoła przełamać w sobie bariery wstrętu, dlatego zaczęła pragnąć, aby ktoś ją zgwałcił. W ten sposób – jak myślała – dozna przyjemności bez konieczności aprobaty dla fizjologii aktu płciowego. Niestety, mimo wielu prowokacji, nikt jej nie zgwałcił. Była duża, rosła, silna – broniła się ze zbyt dużym przekonaniem, bo w rzeczy samej w takich sytuacjach naprawdę chciała się bronić. Aż wreszcie upiła się na studenckiej zabawie i, nieprzytomną, rozprawczył ją jakiś kolega. Który? Nawet tego nie wiedziała. Podobnie jak nie przeżyła uczucia wstrętu ani rozkoszy. Ten fakt przyjęła jako coś w rodzaju osobistej tragedii, optymistycznej jednak, gdyż wreszcie zdecydowała przełamać w sobie barierę wstrętu i obrzydzenia przed zbliżeniem z mężczyzną. Podjąwszy to postanowienie nie była już, niestety, zdolna do przekształcenia całej swej struktury osobowej. Zanim położyła się z mężczyzną w czystej, wykrochmalonej i wyperfumowanej pościeli, dwa razy kąpała się w wannie, suszyła, wycierała i podcierała – aż doznawała rozkoszy, a mężczyzna wielkiego bólu. Nie chciał jej więcej – ale nie wyjawiał dlaczego. Odtąd wielokrotnie i z coraz innymi mężczyznami kładła się w czystej pościeli, tylko na ten jeden raz. Jej nieszczęściem żaden z kochanków nie powiedział prawdy. Była kobietą na jedno zbliżenie – zrozumiała to rychło, choć przyczyny nigdy nie stała się świadomą. Jak wiele kobiet w podobnej sytuacji źródła swych niepowodzeń nie upatrywała w sobie, ale w całym systemie otaczających ją odniesień moralnych, psychologicznych, a nawet socjologicznych. Myślała: „Za mało

imponuję mężczyznom. Posiadłszy mnie raz, nie znajdują już we mnie niczego interesującego.” Odtąd zaczęła się jeszcze pilniej uczyć, zdobywała tytuły naukowe, wygłaszała referaty, brała aktywny udział w sympozjach naukowych. Idąc z mężczyzną do łóżka, starała się przekonać go o swej intelektualnej potędze, wywyższyć się nad niego, zaimponować mu. Robiła to w łóżku po zakończeniu miłosnego aktu – i stała się nie tylko postrachem mężczyzn, ale i przedmiotem ich drwin. Mając trzydzieści dwa lata zrozumiała nagle, że oprócz tytułów naukowych nie osiągnęła żadnego z upragnionych celów, nie stała się ową ładną i pachnącą kobietą, mknącą w pięknym samochodzie obok małych domków z ubikacjami za stodołą, a co najgorsze – nie potrafiła zaspokoić swego pożądania. Nie miała męża, domu, dzieci. Tedy dokonała gwałtownego zwrotu w swym postępowaniu i całą swoją uwagę skupiła na skromnej osobie Romana Turoń, magistra filozofii, człowieka cichego, skromnego, nie znającego kobiet i odrobinę wobec nich lękliwego. Był brzydki i mimo młodego wieku już jak gdyby bardzo stary, nawet zębów mu brakowało. Mieszkał w pokoju podobnym do niedźwiedziego barłogu i zadowalał się skromną pensją urzędnika w podrzędnej instytucji. To nie był ktoś, kto mógłby ją wozić w pięknym samochodzie obok małych domków przydrożnych. Ale był mężczyzną. Zaprowadziła go do urzędu stanu cywilnego i pomna, że pozostawała dotąd kobietą tylko na raz, oddała mu się dopiero po ślubie. Roman Turoń ucierpiał jak wszyscy jego poprzednicy, lecz uczynił rzecz zadziwiającą – podczas pierwszego aktu płciowego zapłodnił Renatę, czyniąc ją matką, a siebie ojcem. Próbował jeszcze zbliżyć się do żony, lecz za każdym razem doznawał cierpień i wkrótce już na samą myśl o tym obawa przed bólem kurczyła mu członek. Nie miał doświadczenia z innymi kobietami, toteż nie pojmował przyczyny swych bólów, sądził, że tak musiało być i to raczej on sam jest winien, ponieważ oprócz lęku przed bólem drażniły go jeszcze i inne strachy. Trwał więc w poczuciu winy, przytłaczany nieustannie potęgą intelektualną małżonki, która z czasem zaczęła nim pogardzać i wobec jego brzydoty, bezzębności i niechlujstwa odczuwała obrzydzenie. A to, jak wiemy, budziło w niej jeszcze większe pożądanie. Czegóż nie próbowała, aby zmusić go do wypełnienia męzowskich powinności? Pieściła i drapała, krzyczała i biła, wchodziła na niego i wślizgiwała się pod niego; odwiedzała z nim najlepszych krawców i dentystów, kąpała i wprowadzała w towarzyskie dysputy filozoficzne. Na próżno – Turoń nie chciał nosić protezy, nowy garnitur już nazajutrz wyglądał na nim jak worek; a im goręcej go nakłaniała do męskich czynności, tym większy budziła w nim opór. Dwukrotnie usiłowała rzucić się pod tramwaj, trzykrotnie chciała wyskoczyć z balkonu na wysokim piętrze wieżowca, ale za każdym razem powstrzymywała ją myśl o dziecku, któremu

winna przecież dać matczyną opiekę. Trudności ze znalezieniem gosposi domowej i opiekunki do dziecka i krzepiąca wiara, że poprzez nowe tytuły, udział w sympozjach naukowych i wygłaszanie coraz nowych referatów skłoni do siebie jakiegoś wspaniałego mężczyznę – spowodowały, że zmusiła męża do porzucenia jego skromnej posady urzędniczej, założenia fartuszka gosposi, kucharki i opiekunki do dziecka. Turoń to zresztą bardzo polubił i rad żył na utrzymaniu swej żony. Renata coraz bardziej gardziła mężem, widziała już tylko jego nicość, gdy nagle odkryła zjawisko przerażające: Roman Turoń tak się zżył ze swoją nicością, że stał się kimś. To było tak, jak gdyby kiedyś wniosła do domu ogromny głaz, który można opluwać, kopać, bić, lekceważyć, pomijać lecz dla głazu nie ma to żadnego znaczenia. Głaz jest odporny na plucie i lekceważenie, a poprzez swoją nieruchawość staje się przedmiotem znaczącym i ważnym. Każde przesunięcie głazu na inne miejsce wymagało tak ogromnego wysiłku, że po kilku latach Renata Turoń zrezygnowała z podobnych przedsięwzięć i pogodziła się ze świadomością, że ma w domu potężny głaz, może go opluwać i obijać, ale zarazem musi go omijać, w pewien określony sposób układać naokoło niego nie tylko sprzęty, ale i całe swoje życie. Obecność tego głazu dyktowała odąd Renacie Turoń styl życia, układała jej plany na przyszłość, warunkowała sposób myślenia. Gdziekolwiek by się nie chciała ruszyć, co by nie chciała uczynić, zawsze musiała pamiętać, że posiada w domu wielki głaz. W wędrówce przez życie musi ten głaz wziąć na swoje barki i dźwigać. Roman Turoń odniósł nad nią zwycięstwo, ponieważ okazał się odporny na pogardę, a poza tym – był dobrym kucharzem, sprzątaczem i opiekunem do dziecka, które bardzo kochał, gdyż ono stanowiło jego owoc, zaprzeczało faktowi, że jest wyłącznie głazem. Poprzez istnienie dziecka Turoń dokumentował tłące w nim życie, wszedł do gatunku istot, u których granica między tym co martwe i tym co żywe pozostaje bardzo płynna. Niekiedy Renata podejrzewała, że martwota jej męża pozostaje jedynie maską lub tarczą ochronną, w istocie rzeczy Turoń był istotą żywą do szpiku kości, zdolną do samodzielnego myślenia, a nawet złośliwości. Nigdy mu przecież nie mówiła o owej ładnej i pachnącej kobiecie, którą w dzieciństwie prowadziła do ubikacji za stodołą. A przecież Turoń jakby był świadom tego faktu, niechętnie korzystał z mydła, okazywał lekceważenie dla higieny, głośno w jej towarzystwie wydała z siebie gazy, jego kalesony były zawsze brudne. Jakby nie istniała lignina i papier toaletowy. Czy myślała o wygnaniu z domu męża lub rozwodzie? O tak, wiele razy. „Jestem jeszcze zgrabna i piękna, bez trudu mogę mieć innego mężczyznę” – myślała często. Zarazem jednak wolała nie szukać potwierdzenia tej wizji, ponieważ podświadomie lękała się prawdy, która mogła powstać przed nią objawiona z niezwykle brutalnością. „

Nie rozwodzę się ze względu na dobro dziecka”, wyjaśniała znajomym. Aż zdarzył się dzień, gdy podczas wakacji w małej wiosce nad wielkim jeziorem usłyszała historię o wspólnym kopulowaniu w starym młynie. Uczucie wstrętu podeszło w niej aż do gardła, zarazem ogarnęła ją błogość zadziwiająca i wielkie podniecenie. Dygocąc z obrzydzenia zdecydowała się dokładniej zbadać tę sprawę i poświęcić jej kolejną pracę naukową. Odtąd co roku przybywała do Skiroławek z czerwonym notesem, aby bogacić swą wiedzę o barbarzyńskich i niehigienicznych praktykach ludzi w tej małej wiosce. Ileż to razy – w swym warszawskim mieszkaniu i podczas pobytu w Skiroławkach – wyobrażała sobie, że w imię nauki wędruje nocą do młyna, gdzie mimo lekkiego oporu z jej strony, zostaje, dla dobra nauki, kilkakrotnie zgwałcona przez jakichś obrzydliwych staruchów, a także rosłych młodzieńców. Drążyła ją tęsknota do ogromnego anonimowego gwałtu – dla dobra nauki, w imię prawdy o ludziach. I tak – wstręt, naukowe ambicje i pożądanie splotyły się w jeden gruby sznur, który wiązał ją ze Skiroławkami i każdej nocy trzymał przy oknie w domu gajowego Widłaga. To nic, że płaciła za te chwile bezsennością i brakiem sił; już samo oczekiwanie i marzenie dawało jej ogromną radość i wprowadzało ciało w podniecające drżenie. Dziś była u doktora Niegłowicza po lekarstwo na bezsenność, lecz on odprawił ją z niczym. Widziała u niego głupią panią Basieńkę i zwykłą dziwkę, która za pieniądze rozbiera się publicznie w nocnych lokalach. W slipkach pisarza Lubińskiego odznaczało się coś dużego – czy nie chciał tym czymś jej obrazić? Chyba winien był domyślić się, że ma przed sobą kobietę, która brzydzi się fizjologią. Odpłynęli – a ona samotnie opalała się nago w ustronnym miejscu, skromna, bo nie oddana na łup męskiego wzroku. Czy nie potrafiłaby się rozbierać do naga, podobnie jak owa Elwira? Czy jej ciało nie było równie ponętne jak ciało tamtej? Co stało na przeszkodzie, aby upewnić się o tym, choćby wobec jednego widza, jakim był ten na wpół martwy człowiek, który leżał na materacu koło drzwi i od czasu do czasu wydzielał gazy, przez co dawał dowód, że nie śpi, gdyż przez sen nigdy tego nie robił. Tedy Renata Turoń oderwała się od okna i stanąwszy na środku pokoju w nikłym blasku od włączonego radia, jak wielka kobra wyginać się zaczęła w takt egzotycznej muzyki, którą właśnie nadawano. To unosiła się w powietrzu na czubkach palców, to znów wirowała w koło, lekka i zwiewna mimo ogromu swego ciała. Kolejno opadały na podłogę poszczególne części jej garderoby. Aż naga, wciąż gnąc się na podobieństwo trzciny smaganej wiatrem, tańczyła kręcąc pośladkami i dość dużym brzuchem, dyndając wątlymi piersiami. Raz po raz migała też czarnym trójkątem obrośniętego łona. To przykucnęła raptownie, to znów stawała na jednej nodze, drugą podnosząc do góry, ale niezbyt wysoko, gdyż uda miała grube i ciężkie. I znowu wirowała, podrygiwała,

kręciła się jak wielki bąk. A jej mąż, Roman, widział ją w blasku oświetlonej skali radiowej i uśmiechał się lekko swoimi bezzębnymi ustami. Bo choć widok nagiej tańczącej kobiety wydawał mu się piękny i ciekawy, i choć, przymrużywszy oczy, starał sobie wyobrazić, że to nie jego żona tak tańczy, ale panna Elwira, to jednak nie potrafił tym powołać do życia swój zwiotczały penis. I to nie tylko dlatego, że, jak w początkach jego małżeństwa z Renatą, porażała go myśl o bólu, który potem miał się stać jego udziałem. Ten ból w końcu można było jakoś przemóc, pójść do lekarza, zwierzyć się jakiemuś zaufanemu mężczyźnie i od niego uzyskać dobrą radę. Ale poza bólem kryła się jeszcze jedna, bardzo ważna przyczyna – jej zaś nie był nikt w stanie usunąć. To jeszcze w latach szkolnych, podczas lekcji gimnastyki, pewna wulgarna koleżanka, chichocząc, zwróciła uwagę na fakt, że, w przeciwieństwie do innych chłopców, nosi on swój członek nie w lewej lecz w prawej nogawce. „Ty prawy hucie” – zawołała do niego ze śmiechem i odtąd koleddy i koleżanki tak go właśnie nazywali. Przez to, że był „prawym fiutem”, unikał starannie wszelkich kontaktów z kobietami, nie chodził na plażę, nosił niemodne spodnie z szerokimi nogawkami. I nie z powodu bólu po stosunku nie sypiał z Renatą, ale dlatego, że zaprowadziwszy go do krawca głośno wyraziła swoje zdziwienie, że jej mąż nosi penis w prawej nogawce. W pojęciu Turonia w ten sposób zadrwiła z niego, przywołała w nim pamięć o przeżytych upokorzeniach. Odtąd, podświadomie broniąc się przed zbliżeniem, karał ją nie tylko za ból, ale i za drwinę, za drwiny wszystkich dziewcząt. I odmawiając zbliżenia – czuł się szczęśliwy, ponieważ każdą odmową przeżywał rozkosz zemsty. Karał ją też, głośno wydalając z siebie gazy, a teraz, w tej chwili – karał ją ironicznym skrzywieniem bezzębnych ust, gdy ona tańczyła przed nim nago, kręcąc pośladkami i raz po raz ukazując czarny trójkąt obrośniętego łona. Podziwiał jej ogromne ciało, podobały mu się nawet jej dyndające piersi, wolał jednak wyobrazać sobie, że to nie ona tańczy, lecz panna Elwira i ów taniec odbywa się nie w małym pokoiku w domu gajowego Widłaga, lecz w hotelu „Astoria”. Pomyślał nawet, że byłoby czymś cudownym, gdyby raptem wstał z posłania, chwycił żonę za szyję jak kaczkę czy kurczaka i powoli dusząc w niej oddech, patrzył, jak się trzepocze i podryguje kręcąc pośladkami i dyndając piersiami. A później wyniósłby jej nagie zwłoki do lasu i porzucił gdzieś wraz z jej ubraniem. Wyobrażenie tej chwili podziałało na niego podniecająco, przez krótki moment zdawało mu się, że drgnął jego członek, dotąd malutki jak robaczek. Zaraz jednak przeraził się śmiałością swej wyobraźni i przymknął powieki, aby nie widzieć migających mu przed oczami pośladków żony, jej wypukłego brzucha, dyndających piersi i czarnego trójkąta. Myśl jego stała się czystą, nie zmaconą żadnymi zmysłowymi pragnieniami. Raptem

wyobraził sobie, że podnosi sklepienie czaszki swej żony, a także swej własnej i pod ich twardymi pokrywami widzi kilka pojemników zawierających wiedzę i doświadczenie życiowe. Każdy z tych pojemników stanowił jednak całość szczelnie zamkniętą, o grubych ściankach. I to, co znajdowało się w jednym, nie mogło w żaden sposób przeniknąć do drugiego, czy trzeciego. Czy żona jego, Renata, nie prowadziła wspaniałych wykładów, na których setki młodych kobiet i mężczyzn uczyła, jak należy wychowywać małe dzieci? Czyż w swej pracowni nie dawała niezwykle trafnych ocen rozmaitych sytuacji rodzinnych, udzielała porad i pouczeń zgodnych ze współczesną wiedzą o człowieku? A jednocześnie we własnym domu, dumna ze swego ciała, paradowała naga przed synem, cieszyła się, a ich mały chłopak dostrzega w niej nie tylko matkę, lecz i kobietę, niczyjego zainteresowania nie wzbudzała. Zresztą, mimo wachlowania, już żadnego znaczenia dla pożycia seksualnego. Ale z tego co wiedział i co zapewne znajdowało się w jednym pojemniku w jego czaszce, nic nie przenikało do innych pojemników, nie liczyło się w codziennym życiu i praktycznym działaniu. Mógł przecież zbuntować się, nie prac jej bielizny, nie chodzić po zakupy, nie gotować obiadu, nie sprzątać mieszkania. Mógł znowu przyjąć posadę. A jednak nie czynił tego, tylko wysłuchiwał jej rozkazów i głośno wydał z siebie gary. Co paraliżowało jego wolę? Co uniemożliwiało przeniknięcie zawartości jednego pojemnika do pojemnika drugiego i trzeciego? Z czego zbudowane były owe pojemniki, że miały ściany tak twarde i niepodatne na żadną myślową korozję? Co powoduje, że gdy człowiek patrzy na drugiego człowieka wzrok jego bywa niekiedy niezwykle przenikliwy i bystry, ale kiedy spojrzy w lustro, raptem ślepnie? I otworzywszy szeroko swoje oczy Roman Turoń znowu zobaczył nagą żonę, wirującą w pokoju jak bąk. Chciał krzyknąć bardzo głośno, krzyknąć aż do utraty tchu, ale tylko głośniej niż zwykle pierdnął. Turoniowa raptem upadła na swoje łóżko i leżała na nim ciężko oddychając. Po chwili swoje nagie ciało nakryła kołdrą, oddech jej stał się równy i spokojny. Przez radio spiker podawał ostatnie wiadomości, później zabrzmiał hymn państwowy. Roman Turoń podniósł się ze swego leża na ziemi i na czworakach zbliżał się do radia, aby przycisnąć klawisz. Cisza i ciemność towarzyszyła jego powrotnej wędrówce na legowisko. Kładąc się wyobraził sobie nagle rozłożyste i duże ciepłe ciało śpiącej na łóżku kobiety, jego mały robaczek zaczął powoli podnosić głowę, nabrzmiewać i prężyć się. Rozum mówił mu, że byłoby czymś pięknym pójść teraz do łóżka do żony, zdjęć z niej kołdrę i położyć się na niej. Ale ona obudziłaby się natychmiast i otworzyłaby oczy. A choć być może tych oczu nie widziałaby w ciemności, to przecież potrafił sobie wyobrazić ich wyraz – zdumiony, a może pogardliwy – i ocknął się w nim opór. Robaczek kurczył się, malał,

jakby konał, stawał się obumarłym narządem, którego już nikt wskrzesić do życia nie zdoła.

O TYM, ŻE DUŻO ZŁA BIERZE SIĘ Z BRAKU LUB NADMIARU WYOBRAŹNI

Wiele złego na świecie powstaje z braku wyobraźni u niektórych ludzi. Albo też z jej nadmiaru.

Tak twierdził Nepomucen Maria Lubiński, pisarz, człowiek doświadczony przez życie, świątły i odcytany w „Pismach semantycznych” Gottloba Frege. Pozbawiony wyobraźni polityk lub ekonomista, niezdolny do przedstawiania sobie skutków swych decyzji – w sposób oczywisty musi wkrótce doprowadzić swój kraj do ruiny. Pozbawiona wyobraźni kobieta lub mężczyzna do podobnej ruiny doprowadzi wkrótce własne małżeństwo i dom rodzinny.

Człowiek bez wyobraźni rzuca w lesie pustą butelkę po wódce, która, działając jak soczewka, wzniesie pożar. Ogień wkrótce ogarnia las i niekiedy pochłania tego, który rzucił butelkę. To przy braku wyobraźni kasjer w banku beczelnie podbiera z sejfu pieniądze, a ekspedientka w sklepie robi manko – choć wiadomym powinno im być, że pierwsza dokładniejsza kontrola odkryje ubytki tak w sejfie, jak i w sklepie. Ten sam brak wyobraźni cechuje osobnika, który po kilku kieliszkach wódki zasiada za kierownicą samochodu. Zamiast przedstawić sobie skutki jazdy po pijanemu: rozbity na drzewie samochód, krwawe zwłoki na szosie i siebie za kratkami lub w szpitalu – on, pozbawiony tej wizji, jedzie samochodem i powoduje wypadek. To nie etyka, zasady moralne czy szacunek do prawa, ale właśnie wyobraźnia powoduje, że wielu ludzi nie popełnia czynów przestępczych. Wizja sali sądowej i celi więziennej nakazuje im wstrzymać się przed czymś sprzecznym z zasadami prawa, moralności lub etyki. Cóż bowiem widywał Lubiński w oczach zbrodniarzy zasiadających na ławie oskarżonych? Poczucie winy, skruchę, strach przed karą? Przede wszystkim znajdował zdumienie, że ich czyny wywołały tak potworne skutki, a także, iż zostały łatwo odkryte, choć już w chwili popełnienia przestępstwa było oczywiste, że ujawnienie sprawcy jest tylko kwestią godzin, dni, co najwyżej miesięcy. Stąd – jak logicznie wnioskował Lubiński – w istotach ludzkich należy nie tylko umacniać zasady moralne i prawne, ale przede

wszystkim – rozwijać wyobraźnię.

Co można powiedzieć o mężczyźnie, który po pięciu latach małżeństwa raptem ze zdumieniem stwierdza, że choć ożenił się z istotą szczupłą i młodą, ma przy sobie kobietę grubą i starą. Czy nie ostrzegali go przyjaciele, że bierze sobie za żonę dziewczynę ze skłonnościami do tycia i szybkiego starzenia się? On jednak nie znalazł dość wyobraźni, aby siebie i ją ujrzeć po pięciu latach wspólnego pożycia.

Co można powiedzieć o dziewczynie, która położywszy się do łóżka z jakimś mężczyzną, ze zdumieniem i przerażeniem stwierdza, że zaszła w ciążę? Wszak rozum i doświadczenie mówią każdej dziewczynie, jakie są skutki zbliżenia z mężczyzną. Tej dziewczynie po prostu zabrakło wyobraźni, aby przedstawić sobie, że i ją czeka coś takiego. Albo wyobraźnia okazała się zbyt słaba w stosunku do požądania.

W poczekalni u załatwiającego alimenty prokuratora widywał Lubiński dziesiątki kobiet. Rozmawiał z nimi, wypytywał je. Historia każdej z nich była zarazem historią kobiety bez wyobraźni. Ta lub owa poszła do łóżka z żonatym mężczyzną, na moment jakby zapominając, że plemnik powoduje zapłodnienie jajeczka, a mężczyzna nie może być żonaty z dwiema kobietami naraz. Ta lub owa wyszła za mąż za młodego pijaczka i lekkoducha, mimo że nie istniały żadne przesłanki wskazujące na to, aby ów osobnik po ślubie przestał pić i stał się poważny. Niejedna z nich łączyła swe życie z mężczyzną, o którym wiedziała, że już uprzednio związany był z jedną, drugą, a nawet trzecią kobietą, każdej pozostawił po kilkoro dzieci, od każdej odszedł pełen tej samej bez troski. Nie było żadnych powodów, aby sądzić, że tym razem zachowa się inaczej – wszystko wskazywało, że i z tą uczyni to samo co z poprzednimi. Cóż więc, jeśli nie brak wyobraźni, prowadziło teraz tę kobietę do poczekalni prokuratora?

Gdyby wszyscy ludzie mieli wyobraźnię – głosił pisarz Lubiński – i potrafili przedstawić sobie wizje skutków własnych i cudzych czynów, życie stałoby się harmonijne, a świat pełen ładu i porządku. Wychowanie kształtujące w człowieku rozum i uczucia uważał tedy Lubiński za słuszne i pozytywne. Nade wszystko jednak radził kształcić i rozwijać w człowieku wyobraźnię.

Lecz czy istnieje wyobraźnia poza człowiekiem i jego osobowością? Jej kształt zależy od charakteru konkretnego człowieka. Istota ludzka może mieć wyobraźnię na przykład optymistyczną lub pesymistyczną; bywają też ludzie z nadmiarem wyobraźni. Ów nadmiar wyobraźni potrafi stać się równie niebezpiecznym, jak jej zupełny brak.

Czy każde zbliżenie kobiety z mężczyzną prowadzi do ciąży? Dziewczyna z pesymistyczną wyobraźnią przewiduje jednak zawsze to najgorsze – kłopoty, osobistą tragedię. Unika więc zbliżenia, co powoduje u niej frustrację, nieustanną obawę przed

mężczyzną, niekiedy sprowadza staropanieństwo, poczucie krzywdy i samotność. Nadmiar wyobraźni może spowodować u człowieka paraliż wszelkich działań. Osobnik taki będzie się bał wejść do samolotu, zasiąść za kierownicą samochodu, ożenić się z piękną panną o skłonnościach do tycia, choć zdarza się, że na przykład po dziecku – jedna kobieta tyje, a inna chudnie. Nadmiar wyobraźni grozi atrofią chęci ryzyka, nowości i inności, a przecież wszelki postęp jest związany z ryzykiem. Bez ryzyka człowiek nie potrafi w swym życiu zmienić niczego na lepsze. Zdarza się jednak, uczy tego doświadczenie – że brak wyobraźni i skłonność do ryzyka przynosi lepsze owoce niż nadmiar wyobraźni, ogromna ostrożność i chytra kalkulacja. Nie każdy zbrodniarz zasiada przecież na ławie oskarżonych. Istnieje bowiem i takie zjawisko, jak brak wyobraźni u policjanta. I równie niebezpieczne zjawisko u policjanta – nadmiar wyobraźni.

Są też ludzie, którym wyobraźnia dyktuje wizje skutków ich poczynań wyłącznie radosne, piękne lub pozytywne. Większość ludzi posiada wyobraźnię obróconą nie ku sobie, a ku innym. Potrafią doskonale przewidzieć nieudane małżeństwo przyjaciela, wyobraźnia podsuwa im plastyczną wizję skutków niewłaściwych kroków, ludzi im przyjaznych lub obcych; ta sama wyobraźnia umiera w nich natychmiast, gdy myślą o sobie, o swoim małżeństwie, o swoich poczynaniach. Wyobraźnia jest więc zadziwiającym zjawiskiem – może przypinać człowiekowi skrzydła, ale i odbierać mu zdolność do najkrótszego lotu. Może być odwrócona wyłącznie ku innym i pozostawać ślepa wobec samego siebie, albo na odwrót – zwracać się twarzą do siebie, a ślepnąć na postępowanie innych. Z wyobraźnią tedy należy postępować ostrożnie, powściągać jej cugli jak szalonemu rumakowi. Albo też bóść ją ostrogą i zmuszać do szybszego biegu. Wyobraźnia pomaga ludziom mądrym, głupców zaś niszczy i jeszcze bardziej ogłupia.

Kłobuk był ptakiem zrodzonym z wyobraźni ludzkiej, jednak Justynę ogarnął ogromny niepokój, gdy odkryła pustą beczkę z pierzem oraz leżący na polepie sznurek bez złocistej kury z różowym grzebieniem. Kłobuk uwolnił swoje ptasie łapy z pętli sznurka, wzgardził jajecznicą na boczku, wygodnym gniazdem w beczce, za nic miał pieszczoty i głaskania – odszedł nagle w las lub na mokradła. Może zresztą był zwykłą kurą i przyłączył się do stada grzebiącego pazurami piasek na podwórzu. Podobnie złocistych kur z różowym grzebieniem wiele miała u siebie Justyna, nawet sama nie wiedziała, ile ich nocuje w kurniku. Ale wolała przedstawić sobie, że oto Kłobuk, poruszając się niezgrabnie, wędruje ścieżkami przez las, od czasu do czasu skraca sobie drogę, przełaząc przez powalone pnie, niekiedy usiłuje podfrunąć, ma jednak zbyt małe skrzydła i zaraz opada na ściółkę leśną. Spełnić powinien ludzkie życzenie, ponieważ

mokry i zziębnięty został przygarnięty przez człowieka, uścielono mu gniazdo i nakarmiono jajecznicą. Lecz zapragnął swobody, chciał być wolny od ludzkich życzeń, wzgardził służbą dla człowieka.

W południe sierpniowego dnia, w słońcu i na wietrze, stała Justyna przed swoim domem i patrząc na białe grzywy spienionych fal na jeziorze płakała cicho. Jezioro wydawało się nieskończoną dałą, fale na nim rosły i potęgniały, jakby za chwilę miały zalać całą ziemię. Kępa zielonych drzew na Czaplej Wyspie raz po raz zmieniała swoje położenie, wydawało się Justynie, że wyspa tańczy ponad falami, to znów rozplywa się i niknie w ich głębinach. Było jednak południe, na porośniętym trawą półwyspie za starą bindugą czekała na nią krowa z wymieniem bogatym w mleko. Justyna otarła łzy wierzchem dłoni, zdjęła z płotu suszącą się tam blaszaną kanę, wsiadła do zielonej łódki i wiosłując przeciw falom pośpieszyła w codzienną drogę. W wyobraźni widziała oddalającego się przez las Kłobuka, ale jednocześnie w pamięci pojawił się doktor i ożyło wspomnienie dotyku jego chłodnych palców. Kłobuk odszedł spełniwszy życzenie Justyny. Odszedł, gdyż nie czuł się już potrzebny. Odszedł, lecz przecież nie mógł odwołać chyba jej życzenia. Gdy tak wiosłowała przeciw falom, w plusku wody, która rozbijała się o dziób łodzi i drobnymi kropelkami opryskiwała przygarbione od wysiłku plecy, w wyobraźni jej, jak ścieżka Kłobuka otwierała się dróżka nadziei, że tej nocy znowu w drzwiach jej domu pojawi się czarny cień mężczyzny, przynoszącego rozkoszną śmierć. Wyobrażenie tej chwili było jak wielki bochenek chleba. Justyna przez całe popołudnie wyrывała z niego malutkie kawałeczki, kładła je do ust i żywiła się nimi, rozkoszując się przedziwnym smakiem. Doktor nie przyszedł tej nocy, ale ona wciąż rwała ten bochenek i połykała malutkie kęsy – także następnej i jeszcze jednej nocy. Bo wyobraźnią można się także żywić jak prawdziwym jadem – tak długo, jak długo ma się przy sobie ów bochenek.

Morderca mijał samochodem dom doktora, a potem skrawek lasu, gdzie zabił dwie dziewczyny. Specjalnie skręcił na tę boczną drogę, aby ożywić W pamięci tamte chwile i odczuć w sobie rozplywającą się po całym ciele strugę gorącej rozkoszy, pomieszaną ze strachem. Tak, bał się tędy przejeżdżać, często lękał się wspominać swoje czyny, niekiedy unikał w ogóle myśli o nich, a nawet zdawało mu się, że ktoś inny popełnił tamte zbrodnie. Ale to zapewne ów strach przygniatał go tutaj, kazał wspominać i ożywiać wyobraźnię. Bał się też. Gdy zabijał, lecz właśnie poprzez ów strach doznawał większego upojenia. I to przeze ów strach jego czyny nabierały jakiegoś przeogromnego sensu. Drżał na całym ciele, gdy myślał, że go ścigają po lesie, chwytają i wycinają jądra, podobnie jak to chcieli uczynić Kruczkowi. Niemal widział ciemny otwór lufy

strzelby doktora, który mierzył mu prosto w czoło i pociągał za spust. Odczuwał własne męczarnie, swój ból, zarazem jednak pragnął męczarni i bólu tych dziewczyn, które zabił. To był piękny strach i piękny ból. Czy ktoś jeszcze na świecie odczuwał coś podobnego? Czy nie był lepszym od innych, kimś wybranym, tym, który doznawał bólu i rozkoszy przez ból innych i własny lęk?

Teraz o dziwo nie czuł strachu. Mijał wolno dom doktora, las z polanką i dołem po sadzonkach, lecz czoło nie rosiło mu się potem. Nie bał się, bo nie mógł sobie przypomnieć tamtych chwil. Wysilał wyobraźnię, ale ona stała się czarna i pusta jak wielka tablica, z której ktoś mokrą gąbką zmasał rysunek. Odeszła od niego pamięć o cichnącym rżeniu, ciepłych krtani, palcom brakowało poczucia prężących się pod nimi dziewczęcych kształtów. Wszystko, co się kiedyś stało, nagle oddaliło się od niego, przepadło w ciemnościach, nie żywiło rozkoszą i strachem. Pamięć i wyobraźnia niespodziewanie umarły w nim i zapragnął, aby choćby dlatego ktoś znowu umarł pod jego kolanami w bólu i męce. Teraz rozumiał, że pragnie zabić, znowu bowiem jest głodny. Chciał dać palcom poczucie nagości dziewczęcych kształtów, drgawek konającego ciała, zapragnął uciekać przez las przed ścigającymi go ludźmi, marzył o lufie strzelby doktora mierzącej mu prosto w czoło. Pożądał cudzej i własnej męczarni, rozkoszy i strachu, który z ofiar przenika do jego ciała i przynosi ulgę w dręczącej nienawiści. Mógł żyć wśród ludzi i patrzeć im prosto w oczy, dopóki trwała w nim wyobraźnia o zadawanych męczarniach. Ale ona uschła w nim jak stare drzewo w sadzie.

O STRASZNEJ I ZADZIWIAJĄCEJ PRZYGODZIE, JAKA SPOTKAŁA PEWNĄ SCHLUDNĄ NIEWIASTĘ

Wczesnym rankiem Renata Turoń pojechała autobusem do Bart, a stamtąd pociągiem pospiesznym do stolicy, gdzie w wyłożonej ciemną boazerią salce miała się odbyć konferencja na podniesiony przez nią temat: pozostałości obrzędów pogańskich w niektórych wioskach na północy kraju. Podczas jazdy pociągiem wyobrażała sobie Renata Turoń siwowłosych, wykształconych i eleganckich panów, którym – z wyrazem wstrętu na twarzy, ale odczuwając w sobie podniecający dygot – opowie o nocy mieszania krwi, odbywającej się w wiosce o nazwie Skiroławki. Po długiej dyskusji być może któryś z tych panów zainteresuje się bliżej poruszoną przez nią sprawą. Wtedy pójdą razem do kawiarni, gdzie i jemu udzieli się ów podniecający dygot, a wówczas

(w tym momencie wyobraźnia Renaty Turoń zaczynała żywiej pracować) zaprosi go do swego mieszkania, opuszczonego przez Romana i ich dziecko. Tam będą nadal dyskutować o sprawie, aż siwowłosa mężczyzna (zapewne w okularach) nagle obejmie ją ramieniem i potem, mimo lekkiego oporu, posiadzie ją pełen zachwyty dla jej urody, wykształcenia i inteligencji.

W skrzynce na listy znalazła zawiadomienie, że z powodu sierpniowych upałów, dyskusję o pozostałościach pogańskich w wioskach na północy kraju przełożono na listopad. Tedy Renata wykąpała się w swej łazience i następnym pośpiesznym pociągiem ruszyła w powrotną drogę, raptem bowiem przyszło jej na myśl, że być może właśnie tej nocy w Skiroławkach zapłonie ognisko na Czaplej Wyspie. W ten sposób nieszczęśliwym trafem minie ją to, na co tak długo oczekiwała.

Pociąg pośpieszny nie zatrzymywał się w Bartach, Renata Turoń musiała wysiąść o jedną stację wcześniej. Kończył się właśnie ciepły, sierpniowy dzień ale do wieczora i zmroku pozostawało jeszcze sporo czasu. Turoniowa nie należała do kobiet zamożnych, zresztą ze swojej pensy utrzymywała nie tylko cały dom, ale i męża. Minęła więc postój taksówek i za miasteczkiem zatrzymała się na poboczu szosy do Skiroławek, tej samej, którą w porze zimy doktor wiózł do siebie pannę Józję. Wyobrażała sobie Renata Turoń, że wkrótce zatrzyma na szosie lśniące lakierem auto z jakimś mężczyzną (w średnim wieku lub starszym, a może z dwoma mężczyznami?) i po półgodzinnej jeździe przez lasy jeszcze przed zmrokiem znajdzie się w domu Widłagów, u boku męża i syna. Wyobraźnia (a jak z tego wynika, miała ją rozwiniętą w stopniu dostatecznym) podsuwała jej też i inną wersję podróży: mężczyzna lub dwóch mężczyzn proponują krótki odpoczynek w lesie, gdzie zaczynają się zachowywać niestosownie, dotykają jej kolan, a także ud (chciała, żeby jakiś obcy mężczyzna przekonał się, jak gładką ma skórę na udach). Dopuszczała do siebie myśl, że może stanie się najgorsze, ona będzie się bronić, drapać, gryźć, ale niezbyt mocno, aby nie pozostawić śladów swych paznokci na ich twarzach i dłoniach.

Szosa była jednak jak wymarła. Dopiero po długim czasie pani Renata ujrzała pustą pręgę, powracającą z tartaku. W szoferce tłoczyło się trzech usmolonych mężczyzn w brudnych ubraniach roboczych. Przyjęli ją między siebie i ruszyli drogą przez lasy. Obserwując spod oka ich nie ogolone i brudne twarze, a także niemal czarne dłonie, poczuła strach, że raptem skręcą w bok, i tam, na jakiejś małej polanie leśnej, dokonają na niej brutalnego gwałtu. Wszelka obrona nie miała sensu i nawet chyba nie próbowałyby tego, aby nie porwali na niej bluzki i majtek. Wtłoczona między brudnych mężczyzn w ciasnej kabinie kierowcy rozważała, które części garderoby musiałaby zdjąć, a w

jakich mogłaby pozostać podczas gwałtu. Ze wstrętem wdychała zapach brudu smarów, alkoholu i dymu z kiepskich papierosów. Czowała strach, ale i znowu ocknął się w niej ów przedziwny dygot wewnętrzny, jaki towarzyszył jej w godzinach, gdy siadywała w domu gajowego. Dygot narastał z każdym kilometrem przebytej szosy, aż wreszcie, gdy praga raptownie zatrzymała się tuż obok skręcającej w las piaszczystej drogi, Renata Turoń wydała z siebie coś w rodzaju rozkosznego pisku. „My skręcamy w bok, a pani ma do Skiroławek tylko cztery kilometry” – powiedział do niej kierowca.

Renata Turoń uiściła niewielką opłatę za podwiezienie i łudząc się nadzieją, że być może w końcu jednak resztę drogi odbędzie jakimś eleganckim autem, śmiało poszła szosą przez las.

Tymczasem nastał wieczór – cichy i pogodny. Noc dopiero czaiła się w lesie, na szosie jednak pozostawała wciąż jasność mijającego dnia. Gęsty i mroczny las rozciągał się po obu stronach drogi, od czasu do czasu zalatywał stamtąd chłodny zapach liści i żywicy, ale przeważnie pachniało rozgrzanym asfaltem. Szło się więc przyjemnie, tym bardziej że do Skiroławek nie było daleko. Tylko że trochę szybciej niż sądziła, zaczęła gasnąć jasność na drodze.

Gdyby Renata Turoń cierpiała na nadmiar wyobraźni – być może poczułaby lęk przed zbliżającą się ciemnością. Zapewne przyspieszyłyby wtedy kroku, albo nawet zaczęła biec. Ale przecież należała do kobiet rozsądnych i rozumnych. Skoro szosa i las były bezлюдne, to nie należało na niej oczekiwać złoczyńców. Od czasu do czasu zresztą na drodze zjawiał się samochód osobowy lub ciężarowy – zawsze jednak od strony Skiroławek. Tak więc zbój leśny musiał liczyć się z faktem, że w każdej chwili zza jakiegoś zakrętu może wychylić się samochód i bandycki zamysł zostanie udaremniony. Tedy Renata Turoń czuła się stosunkowo bezpieczną i w pieszej wędrownicy odnajdywała korzyść – odrobinę schudną jej nieco zbyt grube uda.

Już tylko jeden kilometr dzielił ją od Skiroławek. Potem pół kilometra. Jeszcze bliżej znajdował się dom doktora na półwyspie, a nieco dalej, na krzyżówce – leśniczówka Blesy. Niestety, mrok nagle zgęstniał i po obu stronach szosy pojawiły się zielonkawe oczka świetlików. Renata Turoń przypomniała sobie, że właśnie przechodzi obok miejsca, gdzie na niewielkiej polance zabito małą Haneczkę, a trochę dalej, w dole po sadzonkach, znaleziono zamordowaną dziewczynę z obcych stron. Strach przeniknął Renatę, zatrzepotało jej serce i jak gdyby sparaliżowało jej ruchy – nie szła tak dziarsko i sprężysto, ale starała się stąpać ostrożnie i cicho. Pozostało już tak niewiele drogi do krzyżówki.

Ku radości Renaty Turoń zza zakrętu od strony Skiroławek wyjechał samochód

ciężarowy. W smugach reflektorów poczuła się pewniej, przyspieszyła kroku. Ciężarowy wóz minął ją wolno i Turoniową ogarnęły ciemności jeszcze większe niż uprzednio. Lecz teraz czuła się bezpiecznie, gdyż poprzez pnie dostrzegła oświetlone okna leśniczówki. Na moment zatrzymała się, aby uspokoić bijące mocno serce. Leśna cisza podziałała na nią kojąco, słyszała oddalający się szum motoru ciężarówki, który nagle ucichł zupełnie, zapewne kierowca minął kolejny zakręt.

Wrażenie spokoju uświadomiło jej konieczność załatwienia pewnej brzydkiej fizjologicznej potrzeby. Wszak unikała jej od wyruszenia ze stolicy, gdyż bardzo nie lubiła kolejowych ubikacji, zawsze brudnych i cuchnących. Zeszła więc z szosy do rowu, położyła w trawie torbę podróżną i wyjęła z niej kawałek ligniny. Podciągnęła sukienkę, zsunęła majteczki, przykucnęła. Skończyła brzydką czynność, żałując, że nie może natychmiast umyć rąk, kiedy nagle usłyszała za sobą szelest suchych liści i czyjś przyspieszony oddech. Potem za kark chwyciły ją silne dłonie. Krzyknęła głośno. Napastnik (jak to później zostało stwierdzone) pośliznął się na ekskrementach, jakie z siebie przed chwilą wydzielił i upadł na ziemię. Natychmiast jednak z niej się poderwał i znowu rzucił na Renatę. Lecz Turoniowa była kobietą silną, odwróciła się przodem do napastnika i także zaatakowała go swymi ramionami. Podstawił jej nogę i znowu przewrócił na ziemię rozrywając na niej bluzkę i biustonosz. Ogromna żądza zdawała się dodawać mu sił, choć walcząc z nim odnosiła wrażenie, że ma do czynienia z osobą młodą i słabą. „Puść mnie” – charczała, on jednak nie słuchał jej, tylko mocniej przygniótł kolanami. Nie widziała rysów jego twarzy, ani nosa, ani ust. Przez krótką chwilę odczuwała na swoich obnażonych piersiach szorstki ciężar ciała ubranego mężczyzny, co ją napełniło rozkoszą i obezwładniło. To było młode, prężne ciało; oddech napastnika wydał jej się świeży i gorący. Jedną ręką przytrzymał przeguby obu jej dłoni. Czuła, jak jego ręka zadarła jej spódnice i wśliznęła się między uda. Przyjemnie odebrała to jego gwałtowne i żarłoczne grzebanie w okolicy przyrodzenia, ucisk dłoni na wzgórku łonowym, bolesne ugniatanie ud, które chciał brutalnie rozchylić. Nadeszła chwila o jakiej od dawna marzyła i której pragnęła, ale on nagle przestał myszkować w okolicy krocza, dwoma rękami chwycił Renatę za gardło i zaczął dusić. Zrozumiała, że czeka ją śmierć. Wtedy ugryzła go w rękę, chwyciła za włosy i wyteżając wszystkie siły – zepchnęła z siebie. Wydało się jej, że słyszy wymawiane przez niego jej nazwisko „Turoniowa”. Napastnik nagle odskoczył w bok, i zanim uświadomiły sobie, że jest wolna, przepadł w ciemnościach leśnych.

Placząc poszła do leśniczówki Blesy – w podartej bluzce, trzymając w ręce biustonosz. Płakała i jęczała przejęta strachem, lecz także i odrobiną żalu, że nic się

nie stało, że uciekł, że pozbawił ją ciężaru swojego młodego i prężnego ciała, gorącego oddechu, żarłocznej i nienasyconej chciwości rąk. Dlaczego chciał ją zabić? Czemu musiał zabijać, a nie brać tego, czego pragnął – choćby z największą brutalnością i mimo obrony?

Jeszcze tej samej nocy przesłuchiwał ją starszy sierżant sztabowy Korejwo, a nazajutrz przybył kapitan Śledzik. Odnaleziono ślady walki oraz porzuconą w rowie torbę podróżną pani Turoń. Stwierdzono, że gdyby nie jej ekskrementy w rowie, być może morderca osiągnąłby swój chleb cel, ponieważ zaatakował z tyłu.

– Myślę, że on tam na mnie czekał – powtarzała w swych zeznaniach pani Turoniowa. – Wiem, że jest szczupły i drobnej budowy. Sądzę, że to ktoś tutejszy, kto mnie zna, ponieważ do Skirołówek przyjeżdżam od kilku lat. Chyba mnie bardzo szanuje, bo gdy stwierdził – a jestem tego pewna – że ma ze mną do czynienia, zaniechał walki.

A może po prostu woli dziewczęta drobne, szczupłe, wątłe i słabe fizycznie – powiedział jej kapitan Śledzik. – Pani jest silną i roslą kobietą, dlatego zrezygnował. Wiktymolog powiedziałby, że nie reprezentuje pani typu ofiary mordu seksualnego. Zresztą, jak tam nie było, uratowały panią własne ekskrementy.

Renata Turoń poczuła się urażona:

– Wiem, że niekiedy onieśmielałam niektórych mężczyzn – oświadczyła, odymając pogardliwie grube wargi. – Ale dzieje się to tylko na skutek mojej przewagi intelektualnej. Tymczasem pan, kapitanie, sugeruje, że on się mnie po prostu przestraszył.

Doktor Jan Krystian Niegłowicz dokonał na życzenie Śledzika obdukcji lekarskiej ciała pani Renaty Turoń. Dumnie wyprostowana i zupełnie naga stała przed jego biurkiem w gabinecie na półwyspie, a on skrupulatnie liczył i zapisywał w orzeczeniu każde zadrapanie na jej szyi, każdy siniak i krwawe podbiegnięcie na piersiach i udach.

– Żał mi tego człowieka – zwierzyła się doktorowi pani Turoniowa, raz po raz wskazując mu na swym ciele coraz nowe i lekko widoczne zadrapania. – To jakiś młodzienc, który zapewne od dłuższego czasu obserwował mnie bacznie i wzbudziłam jego pożądanie.

– On nienawidzi kobiet – zwrócił jej uwagę doktor. – Miała pani dużo szczęścia. Gdyby nie te pani ekskrementy...

– Ach, mój Boże, czemu wszyscy wciąż mi to przypominają – oświadczyła z oburzeniem i nareszcie zaczęła się ubierać. – Wydawało mi się, że pan jest człowiekiem bardziej subtelnym.

Niegłowicz zdumiał jej oburzenie. Nie wiedział, że droga życiowa Renaty Turoń prowadziła od wiejskiej ubikacji za stodołą. A potem przez długi szlak owej wędrówki

przez świat, nieustannie jakieś brudne i niehigieniczne sprawy psuły smak życia i miłości. I nawet tę jedną chwilę, gdy w sposób tak niezwykle jakiś tajemniczy młodzieniec okazał dla niej pożądanie, a być może skrywaną miłość (bo w ten sposób już teraz o nim myślała), tę chwilę także musiał zbrukać pospolity fakt, że ona akurat załatwiała fizjologiczną potrzebę. Nazajutrz wieczorem, siedząc w oknie domu gajowego Widłaga, Renata Turoń mniej myślała o starym młynie, a więcej o człowieku, który na nią napadł w lesie. Wyobraziła sobie, że go znowu spotyka w jakimś nieokreślonym bliżej miejscu, rozmawia z nim w sposób rozumny i łagodny, a on dygoce z pożądania i wreszcie rzuca się na nią za jej zgodą i przyzwoleniem, bez chęci mordu. I nie będzie wówczas w pobliżu żadnych brzydko pachnących ekskrementów.

O TYM, ŻE KOBIETA PIĘKNA NAJCZĘŚCIEJ SAMA SOBIE WYBIERA MĘŻCZYZNĘ

W porze żniw Kłobuk opuszczał las i wychodził w pole. Najchętniej odwiedzał ścierniska bogatych gospodarzy, takich jak Szulc lub Kondek, ponieważ stały tam równymi szeregami opasłe kopy zżętego zboża, w którym popiskiwały myszy. Biedniejsi ludzie czekali zazwyczaj na przyście kombajnów – ogromnych maszyn podobnych do starodawnych mamutów. Dowodził nimi instruktor rolny Różycka. Mamuty pożerały słomę i wypluwały od razu gotowe ziarno, ale ich robota kosztowała bardzo drogo, ubogim niewiele pozostawało z ich zbiorów. Bogatsi woleli własne snopowiązałki, najmowali ludzi do młocki, i dlatego zgodnie z pradawnym porządkiem rzeczy, u biednych pozostawało mało a u bogatych dużo. Bieda i bogactwo, zdaniem Kłobuka, związane były na ogół z charakterem i rozumem człowieka. Biednego nigdy na wsi nie uznano za naprawdę mądrego, a bogatego za głupca. I dokąd pamięcią wstecz sięgał Kłobuk, żaden zaczarowany ptak nie przyjmował służby u biedaka a tylko bogatemu przysparzał dobytku i dobra. Biedak od razu żądał od Kłobuka spełnienia wszystkich pragnień – pięknej żony, wspaniałego domu, worka pieniędzy. Bogaty najpierw kładł przed Kłobukiem talerz z jajecznicą, a dopiero później prosił o drobnutką przysługę – dorodnego byczka; albo żeby mu krowy więcej mleka dawały. Biedak, który się nagle wzbogacił, zaraz aż chorował od bogactwa jak ten, co zbyt dużo zjadł. Bogaty obrastał w swoje sadełko bardzo wolno i im więcej miał, tym się wydawał zdrowszy. Mądry zaś

człowiek, taki jak doktor z półwyspu – nigdy niczego od Kłobuka nie żądał.

Żniwa zawsze zaczynały się słoneczną pogodą. Pachniało skoszonym zbożem, jazgotały snopowięzaki, ludzie śpiewali lub pokrzykiwali przy pracy. Potem zaś przychodziły deszcze i gdy u bogatych stały już szeregi mendli, na poletkach ludzi ubogich grzęzły i tonęły w błocie ogromne cielska kombajnów. Nawet słońce nie lubiło biedaków, a wolało ludzi bogatych, choć ten i ów powiada, że słońce jednakowo świeci dla wszystkich ludzi.

W porze żniw najłatwiej odróżnić mądrego od głupca. Mądry kręci się po polu albo siedzi na wozie pełnym zboża. Głupiec sadza tyłek na ławeczce przed sklepem i pije piwo albo idzie na ryby. Wędkarzy zresztą nienawidził Kłobuk całym swoim zaczarowanym sercem. Jeśli mógł – żyłki im splątał, urywał haczyki, płoszył ryby, nasyłał na nich stada komarów, wodził po mokradłach i dziurawił długie gumowe buty. Po wędkarzach pozostawały nad brzegiem jeziora tłące się długo i smrodliwie ogniska, pudełka po papierosach, puste butelki, blaszane puszki zjedzonych konserw, papier śniadaniowy, stoiki na robaki. Wędkarz stał wiele godzin wpatrzony w wodę, jakby w domu brakowało mu roboty. W tym czasie mógł przeczytać jakąś książkę albo gazetę, wyprostować w ścianie źle wbity gwóźdź, pobawić się z dziećmi, pójść z żoną na spacer, setki czynności można wykonać, zamiast patrzeć na spławik. Nie miał nigdy wędkę doktor Niegłowicz, podobnie jak pisarz Lubiński czy malarz Porwasz. Z wędką widywało się natomiast młodego Galembkę, Franka Szulca, drwali Ziętka i Jarosza. Podobnie było z ludźmi z miasta. Ilekroć napotkał Kłobuk pana, co nawet ładnym samochodem nad jezioro przyjechał i cały dzień spędził z wędką w ręku, to zaglądając w jego bezmyślne oczy miał przecucie, że człowieka tego nie czeka nic wspianiałego. Wielki człowiek lubi bowiem sprawdzać działanie swego rozumu i serca. Nie mogła być dla niego godnym przeciwnikiem tak bezbronna istota jak ryba w jeziorze. Choćby to był sum wąsaty albo płochliwy krap.

W porze żniw dowiadywał się Kłobuk, kto we wsi jest mądry, a kto głupi. Podobnie też. czyniły co sprytniejsze dziewczyny.

Chciał się przed laty młody Galembka ożenić z córką Kondka, ale ta – choć się jej podobał – wybrała syna Kryszczaka, ponieważ młody Galembka lubił w żniwa wędkować. I miała rację, gdyż człowiek, który chodzi na ryby, nie będzie nigdy dobrym gospodarzem, co się później potwierdziło, gdyż młody Galembka żył z pracy swej żony.

Czy może zresztą być na świecie coś gorszego od głupiego człowieka?

Głupiec nie potrafi pojąć początku i końca wszystkich rzeczy, spraw i myśli, nie rozumie innych ludzi. Jeśli chce czynić dobro – to ono przerodzi się w zło – to ono

staje się jeszcze większym złem, które aż poraża wszystkich wokół. To co proste – dla głupca bywa skomplikowane. To co skomplikowane – wydaje się proste. Nie trafia do głupca nawet jawna prawda, że kobieta brzydka musi na ogół zdać się na czyjś wybór, a kobieta piękna może sama sobie wybierać mężczyznę. Głupiec biegnie za pięknoscia, prosi, skamle, nakłania, obiecuje cały świat – i staje się przedmiotem kpin, żartów i ludzkiej wzgardy. Mądry czeka spokojnie, bo wie, że jeśli go piękna kobieta wybrała, to prędzej czy później swoimi sposobami położy na nim dłoń, jak właściciel na karku swego konia. Głupiec zwraca uwagę na piękną kobietę, mądry stara się jej uwagę zwrócić na siebie.

Od Wielkiej Nocy nosił Franek Szulc przy sobie dokument państwowy, zezwalający mu na wyjazd w dalekie kraje. Zamierzał tam dorobić się wielkiego majątku i powracać do Skirolawek tylko w odwiedziny, samochodem tak pięknym jak Gerarda Webera. Wystarczyło pojechać do większego miasta, kupić bilet na samolot albo pociąg – i hajda, po dobro i szczęście. Ale Franek Szulc nadal siadywał z innymi na ławeczce przed sklepem i tylko wszystkim raz po raz ów dokument pokazywał, biletu jednak nie kupował, jakby mu żal było odwiedzin u siostry w Bartach albo wciąż się łudził, że to on, a nie młodszy brat dostanie majątek po ojcu. Niestety, wszystkiego naraz mieć nie można – nie wie o tym tylko głupiec.

Od śmierci Dymitra Wasilczuka, gdzie się tylko dało i kiedy była ku temu najmniejsza okazja, Franek Szulc nagabywał Justynę i prosił ją, żeby go nocą do swego domu wpuściła.

– Jesteś piękną kobietą, Justyno – mówił do niej Franek. – Noszę przy sobie paszport na wyjazd w dalekie kraje. Jeśli mi każesz, to pozostanę, a jeśli zechcesz, wyjadę, dorobię się wielkiego majątku i ciebie do siebie zabiorę. Nie wiem, dlaczego ojciec mój tak mnie nienawidzi, że cały swój majątek przekazał na młodszego brata. Może to moja wina, bo zbyt szybko chciałem po ojcu przejąć w domu rządy. Mój brat jest pokorny, a pokorne cielę dwie matki ssie. Może źli ludzie ojca do mnie niechętnie nastawili, rozpowiadając, że żyję z siostrą mija. Ingeborg, ale ty w to nie wierz. Obraziłem też kiedyś w gniewie swojego ojca, mówiąc mu, że nie wierzę, aby wszyscy Kawalerowie Maltańscy wyginęli podczas zawieruchy wojennej. Powiedziałem mu w złości: Wrócą i takich jak ty powieszą na drzewach. Dlatego niektórzy gadają, że wyjeżdżam, aby służyć Kawalerom Maltańskim. Nie wierz jednak temu, Justyno, nic mnie oni nie obchodzą. W dalekich krajach żyje siostra mego ojca, chcę się przy niej dorobić majątku. Wpuść mnie do siebie i będziemy szczęśliwi, tutaj albo tam, gdzie zechcesz.

Tak mówił, a ona milczała wzgardliwie, gdyż w tym czasie myślała jak zwabić do

siebie Kłobuka i wyjawić mu swoje najskrytsze życzenie. W porze żniw oświadczył Franek swemu ojcu, że zanim wyjedzie w świat, jeszcze mu trochę pomoże w pracy. Zasiadł na siodelku traktora i przez dwa dni kosił snopowiązałką pszenicę ojca i młodszego brata. Na trzeci dzień pojechał na pole Justyny, zżął poletko jęczmienia dla kur, potem pomógł jej snopki w mendle ustawić. Ale choć pracował dla niej w pocie czoła, ona nawet na niego łaskawszym okiem nie spojrziała, żadnym słowem czy gestem go nie zachęciła, aby za tę robotę wziął to, co się mężczyźnie należy. Justyna bowiem wtedy myślała o Kłobuku, który od niej uciekł.

Przed wieczorem, po pracy przy żniwach, wsiadła Justyna w łódkę i popłynęła na bindugę, aby wydoić swoją krowę. Następnie wielką kanę załadowała na kierownicę roweru i pospieszyła do zlewni za rybaczówką. Tam złapał ją za pierś młody Galembka, tak jednak na niego dziwnie spojrziała, że straszno mu się zrobiło. W powrotnej drodze do domu łańcuch roweru głośno skrzypiał, aż jej w głowie świdrowało od tego jazgotu. Zsiadła więc z roweru i wołała go prowadzić.

Malarz Porwasz naprawiał ogrodzenie przy swoim domu, był w czarnych obcisłych spodniach i bez koszuli, ciało miał brązowe od słońca i pierś w czarnych kędziorach. „Posprzątać u mnie trzeba, Justyno. Kobiecej ręki mi brak” – zaczepił ją. I patrzył na jej bladą twarz jak urzeczony, a gdy wzrok przesunął na jej długą szyję, zachwycała go delikatna różowość ciała. „Widłagowa u pana sprząta” – odpowiedziała mu śpiewnie Justyna i poszła dalej, nie zwolniwszy kroku ani też przyśpieszywszy, jakby nie był mężczyzną. Wkrótce ogromne i czerwieniejące słońce opuściło się ponad las. Justyna siedziała na pieńku do rąbania drzewa i na myśl o Kłobuku ogarniało ją odrętwienie. Wkrótce jednak zdołała się z tego otrząsnąć. „A może jednak powróci?” – pomyślała. I zaraz w nią życie wstąpiło, napaliła pod kuchnią, zagrzała wody i myła się cała długo i starannie, jak wówczas, gdy poszła do doktora na badanie lekarskie. Zmieniła bieliznę pościelową i długo w noc leżała w łóżku w ciemnościach, nie poruszając się, jakby w obawie, że słoma w sienniku zatrzęszczy i ten szmer spłoszy dobrego ducha. I kiedy tak leżała, odkryła, że nie jest samotna w izbie ani nawet w łóżku. W jej ciele mieszkała jakaś druga istota, bez imienia i bez ciała, żyła w niej chyba zawsze, od dzieciństwa, lecz dopiero od pewnego czasu stała się dorosłą i samodzielną. Gdy ciało Justyny ogarniało dziwne odrętwienie, tamta druga istota wychodziła z niej i biegła nago do lasu albo, jak tamtej zimowej nocy, poszła aż do Czaplej Wyspy, ślizgając się po mokrym lodzie. To także ta druga istota, która nie była i zarazem była Justyną, niekiedy skradała się na strych po drabinie, szła w zasnuty pajęczynami kąt, wsuwała rękę za grubą belkę, podtrzymującą dach i wymacawała palcami szmaciany tłumok z obrzynkiem. „Nie bój

się go, ty głupia – mówił jej kiedyś Dymitr. – Tu jest zamek, a tu się w niego kule wsuwa. Potem zatrzasujesz zamek, podnosisz kolbę do ramienia i celujesz”. Uczył ją Dymitr długo i cierpliwie, ponieważ chciał, żeby mu pomagała nocami kłusować w lesie. Bił ją też ciągle, gdyż sądził, że jest jałowa. Kto zepchnął w przerębłę pijanego Dymitra? Ta, czy tamta Justyna? Kto pragnął doktora i dotyku jego chłodnych dłoni – ta czy tamta Justyna? Która z nich była prawdziwa, a która żyła w drugiej, jednoczyła się i potem oddzielała?

Człowiek się męczy, gdy żyją w nim dwie osoby. Czasem popada w dziwne odrętwienie, ciało pozostaje jak martwe, aby ta druga istota mogła oddzielać się i żyć swoim życiem. Czasem jednak obecność tej drugiej istoty sprowadza słodkie uczucie sytości i pełni. Tak jest wtedy, gdy doktor wchodzi nocą do izby, w milczeniu kładzie się obok Justyny – tej i tamtej drugiej, bo tamta druga również na niego czeka w utęsknieniu. Potem ta pierwsza udziela tej drugiej własnego ciała, rozchyła uda i podaje mężczyźnie nabrzmiąle wargi podobne do koguciego grzebienia. Rozkosz jest wspólna dla obydwu, wielka i potężna jak śmierć.

Justyna chce spać. Ale ta druga istota wciąż w niej czuwa i męczy się tęsknotą, dręczy niepokojem, że Kłobuk uciekł i doktor nigdy nie przyjdzie.

Słysząc skrzypienie drzwi i przyspieszony męski oddech. To nie jest doktor, ale Franek – Justyna wie o tym, choć w izbie jest ciemno.” Nie rób tego” – ostrzega go Justyna. Ale Franek zdiera z niej pierzynę i rzuca się na nagie ciało. Kobieta nie broni się, bo Franek jest od niej o wiele silniejszy, leży w milczeniu, a każde pchnięcie, które jej zadaje, czuje w sobie jak uderzenie nożem. Zaciska zęby i czeka. A kiedy czuje, że mężczyznę ogarnia rozkosz, zbiera w sobie wszystkie siły i spycha go z siebie. Biały mlecz mężczyzny leci na pościel, na kurz podłogi. „Wolałabym mieć dziecko z Kłobukiem niż z tobą” rzuca mu w twarz pogardliwie.

Franek Szulc wraca do domu ojca, zadowolony, że mimo wszystko wziął to, co mu się należało. Przed świtem budzi go krzyk w sąsiedniej izbie, gdzie śpi ojciec. W oknie widać czerwony blask ognia. Pali się sterta żyta Szulców, samotna sterta pod lasem. Co można uratować z palącej się daleko sterty żyta?

Przed południem Otto Szulc wzywa syna przed swoje oblicze, siada z nim w izbie o białych ścianach i poczerniałych od starości meblach.

- Powiedz mi, Franc, kogo skrzywdziłeś – pyta stary.
- Spalę tę kurwę razem z jej domem – wykrzykuje Franek.

Otto Szulc w milczeniu miętosi swoją białą brodę. Ma przecucie, że w tym roku umrze i dlatego widzi świat inaczej niż dawniej.

– Nie zdążysz, Franc, tego zrobić – oświadcza synowi. – Czy nikt ci nie mówił, że kobieta piękna sama sobie wybiera mężczyznę?

Ostatni obiad w rodzinnym domu. Otto Szulc otwiera swoją jedyną książkę w czarnych odrapanych okładkach i czyta obydwu synom: „Ale Heli zestarzał się bardzo, i słyszał wszystko, co czynili synowie jego całemu Izraelowi, i jako sypiali z niewiastami, które się schadzały przed drzwiami namiotu zgromadzenia. I rzekł tak do nich: przeczże takie czyny czynicie? Cóż ja słyszę o waszych złych sprawach od wszystkiego ludu? Nie synowi moi, bo niedobra sława, którą ja słyszę, że przywodzicie ku przestępstwu lud Pański. Gdy kto zgrzeszy przeciw człowiekowi, sędzić go będzie sędzia, ale jeśli przeciw Panu kto grzeszy, któż się za nim ujmie?” Nazajutrz w stolicy ubrany odświętnie Otto Szulc kupuje synowi bilet w obce kraje, czeka na peronie, aż tamten wsiądzie do pociągu.

– Pozdrów ode mnie wuja Hermana i ciotkę Gizelę – mówi. – Napisz do mnie, jak się tam urządziłeś. Nie myśl o tej spalonej stercie. Tam było liche żyto. Do Bart powraca Otto Szulc nocnym pociągiem. Mimo tylu godzin bez snu i wypoczynku czuje się dobrze, jakby mu wróciły dawne siły. „Może jeszcze nie umrę w tym roku” – pociesza się, wysiadając na przystanku autobusowym w Skiroławkach.

Nazajutrz, choć to pora żniw, każe Otto Szulc swojemu synowi przeorać resztki spalonej sterty. W tym czasie idzie do domu Justyny i mówi do niej:

– Wkrótce wyciągnę ze stodoły swoją młocarnię. Przyjadę wtedy po twój jęczmień, nie będziesz go miała więcej niż dwa wozy. Wymłóć ci go, gdyż nie chcę, aby ludzie myśleli, że mój syn, który już wyjechał, wziął cię siłą, a ty spaliłaś za to moją stertę pod lasem.

Justyna pochyła się do pełnej żółtych płam dłoni starca i całuje ją pokornie: Ma chyba rację Kłobuk. W porze żniw najłatwiej zobaczyć na wsi, kto jest mądry, a kto głupi.

O MIŁOŚCI, WYDAJĄCEJ SIĘ NIEPRAWDZIWĄ

Na zachodzie słońce powoli zbliżało się do horyzontu wyznaczonego przez ścianę lasów. Niebo było tam czyste, powleczone jedynie żółtaworóżową poświatą. Od południa jednak nadchodził wielki cumulonimbus i szybkie zbliżanie swoje oznajmiał głębokim i groźnym basem przeciągłych grzmotów. Ciemnosina chmura wyrastała

jak wysoka na kilka kilometrów góra, która w miarę zbliżania się ukazywała swoją rozległą podstawę. Już cały południowy horyzont był przez nią zajęty i grzmiał jak organy. Powietrze przesyciła wilgotna duchota i nawet lekkie szkwaliki, tu i ówdzie marszczące powierzchnię jeziora, nie przynosiły ochłody dla zbrązowiełego od słońca ciała. Aż wierzyć się nie chciało, że tak niedaleko, w ogromnej masie chmurowej góry – tkwi zakłęta znieruchomiła siła huraganu, w sinych kłębach kryje się gwałtowny deszcz, a jeszcze wyżej – drobne grudki gradu i płatki śniegu. Było czymś strasznym spotkać się z nią na jeziorze z pełnym ozagłowaniem; pierwszy podmuch wiatru był słaby, lecz drugi rzucał jacht na wodę jak motyla, który niepotrzebnie znalazł się daleko od lądu. Potem woda zaczynała się kotłować i bielą od piany, z wysokich i krótkich fal zrywały się płaty wody.

Doktor Niegłowicz zrzucił obydwa żagle i, zanim nastała zupełna cisza, dał się ponieść lekkim powiewom wiatru w kierunku obrośniętego drzewami półwyspu starej bindugi. Wielka chmura znajdowała się tuż nad jego głową, zakrywając niemal całe niebo. Spływała z niej jadowita czerwień, a poczerniały na południu horyzont ciężki zygzaki błyskawic.

Podciągnął miecz i wprowadził jacht w trzciny, zaczepiając ząb kotwicy o podmyte przez fale korzenie pochylonej olszyny. Starannie umocował żagle, ciężko dysząc i opływając potem, gdyż chmura nad jego głową jak gdyby wessała w siebie całe powietrze. Wciąż trwała cisza – w milczeniu, jak duchy uciekały w kierunku brzegu czarne ptaki. Na łące bindugi żałośnie zaryczała krowa – spojrział w tamtą stronę i ujrzał Justynę; z kaną pełną mleka szła do swej łodzi.

Raptem zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Czoło chmur dotknęło słońca i zakryło je sobą. Równocześnie ostry błysk oślepił oczy i w tej samej chwili przeraźliwy trzask pioruna boleśnie odezwał się w uszach. Niegłowicz zeskoczył w trzciny i kalecząc sobie boscie stopy na korzeniach zatopionych drzew dobrnął do brzegu. Słyszał coraz głośniejszy szum wiatru. Wydawało się, że oto zbliża się ku niemu pędzący po synach ciężki pociąg. Doktor dopadł Justyny, odebrał z niej ręk srebrną kanę, postawił ją na ziemi i pociągnął kobietę do jachtu zacumowanego po zawietrznej. Jezioro tworzyło już białawą mglistą kipieli, ciepły podmuch musnął twarze, trochę później spadły na nich krople wody porwanej z jeziora. Uderzenie wichury zatrzymało ich w miejscu i zdusiło oddech, tonęli w poświście wiatru, ciemnościach, łoskocie gromów i przenikliwym trzasku drzew łamanych na brzegu. Jak za mgłą widział doktor twarz Justyny, włosy szarpane wiatrem, czuł ciepło jej dłoni. Od czasu do czasu opadały na nich rozpylone przez wiatr krople wody, wiatr zrobił się zimny. Okulary doktora pokryły się rosą, nic

już prawie nie widział i niemal po omacku pociągnął kobietę do brzegu nalewanego przez wysokie fale. Jacht miotał się na kotwicy, rufa podnosiła się i opadała w jakimś gwałtownym rytmie, wspinała się ponad głowy stojących na brzegu, to znów zbliżała się o wyciągnięcie ręki i raptem zapadała w dół, oddalając się o szerokie pasmo spienionej wody. Przykucnęli w miejscu gdzie nie sięgały fale i przytuleni do siebie trwali nieruchomo w mroku, syku piany i łoskocie gromów. Aż usłyszeli głośny szum nadciągającej ulewy, która uciszyła wiatr i uspokoiła jezioro. Deszcz był zimny. zgrabiące od chłodu palce doktora z trudem chwyciły krawędź burty. Razem wdrapali się na śliski pokład. Z kabiny buchnęło na nich ciepło, jakby weszli do wnętrza dobrze nagrzanego izby. Ale zanim usiedli na pokrytej materacem koi, objali się boleśnie o ściany, dach, skrzynię mieczowy, wciąż bowiem mocno kołysało. Ogłuszał ich głośny łoskot deszczu na dachu: puste wnętrze kabiny rezonowało jak wielki bęben, w który uderzały tysiące niewidzialnych pałeczek. Pod poduszką namacał doktor ręcznik, wytarł nim swoje czoło, później zdjął z Justyny mokrą bluzkę i spódnicę. Dygocąc z zimna, nadzy, położyli się obok siebie na wąskiej koi, czując, jak przenika ich ciepło własnej krwi i włochatego koca. W kabinie mrok był kleisty, przez zaparowane szyby bulajów prawie nie docierał blask dalekich błyskawic, uderzenia piorunów ściszał łomot deszczu, który raz po raz zmieniał swój rytm, grzechotał lub przechodził w monotony szmer. Mokre włosy Justyny wydzielaly zapach szaławii, piołunu i mięty. Jej nagi brzuch niemal parzył podbrzusze mężczyzny. Nagle ogarnęło go przenikliwe pożądanie, któremu natychmiast się poddała, rozchylając uda. Potem przyjmowała jego ruchy z uwagą skupioną na swoim wnętrzu. Aż poczuł wreszcie, jak jej palce delikatnie głaszczą jego włosy na głowie, napięty brzuch kobiety coraz wolniej i słabiej drgał ostatnimi spazmami rozkoszy, która tym razem – i z niej, i z niego – wyciekała wolno, jak kropla po kropli.

Znowu jej się wydawało, że umarła. Z odrętwiałego ciała wychodzi owa tajemna druga istota i przepada w ciemnościach szemrzących deszczem i pomrukujących coraz dalszym łoskotem grzmotów. On poddawał się kołysaniu jachtu na falach i przeżywał wrażenie, że jak w ogromnej kolebce daje się unosić gdzieś w przestworze, w deszczową noc. Chyba zasnęli – a może stracili poczucie upływających minut i godzin. Nagle wczesny świt rozbielił zaparowane szyby bulajów – Justyna ostrożnie wysunęła spod koca nagie ciało i sięgnęła po mokrą odzież. Widział jak jej plecy zadrżały od zimna, gdy wciągała na siebie wilgotną bluzkę. Skrzypnęły drzwi kabiny, jacht zakołysał się odrobinę, zachlupotała woda. „Kocham ją” – pomyślał Niegłowicz, ale ta myśl nie dała mu poczucia szczęścia. Powróciła pamięć o doznanej rozkoszy, nozdrzami wciągał

pozostały po niej zapach szaławii, piołunu i mięty. I znowu był podniecony, jakby miał ją tej nocy tylko we śnie.

Czy to była miłość, jeśli nie pragnął słyszeć jej głosu, ale po prostu chciał być z nią, trwać w niej, łączyć się z nią, wdychać zapach jej ciała? Nic więcej ponad krótkie posiadanie w akcie miłosnym, który łagodził napięcie pożądania, na chwilę zresztą, bo potem budził się w nim jeszcze większy głód, ogarniający wyobraźnię i wypełniający myśli.

Podniósł się z koi z uczuciem cierpienia, żalu i nienasycenia. W kokpicie mżyło; chłód poraził nagie ciało. Pośpiesznie wciągnął na siebie gruby sweter i spodnie. Potem wybrał kotwice, wiosłem zepchnął jacht na głębszą wodę i skierował go w stronę domu.

Wciąż padało, drobniutkie krople deszczu zasnuły jezioro jak poranna mgła. Na próżno wysilał wzrok, aby dojrzeć choćby zamazany kształt swego domu na półwyspie lub dach starego młyna w wiosce. Deszcz czynił świat nierzeczywistym – i to, co przeżył nocą, wydało mu się także nieprawdziwe.

O TYM, JAK SIĘ ZABIJA PRZEZ TELEFON

W pierwszy dzień pracy doktora po urlopie zjawiła się w ośrodku zdrowia w Trumiejkach kulawa Maryna ze swym jednorocznym dzieckiem. Jakiś czas temu dzieciak przebywał w szpitalu w Bartach z powodu ostrej biegunki, odżywiano go tam kroplówką i nawet przetoczono trochę krwi – wszystko to doktor wyczytał z karty szpitalnej, którą mu kulawa Maryna przedłożyła. Tydzień dzieciak znajdował się w domu i coś mu z lewego uszka ciekło. W tej sprawie przyjechała do ośrodka zdrowia w Trumiejkach.

– Żle się dzieckiem opiekujesz, Maryna – skarcił ją doktor. – Przegrzewasz je, brudno trzymasz, nie odżywasz jak należy. Czy za mało Antek Pasemko daje ci na dziecko?

– Dawać, to daje dosyć, tylko że nie zawsze – powiedziała. – Jeśli go nie przydybię gdzieś na drodze w wiosce i nie krzyknę na niego, nawet przez miesiąc ociąga się z płaceniem. Odkąd wrócił na Wybrzeże, znowu będę musiała się dopominać od jego matki. Zresztą i tak przeważnie Zofia Pasemkowa za niego płaciła.

– Wystąp do sądu i otrzymasz należne alimenty – doradził jej doktor, zapisując lek dla dziecka.

– A gdzieżbym tam ja, panie doktorze, po sądach się włóczyła? Za honorowa na to jestem – odparła.

Podniósł doktor głowę znad receptariusza i przyjrzał się uważnie kulawej Marynie, jej pełnej piegów twarzy, ustom, co z przodu jednego siekacza nie miały, skołtunionym bezbarwnym włosom. Ciekaw był, gdzie też swój honor Maryna kryła, bo na pewno nie między nogami. Mało było takich we wsi, czy to starych, czy młodych, których by nie przyjęła, jeśli przyszli do niej z butelką taniego wina czy wódki. Ze dwa razy zdarzyło się, że po kilku kolejno na nią włązili, przeważnie na zabawach wiejskich. Zaciekawilo więc doktora, jakie też jest wyobrażenie Maryny o kobiecym honorze.

– Tu nie o honor chodzi, Maryna – rzekł do niej – ale żeby dziecko miało przez prawo ustalonego ojca. W tej chwili to może i mało ważne, ale jak dorośnie, kto wie, może być skrzywdzone. Pasemkowie są ludźmi zamożnymi, twoje dziecko dziedziczyć po nich będzie miało prawo. Ty także nie jesteś wieczna, a nie daj Boże zachorujesz. Wtedy dziecko może się dopominać o opiekę ze strony prawnie uznanego ojca.

– Straszę Pasemków sądem, ale nigdy tam nie pójdę. Za honorowa jestem – powtarzała z uporem kulawa Maryna, przytulając do siebie dziecko, które trzymała na kolanach.

Niegłowiczka ogarnęła raptem jakaś ogromna jasność. Zdawało mu się, że wszystko dookoła siebie widzi niezwykle wyraźnie, lecz to, co było najważniejsze, pozostawało w cieniu. Jak automat odsunął od siebie receptariusz, wstał od biurka i zaczął grzebać w szafce, gdzie w szufladach leżały równo ułożone karty jego wszystkich pacjentów. Znalazł kartę z nazwiskiem i imieniem: „Antoni Pasemko, syn Gustawa”. Był w niej zapis grupy krwi Antka. Starał się wtedy Antek o pracę kierowcy i przyniósł do ośrodka zdrowia wynik analizy swej krwi i jej zapis grupowy, który doktor wpisał mu do dowodu osobistego. Antek Pasemko miał grupę krwi AB, a jego dziecko, jak to wynikało z karty szpitalnej, grupę 0.

Usiadł doktor za swoim biurkiem, zmarszczył brwi i tak rzekł do Maryny:

– Szanuję twój honor, bo sam jestem człowiekiem honorowym. Czemu jednak nie powiesz mi szczerze, że tak naprawdę nie wiesz, z kim masz dziecko? Wyznaj mi, ilu ich było i dlaczego udało ci się wrobić w tę sprawę Antka.

Ceglastymi rumieńcami pojawił się gniew na białych policzkach kulawej Maryny. Chwyliła dziecko, wstała i chciała wyjść złorzecząc, ale doktor ją powstrzymał:

– To będzie rozmowa tylko między nami, Maryna. Nie powiem o niej Antkowi, niech ci płaci do końca życia. Ale chcę znać prawdę o ludziach, z którymi sąsiaduję i którym mówię „dzień dobry”. Wielką mądrość daje wiedza lekarska, tedy się mnie

strzeż i nie próbuj kłamać.

Usiadła, a ceglaste plamy na twarzy stały się różowe.

– Jeśli Antek Pasemko płaci na dziecko, to znaczy, że ono jest jego – piskliwie krzyknęła do doktora.

– Sąd zapyta o tę sprawę lekarzy, a żaden lekarz na świecie nie uzna Antka Pasemki za ojca twego dziecka.

– Ja do sądu nie pójde, bo jestem za honorowa.

– Nie jesteś honorowa, tylko sprytna – uśmiechnął się doktor. – Ten spryt ci podpowiada, że w sądzie prawda wyjdzie na jaw.

– Ja tam nic nie wiem – zaczęła siąkać nosem, udając, że jej się na płacz zbiera. – Chce pan znać całą prawdę?

– Tak, Maryna.

– A po co ona panu?

– Przez ciekawość. Przez ciekawość jaką mam ku ludziom – wyjaśnił.

Westchnęła i tak powiedziała:

– Matka pojechała na chrzciny do swojej szwagierki w Bartach. Wieczorem przyszli do mnie: Franek Szulc, młody Galembka i Antek Pasemko. Przynieśli dużo wina i mnie upili. Nic nie pamiętam. Rano wróciła matka i zastała w moim łóżku Antka Pasemkę. Całą pościel zarzygał. Jak się dziecko urodziło, to mu kazałam płacić. Żenić się ze mną nie musi. Z początku nie chciał mi płacić, ale jego matka zmusiła go do tego.

Doktor wziął w dłonie długopis i bawił się nim w zamyśleniu. Wciąż czuł w sobie ową przenikliwą jasność myśli. Dziwnie ostro rysował się w jego oczach związek między sprawami i ludźmi.

– Franek Szulc wyjechał w świat – odezwał się po długiej chwili namysłu. – Od młodego Galembki niewiele wywojujesz, bo żyje na utrzymaniu żony i ma horde własnych dzieciaków. Niech więc ci Antek Pasemko płaci na dziecko, skoro go matka do tego zmusiła.

– A tak, właśnie tak, panie doktorze – ucieszyła się kulawa Maryna.

– Ale nie w mówisz mi, że niczego nie pamiętasz. Pomyśl, może Franek Szulc będzie bardzo bogaty, a wtedy ty wystąpisz wobec niego o alimenty. Który był pierwszy?

Zastanowiła się i skinęła głową, że rozumie, do czego doktor zmierza.

– Pierwszy był Franek – wyznała. – Drugi był młody Galembka. A Antek Pasemko tylko się zerzygał i zaraz zasnął. Nawet nie skorzystał ze mnie.

– No widzisz, jaką masz dobrą pamięć – pochwalił ją Niegłowicz. – Ale to mi się dziwne wydaje, że nie skorzystał, a na dziecko płaci.

– Bo może o tym nie wie – zachichotała, rada ze swojego sprytu. – Z początku wykrzykiwał, że nic ze mną nie miał, dziecko nie jest od niego, ale mu jego matka, czyli Zofia Pasemko, kazała płacić. To znaczy, że się poczuwa. A gdy im sądem grozę, zaraz przybiegają z pieniędzmi. Przeważnie Zofia Pasemkowa. Pan, doktorze, nie zdradzi Pasemkowej, co panu powiedziałam?

– Oj, sprytna jesteś, przebiegła – z uznaniem kiwał głową doktor Niegłowicz.

Dokończył wypisywanie recepty, wręczył ją kulawej Marynie i poczekał, aż, zadowolona ze swojej przebiegłości, opuści wraz z dzieckiem jego gabinet.

Przyjął potem doktor jeszcze ośmiu pacjentów, ale badał ich nieuważnie, z roztargnieniem, myślami bowiem znajdował się gdzieś bardzo daleko. Zjawiała się też pielęgniarka, pani Henia, która w sąsiednim gabinecie zabiegowym zastrzyki ludziom robiła. Zapytała doktora, czy przywiózł dla niej spirale, żeby odtąd w ciążę więcej nie zachodziła. Doktor ociągał się z tą sprawą, więc sama na fotel włożyła i nogi rozłożyła, ale i tak nic z tego nie wyszło, ponieważ stwierdził u niej nadżerkę i kazał ją najpierw wyleczyć. Tedy popłakując znowu poszła do gabinetu zabiegowego, a doktor został sam i siedząc przy biurku w zamyśleniu spoglądał na aparat telefoniczny.

Znowu myśli doktora krążyły w mroku, ale przecież znajdował dla nich jasną ścieżynę, wąską i krętą. Posłał ową ścieżką swoje myśli i aż zadrżał z przerażenia, cofnął więc je i znowu posłał, znowu cofnął i jeszcze raz posłał. Wreszcie drżącymi ze zdenerwowania palcami wykręcił na tarczy numer centrali na pocztce w Trumiejkach i kazał się połączyć z kapitanem Śledzikiem w odległym wojewódzkim mieście.

– Jest w naszej wiosce młody człowiek – poinformował Śledzika – który przez jakiś czas pracował i znowu pracuje na Wybrzeżu w charakterze kierowcy ciężarówki. Płaci na dziecko, o którym wie, że nie jest jego. Płaci, choć domyśla się, że sąd oddaliłby powództwo matki. Wszystko wskazuje na to, że chce, aby uważano go za zdolnego do zapłodnienia kobiety. Jak pan sądzi, dlaczego to robi?

W słuchawce trwała dłuższa chwila ciszy. Potem kapitan Śledzik powiedział do doktora tylko jedno słowo:

– Dziękuję.

I odłożył słuchawkę. Doktor zaś zdjął biały fartuch lekarski, zamknął gabinet na klucz i swym starym gazikiem wolno wyruszył do Skiroławek.

Był przedostatni dzień sierpnia z pochmurnym niebem wróżącym deszcz. Po obydwu stronach drogi tu i ówdzie pośpiesznie kończono rwanie lnu, podorywano opustoszałe ścierniska. Pożółkły badyle kartoflisk i choć lato wciąż trwało, czuło się smutek bliskiej jesieni.

Dziwił się doktor, że nie rozpiera go duma z przenikliwości umysłu, ale najwyraźniej odczuwa smutek. Zastanawiał się, czemu pragnienia nigdy nie spełniają się tak, jak to sobie człowiek wymarzył. Chciał spotkać zbrodniarza na polanie i strzelić mu między oczy. Tymczasem wciąż narzucała mu się twarz zbrodniarza, jego głowa w zarzyganej pościeli kulawej Maryny. Widział też pętlę sznura chybotliwie zawieszoną nad głową śpiącego w tej pościeli człowieka i pomyślał, że niekiedy łatwiej jest strzelić komuś między oczy, niż zabić na odległość. Przez telefon.

O TYM, JAK TRUDNO UWIERZYĆ, ŻE NIE ZAWSZE CZARNE BYWA CZARNE, A BIAŁE JEST BIAŁE

Piątego września o godzinie siódmej rano aresztowano Antoniego Pasemkę w hotelu robotniczym na Wybrzeżu. Dokonał tego major Kuna i dostarczył Antka do aresztu śledczego. W tym czasie wieść o tym wydarzeniu przywiózł do Skirołówek kapitan Śledzik, od nowa rozpoczynając śledztwo.

Być może obydwaj pośpieszyli się nieco, ale schwytanie seksualnego mordercy należy do najtrudniejszych zadań w praktyce kryminalnej. Nie sposób każdej kobiecie, którą na swej drodze spotkać może taki osobnik dać specjalnego i starannie zamaskowanego strażnika. Nigdy te? nie wiadomo, kiedy zaatakuje – można na to czekać miesiąc, pół roku lub nawet rok. Zabójca jeździ po kraju ciężarowym samochodem, raz jest tu, a innym razem gdzie indziej – jakże go śledzić tak dyskretnie, aby tego nie zauważył i złapać na gorącym uczynku? Iluż ludzi musiałyby zajmować się tą sprawą, jakież ogromne należałoby zaangażować środki i sprzęt? Któż wreszcie może zaręczyć, że nie wymknie się on spod obserwacji i nie dokona nowej zbrodni – że nie zginie jeszcze jedna młoda istota ludzka. Aresztowanie podejrzanego bez pełnego portfela zebranych dowodów jego winy – to trudni decyzja. Lecz pozostawienie go na wolności też budzi sprzeciw sumienia, stawką bywa przecież życie lub śmierć jakiejś dziewczyny. Jest jednak nadzieja, że nawet wobec kruchych dowodów winy, w ogniu pytań, załamanie się i przyzna do winy, ujawniając szczegóły swych czynów. Liczyć się również należy i z tym, że wieść o aresztowaniu mordercy potrafi niekiedy ożywić ludzką pamięć, ujawnić nie znany dotąd fakt, który na całą sprawę rzuci nowy promień światła.

Zofia Pasemko nie uroniła ani jednej łzy i, zacisnąwszy swoje wąskie wargi, powiedziała z nienawiścią do kapitana Śledzika:

– Tak, to on zrobił. I niech go za to powieszą.

Następnego dnia, poinformowana, że jako matka może odmówić wszelkich zeznań, skorzystała z tego prawa, a nawet oświadczyła Śledzikowi, że Antek jest niewinny.

Z kart drogowych wynikało, że w noc, gdy zginęła w Skiroławkach mała Haneczka, Antek Pasemko znajdował się na trasie między Wybrzeżem a stolicą. Wbrew przepisom jechał bez pomocnika i mógł skrócić z głównej trasy na drogę przez Skiroławki. Nikt jednak tej nocy nie widział we wsi ani jego, ani jego samochodu.

Podobnie w dzień po weselu na północy kraju jechał Antek Pasemko, także bez pomocnika, z Wybrzeża do stolicy i mógł spotkać na trasie tamtą dziewczynę, która chciała autostopem dostać się na południe. Ale dokładnej daty śmierci owej dziewczyny nikt nie był w stanie ustalić. Bowiem zwłoki jej znajdowały się w pełnym rozkładzie. Mogła zginąć w tę noc, gdy Antek jechał z Wybrzeża do stolicy albo o dzień lub dwa dni później. Z takimi dziewczynami różnie przecież bywa, potrafią na jedną lub drugą noc zatrzymać się u jakiegoś przygodnie spotkanego mężczyzny. A zresztą, czy na pewno odjechała z wesela autostopem?

Późnym popołudniem w dzień, w którym została napadnięta Renata Turoń, także jechał Antek Pasemko ciężarowym samochodem z Wybrzeża do stolicy. I znowu bez pomocnika. Wyliczono, że gdyby z głównej trasy skręcił na Skiroławki, o zmroku mijałby właśnie wioskę i leśniczówkę Blesy. Nikt go tu jednak o tej porze nie widział i nie było dowodów na to, że skręcił z głównej trasy.

Wezwana na przesłuchanie aż ze stolicy pani Renata Turoń nie potrafiła określić, jak dokładnie wyglądał samochód ciężarowy, który ją mijał na szosie na krótko przed napadem, gdyż oślepił ją reflektorami. Nie była też pewna, czy ów ciężarowy samochód zatrzymał się za zakrętem, czy też pojechał dalej. Eksperci – ku oburzeniu pani Turoń – bardzo szczegółowo kazali jej opowiadać, jak długo załatwiała swoją potrzebę fizjologiczną. Musiała im wskazać miejsce, gdzie to uczyniła i w jaki sposób, a jeden z nich nawet pojechał ciężarówką za zakręt, zatrzymał się tam i, jak się okazało, zdążył nadbiec skrajem szosy właśnie w chwili, gdy pani Turoń uznała, że już zaczęła kończyć powszechnie praktykowaną czynność podcierania tyłka.

Z opisu Renaty Turoń wynikało, że osobnik, który na nią napadł, był młody, drobny i słaby fizycznie, tak samo jak Antek Pasemko. Rysów twarzy nie widziała i nie mogła z całą pewnością stwierdzić, że pokazany jej w areszcie człowiek jest napastnikiem z lasu.

Pytano dziewczęta w Skiroławkach, czy któraś z nich miała przyjemność kobiecą w obcowaniu z Antkiem Pasemko i wszystkie jednogłośnie stwierdziły, że nigdy nic im się takiego nie przydarzyło. Gdyby jednak było inaczej – też by tak samo powiedziały, ponieważ każda z nich twierdziła, że jest jeszcze cnotliwą. Kulawa Maryna zaprzeczyła, jakoby kiedykolwiek mówiła doktorowi, że najpierw miał z nią stosunek Franek Szulc a potem młody Galembka, ale zeznawała, że dziecko ma z Antkiem Pasemką. Wie o tym z całą pewnością, gdyż wówczas wcale nie była pijana, nigdy zresztą, wedle jej zeznań, pijaną nie była. Co tyczy grup krwi – zerowej u dziecka i AB u Pasemki – co rzekomo naukowo wyklucza ojcostwo Antka, kulawa Maryna oświadczyła z całą mocą, że nie wierzy w żadne grupy krwi i ci co podobne historie wymyślają, mogą ją w tylek pocałować. Ona chce w dalszym ciągu otrzymywać pieniądze od Zofii Pasemkowej. Zapytana przez kapitana Śledzika, czy na temat pieniędzy na dziecko rozmawiała ostatnio z Zofią Pasemkową, przyznała się, że była między nimi o tym mowa. A mianowicie Zofia Pasemkowa rzekła jej po prostu: „Jeśli dziecko nie jest od Antka, nie będę ci płaciła. Jeśli jest od Antka – płacić ci będę”. Taka postawa Pasemkowej wydała się Marynie słuszna, bo niby dlaczego miałyby Pasemkowa płacić na dziecko, jeśli ona, Maryna zezna, że dziecko nie jest Antkowe? W sądach zaś takich spraw nie zamierzają rozstrzygać, gdyż obydwie – i Zofia Pasemko, i kulawa Maryna – są na to zbyt honorowe.

Młody Galembka też zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek łączyło go coś z kulawą Maryną. Ma dosyć własnych dzieci i nie da sobie zrobić dziecka kulawej Maryny. Co do Antka Pasemki, to przyznał, że nigdy go nie widział podczas męskiego załatwiania sprawy z jakąś dziewczyną czy kobietą, choć bywały ku temu rozmaite okazje. Na przykład w noc, gdy przy drodze koło cmentarza wspólnie z panem malarzem Porwaszem czynili zadość życzeniu żony gajowego Widłaga i przyszła kolej na Antka Pasemkę, on zaczął wymiotować i męskiej powinności nie dokonał.

Niechętnie i po długim namyśle potwierdził to również malarz Porwasz.

Erwin Kryszczak opowiedział milicji, że ilekroć jak zwykle na ławeczce przed sklepem rozmaite świństwa o kobietach rozpowiadał, Antek Pasemko mienił się na twarzy i robiło mu się niedobrze, a kiedy Stasiak, Ziętek i Jarosz chwalili się swoją gonitwą za Kruczkiem, aby mu jądra wyciąć – aż zzieleniał jak gdyby ze strachu i podjął decyzję opuszczenia Skiroławek, i wyjazdu na Wybrzeże. To znaczyło, zdaniem Kryszczaka, że czegoś lub kogoś się zląkł. Być może wyobraził sobie, że i jego, po jakimś strasznym czynie, ścigać będą ludzie po lesie i jądra mu zechcą wyciąć.

Powiedziała Porowa, że ukrywać prawdy nie zamierza – prawie z wszystkimi

mężczyznami i chłopakami w wiosce miała okoliczność, z wyjątkiem pisarza Lubińskiego i malarza Porwasza uraz leśniczego Turleja, ba, nawet doktor ją używał przed wieloma laty, gdy była znacznie młodsza – ale Antek Pasemko nigdy u niej nie był, co jej się wydaje dziwne, a nawet podejrzanе.

Psychiatrów zainteresowała sprawa bata, którego Zofia Pasemkowa używała dla trzymywania w ryzach swoich synów i męża. Jak to jednak z psychiatrami się zdarza każdy był innego zdania. Jeden mówił, że bicie batem młodego chłopca przez matkę i dominująca rola kobiety w domu rodzinnym doprowadza do błędnej identyfikacji seksualnej w okresie dojrzewania, powoduje lęk przed kobietami i trudności w nawiązaniu kontaktów seksualnych, a tym samym rozbudzić może nienawiść i sadyzm wobec dziewcząt. Drugi oświadczył, że używany przez Pasemkową bat zrodził w Antku nie sadyzm, ale raczej masochizm, który wyklucza dokonywanie czynów sadystycznych. Trzeci skłaniał się ku poglądom obydwu i określił Antka Pasemkę jako sado-masochistę. Nie mogło być między nimi zgodnych poglądów, ponieważ każdy z nich reprezentował inną szkołę psychiatryczną: jeden północną, drugi stołeczną a trzeci południowo – zachodnią.

Antek Pasemko zeznał do protokołu, że nigdy nie miał do czynienia z kulawą Maryną, poza tym, że u niej raz zasnął i rzeczywiście zwymiotował w jej pościeli. Dziecko nie jest jego, zawsze to publicznie oświadczał. Ale jego matka, nie wiadomo dlaczego, uparła się, aby je uznać i płacić Marynie. Nie miał męskiej ochoty ani do kulawej Maryny, ani do Porowej, ani do Widługowej czy innych kobiet i dziewcząt w wiosce, ponieważ budzą w nim wstręt. Wszystkie one są puszczałskie, a jemu matka od dziecka mówiła, że takich dziewcząt i kobiet należy się strzec, gdyż zarażają chorobami wenerycznymi, których on, Antek Pasemko, bardzo się obawia. Kiedyś czytał książkę, a także widział w telewizji rozmaite filmy, w których mężczyzna spotyka piękną i cnotliwą kobietę, budzi się między nimi miłość, żenią się, płodzą dzieci i są szczęśliwi. Wierzy, że i jemu kiedyś się taka historia przydarzy, dla tej kobiety chce chronić swoje męskie nasienie, a nie narażać się na chorobę weneryczną. Nie jego, Antka, wina, że porządnych dziewcząt jest ostatnio coraz mniej, on jeszcze takiej nie napotkał, a te, które poznaje – są nachalne, łatwe i wstrętne.

Co tyczy zabójstw – on ich nie dokonał. Ani mu nawet przez myśl nie przeszło, żeby coś podobnego zrobić. Zawsze jeździł z Wybrzeża do stolicy główną trasą, nigdy nie zbaczał do Skiroławek, ponieważ w ten sposób wypalałby więcej benzyny i miał więcej kilometrów na liczniku. Owszem, od czasu do czasu licznik cofał lub podkręcał, ale tak wszyscy kierowcy robią, żeby móc odsprzedawać zaoszczędzoną benzynę.

Po dziesięciu dniach od chwili aresztowania, pewnej nocy, Antek Pasemko leżąc w celi na pryczy zaczął głośno płakać oraz skarżyć się, że czuje jak mu trzy nagie dziewczyny zaciskają sznur na szyi; gdyż je okrutnie zabił i przez to zmarnował swoje życie. Drugi aresztant pukaniem w drzwi celi obudził strażnika, ale zanim ten wezwał kapitana Śledzika, Antek wyplakał się i wyszochał. Śledzikowi przysiągł, że nie płakał i nie szochał, a ów aresztant kłamię, aby otrzymać mniejszy wyrok za popełnione przestępstwa.

Trzecia dziewczyna?

Pojechał kapitan Śledzik do Skiroławek i znowu chodził po domach i ludzi wypytywał. Ale przecież, jak to wszyscy zgodnie twierdzili, tylko dwie dziewczyny były w Skiroławkach zabite. Dopiero starszy sierżant Korejwo, przejrzawszy dokładnie stare książki wydarzeń, odnalazł w nich meldunek, że przed dwoma laty w lipcu gromada młodych chłopców i dziewcząt przyjechała na niedzielę aż z Bart, aby się kąpać w jeziorze. Jedna z dziewcząt, trzynastoletnia Aneta Lipska, z powodu braku kostiumu oddaliła się nieco od gromadki i kąpała samotnie, nago, za krzakami i trzciniami. A kiedy nie wróciła do przyjaciółek, powiadomiono milicję, że chyba się utopiła i rozpoczęto przeszukiwanie sieciami tej części jeziora. Zwłok nigdy nie wyłowiono. Co roku zresztą jezioro Baudy pochłaniało po kilka ofiar, zwłoki odnajdywano po dniu, tygodniu, pół roku albo i nigdy. Na liście nigdy nie wyłowionych było aż czterech mężczyzn i tylko jedna trzynastoletnia dziewczynka o imieniu Aneta. Jej rzeczy pozostały na brzegu jeziora – dlatego nikomu nie przyszło do głowy, aby szukać innych przyczyn zaginięcia.

Czy to ją miał na myśli Antek Pasemko, wspominając o trzeciej nagiej dziewczynie?

„W sprawie podejrzanego A.P. śledztwo trwa” – napisano w miejscowej gazecie.

W Skiroławkach powoli cichły i kurczyły się rozmowy o Antku Pasemce i jego zbrodniach. Nie tego oczekiwali i nie tego się spodziewali. Chcieli, aby milicja pokazała im jakiegoś obcego człowieka z twarzą, która lęk wzbudza jak diabeł na obrazie, z wystającymi kłami, z rękami długimi jak u małpy i pianą na ustach. Antek był drobnej budowy, miłym i ładnym chłopcem. Zawsze grzecznie się wszystkim kłaniał i nawet na zabawach nie czynił awantur. Jeśli więc taki chłopiec dokonał w tajemnicy czynów tak przerażających, żył wśród nich i zachowywał się tak jak gdyby nigdy muchy nie skrzywdził, siadywał na ławeczce przed sklepem i słuchał opowieści Kryszcza – czymże w takim razie jest, tak naprawdę, istota ludzka i jakiego to potwora każdy w sobie nosi? Jak oceniać siebie i innych, jeśli nie wedle widocznego dla wszystkich zachowań? Kto jest dobry, a kto jest zły, skoro, jak się okazało, lepszym człowiekiem od Antka Pasemki był wiecznie pijany cieśla Sewruk albo Erwin Kryszcza, który

bez przerwy rozmaite świństwa opowiada? Tak myśląc można zejść na jakieś straszne manowce, gdzie okaże się, że dobrą i porządną kobietą jest Maria Porowa, która biegła nago wokół swego domu z widelcem włożonym między nogi, a złą Zofia Pasemkowa, ponieważ bijąc batem swego syna, aby był posłuszny i karny, uczyniła z niego okropnego zbrodniarza. Przypomniano sobie i córkę Donasza Wątrucha, tak piękną i czystą jak wietrzyk majowy, a przecież zmarłą, jak to twierdziła Galembkowa, na skutek włożenia sobie w pochwę przedmiotu, którego wyjąć nie potrafiła. Jak żyć wierząc, że człowiek jest takim oszustem, że nic nie znaczą jego uśmiechy, słowa, uzewnętrznione dla ludzi uczynki? Czyi czarne nie powinno być czarne, a białe nie powinno być białe?

Malarz Porwasz do obrazu trzciny nad jeziorem używał wielu barw i odcieni, opowieści pisarza Lubińskiego przypominały motek tak splątanej włóczki, że nie wiedzieć, gdzie szukać początku, a gdzie końca nitki. Doktor Niegłowicz ostrzegał, że lekarstwo, które daje na wyleczenie jakiejś choroby, powoduje inną chorobę, leczy a zarazem truje – człowiek prosty jednak pragnął widzieć świat pełen prawd ułożonych jak drewniane bale w sągu, jak meble w mieszkaniu. Krzesło, zydeł, ława są do tego, aby na nich siedzieć, łóżko zaliczyć trzeba do sprzętów służących do spania, na stole zaś należy kłaść chleb, sól, stawiać talerze z jedzeniem i pół litra wódki. Jeśli miły i grzeczny chłopak nazwiskiem Antek Pasemko, którego wszyscy znali i lubili, w okrutny sposób mordował dziewczyny – to było to samo, jakby ktoś powiedział ludziom, że na łóżku należy kłaść chleb, a spać na stole. Aż się w głowie mąciło od myśli i obrazów świata wywróconego do góry nogami. Nie chciało się więc wierzyć w winę Antka, ale przecież rozsądek i fakty przemawiały okrutnie przeciw niemu. Nie poszłaby mała Haneczka z kimś obcym do lasu i to w nocy – z Antkiem by to uczyniła. Kto mógł przywieźć do lasu w Skiroławkach obcą i nikomu nie znaną dziewczynę, jeśli nie ten, kto jeździł samochodem z Wybrzeża do stolicy i w każdej chwili mógł skrócić w boczną drogę. Tylko swój znał stary dół po sadzonkach, ukryty w lesie. Czemu Zofia Pasemko płaciła na dziecko kulawej Maryny, skoro sam Antek twierdził, że nie jest od niego? Domyślała się jego czynów, a może i pewność co do nich miała – był u matki wtedy, gdy rzekomo miało go nie być – i kryła jego sprawki, jak to robi każda matka. Udowodnić wszystkim chciała, że Antek jest jak inni mężczyźni, ponieważ zbrodniarz nie był taki jak inni. Milicja miała wiele swoich powodów, aby aresztować Antka, nikt tej decyzji nie stawiał w wątpliwość i nie negował. Co innego jednak od razu uwierzyć i przedstawić sobie, że to Antek okazał się owym wściekłym psem, bestią w ludzkiej postaci o miłej powierzchowności. Tedy już lepiej coraz mniej o tym mówić i jak najmniej się zastanawiać, cierpliwie czekać i po dawnemu myśli swoje porządkować

wedle starodawnych nauk, z których wynikało, że człowiek ładny, grzeczny i miły – musi być dobry, a złego Pan Bóg piętnuje – zezem, krzywizną, brzydką posturą, rudymi włosami. „Zyz, ryz i kuternoga – takich się strzeż”, mówiło przysłowie. A w Księdze Świętej czy nie pisało wyraźnie: „I włożył Pan na Kaina piętno”? Nie miał żadnego piętna Antek Pasemko, nawet najmniejszego znamienia czy, brodawki. Dał mu Pan drobną budowę, ale miłą powierzchowność i nauczył kłaniania się starszym. Tedy nie mógł być zbrodniarzem jeszcze straszniejszym od Kaina.

I oto trafił kapitan Śledzik jakby na wielką znowę milczenia ludzi w Skiroławkach. Nikt nie chciał przeciw Antkowi świadczyć, nikt nie powiedział o nim złego słowa, nikt go nie widział w wiosce w nocie zbrodni. „Szukajcie po naszych lasach Wilkołaka – radziły kapitanowi kobiety ze Skiroławek – bo tylko Wilkołak zdolny jest zabijać młode dziewczęta”. Inni zaś twierdzili uparcie, że zbrodni dokonał któryś z Kawalerów Maltańskich, o których wiadomo, że tam i ówdzie za granicą mają jeszcze swoje siedziby. „Czarne jest czarne, a białe jest białe – mówili ludzie do Śledzika. – Białe jest dobre, a czarne złe. Nawet na filmach, które mądrzy ludzie tworzą, kobieta z jasnymi włosami bywa dobrą i uczciwą, a kobieta z czarnymi włosami zawsze czyni zło. Czy mógł być złym człowiekiem Antek Pasemko z jasnymi włosami? Czy nie po to tlenią się kobiety w miastach, aby mężczyznom wydać się dobrymi? Naruszył pan odwieczny porządek rzeczy – słyszał Śledzik od ludzi. – I posiał pan nieufność między nami. Jeśli Antek Pasemko zabił dwie dziewczyny, to odtąd żona będzie podejrzliwie spoglądać na męża, a matka na syna, siostra przestanie ufać bratu. Dlatego o Antku nic pan złego od nas się nie dowie.”

O NOCY, KTÓRA NADEJŚĆ MIAŁA

Z początkiem września pisarz Nepomucen Maria Lubiński – jak co roku o tej porze – wyruszył swym jachtem na kilkudniowy samotny rejs po jeziorze Baudy lub jeszcze dalej. Za każdym razem powracał potem do Skiroławek jak gdyby odmłodzony i odświeżony, pełen nowych planów literackich, rozmaitych przemyśleń i zaskakujących sądów o sobie i świecie; kiedyś powrócił również z panią Basieńką, która teraz żyła przy jego boku. Kochał Lubiński tych kilka dni swojej swobody i samotności, krótką wędrowkę bez określonego wyrażnie celu i kierunku, przyjemność przebywania na bezmiarze wód jeziora tylko z sobą samym. Znała tę jego miłość pani Basieńka i

godziła się z nią, gdyż była na tyle mądra, aby wiedzieć, że nie zagraża ona w niczym jej osobie, przeciwnie, po każdym powrocie Nepomucen Lubiński stawał się dla niej czulszy i bardziej gorliwie spełniał mężowskie obowiązki. Być może jak Odys w drodze do Itaki przepływał nie tylko między Scyllą i Charybdą literackich niepokojów, ale złe i dobre wiatry niosły go ku rozlicznym przystaniom i ośrodkom wypoczynkowym, gdzie opalały się na pomostach rozmaite Kirke albo nimfy Calipso. Na myśl o tym pani Basieńka cichutko wzdychała, odrzucając jednak od siebie uczucie zazdrości. Była bowiem pewna jego powrotu jak owa Penelopa i jak tamta niewiasta też miała zalotników, którzy budzili w niej żywsze bicie serca. Nie zdradziła dotąd Nepomucena, choć on – wiedziała o tym – uczynił to kilka razy, jak choćby z Elwirą na jachcie za Czaplą Wyspą. Ale skazana przez Nepomucena na samotność podobną do tej, na którą on podczas rejsu skazywał siebie, odnajdywała w tym możliwość zdrady, a taka możliwość dla niejednej kobiety staje się czymś cudowniejszym i bardziej podniecającym niż sama zdrada. Jeśli Nepomucen wyruszał naprzeciw burzom i wiatrom, aby gdzieś w dali spotkać się z sobą samym, to i dla niej pozostawała podobna nadzieja na spotkanie z sobą lub kimś innym. Nadzieja rozkoszna i miła, ożywcza i odmładzająca.

Tedy w słoneczny i upalny ranek (bo i takie bywają z początkiem września) wsparta o poręcz tarasu, bez lęku i trwogi patrzyła pani Basieńka z wysokości skarpy, na której stał dom, jak jej mąż podnosił główny żagiel na maszcie i jak potem, gnany lekkim wiatrem od rufy jacht odbijał od brzegu, a Nepomucen machnął ku niej dłonią na pożegnanie. Wiatr wyduł zaraz białe płótno, jacht zaczął się oddalać jak wielki łabędź, potem już tylko ostry trójkąt grota – coraz mniejszy i mniejszy – rysował się na tle brunatno – zielonkawej linii lesistych brzegów. A gdy zniknął zupełnie za Czaplą Wyspą, otrząsnęła się z uczucia smutku, które położyło ciepłą dłoń na jej sercu, weszła do domu i zajęła się gorliwie sprzątaniem pracowni męża, czynnością konieczną, choć przez niego zabronioną, dokonywaną od czasu do czasu mimo jego nieustannych protestów.

Najpierw starannie odkurzyła grzbiety książek ustawionych na półkach regału zajmującego niemal całą ścianę. Później pozbierała rozrzucone po całej pracowni zamknięte lub otwarte książki. Leżały na podłodze, na ogromnym pulpicie pod oknem, na stoliku, stole, krzeselkach, na ławie, nawet na parapecie. Miał bowiem ten zwyczaj Nepomucen Maria Lubiński, że pracując nad kolejną powieścią lubił niekiedy sięgać do utworów starych i dobrych autorów. Otwierał ich dzieła na dowolnej stronie i czytał przez chwilę – jakby zasięgając rady. Otwarte na owej dowolnie wybranej stronie odkładał zazwyczaj byle gdzie, choćby na parapet okienny i zapominał. Pani Basieńka ułożyła je w dwa potężne stosy; książki największe rozmiarem i najgrubsze

– na spodzie, mniejsze i cieńsze – na wierzchu. Gdzieś w owych stosach znalazło się także dzieło Gottloba Frege, bez którego Lubiński żyć nie potrafił. Wiedziała więc pani Basieńka, że po powrocie z rejsu Nepomucen będzie przez jakiś czas głośno narzekał, a nawet kłął i złorzeczył, aż wreszcie w którymś ze stosów odnajdzie swoje ukochane „Pisma semantyczne”. Lecz choć zdawała sobie sprawę z następstw swego sprzątanía, zakorzenione w niej głęboko poczucie ładu nie pozwalało wyróżnić dzieła Gottloba Frege, które z powodu swej średniej wielkości i średniej grubości winno, jej zdaniem, znaleźć się w środku jednego ze stosów, a nie na samym wierzchu. Pani Basieńka lubiła bowiem sprzątać. W jej wyobrażeniu łączyła się ta czynność nie tylko z odkurzeniem, zamiataniem, myciem popielniczek i pastowaniem podłóg, ale także tworzeniem swoistego ładu wśród rzeczy, ustawianiem ich w ściśle określonych i przynależnych im miejscach. Sprzątając miała w sobie coś z twórcy małego świata; nie tworzyła nowych wartości, ale swoistą wartością bywał dla niej ład i porządek.

Po całej pracowni walały się też kule pomiętych kartek maszynopisów, niektóre twardo zwinięte, inne zaledwie zmiętoszone w dłoni, w chwili desperackiej rezygnacji z jakiegoś gorzej napisanego fragmentu powieści. Owo papierowe pobojuwisko było nie tylko dowodem wytężonej pracy pisarza, lecz także dawało obraz niezwykłych zmagani, jakie niemal codziennie do południa odbywały się w tym miejscu mąk twórczych męża, jego klęsk i zwycięstw – nic więc dziwnego, że traktowała je pani Basieńka w sposób specjalny. Starannie zbierała każdą pomiętą kartkę, niemal miłosnym gestem rozprostowywała ją, a następnie jedną na drugą układała w stos na pulpicie. Nie mogła się pogodzić z myślą, aby owe kartki miały być wyrzucone do kosza lub ognia. Spodziewała się, że mąż kiedyś jednak zechce do którejś z nich zajrzeć, wykorzystać jakąś dobrze napisaną frazę, przywrócić do życia strzępek dialogu. Niekiedy też z uwagą pochylała się nad pomiętą stroniczką, ciekawa, jaką treść zawiera dlaczego me mogła się ona znaleźć w maszynopisie powieści zbójckiej. Po takiej lekturze na ogół jeszcze starannie rozprostowywała pogniecioną kartkę, pagórki jej piersi unosiły się ciężkim westchnieniem, ponieważ to co w nich znajdowała, wydawało się jej o wiele lepsze i ciekawsze niż to, co ocalało przed stłamszeniem i wzgardą. Pani Basieńka odnosiła wrażenie, że opowiadając o dziejach miłości pięknej Luizy i stażysty leśnego, na stronicach starannie włożonych w tekturowe okładki, Lubiński kroczył po przetartych i dobrze utwardzonych gościńcach, natomiast na odwróconych kartkach zbaczał na boczne ścieki, przedzierał się przez dzikie gęstwiny i tam, tu i ówdzie, przyczajał się na czytelnika z ogromną maczugą w dłoni. Tak naprawdę, zdaniem pani Basieńki, Nepomucen swój zbójcki proceder uprawiał jedynie na stroniczkach pomiętych i

odrzuconych, które nigdy nie miały znaleźć się w druku. Potrafił być śmiały i okrutny, bywał bezwzględny wobec złudzeń i fałszywych wyobrażeń ludzkich, rozbijał maczugą literacką skamieniałe czerepy tradycyjnych form. Ale potem – nie wiedzieć czemu – nagle tracił odwagę, cofał się na ubity gościnniec i mnąc kartki, zarazem starannie zacierał ślady swych zbójeckich poczynań. Na odrzuconych stroniczkach odkrywała Basieńka zupełnie innego Nepomucena, takiego, który jej imponował, zachwycał i zarazem przerażał – godnego największej kobiecej miłości i oddania. W rzeczywistości był jednak zupełnie inny, taki, jakim go znała i kochała, choć nie tak mocno, jak mogłaby pokochać tamtego.

Istnieli nie tylko dwaj Nepomucenowie, ale także dwie różne piękne Luizy, dwaj różni stażyści, dwie odmienne wsie, w których żyli bohaterowie – ci ze stroniczek w tekturowej okładce i ci z kartek pomiętych i odrzuconych. Przyjmując do pierwszej klasy małego Darka (ósme nieślubne dziecko Porowej) piękna Luiza z zachwytem obserwowała dumnie wyprostowaną sylwetkę chłopca i, jak wszyscy we wsi, myślała że z całej jedenastki nieślubnych dzieci Porowej to jedno, być może, wyrośnie kiedyś na porządnego i mądrego człowieka, ponieważ już od dzieciństwa nosi się dumnie, chodzi z podniesioną do góry głową. Na wzgardzonych kartkach inna piękna Luiza odsyła małego Darka do lekarza i szyderczo oświadcza mieszkańcom wioski, że Pora ma krzywy kręgosłup z powodu nadmiernej lordozy. Po jakich drogach szła myśl Nepomucena, że odrzucił tę drugą historię na rzecz pierwszej? Czy zależało mu na tym, aby utwierdzić w czytelnikach przekonanie, że człowiek tylko sam decyduje o swoim losie, więc mały Pora wyrośnie na dumnego i szlachetnego człowieka, mimo że jest ósmym nieślubnym dzieckiem kobiety takiej jak Porowa? Być może chciał ukołysać podobnymi poglądami sumienia ludzkie, wiedział, że właśnie taka wersja, a nie ta z pomiętej kartki – spodoba się czytelnikom, jak wszystko, co odurza radością i optymizmem.

Na wzgardzonych stroniczkach piękna Luiza, nauczycielka, nie była niewinną i nieskalaną, gdy poznała młodego stażystę, ale przeszła przez łóżko pewnego wiejskiego lekarza. Prawdziwy Nepomucen, z którym Basieńka noc w noc leżała w łóżku, nigdy nie potrafił jej powiedzieć, w jaki sposób doktor Niegłowicz upokarza kobietę, zanim w nią wejdzie, ba, unikał w ogóle rozmów na ten temat, opędał się od pytań żony. Na pomiętych kartkach lekarz wiejski zabawia się w przedziwny sposób z młodą i piękną nauczycielką, pozostawia ją dziewicą, przyzwyczajając do wyszukanych praktyk miłosnych, a wreszcie odbywa z nią stosunek analny. Na kartkach w tekturowej teczce piękna Luiza nigdy nie spotkała wyuzdanego doktora, czysta i niewinna oddała się w

ręce stażysty.

Pieszczotliwym gestem swoich małych dłoni wygładziła Basieńka wzgardzone stroniczki. Wiedziała, że tej nocy nie da jej spokoju myśl, jakim naprawdę człowiekiem jest jej mąż, Nepomucen, jakim jest naprawdę doktor Niegłowicz i piękna Luiza, nauczycielka wiejska. Jaka też jest prawda o małym Dariuszu Porze – jest dumny, czy ma nadmierną lordozę? Poznać i zgłębić prawdę nie było sprawą łatwą – rozumiała to i nie śpieszyła się do niej. Ale czuła, że kiedyś należy uczynić początek, skromny, a nawet nieśmiały; wstąpić na drogę poznania w taki sposób, żeby nie skomplikować swego życia, nie spowodować zamieszania w świecie ładu, który tak lubiła. Przetarła więc mokrą szmatą podłogę w pracowni męża, wyczyściła wełniany dywan na podłodze, ustawiła sprzęty: Potem przyrządziła obiad, w swej pracowni krawieckiej obmierzyła talię, biodra i biust sklepowej Smugoniowej, która chciała mieć nową czerwona sukienkę, aby się młodszą i ładniejszą wydać pewnemu właścicielowi warsztatu zduńskiego w Bartach. A kiedy przyszedł wieczór – wykąpana i ubrana w czarną spódnicę i wełniany żółty blezer – zrobiony przez siebie na drutach – pomaszerowała z wizytą do doktora Niegłowicza, do jego domu na półwyspie.

Był ciepły wieczór, rdzawa kula słońca już dotykała wierzchołków drzew leśnych, tu i ówdzie na łąkach koło leśniczówki Blesy oraz na mokradłach za zatoką podnosiły się mgły. Psy doktora powitały ją merdaniem ogonów i zaprowadziły za dom, na taras, gdzie doktor stał nieruchomo i paląc papierosa spoglądał na jezioro. O czym myślał w ten cichy wieczór tuż przed nadejściem bezkسیężycowej nocy? – zapytała siebie i pomyślała, że być może podobnie jak ona tęskni za nieznanym. Podeszła do niego w milczeniu, nawet bez zdawkowego powitania i stanęła tuż obok, starając się spojrzeć w tę stronę, gdzie i on patrzył. Obydwie dłonie położyła na swoich stromych piersiach, żeby uspokoić gwałtowne bicie serca. Nie cierpiała papierosowego dymu, ale teraz cieszyła się, że doktor jest zajęty paleniem i nawet z przyjemnością przyjęła nozdrzami smużkę białego dymu. Doktor palił dużo – jego włosy, swetry, koszule przesiąknięte były zawsze wonią papierosów. Nigdy to jej jednak nie raziło, bo to był jednocześnie zapach mężczyzny, którego lubiła. Przytulając się do Nepomucena czuła zawsze zagraniczną wodę kolońską – cedrową. Kochając się z nim wmawiała sobie kiedyś, że kocha się wśród libańskich cedrów, takie śmieszne, romantyczne kobiece wyobrażenia. Raził ją oddech mężczyzny palącego papierosa, ale, o dziwo, podstawiła twarz pod przesycony nikotyną oddech doktora i czuła podniecenie. A gdy kiedyś doktor zdjął w ich mieszkaniu sweter, bo mu się zrobiło gorąco, wzięła na chwilę ów sweter w ręce i wtuliła weń twarz, głęboko wdychając woń papierosów, połączoną z zapachem potu – ale

potu mężczyzny, o którym często myślała. Reagowała na mężczyznę przede wszystkim nozdrzami, może dlatego, że lubiła kochać się w ciemnościach. Najpierw obwąchiwała mężczyznę, a jeśli jego woń ją razila, nie godziła się nawet na najdrobniejszą pieszczotę. Czemu jednak jakiś zapach odstraszał ją, a inny pociągał i podniecał? Czy gdyby Turlej skropił się cedrową wodą – mógłby ją choćby odrobinę zainteresować? Wątpiła o tym, odkąd zdała sobie sprawę, że budzą w niej wstręt przesycone nikotyną oddechy mężczyzn, ale pociąga ją pachnący papierosami oddech doktora. Dziewczyną będąc, zasypiając wyobrażała sobie, że w jakimś mrocznym pomieszczeniu dotyka jej ciała wielu mężczyzn, ale ona poddaje swoje ciało tylko dotknięciu tego, od którego zalatuje suszonymi śliwkami; ten zapach prześladował ją przez całą młodość, podniecał, budził zawroty głowy. Może więc pot Nepomucena i pot doktora przypominały odrobinę zapachem suszone śliwki, dlatego czymkolwiek by nie były przesycone ich ubrania i włosy, pozostawali dla niej pociągający i bliscy?

I znowu cienka smuga tytoniowego dymu owinęła się wokół jej szyi. Bliskość doktora sprawiała jednak, że poczuła zapach suszonych śliwek – przymknęła oczy i zdawało jej się, że kołysze się w wagonie pociągu pędzącego przez mrok nocy. Mężczyzna, który obok siedzi, ma przy sobie torbę z suszonymi śliwkami, jego palce nieśmiało i delikatnie dotykają jej szczupłych kolan, ją zaś w podbrzuszu ogarnia rozkoszne ciepło.

– To będzie dziś, tej nocy – powiedziała zdławionym głosem.

Przeraziły ją własne słowa. Szeroko otworzyła oczy i zdziwiła się, że tak długo znajdowała się w owym pędzącym pociągu. Mgła już podniosła się nie tylko nad bagnami, lecz delikatnym woalem pokryła całą zatokę, rozmazując kontury Czaplej Wyspy. Doktor zgasił papierosa, lewą rękę miał w kieszeni, prawą wspierał się o poręcz tarasu. Spoglądał na dom Justyny Wasilczuk – niewidoczny we mgle. Basienka bała się milczenia doktora, nie chciała jednak, aby potwierdził jej słowa lub im zaprzeczył – bo wówczas prawda, którą teraz tak wyraźnie przed sobą widziała, mogła się ulotnić lub zmienić w kłamstwo. A jej przecież chodziło tylko o tę odrobinę prawdy, której była ciekawa i której chciała dotknąć po kobiecemu, swoim ciałem.

Jeszcze raz popatrzyła na jezioro, modląc się w duchu, żeby mgła szybciej zgęstniała i wypełniła zatokę, gdzie jeszcze pozostawały resztki zgasłego słońca i czyniły ją podobną do ogromnej muszli otwartej ku nim swoją konchą.

– Na Czaplej Wyspie ktoś rozpałił ogień – powiedziała cicho i swoją dłoń położyła na ręce doktora wspartej na poręczy.

Dłoń mężczyzny była ciepła, a jej zimna. Zapragnęła, aby ją objął ramieniem, ale

wtedy musiałby zdjąć swoją rękę z poręczy, wyjąć ją spod jej dłoni, a tego nie chciała. Zerknęła na niego ukradkiem – dokąd odszedł myślami? Zdawało jej się, że wędruje po łące nad brzegiem jeziora i znika we mgle okrywającej warzywniki. Zacisnęła palce na jego dłoni.

– Ktoś rozpałił ogień na wyspie. Niebieskawy płomień, czy to nie dziwne? To ognisko pali się jak jakaś niesamowita pochodnia. To będzie dzisiaj, tej nocy, prawda, doktorze?

Najwyraźniej widniała ów niebieskawy płomień mimo zapadającego mroku i mgły. On też musiał go zauważyć i zrozumiał, że został im dany znak. Przez mgłę przedzierała się ku nim niebieskawa iskierka, coraz większa i większa. Od jeziora napływał zapach palonych ziół i woń suszonych śliwek, bała się, że zemdleje i jeszcze mocniej zacisnęła palce na dłoni doktora.

Noc będzie ciemna – szepnęła. – Wszyscy pójdą do starego młyna. Pan także doktorze. I ja, i Nepomucen, i Gertruda, piękna Luiza i stażysta. Tak, wszyscy bez wyjątku. Nawet pani Halinka i malarz Porwasz. Ten niebieski płomień to przeznaczenie. To jakiś przymus, którego nie powinno się rozumieć, ale należy mu się poddać, bo inaczej żyje się wbrew sobie i przeciw sobie. Tak pan kiedyś mówił do mnie, a ja zrozumiałam, że to prawda. Nie może się nie spełnić to, czego się bardzo pragnie. Choćby na chwilę, na jedną noc. Nie warto żyć przeciw sobie, przeciw własnym pragnieniom, przeciw własnej duszy. Ktoś, kogo nie znamy, rozpała ognisko na wyspie. Ktoś kogo znamy, rozpała ogień w nas samych i każe iść ku sobie, aby, jak to pan powiedział, żywić się wzajemnie własnym ciałem. Ten ktoś oczyszcza nas z grzechu, gdyż grzechem jest żyć ciągle wbrew własnej woli i własnemu pragnieniu, zatykać uszy na krzyk, który się w nas rozlega. Ogień i miłość wszystko czynią czystym, czyż nie tak? Co jest na świecie większą zbrodnią? Co godzina i co dzień mordować w sobie własne pragnienia, czy raz jeden nakarmić głodne usta? Bo czy to nie jest prawda, że nasza istota pozostaje wolną i może pójść tam, gdzie zechce?

Zdjęła swoją zimną dłoń z jego ręki i odeszła bezszelestnie, aby jeszcze przed zapadnięciem nocy zdążyć do swego domu. Stąpała na palcach, chciała zniknąć jak duch, żeby pomyślał – śniła się tylko.

Położyła się w mroku na łóżku – w ubraniu i w butach. Gotowa była przysiąc, że nigdzie z domu nie wychodziła. W południe pożegnała Nepomucena. potem sprzątała, gotowała, mierzyła talię, biodra i biust Smugoniowej. Aż przysnęła na łóżku tak zmęczona, że nie zdjęła butów i ubrania. Jeszcze do tej pory czuła się dziwnie zmęczona, miała w sobie omdłość i sennaść, którą poprzedzały wspomnienia.

Prostokątne okna sypialni powoli zamazywała czerń nocy. Lubiała ją, bo stała się dla niej kiedyś anonimowym dawcą grzesznej rozkoszy. Ile wtedy miała lat – jedenaście czy dwanaście? Dwa razy w tygodniu z prywatnych lekcji niemieckiego powracała samotnie podmiejskim pociągiem do ich małej osady. Wiosną i latem – za dnia; jesienią i zimą – już o zmroku lub nocą. Podmiejski pociąg był zatłoczony, przedziały wypełniali śpiący robotnicy, powracający z popołudniowej zmiany w fabrykach. Tu i ówdzie żarówki były rozbite albo przepalone, na korytarzach pito piwo i robiono awantury. Wchodziła więc zawsze do przedziałów i w ciemnościach stała między kolanami śpiących na ławkach ludzi. Wysoka, szczupła, jedenastoletnia a może już dwunastoletnia dziewczynka, w krótkim płaszczyku, grubych pończochach i z teczką pod pachą. Pewnego razu, późną jesienią, w ciemnym przedziale zaleciał ją zapach suszonych śliwek, a potem czyjaś dłoń musnęła jej kolano. Było to muśnięcie, jak gdyby przypadkowe, ale jej sprawiło dziwną przyjemność. Napała kościstymi, dziewczęcymi kolanami na grube męskie kolana i wtedy owa ręka, która przed chwilą cofnęła się, znowu ją musnęła, tym razem po udzie, po chwili zawędrowała pod sukienkę, na pośladek, cofnęła się – i znowu po udach przeniosła się ku miejscu, gdzie kończyły się pończochy i skrawek nagiego ciała dzielił je od nogawek wełnianych majteczek. Palce niewidocznego w ciemnościach mężczyzny wsunęły się między jej uda i lekko ucisnęły krocze, jakby przez gruby materiał majteczek chciały wyczuć to, co znajduje się pod nimi. Nie wiedziała, czy bardziej oszołamia ją i budzi przedziwną rozkosz zapach suszonych śliwek, czy owe dotknięcia, których udawała, że nie czuje i są jej obojętne, ale przecież stała nieruchomo w przedziale i starała się nawet nie drgnąć, szczęśliwa, że jej przyspieszony oddech zagłusza czyjeś donośne chrapanie.

Wysiadła na przystanku w swojej osadzie, zapamiętując jednak wagon w którym jechała. W drodze do domu kręciło jej się w głowie i, nawet nie zjadłszy kolacji, od razu poszła do łóżka, tak była senną. Następnym razem znowu wsiadła do tego samego wagonu i tego samego przedziału, wcisnęła się między kolana śpiących na ławkach ludzi. Mimo chłodu na dworze założyła cieńsze majteczki. Obca, a właściwie już znajoma dłoń męska zrozumiała ten gest i stała się śmielsza. Palce wślizgiwały się w nogawkę. Ów człowiek nie wiozł już ze sobą suszonych śliwek, ale ona wciąż czuła ten zapach i przeżywała niewysłowioną rozkosz. Tak, nigdy czegoś tak słodkiego i upajającego nie przeżywała, ani przed tym, ani potem – nawet gdy stała się już kobietą. Ile razy doznała wówczas tej wielkiej rozkoszy, tych pieszczot tak mocnych, że omdlewała na dygocących nogach w kołyszącym się wagonie podmiejskiego pociągu? Może dziesięć, może piętnaście długich chwil. Tak, to trwało chyba do Bożego Narodzenia. Bo potem

wkręcono wszędzie nowe żarówki. Także i w tym przedziale, gdzie spotykała tajemną rozkosz, paliło się teraz jasne światło i odtąd jeździła na korytarzu, nawet nie śmiejąc popatrzeć, jak wygląda człowiek, który ją dotykał w ciemnościach.

To smutne, ale już nigdy nie spotkała tej dłoni, choć w następnym roku znowu tu i ówdzie w przedziałach były rozbite żarówki, a ciemność kryła zapowiedź rozkoszy. Z żadnego przedziału nie zaleciał jej również zapach suszonych śliwek. Lecz gdziekolwiek i kiedykolwiek go czuła – w sklepie lub w czymś mieszkaniu – zawsze ogarniało ją podniecenie i pragnienie przeżycia rozkoszy. Ten zapach budził w niej udrękę – sama ją zresztą wywoływała, podbierając matce kilkanaście suszonych śliwek i, jak coś grzesznego, kryjąc w szufladzie nocnej szafki. Co wieczór, gdy gaszono światło, uchylała tę szufladę i wdychała ich woń, jednocześnie dotykając palcami swoich narządów i wyobrażając sobie, że to robi tamten z ciemnego przedziału. Nauczyła się osiągać rozkosz podobną do tamtej, lecz już nie tak mocną, nie tak upajającą. Zresztą, może nawet i owa rozkosz była jeszcze większa, brakowało jej jednak tajemniczości i świeżości pierwszego odkrycia.

Cnotę straciła z kolegą z liceum na dwa dni przed Bożym Narodzeniem, w pustym mieszkaniu jego rodziców. Na stole w kuchni stał tam talerzyk z suszonymi śliwkami, przygotowanymi do wigilijnego kompotu. Od tamtych dni także lubiła mrok, jazdę w zatłoczonych tramwajach i autobusach. Kochała przypadkowe muśnięcia męskich dłoni na pośladkach, udach, piersiach, raptowne napieranie na siebie ciał przy hamowaniach lub zakrętach. Nepomucen zaproponował jej i Elwirze wspólny rejs po jeziorze. Nocą leżeli w trójkę w ciasnej kabinie jachtu, on w środku, a one po obu jego bokach. Jacht kołysał się na fali i było w tym coś z pędzącego pociągu. Poza tym panował mrok i czuła wędrującą po swym ciele dłoń mężczyzny. Z powodu obecności Elwiry nie mogli pozwolić sobie na nic więcej, więc tylko ją dotykał i pieścił w ciemnościach. Być może to właśnie dlatego zakochała się w nim i została jego żoną. Być może to także dlatego jego pot miał dla niej coś z woni suszonych śliwek. Od Nepomucena żądała, aby brał ją w ciemnościach, a przedtem długo w mroku dotykał jej nagiego ciała swoją dłonią. Doktor też dotknął kiedyś w ciemnościach jej piersi – przypadkiem czy celowo. Ale odtąd lubiła przesycony nikotyną jego oddech i tak bardzo chciała wiedzieć, w jaki sposób upokarza kobietę, zanim w nią wejdzie. Zapewne czynił to w mroku, w gęstych ciemnościach. Owszem, później dotykał jej piersi nawet i za dnia, w swoim gabinecie, gdy do niego niekiedy wpadała na plotki czy krótką pogawędkę. Też lubiła te dotknięcia, podobnie jak zapach jego włosów przesyconych wonią dymu papierosowego. Najczęściej jednak i najpełniej jej nocne marzenia wypełniał obraz,

który ktoś jej przypadkowo podsunął – może doktor, może Nepomucen, może Renata Turoń. O tej ciemnej nocy, gdy wszyscy w wiosce idą do młyna i tam, na sianie Szulca, w mroku, w szmerze przyspieszonych oddechów, sycą wzajemnie głód swej miłości. Znają się, a przecież ciemność czyni ich nieznanymi, odgradza od siebie a zarazem pozwala na zbliżenie. Była pewna, że wśród wielu mężczyzn rozpoznałaby swoimi nozdrzami ciało doktora i jego oddech, a on – może nawet nieświadom z kim to czyni – upokorzyłby ją bez wstydu.

...Prostokąty okien w sypialni przestały być widoczne. Pani Basienka zadarła spódnicę i dotknęła dłonią swego łona. Promieniował stamtąd rozkoszny ból podniecenia. Był tak silny, że aż jęknęła cichutko. Zdecydowanym gestem ściągnęła figi, wstała z łóżka, narzuciła na plecy wełnianą chustkę i wyszła z domu. Zaskoczyła ją głęboka ciemność, nie widziała furtki ani nawet własnych rąk. Mówiono; że nie wolno brać z sobą latarki i żadnego światła, trzeba iść jak ślepiec, objając się o drzewa, potykając o kamienie, kierując się odgłosem kroków innych ludzi. Za furtką na szosie przystanęła więc i zaczęła nasłuchiwać. W nocy zerwał się zachodni wiatr, rozpędził mgły i owiał ziemię wilgotnym podmuchem. Rozszumiały się klony obrastające drogę, w sąsiadującej z domem pisarza zagrodzie Galembków od czasu do czasu postukiwała o ścianę źle przytwierdzona okiennica. Z początku sądziła, że to echo czyichś kroków, ale gdy ucichł wiatr, rozumiała, że jest na szosie zupełnie sama. Nagle ogarnęło ją przerażenie, że się spóźni, nie zdąży, minie ją szczęście. Ruszyła z rękami wystawionymi przed siebie, aby nie wpaść na pień przydrożnego klonu, wyczuwając twardość asfaltu pod cienkimi podeszwami pantofelków. Nigdzie nie paliło się żadne światło, ale coraz głośniejszy szum drzew powiedział jej, że zbliżyła się do cmentarza. Dojrzała nikiły blask z okienka w kurniku Wątrucha i widziała już dokładnie, gdzie się znajduje. Zaraz za płotem okalającymi zagrodę sołtysa należało skręcić w polną drogę do młyna.

I znowu przystanęła, osłaniając dłonią usta, aby przyciszyć swój oddech. Mimo wiatru, głośno skomlącego wśród gałęzi drzew na cmentarzu, najwyraźniej słyszała odgłos kroków wielu ludzi nadchodzących szosą. Nigdy nie była w starym młynie, tylko z daleka widziała, że do jego czarnego od starości drewnianego pudła prowadzą szerokie wierzeje, a z boku znajduje się stromy, wsparty na czterech filarach dach, pod którym gromadzono jesienią i wiosną sztuczny nawóz w foliowych workach. Czekala w ciemnościach, aby ktoś nareszcie nadszedł i minął ją w mroku, a ona mogła pójść tuż za nim. Lecz nikt jej nie mijał, ludzie znajdowali jakąś krótszą drogę między opłotkami albo szli wprost przez łąkę, rozciągającą się dookoła starego młyna.

Wreszcie poszła przed siebie twardo ubitą drogą, utkaną grubymi kamieniami.

Potykała się o nie, wytrwale jednak wędrowała przed siebie – oddalając się od szumu drzew cmentarnych. Wiedziała, że idzie we właściwym kierunku, ponieważ coraz wyraźniej gdzieś w pobliżu szeleściły poruszane wiatrem foliowe worki. I zewsząd ciepły wiatr przynosił odgłosy ludzkiego stąpania.

Tuż przed nią szła chyba jakaś kobieta, zapewne Halinka Turlej, bo nozdrzami wyczuła delikatny zapach perfum „Czarny kot”. Nieco z boku musiał wędrować stażysta, pan Andrzej, ponieważ zaleciała ją woń ryb z puszki. Uśmiechnęła się na myśl, że to być może nie malarz Porwasz, ale cuchnący rybami stażysta popchnie na siano panią Halinkę, zadrze do góry jej sukienkę i wydobędzie z niej cichy mysy pisk. Skarzył się kiedyś leśniczy Turlej, że jego żona zaraz po ślubie wydawała w łóżku głośniejszy okrzyk, potem już tylko popiskiwała jak mysz, a po kilku latach małżeństwa – milczała w łóżku. Tylko malarz Porwasz mógł rozchylić jej usta do krzyku rozkoszy – czy to nie on idzie tuż obok stażysty? Pachnie olejem lnianym i werniksem, jak w jego pracowni malarskiej. Ale o kilka metrów z drugiej strony – ktoś ciężko stąpa, zalatuje mydłem. To chyba chód żony gajowego Widłaga – tak ciężko musi iść kobieta z grubymi udami i ogromnym zadem, z piersiami, na które nawet w Bartach nie ma odpowiedniego stanika. Podniecające wydało się jej opowiadanie, jakim zaraz po schwytaniu zabójcy małej Haneczki uraczył ją Nepomucen. Podobno, jak to wynikało z zeznań młodego Galembki, pewnej nocy Widłagowa wypięła na drodze swój wielki i goły zad i mężczyźni brali ją na stojąco, słuchając wezwania: „jeszcze i jeszcze, bo w ciążę już nie zachodzę”. To musiało być dla niej cudowne, tak po nocy, w ciemnościach, oddawać się na stojąco kilku mężczyznom. Nawet chyba nie wiedziała, kto ją dosiada. I na tę myśl pani Basieńce zrobiło się gorąco, odezwał się rozkoszny ból promieniujący z krocza. Rozluźniła chustkę na piersiach, szyję owiał wilgotny podmuch wiatru. Poczwała zaraz dreszcz chłodu, ale być może dlatego, że jednocześnie pomyślała o Kryszczaku i o jego jedynym żółtym zębie sterczącym z czerwonego dziąsła. Co zrobi, jeśli to stary Kryszczak przewróci ją na siano i wśliźnie się dłonią między uda? Oczywiście odepchnie go od siebie i będzie szukać mężczyzny, którego włosy pachną dymem papierosowym. Tylko dla niego przecież idzie do starego młyna, by ją w mroku upokorzył i by poznała jego tajemnicę.

Ktoś otarł się o rozwiane przez wiatr poły chustki. Może to tylko liść podniesiony podmuchem wiatru? Zapachniały mocno suszone śliwki. Przystanęła, gdyż poczuła w sobie omdlałość i senność jak zwykle w takiej chwili. Nie wiedząc czemu przypomniawszy jej się Justyna Wasilczuk i przeniknęła ją zazdrość. Nic nie wiedziała o tej kobiecie, żyjącej samotnie w swym małym domku. Doktor rzekł kiedyś, że Justyna pachnie

suszonymi ziołami – piołunem, miętą i szałwią. Skąd doktor znał zapach tej kobiety I czy dzisiejszego wieczoru nie wędrował Myślami ku jej domostwu – przez mgłę ogarniającą warzywniki? Czym Justyna wypełniała sobie samotność po śmierci swego męża? Kto pukał nocami do okna małej izdebki? Była dziwna – unikała rozmów z innymi kobietami, unikała też chyba mężczyzn. Była młoda i ładna, aż nieprawdopodobne żeby doktor, który kosztował ciała chyba wszystkich co ładniejszych kobiet w wiosce, na tę jedną w ogóle nie zwrócił uwagi. Nepomucen twierdził, że Gertruda Makuch sprowadza mu do sypialni wiejskie kobiety. Może i Justyna przychodziła co jakiś czas do domu na półwyspie, przekradała się przez warzywniki lub brzegiem jeziora? Tak, to Justyna idzie tuż za nią ostrożnymi, skradającymi się krokami, wiatr przynosi zapach szaławii, piołunu i mięty. Trzeba się śpieszyć, aby nie chwyciła ramionami doktora, który przecież chyba od dawna czeka za wierzejami starego młyna. Na kogo czeka? Na nią, czy na Justynę...

Przemogła omdlałość i znowu ruszyła przed siebie, a wraz z nią, jak jej się zdawało, szła niezliczona ciżba ludzi, gnana pożądaniem. Stary młyn zarysował się w tle atramentowej nocy jak wielkie niekształtne naczynie. To był piękny obyczaj – choć tak dziki i bezwstydnny – w naczynie wypełnione mrokiem sączyć kropla po kropli własną krew, dać ofiarę ze swego ciała i przyjąć ofiarę innych, stopić się w jedno, w ludzkość, być dla każdego mężem i żoną, bratem i siostrą, ojcem i matką, synem i córką. Czyż nie tak o tej nocy mówił Nepomucen? To było przełamanie w sobie odwiecznego kompleksu ojca i kompleksu matki, droga ku pełnej wolności, gdzie człowiek stanie się sam dla siebie i ojcem, i matką.

Wiatr ucichł raptownie. Uświadomiła sobie, że jest zupełnie sama na wybrukowanym kamieniami placu przed młynem. Gdzie zniknęli inni ludzie? Czy w ogóle szli tu wraz z nią A może przepadli już w mrocznym wnętrzu? Wyciągnęła przed siebie ręce i ruszyła ku wierzejom powtarzając ze strachem: „idę, już idę do was, idę”. Od podbrzusza aż do szyi podniosło się w niej wrażenie niezwykłego ciepła i radości. „Idę” – szeptała długo, aż palce jej trafiły na chropawe deski drzwi. Nie wiedziała, co powinna zrobić dalej, jak je rozchylić, jak dostać się do wnętrza. „Czy ja śnię?” – zapytała siebie. Dotarło do niej ciche skrzywienie – połówka wierzei otwarła się nagle i z czarnego wnętrza buchnął zaduch świeżego siana. Ciepły i wilgotny opar przeniknął do jej nozdrzy, znowu powodując omdlałość. Nadludzkim wysiłkiem zdobyła się na to, aby zrobić krok w tę czerń, która przypominała straszną przepaść. Jeszcze jeden krok i poczuła na swych piersiach dotknięcie czyichś dłoni. Ciepłych i silnych. Te dłonie tylko chwilę zatrzymały się na sterzcących przez sweter sutkach, później ześlizgnęły się w dół, na

spódnicę i pod nią pogłaskały jej uda i gołe łono. Musnął ją przesycony tytoniem oddech – wyciągnęła ręce i objęła mężczyznę za szyję, przyciskając się do niego całym ciałem. Popchnął ją gdzieś w bok, na kopę siana, w którą obydwójce zapadli głęboko. Nie w pełni uświadamiała sobie, co się z nią dzieje. Zaledwie poczuła w sobie męskie prącie, a już ogarnął ją pierwszy spazm rozkoszy. Miała uczucie, że jest znowu jedenastoletnią dziewczynką, która dygocze od dotknięcia dłoni i palców, zarazem jednak była kobietą, rozpychał jej wewnątrz twardy i gorący męski członek i zalewał ogromnym ciepłem. Usłyszała własny jęk, który wydał jej się cudzym jękiem, jakby cała mroczna przestrzeń wokół niej wypełniona była obecnością wielu kobiet przeżywających chwilę spełnienia. Później była jak odrętwiała, lecz przecież nie utraciła czucia i odnosiła wrażenie, że wszystkie jej intymne miejsca, każdy otwór jej ciała przenika mocna rozkosz. Usta miała pełne własnego i męskiego języka, od dołu wciąż napierała w jej wewnątrz jakaś wielka siła, zmuszając ją, aby się otwarła od nowa i inaczej niż dotąd. Zabolało ją, ale znowu – już drugi raz – doznała spełnienia, po czym zapadła w sen na jawie.

Tuż obok stary Kryszczak bluźnił wulgarnymi słowami i obrzucał jakąś kobietę najgorszymi obelgami, nie mogąc zaspokoić starczego podniecenia. Czy to ją, czy też brzuchatą Jaroszoną głaskał po piersiach śmierzdzący rybami stażysta i chichotał, chwytając brodawki sutek, wyprężonych i nabrzmiiałych. „Jeszcze, i jeszcze, bo nie zachodzę w ciężę” – pokrzykiwała Widługowa, wypinając biały zad. Wydało się pani Basieńce, że przygniata ją ogromne i ciężkie jak skała ciało cieśli Sewruka, tak naprawdę jednak to była Smugoniowa ze sklepu. Sewruk chwycił swymi potężnymi łapami jej talię, obmierzył palcami biodra i piersi, jak gdyby brał jej miarę na sukienkę. Z kopy siana dobywał się mysi pisk, który wydawały usta Halinki Turlej. Jej szyję owinał jak ośliszy wąż przedziwnie długie i wiotki członek Szczepana Łaryna. Cienki języczek węża ukąsił ją w wargę. Nie zabolało, jedynie zrobiło się jeszcze goręcej od trującego jadu. „Teraz ty i ty” – rozkazująco przemawiała Renata Turoń, rozkładając na klepisku swoje wielkie obnażone ciało pokryte piegami. Jej mąż, Roman, otwierał szeroko bezzębne usta i burczał głośno zadem, przyglądając się, jak kolejno kładli się na jego żonę – młody Galembka, Porwasz i syn Sewruka. Potem Turoniową smagał batem Otto Szulc i strącał w piekielną, gorejącą ogniem czeluść, skąd już dochodził krzyk Marii Wątruch i bełkotliwe „hrum-brum,, Stasiakowej. Białe uda Justyny składały się i rozkładały jak skrzydła motyla, nikt na nią nie wchodził – leżała samotna, oddalona od innych, dziwna, z nieobecną duszą. Odurzająco pachniało siano, jeszcze silniejszy był zapach ludzkiego potu i surowa woń męskiego nasienia, rybi odór kobiecych genitalia, w które przenikał subtelny aromat suszonych śliwek. Nagie ciała spletały się ze sobą,

kłębiły jak rojowisko robaków. Z kąta młyna głodne oczy Antka Pasemka patrzyły między rozchylające się uda Justyny i ciekły z nich krwawe łzy, a potem pojawił się w nich strach, gdy na sianie Porowa, przedziwnie wypinając swój obnażony brzuch, wciskała sobie w łono zęby widelca i krzyczała z bólu...

Jak długo to trwało? Raptem ocknęła się – było jej zimno. Uświadomiła sobie, że leży na sianie z podciągniętą do góry spódnicą i obnażonymi piersiami. Piekły ją pogryzione wargi, a gdy zsunęła dłoń między uda i pośladki, pulsował tam lekki i przyjemny ból. Przez szczeliny w drewnianych ścianach przedostawały się podmuchy wiatru i chłodziły jej nagość, wywołując dreszcze. Gdzie się odział ów mężczyzna, który ją sobą wypełnił? Może to nie był jeden, ale wielu – przecież dwa lub nawet trzy razy przeżyła spełnienie, w każdym miejscu czuła ich jeszcze w sobie. Ogarnął ją wstyd, wrażenie ogromnego upokorzenia, bo przyszła tu sama, bez niczyjego rozkazu, z własnej woli. Byli w każdym otworze jej ciała, robili z nią, co chcieli.

Usiłowała podnieść się z siana, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa. W końcu wstała jednak i wyszła z młyna. W pamięci nie pozostała jej żadna chwila z powrotnej wędrówki do domu. Zaraz położyła się w ubraniu i butach na łóżku w sypialni i natychmiast zasnęła. Była ogromnie zmęczona, jak gdyby szła gdzieś bardzo długo i potem tak samo długo skądś wracała. A przecież chyba nigdzie tej nocy nie poszła – zasnęła na łóżku wymęczona sprzątaniem. I po prostu przespała do świtu.

Rankiem nie chciała myśleć o męczących snach, które trapiły ją nocą. Wykąpała się w ciepłej wodzie z dodatkiem pianistego szamponu, wytarła ciało szorstkim ręcznikiem. Poczowała się rześko i świeżo. Tylko wargi ją wciąż bolały, nie wiadomo dlaczego.

O TYM, JAK PISARZ LUBIŃSKI SAM SIEBIE SPOTKAŁ U ŚLUZY

Późnym popołudniem Lubiński zacumował swój jacht w wąskiej i długiej zatoce przy śluzie. Tuż za jej żelaznymi wrotami zamykającymi ocementowane koryto był kanał, który dalej rozgałęział się w dwie strony: lewą odnogą można było dostać się do morza, prawa wiodła do rozległego jeziora z brzegami zabudowanymi przez ośrodki wczasowe. W pobliżu śluzy znajdowało się lotnisko z restauracją i stołówką w pseudogotyckim zamku z dwoma basztami i arkadowym podjazdem.

W zatoce u śluzy, otwieranej co dwie godziny za niewielką opłatą, stanął Lubiński przed dylematem, gdzie skierować dziób swego jachtu: nad morze, czy w inną

stronę? Siedząc w kokpicie na lewej burcie, widział brzeg z kolorowymi domkami kempingowymi w wysokopiennym lesie oraz dwie wieże gotyckiego zamku. Miał też przed oczami kanał i cumujący tam biały jacht, identyczny z tym, jaki i on posiadał. Użytkownik owego jachtu także zdawał się czekać na otwarcie śluzy, ale chyba również w sposób niezbyt zdecydowany, skoro rzucił kotwicę nie przy samej śluzie, ale przy brzegu (dla odmiany jednak przy brzegu lewym, gdy Lubiński cumował przy brzegu prawym). Tamten jacht miał dziób skierowany na jezioro Baudy, jacht Lubińskiego kierował się na kanał. „Tak będzie wyglądał mój jacht, gdy za kilka dni powrócę na Baudy” – pomyślał Lubiński. I zaraz potem, przyjrzwawszy się uważnie kadłubowi identycznego jachtu, jego osprzętowi, grotowi z niewielką plamą brudu przy pięcie bomu, różowym firaneczkom, zasłaniającym od wewnątrz szyby bulajów, odniósł Lubiński niespokojne wrażenie, że to jego własny jacht znajduje się po drugiej strony śluzy i w ten sposób niejako widzi sam siebie w czasie przyszłym lub zaprzyszłym. A choć to wydawało się nieprawdopodobne, poraziła Lubińskiego myśl, że, być może, u śluzy zdarzyło mu się spotkać z sobą samym lub ściślej, z jakimś drugim pisarzem Nepomucenem Marią Lubińskim. Zgodnie bowiem z rachunkiem prawdopodobieństwa w świecie liczącym kilka miliardów istnień ludzkich mógł żyć jeszcze jakiś Nepomucen Maria Lubiński, pisarz i właściciel białego jachtu. Od dawna zresztą kielkowało w Lubińskim podejrzenie, że istnieje z całą pewnością drugi Nepomucen Maria Lubiński, w swoim czasie zasięgnął w tej sprawie rady u pewnego psychiatry. Ten wyjaśnił mu, że każdy człowiek składa się poniekąd aż z trzech warstw lub, jak kto woli, istot, to jest z „ego”, „superego” i „id”. Nie jest to żadna dolegliwość czy anomalia. Lubiński ze względu na swoją artystyczną nadwrażliwość te trzy warstwy osobowości odczuwać może jako trzy lub dwie odrębne istoty. Niewykluczone, iż prowadzi z nimi dysputy oraz rozmowy, czyli dokonuje autoanalizy. Owego drugiego i trzeciego Lubińskiego (jakby się każdego z nich nie nazwało – „superego” czy „id”) Nepomucen nigdy jednak na swoje oczy nie oglądał, lecz tylko podejrzewał ich istnienie. Teraz jednak, późnym popołudniem, stanął oko w oko ze zjawiskiem, że po drugiej stronie śluzy być może cumuje swój biały jacht jakiś drugi Lubiński, nawet jeśli to było tylko jego „id” lub „superego”. Odrzucając psychologiczne czy też psychoanalityczne uzasadnienie, można było również przyjąć założenie zaczerpnięte ze znanych Lubińskiemu książek science fiction, że nie ma wcale dwóch Lubińskich, ale oto zdarzyła się sprawa wyjątkowa. Ni stąd, ni zowąd zawiązała się słynna pętla czasu – wcześniejszy Lubiński spotkał się oko w oko z Lubińskim o kilka dni późniejszym i dojrzalszym. Wyostrzył więc Nepomucen swój wzrok i starał się zobaczyć właściciela drugiego białego jachtu, aby stwierdzić,

czy w rzeczy samej jest to osobnik identyczny z nim, podobnie jak identyczny był jacht, jego osprzęt i firanki na bulajach. Atoli owego osobnika nie ujrzał. Nie mógł go zresztą zobaczyć, jeśli tamten siedział za kabiną na prawej burcie, tak samo jak i tamten nie mógł zobaczyć Nepomucena siedzącego na lewej burcie za kabiną. Nie było zresztą wykluczone, że ów drugi Lubiński opuścił jacht, przeszedł przez kładkę na śluzie i właśnie jadł kolację w restauracji. Czy wolno było Nepomucenowi stracić okazję spotkania się ze sobą samym?

Zarzucił żagle, grot dokładnie owinął wokół bomu, a fok sklarował wzdłuż lewego szotu. Następnie wszedł do kabiny i z niezwykłą starannością przywdział swój odświętny strój żeglarski; białe tenisówki, białe spodnie, czarny golf oraz białą kapitańską czapkę. Niewielkie lustro w kabinie utwierdziło go w przekonaniu, że w owym stroju – z jasną obfitą brodą i błękitnymi oczami – sprawić będzie miłe, a nawet ujmujące wrażenie. Ten drugi, powracający z rejsu Lubiński, nie mógł być aż tak elegancki, a już na pewno po kilkudniowym rejsie nie miał świeżo wyprasowanych spodni o nieskazitelnej bieli.

Jachtem zakołysało. Właśnie otworzono śluzę i poziom wody w jeziorze i kanale zaczął się gwałtownie wyrównywać. Kilka łodzi żaglowych i motorówek, które w międzyczasie zebrały się z dwóch stron żelaznych wrót, teraz przepływało w obydwu kierunkach. Było to ostatnie otwarcie śluzy tego dnia i Lubiński wyskoczył do kokpitu pełen obaw, – że biały jacht z drugiej strony śluzy za chwilę minie go w drodze na Baudy.

Ale ów jacht stał w tym miejscu co poprzednio, ba, miał już żagiel owinięty wokół bomu, co znaczyło, że jego właściciel zdecydował się spędzić tutaj noc. Zapewne w tym samym czasie, kiedy Nepomucen przebierał się w swój odświętny strój żeglarski, tamten zajął się zwijaniem żagla. Ciekawiło Nepomucena, czy jest on tak samo dobrym żeglarzem, czy tak samo starannie owinął żagiel wokół bomu, szotową linię ułożył w słoneczko, pięknym węzłem opatrzył fały na knadze przy maszcie. Rzecz jasna, Nepomucen mógł po prostu wyskoczyć na brzeg, przespacerować się po kładce na drugą stronę i zajrzeć do tamtego jachtu. Była to jednak czynność zbyt prosta, a nawet w pewien sposób pospolita. Wolał pozostać przy myśli, że po drugiej stronie śluzy cumuje jego „super” czy „alter”, pragnął obracać w sobie tę sprawę jak pomysł literacki, bawić się nim jak pingpongową piłeczką, którą bez wysiłku można przerzucać z ręki do ręki. A ponieważ odczuwał lekki głód, tedy chciał wierzyć, że tamten również ów głód odczuwa i zapewne już udał się na kolację do restauracji.

Od śluzy do zamku prowadziła alejka wysypana białym żwirem. Nepomucen

przekroczył oszklone drzwi i znalazł się w dużej sali z drewnianym stropem. Pod lewą ścianą stał bufet, salę wypełniało kilkanaście stolików pokrytych brudnymi serwetami. Gości było niewiele, jedynie w samym rogu jakieś towarzystwo raczyło się piwem. Przez wąskie pseudogotyckie okna sączyła się do sali różowa poświata zachodzącego słońca, czerwonymi refleksami odpowiadały jej butelki z wódką w szafce za bufetem, z głośnika pod sufitem płynęła rzewna melodia.

Lubiński wybrał stolik tuż obok drzwi, z najmniej brudną serwetą. Ciężkie krzesło z wysokim oparciem okazało się wygodne, ale zanim na nim usiadł, siedzenie starannie wytarł chusteczką, aby kurzem lub resztkami jedzenia nie pobrudzić białych spodni. Po sali wolnym i ciężkim krokiem snuła się kelnerka, jeszcze młoda brunetka z ładną twarzą, lecz już otyła, dziwnie zaokrąglona z przodu. Nad dużym brzuchem wisiały ogromne piersi, rozpychając załuszczonej bluzkę z szyfonu. Kelnerka zbierała ze stołu pełne niedopałków popielniczki, strzepywała z obrusów resztki jedzenia, zbierała z podłogi papierowe serwetki. Gdy była zwrócona tyłem do Nepomucena i pochylała się po serwetki, jej zbyt krótka spódnica odsłaniała grube uda, a gdy zwracała się przodem, pulchne piersi niemal wypadały z dekoltu i niespokojnie poruszały się w bluzce. Nepomucen odkrył w sobie ogromną ochotę, aby podejść do tej kobiety, wyjąć jej piersi na wierzch, zważyć je w dłoniach jak wielkie dorodne gruszki. Poczul pożądanie i zdumiał się tym faktem, bo przecież w domu pozostawił ładną, zgrabną żonę – wąską w talii i bez brzucha. Nigdy nie gustował w kobietach tęgich, brzydził się niechlujstwem. Czemu więc podniecił go ten ciężki tłumok w brudnym fartuchu i załuszczonej bluzce? Miała wydatne wiśniowe wargi, gładką cerę twarzy, ale czarne kędziory wymykające się spod białego czepka, wydawały się być polepione łojem. Co mu się stało, że zapragnął tej kobiety? A może raptem stał się kimś innym? Jest owym Lubińskim powracającym z rejsu, tym, kogo szukał. Choć niezupełnie. Sądził, że spotka swoje „superego” a natknął się jedynie na „id”, zespół własnych ukrytych popędów.

– Nie mamy już nic gorącego – chrapliwie powiedziała kelnerka, z szacunkiem przyglądając się leżącej na obrusie białej czapce z lśniącym daszkiem i złotą kotwicą.

Jej duży brzuch oddalony był od ramienia Nepomucena tylko o centymetr lub nawet mniej. Lubińskiego zalatywał zapach tej kobiety – woń oleju, w którym usmażono frytki.

– Na zimno może być szczupak w galarecie i ozorek – dodała po chwili, kreśląc coś ołówkiem w bloczku, który opierała na brzuchu.

Pokazał jej w przyjaznym uśmiechu swoje białe zęby.

– Dwa ozorki i dwie wódki. Dla mnie i dla pani. Za nasze zdrowie – od tyłu włożył

dłoń pod jej sukienkę i pogłaskał po grubym udzie.

– Ej, panie – zachnęła się i odsunęła się o mały krok. – Nam nie wolno pić podczas pracy.

Nie miał pojęcia, skąd znalazł w sobie bezczelną odwagę, aby znowu od tyłu sięgnąć kelnerce pod sukienkę i jeszcze raz pogłaskać jej wypukłe pośladki. Znowu odsunęła się o krok.

– Coś mi się zdaje, że znajdzie się dla pana porcja wątróbki z cebulką i ziemniakami – powiedziała.

– Znakomicie! – ucieszył się. – Wątróbka i dwie wódki.

Nie od razu odeszła. Czarnymi oczami zlustrowała twarz Nepomucena, jego strój żeglarski. Z życzliwym zdumieniem pokręciła głową:

– Taki elegancki, a podobny do wszystkich. Tylko jedno wam w głowie. A ja mam męża i troje dzieci. Dwie wódki?

– Dwie – uparł się. – Nie jestem pijakiem, żebym sam pił.

Odeszła bez słowa ciężkim krokiem i zniknęła w drzwiach koło bufetu. Nepomucen poczuł się nieswojo. Ogarnęło go coś w rodzaju wstydu i był odrobinę zażenowany. Ten Lubiński, który powracał na Baudy, przepadł raptem bez śladu. W restauracji pseudogotyckiego zamku z powrotem siedział Nepomucen Maria Lubiński, który dziś rano pożegnał swoją gibką żonę ze sterzcącymi strono piersiami. Na stole w jego pracowni pozostało sto stron powieści o pięknej Luizie i stażyscie. Spotkanie u śluzu, pętla czasu, „ego”, „superego” i „id” Lubińskiego stało się kiepskim pomysłem literackim, którym można się było zajmować jedynie przez kilka minut.

W drzwiach zaplecza ukazała się kelnerka z tacą. Przyniosła talerz gorącej wątróbki, chleb, dwa kieliszki wódki, szklanekę i butelkę oranżady.

– Pan nie zamówił oranżady, ale pomyślałam, że zechce pan czymś popić wódkę – oświadczyła ciepło.

– Dziękuję – bąknął Lubiński.

Sięgnął po kieliszek, bo w tej chwili czuł wielką potrzebę odzyskania odwagi. – Proszę uprzejmie – talerzyk z drugim kieliszkiem podsunął kelnerce. Niedbale, jak gdyby jedynie dla przyzwoitości, rozejrzała się po sali, czy nikt nie obserwuje. Potem wysunęła krzesło spod stołu, przycupnęła i jednym szybkim haustem opróżniła kieliszek. Nalała sobie oranżady do szklanki i popiła.

– Okłamałam pana mówiąc, że mam troje dzieci – uśmiechnęła się do Lubińskiego. – Mam dwoje i męża, który pracuje daleko stąd.

– Tak, oczywiście – alkohol ciepłą strugą spłynął do żołądka. – Może jeszcze po

jednym? – zaproponował Nepomucen.

Podniosła się ciężko z krzesła.

– Jak pan sobie życzy – odniosła się do tej myśli dość łaskawie.

A gdy odeszła, Lubiński począł szybko i łąpczywie krajać i jeść wątróbkę. Chciał zniknąć stąd jak najszybciej. Pragnął zapomnieć o Lubińskim przyszłym i zaprzyszłym, stać się znowu sobą, wyłącznie sobą, owym Nepomucenem, który nigdy nie odważył się którąś z bab ze Skiroławek poklepać po pośladku, zaczepić frywolnym słowem. Dla najdrobniejszego flirtu potrzebował szerokiej płaszczyzny intelektualnej swobody, partnerki zdolnej smakować grę spojrzeń, przelotnych dotknięć i półsłówek.

Przyniosła talerzyk z dwoma pełnymi kieliszkami. Znowu usiadła przy stole i od razu sięgnęła po kieliszek.

– No, to wypijmy od razu, bo muszę zabrać się do roboty. Trzeba nakryć stoły do kolacji. Wydajemy pięćdziesiąt śniadań, obiadów i kolacji dla wczasowiczów w domkach. Oni mają wykupione karnety. Jeśli pan będzie głodny, proszę tu przyjść za dwie godziny. Dam panu kolację bez karnetu.

– Dziękuję – wysyczał Lubiński, wydmuchując z siebie gorączkę alkoholu, która oparzyła mu gardło.

– Gdzie pan nocuje? – zapytała.

– Na jachcie. Cumuję u służby.

– Samotnie?

– Tak wyszło – westchnął.

Jadł szybko, żarłocznie, ale nie dlatego, że był głodny. Chciał zapłacić i odejść. Ale jej wydał się po prostu bardzo głodny, co u prostej kobiety zazwyczaj budzi sympatię dla mężczyzny.

– Niech pan przyjdzie za dwie godziny. Kolację dostanie pan bez karnetu – zapewniała serdecznie, pochylając się ku niemu, aby mógł zerknąć w głęboki rowek między pulchnymi wypukłościami. Wolał jednak patrzeć w talerz, ta obfitość piersi i ich nagość dziwnie go zawstydziała.

– Zapłacę – o mało nie udławił się ostatnim kęsem wątróбки.

– Nie wiem, czy będę miała czas zajrzeć do pana. Tutaj jest przecież dużo roboty. Wieczorem nóg nie czuję. Niech pan przyjdzie na kolację – zaproponowała.

– Tak, oczywiście...

Wyjął z portfela duży banknot. Miał świadomość, że za chwilę stąd odejdzie i to sprawiło mu ulgę. Alkohol także zaczął już działać i przysporzył odrobinę śmiałości.

Zwinął banknot i włożył go w rowek między wypukłościami wielkiego biustu.

Chwilę przytrzymał tam swój palec.

– Reszty nie trzeba – uśmiechnął się szeroko. Delikatnie uderzyła go po rękę.

– Świntuch – oświadczyła. – Od razu wiedziałam, co pan za jeden. Nie przyjdę na ten pana jacht. Już ja wiem, czego chcą tacy...

Udawała obrażoną. Ale wstając od stołu i wyjmując banknot z dekoltu, znowu się uśmiechnęła. A kiedy Lubiński podjął ze stołu swoją czapkę i wcisnął ją na głowę, dodała:

– Kolację wydajemy za godzinę. Ale pan może przyjść za dwie godziny. Zsalutował i sprężystym krokiem opuścił restaurację. Strach i skrępowanie nagle ulotniły się nie wiadomo dokąd. Czuł się wspaniale – w swych białych tenisówkach stąpał dumnie po wyżwirowanej alejce. Rozpierała go świadomość własnej siły, męskości, łatwości w obcowaniu z kobietami. Żałował, że nie okazał się jeszcze bardziej natarczywy wobec tej kelnerki, nie umówił się z nią na określoną godzinę, ale całą sprawę niejako zawiesił w powietrzu. Jeszcze przed chwilą ów drugi Lubiński, wulgarnie podmacujący tłustą kelnerkę, wydawał mu się odpychający. Teraz czuł się nim i był z tego zadowolony.

Ile razy ten pierwszy Lubiński – wytworny głupiec (jak go w myślach teraz nazywał) popadał w restauracjach w konflikty z takimi właśnie tłustymi kelnerkami. Ile razy oburzało go, że piją wódkę z klientami. Innych obsługują szybko i ochoczo, a dla niego wciąż brakuje im czasu. Ile to razy kłócił się z ekspedientkami w sklepie, wpisywał do książek życzeń i zażaleń. Zapewne tylko dlatego, że nie umiał zdobyć się na płaski dowcip, pozyskujący ich sympatię, był wyniosłym sztywniakiem, który natychmiast budził niechęć. Ten drugi Lubiński wiedział, jak trzeba postępować z ludźmi. Życie drugiego Lubińskiego było łatwe i proste – każda kobieta miała tyłek i cycki, należało to tylko dostrzegać. „Mogę zjeść za darmo kolację dla wczasowiczów” – pomyślał z satysfakcją. Bo ów pierwszy Lubiński odszedłby z restauracji głodny. Usłyszałby, że kolacja jest tylko dla wczasowiczów na specjalne karnety. Zamiast nad talerzem musiałby zasiąść nad stronicami książek życzeń i zażaleń.

– W połowie drogi do śluzy zawrócił. Z tyłu pseudogotyckiego zamku była kawiarnia z dużym tarasem i kolorowymi parasolami. Wieczór zrobił się chłodny, do nocy pozostawało jeszcze trochę czasu. Co stało na przeszkodzie, aby zasiąść przy stoliku pod parasolem, popatrzeć na pseudogotyckie wieże zwieńczone krenelazem, umoczyć usta w kieliszku koniaku, wypić szklanekę czarnej kawy?

Z trudem znalazł wolny stolik, ale już wkrótce taras zaczął się wyludniać. Zbliżała się pora kolacji, a poza tym goście w kawiarni mieli na sobie kostiumy plażowe i chłód ich wyganiał. Pojawiło się kilka kobiet w długich sukniach i szalach, mężczyźni

przywdzieli kolorowe golfy. Lubiński zaledwie odnotowywał ich w pamięci, małymi łykami sączył koniak bułgarski i popijał go kawą, zagłębiony w sobie, uskrzydłony myślami, które wystartowały jak szybkie ptaki, spłoszone pomysłem spotkania z „id” lub „superego”.

Kieliszek koniaku i szklankę kawy podała mu drobniutka młoda kelnerka z delikatną twarzą i złocistymi włosami. Jej świeżość powinna była zaniepokoić jego męskość, lecz on na nią nawet nie zwrócił uwagi. Zaprzątnięty sobą siedział wyprostowany, z nogą na nodze. zapatrzony w różowy odbłask słońca, przelewający się przez gałęzie drzew. Jego zamyślenie dziewczyna przyjęła za smutek. W swym żeglarskim stroju, z jasną brodą i niebieskimi oczami, które patrzyły w gęstwinę gałęzi, wydał się jej romantycznym samotnikiem. Dwa razy podchodziła do jego stolika, aby opróżnić popielniczkę i za każdym razem upewniała się, że jej w ogóle nie zauważa. „Rzuciła go jakaś dziewczyna” – pomyślała. I tak powiedziała bufetowej, aż tamta, czterdziestoletnia matka czworga dzieci, wyjrzała z bufetu na taras. W ubiegłym roku pewien młody żeglarz powiesił się w parku za zamkiem z powodu nieodwzajemnionej miłości. Od tego czasu miały baczenie na takich smutnych i osamotnionych, osłепłych na innych i trochę jakby nieobecnych.

– Jeszcze jeden duży koniak – zażądał.

Nepomucen Maria Lubiński powędrował w wyobraźni aż do śluzy na kanale i przez wąską kładkę przeszedł na drugą stronę, do białego jachtu, cumującego przy prawym brzegu. Czuł, że myśli ma jasne i lotne jak nigdy dotąd. Spotkanie z tamtym będzie bolesne, zderzą się z sobą jak ostrza dwóch noży. W kokpicie jachtu siedzi Ewa, druga żona pisarza, złotowłosa Lorelei. Mówi nie poruszając ustami: „Jesteś Nepomucenie zbyt porządnym człowiekiem, aby zostać wybitnym pisarzem”. Bo tak właśnie rzekła mu któregoś wieczoru, gdy sprowadzili się do Skiroławek. I nie miała wcale na myśli nieumiejętności rozpychania się łokciami w literackim świecie. Ani nie myślała o tym, że Nepomucen nie robił nikomu świństw, nie budził publicznego zgorszenia. Po prostu chodziło jej o to, że człowiek porządny widzi innych ludzi, a także i świat, na swoje podobieństwo i obraz. Tymczasem zaś jej zdaniem wielkiego artystę cechować winna specyficzna wyobraźnia. Tam, gdzie setki innych ludzi dostrzegają tylko ład i porządek rzeczy, on winien zauważyć także elementy chaosu. A gdzie inni widzą chaos, on musi ukazywać ukryty pod chaosem jakiś porządek rzeczy i specyficzny ład. Gdzie innych zachwyca radość, on umie zauważyć znamiona smutku, a w szczęściu znajdować znamiona tragedii. Tymczasem, zdaniem coraz większej liczby krytyków, tworzywem współczesnej literatury miał się stawać zapis szarej codzienności, banalnych spraw, błahych dialogów i nieciekawych zwykłych rzeczy. Chwalono książki o banalnych

zdarzeniach. Tym książkom towarzyszyła banalna wyobraźnia ich twórców. Czyż nie z tej w gruncie rzeczy banalnej materii powstała jego tak znana ongiś powieść – „Zanim odlecą jaskółki”? Przedstawił w niej postacie i opisał bieg wydarzeń w taki sposób, jak tego chcieli krytycy i czytelnicy, jak to odpowiadało ich banalnej wyobraźni o świecie. To, a nie co innego, zapewniło książce sukces, którym karmił się Nepomucen, choć ten drugi Lubiński (zawsze w nim istniejący) podejrzewał, że w rzeczywistości nie istnieje ani banał, ani też kicz. Oglądając „Powiększenie” Antonioniego, Nepomucen doznał raptem ogromnego olśnienia i poczucia, że znajduje się gdzieś bardzo blisko jakiejś ogromnej prawdy. Na ekranie kina młody fotoreporter uparcie powiększał fotografię pięknej dziewczyny, z twarzą roześmianą i szczęśliwą. Robił to tak długo, aż w tej fotografii powiększonej niemal do granic możliwości pojawiła się lufa pistoletu mordercy ukrytego w krzakach. Dzięki powiększeniu małego szczegółu roześmiana twarz dziewczyny nabierała zupełnie innego wyrazu, objawiała nowe i groźne treści, dramat albo tragedię, podłość lub zwykłe przestępstwo. Fotografia dziewczyny mogła się wydawać czymś banalnym, ale dzięki powiększeniu traciła swój pierwotny charakter, prezentowała nie banał, lecz dramat. „Czy może być coś bardziej banalnego – zastanawiał się Lubiński – nad fotografię ślubną, wiszącą w setkach tysięcy domów? A jednak, gdyby ktoś zadał sobie trud i niemal do granic możliwości zaczął przybliżać naszym oczom każdy szczegół owej fotografii, być może okazałoby się, że w sztucznym uśmiechu młodej żony, w ułożeniu jej dłoni, w melancholijnym spojrzeniu mężczyzny – kryje się zapowiedź ich przyszłego nieszczęścia.” W taki sposób Nepomucen Lubiński doszedł do wniosku, że sztuka nie jest niczym innym jak nieustannym powiększaniem wydarzeń z życia ludzkiego. Życie nie znało banału, a natura kiczu, jeśli artysta umiał dostatecznie wyraziście powiększać i przybliżać ludzkim oczom każdy szczegół jakiegoś wydarzenia. Zawsze bowiem musiał odkryć w tle lufę pistoletu, groźbę dramatu w scenie sielankowej i zapowiedź szczęścia w scenie ukazującej dramat. Zadaniem artysty nie było proste przenoszenie do dzieła sztuki takich czy innych anegdot i wydarzeń, ale ich powiększenie, to jest ujawnienie ukrytego głęboko sensu.

– Jeszcze jeden koniak – Lubiński przywołał do siebie kelnerkę, która kręciła się między pustymi stolikami na tarasie.

Zamyślony uznał jej istnienie między stolikami za coś oczywistego i naturalnego, zapewne nawet banalnego. A przecież, gdyby przyjrzał się dokładniej zachowaniu owej młodej osoby, być może dostrzegłby w spojrzeniu, jakie na niego rzuciła, troskę i niepokój, pamięć o człowieku, który powiesił się w parku koło kawiarni. Jej obecność między stolikami przestałaby natychmiast nosić znamiona oczywistości, choć z pozoru

taką przecież była, ale ujawniłaby ukryte w tej dziewczynie uczucie napięcia.

Mocząc usta w koniaku Nepomucen Lubiński pomyślał o Skiroławkach. Co ukazałaby zwykła fotografia, na przykład, cieśli Sewruka? Wielkiego wzrostem, czarnego od brudu pijaka i nieroba z głową jak osmolony sagan? Człowieka, który wziął zaliczkę i nie zrobił ganku przy domu pisarza. A jednak powiększenie szczegółów tej postaci powinno w którymś momencie ujawnić także przedziwny i tajemniczy charyzmat władzy rodzicielskiej, jaką on w sobie nosił, mimo pijaństwa, łapci i nieróbstwa. Jaką zagadkę kryła Porowa, której już dwukrotnie zabierane sądownie dzieci – najpierw czworo, potem znów czworo, a teraz, przed kilkoma dniami, sąd kazał jej odebrać kolejną trójkę dzieci? Czemu to Nepomucen Maria Lubiński wolał pisać historię o pięknej Luizie, zamiast o zagadce Porowej? Czyżby wciąż jeszcze był owym Nepomucenem Lubińskim, który przed wieloma laty, w pociągu pośpiesznym Warszawa – Paryż, na moment zbliżył twarz do szyby i w krótkim okamgnieniu ujrzał nikłe światelka jakiejś wioski. Wtedy został porażony myślą; jakże nieciekawe i banalne, a także niewysłowienie nudne musi być życie istot ludzkich w owej kropelce nikłego i ułudnego światła. Teraz ktoś inny przejeżdżając nocą samochodem przez Skiroławki zapewne doznaje podobnych myśli, nieświadomy, że mija niezwykłość – domy Porwasza, pisarza Lubińskiego, sołtysa Wątrucha, cieśli Sewruka. Gustawa Pasemki, Porowej, doktora Niegłowicza; miejsca, gdzie trwa miłość, nienawiść, zbrodnia i namiętność. Kropla wody pod mikroskopem aż roi się przecież od przedziwnych istot. W lupie zegarmistrza malutki mechanizm rozrasta się do rozmiarów kombajnu. Nie ma banału, jeśli się umie powiększać i przybliżać do oczu sprawy ludzkie.

– Jeszcze jeden koniak – odezwał się do kelnerki.

– Spadła panu czapka – stwierdziła, podając mu kieliszek. Potem przykucnęła, podjęła z podłogi czapkę żeglarską, zdmuchnęła z niej kurz i położyła na pustym krześle.

– Dziękuję – wymamrotał. – Ta czapka nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Nie jest ważna, pani rozumie?

– Tak – dygnęła i odeszła, postanawiając, że nie poda mu następnego kieliszka koniaku.

A on znowu w swej wyobraźni wybrał się na wędrowkę do jachtu zacumowanego po lewej stronie śluzy. Odsunął sprzed oczu obraz złotowłosej Lorelei, na wąskiej kładce na śluzie natknął się na Basieńkę i także jednym gestem nakazał jej zniknąć. Zmierzał zdecydowanie do upragnionego celu: chciał spotkać się z sobą sam na sam, ujrzeć siebie w ogromnym powiększeniu. Bo jeśli prawdą było, że powiększając obraz każdej rzeczy czy osoby musiało się wreszcie ujrzeć tkwiącą w tle lufę pistoletu (po strzale albo

przed strzałem) to i on mógł odnaleźć czas i miejsce wydarzenia, które skępowało jego wyobraźnię i uniemożliwiło stanie się wielkim pisarzem. Ktoś, gdzieś, kiedyś strzelił do niego lub obok niego, zamordował istotę tkwiącą w nim samym. Od tamtej chwili pozostawał częściowo martwy, z trwożną wyobraźnią; bał się zejść z ubitego gościńca, odkrywać nowe drogi przez gęstwinę słów i zdarzeń. Trwożna wyobraźnia dyktowała pokorę i niepewność, posłuszeństwo wobec literackich kanonów. W gęstwinie banału było bezpieczniej i spokojniej. W odróżnieniu od zbliżenia banał jawił się oddaleniem i pomniejszeniem wydarzeń, pozostawał spojrzeniem na świat przez odwrócenie szkła lornetki, uniemożliwiał dostrzeżenie lufy pistoletu przed lub po wystrzale. W świecie bez tła żyło się cicho i spokojnie; w obrazie pomniejszonym i oddalonym odnajdowało się ocalenie dla wyświechtanej prawdy, dla banalnego wyobrażenia o ładzie i porządku spraw ludzkich. Przez odwrócenie szkła lornetki ich mała wioska Skiroławki była tylko nikłą kropelką blasku, na pozór martwą i skamieniałą w bezruchu. Czemu nigdy nie próbował przybliżyć do oczu czytelników tej małej kropelki, ukazać jej spraw w ogromnym powiększeniu, z lufą pistoletu tkwiącą na stałe w ciemnym tle otaczających wieś lasów? Czy w rzeczy samej jednak padł już ów śmiertelny strzał?

– Noc, proszę pana. Zamykamy – usłyszał.

Był szczerze zdumiony, że noc nastąpiła tak prędko. Niemrawo pogrzebał w portfelu i zeszytyniałymi palcami wyciągnął jakiś banknot.

– Reszty nie trzeba – oświadczył łaskawie.

Podniósł się od stolika, na głowie zawadiacko usadowił czapkę żeglarską. Ruszył przed siebie wyźwirowaną ścieżką przez starodrzew, intuicyjnie odnajdując w ciemnościach drogę do kanału i śluzy. Był pewien, że idzie do tamtego drugiego jachtu z innym Lubińskim, ale znalazł się w kabinie swojej łodzi. I tak jak przyszedł – w białych spodniach i eleganckim golfie – padł na koję.

O kilka kroków za nim szła młoda kelnerka, a gdy przekonała się, że bezpiecznie legł w swojej kabinie – zawróciła do zamku. W pół godziny później nad brzeg zatoki nadeszła gruba kelnerka z restauracji, chwilę postąpiła w pobliżu jachtu – i także zawróciła. W każdej z nich utrwalił się w pamięci podobny do kolorowej fotografii portret mężczyzny w białej czapce z kotwicą. I każda z nich powiększała potem ów portret na miarę swojej wyobraźni – tę młodszą przepełniała obawa, że był on jeszcze jednym z tych, których zawiodła miłość; ta druga – chciała w nim widzieć eleganckiego pana, który mimo jej tłustego ciała i włosów polepionych w kosmyki zauważył w niej pociągającą kobiecość. Spojrzenia ludzkie są bowiem zawsze jakimś powiększeniem lub pomniejszeniem obrazu innego człowieka.

...Rankiem Nepomucen wyjrzał z kabiny i stwierdził, że po drugiej stronie śluzę nie ma już białego jachtu. Dwukrotnie już otwierano wierzaje śluzę i jacht, wraz ze swym właścicielem, mógł o dwakroć odpłynąć.

OPOWIEŚĆ O DRODZE DO KORYNTU

Na rozstaju piaszczystych dróg leśnych, o kilometr od leśniczówki Blesy, stała drewniana pomalowana na biało figura mężczyzny. Nikt w okolicy nie pamiętał kto, a także w jakim celu ją tam postawił. Nazywano ją Białym Chłopem i mówiono, że to albo tamto znajduje się „na lewo od Białego Chłopa” lub „na prawo od Białego Chłopa”. Kiedyś owa figura miała głowę i skrzyżowane ramiona, prawdopodobnie wskazujące dwa kierunki dróg leśnych, na rękach napisano nazwy wiosek ukrytych w głębi lasu. Jakiś pijany żołnierz odstrzelił jednak figurze głowę a także lewą rękę, okaleczył ją tak samo, jak okaleczona była dusza owego żołnierza. Białego Chłopa nadgryzały kołatki, oblaża z niego biała farba, a ocalała prawa ręka wskazywała nie istniejącą już wioskę o nazwie Koryntki. W tej wiosce stoczono zażartą bitwę – zginęli wszyscy mieszkańcy wioski, a także jeden generał i dwóch pułkowników, żołnierzy oczywiście nikt nie liczył. Po domach wioskowych zostały tylko niekształtne kupki gruzu porośniętego trawą, a po generale, dwóch pułkownikach i niezliczonych żołnierzach jeszcze przez rok bieleły szkielety, nie było bowiem komu zwłok pochować. Lisy i drapieżne ptactwo tak się wtedy w tych okolicach rozmnożyły, że jeszcze przez długi czas ludzie woleli się w tamtą stronę nie zapuszczać, gdyż bywali napastowani przez nawykłe do pożerania ludzkiego ciała zwierzęta. Po latach na ocalałej ręce Białego Chłopa odczytać można było jeszcze kilka liter, układających się w wyraz „Korynt,„. A że nikt nie lubi wspominać spraw przykrych, tedy po jakimś czasie zapomniano, że ongiś istniała w lesie mała wioska. Co pobożniejsi skłonni byli myśleć, że Biały Chłop przedstawiał osobę świętego Pawła, wskazującego drogę do Koryntu, miejsca znanego z Nowego Testamentu. Blisko jednak czy też daleko leżał ów Korynt, nie było ważne, mało kto bowiem w tamtą stronę chciał się zapuszczać, co najwyżej czynił to z obowiązku leśniczy Turlej, gajowy Widłag i robotnicy leśni albo Porowa w porze grzybobrania. Z owego Koryntu powracała ona codziennie z dwoma wiadrami pełnymi dorodnych prawdziwków, suszyła je potem i sprzedawała ludziom z miasta, gdyż miejscowy nie zjadłby zupy z grzybów odżywianych ludzką męką i cierpieniem. Po dziewięciu miesiącach Porowa niekiedy rodziła kolejne dziecko – tedy związek między owym

grzybobraniem a poczęciem dziecka wydawał się oczywisty. I być może owe dzieci były nieszczęśliwe, gdyż w tamtym nieszczęsnym miejscu zostały poczęte – któż to mógł wiedzieć? Gdy ma się z prostym umysłem do czynienia, nawet najmądrzejszy człowiek wychodzi na głupca, ponieważ jak to słusznie jest powiedziane: co jeden głupi zepsuje albo zrobi, to dziesięciu mądrych nie naprawi i nie pojmie. Zresztą osobą Porowej i tak zbyt wielu ludzi się zajmowało, sprawy jej rozważało i rozpatrywało, nie wyłączając sądu, który jej dzieci odbierał i do domu dziecka odsyłał. Osoba Porowej mogła być dowodnym przykładem, że zło bywa bardziej ciekawe od dobra, większe też wzbudza zainteresowanie. Życiem rozpustnej kobiety przejmują się wszyscy – tak mężczyźni jak i kobiety. Życie zaś kobiety uczciwej przechodzi niezauważenie. W Skiroławkach ciągle gadano o Porowej, o cnotliwej żonie Wątrucha nikt nigdy nie wspominał, jakby taka istota w ogóle w wiosce nie żyła. Ile cnotliwych kobiet musiał spotkać Jezus Chrystus, a przecież przede wszystkim o Marii Magdalenie pozostało głośno już na całe wieki. Stąd wniosek, że cnota nie daje rozgłosu, a między sławą i niesławą tylko małe „nie” spoczywa, słówku niewielkie i czasem dla niektórych niedostrzegalne.

We wrześnie, w czasie grzybobrania, mijając Białego Chłopa ujrzała Porowa starego Otto Szulca, który przykucnął pod drewnianą figurą i coś tam sobie czytał z grubej książki. Obok niego leżał szpadel, co znaczyło, że znowu przyszedł na Szulca czas, aby szukać zwłok człowieka, którego zabił dla kromki chleba. Zabrzącała Porowa wiadrami, aby zwrócić na siebie uwagę starego i uśmiechnęła się do niego, gdyż w lesie przesyconym zapachem grzybni czuła w sobie niezwykłą potrzebę poczęcia i noszenia płodu. To przez owo poczęcie i płód w łonie wydawało jej się, że podnosi się we własnych oczach, a także w oczach innych ludzi, spełnia się w ten przedziwny sposób, tworząc coś z niczego. Sens istnienia kobiety krył się dla niej jedynie w owym akcie poczynania i płodzenia, po to kobiety miała ręce, nogi, biodra, piersi, brzuch i tajemnicze łono – wszystko inne, podobnie jak i dalszy los płodu, przestawało być ważnym – podobnie jak dla ziemi, która rodziła trawy i krzewy, nie dbając, czy je mróz skosi lub słońce wypali. Rodzić i dawać życie – czy mogło być coś wspanialszego. Każdy był dobry dla owego dzieła tworzenia życia, choćby i stary Szulc, którego nieraz już w swe łono przyjmowała z zadowoleniem, bo jeśli mu już ów korzeń zdołał nabrzmieć, to był jak nieokorowany kołek. Tylko że teraz mimo pobrzękiwania wiadrami, Otto Szulc w ogóle nie chciał jej zauważyć, ale wciąż czytał ze swej książki, bezgłośnie poruszając sinymi wargami. Tedy poszła dalej piaszczystą drogą, z pustym łonem i pustymi wiadrami. Tam gdzie zmierzała, rosły ogromne prawdziwki, trafiali się także zabłąkani turyści – grzybiarze, a jeszcze się taki nie znalazł, wiedziała o tym z

wieloletniego doświadczenia, co by uśmiechu samotnej kobiety w lesie nie podchwycił, łona jej nie wypełnił, obdarowując ją miłym słowem lub banknotem. Jej było wszystko jedno, choć wolała takich, co dawali pieniądze.

Stary Otto Szulc nie widział Porowej, nie chciał jej widzieć, ani słyszeć pobrękiwania wiadrami. Wybrał się do owego Koryntu, o którym było w Piśmie Świętym. Po drodze należało odszukać ciało zabitego kiedyś człowieka i pogrzebać je po chrześcijańsku. Wśród Koryntian nie było chyba miejsca dla mordercy, który zwłok zabitego nie uszanował, przez co grzech podwójny albo potrójny wziął na swoje barki. Tak obciążony jakże zdoła przejść bramę wieczności, przedrzeć się przez ciemiste krzaki konania, skąd weźmie sił i śmiałości, aby zawołać „pragnę”? Co znaczą słowa świętego Pawła Apostoła, skierowane w liście wtórnym do owych Koryntian: „Azalim co lekkomyślnie uczynił? I albo to, o czym myślę, izali według ciała myślę, aby było u mnie, Tak, tak, i Nie nie? Aleć wierny jest Bóg, iż mowa nasza do was była Tak i Nie.”

Gdzie jest owo „Tak tak”, gdzie owo „Nie nie”? Czy owo „Tak tak” nie mówi, że Bóg wybaczy zabójstwo człowieka dla kromki chleba, ale owo „Nie nie” – że nie będzie mu przebaczone, iż owego człowieka nie pochował po chrześcijańsku w poświęconej ziemi.

Siedział Otto Szulc pod figurą Białego Chłopa, która wskazywała drogę do Koryntu nie wiedział, że tworzy z nim jedność, tak samo kalekę i zniszczoną przez czas. Obydwaj byli biali – tamten resztkami białej farby, ten siwizną rzadkich włosów na głowie i białą brodą, która, gdy siedział, nakrywała mu kolana. Tamten bez oczu, a ten z lękiem w ciemnych źrenicach i białkach pokrytych czerwonymi żyłkami zmęczenia. Nad otwartą książką pochylała się żółta i pobrużdżona twarz, szarpała jak stary pień brzozy, powieki oczu podobne były do zeschniętych liści, siwe brwi sterczały ostrymi włosami pobielełymi jak gdyby od mroźnej sady. Przy każdym ruchu głowy na stronice książki skapywało mleko białych włosów i osiadał na nich sopel brody. Czarny palec ze zgrubiałymi stawami i zrogowaciałym brązowym paznokciem sunął wzdłuż linijek druku i wciąż zatrzymywał się przy owym „Tak tak” i „Nie nie”, nie pozwalając iść dalej, do Koryntu, po drodze wskazanej ocalałą ręką drewnianej figury. Biały Chłop żył, Szulc czuł to tak samo, jak czuł siebie samego. Nie miał głowy i jednej ręki, ale żył i mógł przemówić, gdyby tylko zechciał. Albo po prostu wskazać drewnianą ręką kierunek, gdzie Otto Szulc, wiele lat temu, zabił człowieka dla kromki chleba. A uczynił to nie jak żebrak, włóczęga czy bandyta, ale bogaty gospodarz, człowiek bogoboyny, choć grzeszny. Czym jest wojna i czym bywa głód, skoro człowiek nie potrafi oprzeć się złu i zbrodni, ale przenika ona do niego przez ciało aż do duszy, do każdej myśli, do serca?

Otworzył Otto Szulc swoje sine wargi i głęboko odetchnął pełną piersią, gdyż raptem duszno mu się zrobiło. W lesie było parno po ciepłym porannym deszczu. Wrześniowe słońce, które od niedawna wspięło się na niebo, świeciło mocno i suszyło mchy wydzielające gęsty i duszny zapach. Jesień stała o krok – pożółkły drobne listki na brzożach obrastających rozstaje dróg koło Białego Chłopa, szcerniała zieleń buków i świerków, uginały się gałązki jarzębin, obarczonych kolorowymi kolistkami. O krok od rozstaju rozciągał się sosnowy starodrzew prześwietlony promieniami słońca. Aż pod niebo pięły się tam grube, brązowe pnie, pozbawione gałęzi i dopiero gdzieś wysoko rozpinają parasole swoich zielonkawych koron. Bezruch owych pni, rzadki szelest kropli wody opadającej z gałęzi pogłębiały ciszę lasu. Obojętność starych drzew wydała się Szulcowi groźna. Pomyślał, że las przestał do niego mówić na swój milczący sposób – potępia go i jest mu wrogi.

Wstał ciężko z ziemi, za pazuchę wypłowiałej kurtki roboczej wsunął czarne okładki książki, podniósł z ziemi szpadel i poszedł przed siebie. Po kilku krokach zatrzymał go przenikliwy ból pod obojczykiem i znowu na chwilę nie mógł złapać tchu. Wsparł się na rękojęści szpadla i cierpliwie czekał aż ból minie – jak tyle razy to bywało. Teraz już wiedział, że nareszcie znalazł to miejsce oglądane podczas koszmarnych snów nocnych – młodnik, a obok ogromny starodrzew i dwie grube brzozy z pniami wykręconymi przez wiatr. Ból pod obojczykiem mijał bardzo powoli, przeistoczył się w przykry ciężar, który mu całe piersi wypełnił i uczynił oddech głośnym i świszczącym. Przed oczami pojawiły się czerwone plamy, jakby strzępy jakichś poszarpanych szmat – to chyba poraziło go słońce. Przymknął więc na chwilę powieki, przypominając sobie fruujące przed oczami czarne strzępy, podobne do ulatujących z komina strzępów sadzy. To one zewsząd spadały na niego, gdy nie jadł już czwarty dzień, pił śnieg, topiąc go w stulonych dłoniach. Ten obcy człowiek niósł na plecach płócienny worek wypchany jakimiś krągłościami, czymś, co dla głodnego wyglądało jak bochenki chleba. Czy musiał tego człowieka zabijać? Może tamten podzieliłby się z nim chlebem, pozwolił nasycić głód. Tylko że mógł donieść komuś o dezercerze ukrywającym się w lesie – wszystko jedno komu. Ze wszystkich stron dochodziło wtedy dudnienie armat, łoskot przejeżdżających drogami czołgów i samochodów. Człowiek z workiem na plecach wniósł do umysłu Szulca przenikliwą jasność, zniknęły fruujące strzępy czarnej sadzy. Wyjął jak zwierzę rzucił się na niego z bagnetem i uderzył go od tyłu, w serce – tak jak go w wojsku zabijać uczono. Martwego zaraz z drogi w młodnik zaciągnął razem z jego workiem, ślady krwi zasypał śniegiem. Tym samym bagnetem niecierpliwie rozciął worek – ale z worka tylko krągłe garnki i jakieś brzęczące puszkę wysypały się

w śnieg, pod niskie gałęzie młodnika. Jedną grubą kromkę chleba znalazł Otto Szulc w płóciennym worku – żuł ją długo, jakby cały bochenek zjadał. Chleb miał dziwny smak – język wyczuwał zapach mąki, z której go wypieczono, pachniał skoszonym zbożem. Był słodki i cierpki, w wypełnionych śliną ustach język lepił z niego malutkie kulki, a następnie rozgniatał je o podniebienie. Wolno, wraz ze śliną przechodziły przez gardło do przełyku i żołądka. Nie nasycił głodu, a jedynie pozostał mu w ustach smak jedzenia i wywołał w brzuchu tak silny kurcz, że przez długi czas Otto nie mógł się wyprostować, ale wciąż klęczał przy zabitym i jego rozprutym worku. Tak bywa właśnie w snach, kiedy to zasiada się do stołu, je i pije, nie sycąc głodu. Rankiem zaś człowiek budzi się ze smakiem jedzenia w ustach, ogromnym głodem i wielkim pragnieniem. Wtedy zresztą wszystko wydało mu się jeno snem – kromka chleba, zabity człowiek i rozpruty worek. Bagnetem wyorał dziurę w ziemi, położył w nią tego człowieka i jego garnki, pokrył cienką warstwą mchu i gałęzi, obsypał śniegiem. Tej nocy zdobył się na odwagę, aby przekraść się do swojej chaty i tam od córki dowiedział się, że jego żonę zabili żołnierze, dlatego nie przysłała do niego z jedzeniem. Najadł się, zabrał ze sobą do lasu chlebak z kawałkiem boczku i plackiem upieczonym na gorącej blasze kuchennej. Znowu chyba na tydzień zaszył się w owej leśnej ziemiance i na posłaniu z liści i gałęzi, słuchając dalekiego grzmotu armat, to zasypiał, to budził się i zasypiał na nowo. Męczyły go wciąż te same sny – bój nocny, biały śnieg rozorany gąsienicami czołgów, ogień na śniegu i czarne pagórki zabitych żołnierzy. Był też sen o człowieku z workiem na plecach, o kroplach krwi zasypanych śniegiem. Sny takie przeżywał także na jawie, ale potrafił je odróżnić od wspomnień – pamiętał ciepłe, duże, uległe ciało żony, gdy wrócili od ślubu w Trumiejkach. Piętnaście rozdzwonionych sań, spienione pyski koni, on wsuwa chłodną rękę w rozpięty na piersiach kaftanik żony i dotyka jej gorących piersi. Nie ma już tej kobiety, tak powiedziała mu córka. Jego też mogło nie być – gdyby trzy miesiące temu, doglądając jeńców kąpiących transzeje koło Bart, nie zdecydował się ukryć w lesie, w ziemiance, którą mu przygotowała żona. Wspomnienia i sny – niektórzy ludzie nie umieją ich od siebie odróżnić. Wspomnienia bywają dobre, gorące, dają radość i siłę. Sny są złe – przypominają o czymś, co chciałoby się skryć gdzieś bardzo głęboko, jak zwłoki zabitego. Sny biorą za gardło i duszę, nakazują czuć się potworem, który myśli o kroczu siostry, o zabiciu własnego ojca. Wspomnieniami można niekiedy pokierować, odejść od nich jak od stołu nieuczciwych ludzi. Przed snami nie sposób się obronić – zjawiają się pod powieką i wrywają z piersi serce, miażdżą kolbami twarz, przenoszą na pola płonącego śniegu, między pokrwawione ochłapy ludzkich ciał. W snach człowiek zabija – ciągle zabija, jak na wojnie. Ale

czy tak naprawdę, on, Otto Szulc, zabił kogoś kiedykolwiek, nawet na wojnie? Czy to prawda, że w obleżonym mieście strzelał do kobiet i dzieci? Czy zabijał nie tylko żołnierzy, ale i żony nieznanymi mężczyzn, matki jakichś mu nieznanymi córek? Czy to był on – ten rosły mężczyzna w mundurze, który szedł z oblawa przez mały zagajnik i strzelał do obszarpanych mężczyzn, kobiet i małych dzieci, wybiegających stamtąd jak stado zajęcy? Ogromne rzesze wilkołaków – głosili Kawalerowie Maltańscy – odżywiają się krwią i siłą świata, aż wreszcie oni, tacy jak Otto Szulc żołnierze, stanęli na straży nowego porządku. Tak naprawdę jednak był człowiekiem uczciwym i sprawiedliwym, nie poszedł do wojska z wyboru i chęci, ale dlatego, że się nazywał Otto Szulc. Potem ludzie mu przeszłość wybaczyli, nigdy o nic dokładnie nie pytali, a nawet nie uzalali się, że inni żołnierze zabili mu żonę i musiał tyle dni głodować w lesie. Sny były jednak bardziej docieklive i okrutniejsze od ludzi – dopadały go nieustannie w chwilach najmniej odpowiednich, nawet gdy spał obok swojej nowej żony. I chorąży Niegłowicz też bywał okrutny, bo pytał. Najczęściej jesienią lub wiosną, podczas orki. Ich pola sąsiadowały z sobą. Bywało, że chorąży orał po jednej stronie miedzy a Szulc po drugiej. Co jakiś czas pozostawiali konie w polu i przysiadali na miedzy, aby wypalić papierosa. „Powiedz, strzelałeś do mnie?” – pytał chorąży. „Nie, nigdy cię na oczy nie widziałem” – odpowiedział Otto Szulc. „To nic – mówił chorąży. – Przecież na wojnie nie strzela się do znajomych. Przyznaj się strzelałeś do mnie lub do mnie podobnych?”. „Tak” – odpowiadał wtedy Otto. „Ja też do takich jak ty strzelałem” – kiwał głową chorąży. I obydwaj dziwili się, że jak gdyby nigdy nic siedzą na miedzy, palą papierosy, rozmawiają, a potem każdy wraca do swoich koni i swojego pług. Otto Szulc nie miał pretensji do chorążego Niegłowicza o te pytania. Chorąży znał wojnę, wiedział, czym ona jest naprawdę. Dlatego przyszedł nawet na wesele Szulca, tańczył i śpiewał. Na pogrzebie chorążego Szulc szczerze płakał, choć były i takie chwile, gdy myślał o nim z nienawiścią jak o wrogu. Prawdziwym wrogiem Szulca były jednak przede wszystkim sny – nocne przypomnienia o sprawach, które chciało się ukryć, zakopać pod darnią.

„To tutaj” – upewnił się, obejmując wzrokiem powykręcane pnie brzoź. I wróciło mu poczucie radości. Ból pod obojczykiem przycichł. Szulc rozgarnął szpadlem szeleszczące wrzosy pokryte fioletowym kwieciem i wykroił kilka ogromnych kwadratów darni. Kopał wolno, z żółtawo-czarnej ziemi robiąc coraz większy kopczyk. A gdy pojawiał się cieńszy lub grubszy korzeń, przykładał we wrzosach i szpadlem ciął go w dwóch miejscach.

Nagle dobiegł go z dali głęboki, dźwięczny i płynny głos dzwonów. Nie wstał już

z klęczek, otarł dłonie o wrzosa i przeżegnał się. Po chwili zaczął głośno odmawiać modlitwę za konających:

– W ręce Twoje poruczam ducha mojego, Odkupicielu mój, który rzekłeś: Szukajcie twarzy mojej. Przeto twarzy Twojej szukać będę. Posil mnie, Panie, kiedy pot śmiertelny na mnie stoi, rozwesel mnie, kiedy wargi moje bledną, pociesz mnie, kiedy wzrok i słuch mój giną...

Nie słyszał już głosów dzwonów ani też własnych słów. Ciemność się przed nim otwarła, a razem z nią ból w piersiach powrócił. A przecież mimo ciemności i bólu, mimo ogromnej ciszy, w której, jak mu się zdawało, wciąż tonął coraz głębiej, zapytywał siebie: jakiej to twarzy szukać miał przykazane? Czy Chrystusowej – tak wykrzywionej cierpieniem, z cierniową koroną i kroplami krwi ciekącymi po skroniach, czy tych wszystkich twarzy ze snów, płynących ku niemu z głębin mroku. I jak gdyby dlatego, aby owe twarze zmarłych i zabitych zobaczyć mógł dokładnie, jasność się przed nim otwarła, wróciło wrażenie słuchu, zapachu i czucia. Ujrzał starodrzew prześwietlony promieniami słońca, poczuł grzybny zapach młodnika i nawet na gałązce młodej sosenki ujrzał krople porannego deszczu. Potem zawołał „Jezu!” – i upadł twarzą w wykopany przez siebie dół.

A wtedy na niebie pojawiły się trzy ogromne klucze żurawi, odlatujących na południe. Powietrze od ziemi aż do błękitu wypełnił głośny klangor, jęklliwe i przeciągłe nawoływanie ptaków, krzyk pierwszych dni jesieni.

Otto Szulca znalazła powracająca z grzybobrania Porowa i zaraz przywołała doktora Niegłowicza, a także syna Szulca i wielu innych ludzi z wioski. Ciało starego było już sztywne, więc doktor nawet nie próbował użyć żadnej ze swych lekarskich mocy, tylko stwierdził zgon. Ale ponieważ ten i ów głośno dziwował się, że tak bogaty i dostojny gospodarz zmarł w żebraczej odzieży i nie na łóżku w swoim domu, a w wygrzebanej w lesie jamie, powiedział doktor Niegłowicz słowami Abrahama do króla Sodomy: „Podnoszę ręce do Boga, Pana Najwyższego, który utwierdził niebo i ziemię, że z tego co posiadam ani nitki, ani rzemyka do sandałów nie wezmę”.

I te słowa wydały się ludziom sprawiedliwe.

Jeszcze tego samego dnia rozkopano miejsce, gdzie skonał stary; jedni spodziewali się znaleźć skarby, po które poszedł Otto Szulc, drudzy chcieli spełnić jego wolę i szczątki zabitego przez Szulca człowieka zamierzali przenieść na cmentarz. Tak czy owak, ani skarbów, ani żadnych szczątków ludzkich w tym miejscu nie było.

Na pogrzebie starego Szulca nabożną mowę wygłosił pastor Dawid Knothe, a po nim głos zabrał doktor Niegłowicz. On to oświadczył ludziom, że Otto zmarł w drodze

do Koryntu. Każdy bowiem człowiek jest tylko pielgrzymem na ziemi, wędrowcem na drodze do jakowegoś Koryntu, który leży daleko albo blisko, zależy, skąd się wyrusza.

O TRUDNEJ SZTUCE WYKRZYWIANIA TWARZY

Nazajutrz po pogrzebie zjawił się w wiosce Bruno Kriwka, ale już nie wózkiem konnym, tylko odrapanym samochodem, który prowadziła żona Kriwki, dobrze utuczona niewiasta, potakująca każdemu jego słowu, ponieważ brał na nią krzesło, jeśli tego nie czyniła. Zajechał Kriwka pod dom sołtysa Jonasza Wątrucha, szarpał gniewnie swoją czarną brodę i tak wykrzykiwał:

– Dlaczego pochowaliście Otto Szulca bez mojej wiedzy i mojej zgody? Należało stos drewna ułożyć i zwłoki spalić po bożemu. Albo dokonać państwowej kremacji. Cztery wieki dręczyli nas Kawalerowie Maltańscy, ostatnia wojna lud nasz wygubiła, ale nikt i nic nie było w stanie wytrzebić w nas obyczaju ciałałalenia. Po co i na co poszedł Szulc do jakiegoś Koryntu? Czy nie nauczono was, że i śmierć można oszukać, jeśli się tego bardzo pragnie? Lud nasz zaginiony przez wieki całe opierał swe bytowanie na ciągłym przechytrzeniu przeciwnika. Jak mówią baśnie i legendy, lud nawet diabła potrafi w pole wyprowadzić. Co jest cnotą, Jonaszu? Jeśli masz wroga, to się do niego uśmiechaj; jeśli masz przyjaciela, to go zdradź; przyjaciół wyprzysj się po trzykroć, a za dobroć odpłacaj niewdzięcznością. Mógł stary Szulc śmierć oszukać tak, jak to ja mam zamiar uczynić i żyć przez sto lat.

Zafrasował się Jonasz Wątruch i posłał po Erwina Kryszczaka, który zaraz przyszedł z półlitrowką, gdyż wiadomo było, że Kriwka lubi tego pić.

– Co do Kawalerów Maltańskich masz w zupełności rację – zgadzał się Erwin Kryszczak z Bruno Kriwką. – Księcia Reussa osobiście młotkiem zabiłem, kiedy już żołnierze pod jego pałac podchodzili, ale teraz ciągle go wspominam i za przykład stawiam. Wielka jest moja przebiegłość. Jednego jednak nie potrafię zrozumieć: jak możesz być przedstawicielem zaginionego ludu, jeśli lud jest zaginiony? Powiedz mi też, co się stało z twoim wrogiem Aronem Ziembą?

Pogładził swoją brodę Bruno Kriwka, chytrze przymrużył oczy i zgodnie ze swoim zwyczajem powiedział im zawile, aby go zrozumieli, ale nie do końca: – Jeśli lud jest zaginiony, to go ani zobaczyć, ani dotknąć nie można. Co najwyżej jego przedstawicieli. Zresztą nie lud kogokolwiek interesuje, tylko przedstawiciele. Aron Ziemia poszedł jeszcze wyżej niż ja. W stolicy mają go za takiego, co się zna na zaginionych sprawach,

a przede wszystkim na mojej osobie. Tedy on mnie zwalcza, a ja jego i żadnych obcych ludzi nam do tego nie potrzeba. Ludzie są „swoi” i ludzie są „obcy”. Swoi powinni zwalczać obcych albo się na nich krzywić. I to jest cała sprawa. O ludzie zaginionym trzeba mówić. Żałobną opaskę po nim nosić na rękawie. Czy to raz jeden na świecie było królestwo bez ziemi? Weźcie sobie na przykład naszego legendarnego Kłobuka. Czy on kiedyś stworzył coś dobrego? Jednemu ukradł, drugiemu zaniósł. I tak róbcie dla zbawienia swojej duszy. Oni mają diabła z rogami, a my stare ptaszysko, nie wiadomo nawet dokładnie, złe, czy dobre. To jest właśnie nasza chytryść. Nikt nie może wiedzieć, źli jesteśmy, czy dobrzy i za kim trzymamy. W przeszłość twarze obróćcie, w przeszłości jest odpowiedź na każde pytanie. Zawsze byliśmy za tymi i za tamtymi, jak kto sobie życzy, i jak kto woli. Najważniejsze to krzywić się połową twarzy, i uśmiechać tylko połową twarzy. Kto się bowiem całą twarzą krzywi albo całą twarzą uśmiecha, ten już się zdradza i otwiera dla innych. A chodzi o to, aby się zamykać, odgradzać, separować, wciąż trwać w żałobie po zaginionym ludzie. Taka jest sprawa, a kto jej nie rozumie, ten niczego nie rozumie. Ciebie, Jonaszu, jak umrzesz, na stosie drewek położymy i spalimy dawnym obyczajem. To samo zrobimy z Erwinem.

– Ja nie jestem tutejszy – powiedział Kryszczak. – Mój dziad z bardzo daleka pochodził i na służbę do Kawalerów Maltańskich został podstępnie zwabiony, za co księcia Reussa młotkiem zabiłem.

– Ja też nie jestem tutejszy – oświadczył Jonasz Wątruch. – Sprowadziliśmy się tutaj tuż przed zawieruchą wojenną ze stron zupełnie obcych. Ale zgadzam się z tobą, Bruno, że światem rządzi Szatan i oszustwo stało się cnotą. Tak prawdę mówiąc, wszyscy tutaj są obcy, bo skądś przybyli, a jeśli nawet i wojnę przetrwali, to są obcy względem siebie. Jeszcze gorzej jest z takimi, co, podobnie jak ja, mieli w domu portrety w dwóch różnych mundurach. Byli obcymi i zarazem swoimi, dlatego masz rację, Bruno, że lud nasz jest zaginiony. Ale spalić się nie pozwolę, tylko pochówek mam mieć chrześcijański, Chrystusowy. Nie wierzę także, aby śmierć można było oszukać i każdy musi kiedyś pójść do jakowegoś Koryntu.

– Na mnie też nie licz, Bruno – rzekł Kryszczak. – Choć rad bym i ja śmierć oszukać. Tak się do oszustwa przyzwyczaiłem, że nawet poszedłem na posterunek i przyznałem się do zabicia dwóch dziewcząt. Myślałem, że z tego jakąś korzyść mieć będę, ale nie miałem żadnej, gdyż mi nie uwierzyli.

Rozgniewał się na nich Bruno Kriwka, brodę czarną szarpał i mówił tak niewyraźnie, że go zrozumieć nie byli w stanie. Musiała więc żona Kriwki słowa jego tłumaczyć.

– Słuchajcie Bruna – mówiła do nich – bo on przez swoją ogromną przebiegłość

zajdzie daleko. U Bruna wszystko w głowie zostało pomieszane i to jest właśnie dobre. Nikt nie wie, o co mu chodzi, może nawet o koronę. Można być królem bez ziemi i królem bez ludu, skoro lud zaginął. Złotej korony zresztą mu nie potrzeba, nikt teraz ich tak łatwo nie rozdaje. Ale i korony bywają rozmaite, szczególnie, że jemu wszystko służy. Jest bardzo zadowolony, gdy go prześladują, bo z tego może być korona cierniowa. Gorzej się czuje, kiedy go chwala. Wtedy zaczyna się gniewać i petycje pisze do władz, żądając prześladowania. Najważniejsze bowiem, to się separować i odróżniać, krzywić tylko połową twarzy i połową twarzy uśmiechać. Ważne jest, aby nie mieć racji, gdyż w ostatnich czasach za dużo ludzi ma rację i przez to zwraca się uwagę tylko na tych, co żadnej racji nie mają. Nawet w stolicy wiedzą, że Bruno nie ma racji i to jest właśnie największa racja Bruna.

Kriwka wciąż srożył się na Wątrucha i Kryszczaka, parskął śliną, szarpał brodę. Zaciągnęła go więc żona do samochodu i powiozła w powrotną drogę, nie chciała bowiem, aby zabrał się do rękoczynów. Sołtys Jonasz Wątruch i także Erwin Kryszczak odetchnęli po jego wyjeździe, ale jednocześnie radzi byli, że odbył z nimi tę rozmowę. Zdumiewająca wydała im się przebiegłość Bruna Kriwki, a przede wszystkim dokonane przez niego odkrycie, że ten ma zawsze rację, kto nie ma racji.

Sołtys Jonasz Wątruch usiadł przed lustrem w domu i zaczął przed nim swoją twarz wykrzywiać i uśmiech na niej wydobywać połowicznie – wedle nauk Bruno Kriwki. Robił to długo i wytrwale, ale wciąż coś straszego przychodziło mu na pamięć. Wspominał, jak to pewnego dnia ubrano go w mundur wojskowy i wysłano hen, aż na Pustynię Libijską, na rozpalone słońcem bezkresne piaski. Ukryty za piaszczystą wydumą strzelał Wątruch z karabinu maszynowego i wielu zabił, zanim karabin maszynowy aż do czerwoności rozgrzał się od słońca i śmiertelnej pracy. Krzyż mu za to przypięli do piersi, ale nie minął tydzień i w ogromnej spiekocie bezbronny leżał na piasku pustyni, i nieprzytomny w narzeczcu Baudów prosił o łyk wody. I dano mu wody, bo ktoś tam znał to narzeczce. Potem znowu Wątrucha w inny mundur ubrano i kazano strzelać z karabinu maszynowego. Otrzymał także krzyż – inny, ale tak samo błyszczący złotem. Czyja to wina? Gdzie jest Bóg i czy spogląda z nieba na ludzi? Kto znajduje się bliżej człowieka – Bóg czy Szatan, i kto wejdzie do Królestwa Niebieskiego?

Siedział Jonasz Wątruch przed lustrem i stroił miny. Ale co się wykrzywił połową twarzy, to ta druga połowa stawała się jak martwa. Co się połową twarzy uśmiechnął – to ta druga połowa wydała mu się podobną do psiego pyska. Przeraził się sołtys Wątruch, że mógłby tak już na zawsze pozostać z połową twarzy ludzką, a połową twarzy zwierzęcą i zrezygnował ze strojenia min. Nie potrafił się uśmiechać całą twarzą, bo

za wiele spraw bolało go gdzieś bardzo głęboko. Nie umiał też krzywić się ani połową twarzy, ani całą twarzą. Gdy przyglądał się sobie w lustrze – widział surowość i powagę, a z oczu odbitych w zwierciadle spoglądała wiedza o Szatanie, który rządzi światem. Dlatego odsunął od siebie lustro i postanowił przed ludźmi obnosić prawdziwą twarz.

Erwin Kryszczak nawet nie próbował przeglądać się w lustrze. Cóż bowiem mógłby w nim ujrzeć? Pomarszczone i pożółkłe starcze oblicze z jednym tytko zębem sterczącym z dziąsła. Nie lubił podobnych widoków, podobnie jak obrzydliwą wydawała mu się prawda, która mogła istnieć poza tą, jaką uznawał. Nie zabił młotkiem księcia Reussa – on sam się zastrzelił w pałacowym parku. Ale przyjemniej było myśleć, że on, Erwin, to uczynił, ponieważ książe Reuss był Kawalerem Maltańskim. Trzech synów księcia Reussa zginęło kolejno podczas wielkiej burzy dziejowej – jeden, co latał w powietrzu, drugi, który pływał po morzach, i trzeci, co bił się na lądzie. Książe Reuss uratował Kryszczaka przed wojskiem, gdyż Erwin chorował w tym czasie na gruźlicę i pił psie sadło. Kazał książe Reuss Kryszczakowi nadzorować jeńców podbitych ludów, którzy pracować mieli w majątku księcia na miejsce tych, co ich wzięto do wojska. Erwin pilnował jeńców, był dla nich nawet niekiedy litościwy i gdy książe nie widział, dawał im lepiej jeść i nie zauważał, jak bardzo są leniwi. Czyja to wina, że wraz z coraz to nową wiadomością o śmierci kolejnego syna książe Reuss przestawał być panem miłym, wesołym i łaskawym? „Czy ty, Erwinie, wielka świnię – mówił gniewnie książe Reuss – rozumiesz choć, za jaką to sprawę giną moi synowie? Oni giną za Ideę, że zło, które tkwi w ludziach musi być zniszczone wraz z ludźmi, bo nie ma innej drogi dla zbudowania doskonałego społeczeństwa. Już raz w wielkiej bitwie zginęły setki Kawalerów Maltańskich i zburzona została ich potęga. Ale idei, Kryszczak, zabić nie można. Teraz znowu prawie cały świat obrócił się przeciw nam. Zginiemy, ale na tej ziemi będzie rósł już tylko kolczasty jałowiec. Przetrwa Idea, że zła nie można wygubić nie zabijając człowieka”. Potem książe Reuss zastrzelił się, a Erwina Kryszczaka z morza ognia i gorącego żelaza wyprowadził jeden z jeńców wojennych, niejaki Szczepan Łaryn, który z nienawiści do świata, otumaniony wojennym czadem, w jakiś czas później spalił kilka domów w Skiroławkach, za co go wtrącono do więzienia, gdzie kazał sobie wytatuować pięknego węża.

To wielka sztuka uśmiechać się tylko połową twarzy albo tylko połową twarzy wykrzywiać. Czy można to zrobić wobec Szczepana Łaryna? On pamięta twarz Kryszczaka, kiedy ten go poganiał batem, ale i czasem po kryjomu jeść dawał; ratując życie. Nie sprawdziły się słowa księcia Reussa, nie porośnie ziemia jałowcem. Kryszczak objął w Skiroławkach duże gospodarstwo, tak samo duże jak gospodarstwo

Otto Szulca. Potem podzielił je między synów i synowe, które czasem podszczypuje i podmacuje. Czy ktoś w ogóle zauważy, że stary dziad Erwin Kryszczak, uśmiecha się połową twarzy i krzywi tylko połówką pomarszczonej gęby? Teraz wielu mówi, że burza dziejowa, która przeszła nad światem, powstała z winy Kawalerów Maltańskich. Ale czy tylko sami Kawalerowie Maltańscy siedzieli w okopach, zapalali ogień na śniegach, pilnowali jeńców i podbite ludy Ile było lisów w Winnicy Pańskiej? Bruno Kriwka każe się uśmiechać połową twarzy i połową twarzy wykrzywiać. Bruno Kriwka nie ma racji, ale gdy wielu ludzi ma rację, to niekiedy zwycięża brak racji. Dlatego może tak rzadko mądrych ludzi pyta się o zdanie. Umarł Otto Szulc, który przypomniał, że człowiek jest pielgrzymem na ziemi. Co poczną ludzie bez takich nauk? Nikt nie oszuka śmierci – nawet Bruno Kriwka.

O RZECZACH, KTÓRE SĄ, CHOCIAŻ ICH NIE MA

Potężna wichura przez dwie doby harowała się z drzewami, wypróbując ich posłuszeństwo wyginania się i pokłonów, łamiąc ich wyniosłą dumę. Dla wielu drzew skończył się czas istnienia; w lesie leżały wyrwane z korzeniami świerki, nawet prastary dąb na polanie w młodniku nagle stęknął, a później z łoskotem gromu odpadło od niego grube ramię. Odtąd miał być tylko strzelistą kolumną podpierającą niebo i stało się dla wszystkich oczywiste, że już nigdy nie wypuści nowych konarów ani nie pokryje się liśćmi. Był jak ktoś, komu ręce opadły bezwładnie i czekać mógł jedynie na śmierć.

Nazajutrz po wichurze, w słoneczne popołudnie, leśniczy Turlej i stażysta Andrzej oglądali w lesie wyrządzone szkody i zastanawiali się, komu powierzyć czyszczenie dziesięcioletniego młodnika wokół starego dębu. O ludzi do takiej pracy nie było teraz łatwo, ponieważ nie skończyły się jeszcze wykopki. Przysiadł Turlej na zwalonym konarze, w odpowiedniej odległości od stażysty, który śmierzdział wędzonymi rybami mocniej niż zazwyczaj i zapatrzył się w młodnik, na rozpostarte wszędzie przezrocyste płachty pajęczyn. Zdawało się leśniczemu, że pod młodym świerczkiem dostrzeża Kłobuka i pomyślał, że to zły znak: za miesiąc albo za pół roku opuści go żona lub on zostawi żonę, gdyż od dłuższego czasu drzwi do jej sypialni pozostawały dla niego zamknięte. Stażysta zaś w tym cichym zakątku przypomniała się postać pięknej Luizy i pożałował, że pisarz Lubiński kazał mu się z nią spotkać w domku myśliwskim, zamiast właśnie tutaj, na zwalonym konarze u stóp prastarego dębu. Nie trzeba by tu było

wyprowadzić żadnych gorszących historii, ale po prostu posiedzieć, twarz wystawiwszy na chłodne promienie jesiennego słońca. Można by także porozmawiać z piękną Luizą – o czym, tego nie wiedział. Ale gdy umysł swój wysilił i bacznie rozejrzał się dookoła, był pewien, że napomknąłby Luizie o konieczności ścięcia potężnego dębu, który już chyba zupełnie usechł od wewnątrz, o czym świadczyły czarne otwory dziupli i wielkie huby sterczące na pniu jak balkony.

– Ten stary dąb należałoby obalić – odezwał się stażysta. – Mielibyśmy z niego dużo opału.

– Dąb? – zdziwił się Turlej. – O jakim dębie pan mówi, kolego?

– O tym, który tu obok rośnie. Jest duży i suchy. Zgubił ostatni konar. – Nie ma tutaj żadnego dębu – stanowczo oświadczył Turlej. – Mówię to jako pański zwierzchnik.

– Jest – stwierdził stażysta.

Powstał z konara, podszedł do ogromnej kolumny starego drzewa i w porowaty pień kilkakrotnie kopnął czubkiem swego gumofilca. Wiedział, że nie tylko leśniczy Turlej, ale i wszyscy robotnicy mają go za niedojdę, ponieważ gubi się w lesie. Tym razem nie da się jednak ośmieszyć. Nikt mu nie wmówi, że nie ma tu drzewa, które on widzi swoimi oczami, a nawet kopie gumofilcem.

– Niech pan w to drzewo walnie głową. Nawet parę razy – doradził mu Turlej. – Szkoda gumofilców. A tego dębu i tak nie ma, jak to panu powiedziałem.

– Nie ma? – zdumiał się stażysta.

Turlej wzruszył ramionami i rzekł z wyższością:

– Nie wystarczy, kolego, skończyć szkołę leśną, aby zostać leśniczym. Coś mi się zdaje, że do końca życia pozostanie pan tylko stażystą. Obląpanki z Luizą panu w głowie, ale życie, kolego, to nie literatura. Luiza zamknie przed panem drzwi do swego pokoju, a pan będzie widział to, czego nie ma.

– Dąb jest – upierał się pan Andrzej.

– Jeszcze raz powiadam, że tego drzewa nie ma. I tego musi się pan jeszcze nauczyć, kolego, że nie jest prawdą to, co pan widzi, ale to jest prawdą, co mówi panu zwierzchnik.

– To tego drzewa w ogóle nie ma? – zdumiał się stażysta. I aż pogłaskał chropawą korę, aby się upewnić, czy go wzrok nie myli.

– Przecież już raz oświadczyłem: nie ma. To znaczy nie ma tego dębu w naszych leśnych wykazach. A jak coś nie istnieje w wykazach, to tego nie ma także w lesie. A jeśli coś jest w tych wykazach, to musi być i w lesie. Niech pan na głowie staje, niech pan drzewo sadi, choćby wielkie jak ten dąb, a musi się zgadzać z wykazem.

– Co mnie obchodzą wykazy. Widzę dąb przed sobą, kopię go nogą, macam. Jest i koniec.

Nie ma.

– Jest.

– Niech mi to pan udowodni – zaproponował Turlej. – Nie wystarczy zobaczyć, głową uderzyć. Proszę bardzo, może pan sobie w to drzewo walić głową, ale opału pan z niego nie zrobi.

– Wezwiemy jutro kogoś z drwali, Jarosza albo Ziętka. Każemy dąb ściąć piłą motorową, potem połupać na szczapy opałowe.

– A kto zapłaci za robotę? – zapytał drwiąco Turlej. – Księgowa w nadleśnictwie rachunku za robotę nie podpisze. Bo nie można zapłacić za robotę, której nie wykonano. Albo zapłacić dwa razy za tę samą robotę. Nie ma tego dębu w wykazach, już to panu mówiłem. Ten dąb został ścięty jeszcze za mojego poprzednika, leśniczego Stemplewicza. Ludziom zapłacono za ścięcie i porąbanie na szczapy. Drewno wywieziono i z dymem ulotniło się przez komin.

Ale ten dąb tu jest! Stoi. Rośnie. Na środku polany – powtarzał stażysta. – Zrobię na ten temat raport do nadleśniczego Kociuby.

– Raport musi pójść drogą służbową – przypomniał mu Turlej. – A ja go wrzucę do kosza. Zresztą gdyby go nadleśniczy Kociuba do swoich rąk dostał, to też tak samo by zrobił. Do kosza! Do śmieci!

– Tego drzewa naprawdę tutaj nie ma? – upewniał się stażysta, z powrotem siadając na ułamym konarze.

– Nie ma. I jeśli pan kiedyś zostanie leśniczym młody człowieku, to przede wszystkim musi pan najpierw upewnić się, co w pańskim leśnictwie jest naprawdę, a czego naprawdę nie ma. Trzeba się nauczyć tak patrzeć, aby widzieć to co należy. A czego nie należy, nie trzeba widzieć. Nie tacy jak pan chcieli ten dąb ściąć i na opał go przerobić. I nic z tego nie wyszło. Czy pan wie, człowieku, że nadleśniczy Kociuba tak się kiedyś z powodu tego dębu rozgniewał, że przyjechał tu osobiście z piłą motorową w rękę i chciał dąb ściąć. Ale wtedy jeden z drwali zwrócił mu uwagę, że choć jest nadleśniczym, to nie ma uprawnień do posługiwania się piłą motorową, nie został w tej dziedzinie przeszkolony, nie posiada odpowiedniego papierka. A jak mu jedyna córeczka zachorowała i ozdrowiała, to o tym drzewie zupełnie zapomniał i niech mu pan nie przypomina, jeśli chce pan u nas nadal staż odbywać w spokoju. Co do mnie, to ani mnie ten dąb ziębi, ani grzeje, ponieważ nie ma go w wykazach.

Znowu wydało się Turlejowi, że pod młodym świerczkiem dostrzega przedziwnego

ptaka. Nie miał jednak co do tego żadnej pewności i dlatego zapytał stażystę:

– Widzi pan pod świerczkiem naszego Kłobuka?

– Gdzie? Tam? Pod świerczkiem? Nic nie widzę – oświadczył stażysta.

– No, proszę. Widzi pan to, czego nie ma, a tego co jest, pan nie widzi. Nie będzie z pana leśniczy.

– Nie dam sobie wmówić nieprawdy jak choroby – powiedział stażysta.

– O chorobie to lepiej nie wspominać – zaśmiał się Turlej. – Dąb jest własnością doktora. Jeśli pan zachoruje, do kogo pan pójdzie po lekarstwo i zdrowie?

– Fiu-fiu-fiu! – jak wilga zagwizdał stażysta. Teraz wszystko jest jasne. Boicie się doktora i na tym koniec.

– Nie o to chodzi, że ktoś się kogoś boi – powiedział łaskawe Turlej – Ale każde leśnictwo, kolego, ma swoje tajemnice. Bierze się leśnictwo razem z jego tajemnicami. Do naszych zaś tajemnic należy to drzewo na polanie. Stemplewicz był pijak i kiedy tutaj zrąb robiono, mieli ściąć i ten dąb, ponieważ już całkiem suchy się wydawał. Oszacowano, że będzie z niego czterdzieści metrów szczap opałowych. Kupił te szczapy nasz doktor, drzewo ścięto, połupano na szczapy, robotnicy dostali pieniądze. Ale tak wyszło, że dąb pozostał i dookoła niego młodnik posadzono. Potem Stemplewicz na inne nadleśnictwo przeniesiono, ja tu nastąpiłem, a wtedy już wokół dębu rósł trzyletni młodnik. Zastanawiałem się, w jaki sposób pozbyć się tego drzewa, myślał o tym nadleśniczy Kociuba, ale nic z tego nie wyszło. Mnie powiedziała księgowa, że dwa razy za tę samą robotę nie zapłaci, bo dębu nie ma w wykazach, a nawet udowodniono tam czarno na białym, że dąb został ścięty, połupany na szczapy i wywieziony. Nadleśniczemu zaś córka zachorowała i zaraz o tym dębie zapomniał.

– Rozumiem – uradował się pan Andrzej. – Od razu trzeba było tak do mnie powiedzieć, panie leśniczy. Teraz to i ja widzę, że nie ma tutaj żadnego dębu. Ani mnie ten dąb ziębi, ani grzeje, może tu stać do końca świata, skoro go nie ma w wykazach leśnych. Bo najważniejsze są wykazy, prawda?

– A tak – zgodził się z nim Turlej.

Patrzył stażysta na potężną kolumnę drzewa i powtarzał do siebie z wielkim zadowoleniem, jak człowiek, który raptem przeniknął wielką tajemnicę:

– To oczywiste, że go nie ma. Już dawno go ścięto, połupano na szczapy i wywieziono. Nie ma dębu i koniec. A kto go widzi, ten głupiec i do końca życia stażystą zostanie.

– Słusznie – zgodził się z nim Turlej. – Żaden tutejszy robotnik leśny, nawet gdyby mu pan zapłacił z własnej kieszeni, drzewa tego nie zetnie i na szczapy nie przerobi.

Bo a nuż przyjdzie mu pójść do doktora po zwolnienie lekarskie. A zresztą, gdyby teraz zwalić to potężne drzewo w młodnik, ile by się młodych drzew połamało? Nikt pana za to nie pochwali. Superaty narobiliłyśmy sobie, a ona jest tak samo szkodliwa, jak i braki. Dochodzenie by wszczęto, skąd u nas się wzięło tyle drewna opałowego.

– A pewnie, pewnie – gorliwie przytakiwał stażysta.

Potem obydwaj wstali z powalonego konara i ruszyli w dalszą drogę przez las. Na odchodnym stażysta jeszcze raz dotknął dłonią chropawej kory starego dębu, z zadowoleniem stwierdzając, że powoli, dzień po dniu, przenika do głębi najtajniejsze sprawy swego przyszłego zawodu. A kiedy już byli daleko od polanki, pan Andrzej był zupełnie pewien, że nie widział wielkiego drzewa na polanie, bo nie mogło istnieć coś, czego nie ma w wykazach, które są dokładnie robione i na najwyższym szczeblu zatwierdzane.

– Kłobuka też widziałem – polubownie powiedział do Turleja.

– No, proszę – pokiwał głową Turlej. – A już myślałem, że mi się tylko wydawało.

Po ich odejściu odwieczny Kłobuk wyszedł spod zielonych łap młodego świerka, wskoczył na leżący konar i, trzępiąc skrzydłami, wydał ze swego gardła przeraźliwy krzyk podobny do piania koguta. On też był kimś, kogo nie było, istotą niewidoczną w żadnych wykazach i spisach, jedną z wielu leśnych zagadek. Nawet Kłobuk nie znał wszystkich tajemnic lasu i mógł co najwyżej wskazać miejsce, gdzie przed wiekami poległa w walce gromadka wojowników, których dusze zabrały dzikie kobiety na koniach. Nie opodal legli panowie okryci żelazem – pochowano ich w podziemiach kościoła w Trumiejkach, a tutaj użyźniły ziemię jedynie ciała ich służalców i pomocników. W głębi lasu zielony mech pokrył napis na wielkim głazie, upamiętniającym chwilę, gdy Cesarz i Król zabił ogromnego rogarza, obok zaś położono później mniejszy kamień: „Tutaj aptekarz z Bart, Wilhelm Wiśniewsky, zabił wielkiego odyńca. Ilu jeńców wojennych zmarło przy budowie bunkrów w lesie nad strumieniem Dejwa? Ilu poległo żołnierzy w wiosce Koryntki? Ilu śmiałych żeglarzy zatonoło na jeziorze Baudy, a ile starych armat pochłonęły mokradła? Trzysta pięćdziesiąt lat ma stary dąb na polanie, wyniosły milczek, który Kłobukowi nie chce powiedzieć, kto i kiedy schował w jego dziupli pistolet owinięty w naoliwioną szmatkę. Pamięć Kłobuka jest jak głębokie jezioro, gdzie bezpowrotnie padają i nikną kamyki ludzkich czynów. Przyszłość zaś jawi się jako mgła okrywająca mokradła. Strach patrzeć na ową mgłę, ponieważ rysuje się w niej kształt zła, które człowiek sobie upodobał. Bo czyż nawet Pan Świata nie pożałował pewnego razu, że stworzył człowieka.

...Oto w trzęsącym się autobusie powraca do swojej wioski Antek Pasemko,

wypuszczony z braku dowodów winy. Klekocą niedomknięte drzwi w autobusie, w okna świeci południowe słońce, od jego blasku Antek mruży oczy i wygląda tak jakby uśmiechał się do swoich wspomnień. Dlatego Kłobuk znowu trzepoce skrzydłami i wydaje ze swego gardła jeszcze bardziej przeraźliwy krzyk.

O TYM, JAK ANTEK PASEMKO CHCIAŁ ZOSTAĆ OLBRZYMEM

Olbrzymem wydał się ludziom drobny i mały Antek Pasemko, kiedy popołudniową porą wysiadł z autobusu na przystanku w Skiroławkach. Tym, co jak zwykle siedzieli na ławeczce przed sklepem, hardo rzucił „dzień dobry”, a ponieważ odpowiedzi nie usłyszał, tedy na chwilę zatrzymał się, popatrzył na wszystkich razem i na każdego z osobna wzrokiem tak zimnym i szyderczym, że pospuszczali głowy i strach ich ogarnął. Ucieszył go ten ludzki strach, poczuł jak wypełnia go duma i niemal unosi ponad ziemię. Czy nie miał prawa do daniny z ludzkiego strachu, on, wielokrotny zabójca, któremu nikt, nawet najsprytniejsi ludzie z milicji nie potrafili dowieść zbrodni? Stary Kryszczak rozpłakałby się jak dziecko, kiedy znalazłby się w krzyżowym ogniu pytań albo w celi aresztu. To samo uczyniłby młody Galembka, cieśla Sewruk albo Szczepan Łaryn. Każdy by się załamał, wyznał swoje winy i pozwolił założyć pętlę na szyję. Każdy – ale nie on, Antek Pasemko, chłopak drobnej budowy, najtwardszy z twardych, największy z wielkich. Zresztą, czy któryś z siedzących na ławeczce zdolny był zabić tak, jak on to zrobił – okrutnie i bez wyrzutów sumienia? Nigdy już nie zasiądzie z tymi ludźmi na ławeczce przed sklepem, bo nie są godni jego towarzystwa. Może nawet nie są warci, ażeby żyć na świecie. Nic nie znaczy życie tchórza i karzełka, płaczka albo niedołężnego starca, dziewczyny obnoszącej swoje krągłości, aby wabić i potem odpychać, drażnić i budzić pożądanie. Ten jest tylko prawdziwym mężczyzną, kto zabić potrafi drugiego człowieka, tak samo jak się zabija kurczaka albo muchy, bzyzące na rozświetlonej słońcem ścianie obory. Byli w tej krainie przed laty mężczyźni odważni, Kawalerowie Maltańscy – budzili strach i trwogę, służalczość i pokorę. On, Antek Pasemko, jest do nich podobny jak krew z ich krwi. Posieje teraz w wiosce strach tak, jak się sieje burzę i wiatr, pokłonią mu się ludzkie głowy, on zaś wzniesie się ponad nimi jak potężny dąb, który wiatru się nie lęka.

Poszedł Antek Pasemko przez wieś krokiem powolnym i dumnie wyprostowany. A gdy napotkał jakąś niewiastę albo dziewczynę, na moment zatrzymywał się i patrzył

jej w oczy. A wówczas niewiasta albo dziewczyna bladła i to co miała w ręku – wiadro, konew albo torbę na zakupy – wypadło jej z ręki, drzeć zaczynała broda i krzyk strachu bulgotał w krtani. On zaś uśmiechał się drwiąco i szedł dalej, połykając ów strach i sycąc to, co w nim było głodne. Mężczyznom Antek Pasemko tylko harde spojrzenie rzucał i szedł dalej, nie dbając, czy kto odpowie na jego powitanie, czy też przemilczy je lub mruknie coś pod nosem.

Wszedł Antek do rodzinnego domu, krótkim „dzień dobry” powitał ojca i dwóch braci, skłonił się matce. W porze obiadu to było, kiedy Pasemkowa w jadalni zupę rozlewała do talerzy. Przyniosła też zaraz talerz Antka, obok talerza położyła łyżkę, nóż i widelec. „Prędszej, bo jestem głodny” powiedział do niej ostro, gdyż i w matce strach chciał wzbudzić, a poza tym był naprawdę głodny.

Najpierw od stołu wstał Gustaw Pasemko, wziął w ręce talerz z zupą i poszedł jeść przy stole w kuchni. Potem uczynił to samo jeden i drugi brat. Pozostał Antek sam przy wielkim stole w jadalni, przed swoim talerzem z zupą i sam na sam z matką swoją, Zofią. A ta usiadła naprzeciw niego, ale nie jadła, tylko patrzyła na Antka z ustami tak zaciśniętymi, że prawie ich wcale nie było widać. t ów strach ludzki, którym się Antek wypełnił, raptem z niego uleciał. A na jego miejscu pojawił się jego własny strach przed tą kobietą, wysoką i kościstą. Jeść mu się odechciało, odłożył łyżkę i odsunął od siebie talerz.

– Gdzie miałem powrócić, jak nie do matki – powiedział.

Chciał, żeby to było wyrzeczone dumnie, ale wypadło lękliwie i nie mógł powstrzymać łez.

Źle zrobiłeś, synu – surowo odrzekła Zofia Pasemkowa. – Skoro niewinny jesteś, to mogłeś pójść w świat.

– Boję się, matko, świata. Obcych ludzi się boję. Wszędzie mnie śledzić będą. Przy tobie chcę żyć.

Milczała Pasemkowa długą chwilę. Coś w niej płakało, a coś straszny gniew budziło.

– Zamieszkas w oborze z bydłem, tam, gdzie twój ojciec mieszkał, kiedy go z powodu Porowej z domu wyгнаłam. Nie kręć się przed oczami ojca i braci, aby któryś nie zatłukł cię siekierą albo nie zakłuł widłami. Zjedz obiad i idź do obory. Tam będę ci odtąd jedzenie przynosić.

Po tych słowach wstała od stołu, wzięła swój talerz i poszła do kuchni, aby spożyć obiad razem z mężem i dwoma synami. Antek zjadł swój posiłek ze ściśniętym gardłem, potem szybko przez podwórze przemknął się do obory, legł na zbitym z desek wyrku wyścielonym słomą. Przed wieczorem przyniosła mu matka kolację – kubek mleka i

kilka kromek chleba posmarowanych masłem oraz poduszkę i dwa koce. Podjadł sobie Antek i poczuł się zaraz senny. Tedy rozebrał się, ubranie starannie złożył i nakrył się kocami. Z początku trochę go raził smród gnoju, ale z czasem przywyknął do niego i rad był z samotności i ciszy jaka panowała w oborze, gdyż krowy pozostawały na noc na paśniku. Pomyślał z dumą o strachu, który swoim powrotem do wioski podniósł w ludzkich duszach, z niepokojem wspomniął o lęku, jaki w nim wzbudziły zaciśnięte mocno usta matki. Przypomniawszy sobie, jak to w listopadzie ubiegłego roku wziął do szoferki piegowatą dziewczynę, jak z nią rozmawiał wesoło, a ona podczas jazdy coraz bardziej odsłaniała przed nim swoje kolana. Ani myślał, żeby ją zabić. Cieszyła go i przyjemnie podniecała jej obecność przy nim, a gdy pokazała mu swoje uda, nabrzmiał mu członek tak jak teraz, na wspomnienie tamtej chwili. Sama mu zaproponowała, żeby w las gdzieś skręcili, więc o zmroku przemknął szybko przez Trumiejki i Skiroławki i zatrzymał się w miejscu dobrze znajomym. Poszli w las, on pierwszy, ona za nim, trzymali się w ciemnościach za ręce. Ale gdy zrzuciła z siebie kurtkę i położyła się na niej, nagle coś się z nim dziwnego stało. Najpierw przyszedł lęk, że jest zarażona, bo zbyt łatwo z pierwszym lepszym do lasu poszła. Gniew go ogarnął, że podczas jazdy tak się do niego uśmiechała, uda przed nim odsłaniała, wabiła ku sobie jak wiedźma. Nie wiedzieć czemu przed oczami pojawił mu się obraz zaciśniętych surowo ust matki i może dlatego z rozpiętego rozporka wyjął coś zwiotczałego, martwego, jakby kłuskę ciasta. Ukląkł między jej rozchylonymi nogami, a ona chwyciła go za członek ciepłą dłonią, ale zaraz puściła ze wstrętem. „Co ty? – rzekła kpiąco. Wówczas bluznęła na nią przekleństwami, chwycił za gardło i zaczął dusić z mściwą radością. „Nie będziesz ze mnie szydziła, nie będziesz się śmiała, ty dziwko obmierzła” – tak szeptał, dusząc ją, gniotąc kolanami i odczuwając przedziwną rozkosz, która mu znowu ożywiła jego męski narząd. Zmęczył się tym duszeniem, deptaniem, kopaniem leżącej, lecz przecież ulgi żadnej nie doznał. Rozgniewany chciał ją pozostawić w lesie i odjechać, przyszła mu jednak myśl rozkoszna i jeszcze bardziej podniecająca. Wrócił do samochodu, zabrał spod siedzenia butelkę po herbacie, odnalazł obnażone ciało dziewczyny, w ciemnościach wymacał jej szorstkie łono i wbił szyjkę butelki w krocze. „Masz dziwko, co chciałaś” – tak pomyślał i poczuł, że przenika go odrętwiająca rozkosz. I zaraz umysł miał przytomny i jasny. Zaciągnął dziewczynę do pobliskiego dołu po sadzonkach, wszystkie jej rzeczy tam przeniósł, zakrył suchymi liśćmi, gałęziami, nagarnął na ciało odrobinę ziemi. Butelkę wyjął z krocza i zabrał do samochodu. „Przyda się dla innej” – uśmiechał się ruszając w dalszą drogę. Po kilku kilometrach jazdy otworzył okno i butelkę wyrzucił do lasu, sam nie wiedział dlaczego. Odtąd jednak, ilekroć w

czychś rękach widział butelkę, odczuwał podniecenie i ogromną tęsknotę, aby ją wbić w dziewczęce krocze. I raz nawet, już w domu rodzinnym, zabrał pustą półlitrowkę do łóżka, ukrył ją pod pierzyną i potem w ciemnościach, słuchając z drugiego łóżka chrapania ojca i matki, które mu przypominało charczenie konającej, tak długo głąskał dłonią i pieścił szyjkę butelki, aż znowu ogarnęło go rozkoszne odretwienie. Nazajutrz ukrył tę butelkę na strychu domu i tylko od czasu do czasu brał do łóżka, bojąc się, że matka może ją kiedyś znaleźć w jego pościeli. „Jutro pójdę po tę butelkę i tutaj przyniosę” – postanowił, zasypiając w oborze.

Zbudził go nagły chłód. Nie miał na sobie koców i leżał nagi na słomie. Raczej domyślił się niż widział, że obok łóżka w oborze stoi matka i zaraz usłyszał świst bata. Ostre uderzenia rzemienia jak ogniem zaczęły mu ciało przypalać. Krzyczał i jęczał, czołgał się po całym łóżku. Rzemień bata wciąż świstał i raził jak prąd elektryczny. Matka biła w milczeniu, sapiąc z wysiłku, on już nie krzyczał, ale zęby zacisnął i tylko skowyczał. Chciał wyskoczyć z łóżka i uciec z obory, uderzenia bata przytrzymywały go jednak na miejscu, wciąż jak dżdżownica w ziemię tak starał się wcisnąć w słomę. Lecz bat spadał nieubłaganie na jego plecy, pośladki, na ręce i nogi, na dłonie, którymi twarz od razów osłaniał. Zdawać by się mogło, że bez trudu potrafiłby wyrwać matce biczyisko, ale nawet nie usiłował tego zrobić, jeno wciąż się czołgał po słomie i coraz ciszej skowyczał. Pod wpływem bólu coś zadziwiającego się z nim dzieć zaczęło. Wezbrał mu członek, naprężył się strasznie, a potem, mimo bólu, słodycz go ogarnęła. I zaraz znieruchomiał na słomie, niemal omdlał.

Zofia Pasemkowa opuściła bat ciężko oddychając, stała w ciemnościach nieruchomo, także zadziwiona tym, co się w niej działo. Od podbrzusza aż do piersi, szyi i głowy przenikała ją rozkosz tak wielka, jakiej nigdy od męskiego narządu nie doznała. Lubiła bić batem męża, lubiła bić batem swoich synów, aby ich karać za rozmaite przewinienia. Inne kobiety krzyczały na mężów i synów, robiły awantury, a ona biła batem, bo to jej przyjemność sprawiało. Ale żeby aż tak jak teraz rozkosz ogromna ją przeniknęła, to się jej nigdy nie zdarzyło. Przez chwilę strach się w niej obudził, że to jakaś szatańska i zła słodycz się w niej narodziła, ale zaraz pomyślała: „Ludzie go nie ukarali, tedy ja, matka, muszę to zrobić. Z poczucia sprawiedliwości bierze się we mnie owa przyjemność”

Zmęczona, na trzęsących się nogach wróciła do domu i bat odstawiła w róg sieni. Zaraz legła do łóżka obok swego męża, który nie zauważył jej krótkiej nieobecności i zasnęła tak mocno i smacznie jak nigdy dotąd.

Następnego dnia Antek usadowił się na ławeczce za stodołą i tam cały dzień przesiedział w samotności, wygrzewając się na słońcu. Matka przyniosła mu śniadanie,

dała obiad i kolację. Nocą na słomie w oborze dygotał Antek ze strachu, że matka znowu przyjdzie do niego z batem. Bał się, ale pragnął tej chwili. Pojękiwał ze strachu, ale chciał, aby przyszła.

Doczekał się jej dopiero na trzecią noc. Znowu biła go sapiąc z wysiłku i słuchając jak cicho jęczy, a ją od dołu aż po szyję i głowę słodycz wypełniała. I czuła wtedy Zofia Pasemkowa, że ze wszystkich swoich synów tego właśnie kocha najbardziej, ten jest z jej krwi i kości. A choć wiedziała o jego strasznych zbrodniach, pewna była, że go nie wyda, ale sama mu karę wymierzać będzie, ponieważ sprawiedliwości musi stać się zadość.

HONOR MĘŻCZYZNY

Powracając ze szkoły do leśniczówki Blesy pani Halinka Turlej zobaczyła na niebie niewielkie stadko odlatujących ku morzu łabędzi. Był to dla wszystkich mieszkańców Skiroławek nieomylny znak, że oto już na pewno nadeszła jesień, a wraz z nią minęło coś pięknego, co się dopiero za wiele miesięcy powtórzy. Halinka Turlej poczuła się raptem o rok starszą, a choć miała dopiero dwadzieścia pięć lat – kiedy to rzadko myśli się o przemijaniu czasu, bo nie znajduje się jeszcze siwego włosa na skroni ani żadnej zmarszczki, pod oczami – niespodziewanie uświadomiła sobie, że nawet gdy minie jesień i zima, nie czeka ją nic radosnego. I choć na wiosnę znowu przylecą łabędzie, ziemia i las wybuchną zielenią, jej życie pozostanie tak samo smutne i jałowe, pełne tych samych trosk i kłopotów. Za rok o tej samej porze znowu ujrzy odlatujące łabędzie, ale będzie miała wtedy dwadzieścia sześć lat, potem dwadzieścia siedem i dwadzieścia osiem, i tak do późnych lat, które przeżyje bez żadnej radości. Odleciały już wszystkie letnie ptaki, a wśród nich zapewne i mała jaskółka wychowana przez nią i malarza Porwasza – lecz nie przyniosła jej z nieba kropli szczęścia. Raz po raz zrywały się jesienne wichury, potem nadejdzie śnieg i mrozy – w szopie leśniczówki nie było jednak ani kawałka suchego drewna i w śnieżne zawieruchy będzie znowu musiała sama dźwigać z lasu oblodzone kłocze, łupać je siekierą z obłuzowanym styliskiem, aby mieć ciepło choćby w swoim małym pokoiku na piętrze. Obiecał jej mąż, leśniczy Turlej, że latem odkopie rury kanalizacyjne i wodociągowe, zabezpieczy je przed mrozem trocinami oraz szmatami. Nie zrobił tego, mimo że mu wciąż o tym przypominała. Zamarznie więc woda w rurach, trzeba będzie nosić wodę wiadrami ze studni na podwórku, załatwiać się nie w ciepłej ubikacji, ale w zawianej śniegiem

drewnianej szopce za stodołą. Dlatego pomna wieloletnich przykrych doświadczeń już przed tygodniem wysłała swego pięcioletniego synka do rodziców na Śląsk i myśląc teraz o nim, czuła się kukułką wychowującą swoje pisklę w obcym gnieździe. A czy spełniała się jako kobieta i kochanka, skoro, powołując się na ciągły brak drewna, nie chciała mężowi gotować obiadów, a na noc dwukrotnie przekręcała klucz w drzwiach swego pokoju? Czy spełniała się wreszcie jako pedagog, jeśli nie potrafiła w szkole wyplenić świerzbu u dzieci? A co gorsza, choćby przez dwie godziny uczyła w pierwszej klasie, że narysowana na tablicy literka nazywa się „t” w odpowiedzi słyszała nie „t” lecz „o” albo „z” lub „w” gdyż, jak to stwierdzili fachowcy z poradni psychologicznej, większość jej uczniów miała iloraz inteligencji poniżej normy intelektualnej w skali Wechslera i tak na dobrą sprawę niemal wszyscy jej uczniowie powinni się uczyć w szkołach specjalnych. Cóż z tego, że tak wysoką notę na zaocznych studiach otrzymała jej praca magisterska o tym, że ognisko przedszkole na wsi zrównuje start życiowy dzieci miejskich i wiejskich – jeśli ostatnio wciąż jej się trafiały w przedszkolu i w pierwszych klasach dzieci z ilorazem osiemdziesiąt, a nie dziewięćdziesiąt lub sto. Tylu mądrych i uczonych ludzi na świecie różne zachwycające wynalazki robiło, a przecież jakoś nie było słyhać, aby ktoś potrafił wynaleźć pigułkę lub zastrzyk, który pozwoliłby, na przykład, u kolejnych dzieci młodego Galembki, u Ziętków, Jaroszków albo Stasiaków, podnieść iloraz inteligencji. Stasiakowa mówiła „hrum-brum-brum”, jej dzieci także mówiły „hrum-brum-brum”. Pani Halinka umiała odróżnić jedno „hrum-brum-brum” od innego „hrum-brum-brum”, bo jedno wyrażało zadowolenie, a drugie niezadowolenie. Ale nie był w stanie tego pojąć wizytator z kuratorium i skrzyczał ją za owo „hrum-brum-brum”, twierdząc, że inne dzieci w klasie zarażają się od tamtych dziwną mową i wszystkie zaczynają „hrum-brum-brumać”, czyli tamte powinny zostać odizolowane w specjalnych szkołach w mieście. A czy było winą pani Halinki, że na wysłanie dzieci do szkoły specjalnej trzeba zgody rodziców, a Stasiakowa nie wyrażała takiej zgody, ponieważ, jak twierdziła, tak kocha swoje dzieci, że się z nimi rozstać nie potrafi, a także, że za dzieci w szkole specjalnej trzeba coś zapłacić, piżamę i ubranie kupić, w Skiroławkach zaś uczą się za darmo i mają blisko do szkoły. „Hrum-brum-brum” Stasiakowej brzmiało zdecydowanie i odmownie, tedy w klasach musiało być nadal tak jak było, coraz więcej dzieci mówiło „hrum-brum-brum”, bo im się to bardziej podobało od ludzkiej mowy. W rezultacie tak dzieci zdolniejsze jak i mniej zdolne niewiele się od siebie odróżniały. „Hrum-brum-brum” powoli zwyciężało w całej szkole, we wszystkich klasach. Zaiste, być może miał rację pisarz Lubiński, który przybył do Skiroławek wierząc, że u ludzi prostych znajdzie odwieczne prawdy i nauki

moralne, ale gdy wzgardzoną została przez prosty lud jego szlachetna idea budowy wiaty, głosić zaczął, że w dobie, gdy każdy ma szeroki dostęp do nauki i do coraz wyższych kwalifikacji, człowiek prosty to taki osobnik, który ma iloraz inteligencji osiemdziesiąt. Uczyć się u niego praw odwiecznych albo nauk moralnych, to jest to samo, co żądać od konia, aby rozwiązał równanie z dwiema niewiadomymi. A kiedy nie szła mu praca nad powieścią zbójczą, miał kartki i rzucając je po kątach swojej pracowni głosił pani Basieńce, że i tak nie warto nic dobrego pisać, ponieważ wkrótce nie tylko w szkole i w sklepie w Skirolawkach, ale na całym świecie rozlegać się będzie samo „hrum-brum-brum”, a on w tej dziwnej mowie tworzyć nie potrafi. Zupełnie zaś stracił Lubiński serce do prostego ludu, gdy w chwili dobrego humoru zarazić chciał cieślę Sewruka swoją miłością do „Pism semantycznych” Gottloba Frege i kilka stron z tej książki mu przeczytał. Cieśla zaś z wielkim uznaniem odniósłszy się do wywodów zawartych w książce, powiedział, że przypominają mu owe „hrum-brum-brum” Stasiakowej, tyle że wypowiedziane w innej mowie. On, cieśla Sewruk bardziej rozumie „hrum-brum-brum” Stasiakowej niż „hrum-brum-brum” Gottloba Frege.

Zatrzymała się w drodze do lasu pani Halinka, popatrzała na odlatujące łabędzie, łyzy zakręciły się jej w oczach i poprzez nie, jak drobnutkie szkiełka, łabędzie stały się niknącymi za horyzontem białymi smużkami. A gdy wierzchem dłoni otarła łyzy z oczu, ujrzała, że znajduje się w pobliżu domu malarza Porwasza, który – mimo że dzień był pochmurny i chłodny – rozebrany do pasa, mył na podwórku swój stary samochód.

– Hej! Hej! – słabym głosem zawołała ku niemu.

– Hej! Hej! – odpowiedział głośno malarz i radośnie pomachał ręką. Poszła dalej pani Halinka, minęła dom Porwasza, ale o sto lub dwieście kroków dalej coś ją tknęło, stanęła raptownie, obejrzała się za siebie i poprzez łyzy, które znowu napłynęły do jej oczu, i stały się podobne do drobin szkła, w oddali zobaczyła Porwasza – to malutkiego, to dużego, to kurczącego się, to znowu wydłużającego się, lecz wciąż tego samego, z którym wyhodowała jaskółkę. „Kocham go” – pomyślała. Pragnęła, aby ta myśl przeraziła ją w jakiś sposób, zmusiła do dalszego marszu, do ucieczki w kierunku domu. Zamiast strachu jednak poczuła w sobie wielką błogość a nawet radość. Znowu otarła łyzy wierzchem dłoni i przez długą chwilę miłośnie patrzyła na malarza uwijającego się przy samochodzie. Chciała być z nim lub obok niego, pogłaskać go po zmierzwiionych włosach na głowie, przesunąć palcami po brzuchu wkleśniętym od ciągłego niedojadania. „Przez cały rok, biedaczek chodzi w tej samej brudnej czarnej koszuli – pomyślała o nim z tkliwością. – Nadchodzi zima, a on nie ma ani kawałka suchego drewnianka i będzie mu zimno”. I zdumiała się, że to, co złości i irytuje ją

u męża, Turleja, budzi w niej tliwość i miłość do Porwasza. Jakże przewrotnym uczuciem była więc owa miłość – tylekroć opisywana przez różnych ludzi, a przecież wciąż dla każdego człowieka kryjąca jakąś zagadkę i tajemnicę. „Kocham go” – sześć lat temu w ten sposób pomyślała o Turleju i była pełna tliwości, spoglądając na jego brudne, znoszone koszule, miłując jego marzycielstwo i niezaradność. Zaraz po ślubie, bez skargi dźwigała do leśniczówki oblodzone kłody drewna, które łupała siekierą z obluzowanym styliskiem. Czemu więc przestała go kochać i raptem pokochała człowieka pod pewnymi względami tak podobnego do tamtego? Którego roku, miesiąca, tygodnia, a także o której godzinie, przestała kochać Turleja, a zaczęła kochać Porwasza? Może zresztą był to proces długotrwały, powolny, trwający miesiącami, tygodniami, jak drażnienie kamienia – kropla po kropli. I kogo o to zapytać, od kogo usłyszeć odpowiedź?

Wsparła się pani Halinka plecami o brzozę rosnącą na poboczu drogi i wspominać zaczęła swoje życie z leśniczym Turlejem – rok po roku, miesiąc w miesiącu. Najpierw, jak sobie przypominała, było przypadkowe spotkanie grupy wędrujących harcerek – licealistek z samotnym młodym leśniczym, który udzielił im gościny w swojej ogromnej stodole. Wszystkim dziewczętom wydał się on tajemniczym niby głębie przepastnego lasu. Zazdrościły Halince koleżanki, że na nią jedną zwrócił uwagę i potem listy do niej pisywał – porywające i romantyczne jakby głos z matecznika leśnego. Dla Halinki pachniały te listy leśnym igliwem, budziły przedziwne tęsknoty i nadzieje. Aż zrobiwszy maturę (choć jej rodzice uczyć się dalej doradzali) na skrzydłach owych tęsknot i nadziei ku owej samotnej leśniczówce poszybowała. Wzięła ślub z inżynierem Turlejem, oskrobała łuszczące się starą farbą ściany mieszkania, wymalowała pokoje, umyła okna, drzwi i podłogi, a nic jej nie było za ciężkie, nic się nie wydawało ponad dziewczęce siły. Ani to nawet nie było złe, że jej nie pomagał gotować dom do małżeńskiego życia, tylko szedł ze strzelbą do lasu. Jesienią i zimą dźwigała oblodzone kłody, byle grzać się przy ogniu w piecu i ogniu miłości. Prała mu koszule, namawiała męża do częstszej zmiany podkoszulków i kalesonów. Turlej wciąż pachniał dla niej leśnym igliwem i wabił tajemną głębią leśnych mateczników. Urodziła mu po roku niewielkiego chłopca i tu chyba, w tym to czasie, pewna niedogodność się okazała. Dziecku trzeba było prać pieluchy, a woda zamarzła w kranach i kanalizacja przestała działać. Trudniej też było pani Halince dźwigać z lasu oblodzone kłody, rąbać je siekierą z obluzowanym styliskiem. Tak, to chyba wtedy zaczęły się pierwsze niesnaski, bo co innego grzać się przy ogniu miłości, a co innego ogrzać małe dziecko. Naonczas zabrakło nauczycielki w Skiroławkach, a że pani Halinka była w wiosce jedyną kobietą z maturą i chętną do nauczania dzieci, przyjęto ją do pracy w szkole, pod warunkiem, że

na studia zaoczne pójdzie – co się też stało. Wtedy to po raz pierwszy dziecko odwiozła do matki na Śląsk. Studiowała cztery lata, magisterski egzamin złożyła, kierowniczką szkoły została. Dziecko jedynie na lato do leśniczówki zabierała, choć to miało być zawsze po raz ostatni, ponieważ Turlej obiecywał, że przed zimą dużo nagromadzi suchych drewek, rury wodociągowe i kanalizacyjne starannie trocinami opatrzy. Nigdy jednak obietnicy nie dotrzymał – jak choćby i tej jesieni. Inna kobieta może by się do tego przyzwyczaiła, bo nie bił jej leśniczy Turlej, nie pił wódki, nie palił papierosów, za dziewczynami się nie uganiał i na ogół prawie całą wypłatę do domu przynosił. Ale nie tylko suchych drewek i opatrzenia rur wodociągowych pani Halinka od Turleja oczekiwała. Czegoś więcej pragnęła, a właściwie to nawet nie drewek i rur trocinami opatrzonych, a właśnie czegoś innego. Tylko że sama nie wiedziała na czym jej tak bardzo zależy. Tymczasem noc w noc Turlej kładł się na niej, wykonywał kilkadziesiąt ruchów ani przyjemnych, ani przykrych dla pani Halinki, i zaraz zasypiał, cichuteńko pochrapując. Jej zaś po tych jego czynnościach z czasem coraz trudniej było zasnąć i myślą powracała do domu rodzinnego, gdzie w łazience była stara armatura, która jej przedziwną rozkosz dawała. Chciała podobną kupić, ale już takich nie produkowano. Ostatnią z tych starych widywała tylko w łazience u Porwasza. Tedy tak się stało, że w miarę upływu miesięcy i tygodni jej mąż, Turlej, zaczął się jej kojarzyć z czymś nieprzyjemnym, a malarz Porwasz z czymś przyjemnym. Leśniczy Turlej pachniał igliwem i stawał się ten zapach przykrym, a Porwasz werniksem i olejem lnianym – i stał się ten zapach przyjemnym. Nawet zielony kolor munduru leśnika znienawidziła, a czarny polubiła, gdyż w czarnych koszulach chadzał Porwasz. Nie śpiąc i słuchając cichego pochrapywania Turleja obmyśliła sobie, że skoro on lubi wykonywać co noc kilkadziesiąt posuwistych ruchów, a jej to nie jest ani przykre, ani przyjemne, a właściwie staje się coraz bardziej przykre, nie stanie się nic złego, jeśli za owe posuwiste ruchy drewniek jej przyniesie, w piecu kuchennym napali. Do pokoju na górę się przeniosła, klucz do zamka w drzwiach dorobiła i przy swoich żądaniach obstawała. Rok to trwało, a może dwa lata – któż to liczył, któż to zapisywał? Z początku nosił Turlej drewnka na opał i drzwi zastawał otwarte, potem nosić zaprzestał i drzwi były zamknięte. Aż do niej w gniewie powiedział: „Jesteś jak kurwa, co tyłkiem handluje”. Pomyślała, że ma rację i wstyd się jej zrobiło. Odtąd już zawsze klucz w zamku dwa razy przekręcała i sama sobie drewnka na opał nosiła, kłody oblodzone z lasu wlokła, a posuwistych ruchów męża nie chciała znosić, gdyż nad wyraz przykre jej się wydawały. I tak oto sama nie wiedziała, jak i kiedy miłość gorąca w niej ostygła, potem zaś w kawałek lodu się zamieniła i cokolwiek powiedział Turlej, to jej się głupie wydawało...

Obrzydliwy dla niej nawet stał się jego zwyczaj głośnego picia herbaty i to jak siadał, jak chodził, jak się uśmiechał, jak się gniewał. A że pomysłowość kobieca zdaje się nie mieć granic, od czasu do czasu psuła hydrofor w leśniczówce i szła się kąpać do domu Porwasza, żądając od męża, aby jej w drodze towarzyszył, iżby ją Porwasz w łazience nie napastował albo nieprzyzwoitych propozycji nie czynił. Turlej siadał w pracowni malarza i o trzcinach nad jeziorem z nim rozmawiał, pani Halinka kąpała się, a potem przez trzy albo i cztery dni była wesolutka, głos jej dźwięczał po wiosce jak szkolny dzwoneczek. W końcu już nawet bez Turleja chodziła się niekiedy kąpać do Porwasza – który nigdy jej zresztą nie napastował ani nieprzyzwoitych propozycji nie czynił, może dlatego, że w tym czasie zaczął dosiadać szerokiego zadu żony gajowego Widłaga. Zła była pani Halinka na Porwasza o tę sprawę, a kiedy razem hodowali jaskółkę, robiła mu na ten temat złośliwe uwagi, tym złośliwsze, że tyłeczek miała mały, malutki jak u chłopca, inny niż u Widłagowej. Ale przecież Porwasza ani na chwilę lubić nie przestała, a nocami myślała, że mogłaby mu pozwolić na posuwiste ruchy, nawet gdyby to jej ani przykrości, ani przyjemności nie sprawiało, ponieważ był malarzem Porwaszem, a nie Turlejem; pachniał nie igliwem, ale werniksem i olejem lnianym. Pod innymi bowiem względami, jak to wiemy, byli podobni, jeśli nie identyczni. Może więc miał rację doktor Niegłowicz twierdząc, że miłość nie jest jednym uczuciem, ale całym ich zespołem, w którym w różnych okresach raz jedno uczucie, a innym razem drugie lub trzecie bierze górę i główny ton całości nadaje. Ciekawe byłoby zobaczyć, z jakich elementów składał się zespół uczuć, który ogarnął Halinkę, gdy poznała Turleja i co się potem z owymi elementami działo, jakie przechodziły przeobrażenia, jaką barwę i tonację traciły, a jaką zyskiwały.

„Oszukałeś mnie – mówiła Halinka w chwilach gniewu do swego męża.

– Obiecywałeś mi chwile szczęścia w samotnej leśniczówce wśród dzikich i przepastnych borów, a ja oblodzone kłody dźwigam i las zaczęłam nienawidzić. Tajemnice leśne miałeś mi zdradzać, a ja tymczasem piore twoje brudne koszule i wody mi do prania brakuje, ponieważ rur nie zabezpieczyłeś na zimę”. Frasował się Turlej tymi oskarżeniami, las i dawnych przyjaciół brał na świadków, że nie zmienił się ani odrobinę. „Nigdy, Halinko, drewek na opał nie miałem – przypominał żonie. – Narzeczoną moją będąc, też kłody oblodzone dźwigałaś, rury miałem zamarzniete, a przecież mnie kochałaś. Nie obiecywałem, że się innym stanę, ale że tajemnice lasu będę ci zdradzał. Tylko że tych tajemnic ty teraz nie chcesz słuchać”. Miał rację, wiedziała to pani Halinka i bardzo się tymi słowami martwiła. Bo czy w rzeczy samej z powodu jakiejś tam głupiej starej armatury łazienkowej kochać go przestała, z roku na

rok, z miesiąca na miesiąc? Do jakich uczuć zaliczyć jej stosunek do starej armatury – byłoby owo uczucie tą dominantą, która barwę ich miłości odebrała? Zbyt wulgarnym i prostackim takie wyjaśnienie jej się zdało i dlatego je od siebie odrzuciła. A że w ciągu tych lat wyższe studia ukończyła, tedy, pomyślawszy nieco dłużej i wnikliwiej, tak sobie powiedziała: „Pierwszą miesięczkę miałam później niż inne dziewczęta, bo w szesnastym roku życia. Niedojrzałą panienkę wziął sobie Turlej za żonę, dziecko urodziłam, kobietą się stałam, studia wyższe ukończyłam. On pozostał tym samym mężczyzną, a ja z dziewczyny stałam się kobietą i matką. Póki dziecka nie miałam – tkliwość budził jak mała dziecina, kłody oblodzone mu do domu dźwigałam, połam i karmiłam, grzałam przy piecu. Macierzyństwo mnie odmieniło. Urodziłam i nie chcę mieć dalej w domu dwojga dzieci, tylko dziecko i mężczyznę. Nie jest Turlej mężczyzną, bo przyniósłby kobiecie kłodę drewna, porąbał ją siekierą, ognisko domowe rozpałił, rury przed zimą okrył, kobiecie zadowolenie sprawił”. Ale czy był mężczyzną malarz Porwasz w takim sensie, jak to określała? Czy miał drewna na opał, ogień w domu rozpałił, rury mu zimą nie zamarzały? Nie, po trzykroć nie. Tyle tylko, że w jego łazience znajdowała się stara armatura i myśląc o niej, nie można było nie myśleć jakoś milej także o samym Porwaszu. I tak oto pani Halinka powracała znowu do owej wulgarniej i dziwnie upokarzającej sprawy, której chyba z uczuciem tak wzniosłym jak miłość łączyć nie należało. Bo jeśli w rzeczy samej owa sprawa okazywała się najważniejszą, jakże to upokarzające dla kobiety – i ona, Halinka, już raczej przy Turleju pozostanie nieszczęśliwa, niż szczęśliwa z Porwaszem.

Tak postanawiając westchnęła i wolno, ciężkim krokiem ruszyła w stronę leśniczówki. W kuchni zastała Turleja, który siedział przy stole i czytał gazetę. Pod kuchnią buzował ogień, a obok pieca leżał stos suchych i drobno porąbanych drewniek. W kącie kuchni stały trzy duże worki pełne trocin do okrycia rur wodociągowych i kanalizacyjnych.

– Kocham cię, Halinko – powiedział Turlej do swej żony. – Dlatego drewek trochę narąbałem, w piecu napaliłem i postanowiłem okryć rury przed mrozem. Wiem, że dziś pokoju swojego na noc nie zamkniesz, a ja przyjdę do ciebie i zdradzę ci wielką tajemnicę lasu. O zagadkowym kamieniu ci opowiem, o miejscu, gdzie nic rosnąć nie chce, a takie o dębie doktora.

Popatrzyła pani Halinka na ogień buzujący pod płytą kuchenną, na drewna koło pieca, na worki z trocinami, a potem – wybuchnęła płaczem. A że w istocie chyba w tych latach naprawdę kobietą się stała, tedy poszła na górę, szybko spakowała swoje rzeczy do starej walizki i z tą walizką opuściła leśniczówkę. – Dokąd odchodzisz,

Halinko? – zapytał ją Turlej.

– Do Porwasza odchodzę i to na zawsze – oświadczyła mężowi. – Trzy razy mówiłam mi o zagadkowym kamieniu, dwa razy o miejscu, gdzie nic nie chce rosnąć i chyba trzy razy o dębim doktora. Las jest zawsze taki sam. Co innego płótno malarskie. Nigdy nie wiadomo, co na nim powstanie, choćby się tylko same trzciny nad jeziorem malowało. Odchodzę więc do Porwasza, a ty sobie znajdź inną kobietę.

– A dziecko? Nasz synek? – zapytał Turlej.

– Dziecko natychmiast sprowadzę od rodziców, jak tylko załatwię pełną szopę drewna dla Porwasza i rury w jego domu zabezpieczę przed mrozem. Z dzieckiem będziesz się mógł widywać raz na tydzień, w niedzielę. A to ci powiem, że do Porwasza nie możesz mieć pretensji, tylko do mnie. Bo to mnie znudził się las, a spodobały się trzciny nad jeziorem.

Nic nie rzekł na to leśniczy Turlej, gdyż nie potrafił uwierzyć w jej słowa. W milczeniu patrzył, jak podjęła z ziemi ciężką walizkę i ruszyła z nią w drogę do domu Porwasza. Zdawało mu się, że śni na jawie albo że są to obrazy z czyjś opowiadania, z historii, jaka się nie jemu, ale komuś innemu przydarzyła.

Był zresztą dobrym leśniczym i dobrym mężem, nie pił, nie palił, kochał swoją żonę i pozostawał jej wiernym. Kłócili się ze sobą, owszem, zamykała drzwi przed nim, owszem, stawiała mu rozmaite warunki i ciągle słyszał jej utyskiwania, owszem. Ale tak samo albo jeszcze gorzej żyło wiele innych małżeństw. Jego związek nie był ani lepszy, ani gorszy niż innych, a może nawet lepszy, ponieważ nie pił i nie palił, a także nie zdradzał swojej żony. Być może odeszła, ale to był tylko żart, jeszcze jeden wymyślony sposób, aby go zmusić do napełniania szopy drewnem albo do okrycia rur przed mrozem.

Poczuł głód. Usmażył sobie jajecznicę z ośmiu jaj, zagryzł ją trzema grubymi kromkami chleba. W marzeniu widział siebie, leśniczego Turleja, jak samotnie gospodarzy w leśniczówce Blesy, bez wiecznych utyskiwań żony, bez jej wymówek i pogroźek. I nawet odczuł coś w rodzaju wielkiej ulgi a potem pomyślał: „Wkrótce do mnie wróci, bo gdzie znajdzie tak wspaniałego jak ja mężczyznę?”. Już zamierzał położyć się spać, aby po północy zerwać się i ruszyć do lasu na rykowisko, ale nagle uświadomił sobie, że odejście żony nie jest sprawą błahą i może pozostawić plamę na jego męskim honorze. Wyjął więc z szafy swoją nadłufkę, zarzucił ją na ramię i dziarskim krokiem pomaszerował w stronę domu Porwasza. A że w tym właśnie czasie naprzeciw domu malarza cieśla Sewruk z synami oraz Szczepan Łaryn z córkami zbierali ziemniaki za traktorową kopaczką i widzieli panią Halinkę, znikającą z walizkami w

domu Porwasza, a potem zauważyli leśniczego Turleja ze strzelbą na ramieniu, zaraz domyślili się, że sprawa honorowa za chwilę się przed ich oczami rozegra – zatrzymali więc traktor i z bezpiecznego oddalenia przyglądali się wszystkiemu.

Leśniczy Turlej stanął przed domem Porwasza, naładował strzelbę i wystrzelił w górę, a potem krzyknął gromko:

– Malarzu, oddaj mi żonę!

Porwasz wyszedł ze swoją strzelbą na wąski balkonik, który miał na piętrze swego dachowca. Wystrzelił w górę z dubeltówki i odkrzyknął:

– Nie oddam ci żony, leśniku!

Turlej powtórnie załadował broń i znowu strzelił w górę. Tak samo uczynił malarz Porwasz ze swego balkonu. Wówczas leśniczy załadował broń po raz trzeci i strzelił w górę. Trzeci raz także oddał strzał malarz Porwasz. Chciał Turlej wystrzelić po raz czwarty, ale jak wielu bezwolnych marzycieli nie zwracał uwagi na drobiazgi i dlatego nie zabrał ze sobą więcej naboju. Zarzucił wtedy broń na ramię i dziarskim krokiem odszedł do leśniczówki. Porwasz zaś zniknął w swoim mieszkaniu.

Cieśla Sewruk z lubością wdychał w piersi powietrze przesycone zapachem spalonego prochu. Wreszcie oświadczył synom i Łarynowi:

– Honorowy człowiek z naszego leśniczego.

A Szczepan Łaryn, który zawsze był innego zdania niż Sewruk, stwierdził zdecydowanie:

– Z pana Porwasza także człowiek honorowy.

– Nie tak honorowy jak leśniczy Turlej – odrzekł cieśla Sewruk. – Pan Turlej strzelał z dołu, a tamten z balkonu.

Zachichotał Szczepan Łaryn:

– A jakże mógł zejść na dół, skoro był w kalesonach? Może właśnie na pani Halince sobie leżał, kiedy się Turlej pojawił.

– Tak, ojciec, pan Porwasz był w kalesonach – przyświadczyli synowie Sewruka.

Pomyślał dłuższą chwilę cieśla Sewruk, a potem rzekł:

– Obydwaj byli honorowi. Bardzo honorowi.

I jeszcze tego samego dnia w całej wiosce wiedziano, że pani Halinka odeszła od leśniczego Turleja i przeprowadziła się do domu malarza Porwasza. Ani Turlej jednak, ani Porwasz nie odnieśli w tej sprawie żadnego szwanku na honorze, jako że wszystko między sobą załatwili po męsku, odgłos strzałów słyszano nawet w najdalszej zagrodzie.

Nazajutrz wieść o wydarzeniu w Skiroławkach zaniósła proboszczowi Mizererze pewna bogobojna niewiasta. A że było to w porze obiadu, Mizerera posadził ową niewiastę przy swoim stole, aby widziała, że proboszcz w Trumiejkach jada tłusto i godnie.

– Powiadacie, dobra kobieto, że pani Halinka odeszła od leśniczego Turleja – rozważał proboszcz podnosząc do ust łyżkę z rosółem. – No cóż, nie mieli ze sobą ślubu kościelnego, czyli pozostawali w grzesznym związku. Opuściła więc pani Halinka jeden grzeszny związek i weszła w drugi grzeszny związek, co się wyklada, moja kobieto, że nic się właściwie nie zmieniło. Jedno mnie tylko niepokoi: czy po męsku załatwili między sobą tę sprawę?

– Oj, po męsku, bardzo po męsku – powiedziała bogobojna niewiasta. – Trzy razy wystrzelił leśniczy Turlej i trzy razy wystrzelił malarz Porwasz.

Uśmiechnął się wyrozumiale proboszcz Mizerera:

– Założę się, że Turlej strzelał kulami, a Porwasz, ten skąpiec i dusigrosz, użył śrutu, zamiast palnąć z breneki. Bo trzeba wam wiedzieć, zacna kobieto, że breneka jest droższa od naboju śrutowego i trudniej ją nabyć w sklepie łowieckim. Tak, tak, jestem pewien, że Turlej strzelał kulami, a Porwasz śrutem, gdyż Turlej jest człowiekiem szczodrym, w przeciwieństwie do malarza Porwasza...

W tym samym czasie sierżant sztabowy Korejwo znalazł na swoim biurku notatkę sporządzoną przez plutonowego Traszkę, który dopiero co ukończył podoficerską szkołę milicyjną i rozpoczął pracę na posterunku w Trumiejkach. Z notatki owej wynikało, że w dniu wczorajszym w godzinach popołudniowych, z powodu kobiety, leśniczy Turlej i malarz Porwasz strzelali do siebie z broni myśliwskiej. Tedy Korejwo wezwał przed swe oblicze plutonowego i tak do niego przemówił:

– Czy wam, plutonowy Traszka, wydaje się, że trafiliście do pracy na Dzikim Zachodzie, czy też do gminy Trumiejki, która jest znana z ładu i porządku publicznego? Mamy u nas koło myśliwskie, które pod rządami łowczego, proboszcza Mizerery, osiągnęło wiele sukcesów: wzrosło pogłowie zwierzyny płowej oraz kuropatw i bażantów. Nasi myśliwi toczą walkę ze szkodnikami i niekiedy zdarza się im oddawać w tym celu po kilka strzałów. Być może, gdy ci dwaj myśliwi strzelali w górę, tam w górze latał myszołów?

– Myszołowy są pod ochroną – stwierdził plutonowy Traszka.

– Słusznie, plutonowy Traszka. Myszolówów nie wolno zabijać, natomiast można strzelać w ich kierunku w celu odstraszenia. Tak też zapewne uczynili panowie Turlej i Porwasz. A teraz pozwalam się wam odmeldować i nakazuję zapiąć guzik u lewej dolnej kieszeni waszego munduru. Na koniec zaś powiem wam, plutonowy, że był w naszej gminie osobnik, który, gdy uciekła mu żona, pobiegł za nią z siekierą i rozłupał głowę jej kochankowi. Za zabójstwo trafił do więzienia, co świadczyło, że nie był to człowiek honoru, ale zwykły głupiec. Od każdego może uciec żona, ale trzeba wiedzieć, że człowiek honorowy nawet i taką sprawę potrafi załatwić w sposób godny.

Od owego dnia pani Halinka spokojnie mieszkała u malarza Porwasza, a Turlej pędził samotny żywot w leśniczówce Blesy. Nikogo to ani nie gorszyło, ani nie śmieszyło, a wkrótce o całej sprawie zapomniano. Spotkawszy na drodze albo na poczcie leśniczego Turleja, malarz Porwasz kłaniał mu się uprzejmie, jak równie uprzejmie kłaniał się Porwaszowi leśniczy Turlej. Albowiem, jak słusznie powiedział sierżant sztabowy Korejwo, nawet najdrażliwsze sprawy ludzie honorowi załatwiają między sobą w sposób godny.

– Dużo zła na świecie, Gertrudo rzekł potem doktor Niegłowicz, spożywając zupę grzybową – dzieje się z powodu zbytniego unowocześnienia armatur łazienkowych...

– Dziwną moc i jakiś swoisty czar mają nasze łabędzie, droga Basieńko – powiedział pisarz Lubiński do swej żony. – Łabędzie odlatują ku morzu, a kobieta przynosi się do mieszkania innego mężczyzny...

O TYM, KIEDY ŚWIADKÓW JEST ZA MAŁO, A KIEDY ZA DUŻO

Dowiedział się leśniczy Turlej, że od kilku dni za stodołą Pasemków wysiaduje na ławeczce ich syn, Antek. Leniuchuje, gdy inni kopią ziemiopłody i rolę przygotowują do snu zimowego. Tedy wysłał stażystę leśnego, pana Andrzeja z propozycją, aby Antek oczyścił młodnik wokół polanki, gdzie rósł dąb, którego nie było. Ta robota jakby stworzona została dla Antka, człowieka, który wyszedł z aresztu podejrany o podwójne morderstwo, mógł ją bowiem wykonywać samotnie, z dala od innych ludzi, nie narażony na ich zaczepki i uwagi, a także nie budząc w nikim strachu.

Przystał na tę propozycję Antek Pasemko, ponieważ już nudziło mu się na ławeczce za stodołą, zarobić także pragnął na piwo albo na wino, matka bowiem pieniędzy mu nie dawała ani nie obiecywała, że będzie mu dawać. Zgłosił się więc w leśniczówce Blesy, pobrał ostry tasak, siekierkę, dwa pilniki – i zaczął czyścić młodnik, to znaczy wycinać w nim drzewka słabsze lub za gęsto rosnące. Po pracy powrócił do domu nie polami lub koło jeziora, ale prosto przez wieś, zaciekawiony, czy taki sam strach u ludzi wciąż jeszcze wzbudza, jaki zauważył zaraz po swoim przyjeździe z aresztu.

W istocie – strach ciągle był wielki. Gdy mijał szkołę, gdzie w szkolnym ogródku pani Luiza, nauczycielka przed emeryturą, rwała jesienne astry, na widok Antka z tasakiem i siekierą po prostu omdlała i jak martwa padła między rabaty z kwiatami. Odniosła bowiem pani Luiza wrażenie, że Antek głowę jej tasakiem utnie, a siekierą ciało porąbie, co zaś uczyni później, tego już sobie wyobrazić nie potrafiła i dlatego omdlała. Umykały przed Antkiem małe dzieci, przede wszystkim dziewczynki i kryły się za płotami podwórek. Przed sklepem nikt nie odpowiedział na jego mrukliwe powitania. Najstarszej córce Łaryna, tej z największym przodem, który ostatnio mocno obnażony nosiła – bardzo już chciała wyjść za mąż i w ten sposób – zachęcała do czynu najstarszego syna cieśli Sewruka – wypadł z rąk dzbanek gliniany z barszczem i potłukł się na kawałki. Wiedziała najstarsza Łarynowna, że nic godnego uwagi oprócz swego przodu nie posiada, tak więc najpewniej owym tasakiem ów przód mógł Antek zaatakować, obciąć lewą lub prawą wyniosłą półkulę, gdyż bez znęcania się nad dziewczyną, jak to wiedziano powszechnie, pożądanego nie potrafi zaspokoić. Wieczorem żadna dziewczyna z domu rodzinnego wyjść choćby za potrzebą nie chciała, na próżno dorosłe i dorastające chłopaki włóczyły się między opłotkami.

I stała się sprawa zadziwiająca. Dopóki Antek przebywał w areszcie śledczym, nikt nie chciał przed kapitanem Śledzikiem zeznać składać, kainowego piętna na Antku nie dostrzegano, a tylko jego przyjemną powierzchowność, grzeczność i uprzejmość. Wraz z aresztowaniem Pasemki świat zdawał się ludziom przewracać do góry nogami, że nie wiedzieć, co złem należy nazwać a co dobrem. Ale z czasem świat znowu stanął twardo, nogami do dołu – i natychmiast rzuciło się ludziom w oczy, że Antek inaczej na kobiety i dziewczyny spogląda niż inni mężczyźni, ma krzywy uśmieszek i ślina mu się w kącikach ust gromadzi. Kainowe piętno już na nim widziano.

Szczepan Łaryn ruszył w drogę i rozmyślając o rozbitym dzbanku z barszczem – przed biurkiem kapitana Śledzika usiadł.

– Do protokołu chciałbym zeznać, że w tę noc, gdy zabito małą Haneczkę, widziałem Antka Pasemkę w naszej wiosce. Przejeżdżał wolno ciężarówką. Była to

godzina dwudziesta pierwsza, a może kilka minut po dwudziestej pierwszej.

– Jakże to tak? – zdumiał się kapitan Śledzik. – Chyba z dziesięć razy, ba, ze dwadzieścia razy pytałem was wszystkich i każdego z osobna, czy ktokolwiek w tę noc widział Antka w wiosce, ale każdy twierdził, że nie widział. Jakże to więc: widzieliście, Łaryn, czy nie widzieliście?

– Widzieć, to widziałem – powiedział Łaryn. – Ale mówić było o tym nijako. Myślałem: „Po co mówić, skoro milicja i tak swoje wie”. Udowodnię mu winę i go powieszę, po co ja mam taką sprawę brać na swoje sumienie. Zamknęli go, myślałem, nie bez przyczyny. I z tej przyczyny go powieszę. Co mi tam się mieszać do cudzych spraw. A wy go wypuściliście, co jest złą rzeczą, bo teraz znowu będzie zabijać, a ja mam trzy córki.

– Dowodów winy zabrakło, panie Łaryn – wyjaśnił uprzejmie kapitan Śledzik. – Waszych zeznań zabrakło, świadków nie mieliśmy. Nie było o co całą sprawę zaczepić, a on się wszystkiego wyparł.

– Teraz już świadka macie – oświadczył Łaryn. – Tedy go znowu aresztujcie i niech spokój będzie w wiosce.

– Teraz? – roześmiał się złośliwie kapitan Śledzik. – A cóż to za świadek, który raz pytany wszystkiemu zaprzecza, a drugim razem wszystko potwierdza? Jaki sąd da wam teraz wiarę? Powiedzcie mi zresztą szczegółowo, jakim to samochodem jechał Antek Pasemko i skąd wiecie, że to on właśnie jechał, a nie kto inny?

– Samochód był duży i czarny. Antka zaś znam od małego.

– O dwudziestej pierwszej mroczno już jest. Jakże mogliście Antka rozpoznać w szoferce?

– Bardzo wolno jechał. Wyglądało, jakby chciał się zatrzymać przed sklepem i piwa napić. Sklep jednak był zamknięty, więc dalej pojechał. Przed sklepem pali się lampa.

– A Haneczkę też widzieliście?

– Widziałem. Trochę wcześniej, szła drogą do domu, musiał ją mijać i zabrać ze sobą w las.

– Pięknie to się wam składa, panie Łaryn – kiwał smutnie głową kapitan Śledzik. – Takiego zeznania nam brakowało, gdy siedział u nas w areszcie Antek Pasemko. Zetknęlibyśmy was oko w oko. On powiedziałby: nie jechałem tego wieczoru przez wioskę, a pan by mu rzekł: jechałeś, zwolniłeś przed sklepem, widziałem cię w szoferce.

– Tak bym powiedział – przyświadczył Szczepan Łaryn.

– Ale pan tego nie zrobił – bezradnie rozłożył ręce Śledzik. – I teraz niech pan sam, panie Łaryn, swoich córeczek pilnuje, żeby się którejs krzywda nie stała. Zeznanie pana

pozostanie u nas, ale czy się kiedykolwiek okaże potrzebne, o tym trudno mi teraz powiedzieć. Prokurator nie da nowego nakazu aresztowania tylko dlatego, że pan, w strachu o swoje córki, nagle pamięć odzyskał. A to panu jeszcze powiem, że jeśli jakiejś dziewczynie znowu stanie się coś złego pana to a nie moje obciążą sumienie.

W dwa dni później przed Śledzikiem zasiadła brzuchata Jaroszowa.

– Widziała pani Antka Pasemkę, jak wolno jechał przez wioskę w noc, gdy zabito małą Haneczkę – powiedział za nią kapitan.

Zdumiała się Jaroszowa.

– Nic takiego nie powiem. Ale w tę noc, co ją zabito, koło dwudziestej pierwszej szłam obok domu Pasemków. Na chwilę drzwi się u nich otworzyły i zobaczyłam w oświetlonych drzwiach, jak Antek podaje matce kłęb brudnej bielizny. Ona zaś tę bieliznę od niego przyjęła, drzwi się zamknęły, Antek przepadł w ciemnościach. Zawsze co jakiś czas matce brudną bieliznę do prania przywoził. Samochodu jego jednak nie widziałam, choć musiał być gdzieś w pobliżu.

– Pytałem panią nie raz i nie dwa, czy pani go w tę noc widziała. I zawsze słyszałem to samo: w domu siedziałam, skąd mogłam co widzieć. Teraz zaś pani przejrzała na oczy, pani Jaroszowa?

– Nie chciałam być za świadka – wyjaśniła, dłonie swoje na wypukłym brzuchu usadawiając wygodnie. – Ładny i grzeczny z niego był chłopak. Krzywdy mu zrobić nie chciałam.

– A teraz, pani Jaroszowa? Jak jest teraz?

– Obecnie to z niego zbój prawdziwy. Chodzi po wsi z tasakiem i siekierą, młodnik w lesie czyści. A jak spojrzy na człowieka, to strach przenika aż do kości. – I to chce powiedzieć sądowi, pani Jaroszowa? Że kłamać potraficie w zależności od tego, czy ktoś wam się ładnym i miłym wydaje, czy na zbója wygląda?

Westchnęła ciężko Lucyna Jarosz:

– Nie jestem może kobieta ładna – rzekła, wsadzając sobie palec w usta i sprawdzając, ile jej jeszcze zębów z przodu pozostało. – Ale za ponętą uchodzę i mam u mężczyzn wzięcie. Antek Pasemko spotkał mnie wczoraj na drodze i tak jakoś na mój brzuch spojrzął, na moje nogi, na całą osobę, i tak mu się jakiś w oczach ognik zaświecił, że czułam: kolnie mnie tasakiem. Dawno żadnej dziewczyny nie zabił, tęskno mu pewno do tego.

– W dzień tego nie zrobi ani na oczach ludzkich – uspokajająco zapewnił ją Śledzik.

– To prawda – zgodziła się z nim Jaroszowa. – Ale ponętą kobieta musi czasem po ciemku pójść tu i ówdzie, choćby do młodnika w lesie. A jeśli on w takim młodniku

się zaczał?

– Nie chodźcie nocą do młodnika.

– Jednemu można odmówić, panie kapitanie. Ale co zrobić, jak wielu o to prosi? Mężczyźni, panie kapitanie, też mają swoją dumę. Raz można odmówić, ale drugi raz to się obrazi i więcej nie poprosi. Ale czy to ja jedna z wioski czasem w młodnik pójde, albo za stodołę wyskoczę? Strach spadł na wszystkie. Ubogie jest życie kobiety na wsi, a teraz stało się jeszcze uboższe.

Bezradnie rozłożył ręce kapitan Śledzik, gdyż nie widział sposobu, aby życie kobiet wiejskich wzbogacić, tyle tylko, że słowa Jaroszowej zapisał i podpis pod zeznaniem od niej otrzymał. Potem Śledzik dostał list od kulawej Maryny:

„Donoszę panu kapitanowi, że dwóch mnie pokryło, ale żaden z nich nie był Antkiem Pasemko, tak że nie wiem z kim mam dziecko. Pieniądzy od Zofii Pasemko nie zgadzam się już brać, gdyż nie chcę, aby ludzie mówili, że ta mała dziecina jest od zbója i od małego ma zbójceki wygląd, co usłyszałam w sklepie od sklepowej Smugoniowej. To dziecko jest od młodego Galembki albo od Franka Szulca, który w świat wyjechał. Smugoniowej niech milicja zakaze źle mówić o moim dziecku, które jest małe i bronić się nie potrafi. Doktor wykrył prawdę, ale ja myślałam, że Antka powieszę, więc pieniądze do końca życia będę od Pasemkowej brała. Ale Antek wyszedł z więzienia i teraz jest zbójem na wolności i dlatego moje dziecko zbójcekim dzieckiem nazywają.”

Załączył Śledzik list kulawej Maryny do akt śledztwa przeciw Antkowi Palemce i taką propozycję złożył majorowi Kunie:

– Zakładam się z panem, majorze, że Antek Pasemko, zjawi się u nas za dwa miesiące i przyzna do wszystkich zbrodni. Butelkę koniaku stawiam.

– A ja dwie butelki stawiam, że nie zjawi się u nas, bo zbyt hardy to człowiek. Ale to my za pół roku po niego znowu pójdziemy. Do tego czasu jeszcze jedną teczkę trzeba będzie założyć na rozmaite donosy, doniesienia i zeznania.

Omylili się jednak obydwaj. Nikt więcej nie przyjechał, aby złożyć zeznanie. Nie wpłynął żaden donos ani doniesienie. Wieś znowu zamilkła i skamieniała w trwodze. Tylko doktor Niegłowicz zadzwonił któregoś dnia do kapitana Śledzika i zapytał go, czy po tych informacjach, które dał mu Łaryn, Jaroszowa i kulawa Maryna są już podstawy, aby znowu aresztować Antka. „Prokurator jeszcze nie widzi do tego wystarczających podstaw” – powiedział mu Śledzik. Wydało mu się, że doktor nie od razu odłożył słuchawkę, ale trwał z nią długo przy uchu, jak gdyby głęboko całą sprawą zatroskany.

O TYM, ŻE ISTNIEJE NIE TYLKO PRAWO; ALE I SPRAWIEDLIWOŚĆ

Po trzech dniach pracy w młodniku zgłosił się Antek Pasemko do leśniczego Turleja i, jak to było w zwyczaju robotników leśnych, poprosił o niewielką zaliczkę. Chciał mieć pieniądze, aby po pracy pójść do sklepu, kupić kilka butelek piwa, na ławeczce przed sklepem usiąść i na dawnych przyjaciół popatrzeć. Ciekawiło go, czy przyjmą od niego poczęstunek, czy też przejęci lękiem odejdą. Wolał zresztą, żeby odeszli, gdyż, odkąd powrócił do wioski, odkrył, że przeżycie własnego i cudzego strachu jest mu potrzebne jak jedzenie, a nawet więcej, albowiem brzuch można wypełnić i głód nasycić, a owego głodu ludzkiego strachu wciąż był niesyty. Bał się nocnego bicia i bolały go plecy od uderzeń matczynego bata, ale i to stwierdził, że z tego strachu i bólu rozkoszy doznaje. Również kiedy dojrzał strach w oczach dziewczyny albo kobiety, gdy dzbanek z rąk dziewczęcych wypadł albo któraś mdlała na jego widok, jak na ten przykład stara nauczycielka, słodki ruch w spodniach odczuwał. Pracując w młodniku niekiedy wyobrażał sobie, że znowu zadusił jakąś dziewczynę, choćby najstarszą Łarynównę z dużym przodem. Ludzie gonią go po lesie jak Leona Kruczka, on ucieka pełen przerażenia, że go jąder pozbawią. I wówczas także członek mu nabrzmiewał i rozpiąwszy rozporek przyglądał mu się ze zdumieniem i zachwytem. Niestety, na drodze do pracy lub z roboty coraz rzadziej kogokolwiek spotykał i rzadko kiedy trafiało mu się przeżyć zadowolenie.

Dostał od Turleja niewielką zaliczkę i zaraz po robocie poszedł do sklepu. Na ławeczce nie było nikogo, ale za to w sklepie sporo kobiet stało w kolejce. Drżącymi ze strachu rękami podała mu Smugoniowa cztery butelki piwa, kobiety wybałuszyły na niego pełne strachu oczy – tedy poczuł się syty ludzkiego lęku i wyszedł ze sklepu, usiadł samotnie na ławeczce. Pił piwo powoli, butelka za butelką, a w tym czasie żadna kobieta sklepu nie opuściła, co znaczyło, że z powodu jego osoby lękają się wyjść na dwór nawet w gromadzie, w biały dzień. Cieszył się tym strachem i taka go ogarnęła odwaga i męska duma, że zanim czwartą butelkę opróżnił, postanowił, jak inni mężczyźni pójść do Porowej.

Myśl swoją natychmiast w czyn wprowadził, w zdziczałym sadzie przed jej domem się znalazł i do drzwi zapukał.

– Nie boisz się mnie? – zapytał, kiedy mu drzwi otworzyła.

Czarne gęste włosy miała Porowa rozpuszczone na ramionach i w krótkiej halce tylko była, z jednym ramiączkiem urwanym, przez co obwisła pierś niemal na wierzchu leżała.

– Trochę się ciebie boję – przyznała, drzwi za nim zamykając i prowadząc do izby z czarną od brudu podłogą i z dwoma łózkami. Na jednym łóżku siedziała trójka dzieci, też prawie nagich i wytrzeszczających oczy na przybyłego.

– To dobrze, że się mnie boisz – powiedział Pasemko. – Bo ja zabijam, żebra łamię, palce ze stawów wyłamuję. Ale teraz popatrz, z czym do ciebie przyszedłem.

To mówiąc i nie bacząc na małe dzieci rozpiął rozporek i pokazał Porowej nabrzmiały żyłami członek z czerwonym żołądkiem.

– Każdy tu z takim przychodzi – lekceważąco powiedziała Porowa, ledwie rzuciwszy okiem na przedmiot dumy Antka. – Dzieciaki i ja jesteśmy głodne. Wódki bym się napiła.

– Masz – rzekł Pasemko i wręczył jej zwitek banknotów. – Kup co trzeba i dzieciaki stąd zabierz.

– Po co? – zdziwiła się. – One tego zwyczajne. Nawet jeśli mnie dusić zechcesz, krzyku nie narobią.

To mówiąc narzuciła na halkę obszerną chustkę i wybiegła – do sklepu – po wódkę i coś do zjedzenia.

Antek Pasemko rozejrzał się po izbie za jakimś krzesłem czy zydem, ale oprócz dwóch łóżek innego sprzętu w domu Porowej nie było. Usiadł więc na drugim łóżku okrytym szarym kocem i z konieczności popatrzył na trójkę dzieci, które na niego również patrzyły. Jedno było zupełnie małe i leżąc na brzuchu monotonnie tłukło głową o poduszkę. Dumnie wyprostowany Dariusz, nagi od pasa w dół, siedział na krawędzi łóżka i gołymi nogami w powietrzu przebierał, a pięcioletnia Zosia, też naga od pasa w dół, po turecku kucnęła obok Darka i drapała się zawzięcie po głowie. Dzieciaki brzuchy miały duże, jakby odęte i tak samo duże oczy, niemo w Pasemkę wpatrzone.

– Co się tak na mnie gapicie. Chcecie, żebym wam głowy urwał? – pogroził im Antek.

Ale te dzieci chyba nawet samego diabła z rogami by się nie ulękły.

– Pokaż nam jeszcze raz, to i ja ci pokażę – zaproponował Dariusz, o którym we wsi mówiono, że dumnie się nosi, a mała Zosia głośno zachichotała. „Będzie z niej dziwka gorsza od matki” – pomyślał i złość go na tę dziewczynkę ogarnęła. Za to, że przez nią odczuwa w sobie bolesne napięcie, a także pragnienie, aby chwycić tę dziewczynkę za cienką szyję i dusząc, jednocześnie wbić zęby w jej podbrzusze. Nie

zdawał sobie sprawy, że twarz mu się wykrzywiła i zęby obnażył, co Darek i Zosia przyjęli z ogromnym śmiechem, bo wydawało im się, że wesołe miny do nich stroi. Ten śmiech smagnął go jak matczyzny bat – nagle otrzeźwiał, minęło bolesne napięcie, chłodny się wewnątrz poczuł. Spuścił wzrok na brudną podłogę.

Przyszła Porowa, postawiła na parapiecie butelkę wódki i położyła pęto kaszanki. Drugie pęto rzuciła dzieciakom na łóżko. Nie wiedząc skąd nóż wynalazła, bochenek chleba pokroiła na ćwiartki, trochę chleba dała dzieciom i sama jeść zaczęła. Z sieni wniosła ławkę, zrzuciła z siebie chustkę, usiadła na ławce i butelkę z parapeetu podała Antkowi.

– Masz, pij pierwszy. Szklanki dzieciaki potłukły – zachęcała go, uśmiechając się szczerbatymi zębami.

Golnął sobie porządnie i zaraz znowu ciepło mu się zrobiło we wnętrzu. Jeść nie chciał – brzydził się kaszanką i chlebem z brudnego parapeetu. Porowa zaś piła i jadła, głośno mlaskając i co jakiś czas krótką halkę do góry podciągała, aby mógł ze swego miejsca widzieć jej śniade uda i odrobinę kędzierzawego zarostu na podbrzuszu. Nogi jednak zaciskała, żeby nie od razu zobaczył to co najważniejsze, wiedziała bowiem, jak mężczyznę zachęcać do czynu.

– Nie jesteś ty aby chora? – nagle zaniepokoił się Antek. – Matka mi mówiła, że od kobiety choroby strasznej można dostać i potem przez całe życie jest się nieszczęśliwym. Wrzody się robią, ciało od kości odpada. Fotografie oglądałem z takimi ludźmi i na myśl o nich aż mnie mdli.

– Twój ojciec u mnie był i jakoś nie jest chory. I twój brat, i wielu innych. Owszem, na chorobę zapadłam, ale to było dawniej, kiedy do mnie jeszcze taksówkami przyjeżdżali. Teraz jestem zdrowa. Zresztą po co do mnie przyszedłeś, jak się boisz?

– To ty mnie się boisz – oświadczył.

Skinęła głową i dalej jadła, głośno mlaskając. A kiedy już pojadła i popiła wódki, nie wiedzieć czemu głośnym śmiechem zaczęła się zanosić, głowę odrzucając do tyłu i trzęsąc pierściami jakby zrobione były z galarety. On zaś wciąż patrzył między jej zaciśnięte uda, chciał bowiem naocznie się upewnić, że żadnej choroby nie ma, ale niczego oprócz kędzierzawych włosów nie pokazywała. Dlatego coraz bardziej drażnił go jej śmiech. Poznawał po tym, że się go nie boi, a przecież chciał jej strachu.

– Boisz się mnie chociaż trochę? – zapytał ją wreszcie.

– Nie – wybuchnęła śmiechem i zupełnie halkę do góry podniosła, obnażając śniady, pofałdowany brzuch.

– Zaduśłem je. Kolanami żebra połamałem. Palce im ze stawów wyłamywałem. A

jednej butelkę wsadziłem – bełkotliwie powtarzał Antek Pasemko.

– Słabiutki były – szczyrzyła połamane zęby. – Nedorosłe. A ja sama pół metra kartofli wezmę na plecy. Mnie byś nie dał rady. Delikatny jesteś, Antek, chucherko.

Roześmiana i rozochociona Porowa na łóżko z ławki się przeniosła, chwyciła w pół Pasemkę i tak ramionami przydusiła, że na chwilę aż oddech stracił. Chciał się jej wyrwać i uciec, ale na plecy go obaliła, rozporek zaczęła rozpinać.

– Zobaczą też dokładnie, jakiego to tam masz, bo gadają, że żadnej po męsku nie załatwiłeś.

I choć gniewnie bełkotał, szarpał się i dławił własną złością, tę jego rzecz na wierzch wyciągnęła, a zobaczywszy, że zrobiła się malutka i wiotka, jeszcze większym śmiechem się zaniosła. Wówczas ugryzł ją w ramię i uderzając głową w piersi wyrwał się z jej uścisku. Potem w drzwi huknął całym ciałem i z domu wybiegł. A ona, gniewna, że ją ugryzł i uderzył, zaraz za nim wyskoczyła i tak jak stała, w halce z urwanym ramiączkiem, wymachując pięścią, wykrzykiwała głośno:

– Ty gnojku! Ty zbroczeni! Ty flaku obmierzy! Dziewczynki małe zabijaj po lasach, ale do porządnej kobiety nie przychodź! Patrzcie no ludzie na tego gnojka! Niech wam pokaże; z czym do mnie przyszedł. Wymoczek, flak, zbroczeniec!

On zaś biegł przez wioskę oślepy ze wstydu. Zdawało mu się, że po opłotkach jacyś ludzie stoją i słyszą wrzaski Porowej, dumę jego raniąc gorzej niż matki bat ranił mu ciało. Wpadł do obory, na wyrko swoje się rzucił i płacz nim wstrząsnął. „Zabiję tę kurwę, zabiję” – mruczał, zanosząc się płaczem. Ale wiedział, że tego nie zrobi, bo wówczas już nic go od szubienicy nie uratuje.

Od tego dnia nie chodził już Antek Pasemko do pracy w lesie przez wioskę, ale brzegiem jeziora lub za stodołami. Nie chciał spotykać nikogo, nawet kobiet lub dziewcząt, ponieważ obawiał się, że zamiast strachu ujrzy w ich oczach drwinę i pogardę. Co noc czekał na przyjście matki z batem, ale Zofia Pasemko przestała karać swojego syna. Na spowiedzi, gdy opowiedziała proboszczowi Mizererze, co czyni Antkowi, aby sprawiedliwości stało się zadość i jaką to uspokajającą słodyczą wypełnia ją wymierzanie sprawiedliwości – Mizerera rzekł do niej surowo: „Zaprzestań, kobieto, tych praktyk, jeśli nie pragniesz, aby szatan w tobie zamieszkał. Módl się, a karę zostaw Bogu.” Ustało więc karanie Antka, a kiedy to pojął i wydało mu się, że matka jak gdyby przebaczyła mu wszystkie zbrodnie – nagle zaczął odczuwać dziwny strach. Ogarniał go ten strach w lesie, ogarniał go nocą w oborze. Ale nie był to ten sam strach, który dawniej wprowadzał w niego ból i słodycz, ogromne napięcie i podniecenie, lecz strach groźny, wszechobecny i paralizujący umysł i ciało. Antek zaczął się bać – nie wiadomo

kogo i czego. I to było najgorsze, że nie wiedział kogo i czego się boi, kto ten strach na niego sprowadza albo skąd on nadciąga. rodził się w nim lęk przed Niewiadomym i to było gorsze od wszystkiego, co do tej pory przeżył, od celi aresztu, od przesłuchań, od fotografii zabitych dziewczyn, które mu raz po raz w śledztwie przed oczy kładziono. Czekał na coś i lękając się tego, dygotał z trwogi.

Aż pewnego dnia około południa, wycinając w młodniku cieńsze drzewka, zbliżył się Antek do polanki rozświetlonej promieniami jesiennego słońca i ujrzał Niegłowicza. Doktor stał pod wielkim dębem i wsparty o niego plecami wolno palił papierosa, obserwując, jak smużka siwego dymu powoli rozplywa się w spokojnym powietrzu. Antek otarł pot z czoła, wyprostował grzbiet i lekko uśmiechnął się. Doznał też uczucia ulgi, albowiem to, co było do tej pory Niewiadomym, stało się nagle Wiadomym, czymś przed czym mógł się spróbować obronić. Tedy odłożywszy tasak i siekiere, wolnym krokiem podszedł do doktora, poprosił go o papierosa, dostał, zapalił i także wsparł się plecami o pień starego drzewa.

– Znasz Świńską Łąkę. Wiesz, gdzie jest miejsce, na którym nic nie rośnie, bo stała tam kiedyś szubienica Baudów – doktor przemówił do Antka, ale to było tak, jakby sam ze sobą rozmawiał. – Obok tego miejsca stoi grab z jednym konarem niezbyt wysoko nad ziemią wyrastającym. Na tym konarze od dawna wisi konopny sznur z pętlą i przyszedłem tutaj, aby ci o tym przypomnieć. Ten sznur czeka na ciebie. Pójdiesz tam, kiedy zechcesz. Dziś, jutro albo nawet za kilka dni. Musisz jednak wiedzieć, że on tam na ciebie czeka i że go nie unikniesz.

Antek zadygotał z trwogi, ale nie dał tego po sobie poznać. Wypuścił w powietrze duży kłęb dymu i rzekł obojętnie:

– Moje życie chroni prawo ludzkie. Ono mnie niewinności. A kto mnie zechce zabić albo do śmierci będzie zachęcał, ten wedle prawa sądzony zostanie jak zbrodniarz.

– Masz rację. Wiedz jednak że oprócz prawa istnieje na świecie coś takiego jak sprawiedliwość. Prawo i sprawiedliwość często chadzają w parze, ale nie zawsze. Prawo chroni twoje życie, sprawiedliwość jednak skazała cię na śmierć. Człowiekowi dano wolną wolę. Sam osądź siebie według swoich czynów, sam wybierz między prawem i sprawiedliwością. Prawo jest w ksiązkach, a sprawiedliwość zawiesiła konopny sznur na konarze. Sznur i pętla czekają na ciebie.

– Poskarżę się sierzantowi Korejwie. Pojadę ze skargą do kapitana Śledzika i powiem, że pan, doktorze, namawia mnie do śmierci.

– Jedź. Skarż się – uśmiechnął się doktor. – Prawo chroni nie tylko ciebie, ale i mnie. Jak udowodnisz wobec prawa, że cię namawiam do śmierci? Przecież rozmawiamy bez

świadków, tak jak ty bez świadków zabijałeś dziewczyny. Zresztą, może to wszystko mówię nie do ciebie, lecz rozmawiam głośno z sobą samym, a ty tylko podsłuchujesz moją rozmowę? Z grobów zabitych przez ciebie dziewcząt słyhać wołanie, z mogił podnoszą się dziewczęce ręce i wyciągają po ciebie.

– To nieprawda! One mają piach w ustach.

– Nie słyszysz? – po raz pierwszy doktor zwrócił twarz ku Antkowi i popatrzył na niego ze zdumieniem, jak na jakiegoś obrzydliwego robaka.

– Powiedziałem, że są martwe. Gniją. Nie mogą krzyczeć – gniewnie odparł Pasemko.

– Zdradź mi, czym sobie uszy zatkałeś, czym uspokoiłeś i zakrzyczałeś sumienie? Wielki sekret posiadałeś, bo niewielu ludzi to potrafi. Otto Szulc przez ponad trzy dziesiątki lat słyszał wołanie człowieka, którego zabił w lesie dla kromki chleba. Mnie też spokoju nie daje tyle głosów i tyle spraw. Wciąż mam w uszach krzyk człowieka, któremu strzeliłem w twarz ze starego manlichera. Nawet tak prosty człowiek jak kowal Malawka do tego stopnia ogłuchł od jęku i wołania zabitych, że słyszeć i mówić zaprzestał. A ty naprawdę nikogo nie słyszysz? Dopóki każdy z nas żyje, dopóty poprzez nas żyją umarli, którym wyrządziliśmy dobro lub zło. Mówisz, że w ustach tych dziewcząt jest już piach, a ich ciała gniją i nie mogą one rąk wyciągać ze swoich mogił. A czy wiesz, że głosy umarłych słyszymy nawet przez całe tysiąclecia i to wołanie poprzez wieki nazywamy historią? Dzięki historii raz po raz ożywają umarli, wchodzą do naszych mieszkań, siadają z nami do stołu, biesiadują, pouczają, skarżą się i są przez nas osądzeni. A czy myślisz, że oni nas nie sądzą poprzez to, że porównujemy nasze i ich postęпки, i odczuwamy wobec nich winę, zdradę, małoduszność a nawet zwykłą zbrodnię? Powiedz mi więc, jakiego wosku użyłeś, aby zatkać swoje uszy, jaką oliwę rozlałeś na swoje sumienie, żeby je uspokoić. Zdradź mi, na Boga, człowiecze, tę tajemnicę! A wtedy być może tak jak ty nauczę się deptać sprawiedliwość i nie będę słyszał głosu pomordowanych.

Pasemko uśmiechnął się z odrobiną wyższości, ale to nie był prawdziwy uśmiech, a coś jak skrzywienie połówką ust. Zarazem oprócz wyższości odczuwał rozczarowanie. Dotąd, jak wielu, którzy w tej wiosce się urodzili, doktor wydawał się mu zawsze człowiekiem nadludzko mądrym, on to zresztą wskazał na niego, jako na zbrodniarza, a przecież teraz, w tej rozmowie z sobą samym, okazał się tak samo ograniczonym jak wszyscy ludzie dookoła niego. Czyżby to nie doktor, ale on, Antek Pasemko, był naprawdę jedynym w tej wiosce olbrzymem, kimś większym od Kawalerów Maltańskich, od księcia Reussa, od wszystkich, jakich ta ziemia kiedykolwiek na świat

wydała? Własnymi słowami powiedział to co chciał powiedzieć. A sens jego słów był taki:

„Przyszedł pan tutaj, aby mówić o sprawiedliwości, a przecież tak naprawdę chodzi panu o zwykłą pomstę. Powiesiliście na konarze sznur z pętlą, bo szukacie pomsty za zabite w lesie dziewczyny. I nawet panu przez myśl nie przeszło, że tam w lesie dokonała się właśnie sprawiedliwość. W jednym miał pan tylko rację, że prawo i sprawiedliwość nie zawsze chodzą w parze, a nawet czasem odwracają się ud siebie plecami. Co robić, jeśli prawo chroni grzech i zbrodnię? Sam pan powiedział: trzeba wówczas dochodzić sprawiedliwości. A one w majestacie prawa, które je chroniło, obnosiły swoje uda i podbrzusza, swoje piersi i swoje uśmiechy. Gdy mijiałem Haneczkę, specjalnie zadzierała sukienkę, drażniła, rozpałała do białości, a potem robiła skromną minę i odchodziła, jak gdyby nie popełniła na mnie zbrodni. A ta druga? Po co przez całą drogę podciągała sukienkę, po co wykrzywiła do mnie usta, wabiła, zachęcała, aż wreszcie wyprowadziła w las? Czy pan widzi, co robi najstarsza Łarynówna? Jak dumnie obnosi swój wielki przód, jak go obnaża, aż staje się podobny do pulchnego tyłka. Jak drażni, podnieca, zachęca, aby się z nią ożenić, popaść w niewolę, słuchać jej rozkazów i jej bata. Czy ukarało prawo Widługową za to, że na szosie swój wielki zad wypięła i każdy kto drogą przechodził mógł go dosiąść? A czy jest prawo na Porową, że zwabia ku sobie, aby się obnażać, pokazywać swoje łono, swoje krocze tak wielkie, że dwie butelki może sobie w nie wsadzić? Dusilem, miażdżyłem im żebra, wyłamywałem palce ze stawów. O jednej z nich nie wiecie. A zrobiłem to po to, aby dokonała się sprawiedliwość. Na nich to dokonałem sprawiedliwości za ich grzeszną kobiecość, za moje i innych męczarnie żądzę. A co? Nigdy pan nie miał ochoty, aby zadusić taką, co idzie przez wieś kręcąc pośladkami i obnażając swoje ciało, ale nie po to, aby dać ulgę męskiej żądzę, lecz po to, aby ją tylko podrażnić, narazić na zbrodnię cierpienia? Tylko że panu zabrakło odwagi, tak jak i wielu innym. A ja miałem odwagę. Byłem i jestem lepszym od was, bo byłem odważniejszym i najbardziej sprawiedliwym. Nie chciałem ukorzyć się przed prawem, ale sam wymierzyłem sprawiedliwość. I to jest ponad pana i innych rozum.

Poczęstował doktor papierosem Antka Pasemkę. Sam także zapalił, a później zerknął na zegarek.

– Późno już, chłopcze. Słońce teraz szybko umyka z nieba. Twoje myśli są mi znajome, ale jednocześnie i obce. Dlatego pójdę już do domu, a tobie przypominam o sznurze i pętli na drzewie koło Świńskiej Łąki.

Po raz drugi Pasemko doznał uczucia trwogi. Nagle wydało mu się, że wraz z

odejściem doktora zacznie tracić życie. Chwycił więc Niegłowicza za sweter na piersiach i zaczął wykrzykiwać:

– Pan musi mnie wysłuchać do końca. Jeszcze nie wszystko powiedziałem. Niech pan nie myśli, że pójde na Świńską Łąkę, nie ma pan przed sobą głupca! Musi mnie pan wysłuchać!

Doktor Niegłowicz popatrzył w oczy Antka, delikatnymi dłońmi uwolnił sweter z jego palców.

– Przyjde tu znowu. Na pewno przyjde. Powiesz mi, gdzie leży ta trzecia zabita przez ciebie dziewczyna. Pochować ją musimy jak innych ludzi, grób zrobić, żeby ktoś mógł na nim kwiaty położyć i świeczkę zapalić. Przyrzekam ci też, że i ty pochowany zostaniesz jak człowiek, choć żyłeś jak bestia.

Poszedł doktor w kierunku swego domu, a Antek pozostał pod starym dębem i usiłował spokojnie wypalić papierosa. Nie potrafił jednak powstrzymać dygotu ręki, gdy ją z papierosem podnosił do ust. Nie podjął też już tego dnia pracy. Pod dębem doczekał wczesnego zmroku i wiatru, który zaczął rozrzucać po polanie suche liście. Wtedy to po raz pierwszy usłyszał Antek coś jak jęk, pisk czy wołanie z daleka – i szybko uciekł z polanki. Ale nie poszedł prosto do domu. Minął starodrzew sosnowy, potem ubiegłoroczny zrąb i trwożnie kryjąc się za pniami podkładał się do miejsca, gdzie nigdy nic nie chciało rosnąć. Zobaczył rozwichrzony grab z grubym konarem i przywiązany do niego sznurem z pętlą. Chciał podbiec tam, rozwiązać pętlę, sznur rzucić gdzieś w krzaki, coś jednak go powstrzymało. Chyba strach, że gdy tam podejdzie, już będzie musiał tę pętlę założyć sobie na szyję. Więc tylko patrzył i patrzył na ów konar i sznur, i na pętlę, która wolno kołysała się na wietrze.

I gdy tak stał i patrzył, raptem ujrzał w marzeniu całą postać Justyny, kobietę piękną i czystą, o której od powrotu do Skiroławek nawet myśleć nie śmiał, gdyż to wiedział, że nie jest jej godny.

O TYM, JAK DOKTOR NIEGŁOWICZ ZOSTAŁ NAZWANY KNUREM

Niegłowiczowi odmówił posłuszeństwa jego stary samochód. Piękna Brygida widziała z okna swego mieszkania na piętrze ośrodka zdrowia, jak po zakończeniu

pracy doktor wsiadł do gaiku i usiłował odjechać do Skiroławek, ale silnik mu nie zaskoczył. Podniósł doktor maskę wozu, przeczyścił świece, rozebrał gaźnik, nie udało się to jednak na nic. Tyle tylko, że usmarował sobie ręce aż do łokci., a także twarz. Tymczasem zaczął siąpić drobny deszczyk i zrobiło się chłodno. Narzuciła więc na siebie Brygida nowe futro z nutrii i zeszła na dół.

– Prawdopodobnie ma pan słaby akumulator – powiedziała. – Zatelefonuję do warsztatu kółka rolniczego, przyjedzie tu któryś z traktorzystów i zabierze go do naładowania. Odwiozę pana do domu swoim samochodem, a pański niech tu stoi pod moimi oknami aż do jutra.

– Może ma pani rację, panno Brygido – zgodził się z nią Niegłowicz. – Już nie pamiętam, ile lat ma mój akumulator. Cztery albo pięć?

– Pożyczyłabym panu ze swojego wozu, ale kto wie, czy za godzinę nie będę musiała jechać do którejś z wiosek. Moi pacjenci chorują najczęściej przed wieczorem i do tego całymi gromadami. Dobrze panu radzę: zadzwonię do warsztatu, a pan u mnie umyje ręce i twarz. Zaparzę dla pana także szklankę gorącej herbaty, bo wygląda pan na zziębniętego.

– Nie, dziękuję – zaproponował doktor. – Wytę ręce w szmatkę. A panią poproszę o telefon do warsztatu. I żeby mnie pani odwiozła, jeśli pani jest taka miła.

Brygida uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Boi się mnie pan, jak wszyscy tutejsi mężczyźni. Herbata nie będzie zatruta i krzywda się panu u mnie żadna nie stanie.

– Co też pani mówi – oburzył się doktor. – Nawet mi to przez myśl nie przeszło. A poza tym, wcale tak bardzo o swoją męskość nie stoję.

– Inaczej o tym ludzie mówią – odrzekła Brygida i powróciła do domu, żeby zadzwonić do warsztatu.

Doktor wytarł ręce i twarz chusteczką do nosa. Zły był, że go o strach przed utratą męskości posądziła. Tym bardziej, ponieważ w rzeczy samej bał się pięknej Brygidy, choć z innego niż wszyscy mężczyźni powodu. Po wypiciu jednej szklanki może by jeszcze i nie sięgnął dłonią do jej krągłych kolan, ale co uczyniłby po drugiej? Przy takiej kobiecie czuł się nieswojo, gdyż poprzez swoją urodę już z góry zyskiwała nad nim przewagę, a tego nie lubił. Co tyczyło jednak wielu tutejszych mężczyzn, przyczyna ich obaw była oczywista: mogła przecież zrobić tak jak jej koleżanka, która z powodu gwałtu czy też zazdrości, dosypała kochankowi do trunku środka nasennego, a potem pozbawiła go męskości jak tryka czy ogierka.

Bali się więc mężczyźni pięknej Brygidy, szczególnie młodzi, i bywali posłuszni jej

woli. Tedy zaraz pojawił się traktor z kółka rolniczego, traktorzysta zabrał akumulator, doktor zamknął swój wóz. Z garażu lecznicy weterynaryjnej wyprowadziła Brygida lśniący lakierem, ogromny zagraniczny wóz typu combi i zaprosiła doktora do wnętrza.

– Miała pani, zdaje się, taki malutki samochodzik – zauważył Niegłowicz.

– A tak. Ale kupiłam sobie większy, bo zdarza mi się wozić różne lekarstwa i narzędzia chirurgiczne. A ponieważ moi pacjenci bywają niekiedy dość duzi i dość liczni, muszę lekarstwa mieć w dużych opakowaniach.

To chyba, drogi samochód.

– Owszem. Ale czy nie nazywają mnie „pani milion”? Na tyle mnie oceniają – oświadczyła cierpko. – To nie moja wina, że lekarze weterynarii więcej zarabiają od innych, a życie dobrej loszki dla niejednego jest więcej warte niż życie jego żony. Kobiet można mieć wiele, ale o rasową loszkę trudno.

– O dobrą kobietę też jest trudno – zaproponował doktor.

– Po czym się poznaje, że jest dobra? – zapytała złośliwie. – Po tym, że dobrze gotuje i wygodnie się rozkłada? Gertruda jest podobno znakomitą kucharką, a leżaki w każdym sklepie sprzedają.

Jechała wolno, choć jej samochód mógł osiągnąć dużą prędkość. Toczył się miękko, bez wstrząsów, jakby w asfalcie nie było żadnych dziur. Pachniał świeżością i wypełniał go zapach perfum Brygidy. Coś się w doktorze odezwało, jakieś bolesne wspomnienie, takich perfum chyba używała Anna, a może podobnych – już nie pamiętał.

Doktor rzucał na Brygidę tylko ukradkowe spojrzenia – bał się patrzeć na nią wprost. Po dziecku jeszcze wypiękniała, zaokrągliły się jej piersi, wypełniły policzki, a cera stała się delikatniejsza. Rozchylony kołnierz futra odsłaniał szyję tak gładką i kształtną, jak u szlachetnych flaszki na wino. Na szyi wisiał złoty łańcuszek z kluczykiem, który ginął w rowku między piersiami. Czarne, mocno skręcone włosy obnażały drobnutkie różowe płatki uszu. Widział doktor jej profil trochę dziecięcy, z malutkim noskiem, małymi ustami i łagodnie zaokrągloną brodą; widział też koniec jej prawej brwi podobny do ostrej strzały, która zdawała się mierzyć w skroń. Najbardziej jednak pociągały go jej nozdrza, różowe jak płatki uszu i od czasu do czasu poruszające się prawie niedostrzegalnie, jakby i ją oszalał zapach jej własnych perfum. A może tak właśnie reagowała na bliskość samca swojego gatunku i dlatego porównywano ją do młodej klaczy, która dygocąc chrapami lubieżnie obwąchuje ogiera?

– Zabrała mnie pani, żeby dokuczać – stwierdził z żalem. – Wiem, że mam złą opinię, ale sumienie moje jest czyste.

– Gdyby miał pan czyste sumienie, to wstąpiłby pan do mnie na herbatę. Pamiętam,

przed dwoma laty spotkaliśmy się kiedyś w księgarni w mieście. Podeszłam do pana i zapytałam, jaką książkę kupić, bo wiem, że pan wiele czyta. Coś mi pan doradził i zaraz uciekł. Dlaczego?

– Powiem szczerze: pani jest zbyt ładna. Zwraca pani ogólną uwagę. Człowiek czuje się przy pani jak na cenzurowanym. Gdy spoglądam na panią, to czuję się brzydki, dlatego wolę pani unikać. A sumienie mam czyste. Czy źle pani dziecko odebrałem?

Zarumieniła się lekko na wspomnienie tamtej sprawy.

– Kocham bez wzajemności pewnego człowieka – wyznała, rumieniąc się coraz bardziej. – Myślałam, że gdy będę miała dziecko, ono zabierze mi całą miłość i nie będę taka nieszczęśliwa. Ale inaczej kocha się dziecko, a inaczej mężczyznę. Nikt mi nie powiedział, że miłość bywa aż tak podzielna. W rezultacie dziecko nie ma ojca, a ja nie mam męża ani kochanka. Bywam ostatnio złośliwa, to prawda. Ale to dlatego, że czuję się nieszczęśliwa. Czasami nachodzą mnie różne smutne myśli, żeby sobie życie odebrać, wyznać kto jest ojcem dziecka, i oddać mu dziecko na wychowanie, bo chyba tego dziecka nie kocham tak mocno jak powinnam.

Zaraz też łzy napłynęły do oczu Brygidzie i cały świat jej zasłoniły. Samochód zjechał na lewą stronę szosy i, gdyby doktor nie chwycił mocno kierownicy, zapewne uderzyliby w drzewo.

– Jezus Maria – jęknął doktor.

– Przepraszam pana – szepnęła.

Stała na poboczu, otarła chusteczką łzy i głośno wysiąkała nos. Zaraz ruszyli dalej, a byli już w pobliżu Skiroławek.

– Nie powinna pani ciągle przesiadywać w domu – oświadczył doktor. – Trzeba się spotykać z innymi ludźmi i radować ich życiem. Czemu nie odwiedzi pani pisarza Lubińskiego i pani Basieński albo nie wpadnie do pani Halinki, która przeniosła się do malarza Porwasza?

– Żona pisarza jest głupią gęsią. Halinka ciągle mnie wypytuje, z kim mam dziecko. Zauważyłam zresztą, że wiele kobiet chce się ze mną zaprzyjaźnić tylko po to, żeby to ode mnie wyciągnąć. A gdy nie chcę im zdradzić tej sprawy, obrażają się i mówią, że im nie ufam, nie potrafię się przyjaźnić, nie jestem szczerą. Rozumiem rolnika, który mając rasową loszkę chce mieć świadectwo pokrycia od rasowego knura, bo drożej sprzeda warchlaki. Ale co ludziom po tym, że im powiem, kto mnie pokrył? Nie mam dziecka na sprzedaż. A pan?

– Co ja? – zaniepokoił się doktor, ponieważ nastrój panny Brygidy raptownie uległ zmianie. Teraz znowu w złość wpadła.

– A pan nie jest ciekaw, z kim mam dziecko?

– Nie.

– Dlaczego?

– Mnie interesuje, czy dziecko urodziło się zdrowe, czy nóżki nie ma wyciągniętej ze stawu biodrowego, czy nie trzeba kobiecie zeszyć krocza. Pani zrobiłem cztery szwy, czy nie tak?

– Nie. Dwanaście – burknęła. – Nawet tego pan nie pamięta. I to jest najlepszy dowód, jak ja pana obchodzę. Cztery czy dwanaście, wszystko jedno. Jedno krocze więcej, jedno mniej, jeden szew więcej, jeden mniej. Kobieta rodzi i nawet rodząc chce się wydawać piękna i interesująca, ale pan patrzy na kobietę jak na leżak.

– Na litość boską! – zawołał Niegłowicz. – Jest pani wprawdzie lekarzem weterynarii, ale chyba to oczywiste dla pani, że trudno się w kobiecie zakochać na porodówce.

Rozumiem, wszystko świetnie rozumiem – powiedziała, zatrzymując się przed bramą posiadłości doktora. – Skorzystam jednak z okazji, żeby powiedzieć panu kilka słów prawdy. Ma pan czterdzieści sześć lat, siwieje panu głowa, powinien pan mieć przy sobie żonę, a nie dopuszczać do tego, żeby panu Gertruda sprowadzała na noc coraz to inną kobietę, jak loszkę do knura. To po prostu wstyd!

O co pani chodzi? – oburzył się doktor. – Źle coś pani zrobiłem? Za mocno zeszyłem i ma pani za ciasną albo na odwrót?

– Świnia! – rzuciła mu w gniewie.

Wysiadł z samochodu i trzasnął drzwiami, a ona zawróciła przed bramą i odjechała z dużą prędkością. Niegłowicz przeżegnał się ze strachem, co zdumiało Makuchową, która wyszła na ganek, zaniepokojona tak długą nieobecnością doktora.

– Samochód mi się zepsuł i podwiozła mnie panna Brygida – wyjaśnił swej gospodyni. – Ale to sobie zapamiętaj, Gertrudo, że nie chcę jej tu na oczy oglądać. Nie ma mnie dla niej, rozumiesz? Chyba że chora przyjedzie albo z chorym dzieckiem. Czy wiesz, jak mnie nazwała? Knurem!

– A jak miała cię nazwać? – zdziwiła się Makuchowa. – Przecież jest lekarzem weterynarii. Ech, Janku, Janku! Piękna to istota, ponętna. Ma oczy jak jałowica, tyłek jak klacz dwuletnia, a nogi strzeliste jak u sarenki.

– Nie jestem sodomitą – rozsierdził się doktor Niegłowicz i poszedł do łazienki, aby umyć twarz i ręce wybrudzone smarem. A potem podczas obiadu chyba ze dwa razy fuknął na Gertrudę, że zupa jest za gorąca a znów kotlet za zimny, jakby to była jej wina, że się spóźnił na obiad i musiała jedzenie odgrzewać.

Przed wieczorem poszedł doktor z wizytą do domu Porwasza, gdzie pani Halinka w

pracowni robiła dla dziecka sweterek na drutach, a malarz już po raz czwarty szkicował świętego Augustyna w biskupiej infule, z lewą dłonią wspartą na otwartej księdze, a prawą błogosławiącą świat. Obok świętego Augustyna zamierzał Porwasz umieścić anioła z aureolą i skrzydełkami, ale tak się złożyło, że anioła w końcu wymazał, tylko skrzydła pozostały.

– Znowu Kłobuk panu wyłazi z obrazu – stwierdził doktor, przyglądając się pracy Porwasza. – To nie anielskie skrzydła tylko Kłobukowe. Wyjazd by się panu przydał, przyjacielu.

– To pan powinien gdzieś wyjechać – odpowiedział malarz.

– A pewnie. Wkrótce pojedę do syna, do Kopenhagi. Mam już paszport, wizę, bilet na samolot. Przyda mi się zmiana klimatu i otoczenia.

Potem milczał jakiś czas, aż wreszcie spojrzawszy na panią Halinkę, która śmigała drutami, wspomniawszy Turleja, a także ni stąd, ni zowąd przypomniał sobie piękną Brygidę i głośno zapytał:

– Jeśli założyć, że rację mają ci, którzy twierdzą, że wąż kuszący Ewę w raju jest tylko symbolem fallicznym i rzecz idzie o męski członek, tedy co oznaczają słowa: „Nieprzyjaźń też położę między tobą i między niewiastą, i między nasieniem twoim, i między nasieniem jej”? Rzecz w tym, że kobiety chcą nas posiadać, ale tak naprawdę to nas nie lubią ani nie cenią.

Zaśmiała się głośno pani Halinka, a Porwasz oświadczył zamalowując skrzydła anioła:

– Za mądre to dla mnie, doktorze. Nie czytuję jak Lubiński „Pism semantycznych” Gottloba Frege. Biblii też nie znam. Nie znajdzie pan w moim domu książki oprócz tej, którą zwędziłem za granicą. Jest to książka telefoniczna miasta Paryża. Szkoda, że wyrusza pan do Kopenhagi, bo mógłbym ją panu pożyczyć. W tej książce jest telefon i adres barona Abendteuer. A co by się stało, gdyby tak z Kopenhagi skoczył pan do Paryża? Przecież to już bardzo blisko, prawie jak od nas do Trumiejek. No, może trochę dalej – dodał po dłuższym zastanowieniu.

Do domu powrócił doktor o zmroku. Zdziwił się, że jeszcze widzi światło w kuchni, choć Makuchowa już od dawna powinna być w swoim domu. Dojrzał też poblask światła na pobielonym pniu starej wiśni w sadzie, co znaczyło, że pali się też w jego sypialni od strony jeziora.

– Przyszła ta, co to ją chciałeś – Gertruda zatrzymała go w sieni. – Powiedziała rodzicom, że do Bart, do ciotki wyjeżdża, ale wysiadła na przystanku koło leśniczówki i sama tu przyszła. Wstydliva jest jak dziwka w Novotelu. Umyć to się umyła, ale w

sukience pod pierzynę włożyła. Dałam jej kryształowy pucharek z czekoladkami. Czeka w sypialni i słodczami się obżera. A ty, będziesz jadł kolację?

– Nie. Obiad był spóźniony – powiedział doktor i od razu poszedł do sypialni.

– Och, niech pan zgasi światło – krzyknęła z przestrachem starsza córka Łaryna. Pierzynę na twarz naciągnęła, na wierzch wystawiając tylko kryształ z czekoladkami.

Zgasił doktor światło, rozebrał się i włożył pod pierzynę. Dziewczyna pozwoliła się obnażyć od góry do pasa.

– Jestem knur – mruknął, obmacując jej piersi.

– To bardzo dobrze – usłyszał w ciemnościach jej śmiech. – Widziałam, jakiego ma knur. Przypomina świderka. Knur był wielki i ciężki, a nasza loszka mała i lekka. A on delikatnie i wolno się w nią wkręcił.

Pobawił się doktor wielką i ciepłą lewą pierśią, pobawił się i pogniatał prawą pierś. Dziewczyna wciąż siedziała na łóżku. Jadła czekoladki, ciamkając głośno i mówiąc:

– Wczoraj znowu spotkałam na drodze Antka Pasemkę. Nic w rękach nie miałam, więc nic mi nie wypadło. A on jak żmija do mnie zasyczał: „Ty sssuko”. Czuję, że teraz się na mnie szykuje i mówiłam o tym narzeczonemu, to jest Józkowi Sewruka. „Sznur na niego wisi – tak mu gadałam – a on nie chce się sam powiesić. Weź braci i go tam pod sznur zawleczenie. Kto pozna: sam czy też ktoś go powiesił?”

Ciamkała, sapała, w końcu na wznak się położyła, żeby doktor mógł jej piersi lepiej głaskać i ugniatać. A jego zachwycała ich krągłość. Napięta na nich gładka skóra sprężynowała pod dotknięciem warg i języka.

– Oni się boją Pasemki – powiedziała. – Do pana więc przyszedłam na zaproszenie Makuchowej. Doktor ma strzelbę, doktor zastrzeli Antka, który na mnie się teraz zawziął.

– Miałaś już mężczyznę? – zapytał.

– Wtedy, gdy Smugoniównę po zabawie znaleźli, to i ja w życie leżałam. Nie wiem kto mnie załatwił, ale chyba nie synowie Sewruka, bo oni zajęci byli Smugoniówną. Dlatego w dalszym ciągu mam śmiałość do Józka i przed Nowym Rokiem za mąż za niego wyjdę. Byłam pijana, nic nie pamiętam i nic nie czułam.

Od dotknięć doktora przestała ciamkać, odstawiła na podłogę kryształ z czekoladkami, ucichła.

– Tylko wolno, żebym wszystko czuła – szepnęła doktorowi do ucha. – Tak jak mi to pan obiecał. Jak knur swoim świderkiem.

Nagle mocno westchnęła i objęła szyję doktora silnym uściskiem krągłych ramion. A potem sapała i ciamkała, jakby wciąż jadła czekoladki z kryształowego pucharka.

W tym momencie przypomniał sobie doktor piękną Brygidę i pomyślał, że u kobiety każde określenie, nawet takie, jak knur, nie musi być obraźliwe, ale może być wyznaniem miłosnym, gdyż jak każdy człowiek również kobieta bywa istotą podzieloną i samą z sobą sprzeczną: co innego myśli, a co innego robi; co innego mówi, a co innego czuje; co innego szepcze jej rozsądek, a co innego nakazuje pożądanie.

O TYM, JAK ŻYŁ I CO CZUŁ ZABÓJCA

Z zaliczki otrzymanej od Turleja pozostało Antkowi Pasemce akurat tyle pieniędzy, ile matka jego, Zofia, płaciła kulawej Marynie na dziecko, które to rzekomo miała z jej synem. Nie wiedział Antek o liście, jaki Maryna napisała do kapitana Śledzika, dlatego podczas bezsennych nocy, gdy na próżno oczekiwał bicia matki, przekonał sam siebie, że dziecko powinien uznać za swoje, a nawet ożenić się z kulawą Maryną. Jego dziecko mogło być faktem przeciw drwinom Porowej, dowodem, że był i jest mężczyzną, a jeśli nawet nie okazał męskiego wigoru w jej domu, to wyłącznie z tego powodu, że był młodzieńcem wrażliwym i nie chciał się kalać brudami. Łono tej kobiety było przeklęte, jej łóżko przypominało świński barłóg. To prawda, że do niej poszedł powodowany męską żądzą, ale ze złej drogi potrafił wrócić, za co ona teraz mści się na nim. Co do kulawej Maryny, to była ona chytra na pieniądze i brzydka, małżeństwo z Antkiem Pasemką pozostawało dla niej chyba nadal szczytem marzeń; ożeni się więc, choć żyć z nią nie musi. Może zresztą, gdy będą tak często razem w łóżku, odmieni się w nim jego natura, coś się w nim otworzy, a coś zamknie na zawsze, wtedy stanie się dobrym mężem i dobrym ojcem, zapomni o dziewczynach zabitych w lesie. Jak kawał lodu roztopi się w nim nienawiść do kobiet; przestanie myśleć, aby jakąś inną dziewczynę ukarać. Może jedynie dokona sprawiedliwego wyroku na Porowej – za jej przeklęte łono, za jej chuć, za pobudzanie żądzy w mężczyznach. Ale to wówczas, gdy zgnije konopny sznur na drzewie koło Świńskiej Łąki. I nie udusi Porowej, bo jest silna; dźgnie ją tasakiem, a potem butami zmiażdży żebra, palce wyłamie ze stawów, w krocze wepchnie osinowy kołek, grubszy niż dwie butelki.

Takimi marzeniami żywił się Antek i, nie mogąc zasnąć, przewracał się na słomie z boku na bok, pojękując z rozkoszy na myśl o cierpieniach Porowej. Z czasem tak zbliżył się do owych marzeń, że podczas pracy w lesie ociosał siekierą osinowy kół, zaostrzył go starannie i ukrył w krzakach. Nazajutrz wykonał jeszcze dwa takie same kołki – na

Widługową, która obnażony zad wystawiła na drodze i na panią Renatę Turoń, gdyż ta opalała się nago nad jeziorem, a on ją podglądał. Wielka była siła tych marzeń; to oblewały go żarem, to znów przejmowały go chłodem, aż szczękał z zimna zębami. Zdarzało mu się to na łóżku w nocy, zdarzało się w dzień, kiedy samotnie czyścił młodnik koło starego dębu. Przerывwał wówczas pracę, ponieważ najpierw uderzała mu do głowy fala gorąca, a potem dygotał z zimna i strachu. Bo znowu wracała do niego myśl o cudzym i własnym strachu, przerażała i radowała zarazem. Ale to było pewne, że droga do tego celu wiodła przez kulawą Marynę i jej dziecko.

Tedy po którejś bezsennej nocy zerwał się o świcie Antek i nie śmiejąc otwarcie stanąć w drzwiach domu Maryny, przyczał się w krzakach tarniny za stodołą i rozwalającym się wychodkiem. Postanowił rozmówić się z kulawą Maryną bez świadków i na osobności, a jedyną taką okazją, jak to sobie wymyślił, była chwila, gdy po nocy musiała wyjść za swoją potrzebą.

Dzień wstawał pochmurny, zanosilo się na deszcz. Chyba z godzinę przesiedział Antek za krzakami, ze wstrętem oganiając się od zielonkawoniebieskich much, które sennie roily się nad cuchnącym bajorem z gnojówką, wyciekającą z wychodka. Śmierdziało tam okropnie, ale on był już przyzwyczajony do smrodu, jako że sypiał w oborze.

Maryna, kulejąc na lewą nogę, wybiegła z domu tylko w długiej koszuli, w trepach na stopach. Nie chciało jej się włączyć do rozpadającego się wychodka, rozejrzawszy się więc na wszystkie strony zadarła nieco koszuli i mocz zaczęła oddawać na stojąco.

– Pieniądze ci przyniosłem na dziecko – odezwał się chrapliwie Antek, wylaząc zza krzaków.

Przestraszył ją swym nagłym pojawieniem, lecz nie krzyknęła, tylko przerwała oddawanie moczu, koszulę opuściła do kostek.

– Czego? – burknęła na niego.

– Pieniądze ci przyniosłem na dziecko – powtórzył, zbliżając się do niej i rozumiejąc, że przecież musiała usłyszeć, co do niej już rzekł.

– To nie twoje dziecko – odpowiedziała, bacznie go obserwując, czy nie zbliża się zanadto, bo wtedy gotowa była uciec do domu.

– Ożenię się tobą – zaczął jej szybko tłumaczyć. – Dziecko jest moje, choć je uznać nie chciałem. Ale mnie do tej sprawy moja matka przekonała. Ożenię się z tobą i będziemy mężem i żoną. Masz, weź te pieniądze.

I szedł ku niej ze zwitkiem banknotów w dłoniach. Ona jednak cofnęła się kilka kroków i wyciągając przed siebie rękę, zawołała:

Nie podchodź do mnie, bo będę krzyczeć. I schowaj swoje pieniądze. Napisałam do kapitana Śledzika, że dziecko nie jest od ciebie. Pamiętam dobrze, jak to było wówczas, gdy do mnie z wódką przyszliście. Oni zrobili co swoje, a ty się zerzygałeś i zasnąłeś w moim łóżku. Przez pieniądze twojej matki na dziecko moje ludzie patrzą jak na zbója. Powieś się, a nie do ślubu szykuj. Sznur już jest w lesie.

Brzydka była, piegowata, zęba z przodu nie miała, kulała. Jeszcze brzydszą się zdała, gdy usta wykrzywiła od gniewu i mówiła do niego z pogardą, nienawidząc go za to, że jej dziecko, przez pieniądze Pasemkowej, za bandyckie uznano. Nie chciała pamiętać, że przecież sama od Antka pieniędzy kiedyś wołała, że przed kapitanem Śledzikiem kłamliwie zeznała, byle tylko mieć pieniądze od Pasemków. Teraz czuła wyłącznie złość i nienawiść do Antka, jego za swoje kłopoty winiła.

– Masz, zobacz, to są pieniądze – rzucił jej pod nogi zwitek banknotów, myśląc, że chytryść w niej zwycięży. Sięgnie po banknoty, a tym samym uzna w nim ojca swego dziecka.

Lecz ona myślała o tym, jak go poranić najboleśniej.

– Pieniądze, to wiem jak wyglądają. Na twoje pieniądze to ja szczę.

To mówiąc zbliżyła się do miejsca, gdzie leżał zwitek banknotów, stanęła nad nimi, zadarła koszulę aż do pępka i na oczach Antka, bez kobiecego wstydu, bo go za mężczyznę widać nie uznawała, oddała mocz na owe banknoty. A gdy to czyniła, Antek patrzył na jej kobiecość z tak ogromnym pożądaniem, że aż go jak gdyby sparaliżowało. Nienawidził jej – i chciał chwycić ją za gardło, ale sił w sobie nie znajdował, tylko patrzył i patrzył między jej uda. W końcu jakaś czerwona plama rozlała mu się w oczach i zasłoniła cały świat. Zabić ją – to mało. Udusić – też mało. Żebra połamać, palce powoli wyłamywać ze stawów – tego pragnął. Po osinowy kołek pobiec i wepchnąć w nią jak w upiora. Tego pożądał.

Wytała krocze rąbkim koszuli i pobiegła do domu. On zaś oślepy z wściekłości, bełkocząc coś i charcząc – siedł ku niej z wyciągniętymi rękami, ale chwycił nimi pustkę. Wtedy przejrzał na oczy, stwierdził, że jej już nie ma i depcze osikane banknoty. Otarł dłonią spocone czoło, a potem usta z pianą w kącikach. Kopnął zwitek banknotów w cuchnące bajoro – i odszedł za stodołami do lasu. Skrajem pól ruszył aż do Świńskiej Łąki, dręczony pragnieniem, aby samemu sobie zadać straszny, nawet śmiertelny ból. Znowu na krótko zaniewidział, jakiś czerwony ogień mu oczy wypalił. To wtedy musiał minąć drzewo ze sznurem i pętlą, bo przecież siedł tam, aby zabić. Jeśli nie kogoś, to siebie. Uspokoił łomoczące w piersiach serce, zdławił w sobie charczący oddech. Ocknął się w głębi lasu i pomyślał: „To znak od Boga, który ochrania sprawiedliwego”. Szum

drzew powoli łagodził w nim gwałtowność uczuć – i gdy znalazł się w młodniku, już spokojnie zabrał się do pracy. Ciął tasakiem wiotkie buki, patrzył, jak się przewracają, aby dać więcej światła bukom grubszym. Wysilek mięśni sprawiał mu przyjemność, łagodził w nim wszelkie uczucia podobnie jak szum lasu. Niebo wciąż było pochmurne, lekki wiatr strącał z drzew ostatnie liście. Jedne wirowały w powietrzu lub usiłowały się wznieść w górę na podobieństwo ptaków; inne opadały cicho na ziemię; niektóre ocierały się o ramiona Antka i wtedy miał wrażenie, że dotykają go niewidzialne ręce i las jest pełen duchów. Nie bał się ich, jeśli bowiem istniał Bóg, to i on musiał być po jego stronie, nienawidził rozpustnych kobiecych narządów i zła, jakie one czyniły wśród mężczyzn.

Doktor czekał na Antka pod starym dębem. Był tylko w grubym swetrze i z gołą głową. Przykucnął pod drzewem, na kolanach miał włoską kurkową dubeltówkę. „Przyszedł, aby mnie zabić” – przemknęło przez głowę Pasemki, ale zaraz tę myśl odrzucił. Zbyt pogodną wydała mu się twarz doktora i jasny wzrok, z jakim obserwował bezgłośny lot uschniętych liści.

Zobaczywszy Antka, doktor wyjął paczkę tanich papierosów, kiwnął na Pasemkę, aby się poczęstował. Zapalili, a potem doktor rzekł:

– Nazywała się Aneta Lipska i miała dwanaście lat. Przyjechała z Bart, z gromadką kolegów i koleżanek, aby się wykąpać w jeziorze. Nie miała kostiumu kąpielowego, więc odeszła od gromadki w pobliskie zarośla, gdzie rozebrała się do naga. Powiedz, co zrobiłaś z jej ciałem?

Antek wypluł nitkę tytoniu, która mu się przylepiła do wargi.

– Pytali mnie o to wiele razy. Odpowiadałem, że nie wiem, o kim mówią. Ale panu wyjawię. Leży tam, gdzie deszcz na nią nie pada, słońko jej nie przygrzewa, lisy kości nie rozwłoką. Mogę ją zobaczyć w każdej chwili, ale już nie ma co oglądać.

– Jesteś bydlę, Antek – głos doktora zabrzmiał dziwnie, jakby dobywał się z głębokiej studni.

– A o niej co pan wie? – wzruszył ramionami. – Byłaby taką samą dziwką jak Porowa. Piersi i podbrzusze miała już prawie jak dorosła kobieta. Rozebrała się do naga. Żeby pan widział, z jakim zadowoleniem oglądała sobie piersi i łono, jakby już gotowała się do zastawienia pułapki na mężczyznę.

– Nie miała kostiumu i chciała się na uboczu ochłodzić w jeziorze. Jesteś bestią, Antek, i dlatego musisz umrzeć. Widziałeś sznur i pętlę? Na co jeszcze czekasz?

– Prawo mnie chroni. Będę żył długo.

Szczęknął kurek na strzelbie doktora. Ale Antek tylko uśmiechnął się z wyższością.

– Nie zastrzeli mnie pan. Na to trzeba odwagi. Mojej odwagi. Nie obnosiłyby tak tych swoich piersi i brzuchów, gdyby mężczyźni mieli odwagę. Klękacie przed nimi, modlicie się do nich, prosicie o łaskę, której wam udzielają wedle swoich zachcianek. Nierządne są i rozpustne, a wy jesteście kapłanami ich rozpusty i ich nierządu. Błagalnie wyciągacie ku nim swoje ręce. Po co? Trzeba wziąć je za gardło.

Doktor wyjął z paczki drugiego papierosa, zapalił go, zaciągnął się mocno. Nie potrafił zebrać rozproszonych myśli, chciał zastrzelić Pasemkę, tak jak to sobie tyle razy obiecywał. Zabić go strzałem z przodu, między oczy i patrzeć, jak mózg się rozpryskuje. Ale jakaś dziwna siła powstrzymywała go od tego. Może korzył się przed człowieczeństwem, podobnie jak korzył się przed kobiecością?

– Gdybym cię zabił, Antek, postąpiłbym jak Kawaler Maltański. Znaczyłoby to, że zło, które jest w człowieku, można usunąć jedynie zabijając człowieka. A przecież zło, jak sądzę, daje się oddzielić, wykroić tak, jak guza na ciele lub w ciele ludzkim. Zło należy oddzielić od człowieka i zabić je oddzielnie. Nie mógłbym być lekarzem, gdybym w to nie wierzył. Zło bywa jak choroba, Antek. Chorobę trzeba leczyć, niejako oddzielić ją od ciała i zabić. Chciałem obnażyć twoje zło, wykroić je z ciebie i zdeptać, choć to być może nie jest możliwe. Powiedz, czy nie odczuwasz winy, skruchy, żalu, wstępu do siebie? Albo przynajmniej do tej części siebie, która czyni cię zbrodniarzem?

– Nie – odparł obojętnie. – Wiem, że czyniłem dobrze.

– Stałeś się więc samym złem. To nie jakaś twoja część pozostaje zła, ale ono przeniknęło cię całego, do głębi. Nie wiesz nawet co to litość, skrucha, żal. Czy zdajesz sobie sprawę, że już nie jesteś człowiekiem?

A on rzekł mu swoimi słowami, taki zaś był ich sens:

„Zawsze czułem się inny, bardziej podobny do Boga, który nas stworzył na swoje podobieństwo. Nie mówiłem o tym nikomu, aby mnie nie wyśmiano. Próbowałem żyć jak ludzie, lecz nie potrafiłem. Dlatego wyraźniej niż inni widziałem zło ukryte w kobiecie. Czy nie powiedział Pan do kobiety, że «wola twoja poddana będzie mężowi twemu, a on nad tobą panować będzie?» A czy są posłuszne naszej woli? Czy to nie one chcą panować nad nami, używając swych narządów i swego ciała, aby nas niewolić? Pan zna tylko Nowego Boga, a przecież jest także i Stary Bóg, w którego ja wierzę, i który nas stworzył. Stary Bóg nie znał miłosierdzia i kazał zabijać pierworodnych synów, gdy zrodzeni bywali z nierządu. Ochrzcili mnie w kościele, bo moja matka tak chciała. Ale mój ojciec wierzy w Starego Boga i gdy byliśmy mali, często czytał nam Pismo Święte. Stary Bóg nie znał Szatana, bo sarn był Szatanem. Chwalił oszustów, krzywoprzysięzców, sam także był oszustem i krzywoprzysięzcą. Trzy przymierza

zawarł z człowiekiem i żadnego nie dotrzymał. Czy nie był przyjacielem Boga ten, którego nazwano Duchem Kłamstwa? Czy nie zasiadał w jego świecie? Czy nie oszukał Bóg proroków Achaba aby nakłonić go do przegranej wyprawy wojennej? Czy nie ukarał Dawida za to, że przeprowadził spis synów Izraela, choć sam go do tego namówił? Czy nie chwalił Bóg córki Lota za to, że żyła z własnym ojcem? Czy nie kupczył Abraham własną żoną, Sarą? Nie pochwalił go za to Bóg i nie pozwolił żyć szczęśliwie? Czy nie wybrał między Ablem i Kainem tylko po to, aby dokonana została na świecie pierwsza zbrodnia? Czy nie był zazdrosny o ludzi, gdy wieżę Babel zaczęli budować. Czy nie doświadczył Hioba tylko dla zaspokojenia swej próżności? Czy nie pochwalił Bóg oszustwa, którego dopuścił się Jakub wobec Ezawa, odbierając mu podstępnie błogosławieństwo Izaaka? Doktorze, wiele kłamstw i wiele zła czynił Stary Bóg na świecie i między ludźmi, a z tego wynika, że i zło może być sprawiedliwe. Jak Kain jestem zabójcą. Ale ostrzegł Pan Bóg ludzi, aby nie zabijali Kaina za jego zbrodnie. A wy, co chcecie uczynić? Kto wam dał prawo wieszać sznur z pętlą, jeśli Bóg zezwolił Kainowi iść wolno i żyć w pokoju. Powiedział Stary Bóg: «zaiste, ktobykolwiek zabił Kaina, siedmioraką poniesie pomstę. I włożył Pan na Kaina piętno, aby go nie zabijał, ktobykolwiek znalazł».”

Pomyślał chwilę doktor i powiedział:

– Nie masz na sobie piętna, Antek.

– Moje czyny budzą w was strach i wstręt. Odwracacie ode mnie twarz, jakbyście widzieli na mnie piętno. Dlatego kto mnie zabije, siedmiokrotną pomstę poniesie od Boga.

– Jesteś pełen pychy. Aż do obłąkania doprowadziła cię twoja próżność.

– Nazywa mnie pan obłąkanym, ponieważ poznałem i ukochałem Starego Boga?

Roześmiał się doktor:

– Mieszka i żyje w tobie bestia. Nie potrafisz nawet być mężczyzną.

Śmiech doktora wydał się Antkowi tak drwiący, że skoczył na skraj młodnika i w ataku szału chwycił do ręki pozostawiony tam tasak. Ruszył z nim na doktora, który wciąż się śmiał, coraz głośniejsze, i, jak się zdawało Antkowi, coraz bardziej szyderczo. Szedł Antek z tasakiem podniesionym do góry, w połowie drogi stanął i tasak opuścił. Czy nie po to doktor tak się śmiał, aby on podniósł na niego tasak i tamten mógł strzelić w swojej obronie? Pułapkę zastawił na niego doktor. Chciał zabić Antka w majestacie prawa.

– Strzelaj! – krzyknął, rzucając tasak na ziemię. Potem przymknął oczy i czekając na strzał powoli zbliżył się do doktora. Nie słyszał jednak strzału, nie odczuwał bólu.

Otworzył oczy i usiadł pod starym drzewem. Nagle ogarnęło go wielkie zmęczenie i pragnienie śmierci. Pożałował, że to się nie stało, nie padł strzał i nie uderzył go pocisk. Ile dni jeszcze będzie czekać na śmierć?

– Nie o wszystkim mi jeszcze opowiedziałeś – doktor spokojnie znowu podjął rozmowę. – Dlaczego zabijałeś właśnie tam, w pobliżu mojego domu, na polance i w dole po sadzonkach. Czy wiedziałeś, że niemal noc w noc zaczajam się tam na ciebie ze strzelbą?

– Nie myślałem o panu. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że pan może się tam na mnie czaić ze strzelbą. Kiedy się zabija dziewczynę, takie myśli nie przychodzą do głowy – jakby дума zabrzmiała w jego głosie.

– A ja sądziłem, że prowadzisz ze mną jakąś straszliwą grę. Specjalnie wybierasz miejsce w pobliżu mego domu, aby poniżyć moją dumę, obrazić, naigrawać się ze mnie. Dziwne, bo przecież miałeś do wyboru tyle innych miejsc, tyle przeróżnych lasów, tyle innych dołów po sadzonkach.

Pasemko zastanowił się. I raptem ożywiła się jego twarz, jak gdyby dokonał ciekawego odkrycia.

– Kiedy zabijałem je, nie myślałem o takich sprawach. Teraz jednak wiem, dlaczego robiłem to właśnie tam, a nie gdzie indziej. Kierowało mną poczucie sprawiedliwości. Pamięta pan, doktorze, tę młodą, ładną nauczycielkę, która przed ośmiu laty uczyła mnie w szkole? Kochałem się w niej po kryjomu, szalałem za nią. Dniem i nocą przebywała w moich myślach, a miałem wtedy chyba trzynaście lat... Latem ojciec powiedział do matki, że widział ją na jeziorze w jachcie z jakimś wczasowiczem. Bezwstydnie pływała z nim nago. Któregoś dnia zauważyłem, że ich jacht przybił do brzegu koło tej polanki za pana domem. Pobiegłem tam co sił. Bezwstydnie naga leżała pod nim, nogi zadarła wysoko i podrzucała go na siebie, jak jeźdźca koń podrzuca podczas kłusu. Strasznie ten widok przeżyłem, bo ją kochałem. Gryzłem palce z zazdrości i płakałem ze wstrętu. Potem, ilekroć przychodziłem na tę polankę, stawał mi w oczach ten widok. Dlatego tam zaprowadziłem Haneczkę i tam ją zadusiłem. Z zemsty za tamten widok. Z poczucia sprawiedliwości. Ta nauczycielka zbrukała moją miłość.

Milczeli czas jakiś, potem doktor powiedział:

– Do sołtysa Wątrucha przyszedł list od rodziców i braci dziewczyny, którą zabiłeś w dole po sadzonkach. Pytali, czy wróciłeś do wioski i co tutaj robisz. Tak samo pytali o ciebie rodzice Anety Lipskiej z Bart. Pewnego dnia osaczą cię w tym młodniku, wykastrują, a potem powieszą.

– Wyjadę stąd.

– Dokąd? Kto cię przyjmie? Zapomniałeś, jaki los został zgotowany Kainowi? Tułaczem i biegunem będziesz, a gdzie się nie pojawisz, tam pojawi się również strach i gniew ludzki.

– Boję się śmierci, panie.

– Sam zabijałeś, więc to dla ciebie niewiele znaczy.

– Nie chcę się powiesić.

– Musisz.

– Boję się.

– One też się bały, a jednak umarły. Spróbujesz, jak to jest, gdy się umiera. Nie bywasz tego ciekawy?

– Bywam. Ale nie chcę sznura i pętli.

– Wszystko jedno jak się umiera, bo śmierć jest jedna. Wierz mi, wielu ludzi umarło na moich rękach, wielu ludziom towarzyszyłem w drodze do granicy, za którą serce bić przestaje.

– Niech mnie pan zastrzeli.

– Nie.

– Sam to zrobię. Proszę mi dać swoją strzelbę.

– To niemożliwe, Antek.

Doktor wyprostował się, potarł dłonią zdrętwiałe udo i łydkę. Gotował się do odejścia.

– Posłuchaj mnie uważnie, Antek. Cała moja wiedza lekarska mówi mi, że zbrodnie, jakie popełniłeś, prawdopodobnie wynikają z choroby duszy i umysłu, która cię być może od jakiegoś czasu trawi. W naszym kraju nie skazuje się na śmierć ludzi chorych, nawet jeśli ich czyny wołają o pomstę. Dlatego radzę ci: jedź do kapitana Śledzika, wyznaj swoje zbrodnie, wskaż miejsce, gdzie ukryłeś ciało Anety. Potem zbadają cię najlepsi lekarze od ludzkiego umysłu, ja również powiem o moich z tobą rozmowach, które ty potwierdzisz. Zamkną cię w specjalnym zakładzie, ale unikniesz śmierci.

Pasemko pogardliwie wzruszył ramionami i powiedział, że nie chce być uznany za wariata tylko dlatego, aby uniknąć śmierci.

– Nie, panie. Gdybym choć przez chwilę uwierzył, że swoje czyny popełniłem nie panując nad swoim umysłem, a więc nie były to czyny sprawiedliwe, powiesiłbym się sam na Świńskiej Łące. Sam sobie wymierzyłbym sprawiedliwość, bez potrzeby uciekania się do sprawiedliwości sądu. Ale ponieważ nie jestem wariatem, nie pójdę do kapitana Śledzika, nie przyznam się do swoich czynów, nie wskażę miejsca, gdzie leży trzecia dziewczyna. Ba – jeśli mi się przydarzy okazja, jeszcze raz wymierzę którejs

sprawiedliwość.

– Idź na Świńską Łąką – powiedział doktor.

Antek usiadł na ziemi, wyciągnął nogi, przymknął powieki.

– Nie – wyrzekł cicho.

– Musisz.

– Nigdy.

– Musisz.

– Nie.

Powtarzał wiele razy swoje „nie” i zdawało mu się, że słyszy wiele razy owo „musisz”, aż uświadomił sobie, że żaden obcy głos do niego nie dochodzi. Otworzył oczy i stwierdził, że doktora już nie ma na polanie, a on rozmawia z sobą samym.

O zmroku Antek Pasemko zapukał do domu Justyny, która przy mdłym świetle gołej żarówki prała bieliznę w balii postawionej na zydlach na środku izby. Po raz pierwszy Antek ujrzał ją bez czarnej chustki, w krótkiej spódnicy i w bluzce bez rękawów, głęboko rozciętej z przodu. Niemal poraziła go biel jej krągłych ramion i widok na wpół obnażonych piersi, które przy każdym pochyleniu nad balią poruszały się w bluzce jak dwie odrębne, choć bliźniacze istoty. A gdy mozolnie tarła bieliznę na metalowej tarze, sprawiały wrażenie, że za chwilę wyskoczą z dekoltu i zakołyszą się w powietrzu jak duże dzwony. Czy domyślała się, jak bardzo przejął go ten widok? Jak zabolęła go jej kobiecość, której nigdy nie chciał sobie wyobrazić? Udawała, że go nie dostrzega, nie przerwała prania, tarła bieliznę, a później ją wyżywała silnymi rękami, nie obdarzając go ani spojrzeniem, ani odrobiną uwagi. Nie miał nawet na czym usiąść, ponieważ zydle znajdowały się pod balią. Stanął więc w pobliżu drzwi i powiedział:

– Miałem przyjść po roku, tak jak się kiedyś umówiliśmy. Ale wydarzyło się tak wiele, z mojej i nie tylko mojej winy. Muszę wybrać: odejść stąd albo umrzeć. Sam odejść nie potrafię, więc przyszedłem po ciebie. Chcę dziś usłyszeć twoje „tak” lub „nie”.

Nie przerywała roboty, nie odezwała się. To go zachęciło, aby mówić dalej:

– Jesteś inną niż wszystkie kobiety, Justyno. Czuję, że rozumiesz, dlaczego musiałem tamte zabić w tak okrutny sposób. One zohydzały miłość, brukały takie kobiety jak ty, piękne i czyste. Zabijałem je, aby objawione zostało twoje piękno niewinne i niepokalane. Aż strach mnie przenika, gdy pomyślę, że i tamte również nazywano kobietami. Jak można nie odróżniać tworu Szatana od tworu Boga?

– Kazałam ci przynieść Kłobuka – przerwała mu ze złością. – Nie zrobiłeś tego. Dlatego możesz iść precz.

Wypuściła z rąk poszewkę zwiniętą w gruby sznur. Otarła dłonie o spódnicę. – Miałam swojego Kłobuka – wyznała z żalem Antkowi. – Złapałam go po deszczu i zaniósłam na strych. Karmiłam, głaskałam, prosiłam, aby spełnił moje życzenia. Ale on uciekł. I wciąż jestem pusta.

Złożyła dłonie na brzuchu, jakby w nim ból owej pustki wyraźnie odczuwała. A jemu śmiać się zachciało, że słyszy od niej o takich głupstwach, gdy przyszedł do niej po życie albo po śmierć.

– Nie wierz w Kłobuki. Nie mają żadnej mocy – oświadczył drwiąco i zaraz pożałował swoich słów. Bo jej oczy, jak mu się zdawało, aż pociemniały od gniewu.

– Kłamiesz! – podniosła głos. – Miałam swojego Kłobuka i spełnił jedną moją prośbę. Ale uciekł i drugiej już nie chciał spełniać. Teraz znowu noc w noc widzę go na belce w oborze, jak spada na mnie i wypełnia swoim nasieniem. To jednak tylko sen. Daj mi Kłobuka, tak jak ci to rozkazałam. Chcę jego nasienia.

– Co ty mówisz? To głupie – zaczął.

– Głupie? – podchwyciła i wyprostowawszy zgarbione nad balią plecy wyciągnęła do Antka prawą dłoń z palcami ułożonymi w miseczkę.

– Daj mi jego nasienie, słyszysz?! – rozkrzyczała się. – Daj mi lub idź precz! Na co czekasz?!

I ruszyła wolno ku niemu. Dłoń straciła kształt miseczki, palce rozczapierzyły się. Teraz już obydwiema rękami zdawała się drapieżnie sięgać do jego twarzy, aż przerażony cofnął się. Po omacku uchwycił klamkę, otworzył drzwi i wybiegł w mrok gnany strachem przed czymś groźniejszym niż śmierć w pętli na Świńskiej Łące.

O TYM, JAK DOKTOR NIEGŁOWICZ WYBRAŁ SIĘ W PODRÓŻ

Doktor Jan Krystian Niegłowicz zaparkował samochód przed międzynarodowym dworcem lotniczym, opłacił parking na cztery doby z góry i około godziny dziewiątej rano wszedł do holu dworca, trzymając w dłoni małą walizeczkę podróżną. Do odlotu samolotu „Lufthansy” do Kopenhagi pozostawało jeszcze półtorej godziny, przez chwilę doktor bezradnie rozglądał się po holu, następnie na tablicy świetlnej jeszcze raz sprawdził godzinę swego odlotu, przyjrzał się z daleka pracy w boksach odprawy paszportowej i celnej, a następnie poszedł na piętro do restauracji. Znalazł wolny stolik koło przeszklonej ściany, za którą widać było sylwetki znieruchomiłych samolotów i

rozległą betonową płytę lotniska, zamówił kawę i kilka kanapek z serem.

W restauracji siedziało wielu cudzoziemców i słychać było rozmowy w najróżniejszych językach. Pachniało cygarami, ciemnoskóra kobieta w barwnym sari, siedząca przy sąsiednim stoliku, roztaczała woń egzotycznych perfum. Doktor z przyjemnością wdychał te niezwykle zapachy, przypominając sobie, że dla pani Basieńki ma kupić perfumy Niny Ricci, zasłuchał się także w ów szumiący obok niego wodosпад słów w obcej mowie. Co jakiś czas w ten miły szmer wpadał ostry i władczy głos gdzieś spod sufitu, informujący o terminach przylotów i odlotów, numerach rejsów, konieczności szybkiego poddania się kontroli celnej i paszportowej. Od czasu do czasu dworcem wstrząsał huk silników – to kołował odlatujący lub przylatujący samolot. W takich chwilach doktor zasłaniał uszy dłońmi, gdyż nawykł do ciszy. Zastanawiał się wówczas, czy nie przyszło mu zbyt wysokiej ceny płacić za podróż na koncert Joachima; będzie musiał znosić hałas, oglądać ulice obcego wielkiego miasta, rozmawiać z nieznanymi ludźmi – i już teraz na samą myśl o tym odczuwał lekkie zmęczenie. Ożywił się, gdy przeszła obok niego i usiadła w pobliżu młoda kobieta w futrze z szynszylki i o tak delikatnej i pięknej twarzy, że wydawała się być sztucznie wyhodowanym przedziwnym kwiatem. Miała szyję owiązaną sznurem pereł – doktor zastanowił się, czy Antek Pasemko ukorzyłby się przed tą delikatną piękną, czy też, podobnie jak to uczynił z Haneczką, chwyciłby w swe dłonie jej cienką szyję, zdusił oddech, połamał kolanami żebra. Kobieta pachniała piżmem, głowa z gładkim i nieco wypukłym czołem zdawała się kryć tylko myśli piękne i szlachetne. Palce z paznokciami pokrytymi perłowym lakierem ostrożnie dotknęły uszka filiżanki z herbatą. Pełne, ale drobne usta również pokryte odrobiną perłowej szminki łyknęły nieco płynu z filiżanki; ogromne oczy z rzęsami sterczącymi jak druciki popatrzyły gdzieś w sine niebo za przeszkloną ścianą restauracji. Na Niegłowiczu sprawiła wrażenie istoty utkanej z blasku księżyca, nierealnej a zarazem cielesnej; kłaść się z nią do łóżka to byłoby tak, jak gdyby lec obok egzotycznego kwiatu. Czy była przez ową delikatność i sztuczność bardziej pociągająca od innych? Doktor zapragnął nagle usiąść tuż przed nią i zmącić jej spokój opowieścią o żyjącym na wyrku w oborze Antku Pasemce, o smrodzie rozkładających się zwłok zabitych przez niego dziewcząt, o przemijaniu urody, o bólu i cierpieniu jakie niesie choroba. Być może warto by było opowiedzieć jej o tym, jak łatwo kobieta traci dumę, o Ruth Miller, niegdyś tak młodej i pięknej, a teraz starej i brzydkiej, z twarzą czarną, jakby w zmarszczki wrósł brud, – z kosmykami ni to siwych, ni to czarnych włosów, przygarbionej, z drżącymi rękami i ochrypłym głosem.

...Zabręczała cichutko przeszklona ściana, ogromny odrzutowiec kołował wolno

na pas startowy, a potem z ogłuszającym i pochłaniającym wszystkie dźwięki hałasem wznosił się ciężko w górę i stromo skierował w niebo. Czy nie zbliżała się już pora, aby opuścić restaurację i takim samym odrzutowcem wznieść się w sine niebo?

Przedwczoraj Ruth Miller przysłała do domu doktora na półwyspie i usiadła przy wielkim stole w salonie. Ręce trzymała na kolanach i tylko nerwowo zginała palce. „Haneczka gnije, a jej zabójca chodzi na wolności i śmieje się nam w twarze. Gdzie jest sprawiedliwość, Janku? Była piękna, jak i ja w młodości. Wiem, że często przychodziła do ciebie na przystań, bo budziła się w niej kobieta i chciała cię skusić jak Ewa. Nie powiedziałabym złego słowa, gdybyś ją kiedyś wykorzystał, ponieważ zrobiłbyś to jak mężczyzna, jak twój ojciec to zrobił ze mną i innymi dziewczynami. Ale on jej nie dał rozkoszy, tylko zadał cierpienie i śmierć, udusił i złamał żebra, palce wyłamał ze stawów. Gdzie jest sprawiedliwość, Janku?”

„Nie udowodniono mu zbrodni. Prawo go chroni” – stwierdził doktor.

Ruth Miller mówiła, bębniąc palcami po stole:

„Kiedyś, Janku, nie było tu prawa. Nie mieliśmy nawet posterunku milicji w Trumiejkach. Ten, kto szukał prawa, musiał jechać aż do Bart. Daleka to się wtedy wydawała droga i niebezpieczna. Brakowało prawa, niewielu było u nas jego przedstawicieli, dlatego działo się wiele złych rzeczy. Zabijano, gwałcono, zabierano bydło i świnie, silniejszy chciał zawładnąć słabszym. Dlatego ten, który czuł się skrzywdzony, szedł tutaj, na półwysep, do tego domu i siedział tak jak ja teraz, przy tym samym stole. Tylko że zamiast ciebie mieszkał tutaj twój ojciec, chorąży Niegłowicz. Wysłuchiwał skargi, a potem zapinał na brzuchu stary pas z wielkim wojskowym pistoletem i szedł, aby wymierzać sprawiedliwość. Odbierał skradzione krowy, ochraniał słabych przed silniejszym. To on zabił pewnego marudera za to, że tamten ukradł dwie kury. To w jego domu schroniliśmy się, gdy przysłała do wioski banda brodacza i zginął twój brat. To on zachęcił mnie, abym odeszła z domu Otto Szulca, gdzie byłam za służącą i ścierkę, dał mi dom, w którym teraz mieszkam, otoczył opieką, pożyczał swoje konie do orki i żniw, chciał mi przywrócić dawną dumę. Nie było wtedy u nas prawa, Janku, ale panowała sprawiedliwość. I to było także sprawiedliwe, że kiedy zachorowała twoja matka, dawałyśmy mu to, co każda mogła mu dać; swoje ciało i swoje łóżko. Nie gwałcił, nie żądał, nie prosił. Dostawał, jak powinien dostać od kobiety mężczyzna, który ją ochrania przed złem. Niewiele o tym wiesz, bo byłeś młody, a potem ciągle w szkołach. Ale wielu się zrodziło z nasienia twojego ojca. Moja druga córka, ta która wyszła za mąż i wyjechała w świat, z twojego ojca się poczęła, jest twoją przyrodnią siostrą. Możesz być z niej dumny, Janku, bo daleko w

świecie jest nauczycielką, ładną i mądrą kobietą. Jak słyszysz, nie było u nas prawa, ale panowała sprawiedliwość. Teraz zaś mamy prawo i stróżów prawa, gdzież jest jednak sprawiedliwość? Dlaczego Haneczka leży na cmentarzu, a Antek Pasemko czyści młodnik, je, pije, oddycha, chodzi po ziemi? Potrafisz to znieść? Potrafisz z tym żyć? Ty, syn chorążego, który był człowiekiem sprawiedliwym? A zresztą, czy syn musi być podobny do ojca? Być może nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak wiele uczynił on dla prawdziwej sprawiedliwości...

– Uwaga! – władcym tonem odezwał się głośnik. – Pasażerowie odlatujący samolotem „Lufthansy” do Kopenhagi, rejs numer dwadzieścia siedem, proszeni są o zgłoszenie się w przejściu numer cztery i numer pięć, w celu odbycia kontroli paszportowej i celnej...

Doktor przymknął oczy. Nawet jeszcze teraz nie mógł ochłonąć ze zdumienia, że tak mało wiedział o ludziach ze wsi i o własnym ojcu. Ta malutka i ładniutka Anemarie Miller, która mówiła mu „dzień dobry”, gdy ją spotykał podczas wakacji – okazała się jego przyrodnią siostrą. Już był lekarzem w Skiroławkach, gdy ukończyła pedagogikę i wyszła za mąż za cudzoziemca. Wysoka, ładna blondynka, wciąż roześmiana. Tak, nawet bawił się na jej weselu, tańczył, pił, śpiewał. Przyproceedził ze sobą małego Joachima, a ona w swej białej sukni weselnej chwyciła dziecko na ręce, podniosła do góry i kręciła się z nim długo. A więc nie tylko Gertruda, lecz także Ruth Miller... Być może także stara Jastrzębska, którą jeszcze pamiętał jako dorodną kobietę. Może matka Marii Porowej? Też ładna kobieta. Może żona sołtysa Wątrucha, żona gajowego Widłaga, gruba Zosia, która kiedyś była ładną okrągłutką panienką i nosiła nazwisko... Nie, już nie pamięta jej panieńskiego nazwiska. Jakie to zresztą miało znaczenie? Życie przypominało ich stary młyn, ów młyn raz w roku.

Ruth Miller mówiła:

„Nie wyobrażasz sobie jak łatwo kobiecie odebrać dumę. Nie wiesz wszystkiego o życiu, choć jesteś lekarzem i wiele przeżyłeś. Pamiętasz tylko ruiny naszego, Millerów, gospodarstwa pod lasem. Spalił je, jak wiele innych domów, Szczepan Łaryn. Mieliliśmy, Janku największe gospodarstwo w okolicy, prawie dwór. Teraz tam rośnie las. Miałam szesnaście lat, Janku, i nie było piękniejszej i bardziej dumnej dziewczyny w całej okolicy. Ojciec zginął na froncie wschodnim, brat walczył na zachodnim, zamiast nich otrzymaliśmy niewolników do pracy, mężczyzn i kobiety. Chodziłam w długich butach i w bryczesach, dosiadałam konia i doglądałam roboty z wysokości końskiego siodła. Biłam niewolników szpicrutą za byle niedopatrzanie. Szczepan Łaryn też był tu niewolnikiem, ale u księcia Reussa w Trumiejkach. Nie dziwię się, że spalił i nasz

dom jak wiele innych. Tak, byłam dumna. Aż przyszła taka chwila, gdy kazali nam opuścić wieś i ruszyć w świat. Załadowałam dwa pełne wozy dobytku, na kozłach posadziłam niewolników. Matka i moja młodsza siostra pojechały w pierwszym wozie. To było zimą. Przygotowałam swego konia, siodło, ciepłą burkę, futrzane rękawice. I pozostałam jeszcze dwie godziny, aby zakopać w ziemi słoiki z mięsem, których nie zdołaliśmy zabrać ze sobą. Z początku chciałam je zatruć, ale nie znalazłam trutki na szczury. Zakopałam więc te słoiki i konno ruszyłam w ślad za naszymi wozami. Pomyśl, tylko dwie godziny opóźnienia, a już ich nigdy nie dogoniłam. Na wąskich drogach, noga za nogą, ciągnęły tysiące takich samych wozów, spychanych do rowów przez czołgi jadące na front. Niektóre wozy przebyły dziesiątki kilometrów, umierały na nich dzieci i starcy, ciała układano w rowach strzeleckich w pobliżu drogi. Nikt ich nie zakopywał, nie znajdowano na to czasu, nikt nie mógł się zatrzymać w kolumnie jadących wolno wozów, gdyż natychmiast tarasował drogę. Zdychały konie, porzucano wozy z dobytkiem, w zrujnowanych i palących się miasteczkach ludnie grzali się przy ogniskach podsycanych porąbanymi krzesłami. Gnałam na swym koniu, z początku nie zwracając uwagi na ciała zmarłych. Ale po dwóch dniach zaczęłam się niepokoić i od czasu do czasu zaglądałam w poźółkłe i oszronione twarze zmarłych na poboczu drogi. Swoich nie znalazłam. Ale widziałam żonę kowala Malawki i jego dzieci z nóżkami rozjechanymi przez gąsienicę czołgu. Nigdy mu o tym nie powiedziałam, on jednak domyśla się wszystkiego i dlatego do nikogo nic nie mówi. Pędziłam potem jak szalona, przez ośnieżone pola i lasy, byle dalej i dalej od huku dział, które były coraz bliżej i bliżej. W pewnej wiosce chciałam ogrzać się przy rozpalonym obok drogi ognisku i wtedy jakiś kulawy mężczyzna zerwał mi z rąk futrzane rękawice. Jak można trzymać wodze w dłoniach bez rękawiczek, kiedy jest mróz, wiatr, zadymka i wszędzie biała pustka, a na drogach wciąż ciągną wozy z umierającymi ludźmi? Oddałam konia za miejsce w wojskowej ciężarówce, gdzie już było kilka młodych dziewcząt i gromada żołnierzy. Na pierwszym postoju, nocą, gwałcili nas po kolei. Potem gwałcili mnie wiele razy, oni i inni. To nawet nie był gwałt, Janku. Straciłam dumę już wtedy, gdy mi zabrano futrzane rękawiczki. Wystarczyło, że ktoś na mnie kiwnął palcem albo mi pogroził i ód razu się kładłam. Nawet nie wiem, dlaczego to robiłam, czy ze strachu, czy z braku dumy? Czy za miejsce przy ognisku, czy za talerz zupy, albo kęs chleba. To straszne, kiedy kobieta straci dumę i miota nią strach o życie. Ona sama nadstawia się, jakby to była jej jedyna obrona. Ona sama szuka tego, kto ją zechce wykorzystać i da przez chwilę obietnicę dalszego życia. Po krótkiej walce, którą przeczekaliśmy w piwnicy zrujnowanego domu, znowu jechały czołgi i żołnierze na czołgach, ale były

to już inne czołgi i inni żołnierze. Bałam się ruszyć z piwnicy jak inni. Wziął mnie do siebie stary szewc, gotowałam mu zupę z chleba, nocami grzałam go, a on ogrzewał mnie, miętosząc moje piersi i trzymając palec między moimi nogami. Po dwóch miesiącach odważyłam się powrócić do Skiroławek. Byłam wygłodniała i obdarta, w ciąży nie wiadomo z kim. Przyjął mnie Otto Szulc, któremu zabito żonę. Pracowałam u niego, urodziłam dziecko, byłam mu za służącą i kochankę. Dostawałam ubranie, jedzenie dla siebie i dziecka. Nie było jednak mowy o żadnej dumie kobiecej. Pewnego razu przyszedł jakiś mężczyzna i zaproponował Szulcowi konia za krowę i dopłatę. Zobaczył mnie i ja miałam być tą dopłatą. Otto kazał mi wieczorem pójść do tego mężczyzny, do jego łóżka. Zrobiłam tak jak mi kazał, a nazajutrz Otto powiedział mi: «Ty głupia dziwko. Masz bękarta i kładziesz się z każdym. Myślisz, że zrobię z ciebie żonę i gospodynię? Rają mi kobietę cnotliwą i równie jak ty młodą. Wynos się z mojego domu, gdyż ona ciebie u mnie nie zniesie.» Postąpił ze mną tak, jak ów Lewita z «Księgi sędziów», oddając mnie na poharbienie jako swoją nałożnicę, a potem rozrąbał na dwanaście części. Co miałam wówczas uczynić, Janku, kobieta bez dumy, z bękartem na rękę? Mieszkał już wtedy twój ojciec w domu na półwyspie, chorąży Niegłowicz. Do niego poszłam na skargę. «Ukarz, panie, Otto Szulca, bo on za konia namówił mnie do złego z obcym człowiekiem, a potem za to wypędził z domu». Chorąży mi powiedział: «Nie mogę go za to ukarać, Ruth, bo koń dla niego jest teraz ważniejszy od kobiety. Nie mogę też zmusić go, aby cię kochał. Za ścierkę mu byłaś i jak ścierkę cię potraktował.

Dlatego tylko w tym ci mogę pomóc, abyś odzyskała kobiecą dumę.» Dużo było wtedy w naszej wiosce opuszczonych domów, z powybijanymi szybami i wyrwanymi drzwiami. Do takiego domu zaprowadził mnie twój ojciec. To była dawna chałupa drwała Kneipsa, z którym nie wiadomo co się stało. Pamiętasz, że razem z ojcem i twoim starszym bratem wstawialiście szyby do dwóch okien mojego nowego domu, do drzwi dorobiliście zamek i przywieźliście drewna do palenia w piecu. Przy tym domu było pięć hektarów ziemi. Wasze konie i koń Otto Szulca, bo tak przykazał twój ojciec wedle sprawiedliwości, zorały mi pod jesień całą ziemię. Krowę potem dostałam od władz, chodziłam przez zimę do ludzi pracować, a na jesień już miałam wszystko własne. Ziemniaki, zboże, mleko dla dziecka i na sprzedaż. Odzyskałam też trochę dawnej dumy. Pukał do moich drzwi Otto Szulc, ale moja duma go odpawiła. Pukali i inni, nawet Łaryn, ale mu pogroziłam chorązym. On też do mnie czasem pukał... i jemu otwierałam. Ale nigdy się nie dowiedział, że od niego mam drugie dziecko. Bo zaraz potem wyszłam za mąż za tego, co u mnie zamieszkał i pracował w lesie. Po nim do dziś biorę rentę, z nim miałam Haneczkę i dwie starsze od niej córki, które

też dobrze znasz, Janku. Ale Haneczka była najpiękniejsza i najukochańsza. Powiedz, dlaczego ona leży na cmentarzu, a Antek Pasemko oddycha pełną piersią? Po co nam tutaj prawo, jeśli nie przynosi z sobą sprawiedliwości? Czy nie widziałeś kwiatów na grobie twojego ojca? To nie ty je tam położyłeś, ale obcy ludzie. Za dziesięć dni nastąpi Dzień Zaduszny, zapalisz lampkę na płycie jego grobu, lecz te kwiaty nie są od ciebie. Nie jestem już taka dumna, jak kiedyś, ani też taka dumna jak kilkanaście lat temu. Ale tyle mi tej dumy pozostało, aby przyjść i prosić cię, Janku, o sprawiedliwość. W imię twojego ojca. Niech zadość się stanie sprawiedliwości”.

– „Pasażerowie: Kurt Kersten i Jan Niegłowicz, odlatujący do Kopenhagi, rejs numer dwadzieścia siedem, proszeni są o przyśpieszenie załatwiania formalności paszportowych i celnych...”

Głośnik powtarzał tę samą informację jeszcze w trzech językach, doktor jednak nie słuchał. Znowu przymknął powieki, przywołując z pamięci obraz wioskowego cmentarza, który mijał powracając z Trumiejek. Między grobami kręciło się kilka kobiet – grabiły zeschnięte liście, wycinały krzaki, prostowały drewniane krzyże, tak jak to zwykły czynić na długo przed Świętem Zmarłych. Na płycie grobowej chorążego Niegłowicza nawet z drogi widać było pęk białych chryzantem. Kto je tam położył? Jakaś kobieca czy męska ręka? W czyimś ogródku rosły białe chryzantemy? Chyba jedynie u sołtysa Jonasza Wątrucha, bo na pewno nie u Gertrudy Makuch. Ona też przed Dniem Zaduszny uplecie wieniec ze świerkowych gałązek, przewiąże go czerwoną wstążką i zanieś na grób chorążego. Dla Jana Krystiana przygotowuje kilka małych wianuszków z rozchodnika i nieśmiertelników, aby w ów dzień poświęcony zmarłym zaniósł je do alabastrowej urny, położył delikatnie na płycie grobu ojca, matki, brata, stryja. Będą też oczywiście kolorowe lampki i duże znicze kupiła je Makuchowa w Bartach, ona zawsze o takich sprawach pamięta. Białe chryzantemy na płycie chorążego mogły świadczyć, że między chorążym i Jonaszem Wątruchem istniały w przeszłości jakieś bardzo silne więzi, coś się między nimi zdarzyło, coś ich złączyło i pozostawiło po sobie wdzięczną pamięć. A może ktoś kupił te kwiaty od Wątrucha, albo po prostu zerwał za jego zgodą i zaniósł na cmentarz? Nie będzie o to nikogo pytał, o wielu sprawach, które działy się w tej wiosce i tak się nie dowie, nie przeniknie nigdy do ludzkich serc i do ludzkiej pamięci. Przecież to dopiero teraz usłyszał, że Anemarie Miller była jego przyrodnią siostrą. Również i dla Joachima wiele spraw o jego ojcu pozostanie na zawsze tajemnicą. Każdy, kto dłużej żyje wśród innych ludzi, wiąże się z nimi niewidzialnymi dla obcych oczu nićmi przyjaźni i wrogości. Nikt nie zdoła tych nici wypleść z przeszłości i nawinąć je na motek, bo będą się raz po raz rwały, plątały,

aż się zniechęci. Jaka zresztą korzyść byłaby z takiego motka? Jak można ocenić i zrozumieć więzi oraz uczynki tych, co żyli przed nami, w zupełnie innym czasie? Otto Szulc zabił człowieka dla kromki chleba, Ruth Miller kładła się pod każdym, kto jej palcem pogroził, chorąży Niegłowicz był sprawiedliwy, ponieważ zapinał na brzuchu wojskowy pas z wielkim pistoletem i szedł zabić złodzieja dwóch kur, koń był cenniejszy od kobiety, futrzane rękawiczki odbierały dumę.

„Zabij go – prosiła Ruth Miller. – Uczyni sprawiedliwość. Weź strzelbę i zabij go w młodniku. Nikt we wsi nie powie o tobie złego słowa, ludzie zakopią go bez świadków. Tak uczyniłby twój ojciec”.

Niegłowicz uśmiechnął się lekko. Ruth Miller nie rozumie, że wszystko się zmieniło, w wiosce mieszkają teraz inni ludzie: leśniczy Turlej i jego żona, malarz Porwasz, pisarz Lubiński i pani Basienka. Co powiedziałyby Lubiński, gdyby dowiedział się o zastrzeleniu Antka Pasemki? Na jakich szalach odważałby ciężar winy doktora i ciężar winy Pasemki? Dla niego doktor byłby takim samym zbrodniarzem jak krwiozerczy Antek. Co powiedziałyby Joachim o uczynku ojca? Na grób doktora nikt nie przyniósłby pęku białych chryzantem, gdyż zapanowało prawo, a ten co je łamie, czy może być człowiekiem sprawiedliwym?

„Zabij go – prosiła Ruth Miller. – chyba nie zapomniałeś o połamanych kościach mojej Haneczki? A o tej dziewczynie, którą znaleziono w dole po sadzonkach? Pomyśl o moim bólu i o cierpieniach rodziców tamtej dziewczyny. On przecież będzie dalej zabijał, dopóki mu nikt winy nie dowiedzie. Powiadam ci, Janku, że jeśli nie uczynisz sprawiedliwości i będziesz go widywał tak, jak mnie teraz widzisz, nie potrafisz jeść i spać, przestanie ci smakować ciało kobiety. Czyż nie staje się zbrodniarzem także i ten, który zbrodniarza ochrania? I czy na świecie istnieje tylko prawo zawarte w książkach, a nie ma żadnego innego, takiego, które jest w nas samych i każe czynić sprawiedliwość?”

Doktorowi przypomniła się pobladła twarz Antka Pasemki, widział jego wykrzywione drwiąco usta, słyszał szyderstwo w głosie: „Panu wyjawię, że leży tam, gdzie deszcz na nią nie pada, słońko jej niż przygrzewa, lisy jej kości nie rozwłóczą. Mogę ją zobaczyć w każdej chwili, ale już nie ma co oglądać.” Co mogło pozostać przez półtora roku z dziewczynki, która chciała się ochłodzić w jeziorze z dala od oczu kolegów i koleżanek? Dokąd zaciągnął jej ciało? Gdzie było takie miejsce, na które nie padał deszcz, gdzie słońko nie przygrzewało, lisy nie mogły rozciągnąć kości, a on w każdej chwili był w stanie je zobaczyć?

Wydawało się doktorowi, że szybkim krokiem idzie przez las drogą od swego

domu. Przedziera się przez krzaki, rękami rozgarnia gałęzie i coraz bardziej zagłębia się w mroczny gąszcz. Niemal czuł na swej twarzy bolesne uderzenia ostrych witek. Dlaczego zapomniał o miejscu, gdzie przed dwudziestu laty chował drygawicę, z którą jako chłopak kłusował na jeziorze? Pozostała tam jeszcze, spróchniała, rozsypująca się. Pewnego dnia przestał kłusować, więcej po nią nie poszedł.

– Pasażer Jan Niegłowicz, odlatujący do Kopenhagi rejssem numer dwadzieścia siedem proszony jest o natychmiastowe zgłoszenie się do odprawy paszportowej i celnej. Powtarzam: pasażer Jan Niegłowicz...

– Tamten drugi się znalazł. A ten zapewne siedzi w ubikacji i trzyma się za brzuch. To się zdarza przed odlotem. Ale samolot nie będzie na niego czekał. Maszyny Lufthansy” odlatują bardzo punktualnie.

To mówiła dziewczyna, która przysiadła się do stolika Niegłowicza. Jak długo już tu była? Nie zauważył jej, podobnie jak uszedł jego uwadze fakt, że zniknęła kobieta w szynszylach, podobna do sztucznie wyhodowanego kwiatu. Nie pachniało też cygarami i piżmem. Od dziewczyny zalatywało tandetnymi perfumami.

– Nie musiał przecież lecieć samolotem, pociąg też dobry, prawda, proszę pana? Zresztą może przed odlotem upił się i leży w domu? Bo przecież chyba nie zapomniał, że miał lecieć do Kopenhagi?

– Może być niezliczona ilość przyczyn, dla których ktoś rezygnuje z lotu albo się spóźnia – powiedział Niegłowicz.

Głośnik znowu oznajmił w trzech językach: – Pasażer Jan Niegłowicz proszony jest...

Dziewczyna miała chyba nie więcej niż szesnaście lat. Mimo zbyt płaskiej i szerokiej twarzy wydawała się ładną. Nie była umalowana, ale tani lodenowy płaszczek, który rozpięła ukazując przykrótką spódniczkę i kolana w cienkich rajstopach, nieco wyzywający sposób w jaki siedziała, uwidaczniając także uda, nie pozostawiał wątpliwości, czym się zajmowała.

– To może być jakiś wariat, proszę pana – założyła nogę na nogę, jedno kolano wystawiając poza powierzchnię stołu. – Chciał lecieć do Kopenhagi, kupił bilet i nagle mu się odwidziało. Pan nawet nie wie, ilu na świecie jest wariatów, którzy wyglądają na normalnych ludzi. Załatwiają sobie paszporty, kupują bilety, chcą gdzieś lecieć. Ale nie lecą. O, samolot „Lufthansy” już się szykuje do startu. To ten, tam, trzeci po prawej stronie...

– Pani tu pracuje? – zapytał uprzejmie.

– Nie. Ale często kogoś odprowadzam. I lubię tu przychodzić. Na dworcu lotniczym

można spotkać ciekawych ludzi. Dlatego tak się znam na samolotach. Wiem nawet co dają jeść na linii niemieckiej, holenderskiej, francuskiej, indyjskiej...

– Latała pani?

Nie. Jeszcze nie – dodała, ostrożnie dotykając palcami ciemnoblonde włosy, krótko uciętych i chyba dopiero co ułożonych u fryzjera. – A pan?

– Chciałem lecieć do Kopenhagi właśnie tym samolotem. Zabrakło miejsc. – To przez tego wariata, którego szukano przez głośnik. Gdyby się był od razu zdecydował nie lecieć, pan dostałby miejsce i teraz siedziałby pan w tamtej maszynie. O, niech pan patrzy. Odjeżdżają schody, włączono silniki. Siedziałby pan teraz przy którymś z tych okrągłych okienek. I on nie poleciał, i pan także. Wariat, prawda?

– Niekoniecznie.

– Nie kupuje się biletu na samolot jak na seans do kina. – Mógł mu ktoś bliski nagle zachorować...

– No tak. Ma pan rację.

– Albo okazało się, że musi pozostać, aby załatwić jakąś bardzo ważną sprawę.

– Owszem. Ale mógł to być także wariat. Pan nawet nie domyśla się, ilu wariatów chodzi po świecie. Mężczyźni mało o tym wiedzą. Co innego dziewczyna. Poznaje człowieka i myśli, że jest taki jak wszyscy, bo wygląda jak wszyscy. Potem okazuje się, że to wariat. Zamyka drzwi na klucz, bije dziewczynę, szarpie za włosy. Albo każe się bić. O, niech pan spojrzy. Już kołuje na pas i będzie czekał na pozwolenie odlotu. I co pan teraz zrobi? Kiedy ma pan następny samolot?

– Nie wiem. Jeszcze nie pytałem. – A dolary pan ma?

– Tak.

– To możemy gdzieś razem pójść.

– Gdzie?

– Do hotelu. Choćby do tego tutaj, przy dworcu lotniczym.

– Nie ma miejsc. W innych hotelach też brakuje wolnych pokoi. Przyjechałem tu z głębi kraju. Uprzednio telefonowałem do kilku hoteli, żeby sobie załatwić nocleg. Odpowiadali odmownie.

– Bo pan nie ma znajomości. O, dostał pozwolenie na start, rusza. Coraz szybciej, pan widzi? Jeszcze trochę po pasie i już... niech pan spojrzy... Przeszkłona ściana zabręczała od huku wznoszącego się samolotu.

– Ma pan dolary i paszport?

– Tak.

– No to o co chodzi? Niech mi pan da paszport, a załatwię dla pana pokój w hotelu

obok. Mam tam znajomego. Ja biorę tylko w dolarach. Chce pan? Podniósł się od stolika, ona także. Wziął do ręki mały nesoser.

– To cały pana bagaż? – zdziwiła się.

– Walizkę mam w przechowalni.

– To jasne – kiwnęła głową. – Na jak długo załatwić panu pokój?

– Na trzy doby.

Była drobna i niewysoka, sięgała mu zaledwie do ramienia. Wyszli przed dworzec i poprowadziła go do pobliskiego dwupiętrowego budynku z napisem „Hotel”. W holu było dość tłoczno, gromadka podróżnych oblegała kantor recepcji. Dziewczyna wzięła od doktora paszport i zniknęła w bocznych drzwiach do kantoru. Doktor znalazł samotny pusty fotel i rozsiadł się w nim wygodnie. Zapalił papierosa i zabawiał się myślą, że oto dziewczyna uciekła z jego paszportem. Na pewno istniał czarny rynek handlu ukradzionymi paszportami i chyba wiele płacono za taki dokument.

Po dziesięciu minutach wróciła. Gdy szła ku niemu w swym rozpiętym płaszczu lodenowym, stwierdził, że ma trochę za grube nogi. W paszporcie była już karta hotelowa, podała mu także klucz z numerem 104.

Załatwiałam tak długo, bo od razu pana zameldowali. Pan jest pasażerem, który nie odleciał do Kopenhagi.

Tak. Wyczytałam nazwisko z pana paszportu. I ma pan wizę duńską. Dlaczego pan nie polecał?

– Boję się lotu. Może pojedę pociągiem? A może przywyknę tutaj do samolotów.

Pan kłamie. Ale mnie jest wszystko jedno.

Wzięła go pod rękę i po niskich schodach weszli na pierwsze piętro. Jego pokój był czwarty po lewej stronie. Krótki korytarzyk z wejściem do łazienki z muszlą klozetową. Wąski pokoik z niskim tapczanem i biureczkiem pod oknem, szafą w ścianie.

Nesoser postawił na biurko, zdjął z siebie futrzaną kurtkę i powiesił ją w szafie. Dziewczyna nie zdejmowała płaszcza, jak gdyby czegoś się obawiała. – Może pan jest też trochę wariatem – powiedziała.

– Nie ma obawy – z roztargnieniem spojrzął w okno, które wychodziło na ślepą ścianę dworca lotniczego. Na chwilę szyby zabrzęczały – na pobliski pas startowy siadał chyba jakiś potężny odrzutowiec.

Doktor pomacał się po kieszeniach welwetowego garnituru.

– Nie mam prezerwatyw – stwierdził. – A bez nich tego nie zrobię. Jak ci na imię, mała?

– Nazywają mnie „Pszczółka”. Bo nie hulam, ale oszczędzam. Kiedyś kupię sobie

duże ładne mieszkanie. Pójdzie pan po prezerwatywy? Są w kiosku na dworcu.

– A może ty to zrobisz? Jestem trochę zmęczony – zaproponował. Kiwnęła głową, że się zgadza. Wręczył jej złożony we czworo banknot. Zaciśnęła go w dłoni i wyszła, ale na korytarzu rozwinęła banknot i stwierdziła, że to pięćdziesiąt dolarów. „A jednak wariat” – pomyślała. Wyszła przed dworzec i gwizdnęła na taksówkę. „Wariat, oczywisty wariat” – przekonywała samą siebie.

Była godzina jedenasta rano.

O TYM, JAK NA POLANIE POJAWIŁ SIĘ BRAT SNU

W środku nocy Antka Pasemkę obudził łoskot odrzutowca, który leciał bardzo wysoko. Był to jakiś bardzo wielki samolot, najpewniej ogromny pasażerski odrzutowiec, bo mimo że znajdował się tak wysoko, szyby w oborze leciuteńko zabrzęczały i to właśnie obudziło Antka. Ostatnio zresztą sen miał Pasemko bardzo lekki, podobny do rozrzedzonej mgły; to wchodził w nią i na krótką chwilę tracił świadomość tego, co się wokół niego dzieje, to znów raptownie budziła go jawa, rozumiał, gdzie jest, słyszał każdy szelest za ścianą, westchnienia i stęknienia krów, które od kilku dni matka na noc zaganiała do obory. Po raptownym wyjściu na jawę zazwyczaj nie mógł długo zasnąć, niekiedy czuwał aż do świtu. Do pracy w lesie szedł zmęczony i otepiały.

Słyszając łoskot samolotu Antek pomyślał, że to doktor Niegłowicz leci w świat, aby posłuchać koncertu syna. Zapowiedział to podczas ich ostatniego spotkania na polance przy starym dębie; mówił, że powróci za cztery albo pięć dni, ale wówczas Antka już chyba nie będzie, więc to jest pożegnanie. Nietrudno było zgadnąć, co miał na myśli – Antek sam się powiesi na drzewie koło Świńskiej Łąki albo też zatłuką go gdzieś w lesie jacyś ludzie, uprzednio kastrując, łamiąc żebra i palce. Przedwczoraj koło południa zobaczył Antek na drodze obok młodnika dwóch mężczyzn w waciakach: stali i rozmawiali, rozglądając się na wszystkie strony. To mogli być bracia tej dziewczyny z południa albo tej z Bart. Antek porzucił robotę i krzakami nad brzegiem jeziora przedostał się do wyrka w oborze. Powiedział o tych ludziach matce, gdy mu przyniosła kolację, ale mu nie uwierzyła. „Pokazały się zielonki i teraz dużo ludzi zacznie łązić po lesie” – tak mu tłumaczyła. Nie dał się przekonać, bo nie wyglądali na takich, którzy szukają gąsek. Nie miał zaufania już nawet do matki. Czasami odnosił wrażenie, że i ona ma go dosyć, męczą ją wyrzuty sumienia, ponieważ ukryła prawdę.

Dlatego może w głębi duszy pragnęła, żeby zniknął spośród żywych. O umarłym łatwiej się zapomina, po jakimś czasie można patrzeć ludziom w oczy, nie tak jak teraz. Wiele razy skarżyła się, że jego bracia, ojciec, ona sama nie chcą z powodu wstydu chodzić do sklepu, pokazywać się na wsi. Gdyby Antek umarł, wszystko by się po roku lub dwóch odmieniło na lepsze. Miał prawo podejrzewać, że go nie ostrzeże przed niebezpieczeństwem, choćby wiedziała o takich, co przyjechali do wsi z daleka, aby go zatłuc na śmierć. A że się pojawią prędzej czy później – tego był pewien. Doktor wspominał coś o listach, które z pytaniem o niego przychodziły do sołtysa Wątrucha. Zresztą, czy potrzeba obcych? Dochodziły do niego wieści mówiąca mu o tym prakla – że Ruth Miller burzy ludzi przeciw niemu, o pomstę woła za Haneczkę. Sam widział białe chryzantemy na płycie grobowej chorążego Niegłowicza, a to znaczyło, że ktoś we wsi modli się o sprawiedliwość. Inna mogła być jego sprawiedliwość, a inna ludzi z wioski, ale oni byli silniejsi, liczniejsi, więc w końcu ich sprawiedliwość musiała się któregoś dnia dopełnić.

Słyszac nocą łoskot odrzutowca zatęsknił Antek Pasemko za doktorem, tak ja się tęskni za śmiercią lekką jak piórko łabędzie. Podczas ostatniego ich spotkania ukląkł przed doktorem i błagał go o taką śmierć, gdyż bał się gromady ludzi, którzy go będą ścigać, kastrować, łamać żebra. Podobnie straszna i hańbiąca wydawała mu się śmierć w pętli na drzewie koło Świńskiej Łąki. Niegłowicz mógł mu dać śmierć szybką i lekką – nabici brenką łufę strzelby. Mógł też sprawić mu śmierć lekarską – trucizną działającą jak piorun i bez bólu. O to błagał na klęczkach, lecz doktor odepchnął go od siebie i tłumaczył, że tak mu postąpić nie wolno, bo zabrania tego prawo. Oskarżą go o śmierć Antka, gdyż wiele razy odgrażał się, że to uczyni. Truciznę milicja rozpozna. Pętla – to jedyne co radził, lecz Antek słuchać go nie chciał. Na co liczył, trudno powiedzieć. Może czekał, że tamten jednak go uśmierci w jednej bezbolesnej sekundzie? Aż dowiedział się, że nazajutrz doktor odlatuje w świat i teraz właśnie leciał przez mroczną noc ku swoim sprawom, pozostawiając Antka w największej samotności. Bo przez te ich rozmowy na polanie doktor stał się jak gdyby jedynym przyjacielem, który wysłuchać potrafi, powiernikiem najbliższym, tym, który przynajmniej usiłował go zrozumieć, choć nie chciał wybaczyć. Dlatego zapłakał cicho Antek, kiedy umilkł łoskot na niebie i nastąpiła znajoma cisza wypełniona westchnieniami i stęknieniami krów, pbrzękiwaniem ich łańcuchów. „Nie pójdę dziś do lasu” postanowił. Lecz natychmiast zdał sobie sprawę, że jego obaw i lęków nie zechce zrozumieć ani matka, ani brat i ojciec, a on nie może być w domu darmozjadem. Więc albo odejdzie w świat, gdzie go oczy poniosą, albo pójdzie do roboty w lesie. Czemu zresztą miałby być właśnie dzisiaj zabitym? Skoro

tamtych dwóch mężczyzn widział przedwczoraj i nic złego mu się nie przydarzyło. W lesie naprawdę pokazały się zielonki.

Przewracał się na swym wyrku, kręcił się szeleszcząc słomą, pojękiwał od bolesnych myśli. Pójść w świat gdzie oczy poniosą – tak się łatwo mówi. Ale dokąd pójść, gdzie się zatrzymać? W każdym miejscu po kilku dniach ktoś go poprosi o dokumenty, ktoś zechce zasięgnąć o nim opinii w miejscu dawnej pracy i wtedy dowie się, że był podejrzany o zabójstwa dziewcząt. A poza tym zapowiedziała mu milicja, aby o każdym swym przeniesieniu się dokądkolwiek meldował. W przeciwnym razie natychmiast wyślą za nim listy gończe, ponieważ, jak to tłumaczyli, wypuszczają go na wolność, ale dochodzenia w jego sprawie niech nie uważa za zakończone. Przeciwnie, ono dopiero się zaczęło naprawdę. Zrozumiał z ich słów, że wypuszczają go, aby obserwować, czy znowu nie zechce zabić jakiejś dziewczyny. Będą wciąż pytać, jak się zachowuje na wolności, co mówi, kim się interesuje. Może już wiedzą o tym, co mu się przydarzyło u Porowej? Kulawa Maryna też chyba doniosła o swojej z nim rozmowie. Może mu nawet podstawią jakąś dziewczynę, żeby go wprowadzili w zastawioną przez nich pułapkę? To nie byli głupi ludzie – ten Śledzik i major Kuna. Zdziwił się, kiedy mu dali wolność. Ukryli za tym czynem jakiś szatański plan – jego wolność była tak naprawdę jedynie krótkim urlopem więziennym, potem znowu wróci do śmierdzącej celi, a wreszcie zawisnie w pętli. Takiej samej jak ta na konarze grabu.

Czemu doktor nie okazał mu łaski – nie strzelił, nie podał trucizny Dłaczego skazał go na tak wielką samotność, odleciał nocą wysoko pod niebem? I czemu śmierć z ręki doktora wydawała mu się lżejsza niż z czyjejs innej? Czy dlatego, że ten był lekarzem, siadywał u wezłowania ludzi umierających i, jak to sam mówił, prowadził ich do granicy życia. Tak, był pewien, że mógłby umrzeć bez lęku, gdyby miał obok siebie doktora Niegłowicza. Położyłby się do łóżka, doktor usiadłby przy nim na krzeselku, potem Antek zamknąłby oczy – i tak nastąpiłby koniec. Bez strachu i bólu. Bez kastrowania i łamania kości. Bez szorstkiej i dławiącej pętli na szyi. Doktor jednak popełnił zdradę – zostawił go żywego, a sam odleciał w mrok nocy. Miał prawo obrazić się na Antka i zniechęcić do spotkań, bo Antek był z początku szyderczy, stawał się ostro, naigrawał z innych, a nawet z doktora. Lecz taki człowiek jak doktor powinien chyba rozumieć, że nie jest łatwo umrzeć. Nawet zbrodniarz musi trochę bronić swego życia. Zresztą doktor też mówił głupstwa o jakichś wyrzutach sumienia, pamięci o zbrodniach. On niczego takiego nie odczuwał. Sądził, że będzie mu zupełnie łatwo żyć na wolności, bez poniesienia kary. Skąd mógł wiedzieć, że to okaże się aż tak trudne?

W celi aresztu śledczego zupełnie inaczej wyobrażał sobie wolność. Oczekiwał

ludzkiego strachu i czegoś w rodzaju lęklivego podziwu. Wydawało mu się, że poprzez ów lęk będzie u ludzi budził szacunek i posłuszeństwo, rozpocznie nad ludźmi okres swego władania. Sparaliżowane strachem dziewczyny nawet bez jego próśb będą mu pozwalały dotykać swoich piersi i podbrzuszy, a wówczas obudzi się w nim męczyzna. Czemu nie miałyby się to stać, skoro po kilka razy na dzień w celi aresztu twardniało mu prącie? Wystarczyło, że wspomniał o Haneczce albo tej nagiej z Bart, a już czuł w sobie męskie podniecenie. „Ożenię się z Justyną, kobietą piękną i czystą” – planował kiedyś. O innych dziewczynach myślał ze wstrętem i nienawiścią, pragnął je karać, choć nie tak od razu, aby go znowu nie zamknęli.

Dlaczego nic z tego nie wyszło? Czemu tak dziwnie zachował się u Porowej? Kulawa Maryna również nim wzgardziła. Prącie było nieposłuszne, krnąbrne, przekorne, jak gdyby między pragnieniami Antka a nim także powstało jezioro lęku i nienawiści. Tak, chyba nienawiści. Nawet matka, której winien był miłość i posłuszeństwo, wydawała mu się osobą nienawistną, gdyż była kobietą. Psycholog w areszcie śledczym tłumaczył mu, że być może nieustanny lęk przed matką i jej batem przeniósł na wszystkie kobiety, znenawidził je, bo matka była kobietą. Synowi nie wolno nienawidzić matki, to straszny grzech, po stokroć gorszy od zabójstwa. Szkoda, że nie rozmawiał o tym z doktorem. Żał, że doktor odleciał w mrok nocy, pozostawiając go na pastwę tych dziwnych myśli. Dlaczego brakuje mu odwagi, aby powiedzieć sobie samemu, że ma dosyć życia? Czemu nie umie przełamać trwogi przed własną śmiercią? To przecież oczywiste, że nie potrafi żyć tak jak żyje, z dnia na dzień, chodząc do lasu i wracając z lasu, znenawidzony i osamotniony, we wrogim świecie, dygocąc, że nie dziś, to jutro zostanie zamęczony na śmierć.

Teraz też ktoś się chyba skrada wzdłuż ściany obory. Kto to? Jeden czy dwóch? Może mają widły? Otworzą drzwi i w ciemnościach długimi zębami przygwoźdzą go do wyrka. To będzie śmierć w strasznych męczarniach. Jakim okazał się głupcem, przypuszczając, że zechcą go zabić w lesie? O wiele łatwiej uczynić to nocą, po ciemku. Przecież drzwi w oborze nie zamykają się od wewnątrz. Tu więc go dopadną, zakłują lub zaduszą bez świadków, tak samo, jak on to zrobił z Haneczką...

Spocił się ze strachu. Wspiął się po drewnianym słupie do otworu, którym zrzucano paszę krowom. Po cichutku wpełznął w siano, w sam róg. Długo by go tu musieli szukać. Strach mija, mokre od potu ciało zaczyna stygnąć, drży już od chłodu, żdźbła suchej trawy drapią i kolą. Ale jest bezpieczny, bez lęku przeczeka w tym miejscu aż do ranka. W dzień będą bali się go zabić. Szkoda, że doktor odleciał. Dziś poprosiłby go Antek, żeby dał mu taką śmierć, aby tamci, pełni nienawiści, do niego, szukali go

wciąż i nie mogli nigdzie znaleźć. To najlepsza droga – uciec w śmierć przed śmiercią. Co można zrobić zmarłemu? Zabić go drugi raz – to śmieszne! Jeszcze raz pokazały im swoją wyższość, gardząc pętlą zawieszoną na drzewie koło Świńskiej Łąki...

Gdy zaczęło dzień, zlął do wyrka i rozgrzał się pod kocami. Potem przyszła matka, aby wydoić krowy. Dała mu kubek mleka i kilka kromek chleba posmarowanych masłem. Cztery kromki chleba włożyła do torby, którą zabierał do lasu. Umył pod studnią twarz i ręce, do domu w ogóle nie wchodził, choć przydałoby mu się golenie. Miał rzadki i miękki zarost; na policzkach, brodzie i pod nosem wyrastały mu jasne kępki włosów i nawet nie zaglądając do lusterka wiedział, że wygląda brzydko, niewiele zostało z jego dawnej miłej powierzchowności. Poszedł do lasu ścieżką przez łąki nad jeziorem, szosę przeskoczył za domem malarza Porwasza, jakiś czas wędrował miedzami i zniknął w lesie. Nie śpieszył się – nikt przecież nie sprawdzał jego roboty, nie musiał podpisywać listy obecności. Czuł w całym ciele zmęczenie, choć jeszcze nie zaczął pracy. Niewyspanie i nocne niepokoje otepiły mu także umysł. Miał wrażenie, że jego myśli są również zmęczone, umysł działa wolno i niechętnie. Pragnął snu, odpoczynku, nawet jeśli to miał być odpoczynek wieczny. Tak, może właśnie pragnął takiego długiego odpoczynku; nie myśleć o niczym, nie czuć niczego, nie istnieć. „Ukryję się w stodole doktora, położę w kabinie jego jachtu – pomyślał w jakiejś chwili. – Doktor powróci, znajdzie mnie martwego z głodu”. Ale bał się psów doktora, tych dwóch wilczurów, które bywały dziwne – niekiedy wściekały się gdy ktoś przechodził obok bramy w ogrodzeniu, a czasem w ogóle na nikogo nie zwracały uwagi, pozwalały wejść na podwórze, zapukać do drzwi. Ich zachowanie było tak nieodgadnione jak i doktora.

Las szumiał spokojnie, sennie. I ten szum jeszcze bardziej otepił Antka i czynił go sennym. Przez nagie korony buków widział Antek jesienne niebo, po którym szybko mknęły zwaliste deszczowe chmury. Od czasu do czasu przeblyskiwało słońce, na bardzo krótko. Jakiś wielki żółtawy ptak uciekł mu niemal spod nóg i szeleszcząc głośno zniknął w leszczynowych zaroślach. „A powiadają, że Kłobuki nie istnieją – pomyślał, gdy był pewien, że napotkał Kłobuka. Czy to był dobry znak, czy też zły?” – zastanawiał się, ale tylko przez chwilę; żadna sprawa nie potrafiła przykuć jego myśli. Położyć się gdzieś w krzakach, zaszyć w świerkowej gęstwinie i zasnąć – tego pragnął tak naprawdę. Ale nie widział takiego miejsca, ziemia wszędzie była wilgotna, a on dość namarzył się dzisiejszej nocy. Owszem, znał schowek zaciszny, prawie przytulny, tylko że tam od półtora roku leżały zwłoki dziewczynki, która chciała się nago wykąpać w jeziorze. To nie była prawda, że tam chodził. Tak tylko powiedział doktorowi. Nie zaglądał tam, bo co by mu to dało? Nie żałował też, że ją zabił. Szkoda, że dopiero

później przyszedł mu do głowy ten pomysł z butelką. Tamtą też mógłby w ten sposób naznaczyć, aby ci, co ją kiedyś odnajdą, wiedzieli, że to była jego sprawa. Dziewczyna poniosła ofiarę. Śmierć była ofiarą najwyższą i najlepszą. Stary Bóg żądał takich ofiar – z pierworodnych, z cieląt i baranków. Chrystus, syn Starego Boga, musiał odkupić ludzi przez swoją śmierć. Bez śmierci nie zna łaski, nie ma odkupienia. „Moja śmierć też musi być ofiarą” – szeptał do siebie i teraz był już pewien, że pragnie śmierci spokojnej, łagodnej jak sen.

Gdy wchodził na polanę ze starym dębem, na chwilę zaświeciło słońce. Pożółkła trawa przy dębie wyglądała jak złota, niebo się zabłękitniło i aż poraziło go piękno świata. Ale ujrzał również Śmierć. Ucieszył się, wyciągnął ręce i szedł naprzeciw niej ze szczęśliwym uśmiechem na ustach. Albowiem śmierć jest nie tylko synem nocy, ale i bratem snu.

O TYM, ŻE Z PISTOLETU TT ZABIĆ MOŻE NAWET IMPERATYW KATEGORYCZNY

Doktor Niegłowicz powrócił do Skiroławek po czterech dobach nieobecności. Gertrudzie Makuch przywiózł czarną chustkę zagraniczną w wielkie czerwone róże. Pani Basieńce podarował perfumy Niny Ricci. Porwaszowi powiedział, że nie mógł się dodzwonić do barona Abendteuer w Paryżu. O koncercie Joachima nie opowiadał, zresztą nie było na to czasu wizyty u przyjaciół składał krótkie, nawet nie rozbierał się z futerka.

Nazajutrz wraz ze starszym sierżantem Korejwą milicyjnym łażnikiem Pojechał do lasu, nad brzeg głębokiego parowu, gdzie dnem płynął strumień. Tu przed wieloma laty pewien generał rozkazał zbudować wiele bunkrów z grubych bali drewnianych, zamaskowanych ziemią i krzakami. Bunkry nie odegrały żadnej roli wojennej, nikt a nich nigdy nie wystrzelił, bitwa nastąpiła u kilku kilometrów dalej, we wsi Koryntki, nawet bowiem generałowie nie zawsze decydują o miejscu bitewnych zmagani. Kilka bunkrów rozebrano, zabierając drewno na opał, w jednym leśniczy Turlej trzymał beczki z żywicą. inne zgniły, gdyż wiatr i deszcze splukały z nich ziemię. Ale kilka ocalało i nawet miały jeszcze dębowe drzwi na potężnych zawiasach. W jednym z takich bunkrów. zarośniętych połącią kolczastej tarniny, przed dwudziestu i więcej laty

doktor ukrywał drygawicę. Pozostały z niej już tylko szczątki, ale po dziewczynce z Bart było nieco więcej resztek – szkielet i trochę ciała.

Do Skiroławek przybył wezwany telefonicznie kapitan Śledzik wraz z ekipą śledczą oraz nakazem powtórnego zatrzymania Antka Pasemki. Śledzik miał nadzieję, że doprowadzony do zwłok swej pierwszej ofiary zbrodniarz być może załame się i przyzna do winy. Niestety, Antka u Pasemków nie było. Jak oświadczyła milicjantom jego matka, Antek najprawdopodobniej wyniósł się gdzieś przed czterema dniami. Poszedł do pracy w lesie, ale już nie wrócił. Nie zdziwiła się, że umknął z wioski, gdyż ludzie tutejsi grozili mu pomstą, a nawet sznur z pętlą zamocowali koło Świńskiej Łąki.

Pozostałości odnalezionej dziewczyny odwieziono do Bart, wyjechał też kapitan Śledzik, aby za Antkiem Pasemką wysłać listy gończe. I następnego dnia musiał znowu przyjechać. Gajowy Widłąg odnalazł bowiem na polance obok starego dębu zwłoki martwego mężczyzny, który zastrzelił się ze starego pistoletu wojskowego TT.

Strasznie wyglądał Antek Pasemko. Pięć dni leżał w lesie, a w tym czasie ptaki wydziobały mu oczy, zwierzęta leśne nadgryzły ciało. Czemu tak się dziwnie dzieje, że najpierw ptaki wydziobują oczy każdemu padłowi? Czy robią tak dlatego, aby ofiara, jeśli jeszcze odrobinę żyje, nie zaczęła się bronić, ale ślepa pozostała w lesie już na zawsze? Twarzy Antka nikt nie potrafi rozpoznać, ale na podstawie ubrania i innych szczegółów matka, ojciec, bracia, a także ludzie z wioski, potwierdzili, że to on poniósł tu śmierć.

Ustalono bez trudu w pewnym przybliżeniu także i czas, w którym się to stało. W torbie skórzanej było nienaruszone śniadanie, które zabrał ze sobą do pracy. Nie zdołały się dostać do wnętrza torby leśne zwierzęta. Antek zginął więc przed pięcioma dniami, zaraz jak tylko przyszedł do roboty. Układ zwłok, pozycja w jakiej leżał pistolet z jednym wystrzelonym pociskiem – wszystko to przemawiało za tym, że sam się zastrzelił. Nie stwierdzono, skąd Antek wziął broń – pistolet wojskowy. Numer i seria wybita na broni stwierdzały, że wyprodukowana została jeszcze w czasach wojny, ale była znakomicie zakonserwowana, bez odrobiny rdzy i kurzu. Czy pistolet ów należał kiedyś do chorążego Niegłowicza, czy też do kogo innego, tego nikt nie był w stanie rozstrzygnąć, ponieważ numer i seria pistoletu chorążego w żadnych aktach nie figurowały. Nikomu też nie przyszło do głowy, aby zajrzeć do małej dziupli w starym dębie. Wciąż jeszcze leżała tam naoliwiona szmatka i kilkanaście nabojów do pistoletu TT. Zapewne będą tam się znajdować aż do chwili, kiedy jakaś wichura całe to drzewo obali i ktoś zacznie rąbać szczapy opałowe.

Na krótko przed Dniem Zadusznym cieśla Sewruk wykopał dla Antka Palemki dość głęboki i przestronny dół na cmentarzu, nawet nie tak daleko od mogiły Haneczki

Millerówny. Pogrzeb odbył się w słoneczne jesienne popołudnie. Wzięło w nim udział wielu ludzi.

Z początku proboszcz Mizerera nie chciał uczestniczyć w pogrzebie, ponieważ Pasemko własną ręką targnął się na życie, które należało do Boga. Wtedy Gustaw Pasemko ze względu na żonę poszedł do domu doktora na półwyspie i poprosił go o wstawiennictwo, gdyż pragnął, aby choć ten ostatni wstyd został rodzinie zaoszczędzony. „Proszę cię, Janku, o to, przez wzgląd na pamięć twojego ojca” – mówił do doktora Gustaw Pasemko.

Niegłowicz zadzwonił do Mizerery i, powołując się na informację uzyskaną od starszego sierżanta Korejwy, powiadomił proboszcza, że śledztwo w sprawie śmierci Antka Pasemki nie zostało zamknięte. Wielu czuło nienawiść do Antka i wielu mu się odgrażało, nie można wykluczyć podejrzenia, że jego śmierć została upozorowana na samobójstwo. Rozumiem – odparł proboszcz Mizerera. – Nie pójdę zatem z pogrzebem od domu Pasemków. Zgadzam się jednak odprawić modły na cmentarzu.

Tedy pochowano Antka Pasemkę po chrześcijańsku. Proboszcz Mizerera wygłosił nad trumną kazanie o sprawiedliwości Boskiej, która jest lepsza i doskonalsza niż sprawiedliwość ludzka.

Potem cisnął garść ziemi na trumnę Antka Pasemki i rzekł: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”.

Rzuciła garść ziemi matka Antka Pasemki, jego ojciec oraz dwaj bracia. Później zaś nastąpiła chwila bardzo przykra, gdyż choć na pogrzeb przyszło wielu i zwartym szeregiem otaczali dół grobowy, to przecież nikt więcej nie pochylił się, aby podjąć garść ziemi.

A wtedy, widząc co się dzieje, doktor Jan Krystian Niegłowicz precyzyjnie się przez cizbę ludzką, wziął między palce garść żółtego piachu i rzucił na trumnę Antka Pasemki, mówiąc donośnym głosem:

– Boże, odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.

Teraz już wszyscy, nawet Ruth Miller, rzucali garść ziemi na trumnę zbrodniarza, a wraz z tą grudą ziemi jak gdyby pozbywali się ciężaru nienawiści i doznawali ulgi wybaczenia.

I choć w jakiś czas później pewien człowiek, podobno jakiś urzędnik z gminy gadał tu i ówdzie, że w tym czasie, gdy zmarł Antek Pasemko, doktor wcale nie przebywał za granicą, ale znajdował się w kraju, może nawet w Skiroławkach ludzie z wioski przyjmowali tę wiadomość z zupełną obojętnością. Z czasem dla ludzi w Skiroławkach Antek Pasemko przestał istnieć, jak gdyby nigdy się nie narodził.

Któregoś wieczoru pisarz Nepomucen Maria Lubiński podnosząc głowę znad „Pism semantycznych” Gottloba Frege powiedział do swej żony:

– Istnieją, Basieńko, prawa zapisane w grubych księgach i prawa moralne, które tkwią w każdym z nas. Kto dla korzyści własnych łamie prawo pisane jest przestępcą. Kto zaś czyni to w imię praw moralnych, uważany bywa za człowieka sprawiedliwego. Pomyśl, gdyby nie znaleźli się odważni, którzy targnęli się na prawa w księgach, jak na przykład na święte prawo prywatnej własności, czy doszłoby do jakiegokolwiek rewolucji? Ustanawiamy prawa pisane, potem ustanawiamy nowe i znowu je łamiemy. A wiesz, kto nam daje prawo łamania prawa? Poczucie sprawiedliwości społecznej.

– Czy wspominasz o tym w związku z pogrzebem Pasemki? – zapytała pani Basieńka.

– Nie. Myśli te nasunął mi zapach perfum Niny Ricci, który się od ciebie rozchodzi – oświadczył Lubiński, o którym wiele można by powiedzieć, ale nie to, że należał do naiwnych.

Przez ludzi z miasta sprawa Antka Pasemki nie została jednak tak od razu zapomniana. Kapitan Śledzik, jak wiadomo, lubił sprawy zawiłe, tedy uzyskawszy od pułkownika Krupy informację, że doktor Niegłowicz nie przekroczył granicy państwowej, choć przyrzekł i obiecywał – poprosił doktora o dokładną relację o wszystkich czynnościach, których tamten dokonywał podczas swojej trzydniowej, a ściślej – prawie czterodniowej nieobecności w domu.

Notes kapitana Śledzika wypełnił się informacjami: doktor przyjechał do stolicy w środę wczesnym rankiem; pozostawił samochód na strzeżonym parkingu; w oczekiwaniu na samolot zjadł śniadanie w restauracji dworca lotniczego, gdzie poznał młodą i ładną panienkę. Wówczas zdecydował się pozostać, gdyż nie lubi dalekich podróży, tym bardziej zagranicznych. Dzięki znajomościom owej panienki zwanej „Pszczółką” wynajął na trzy doby pokój w hotelu przy dworcu, niestety, panienka umknęła z pięćdziesięcioma dolarami, które jej wręczył omyłkowo zamiast pięćdziesięciu złotych (obydwa banknoty są nieco podobne) na zakup pewnego drobiazgu. Rozgniewany bezczelnością „Pszczółki” od wczesnych godzin wieczornych aż do późnej nocy wędrował po nocnych lokalach stolicy, przypuszczając, że tam natknie się na dziewczynę i odbierze jej swoje pieniądze. Dziewczyny jednak nie znalazł. Nazajutrz więc, również wieczorem, w towarzystwie znajomej ekspedientki w sklepie z bielizną męską, panny Józi, rozpoczął ponowną wędrowkę od jednego do drugiego lokalu. Na „Pszczółkę” nie natrafił. Trzeciego dnia podobną wędrowkę po nocnych lokalach zaproponował swej starej znajomej, pani Renacie Turoń, ale także bez rezultatu. Czwartego dnia powrócił

do domu w Skiroławkach.

Kapitan Śledzik, człowiek wytrwały i dociekliwy, udał się do stolicy, gdzie bez trudu przy pomocy koleżanki z obyczajówki odnalazł ową „Pszczółkę”, która bez specjalnych oporów potwierdziła słowa doktora, jak również z nieco większymi oporami przyznała się do przywłaszczenia pięćdziesięciu dolarów i tak usprawiedliwiła swój postępek: „Sprawił na mnie wrażenie wariata. Nie odleciał, choć miał bilet. Wręczył mi pięćdziesiąt dolarów na kupno prezerwatyw. Wariaci zawsze biją dziewczyny przed pójściem do łóżka. Dlatego uciekłam z pieniędzmi. To było w środę o jedenastej w południe.”

Ekspedientka, panna Józia, miała narzeczonego; jej ślub był zaplanowany na Boże Narodzenie. Z niechęcią przyznała, że w czwartek, tuż przed zamknięciem sklepu, pojawił się w jej życiu doktor Niegłowicz i wziął ją na kolację do nocnego lokalu. W rzeczy samej wędrowali z lokalu do lokalu, co jej się bardzo podobało.

Doktor sprawił na niej wrażenie, jak gdyby kogoś szukał, a także pytał o komis, w którym można kupić perfumy Niny Ricci. Późną nocą odwiózł ją taksówką do domu, ale perfum dla niej nie kupił.

Pani Renata Turoń – bez niechęci i bez oporów – wyznała, że od dawna chyba doktor się w niej skrycie kocha. Jego propozycja wspólnej kolacji w nocnym lokalu wydała się jej pociągająca. W ciągu nocy kilkakrotnie zmieniali miejsca pobytu, co wydało jej się zabawne. Potem została odwieziona taksówką do domu, choć doktor zachęcał ją do odwiedzin w hotelu lotniczym, na co ona jako przyzwoita mężatka nie mogła się zgodzić.

Szatniarki w kilku nocnych lokalach potwierdziły, że mężczyzna pokazany im na zdjęciu odwiedzał te lokale i wypytywał o „Pszczółkę”. Ale czy było to w środę wieczorem, w czwartek, czy piątek, tego nie pamiętają. Dozorcy strzeżonego parkingu przy dworcu lotniczym oświadczyli, że pozostawiony samochód typu gaz z brezentową budą, przez trzy doby nie był użytkowany przez właściciela. Sprzątaczkę hotelową nie pamiętały, czy łóżko w pokoju 104 świadczyło, że gość hotelowy w pokoju nocował, raczej jednak skłonne były stwierdzić, iż każdego ranka łóżko słały zgodnie z zaleceniami dyrekcji. Recepcjonistki hotelowe nie umiały powiedzieć, czy doktor bywał w swoim pokoju, czy też nie; goście często zabierają klucze do kieszeni i wychodzą z nimi na miasto, choć to zakazane.

Potem na naradzie, jaką kapitan Śledzik, major Kuna i starszy sierżant Korejwo, odbyli na posterunku milicji w Trumiejkach, wyliczono, że gdyby doktor Niegłowicz miał ochotę wręczyć Pasemce pistolet swego ojca, dysponował w tym celu około

31 godzinami, to jest od jedenastej w południe w środę, do godziny osiemnastej w czwartek, gdy zamykano sklep z bielizną męską.

Patrząc na wielką mapę kraju, którą Korejwo rozwinął w swym gabinecie, kapitan Śledzik powiedział melancholijnie:

– Ze stolicy do Skiroławek jedzie się wynajętą taksówką około pięciu godzin. Jeśli zaś taksówki zmienia się po drodze w różnych miastach i miasteczkach, może to trwać godzin sześć albo siedem. Rzecz jasna, istnieją również pociągi. Wystarczy pojechać pociągiem sto lub dwieście kilometrów, opuścić go na większej stacji i wynajętą taksówką dotrzeć o świcie do lasu w pobliżu Skiroławek, niepostrzeżenie znaleźć się na polanie, przekazać Antkowi broń. wrócić do taksówki, kazać się zawieźć na jakąś stacyjkę i znowu wsiąść do pociągu. Tak czy siak bywa wystarczająca ilość czasu, aby przed zamknięciem sklepu z bielizną męską pojawić się przed obliczem panny Józki.

– To nie musi być ani pociąg, ani taksówka – zauważył Korejwo. – Człowiek, który żyje czterdzieści pięć lat i jest lekarzem, zazwyczaj ma oddanych przyjaciół, posiadających samochody i zamieszkujących w stolicy albo bardzo blisko niej. Dla przykładu: przed kilkoma laty zdarzyła się tu następująca historia: dyrektor państwowego gospodarstwa rolnego postrzelił z zazdrości swoją żonę i krwawiącą przywiózł do Niegłowicza. Ten ją opatrzył, rana była – prawdopodobnie tylko powierzchowna. Mąż przeprosił żonę, która go kochała, doktor sprawę przemilczał. Małżeństwo to żyje z sobą do dziś i obecnie mieszka w stolicy. Dysponują, o ile wiem, samochodem. Myślę, że od tych ludzi nigdy się nie dowiemy, czy doktor pożyczył samochód i kiedy go zwrócił. Znam też inny przypadek: pewna kobieta chciała usunąć ciążę...

– Dosyć! – przerwał mu major Kuna. – To sprawa beznadziejna. Zresztą, jak mówią fakty, Antoni Pasemko zastrzelił się na polance około siódmej rano. Nie ma śladów wskazujących na udział osób trzecich.

– Ani nie wiadomo, czy to pistolet chorążego – wtrącił Korejwo.

– No właśnie – zgodził się z nim Kuna.

Kapitan Śledzik otworzył swój notes, a potem zamknął go z głośnym szelestem.

– Dzięki doktorowi odnaleźliśmy ciało pierwszej ofiary Antka Pasemki. Mamy więc obecnie pełny obraz całej sprawy: trzy ofiary i ich zabójca, który, powodowany wyrzutami sumienia czy też strachem przed zemstą ludzką, zastrzelił się na polanie leśnej. Żałować należy, iż nie zostawił pośmiertnego listu, jak to się czasem zdarza w powieściach kryminalnych.

– Po co miałyby zostawiać list? – odezwał się Korejwo. – Listy są wtedy, kiedy ktoś się zabija w domu, przy biurku. Jego zaś uśmiercił imperatyw katarygiczny. W lesie.

Major Kuna spojrział na kapitana Śledzika, a ten zdumiony wzrok obrócił na sierżanta Korejwę.

– Nie miałem pojęcia, że wy, komendancie, interesujecie się filozofią? Od kiedy tak się dzieje?

Korejwo podniósł się zza swego biurka, pogłaskał wąsiki i udając, że nie słyszał pytania, oświadczył uprzejmie:

– Proponuję kolację w naszej restauracji. Jestem bardzo głodny.

I choć przez cały wieczór podczas wspólnej kolacji kapitan Śledzik szydził z filozoficznych zainteresowań Korejwy, to przecież w swoim notesie, tuż obok nazwiska Antoniego Pasemki, napisał w nawiasie: „imperatyw kategoryczny”, gdyż w głębi duszy skłonny był przyjąć, że istnieje coś takiego i owo „coś” może człowieka zabić.

SZALEŃSTWO LEŚNICZEGO TURLEJA

Na początku listopada, tuż po Dniu Zadusznym, który minął w tak wielkiej cichości, że świece na grobach paliły się aż do rana równym i jasnym płomieniem – leśniczy Turlej ujrzał Kłobuka na gałęzi starej wiśni koło domu. Odtąd widywano leśniczego, jak, wychudły i nie ogolony, przez całe dni wytrwale przemierzał lasy ze strzelbą gotową do strzału, polując na Kłobuka, który, jego zdaniem, winien był odejścia Halinki. Zbieracze zielonek słyszeli wystrzały w głębi lasu – to Turlej odnajdywał Kłobuka, celował ze strzelby, pociągał za spust, ale nie trafiał. Każdego ranka Kłobuk na nowo siadał na gałęzi bezlistnej wiśni, tuż na wprost okien leśniczówki. Turlej wybiegał ze strzelbą w rękę, Kłobuk uchodził w las, a Turlej za nim – na całodzienną męczącą gonitwę po ostępach, bagnach, ścieżynkach leśnych, uroczyskach i matecznikach.

A zaczęła się ta sprawa zgoła niewinnie. Przez pierwsze dwa tygodnie Turlej był nawet zadowolony z odejścia żony. Cieszył się ciszą i pełną wolnością. Nikt mu już nie gderał, że zepsuł się hydrofor albo że nie ma w szopie suchych drewnienek na opał. Nikt mu nie wyrzucał, że w zabłoconych gumofilcach chodzi po dywanie, a na krzesłach i fotelach rozrzuca ubrania i gatki. Nikt go nie zmuszał do codziennego mycia nóg i szyi, nie kazał golić się i pamiętać o dziesiątkach drobnych, dokuczliwych spraw. Żył Turlej na podobieństwo stażysty, pana Andrzeja, odżywiał się jak tamten rybami z puszek, łóżko jego zaczęło przypominać barłóg samotnego odyńca. W pokoju, gdzie sypiał, czerniały i śmierdziały pozostawione na stole talerze z resztkami jedzenia i puste puszki. Wreszcie zaczął ciec kaloryfer pod oknem, zjawisko tym dziwniejsze,

że zarówno Turlej jak i stażysta nie widzieli potrzeby palenia w piecu i nie korzystali z centralnego ogrzewania. Listopadowe nocne chłody znosili po męsku – myśl o drewnie do palenia była im obrzydliwa.

Woda z zimnego kaloryfera uchodziła małymi kroplami, lecz po jakimś czasie coraz szersza struga wody rozlewała się po pokoju, sączyła pod dywan i łóżko Turleja. Należało spuścić wodę z centralnego ogrzewania, wymagało to jednak wielu czynności – odkręcenia i zakręcenia kilku kurków, wyniesienia trzech wiader wody, co było ponad siły tak leśniczego jak i stażysty. O wiele łatwiejsze zdało się Turlejowi podjęcie decyzji o przeniesieniu się do pokoju na górze, do łóżka, gdzie ongiś sypiała Halinka i czysta pościel nawet jeszcze pachniała jej ciałem. Pościel ta wkrótce oczywiście przyblakła, zszarzała, a nawet szerniała – na stole i ławkach pojawiły się śmierdzące talerze z resztkami ryb. Zapach rybi przenikał leśniczówkę Blesy od piwnicy po strych, oddychały nim ściany w pokojach i w korytarzach. Podczas służbowej wizyty w Blesach nadleśniczy Kociuba wysunął hipotezę, że pod podłogą kancelarii rozkłada się zdechły szczur.

W sklepie w Skiroławkach zabrakło ryb w puszkach. Szczęśliwym trafem stażysta pan Andrzej zwrócił Turlejowi uwagę na jakieś dziwne stworzenia, które pętały się po podwórku, niekiedy nocowały w kurniku, innym razem na gałęziach starej wiśni. Były to stworzenia odrobinę zdziczałe, straszliwie wychudzone i wygłodzone, tu i ówdzie jak gdyby odarte z odzienia. Mimo ich zadziwiającego wyglądu leśniczy Turlej rozpoznał w nich kury, które pozostawiła mu żona, lecz on zapomniał je żywić. Co rano więc Turlej strzałem ze swej nadlufki zabijał wychudzoną kurę i wspólnie ze stażystą piekł ją lub gotował, najczęściej gotował, a później biesiadowali razem aż do późnego wieczora, chlipiąc rosół, rozrywając palcami mięso, gdyż sztucce pozieleniały pleśnią w zlewozmywaku. W takich to chwilach, napęlniając żołądek czymś o wiele smakowitszym od wędzonej ryby, leśniczy Turlej zwierzał się stażystce ze swych dalekosiężnych planów na przyszłość:

– Przekona się pan, panie Andrzeju, że wkrótce przywiozę z lasu aż trzy przyczepy szczap opałowych, należnych mi jako deputat. Potnę szczapy piłą motorową na klocki, a następnie porąbię na drobne polana. Owe polana ułożę w ogromny stos na środku podwórza. Będzie to stos tak wielki, że ujrzy go moja żona z okna domu Porwasza. A wtedy wróci do mnie wraz z dzieckiem i będziemy żyli szczęśliwie. Kobiecie bowiem, panie Andrzeju, nie potrzeba do szczęścia niczego więcej, jak owych drewek do domowego ogniska. Być może postaram się również i o to, aby zaspawano dziurę w kaloryferze.

Dobre jądło sprowadzało na obydwu mężczyzn lubą ociężałość, najedzeni rozchodzili się do swoich barłogów, a nazajutrz rankiem Turlej strzelał do następnej kury na podwórzu i znowu ją piekli lub gotowali. Tak na dobrą sprawę byłoby o wiele szczęśliwsi, gdyby kury można było zjadać na surowo jak owoce z drzewa, gdyż gotowanie wymagało palenia pod kuchnią, a więc i drewek, wiemy zaś, że wszelkie drewno pozostawało dla obydwu nienawistne. I byłoby może przrzucili się na odżywianie surowym mięsem, gdyby nie zapobiegliwość stażysty, który, asystując robotnikom na zrębach, z nudów zbierał korę i z wypchanym korą woreczkiem codziennie powracał do leśniczówki.

Atoli pewnego razu, wychodząc rano ze strzelbą, aby zapewnić posiłek dla siebie i stażysty, zauważył Turlej, że na podwórzu nie ma już żadnej kury, a tylko jakieś podobne do kury pstrokate ptaszysko siedzi na gałęzi bezlistnej wiśni. Strzelił do tego ptaka, lecz chybił. Trzepocząc skrzydłami owa kura – najwyraźniej rozpoznał w niej żoniną kurę – uciekła w las, a choć Turlej gonił ją zawzięcie, raz po raz oddając strzał, zaszywała się w niedostępnych chaszczach i przepadała. Tego dnia nic w ustach nie miał ani Turlej, ani stażysta, pan Andrzej. Tedy wczesnym rankiem zerwał się Turlej ze swego łóżka, wiedziony głębokim przeświadczeniem, że kura, jako istota głupia, powróciła jednak na noc do zagrody. W istocie – ujrzał ją znowu na gałęzi starej wiśni. Strzelił i chybił, potem rzucił się za nią w pościg aż do bagna, unurzał i utyłł się w śmierdzącym mule, ale celu nie osiągnął.

Stażysta, pan Andrzej, rychło pogodził się z kolejną przeciwnością losu i przyniósł do leśniczówki radosną wieść, że w sklepie znowu pokazały się puszki z rybami. Nabył kilka takich puszek i częstował Turleja ich zawartością. Ale tu objawił się twardy i nieustępliwy charakter leśniczego. Dlaczego miałyby Turlej jeść śmierdzące ryby, skoro pozostała mu jeszcze jedna kura? Głodował leśniczy drugi dzień, na trzeci ostrożnie, na paluszkach, wyszedł przed dom, zmierzył się do ptaka, który siedział na gałęzi, strzelił i chybił. Trzepocząc skrzydłami i wydając ze swej gardzieli jakiś dziwny pisk, ów ptak pognął w las, a Turlej pędził za nim w kalesonach i podkoszulku. Ptak kluczył po bagnach, łożach, po młodniku i starodrzewiach, szkółkach leśnych i uprawach. Turlej powrócił późnym popołudniem w podartych kalesonach i postrzępionym podkoszulku, czarny na twarzy i słaniający się na nogach. Zjadł ryby i powiedział do stażysty:

– Nie ma wątpliwości, że to Kłobuk. Żył pomiędzy moimi kurami i to on sprowadzał na mnie kłopoty. Dlatego nie spocznę, dopóki go nie ustrzelę. A wtedy, panie Andrzeju, będziemy mieli dużo drewek na podwórzu. Stos tak wielki, że sięgnie nieba i ujrzy go Halinka z okien domu Porwasza.

Od tego dnia rozpoczął zacięte, wytrwałe polowanie na Kłobuka, który co rano pojawiał się na starej wiśni. Turlej nie jadł, nie spał, zaniedbał swoje obowiązki, ale z uporem dążył do uśmiercenia zniechwalonego ptaka. Jeśli ktokolwiek sądził, że leśniczy jest bezwolnym marzycielem – przekonał się teraz o swojej omyłce. Nie oddawał się marzeniom, ale jak człowiek czynu od świtu do zmroku niezmiernie zmierzał do celu. Kładł się spać o północy, ale jeszcze przed świtem zasiadał w starej ubikacji za stodołą i cierpliwie czekał, aż na wiśni pokaże się Kłobuk. Jeśli ktoś miał o nim opinię jako o człowieku leniwym lub niedbałym tylko dlatego, że woda wciąż ciekła z kaloryfera i brakowało drewna na opał, obecnie mógł sobie unaocznic swój błąd. Nie golił się Turlej, nie mył, jadł byle co (przeważnie jednak ryby z puszek) lecz nic go nie mogło sprowadzić z drogi, na jaką wstąpił. Nie istniały dla niego trudy, które by mu odebrały chęć polowania na Kłobuka, niestraszne mu były deszcze, mżawki jesienne, burze i wichury. Od wczesnego świtu zawsze znajdował się na posterunku w ubikacji, a później ścigał złowrogie ptaszysko po dolinach i wzgórzach leśnych. Ile kilometrów lasu przemaszerał w czasie tych gonitw, ile godzin nie przespał, ponieważ niekiedy pozostawał w zasadzce przez całą noc, ile odrzucił wspaniałych propozycji, aby spędzić z przyjaciółmi wieczór przy kieliszku. Jego umysł zajęty był tylko jednym – zrozumieć naturę Kłobuka, rozpoznać szlaki wędrówki chytrego ptaka, odkryć jego legowiska i kryjówki, dopaść go w miejscu, gdzie czuje się bezpieczny, traci swoją czujność. Wiele godzin Turlej spędzał na wprawianiu się w strzelaniu, tysiące razy to przykłękał, to znów wstawał z przykłęknięcia, przykładając kolbę nadlufki do ramienia, wiódł wzrokiem po lufie do muszki, kierując ją na wymyśloną postać. Rozumiał, że ptaszysko drwi sobie z niego, każdego ranka przysiadając na wiśni pod jego oknami. Nakłaniał stażystę, aby mu pomagał jako nagonka, wypłaszał ptaka z młodników i upraw. Ale nie był w stanie przemóc lenistwa pana Andrzeja – ani prośbami, ani groźbami. A nawet niekiedy słyszał od niego słowa powątpiewania, czy ów zadziwiający i złowrogie ptak w ogóle pojawia się codziennie na starej wiśni. Skąd jednak mógł wiedzieć o tym stażysta, skoro żadna siła nie była zdolna wywabić go z łóżka o świtanie? Tak więc samotnie, zdany wyłącznie na siebie, przemierzał Turlej swoje leśnictwo w tę i z powrotem, na skos i zygzakami, zaglądał pod konary zwalonych świerków, wchodził do mateczników. I im dłużej to czynił, tym większą uzyskiwał pewność, że nie jest to wyłącznie jego osobista walka, lecz los powierzył mu do spełnienia potężną misję uwolnienia ludzkości od istoty złośliwej i złowrogiej. O Kłobukach wiedział wszystko lub prawie wszystko: o tym jak się rodziły, rozmnażały, co lubiły jadać i gdzie spędzać noce, kiedy posiadały moc większą, a kiedy mniejszą. Wkrótce stało się dla niego oczywiste, że strzelba

nadlufka i zwykły nabój nie są skuteczną bronią przeciw Kłobukom, dlatego zjawił się u proboszcza Mizerery, aby ten mu poświęcił kilka nabojuów śrutowych i kulowych. Proboszcz odmówił święcenia, podarował mu jednak ryngraf ze świętym Krzysztofem, który odtąd Turlej zawsze nosił na piersi. Niestrudzony umysł Turleja wymyślał też coraz bardziej niezwykle pułapki na Kłobuka. Od rybaków wypożyczył stare sieci i rozwiesił je na starej wiśni, na kilku drzewach umieścił zmyślne potrzaski i wnyki, w specjalnie kupionym notesie wykreślał szlaki stałych wędrówek Kłobuka po leśnych drogach i w tych to miejscach obowiązkowo, przynajmniej raz na tydzień, był osobiście ze strzelbą gotową do strzału. Jego zmagania nabrały tak gigantycznego charakteru, że budziły podziw u wielu mieszkańców Skiroławeek, a nawet w całej gminie Turlejskiej. Barwny sposób opowiadania o Kłobuku i jego przewrotnym zachowaniu się w lesie zjednywały mu zwolenników – zdarzyło się, że w polowaniu na złowrogiego ptaka wziął udział pisarz Lubiński, który też obiecywał Turlejowi, że jego walkę ze straszonym ptakiem uwieczni w jednej ze swych następnych powieści zbójceckich. Nawet nadleśniczy Kociuba okazywał wyrozumienie dla pewnych niedostatków, jakie dawały się zauważyć w pracy leśniczego i mawiał z powagą: „No cóż, pan Turlej poluje na Kłobuka...” O zmaganiach Turleja z Kłobukiem nie wypowiadał się Porwasz, natomiast pani Halinka przy każdej okazji stwierdzała ze złością: „Kto by pomyślał, że on ma tyle energii i wytrwałości? Ale drewek na opał jak nie było, tak nie ma. Słyszałam, że i kaloryfer zaczął ciec...”. Pani Basieńka dopatrywała się w bojach Turleja cech niemal nadludzkich i upieczony przez siebie placek drożdżowy osobiście zaniosiła do leśniczówki Blesy, aby wzmocnić siły bohatera. W istocie bowiem w postawie leśniczego i mawiał z powagą: „No cóż, pan Turlej poluje na Kłobuka...” Turlej w wyobrażeniach ludzkich do wymiarów olbrzyma, nisko kłaniały mu się nie tylko dzieci szkolne, ale i dorośli ludzie. Leśniczówka Blesy stała się miejscem, do którego peregrynować zaczęli rozmaici myśliwi, poszukiwacze przygód, bjarze spragnieni legend o Kłobukach, a nawet przyjechała pewna romantyczna blondynka z Bart. Rychło jednak porzucali Turleja, ponieważ, ogarnięty nadrzędną ideą uśmiercenia Kłobuka – przestał odczuwać pragnienie i łaknienie, a także, jak to stwierdziła owa blondynka, znikło w nim również libido, czyli zatracił pociąg do kobiet.

Na wieść o tej sprawie zaszepcił się doktor Jan Krystian Niegłowicz, a następnie poszedł do leśniczówki Blesy i stanął oko w oko z Turlejem. Najpierw, jak to się stało zwyczajem, zapytał go o przebieg walki z Kłobukiem i wysłuchał opowieści o przewrotnościach owego ptaka. Następnie kazał się Turlejowi rozebrać i położyć na łóżku: opukał go, osłuchał, kazał pokazać język i gardło. Ciało Turleja było wychudłe

i szerniały od trudów, urosła mu również rudawa broda. W oczach palił mu się jakiś niesamowity ogień, a chęć czynu była w nim tak wielka, że nawet przez chwilę nie mógł spokojnie poleżeć na łóżku, tylko raz po raz zrywał się i chciał biec do lasu.

– Przekona się pan, doktorze – mówił namiętnie Turlej – że gdy tylko uśmiercę Kłobuka, na moim podwórzu urosnie ogromna sterta drewna. I kaloryfer cieć przestanie. Stos polan będzie tak wysoki, że sięgnie nieba i zobaczy go moja żona z okna domu Porwasza. A wtedy do mnie powróci.

– To oczywiście – zgadzał się z nim doktor. – Podobno już znowu polubiła zielony kolor. Porwaszowi kupiła trzy zielone koszule.

– Wspaniale! – zachwycał się Turlej. – Znowu polubiła zielony kolor?! A jak pan sądzi, doktorze, czy ona mnie zdradziła?

– Nie – odparł zdecydowanie doktor. – Taka kobieta jak pani Halinka nigdy nie zdradza istoty jakiegos mężczyzny, z którym pozostawała w ścisłym związku. Chyba nie przywiązuje pan wagi do takich drobiazgów jak ten, że mieszka z Porwaszem i kładzie się z nim do łóżka. Porwasz jest taki sam jak pan: nie ma drewna na opał, całymi miesiącami nosi tę samą koszulę. Odchodząc od pana, zarazem pozostała panu wierna, może nie w potocznym sensie, ale w sensie ogólnym, to jest najważniejszym.

– Tak, pozostała mi wierna. Wiem o tym – zgadzał się z nim Turlej. – Nie jestem głupcem, aby zwracać uwagę na drobiazgi. Najważniejsze, że pozostała wierna mej istocie. Słusznie pan zauważył, że Porwasz niewiele różni się ode mnie pod pewnymi względami. Odeszła więc, ale zarazem jak gdyby pozostała ze mną. W Porwaszu odnalazła mnie, czyż nie tak?

– Owszem. Wykazuje pan zadziwiająca trzeźwość umysłu – oświadczył Niegłowicz. – Dlatego, jak sądzę, tym bardziej łatwo będzie przekonać pana do wzmocnienia swych sił, aby walka z Kłobukiem stała się skuteczną. Radzę co rano zażywać pigułki czerwone, a wieczorem niebieskie. Mam też dla pana serię zastrzyków. Będę je panu robił osobiście i codziennie. Po jakimś czasie odczuje pan silne łaknienie i pragnienie oraz odezwie się w panu naturalne libido. Czy ma pan adres tej romantycznej blondynki z Bart?

– Nie.

– Szkoda. Byłoby wskazane, aby przyjechała tu do pana za dziesięć dni.

– Nie chcę żadnych wizyt – zastrzegł się Turlej. – Obcy ludzie, nawet kobiety, rozpraszają mnie i przeszkadzają w moich sprawach.

Doktor zrobił zastrzyk i wrócił do domu. Przez dziesięć dni cierpliwie odwiedzał Turleja i dawał mu kolejny zastrzyk, nakazał też Gertrudzie, aby nosiła mu codziennie

obiady. Chyba po sześciu dniach owej kuracji Turlej stwierdził, że przestał widywać Kłobuka na starej wiśni, ów przewrotny ptak przestał go nękać i dlatego stracił dla niego dawne zainteresowanie. Owszem, od czasu do czasu jeszcze szedł w las na poszukiwanie złowrogiego ptaka, ale coraz rzadziej odkrywał na piaszczystych drogach ślady jego pazurów. Po dziesięciu dniach – gdy wraz ze stażystą, panem Andrzejem, robił jak ongiś wyplatę dla robotników leśnych – zwierzył mu się, – że najprawdopodobniej Kłobuk, zadrażniony pościgiem, przeniósł się do sąsiedniego leśnictwa.

Kuracja zastosowana przez Niegłowicza miała jednak i ujemne skutki. Oto wraz ze śmiercią nadrzędnej idei walki z Kłobukiem leśniczy Turlej powoli powracał do swych dawnych nawyków i dawnej osobowości. Przepadł gdzieś bezpowrotnie człowiek czynu, zdolny do największych trudów i poświęceń, narodził się zaś na powrót bezwolny marzyciel, osobnik niezwykle roztargniony i zapominający po kilku minutach o każdym swym postanowieniu, jeśli wiązało się ono z najmniejszym wysiłkiem z jego strony. Bywał często osowiały, po dobrym obiedzie Gertrudy Makuch jak dawniej lubił godzinami spać w łóżku i najlepiej się czuł, gdy nikt go do niczego nie zmuszał, nawet do pójścia do lasu. I tak jak do niedawna niemal mieszkał w ostępach leśnych, tak teraz trudno go było nakłonić do opuszczenia domu. Najchętniej do lasu wysyłał pana Andrzeja, co rzecz jasna kończyło się koniecznością poniesienia wysiłku, aby zgubionego stażystę odszukać, zanim nie zginie on z głodu i chłodu. Pan Andrzej bowiem nic się nie zmienił – wciąż gubił się w drodze do najbliższego zrębu.

Zdarzyło się w owym czasie, że Turlej udał się po chleb do sklepu w Skiroławkach i mijając dom Porwasza, zobaczył za ogrodzeniem z siatki kilkuletniego chłopca, bawiącego się piłką. W postawie i rysach tego chłopca coś się wydawało Turlejowi bardzo znajome. Tedy przystanął i zapytał zdławionym głosem:

– A nie jesteś ty, chłopczyku, synem leśniczego Turleja?

– Tak – odparł chłopiec.

– To ja. To ja jestem twoim ojcem. To ja jestem leśniczym Turlejem – zawołał i wyciągnął do dziecka rękę, choć dzieliła ich druciana siatka. Chłopiec odszedł od siatki i powiedział nieufnie:

– Wiem, jak wygląda mój ojciec. Mam jego fotografię. Nie ma dużej brody, nie jest taki chudy i czarny na twarzy.

Dotknął leśniczy swojej brody, przypomniał sobie, że nie mył się od dawna i nie golił, od pół roku nie widział chłopca, i ten mógł zapomnieć jak wygląda ojciec. Postanowił natychmiast odmienić swój wygląd i zamiast do sklepu, szybkim krokiem udał się do leśniczówki Blesy. Niestety, nie malał w łazience ani jednej żyłетки, która nadawałaby

się do golenia. Nie chciało mu się jednak znowu wędrować przez wieś aż do sklepu, odłożył więc sprawę na później, a nazajutrz o całej historii zapomniał. Cechowała go bowiem jakaś niezwykła i trochę irytująca dla otoczenia właściwość, że wszelkie sprawy układały się w jego myślach jak stos kartek na biurku w kancelarii. Każda następna zakrywała wszystkie inne i to wydawało się mu jedynie ważne, co działo się w czasie teraźniejszym. Po kartki leżące pod spodem należało sięgnąć, wydobyć je na wierzch, stworzyć hierarchię ich wartości, a to wiązało się już z wysiłkiem, którego nie lubił. Ci, którzy go znali, wiedzieli już, że jeśli coś odkłada na jutro, odkłada zarazem na zawsze, chyba, że ów ktoś był wytrwały i tę sprawę wciąż mu przedkładał jako nową. Ileż to razy przysięgał, że mundur oczyści z plam, odprasuje, brodę ogoli i twarz starannie umyje, a następnie odwiedzi swego synka w domu Porwasza. Kończyło się jednak na wędrowce do sklepu, przemykaniu koło ogrodzenia domu Porwasza, aby go chłopiec nie zauważył, kupnie żyletek i jednorazowym ogoleniu brody. Nie starczyło sił na oczyszczenie i odprasowanie munduru. A gdy wreszcie odprasował i oczyścił mundur, znowu mu zabrakło żyletek, a pójść nie ogolonym nie chciał w obawie, że chłopiec nie rozpozna w nim ojca.

Tak żył on i podobnie żył pan Andrzej, dopóki nie skończył mu się staż i nie opuścił leśniczówki Blesy.

W ów dzień, gdy pan Andrzej wsiadał rano do autobusu odjeżdżającego ze Skiroławek, Turlej nieco dłużej przebywał w lesie. Powróciwszy do leśniczówki odkrył ze zdumieniem duży stos polan dębowych na swoim podwórku. Z komina dymiło się, a w kuchni przy piecu krzątała się Widłągowa i gotowała obiad, kaloryfer w pokoju był zespawany i po całym domu rozchodziło się miłe ciepło od centralnego ogrzewania.

– Zakazałam Gertrudzie Makuch przynosić panu obiady – oświadczyła gruba żona gajowego Widłąga, odsuwając z rozgrzanej płyty patelnię ze skwierczącymi na niej kawałkami słoniny. – Jeszcze gotowa za te obiady zażądać tej pięknej łąki za pańską stodołą. A mnie i mężowi ta łąka w sam raz pasuje. Doglądu pan potrzebuje, jak każdy samotny mężczyzna. To ja będę panu robiła obiady, dbała o śniadania i kolacje, a także o porządek. Mężowi polan dębowych pełen wóz nakazałam przywieźć, żeby ciepło było. Dostarczy jeszcze jeden wóz, potem drugi i trzeci. Na tym paśniku za pańską stodołą owce zaczniemy hodować, a trzymać je będziemy w pana oborze. Siano dla owiec zgromadzi się w pana stodole, siano z tych łąk w lesie, które są pana. Dzieci mam duże, wypada je odwiedzać i chcemy mieć samochód. Na owcach najszybciej można się dorobić.

– Dobrze. Bardzo dobrze, pani Widłągowa – pomrukiwał leśniczy wdychając

smakowity zapach smażonej słoniny, którą krasila ziemniaki. – Mnie ani łąka, ani obora nie są potrzebne. O jednym tylko myślę: przywieźć trzy przyczepy drewna, porznać je na pieńki, połupać na polana i stos z nich wielki jak do nieba ułożyć. Ujrzy je moja żona z domu Porwasza i powróci tutaj wraz z dzieckiem.

– A pewnie. Czemu miałyby nie wrócić – przytaknęła Widłagowa, stawiając przed leśniczym obiad z dwóch dań na czystuśko wymyтым stole. Potem zabrała się do szorowania zapleśniałych naczyń w zlewozmywaku.

Jadł Turlej obiad i mimochodem spoglądał na wypięty na niego zad Widłagowej, na wielkie półkola jej pośladków i szerokie plecy, na grube uda dobrze widoczne, kiedy pochyliła się nad kubelkiem, wrzucając do niego śmierdzące resztki starego jedzenia. Z pełnym żołądkiem, rozmarzony ciepłem w mieszkaniu, ukołysany marzeniami – poszedł po obiedzie spać do czystej pościeli w wysprzątanym pokoju, gdzie nie ciekł już kaloryfer. Po chwili weszła za nim Widłagowa, przysiadła się na brzeżku łóżka i tak mówiła:

– Dałam panu własną czystą pościel, a tę pańską, brudną, zabrałam do prania. To samo zrobiłam z pańskimi gatkami i podkoszulkami. Wszystko przyniosę czyste i odprasowane. To samo stanie się z koszulami i z pańskim mundurem odświętym. Dawniej trochę opiekowałam się panem Porwaszem, ale on nie to samo, co pan.

– O nie, nie, pani się myli – bronił go leśniczy Turlej. – On jest taki sam jak ja. Bo czy inaczej zamieszkałaby u niego moja żona?

– Będę się panem opiekować jak Porwaszem, gdyż w ciążę już nie zachodzę i mąż na tę opiekę zgodę wyraził. Ładna jest ta łąka za pańską stodołą, panie leśniczy, i szkoda, żeby się marnowała albo w czyjeś obce ręce dostała. Przytulnie i wygodnie będzie panu z nami. Bo przecież chyba nie jest prawdą to, co gadała ta blondynka z Bart, że przez tę gonitwę za Kłobukiem na swojej fujarce już pan grać nie potrafi?

Wsunęła rękę pod kołdrę, ciepłą dłonią wyłuskała z rozporoka gatek fujarkę leśniczego i miętosiła ją delikatnie, z lubością, aż mu odpowiednio urosła i stwardniała. Zmrok jesienny panował w pokoju, tedy, westchnąwszy cichutko, bez wstydu rozebrała się, obnażając potężne ciało i legła obok Turleja. Jej miękka skóra aż parzyła od gorąca, a piersi wydawały się jak dwa płaskie bochenki chleba. Legł na niej Turlej, drapiąc jej szyję nie ogolonym policzkiem, a ona od tego drapania aż postękiwała z rozkoszy.

Zasnął Turlej w jej grubych ramionach i nic mu się nie śniło. A przecież właśnie w tym czasie odwieczny Kłobuk znowu usiadł na gałęzi starej wiśni i tkwił tam aż do rana. Dziwny ptak podobny do zmoklej kury, ze złotawymi piórami utkanymi z ludzkich snów.

O TYM, JAK PISARZ LUBIŃSKI POBRATAŁ SIĘ Z LUDEM

Maria Porowa uciekła w las, zabierając z sobą trójkę swych dzieci: Dariusza, o którym mówiono we wsi, że wyrośnie na wielkiego człowieka, ponieważ od małości nosił się dumnie; Zosię, co to zaledwie od ziemi odrosła a już królika ukradła; oraz niespełna dwuletniego Janka. Dziecko to jeszcze ani chodziło, ani mówiło, pozostawione przez Porową w zasikany łóżku samotnie tłuć głową w poduszkę, co – ku ogólnemu zdziwieniu wiejskich kobiet – zdawało się mu sprawiać jakąś dziwną przyjemność. W wystawionym dla sądu w Bartach orzeczeniu doktora Niegłowicza mały Janek kwalifikował się do szpitala, natomiast pozostałe dwoje dzieci należało zabrać do domu dziecka. I tak też zdecydował sąd, odbierając Porowej prawa rodzicielskie i wysyłając po dzieci samochód z domu dziecka. Ktoś jednak uprzedził Porową o terminie przyjazdu samochodu i uciekła z dziećmi w las. A że znała go lepiej od leśniczego Turleja, tedy milicjant, pielęgniarka oraz wychowawczynie nawet nie usiłowali jej szukać. Zmartwił się tym wydarzeniem doktor Niegłowicz, gdyż choć pierwsza połowa listopada była słoneczna i ciepła, nocami zdarzały się jednak przymrozki i dzieci mogły się przeziębic. Nic wydawało się to jednak aż takie pewne, skoro w lute mrozy mały Darek potrafił boso i nago do pępka biegać po śniegu i nawet nie zakasłał. A gdy mu pani Halinka Turlej kupiła ciepłe rajtuzy, nosił je zaledwie dzień, następnie rzucił w krzaki, wyjaśniając, że mu w nich niewygodnie. Wieści o ucieczce Porowej słuchoł Lubiński ze zmarszczonym czołem, usiłując rozwiązać zagadkę tak dziwnego zachowania się owej kobiety. Bo jeśli dwukrotnie już do różnych domów dziecka zabrano jej aż ośmioro dzieci i potem nigdy się nimi nie interesowała, czemu teraz wzbraniała się przed oddaniem i tej trójki? Jeśli kochała je więcej niż tamte, to dlaczego postępowała z nimi tak samo jak z tamtymi, nie dawała jeść, pozostawiała same na całe dnie i noce? Czy w takiej sytuacji nie powinna raczej niecierpliwie wyczekiwać, aż przyjedzie samochód po jej dzieci i zabierze je do lepszego życia? Zresztą wszystkim we wsi wydawało się oczywiste, że Porowa wkrótce sprawi sobie nowe dziecko, jedno albo jeszcze dwoje, bo była stosunkowo młodą, i, sądząc po jej dotychczasowym życiu, płodną kobietą. Tymczasem uciekła z dziećmi w las, jakby skarb jaki najcenniejszy pragnęła ocalić przed złymi ludźmi.

Dla Nepomucena Lubińskiego, który od pewnego czasu ogarnięty był myślą, aby zająć się opisywaniem ludzi i spraw prawdziwych, osoba Marii Porowej mogła stanowić kanwę dla noweli lub opowiadania. Mieściła się ona także w formule powieści

zbójcekiej, gdyż w istocie Porowa była matką zbójceką. Należało tylko znaleźć własny klucz do zrozumienia jej osobowości, tym kluczem otworzyć duszę owej kobiety, zobaczyć tkwiące w niej sprzeczności, a być może jedność przeciwieństw, i dokonać literackiego powiększenia, o którym myślał u śluzu na kanale.

Atoli, o ile klucz do zrozumienia psychiki postaci literackich znajdował Lubiński równie łatwo jak złodziej, gdy chce się dostać do czyjegoś domu – wiadomo bowiem, że zazwyczaj taki klucz leży pod słomianką, to w przypadku postaci żywych znalezienie klucza okazało się niekiedy sprawą skomplikowaną. Żywe postacie sprawiały wrażenie, że klucz do swego domu ukrywają w nie wiadomo której kieszeni, albo zgoła po prostu gubią. Bywało też, jak w sprawie Porowej, że ów dom pozostawiono w ogóle nie zamknięty, a właścicielka uciekła w las wraz ze swymi dziećmi i swymi zagadkami. Ów dom, zabudowania oraz kilka hektarów ziemi otrzymali kiedyś rodzice Marii Porowej, jako zadośćuczynienie za ich gospodarstwo utracone na Wschodzie. Ojciec jej, Józef, zginął wkrótce rozszarpany przez ładunek wybuchowy, który sam skonstruował, aby głuszyć nimi ryby w jednym z leśnych jezior. Gospodarstwo prowadziła odtąd żona zabitego, Franciszka, wychowując dwóch synów i córkę Marię, najmłodszą z rodzeństwa. Jeden z braci Marii został zawodowym wojskowym, drugi ukończył technikum górnicze i osiadł na południu, Maria zaś już w siedemnastym roku życia urodziła pierwsze nieślubne dziecko z niewiadomego ojca. Jej matka tak się tą sprawą przejęła, że, jak powiadali później miejscowi ludzie, w dwa lata po urodzeniu wnuka zmarła na udar serca. Niemal w tym samym czasie Maria Porowa powiła drugie nieślubne dziecko, także z niewiadomego ojca. Jak również tego samego roku powiła dziecko trzecie, co wydaje się dziwne, a przecież jest prawdziwe, gdyż rok składa się z dwunastu miesięcy. Urodziwszy drugie dziecko w styczniu, trzecie urodziła w grudniu tego samego roku.

Ręce Marii Pory nigdy nie zaznały pracy, ciało jej nie wiedziało co to znój i trud, wszystko bowiem w owej kobiecie stworzone było do miłosnych uścisków i płodzenia dzieci. Z tego też powodu nigdy nie odwiedzał jej żaden z braci, ani jej do siebie przyjeżdżać nie pozwolił. Maria ciemię ojców wydzierzawiła, krowy i świnie sprzedawała, utrzymywała się zaś z tego, co jej ofiarowali ci, którzy ją odwiedzali, wówczas to jeszcze przeważnie rozmaici panowie z Bart. „Pierwsza dama Skiroławek”, jak ją nazywał doktor Niegłowicz z tego powodu, że nigdy nie zhańbiła się pracą, po każdym kolejnym dziecku stawała się coraz bardziej dorodniejszą, choć kiedyś, zanim rodzic zaczęła, uważano ją za brzydką. Tak to rodzenie nieślubnych dzieci pięknie służyło Marii Porowej, choć inne kobiety w Skiroławkach zaledwie urodziły jedna lub dwoje,

już miały krzywe nogi, dziurawe zęby, wychodziły im włosy, dostawały ogromne brzuchy i szerokie zady. Porowa ani nie przytyła nadmiernie, ani też nie schudła. Cere miała śniadą, włosy czarne, gęste, długie, a piersi duże i twarde, gdyż zawsze była w okresie karmienia. O dzieci swoje nigdy nie dbała, a jeśli się pojawił jakiś pan z samochodem, potrafiła z nim wyjechać w świat na kilka dni, pozostawiając drobiazg bez żadnej opieki. Nic więc dziwnego, że gdy w dwa lata później urodziła czwarte dziecko i po jakimś czasie sprawa jej przedstawiona została sądowi w Bartach, ten pozbawił ją praw rodzicielskich i całą czwórkę zabrano do domu dziecka. Popłakiwała trochę Maria Porowa, gdy zabrakło jej w domu owego drobiazgu, ale dość szybko, chyba w pół roku później, pocieszyła się następnym dziecieniem, piątym, a później szóstym, siódmym i ósmym. Tę czwórkę również zabrano do domu dziecka wyrokiem sądu w Bartach. Porowa już nie płakała, ale zaraz sprawiła sobie dziecko dziewiąte, dziesiąte i jedenaste. Rodziła tak łatwo, jak kura znosi jajko, a z czasem takiej wprawy w tej dziedzinie nabrała, że o ile pierwsze troje dzieci rodziła w szpitalu przy asyście położnej i lekarza, to następne przychodziły na świat w jej mieszkaniu, nawet żadnej sąsiadki do pomocy nie wołała. Wyliczali ludzie w Skiroławkach, że pierwsze dziecko Porowej winno mieć dziewiętnasty rok życia, a że to była dziewczynka, być może już wyszła za mąż. Nigdy jednak żadne z owych dzieci nie pojawiło się u matki ani ona nigdy się nimi nie interesowała. Zdziwiające więc, że z tą trójką, na wieść o przyjeździe milicjanta, pielęgniarki i wychowawczyni, w las uciekła, co mogło świadczyć, że do owej trójki była bardziej przywiązana niż do tamtych ośmiorga. Ale skoro bardziej jej na nich zależało, czemu jeszcze gorzej je traktowała niż tamtych ośmiorga? W dawnych latach klienci Porowej bywali zamożniejsi, teraz utrzymywała się ona ze zbierania jagód i sprzedaży suszonych grzybów, i z tego co jej ktoś przyniósł. Panowie z samochodami już do Porowej bardzo rzadko trafiali, gdyż choć z początku ładniała po każdym dziecku, to po ósmym zaczęła na powrót brzydnąć, trochę zębów zgubiła i pod oczami zmarszczki miała.

Zdaniem pisarza Lubińskiego, z logicznego punktu widzenia troje małych dzieci stanowiło dla niej znaczne utrudnienie w zdobywaniu środków do życia i zaspokajaniu potrzeb erotycznych, powinna więc była Porowa powitać radośnie samochód z milicjantem, pielęgniarką i wychowawczynią. Tym bardziej że często powtarzała: „jak mi tę trójkę odbiorą, nowe urodzę”. Poniektórzy w wiosce nawet za złe mieli sądowi w Bartach, że tak ochoczo pozbawiał ją praw rodzicielskich, gdyż Porowa, jak gdyby na złość sądowi, nowe dzieci ciągle rodziła. Po co – tego nikt nie rozumiał. Miał się więc nad czym zastanawiać pisarz Lubiński. Atoli, jak to już zostało wspomniane, klucza do

tej sprawy pisarz nie znalazł pod słomianką. I albo żadnego klucza w ogóle nie było, albo też Porowa zabrała go ze sobą do lasu.

Na trzeci dzień, od chwili ucieczki, prowadzony chęcią poznania prawdy, wyruszył Lubiński do lasu, aby ową kobietę odnaleźć i z nią porozmawiać. Las przepastny pisarz znał dobrze, ponieważ był myśliwym i niejedną noc w leśnych komyszach spędził. Szedł i szedł, a dokoła niego zalegała słoneczna i bezwietrzna jesienna cichość. Zauroczony pięknnością lasu niemal zapomniał, po co i do kogo idzie. Powietrze w lesie było niezwykle czyste, a tam, gdzie robotnicy leśni korowali wałki papierówki i wznosiły się sterty poskręcanych, żółknących wiórów, aż w głowie się kręciło od przenikliwej i cudownie pięknej woni świeżego drewna. Szedł pisarz Lubiński zarośniętą trawą drogą leśną i ploszył wiewiórki skaczące po leszczynach. Udzielił się mu spokój lasu, poczuł się brzemienym w myśli i nabierał łagodnej pewności, że dzieje Porowej mogłyby posłużyć za temat historii kobiety, która rodziła dzieci jak drzewo rodzi liście. I raptem zdało się Lubińskiemu, że w dziejach Porowej dostrzega jakieś dzikie i okrutne piękno, że w takim jawnym i naocznym grzechu widzi niewinność, a zło, które czyniła Porowa, poprzez swój ogrom wymykało się z kleszczy ocen ludzkich i winno być odmierzane wedle praw przyrody. Porowa, ukryta z dziećmi w lesie, stała się w wyobraźni pisarza także i częścią lasu, na podobieństwo lochy z warchlakami. Ujrzał ją odczłowieczoną, istotą poza wstydem i poza pojęciem grzechu.

Tak rozmyślając znalazł się nad strumykiem leśnym, który miał swe źródło na Świńskiej Łące, a płynął wąskim korytem na dnie głębokiego parowu. Tu wyczuł nagle pisarz zapach dymu, a później usłyszał śmiech ludzki, męski a także kobiecy. Wspiął się więc po stromiznie parowu, przedarł się przez gęstwinę młodych buków i u szczytu wzniesienia zobaczył trawiasty pagórek starego bunkra oraz otwór strzelniczy, z którego wypływała smuga siniego dymu. Na pagórku na podartym kocu siedziała Porowa w halce, z gołymi ramionami, ponieważ ciepłe słońeczko ją ogrzewało. Obok Porowej ujrzał Lubiński kulawą Marynę z dzieckiem na kolanach, Erwina Kryszczaaka, cieślę Sewruka a także drwali: Jarosza, Ziętka i Cegłowskiego. W pobliskich krzakach leżały ich motorowe piły i rowery, na małej polance za bunkrem pasły się dwa konie Kryszczaaka i stał wóz na ogumionych kołach. Dzieci Porowej, jak o tym się pisarz wkrótce przekonał, siedziały w bunkrze na snopkach słomy i najstarszy z nich, Darek, dokładał kory drewnianej do żelaznego piecyka, na którym w jednym garnku gotowała się kura, a w drugim odgrzewano grochówkę z puszek – tak zwane danie regeneracyjne, otrzymywane przez drwali.

Nikt się nie zdumiał widokiem pisarza. Cieśla Sewruk podał mu swoją ogromną

dłoń. Porowa i kulawa Maryna uczyniły dla niego miejsce na podartym kocu. Wielu chodziło do Porowej, a że nikt się tym nie chwalił tedy i niespodziewana wizyta Lubińskiego nie wydawała się dziwna. Nalał mu Jarosz wódki do niedużej szklanki i powiedział uroczyście:

– Za nasze piękne chwile, panie pisarzu, niechże się czara ta wypełni.

Opróżnił szklaneczkę pisarz Nepomucen Lubiński, aby go za gbura nie uważano, potem wypił Jarosz, Ziętek, Porowa i Maryna, a na końcu cieśla Sewruk. Dla Cegłowskiego i Kryszczaka wódki już zabrakło. Lecz gdy to się stało, przyjechał na rowerze młody Galembka i dwie półlitrowki przywiózł. A że i tego mogło być za mało, o przyszłość zatroskał się drwal Jarosz i od pisarza duży banknot wyłudził. Zaraz też drwal Ziętek odjechał na rowerze przez las do sklepu w Skiroławkach, aby czara dalej mogła się wypełniać.

– Wielka szkoda, że nie był pan, panie pisarzu, na moim topieniu się w jeziorze – zahuczał basem cieśla Sewruk. – Doktor Niegłowicz osobiście to oglądał i bardzo mu się podobało. Uciekanie Porowej też jest ładne, ale moje topienie było ładniejsze.

– Powinna pani oddać dzieci – surowo skarcił Lubiński Porową. – Zajmie się nimi specjalna wychowawczyni i pielęgniarka. Będą miały lepiej niż u pani.

– A pewnie, że będą miały lepiej – zgodziła się i zażądała od młodego Galembki, żeby jej „czarę” wypełnił. – Ale dlaczego mają rządzić się nie swoim? Jeśli sąd chce mieć dzieci, to niech sam sobie je rodzi, a nie cudze zabiera, jak komornik krowę z obory.

– Dziecko to nie krowa – zauważył Lubiński.

– To właśnie mówię. Nie wolno zabierać jak krowy z obory.

– Nie to miałem na myśli, pani Porowa. Dzieci to niejako nasza wspólna własność i wspólna musi być nad nimi opieka. Żeby na dobrych ludzi wyrosły. Porowa opróżniła szklankę i przekazała ją pisarzowi.

– Niechże się czara ta wypełni, panie pisarzu – powiedziała. – Ale to panu powiem, że gdyby tak było, jak pan mówi, że niby dzieci są wspólną własnością, to by pan choć raz do mnie przyszedł i tymi dziećmi się zajął. Pani Basieńka nie ma dzieci, a ja mam. Mogłaby pani Basieńka dziećmi moimi się zaopiekować, bo ja mogę jeszcze urodzić, i to niejedno.

– My nie chcemy mieć dzieci – oświadczył Lubiński. – Nie czujemy się zdolni, aby je właściwie wychować. Pani w ogóle nie myśli, że dziecko musi mieć wszystko, co mu się należy. Dlatego dzieci powinna pani oddać, a nie uciekać z nimi do lasu.

– Oddam je. Pewnie, że oddam. Ale nie tak zaraz – wyjaśniła Porowa. – Najpierw

muszę z nimi uciekać.

– Po co?

– Mam je oddać bez uciekania, jak krowę komornikowi? Co też pan opowiada, panie pisarzu?! I Darka mi szkoda, i Zosi, i nawet Janka, chociaż on tak głową wali w poduszkę. Pewnie, że mi je zabiorą. Ale zaraz coś nowego sobie zmajstruję. Jak żyć bez dzieci? Co ze mnie byłaby za kobieta, żebym od czasu do czasu nie urodziła? Pan nie ma szczęścia, panie pisarzu. Kobiety posiadał pan aż trzy, a żadnego dziecka. Same niewydarzone kobiety pan sobie brał, nie ubliżając panu.

– Co prawda, to prawda, panie pisarzu – zgodził się z nią młody Galembka. – Pamiętam, mieliśmy burego kota. Codziennie go musiałem kopnąć, sam nie wiem dlaczego. Ale jak tego kota żona oddała w lepsze ręce, niby od czasu do czasu go kopnąłem, to mi się żal zrobiło, że kota oddała. Lubilem tego kota, chociaż go i kopnąłem.

– Do wszystkiego człowiek może się przywiązać – oświadczył Erwin Kryszczak. – Na ten przykład bardzo się przywiązałem do księcia Reussa, chociaż to był Kawaler Maltański i taki człowiek, że jak miał zły humor, wzywał mnie do siebie i mówił „ty świnió”. Do Trumiejek czołgi się zbliżyły – powiadam do księcia : „Ty świnió, teraz twój koniec”. On jednak zabarykadował się w pałacu i strzelał z karabinu maszynowego, musiałem go zabić nożem. Pochowałem księcia i nawet spłakałem się przy tym. I to wam mówię, że życie bez książąt jest smutniejsze. Książęta i królowie to sprawy starodawne, ale człowiek przywiązuje się także do spraw starodawnych. Na ten przykład, nie ubliżając panu pisarzowi, w żaden sposób nie mogę przeczytać tej jego książki o dziewczynce, która uciekła ze szpitala dla wariatów. Mam po swoim ojcu starodawną książkę, czytam ją wiele razy i nigdy mi się nie znudziła.

– A co to za książka? – zaciekawiał się Lubiński.

– O bitwach, o batalii dnia drugiego. Tak się ona zaczyna: „Ale mocno pomylił się Napoleon, mniemając, że Bennigsen się cofnie, albowiem ledwie co nazajutrz świtać zaczęto, poczęli Rosjanie pięćdziesięcioma armatami bić na Francuza. Na miejscu rozkazał Napoleon, aby z jego strony Rosjanom kanonami odpowiedzieć. Armię swoją Napoleon wystawił od Rotenów za miastem i w pośrodku w kilku rzędach. A usiadłszy na stołku za kościołem, kierował stamtąd batalią”.

Chciał dalej z pamięci recytować opis bitwy, ale Lubiński okazał zniecierpliwienie.

– Toż przez te ziemie, przez ten las, dwie wielkie wojny się przetoczyły. Choćby ostatnia, tak wielka, że i większa być nie może. Jeszcze po bagnach wieżyczki czołgów sterczą i stare hełmy po rowach leżą. A wy o jakiejś tam batalii sprzed stu pięćdziesięciu

lat opowiadacie, jakby to było wczoraj.

– Co prawda, to prawda – zgodził się Sewruk. – Ja sam wielką bitwę widziałem na własne oczy. Ale co innego samemu widzieć, a co innego opowiadania o bitwie słuchać.

– Teraz nie umiem opowiadać o wojnie – stwierdził Kryszczak. – I nawet filmy o wojnie nie są ciekawe. Wciąż tylko pokazują, jak jadą czołgi, biegną żołnierze i armaty strzelają. Może więc pan posłucha: „Bagration wpadł na dobry pomysł...”

Pili, jedli mięso kury, które Porowa zaostrzonym patykiem z gorącego rosółu wyjmowała i wszystkich po równo częstowała. Najadły się też mięsa dzieci Porowej, nie wyłączając tego maleństwa, co to leżało w bunkrze na słomie i wedle zwyczaju dużą głową w słomę tłukło. Nakarmiła swoje maleństwo również kulawa Maryna, a potem ściągnęła z siebie sukienkę i w halce, jak Porowa, na bunkrze zasiadła.

– Za nasze piękne dni, panie Jarosz, niechże się czara ta wypełni – uroczycie mówił Lubiński do drwała, małą szklaneczkę napełniając wódką.

Pili, jedli, opowiadali. Każdy o tym, co wiedział, lub co mu się ważne wydawało, ale co nikogo oprócz niego nie obchodziło. Nikt więc nikogo nie słuchał, lecz każdy rozprawiał i czuł radość ze swego opowiadania. Cieśla Sewruk mówił, jak to stodołę komuś budował z dachem czterospadowym, Erwin Kryszczak o księciu Reussie, który zanim dziewczkę folwarczną zbałamucił, kazał Kryszczakowi ją wypróbować, czy choroby jakiej od niej się nie złapie. Jarosz o dziwnym wydarzeniu, które przed dwoma laty przeżył, gdy z Bart nocą motorowerem do Skirołówek przez las jechał. W środku lasu żołnierz go zatrzymał na szosie, na motorower mu z tyłu wsiadł. W drodze zorientował się Jarosz, że żołnierz ów nosi mundur obcego wojska. Koło leśniczówki Blesy kazał mu żołnierz motorower zatrzymać, zeskoczył z niego, zasalutował i przepadł w lesie. Opowiadał Ziętek o Cyganach i przysięgał, że jeśli gdzieś w lesie Cyganie obóz założą, to na tym miejscu nigdy już nowy las nie wyrośnie. Opowiadał Lubiński o pewnym krytyku literackim, który zanim książkę przeczytał i ocenił, najpierw musiał ją powąchać. Młody Galembka raz po raz głaskał po nagim kolanie to kulawą Marynę, to znów Porową, a one za każdym takim dotknięciem zanosily się głośnym śmiechem.

Cieśla Sewruk raz po raz przepijał do pisarza Lubińskiego i tłumaczył mu powtórnie:

– Stracił pan wiele, panie pisarzu, że nie widział pan mojego topienia się w jeziorze. To prawda, że przyjemnie posiedzieć na bunkrze. Ale moje topienie się było ładniejsze. Nie ubliżając całemu towarzystwu jeszcze i to stwierdzę, że uciekanie z dziećmi nie jest takie ładne jak topienie się w jeziorze.

– A ja ci powiem, że najładniejszego to nie widziałeś, Sewruk – oświadczył drwał Jarosz. – Najpiękniej było, gdy goniliśmy po młodnikach Leona Kruczka, a potem

razem z doktorem swoją żonę po gołej dupie paskiem praliśmy.

– Co tydzień powinno być coś ładnego w naszej wiosce – huczał basem cieżła Sewruk. – Wtedy nikt by się nie nudził.

– A czy wiecie, że tutaj, do tego bunkra, Antek Pasemko zaciągnął trupa dziewczyny z Bart. Półtora roku tu leżała i nikt o tym nie wiedział...

Te słowa wypowiedział młody Galembka. I zaraz wszyscy umilkli, skurczyli się, jakby jakiś zimny podmuch wiatru raptem ich owiał. Aż wreszcie Erwin Kryszczak powiedział do Galembki karcąco:

– Nie powiadałyś byle czego. Nie widzisz, że nawet pan pisarz przyszedł do nas w odwiedziny? Mądrą, ładną, kulturalną rozmowę należy prowadzić, a nie o głupstwach wspominać.

– Tak mi się tylko wymknęło – tłumaczył się Galembka.

– To niech ci się byle co nie wymyka – burczał Kryszczak. – Ściśnij dupę, bo jeszcze się zesrasz.

I znowu jedli, pili, rozmawiali aż do popołudniowej godziny, kiedy lekki wiaterek się zerwał w lesie i dym z bunkra nie szedł już prosto do góry, lecz zaczął się kłaść po ziemi. Siwy dym gryzł w oczy, owiewał swoim niemiłym smrodem. Rozkasał się Lubiński i oczy łez ocierał. Widząc to siedząca po turecku Porowa chwyciła rąbek halki i wachlując nią dym od pisarza odganiała, zarazem odsłaniając przed nim swoje nagie uda, czarne i głębokie fałdy na brzuchu.

Próbowała wachlować pisarza również i kulawa Maryna, ale że majtki nosiła, niczyjego zainteresowania nie wzbudzała. Zresztą, mimo wachlowania, coraz tonęli wszyscy w kłębach sinego dymu, gdyż mały Darek palił nie tylko korą, lecz i świerkowymi gałązkami, czynił to z zapałem i wytrwale. Od czasu do czasu oprócz podbrzusza Porowej z kłębow dymu wyłaniała się przed Lubińskim twarz Erwina Kryszczaka i jego jedyny żółty ząb. Niekiedy też z siności wychylała się wielka jak sagan głowa cieżli Sewruka albo czyjaś ręka ze szklaneczką wódki. Potem dym świat zasnuwał i łyzy z oczu wyciskał. Lubiński już nikogo i niczego nie widział i wydawało mu się, że zapada się w gardziel piekła. Wiatr zmienił jednak kierunek, dym uciekł w głąb parowu, wszystko znowu stawało się wyraźne i dobrze widoczne, nawet głęboki pępek na brzuchu Porowej, która ciągle wachlowała pisarza swoją halką.

Spoglądał pisarz na jej pępek, na włochate łono, potem wzrok przeniósł na śniadą twarz, na czarne i gęste włosy, które rozpuściła na obnażone ramiona, słuchał jej wesołego śmiechu i zaglądał w szeroko otwarte usta z brakującymi z przodu kilkoma zębami. Śmiech Porowej był mocny i głęboki, wstrząsał jej brzuchem i obwisłymi piersiami.

Ale i to zauważył Lubiński, że nawet zatracając się w owym beztróskim śmiechu ani przez moment nie traciła czujności, jej spojrzenie było zimne i wciąż myszkujące na wszystkie strony; przypominała dzikie zwierzę schwyte przez człowieka i trochę oswojone, dające się głaskać, ale przecież wciąż gotowe do ucieczki. Pomyślał Lubiński, że Porowa nie zna uczucia miłości, jak ślepiec nie zna światła, wnętrze jej duszy jest jak jej dom – zimny i pusty, niszczyjący. Oblapia się zaś z mężczyznami, a potem rodzi, pragnąc rozgrzać w sobie to coś, co jest zimne i rozgrzać się nie da. Pomyślał także Lubiński, że Porowa jest jak polna grusza, zrodzona z przypadkowo rzuconego nasienia. Nie zaszczerpiona gałązką szlachetności ma w sobie soki gorzkie i kwaśne, które tak samo gorzkie i kwaśny owoc rodzą.

Po południu, powłócząc nogami, przydreptała z wioski stara Jastrzębska z butelką denaturatu. Nie chciał pisarz, aby ludzie truli się tak okropnym płynem, wyjął więc z portfela drugi duży banknot i tym razem Jarosz na rowerze do sklepu pojechał. A ponieważ sklep był już zamknięty, zapukał Jarosz do mieszkania Smugniowej, która z jakimś gachem z Bart obiad w swym mieszkaniu jadła. Smugoniowa dwie butelki wódki mu sprzedała, a potem wraz z gachem na motocykl wsiadła i znalazła się w lesie koło bunkra. Ale nie, broń Boże, z pustymi rękami, lecz z torbą pełną butelek oraz trzema pętami kaszanki. Odtąd w siności dymu pojawiać się zaczęła Lubińskiemu podobna do robaczywej rzodkwi twarz starej Jastrzębskiej, a także co i raz widział coś nowego. Nie chciała Smugoniowa być gorsza od Porowej, zdjęła spódnice i halkę swego gacha od dymu wachlowała, różowe majtki na krzaku dzikiej róży w pobliżu bunkra powiesiwszy. Lecz gach, dekarz z Bart, człek już niemłody, szybko się upił i Zasnął pod owym krzakiem. Wtedy wachlować Smugoniowa zaczęła młodego Galembkę, a kiedy i ten legł podobnie jak Cegłowski i Ziętek, rozpląkała się głośno. Wówczas pojawił się koło bunkra gajowy Widłąg i wulgarnymi słowami obrzucać zaczął Jarosza, Ziętka i Cegłowskiego za to, że od dwóch dni żadnej leśnej roboty nie wykonali. Od pijaków wszystkich zebranych na bunkrze wyzywał, aż się pisarz Nepomucen Lubiński na te słowa obruszył i szklaneczkę z wódką wcisnął w dłoń Widłąga, aby i on wypełnioną czarę wychylił za ich piękne dni. Smugoniowa obiecała go wachlować, jeśli przestanie się srożyć i czarę do dna wypróżni. Widłąga długo nie trzeba było prosić i w godzinę później on także o pięknych dniach wykrzykiwał głośno. Później zwierzył się obecnym, że od lat mu już zbrzydł wielki zad jego żony i za jakąś małą dupką chciałby się rozejrzeć, o co w Skiroławkach nie jest łatwo, gdyż jedna mała dupka przynależna jest pani Halince, która uciekła do malarza, a druga należy do pani Basieńki, żony pisarza. Wtedy na polankę koło bunkra przybył Szczepan Łaryn, niestety z pustymi rękami. W

zamian – wyciągnął rękę po szklaneczkę z wódką – zaproponował, że pokaże wszystkim głowę swojego węża i nawet rozporek rozpiął. Nikt jednak w tej sprawie entuzjazmu nie objawił, gdyż niemal wszyscy, nie wyłączając kulawej Maryny, owego węża w najróżniejszej postaci po wielokroć oglądali. Skoro jednak znaleźli się przy tym temacie, ciekawość biesiadujących zwróciła się ku gajowemu Widłagowi, który był mężczyzną wysokiego wzrostu, barczystym, z sumiastym wąsem, ale – jak opowiadała o nim jego żona z wielkim zadem – miał kutaska małego jak naparstek. Nie przeszkadzało mu to zrobić jej czworo dzieci, a jak domniemywano, także i żonie drwala Stasiaka. Gajowy Widłag, mimo że kilka razy już czarę opróżnił i był pięknie wachlowany przez halkę Smugoniowej, objawiał wstydlivość i rozporoka swego nie chciał rozpiąć. A nawet uczynił coś zadziwiającego. Ni stąd, ni zowąd, może za przyczyną tego, co się wokół działo, a może z innych przyczyn (nikt nie jest w stanie myśli ludzkich śledzić jak ptaków na niebie) Widłag porzucił Smugoniową i przysiadłszy się do Lubińskiego, zapytał go:

– Jak pan myśli, panie pisarzu, jest Bóg, czy go nie ma? Od dawna chciałem to od pana wiedzieć, ale zwrócić się z tym nie miałem odwagi.

Zadumał się pisarz Lubiński, wzrok od pofałdowanego brzucha Porowej podniósł ku wieczornemu niebu. Potem, gdy dym go owionął, rozkasłał się, aż wreszcie wstał z koca na bunkrze i chwiejąc się na nogach, obwieścił gromko:

– Nie wiem, czy jest Bóg na niebie. Ale że rządzi na ziemi Antychryst, to prawie pewne!

Znowu się zamyślił, a potem oświadczył, z trudem dobierając słowa:

– Po czym go poznać, wcielonego Szatana? Francuski dominikanin, ksiądz Brockberger tak ostrzega: „Poznacie go po tym, że i on, i członkowie jego szatańskiej świty będą cnotliwi. Kobietom każą robić na drutach, mężczyznom nakażą pić mleko zamiast alkoholu i zabronią mieć kochanki. Bo nie ma wolności bez niewoli i nie ma cnoty bez grzechu. Nie wejdzie się na górę świętości bez kilku upadków. Nawet Chrystus upada pod krzyżem”. Jedno więc jasnym mi się zdaje, że człowiek musi ciągle upadać, a potem się podnosić, upadać i znowu się podnosić.

To powiedziawszy usiadł ciężko na kocu i głowę smutnie zwiesił. A wokół niego pełna szklaneczka zaczęła gorliwie krążyć z rąk do rąk. Jak martwa padła pod krzakiem róży stara Jastrzębska, ale nie była martwa, gdyż głośno psuła powietrze. Erwin Kryszczak wlaź na swój wóz, którym słomę przywiózł do wyścielenia bunkra Porowej – i tam zasnął w pozycji siedzącej. Reszta, z powodu wieczornego chłodu, do bunkra się skryła, na słomie siadła przy rozgrzanym do czerwoności piecyku. Jak długo tam

siedzieli – któż to zapamiętał? Z początku czerwień od piecyka rozpraszała mrok nocy, lecz gdy mały Darek zasnął, piecyk wygasł i ciemność wszystkich ogarnęła. Wówczas to przypomniał sobie pisarz Lubiński, że przybył tutaj, aby czyjaś zagadkę rozwiązać i strach go niespodziewany ujął za serce, że przed własną zagadką stanął, zaniepokojony ujął czyjaś ciepłą dłoń, a poznawszy, że do kulawej Maryny należy, już śmieiej sobie z nią począł i w rozkoszy świadomość zatracił. Ocknął się raz i drugi i znowu zasnął. Później mu się zdawało, że leży w trumnie i wozem na ogumionych kołach toczy się na cmentarz w Skiroławkach.

W rzeczy samej bowiem, wczesnym rankiem, w deskach wozu Erwina Kryszczaka wracał do swego domu pisarz Nepomucen Maria Lubiński. Wraz z nim w deskach wozu leżało jeszcze trzech mężczyzn – Jarosz, Ziętek i Cegłowski – a wcześniej było ich pięciu, tylko że gajowego dom znajdował się bliżej lasu i cieśla Sewruk najwcześniej pozbył się Widłaga. Głowę pisarza Sewruk delikatnie podtrzymywał w swych ogromnych dłoniach, aby, broń Boże, na nierównościach gruntu nie doznał jakichś obrażeń od wstrząsów. A kiedy pod dom Lubińskiego zajechali, wziął cieśla Sewruk pisarza na ręce i przy wtórze płaczu pani Basiénki na łóżko go położył.

Zatkała sobie nos pani Basiénka, bo zarówno cieśla Sewruk jak i jej mąż tak dymem cuchnęli, jakby z jakiegoś pogorzelniska powracali albo w wędzarni noc spędzili. A że cieśla Sewruk nie mógł się rozstać z pisarzem, to mu nogi na łóżku prostował, to znów ręce składał na brzuchu w modlitewnym geście, pisarz zaś wydał się jej tak bładny, jakby rzeczywiście umarły, pani Basiénka Sewruka wypędziła i po doktora zatelefonowała.

Dwa dni i dwie noce chorował Nepomucen Lubiński z powodu przepicia. Tydzień zaś chorował z powodu wstydu. W tymże czasie jakaś niewiasta doniosła na posterunek milicji w Trumiejkach o miejscu pobytu Porowej, podjechał w pobliże bunkra samochód z milicjantem, pielęgniarką i wychowawczynią, a że Porowej znowu przy dzieciach nie było, bowiem w mieszkaniu kulawej Maryny wódkę z gajowym Widłagiem piła, dzieci wzięto bez żadnych trudności i niczyjego oporu.

Złamany wstydem przez tydzień, jak to było wspomniane, leżał Nepomucen Lubiński w swoim łóżku i codziennie wypytywał powracającą ze sklepu panią Basiénkę, jakie to hańbiące plotki na jego temat po Skiroławkach krążą. Po tygodniu oświadczyła mu pani Basiénka:

– Czy to prawda, że jakąś wiatę w Skiroławkach chciałeś stawiać na przystanku autobusowym? Bo teraz cieśla Sewruk i Erwin Kryszczak naganiają ludzi do budowy tej wiaty i na twoją osobę się powołują. Po co ci wiata? Przecież nie jeździsz autobusem.

O TYM, CO UCZYNIŁA PIĘKNA BRYGIDA, ABY OKAZAĆ SWĄ MIŁOŚĆ

W połowie listopada niespodziewanie przyszedł silny mróz, ziemia stwardniała na grudę, jezioro pokryło się cienką warstwą lodu. Bagna za domem doktora parowały silniej niż zazwyczaj i zaroilo się tam od duchów; drwale, którzy przechodzili obok, słyszeli stamtąd suchy trzask repetowanych karabinów i głuche postękiwania umierających żołnierzy. Czasami w środku nocy rozlegał się przenikliwy krzyk ludzki czy ptasi; doszedł on do uszu Gertrudy Makuch, idącej późnym wieczorem do drwalni doktora po suche polana do pieca. Kobieta przeżegnała się nabożnie: to krzyczał Kłobuk, zapowiadając jakieś nieszczęście.

Po kilku dniach zaczął padać śnieg. W spokojnym powietrzu przez prawie trzy doby leciały z nieba ogromne białe płatki i wolno pokrywały cały świat. Wkrótce śniegu było wszędzie po kolana, okrył gałęzie w sadzie i całe jezioro, przygiął drzewa w lesie, otulił domy i płoty, rozdzwonił się sankami. Po drogach jeździło się dobrze, bo nie powstały zasy, zresztą zaraz pokazały się pługi odśnieżające i pierwsza wizyta zimy nikomu nie wydała się przykra. Wraz ze śniegiem zmniejszył się mróz, śnieg się lepiał, na podwórkach przy domach, gdzie mieszkało dużo dzieci, sterczały bałwany, przeważnie ulepione z trzech kul śniegu, z głowami przybranymi w stare ganki i z miotłami pod pachą. Ich widok cieszył oczy dorosłych, bo przypominał im dzieciństwo. Ludzie uśmiechali się do tych zimowych postaci i tylko Makuchowa nie pozbyła się niepokoju, ponieważ usłyszała na bagnach krzyk Kłobuka.

Jakoś tak we czwartek, gdy doktor Niegłowicz skończył swoją pracę w ośrodku zdrowia i już wchodził do swego samochodu ubrany w futerko i czapkę z borsuka, wybiegła za nim pielęgniarka, pani Henia, blada i przejęta.

– Pani Brygida leży w łóżku jak martwa. Zachorowała albo coś sobie zrobiła. Wczoraj wieczorem poprosiła mnie, abym od niej dziecko zabrała, gdyż – mówiła – od rana musi gdzieś jechać. Jej samochód stoi jednak na podwórzu. Niepokojna byłam przez cały czas naszej pracy, a teraz do niej na górę zajrzałam. Prawie nie oddycha.

Zawrócił doktor do ośrodka zdrowia, wszedł po schodach na pierwsze piętro. Po raz pierwszy znalazł się w mieszkaniu pięknej Brygidy, ale nie miał czasu się rozglądać. W sypialni na tapczanie leżała w pościeli młoda lekarka weterynarii, blada i nieprzytomna. Na nocnym stoliku stał oparty o wazonik nie zapieczętowany list pożegnalny bez

adresata. Znalazła go pani Henia i chciała przeczytać, doktor jednak niemal wyrwał go z jej rąk, przebiegł pismo oczami, stwierdził, że pisany był przed półtora godziną, bo nie tylko data, lecz i godzina pisania została na nim uwidoczniona. Zażyła Brygida dwa kartoniki relanium, razem czterdzieści tabletek, szansa jej uratowania wydawała się oczywista. Tedy schował doktor list Brygidy do kieszeni i kazał Heni, aby mu przyniosła z ośrodka zdrowia zestaw do reanimacji i sondę do płukania żołądka, i zadzwoniła do Bart po karetkę pogotowia ratunkowego.

Dwa samochody pogotowia z Bart zajęte były przy poważnym wypadku drogowym, nie obiecywano natychmiastowego przyjazdu, tym bardziej że przy samobójczyni siedział już lekarz i obok był ośrodek zdrowia. Niegłowicz zaintubował Brygidę oraz włożył sondę do żołądka i przepłukał go dokładnie. Potem nie pozostało mu nic innego, jak siedzieć przy chorej i czekać na karetkę pogotowia. Roztrzęsioną panią Henię wysłał do domu, aby dała obiad swoim dzieciom i dziecku panny Brygidy, zamknął drzwi na klucz, gdyż już ciekawscy zbierali się pod domem. Telefonistka, która panią Henię łączyła z pogotowiem, wiadomość o lekarce zdążyła przekazać po Trumiejkach.

Przez jakiś czas doktor tkwił w fotelu przy tapczanie i trzymał Brygidę za puls, mając w pogotowiu kolejny zastrzyk, a nawet przyniesioną z ośrodka zdrowia kroplówkę. Ale Brygida, choć wciąż nie odzyskiwała przytomności, nie sprawiała na nim wrażenia umierającej. Odłożył więc jej bezwładną dłoń, teraz dopiero powiesił swoje futerko i czapkę na wieszaku w korytarzu, i mimochodem rozejrzał się po mieszkaniu. Składało się z dwóch pokoiów i kuchni, meble były drogie, dywany na podłodze kosztowne, tapczany i fotele niezwykle miękkie – wszystko świadczyło o zamożności. W pierwszym pokoju miała Brygida kolorowy telewizor, dużą biblioteczkę, wyściełane miękkie ławy i kominek z czerwonej cegły klinkierowej. W sypialni oprócz tapczana znajdowało się łóżeczko dla dziecka, duża szafa z trzema lustrami, zabytkowa gotowalnia damska – piękny antyk, drogie radio stereofoniczne, fotel rozkładany, podręczna półka z bibelotami i kilkoma książkami. Ta półka stała tuż obok fotela, na którym przykucnął doktor, doglądając Brygidy. Od razu więc rzuciła mu się w oczy „Krytyka czystego rozumu”, którą kiedyś podczas przypadkowego spotkania w księgarni w Bartach doradzał kupić lekarce. Zaciekawilo Niegłowicza, czy piękna Brygida choć raz zajrzała do owej książki, czy usiłowała wnikać w jej treść i jakiś ślad pozostawiła na marginesach, jak to on miał w zwyczaju czynić. Z książki wypadł zasuszony kwiatek – rozpoznał go doktor natychmiast. Był to kwiatek wilca purpurowego, jaki się po kolumnach jego ganku wspinał. Że był to kwiat z którejś kolumnienki zerwany – nie miał wątpliwości, ponieważ w całej okolicy nikt takich kwiatów nie sadił. I nawet przypomniał sobie

chwile, gdy Brygida ów kwiatek musiała zerwać i zabrać ze sobą. Było to chyba półtora roku temu, latem. Ach tak, to o jednego ze swoich wilczurów zatroskał się Niegłowicz, ponieważ łapa mu ropiała i poprosił Brygidę o lekarską poradę. Brygida była już w dość zaawansowanej ciąży i sprawiała wrażenie, jakby się chciała z tego faktu jakoś wytłumaczyć, ale on wciąż do tego nie dopuszczał. Rozmawiali na ganku, wówczas zerwała ów kwiatek i chyba zabrała ze sobą...

Na półeczce zauważył doktor także i swoją starą wiśniową cygarniczkę, którą kiedyś przez roztrągnięcie pozostawił w ośrodku zdrowia, a także oprawioną, w okładki dowodu osobistego fotografię – Brygidy i jego, stojących przed ośrodkiem zdrowia przy samochodzie doktora. Brygida miała roześmianą twarz, doktor trzymał dłoń na jej ramieniu. Zdjęcie zrobił fotograf z Trumiejek, który wtedy leczył się u doktora na czyraki.

Brygida wciąż była nieprzytomna. Jej czarne gęste włosy wyglądały na białej poduszce jak plamy rozlanego tuszu. Twarz wydawała się bledsza od poduszki. Czarne rzęsy kładły się cieniem na policzkach, drobne usta miała sine, cienkie brwi jak dwie ostre szpady kierowały się ku nasadzie maleńkiego nosa. Obnażone do badania piersi z bladoróżowymi sutkami podnosiły się w powolnym i równym oddechu.

Siedział doktor przy Brygidzie i patrzył na nią w zamyśleniu, a gdy wczesny jesienny zmrok zajrzał do pokoju, zapalił lampę przy tapczanie. Złotawy blask spłynął po policzkach Brygidy, po jej krtani, kilkoma żółtymi plamkami zatrzymał się na kościach policzkowych i wypukłościach piersi. Teraz była ona co najwyżej ładna, ale tak naprawdę prezentowała wielką urodę. Wystarczyło chyba, aby otworzyła oczy – ogromne, trochę jakby bezmyślne, pełne smutku i oddania oczy jałowicy, jak ją ludzie nazywali – a jej twarz zaraz odzyskałaby swoją właściwą krasę.

Ujął Brygidę za przegub dłoni i patrząc na zegarek, liczył uderzenia serca. Raptem dotarło do niego, że jest już przytomna i ma otwarte oczy.

– To nie było rozsądne – powiedział, zakrywając kołdrą obnażone piersi. – Nie obraż się Brygido, ale to było głupie.

Chciała mu coś powiedzieć, poruszyła głowę, ale tkwiąca w krtani rura zmusiła ją do milczenia.

Wyjął z kieszeni list pożegnalny, przyniósł do łóżka kryształową popielniczkę. Pstryknął gazową zapalniczką, i trzymając list za jeden rózek, spalił go na jej oczach, czarne strzępy papieru rozgniatając w popielniczce.

– Będiesz wkrótce zdrowa – powiedział do Brygidy. – To nie była dawka śmiertelna i ty dobrze wiesz o tym. Ale mogło się skończyć bardzo źle i o tym też należało wiedzieć.

Poleżysz w szpitalu, twoim dzieckiem zajmie się Makuchowa, bo pani Henia i tak ma dość dużo kłopotu ze swoimi.

Chciała wyjąć z ust gumową rurę, ale jej na to nie pozwolił.

– Cierp – stwierdził, niemal zadowolony ze swojego okrucieństwa. Zaraz wstał, bo przy drzwiach rozległ się dzwonek. To pani Henia powróciła od swoich dzieci. U góry na schodach czekał proboszcz Mizerera i starszy sierżant Korejwo, niżej tłoczyła się gromadka ciekawych.

– Nic jej nie będzie – poinformował doktor proboszcza i komendanta.

– Myślałem, że może zechce spowiedzi – powiedział Mizerera. – Nigdy nie była pobożna, ale w takich chwilach człowiek pragnie zwrócić się do Boga.

– Podobno zostawiła jakiś list – oświadczył Korejwo.

Nie odpowiedział. Zamknął im drzwi przed nosem i wrócił do Brygidy. Pani Henia wyjęła z szafy czystą piżamę, żeby w nią przebrać learkę przed odjazdem do szpitala. Doktor wyniósł się do drugiego pokoju, rozsiadł się w fotelu i zapalił papierosa.

W piętnaście minut później przyjechała na sygnale karetka pogotowia z Bart. Okrytą kocem Brygidę wyniesiono na noszach i zabrano do szpitala. Wtedy doktor wpuścił do mieszkania Korejwę i Mizererę, sterczących ciągle za drzwiami.

– Henia mówiła nam, że pozostawiła jakiś list – przypomniał Korejwo. – Chciałbym go przeczytać. Może być ważny dla milicji. W każdym przypadku nawet z próby samobójczej musimy zrobić notatkę służbową.

Blady i trochę niespokojny Mizerera przestępował z nogi na nogę.

– Tylko spowiednik ma prawo znać pełną prawdę. Kto inny nie powinien czytać takich listów.

– To prawda – zgodził się Niegłowicz. – Spaliłem go. Jest tutaj – wskazał popielniczkę ze strzępkami papieru i dopiero w tej chwili uświadomił sobie jak przystojnym mężczyzną jest starszy sierżant Korejwo; a także proboszcz Mizerera.

Pani Henia posprzątała w sypialni, a potem weszła do pokoju i spojrzała na nich wymownie. Zabrali się więc i wyszli, a ona zamknęła mieszkanie młodej learki. Doktor zaraz wsiadł w swój samochód i ruszył do Skiroławek. Nazajutrz przywiózł do Trumiejek Gertrudę Makuch, która wzięła od Heni dziecko Brygidy i powiozła do siebie. Jej ręce tęskniły zawsze za dotknięciem takiej małej i kruchej istoty ludzkiej, i to tak bardzo, że zajęta dzieckiem, zaniedbywała doktora, który odtąd jadł byle jak zrobione obiady. Tymczasem w Trumiejkach rozszalały się plotki na temat pięknej Brygidy. Ludziom wydawało się niemal pewne że skoro Makuchowa dziecko Brygidy zabrała do siebie, doktor był jego sprawcą. I wcale nie wydawało się to zaskakujące. W

Skieroławkach pytano o tę sprawę Gertrudę, ale ta ani nie potwierdzała plotek, ani im nie przeczyła. W głębi duszy też była przekonana, że nikt inny tylko Jan Krystian dosiadł kiedyś ządu Brygidy.

W dzień później powróciła do Trumiejek panna Brygida, a po kilku dniach czuła się już tak dobrze, że przyjechała po dziecko swoim pięknym samochodem. Błada wciąż jednak była i miała wychudzone policzki, przez co jej czarne rzęsy wydawały się dłuższe, a wyskubane brwi jeszcze ostrzejsze.

– Dziękuję panu. Dziękuję za wszystko – mówiła łagodnie. – Wiem, że popełniłam głupstwo. Moja śmierć w niczym nie rozwiązała sprawy.

Doktor wskazał jej krzesło przy swoim wielkim stole, sam jednak nie siadał, tylko krążył po pokoju. Zobaczył łzy w wielkich oczach Brygidy i nie mógł na nie patrzeć.

– Posłuchaj mnie, Brygido – rzekł w końcu, jak zwykł mówić przez „ty” do innych swoich młodych pacjentek. – Ludzie gadają, że to moje dziecko, ponieważ zajęła się nim Gertruda.

– Przepraszam pana. To nie moja wina.

– Wiem. I nie rób kolejnego głupstwa, wyjaśniając, że to nieprawda. Niech tak zostanie. Mnie to nie przeszkadza ani nie uwłacza, a to dziecko powinno mieć jakiegoś ojca. Jeśli chcesz, uznaj je formalnie.

– To byłoby nieuczciwe – oświadczyła stanowczo. I dodała: – Pan jednak czytał mój list.

Wzruszył ramionami pomijając tę uwagę.

– Jesteś zbyt młoda i niedoświadczona, aby wyrokować, co jest uczciwe, a co nieuczciwe. Ale to ci powiadam, że dla dobra tego dziecka powinno ono mieć ojca.

– Nie – powiedziała twardo i otarła łzy.

Z prawdziwym żalem oddała Makuchowa dziecko pięknej Brygidzie, a ta odjechała z zaciśniętymi ustami, z twarzą jakby skamieniałą – bez uśmiechu, bez śladu wzruszenia, bez łez w oczach. Doktor pojął poniewczasie, że być może tym razem upokorzył ją zbyt mocno.

Odtąd przynajmniej raz w tygodniu Gertruda Makuchowa wyruszała autobusem do Trumiejek wcale nie po zakupy, ale do panny Brygidy. Za każdym jej wyjazdem znikwały z półek zrobione przez nią słoiki rozmaitych kompotów, dla małej ludzkiej istoty. Brygida przyjmowała te prezenty nie dlatego, aby jej na nich zależało, ale lubiła potem posiedzieć z Makuchową i wysłuchiwać jej opowieści o doktorze, o tym co najchętniej jada, co robi wieczorami, a nawet, jakie mu ona przyprowadza kobiety. Które z nich chwalił, które ganił, za co i dlaczego. Dziwna bowiem i wszechogarniająca

bywa miłość niejednej kobiety, obejmuje nie tylko ukochanego mężczyznę, lecz i to co go otacza i za czym tęskni.

A nocami na bagnach znowu krzyczał Kłobuk, zapowiadając nieszczęście.

O CZŁOWIEKU, KTÓRY WYMYŚLIŁ HUŚTAWKĘ

Bywają ludzie, którzy przechodzą przez życie i świat tak lekko i niezauważalnie jak promyk słońca w dzień pochmurny z nagłą przebiegający przez pola i lasy. Ktoś go być może nawet zauważy i zapamięta – ale nie na długo. Nie pozostawił po sobie żadnego śladu. Nie ogrzał niczyich rąk, nie rozweselił niczyjego serca. Był – lecz jakby go nie było. Zaświecił – ale jakby nie zaświecił. Zaledwie musnął czyjś ramię, na krótką sekundę ożywił szarość dnia. Tak właśnie wielu ludzi przechodzi przez życie, a gdy umrą, nawet nie wiadomo co – oprócz daty urodzenia i śmierci, oprócz imienia i nazwiska – napisać na mogile. Ich groby zresztą zazwyczaj bywają równie nijakie jak życie – nie zauważa się ich. A jeśli ktoś się przypadkiem przy nich zatrzyma, przeczyta imię i nazwisko, dowie się ile lat żył – bezwiednie pyta siebie: po co żył? Co komu przyszło z jego życia? Co uczynił dobrego lub złego? Jedynym usprawiedliwieniem takiego losu jest tylko fakt, że ktoś ten po prostu żył, jadł i spał, zajął miejsce na cmentarzu.

A przecież niekiedy zdarza się, że ów człowiek niezauważalny i niedosłyszalny, taki, co to jest, ale jakby go nie było – uczyni coś niezwykłego, zadziwi innych, zmusi do zadumy.

Piotr Słodownik nie miał długów jak cieśla Sewruk – nie znał go więc komornik. Nie odstawał dużo mleka i żywca, ale trochę odstawał – nie uwidoczniło go więc nigdy na tablicy tych, co przodują i tych, co odstają. Nie należał do straży pożarnej, a jego żona do koła gospodyń wiejskich. Był zdrowy – on, jego żona i dwoje dzieci – nie zapamiętał go także i doktor. Nie zalegał z podatkiem – niewiele o nim mógł powiedzieć sołtys Wątruch. Nie pił, nie bił swojej żony, tedy nie został zapisany do rejestru prowadzonego przez komendanta Korejwę. Nie otrzymywał listów ani też nie wysyłał żadnych listów – nie oglądał go na oczy naczelnik poczty. Jego dzieci jeszcze nie chodziły do szkoły – nie znała go więc pani Halinka Turlej. Nie bywał w sklepie, a jedynie jego żona dwa razy w tygodniu stawała cichutko w kolejce przy ladzie, nie rozmawiała z nikim na żaden temat, kupowała, płaciła i odchodziła – więc nic o Piotrze

Słodowiku nie umiała powiedzieć sklepowa Smugoniowa. A jeśli ani Smugoniowa, ani komornik, ani sołtys Wątruch, ani doktor, ani naczelnik gminy i komendant posterunku, ani nawet proboszcz Mizerera i nauczycielka niczego o Słodowiku nie wiedzieli, tedy było to tak, jakby go nie było na świecie.

A przecież Piotr Słodowik był – i to z całą pewnością. Miał trzydzieści lat i po swoich rodzicach przejął piętnastohektarowe gospodarstwo, tuż przy drodze do Trumiejek, ale trochę z boku od niej. Było to ładne, zadbane gospodarstwo. Piotr Słodowik ożenił się przed sześcioma laty, miał dwoje małych dzieci, orał ziemię, siał, doił krowy, jeździł na jarmarki, temu i owemu mówił: „dzień dobry”. Od nikogo nigdy niczego nie potrzebował, nikomu też przez myśl nie przeszło, aby czegoś potrzebować od Słodowika, a to dlatego, że mało kto zdawał sobie sprawą z jego istnienia. Rzadko się pokazywał poza swoim gospodarstwem, nie przychodził na żadne zebranie, nie zabierał głosu w żadnej sprawie – jakże go zapamiętać? Na jakiej podstawie? Z jakiego powodu? Żył dla wioski niezauważalnie i niedosłyszalnie przez trzydzieści lat. I nawet tak się zdarzyło, że gdy sołtys Jonasz Wątruch z Urzędu Gminy nowiutkie tabliczki z numerami domów odbierał – dopiero w połowie drogi między Trumiejkami i Skiroławkami przypomniał sobie, że o jeden numer zabrał za mało, a to dla Piotra Słodowika. Musiał biedak jeszcze raz swoim rowerem jechać do Trumiejek. Dlatego Piotr Słodowik miał numer ostatni, choć po prawdzie należał mu się pierwszy, gdyż jego zagroda była pierwsza od strony Trumiejek i od strony Bart. Z powodu Słodowika i jego nijakości numeracja domów w Skiroławkach do obecnej chwili pozostaje nieprawidłowa, gdyż winna się zaczynać od strony Urzędu Gminy, a nie odwrotnie – i to jedno z całą pewnością można powiedzieć o Piotrze Słodowiku.

Ale pewnego razu, kiedy, jak to bywa w listopadzie, raptem znowu zrobiło się ciepło i zupełnie stajał śnieg na drodze i na polach, wyszedł Piotr Słodowik ze swojej chałupy – niezauważalnie i niedosłyszalnie dla nikogo. Okorował trzy żerdzie, dwie z nich wkopał na podwórku w ziemię, a trzecią przybił do dwóch pozostałych. Na trzeciej żerdzi przymocował huśtawkę ze sznura i deseczki, wypróbował osobiście, czy huśtawka nie zerwie się pod jego ciężarem, a potem zaprosił swoje dzieci, aby się huśtały po kolei, najpierw starsze, później młodsze. Jeden, drugi, trzeci dzień huśtały się latorośle Słodowika – niedosłyszalnie i niezauważalnie. Dzieci jednak są podobne do wróbla – rozglądasz się i żadnego nie widzisz, połów kromkę chleba lub rozsyp trochę ziarenek, a natychmiast nie wiadomo skąd się zjawia. Przed zagrodę Słodowika zbiegły się dzieci z całej wioski i przez płot zazdrośnie patrzyły, jak małe Słodowiki to wznoszą się w górę, to spadają w dół i znowu wzlatają w górę. Huśtawka u Słodowika przestała

być niezauważalna i niedosłyszalna.

Tak się stało, że w kilka dni później drwal Jarosz wyszedł przed dom z kilkoma okorowanymi żerdziami, grubym sznurem i deseczką. Zbudował dla swoich dzieci podwójną huśtawkę – aby jedno dziecko nie musiało czekać na drugie, ale huśtały się jednocześnie. Drwal Ziętek nazajutrz postawił potrójną huśtawkę, ale, w odróżnieniu od Słodowikowej i Jaroszowej, środkowa huśtawka była najwyższa, ta z prawej strony – nieco niższa, a ta z lewej – zupełnie niska, dla najmłodszego dzieciaka. Poczwórna huśtawka, jeszcze bardziej wymyślna niż u Ziętka, stanęła u Cegłowskiego. I tak w każdej zagrodzie, wszędzie tam, gdzie były małe dzieci, zaczęto wznosić coraz bardziej wyszukane huśtawki. Ci zaś co dzieci nie mieli albo już im wyrosły, z odrobiną zazdrości patrzyli na sąsiadów, tym bardziej że od czasu do czasu spędzali z huśtawek dzieci i sami sadowili się na ławeczkach, śmigając to w górę, to w dół. Malarz Porwasz zbudował podwójną huśtawkę dla pani Halinki i jej synka, cieśla Sewruk postawił przy domu pisarza dużą huśtawkę dla pani Basieńki, z dębowymi kolumnkami misternie rzeźbionymi, i w ten sposób spłacił zaliczkę, którą pobrał od Lubińskiego na budowę ganku.

Pora nie była stosowna do podobnych zabaw – listopadowe roztopy, szarugi, dni krótkie i pochmurne. A przecież od rana aż do zmroku, jak wioska długa, na bielejących świeżym drewnem huśtawkach śmigały dzieci i dorośli kołysali się w jakim dziwnym zapamiętaniu, to w górę wznosili się ku niebu, to opadali w dół, aby znów wzlecieć jak ptaki. Dziwili się temu przejeżdżający szosą kierowcy, bo gdzie się nie spojrzęło, na którekolwiek podwórko, tam kołysało się albo dziecko, albo jakaś młoda panienka, albo zgoła nawet stary człowiek. Upajało ich to kołysanie, wznoszenie się i opadanie jak na ogromnej fali, owo zachwycające uciekanie ziemi spod nóg i leciuteńki zawrót w głowie, jak po małym kieliszku mocnej wódki. Radość wkraczała w serca ludzkie, bo przez owo kołysanie mieli wrażenie, że odrywają się od ziemi, od spraw małych i brzydkich, a odlatują ku wielkim i wzniosłym. Schodzili z ławeczek odrobinę zataczając się – upojeni i uśmiechnięci, powracali do swych zwykłych zajęć z poczuciem, że doznali niezwykłego przeżycia, na chwilę odlecieli gdzieś bardzo wysoko i daleko. I wystarczy znowu wrócić na huśtawkę, aby zapomnieć o troskach, poczuć się wolnym i skrzydlatym.

Zastanawiał się pisarz Nepomucen Maria Lubiński nad ową zapamiętałością ludzką w tej zabawie i aż poszedł do Piotra Słodowika, aby poznać prawdę. – Zaraził pan całą wieś – oświadczył Lubiński. – Ciekawe skąd się w panu wziął pomysł, aby huśtawkę zrobić.

Nie wiedziałem, że to zaraźliwe – skromnie wyjaśnił Słodowik. – A myśl się wcięła z tego, że nie miałem nic lepszego do roboty. Z lenistwa, panie, zrodziła się ta choroba. Siedziałem i myślałem do czego by ręce przyłożyć, a wtedy przypomniałem sobie, że kiedyś huśtawkę w telewizorze widziałem, i taką samą zrobiłem. Skąd mogłem wiedzieć, że to zaraźliwe?...

Wyjaśnienie było proste, zbyt proste jak na pisarza nawykłego do lektury „Pism semantycznych” Gottloba Frege, który każde słówko na wszystkie strony obracał. A że Nepomucen Lubiński jak każdy mądry człowiek w księgach nawykł szukać prawdy, tedy przez cały dzień szperał w swojej bibliotece, kartkował różne dzieła naukowe, aż wreszcie pod wieczór rzekł pani Basieńce:

– Trzeba ci wiedzieć, moja droga, że nie wszystko na świecie co dobre i ciekawe bierze się z ludzkiej pracy. Wiele wynalazków i wiele odkryć powstało z lenistwa. Jeszcze więcej z chęci zabawy. Istnieje, Basieńko, „*homo sapiens*” i „*homo faber*”, ale także towarzyszy mu „*homo ludens*”. Wyczytałem, że najprawdopodobniej większość odkryć ludzkich zrodziła chęć zabawienia siebie lub swoich dzieci. Dlatego się nie wstydz, Basieńko, huśtać, choć jesteś kobietą dorosłą, a nie dzieckiem.

Rzecz zastanawiająca, że po jakimś czasie huśtawki zaczęto budować w Trumiejkach, a potem zawędrowały nawet i do stolicy. Wielu się przyznaje do autorstwa owego wynalazku, ale w Skiroławkach ludzie są pewni, że pierwszą huśtawkę sprawił swym dzieciom Piotr Słodowik – człowiek cichy i skromny, który żył dotąd niedosłyszalnie i niezauważalnie. Uczynił zaś to dlatego, że nie miał nic lepszego do roboty.

O NIESZCZĘŚCIU, KTÓRE ZAPOWIEDZIAŁ KRZYK KŁOBUKA

Którejś nocy znowu śniło się Justynie, że ogromny Kłobuk czeka na nią na belce w oborze, a gdy przyszła doić krowę, sfrunął na nią, powalił na gnój i w jej obolałe pożądanie podbrzusze strzykał jak krowa mlekiem swoim białym, ciepłym mleczem. O świtaniu pośpieszyła w koszuli do obory – ale Kłobuka na belce nie było. Ogarnęła ją pustka i trwoga, ręce jej opadły bezwładnie wzdłuż boków, ziemia zatrzęsała się pod nogami, a świst powietrza, które wciągał w siebie czarny nos krowy, zabrzmiał w uszach jak łomot wichury.

Ile to godzin, ile dni i nocy, ile tygodni upłynęło od chwili, gdy ostatni raz odwiedził ją doktor i chłodnymi palcami dotykał nagiego brzucha, piersi i szyi, a potem

w milczeniu i w szmerze przyspieszonych oddechów wszedł w nią, i przypawił o śmierć? Co noc naga czekała na niego w pościeli, aż rozpalona pożądaniem wyobraźnia przedstawiała go już jako drapieżnego ptaka, który bezszelestnie spada na nagie ciało i daje rozkosz. Wiele razy leżąc w łóżku czuła, że ów ptak krąży nad domem; wstawiała wtedy z pościeli i wychodziła na dwór, aby go ujrzeć na tle nocnego nieba. Ptak jednak odlatywał wraz z pojawieniem się brzasku. Co mu przeszkadzało, co go odstraszało? Co nie pozwalało spaść na białe ciało Justyny? Może dowiedział się, że była mu niewierną, że w zniwną noc posiadał ją Franek Szulc? Ale przecież nie stało się to po jej woli, nie dała mu wypełnić się nasieniem, a potem spaliła stóg na polu i przegnała Franka w daleki świat. Nie, nie mógł się o to gniewać drapieżny ptak, musiał domyślać się, że i w tamtą noc czekała tylko na niego, na jego chłodne palce, dotykające nagiego brzucha, piersi i szyi. Zresztą to przecież chyba już po tamtym wydarzeniu zobaczyła na niebie ogromną chmurę, on pojawił się jak gdyby na jej skrzydłach, chwycił za rękę i walcząc z wiatrem i deszczem, zaprowadził do zacisznego wnętrza kabiny. Tam znowu umarła pod ciężarem jego ciała. Wiele razy myślała o tamtej chwili na półwyspie i w kabinie jachtu. Wtedy na pewno dał go jej potężny wiatr i czarne ramie przeogromnej chmury. Teraz może ten sam wiatr i ta sama czarna chmura jakąś wielką nieokreśloną groźną mocą odbierały go jej, zakazywały przyjścia, zagradały mu drogę. Niejednokrotnie czuła przecież, nawet gdy przyszedł do niej i przypawił ją o śmierć, że musiał po drodze zwalczać jakieś ciemne moce, przedzierać się przez wichry i burze. W takich razach jego palce nie były tak chłodne, a rozkosz nie taka mocna i śmiertelna, i wydawał się być zmęczony zmaganiem z burzą. Kochała go wówczas jeszcze mocniej i pożądała jeszcze silniej, pragnęła głaskać po włosach i tulić w ramionach jak małe dziecko, przerażone groźnym snem. Obok namiętności rodziła się w niej czułość dla niego i podziw za owe walki i zmagania, przewyciężanie wyrastających przed nim przeszkód. Pełna czułości wieczorami zakradała się pod jego dom i przypatrywała z daleka, jak widoczny przez rozświetlone okno chodzi po wielkim pokoju z ciemnymi meblami lub siedzi w fotelu i czyta książkę. Widziała wówczas wyraźnie całą jego postać albo tylko głowę lub twarz. Wystarczyło jej zamknąć oczy, a znowu w jej wyobraźni przyjmował postać drapieżnego ptaka i biegła do domu przekonana, że ptak już krąży na niebie i za chwilę spadnie na jej nagie ciało. Lecz ptaka nie było i znowu wracała pod dom na półwyspie. Wejść jednak nigdy nie śmiała – nie wiedzieć czemu bała się ciemnych mebli w pokoju i nawet trochę lękała się doktora, bo był inny, odmienny niż wtedy, gdy zjawiał się u niej. „To nie on” – mówiła sobie, choć właśnie tego człowieka sobie ukochała i zapragnęła. „To był on” – upewniała się już w swoim domu, w łóżku, w

pościeli. I zastanawiała się, czemu będąc tak blisko, jednocześnie pozostaje tak daleko. Dlaczego nie potrafi przebywać krótkiej drogi obok warzywnika Makuchowej i domu gajowego Widłaga? Musiała istnieć jakaś moc, która zatrzymywała go na miejscu, przykuwała do fotela. Musiały krążyć wokół jego domu jakieś siły zawistne i zazdrosne o milczącą miłość. Bo czy nie szepnął do niej wtedy, podczas nocy pełnej wiatru i burzy: „Kocham cię, Justyno...?”

Leżąc naga w swojej pościeli dopuściła kiedyś do siebie myśl odrobinę podejrzliwą. To była naprawdę tylko ulotna i płytka myśl, jakby szczelinka w niedomkniętych drzwiach. Zaraz ją odrzuciła od siebie, wepchnęła gdzieś na dno pamięci, bo on był wszechmądry, mógł ją dostrzec, podchwycić, wyłowić z głębin innych myśli. I obrazić się za jej podejrzliwość i niepokój. To wtedy, po owej ulotnej i chwilowej myśli pełnej niepokoju, nie umarła do końca z rozkoszy, a tylko tę śmierć udało. Kiedy zaś wyszedł z domu, odkryła na swym brzuchu lepki mlecz nasienia. Po kilku dniach odnalazła też na prześcieradle białawe twarde plamy – i znowu obudził się w niej niepokój. Być może nie potrafiła go przed nim ukryć, podobnie jak nie zdołała ukryć faktu, że nie umiera tak jak ongiś – naprawdę. Malutka dotąd szczelinka w niedomkniętych drzwiach rozchyłała się coraz szerzej, wypychało się przez nią podejrzenie, strach, ból, rozpacz i coś zadziwiającego – uczucie mocne i palące jak wódka, jątrzące myśli i rozdzierające duszę na dwie połowy. Odtąd, jak dawniej, wydawało się jej, że mieszkają w niej dwie osoby, dwie kobiety nieprzyjazne względem siebie i miotane różnymi uczuciami. Jedna kochała, a druga nienawidziła. Jedna była pełna czułości, a druga pragnęła zemsty. Te dwie tak różne istoty wciąż zmagaly się z sobą i nie pozwalały zasnąć – czuwała aż do rana. A kiedy nawet zdołała przysnąć na chwilę, pojawiała się twarz Dymitra – drwiąca i szydercza. Po takich snach ta druga nienawistna istota wędrowała na strych do komina, za którym ukryty był karabin z obciętą lufą. Ta pierwsza zaś wciąż marzyła o ptaku przyczajonym na belce, pięknym ptaku z koralowym grzebieniem, podobnym do warg ukrytych u wejścia do jej łona. Aż przyszła taka noc, gdy znowu przyśnił się jej Kłobuk siedzący na belce. Poszła do obory, spojrzała na górę na pięknego ptaka, a on do niej przemówił: o Brygidzie i jej małym dziecku, które trzymała w ramionach Gertruda Makuch, o doktorze, którego widziała przez okno, jak pochyłał swą twarz nad tą małą ludzką istotą. Uciekła do domu, lecz następnej nocy znowu śnił jej się Kłobuk na belce. Wyciągnęła do niego ręce, błagała, aby powalił ją w gnój i posiadł. On jednak tylko patrzył na Justynę z wysoka – wyniosły, milczący, rozkazujący.

Tej nocy przyśnił się jej z samego wieczora. Przyśnił, a może przywidział. Albo był rzeczywisty – z napuszonymi piórami i paciorkami czarnych oczu. Siedział na belce,

koralowy grzebień połyskiwał w mroku nocnym, mówił chrapliwym głosem w ptasiu języku, który rozumiała, choć nie zapamiętała ani jednego słowa. Zaraz też na nocną koszulę wciągnęła spódnice, włożyła sweter, narzuciła na siebie wełnianą chustę i na bosc stopy wzuła gumowe buty. Wspięła się na strych, wyjęła samopał Dymitra i, tak ją uczył, włożyła nabój w komorę naboju. Nie zapamiętała ani chwili ze swej drogi na półwysep, może przeniósł ją tam wielki ptak w swoich szponach, bo w całym cieles czuła ból od jego ostrych pazurów.

Padła gęsta deszcz, psy skryły się do stodoły. Drzwi z tarasu pozostawały trochę uchylone – Makuchowa tego dnia napaliła zbyt mocno w piecu. Doktor siedział w fotelu przy zapalanej lampie i czytał. Skrzypnęły drzwi, podniósł głowę i zobaczył ją, mokrą od deszczu, w chustce i z samopałem Dymitra, który trzymała w obydwu dłoniach.

– Czego chcesz? – zapytał spokojnie, choć musiał widzieć jej samopał i mógł domyślić się, że przyszła go zabić.

– Miałaś mi dać dziecko – odezwała się śpiewnie. – Ale oszukałaś mnie. Twoje nasienie znajdowałam na swoim brzuchu albo na pościeli. Pożalowałeś mi go, chociaż wiedziałeś, że czuję się jak pusta dziupla. Napełniłeś jednak Brygidę i wykiełkowało w niej życie. Wierzyłam, że ze mną uczynisz to samo, dopóki nie znalazłam twojego nasienia na moim brzuchu i na pościeli. Przestałeś przychodzić, a ja przestałam umierać pod tobą. Wciąż też czekam, aż mnie wypełni życie. Zabiłam Dymitra tak jak się odcina suchą gałąź. Ptak kazał mi teraz zabić ciebie. Umrzesz, ale potem narodzisz się na nowo i znowu do mnie przyjdiesz.

– Posłuchaj, Justyno... – podniósł się z fotela. Bał się jednak pierwszego kroku. Krótka czarna lufa kierowała się prosto w jego pierś.

To nie była celna broń. Za krótką miała lufę, drewnianą kolbę i zamek okręcony twardym drutem. Ale z tak niewielkiej odległości mogła go trafić prosto w serce. Wystarczył silniejszy ucisk palca na spuście, jeden strzał i przestanie żyć.

– Nie mów nic. Chcę, żebyś umarł tak cicho, jak Dymitr – rzekła groźnie. – Kłobuk wszystko mi zdradził. Znajdowałam nasienie na brzuchu i na pościeli. On co noc czeka na mnie na belce w oborze, ale boi się ciebie i dlatego na mnie nie spada. Umrzesz i narodzisz się na nowo, tak jak ja rodziłam się, gdy u mnie byłeś. Zacznieś do mnie przylatywać jak wielki ptak, będziesz siadał na belce w mojej oborze. Powiedz, dlaczego nie wypełniłeś mi brzucha błogim ciężarem? Dlaczego muszę, jak moja matka, mieć dziecko z diabłem, choć chciałam mieć z tobą? Dlaczego mnie oszukałeś? Dlaczego muszę cię zabić, tak jak zabiłam Dymitra?

Nie słuchał jej. Ogarnął go strach i rozpacz, a także gniew na samego siebie. Był

złym lekarzem, nie dostrzegł symptomów choroby, choć coś w ich wzajemnym stosunku zaczęło go niepokoić i odstręczało od niej. Oślepiiony namiętnością nie widział, jak bakcyl szaleństwa rozwija się w niej z dnia na dzień, z nocy na noc. To, co wydawało mu się tak przejmująco piękne, owo milczące oczekiwanie i oddanie, ta ich miłość pozbawiona słów i przez to jakby czysta, ogromna, odrzucająca wszystko co zbędne – nie mogła być prawdziwa. Czuł to ostatnio i dlatego przestał do niej przychodzić.

Przerażały go jej oczy – z nienaturalnie rozszerzonymi źrenicami, nieruchome, martwe. Widział bladość jej ust, krople wody skapujące na podłogę ze spódnicy. Dostrzegał zmierzwione włosy na głowie – czarne od deszczu. I wylot lufy skierowany w jego pierś. Czemu wciąż wydawała mu się tak pociągająca? Dlaczego jednak nawet teraz nie żałował tych chwil, gdy szedł do niej skrajem łąki, powodowany tęsknotą za miłością bez słów, bez zbędnych ozdobników, złożoną tylko z gestów i spełnienia?

Położył dłoń na piersi, jak gdyby chciał serce ochronić przed kulą. Powiedział:

– Kłobuk cię okłamuje. Wierzysz mi tylko dlatego, że tak dawno u ciebie nie byłem...

– Nie mów nic! – krzyknęła. – Chcę, żebyś umarł milcząc! Siedzi na belce w mojej oborze i mówi mi słowa, które rozumiem. Nawet teraz go słyszę, z tak daleka. Zdejmij rękę ze swojej piersi, ukryłeś pod nią swoje serce. Nie bój się śmierci, bo przecież potem narodzisz się na nowo.

– Okłamał cię – ostro powiedział doktor. – To nie mnie, tylko jego zabijesz. To przecież byłem zawsze ja, ten w snach i ten na belce. Wielki drapieżny ptak.

– Nie! – krzyknęła.

– Odłóż tę broń! – rozkazał. – Rozbierz się i połóż w moim gabinecie. Jeszcze raz zbadam cię dokładnie, aby poznać tajemnice twojego ciała. Zrobił ku niej krok, dłonią zakrywając serce.

– Kochałem cię, Justyno – mówił szczerze, z prawdziwym żalem, gdyż kiedyś kochał ją naprawdę, choć to trwało krótko. – Nie możesz mnie zabić, bo wraz ze mną zginie też ów ptak, który cię nawiedza. Pozwól mi jeszcze raz dotknąć twojego nagiego ciała moimi palcami, przebiec nimi po twoim nagim brzuchu, po piersiach, dotknąć twojej szyi...

Zadrzała od chłodu, a może od jego słów. Jej dłonie nie zaciskały się już tak mocno na drewnianej kolbie karabinu.

– Kazał mi cię zabić... – powtórzyła te słowa dwukrotnie, przymykając oczy.

Już nie bał się jej. Przemówił łagodnie, jak gdyby chciał ją uspić.

– To dobrze. Zrobisz to później. Zdązysz. Jeszcze masz dużo czasu. Ale najpierw

niech cię dotknę. Niech położę swoje dłonie na twoim ciele. Umrzemy razem i razem się narodzimy. Jak trawa na wiosnę.

Odebrał z jej ręk obrzynek, odłożył go na stół. Potem wziął ją w ramiona i odrobinę bezwładną i bezwolną zaprowadził do swojej sypialni, rozebrał i położył do łóżka.

– Znalazłam twoje nasienie na moim brzuchu i na pościeli – powtarzała sennie. – On śni mi się znowu, tak jak dawniej. Siada na belce i czeka, aż przyjdę doić krowę. Wiem, że kiedyś skoczy na mnie, przewróci i wypełni życiem...

Mówiła i mówiła, ale on nie słuchał. Wyszedł do salonu, wyjął nabój z obrzynka, w gabinecie lekarskim napełnił strzykawkę środkiem uspokajającym. Gdy wrócił do sypialni, ona wciąż mówiła cicho:

– Zabiję cię jak Dymitra. Kłobuk będzie odtąd moim mężem... Na zawsze... Jęknęła z rozkoszy, kiedy przebiegł po jej ciele chłodnymi palcami. Ale była nieczuła na ból, nie zareagowała, kiedy zrobił jej zastrzyk w udo. Głaskała dłońmi jej ciało, dopóki nie zasnęła mocno, głośno i równo oddychając.

– Kochałem cię – powiedział w momencie, w którym na sekundę poruszyła powiekami.

Potem poszedł do telefonu i kazał połączyć się ze szpitalem psychiatrycznym w odległej o sto kilometrów miejscowości. Siedział przy Justynie aż do rana, dopóki nie rozbudziła się i nie uśmiechnęła widząc, że leży u niego w domu. Na krótko, bo zaraz niepokój ogarnął jej ciało, oczy stały się martwe. Chciała wstać, biec po swój karabin, powtarzała o rozkazach, które daje z belki w oborze ptak o złotawych piórach i koralowym grzebieniu na głowie. Z pomocą Makuchowej przywiązał jej ręce i nogi do łóżka. Dygotała i rzucała się w konwulsjach.

Wreszcie podjechała pod dom karetka szpitalna i wysiadł z niej młody lekarz, którego Niegłowicz nie znał. Obydwaj poszli do Justyny, tamten starannie zapisał w grubym brulionie jej opowieść o ptaku na belce, kiwał głową, uśmiechał się, zachęcał, aby mówiła. W końcu zrobił jej zastrzyk i poszedł do salonu, gdzie czekał na niego Niegłowicz.

– Ciekawa broń – obejrzał leżący na stole karabin Dymitra.

– Chciała mnie zabić.

– To się zdarza – stwierdził obojętnie.

– Pragnęła mieć dziecko. Najpierw z mężem, którego zabiła, a potem ze mną. Jak pan sądzi, czy dziecko mogło ją uratować przed wybuchem choroby Wzruszył ramionami.

– Nie wierzę w takie historie. Wspomniął pan, że jest obciążona dziedzicznie.

– Jej ojciec zabił matkę, podejrzewając, że poczęła ją z diabłem. Zmarł w szpitalu

dla nerwowo chorych. Był niebezpieczny dla otoczenia.

– A Kłobuk? Kto to jest Kłobuk?

– Tutejszy duch. Przybiera kształt zmokniętej kury. Ptak. Najzwyklejszy ptak. Czasem przynosi szczęście, a czasem nieszczęście. Do tej pory zachowywał się zupełnie spokojnie; nie było z nim żadnych kłopotów. Ostatnio jednak stało się inaczej; najpierw nękał leśniczego, a teraz zabrał się za Justynę. Mój Boże, to zbyło zawsze takie łagodne ptaszysko...

– O? – zdumiał się młody lekarz. – Pan też wierzy w Kłobuka?

– Nie wiem – westchnął Niegłowicz. – Bardzo długo tutaj mieszkam, panie kolego, jeśli to coś panu wyjaśnia.

– Rozumiem – uciął tamten spoglądając na zegarek.

Śpieszyło mu się w powrotną drogę. W szpitalu było kilkuset chorych, a na dyżurze tylko czterech lekarzy.

Gertruda przebrała śpiącą Justynę w czystą piżamę doktora i taką ją wyniesiono do karetki szpitalnej.

– Kochałem ją – napomknął Niegłowicz żegnając młodego psychiatrę, ale on prawdopodobnie tego nie dosłyszał. Myślami był już w szpitalu.

Gertruda Makuch oglądała na stole w salonie karabin Dymitra jak martwego potwora.

– I co ona chciała z tym zrobić, Janku? – zapytała.

– Nic. Przyniosła mi go, żebym oddał komendantowi Korejwie – powiedział i zlecił Gertrudzie, aby poszła do zagrody Justyny, wydoiła krowę i nakarmiła stado kur.

Jadąc do pracy w Trumiejkach, gdzieś w połowie drogi, nagle uświadomił sobie, że stało się coś strasznego i równie nieodwołalnego jak śmierć. Pomyślał, że wszystko co żyje na świecie musi strachem i cierpieniem płacić za swoje istnienie, namiętność, chwile szczęścia.

Wieczorem otworzył szerzej drzwi na taras i słuchając jednostajnego szmeru kropel deszczu, który padał od kilku dni, patrzył w mglistą ciemność. Oddychał zgnitym zapachem pobliskiego jeziora i czuł, jak wypełnia go ból. Wszystko co piękne było już jak gdyby za jego plecami, o wyciągnięcie ręki znajdowała się ściana ciemności i szmerzącego deszczu, pustka, strach, niepokój snów. Cierpienie Justyny przybrało kształt złocistego ptaka z koralowym grzebieniem, nie mógł jej pomóc, jak nie można przeniknąć w cudze sny, uporządkować ich fabuły, ustalić konwencje, dopisać zakończenia. Nie mógł jej podać pomocnej ręki, tak jak nie można wejść w cudzy sen, ale go najwyżej przerwać pocałunkiem. Złocisty ptak musiał być jednak prawdziwy.

Przeczuwał jego obecność tam, w ciemnościach deszczu i jeziora.

O DUMIE, UPOKORZENIU I SAMOCHODZIE, KTÓRY DAWAŁ SZCZĘŚCIE

O sprawie Justyny Wasilczuk niewiele we wsi mówiono. Ona zawsze wydawała się ludziom odmienną od innych i trochę dziwną, szczególnie od śmierci męża, który utopił się w przerebli. Stroniła od rozmów, od zalotów męskich, żyła samotnie nie interesując się niczym i nikim. Nie było więc powodów do wielkiego zdumienia, że rozum jej się pomieszał, że zabrano ją do szpitala z domu doktora, bo gdzież, jak nie u doktora, należało szukać rady w takich sprawach. Krowę, drób, a także ziemię i łąkę Justyny wzięła w dzierżawę mieszkająca po sąsiedzku Zofia Widług, żona gajowego. Bracia Dymitra zabili okna deskami, na drzwiach zawiesili grube kłódki, domu bowiem nie można było sprzedać bez zgody sądu, a ten nakazał czekać na wynik długotrwałego leczenia Justyny. Pieniądze ze sprzedaży krowy, drobiu, a także za dzierżawę ziemi i łąki bracia Dymitra włożyli na książeczkę oszczędnościową bratowej i oświadczyli Niegłowiczowi, że jeśli Justyna wyzdrowieje i tak do Skiroławek nie pozwolą jej powrócić, ale zabiorą ją do siebie, i postarają się o pracę w kopalnianej stołówce. „Za bardzo wzięła sobie do myśli śmierć Dymitra i stąd zrodziła się w niej choroba” – mówili między sobą i do ludzi, co się wszystkim wydawało słuszne i prawdziwe.

Przynajmniej raz na tydzień aż do końca listopada i przez połowę grudnia doktor Niegłowicz jeździł swym samochodem do odległego szpitala, gdzie leżała Justyna, rozmawiał z lekarzami, siadywał przy jej łóżku. Powracał zgnębiony i smutny. Martwiła się tym Gertruda Makuchowa i domysły rozmaite na ten temat snuła, a komuż, jak nie pięknej Brygidzie mogła się z nich zwierzyć? Przesiadywały obydwie na miękkich fotelach w domu Brygidy, piły herbatę i rozmawiały o doktorze.

– Kochał tę Justynę i kocha nadal – głośno zastanawiała się piękna Brygida. – I w tym właśnie kryje się tajemnica, że mnie nie potrafił pokochać.

Gertruda była innego zdania:

– Gdyby ją miłował, wiedziałabym o tym pierwsza, bo niczego przede mną nie skrywa. Jeździ zaś do niej do szpitala i wraca smutny, ponieważ żal mu Justyny. Ma dobre serce i nie jest mściwy. Musisz bowiem wiedzieć, Brygido, że Justyna przyszła

go zabić.

– Boże drogi! Naprawdę? – strwożyła się Brygida i w pełnym łęku geście przycisnęła dłonie do piersi. – Przecież nie wiesz tego na pewno? Za cóż miałby go zabić? Nie skrzywdził jej chyba?

– Mnie nie potrzeba wiele tłumaczyć – upierała się Makuchowa. – Karabin widziałam na stole. A to ci powiem, że zabić go chciała, z zazdrości o ciebie. Gdy twoje dziecko u siebie miałam, dwa razy do mnie zachodziła i o nie pytała, skąd je wzięłam i czyje ono jest. Powiedziałam prawdę: doktora.

– To nie jest dziecko doktora Niegłowicza – oburzyła się Brygida.

Po takich słowach Gertruda robiła obrażoną minę i wstawała z fotela, chcąc odejść z domu Brygidy, która ją musiała przeproszać i nakłaniać gorąco, aby znowu usiadła.

– Rozum się pomieszał Justynie i na tym koniec – twierdziła Gertruda, nie powracając już do drażliwej kwestii. – Żal tylko Janka, że się tak tą sprawą martwi i wciąż jest smutny.

– Wciąż jest smutny... – powtarzała jej słowa piękna Brygida i popłakiwać zaczynała.

– A to ci powiem, Brygido, że teraz twoje miejsce jest przy nim, a nie tutaj, w Trumiejkach. Bo miejsce kobiety jest przy mężczyźnie nie tylko wtedy, gdy mu bywa dobrze, ale też i kiedy bywa mu źle.

– Co mam robić, Gertrudo? Co mi wypada czynić? – rozpaczała Brygida. : – Prawie codziennie go tu widuję, a on zaledwie mruknie mi „dzień dobry”.

– Ech, wy dzisiejsze kobiety – pogardliwie wydymała usta Makuchowa.

– Tyłek masz jak klacz dwuletnia i nogi jak u łani. A cycki? Czego twoim Cyckom brakuje? Nie wiesz, jak się do mężczyzny zabrać? Toż on teraz bezradny i bezbrony jak małe dziecko. Tylko go wziąć w ramiona i utulić, żeby się mógł na tobie wypłakać i wyżalić. Jeśli chcesz, to pod jego nieobecność zaprowadzę cię do jego sypialni i wleziesz mu do łóżka. Doprowadzę cię jak do starego knura.

– Co takiego? – obraziła się Brygida. – Jak do knura? Mam swoją kobiecą godność, Gertrudo. Niedoczekanie jego i moje, żebym mu sama szła do łóżka.

– E, co tam godność – wzruszyła ramionami Gertruda. – Godna to się zrobisz dopiero, jak z łóżka mężczyzny wyjdiesz zadowolona. Innej godności nie ma u kobiety i być nie może. Takimi nas Pan Bóg stworzył. A pozwala ci ta twoja godność wciąż chlipać i tęsknić? Oglądasz w lustrze swoją goliznę, te swoje kobiece majętności i godność ci nie mówi, że się to wszystko marnuje?

– Nie mogę tak postąpić, jak mi radzisz, Gertrudo, gdyż jestem inną niż ty kobietą

– upierała się Brygida. – Czuję mu się równą pod każdym względem. Mam takie jak i on wykształcenie lekarskie, choć w innej dziedzinie; kobiecą dumę, która mi mówi, że mogę mu być jedynie partnerką, a nie czymś w rodzaju leżaka, rozkładającego się na każde jego życzenie i dla jego wygody. Wszyscy wiedzą, jak on traktuje kobiety. Najpierw je upokarza, każe przed sobą klęczeć, a potem raczy się zniżyć i podnosi je z klęczek. Nigdy się na to nie zgodzę, Gertrudo. Nigdy! Choćbym miała umrzeć z miłości do niego, jak to już raz chciałam zrobić. Za dużo o nim myślałam, Gertrudo, za dużo od początku było we mnie niechęci do niego, aby z tego nie zrodziło się coś złego właśnie dla mnie i we mnie. Gdy przybyłam do Trumiejek, od razu mi powiedziano o doktorze i o tym, że pewnego dnia zaproponuje mi, abym przyszła do niego jak loszka do knura. Wszyscy dookoła ostrzegali mnie: „takiej pięknej kobiecie jak pani, doktor na pewno nie przepuści, takiej okazji on nie straci”. I tylko czekałam, kiedy mi zaproponuje spotkanie u siebie. Postanowiłam dać mu taką odprawę, aby ją sobie zapamiętał do końca życia. Zdecydowałam się ukarać go za wszystkie kobiety, które, jak mówiono, upokorzył, zanim je wziął do łóżka. Czekałam więc na tę jego propozycję, codziennie czekałam, bo przecież widywaliśmy się bardzo często. Ale on, Gertrudo, nigdy mi spotkania nie zaproponował; a nawet w ogóle uwagi na mnie nie zwracał. Patrzył nie na mnie, ale ponad mną. A ja czekałam i czekałam na próżno. Ze wszystkich stron dochodziły mnie plotki, że tę lub tamtą wyróżnił, po stokroć brzydszą i głupszą ode mnie, lecz mnie nie dostrzegał. Niecierpliwiłam się, złościłam, sama rzucałam mu się przed oczy. Bezskutecznie, Gertrudo. Mówiono mi wciąż, że jestem piękna, ale ja przestałam w to wierzyć, bo on nie chciał widzieć mojej piękności. Aż z tej niecierpliwości, z tej złości, z tej mojej nienawiści, zrodziła się miłość. Wiem, że się tego domyślił. Odtąd zaczął na mnie zwracać uwagę. Kilkakrotnie powiedział mi: „Jest pani, Brygido, najpiękniejszą kobietą na świecie”. Ale te słowa brzmiały w jego ustach jak obelga. Zresztą wszystko, co do mnie zawsze mówił brzmiało albo jak szyderstwo, albo jak obelga. Czy wiesz, co mi kiedyś oświadczył?: „Gdybym miał taką żonę jak pani, zdradziłbym ją na trzeci dzień po ślubie, aby nie myślała, że uroda daje jej nade mną jakąś władzę”. Co miałam uczynić, Gertrudo, w tej sytuacji. Poczęłam dziecko...

– Tylko mi znowu nie mów, że to nie jest jego dziecko – ostrzegła ją Gertruda. – Bo jeśli mi to jeszcze raz powiesz, wyjdę stąd i nigdy tu więcej nie wrócę.

– Próbuje ci wytłumaczyć, dlaczego nie dam się do niego doprowadzić jak loszka do knura. Nie wejść do jego domu tylnymi drzwiami jak wszystkie inne. Mogę wejść tylko od frontu, jeśli mnie o to poprosi.

Ille razy w ten sposób ze sobą rozmawiały? I nigdy im się te spotkania i podobne

rozmowy ani nie nudziły, ani też nie prowadziły do jakichś konkretnych wniosków. Z czasem nawet stały się dla tych obydwu kobiet ich największą radością.

Czy doktor wiedział o tych rozmowach, domyślał się dokąd jeździ Gertruda? Najpewniej znał całą prawdę, gdyż ilekroć Gertruda szykowała się w podróż do Trumiejek, Niegłowicz odprawiał ją drwiącymi słowami: „znowu jedziesz mielić siano”...

Tymczasem zupełnie inną sprawą żyła wieś Skiroławki, a to za przyczyną starej babki drwała Stasiaka. Babka ta przyjechała do Stasiaków latem na krótkie odwiedziny, a że mieszkała w dalekim kraju, po mężu wysoką rentę otrzymywała i spore oszczędności uczyniła, chcąc przed powrotem do dalekiego kraju przyjemność wnukowi sprawić, zapytała go przy całej rodzinie, czego sobie życzy. Może chce kupić ładny dom? Albo meble do mieszkania i kolorowy telewizor? Albo jakieś piękne ubrania dla siebie, żony i dzieci?

Tak na dobrą sprawę – wszystko to było Stasiakom potrzebne. Mieli sześcioro dzieci i mieszkali w malutkim służbowym mieszkaniu we wspólnym domu należącym do lasów państwowych. W tym mieszkaniu nie posiadali prawie wcale własnych mebli, ale wszystkie sprzęty, nie wyłączając żelaznych łóżek, stanowiły własność nadleśnictwa. Zarobki drwała wystarczały jedynie na wyкарmienie żony i dzieci, tym bardziej że tak Stasiak jak i Stasiakowa lubili od czasu do czasu tego popić – za cóż więc mogliby kupić bogatsze odzienie dla siebie i dzieci? Trudne pytanie zadała im stara babka z dalekiego kraju i Stasiak tylko drapał się po głowie, ale nie odezwał się ani słowem. Natomiast żona jego oświadczyła stanowczo:

– Hrum-brum-brum.

„Hrum-brum-brały” głośno także i dzieci Stasiaków, ale stara babka nie była nawykła do takiej mowy i nic z niej nie pojmowała. Ma kupić dom? Meble i telewizor? Ładne ubrania? Futro dla Stasiakowej?

Zdecydowała trzynastoletnia Agata, najstarsza Stasiakówna, która trochę ludzkiej mowy umiała.

– Siamochód niech nam babka kupi. Chcemy mieć siamochód.

Stasiak przestał drapać w głowę, plecy wyprostował dumnie, oczy mu zabłyśły. Tak, samochód, to była myśl. „Zahrum-brum-brały” radośnie niemal wszystkie dzieci, milczało tylko najmniejsze, niemowlę, które ponoć od gajowego Widłaga pochodziło. Także i Stasiakowa wyraziła swoje ogromne zadowolenie ze słów najstarszej córki. Bo co im po własnym domu, skoro mają służbowe mieszkanie i nadleśnictwo musi się martwić o naprawę dachu i rynien? Co im po pięknych meblach i kolorowym

telewizorze, skoro dzieciaki i tak zaraz meble poniszczą a telewizor zepsują? Co im po ładnych ubraniach – i tak zaraz podrą i usmarują? Co jej po futrze, skoro nie będzie w nim mogła nigdzie paradować, musi przecież pilnować dzieci? Zresztą inni mają i własne domy, i ładne meble, ale wcale nie wyglądają na zadowolonych. A samochodu żaden drwal nie posiada.

Stara kobieta odjechała w dalekie kraje. Stasiakowa niewielką wagę przywiązywała do jej słów, bo czy to jeden człowiek swoje obietnice rzuca na wiatr? Zresztą stara babka wcale nie wyglądała na zamożną, a nawet przeciwnie – wciąż wyrzucała Stasiakowej, że za dużo pieniędzy wydaje na chleb, który się marnuje, na wódkę i na papierosy.

Aż tu masz – na początku grudnia mechanik w niebieskim kombinezonie zajechał na podwórze Stasiaków błękitnym citroenem, rozmaite papiery kazał Stasiakowi podpisać, dał mu dwie pary kluczy od wozu, odkręcił próbne numery, zasalutował grzecznie, wsiadł do autobusu i zniknął. A u Stasiaków pozostał lśniący lakierem błękitny citroen, w którym można się było przejrzeć jak w lustrze. Samochód miał ogromne błyszczące niklem reflektory, które zakrywały samootwierające się pokrywy podobne do powiek, wewnątrz były kryte skórą fotele i pachniało jak w kościele podczas rezurekcji. Wóz posiadał najnowocześniejsze kształty aerodynamiczne, przypominał torpedę lub pocisk balistyczny, błyszczał błękitnie i srebrzył się okuciami – aż strach było do niego podejść. Nic: – tylko patrzeć z daleka, zachwycać się, podziwiać, wzdychać, broń Boże dotknąć ręką albo palcem, gdyż zaraz płamy na nim zostawały.

Mieszkali Stasiakowie, jak to było wspomniane, we wspólnym domu z trzema innymi rodzinami robotników leśnych. W każdej rodzinie było po pięcioro, a nawet ośmioro dzieci. Dodając dzieci Stasiaków – ogromna rzesza malców i niedorostków; chyba ze dwudziestu kilku usmarkańców zebrało się wokół samochodu. Dorośli ludzie, którzy się zeszli z całej wsi, zauroczeni pięknem wozu – stali z daleka i podziwiali. Inaczej dzieci. Te miały śmiałość i zaraz każde z nich musiało błyszczącą blachę dotknąć palcami lub językiem, przylepić nos do szyby, a jedno nawet wlaźło na dach i zjechało z góry po masce, która była ścięta ku dołowi i dobrze się do takiego zjeżdżania nadawała. „Zahrumbrumbrała” gniewnie Stasiakowa, a Stasiak chwycił miotłę do ręki i dzieci od samochodu odgonił. Ale czy na długo? Musieli obydwójce – na zmianę – wartę przy samochodzie trzymać z miotłą w ręku. Przez cały niemal dzień, aż do późnej nocy, a potem od rana aż do wieczora, przez co nie mógł Stasiak pójść do roboty w lesie. Nie miał o to jednak do niego pretensji ani gajowy Widług, ani leśniczy Turlej, ani nawet sam nadleśniczy Kociuba, który przejeżdżając przez Skiroławki zatrzymał swego ułaza przy domu Stasiaków i również przez kwadrans oczy swoje napawał pięknością citroena.

Samochód służy do jazdy i zasadniczą przyjemność czerpie się z tego, że można się nim wygodnie poruszać – o tym nawet Stasiakowie wiedzieli. Lecz ani Stasiak, ani tym bardziej jego żona, a także żadne z dzieci nie miało prawa jazdy, gdyż żadne z nich nie ukończyło ośmiu klas, co bywa w takich razach konieczne. „Agata zrobi osiem klas i prawo jazdy dostanie – pocieszył żonę Stasiak. – A na razie, poprosimy pana Porwasza, żeby nas przewiózł”.

Malarz nie dał się długo prosić. Przyszedł do Stasiaków, zasiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk, ale spojrzawszy na wskaźniki w wozie stwierdził, że nigdzie nie pojadą, ponieważ mechanik, który samochód przyprowadził, zostawił w nim tylko odrobinę benzyny. Pojadą więc tylko kawałek, lecz nie wiadomo, czy zdołają powrócić. On, Porwasz, też nie ma w swoim wozie benzyny, gdyż ostatnio niedomaga finansowo i, jak wszystkim wiadomo, okresowo pozostaje na utrzymaniu pani Halinki; co się oczywiście odmieni, gdy z Paryża przyśle mu pieniądze baron Abendteuer. Może trochę benzyny odsprzeda im doktor Niegłowicz?

Stasiakowie nie mieli pieniędzy na benzynę. Za obietnicę przejażdżki pożyczył im trochę grosza drwal Jarosz. Doktora jednak w domu nie było – pojechał do szpitala, gdzie leżała Justyna. Dopiero nazajutrz udało się Stasiakowi kupić dziesięć litrów benzyny. Wówczas jednak malarz Porwasz oświadczył im, że się rozmyślił w sprawie prowadzenia samochodu, ponieważ – jak słusznie zwróciła mu uwagę pani Halinka, której on słuchał we wszystkim – nie nawykł do prowadzenia takich nowoczesnych wozów, może się wpakować w drzewo, rozbić go albo zgoła tylko uszkodzić, a wóz nie jest ani zarejestrowany, ani też ubezpieczony. Należy więc wpród wóz zarejestrować, odpowiednie numery mu przykręcić, a następnie ubezpieczyć. Ile wyniesie załatwienie tych spraw? Ano, przynajmniej połowę miesięcznej pensji Stasiaka. Tedy niech będą cierpliwi i poczekają aż do następnej wypłaty.

Nie mógł Stasiak bez przerwy pilnować przed czeredą dzieciaków swego samochodu; również Stasiakowa, zajęta swymi dziećmi, nie była w stanie ciągle sterceć z miotłą na podwórzu. Naciął więc Stasiak grubych żerdzi w lesie, okorował je i wysoki płot wokół samochodu postawił, z bramą zamykaną na kłódkę. Wkrótce znowu spadł śnieg i białym płaszczem zakrył samochód; przybrudził się on zresztą od samego stania i nie błyszczał tak pięknie jak dawniej. Odtąd co niedziela Stasiakowa robiła sobie coś w rodzaju loków na głowie, ubierała odświętnie swoje dzieciaki i wraz z mężem zasiadała w samochodzie. Siedzieli tak godzinę, dwie, nieraz i trzy. W wozie było przytulnie, wygodnie, siedzenia wydawały się tak miękkie jak poduszki puchowe i przyjemnie pachniały jakąś dziwną wonią samochodowej świeżości. Młodsze dzieci

natychmiast zasypiały, a starsze zaczynały głośno warczeć i burczeć naśladując pracę silnika samochodowego. Stasiak kurczowo trzymał w dłoniach kierownicę i odnosili wrażenie, że jadą gdzieś bardzo daleko po ośnieżonych drogach i polach, a nawet unoszą się nad ziemią, nad lasem i jeziorem. I choć ten i ów doradzał Stasiakowi, aby samochód sprzedał komuś z miasta, który da za niego dużo pieniędzy, gdyż dla wielu stało się oczywiste, że ani w tym, ani w następnym miesiącu Stasiakowie nie uzbierają na zapłacenie ubezpieczenia i rejestracji, Agata dopiero za kilka lat zdoła zrobić prawo jazdy – słyszano w odpowiedzi tylko gniewne „hrum-brum-brum” Stasiakowej i „hrum-brum-brum” jej dzieci. Przyjemność bowiem jaką czerpali z samego patrzenia na ów przepiękny przedmiot, a także z owego przesiadywania w nim godzinami, nie dawała się wypowiedzieć, była słodka i niezwykła. Zresztą kto kupiłby tak piękny samochód? Doktor, pisarz i malarz – nie mieli dosyć pieniędzy. Nadleśniczy Kociuba i naczelnik Parametr stwierdzili, że po nabyciu podobnej maszyny natychmiast zaczęto by ich podejrzewać o rozmaite machlojki i nadużycia. Tedy rodzina Stasiaków, co niedziela, warcząc i burcząc ustami dzieci, z ojcem za kierownicą – jechała w dalekie strony i dalekie kraje, nie niszcząc wozu, nie narażając się na niebezpieczeństwa i trudy jazdy, nie płacąc za benzynę. A gdy zdarzyło się Porwaszowi, że w drodze do Trumiejek zepsuł mu się jego stary range rover – cała rodzina Stasiaków wyległa przed dom i śmiejąc się patrzyła, jak ciężarówka ciągnie na holu samochód malarza. W istocie bowiem większa radość bywa z samochodu, który stoi, niż tego, którym się jeździ. Tę prawdę zrozumiał prosty człowiek, zwykły drwal Stasiak, nie pojęło jej jednak wielu ludzi, którzy uważają się za mądrych.

Z samochodu korzyść bywa wieloraka. Któregoś dnia zapytała Stasiaka żona drwala Jarosza – czy nie mógłby ją przewieźć, burcząc i warcząc. Umówił się z nią Stasiak na późniejszą godzinę wieczorną, żeby żona nie miała do niego pretensji, że Jaroszą postanowił do samochodu zaprosić. Ukradkiem zabrał z domu klucze do wozu i obydwójce wślizgnęli się do zacisznego i pachnącego wnętrza. Oj, jechali długo i przyjemnie, aż szyby w oknach zaparowały i od mrozu szronem się pokryły. Innego wieczoru Stasiakowa osobiście przewiozła samochodem gajowego Widłaga – długa i przyjemna to była jazda, szczególnie; że gajowy Widłag, człowiek odrobinę obeznany z samochodami, potrafił rozłożyć siedzenia. Za pół litra wódki kluczyki od wozu odstąpił Stasiak młodemu Galembce, który nie wiadomo z kim, ale najpewniej z jakąś niewiastą – także odbył krótką przejażdżkę. Potem zachciało się tak pięknym samochodem jechać Ziętkowej, córce Smugoniowej, a także przejechała się trzynastoletnia Agata z pewnym młodzieńcem, który ją do przyszłego zdobywania prawa jazdy obiecał przyuczać.

Na dobrą sprawę mało kto we wsi nie korzystał z możliwości zasiadania w pięknym Citroenie Stasiaka. Najczęściej z kimś drugim. Jazdy były krótsze lub dłuższe, ale zawsze nad wyraz przyjemne. Zaprawdę chyba nigdy dotąd tylu ludzi aż tyle radości nie doznało za przyczyną jednego tylko samochodu, który na dodatek nie wypalił ani litra benzyny.

O TYM, ŻE NIE TYLKO ROZPUSTA, ALE I CNOTA ZŁOŚĆ LUDZKĄ WZBUDZA

Ostatni raz Nepomucen Maria Lubiński zobaczył piękną Luizę w grudniowy zmierzch, gdy cały jego dom zdawał się być otulony w biel śnieżnego puchu, nie turkotała maszyna do szycia pani Basienki, która udała się w odwiedziny do Halinki Turlej i cisza w pracowni była tak wielka, że niemal słyszał, jak bucha ciepło z kafłowego pieca. Pisarz nie zapalał lampy na swoim ogromnym stole i nawet chyba nie zauważył, że wieczór zimowy odrobinami mroku osypuje książkę i dłonie spoczywające na jej kartkach. Widział Luizę tak wyraźnie jak nigdy dotąd, jakby ktoś raptem wyostrzył obraz pisarskiej obserwacji. Była prawdziwsza i bardziej żywa niż wówczas, gdy wędrowała przez ośnieżony las, a ubogi drwał niby czarodziej uderzeniami witki uwalniał gałęzie z okiści śnieżnej – a one podnosiły się przed nią z ukłonem i prostowały dumnie. I prawdziwszą się Lubińskiemu zdała niż wówczas, kiedy poszła do domku myśliwskiego i tam oddała się stażycie w sposób bezwstydnym i wyrafinowanym. I również jeszcze bardziej wyrazistą się zdała niż w dzień słoneczny na jachcie płynącym po smaganym wichrem jeziorze, na podobieństwo Elwiry powoli obnażając się i wreszcie spełniając się w krótkiej chwili na deskach drewnianej podłogi jachtu, w trzcinach obrastających brzegi samotnej wysepki.

Ujrzał Luizę w lustrze wiszącym w jej małym mieszkaniu na piętrze wiejskiej szkoły. Odbicie odrobinę zmiękczało ostre rysy, łagodziło brzydotę kanciastego podbródka i zakrzywionego nosa, powiększało oczy, wygładzało zmarszczki na czole i wokół ust, srebrzyło siwe włosy na głowie. Pani Luiza surowym spojrzeniem lustrowała swój wygląd, sprawdzała, czy siwe włosy gładko przylegają do głowy, kołnierzyk białej koszuli jest zapięty pod szyją, kokarda czarnej krawatki nie nazbyt wydaje się fantazyjną i kokieteryjną. Chciała wyglądać tak jak zwykle – schludnie i

poważnie, a nawet jeszcze bardziej schludnie i poważnie. Z dołu, z klasy dochodził ją śpiew – pani Halinka powtarzała z uczniami ciągle tę samą piosenkę pożegnalną. Dzieci z najstarszej klasy zrobiły laurkę na brystolu i przewiązały ją czerwoną wstążeczką. W umywalni szkolnej czekały kwiaty, a wizytator z Bart, który jeszcze nie nadjechał, miał przywieźć prezent, zapewne zegar elektryczny, bo taki podarunek otrzymywała zazwyczaj nauczycielka odchodząca na zasłużoną emeryturę. Po wręczeniu prezentu i okolicznościowym przemówieniu wizytatora oraz pani Halinki, zapewne głos zabierze również i ta nowa młoda nauczycielka, wyznaczona na miejsce pani Luizy i na razie dojeżdżająca codziennie autobusem z Trumiejek. Dzieci zaśpiewają piosenkę, któryś ze starszych uczniów wypowie pożegnalny wierszyk, będą kwiaty i laurka, potem w pokoju nauczycielskim – wino, ciasteczka, kawa dla szczupłego pedagogicznego grona.

Spoglądając w lustro Luiza zwróciła uwagę, że usta ma mocno zacisnięte. To dlatego że po pożegnalnej uroczystości, powie wizytatorowi już całkowicie zdecydowanie a nawet stanowczo, że służbowego mieszkania w Skiroławkach nie zostawi i nie przeniesie się do Trumiejek. Trudno, niech ta młoda nauczycielka dojeżdża codziennie z tak daleka, ona nie opuści miejsca, gdzie żyła tyle lat. Tu zna wszystkich ludzi i wszyscy ją znają, w sklepie otrzymuje produkty poza kolejką, bo Smugoniowa była jej uczennicą. Z okien mieszkania widać drogę przez wieś; a także dróżkę do starego młyna. To przecież dzięki temu, że okna jej mieszkania wychodzą także i na stronę młyna, wypatrzyła ten ohydny zwyczaj chodzenia tam po to, aby gromadnie i po omacku raz w roku w gęstych ciemnościach zażywać wspólnej rozkoszy. Ilu ludziom już zwierzyła w tajemnicy tę sprawę? Niektórzy mieli ją za starą wariatkę, ale na przykład pani Renata Turoń, kobieta niezwykle wykształcona, całą tę historię dokładnie opisała w swoim czerwonym brulionie. Zdarzało się potem, że różni ludzie z Trumiejek, a nawet z Bart pytali ją dyskretnie, czy to prawda, że w Skiroławkach raz w roku wszyscy żyją z wszystkimi jak zwierzęta. I ona, niestety, musiała ten fakt potwierdzić, choć zastrzegła się, że nie zna dokładnych szczegółów. Nie bywała tam przecież, a ci, co brali udział – rzecz jasna – nie chwalili się. To oni właśnie nazywali ją starą wariatką. Ludzie w Skiroławkach są źli, zepsuci, rozpustni – odpłacają złym za dobre, potrafią każdego – nawet ją – oplotkować i obrzucić oszczerstwami. Ale przywykła już do nich i do swego małego mieszkania na piętrze szkoły. Z okien domu w Trumiejkach widać było tyły jakiejś brzydkiej szopy, a tu – i drogę, i ścieżkę w stronę starego młyna. Polubiła ów widok, potrafi godzinami siedzieć w oknie i patrzeć kto i dokąd idzie, domyślać się, jakie sprawy ludzi prowadzą w różne strony, ponieważ знаła wszystkich i ich sprawy. W Trumiejkach tego nie będzie. Zresztą, czy ta młoda nauczycielka zechce

tutaj pozostać na dłużej? Przejmie mieszkanie po starej nauczycielce, a potem pozna jakiegoś mężczyznę i przeniesie się z nim w drugi koniec kraju. Ile takich już widziała w tej szkole, zanim kierowniczką nie została pani Halinka? A zresztą, czy pani Halinka była lepszą? Nie uciekła z drwalem jak tamta przed piętnastu laty, ale też porzuciła męża i przeniosła się do malarza Porwasza, który jak spojrzy na kobietę swoimi pałającymi oczami, to aż dreszcz strachu ją przeszywa. Tamta, przed piętnastoma laty, ładna i inteligentna, zakochała się w zwykłym drwalu, tyle że mężczyźni dość przystojnym, roslym, czarniawym na twarzy. Najpierw cichaczem prowadzali się po lasach i młodnikach, gdyż ona mieszkała w wynajętym pokoiku na piętrze domu Widłagów, on miał we wsi żonę i dwoje dzieci. O czym tych dwoje mogło ze sobą rozmawiać, skoro ona była wykształcona a on prostak? I że ich nic nie obchodziło, co też ludzie powiedzą o ich wspólnych spacerach po lesie i schadzkach w młodnikach! Potem ona zaszła w ciążę i razem uciekli gdzieś hen, aż nad zachodnią granicę. Pozostała we wsi żona drwala i dwoje dzieci, które przez długi czas nie wiedziały, gdzie jest ich ojciec. A tamtych dwoje niedługo cieszyło się swoim szczęściem. Ona urodziła, znowu w jakiejś szkole uczyła, on pracował jako prosty robotnik. Po jakimś czasie za ciemny i za głupi się dla niej okazał, rzuciła go dla kierownika szkoły i z nim podobno do dziś żyje, i ma jeszcze dwójkę dzieci. Takiej los sprzyja, zazwyczaj dostaje mężczyznę porządnego, niepijącego, kulturalnego, podczas gdy inne, te uczciwe i porządne, muszą przez życie przejść samotnie. Drwal wrócił do Skiroławek, do żony i dzieci, później z nimi przeniósł się do innego nadleśnictwa. Albo ta druga, która na Luizie natychmiast zrobiła wrażenie nieposkromionej w swych żądzach. Przybyła do Skiroławek z dwojgiem dzieci; jako rozwódka. Brzydka, brzuchata i przecież nie taka znowu młoda. Na obiady do siebie zapraszała młodziutkiego stażystę leśnego, chłopaka dwudziestotrzyletniego, chyba jeszcze niewinnego, bo spojrzenie miał czyste i rumienił się na widok dziewcząt. Obiady mu robiła i tak go do siebie ośmieliła, że świata za nią nie widział, i wreszcie ożenił się z nią, starszą od siebie kobietą z dwojgiem dzieci. Jako inżynier leśnik razem z nią wyjechał w inne strony, gdzie z czasem stał się nadleśniczym, a ona panią nadleśniczyną. Sztuczkami miłosnymi musiała go do siebie przywiązywać, że ani spojrział na młode dziewczyny, tylko za tamtą, brzuchatą i starą bez przerwy łąził, łąsił się do niej, w oczy zaglądał, każde życzenie spełniał. Myślała o tych sztuczkiach Luiza, chciała poznać całą ich okropność. Mieszkała ta nauczycielka w dwóch pokojach z kuchnią na parterze w dużym domu Kurta Webera. Którejś nocy Luiza zakradła się pod okna jej mieszkania i przez szczelinę w niedokładnie zasuniętych firankach widziała ich w świetle nocnej lampki. Robili to przy świetle, nadzy, na podłodze, na stołku, na

stole. Luiza pierwszy raz w życiu zobaczyła, co potrafi z mężczyzną czynić kobieta wyzuta ze wstydu, lubieżna, opanowana przez żądze. Pod ich oknem trzęsa się ze wstrętu i upajającej ciekawości, co noc chodziła pod to okno, dopóki Kurt Weber nie sprawił sobie głośno ujadającego kundla. Wiele nety zastanawiała się potem Luiza, czy i ona zdolna byłaby do podobnych postępów. Niekiedy miała przekonanie, że tak – mogłaby, po ciemku i z kimś bardzo młodzieńkami który by sobie nie zdawał sprawy, że robi z nią coś zdroźnego i wstydlwego. Tylko że już jej było czterdzieści pięć lat i nie znajdowała odpowiedniego partnera. Upatrzyła sobie trzynastoletniego chłopca w swojej klasie i na wycieczce szkolnej, kiedy z całą klasą spali razem w stodole, wzięła go pod swój koc pod pretekstem, że zmarł. Ale dziewczyny z klasy to wypatrzyły, a może się domyśliły (nie ma na świecie bardziej złośliwych istot niż dojrzewające dziewczęta) drwiły z chłopaka i on zaczął od niej stronić. Nie próbowała z nim nawiązać ponownych kontaktów, bo bała się, co ludzie o tym powiedzą. Aby dowieść dziewczętom, że chłopaka nie faworyzuje, o mało nie pozostawiła go na drugi rok w tej samej klasie. Lecz i tak właśnie z tego powodu plotkowano, a ona się tymi plotkami gryzła. Rzadko ludziom dawała temat do plotek, a przecież wciąż o niej złośliwie mówiono, ponieważ żyła bez mężczyzny. Nawet kiedy małego pieska, jamnika, kupiła, zaczęto we wsi gadać, że przyuczyła go do miłosnych uciech. Musiała psa oddać znajomym – i potem długo za nim tęskniła. Ludzie są źli i nigdy im się nie dogodzi, choćby nie wiem jak uczciwie się żyło. To prawda, że pewnej ciemnej nocy zdecydowała się pójść do starego młyna, tak jak wszyscy we wsi. Ale to chyba nie była ta noc – nikt oprócz niej do młyna nie poszedł. I na szczęście nikt we wsi nie dowiedział się, znowu mogliby na jej temat sączyć jadowite plotki. Inne kobiety nie bały się ludzkiego gadania – dlatego, nie wiedziała. Choćby ta ostatnia nauczycielka, ta, która przed panią Halinką była. Czy to mało razy widział rybak Gustaw Pasemko, jak z pewnym żeglarzem nago pływała jachtem po jeziorze? Nic sobie nie robiła z ludzkiego gadania, choć miała męża zatrudnionego w urzędzie gminnym w Trumiejkach. Potem mąż jej dostał posadę kierownika dużego gospodarstwa rolnego i przenieśli się w inne okolice. Luiza pozostała. Niczego sobie w życiu nie miała do wyrzucenia, niczego nie musiała się wstydzić. Jej nagiego ciała nie dotknął nigdy żaden mężczyzna – mogła być stawiana za przykład dla innych kobiet. A przecież we wsi śmiano się z niej właśnie z tego powodu. Dlaczego ludzi drażni tak samo rozpusta jak i cnota?

Od dzieciństwa miała dość rzadkie włosy. Znajomi radzili matce, żeby jej włosy obcinała krótko, to zgęstnieją. Ale matka nigdy na to nie chciała się zgodzić. „Co ludzie na to powiedzą?” – tłumaczyła małej Luizie. – W naszym miasteczku wszystkie panienki

z dobrych domów noszą włosy splecione w warkocz, a rozpuszczone na Boże Ciało, kiedy kwiaty księdzu pod nogi sypią”. Marzyła o czerwonej sukience z bufiastymi rękawami i dużym dekoltem. „Nie uszyję ci czegoś takiego, bo inne dziewczynki noszą sukienki batystowe, żółte albo białe. Co ludzie powiedzą, jak cię w takim stroju zobaczą?” Potem przysła wojna i ojciec zginął na froncie jako oficer. Matka nosiła się na czarno, Luizę także na czarno ubierała. Luiza była już dorosła, chłopcy prosili ją na potańcówki, lecz matka zakazywała: „Twój ojciec zginął na froncie. Nie możesz się bawić, bo co ludzie na to powiedzą”. To samo gadanie słyszała, kiedy zaczęła studiować. Matka kazała jej nosić warkocz upięty na głowie w koronę, a inne dziewczyny nosiły krótkie włosy, niektóre się tleniły. Te, co się tleniły, miały największe powodzenie. Jej korona z warkocza tylko śmieszyła. „Pomysł, ludzie powiedzą, że gonisz za mężem albo – co gorsza – jesteś puszczańska. Musisz się ubierać skromnie, bo tylko wtedy zwrócisz na siebie uwagę jakiegoś uczciwego człowieka.” Ale gdzie ona miała na siebie zwrócić uwagę, skoro zabaw studenckich unikała z tego powodu, że nigdy nie nauczyła się tańczyć? Na każde wakacje wyjeżdżała tylko z matką, z nią też chodziła do znajomych. Zawsze była przy niej matka. Nawet na swoją pierwszą posadę do Skiroławek przyjechała z matką, która jej gotowała, sprzątała, szyła stroje. „Pamiętaj, że żyjesz na wsi, jesteś nauczycielką, ludzie bacznie cię obserwują i nie możesz sobie pozwolić na jakiegokolwiek plotki” – ciągle ją upominała. Nie pozwalała malować ust, policzków, przyczerniać rzęsy i brwi. Szyła sukienki zakrywające kolana, bluzki, które nie uwydatniały piersi. „Młodzi chłopcy na ciebie patrzą, Luizo. Nie wolno ci im pokazywać kolan i tego, że jesteś kobietą. Nauczycielka, którą uczniowie traktują jak kobietę, nie ma nigdy autorytetu”. I tak nawykła do tych pouczeń, że z czasem nawet bez udziału matki strofowała się sama na każdym kroku. Matka umarła, kiedy Luiza miała trzydzieści siedem lat. Wtedy obciąła włosy, umalowała się, wyjechała latem na wczasy nad morze i tam poznała mężczyznę w tym samym wieku, rozwiedzionego. Zakochała się w nim, odbywała długie nocne spacerunki po plaży, całowała się. Na nic więcej mu nie pozwalała, ale zaprosiła do siebie do Skiroławek. Przyjechał do niej z daleka, całą noc przestał w zatłoczonym pociągu. Był zmęczony i śpiący, ale mu nie dała u siebie spać, bo strach ją obleciał, co mogliby ludzie we wsi powiedzieć. Ona panienka, a obcy mężczyzna u niej śpi, i u gajowego Widłaga pokój mu wynajęła. Przez cały dzień ją molestował, aby mu się oddała. Bała się tego, dlatego, sama nie wiedziała. Myślała, że wszystkie porządne kobiety muszą się tego bać, a dopiero ślub odbiera im ten strach i daje odwagę. Chcąc się obronić przed jego natarczywością, pokazała mu fotografię swego ojca w mundurze oficerskim. „To był mój narzeczony, który zginął podczas wojny. Jestem mu wierna i

kocham go.” Tak mówiła, bo chciała temu mężczyźnie zaimponować i wytłumaczyć, dlaczego aż do tej pory jest cnotliwą. I aby wiedział, że będzie mu tak samo wierną. Ale to go jak gdyby zniechęciło. Następnego dnia odjechał i listu do niej nigdy nie napisał, ona zaś była zbyt dumna, żeby mu o sobie przypomnieć. Od tego czasu zawsze fotografię swojego ojca pokazywała jako narzeczonego, który zginął podczas wojny, a ona mu pozostała wierną. Tak było ładniej, zresztą sama przywykła do myśli, że to był jej naręczony i ona jest ofiarą wojny. Jako niemal wdowa po zabitym oficerze znowu zapuściła włosy, przestała się malować, wydłużyła sukienki, na ciemno się ubierała jak matka. Ale czy ludzie potrafią ocenić takie poświęcenie? Jej koleżanki puszczały się na lewo i prawo, ta z drwalem, tamta ze stażystą, inna z żeglarzem. Ale to ona znajdowała pod progiem swojego mieszkania paczuszki ze świecą i nabazgranym liścikiem: „Jak nie masz czym, to świecą gromniczną”. Nie darowali jej trzynastolatka, którego tylko wzięła pod swój koc i trochę rozgrzała. Albo psa jamnika. Inne mogły wyrabiać co chciały i z kim chciały – plotkowano o nich bez końca. Ona by umarła ze wstydu od tyłu plotek. Ale czy ją plotki omijały? Nastąpiła moda krótkich sukienek, dziewczęta w szkole i inne nauczycielki nosiły tak krótkie sukienki, że aż im majtki w kroku było widać i nikogo to nie obchodziło. A ona zaledwie przykróciła spódnicę, a zaraz gadano w sklepie: „Patrzcie no, jak to ją przyparło. Już kolana pokazuje”. I zaraz spódniczkę przedłużyła. Ludzie są bowiem wstrętnei, nigdy niczego dobrego nie docenią, wszystko wydrwią i spotwarzą. Wyrozumiłsi bywają dla grzechu, dla rozpusty i rozwiązłości, niż dla cnotliwego życia.

Jak powinna się ubrać na taką uroczystość jak dzisiejsza? Skromnie i godnie, poważnie i surowo. W lustrze widzi Luiza swoje gładko przyczesane siwe włosy i szare zimne oczy. Ale usta są trochę zbyt blade. Ma jeszcze szminkę koloru cyklamenu z dawnych czasów. Mogłaby pociągnąć nią wargi, podmalować trochę ołówkiem brwi. „Ale co na to ludzie powiedzą?” – pomyślała.

...Znowu zmierzch osypał szarością dłonie i kartki na stole pisarza Lubińskiego. Zniknął mu sprzed oczu widok lustra z twarzą Luizy. Nepomucen Maria był szczęśliwy, bo poznał ostatnie zdanie ze swej książki zbrojeckiej.

Tego wieczoru, gdy znalazł się w łóżku obok swojej żony, zapytał panią Basieńkę:

– Czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego od pewnego czasu nie pytasz mnie nigdy, w jaki sposób doktor upokarza kobietę, zanim w nią wejdzie?

Po dłuższej chwili nastąpiła odpowiedź.

– Nie wiem, Nepomucenie. Wierz mi, że nie mam pojęcia, czemu ta sprawa przestała mnie interesować. Być może doszłam do wniosku, że doktor jest człowiekiem

niezdolnym do miłości i stąd właśnie bierze się w nim potrzeba perwersji. Rozeszła się plotka, że miał romans z Justyną, a gdy się nią znudził, ona przyszła go zabić. Znałam tę kobietę, była prosta, a nawet prymitywna. To dla mnie dowód, że on nie jest zdolny do prawdziwej miłości.

– Mylisz się, Basieńko – cichuteńko roześmiał się Lubiński. – Podejrzewam, że kryje się z miłością, wielką miłością do pewnej kobiety. Nie wyjawisz swych uczuć, dopóki jej nie złamię i nie upokorzę.

Żywiej zabiło serce pani Basienki:

– Czy nie domyślasz się, co to za kobieta?

– Nie mam pojęcia, kogo kocha Niegłowicz. Ale tak jak astronom z ruchu widzialnych planet na niebie potrafi domyślić się, że istnieje planeta, której zobaczyć nie potrafi, tak dla mnie całe postępowanie doktora świadczy, że kocha kogoś bardzo mocno.

– Mówisz, że ją kocha. Dlaczego więc chce ją poniżyć i upokorzyć? Tego się nie robi z ukochaną kobietą.

– Nic nie rozumiesz, Basieńko. Doktor już raz w swym życiu kochał kobietę bardzo mocno. Tak kochał, że rozum stracił, wyrzekł się swej osobowości, swej kariery. To była Anna; matka Joachima. Mówiono mi, że w tamtych latach zapowiadano mu wspaniałą karierę lekarską, a przecież został zwykłym wiejskim lekarzem w małej wiosce Skiroławki. Od tamtego czasu stał się nieufny wobec miłości i za tamtą, która zginęła i nigdy już do niego nie wróci, zaczął brać odwet na wszystkich kobietach. Wpierw musi kobietę poniżyć i upokorzyć, ugruntować w sobie poczucie bezpieczeństwa i własnej niezależności, zanim zbliży się na krótką lub dłuższą chwilę.

Odrzekła mu na to pani Basienka:

– Wierz mi, Nepomucenie, że kobiecie, która kocha, nie tak znowu wiele potrzeba do szczęścia. Bo gdyby to nie było prawdą, czy tak długo żyłabym przy twoim boku?

O TYM, JAK KŁOBUK ZŁOTO W CHLEB ZAMINIŁ

Joachim przyjechał do Skiroławek w połowie grudnia. Ojciec listownie wytłumaczył mu się z faktu, że nie przyleciał na jego pierwszy zagraniczny koncert. Co prawda podał wyjaśnienia mało przekonujące, ale Joachim nie chciał wnikać w przyczyny. Nie pytał o nic i dawał do zrozumienia, że również nie pragnie być wypytywany, dlaczego,

zamiast na same święta Bożego Narodzenia, pojawił się dużo wcześniej. Tylko Gertruda po swojemu, dzień po dniu, o to i owo nagabując domyślała się, że Joachim przeżywa nieodwzajemnioną miłość. Za uprzednią bytnością w domu ojca wspominał o panience imieniem Małgorzata, teraz jeżył się, gdy mu przypominała to imię. „Musisz zdobyć dla mnie Kłobuka, Gertrudo – oświadczył jej któregoś wieczoru w kuchni. – Kłobuk przynosi szczęście”. Makuchowa przytaknęła, ale dodała, że Kłobuk nie przynosi szczęścia w miłości, czego najlepszym dowodem jest jego ojciec. Najpiękniejsza kobieta w okolicy, Brygida, kocha go tak bardzo, że chciała samobójstwo dla niego popełnić, a on dwa razy w tygodniu jeździ do szpitala do Justyny; o Brygidzie nawet nie pomyśli. „I ma z nią dziecko” – wyzaliła się.

Ta historia zainteresowała Joachima. Po swoim pierwszym wielkim zawodzie miłosnym wrzuszały go podobne sprawy, chciał komuś współczuć i samemu otrzymać odrobinę współczucia. Wybrał się więc pod kolejną nieobecność ojca do Trumiejek razem z Gertrudą. Brygida przyjęła ich serdecznie, częstowała herbatą, kawą, winem, ciastem swojej roboty. Ale co wspomnieli o doktorze, zaraz miała łzy w swoich wielkich oczach. Joachim też się rozkleił – powiedział o Małgorzacie, o tym, jak przez prawie rok spotykał się z nią, chodził na koncerty, aż w końcu ona mu powiedziała, że nie rozumie muzyki i koncerty ją męczą. Zdradziła Joachima dla chłopaka, który namiętnie grał w szachy. Joachim miał tę satysfakcję, że szachistę też zaraz rzuciła, ponieważ nudziły ją ciągłe rozmowy o rozgrywkach szachowych. Zajął się takim, który nie miał żadnych zainteresowań, całe dni spędzał w kawiarniach i rozprawiał o głupstwach wyczytanych w gazetach. „Wiem, że jest głupia, ale co mam zrobić, skoro te, co tak mądrze o wszystkim gadają, zupełnie mnie nie pociągają” – tłumaczył Brygidzie. Makuchowa potakiwała: „Jak jego ojciec. Tak samo jak Janek. Też nie lubi mądrych kobiet”. Joachim był oburzony: „A moja matka? Ona nie była głupią kobietą.” Makuchowa również potakiwała: „Ona kochała muzykę. Tylko muzykę. Nie wiadomo, czy była mądra, czy głupia.” Joachim zgadzał się, że do uprawiania muzyki nie tyle rozumu, ile serca potrzeba. „Jesteś bardzo dobrym chłopcem – pocieszała młodzieńca Brygida. – Tyle dziewcząt chodzi po świecie. Za tydzień poznasz inną i natychmiast zapomnisz o Małgorzacie”. Joachim zapytał ją: „A pani? Czemu pani nie potrafi zapomnieć?” Brygida popłakała się, a Joachim siedział z głową ponuro zwieszoną. Gertruda pocieszała go wedle swego rozumu: „Każda kobieta, Joachimie, jest głupia. Udaje mądrą, żeby zaimponować mężczyźnie, ale potem zaraz okazuje się głupia. Na ten przykład Brygida. Wykształcona i mądra, a przecież gdyby była taka mądra, już dawno miałyby twojego ojca za męża, a ciebie za pasierba. Dlatego ty, Joachimie, nie

zrażaj się do tych mądrali, po prostu nie słuchaj jak się wymądrzają, rób z nimi swoje. Przekonasz się, jak przez ciebie zgłupieją.” Brygida splatała i rozplatała palce swoich małych dłoni i wzdychała: „Tak, tak, jesteśmy bardzo głupie. Och, jakie głupie!”

Joachimowi dobrze było u Brygidy, mile wspominał chwile u niej spędzone. Ojciec chodził po domu ponury, opryskliwy. Joachim odnosił wrażenie, że ucieka przed nim i dlatego każdą wolną chwilę spędza zamknięty w swoim gabinecie lekarskim, choć pacjentów miał mało. Nie zgodził się na propozycję Joachima, aby pójść z wizytą do Lubińskiego albo Porwasza. Chłopak po kilka godzin dziennie grał na skrzypcach, ale trochę nudził się na półwyspie. Niemal żałował, że na święta i ferie przyjechał do ojca, a nie pozostał u dziadków.

Dlatego, gdy tylko samochód doktora zniknął za bramą, pędził z Makuchową na przystanek autobusowy. Znowu siedzieli u Brygidy, pili wino i jedli ciasto, powtarzając tę samą co uprzednio rozmowę, tyle że innych słów używali. Brygida pozwoliła Joachimowi pobawić się chwilę z jej dzieckiem, co go bardzo wzruszyło. „To nie jest dziecko twojego ojca” – oświadczyła. „Jak to, nie jego? – zdumiał się Joachim. – Przecież wszyscy to mówią”. Rozgniewał Brygidę: „W tym rzecz, że wszyscy to mówią. I robią mnie kochanką doktora, a to nie jest prawda.” Gertruda dawała Joachimowi tajemne znaki za plecami Brygidy, więc powstrzymał się od dalszego roztrząsania tej sprawy. Nie znał prawdy, ale czuł, że jaka by ona nie była, tkwiło w niej trochę winy ojca. Chciał zresztą, żeby ojciec był czemuś winien, bo sam miał do niego pretensje, że jest taki ponury i opryskliwy. „On ma do mnie żal, że jestem podobny nie do niego tylko do mojej matki” – żalił się Brygidzie. „To nie jest prawdą, Joachimie – broniła doktora Brygida. – Śmierć odebrała mu twoją matkę. A potem odebrano mu ciebie. Pomyśl, jak musiał być nieszczęśliwy.” Joachim był jednak wciąż przeciw ojcu: „A jego stosunek do kobiet? Myślicie, że jestem ślepy i głuchy? Nigdy nie zainteresowałem się porządną kobietą”. Makuchową obrażały podobne słowa: „Zawsze mu przyprowadzałam porządne kobiety, Joachimie. Tego, co powiedziałeś, nie miałeś prawa mówić. To grzech, zresztą ty będziesz taki sam jak on, już ja to czuję. Taki sam był chorąży Niegłowicz.” Brygida wtedy spytała: „Porządna kobieta? Co to znaczy: porządna kobieta? Ja jestem kobietą z nieślubnym dzieckiem, ale uważam się za porządną kobietę.” Potem rozprawiali o historii doktora i Justyny. Wałkowali tę sprawę, lecz w żaden sposób wyjaśnić jej nie umieli, pozostawała tajemnicą, jak cała osobowość doktora.

„Musiał Ją skrzywdzić i teraz ma wyrzuty sumienia” – twierdził Joachim. Na to Gertruda miała gotową odpowiedź: „Brygidę jeszcze bardziej skrzywdził, a żadnych wyrzutów sumienia u niego nie widać”. Brygida protestowała: „Wcale mnie nie

skrzywdził. Nie mówcie tak o nim. To dobry człowiek”. Gertruda kręciła głową: „Jak będziesz tak o nim myślała, Brygido, to nigdy jego żoną nie zostaniesz”. Brygida powtarzała: „Niczego od niego nie chcę. Mam swoją kobiecą godność”.

W autobusie Gertruda tłumaczyła Joachimowi: „Sam się przekonałeś, że Brygida jest niezwykle dumna. Kocha go, ale tego nie okazuje. Nawet nie chce przyznać, że ma z nim dziecko. A on jeździ do Justyny i przez nią jeszcze w takie samo wariactwo popadnie. Nic go nie interesuje, do nikogo nie chodzi, pół obiadu zjada. Nawet z tobą nie ma ochoty pogawędzić jak kiedyś. Pomyśl, Joachimie, czy to jest w porządku, aby taka kobieta jak Brygida marnowała się przez niego? A już najbardziej żal mi tej małej dziewczyny.” Joachim zgadzał się z Gertrudą: „Ojciec nie jest w porządku, to jasne. Spróbuję z nim porozmawiać.” Przeraził Gertrudę: „Wszystko, tylko nie to, Joachimie! On nie może wiedzieć, że ty czegoś się domyślasz, a broń Boże, że bywasz u Brygidy. Daj mi czas, niech ja coś obmyślę. Przecież musi się znaleźć jakiś sposób, żeby zapomniał o Justynie.” Joachim pytał: „A to na pewno jego dziecko?” Makuchowa nie mogła się nadziwić takiemu pytaniu: „Na własne uszy słyszałam, jak po jej powrocie ze szpitala proponował: dam mu swoje nazwisko, a ona uparła się, że bez ojca dziecko wychowa. Dumna jest. Tak, bardzo dumna.”

Joachim nie potrafił rozgryźć tej sprawy. Ale to przecież nie była jedyna historia w Skiroławkach, która wykraczała poza jego zrozumienie. Ludzie tu żyli inaczej niż w mieście, mieli swoje tajemnice, zawsze znało się jedynie połowę prawdy. Doszły do niego wiadomości, że to dziad jego, chorąży Niegłowicz, wstał z grobu i z własnego pistoletu zastrzelił zbrodniarza Antka Pasemkę, gdyż nie mógł ścierpieć niesprawiedliwości. Potem ktoś mu szepnął, że to uczynił jego ojciec. A kiedy wypytywał o to sołtysa Wątrucha, usłyszał, że Antek sam się zastrzelił w lesie. I komu tu wierzyć? Czyim opowieściom zaufać? Kto znał prawdę i czy w ogóle istniała możliwość jej poznania? Nawet ojciec chyba nie o wszystkim wiedział, a także nie o wszystkim chciał wiedzieć. Tak mu kiedyś doradził: „Nie włącz w krzaki tarniny, bo się podrapiesz. Sprawy ludzkie są bardziej drapieżne i bardziej ze sobą splecione niż tarnina.” Czemu ojciec jeździł do jakiejś tam prostej kobiety wiejskiej, Justyny, którą podobno nawet niewiele znał? Dlaczego, jak twierdziła Gertruda, ona przyszła go zabić z karabinu? W jakich okolicznościach naprawdę zginął jej mąż, Dymitr? Co łączyło ojca z Brygidą? Dlaczego chciał jej dziecku dać swoje nazwisko, a ona tym wzgardziła? Czemu co innego mówiła Makuchowa, a co innego sama Brygida? Dlaczego Kłobuk przynosił szczęście, ale wobec spraw miłosnych bywał bezradny? Czemu Brygida się truła, a ojciec spalił jej list pożegnalny?

Któregoś popołudnia wszedł Joachim do białego pokoju i długo stał przed portretem matki. Kiedyś ten obraz wydawał mu się najładniejszy na świecie, a istota na nim przedstawiona – najpiękniejszą. Teraz, po tylu wizytach w galeriach sztuki, zdał sobie sprawę, że obraz wykonał kiepski malarz, portret jest bez żadnej wartości, matka na fotografii była zupełnie inna. Pokoju chyba nie używano od Wielkanocy, gdy miał tu swój krótki recital dla przyjaciół ojca. W nie wietrżonym pomieszczeniu pachniało stęchlizną, dywan na podłodze był mokry i od spodu zapleśniały, pod parapetem okiennym rozprzestrzenił się szary grzyb. Portret i sprzęty po matce nie wywoływały w Joachimie żadnych żywszych uczuć. Pokój budził smutek, jak coś zaniedbanego, nie zamieszkałego, zapomnianego.

Ojciec siedział w salonie, w fotelu przy stojącej lampie i czytał. Joachim powiedział mu, co myśli o tym pokoju podobnym do ołtarzyka, przed którym nikt się nie modli.

– Co ty? Co ty mówisz, Joachimie? – oburzył się doktor. – Czy nie rozumiesz, że ranisz mnie bardzo boleśnie?

Poszedł jednak z Joachimem do białego pokoju, obejrzał pleśniejący dywan, bezkształtną plamę grzyba pod oknem, zawilgotniałe obicia kanapy i krzesel. – Trzeba tu będzie codziennie palić w piecu – zadecydował.

– To nie pomoże. Ktoś tu powinien mieszkać – ośmielił się stwierdzić Joachim.

– Kto? – ojciec natarł na niego marszcząc brwi.

Joachim wzruszył ramionami i udał się do Makuchowej, do kuchni: Tam było przytulnie, ciepło, przyjemnie pachniało jedzeniem.

Niegłowicz jednak nie zapomniał słów syna. Zapytał go podczas kolacji:

– Powiedz mi: kto? Kogo miałeś na myśli?

– Siebie – odparł natychmiast. – Czy już na zawsze mam się gnieździć na górze, gdy tu stoi pusty pokój? Lubię tamten pokój na piętrze, ale tu jest lepsza akustyka.

– Gertruda napali w piecu i możesz go używać.

– Grać wśród tych białych mebli? Jak w muzeum? – przecząco pokręcił głową.

Doktor opuścił głowę nad talerzem, ale po chwili podniósł twarz i uśmiechnął się do Joachima:

– Urządź go jak chcesz. Meble można przenieść na strych. To przecież wkrótce będzie twój dom.

Joachimowi zrobiło się przykro. Powtórzył tę rozmowę Gertrudzie, ale ta, o dziwo, wcale nie miała do niego pretensji.

– Nie żałuj go – powiedziała. – Znam go od małego. Ktoś nim musi porządnie potrząsnąć, bo gotów poczuć się stary i bezużyteczny. Czy myślisz, że on mnie

potrzebuje? Albo ciebie? Przeszkadzamy mu tylko. Najchętniej siedziałby sam w tym fotelu przy lampie. Coś go odmieniło. Śmierć Pasemki albo choroba Justyny. Dlaczego nie poleciał do ciebie? Nie wiesz. I nikt nigdy nie będzie wiedział. Nosi w sobie coraz większe tajemnice i jest mu z nimi coraz ciężej. Komu ma się zwierzyć? Mnie? Tobie? Do takich rzeczy potrzebna jest kobieta. Choćby i najgłupsza. Im głupsza, tym więcej ciężaru weźmie od mężczyzny.

– Jeśli masz na myśli Brygidę, to ona nie jest głupia – zauważył Joachim.

– E, co ty tam wiesz – mruknęła.

Włożyła brudne naczynia do zlewozmywaka, narzuciła chustę na głowę i zaraz wyniosła się do swego domu. Joachim wziął do ręki książkę, usiadł w fotelu naprzeciw ojca. Czytali nie odzywając się do siebie ani słowem. Joachim znowu pożałował, że przybył na święta do Skiroławek.

Następnego dnia doktor jak zwykle wczesnym rankiem odjechał do pracy w ośrodku zdrowia. Joachim obudził się późno i samotnie jadł śniadanie przy ogromnym stole w salonie. W pewnej chwili doszedł jego uszu głośny jazgot psów na podwórku, a później tubalne głosy w sieni.

– Czy jest doktor? – wydawało mu się, że rozpoznał głos Jonasza Wątrucha. – Potrzebny jest nam pan Niegłowicz.

– Doktora nie ma. Ale jest jego syn, Joachim – powiedziała Gertruda. Nastąpiła chwila ciszy. Potem trzy męskie głosy stwierdziły niemal chórem:

– Nie ma doktora, ale jest jego syn, Joachim.

Do salonu weszli: Kondek, Wątruch i Kryszczak. Byli tak czymś zaabsorbowani, że wpakowali się w ośnieżonych butach, w czapkach na głowach.

– Jest taka sprawa, Joachimie – oświadczył Kondek – trzeba wziąć strzelbę i pójść do kowala Malawki. Zabarykadował się w swoim domu i grozi siekierą każdemu, kto chce do niego wejść.

– Słoiak ze złotem znalazł pod schodami dawnej szkoły – tłumaczył Erwin Kryszczak. – Chwycił słoiak i schował się w domu. A złoto jest wspólne, skoro pod schodami dawnej szkoły leżało.

– Konia przyszedłem do niego podkuć – opowiadał Kondek. – Przednie kopyta, żeby się nie ślizgał po lodzie. U Zygryfda Malawki w kuźni piżmaki od jeziora kanał podziemny wykopały. Malawka wpadł w dół piżmaków, zeźlił się, poszedł na drugą stronę drogi do tego miejsca, gdzie kamienne schody pozostały po dawnej szkole. Jeden kamień odwalił i do dołu piżmaków wrzucił. Drugi kamień odwalił i pod kamieniem słoiak ze złotem znalazł. Chwycił go i umknął do domu. Teraz grozi śmiercią, jeśli ktoś

do niego wejdzie. A złoto jest nasze. Wspólne.

– Złoto trzeba oddać państwu – oświadczył sołtys Wątruch. – Ludzie gotowi złotego cielca sobie zrobić i kłaniać mu się jak kiedyś. Grzech z tego może być wielki.

– Co tam grzech – Kryszczak niegrzecznie popchnął sołtysa. – Złoto każdemu się przyda. Choćby każdy miał dostać po malutkim kawałeczku. Trzeba wziąć strzelbę, Joachimie, pójść do Malawki i złoto mu odebrać.

Joachima ogarnęła wesołość.

– Tylu was jest, a on jeden.

– Z siekierą stoi za drzwiami. Kto wejdzie, temu głowę odrąbie – tłumaczył Kondek i aż trząsał się z chciwości na myśl o złocie. – Strzelby trzeba! Z gołymi rękami strach podejść do Malawki.

– Strzelbę ma pan Turlej, Porwasz, pan Lubiński – wyliczał Joachim, który nie chciał się przyznać, że nigdy w życiu strzelby ojca w rękę nie trzymał.

Jonasz Wątruch zdjął z głowy czapkę futrzaną i lekceważąco machnął nią w powietrzu.

– To nie na głowy tamtych ludzi. Nie odważą się pójść do Malawki nawet ze strzelbą. Doktora nam potrzeba. Niegłowicza.

– Ojca nie ma w domu – przypomniał Joachim.

– To nic – rzekł Kryszczak. – Nie ma doktora, ale ty jesteś, jego syn, Joachim.

Sołtys Jonasz Wątruch dodał:

– Takie sprawy w wiosce zawsze załatwiał Niegłowicz. Tak było i tak będzie.

I raptem z Joachimem stało się coś dziwnego. Poczuł w sobie jakąś ogromną siłę i odwagę. Skąd się w nim wzięła – nie wiedział. Czy z pamięci o historiach chorążego Niegłowicza? Czy z opowieści o ojcu, który mając kilkanaście lat ze starego manlichera zabił brodacza, dowódcę bandy rabusiów? Ale może ta siła szła od tych trzeci mężczyzn, płynęła z ich wiary w jego moc olbrzyma?

Podniósł się Joachim od stołu. Otarł usta, w sieni narzucił na siebie palto i na głowę włożył kapelusz. Tak ubrany wyszedł na ganek, a za nim chłopci.

– A strzelba, Joachimie? – zwrócił mu uwagę Kryszczak.

– Mnie strzelba niepotrzebna – powiedział, bo nie chciał się przyznać, że nigdy jej w rękę nie trzymał.

Makuchowa zabiegła mu drogę.

– Nie pozwolę ci, Joachimie...

Odsunął ją z drogi i poszedł, a tamci za nim truchcikiem biegli, gdyż Joachim był wysoki i krok miał długi. Makuchowa podreptała do domu, dopadła telefonu ukazała

się połączyć z ośrodkiem zdrowia w Trumiejkach.

A tamci szli ośnieżoną drogą koło leśniczówki Blesy, a potem przez całą wieś. Joachim pierwszy, z twarzą bledszą niż zwykle, a reszta za nim. Joachim milczał, strach i odwaga miały nim na przemian, droga przez wieś wydawała mu się niezwykle długa. Tamci zaś gadali między sobą.

– Tylko dotknąć, chciałbym tylko dotknąć tego złota – mówił Kondek. – Poglaskać taki malutki kawałeczek złota. Popatrzeć na jego blask. Żeby aż oślepił.

– I zabrać po kawałku – upierał się Kryszzak. – Bo złoto było pod schodami dawnej szkoły. To znaczy, że jest wspólne.

– Państwowe ono jest – twierdził sołtys. – Od złota rozum wam się pomieszac może, krew się zacznie lać.

Szli i szli, ślizgali się po zlodowaciałym śniegu. Joachim myślał o Zygfrydzie Malawce, który miał w domu słoik ze złotem i stał za drzwiami z siekierą w dłoni. Kowala nie znał, nigdy z nim nie rozmawiał, bo Malawka z nikim nie rozmawiał. Ale wiele razy go widywał, kilkakrotnie zaglądał do jego kuźni i patrzył, jak uderzeniami młota rozgrzaną do czerwoności sztabkę żelaza wygina jak kawałeczek plasteliny, robi z nią co zechce – liście do żelaznego wieńca na krzyż cmentarny, zawias do drzwi, szczypce do węgla. Jak wszyscy we wsi lubił Joachim słuchać dzwonienia młota dochodzącego z kuźni. Kowal był silnym mężczyzną. Jednym zamachem siekiery mógłby zdjąć głowę z karku. A stał, jak mówiono, za drzwiami i bronił złota. Jego ojca, doktora, może by się uląkł, szczególnie gdyby ojciec miał broń w ręku. Ojciec był podobny do dziadka chorążego, którego wszyscy we wsi słuchali i czuli przed nim respekt, bo nosił pas z pistoletem wojskowym. Ale Joachim? Kim był Joachim? Młodzieńcem, który grał na skrzypkach; widywano go jedynie ze smyczkiem, a nigdy ze strzelbą. Ojciec był straszny nawet i bez strzelby – ratował życie chorym, towarzyszył ludziom przy śmierci. Joachim nikomu nic nie zrobił złego i dobrego, był nikim, tylko synem doktora Niegłowicza. To się wydawało dużo dla Kondka, Wątrucha i Kryszzaka, lecz czy tak samo wiele znaczyć będzie dla Malawki?

Przed domem kowala aż czarno było od zgromadzonego tam tłumu. Przed drzwiami tłoczyli się mężczyźni i kobiety z dziećmi na rękach. Starsze dzieci płakały, trzymając się matczynych spódnic. Nad tłumem górowała wielka i czarna jak osmolony sagan głowa cieśli Sewruka w skórzanej pilotce. Ludzie tłoczyli się, ale przy samym wejściu było luźno – nikt nie śmiał dotknąć starej klamki w drzwiach powykrzywianych od deszczów i słońca. Za tymi drzwiami krył się kowal z siekierą w dłoni, a w jego izbie za oknem zasłoniętym firanką, zapewne na środku stołu znajdował się słoik ze złotem.

Dopiero w tej chwili poczuł Joachim co to znaczy strach, ponieważ ujrzał strach w oczach innych ludzi. Strach i ciekawość. Ale strach był chyba większy – to on ustalał dystans między dłońmi i klamką, paraliżował siłę tyłu mężczyzn równie mocnych jak kowal.

Rozstąpili się ludzie na widok Joachima. A on spojrzał w niebo, które było sine i puste. Potem podszedł do drzwi uderzył w nie pięścią.

Nastała chwila zupełnej ciszy, aż z drugiej strony, zza drzwi usłyszeli głos Malawki:

– Siekierą głowę odrąbię...

– To ja, Joachim, syn doktora, Niegłowicz. Joachim Niegłowicz. Wpuść mnie do siebie, kowalu – piskliwym głosem przemówił młodzieniec.

Znowu trwała straszna cisza, potem leciuteńko drgnęła klamka, drzwi się uchyliły, ukazując czarną czeluść. Joachim zniknął w tej czeluści, drzwi znowu się zamknęły, klamka zapadła.

– Jezus, Maria, Józef – przeżegnała się głośno Lucyna Jarosz.

Wyteżyli słuch, czy nie dojdzie do ich uszu przedśmiertny krzyk Joachima, łoskot upadającego ciała. Zamiast tego wstrząsnął nimi pisk hamulców, wóz doktora niemal obrócił się w miejscu przed domem Malawki, koła osypały ludzi zlodowaciałym śniegiem.

Doktor wyskoczył z samochodu, roztrącił tłum ludzki, dopadł drzwi, chwycił za klamkę. Drzwi ustąpiły bez oporu i, podobnie jak Joachim, doktor zniknął w ciemnej czeluści sieni. To nic, że doktor przyjechał tu prosto z Trumiejek i nie miał przy sobie strzelby. Jeśli Joachimowi stała się krzywda, nie będzie kowala wśród żywych – tak ludzie myśleli, a Jonasz Wątruch głośno powiedział:

– Przez złoto zawsze krew się leje...

W czarnej od brudu izbie paliła się goła żarówka, gdyż okno zasłonięto jakąś szmatą. Przy kulawym stole zobaczył doktor siedzących na dwóch zydlach Joachima i Malawkę, który raz po raz sięgał do słoika i wyciągał z niego jakieś poźółkłe fotografie. Na czarnej od sadzy twarzy kowala łyzy zrobiły jasne ścieżki od oczu ku brodzie.

– Na tym zdjęciu, panie Joachimie, widać dom moich rodziców. O tam, za tymi pelargoniami w oknie siedzi moja matka. Nie ma już tego domu, panie Joachimie... To zaś jest restauracja mojego wuja. Teraz tam rośnie bukowy las... To szkoła, panie Joachimie... W tym oknie na prawo widać głowę mojego starszego brata, a w tamtym głowę mojej siostry, bo ona była w niższej klasie. Mnie jeszcze wtedy chyba nie było na świecie...

Doktor Niegłowicz wziął w swoje dłonie stare fotografie i popatrzył na twarze ludzi,

którzy już dawno tutaj lub gdzie indziej pomarli. Ale ze zdjęć wciąż się uśmiechali. I były na tych zdjęciach domy, po których śladu nie zostało, i inne, gdzie teraz mieszkali zupełnie nowi ludzie. Jedynie jezioro wyglądało tak samo jak teraz.

Zygryfd Malawka rozmarywał łyzy na policzkach i mówił. Wciąż mówił do Joachima, a potem do doktora. Prawie trzydzieści lat milczał, a teraz jakby się w nim jakieś drzwi otwały dla słów i wspomnień; tego potoku słów nie potrafił opanować. I mówił, mówił, mówił...

W słoiku znalazł doktor kartki na chleb z okresu wojny już niemal zapomnianej, bo ta druga, co po niej przyszła, okazała się po stokroć gorsza. I była też kartka napisana przez leśniczego Ruperta z Blesów, że słoik ów, kartki na chleb i fotografie, zostają zamurowane pod schodami szkoły na pamiątkę faktu, że tę szkołę wybudowano wspólnymi siłami całej wioski w czasach zawieruchy wojenne;. „Na wieczną rzeczy pamiątkę” – zaznaczył na końcu leśniczy Rupert, który miał ładny charakter pisma, każda gotycka litera odznaczała się niezwyklej elegancją.

Doktor domyślił się, że kowal Malawka wstydzi się swych łoż i swego wzruszenia. Tedy słoik z fotografiami i kartkami na chleb wyniósł na dwór i zebrany przed domem ludziom pokazał. Odczytał im też pismo leśniczego Ruperta.

– A mówiłeś, że tam było złoto – oburzali się ludzie na Kondka, który o odnalezionym przez Zygryfda Malawkę słoiku pierwszy wieść rozniósł po wiosce.

Kondek przykuilił się i umknął do domu. To samo uczynił Erwin Kryszzak. Tylko sołtys Jonasz Wątruch czoła wstydowni stawil i tak rzekł:

– Takie kartki na chleb to były jeszcze droższe od złota. Nie naje się człowiek złotem, a chlebem brzuch napełni i życie uratuje. Czy nie zabił to stary Szulc człowieka w lesie dla zwykłej kromki chleba?

Wieczorem Joachim nieoczekiwanie poprosił ojca, aby mu pokazał swoją broń i nauczył się z nią obchodzić. Doktor nie zapytał skąd się w nim wzięła ta ochota, wyjął z szafy strzelbę, położył ją na stole.

– Należała podobno do księcia Reussa – wyjaśnił.

– Jest to dubeltówka kurkowa, model włoski Castore z zamkiem bocznym Hollanda. Dobra. Celna. Niezawodna. Rzadko chodzę na polowania, ale lubię mieć broń w domu, sam nie wiem dlaczego...

Joachim ostrożnie jak smyczka dotknął oksydowanej lufy, a potem stwierdził, że palce pachną oliwą. Nigdy nie przypuszczał, że delikatna oliwa do konserwacji broni ma taki przyjemny, przenikliwy zapach i że on mu się może podobać. Zresztą strzelba posiadała przepiękny kształt. Jak dobre skrzypce. I była nadzwyczaj lekka. Także jak

dobre skrzypce.

Makuchowa nieco dłużej pozostała tego wieczoru w domu doktora. Zmieniając Joachimowi powleczenie pościeli w jego pokoju na piętrze, tak mu całą sprawę wyłożyła:

– Bałam się o ciebie, Joachimie, bo kowal Malawka to straszny człowiek. Dlatego zatelefonowałam do twego ojca w Trumiejkach. Ale nad tobą czuwał Kłobuk. To on zamienił złoto na stare fotografie i kartki na chleb. Uczynił to dla twojego dobra i dobra innych ludzi.

O TYM, ŻE NIE NALEŻY SĄDZIĆ KOBIETY, KTÓREJ MIŁOŚĆ ZWYCIĘŻYŁA

Rankiem kuchnia w domu doktora wypełniona była chłodem; nie paliło się pod płytą kuchenną, nie krzątała się w niej Makuchowa, przyrządzająca jak co dzień śniadanie. Doktor Niegłowicz pośpiesznie wypił tylko szklanekę gorącej herbaty, zaparzonej na elektrycznej maszynie i przed wyjazdem do Trumiejek odwiedził dom Makuchów. Gertruda znajdowała się w swojej kuchence, piekła świąteczne ciasto. Jej mąż, Tomasz, siedział przy oknie i smutnie wyglądał na drogę.

– Myślałam, że zachorowałaś – stwierdził doktor.

Gertruda wzruszyła ramionami.

– Takie kobiety jak ja nie chorują. Ale sił im może zabraknąć. Za trzy dni Wigilia. Dom trzeba posprzątać, podłogi wypastować i wyfroterować, jedzenie odpowiednio przygotować, bo w pierwsze albo w drugie święto zapewne ktoś zajrzy... To już nie na moje siły. Mam swój dom oraz męża, muszę i o niego zadbać.

– Jeśli ci ciężko, najmij kobietę z wioski, żeby ci pomogła. Przecież chyba nie zostawisz mnie i Joachima na łaskę losu. Czy ci kiedyś złe słowo powiedziałem, Gertrudo? Czy kasetkę z pieniędzmi przed tobą zamykałem?

– A właśnie. Stała otworem. Nigdy się nie zainteresowałeś, na co wydaję twoje pieniądze. Ani mnie nie pochwaliłeś za oszczędność, ani też nie przyganiłeś za rozrzutność. Za stara jestem i za słaba, żeby dwa domy mieć na głowie. Najmij kobietę z wioski.

– Co? Jakiegoś brudasa, niechlujka albo co gorsza złodziejkę do domu sprowadzę?

Toż u nas wszystko stoi otworem, nawet kasetka z pieniędzmi. Niedoczekanie twoje, Janku, żebyś miała coś takiego uczynić.

– To co mam zrobić? – zapytał zniecierpliwiony, patrząc na zegarek. – Nie udawaj, że nie wiesz, do czego zmierzam. Jest tylko jedna kobieta, do której mam zaufanie i która mogłaby pomóc. Zaproś do nas na święta pannę Brygidę. Zaproś ją razem z dzieckiem.

– Nie przyjmie zaproszenia – oświadczył. – Jest zbyt dumna. Zresztą nie chcę mieć wobec niej żadnych zobowiązań. Czy pamiętasz, jak mnie nazwała? Powiedziała, że jestem knurem. Myślę również, że i tobie byłoby przykro, gdyby po moim domu krzątała się w święta, taka osoba jak Brygida. To kobieta bardzo dumna, przypominam ci to. Nie zechce wejść tylnymi drzwiami, ale od frontu.

– Ech, Janku, Janku – uśmiechnęła się z pobłażliwą wyrozumiałością. – Bywam u niej często. Niewiele już zostało w niej dumy. Czeka ją drugie w jej życiu samotne święta, ponieważ swoim rodzicom nie powiedziała, że ma nieślubne dziecko. To jacyś zamożni gospodarze. Wykształcili ją, brat spłacił jej udział w gospodarstwie pięknym samochodem. Na szczęście dla Brygidy mieszkają daleko i może się nawałem zajęć wymówić od przyjazdu do nich na Boże Narodzenie.

– Nie zaproszę jej – rzekł zdecydowanie. – Nazwała mnie knurem.

To mówiąc opuścił dom Gertrudy i odjechał, wiedząc, że Makuchowa uczyni w tej sprawie po swojemu. Gdy wrócił nieco później niż zazwyczaj, na zaśnieżonym podwórzu stał wspaniały samochód Brygidy, a ona i Joachim rozkładali na śniegu wielki dywan z salonu. Makuchowa zalecała czyszczenie dywanów na śniegu.

Sucho powiedział Brygidzie „dzień dobry” i w kurtce i czapce z borsuka zamknął się w swoim gabinecie: lekarskim, który już uprzednio rozkazał wyłączyć ze świętecznego sprzątnia.

Po chwili do gabinetu weszła Brygida.

– Dziękuję za zaproszenie mnie z dzieckiem na święta do pańskiego domu, doktorze – powiedziała, rumieniąc się odrobinę. – Przykro mi, że zabrakło panu odwagi, aby przekazać to zaproszenie osobiście, choć był pan w Trumiejkach o kilka kroków od mojego mieszkania. Mimo to przyjąłem zaproszenie, gdyż lubię Gertrudę i pańskiego syna, Joachima. Przyznaję, że czekały mnie smutne, samotne święta.

Doktor zacisnął usta. Odnalazł spojrzeniem oczy Brygidy, ale nie odkrył w nich wyrazu pokory. Gertruda okłamała go: Brygida nie straciła nic ze swej dawnej dumy.

– Moje zaproszenie mogło zabrzmieć dwuznacznie, dlatego wolałem, aby przekazała ci je Gertruda – wyjaśnił spokojnie, choć wzbierał w nim gniew. – Wiem, że jestem dla

ciebie tylko knurem. Masz o mnie jak najgorszą opinię. Byłem pewien, że odrzuciłabyś moje zaproszenie, gdybym ci je złożył osobiście.

– Naprawdę chciał pan, żebym tutaj spędziła z dzieckiem święta? – zapytała z najwyższym trudem wypowiadając każde słowo, jak gdyby coś ścisnęło jej nagle gardło. Jej wielkie oczy zaszyły rosą, z której zaraz miały powstać łzy. Pomyślał, że Gertruda miała jednak rację: niewiele dumy zostało w tej kobiecie. Może tylko trochę, troszeczkę...

– Tak. Chciałem tego – potwierdził to zdanie skinieniem głowy.

– Nie myślę o panu źle, doktorze. Jest pan bardzo dobrym człowiekiem – próbowała mu wytłumaczyć.

Ale on przerwał jej stanowczo:

– Ach, to już teraz nie ma żadnego znaczenia! Lepiej weźmy się za swoje zajęcia.

Zrozumiała, że nie chce dłużej rozmawiać o sobie i o niej. Opuściła gabinet, a on wyszedł tuż za nią i skierował się do kuchni, gdzie zastał Gertrudę, która siedziała na stołku i w glinianej misce rozcierała żółtka z cukrem. Prawą stopą kołysała śpiące w wózku dziecko Brygidy.

Był głodny, ale nie dostrzegł jednak na kuchni nawet śladu obiadu. Poirytowany wyjął z kieszeni paczkę papierosów, ale powstrzymał go karcący głos Gertrudy:

– Chyba nie będziesz palił przy takim małym dziecku. Już lepiej idź do siebie. Joachim przyniesie ci jedzenie. Nie miałyśmy dziś czasu na przyrządzenie obiadu. Bez słowa opuścił kuchnię, w gabinecie lekarskim usiadł za swoim białym biurkiem. Po chwili wszedł Joachim z tacą pełną kanapek i dzbankiem z herbatą.

– Bywałeś i ty u Brygidy, prawda? – zapytał go niby to obojętnie, lecz przecież słowa zabrzmiały ironicznie.

– Tak – odparł tamten wyzywająco. – Czy to coś złego?

– Nie. Radzę ci jednak, abyś był ostrożny wobec kobiet łagodnych i posłusznych, powolnych mężczyźnie. Ich chęć nieustannego poświęcania się dla mężczyzny narzuca nam słodkie pęta niewoli.

– Czy mówisz o Brygidzie? – zapytał.

Doktor zrobił zdumioną minę:

– Ależ nie, Joachimie. Miałem na myśli Gertrudę.

– Wybacz, ale po raz pierwszy w życiu ci nie wierzę. Mówiłeś o Brygidzie, choć być może także i o Gertrudzie. Co do mnie, na nic się nie zdadzą twoje ostrzeżenia. Ja też będę chyba kiedyś żył wśród takich kobiet.

Co mu pozostało, niż zająć się wyłącznie jedzeniem? Joachim wyszedł, doktor zjadł

bez smaku cztery kanapki i wypił szklanke herbaty. Posiedział przy biurku jakiś czas, na próżno usiłując skupić myśli na osobie Justyny, która tak niedawno przecież siedziała tu, w tym samym gabinecie. Nagle wstał od biurka, narzucił na siebie futrzaną kurtkę, włożył czapkę z borsuka i zatrzymał się w drzwiach salonu. Brygida pastowała tam podłogę. Robiła to na klęczkach, wypinając ku niemu swój zad dwuletniej klaczy. Cała podłoga pokryta była cienką warstwą pasty, a on chciał się dostać do kredensu. Stał więc w drzwiach i czekał, aż go Brygida zauważy, ale nie dawał jej żadnego znaku swej obecności, tylko z przyjemnością obserwował ruchy jej bioder i ramion. Dostrzegła go nagle, wyprostowała się, poczerwieniała, świadoma, że od długiego czasu bezkarnie taksował ją wzrokiem, jak klacz na jarmarku. Chciała mu coś ostro powiedzieć, ukarać za tę bezczelność, on jednak zrobił niewinną minę i poprosił grzecznie:

– Podaj mi Brygido, butelkę wiśniaku. Jest w kredensie po lewej stronie, na drugiej półce od dołu. Nie chcę się ślizgać po paście.

W milczeniu na kawałku flaneli zbliżyła się do kredensu, znalazła butelkę.

– Postanowiłem odwiedzić przyjaciół i napić się z nimi – wyjaśnił, chowając butelkę do kieszeni kurtki.

Gdy odszedł, zanim znowu wzięła się do roboty pomyślała, że dzieje się w niej coś dziwnego. Była oburzona, że ją podpatrywał, a teraz żałowała, że go już nie ma w drzwiach i na nią nie patrzy. „Gertruda chyba ma rację – zastanawiała się. Jestem głupia. Po prostu głupia. Kocham go i chcę, aby mnie obrażał, patrzył na mnie i mnie dotykał, a jednocześnie coś się we mnie sprzeciwia już na samą myśl, że może to robić. Czegóż więc pragnę tak naprawdę? Dlaczego wmawiam w siebie, że każde jego słowo i każde spojrzenie ma tylko jedno na celu: aby mnie upokorzyć i poniżyć. Jak wiele innych uwierzyłam głupia, że on musi kobietę najpierw upokorzyć, zanim w nią wejdzie i postanowiłam, ja jedna, przeciwstawić się temu. Po co? Jeśli go kocham, a jemu to jest potrzebne do miłości, to niech mnie upokarza codziennie, co chwila. Nic nie odbierze mi poczucia dumy, że żyję z ukochanym mężczyzną. Nikt nie sądzi kobiety, której miłość zwyciężyła...”

**O TYM,
ŻE KAŻDY OTRZYMA TO, CZEGO CHCE,**

JEŚLI SIĘ BĘDZIE O TO BARDZO STARAŁ

Był już zimowy zmierzch. W leśniczówce Blesy Turlej siedział w ciepłej kuchni – w samych kalesonach i podkoszulku. Jego spodnie i kurtka suszyły się nad kuchnią, przy której krzątała się Widłągowa w trochę przykrótkiej spódnicy, odsłaniającej jej grube gołe uda. Dorodna była z niej kobieta – Turlej patrzył na nią z przyjemnością, bawiąc się kartonikiem z kolorową wycinanką.

– Wybieram się na nocne polowanie na dziki. Pójdzie pan ze mną, doktorze? Umówiłem się w lesie z proboszczem Mizererą i komendantem Korejwą.

– Nie. Mam ochotę wypić – oświadczył doktor stawiając na stół butelkę. – Jednego się napiję. Ale nie więcej. Nie chcę pudłować – przystał Turlej.

Widłągowa postawiła na stole trzy kieliszki. Doktor rozlał wiśniak, roniąc na stół kilka czerwonych kropeł. Był zafascynowany zrzęczością z jaką Widłągowa wciskała sobie w stanik to lewą, to prawą pierś.

– Dostał pan zaproszenie od Halinki? – zapytał Turlej, pokazując kartonik z kolorową wycinanką. – Zaprasza mnie na Sylwestra do domu Porwasza. To miłe z jej strony, prawda? Wycinankę zrobił mój synek, a ona ją nakleiła na kartonik z zaproszeniem. Czy pan potrafi sobie to wyobrazić, doktorze, że chociaż mieszka z Porwaszem, myśli jednak o mnie i pozostaje mi wierna? Porwasz jest do mnie podobny. Kubek w kubek jak ja. Dlatego nie mam do niego żalu i pójdę do nich na Sylwestra. A potem, doktorze, przywiozę dużo drewna, porąbię je i ułożę z polan tak wielki stos, że będzie widoczny z okien domu Porwasza. Żona to zobaczy i do mnie wróci, bo gdzie jej będzie lepiej niż u mnie, prawda pani Widłągowa?

– A pewnie – przytaknęła, wciskając w stanik lewą pierś. – Będzie pan miał dużo owiec. Wełna jest teraz w dobrej cenie.

– Nie dostałem zaproszenia na Sylwestra – zmartwił się doktor.

– To nic. Może Porwasz dostarczy je panu osobiście, a nie pocztą – pocieszył go Turlej.

Wypili. Doktor zakorkował butelkę, wsadził ją do kieszeni i przez nocny mrok powędrował do Lubińskiego. Czuł potrzebę, aby zwierzyć się komuś ze swej sytuacji.

Pisarza w domu nie było. Turlej zapomniał go wymienić wśród tych, którzy zamierzali polować na dziki. Właśnie przed chwilą poszedł do lasu, gdzie pod starym dębem umówił się z Mizererą i Korejwą. Pani Basieńka przyjęła doktora z kwaśną miną. Była w gospodarskim fartuchu i zaprosiła gościa do kuchni. Musiała doglądać

kaczki w piekarniku.

– Zajrzałam do pana w południe, żeby od Makuchowej pożyczyć żeliwną brytfannę na kaczkę – opowiadała. – A u pana rządzi Brygida. Co to za pomysł, doktorze? Czy to już nie ma u nas porządných kobiet?

– Gertruda zaprosiła ją do nas na święta. Dziewczyna jest samotna, żal jej Gertrudzie.

– I pan dał się na to nabrać. Takie jak Brygida nigdy nie bywają samotne. Może na dzień lub dwa, nie dłużej. Gertruda chce ją panu wpakować do łóżka.

– Piękna kobieta, dobry kąsek. – stwierdził, gdyż raptem poczuł ochotę, żeby poirytować Basieńkę.

– Rozumiem – przytaknęła chłodno. – Ale to nie będzie kąsek na jeden ząb. Od dawna ją obserwuję. Ona chętnie wejdzie do pańskiego łóżka, ale nie wyjdzie bez krzyków i płaczu.

– Przesada – doktor wyjął z kieszeni butelkę z wiśniakiem.

– Ostrzegam, doktorze! Widziałam, jak ona się zachowuje w pańskim domu. Rozumiem, żeby zjawiła się u pana po cichu, drzwiami od tarasu. Ale ona postawiła swój samochód na środku podwórza, wzięła się za sprzątanie, pastowanie podłóg, trzepanie dywanów. Wyszła do mnie na ganek i pyta: „Słucham panią”. Mówię: „Mam sprawę do Gertrudy. Brytfannę chcę pożyczyć.” A ta woła w stronę kuchni: „Gertrudo, trzeba pożyczyć brytfannę pani Lubińskiej!” I Gertruda wyniosła mi brytfannę. Coś takiego, doktorze! Trzeba było widzieć dumną minę Brygidy, słyszeć jej wyniosły ton. I nawet Gertruda jakoś inaczej mi tę brytfannę podała, jakby z łaski. Biedy Joachim...

– Co takiego? – zaniepokoił się doktor.

– Przecież pan ma dziecko, synka, półsierotę. Brygida posiada swoje dziecko. Czym kosztem będzie je wychowywać i dla kogo dawać to co najlepsze? Dla swego dziecka, czy dla Joachima?

– Joachim jest już mężczyzną.

– Tym bardziej doktorze. Dorosły syn i młoda macocha. Czy pan wie, na co się pan naraża?

– Joachim przyjeżdża rzadko i tylko na ferie, jeśli już o to chodzi. Od wielu lat żyję sam. Zupełnie sam. Bez odrobiny czyjegóż ciepła.

– Gertruda wystarczająco się panem opiekuje. A tak naprawdę sam to pan dość rzadko bywał. Szczególnie nocą.

– A za dnia?

– Miał pan oddanych przyjaciół. Nepomucena, mnie, Porwasza i innych. Nie brakowało panu towarzystwa. To śmieszne brać sobie na stare lata młodą kobietę z

dzieckiem. Jakby mało było w okolicy młodych, powabnych i porządných dziewcząt.

– Sama pani powiedziała, że jestem stary...

– Tak. Za stary jest pan, żeby brać sobie na stałe młodą i piękną kobietę. Co innego od czasu do czasu. Ciekawam, czy Halinka i Porwasz zaproszą na Sylwestra także i Brygidę.

– A gdyby tak, to co?

– Nie jestem pruderyjna, nieślubne dziecko to nic kompromitującego. Ale nawet nie wiadomo, z kim ona je miała.

– Być może ze mną – rzekł.

Zabrał butelkę wiśniaku ze stołu, wcisnął ją do kieszeni i pożegnał panią Basieńkę bez odrobiny serdeczności.

Na dworze rozpanoszył się wiatr. Silne podmuchy podrywały z ziemi zlodowaciałe drobiny śniegu i chłostały nimi po twarzy. Doktorowi ciążyła w kieszeni butelka wiśniaku. Przy furtce w ogrodzeniu domu Porwasza zatrzymał się, a widząc światła na piętrze, już śmiało podszedł do drzwi.

Pani Halinka postarała się o drewno. Grzał piec w pokoju od strony drogi, gdzie sypiał synek Turleja, buchał ciepłem piec w dużej pracowni malarza, a nawet płonęły szczapy brzożowe na kominku w pracowni. Porwasz rysował zwierzątka w zeszytach z kolorowymi papierkami, chłopiec zwierzątka wycinał nożyczkami, a pani Halinka przyklejała je do kartoników i flamastrem wypisywała zaproszenia na Sylwestra w ich domu.

Pan, doktorze, dostanie odyńca – rozzwonił się jej śmiech. – A dla Joachima zaproszenie będzie z wiewiórką.

– Z brązową, czy rudą? – zapytał chłopiec.

– Z rudą. I z małym orzeszkiem w łapkach.

Doktor postawił na stole butelkę z wiśniakiem. Powiedział niepewnie:

– Prawdopodobnie na święta i na Nowy Rok będzie u mnie panna Brygida...

To ją też zaprosimy, prawda, Bogumił? Dla niej wytnij małą sarenkę. Raczej kłacz dwuletnią. Długonogą, z dużym zadem i wydatnym przodem sarkastycznie oświadczył doktor.

– No, wie pan – Halinka udała oburzenie. – Zaprosił ją pan do siebie, a teraz w ten sposób o niej pan mówi?

– To był pomysł Gertrudy. Czy znajdują się w tym domu jakieś kieliszki? Do diabła, od dwóch godzin mam ochotę się napić i nie znajduję chętnego! Halinka przyniosła z kuchni tacę z kieliszkami oraz talerz ciastek.

– Niech się pan nie wykręca, doktorze. Każdy wie, że Gertruda nie zrobi niczego bez pana zgody – stwierdziła Halinka, nalewając wiśniak do dwóch kieliszków: dla doktora i Porwasza. Ona sama nigdy nie piła.

– Z Brygidą będzie pan miał dobrze – oświadczył malarz. – Jest ładna i z dzieckiem. Wprawdzie dziecko nie jest jeszcze odhodowane jak nasze – pogłaskał po głowie chłopca. – Ale co gotowe, to gotowe! Trzeba bowiem panu wiedzieć, doktorze, że nawet maleńka jaskółka już dupę z gniazda wystawia, a człowiek wciąż robi pod siebie. Wiem o tym dobrze, gdyż z Halinką hodowaliśmy małą jaskółkę.

– Brygida posiada dobry zawód, świetnie zarabia. Nie wiem, jaka z niej gospodyni, ale i tak domem zajmie się Makuchowa – rozważała sprawę Halinka.

– A jaki ma wóz – zachwycił się Porwasz. – Takim jechać do Paryża, to byłaby frajda! Baron Abendteuer przysłał mi trochę grosza i poprosił o kilka obrazów. Gdybym miał samochód Brygidy, a nie swego grata, zaraz po Nowym Roku wybrałbym się z Halinką do Paryża.

– A ja myślałem, że baron Abendteuer nie istnieje – mruknął doktor.

– Co takiego? – obraził się Porwasz. – Przyniosę książkę telefoniczną miasta Paryża. Pokażę panu jego nazwisko i adres, a także numer telefonu.

– Nie musisz, Bogumił, niczego udowadniać – oburzyła się pani Halinka. – Nie sądzę, aby doktor chciał cię obrazić. Nie musisz się tak wstydzić, że twoja znajoma handlarka obrazami przysłała ci piętnaście tysięcy, zamawiając dwa płótna. Skończyłeś także obraz świętego Augustyna. Proboszcz Mizerera chwalił go. Jeśli zdobędziesz się na to, aby w niedzielę pojechać ze mną na nabożeństwo, szybko ci za niego zapłaci rada kościelna.

– Nie pojedę – uparł się Porwasz. – Aldonie odeślę pieniądze. Piętnaście tysięcy za dwa obrazy? To żart w obecnych czasach. Żebym zdobył taki samochód jak ma panna Brygida...

– Przestań – zgromiła go Halinka. – Urządźmy pięknego Sylwestra, doktorze. Zaprosimy Brygidę, pana, Joachima, Turleja, panią Basieńkę i Nepomucena. Potańczymy przy magnetofonie, a potem, jak co roku, usadowimy się w pana samochodzie i hajda przez wioskę. Hej, hej...

– Hej! Hej! – odkrzyknął jej doktor.

Opróżnili butelkę do połowy. Halinka poszła spać a oni, Porwasz i doktor, wypili resztę wiśniaku.

– Hej! Hej! – Porwasz swoim kieliszkiem trącał kieliszek doktora.

– Hej! Hej! – radował się doktor, żegnając malarza.

Na dworze po kilku krokach zupełnie wytrzeźwiał. Wiał silny wiatr, sypał gęsty śnieg, na szosie tworzyły się coraz wyższe zaspasy. Ciemność stała się tak gęsta, że doktor choć drogę znał na pamięć, kilka razy wpadł na drzewo przydrożne i o mało nie stłukł sobie okularów na nosie.

Na podwórku nie było samochodu Brygidy. Cały osypany śniegiem wszedł do kuchni, bo tam paliło się światło. Gertruda wyciągała z piekarnika blachy z ciastem, w wózek spalo dziecko Brygidy. Joachim znajdował się już chyba w swoim pokoju na górze.

– Zdejm futerko i czapkę. Zimnem na dziecko dmuchasz – zwróciła mu uwagę Makuchowa.

Posłusznie zastosował się do tego polecenia. Powiesił okrycie w sieni i wrócił do ciepłej kuchni.

– Gdzie jest Brygida? – zapytał.

– Pojechała do Trumiejek. Musi z domu zabrać jeszcze kilka rzeczy dla siebie i dla dziecka. Od jutra otrzymuje kilka dni urlopu z lecznicy.

– Czy wiesz, co się dzieje na dworze? Straszna zadymka. Ona utknie gdzieś w drodze i zamarźnie.

– Wyjechała jeszcze przed śnieżycą. Miała przemocować u siebie w domu. A ty, co? Piłeś? Z kim?

– Z każdym po trochu. Jutro mam wolny dzień i nie muszę być trzeźwy – ziewnął.

Chciała mu podać kolację, ale nie czuł głodu. Zaraz poszedł do swojej sypialni i rozebrał się. Stwierdził, że ma świeżą pościel. Powlekała ją chyba Brygida, bo poduszka pachniała jej perfumami. Leżąc w łóżku miał przez chwilę wrażenie, że ona leży obok niego. Zapewne dotykała tej poduszki uperfumowanymi dłońmi, a może przytuliła do niej twarz. Tak pomyślał i zaraz zasnął.

Obudził go ostry sygnał telefonu. Za oknem mocno świeciło słońce, co świadczyło, że pora była przedpołudniowa. Zanim wygrzebał się z łóżka i wyszedł do salonu, Makuchowa już podniosła słuchawkę.

– Są aż tak wielkie zaspasy, że nie możesz dojechać swoim samochodem? – dziwiła się. – Rozumiem, twój samochód jest za niski. To nic. Poczekasz, aż pług przetorują drogę. Mała już jadła dwa razy, siedzi w kuchni i razem gotujemy różne smaczne potrawy... Nie, nie musisz się o nią martwić. I nie śpiesz się. Ja już sama dokończę sprzątanania... Do widzenia, Brygido.

Doktor stał w drzwiach sypialni i słuchając Gertrudy czuł, że wzbiera w nim gniew. Nie odezwał się jednak ani słowem. Poszedł do łazienki, gdzie z powodu porannej

kąpieli Joachima, a także chyba prania, które zrobiła Makuchowa, woda w elektrycznym bojlerze była zaledwie letnia.

Ogolony i ubrany, a także bardzo głodny (Joachim wstał wcześniej i zapewne dawno zjadł śniadanie, z pokoju na piętrze dochodziły dźwięki jego skrzypiec) doktor zjawił się w kuchni. Chcąc uspokoić narastającą w nim irytację, zapalił na czczo papierosa.

– Nie pal! Tutaj jest dziecko – zgromiła go Gertruda.

Posłusznie zgasił papierosa w popielniczce. Nie warto się było sprzeczać o drobiazgi. Zresztą miała rację, nie pozwalając palić przy dziecku.

Usmażyła mu jajecznicę, posmarowała chleb, podała szklankę z herbatą. Ale nie w salonie, jak zwykle, tylko przy stole kuchennym.

– Słyszałem co mówiłaś Brygidzie przez telefon – powiedział uporawszy się z jajecznicą. – Osiągnęłaś swój cel i ta kobieta jest ci już tutaj niepotrzebna. Brygida jest głupia, naprawdę głupia. Mylisz się jednak sądząc, że i ze mnie zrobiłaś głupca.

– Nie rozumiem o czym mówisz – burknęła Gertruda, wałkując ciasto na makaron.
– To jedno wiem, że wczoraj wypiełeś za dużo i teraz jesteś w złym humorze.

– Masz rację. Jestem w złym humorze. Zarazem nigdy tak jasno jak w tej chwili nie przenikałem siebie i ciebie Gertrudo. Przez całe lata musiałem ci opowiadać o wszystkich swoich kochankach, abyś ty mogła się wzbogacić moim i ich życiem. Tylko o Hannie nigdy nie powiedziałem ci ani słowa i dlatego wiem, że ją nienawidziłaś, i uradowała cię jej śmierć. Nie mówiłem ci także o Justynie, dlatego i ona budzi w tobie nienawiść.

– Justyna chciała cię zabić. Gdybyś mi o niej szepnęła choćby słówko, ostrzegłabym cię przed nią. Ona mi się zwierzała, że żyje z Kłobukiem.

– Domyślałem się, że nie zniesiesz pod tym dachem żadnej innej kobiety poza sobą, dlatego również nigdy nie zwierzałem się tobie z moich uczuć do Brygidy. Co się stało, że raptem zapragnęłaś dzielić ten dom i mnie z tą właśnie kobietą? Czy dlatego, że bywając u niej i wysłuchując jej zwierzeń, znowu zaczęłaś wzbogacać się o cudze życie? Nie. Gertrudo. To wyjaśnienie wydaje mi się zbyt łatwe. Wiedz tedy, że za chwilę pojedę swoim samochodem po Brygidę i przywiozę ją tutaj, choćbym miał przekopać się przez wszystkie zaspy świata.

To mówiąc wstał od stołu, zamknął za sobą drzwi kuchni, w sieni narzucił kurtkę futrzaną i wyprowadził z garażu swój stary gaz z przednim i tylnym napędem.

Gertruda wyszła na zaśnieżone podwórze. Otworzyła drzwi szoferki i powiedziała doktorowi:

– Dobrze czynisz, że jedziesz po nią, Janku. Ale nie mów jej tego, co mnie

powiedziałaś. Ona może to źle zrozumieć i stanie się wobec mnie ostrożna i nieufna. Ty także nie miej do mnie żalu i nie myśl, że cię chciałam oszukać. Będziesz miał pod swoim dachem najpiękniejszą kobietę w całej okolicy. A co najważniejsze, ta kobieta kocha cię bez granic, kocha miłością ślepą. Tylko ja, Gertruda, tak ciebie kochałam. Odtąd wszyscy będziemy szczęśliwi: ja, ty, ona, a może i Joachim, bo nareszcie znajdzie tu prawdziwy dom rodzinny.

Za wsią doktor trzykrotnie wpadł w zasy, odrobinę rozjeżdżone przez traktory i ogromne samochody z drzewem. Najwyższe zasy ominął jadąc polami, skąd wiatr zwał śnieg na drogę.

Brygida nie spodziewała się go. Gdy otworzyła drzwi – jak gdyby przeraził ją widok doktora. A kiedy rozkazał jej pakować rzeczy i zbierać się z nim, a na dodatek napomknął o wspólnym Sylwestrze w domu Porwasza, na krótką chwilę musiała usiąść w fotelu, tak pod nią nogi nagle osłabły. Potem zebrała się w sobie, rozstawiła na podłodze walizki i zaczęła w nie ładować najróżniejsze rzeczy dla siebie i dziecka. Robiła to bez składu i ładu, byle jak wszystko upychając. Klęcząc na podłodze obok walizek chwilami zamierała, jak gdyby ciągle nie mogła oswoić się z jego u niej obecnością, z faktem, że po nią przyjechał przez zasy śnieżne i że spędzą razem nie tylko święta, ale i Sylwestra. Bała się myśleć o czymś więcej i za przyczyną owego radosnego lęku ruchy jej były chaotyczne, dłonie przestały być sprawne. A do tego miała świadomość, że ona klęczy, a on stoi nad nią i obserwuje ją uważnie z takim wyrazem twarzy, jakby miał ochotę pochylić się ku niej, wyciągnąć ręce i podnieść ją z podłogi – upokorzoną, poniżoną poprzez radość, której nie potrafiła ukryć.

– Mam balową suknię z lamy z gołymi ramionami – odezwała się. – Ale chyba nie wypada na prywatne przyjęcie ubierać się tak okazale? Może wystarczy biała bluzka z koronkami?

A on zaczął mówić krótkimi zdaniem, tonem, w którym nie słyszała głosu czułości. Każde słowo brzmiało jak uderzenie bata:

– Jesteś piękną kobietą. Na świecie wiele jest rzeczy pięknych, ale bezużytecznych. Pomogę ci zrozumieć, że piękno kobiety zostało stworzone ku radości mężczyzny. Prawdopodobnie będziemy razem szczęśliwi, choć być może od czasu do czasu popłaczesz sobie w kącie mojego domu. Zastanów się, czy warto żyć z takim człowiekiem jak ja?

Pochyliła twarz na otwartą walizką i odrzekła:

– Przyjechałeś po mnie, przedzierając się przez zasy. Zrobiłeś to dlatego, żeby mnie upokorzyć nawet swoim wyznaniem. Kiedy pewnego dnia przestaniesz mnie

upokarzać, będę wiedziała, że nie jestem ci potrzebna.

I jeszcze bardziej pochyliła twarz nad walizką, aby nie widział na jej ustach tryumfującego uśmiechu.

W domu na półwyspie paliły się światła niemal we wszystkich oknach na parterze. Przez uchylony lufcik w salonie w białą od śniegu noc z lekkim mrozem wypływało ciepło i coraz donośniejsze głosy ludzkie. Ukryty za pobielonym pnem wiśni odwieczny Kłobuk chłonał te dźwięki jak radosną muzykę życia, trwającego mimo zimy i nocy. Nie zaglądając w okna wiedział, kiedy mówi pisarz, kiedy śmieje się Halinka Turlej lub łagodnie szemrzą słowa doktora – każdy z tych głosów był mu dobrze znany i przyjazny. Kłobuk lubił tych ludzi na sposób Starego Boga; był o nich zazdrosny, ale i im życzliwy; groźny i łaskawy; wybaczący, ale i mściwy; zatroskany, ale niekiedy zupełnie obojętny. Czuł się tworem ich tęsknot i pragnął, aby owe tęsknoty nieustannie wzlatywały ku niebu z rozsypanymi po nim gwiazdami, gdyż z nich to rodziły się ptaki – wszystkie, nie tylko on.

Trzasnęły drzwi od frontu. Na ścięty mrozem śnieg wyszła ostrożnie Gertruda Makuch i skierowała się ścieżką ku bocznej furtce. Pod grubą chustką niosła coś dużego i ciężkiego; trzymała to jak drogocenną wagę. Ale obok furtki przystanęła i jak każdego wieczoru i rana pozostawiła na kołkach w płocie dwie kromki chleba dla Kłobuka lub sójki, zależy, który z ptaków okaże się szybszy i bystrzejszy.

Jej dom stał nie opodal, z dachem pokrytym białą śniegu. W izbie przy piecu na małym zydelku siedział Tomasz Makuch i patrzył w półotwarte drzwiczki od paleniska, gdzie ogień trawił brzozowe polana. W izbie było ciepło, bo kazała mu przez cały dzień utrzymywać ogień pod płytą. Usłuchał jej, zawsze robił to, co mu rano nakazała, nigdy mniej ani nigdy więcej. Potrafił jedynie wykonywać jej rozkazy, na żadną własną myśl nie było go stać, ponieważ wszystkie jego myśli wysłał ogromny smutek, który w sobie od lat odczuwał. Smutek zrodzony w latach niewoli; ale ochrzczony przez doktora łacińską nazwą jednostki chorobowej.

Gertruda zbliżyła się do nakrytego lnianą serwetą stołu, wyjęła spod chustki grube zawiniątko, położyła je na stole i wydobyła z niego śpiącą dziewczynkę. – Spójrz, Tomasz, znowu mamy dziecko – oświadczyła z ogromną czułością. – Od jutra przeniesiemy się do domu Janka, bo musimy obydwójce być blisko naszego dziecka. Jeszcze dziś znieśiesz ze strychu drewniane łóżeczko, które pozostało po małym Joachimie. Nie bój się, Tomaszu i podejź tu bliżej. To dziewczynka. Bardzo mała dziewczynka. Odtąd nie będziesz siedział samotnie w domu i wyglądał przez okno na drogę. Razem ze mną zajmiesz się wychowaniem dziecka. Będziesz musiał nosić dużo

drew do pieców i palić w nich, żeby tej drobinie było bardzo ciepło. Ona już trochę chodzi i zaczniesz ją prowadzić za rękę po domu i po ogrodzie. O tak, czeka cię wiele zajęć i wiele radości. Pamiętam, jak cieszyłeś się, gdy chodziłeś na spacer z Joachimem. To dla ciebie i dla siebie wystarałam się o to dziecko.

Tomasz Makuch posłusznie podniósł się z zydelka i zajął Gertrudzie przez ramię na śpiącą dziewczynkę.

– Nie pytaj mnie Tomaszu, ile trudu kosztowało mnie to dziecko. Najważniejsze jednak, że je mamy. Justyna też chciała mieć dziecko, ale jej Kłobuk nie wysłuchał. Ja zaś zawsze zostawiałam Kłobukowi kromkę chleba na kołku w płocie. Dla nas okazał się łaskawszy. Pamiętaj, Tomaszu, że tylko ludzie młodzi mają małe dzieci. Dlatego i my będziemy znowu młodzi, ty i ja. To będzie dla ciebie wielka radość patrzeć na nie, rozmawiać z nim, ocierać mu łzy z oczu i liczyć jego uśmiechy. Może to i trochę uciążliwe, że będziemy musieli przenieść się do Janka, jak wówczas, gdy przywiózł on małego Joachima. Ale przecież sam rozumiesz, że musimy być bardzo blisko niego. Brygida pozwoliła, aby łóżeczko z dzieckiem znajdowało się w naszym pokoju, ponieważ, gdy się w nocy obudzi, to ja będę do niego wstawała albo ty, jeśli zechcesz. Tak się składa, że Brygida ma wiele pracy, ponieważ jest lekarzem weterynarii. Tak samo zajęty jest Janek. Zresztą tych dwoje zajmie się sobą, a nam pozostawią to dziecko. Jak słyszysz, dobrze sobie to wszystko umyśliłam, żebyśmy obydwójce mogli być znowu szczęśliwi. Czy pamiętasz, jak płakałeś, kiedy nam odebrano małego Joachima? Tej dziewczynki nikt nam już nie odbierze. Ona będzie nasza, tylko nasza, choć ani Brygida, ani Janek nigdy się o tym nie dowiedzą. Wyznam ci szczerze, że z Janka ostatnio ani ja, ani ty nie mieliśmy żadnego pożytku. Zamknął się w sobie, stał się nieposłuszny. Joachima zaś nam zabrano. Dlatego nie pytaj, ile trudu kosztowało mnie to dziecko, ile razy musiałam jeździć do Trumiejek, aby Brygidę nauczyć pokory i odebrać jej dumę. Jeszcze trudniej przyszło mi postępować z Jankiem, bo on jest od niej mądrzejszy. Ale i tak zmusiałam go, żeby po Brygidę pojechał dziś przez zasypane śnieżne i, co dziwniejsze, oświadczył się jej. Tak, tak, Tomaszu, nie jest łatwo o dziecko w naszym wieku! Czy wiesz, jak ono ma na imię?

Tomasz przecząco pokręcił głową, że nawet nie domyśla się, jak ma na imię ta mała dziewczynka.

– Beatka, Tomaszu. Z matki Brygidy i ojca Jana Krystiana Niegłowicza. Ale tak naprawdę, to ona będzie Gertrudy i Tomasza Makuchów. Dziewczynka obudziła się i w milczeniu ciekawie przyglądała się nastroszonym wąsom Tomasza Makucha.

– Poznała cię, Tomaszu! – ucieszyła się Gertruda. – Poznała i polubiła od pierwszego

wejrzenia. Popatrz uważnie, jakie ma malutkie dłonie i maciupieńkie paluszki. Nie widziałeś paluszków u jej nóżek, ale zapewniam cię, że są równie piękne i malutkie. Och, dużo trudu kosztowało mnie to dziecko! Ma już prawie roczek, Tomaszu, a o takie dziecko najtrudniej. Nie chcę, żebyś wciąż siedział sam w domu i patrzył przez okno. Nigdy nie przyszło ci na myśl, żeby postarać się o dziecko. Wciąż tylko ja i ja muszę te sprawy brać na swoją głowę. No, rusz się teraz, ubierz się i wróć ze mną do domu Janka, bo trzeba ze strychu zdjąć łóżeczko Joachima. Wysprzątałam już pokój i nawet w nim napaliłam. Ale muszę przenieść tam naszą pościel i wiele innych rzeczy. Warto jednak ponieść tyle trudu, bo szczęście, Tomaszu, nie przychodzi bez wysiłku.

Podjęła ze stołu kruchą ludzką istotę i swymi silnymi ramionami przytuliła ją do piersi. Spojrzała na Tomasza i ujrzała, że po raz pierwszy od wielu lat uśmiecha się. Ma na twarzy uśmiech, choć Janek powiedział, że nigdy nie będzie się uśmiechał, gdyż jest chory na smutek. Janek jest dobrym doktorem, ale przecież i on czasami mówi przeróżne głupstwa. Jak choćby takie, że stara kobieta nie może mieć dziecka. Ona, Gertruda, ma roczną dziewczynkę, gdyż się o nią postarała. Wszystko można mieć na rwiecie, jeśli się człowiek o to będzie starał.

